

Don Kichote - Miguel Cervantez

Miguel de Cervantes Saavedra

Przemyślny szlachcic Don Kichote z

Manczy Przełożyli

Anna Ludwika Czerny

Wydawnictwo Zielona Sowa

Kraków

Tytuł oryginału:

El ingenioso hidalgo Don

Quijote de la Mancha Projekt

serii:

Piotr Iwaszko

Projekt okładki i

opracowanie graficzne:

Piotr Iwaszko

Skład i

Łamanie:

Anna Olek

Redakcja:

Arkadiusz Latusek

**© Copyright for Polish translation by the Estate of Anna Ludwika Czerny and
Zygmunt Czerny**

Copyright for this edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Kraków 2004

ISBN 83-7389-023-8

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

30-415 Kraków, ul.

Wadowicka 8A tel./fax (012)

266-62-94, (012) 266-62-92

(012) 266-67-56, (012) 266-

67-98 www.zielonasowa.pl

wydawnictwo@zielonasowa.

pl

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA

PRZEDMOWA AUTORA 9

KSIĘGA PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY 29

ROZDZIAŁ DRUGI 32

ROZDZIAŁ TRZECI 36

ROZDZIAŁ CZWARTY 40

ROZDZIAŁ PIĄTY 45

ROZDZIAŁ SZÓSTY 48

ROZDZIAŁ SIÓDMY 53

ROZDZIAŁ ÓSMY 56

KSIĘGA DRUGA

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY 65

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY 68

ROZDZIAŁ JEDENASTY 72

ROZDZIAŁ DWUNASTY 77

ROZDZIAŁ TRZYNASTY 81

ROZDZIAŁ CZTERNASTY 87

KSIĘGA TRZECIA

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY 97

ROZDZIAŁ SZESNASTY 102

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY 107

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY 112

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY 119

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY 124

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY 132

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI 140

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI 147

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY 155

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY 160

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY 171

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY 177 KSIĘGA CZWARTA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY 191

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY 200

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY 208

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

PIERWSZY 215 ROZDZIAŁ

Don Kichote - Miguel Cervantez

TRZYDZIESTY DRUGI

221 ROZDZIAŁ

TRZYDZIESTY TRZECI 225

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY 237

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY 250

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY 255

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY 262

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY 268

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

DZIEWIĄTY 271 ROZDZIAŁ

CZTERDZIESTY 276

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

PIERWSZY 284

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI 297 ROZDZIAŁ

CZTERDZIESTY TRZECI 301

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY 308

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY 314

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY 319

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY 324

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY 330

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY 335

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY 340

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY 344

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI 347

CZĘŚC DRUGA

DEDYKACJA 361

SŁOWO WSTĘPNE DO CZYTELNIKA 363

ROZDZIAŁ PIERWSZY 367

ROZDZIAŁ DRUGI 374

ROZDZIAŁ TRZECI 378

ROZDZIAŁ CZWARTY 383

ROZDZIAŁ PIĄTY 387

ROZDZIAŁ SZÓSTY 391

ROZDZIAŁ SIÓDMY 395

ROZDZIAŁ ÓSMY 399

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY 404

Don Kichote - Miguel Cervantez

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY407

ROZDZIAŁ

JEDENASTY413

ROZDZIAŁ

DWUNASTY417

ROZDZIAŁ

TRZYNASTY422

ROZDZIAŁ CZTERNASTY426

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY433

ROZDZIAŁ SZESNASTY434

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY440

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY447

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY454

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY458

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY465

ROZDZIAŁ ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY

DRUGI469

DWUDZIESTY

TRZECI474

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY

CZWARTY480

ROZDZIAŁ

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY

PIĄTY485

DWUDZIESTY

SZÓSTY491

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY

SIÓDMY496

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY

ÓSMY501

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY

DZIEWIĄTY504

ROZDZIAŁ
TRZYDZIESTY508
ROZDZIAŁ
TRZYDZIESTY
PIERWSZY512
ROZDZIAŁ ROZDZIAŁ
TRZYDZIESTY
DRUGI517
TRZYDZIESTY TRZECI526
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY531
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY535
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY540
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY544
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY546
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY
DZIEWIĄTY550 ROZDZIAŁ
CZTERDZIESTY552
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY556
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY
DRUGI563 ROZDZIAŁ
CZTERDZIESTY TRZECI567
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY
CZWARTY571
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY578
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY583
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY586
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY592
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY598
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY 605
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY 611
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI 617
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI 621
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY625
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY630
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY635
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY638

Don Kichote - Miguel Cervantez

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY642
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY649
ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY655
ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY PIERWSZY663
ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY DRUGI 665
ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY TRZECI673
ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY CZWARTY680
ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY PIĄTY683
ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY SZÓSTY686
ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY SIÓDMY690
ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY ÓSMY693
ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY DZIEWIĄTY696
ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY700
ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY705
ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI709 ROZDZIAŁ
SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI712
ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY716
POSŁOWIE723

CZĘSC DRUGA
DEDYKACJA361
SŁOWO WSTĘPNE DO
CZYTELNIKA363 ROZDZIAŁ
PIERWSZY367 ROZDZIAŁ
DRUGI374 ROZDZIAŁ
TRZECI378
ROZDZIAŁ CZWARTY383
ROZDZIAŁ PIĄTY387
ROZDZIAŁ SZÓSTY391
ROZDZIAŁ SIÓDMY395
ROZDZIAŁ ÓSMY399
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY404
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY407
ROZDZIAŁ
JEDENASTY413
ROZDZIAŁ

Don Kichote - Miguel Cervantez

DWUNASTY417

ROZDZIAŁ

TRZYNASTY422

ROZDZIAŁ CZTERNASTY426

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY433

ROZDZIAŁ SZESNASTY434

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY440

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY447

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY454

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY458

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

PIERWSZY465 ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY DRUGI469

ROZDZIAŁ

DWUDZIESTY TRZECI474

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY480

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY485

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY491

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY496

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY501

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY504

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY508

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY512

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI517 ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI526

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY531

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY535

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY540

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY544

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY 546

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

DZIEWIĄTY550 ROZDZIAŁ

CZTERDZIESTY552

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY556

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI563

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI567

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY571

Don Kichote - Miguel Cervantez

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY578
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY583
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY586
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY592
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY598
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY 605
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY611
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI617
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI621
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY625
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY630
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY635
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY638
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY642
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY649
ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY655
ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY663
ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI665
ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI673
ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY680
ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY683
ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY686
ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY690
ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY693
ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY696
ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY700
ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY705
ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI709
ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI712
ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY
CZWARTY716 POSŁOWIE 723

* * *

CZĘŚĆ PIERWSZA

Księciu de Bejar, Markizowi Gibraleonu,

Strona 8

Don Kichote - Miguel Cervantez

Grabi Benalkazaru i Baharesu, Wicegrabi Puebli de Alcocer,

Panu miast Capilla, Curiel i Burguillos

Ufając dobremu przyjęciu i łaskawości, jakimi Wasza Dostojność darzy wszelkie rodzaje ksiąg, jako książę tak skory do popierania sztuk pięknych, a przede wszystkim tych, które dla szlachetności swej nie zniżają się do usług i korzyści

pospolstwa, postanowiłem wydobyć na światło Przemyślnego szlachcica Don Kichota z Manczy pod osłoną najjaśniejszego imienia Waszej Dostojności. Z czcią tak wielkiej godności należną błagam, abyście raczyli łaskawie przyjąć go pod swą opiekę, bowiem w cieniu jej, lubo pozbawion cennej i ozdobnej wytworności i wieńczy, jaką przywdziewać zwykły dzieła tworzone w domach ludzi uczonych, ośmieszli się stanąć odważnie przed sądem niektórych, co to przekraczając granice własnej nieświadomości, zwykli potępiać prace innych ze zbytnią surowością, a niezbyt sprawiedliwie. Kiedy mądrość Waszej Dostojności zwróci oczy na mą dobrą chęć, wierzę, że nie pogardzi hołdem tak kornej służby.

Miguel de Cervantes Saavedra

PRZEDMOWA AUTORA

Swobodny czytelniku, możesz mi bez zakleć wierzyć, że rad bym, aby ta książka, jako dziecię umysłu, była najpiękniejsza, najzabawniejsza i najzmyślniejsza, jaką wyobrazić sobie można. Jednak nie mogłem przeciwstawić się przyrodzonemu porządkowi, wedle którego każda rzecz podobną sobie płodzi. I tak, cóż spłodzić mógł mój umysł jałowy i nieukształcony, jeśli nie opowieść o człowieku wyschłym, pomarszczonym, kapryśnym, a pełnym różnorodnych myśli, które się nikomu innemu nie śniły, jako że zrodziła się w więzieniu, gdzie wszelakie niewygody miały swoją siedzibę i gdzie zamieszkała wszelka przykra wrzawa?

Beztroska, ciche ustronie, urok pól, pogoda niebios, szmer zdrojów, spokój ducha w znacznej mierze sprawiają, że najbardziej jałowe Muzy okazują się płodnymi i na świat wydają twory budzące najwyższy podziw i zadowolenie. Zdarza się, że ojciec ma syna brzydkiego i bez żadnego wdzięku, lecz miłość, jaką doń żywi, kładzie mu przepaskę na oczy i sprawia, że błędów jego nie widzi; raczej uważa je za przymioty

Don Kichote - Miguel Cervantez

umysłu i powaby, opowiadając o nich przyjaciołom jako o dowodach dowcipu i
bystrości. Ale ja, choć wydaję się ojcem, jestem ojczy-

mem Don Kichota, nie chcę iść zwykłym torem ani błagać cię niemal ze łzami,
najmilszy czytelniku -jak to czynią inni - abyś wybaczył lub oczy
zamknął na bra-

ki, jakie w dziecięciu mym znajdziesz, nie jesteś bowiem
ani jego krewniakiem, ani przyjacielem, masz własną
duszę w ciele, wolny sąd jak najstrojniejszy i siedzisz

we własnym domu, którego jesteś panem, jak król na swoich żupach, i wiesz, że - jak
to się powszechnie mówi - pod swoim płaszczem i królowi dam szczutka. To
wszystko cię wyswobadza i uwalnia od wszelkich względów i zobowiązań, możesz
więc o tej powieści mówić, co ci się żywnie podoba, nie lękając się potwarzy za zły
sąd ani też nagrody za dobry, jaki o niej wydasz.

Chciałbym jedynie dać opowieść prostą, zwięzłą, nieozdobioną przedmową, bez
niezliczonej, wedle zwyczaju, listy sonetów, epigramów i wierszy pochwalnych,
jakie zwykło się umieszczać na początku książek. Przyznam ci się bowiem, że choć
napisanie tego dzieła nieco pracy mię kosztowało, największym trudem jednak była
dla mnie ta przedmowa, którą właśnie czytasz. Wielekroć chwytałem za pióro, aby ją
nапisać, i wielekroć je odkładałem, nie wiedząc, co mam napisać. I gdy tak trwa- łem
w zawieszeniu, z papierem przed sobą, z piorem za uchem, z łokciem opartym o pulpit
i z policzkiem w dłoni, namyślając się, co powiedzieć,

wszedł niespodzia-

nie jeden z moich przyjaciół, dowcipny i znający się na rzeczy, a widząc mię tak
zamyślonym, zapytał o przyczynę. Więc nie tając jej, odpowiedziałem, że rozmy- ślam
nad przedmową, jaką mam napisać do historii Don Kichota, i tak mię to gnębi,
że już ani pisać mi się nie chce, ani wywodzić na światło przewag tak szlachetnego
rycerza.

- Jakżeż bowiem chcecie, abym nie był strapiony? Cóż powie odwieczny pra-
wodawca zwany tłumem, gdy po tylu latach, w czasie których spałem jakby w ci- szy
zapomnienia, wystąpię dzisiaj z ciężarem moich wszystkich lat na barkach, z
opowieścią suchą jak łoza, bez żadnej inwencji, pełną stylistycznych błędów, ubogą
w koncepty, pozbawioną wszelkiej erudycji i uczoności, bez uwag na marginesie i
przypisów na końcu książki, jak to się widuje w innych, choćby błahych i świec- kich,

Don Kichote - Miguel Cervantez

a tak pełnych sentencji z Arystotelesa, Platona i całej czeredy filozofów, które wprawiają w podziw czytelników uważających ich autorów za ludzi oczytanych, uczonych i wymownych? Posłuchaj, jak cytuję Pismo święte! Rzekłybyś, sami święci Tomasze lub inni doktorzy Kościoła; tak zręcznie miarę zachowując, w jednym wierszu malując roztargnionego kochanka, w drugim dając chrześcijańskie kaza-nie, że przyjemność to i rozkosz słuchać ich lub czytać. Wszystkiego tego brak mojej książce, gdyż nie mam nic do notowania na marginesie ani do objaśniania na końcu. Nie wiedząc też, jakich autorów naśladowuję, nie mogę -jak to czynią inni - na początku ich wymieniać wedle liter ABC, zaczynając od Arystotelesa, a kończąc na Xenofoncie oraz Zoilu czy Zeuksisie, choć jeden był potwarcą, zaś drugi malarzem.

Również braknie w mojej książce na początku sonetów, a zwłaszcza sonetów takich, których autorami byliby książęta, markizy, grabiowie, biskupi, damy lub bardzo sławni poeci; choć gdybym poprosił o nie moich dwóch czy trzech dobrze postawionych przyjaciół, daliby mi je z pewnością, i to takie, że nie dorównałyby im te, które w naszej Hiszpanii największą sławą się cieszą.

- W końcu, panie i przyjacielu mój - ciągnąłem dalej - postanawiam, że pan Don Kichote pogrzebiony zostanie w archiwach Manczy, dopóki niebo nie ześle kogoś takiego, kto go ozdobi wszystkim tym, czego mu brak; albowiem ja czuję się niezdolnym, by temu zaradzić dla braków moich i nieukształcenia, i dlatego, że z natury mej jestem za wygodny i za leniwy, aby szukać autorów, którzy mówią to, co ja i bez nich powiedzieć potrafię. Stąd rodzi się owo wahanie i zapamiętanie, w jakim mię zastaliście: dostateczna przyczyna leży w tym, coście usłyszeli. Przyjaciel mój, wysłuchawszy tego, uderzył się dlonią w czoło i wybuchnął - szy szerokim śmiechem, rzekł:

- Na Boga, bracie! Oto wyprowadziliście mię z błędu, w jakim trwałem przez długi czas mej znajomości z wami. Uważałem was zawsze za rozsądnego i rozważnego we wszystkich waszych poczynaniach, ale teraz widzę, żeście od rozsądku tak dalecy jak niebo od ziemi. Jakżeż to możliwe, aby rzeczy tak blahe, którym zara-dzić

Don Kichote - Miguel Cervantez

tak łatwo, mogły równie silnie wstrząsnąć i zaprzątać umysł tak dojrzały jak wasz, tak nawykły do łamania i przewyciężania innych,
większych trudności?

10

Wierzę, nie rodzi się to z braku zdolności, lecz raczej ze zbytku lenistwa i braku roz- wagi. Czy nie chcielibyście się przekonać, że słowa moje są prawdziwe?
Posłuchaj-

cie tedy uważnie, a ujrzycie, jak w mgnieniu oka usunę wszystkie wasze trudności, zaradzę wszystkim brakom, które -jak mówicie - dręczą was i nie pozwalają wydobyć na jaźń historii waszego słynnego Don Kichota, światłości i zwierciadła całego błędnego rycerstwa.

- Powiedziecie - odpowiedziałem, usłyszawszy jego słowa - w jaki sposób myślicie rozproszyć me obawy i rozjaśnić zamęt mego pomieszania?

On zaś na to:

- Najpierw, co się tyczy sonetów, epigramatów i wierszy pochwalnych, któ- rych wam brak na początku książki, a które powinny być napisane przez osoby znaczne i utytułowane - zaradzić temu możecie, zadając sobie samemu trud napisania ich, potem można je ochrzcić i podpisać nazwiskiem, jakie chcecie, przypisując je Księdu Janowi Indyjskiemu lub cesarzowi

Trebizondy, o których wiem, że - jak wieść niesie

- byli słynnymi poetami; a choćby i nie byli i

znalazło się kilku

pedantów i bakałarzy, którzy was będą kąsać podstępnie i mruczeć coś o prawdzie, nie dajcie za to i dwóch groszy, bo choćby wam i dowiedli kłamstwa, nie utną wam ręki, która to napisała.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Co zaś do cytowania na marginesie książek oraz autorów, z których czerpać będziecie sentencje i powiedzonka, by zamieścić je w waszej opowieści, nie pozostaje nic innego, jak spożytkować pewne sentencje łacińskie, które znacie na pa-

mieć - albo przynajmniej te, których wyszukanie nie przysporzy wam wiele zacho- du. Mówiąc o wolności i niewoli, można przytoczyć: Non bene pro to to libertas venditur auro¹.

Natychmiast na marginesie wspomnicie Horacego lub tego, kto to powiedział.

Rozprawiając o potędze śmierci, zaraz uciec się należy do słów: Pallida mors aequo pulsat pede pauperum tabernas Regumque turres².

Jeśli zaś rzecz będzie o przyjaźni i miłości, jaką Bóg żywić każe dla nieprzyja-

ciół, z punktu odwołacie się do Pisma świętego, co możecie uczynić z niejaką oso- bliwością, cytując co najmniej słowa samego Boga: Ego autem dico vobis: diligitе

inimicos vestros*. Jeśli rozprawiać będziecie o złych zamysłach, z Ewangelii przy- bieży: De corde exeunt cogitationes malae⁴. Jeśli zaś o niestałości przyjaciół, oto Katon wam taki dystycz poddaje:

1 Nie sprzedaje się wolności za złoto (łac., Ezop, Bajki, Pies i wilk).

2 Blada śmierć puka jednak do drzwi bogatych i biednych (łac., Horacy, Pieśni, 1,4).

3 Mówię wam zaś, miłujcie nieprzyjacióły wasze (łac., Ewangelia św. Mateusza, V, 44).

4 Z serca złe myśli wychodzą (łac., Ewangelia św. Mateusza, XV, 19). 11

Donec eris felix, multos numerabis amicos Tempora sifuerint nubila, solus eris[. I tak, dzięki tym łacinnikom i innym podobnym, uważać was będą co najmniej za gramatyka, co dziś niemałym jest zaszczytem i korzyścią. Zaś co do not na końcu książki, możecie na pewno to zrobić w następujący sposób: jeżeli macie wymie-

Don Kichote - Miguel Cervantez

nić w waszej książce jakiegoś olbrzyma, niechże to będzie olbrzym Goliat, i prawie nic was nie będzie kosztowało dać taki przypisek: „Olbrzym Goliat albo Golias był to Filistyn, którego zabił pasterz Dawid wielkim rzutem kamienia w dolinie Tere- bintu, jak opowiedziane jest w Księdze Królów w rozdziale...”, w którym znajdzie- cie, że jest to zapisane.

W końcu, aby wydać się uczonym humanistą i kosmografem, postąpicie w ten sposób, aby w opowieści waszej wymieniona była nazwa rzeki Tag. To da wam sposobność do umieszczenia innego słynnego przypisku: „Rzeka Tag została tak nazwana przez pewnego króla Hiszpanii. Źródła ma w tym a tym miejscu, uchodzi do Morza Oceanskiego, obejmując mury słynnego miasta Lizbony. Powszechnie mniemają, że w piasku jej znachodzi się złoto” itd. Jeżeli mowa będzie o rozbójnikach, dam wam historię Kakusa, którą znam na pamięć, jeśli o rozwiązkach niewia- stach, oto biskup z Mondonedo użyczy wam Lamii, Lais i Flory, który to przypis doda wam wielkiego znaczenia; jeśli rzecz o okrutnicach, Owidiusz dostarczy wam Medei, jeśli o czarownicach i wiedźmach, Homer ma Kalipso, Wergili Cyrce, jeśli o wodzach dzielnych spraw, sam Juliusz Cezar opowie wam o sobie w swych Komentarzach, a Plutarch dostarczy tysiąca Aleksandrów. Gdybyście o miłości rozprawiali, przy dwóch uncjach znajomości języka toskańskiego natkniecie się na Leona Hebrajczyka, który zadowoli was ponad wszelką miarę. Jeśli jednak nie uśmie- cha się wam podróż w obce kraje, we własnym domu macie de Fonseca O miłości Bożej, gdzie przeczytać można wszystko, co najbardziej wymyślny człek zapragnąć może w tym przedmiocie. Krótko mówiąc, jedynym wysiłkiem waszym będzie wymienić te nazwiska i włączyć w waszą opowieść te historie, o których wam tu mówię, zostawiając mi trud dołączenia przypisów i objaśnień; zapewniam was, że zapełnię marginesy i zużyję cztery arkusze papieru na końcu książki.

Przejdźmy teraz do cytatów z autorów, jakie zawierają inne książki, a których waszej brak. Łatwo i temu zaradzić, nic innego nie zostaje do zrobienia, jak wyszukać książkę, która ich wszystkich od A do Z -jak mówicie - wymienia. Potem ten sam spis alfabetyczny umieścicie w waszej książce. I jeśli kłamstwo na jaw wyjdzie niebawem z powodu małej praktyki w posługiwaniu się nimi, to nie ma zna- czenia. Może znajdzie się taki nieuk, który pomyśli, że w waszej prostej i szczerej

Don Kichote - Miguel Cervantez

opowieści korzystaliście z nich wszystkich. A choćby się to na nic innego przydać nie miało, przynajmniej taki obszerny spis autorów doda natychmiast powagi książce.

Tym bardziej że nie znajdzie się nikt, kto by chciał sprawdzać, czy wiernie ich przytaczacie, czy niewiernie, bo mu na tym nie zależy. Tym więcej że, o ile dobrze znam

Dopóki będziesz szczęśliwy, wielu będziesz miał przyjaciół, gdy los cię opuści, będziesz sam (łac., nie Katon, lecz Owidiusz, Żale, I, 6).

12 się na rzeczy, książka wasza nie potrzebuje nic

z tego, czego jej - waszym zdaniem — brak, cała

bowiem jest jednym atakiem przeciw księgom

rycerskim, o których nigdy ani Arystoteles nie

wspomniał, ani św. Bazyli nic nie mówił, ani

Cyceron ich nie

tykał; i w rachunek jej fantastycznych głupstw

nie wchodzi ani ścisłość prawdy, ani obserwacje

astrologiczne, ani znaczenia nie mają obliczenia

geometryczne, ani zbija nie argumentów,

którymi posługuję się retoryka; nie chodzi tu o

prawienie nikomu kazania, mieszając ludzkie z

boskim, której to mieszaniny żadnemu

chrześcijańskie-

mu umysłowi nie godzi się używać. Powinniście jedynie przy pisaniu korzystać z naśladowictwa dzieł napisanych: im doskonalsze ono będzie, tym lepsze będzie to, co wy napiszecie. A ponieważ wasze dzieło ma na celu jedynie podważanie znaczenia i wpływu, jakie w świecie i wśród ludu mają księgi rycerskie, nie potrze-

Don Kichote - Miguel Cervantez

bujecie żebrać sentencji od filozofów, rad od Pisma Świętego, pomysłów od poetów, oracji od retorów ani cudów od świętych; należy się starać po prostu za pomocą słów ważkich, przyzwoitych i właściwie użytych, aby wasza wypowiedź i okresy były dźwięczne, uroczyste i barwne, pozwalające uchwycić, o ile możliwości, waszą intencję i zrozumieć myśli wasze bez zaciemnienia i powikłania. Starajcie się również,

nież, aby czytając opowieść waszą, smutny się roześmiał, wesołek jeszcze bardziej poweselał, aby się prostaczek nie znudził, wykształcony podziwiał jej pomysłowość, by nie gardził nią człek stateczny, roztropny nie poskąpił jej pochwały. Zaiste, nie żałujcie starań, by zburzyć tę bałamutną maszynę ksiąg rycerskich znienawidzonych przez wielu, a przez wielu więcej jeszcze sławionych; jeżeli się to wam uda, będzie to osiągnięcie niemałe.

W wielkim milczeniu słuchałem słów mego przyjaciela, które tak mocno wzruszyły mnie w umysł, że bez sprzeciwu uznałem je za słuszne i wedle nich właśnie chcę ułożyć tę przedmowę, w której poznasz, miły czytelniku, rozum mego przyjaciela i mój traf szczęśliwy, że w chwili takiej potrzeby znalazłem

takiego doradcę,

a także znajdziesz - ku pożytkowi twemu - tę szczerą i bez powikłań historię słynnego Don Kichota z Manczy, który pośród wszystkich mieszkańców powiatu Montiel cieszył się sławą najczystsze kochanka i najdzielniejszego rycerza, jakiego od lat wielu nie widziano w tych stronach. Nie starałem się wyolbrzymiać moich zasług, dając ci poznać tak znanego i cenionego rycerza; jednak pragnę, abyś mi podziękował za zaznajomienie cię z jego gierkiem, słynnym Sanczo Pansą, o ile mnie się zdaje - ozdobiłem wszystkimi przymiotami giermka, jakie rozmiane były w stosie błahych ksiąg rycerskich. Z tym wszystkim Bóg niech ci da zdrowie - a o mnie niech nie zapomni - Vale! 13

DO KSIĄŻKI DON KICHOTE Z MAFCĘCZY
URGANDAI ZWODNICA
Książko, do mądrych gdy do (trzesz),

Don Kichote - Miguel Cervantez

To ciebie przyjmą z uwa (gą), Nie
będzie cię głupiec sma (gał). Żeś
zręcznie nie ułożo (na).

Lecz jeśli ci o to cho (dzi),
By dostać się w głupców rę (ce),
Zobaczysz to jak najprę (dzej),
Że żaden cię nie zrozu (mię),
Choć każdy w krąg usiłu (je) Wykazać bystrości wie (cej).

Jak doświadczenie powia (da),
Gdy wejdziesz pod zacne drze (wo),
Okryje cię dobrym
cię (niem), W
Bejar twa dobra
gwia (zda)

Królewskie drzewo nada (rza),
Owocem książąt okry (te),
A pośród nich książę sły (nie), Aleksandrowi jest ró (wny):
W cień jego śpiesz, bo fortu (na) Zazwyczaj zuchwały sprzy (ja).

Zacnego szlachcica z Mań (czy)
Będziesz opiewać przygo (dy),
Jak zawróciła mu gło (we) Lektura ksiąg nieustan (na):
Rycerze, zbroje i pan (ny)
Tak podnieciły go sro (dze),
Że jako Orland szalo (ny)
Uniesion błędnym kocha (niem)
Wyciągnął swe mężne ra (mię) Po Dulcyneę z Tobo (so).

1 Wróżka z romansu rycerskiego Amadis z Galii, którego bohater stał się wzorem błędnego rycerza. Wiersz ten pisany jest w formie ludowej de cabو roto, tj. „z urwaną głową”, dlatego że naśladując niestaranną wymowę ludu sewilskiego, urywano końcowe zgłoski ostatnich wyrazów wierszy, zachowując zgodność ostatnich wymawianych samogłosek i każąc się domyślać końca słów czytelnikowi. 15

Żadnych

zbytecznych zavo

(łań) Na tarczy swej

nie zawie (sisz)

Hoć każda figura w grze (się) tym rzutem utracić mo (że).

Gdy się w Posłaniu uko (rzysz), Nie powie żaden kpiarz głu (pi):

„Jak Don Alvaro de Lu (na), tak Hannibal z Kartagi (ny),

W Hiszpanii zaś król Franci (szek)

Tak skarży się na

fortu (nę)"- Zaś

niebo nie chciało

wca (le),

Abyś synęła tak zwin (nie),

Jak Murzyn Juan Łacin (nik), Łaciny swej okrucha (mi).

Nie szermuj więc dowcipa (mi)

I filozofią nie dar (muj),

Bo wykrzywiwszy swe war (gi),

Powie ci, kto na kęs u (cha) Nie zna się na lektu (rach):

„Tuzami sypie coś bar (dzo)".

I nie sil się na trudno (ści),

Nie badaj losów niczy (ich);

Bo z dala to, co przemi (ja), Opłynąć jest ci mądro (ścią).

Na darmo zwykli się gło (wić)

Dla tych, co tylko się ba (wią)

Ty przecie swą dobrą sła : (we)

Chcesz zdobyć rzetelnym tru (dem);

Bo ten, co głupstwa druku (je), Na sąd je wieków poda (je).

Zważ, że kto siedzi na da (chu)

Ze szkła, to istotny szale (niec),

Co bierze w rękę kamie (nie), By ciskać nimi w sasja (da).

Zaś każdy człowiek rozwa (żny)

Przez dzieło, które sam two (rzy),

Idzie stopami z oło (wiu)

Ten zaś, co papier w świat rzu (ca),

Aby zabawić dziewczu (szki),

Pisze bez ładu i stro (ju). 16

Don Kichote - Miguel Cervantez

AMADIS Z GALII DO DON KICHOTA Z MANCZY

Sonet

Ty, któryś naśladował ten
żywot w ucisku, Jaki
wiodłem w oddali wzgardą
odrzucony, Dawniej w
weselu, potem pokutą
trawiony

Na stromej, wielkiej Skały Ubogiej urwisku,

Ty, którego źrenice dawały, w wytrysku

Łez, napój tak obfitły, choć gorzki i słony,

Coraz nowych ziem ciebie oglądaly strony, Miedź, cyna, srebro, zbroi dodawały
błysku:

Żyj spokojny i pewny, że odtąd na wieczność,

A przynajmniej tak długo, póki w czwartej sferze!

Ryzy Apollo konie swoje wodzić będzie,

Odniesie najjaśniejszą chwałę twa waleczność;

Ojczyzna twa wśród innych pierwszą palmę zbierze;

Twój autor jeden w sławie wśród świata zasiędzie. 1

Sfera ognia według kosmografii Ptolemeusza. 17

DON BELIANIS Z GRECJI

DO DON KICHOTA Z MANCZY

Sonet

Nagfy jak błyskawica, siekiem, ciolem, biłem

Bardziej niż który błędny rycerz w świecie całym;

Byłem praw, byłem dzielny i byłem zuchwały, Tysiąc
krzywd naprawiłem, sto tysięcy mściłem.

Byłem dwornym kochankiem, zawsze rozkosz piłem,

Wielkich czynów dla wiecznej dokonałem Chwały;

A każdy olbrzym przy mnie wydawał się mały, W
 pojedynku miecz każdy zawsze zwyciężyłem.

Chyliła się Fortuna do mych stóp, klęcząca;

A z lysego Przypadku moje mestwo kpiło,

Pieniąc się ponad miarę w zwycięskim bulgocie,

Jednak jak chmura rogi zakrywa miesiąca,

Don Kichote - Miguel Cervantez

Tak szczęście me zazdrością tylekroć ściemniło
Poczucie twoich przewag, wielki Don Kichocie! 18

PANI ORIANA DO DULCYNEI Z TOBOSO

Sonet

O ta, co by w ślad idąc pięknej Dulcynei,
Szukająca wygody, spokoju błogiego,
Miraflores' przeniosła do Toboso twego, A
Londyn na twą wioskę zmieniła z kolei!
Ta, która czarem twoich serdecznych nadziei
Ozdobiłaby duszę, ciało, a słynnego
Rycerza, dzięki łasce twojej szczęśliwego, Podziwiała
w walk zmiennych i przygód zawiei! O ta, co tak
wstydliwie by się uchroniła
Od Amadisa żądzy, jak tyś uszła z koła Don
Kichota dwornego miłosnych płomieni!
Ta, sama nie zazdroszcząc, zazdrość by budziła
I w czasie smutku swego byłaby wesoła, I radowałaby się miłością bez cieni.

1 Zamek pod Londynem w rycerskiej powieści Amadis z Galii. -

19

GANDALIN, GIERMĘK AMADISA Z GALII DO SANCZO PANSY, GIERMKA DON KICHOTA

Sonet

Witaj nam, mężu słynny, kiedy w giermka szaty
Odziało ciebie, Sanczo, mądre przeznaczenie,
Było tak ci życzliwe i łaskawe, że nie Naraziło cię wcale na bolesne straty.
Dziś się nawet motyki, sierpy i łopaty
Godzą z błędnym zawodem, już dzisiaj jest w cenie
Szczerość giermków, co pysze ciska oskarżenie, Że pod
stopy chce rzucić księżyckowe światy.
Budzi zazdrość twój osioł i twoje nazwisko,
I twym sakwom wypchanym także zazdrościmy,
Przezorności dowodem pełność twego trzosa. Witaj raz
jeszcze, Sanczo, poczciwe chłopisko,

Don Kichote - Miguel Cervantez

Z uszanowania tobie nasz Owid rodzimy Da
ucałować rękę... i przytrze ci nosa. 1 Tak
siebie tu nazywa Cervantes. 20

DOWCIPNY I WSZECHSTRONNY POETA

DO SANCZO PANSY I ROSYNANTA

Do Sanczo Pansy

Jam Sanczo Pansa, słu (że)

Z Manczy Don Kichoto (wi);

Przebrnąłem przez dróg ku (rze), Uroczysk i pustko (wi);

Zbieglszy jak Villadie' (go),

Który dla dzieła swe (go)

Skrył się do cichej

cha (tki); Zaleca to

Celesty2 (na),

Książka boska,

jedy (na), Strojna

w zbyt ludzkie szą

(tki). Do

Rosynanta

Jam jest Rosynant sła

(wny), Prawnuk

cnego Babie (ki);

Że nie byłem posta (wny), Żyję z Kichota opie (ki).

W przygody rwałem żwa (wo);

Własnym umem' co chwi (la)

Za marną patrząc stra (wą);

Jam uczeń Lazari4 (Ha),

Co ślepcowi kradł wi (no) W mieście, przez słomkę i (no).

Komiczna postać folkloru hiszpańskiego; weszła w przysłowie: „Ucieka jak Villadiego”, tzn. tak szybko, że gubi pludry. Tragikomedia Fernanda de Rojasa nazwana tak od postaci słynnej odtąd pośredniczki Celestyny, która pomaga kochankom (1492). u m - rozum, umysł, rozsądek.

Bohater pierwszej powieści hultajskiej Żywot Łazika z Tormesu (1533). 21

ORLAND SZALONY1 DO DON KICHOTA Z MANCZY

Don Kichote - Miguel Cervantez

Sonet

Jeśli równy nie byłeś, niewiele dostało,
Abyś zastać mógł równym wśród innych tysiąca; Lecz nie
może być równość tam, gdzie ty się wträcasz,
Niezwyciężony nigdy a okryty chwałą.
Orland jestem, Kichocie, zgubion przez niestałą
Angelikę, mórz obcych niosła mię toń wraca,
Na ołtarz Sławy kładłem dzielność mą bez końca, Której i zapomnienie nawet nie
rozwiąło.
Nie mnie z tobą się równać, bo najwyższa sława
Twoim czynom należy, twe imię ją ściąga, Ale nam
obu obłęd odjął zmysły chwiejne.
Niech pokona dumnego Maura dłoń twa krwawa
I złam dzikiego Scytę, który nam urąga, Żeśmy równi w miłości naszej beznadziejnej.
Bohater poematu L. Ariosta, doprowadzony do obłędu przez niestałą księżniczkę
Angeli-kę; Roland. 22

RYCERZ FEBA DO DON KICHOTA Z MANCZY .

Sonet

Z twoim mieczem się mój miecz równać nie odważy,
Hiszpański Febie, w dworne ustrojony wdzięki,
Chwała twa za wysoka jest dla mojej ręki, Co ledwie
błysła, wieczór przygasił ją wraży.
Cesarstwami wzgardziłem, koroną mię darzył
Na darmo Wschód czerwony w dowód swej podzięki,
Odmówiłem, by patrzeć w pięknej mej jutrzenki, Cnej Klaridiany, urok niełaskowej
twarzы.
Jak cud jedyny, rzadki, kochałem ją przecie,
Odrzuciła ze wzgardią, wówczas piekło samo
Drżało przed mieczem, który mu groził ruiną,
Lecz ty, gocki Kichocie, będziesz wiecznie w świecie
Słynął przez Dulcyneę, co była twą damą, Zaś jej
mądrość i zacność przez ciebie zasłyną. 23

SOLISDAN DO DON KICHOTA Z MANCZY

Sonet

Don Kichote - Miguel Cervantez

Choć, panie Don Kichocie, głupstwa nic niewarnte
I szaleństwa ci umysł do cna pomieszały,
Żadnych dzieł podłych, niskich ci nie zarzucały Potwarze ludzkie złością i jadem
przejarte.

Zawsze się twe przewagi wydawały żartem,
Gdy krzywdy prostowałeś, błądząc przez świat cały,
Choć tysiąckroć na plecy twe kije spadały, Gdyś
spotkał zdrajczę podłe, zbrodniarze uparte.

A jeśli twoja gładka Dulcynea wszędzie
Wzgardę dla ciebie miała jako chleb powszedni,
Uchodząc przed miłością twą z dziewczym wiankiem,
Niechaj ci w tej złej doli to pociechą będzie, Że może
z Sanczo Pansy niedobry pośrednik, Głupiec on,
zimna ona, a tyś złym kochankiem. 24

DIALOG POMIĘDZY BABIEKĄ A ROSYNANTEM

Sonet

B. Czemuś ty, Rosynancie, taki wynędzniały?

R. Bowiem nigdy nie jadam,
zawsze jestem w trudach. B.

Czyż bez owsa i słomy twoja
pasza chuda?

R. Żebym od pana dostał chociaż kąsek mały! B.

Czemuś ty przeciw panu dziś taki zuchwały,

Jakby twój ośli język skaziła obłuda?

R. Od kolebki do grobu tylko się nam uda
Osłem być. Patrz, z miłości całkiem oszalały. B.
Czyż głupstwem jest kochanie? R. Nie jest
roztropnością.

B. Jesteś metafizykiem.

R. Jestem bowiem głodny.

B. Na giermka też się żalisz? R. Ten możliwym frantem.
Jakże nie mam się skarżyć tą wielką żałością,
Jeżeli pan i giermek, ten marszałek godny, To
szkapy, jakby sami byli Rosynantem. 25

KSIEGA PIERWSZA

Don Kichote - Miguel Cervantez

ROZDZIAŁ PIERWSZY

opowiada, kim był i czym zajmował się słynny szlachcic Don Kichote z Manczy

W pewnej miejscowości Manczy, której nazwy nie mam ochoty sobie przy- pominać, żył niedawno temu pewien szlachcic, z tych, co mają kopię w tulei, starodawną tarczą, chudą szkapę i gończego charta.

Garnek bigosu, w którym więcej było chabaniny1 niż barana, sałatka mięsna prawie co wieczora, w sobotę „żałosne szczątki”, soczewica w piątek, a w niedzielę gołąbek jakiś na dodatek - pochłaniały trzy czwarte jego mienia. Reszta szła na kaftan z przedniego sukna, aksamitne hajdawery odświętne i takież ciżmy, zaś w dniu powszednie przyodziewał się w bardzo przedni samodział2. W domu swym miał gospodynę, której czterdziestka minęła, siostrzeniec, która dwudziestki jeszcze nie dosiągła, oraz pachołka do robót w polu i koło

domu, który zarówno konia kulbaczył, jak ogrodniczym nożem władał. Szlachcic nasz zbliżał się do pięćdziesiątka; silnie zbudowany, suchy, chudego oblicza, lubił wczas wstawać i był wielkim miłośnikiem łowów. Mówią, że miał przydomek Quijada czy Quesada (co do tego nie ma zgody między autorami, którzy o tym pisali),

ale na podstawie pewnych prawdopodobnych poszlak przypuszczać można, że nazywał się Quejana. Nie ma to jednak znaczenia dla naszej opowieści; chodzi o to, by opowiadanie nie odbiegało na jotę od prawdy.

Otoż wiedzieć wam trzeba, że ów szlachcic, w chwilach kiedy nic nie miał do roboty (co zdarzało się przez większą część roku), wczytywał się w księgi rycer-

skie z takim zapałem i lubością, że o polowaniu zgoła zapominał oraz gospodarkę swej włości zaniedbywał; zaciekawienie to i zapamiętanie do tego stopnia doszły, że sprzedał liczne morgi ziemi ornej,

były zakupić do czytania księgi rycerskie, i znosił do

Don Kichote - Miguel Cervantez

domu wszystkie, jakie tylko mógł dostać; a ponad inne

wynosił te, które

ułożył słynny Feliciano de Silva; bowiem blask jego prozy i zawiłe wywody zdawały się szlachcicowi istnymi perłami, szczególnie gdy rozczytując się w owych wyznaniach miłosnych lub wyzwaniach rycerskich, spotykał często takie słowa: „Przewaga nierozwagi, jaką sprawuje w mojej rozwadze, tak osłabia równowagę

- 1 chabanina- mięso gorszego gatunku albo nieświeże.
- 2 samodział- tkanina wełniana lub lniana domowej roboty.

29 mej uwagi, że nie bez wagi żalić się musze, na waszej piękności przewagę...". Po dobrnie kiedy czytał: „...wysokie niebiosa, które w boskości waszej bosko was wraz z gwiazdami umacniają, czynią was zasługującą na zasługę, na którą zasługuje wielkość wasza...". Z tej przyczyny stracił biedny rycerz rozsądek i głowił się, by zrozumieć i roz-

wikłać sens, którego nie wydobyłby i nie pojał sam Arystoteles, choćby po to tylko zmartwychwstał. Nie widziało mu się, jak Don Belianis mógł tyle ran zadać i odnieść; wyobrażał sobie, że choćby go nie wiem jak wielcy mistrzowie leczyli, mu-

siałoby mu jednak na twarzy i na ciele pozostać wiele szram i blizn. Mimo to wszystko wysoko stawał autora, który tę księgi kończył obietnicą dalszych niekończących się przygód, i wielekroć przychodziła mu chęć chwycić za pióro i doprowadzić ją do kresu, zgodnie z tą zapowiedzią; byłby bez wątpienia tego dokonał i byłby nawet ją wydał, gdyby inne, ważniejsze i ustawnicze pomysły temu nie przeszkodziły. Wiekroć wiódł dysputy z proboszczem swej miejscowości (był to człek uczony, dyplomowany w Siguenzy1) na temat, kto był znakomitszym rycerzem: Palmerin z Anglii czy Amadis z Galii, ale mistrz Mikołaj, balwierz miejskowy, utrzymywał,

że nikt nie dorównał Rycerzowi Słońca i jeśli kogokolwiek z nim porównać można, będzie to Don Galaor, brat Amadisa z Galii, gdyż ten pod każdym względem charakter miał doskonały, a nie był takim zniewieściałym rycerzem ani takim płaksą jak brat jego, co zaś do waleczności, nie pozostawał w tyle.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Krótko mówiąc, tak się zapamiętał w swej lekturze, że na czytaniu trawił całe noce, od zmierzchu do świtania, i całe dni, od świtu do zmierzchu; dlatego też i z braku snu, a zbytku czytania, tak mu mózg wysechł, że wreszcie rozsądek utracił; nabił sobie wyobraźnię tym wszystkim, co w książkach wyczytał; były to same czary, zwady, bitwy, pojedyńki, rany, zaloty, miłości, udręki i niemożliwe niedorzecznosci. Tak sobie wbił do głowy, że cała ta wyczytana maszyna onych sennych maja- czeń jest prawdą, iż nie było już dlań pewniejszych dziejów na świecie. Prawiło, że

Cyd Ruy Diaz był znakomitym rycerzem, jednak równać się nie mógł z Rycerzem Gorejącego Mieczu, który jednym ciosem przeciął na pół dwóch okrutnych i potwornych olbrzymów. Wynosił Bernarda del Carpio za to, że zabił w Ronsewalu Rolanda Zaczarowanego, używając sposobu Herkulesa, który udusił w swych ramionach Anteusza, syna Ziemi. Wysławiał olbrzyma Morganta, że choć z rodu wielkoludów, którzy wszyscy są pyszni i gburowaci, był sam uprzejmy i dworny. Lecz nade wszystko cenił Rynalta z Montalbanu, zwłaszcza kiedy ten, opuściwszy swój zamek, łupił, kogo napotkał, zaś przeprawiwszy się przez morze, wykradł bałwana Mahometa, który był szczerozłoty cały, jak mówi historia. Zaś aby zdrajcy Ganelonowi wrzepić sporą dozę kopniaków, oddałby swą gospodynę i siostrzenicę w dodatku.

W rezultacie, rozum straciwszy, wpadł na najdziwaczniejszy pomysł, jaki by kiedykolwiek w świecie największemu szaleńcowi przyszedł do głowy. Uroił sobie, że stosowne i konieczne jest dla blasku jego sławy oraz dla służby państwu zostać błędny rycerzem, wyruszyć w szeroki świat, konno i zbrojnie w poszukiwaniu Ironicznie, bo w Hiszpanii tylko dwa uniwersytety, Salamanka i Alcala, traktowano poważnie. 30

przygód i dokonywać tych wszystkich czynów, jakich dokonują błędni rycerze, o których czytał; naprawiając wszelakiego rodzaju krzywdy, narażając się na przygody i niebezpieczeństwa i wychodząc z nich zwycięsko, zdobyć imię nieśmiertelne i sławę. Nieborak wyobrażał sobie, że dla dzielności ramienia co najmniej już go

cesarzem Trebizondy ukoronują; upojony tak rozkosznymi rojeniami, uwiedziony ich niezwykłą przynętą, co przedzej zabrał się do wprowadzenia w czyn swych za-mysłów. Najpierw wziął się do czyszczenia zbroicy, jaką w spadku po pradziadach posiadał; zjedzona rdzą i pełna kurzu leżała przez długie wieki zapomniana w kącie. Odczyścił ją i naprawił, jak zdołał najlepiej, lecz spostrzegł, że

Don Kichote - Miguel Cervantez

miała błąd wielki, albowiem brakło jej przyłbicy, był tylko lekki szyszak. Lecz przemyślność jego temu zaradziła: zrobił z kartonu rodzaj półprzyłbicy, która złączona z szyszakiem

czyniła wrażenie całkowitego hełmu. Po prawdzie, kiedy chcąc spróbować, czy będzie mocna i cios w razie czego wytrzyma, wyjął miecz i dwakroć ciął; już po pierwszym uderzeniu wniwečz obrócił pracę całego tygodnia, a że nie w smak mu była łatwość, z jaką pociął ją na kawałki, aby zabezpieczyć się przed podobnym wypadkiem, zabrał się na nowo do pracy, wstawił wewnątrz obręcz żelazną i tak, zadowolony z jej wytrzymałości, już więcej jej nie doświadczał, lecz uznał za naj-predniejszy hełm z przyłbicą.

Zaraz też poszedł obejrzeć swego podjezdka¹, i choć ten miał więcej guzów, niż real ma ćwierciaków, i więcej skaz niż szkapa Gonelli, która tantum pellis et ossa fuit², jednak jemu się zdawało, że koniowi temu ani Bucefał Aleksandra, ani Babieka Cyda nie dorównały. Cztery dni przeszły na obmyślaniu, jakie by mu imię nadać.

Gdyż (jak sam do siebie mówił) rumak tak sławnego rycerza i sam tak znamienity nie może bez głośnego imienia pozostać. Szło mu koniecznie o to, aby znaleźć takie, które by wyrażało, jakim był, zanim należał do błędnego rycerza, a jakim stał

się później; koniecznie wydawało mu się, że gdy jego pan stan zmienił i on musi zmienić nazwę, przyjmując sławną i brzmiącą, jak przystoi nowemu powołaniu i nowemu stanowi; i tak wiele imion wymyślał, przekręcał, odrzucał, przedłużał i skraciał, obracał i przetwarzwał w pamięci swej i wyobraźni, aż w końcu nazwał go Rosynantem; imię to wydało mu się wzniosłe, dźwięczne i

znamienne dla tego, czym był, będąc szkapiną, zanim stał się tym,

czym był obecnie: pierwszym spośród wszystkich wierzchowców

na świecie.

Nadawszy koniowi miano wedle swego smaku, chciał i dla siebie jakieś wy- myślić, a to myślenie drugich dni osiem trwało, aż przyszło mu do głowy nazwać się Don Kichotem; stąd -jak powiedziano - niektórzy autorowie tej tak wiarygodnej historii

Don Kichote - Miguel Cervantez

wnosili, że bez wątpienia musiał nazywać się Quijada, a nie Quesada, jak utrzymywali inni. Lecz przypomniawszy sobie, że dzielny Amadis nie poprze- stając na suchym imieniu Amadisa, przydał doń jeszcze nazwę

swego królestwa i ojczyzny dla większej ich chwały i nazwał się Amadisem z Galii, chciał i on, jako

rycerz prawy, dorzucić do swego imienia nazwę ojczyzny swojej i przezwał się Don

Kichotem z Manczy, przez co, jak mniemał, określał jasno ród swój i ojczyznę i wsławiał je, biorąc sobie od nich przydomek. 1 podjezdek- koń wierzchowy niewielkiej wartości. 2 Była to tylko skóra i kości (łac., Plaut, Skarb, III, 6).

31

Wyochędożyszy tedy zbroję, z szyszaka hełm sporządziszy, nadawszy na- zwę swemu podjezdkowi i przybrawszy sobie imię jak na bierzmowaniu, osądził, że nie pozostaje mu już nic innego, jak wyszukać sobie damę, w której by się zako- chał; rycerz błędny bez miłości jest bowiem jak drzewo bez liści i bez owoców lub jak ciało bez duszy. Mawiał więc sobie: „Jeśli za grzechy moje lub na moje szczę-

ście przyjdzie mi się potykać z jakowymś olbrzymem, jak to się zwykle błędnym rycerzom zdarza, i kiedy go z konia zwalę w starciu lub na dwoje rozpiłam albo wreszcie zwycięzę go i pokonam, czyż nie będzie dobrze mieć posłać go komuś, aby się ode mnie poklonił. Niechże wejdzie i padlszy na kolana przed słodką moją

panią, rzecze głosem pokornym i oddanym: «O pani! Jam jest olbrzym Caraculiam- bro, władca wyspy Malindrania, zwyciężył mię w pojedynczym boju Don Kichote z Manczy, rycerz nigdy dosyć niesławiony. Rozkazały mi stanąć przed waszą miło- ścią, aby wielmożność wasza mną rozporządziła wedle swej woli». Och, jakże się uradował poczciwy nasz rycerz, wygłosiwszy tę orację, a jeszcze bardziej, kiedy znalazł wreszcie tę, której dał miano swej pani. Była to -jak powszechnie mniema- no - młoda wieśniaczka z pobliskiej wioski, bardzo gładka, w której przez jakiś czas się kochał, czego ona prawdopodobnie wcale nie podejrzewała ani też nie wiedziała o

tym. Nazywała się Aldonza Lorenzo. Ona to zdała mu się godną otrzymać tytuł

„pani jego myśli”, a szukając dla niej imienia, które byłoby godne jego nazwiska, a wyglądało

Don Kichote - Miguel Cervantez

i zakrawało na nazwisko księżniczki i wielkiej

pani, nazwał ją Dulcy-

neą z Toboso, gdyż stamtąd pochodziła. Imię to wydało mu się dźwięczne, obco
brzmiące i pełne znaczenia jak wszystkie te, które wynalazł

dla siebie i dla swoich rzeczy. ROZDZIAŁ DRUGI

mówi o pierwszej wyprawie, na

jaką ze swej włości wyruszył

przemyślny Don Kichote

Skoro ukończył owe przygotowania, nie chciał więcej czasu tracić i odkładając spełnienia swoich zamysłów; przynaglała go do tego myśl o szkodzie, jaką świat z powodu jego zwłoki ponosi; istniały bowiem krzywdy, które naprawić zamysłał,

błędy, które miał prostować, bezprawia, które miał usunąć, nadużycia, jakie miał

zlagodzić, i długi spłacić. I tak, nikomu zamiarów swych nie zdradziwszy,

niepostrzeżenie rankiem, przed świtem jednego z najgorętszych dni lipca, włożył pełne

uzbrojenie, dosiadł Rosynanta, zapaścił źle

przystosowaną przyłbicę, zarzucił tarczę na

ramię, wziął kopię w rękę i z podwórza przez

tylne wrota wyjechał w pole, ogromnie

zadowolony i uradowany, że zamysły jego tak

łatwo zaczynają się spełniać. Zaledwie jednak

znalazł się w polu, napadła go straszna

zgryzota, tak że omal 32 nie porzucił rozpoczętej wyprawy. Przypomniał sobie oto, że

nie był pasowany na rycerza, więc wedle praw rycerskich nie może i nie powinien

potykać się z żadnym rycerzem, a choćby i był już pasowany, jako nowy rycerz może

nosić jedynie białe

uzbrojenie, bez żadnego godła na tarczy, zanim własnym męstwem go nie zdobędzie.

Te myśli zachwiały go w zamiarze, lecz że szaleństwo jego było silniejsze niż

wszelkie inne racje, postanowił, że każe się pasować pierwszemu, kogo spotka, podobnie jak wielu innych to czyniło, wedle tego, co wyczytał w

Don Kichote - Miguel Cervantez

książkach, które go do tego stanu przywiodły. Co zaś do białego uzbrojenia, postanowił je tak wypo-

lerować, by świetlistsze stało się od gronostaja; uspokoiwszy się w ten sposób - jechał dalej, nie troszcząc się o drogę, lecz zostawiając jej wybór koniowi, wierząc, że na tym polega urok przygody. Jadąc więc dalej, nasz świeżo upieczony poszukiwacz przygód tak rozmawiał z sobą: „Któż by wątpił, że w przyszłości, gdy na jaw wyjdzie przedziwna historia

moich świętnych czynów, mądrzec, który ją spisze, w ten sposób zacznie opowieść o mojej pierwszej wyprawie zarannej: «Zaledwie rumiany Apollo rozpostarł na obliczu szerokiej i rozległej ziemi złote zwoje swoich pięknych włosów, zaledwie małe różnopiőre ptaszęta w swym dźwięcznym języku, słodką i miodopłynną harmonią pozdrowiły wzejście różanej jutrzenki, która rzucając miękkie łożę zazdro-

snego męża, w podwojach i krużgankach horyzontu manczeńskiego ukazała się śmiertelnym, a już sławny rycerz Don Kichote z Manczy, rzucając gnuśne puchy, dosiadł słynnego rumaka Rosynanta i puścił się w drogę przez starożytną i znaną równinę Montielu». Istotnie, jechał teraz tamtedy. I dodał jeszcze: „Szczęśliwy wiek i epoka szczęśliwa, które oglądać mogą słynne moje przewagi, godne, aby były wyryte w brązie, wyrzeźbione w marmurze, malowane w obrazach na wieczną pa- miątkę. O ty, mądry czarodziej, kimkolwiek byłbyś, gdy ci w udziale przypadnie zostać kronikarzem tej przedziwnej historii, błagam cię, nie zapomnij o mym zacnym

Rosynancie, nieodstępnym towarzyszu moich dróg i przygód". I zaraz tak ciągnął, jakby naprawdę był zakochany: „O księżniczko Dulcyneo, pani mego niewolnego serca! Wyrządziłaś mi wielką krzywdę, wyprawiając mię i zakazując z surową srogością jawić się przed twą pięknością. Racz pani pamiętać o tym wam oddanym sercu, które tyle udręki dla waszej miłości znosi".

Do tych bredni dorzucał ciągle nowe, na modłę tych, jakich nauczyły go księgi, naśladowując, jak umiał, ich język, i wśród tego jechał tak powoli, zaś słońce wznowiło się tak szybko i tak prażyło, że niezawodnie byłoby mu roztopiło mózg, gdyby choć trochę go zostało. Cały dzień prawie jechał i nie zdarzyło mu się nic godnego wzmianki, co go do rozpaczliwy przywodziło. Rad by był bowiem spotkać co rychlej kogoś, by wypróbować wartość swego silnego ramienia. Pisarze niektórzy twierdzą,

Don Kichote - Miguel Cervantez

że pierwsza przygoda zdarzyła mu się na przełęczy Lapice; drudzy utrzymują, że była to przygoda z wiatrakami. Ja jednak stwierdziłem i znalazłem zapisane w rocznikach Manczy, że jechał tak przez cały dzień, aż pod wieczór

koń jego i on

byli wyczerpani i umierali z głodu; rozglądając się na wszystkie strony, czy nie

odkryje gdzie jakiegoś zamku lub jakieś zagrody pasterskiej, gdzie by się schronić można i zaznać wypoczynku, ujrzał niedaleko drogi, którą jechał, zajazd. Było to, jakby ujrzał gwiazdę, która go nie do wrót, ale do przybytku zbawienia wiodła. Zaraz tam się skierował i dotarł doń jeszcze przed nocą. 33

Przed wrotami stały dwie młode niewiasty, z tych, które zowią przeskoczkami; jechały do Sewilli z pewnymi mulnikami, którzy tego wieczoru zatrzymali się tu na nocleg, a ponieważ zapaleńcowi naszemu wszystko, o czym myślał, co widział i co wyobrażała sobie, wydawało się na podobieństwo tego, co wyczytał, zaledwie ujrzał zajazd, wyobraził sobie, że niezawodnie jest to zamek o czterech wieżach i głowicach ze szczerego srebra z mostem zwodzonym i fosą głęboką oraz ze wszystkimi przynależnościami, z którymi podobne zamki malują. Dojechał więc do zajazdu, który poczytywał za zamek, i na kilka kroków od niego ściągnął

wodze Rosy- nantowi, spodziewając się, że jakiś

karzeł zjawi się na blankach i zadmie w róg,

oznajmiając przybycie rycerza; lecz widząc, że nikt

się nie kwapi i że Rosynantowi spieszno do stajni,

podjechał do wrót gospody i ujrzał dwie płoche

dzieci; te wy-

dały mu się pięknymi dwiema dziewczynami lub pełnymi wdzięku damami, które przed bramą zamku wczasu zażywały. Zdarzyło się, że właśnie

świniarczyk, zganiając ze ścierniska stado świń (za przeproszeniem, tak się nazywają), zadał w róg, na dźwięk

ten trzoda się skupiła, a Don Kichotowi w tej chwili wydało się, jak marzył, że to właśnie karzeł oznajmia jego przybycie. Niezmiernie uradowany, podjechał do gospody i do dam, które na widok zbliżającego się człowieka w ten

Don Kichote - Miguel Cervantez

sposób uzbro- jonego, z kopią i tarczą, przeróżne chciły uciec do wnętrza. Lecz Don Kichote,

wnosząc z ucieczki o ich lęku, podniósł kartonową przyłbicę i odsłaniając swe chude, zakurzone lica, grzecznie i przymilnym głosem tak
przemówił:

- Nie uchodźcie, moście panny, i nie obawiajcie się ujmy żadnej, gdyż wedle rycerskiego prawa, jakiego się trzymam, nie przystoi mi uwłaczać nikomu, a tym mniej dziewczicom tak dostojnym, jak sam wasz wygląd wskazuje.

Dziwowały mu się dziewczyny, wypatrując twarzy, którą licha przyłbica kryła, a jeszcze bardziej, usłyszawszy, że nazywa je dziewczynami, co tak było niezgodne z ich zawodem, nie mogły wstrzymać śmiechu, tak że Don Kichote uniósł się gnie- wem i rzekł:

- Umiar piękności przystoi, natomiast wielką głupotą jest śmiech z błahej przy-
czyny; nie mówię tego, aby was urazić i niełaskę waszą zyskać, gdyż jedynym moim
pragnieniem jest wam służyć.

Mowa ta, nigdy przez owe damy niesłyszana, i dziwaczny wygląd naszego rycerza jeszcze większy śmiech wywołały, zaś w nim gniew się zbudził i gorszy byłaby sprawą obrót wzięła, gdyby w tej chwili nie ukazał się gospodarz, człek bardzo otyły, przeto bardzo pokojowy. Widząc cudacką postać uzbrojoną w sprzęt tak różnorodny, jak uzda, kopia, tarcza i pancerz, omal za przykładem dziewczek nie zdraudził swej uciechy. Lecz w rzeczy samej zastraszony tym całym rynsztunkiem, postanowił obejść się z gościem oględnie i tak rzekł:

- Panie rycerzu, jeśli wasza miłość szuka schronienia, to prócz łóża (którego w tym zajeździe nie znaleźć) wszystko inne znajdzie się w wielkiej obfitości. Don Kichote, widząc unizonosć burgrabiego zamczyska, gdyż za takiego wziął gospodarza, a zajazd za zamek, odpowiedział: - Mnie, mości kasztelanie, byle co wystarczy: m u l n i k - poganiacz mułów. 34

Jednym strojem mi zbroja, a walka
mym odpoczynkiem...

Gospodarz myślał, że nazwano go kasztelanem, ponieważ wyglądał na szelmę z Kastylii, a że był Andaluzyjczykiem z wybrzeża San Lucar, nie mniejszym lotrem niż

Don Kichote - Miguel Cervantez

Kakus, nie mniejszym filutem niż jakiś żak lub paź, więc odpowiedział: - Zdaniem waszej miłości: łożem wam skały są twardy, snem zaś wieczyste czuwanie.

Jeśli tak, możecie śmiało zleźć z konia, na pewno bowiem w tej chyży znajdzie się niejedna sposobność do niespania przez cały rok, nie tylko przez jedną noc. To mówiąc, przytrzymał strzemię Don Kichotowi, który zsiadł z konia z wielkim trudem i wysiłkiem, jak człek, który przez cały dzień nic w ustach nie miał. Zaraz też polecił gospodarzowi, aby o konia jego pilne miał staranie, jest to bowiem najlepszy na świecie obrokożerca.

Obejrzał go gospodarz, lecz zwierzę nie wydało mu się i w połowie tak dobre, jak powiadał Don Kichote. Umieściwszy je w stajni, zwrócił, by zobaczyć, czego sobie życzy jego gość, którego właśnie dziewczki, już z Don Kichotem pogodzone, rozdziewały ze zbroi. Zdjęły mu napierśnik i naplecznik, lecz ani rusz dostać się nie mogły do gardła, by zdjąć przeklęty hełm podwieszany zielonymi wstęgami. Trzeba było je przeciąć, gdyż supłów rozwikłać nie było sposobu, na to jednak nie chciał przystać żadną miarą, więc przesiedział całą nockę z hełmem na głowie, przedstawiając najpocieszniejszy i najdziwaczniejszy widok, jaki pomyśleć można; on zaś, wyobraziwszy sobie, iż owe przeskoczki, które go rozbierały, to znakomite księżne i panie owego zamku, prawił do nich z wielką

dwornością:

Ze wszystkich na świecie rycerzy

Najwdzięczniej

służły damy Don

Kichotowi, gdy ze

wsi

Wyjechał, by szukać chwały,

Dziewice miały go w pieczy, Księżniczki o konia dbały.

To jest o Rosynanta, takie jest bowiem, panie moje, miano mego konia, zaś moje brzmi: Don Kichote z Manczy; nie chciałem go wam wyjawić, póki by mię nie wsławiły świetne czyny w waszej służbie. Obecnie okoliczności przywiodły mi na

Don Kichote - Miguel Cervantez

pamięć starodawną romance o Lancelocie i dlatego dowiadujecie się o nazwisku mym przedwcześnie. Nadejdzie czas, kiedy wasze miłości rozkazywać mi będą, ja zaś słuchać będę, a dzielność mego ramienia ujawni pragnienie oddania wam służb moich. Młodki, do podobnego krasomówstwa nienawykłe, nie odpowiedziały ni słowa, zapytały jeno, czy nie chciałby zjeść czego. 35

- Zjadłbym cośkolwiek - odparł Don Kichote - gdyż mniemam, przydałoby się to bardzo.

Pech chciał, że był to właśnie piątek i w całym zajeździe nie było nic prócz jednej porcji ryby, zwanej w Kastylii dorszem, w Andaluzji wątłuszem, w innych stronach sztokfiszem, gdzie indziej znowu maciorek. Zapytano, czy jego łaskawość nie zjadłby nieco maciorek, to jest małych rybek, gdyż innej ryby nie stało. - Jeśli dużo jest tych maciorek - odpowiedział Don Kichote - starczyć mogą za jedną maciorek, na jedno bowiem wychodzi, czy mi dadzą osiem razy po realu, czy też osiem reali w jednej monecie. Tym bardziej że, być może, owe małe rybki są smaczniejsze, podobnie jak lepsze jest cielę od krowy i koźlę od kozła. Lecz niech będzie, co mają, byle prędko, gdyż trudowi i ciężarowi zbroi nie można wydołać, nie napełniwszy żywota.

Wystawiono stół przed drzwi zajazdu, na chłodek, zaś gospodarz przyniósł porcję wątłusza źle wymoczonego i jeszcze gorzej przyrządzonego oraz chleb tak czarny i spleśniały jak zbroja rycerza. Było z czego pękać ze śmiechu na widok, jak się pożywia, mając na głowie hełm i spuszczoną przyłbicę; nie mógł nic do ust włożyć własnymi rękoma i ktoś inny musiał mu jedzenie podawać i wtykać. Jedna z owych panien służyła mu w tej potrzebie. Lecz napoić go było trudniej i nie byłoby to zgoła możliwe, gdyby gospodarz nie wydrążył trzciny, której jeden koniec wsadził mu do gęby, a przez drugi wina nalewał. Wszystko to znosił rycerz cierpliwie, byleby tylko nie zerwać wstępka hełmu.

W tym czasie przybył właśnie do zajazdu rzezak knurów i zbliżając się, zagrał na fujarce cztery czy pięć tonów, co utwierdziło Don Kichota w mniemaniu, że znajduje się w jakimś słynnym zamku, gdzie go muzyką przyjmują, że owe dorsze są pstrągami, chleb jest z pszenicy, przeskoczki są damami, zaś gospodarz kasztelanem zamczyska i że słuszne było jego postanowienie wyruszenia w świat. Dręczyło go jednak bardzo, że nie był dotąd pasowany na rycerza, i wydawało mu się, iż nie może prawowicie ważyć się na żadną przygodę, nie będąc do stanu rycerskiego przyjęty.

ROZDZIAŁ TRZECI

opowiada, w jaki to ucieczny sposób Don Kichote został pasowany na rycerza Dręczony tą myślą, skrócił swą skromną wieczerzę w karczmie i po spoży- ciu jej przywołał gospodarza, zamknął się z nim w stajni i rzuciwszy się na kolana przed nim, mówił:

- Nie powstanę wcale, dzielny rycerzu, póki wasza dostojość nie wyświad- czy mi łaski, o jaką usilnie chcę błagać, a która obróci się ku chwale waszej i ku pożytkowi całego rodzaju ludzkiego. 36

Gospodarz, ujrzał gościa u swych stóp i usłyszał podobne wywody, wytrzeszczył oczy zmieszany, nie wiedząc, co czynić ani co rzec; usiłował go podnieść, lecz ten za nic wstać nie chciał, póki nie przyczekł, że prośbę jego spełni.

- Spodziewałem się tego po wielkoduszności waszej, panie mój - odparł Don Kichote - bowiem łaska, o którą was prosiłem i którą wasza wspaniałomyślność udzielić mi raczy, na tym polega, żebyś jutro rano pasował mnie na rycerza. Tej nocy w kaplicy waszego zamku spędzę czas na zbrojnym czerwaniu, zaś rankiem, jak powiedziałem, spełni się moje gorące życzenie, abym mógł, jak powinność każe, udać się w cztery świata strony, szukając przygód dla dobra uciśnionych, co jest obowiązkiem rycerstwa i błędnych rycerzy, do jakich się zaliczam, a którzy żyją żądzą takich wielkich czynów.

Gospodarz, jak się rzekło, szczwany lis, powziął już był pewne podejrzenie, że gościowi jego brak rozumu, teraz zaś, usłyszał podobne wywody, utwierdził się w owym mniemaniu. Chcąc ubawić się tej nocy, postanowił zadośćuczynić jego zachciance. Rzekł mu więc, że słusznie zwrócił się do niego z pragnieniem swoim i prośbą, takie bowiem zamysły właściwe są i przyrodzone rycerzom tak znamieni- tym, jakim się on być zdaje i jak dzielny jego wygląd zwiastuje; on sam w latach swej młodości oddawał się temu zaszczytnemu zawodowi, błądząc po rozmaitych częściach świata w poszukiwaniu przygód. Nie ominął ani Żerdziarni Malagi, ani wysp Riaran, ani przedmurzy Sewilli, ani Małego Rynku Segowii, ani Placu Oliw- nego Walencji czy Podmurnej ulicy Grenady lub wybrzeży San Lucar, Źrebięcego Placu Kordoby, szynkowni w Toledo ani innych miejscowości, gdzie ćwiczył zwin- ność nóg i zręczność rąk, gdzie wiele sztuczek płatał, bałamując liczne wdówki, uwodząc dziewczęta, oszukując małoletnich, aż w końcu poznały go mnogie sądy i trybunały niemal całej Hiszpanii. Wreszcie osiadł na swym zamku, gdzie żyje z dóbr

Don Kichote - Miguel Cervantez

swoich i obcych, goszcząc wszystkich błędnych rycerzy wszelakiej wartości i wsze- lakiego stanu, jedynie dla miłości, jaką ku nim żywii, zaś oni dzielą się z nim swym

mieniem w zamian za jego życzliwość. Powiedział mu jednak, że w zamku nie ma kaplicy, w której by mógł stróże rycerską odprawować, została bowiem zburzona i miała być odbudowana; ale on wie, że w razie potrzeby czuwanie takie można od-

być gdziekolwiek bądź, i tej nocy może on stróże pełnić na dziedzińcu zamkowym. Rano, z pomocą Boską, odprawi się przepisane ceremonie i w

ten sposób zostanie pasowany na rycerza, i to takiego, jakiego na całym świecie nie znaleźć. Zapytał go, czy ma pieniądze; Don Kichote odpowiedział, że ani złamanego szeląga, nigdy bowiem nie czytał w żadnej historii błędnych rycerzy, aby który nosił je z sobą. Na to odpowiedział gospodarz, że się myli; jeżeli w historii nie ma o tym mowy, to dlatego że autorzy nie uważali za potrzebne pisać o rzeczy tak oczywistej i koniecznej, jak pieniądze lub czyste koszule w podróży.

Nie należy stąd wnosić, że ich nie miewali.

- Miejcie za pewne i stwierdzone, że wszyscy błędni rycerze, o których pełno jest ksiąg wiarygodnych, mieli dobrze wyładowane kabzy na wszelki wypadek. Podobnie mieli i koszule, i puszki z driakwiami na gojenie ran, jakie odniosą; nie zawsze bowiem, wśród pól i pustkowi boje tocząc i wychodząc z ranami, znaleźć mogą kogoś, kto by ich opatrzył. Chyba żeby komuś jakiś mądry czarodziej był

37

przyjacielem; ten wnet z pomocą przybywa, przesyłając przez powietrze w chmu- rze dziewczę lub karła z fiolką wody cudownej, której jedna kropla połknięta na-

tychmiast leczy rany i obrażenia, które bez śladu znikają. Przecze na to nie zawsze liczyć można i dawni rycerze pilnie baczyli, aby giermkowie ich zaopatrzeni byli

w pieniądze oraz inne potrzebne rzeczy, jak szarpieł i maście lecznicze. A kiedy zda- rzyło się, że rycerz

Don Kichote - Miguel Cervantez

giermka nie miał (były to jednak rzadkie i nieliczne wypadki), sam

on w małych sakwach przytraczał do łuku końskiego to wszystko tak zgrabnie, że sprawiło to wrażenie, jakby to były inne rzeczy ważniejsze. Przyznać trzeba, że nie

było w zwyczaju wśród błędnych rycerzy wozić się z sakwami, i dlatego radzę wam,

choćbym mógł i nakazać jako swemu przyszłemu pochrzestnemu, abyście nigdy nie

puszczali się w drogę bez pieniędzy i bez innych potrzebnych

rzeczy, a przekonacie

się, że przydadzą się wam bardzo wówczas, kiedy najmniej się tego spodziewać będziecie.

Don Kichote przyrzekł spełnić jego rady z całą sumiennością, zaraz też przygotował się do odbycia czuwania zbrojnego na wielkim dziedzińcu przytakującym do jednego boku zajazdu. Pozbierał cały rynsztunek i złożył na korycie przy studni, sam z tarczą na ramieniu, z kopią w ręku jał przechadzać się z uroczystym wdziękiem przed korytem. Kiedy rozpoczął stróże, noc zaczynała zapadać. Gospodarz

opowiedział wszystkim obecnym w zajeździe o szaleństwie swego

gościa, o zbrojnym czuwaniu i o pasowaniu rycerskim, którego oczekiwali. Zdumiewali się nad tak dziwaczny obłędem i poszli oglądać go z daleka. Ujrzeli, jak z godnością to przechadzał się tam i sam, to wsparty na kopii wpatrywał się w zbroję, nie spuszczając z niej oczu przez długą chwilę. Noc zapadła zupełna; ale jasność miesiąca była taka, że mogła współzawodniczyć z tym, który mu światła użycza, tak że cokolwiek nowy rycerz robił, wszyscy dobrze widzieli. Wtem przyszła ochota

jednemu z mulników, przebywających w zajeździe, napić swoje bydlęta, musiał więc zdjąć zbroję Don Kichota leżącą na korycie. Ten, ujrzawszy zbliżającego się, wielkim głosem zawałał:

- O ty! Kimkolwiek byłbyś, zuchwały rycerzu, co śmiesz dottykać zbroi najdzielniejszego z błędnych rycerzy, jacy kiedykolwiek miecz przypasywali. Zważ, co czynisz; nie tykaj jej, jeśli nie chcesz przypłacić życiem twego zuchwałstwa. Mulnik

Don Kichote - Miguel Cervantez

nic sobie nie robił z tych pogróżek (a byłoby lepiej, gdyby był na nie zważył, byłby ocalił zdrowie), lecz pociągnawszy za rzemienie, odrzucił zbroję daleko od siebie. Na ten widok Don Kichote wzniósł oczy w niebo i zwróciwszy myśli swe (jak się zdawało) do swej pani Dulcynei, przemówił:

- Przybądź mi, pani moja, ku pomocy w tej pierwszej zniewadze, jaka spotyka wasze lenne serce. Niechmię nie opuszcza w tej pierwszej potrzebie łaska wasza i orędownictwo.

Powiedziawszy te i tym podobne słowa, odrzucił tarczę, podniósł oburącz kopię i zadał nią wielki cios mulnikowi w głowę, ten zaś na ziemię upadł tak ugodzony,

że jeszcze jeden taki cios, a już by mu żaden lekarz nie przydał się na nic. Po tym czynie rycerz pozbierał rynsztunek i znowu jał się przechadzać z tym samym sposzarpie - dawny materiał opatrunkowy z nitek wyskubanych z płotna lnianego. 38 kojem co wprzódy. Niedługo potem, nie wiedząc, co zaszło (mulnik bowiem leżał ogłuszony), zbliżył się drugi, również z zamiarem napojenia mułów, i aby koryto uwolnić, jał odrzucać zbroję. Don Kichote, nic już nie mówiąc i niczyjej nie wzy-

wając pomocy, po raz drugi odrzucił tarczę, znowu kopię podniósł i choć jej nie łamał, poszła w kawałki na głowie drugiego mulnika, rozłupawszy się na czworo. Na ten hałas nadbiegli wszyscy ludzie z zajazdu z gospodarzem pospołu. Ujrzaw- szy to, Don Kichote chwycił tarczę i z ręką na mieczu mówił:

- Pani piękności, siło i mocy mego słabego serca, oto chwila, abyś z wysoko- ści swojej wzrok zwróciła na rycerza, niewolnika swego, którego czeka tak wielka rozprawa. Po tych słowach taki duch, zdawało się, w niego wstąpił, że choćby wszyscy mulnicy świata rzucili się nań, na krok byłby się nie cofnął. Towarzysze rannych, ujrzawszy ich w tym stanie, zaczęli z daleka miotać kamienie na Don Kichota, który jak tylko mógł, zasłaniał się tarczą, nie śmiejąc oddalić się od koryta, aby nie porzucać zbroi. Gospodarz wrzeszczał, aby go poniechali, gdyż mówił im już, że to

szaleniec, a jako szaleńca uniewinniono by go, choćby wszystkich pozabijał. Don Kichote darł się jeszcze głośniej, wymyślając im od zdrajców i wiarołomców, a pana

Don Kichote - Miguel Cervantez

zamku nazywając bękartem i nikczemnie urodzonym rycerzem, jeśli pozwala na takie postępowanie wobec błędnych rycerzy. I skoro tylko zostanie pasowany na ryce- rza, pokaże im, czym taka przewrotność pachnie.

- Z was bowiem, nikczemna i podła hołoto, nic sobie nie robię. Strzelajcie, zbliżcie się, chodźcie mię zniewajać, ile możecie, a zobaczycie! Dam ja wam za waszą głupotę i zuchwałstwo!

Mówił to z taką siłą i śmiałością, że wzbudził straszny lęk wśród napastników. Przerażeni, posłuchali napomnień gospodarza, zaprzestali kamienowania, zaś on pozwolił zebrać rannych i podjął znów czuwanie zbrojne, z tym samym spokojem i powagą.

Nie w smak były gospodarzowi kawały jego gościa, postanowił temu kres położyć i dokonać tego przeklętego pasowania, zanim się nowe nieszczęście przydarzy. Więc podszedłszy doń, przepraszał go za zuchwałstwo, jakiego się pospol- stwo wobec niego dopuściło bez jego wiedzy, a za którą to bezczelność słuszną ponieśli karę. Przypomniał mu, że -jak już mówił - nie ma w tym zamku kaplicy, lecz dla dopełnienia pozostałych obrzędów nie jest ona konieczna. Najważniejszą rzeczą przy pasowaniu jest uścisk ramion i uderzenie płazem miecza, a wedle ceremoniału rycerskiego pasowania dokonać można choćby i na polu. Co się zaś tyczy dopełnienia czuwania zbrojnego, dwie godziny aż nadto wystarczą,

on zaś już czte-

ry godziny na stróży strawił. Don Kichote uwierzył w to wszystko i oświadczył, że we wszystkim mu powolny będzie, byleby tylko możliwie z największym pośpiechem sprawy dokończył. Ponieważ skoro tylko rycerzem będzie pasowany, a znowu napaść się zdarzy, nie myśli zostawić żywej duszy w tym zamku, z wyjątkiem tych, których mu gospodarz poleci, a których oszczędzi przez poszanowanie, jakie

dlań żywicielski.

Tak ostrzeżony gospodarz, mając się na bacznosci, przyniósł natychmiast księgi, w której zapisywały słomę i obrok wydawane mulnikom, i z chłopakiem trzymającym kawałek świecy oraz z dwiema wspomnianymi dziewczicami podszedł do Don

Kichota i kazał mu paść na kolana. Czytając ze swej księgi tak, jakby jakąś poboż-

ną modlitwę odmawiał, wśród czytania podniósł rękę i walnął go silnie w kark, po czym jego własnym mieczem dobrze płazem go uderzył, mrucząc bezustannie między zębami, jakby modły odprawiał. Dokonawszy tego, kazał jednej z owych dam przypasać mu miecz, co uczyniła z wielką swobodą i ostrożnością, bo niewiele bra-

Don Kichote - Miguel Cervantez

kowało, aby wybuchła śmiechem podczas tej ceremonii, ale czyny nowego rycerza, jakich były świadkami, powstrzymywały ją od parsknięcia. Przypasawszy mu miecz, rzekła paniusia:

- Niech Bóg wam szczęścia przysporzy, rycerzu, i niech wam ono w boju sprzyja. Don Kichote zapytał ją o nazwisko, wiedzieć bowiem pragnął, komu tak wielką łaskę zawdzięcza i komu ma oddać część sławy, jaką mestwem swego ramienia zdobędzie; odpowiedziała z wielką skromnością, że nazywa się Tolosa i jest córką łatacza skór z Toledo, który pracuje w kramiku Sanczo Biennaya, i gdziekolwiek by ją los rzucił, służyć mu będzie i za pana uznawać.

Don Kichote poprosił ją, by przez miłość dla niego uczyniła mu łaskę, dodając odtąd zawsze do nazwiska swego „don” i zwąc się Dona Tolosa; przyrzekła mu to. Druga dziewczyna przypieczętowała mu ostrogi i rozmowa z nią była taka sama jak z pierwszą.

Zapytana o nazwisko odrzekła, że zwie się Mlynarka i jest córką szanownego młynarza z Antequery. Ją również prosił Don Kichote, aby dodała „don” do swego nazwiska i zwała się odtąd pani Mlynarska, i ofiarował jej swe usługi i dzięki. Kiedy tak migiem odbyła się cała ceremonia, nigdy dotąd nie oglądana, zapragnął Don Kichote co przedzej na konia wskoczyć i wyruszyć na poszukiwanie przygód. Natychmiast okulbaczył Rosynanta, dosiadł go i uściiskawszy gospodarza, prawił mu takie banialuki, dziękując za łaskę pasowania na rycerza, że trudno byłoby

je powtórzyć. Gospodarz, pragnąc go widzieć już daleko od zajazdu, odpowiedział nie mniej kwieciście, chociaż w krótszych słowach, i nie żądając zapłaty za gości - nę, puścił go na los szczęścia. ROZDZIAŁ CZWARTY

o tym, co zdarzyło się naszemu rycerzowi po opuszczeniu zajazdu

Dniało, gdy Don Kichote wyruszył z gospody tak zadowolony, tak pełen ani muszu, tak ucieszony pasowaniem na rycerza, że od radości pękały na koniu popręgi. Przypomniawszy sobie jednak rady gospodarza co do zaopatrzenia się w niezbędnne rzeczy, jakie miał wziąć ze sobą, a zwłaszcza w pieniądze i koszule, postanowił wrócić do domu, aby przygotować to wszystko i poszukać giermka. Umyślił przyjąć pewnego wieśniaka, swego sąsiada, który był ubogi i dzielny,

ale jakby stwo-

rzony do godności giermka rycerskiego. Z tą myślą zwrócił Rosynanta ku swej

Don Kichote - Miguel Cervantez

40 wiosce, ten zaś, jakby poczuł stajnię, zaczął

pędzić, kopytami ledwie ziemi dotyka- jąc.

Niedaleko ujechał, gdy mu się wydało, że na prawo, z gęstwiny gaju, dobywa się żałosny głos, jakby skarżącej się istoty. Zaledwie to usłyszał, rzekł: - Dzięki niech będą niebu za łaskę, iż tak rychło zsyła mi sposobność dopeł- nienia obowiązku stanu mego i zebrania owoców mych gorących pragnień. Te gło- sy, ani chybi, to jęki jakiegoś nieszczęśnika albo nieszczęsnej, która potrzebuje mej opieki i pomocy.

I ściągnąwszy wodze, skierował Rosynanta tam, skąd owe głosy zdawały się wychodzić. O parę kroków od skraju lasu ujrzał klacz przywiązaną do dębu, a przy drugim chłopak jakiś piętnastoletni, obnażony do pasa, wydawał owe okrzyki, a nie bez przyczyny. Stał tam bowiem, okładając go pasem co wlezie, jakiś rosły chłop i do każdej plagi dodawał naganę i radę: - Trzymaj za zębami język, a oczy otwarte. Chłopak zaś odpowiadał:

- Nie zrobię tego więcej, mój panie, na Mękę Pańską, już tego drugi raz nie zrobię i obiecuję odtąd lepiej trzody pilnować.

Don Kichote, widząc, co się dzieje, krzyknął gniewnie:

- Nieobyczajny rycerzu, nie godzi się znęcać nad tym, kto bronić się nie może. Dosiądź twego konia, bierz kopię (stała tam bowiem dzida oparta o dąb, do którego uwiązana była kobyła), abym pokazał ci, że tylko tchórze tak sobie poczynają. Wieśniak, ujrzałszy figurę jakąś w zbroicę zakutą i potrzasającą kopią nad jego obliczem, zmartwił i rzekł potulnie:
- Panie rycerzu, ten chłopak przeze mnie karany jest mym pachołkiem pilnującym stada owiec, jakie w tych stronach trzymam. Ale jest tak niedbały, że co dzień

mi jednej braknie, kiedy zaś karzę jego niedbalstwo czy szelmostwo, on gada, że czynię to ze złości, aby mu zasług nie płacić. Klnę się na Boga i na mą duszę, że lże.

- Zadajesz mu kłam wobec mnie, podły chamie - krzyknął Don Kichote. - Na słońce, które nas oświeca, na wylot przebiję cię tą kopią. Zapłać mu zaraz bez gada- nia; jeśli nie, to na Boga, który nas sądzi, skończę z tobą i w tej chwili zginiesz. Odwiąż go natychmiast.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Wieśniak spuścił głowę i nie rzekłszy słowa, odwiązał parobka swego, które- go Don Kichote zapytał, ile mu winien jego pan. Ten odpowiedział, że za dziewięć miesięcy, po siedem reali za każdy miesiąc. Don Kichote obliczył, że wynosi to sześćdziesiąt trzy reale, i rozkazał wieśniakowi, aby bez zwłoki wydobył

je z kiesy,

jeśli mu życie miłe. Chłop, zatroskany, klął się na niedostatek swój i na przysięgę, jaką uczynił (choć na pewno niczego nie poprzysiągł), że tego tyle nie było, należa- ło bowiem odliczyć trzy pary chodaków, jakie mu podarował, oraz jednego reala za

dwukrotne puszczenie krwi, kiedy był chory.

- Wszystko to dobrze - odparł Don Kichote - lecz chodaki i puszczenie krwi skwitowane są owymi plagami, jakieście mu bez winy wymierzyli.

Jeżeli on zdarł skórę na butach przez was kupionych, wyście mu podarli skórę na grzbiecie, a jeśli cyrulik puszcał mu krew, gdy był chory, wyście puścili mu ją, kiedy był zdrów, dlatego nic wam nie jest winien. 41

- Bieda tylko, panie rycerzu, że przy sobie nie mam pieniędzy, niechże Jędrek pojedzie ze mną do domu, wypłacię mu wszystko co do grosza. - Ja miałbym z nim iść? - zawała chłopak. - Przenigdy! Zły rok na niego! Nie, panie, za nic! Gdybym tylko z nim poszedł, oblupiłby mnie ze skóry jak św. Bartłomieja.
- Nie zrobi tego - odparł Don Kichote - dość, że ja rozkazuję, abymię posłu- chał, i jeśli mi to przysięgne na prawo rycerskie, któremu podlega, pusczę go wolno, pewny, że wypłaci.
- Wasza miłość, zważcie, panie, co mówicie - rzekł chłopak - mój gazda nie jest rycerzem i nie podlega żadnemu prawu rycerskiemu; jest to Juan Haldudo, bogacz z okolic Quintanar.
- To nic nie znaczy - odpowiedział Don Kichote - rycerze mogą być i między Haldudami, tym bardziej że każdy jest synem swoich czynów.
- To prawda - rzekł Jędrek - ale jakichże to czynów synem jest mój gazda, jeśli odmawia mi zapłaty za mój pot i pracę?

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Nie odmawiam, bratasku - odrzekł wieśniak - zrób mi tylko przyjemność i pójdz ze mną, a przysięgam na wszystkie prawa rycerskie, jakie są na świecie, że wypłacę, jak rzekłem, real po realu, i to pachnącymi.
- Za pachnące dziękuję - rzekł Don Kichote - dajcie tylko brzęczące, a będę zadowolony! A bacicie, abyście spełnili, co poprzysiędaliście, jeśli nie, ta samą przysięgą przysięgam, że wrócę, by was odszukać i ukarać; odnайдę was, choćbyście się skryli lepiej niż siwa jaszczurka. Abyście wiedzieli, kto wam rozkazuje, wiedziecie, żem jest waleczny Don Kichote z Manczy, mściciel krzywd i bezprawia. Zostańcie z Bogiem i z pamięci nie traćcie, coście obiecali i poprzysięgli pod grozą zapowiedzianej kary.

To mówiąc, spiął Rosynanta i niebawem odjechał ich. Śledził go wieśniak oczy- ma, a ujrzałszy, że las minął i już go nie mógł dostrzec, zwrócił się do swego pa- chołka Jędrka i rzekł:

- Pójdz ino tu, synku mój. Chcę zapłacić, com ci winien, jak ci ów mściciel krzywd przykazał.
- Zaklinam się - rzekł Jędrrek - że wasza miłość dobrze uczyni, spełniając, co przykazał ów zacny rycerz, który oby tysiąc lat żył, bo jak jest dzielny i mądry, to - na Rocha! - jeśli mi nie zapłacicie, powróci wypełnić, co zapowiedział. - Ja ci też na to przysięgam - rzekł wieśniak - lecz ponieważ chcę twego do- bra, pragnę zwiększyć dług, aby zapłata wzrosła.

I chwyciwszy go za ramię, znów go do dębu przywiązał i tak ochłostał, że pra- wie bez życia zostawił.

- Wołajże teraz - rzekł wieśniak - mściciela krzywd; zobaczysz, że tej nie wyrówna. Sądzę jednak, że to nie koniec, gdyż chętna mnie bierze żywcem cię ze skóry obedrzyć, tak jakeś się obawiał.

Ale wreszcie odwiązał go i pozwolił iść na poszukiwanie swego sędziego, aby ów wykonał zapowiedziany wyrok. Jędrrek odszedł nieco zgnębiony, przysięgając ś w. Roch (ok. 1295-1327) - patron zadżumionych, pielgrzym.

42 odszukać dzielnego Don Kichota z Manczy i opowiedzieć mu słowo w słowo, co się stało, a ten niech mu każe siedemkroć to wynagrodzić. Jednak pomimo wszystko odszedł z płaczem, podczas gdy jego pan się zaśmiewał. Oto w jaki sposób po- mścił krzywdę dzielny Don Kichote. Sam zachwycony tym, co zaszło, przekonany, że szczęśliwie i wznośnie swą działalność rycerską rozpoczął, wielce z siebie zado- wolony, jechał do swej wioski, mówiąc półgłosem:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Zaiste, możesz się nazwać najszczęśliwszą spośród wszystkich żyjących na ziemi, o najpiękniejsza z pięknych, Dulcyneo z Toboso! Los ci bowiem zdarzył, że sługą i poddanym twej woli i zachceniom jest tak waleczny i sławny rycerz, jak Don Kichote z Manczy. Ten, jak wszystkim wiadomo, wczoraj na rycerza pasowany, dziś pomścił najstraszną krzywdę i obrazę wyrządzoną przez bezprawie i okrucieństwo. Dziś wytrąciłem bicz z ręki nieludzkiego wroga, który bez przyczyny tak znęcał się nad wątłym dzieckiem.

Tak dojechał do rozstaju czterech dróg i zaraz w wyobraźni stanęły mu dróżki skrzyżowania, gdzie błędni rycerze rozmyślali, którą z nich wybrać. By ich naśladować, zatrzymał się chwilę, a w końcu, pomedytowawszy dobrze, puścił wodze Rosynantowi, zdając się na wolę swego konia, który idąc za pierwszym popędem, wybrał drogę prosto do swej stajni. Ujechawszy blisko dwie mile, ujrzał Don Kichote wielką gromadę ludzi; jak się później okazało, byli to jacyś kupcy toledańscy jadący do Murcji za kupnem jedwabiu. Było ich sześciu, jechali pod parasolami, za nimi czterech konnych pachołków i trzech pieszych poganiaczy mułów. Zaledwie ich Don Kichote zoczył, wyobraził sobie, że będzie sposobność nowej przygody, i aby we wszystkim naśladować, o ile możliwości, zdarzenia wyczytane w swych książ-

kach, zdało mu się, że właśnie nadarza mu się taka, o jakiej myślał. Więc dzielnie i śmiałosadził się mocniej w strzemionach, nastawił kopię, tarczę do piersi przy- sunął i stanął na środku drogi, czekając, aż się owi błędni rycerze, za jakich ich miał i uważały, przybliżą. Kiedy zaś podjechali tak, że można było ich widzieć i słyszeć, Don Kichote, z zuchwałą miną, podniósłszy głos, zawałał:

- Ani kroku dalej, póki nie wyznacie, że na całym świecie nie masz piękniejszej dziewczyny nad władcynię Manczy, niezrównaną Dulcyneę z Tobaso! Zatrzymali się kupcy na dźwięk tych słów, ujrzawszy cudaczną figurę mówcy; zarówno z postaci, jak z mowy domyślili się, że mają do czynienia z szaleńcem. Chcieli jednak dowiedzieć się zaraz, do czego zmierza owo oświadczenie, jakiego od nich żąda, i jeden z nich, nieco kpiarz i wielki dowcipniś, rzekł: - Panie rycerzu, nie wiemy wcale, kim jest owa zacna pani, o jakiej mówicie. Pokażcie nam ją, jeśliby zaś była

Don Kichote - Miguel Cervantez

tak piękna, jak oświadczacie, po dobrej woli i bez żadnego przymusu wyznamy prawdę przez was żądaną.

- Gdybym wam ją pokazał - odparł Don Kichote - jakaż byłaby wasza zasłużona w wyznaniu prawdy tak oczywistej? O to idzie, abyście, nie widząc jej, uwierzyli, wyznali, potwierdzili i przysięgli tego bronić.

Jeśli tego nie uczynicie, wyzywam was do walki,
ludzie nieokrzesani i butni. Hej! Wyjdźcie przeciw
mnie jeden po dru-

gim, jak tego wymaga prawo rycerskie, lub pójdziecie kupą wedle postępowania i nieobyczajności takiej jak wy hołoty. Czekam was tu i oczekuję pełen ufności, pewien, że prawda jest po mojej stronie. 43

- Panie rycerzu - odparł kupiec - zaklinam waszą miłość w imieniu wszystkich nas tu przytomnych książąt, nie obciążaj sumienia naszego wyznawaniem rzeczy, której aniśmy widzieli, ani nie słyszeli. Byłoby to ze szkodą cesarzowych i królowych Alcarii i Estremadury. Racz waszą miłość pokazać nam jakiś konterfekt owej pani, choćby tak mały jak ziarnko pszenicy, a tak dojdziemy po nitce do kłębka. Wówczas nam zadośćuczynienie i bezpieczeństwo, zaś waszej miłości zadowolenie i zapłata przypadnie. Zresztą sądzę, iż tak z wami zgodni jesteśmy, że choćby portret pokazał nam panią,

co na jedno oko zezuje, a z drugiego cieczy jej

czerwona posoka i siarka, jeszcze byśmy dla

przypodobania się waszej miłości przyznali

na jej pochwałę wszystko, czego byście żądali.

- Nic jej nie cieknie, podła kanalio -

odpowiedział Don Kichote, zapalony gniewem

- nic nie cieknie, powiadam, z tego, co mówisz,

jeno ambra i piżmo z puchów. Ani jest krzywa,

Don Kichote - Miguel Cervantez

ani garbata, lecz śmiglejsza od wrzeciona z

Guadarramy. Zapłacicie mi za to straszne

bluźnierstwo przeciw tak wielkiej piękności

jak moja pani!

Wymawiając te słowa, rzucił się z pochyloną kopią na rozmówcę z taką furią i wściekłością, że gdyby szczęśliwy traf nie sprawił, że na samym środku drogi Rosynant potknął się i zwalił, byłoby kruchy z zuchwały kupcem. Runął Rosynant, a pan jego daleko na pole się potoczył; mozolił się, jak mógł, aby powstać, ale na próżno, tyle kłopotu miał z kopią, tarczą, ostrogami i szyszakiem oraz z całym ciężarem starodawnego rynsztunku. I wśród tych próżnych wysiłków, aby powstać, krzyknął:

-Nie uciekajcie, tchorze! Nędznicy! Leżę tu rozciagnięty nie z własnej winy, ale konia mego.

Jeden z mulników tam obecnych, snadź niezbyt cierpliwy, słysząc, że nieszczęśnik powałony takie miota zniewagi, nie mógł się powstrzymać, aby mu odpowieǳi na żebrach nie wypisać. Zbliżywszy się doń, porwał kopię, połamał ją na kawałki i jednym z nich zaczął naszego Don Kichota tak okładać, że mimo zbroi zmłocił go jak zboże. Panowie jego krzyczeli, aby się tak nie znęcał nad nim, by go poniechała, lecz pachołek był zbyt zawzięty i nie chciał zaprzestać, póki całej swej złości nie wywarł. Chwytając jeden za drugim kawałki kopii, kruszył je na nieszczęśniaku leżącym, ten zaś pod całym gradem razów nie zamykał gęby, wyzywał niebo i ziemię i klał zbójów, za takich bowiem ich miał.

Pachoł zmęczył się wreszcie, zaś kupcy ruszyli w dalszą drogę, mając temat do opowiadania wszędzie o nieszczęsnym obitym. Ten zaś, spostrzegłszy, że został sam, znów zaczął próbować, czy nie zdoła się podnieść, lecz jeśli nie udawało mu się to, gdy był zdrów i cały, jakżeż mógłby dać radę zmłococonemu i niemal połamany. Mimo to czuł się szczęśliwy, mniemając, że takie niepowodzenie mogło się przydać jedynie błędny rycerzom. Całą winę przypisywał upadkowi swego konia, wstać jednak nie zdołał, gdyż całe ciało miało obrażone. 1 Dwie

Don Kichote - Miguel Cervantez

najbardziej pustynne prowincje Hiszpanii; tu wymienione ironicznie. 2 konterfekt- portret, wizerunek, obraz. 44

ROZDZIAŁ PIĄTY

gdzie się opowiada ciąg dalszy niefortunnej przygody naszego rycerza

Widząc, że w istocie ruszyć się nie może, postanowił uciec się do zwykłego środka, to jest do rozmyślania nad jakąś przygodą ze swych ksiąg. Obłęd podsu-

nał jego pamięci przypadek Baldwina i markiza z Mantui, kiedy to Karloto zostawił pierwszego rannym w górach. Historia dzieciom znana, młodzieńcom nieobca, przez starców sławiona, którzy w nią wierzą, a z tym wszystkim tyle w niej prawdy, co w cudach Mahometa. Otóż zdawało mu się, że owa przygoda jest kubek w kubek podobna tej, w jakiej on się znajdował. Więc z oznakami ogromnego wzruszenia jął tarzać się po ziemi, mówiąc w słabutkim tchnieniu słowa, jakie wypowiadać miał ów ranny rycerz w lesie: Gdzieżeś, o moja pani?

Czy boleść cię ma nie wzrusza?

Lub nie wiesz o tym, lub twoja Niewierna, fałszywa dusza.

W ten Sposób wygłosił całą romancę aż do następujących wierszy:

Szlachetny markizie z Mantui, Wuju mój i zwierzchniku!

Los zdarzył, że kiedy doszedł do tego wiersza, przechodził w sam raz tamtędy wieśniak z tej samej wioski, jego sąsiad, który właśnie zawiózł był wóz zboża do młyna. Ten, ujrzawszy człowieka leżącego na ziemi, zbliżył się i zapytał, kto zacz i co mu dolega, iż tak żałośnie się skarży. Don Kichote, przekonany, że ani chybi jest to wuj jego markiz z Mantui, nie odpowiedział nic, tylko dalej swą romancę

ciągnął, opowiadając o swym nieszczęściu i o miłościach cesarzewica z jego żoną, tą samą modłą, jak to romanca opiewa.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Wieśniak stał osłupiały, słuchając tych bredni, potem zdjął mu przyłbicę rozbitą na kawałki przez ciosy, otarł mu twarz pokrytą kurzem, kiedy zaś tego dokonał, poznał go i rzekł:

- Panie Quijana (tak bowiem zwała się, póki jeszcze miał rozum i póki ze sta-tecznego szlachcica nie przedziergnął się w błędnego rycerza), a który waszą miłość tak urządził? Ale ten na wszystkie pytania miast odpowiedzi snuł dalej swą romancę. Widząc to, poczciwiec, jak mógł najsprawniej, zdjął mu napierśnik i naplecznik, by zbadać, czy nie ma jakiej rany. Nie znalazł jednak ani śladu krwi. Nabiedził się, by go z sie-
45 mi podnieść, i z wielkim trudem wsadził go na swego osła, zdało mu się bowiem, że jazda będzie spokojniejsza. Pozbierał broń, nawet odłamki kopii, i przywiązał Ro-synantowi do łyku; wziął go za wodze, osła za uzdę i podążył ku swej wsi, słucha-jąc bredni jakie plótł Don Kichote, i głowiąc się nad nimi usilnie.

Nielekkoo było

Don Kichotowi, gdyż zmłócony i połamany ledwie mógł utrzymać się na siodle i od czasu do czasu ku niebu słał westchnienia, tak że wieśniak, litując się nad nim,tał zapytywać co mu dolega; zdawało się jednak, że sam diabeł przywodził mu chyba na pamięć opowieści mające styczność z jego wypadkiem, bo zapomniawszy w pewnej chwili o Baldwinie, utożsamiał się z Maurem Abindarraezem, którego to burgravia Antequery, Rodryg de Narvaez, pojmał i jako jeńca do swej prowincji uwiózł. Tak więc, kiedy wieśniaktał go wypytywać, jak się czuje, co go boli, odpowiadał mu słowo w słowo wyrazami i wywodami jeńca abencerraskiego wobec

Rodryga de Narvaez, wedle tego, co wyczytał w powieści Diana Jorge de Monte-mayor;

Don Kichote - Miguel Cervantez

zastosowywał to tak zręcznie, że wieśniak klął w diabły, słuchając takiego splotu bzdur; wniósł z tego, że sąsiad jego zwariował, więc pośpieszał, jak mógł, do wioski, aby uniknąć nudy wywołanej długą gadaniną Don Kichota. Ten w końcu rzekł: _ Wasza miłość, wiedzieć wam trzeba, panie Rodrygu de Narvaez, że owa piękna Jarifa? o której wspomniałem, jest obecnie uroczą Dulcyneą z Toboso. Dla niej

to dokonałem, dokonuję i dokonywać będę najgłośniejszych czynów rycerskich, jakie oglądano, ogląda się lub oglądać się będzie na świecie.

Na to odpowiedział chłopak:

_ Wasza miłość, przypatrzcie się, panie, mnie grzesznemu, żem nie żaden Don Rodryg de Narvaez ani markiz z Mantui, jeno Piotr Alonso, wasz sąsiad; zaś wasza miłość nie jesteście ani Baldwinem, ani Abindarraezem, jeno czcigodnym szlachcicem, panem Quijana.

_ Wiem dobrze, kim jestem - odpowiedział Don Kichote - jednak wiem, że mogę być nie tylko tymi, o jakich dotąd wspomniałem, ale znaczyć więcej niż wszyst-

kich dwunastu Parów¹ Francji lub dziewięciu Rycerzy Sławy², bowiem czyny moje przenoszą wszystko, czego oni społem

lub każdy z osobna dokonali. Wśród takich i tym podobnych pogwarek dotarli wreszcie do wioski w godzinę

nę zmierzchu. Jednak wieśniak zaczekał, aż zupełnie się ściemniło, aby nie oglądać nobo pobitego szlachcica na tak podłym wierzchowcu.

Gdy nadeszła odpowiednia - jego zdaniem - pora, wjechał do wsi i przed dom Don Kichota, gdzie panowało wielkie poruszenie. Byli tam właśnie proboszcz i balwierz wioskowy, wielcy przy-

Don Kichote - Miguel Cervantez

jaciele Don Kichota, a gospodyn przemawiała do nich na cały głos: _ Jak się wam zdaje, dobrodzieju Pero Perez (bo tak nazywał się proboszcz),

jakie nieszczęście mogło spotkać mego pana?
Od trzech dni przepadł on, koń jego, tarcza,
kopia i zbroja. O ja nieszczęsna! Przekonana jestem, i to jest taka prawda, jak to, że się człek rodzi, by umierać, że to te przeklęte książki rycerskie, w których 1 dwunastu czołowych rycerzy Karola Wielkiego.

2 Byli to trzej Żydzi: Jozue, Dawid, Judasz Machabeusz; trzej poganie: Hektor, Aleksander i Cezar oraz trzej chrześcijanie: król Artur, Karol Wielki i Godfryd z Bouillon.

ciągle się rozczytywał, rozum mu pomieszały. Teraz przypominam sobie, wielekość słyszałam, jak mówił do siebie, iż chciałby zostać błędnym rycerzem i wyruszyć na

poszukiwanie przygód w świat. Niech takie księgi porwie Szatan i Barabasz, bo przywiódły do zguby najtrefniejszy w całej Manczy umysł. Siostrzenica mówiła to samo i dorzuciła:

- Wiedziecie, mistrzu Mikołaju (takie bowiem było imię balwierza), że nieraz zdarzało się memu panu wujowi zaczytać się w owych bezecnych książkach przez dwa dni i dwie noce, aż w końcu ciskał książkę o ziemię, chwytał za rękęjeść mie- cza i rąbał po ścianach. A kiedy się do cna zmachał, mawiał, że zabił czterech ol- brzymów, wielkich jak cztery wieże, zaś pot, jaki w umęczeniu zeń spływał, jest krwią z ran odniesionych w walce. Wypijał zaraz wielki dzban świeżej wody, co go uzdrawiało i uspokajało, i mówił, że woda ta jest najcenniejszym napojem, jaki mu przyniósł mędrczec Esquife, wielki czarownik, a jego druh. Moja to wielka wina, żem nie przestrzegła ichmościów przed szaleństwem mego wuja, może bylibyście zaradzili, zanim doszło do tego, co się stało, i spalili wszystkie te przeklęte książki.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Wiele ich ma, które zasłużyły dobrze na stos jako heretyckie. - I ja to samo mówię- rzekł proboszcz - i dalibóg, nie przejdzie dzień jutrzeczy, a zrobimy z nich całopalenie. Zostaną w ogień rzucone, aby nie przywiodły znów jakiegoś czytelnika do postąpienia, jak mój zacny przyjaciel zapewne postą- pił.

Tego wszystkiego słuchali wieśniak i Don Kichote. Wieśniak, zrozumiawszy w końcu niedomaganie swego sąsiada, tak zaczął wołać:

- Otwierajcie, ichmościowie, panu Baldwinowi i panu markizowi z Mantui, który przybywa srodze poraniony, oraz panu Maurowi Abindarraezowi, którego w łykach wiedzie dzielny Rodryg de Narvaez, burgrabia Antequery. Na te wołania wybiegli wszyscy i jedni poznali przyjaciela, drudzy pana i wuja; jeszcze nie zdołał zsiąść z osła w niemocy, a już rzucili się, by go uścisnąć. On zaś rzekł: - Wstrzymajcie się wszyscy, przybywam ciężko poraniony z winy mego ko- nia. Niech mnie zaniosą na łóże i przywołają-jeśli to możliwe - wrózkę Urgandę, aby mię opatrzyła i wyleczyła rany.

- Patrzcie, zali nie w złą godzinę - zakrzyknęła gospodyn - serce mi rzekło, że mój pan ochromiał? Zejdźcie, wasza miłość, i bywajcie!... Zapewniam was, że

i bez tej hurgady potrafimy was uleczyć. Przeklęte, mówię, stokroć przeklęte niech będą księgi rycerskie, które tak waszą miłość urządziły. Zanieśli go zaraz na łóże i szukali ran, nie znachodząc żadnej. Powiedział im

tedy, że cały jest potłuczony z powodu ciężkiego upadku razem z Rosynantem, swym koniem, w czasie walki z dziesięcioma olbrzymami, najzuchwalszymi i najgwałtowniejszymi, jakich spotkać można na ziemi...

- Ta, ta, ta - rzekł proboszcz - oto już są i olbrzymy w tańcu! Na wszystkie świętości, spałę ich jutro, zanim noc zapadnie.

Zadali Don Kichotowi tysiąc pytań, na żadne nie odpowiadał, jeno powtarzał, aby mu dali jeść i spać pozwolili, tego bowiem mu najbardziej potrzeba.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Tak też uczynili; proboszcz zaś bardzo długo wypytywał wieśniaka, w jaki sposób odnalazł Don Kichota. Ten odpowiedział wszystko, a także banialuki, jakie ów w czasie drogi plótł. Proboszcz zapłonał tym większą chęcią spełnienia swych

zamierzeń. Nazajutrz zwołał więc przyjaciela swego, balwierza, mistrza Mikoła- ja, i pospołu weszli do wnętrza domu Don Kichota.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

o ciekawym i wielkim śledztwie, jakie przeprowadzili proboszcz z balwierzem w bibliotece naszego przemyślnego szlachcica

-Don Kichote wciąż jeszcze spał, kiedy proboszcz zażądał od siostrzenicy kluczy od komnaty, gdzie znajdowały się książki, sprawczynie zła; dała mu je chęt- nie; weszli tam wszyscy wraz z gospodynią i znaleźli z górami sto foliałów bardzo pięknie oprawnych oraz inne, mniejsze. Ledwie je ujrzała gospodyn, wyszła pośpiesznie z komnaty, lecz niebawem wróciła z miseczką świętonej wody i kropi- dłem, mówiąc: - Macie, dobrodzieju, mości licencjacie, pokropcie tę izbę, żeby żaden czarow- nik, których wiele siedzi w tych książkach, nie zaczarował nas za karę, że chcemy ich przepędzić ze świata. Rozśmieszyła proboszcza naiwność gospodyn, kazał balwierzowi podawać sobie jedną książkę po drugiej, aby dowiedzieć się, o czym piszą, zdarzyć się bo- wiem mogły niektóre na karę ognia niezasługujące.

- Nie - odezwała się siostrzenica - żadnej nie trzeba przepuścić, wszystkie bowiem były szkodliwe, najlepiej wyrzucić je przez okno na wewnętrzny dziedzi- niec, zrobić z nich stos i podpalić; albo wynieść je na podwórze i tam ognisko roz- niecić, aby nam dym nie dokuczał. To samo mówiła gospodyn, tak wielką obie pałały żądzą zniszczenia tych nie- winiątek; lecz proboszcz nie zgodził się na to, póki nie przeczyta przynajmniej tytułów. Nasamprzód mistrz Mikołaj wręczył mu Cztery księgi Amadisa z Galii; pro- boszcz rzekł: - Oto, zdaje się, klucz tajemnicy, gdyż, o ile słyszałem, ta książka była pierw- szą księgą rycerską

Don Kichote - Miguel Cervantez

wydrukowaną w Hiszpanii i wszystkie inne wzięły z niej początek.
Więc zdaje mi się, że jako przodowniczkę tej zgubnej sekty,
winniśmy ją bez pardonu skazać na spalenie.

- Nie, dobrodzieju - rzekł balwierz - słyszałem bowiem również, że jest to najprzedeńjsza ze wszystkich książek, jakie w tej dziedzinie powstały, a więc, jako jedyna w swym rodzaju, zasługuje na przebaczenie.

- To prawda - odparł proboszcz - i dla tej racji darujemy jej na razie życie. Zobaczmy, co tam koło niej leży?

- To są - rzekł balwierz - Wielkie czyny Esplandiana, prawego syna Amadisa z Galii. - Zaprawdę - rzekł proboszcz - nie przeszła na syna szlachetność ojca, bierzcie, pani gospodyn, otwórzcie to okno i wyrzućcie na podwórze, niech da początek budowie stosu, który wznieść należy.

Z wielkim zadowoleniem spełniła to gospodyn i cny Esplandian wyleciał na Podwórze.

- Chodźmy dalej! - rzekł proboszcz. Na to balwierz:

- Oto idzie Amadis z Grecji i wszystkie te, które obok leżą, są, jak sądzę, z tej samej rodziny Amadisa.

- Niech więc wszystkie idą na podwórze - rzekł proboszcz - aby zaś spalić królową Pintikwinestrę i pasterza Darinela z jego sielankami i z diabelskimi a zawi-

łyimi wywodami jego autora, spaliłbym razem i rodzonego ojca, gdyby mi się zjaśnił pod postacią błędnego

rycerza. - Jestem tego samego zdania - rzekł balwierz. - I ja również - dodała siostrzenica.

- Jeśli więc tak - rzekła gospodyn - precz z nimi na podwórze! Podano jej cały stos, ona zaś, oszczędzając schodów, wszystkie wyrzuciła przez okno.

- A to co za tomisko? - zapytał proboszcz. - To - odparł balwierz - Don Olivante de Laura.

- Autor tej książki - rzekł proboszcz - jest też autorem Ogrodu kwiatów i zaiste nie potrafię powiedzieć, która z tych dwu książek jest prawdziwsza, mówmy raczej: mniej kłamliwa; można tylko rzec, że pojedzie na podwórze jako zwariowana i bezechcna.

- Oto z kolei Florismarte z Hirkanii - rzekł balwierz.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- A więc jest i mospan Florismarte? - odparł proboszcz. - Zaiste, szybko z nim na podwórze, mimo nadzwyczajnego urodzenia i głośnych przygód na nic innego nie zasługuje twardość i suchość stylu. Na podwórze z nim! I z tamtym, pani gospodyn!
- Och, jak dobrze, dobrodzieju! - odpowiedziała, z wielką radością spełniając, co przykazał. - Oto jest Rycerz Platir - rzekł balwierz.
- Stary to szpargał - oświadczył proboszcz - i nie masz w nim nic, co zasługuje na łaskę. Niech za innymi idzie, bez repliki! I tak się stało. Otworzyli inną księgę i ujrzelii, że ma tytuł Rycerz Krzyża.
- Dla tak świętego imienia, jakie ta książka nosi, można by jej nieuctwo darować, jednak -jak to mówią - „za krzyżem diabeł stoi”, dalej w ogień!

Wziawszy inną książkę, balwierz rzekł:

- Oto Zwierciadło rycerstwa.
- Znam dobrze tę wielmożność - rzekł proboszcz. - Występuje tam Rynałt z Montalbanu ze swymi przyjaciółmi i druhami, większymi łotrami niż Kakus, oraz dwunastu Parów z ich wiarygodnym historykiem Turpinem. Po prawdzie, skazał-

bym ich tylko na wieczne wygnanie, jako że wzięli początek z wyobraźni słynnego Mattea Boiardo, skąd także wątek zaczerpnął i chrześcijański poeta Lodovico Ariosto; jeżeli go tu jednak spotkam, a będzie gadał innym językiem niż własnym, nie będę dlań żywił żadnego respektu, natomiast jeśli przemówi swym językiem, skończę przed nim głowę.

- Mam go po włosku - rzekł balwierz - ale go nie rozumiem.
- Na dobre by nie wyszło, gdybyście go rozumieli - odparł proboszcz
- prze-

baczylibyśmy panu kapitanowi, gdyby go nie był sprowadzał do Hiszpanii i na Kastylczyka przerobił; wiele bowiem swej wrodzonej wartości utracił, a to zdarza się wszystkim, którzy poezje na inny język przekładać zamierzają. Choćby wszel-

Don Kichote - Miguel Cervantez

kich starań dokładali i największą zręczność okazali, nigdy ich pierwotnej piękności nie dorównają. Mówię, że w samej rzeczy, księgię tą, podobnie jak wszystkie, jakie znajdziemy, traktujące o sprawach Francji, trzeba odkładać i umieścić w jakimś suchym loszku, aby po głębszym namyśle postanowić, co z nimi uczynić, z wyjątkiem takiego Bernarda del Carpio, który się tu płacze, oraz innej pod tytułem Ronsewal, jeśli mi wpadną w ręce, zaraz dostaną się do rąk gospodyni, a z nich w ogień, bez żadnego przebaczenia.

Wszystko to potwierdził balwierz, uznając za słuszne i pewne, gdyż uważały proboszcza za tak dobrego chrześcijanina i takiego miłośnika prawdy, że za nic w świecie by jej nie uchybił. Otworzywszy inną księgię, spostrzegł, że był to Palmerin z Oliwy, obok zaś inne dzieło nosiło

tytuł Palmerin z Anglia. Kiedy je pro-boszcz ujrzał, rzekł:

- Tę oliwkę natychmiast porąbać, niech spłonie, aby z niej nawet popiół nie pozostał. Tę palmę angielską zostawmy i zachowajmy jako unikat. Zrobimy jej skrzyn-

kę podobną tej, jaką Aleksander znalazł w łupie po Dariuszu i którą przeznaczył na przechowanie dzieł Homera. Ta książka, panie kumie, jest ważna z dwóch względów: raz, że jest doskonała, po wtóre, że, jak fama głosi, napisał ją pewien mądry król Portugalii. Wszystkie przygody w zamku Miraguarda są świetne i z wielkim mistrzostwem napisane. Wywody są dworne i jasne, wykazują i świadczą o wielkiej bystrości autora, który z ogromną zręcznością i rozumem rzecz prowadzi. Są więc, o ile nie macie nic przeciw temu, mistrzu Mikołaju, że ta książka oraz ów

Don Kichote - Miguel Cervantez

Amadis z Galii zostaną spod kary ognia wyjęte, reszta zaś bez dalszych roztrząsań i badań niech przepada. - Nie, panie kumie - odparł balwierz - oto jeszcze mam słynnego Don Belia- nisa.

- U tego zaś - odpowiedział proboszcz - na pewno drugiej, trzeciej i czwartej części przydałoby się nieco rabarbaru, aby zbytek żółci odciągnąć. Trzeba by także

odrzucić wszystko o Zamku Sławy oraz inne brednie jeszcze większe; temu damy „termin zamorski”¹ i jeśli się poprawi, postąpimy z nim wedle miłosierdzia lub spra- wiedliwości; tymczasem weźcie go, kumie, do swego domu, lecz nikomu nie po- zwólcie czytać.

1 Czas potrzebny, by wezwać przed sąd emigranta z kolonii, tzn. co najmniej 6 miesięcy. Tutaj: termin długi.

- Doskonale! - rzekł balwierz.

I nie chcąc się już trudzić przeglądaniem ksiąg rycerskich, polecił gospodynai zabrać wszystkie tomiska i wyrzucić na podwórze. Nie mówił tego ani do głupiej, ani do głuchej, lecz do takiej, co większą miała ochotę palić niż tkać płótno, choćby nie wiem jak szerokie i cienkie. Więc chwyciwszy naraz osiem tomów, cisnęła je przez okno. Kiedy wszystkie razem porwała, jeden upadł do stóp balwierza, który podniósł go, chcąc spojrzeć, co by to było, i przeczytał: Historia słynnego rycerza Tyranta Białego.

- Na Boga - zawała wielkim głosem proboszcz - macie tam Tyranta Białego? Dajcież mi go, kumie, oto powieść, gdzie znachodziłem skarb zadowolenia i kopalnię rozrywek. Jest tam Don Kyrieleyson z Montalbanu, dzielny rycerz, i brat jego Tomasz z Montalbanu oraz rycerz Fonseca, tam walka dzielnego Tyranta z brytanem, wykwintne dowcipy panny Rozkosznickiej, romanse i intragi miłosne wdowy Spokojnickiej i pani cesarzowa zakochana w swym giermku Hipolicie.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Mówię wam, kumie, że ze względu na styl jest to najpiękniejsza książka świata; tu rycerze jedzą, śpią i umierają w łózkach, przed śmiercią piszą testament i wiele różnych rzeczy robią, o których nie ma ani słowa w innych książkach tego rodzaju. Ale mimo to twierdzę, że ten, kto ją napisał, za to, że tyle bredni popełnił mimo woli, zasłużył, aby go zesłano na galery po wszystkie dni żywota. Weźcie ją do domu i przeczytajcie, a przekonacie się, że prawdą jest wszystko, co o niej rzekłem.

- Niech tak będzie - odpowiedział balwierz - lecz cóż poczniemy z tym pozostającym drobiazgiem książek?
- To - rzekł proboszcz - już pewnie nie są książki rycerskie, jeno poezje.

Otworzywszy jedną, przekonał się, że była to Diana Jorge de Montemayor, więc rzekł, sądząc, że wszystkie inne będą tego samego rodzaju:

-Te nie zasługują na spalenie jak tamte, gdyż ani dziś, ani jutro nie wyrządzą ją ani nie wyrządzą takiej szkody, jak księgi rycerskie. To książki rozumne i dla nikogo niebezpieczne nie będą.

- Aj, dobrodzieju! - rzekła siostrzenica. - Może je śmiało kazać jegomość spalić jak tamte, bo Boże zawaruj! Niech no mój wuj, wyleczywszy się z choroby rycerskiej, wertować je zacznie, nuż nabierze ochoty zostać pasterzem, błądzić po gach i łatkach, śpiewając i grając na gęślakach, albo co gorsza, zostać poetą, co jak mówią-jest chorobą nieuleczalną i zaraźliwą.

- Prawdę powiada waćpanna - rzekł proboszcz - lepiej odsunąć od naszego przyjaciela to ryzyko i okazję. A ponieważ zaczeliśmy od Diany Montemayora, zdaje mi się, że nie należy jej palić, lecz pozbawić ją wszystkich miejsc poświęconych wróżce Felicji i zaczarowanej wodzie i prawie wszystkich tyrad wierszowanych, zostawiając szczęśliwie jej prozę oraz zaszczyst pierwszeństwa wśród podobnych książek.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Teraz z kolei - rzekł balwierz - oto jest Diana zwana wtóra salmantyńska oraz inna tego samego imienia, której autorem jest Gil Polo.
- Niechże owa salmantyńska - rzekł proboszcz - idzie powiększyć liczbę ska-zańców na podwórzu, zaś owej Gila Pola strzeżcie, jakby ją napisał sam Apollo; lecz idźmy dalej, panie kumie, i pośpieszajmy, gdyż robi się późno.

- Oto - rzekł balwierz, otwierając następną książkę - Dziesięć ksiąg fortuny miłości, dzieło Antonia de Lofrasso, poety sardyńskiego. - Na me śluby - rzekł pleban — odkąd Apollo jest Apollem, muzy muzami, a poeci poetami, tak wdzięcznej i tak trefnej książki jak ta nikt nie napisał; pod względem rozwoju akcji jest najlepsza i jedyna, jaka w tym rodzaju ujrzała światło dzienne.

Kto jej nie czytał, powiedzieć może, że nie czytał nigdy nic równie smakowitego. Dajcież mi ją, kumie, bardziej rad jestem zjej znalezienia, niż gdyby mi ofiarowa- no sutannę z florenckiego sukna.

Odłożył jąna bok z wielkim zadowoleniem, zaś balwierz ciągnął dalej, mówiąc:

- Oto z kolei Pasterz iberyjski, Nimfy nad Henaresu i Leki na zazdrość. - Nic innego nie pozostaje, jak powierzyć je świeckiemu ramieniu gospodyni
- rzekł proboszcz - i nie pytajcie dlaczego, bo nie skończylibyśmy nigdy.
- Oto z kolei Pasterz Filidy.
- To nie pasterz - rzekł pleban - ale bardzo rozumny dworzanin; zachowajcie to jako klejnot drogi.
- Ten wielki tom oto - rzekł balwierz - nosi tytuł Skarbiec przeróżnych poezji. - Gdyby ich nie było tak wiele - pleban na to - byłyby bardziej cenione, należały wytrzebić i wyplenić z tej książki różne nędzoty, które się między wzniósłymi kartami znachodzą. Zachowajcie to, bowiem autor to mój przyjaciel, a także przez względ na bohaterskie i wzniósłe dzieła, jakie napisał.
- Oto - ciągnął balwierz - Kancionał Lopeza Maldonado.
- Również i tej książki autor - odparł pleban - jest moim wielkim przyjacielem. Kto słyszy wiersze w ustach jego,

Don Kichote - Miguel Cervantez

podziwiać je musi, a taka jest słodycz jego głosu, że śpiewając, czaruje. Nieco zbyt rozwlekły w sielankach, lecz dobrego ni- gdy za wiele. Zachować to między wybrańcami. Lecz cóż tam obok leży? – Galatea Miguela Cervantesa - rzekł balwierz.

- Już wiele lat ów Cervantes jest moim wielkim przyjacielem i wiem, że bar- dziej doświadczon w nieszcześciach niż w wierszach. Książka jego zawiera pewne dobre pomysły, coś obiecuje, ale nie kończy, trzeba czekać zapowiedzianej Drugiej części. Myślę, że gdy się poprawi, uzyska pełną pobłaźliwość, której dziś mu się odmawia. Tymczasem, zanim to uczyni, trzymajcie ją w zamknięciu w waszej kom- nacie.

- Doskonale, kumie dobrodzieju - odparł balwierz - oto trzy księgi razem związane: Araucana Don Alonza de Ercilla, Austriada Juana Rufa, ławnika z Kor- doby, i Monserrate Cristóbala de Virues z Walencji.

- Wszystkie te trzy książki - rzekł proboszcz - są najlepszymi, jakie zostały napisane wierszem bohaterskim w kastylskim języku, i mogą iść w paragon z naj- sławniejszymi wierszami Italii, zachowajcie je jako najcenniejszy zadatak poezji hiszpańskiej. Zmęczył się pleban oglądaniem tylu książąg i by tę mitręgę zakończyć, chciał wszystkie pozostałe spalić. Ale balwierz już trzymał jedną otwartą, nosiła tytuł Łzy Angeliki.

- Zmartwiłbym się - rzekł proboszcz, usłyszawszy tytuł - gdybym taką książę spalić kazał, jej autor bowiem był jednym z najsłynniejszych poetów świata, nie tylko Hiszpanii, i najszczególniej niektóre opowieści Owidiusza przełożył. ROZDZIAŁ SIÓDMY o drugiej wyprawie naszego zacnego rycerza Don Kichota z Manczy

Kiedy tak rozprawiali, Don Kichote zaczął krzyczeć, wołając: - Bywajcie, bywajcie, waleczni rycerze! Pokażcie siłę waszych dzielnych ra- mion, bowiem dworacy przewagę odnoszą w turnieju. Na ten wrzask i krzyk nie tracili więcej czasu na badanie

Don Kichote - Miguel Cervantez

reszty książek, tak że zostały, zdaje się, oddane na pastwę ognia bez oglądania i czytania Carolea, Lew Hiszpanii z wielkimi czynami cesarza przekazanymi przez Don Luisa de Avila, które bez wątpienia zasługiwały na oszczędzenie, i myślę, że gdyby był je pleban oglą- dał, uniknęłyby srogiego wyroku. Kiedy weszli do Don Kichota, ten, już z łożą powstawszy, dalej wrzeszczał i bredził, rozdając ciosy sztychem i płazem na wszystkie strony, tak rozbudzony,

jakby nigdy nie był spał. Wzięli go pod ramiona i siłą do łożka zawlekli, a kiedy uspokoił się nieco, zwrócił się do proboszcza tymi słowy:

- Zaiste, mości arcybiskupie Turpinie, wielka to hańba, że ci, których nazywa- my dwunastoma Parami Francji, ni mniej, ni więcej tylko pozwolili odnieść zwycię- stwo na tym turnieju dworakom, podczas gdy my, błędni rycerze, przez trzy poprzed- nie dni zdobywaliśmy nagrody.

- Cierpliwości, waszmość panie kumie - rzekł pleban - Bóg dozwoli, a los się odmieni. Kto dziś przegrywa, jutro wygrywa. Teraz baczcie, waszmość, na zdro- wie, aby je wzmacnić, zdaje mi się, że musicie być straszliwie zmęczeni, o ile zgoła nie ranni. - Ranny nie jestem - mówił Don Kichote - lecz zmłocony i połamany, nie ulega wątpliwości; ten bękart Don Roldan młocił mię dębowym pniakiem, a to wszystko przez zawiść, widzi bowiem, że ja jeden mogę stawić czoło jego odwadze. Nie na- zywałbym się chyba Rynałt z Montalbanu, gdybym powstawszy z tego łoża, nie odpłacił mu, wbrew wszelkim jego czarom. By wzmacnić siły, dajcie mi jeść, ot, czego mi najbardziej teraz potrzeba, a myśl o zemście mnie pozostawcie. Zrobili tak: dali mu jeść i zasnął powtórnie, oni zaś dziwowali się jego obłę- dowi. Tej nocy gospodyn zebrała i spaliła wszystkie księgi, jakie były na podwórzu i w całym domu, a były tam, które powinny być spalone, ale i takie, które zasługi- wały na zachowanie po wieki w archiwach; lecz nie pozwoliło na to ich przezna- czenie

Don Kichote - Miguel Cervantez

oraz lenistwo cenzora, i tak sprawdziło się na nich przysłowie, że sprawie- dliwi za grzeszników płacą. Pleban z balwierzem uradzili, że najlepszym lekarstwem na chorobę ich przy- jaciela będzie zamurować i zatynkować izbę z książkami, tak aby kiedy wstanie, nie mógł tam trafić (sądzili, że kiedy zniknie przyczyna, i skutki ustana); jemu zaś powiedzą, że jakiś czarodziej porwał izbę razem ze wszystkim; tak też zrobili w wielkim pośpiechu. Po dwóch dniach podniósł się Don Kichote i pierwszą jego czynnością było pójść do swych książek; nie znaczając izby, gdzie je zostawił, chodził, szukając na prawo i na lewo, kręcił się w miejscu, gdzie powinny być drzwi, obmacywał rękom, obracając oczyma na wszystkie strony, nie mówiąc i słowa. Po upływie dłuższego czasu zapytał gospodyn, w jakiej stronie domu znaj- dowała się izba z książkami. Gospodyn, dobrze nauczona, co ma mówić, odpowie- działa:

- Jakież to znowu izby czy czego jegomość szukacie? Nie masz już tu ani izby, ani książek, wszystko bowiem sam czart porwał.
- Nie był to czart - dorzuciła siostrzenica - ale czarodziej, który przybył tu pewnej nocy w chmurze, po wuja odjeździe, i złazłszy z węża, którego dosiadał, wszedł do komnaty. Nie wiem, co tam wyczyniał, ale po chwili uleciał przez dach, zostawiwszy dom pełen dymu. Kiedy zdobyłyśmy się na to, aby zobaczyć, co tam zdziałał, nie znalazłyśmy już ani książę, ani żadnej komnaty. Przypominamy sobie tylko, ja i gospodyn, że w chwili odlotu ten zły starzec wielkim głosem przemówił, iż żywiąc ukrytą wrogosć do właściciela owych książek oraz izby, szkodę wyrządził w tym domu, którą niebawem ujrzymy. Dodał też, że nazywa się mędrcem Muna- ton.
- Powinien był rzec Freston - powiedział Don Kichote.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Nie wiem - odparła gospodyn - czy się zwał Freston czy Fryton, wiem tyl- ko, że jego imię kończyło się na „ton”.
- Zatem jest to - rzekł Don Kichote - mądry czarodziej, a mój wielki wróg, który nienawiść ku mnie żywii, gdyż dzięki swym sztukom i wiedzy wie, że przyj- dzie czas, kiedy stoczę samowtór bój z pewnym rycerzem, któremu on sprzyja, zwyciężę go, on zaś temu nie będzie mógł zapobiec. I z tej przyczyny czyni mi wszelkie możliwe wstręty; zapewniam, że nie zdoła ani przeciwstawić się wyrokom niebieskim, ani ich uniknąć.
- Któź by o tym wątpił?! - rzekła siostrzenica. - Ale cóž to, panie wuju, wpę- dza waszą miłość w takie zatargi? Czyż nie lepiej byłoby siedzieć spokojnie w domu, zamiast włóczyć się po świecie, poszukując lepszego chleba niż pszenny, nie ba- cząc, iż wielu wyprawia się po wełnę, a wraca postrzyżonych? - O, siostrzenico moja - rzekł Don Kichote. - Jakże źle znasz się na tym. Po pierwsze, zanim by mię ostrzygli, wyskubałbym i wydarł brodę tym, którzy by śmieli mi dotknąć choćby koniuszka włoska na głowie. Nic na to więcej odpowiedzieć nie chciały, spostrzegłszy, że zapala się gnie- wem. Jednak przez dwa tygodnie siedział spokojnie w domu, nie okazując, że miał- by ochotę powtórzyć poprzednie szaleństwa; w tych dniach prowadził najwdzięcz- niejsze pogwarki z dwoma kumami, proboszczem i balwierzem, twierdząc, że naj- potrzebniejszą rzeczą na świecie są błędni rycerze i że w nim się owo błędne rycer- stwo odradza. Proboszcz niekiedy mu przeczytał, innym razem potakiwał, gdyż nie zażywając tego podstępu, nie byłby się z nim dogadał. W tym czasie Don Kichote zmówił się z pewnym wieśniakiem, swoim sásia-

dem, człowiekiemgodnym(jeśli tym tytułem obdarzyć można biedaka), ale które- mu brakło soli we lbie. W końcu tyle mu nagadał, tyle namawiał i obiecywał, że biedny kmiotek postanowił wyprawić się z nim w świat i służyć mu za giermka. Powiedział mu między innymi Don Kichote, że powinien pójść z nim z dobrej woli, gdyż może się zdarzyć przygoda, dzięki której, pozbywając całej swej nędzy, zdobędą jakąś wyspę i on zostanie jej rządcą. Wobec takich i tym podobnych obietnic Sanczo Pansa (tak się bowiem ów wieśniak nazywał) zostawił żonę i dzieci i zgodził się na giermka do swego sąsiada. Jał zaraz zabiegać Don Kichote o zdobycie pieniędzy; sprzedając jedną rzecz, a zastawiając drugą, marnując zaś wszystkie, zebrał poważną sumę. Sam zaopatrzył się w tarczę, o pożyczczenie której poprosił jednego z przyjaciół, i naprawiwszy, jak mógł najlepiej, swój połamany hełm, zawiadomił swego giermka Sancza o dniu i godzinie zamierzonej wyprawy, aby i ten zaopatrzył się w to, co uzna za najpotrzebniejsze, przede wszystkim polecił mu wziąć sakwy. Ten odpowiedział, że je zabierze i że sam myśli zabrać swego bardzo zacnego osła, gdyż nie zwykł wiele pieszo chodzić. Co do osła, Don Kichote zasumował się nieco, głowiąc się, czy nie przypomni sobie, zali jakiś błędny rycerz miał giermka na osle jadącego. Ale nic mu takiego do głowy nie przyszło; mimo wszystko postanowił wziąć go z sobą, przypuszczając, że gdy tylko okazja ku temu się zdarzy, postara się o zacniejszego wierzchowca, zabierając rumaka jakimusi pierwszemu nieokrzesanemu rycerzowi,

którego spotka. Zaopatrzył się w koszule i inne rzeczy, jakie tylko mógł zabrać stosownie do rady udzielonej mu przez właściciela zajazdu. Kiedy wszystko było gotowe i zrobione, Pansa, nie żegnając się z dziećmi i z żoną, ani Don Kichote z gospodynią i siostrzenicą, wyjechali pewnej nocy ze wsi niepostrzeżenie i tak daleko ujechali, że kiedy dzień zaświtał, byli pewni, iż nikt by ich nie odnalazł, choćby ich szukano. Jechał Sanczo Pansa na swym oście jak patriarcha jakiś, ze swymi biesagami i bukłakiem, bardzo pragnąc widzieć się już wielkorządcą wyspy, którą mu jego pan obiecał. Udało się Don Kichotowi obrać ten sam kierunek i drogę, co w pierwszej wyprawie. Wiodła ona przez równinę Montielu i wydała mu się mniej uciążliwa niż poprzednim razem, gdyż godzina była poranna i promienie słoneczne, padając z ukosa, nie dokuczały im. Wówczas rzekł Sanczo Pansa do swego pana:

- Bacacie, jegomość, panie błędny rycerzu, abyście nie zapomnieli o tej wypyśce, którą przyrzekliście mi. Już ja potrafię nią rządzić, choćby była nie wiem jak wielka.

Na to odpowiedział Don Kichote:

- Musisz wiedzieć, przyjacielu Sanczo Pansa, że było to częstym zwyczajem dawnych błędnych rycerzy robić swych giermków wielkorządcami wysp lub królestw zdobytych, i mam szczyry zamiar, co do mnie, nie uchybić chwalebnowi zwyczajowi, raczej myślę przewyższyć w tym innych; tamci bowiem niekiedy, a sądzę, że częściej, czekali, aż giermkowie postarzeją się i dopiero po ciężkiej służbie i przebyciu złych dni i jeszcze gorszych nocy nadawali im tytuł grabi lub najwyżej markiza jakiejś doliny lub mniejszej czy większej prowincji, ale jeśli ja i ty zostańiemy przy życiu, zdarzyć się może, że do sześciu

Don Kichote - Miguel Cervantez

dni zdobędę jakieś królestwo, któremu inne będą podległe, tak że będziemy mogli od razu koronować się królem jednego z nich. Nie myśl, że to przesada, gdyż takie rzeczy i wypadki zdarzają się podobnym rycerzom w sposób nigdy niewidziany i niepojęty, tak że mógłbym ci łatwo i więcej dać, niż obiecuję.

-W ten sposób - odparł Sanczo Pansa-jeślibym jakimś cudem, jak jegomość mówi, został co najmniej królem, to Juana Gutierrez, moje serdeńko, stałaby się królową, a dzieci me infantami!

- Któz wątpi o tym? - odrzekł Don Kichote.
- Ja wąpię - odparł Sanczo Pansa - myślę bowiem, że choćby Bóg rozsypał królestwa na ziemi, żadna korona nie siedziały dobrze na głowie Marii Gutierrez.

Wiedziecie, panie, że jako królowa niewarta ona i dwóch marawedi, hrabina lepiej jej przystoi z pomocą Bożą.

- Zdaj to na Boga, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - niech ci da to, co jej lepiej przystoi, ale nie trać tak ducha, abyś miał zadowolić się czymś mniejszym niż wielkorządztwo.
- Nie stanie się to, panie mój - odparł Sanczo - tym bardziej gdy mam tak ważnego pana, jak wasza miłość, który potrafi mi dać wszystko, co mi na dobre wyjdzie i co tylko unieść zdołam.

ROZDZIAŁ ÓSMY

o wielkim zwycięstwie, jakie dzielny Don Kichote odniósł w straszliwej i niesłychanej przygodzie z wiatrakami,
oraz o Innych
zwycięstwach godnych szczęśliwej pamięci

Naonczas spostrzegli trzydzieści lub czterdzieści wiatraków na tym polu. Ujrzawszy je, Don Kichote rzekł do swego giermka:

- Fortuna sprzyja nam zamiarom bardziej, niżbyśmy pragnąć mogli. Oto patrz tam, przyjacielu Sanczo Pansa, gdzie ukazuje się trzydzieści lub i więcej powornych olbrzymów, z którymi zamyślam stoczyć walkę i wszystkich życia pozbawić;

Don Kichote - Miguel Cervantez

łup po nich będzie początkiem naszego wzbogacenia się, jest to bowiem słuszna wojna i doniosła służba Boża znieść tak podłe nasienie z oblicza ziemi. - Jakie olbrzymy? - zapytał Sanczo Pansa.

- Te, które tam widzisz - odpowiedział pan jego - o długich ramionach; nie- którzy zdają się mieć je długie na dwie mile.

- Zważcie, jegomość - odparł Sanczo Pansa - że to, co tam się ukazuje, to nie żadne olbrzymy, ino wiatraki, a to, co się wydaje ramionami, to skrzydła, które obracane wiatrem, poruszają kamień młyński.

- Zaraz widać - odrzekł Don Kichote - że nie jesteś tego rodzaju przygód

zwyczajny; to są olbrzymy. Jeśli się lękaszu, precz stąd i klep pacierze, w czasie gdy ja wdam się z nimi w zacieklą i nierówną walkę.

To mówiąc, spiął ostrogami swego konia Rosynanta, nie zważając na krzyki, jakie wydawał jego giermek Sanczo, który ostrzegał, że bez żadnej wątpliwości są to wiatraki, nie olbrzymy, na których chce uderzyć. Ale ten tak wbił sobie do głowy

olbrzymów, iż ani słyszał wołań swego giermka Sancza, ani nie zważył, choć był już blisko, co by to było; przeciwnie, zaczął gromkim głosem wołać: - Nie uciekajcie, tchórze i nikczemne stwory! Wszak jeden tylko rycerz na was uderza. Właśnie zerwał się lekki wiatr i wielkie skrzydła zaczęły się obracać, co wi- dząc, Don Kichote zakrzyknął:

- Choćbyście machali liczniejszymi łapami niż olbrzym Briareus, zapłacicie mi za to. Mówiąc to, polecił się z całego serca swej pani Dulcynei, prosząc ją, by wspomagała go w takiej potrzebie. Załoniwszy się dobrze tarczą, z nastawioną kopią, puścił pełnym galopem Rosynanta i uderzył na pierwszy z brzegu wiatrak. Cios wymierzył w skrzydło, tymczasem wiatr obrócił je tak gwałtownie, że kopię złamał w kawałki, zaś konia i rycerza porwało i odrzuciło mocno poturbowanych precz na pole. Sanczo

Don Kichote - Miguel Cervantez

Pansa poskoczył na ratunek co sił na ośle i zbliżywszy się, spostrzegł, że Don Kichote poruszyć się nie może, tak ciężki był upadek jego i Rosy- nanta. - Boże, ratuj! - zawała Sanczo. - Czyż nie mówiłem jegomości, byście uważały, co czynicie, gdyż są to tylko wiatraki; mógł tego nie widzieć jedynie ten, który takie same ma w głowie.

- Milcz, przyjacielu Sanczo - odparł Don Kichote - sprawy wojenne, bardziej niż inne, podległe są nieustannej zmienności; tym bardziej że, jak myślę, i to jest prawda, ów czarownik Freston, który mi porwał komnatę i książki, zmienił owych olbrzymów w wiatraki, aby mi odebrać chwałę zwycięstwa, tak wielką żywą ku mnie wrogość. Ale koniec końców, nie na wiele zdadzą się jego złośliwe sztuczki przeciw dzielności mego miecza. - Niech się dzieje wola Boża - odparł Sanczo Pansa.

I pomógłszy mu się podnieść, wsadził go na Rosynanta, który był nieco poturbowany.

Rozmawiając o minionej przygodzie, skierowali się drogą ku przełęczy

Lapice, gdyż tam -jak twierdził Don Kichote - nie będzie można uniknąć licznych i różnorodnych przygód, jest to bowiem miejsce bardzo uczęszczane. Był jeno wielce zatroskany stratą kopii i tak mówił do giermką:

- Przypominam sobie, że czytałem, jak pewien rycerz hiszpański, zwany Diego Perez de Vargas, połamawszy w bitwie miecz, odwalił z dębu ciężką gałąź czy konar i takich nią czynów tego dnia dokonał, tylu Maurów natłukł, iż nadano mu

przydomek Maczuga, i odtąd on i potomkowie jego zwali się Vargas-Maczuga.

Mówię ci to dlatego, że z pierwszego spotkanego dębu, zwykłego czy czerwonego, myślę ułamać konar równie dobry jak tamten, który sobie wyobrażam, i myślę nim takich czynów dokonać, że będziesz się uważał za bardzo szczęśliwego, iż zasłużyłeś na to, by je własnymi oglądać

Don Kichote - Miguel Cervantez

oczyma i być świadkiem rzeczy, w które zaledwie uwierzyć będzie można.

- To w ręku Boga! - rzekł Sanczo. - Ja we wszystko wierzę, co mi wasza miłość prawi. Ale wyprostujcie się nieco, gdyż zdaje mi się, że zwisacie na jeden bok, zapewne z powodu potłuczenia przy upadku.

- To prawda - odparł Don Kichote - jeśli nie narzekam na ból, to dlatego, że błędnym rycerzom nie lza skarżyć się na żadną ranę, choćby im wnętrzności przez nią wychodziły. - Kiedy tak, to ja już nic do gadania nie mam - odrzekł Sanczo - ale Bóg wie, dzi, że rad byłbym, gdybyście, panie miły, użalili się nieco, jeśli wam coś dolega.

O sobie powiem, że na najmniejszy ból narzekać będę, chyba że również i giermkom błędnych rycerzy skarżyć się nie wolno.

Nie powstrzymał się Don Kichote od śmiechu z prostoduszności swego giermka i oświadczył, że może doskonale skarżyć się, jak i kiedy zechce, czy ma na to ochoję, czy nie, gdyż dotąd nie czytał, aby to sprzeciwiało się zakonowi rycerskiemu. Sanczo zwrócił uwagę, że czas byłoby posilić się. Odpowiedział pan jego, że dotąd nie czuje potrzeby, on zaś niech je, ile chce. Korzystając z pozwolenia, usiłował się Sanczo najwygodniej, jak mógł, na osle i wyciągając z sakw ich zawartą tość, pojadał, jadąc za panem w niewielkiej odległości; od czasu do czasu pociągał z bukłaka z taką lubością, że pozazdrościć by mu mógł najwybredniejszy winiarz z Malagi. I kiedy tak jechał, lykając raz po raz, zapomniał całkiem o obietnicach swego pana i taka wyprawa w poszukiwaniu przygód, choćby nie wiem jak niebezpieczna, nie wydawała mu się trudem, ale raczej wielką rozrywką. Koniec końców, noc tę spędzili pośród drzew, a z jednego z nich ułamał Don Kichote suchą gałąź, która prawie mogła mu kopię zastąpić, i nasadził na nią grot zdjęty z połamanej. Przez całą noc Don Kichote oka

Don Kichote - Miguel Cervantez

nie zmrużył, rozmyślając o swej pani Dulcynei, usiłując przystosować do niej, co w swych książkach wyczytał, jak to rycerze spędzali bezsennie liczne noce w lasach i na bezludziu, trawiąc czas na wspominaniu swych pań. Nie tak Sanczo Pansa, który mając brzuch pełny, i to nie wodą z płukania sałaty, przespał noc jednym ciągiem i gdyby go pan nie zawałał, nie obudziłyby go ani promienie słońca na twarz padające, ani śpiew ptaków, które

rojnie i bardzo radośnie witały nadziejście poranku. Powstając, sięgnął po bukłak i znalazły go chudszym, niż był poprzedniego wieczora, zmartwił się w sercu, gdyż uważał, że na tej drodze nierychło będzie można brakom zaradzić. Don Kichote nie

chciał śniadać, gdyż -jak powiedziano - karmił się rozkosznymi wspomnieniami. Udały się dalej drogą ku przełęczy Lapice i około godziny trzeciej osiągnęli ją.

- Tu - rzekł Don Kichote, rozejrzawszy się wokoło - bracie Sanczo Pansa, bę- dziemy mogli ręce po łokcie zanurzyć w przygodach co się zowie. Zważ jednak, że

choćbyś mię ujrzał w najgorszych opałach, nie wolno ci brać miecza do ręki w mej obronie, chyba gdy widziałybyś, że napada mię hołota i pospółstwo, wówczas mo- żesz mi przyjść z pomocą; jeśli to jednak byli rycerze, żadną miarą nie wolno ci i nie godzi się tobie wedle praw rycerskich pomagać mi, zanim nie zostaniesz paso- wany na rycerza.

- Pewnikiem, jegomość - odparł Sanczo - będę w tym wielce posłuszny, tym bardziej że z natury jestem zgodliwy i wróg wszelkich burd i zwad. Co prawda, jeśli

mi przyjdzie bronić własnej osoby, nic sobie z owych praw robić nie będę, bowiem boskie i ludzkie prawa pozwalają każdemu bronić się, kiedy nań nastają.

- Nic innego nie mówię - odparł Don Kichote - lecz co się tyczy pomocy dla mnie przeciw rycerzom, masz trzymać na wodzy twoją wrodzoną krewkość.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Ręczę, że tak postąpię - odpowiedział Sanczo - i będę przestrzegał tego przykazania jak dnia niedzielnego. Tak gawędząc, spostrzegli na drodze dwóch braciszków zakonu św. Benedykta jadących jakby na dwóch wielbłądach, tak olbrzymie bowiem były mulice, jakich dosiadali. Mieli podróżne okulary i parasole. Za nimi jechała kolasal otoczona przez czterech czy pięciu jeźdźców i dwóch mulników pieszych. W kolasie siedziała - jak się później okazało - pewna dama biskajska udająca się do Sewilli, gdzie przebywał jej mąż wybierający się do Indii na bardzo zaszczytne stanowisko. Owi zakonnicy nie towarzyszyli jej, choć tą samą drogą zdążali. Zaledwie ich Don Kichote zoczył, rzekł do swego giermka:

- Albo się mylę, albo to będzie przygoda głośniejsza od wszystkich widzialnych, bowiem te dwie mary czarne, które się tam ukazują, to muszą być i są bez wątpienia jacyś czarownicy, którzy uprowadzają w kolasie jakąś księżniczkę, więc muszę przeszkodezić temu gwałtowi z całej mocy.

- To będzie gorzej niż z wiatrakami - rzekł Sanczo. - Zważcie, panie, że są to braciszki św. Benedykta, powóz zaś należeć musi do jakichś podróżnych. Zważcie, co mówię, i opamiętajcie się, by was diabeł nie uwiódł! - Już ci mówiłem, Sanczo - odrzekł Don Kichote - że niewiele znasz się na przygodach, prawdę jest to, co ja mówię, i zaraz się przekonasz. To mówiąc, wysunął się naprzód i stanął na środku drogi, którą jechali zakonnicy, a kiedy zbliżyli się tak, że, zdaniem jego, mogli go słyszeć, zawała głośno: - Plemię diabelskie i potworne! Natychmiast zostawcie dostojne księżniczki, które w tej kolasie uprowadzacie; jeśli nie, gotujcie się na szybką śmierć, jako słuszną karę za wasze niecne czyny. Zakonnicy ściągnęli wodze i zatrzymali się zdumieni zarówno wyglądem Don Kichota, jak jego słowami, na które odpowiedzieli:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Panie rycerzu, aniśmy diabły, ani potwory, ale dwaj zakonnicy św. Benedykta, jedziemy naszą drogą i wcale nie wiemy, zali w tej kolasie jadą czy też nie jakieś księżniczki porwane.

-Nie dla mnie takie puste gadanie; już ja was znam, przeniewiercza hołoto! - rzekł Don Kichote i nie czekając odpowiedzi, spiął Rosynanta i pochyliwszy kopię, natarł na pierwszego zakonika z taką furią i impetem, że gdyby mnich sam nie spadł z muła, zrzuciłby go był na ziemię wbrew jego woli, ciężko poranionego, jeśli nie

bez życia. Drugi zakonnik, widząc, co spotkało jego towarzysza, uderzył piętami muła i puścił się pędem przez pola,

lżejszy od wiatru. Sanczo Pansa, ujrzałszy na ziemi braciszka, zsunął się z osła pośpiesznie,

podszedł i zaczął zeń ściągać przyodziewek. Na to przybiegli dwaj pachołkowie zakonników i pytali, czemu go obdziera. Odpowiedział Sanczo, że mu się to słusznie należy jako łup w walce, którą

jego pan Don Kichote wygrał. Pachołkowie, nie znając się na żartach ani nie rozumiejąc, co to łup i walka, ujrzałszy, że Don Kichote nieco się już oddalił i rozmawia z tymi, którzy w kolasie jechali, rzucili się na Sancza, powalili go i nie zostawiając ani kłaka w brodzie, zbili go tego i porzucili 1 kolasę - elegancki powóz, kareta, rozciągniętego na ziemi bez tchu i bez czucia; nie pośpiejając dłużej ani chwili, zakonnik podniósł się cały załękiony i blady na twarzy; zaledwie ujrzał się na siodle, pognał za towarzyszem, który z dala zatrzymał się, wypatrując, co wyniknie z tej utarczki. I nie czekając końca przygody, pojechali dalej, żegnając się raz po raz, jakby diabła na plecach nieśli.

Don Kichote tymczasem, jak rzekliśmy, wszczął rozmowę z panią w kolasie, mówiąc: - O pani, piękności moja, możesz zrobić z mą osobą, co ci

Don Kichote - Miguel Cervantez

się żywnie podoba, gdyż pycha uwodzicieli waszych leży na ziemi, złamana moim silnym ramieniem; aby wam oszczędzić trudu dowiadywania się, jak na imię waszemu wybawcy, wiedz- cie, że nazywam się Don Kichote z Manczy, rycerz błędny i poszukiwacz przygód, niewolnik niezrównanej i cudnej pani Dulcynei z Toboso; w nagrodę za usługę, jaką wam oddałem, żądam jedynie, abyś, pani, zwróciła do Toboso, w moim imieniu stanęła przed ową panią i opowiedziała jej, co zdziałałem dla waszej wolności. Wszystkiemu, co mówił Don Kichote, przysłuchiwał się junosza Biskajczyk, towarzyszający karocy; ten widząc, że Don Kichote nie chce przepuścić kolasy, a zgoła żąda, aby zaraz zwracali do Toboso, przystąpił do Don Kichota i chwyciwszy za kopię, tak łamanim kastylskim, a jeszcze gorszym biskajskim żargonem przemówił: – Precz rycerz! Źle idziesz! Na Bóg, co mię zrobił, jak kolesa nie puskasz, tuja ciebie, jakem Biskajczyk, zabić.

Zrozumiał to bardzo dobrze Don Kichote i odpowiedział z wielką godnością:

- Gdybyś był rycerzem, jak nim nie jesteś, już bym ukarał twą głupotę i zu- chwałstwo, nikczemniku!
- Nie ja rycerz? Na Bóg kląć! Ty tak łygać jak chrześcijan. Rzucić kopią, miecz ciągać, dam zobaczyć, jak kot w woda wpadnie². Biskaj na ziemia, szlachcic na morzu, szlachcic na diabło! A ty łygać i bacz, by nie gadać więcej.
- Zaraz to zobaczysz, jak mówił Agrages - odparł Don Kichote. Cisnął kopię na ziemię, chwycił za miecz, zasłonił się tarczą i rzucił na Biskajczyka, gotów go życia pozbawić. Biskajczyk, widząc go nacierającego, chętnie byłby zsiadł z muła, któremu jako najętemu bydlęciu nie ufał, ale zaledwie zdążył dobyć miecza. Miał jednak

Don Kichote - Miguel Cervantez

szczęście, że stał blisko kolasy i mógł z niej porwać poduszkę, by użyć jej jako tarczy; zaraz dopadli do siebie jak dwaj śmiertelni wrogowie. Obecni przy tym chcieli ich pogodzić, lecz nadaremnie, bowiem Biskajczyk w swym łamnym języku krzyczał, że jeśli mu nie dadzą skończyć walki, zabije panią swoją i wszystkich, którzy mu przeszkadzać będą. Pani z kolasy, zdumiona i przerażona tym, na co patrzyła, kazała woźnicy nieco na bok odjechać i z dala przypatrywała się srogiemu starciu, w czasie którego Biskajczyk zadał wielki cios Don Kichotowi w ramię i przez tarczę, tak że bez tej osłony byłby go rozplatał do pasa. Don Kichote, odczuwszy siłę tego gwałtownego ciosu, zawała wielkim głosem: 1 junosza-zuch, chwat.

2 Ciągnąć kota przez wodę, znany z folkloru zwyczaj, znaczy: zbłaźnić się. 60

- O pani mej duszy, Dulcyneo, kwiecie piękności, ratuj swego rycerza, który aby zadośćuczynić twej wielkiej doskonałości, w tak ciężkie popadł opały.

To rzeklszy, migiem ścisnął miecz w dłoni, zasłonił się dobrze tarczą i natarł na Biskajczyka, chcąc wszystko jednym ciosem rozstrzygnąć. Biskajczyk, gdy go tak nacierającego ujrzał, poznał zajadłość jego po śmiałości natarcia i takież postanowienie powziąć jak Don Kichote. Więc czekał go, dobrze osłoniwszy się poduszka, nie mogąc zmusić muła do ruszenia ani w lewo, ani w prawo, ten bowiem, do cna zmęczony i podobnych harców niezwyczajny, ani krokiem ruszyć nie chciał. Natarł więc, jak rzekliśmy, Don Kichote na chytrego Biskajczyka, z mieczem w góre wzniesonym, gotów na dwoje go rozplatać, zaś Biskajczyk czekał go, wzniósłszy również miecz, a zasłaniając się swą poduszką. Wszyscy zaś obecni dokoła trwali w niepewności i trwodze, co wyniknie z tak ogromnych ciosów, którymi sobie grozili, zaś pani z kolasy i służebna jej czyniły tysiące ślubów i przyczepień wszelkim cudownym obrazom i miejscom świętym Hiszpanii, aby Bóg ocalił giermka i wszystkich cało wywiódł z wielkiego

Don Kichote - Miguel Cervantez

niebezpieczeństwa, w jakie popadli. Cała szkoda, że w tym miejscu i chwili jeszcze nierostrzygniętej autor opisujący tę walkę usprawiedliwia się, że nie znalazł w zapiskach nic o przewagach Don Kichota prócz wyżej podanych. Prawdę jest, że inny autor tego dzieła, nie chcąc wierzyć, aby tak ciekawa historia była zdana na pastwę zapomnienia, ani aby umysły mieszkańców Manče były tak mało ciekawe, iżby w swych archiwach lub w swych skrytkach nie zachowali jakichś szpargałów dotyczących słynnego rycerza, w tym przekonaniu nie tracił nadzieję, że znajdzie koniec tej uciecznej historii. I przy pomocy nieba odnalazł on ciąg dalszy, który Księga druga opowie. 61

KSIEGA DRUGA

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

w którym dobiega końca zdumiewająca walka między zuchem biskajskim a bohaterem z Manczy

Pozostawiliśmy w Księdze pierwszej tej historii dzielnego Biskajczyka i słynnego Don Kichota z obnażonymi, wzniezionymi mieczami, gdy gotowali się do zadanego wściekłych ciosów takich, iż gdyby miecze te spadły, co najmniej rozplataliby się i rozcięli od góry do dołu, i otwarliby się byli jak owoc granatu. Ale w tym punkcie tak niepewnym autor zatrzymał się i nie dokonał tej tak smakowitej opowieści, nie dając nam wskazówki, gdzie można by znaleźć ciąg dalszy. Gnębiło mnie to bardzo, bowiem zadowolenie z przeczytania urywku zmieniło się w niezadowolenie na myśl, że wiele trudu kosztować będzie odszukanie tego wszystkiego, czego, moim zdaniem, brakło w tej smakowitej opowieści. Zdawało mi się niemożliwe i przeciwne wszelkim dobrym zwyczajom, aby tak zacny rycerz nie znalazł był jakiegoś mędrcą, który by podjął się spisania jego nigdy

Don Kichote - Miguel Cervantez

niewidzialnych czynów, rzecz, jaka nie zdarzyła się żadnemu z błędnych rycerzy, którzy -jak mówią- szli na poszukiwanie przygód; każdy z nich bowiem miał w sam raz jednego lub dwu mędrców, którzy nie tylko spisywali jego czyny, ale odmalowywali jego najmniejsze myśli i błęhostki, choćby nie wiem jak ukryte; nie mogło więc być, aby tak znamienity rycerz miał tak mało szczęścia i nie znalazł, na czym nie zbywało

ani Platiowi, ani jemu podobnym. Poza tym nie zdołałem uwierzyć, aby tak zabawna historia miała być jak bez ręki, okaleczała, i już przypisywałem całą winę złośliwości czasu, który wszystko pożera i trawi, a który bądź trzyma ją w ukryciu, bądź ją zniszczył. Z drugiej strony zdawało mi się, że ponieważ między księgami jego znaleziono dzieła tak nowoczesne, jak Leki na zazdrość oraz Nimfy i pasterze nad Henaresu, także i jego historia musi być niedawnna i choćby nie była spisana, życie musi w pamięci ludzi jego sioła oraz okolicy. Myśl ta dręczyła mię i budziła pragnienie dociekania rzeczywistej prawdy o całym życiu i cudach naszego słynnego Hiszpana, Don Kichota z Manczy, tego światła i zwierciadła rycerstwa mancńskiego i pierwszego, który w naszym wieku, a w tak pełnych klęsk czasach, oddał się trudowi i zawodowi błędного rycerstwa, co to naprawia krzywdy, pomaga wdowom, bronii dziewcząt, tych mianowicie, które z biczem w ręku, na wierzchowach, z całym brzemieniem swego dziewictwa, uganiały z góry na górę i z doliny

Don Kichote - Miguel Cervantez

65 w dolinę. O ile nie zdarzyło się, że jakiś zdrajca lub chamisko albo jakis potworny olbrzym je zniewolił, bywały drzewiejskie dziewczyny, co przeżyły lat osiemdziesiąt, nie śpiąc ani jednej nocy pod dachem, a jednak tak nieuszkodzone do grobu schodziły, jak matki, które je na świat wydały. Twierdzę więc, że dla tych i dla wielu innych względów godzien nasz dzielny Don Kichote ustawicznych i pamiętnych pochwał, również i mnie odmówić ich nie można za trud i pilność, jakich dołożyłem, by zna- leźć koniec tej przyjemnej historii; choć wiem dobrze, że gdyby niebo, przypadek i szczęście mi nie pomogły, świat pozbawiony byłby dwóch godzin milego spędze- nia czasu, jakie upłyną temu, kto z uwagą to przeczyta. Otóż wpadłem na to w spo- sób następujący: Znalazlszy się pewnego dnia na Alkanie w Toledo, spotkałem chłopaka sprze- dającego stare zeszyty i szpargały handlarzowi jedwabiowi; a ponieważ rozmiłowany jestem w czytaniu, choćby i podartych świstków z ulicy, wiedziony mą przyrodzo- ną skłonnością, wziąłem jeden z zeszytów, które ten chłopak sprzedawał; ujrzałem, że pokryty był pismem, które rozpoznałem jako arabskie. Ale choć rozpoznaję je, nie potrafię odczytać, oglądałem się przeto za jakimś Maurem hispanizującym, który

by je odczytał. Nie było trudno znaleźć takiego tłumacza i nawet gdyby chodziło o inny zacniejszy i starożytniejszy język, byłbym go znalazł. Wreszcie traf nadaszył mi jednego, któremu opowiedziałem, czego chcę, i dałem mu książkę do ręki; otworzył ją w środku i poczytawszy nieco, zaczął się śmiać. Zapytałem, czemu się śmieje; odpowiedział mi, że z uwagi, jaką na marginesie książki zapisano. Prosi- łem, aby mi ją przeczytał, zaś on, nie przestając się śmiać, rzekł: — Tu, jak powiedziałem, stoi na marginesie zapisane: „Ta Dulcinea z Toboso, tyle razy w tej powieści wspominana, miała, jak mówią, zręczniejszą rękę do sole- nia wieprzowiny niż jakakolwiek inna

Don Kichote - Miguel Cervantez

niewiasta w całej Manczy". Zaledwie usłyszałem „Dulcynea z Toboso", stanąłem jak wryty, gdyż natychmiast pojąłem, że owe zeszyty zawierają historię Don Kichota. W tej myśli poprosiłem, aby mi przeczytał początek, co też uczynił, przekładając od ręki z arabskiego na kastylski, i rzekł, że była to Historia Don Kichota z Manczy, napisana przez Sidi Hameta Ben Engeli, historyka arabskiego. Trzeba było wielkiej chytroci, aby nie dać poznać po sobie zadowolenia, jakiego doznałem, gdy doszedł do mych uszu tytuł owej książki; ubiegłszy handlarza jedwabiu, odkupiłem od chłopaka wszystkie szpargały i zeszyty za pół reala. Gdyby był bardziej przenikliwy i wiedział, jak ich pożądałem, byłby mógł spodziewać się i uzyskać więcej niż sześć realów z tej sprzedaży. Nie mieszkając, odszedłem z Maurem na krużganek katedry i prosiłem go, aby mi przełożył na kastylski owe papiery dotyczące Don Kichota, nic nie opuszczając ani nie dodając; obiecałem zapłacić mu, ile zechce. Zadowolił się dwiema miarami rodzynków i dwoma półkorcami pszenicy, obiecując przetłumaczyć dobrze i wiernie, i w najkrótszym czasie. Ja zaś, aby ułatwić całą sprawę i aby z rąk nie wypuszczać takiej zdobyczy, zabrałem go do domu, gdzie w niewiele więcej niż półtora miesiąca przetłumaczył wszystko w ten sposób, jak tutaj podaję: W pierwszym zeszycie była żywo przedstawiana potyczka Don Kichota z Biskajczykiem, odmalowani byli w tej samej pozycji, jak opowiada powieść, z mieczami podniesionymi, jeden zakryty tarczą, drugi poduszką, oraz mulica Biskajczyka

jak żywa; na strzelenie z kuszy można było poznać w niej najemne bydlę. U stóp Biskajczyka był napis głoszący: „Don Sanczo z Azpejtii”, i bez wątpienia musiało to być jego nazwisko; u stóp Rosynanta drugi napis głosił: „Don Kichote”. Rosy- nant przedstawiony był znakomicie, tak długi i sztywny, tak zbiedzony i chudy, z tak kościstym grzbietem, tak oczywiście wyschnięty, że jawnie okazywał, jak słusz- nie i właściwie został nazwany Rosynantem. Obok niego stał Sanczo Pansa, trzy- mając osła za uzdę, u stóp jego rozwijał się napis „Sanczo Zancas”, jak wskazywał malunek, musiał mieć wielki brzuch, wzrost niski, grube, krzywe nogi i stąd pew- nie poszło, że dawano mu miano Pansa i Zancas¹, gdyż te dwa przydomki nadaje mu niekiedy historia. Były tam pewne drobiazgi godne uwagi, ale wszystkie bez wielkiego znaczenia, gdyż nic nie wnoszą do prawdziwej relacji historii, z których żadna nie jest zła, o ile jest prawdziwa. Gdyby zaś naszej można zrobić jakiś zarzut co do jej prawdziwości, to chyba tylko, że autor był Arabem, a właściwością tej nacji jest skłonność do łgarstwa. Aczkolwiek, jako że należy do naszych wrogów, można by przypuszczać, iż raczej ujmie, niż doda. I tak mi się wydaje, bo tam, gdzie mógł i powinien był rozwodzić się piorem w pochwałach tak zacnego rycerza, jakby umyślnie pomija je milczeniem. Zła to rzecz i gorsza intencja, gdyż dziejopisowie powinni być dokładni, rzetelni i bez namiętności, tak aby ani interes, ani obawa, uraza czy skłonność nie odwodziły ich z drogi prawdy,

Don Kichote - Miguel Cervantez

której matką jest historia, rywalka czasu, skarbnica czynów, świadek przeszłości, przykład i przestroga dla teraźniejszości, nauka dla przyszłości. Wiem, że w tej się znachodzi wszystko, cze- go żądać można od najzabawniejszej, i jeśli czego dobrego jej nie dostaje, uważam,

że stało się to z winy jej pieskiego autora raczej niż z winy przedmiotu. Otóż Księga druga wedle tłumaczenia

zaczyna się w ten sposób:

Wzniesione w góre obnażone miecze dwóch dzielnych i zaciekłych przeciwników zdawały się jakby wyzywać niebo, ziemię i otchłań, taka była ich zawziętość i groźna postawa. Pierwszy cios wielki zadał zażarty Biskajczyk z taką furią i siłą, że gdyby mu miecz nie zwinał się w dłoni, to jedno cięcie wystarczyłoby, aby kres położyć tej srogiej walce oraz wszelkim przygodom naszego rycerza; ale los przychylny, pragnąc tego na większe rzeczy zachować, skręcił miecz jego przeciwnika

tak, że choć spadł na lewy bark, innej szkody nie wyrządził, jeno odsłonił cały ten bok, zrywając po drodze większą część hełmu wraz z połową ucha. Wszystko to ze

strasznym łomotem zwaliło się na ziemię, zostawiając Don Kichota w opłakanym stanie. Na Boga! Gdzież jest ten, który godnie zdołałby opowiedzieć wściekłość, jaka tej godziny wdarła się w serce naszego rycerza z Manczy, kiedy ujrzał się tak sponiewieranym! Nic więcej nie powiemy. Rzecz się tak miała, że podniósłszy się znowu w strzemionach i miecz oburącz ściskając, wymierzył cios wściekły Biskajczykowi, tnąc prosto przez poduszkę i głowę. Ów, niedostatecznie chroniony, poczuł, jakby góra zwaliła się na niego, a krew

Don Kichote - Miguel Cervantez

zaczęła buchać z nosa, ust i uszu, zachwiał się i byłby spadł z muła bez wątpienia, gdyby się nie był karku uchwycił; lecz z tym i Sanczo w całej powieści nazywany jest Pansa (Brzuchacz), tylko w tym miejscu Zancas (Krzywonogi).

67 wszystkim stopy mu ze strzemion wypadły i wnet rozłożył ramiona, zaś muł, prze- rażony tym strasznym ciosem, zaczął gonić po polu i wierzgnąwszy kilka razy, zwalił się ze swym panem na ziemię. Przyglądał się temu z zimną krwią Don Kichote i kiedy ujrzał go na ziemi, zeskoczył z konia, żywo przypadł do niego i przytknął- szy mu koniec miecza między oczy, zażądał, aby się poddał, w przeciwnym razie skróci go o głowę. Biskajczyk był tak ogłuszony, że słowa nie mógł przemówić, i miałby się z pyszna wobec wściekłości, jaką ogarnęła Don Kichota, gdyby damy z kolasy, które pobladłe z trwogi śledziły pojedynek, nie podeszły, błagając natar- czywie o wielką łaskę i fawor darowania życia ich giermkowi. Na co Don Kichote odpowiedział z wielką godnością i powagą:

- Zaiste, piękne panie, bardzo chętnie uczynię zadość prośbie waszej, ale pod jednym warunkiem i umową: niechże ten rycerz obieca pójść do miejscowości To- boso i przedstawić się w moim imieniu niezrównanej pani Dulcynei, aby postąpiła z nim wedle woli swojej. Wystraszone i niepocieszone damy, nie wchodząc w to, czego Don Kichote żąda, i nie pytając, kto jest ta Dulcynea, przyrzekły, że giermek ich uczyni wszyst- ko wedle jego rozkazu.

- Zatem, ufając tym słowom, nie chcę mu żadnej więcej krzywdy czynić, choć dobrze na nią zasłużył. ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
o udesznych rozmowach Don Kichota z Sanczo Pansą, jego gierkiem ymczasem podniósł się Sanczo Pansa nieco poturbowany przez pachołków zakonnych i z uwagą przypatrywał się walce, jaką toczył pan jego, Don Kichote, prosząc Boga w sercu, aby raczył dać mu zwycięstwo, dzięki któremu zdobyłby jakąś wyspę, której rządcą by go mianował, jak mu to obiecał. Widząc więc, że pojedy-

Don Kichote - Miguel Cervantez

nek skończony, a pan jego chce dosiąść Rosynanta, zbliżył się, by mu potrzymać strzemię, i zanim Don Kichote wskoczył na siodło, padł przed nim na kolana, chwycił go za rękę, ucałował ją i mówił:

- Niech wasza miłość, panie Don Kichocie, raczy dać mi zarząd wyspy, którą zdobyliście w tym srogim pojedynku; choćby nie wiem jak duża była, czuję się na siłach rządzić nią tak dobrze, jak każdy inny wielkorządca wysp na świecie.

Na to Don Kichote odparł:

- Zważ, bracie Sanczo, że ta przygoda i jej podobne nie są przygodami, w których chodzi o wyspy, lecz jedynie spotkaniem z rozstajnych dróg; wychodzi się z nich najwyżej z rozpłataną głową lub bez ucha. Czekaj cierpliwie, by nadarzyły

się nam takie przygody, dzięki którym zrobić cię będę mógł nie tylko wielkorządcą, ale i czymś jeszcze więcej. 68

Sanczo podziękował mu gorąco, raz jeszcze pocałował w rękę i kraj jego pan- cerza, pomógł mu wsiąść na Rosynanta, sam wskoczył na swego osła i pojechał

w ślad za swym panem, który wyciągniętym kłusem, nie pożegnawszy się, ani słowa już nie mówiąc z damami

z kolasy, wjechał w las pobliski. Sanczo zdążył za nim pełnym kłusem swego osła, lecz Rosynant cwałował tak, że Sanczo, widząc się w tyle, zmuszony był wołać głośno na swego pana, aby się zatrzymał. Uczynił tak

Don Kichote i osadziwszy Rosynanta, czekał na swego zmęczonego giermka, który zrównawszy się z nim, tak rzekł:

- Wydaje mi się, jegomość, że dobrze byłoby schronić się do jakiegoś kościoła, gdyż po takim zmaltretowaniu waszego przeciwnika wystarczy, jeśli dadzą znać do Świętej Hermandady', a zostaniemy ujęci; skoro zaś to raz zrobią, to zanim wydostaniemy się z więzienia, wypoci się nam

czupryna.

- Milcz - rzekł Don Kichote - czy widziałeś lub czytałeś kiedy, aby rycerz błędny był ciągany po sądach za popełnione zabójstwo?

- Nic nie wiem o zabójstwach - odparł Sanczo - i nigdy w życiu nie dybałem na nikogo, wiem tylko, że Święta Hermandada ma baczne oko na tych, co się po drogach tłuką, i w to się mieszać

nie chcę.

- Nie troszcz się o to, przyjacielu - odpowiedział Don Kichote - gdyż wyrwę cię choćby z łap Chaldejczyków, a tym bardziej z rąk Świętej Hermandady! Ale powiedz, na twe życie, czyś widział kiedy waleczniejszego ode mnie rycerza na całym szerokim świecie? Czy czytałeś w czyjejś historii, aby ktoś z większym animuszem i impetem nacierał, z większą wytrwałością razy znosił, zręczniej je oddawał i umiejętności z siodła wysadzał?

- Prawda jest - odpowiedział Sanczo - że nigdy żadnej historii nie czytałem, gdyż ani czytać, ani pisać nie umiem, lecz na to przysiąć mogę, że śmielszemu panu niż jegomość, jako żyję, nie służyłem, i dałby Bóg, abyśmy za tę zuchwałość nie płacili tam, gdzie mówiłem. Proszę teraz jegomości, abyście zechcieli się opatrzyć, bo krew wam ciurkiem z ucha płynie; mam szarpie i nieco białej maści w sakwach. - Bez tego wszystkiego obeszłoby się łacnie - odparł Don Kichote - gdybym nie był zapomniał przyrządzić sobie flaszczyny balsamu Fierabrasa, którego jedna kropla oszczędza czasu i leków.

- Jakaż to flaszczyna i jakiż to balsam? - zapytał Sanczo Pansa.

- Jest to balsam - odpowiedział Don Kichote - którego receptę pamiętam. Posiadając go, nie trzeba się lękać śmierci ani też myśleć, że od rany jakiejś zginąć można. Więc kiedy go sporządzę i dam tobie, ty zaś ujrzesz, że w jakiejś bitwie rozplatają mię na dwoje (jak wielekoć zdarzać się zwykłego), nic innego nie będziesz miał do roboty, jak tylko ostrożnie wziąć

Don Kichote - Miguel Cervantez

część ciała, która na ziemię odpadła, i bardzo sprytnie, zanim krew zakrzepnie, przyłożyć do drugiej połowy, która na siodle została, uważając, by dopasować ją równo i akuratnie. Natychmiast dasz mi wy- pić tylko dwa łyki balsamu, o którym mówię, a ujrzyssz mię tak zdrowym jak ja- błuszko.

Dosłownie: Święte Bractwo, które miało pierwotnie bronić miast i dróg przeciw łupiestwu rozbójniczych hidalgów. W XVI w. rodzaj policji drogowej. "«!

• w

69

- Jeśli tak - rzekł Pansa - zrzekam się od razu rządzwia wyspy i nie chcę nic innego w zapłatę za moje rozliczne i dobre usługi, jak tylko, by mi jegomość dał receptę na ten znakomity likwór, gdyż moim zdaniem, uncja jego, gdziekolwiek bądź, warta będzie ponad dwa reale, zaś to mi z górami wystarczy, aby życia dokonać na uczciwych wczasach. Ważną jeno sprawą jest, ile sporządzenie jego kosztuje?

- Za mniej niż trzy reale można zrobić sześć kwart - odrzekł Don Kichote.

- Do króćset! - zawała Sanczo. - A na cóż jegomość czeka, aby go sporządzić i mnie tego nauczyć?

- Cicho, przyjacielu - odpowiedział Don Kichote - zamyślam większych jesz- cze tajemnic ciebie nauczyć i więcej dobrzejstw ci wywiadczyć; tymczasem jednak opatrz mi ucho, gdyż dolega mi bardziej, niż chciałbym. Sanczo wydobył z sakw szarpie i maść, lecz kiedy Don Kichote ujrzał swój rozbity hełm, zdawało się, że rozum postrada. Dłoń na mieczu położył i wzniósłszy oczy ku niebu, rzekł:

- Przysięgam na Stwórcę wszelkich rzeczy i na cztery Ewangelie święte, gdzie to szeroko stoi opisane, że będę wiódł życie takie, jak wielki markiz z Mantui, kiedy dy ślubowałem, że póki nie pomści śmierci swego krewniaka Baldwina, nie będzie jadał chleba u stołu ani z żoną się zada oraz wiele innych rzeczy, które, choć ich nie po-

Don Kichote - Miguel Cervantez

mnę, ale jedną przysięgą tutaj obejmuję, póki nie pomszczę całkowicie zniewagi, jaka mię spotkała. Słysząc to, Sanczo rzekł:

- Zważcie, jegomość, panie Don Kichocie, że jeśli ten rycerz wypełni polece- nie wasze i stanie przed panią moją, Dulcyneą z Toboso, zadośćuczyni zobowiązana- niu swemu i nie zasłuży na żadną karę, chybaż nowy występek popełnił. – Słusznie gadasz i szybko wyłożyłeś - odparł Don Kichote - tedy odwołuję mą przysięgę co do powtórnej zemsty na nim, ale podtrzymuję i utwierdzam po raz wtóry, że będę wiódł życie, jak rzekłem, póki nie zdobędę na jakim rycerzu innego hełmu, równie zacnego jak ten. I nie myśl, Sanczo, że ta przysięga to dym słomia- ny, mam bowiem kogo w tym naśladować, dosłownie tak samo rzecz się miała z hełmem Mambryna, który tak drogo Sakrypanta kosztował.

- Jegomość, dajcie diabłu takie przysięgi - odparł Sanczo - gdyż na szwank zwolnienie przywodzą i szkodę sumieniu przynoszą. A jeśli, powiedziecie mi, przez dłuższy czas nie spotkamy człeka uzbrojonego w hełm, cóż poczniemy? Czyż trzeba będzie dotrzymać przysięgi mimo wszelkie niedogodności i niewczasy, spać zawsze w zbroi, nie sypiać pod dachem oraz tysiąc innych utratień znosić, jakie obejmuje przysięga tego starego wariata markiza z Mantui, który jegomość chcecie podjąć obecnie? Zważcie, jegomość, że po tych wszystkich drogach nie jeżdżą ludzie zbrojni, jeno mulnicy i woźnice, którzy nie tylko nie noszą hełmów, ale sądzą, odkąd żyją, nigdy o nich nie słyszeli.

- Grubo się mylisz - rzekł Don Kichote — gdyż i dwie godziny nie przeminą na tym rozstaju, a ujrzymy więcej zbrojnych, niż zbiegło się ich pod Albraką, aby zdobyć piękną Angelikę. Zamek w poemacie Boiarda Orland zakochany.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Ha, zatem niech i tak będzie - rzekł Sanczo - niech Bóg zezwoli, aby to nam na dobre wyszło i by nadszedł już czas, kiedy zyskam ową wyspę, która mię tak wiele kosztuje. A potem niech już

umrę.

- Mówiłem ci już, Sanczo, nie troszcz się o nic, o ile by wyspy nie stało, bę- dzie królestwo Danii albo Sobradiry1, które ci przyjdzie łatwo jak pierścień na pa- luch, tym bardziej że są one na stałym lądzie, co cię pewnie bardziej uraduje. Ale zostawmy do czasu tę sprawę, a obacz, czy nie masz w sakwach czego do zjedze- nia, abyśmy potem zaraz udali się na poszukiwanie jakiegoś zamku, gdzie byśmy na noc zatrzymać się mogli i przyrządzić ów balsam, o którym mówiłem, gdyż, dalibóg, ucho mi bardzo dolega.

- Oto mam cebulę, mam sera trochę i nie wiem, ile kromek chleba - rzekł San- czo - nie jest to wszelako pożywienie godne tak walecznego rycerza jak wasza miłość. - Nic się na tym nie rozumiesz! - odparł Don Kichote. - Masz wiedzieć, że honor to dla błędnych rycerzy i przez miesiąc cały nie jeść, a jeśli jedzą, to chyba, co im pod rękę popadnie; byłbyś tego pewien, gdybyś był przeczytał tyle powieści co ja, a choć czytałem ich wiele, w żadnej nie spotkałem opisu, aby błędni rycerze jedli, chyba przypadkiem lub na jakichś wystawnych ucztach wydanych na ich cześć, kiedy indziej obywali się byle czym. A rozumie się, że nie mogli się obejść bez po- żywienia i bez innych naturalnych potrzeb życiowych, będąc w rzeczy ludźmi jako i my, należy zatem rozumieć, iż pędząc życie najczęściej w lasach i pustkowiach bez kucharza, żywili się zwyczajnie potrawami prostymi jak te, którymi teraz mię częstujesz; tak więc, przyjacielu Sanczo, nie trap się tym, co mnie do smaku przy- pada, nie staraj się świata zmieniać ani błędnego rycerstwa z kolejny wyprowadzać. - Wybaczenie, jegomość - rzekł Sanczo - nie umiejąc bowiem, jak już powie- działem, ani czytać, ani pisać, nie znam i nie pojąłem reguł rycerskiego zawodu. Odtąd napychać będę sakwy różnego rodzaju

Don Kichote - Miguel Cervantez

suszonymi owocami dla jegomości jako dla rycerza, dla siebie zaś, który nim nie jestem, inną spyżą, smakowitszą i pozywniejszą. – Nie mówię - odparł Don Kichote - by powinnością błędnych rycerzy było karmić się jedynie tymi owocami, o których mówisz, choć powinny były one być ich najczęstszym pożywieniem wraz z pewnymi ziołami, znanimi im, jakie znajdowali na polach, a które i mnie są również znane.

- Ważna to rzecz - odrzekł Sanczo - znać się na ziołach, gdyż widzi mi się, że przyjdzie dzień, kiedy nam się ta znajomość bardzo przyda. To rzekłszy, wydobył z sakw jedzenie, jakie nosił, i obaj zajadali pospołu

w pokoju; lecz pragnąc poszukać, gdzie by nocować mogli, jedli spiesznie ten skromny i suchy posiłek. Po czym natychmiast na siodło wskoczyli i ruszyli, aby dotrzeć do jakiegoś osiedla, zanim noc zapadnie. Słońce jednak zaszło, a z nim nadzieja dojedania tam, gdzie chcieli, tak że postanowili spędzić noc w napotkanych szala-sach koziarzy. O ile Sanczowi markotno było nie dostać się pod dach, o tyle jego pan uradowany był noclegiem pod gołym niebem, gdyż ilekroć się to zdarzyło, zdawało mu się, że odziera pole, co go dowodnie utwierdzało w jego rycerskości. Królestwo wymyślone (Amadis z Galii). 71

ROZDZIAŁ JEDENASTY

o tym, co się zdarzyło Don Kichotowi u koziarzy
^oziarze przyjęli go życzliwie, a Sanczo,
umieściwszy Rosynanta i osła, jak mógł
najlepiej, poszedł za wonią, jaką rozsiewały
kawałki koziny gotującej się w kociołku na
ogniu; właśnie kiedy miał ochotę przekonać się,
czy już jest na tyle gotowa, aby ją przenieść z

Don Kichote - Miguel Cervantez

kociołka do brzucha, powstrzymał się, bo koziarze zdję- li ją z ognia, rozścierli na ziemi skórę owczą i szybko ów sielski stół przygotowaw- szy, zaprosili obu szczerym sercem na to, co mieli. Dookoła skóry zasiadło ich sze- ściu należących do tej stai, wprzód zaś z grzecznościami nieco rubasznymi zaprosi- li Don Kichota, aby usiadł na wywróconym korycie, które mu przystawili. Don

Kichote zasiadł, Sanczo zaś stanął za nim, aby podawać mu kubek wyżłobiony z rogu. Widząc go stojącego, pan jego rzekł:

- Abyś przekonał się, Sanczo, ile dobrego zawierają zasady błędnego rycer- stwa i jak ludzie jakąkolwiek służbę sprawujący winni być czczeni i szanowani przez wszystkich, chcę, abyś usiadł przy mnie w towarzystwie tych poczciwców i pospo- lu ze mną, twoim panem i przyrodzonym zwierzchnikiem, zajadał z mojej misy i pił z tego samego kubka; bowiem o błędnym rycerstwie rzec można to samo, co o mi- łości się mówi: że równa wszystko.

- Wielkie dzięki - rzekł Sanczo - lecz powiem jegomości, że bylebym miał co zjeść, równie dobrze i lepiej jeść mogę, stojąc, i sam, jak siedząc obok samego rycerza, a nawet, prawdę mówiąc, bardziej mi smakuje to, co zjem w mym kąciku bez ceregieli i komedii, choćby to był chleb z cebulą, niż indyki przy obcym stole, gdzie byłbym zmuszon żuć powoli, pić mało, często gębę obcierać, nie kichać, nie chrzą- kać, gdy mi ochota przyjdzie, ani też czego innego nie czynić, czemu w samotności i swobodzie folgować mogę. Tak więc, panie mój, te zaszcztyt, jakimi jegomość chce mię obdarzyć, jako sługę i zwolennika rycerstwa błędного, ponieważ jestem waszym gierkiem, raczcie zamienić na coś innego, co przyniesie mi większą wygodę i zysk; tych zaś, choć je za otrzymane uważam, wyrzekam się odtąd aż do końca świata. - Z tym

Don Kichote - Miguel Cervantez

wszystkim, siadaj zaraz, bowiem: Kto się poniża, Bóg go wywyższy. I chwyciwszy go za ramię, zmusił, by usiadł przy nim. Koziarze, nie rozumie-jąc nic z owego żargonu giermków i błędnych rycerzy, zajadali w milczeniu i przypatrywali się gościom, którzy z wielką ochotą i apetytem wsadzali do gęby kawały wielkie jak pięść. Po zjedzeniu dania mięsnego rozsypali na kożuchu kupę suchych żołędzi, obok zaś położyli pół sera twardszego niż kamień. Nie próżnował przy tym róg, krążącokoła (raz pełny, raz pusty, jak wiadro koła wodnego), tak że z łatwością wypróżniono jeden z dwóch bukłaków tam stojących. Skoro Don Kichote do brze żywot naładował, wziął garść żołędzi i przyglądając się im uważnie, zaczął mówić w te słowa: 72

- Szczęśliwy wiek i czasy szczęśliwe, którym starożytni miano złotych nadali, a nie dlatego, by złoto, które w naszym żelaznym wieku tak bardzo jest w cenie, zdobywano wówczas bez żadnego trudu, jeno dlatego, że ci, co wonczas żyli, nie znali tych dwóch wyrazów „moje” i „twoje”. W tych świętych czasach wszystkie dobra były wspólne; by zyskać pożywienie, wystarczyło bez trudu sięgnąć ręką i zebrać je z rozłożystych dębów, które szczodrze zapraszały do zrywania słodkich i soczystych owoców. Jasne zdroje i wartkie strumienie we wspaniałej obfitości do- starcały smacznych, przejrzystych wód. W szczelinach skał i dziuplach drzew za- kładały swoje republiki skrzetne i roztropne pszczoły, ofiarując każdemu bez żadnej zapłaty obfity plon swej najsłodszej pracy. Silne drzewa korkowe zrzucaly z siebie z dworną prostotą swe szerokie a lekkie kory, którymi, jedynie dla ochrony przed niełaskawością nieba, zaczęto pokrywać domy stojące na prostych palach. Wszystko było wówczas pokojem, przyjaźnią i zgodą: nie śmiał jeszcze ciężki lemiesz krzywego pługa otwierać i przetrząsać świętych wnętrzności naszej pramatki; ta bowiem, nieprzymuszona,

Don Kichote - Miguel Cervantez

wydawała ze swego urodzajnego i szerokiego łona wszystko, co mogło żywić, nasycić i uraczyć dzieci, które je wówczas posiadały. Wtedy to proste i piękne pastereczki błądziły z doliny w dolinę i ze wzgórza na wzgórze, w warkoczach, z odsłoniętą głową, tyle tylko ciała kryjąc codziennie, ile zawsze skromność uczciwie nakazywała i nakazuje; stroje ich były inne niż dziś używane, którym piękna i wspaniałość dodaje purpura tyryjska i jedwabie w różne wzory wytłaczane. Były to plecionki z jakichś liści zielonego łopianu i bluszcza, w których chadzały tak dumnie i uroczyście, jak dziś nasze dwornisie w rzadkich i zagrańczych wymysłach, którymi

próżniacza ciekawość je wabi. Wówczas tkliwe uczucia duszy stroiły się w słowa proste i szczerze, tak jak je ona poczęła, nie szukając sztucznych zwrotów, aby się korzystniej przedstawić. Oszustwo, obłuda i złość nie bruździły prostocie i prawdzie. Sprawiedliwość nie wychodziła poza właściwe grawice ani ją śmiały mącić i obrażać prywatą i interes, które dziś tak bruźdzają, mącą i prześladują. Prawo „widzi mi się" jeszcze nie zawładnęło umysłem sędziego, gdyż wówczas nie było jeszcze ani czego, ani kogo sądzić. Dziewice i niewinność, jako rzekłem, chadzały tu i tam same, panie swojej woli, bez obawy, aby je czyjaś swawa wola lub rozwiązłość splamić mogła, ich upadek rodził się z ich ochoty i własnej woli. Teraz zaś, w tych naszych wstrętnych czasach żadna z nich nie jest bezpieczna, choćby ją ukryto i zamknęto w nowym labiryncie, podobnym kretejskiemu, gdyż i tam, przez szpary i przez powietrze, ze skwapliwym, zdrożnym pośpiechem wciążka się miłosna zaraza i przywodzi je do zguby wbrew całej ich wstrzemięźliwości. Dla ich to

Don Kichote - Miguel Cervantez

bezpieczeństwa, kiedy złość z biegiem czasu wzrastała, ustanowiono zakon błędnych rycerzy, dziewczicom dla obrony, dla opieki wdowom i pomocy sierotom

i uciśnionym. Do tego zakonu i ja należę, bracia koziarze, którym dziękuję za dobre przyjęcie i gościnność, jakąście mnie

i memu giermkowi zgotowali. Choć bowiem

każdy człowiek z prawa przyrodzonego powinien zawsze rycerzom błędny po- magać, jednak ponieważ wy, tej powinności nieświadomi, ugościлиście mnie i ura- czyli, słusznie się wam należy podzięka z całej najlepszej mej chęci. Całe to przemówienie (bez którego łacno obejść się było można) wygłosił nasz

rycerz, bo żołędzie, które mu podano, przywiodły mu na pamięć wiek złoty, a przy-
73

szła mu fantazja wygłosić to niepotrzebne zgoła rozważanie do koziarzy, którzy bez słowa słuchali z otwartą gębą, osłupiali i niepewni. Sanczo nawet milczał i zajadał żołędzie, zaglądając coraz to do drugiego bukłaka, który dla ochłodzenia wina za-

wieszono na dębie korkowym. Dłużej Don Kichote gadał, niż trwała wieczerza; kiedy dobiegała końca, jeden z koziarzy rzekł:

Abyście, wasza miłość, panie błędny rycerzu, zaprawdę rzec mogli, że przy- jeśli my was z żywą i najlepszą chęcią, chcemy wam zrobić przyjemność i rozwese- lić; niech zaśpiewa jeden z naszych towarzyszy, który niebawem nadjejdzie; jest to

juhas bardzo rozmarnięty i okrutnie zakochany, który ponadto umie czytać i pisać, a na gęslikach tak pięknie gra, że rozkosz go słuchać. Zaledwie koziarz skończył te słowa, kiedy do uszu ich doszedł dźwięk gęśli- ków, a wkrótce potem nadszedł grajek. Był to chłopak około dwudziestoletni, bar-

Don Kichote - Miguel Cervantez

dzo udaly. Towarzysze zapytali go, czy wieczerzał, na potakującą odpowiedź ten, który rozmawiał z Don Kichotem, rzekł:

- W takim razie, Antek, zrób nam tę przyjemność i zaśpiewaj trochę, aby ten nasz pan gość przekonał się, że w górach i lasach także się na muzyce znają. Opo- wiadaliśmy mu o twoich zdolnościach i chcemy, abyś je okazał i nie wystawił nas na

kpów. Proszę cię więc, jako żywo, abyś zaśpiewał nam romance o twej miłości uło- żoną przez twego wuja księdza, która się tak we wsi podobała. – Z miłą chęcią- odpowiedział chłopak.

I nie dając się dłużej prosić, usiadł na pniu ściegatego dębu i nastroiwszy gęsliki, zaraz zanucił z wielkim wdziękiem w ten sposób: Antoni

Olallo, wiem, że mię kochasz,
Choć tegoś mi nie wyznała
Ni oczy twe nie zdradziły, . . . | , |
Te nieme usta kochania.

Lecz wiem, że jesteś rozumna, Ufam, żeś na mnie łaskawa.

Nigdy nieszczęsną nie była Miłość, co poznać się dała.

Dawałaś mi poznać, Olallo,
Już tyle razy, co prawda,
Że biała pierś twa jest głazem, Że dusza twa jak brąz twarda.
Jednak przez wszystkie wymówki

I uczciwości wzdragania
Nieraz kraj szaty ukradkiem Nadzieja moja odsłania.

74

Wyrywa się ku przynęcie
Wiara, co dotąd nie zgasła,
Nie znikła, choć jej nie wołasz, Nie wzrosła - bo niewybrana.
Gdy miłość jest zalotnością,
Wnoszę po pewnych oznakach,
Że ziszczą się me nadzieje I sny
pieszczone od dawnna.

Don Kichote - Miguel Cervantez

A jeśli pierś łaskawością

Moje rozczulą starania,

Może me dla cię usługi Umocnią mię w moich prawach.

Jeśli uważnie patrzyłaś,

Byłabyś nieraz wiedziała,

Że w poniedziałki chodziłem W

moich niedzielnych galach.

Bo miłość z strojnością w parze

Jednymi drogami chadza, Więc

zawsze ja twoim oczom Chciałem się

dwornie ukazać.

Przestałem tańczyć dla ciebie,

Nie wspomnę o

serenadach, Które w

noc słuchasz lub z

pierwszym Pieniem

koguta co rana.

Nie zmilczę tych wszystkich pochwał,

Którem piękności twej składał,

Choć zasłużone, sprawiły, Żem jest u

innych w niełaskach. Teresa Berrocal

rzekła, Słysząc o moich pochwałach:

„Myślisz, że wielbisz anioła. Zakochasz się - a to małpa!

Stroi się w marne błyskotki . ,

I włosy sobie przyprawia,

Na te fałszywe uroki

Złowi się miłość niebaczna". .. 75

Zadałem jej kłam, zagniewany,

Jej krewniak ujął się zaraz,

Wyzwał mię potem - wiesz dobrze, Jak sprawa się z nami miała.

Me chęci nie są występnne,

Przez służby mego kochania. u- L

Nie chcę cię mieć miłośnicą. Uczciwość jest w mych zamiarach.

Kościół zna więzy
mięciuchne Jakby
plecionka jedwabna,

Włóz szyję pod owo jarzmo, Zobaczysz, jak moją wkładam.

Jeśli zaś nie, to przysięgam

Na świętych najświętszych świata,

Że z gór tych nigdy nie wyjdę, Jak tylko w zakonnych szatach.

Na tym zakończył koziarz swą pieśń i choć Don Kichote prosił go, aby jeszcze coś zaśpiewał. Sanczo nie chciał przystać na to, miał bowiem większą ochotę spać, niż piosenek słuchać. I tak mówił do swego pana:

- Jegomość, moglibyście co rychlej upatrzyć miejsce na spoczynek nocny, gdyż całodniowa praca tych poczciwców nie pozwala im spędzać nocy na śpiewach.

- Rozumiem cię, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - i widzę dobrze, że za zagładanie do bukłaka przystoi raczej zapłata snem niż muzyką. - Wszystkim nam wyjdzie na zdrowie, chwalić Boga - odparł Sanczo. - Nie przeczę - odpowiedział Don Kichote - więc legnij sobie, gdzie chcesz, zaś ludziom mego zawodu przystoi raczej czuwać niż spać. Lecz z tym wszystkim, byłoby dobrze, Sanczo, gdybyś opatrzył mi ucho, które mi bardziej dokucza, niż należy. Sanczo zabrał się do spełnienia rozkazu, a jeden z koziarzy, ujrzał ranę, rzekł, aby się o nianie troszczyli, da im bowiem lek, który łatwo ją zgasi. I wziąwszy kilka listków rozmarynu, których tam była obfitość, pożuł je, zmieszał z odro-

biną soli, przyłożył do ucha, obandażował mocno i zapewnił, że nie będzie trzeba żadnych innych leków, co okazało się prawdą. 76

ROZDZIAŁ DWUNASTY

o tym, co opowiadał koziarz towarzyszom Don Kichota

Podczas tego nadszedł inny chłopak, z tych, którzy przynosili żywność ze wsi, i spytał: - Czy wiecie druhowie, co się stało we wsi?

- Skądże wiedzieć możemy? - odparł któryś.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Wiedziecie, że dziś rano zmarł ów słynny pasterz, student imieniem Chryzo-stom. Chodzą słuchy, że umarł z miłości do tej diabelskiej młodej Marceli, córki bogacza Guillerma, która po tych pustaciach w przebraniu pasterki błędzi.
- Przez Marcelę, powiadasz? - spytał jeden.
- A przez nią - odparł koziarz - i co lepsze, że w testamencie swoim polecił, by jak Maura pochowano go na polu, u stóp skały, gdzie bije „Źródło korkowego dębu”, gdyż, jak fama głosi, w tym miejscu ujrzał ją po raz pierwszy. Polecił także szereg innych rzeczy, ale księża we wsi powiadają, że ich wypełniać nie należy i nie byłoby dobrze, gdyby ich dopełniono, wydają się bowiem pogańskie. Na to wszystko odpowiada jego wielki przyjaciel, student Ambroży, który również przebrał się za pasterza wraz z nim, że wszystko co do jedyńki wypełnić należy, jak Chryzostom przykazał. Aż chodzi od tego cała wieś. W końcu, jak twierdzą, zrobi się tak, jak Ambroży i wszyscy pasterze, jego przyjaciele, żądają, i jutro rano pochowają go z wielką okazałością tam, gdzie powiedziałem. Co do mnie, sądzę, że warto by to zobaczyć; przynajmniej ja nie omieszkam tam pójść, o ile nie będę musiał rano wracać do wsi.
- Wszyscy tak zrobimy - odrzekli koziarze - i będziemy ciągnęli losy, kto ma tu pozostać, aby za wszystkich pilnować kóz.
- Dobrze mówisz, Piotrze - rzekł jeden z nich - choć nie trzeba się do tego uciekać, boja za wszystkich zostanę. Nie kładźcie tego na karb dobroci czy braku ciekawości, ale chodzić nie mogę, bo przed kilkoma dniami drzazga mi w nogę weszła. - Tak czy owak, dziękujemy ci - odparł Piotr.
Don Kichote prosił Piotra, aby powiedział mu, kim był ów nieboszczyk i jaka to była pasterka. Ów Piotr odpowiedział na to, że, o ile wie, zmarły był bogatym szlachcicem pochodzący z sąsiedniej miejscowości w tych górach. Studiował on wiele lat w Salamance, po czym wrócił do swej wsi, uchodząc za bardzo mądrego i ocztanego. Zwłaszcza,

Don Kichote - Miguel Cervantez

jak mówiono, znał się na gwiazdach i wiedział, co się dzieje ze słońcem i księżycem na niebie, gdyż najdokładniej przepowiadał zmienie słońca i miesiąca...

- Za zmienie mówi się, przyjacielu, a nie zmienie, gdy te dwie wielkie gwiazdy mierzchną - rzekł Don Kichote.

Lecz Piotr, nie zwracając uwagi na takie błahostki, dalej opowieść swą ciągnął, mówiąc:

- Podobnie odgadywał, czy rok będzie rodzajny, czy nierodzajny...- Urodzajny, chciałeś rzec, przyjacielu - poprawił Don Kichote. 77

- Urodzajny czy rodzajny - odparł Piotr - to wszystko jedno. A powiem, że dzięki tym radom ojciec jego i przyjaciele, którzy mu wierzyli, porośli w bogactwa, gdyż postępowali, jak im doradzał, mówiąc: „Siejcie w tym roku jęczmień, a nie

pszenicę, kiedy indziej możecie siać groch, a nie jęczmień, w bieżącym roku będzie obfitość oliwy, a przez trzy następne ani kropli nie zbierzecie”.

- Taka nauka nazywa się astrologią- wtrącił Don Kichote.

- Nie wiem, jak się tam nazywa - odparł Piotr - lecz wiem, że znał to wszystko, i nawet więcej. Wreszcie, zaledwie w kilka miesięcy po powrocie z Salamanki, zjawił się oto pewnego dnia w przebraniu pasterskim, z kosturem i w serdaku, zrzuciwszy długą szatę, którą jako student nosił, a wraz z nim przebrał się za pasterza jego wielki przyjaciel, zwany Ambroży, który był jego kolegą na studiach. Zapomniałem wam rzec, że nieboszczyk Chryzostom był wielkim mistrzem w układaniu wierszy; on to pisał kolędy na wigilię Bożego Narodzenia i misteria na Boże Ciało, które chłopcy w naszej wsi przedstawiali, i wszyscy mówili, że są doskonałe. Kiedy wieśniacy ujrzeliby nagle owych dwóch studentów przebranych za pasterzy, zdumiewali się i nie mogli dojść przyczyny, która ich do tak dziwnej przemiany przywiódła. W tym czasie umarł ojciec naszego Chryzostoma i ten odziedziczył wielkie majątki, tak w ruchomościach, jak w nieruchomościach, w niemałej liczbie rogacizny i nierogacizny, oraz znaczne sumy pieniędzy; młodzieniec stał się wyjątknym panem tego wszystkiego; po prawdzie zasłużył na to dobrze,

Don Kichote - Miguel Cervantez

gdyż był dobrym kompanem, litościwym i przyjacielem ludzi uczciwych, a twarz miał jak błogosławieństwo Boże. Później na jaw wyszło, że zmienił odzienie jedynie dlatego, aby błędzić po tych pustaciach za pasterką Marcelą, o której nasz juhas dopiero co wspomniał, a w której nieszczęsny zmarły Chryzostom na umór się zadurzył. I chcę wam powiedzieć, bo dobrze, abyście wiedzieli, kim jest ta młódka, gdyż być może, a raczej na pewne, nigdy w życiu waszym, choćbyście żyli dłużej niż sarna, nie słyszeli byście o podobnej rzeczy...

- Mówcie: Sara - przerwał Don Kichote, nie mogąc znieść przekręcania wyrazów przez koziarza. - Dość długo żyje sarna - rzekł Piotr - jeśli zaś, panie, będziecie mię łapać za każde słowo, i do roku nie skończymy.

- Wybacz, przyjacielu - rzekł Don Kichote - powiedziałem to, bowiem wielka jest różnica między sarną a Sarą, lecz odpowiedziałeś mi słusznie, że długo żyją sarna i Sara, opowiadajcie dalej, już więcej

przerywać nie będę. - Powiedziałem więc, mój dobry panie, że we wsi naszej żył rolnik, jeszcze od

ojca Chryzostoma bogatszy, zwał się Guillermo, temu Bóg dodał

„amen” do licznych i wielkich bogactw, córkę, przy której urodzeniu umarła matka, niewiasta na całą okolicę najszanowniejsza.

Jak dziś ją widzę, zda się, że na obliczu jej z jednej strony świeci słońce, a z drugiej księżyc, ponad wszystko gospodarna i opiekunka ubogich. Dlatego wierzę, dziś dusza jej musi radować się z Bogiem na tamtym

1 Niemożliwa do oddania hiszpańska gra słów: sarna - świerzb i Sara - małżonka Abraha-

ma. Dowcip ma polegać na tym, że żona Abrahama była wiekowa, a wedle ludowego przesądu hiszpańskiego świerzb zapewnia długowieczność.

78

świecie. Z żalu po śmierci tak dobrej żony pomarł mąż jej Guillermo, pozostawiwszy swą córkę Marcelę, malutką bogatą, pod opieką jej

Don Kichote - Miguel Cervantez

wuja księdza, prebenda- riuszał naszej wsi. Dziewczynka wzrastała w takiej piękności, że przypominała nam matkę swoją wielce urodziwą, jednak uważano, że urodę ją przewyższy. I tak się stało; gdy doszła do czternastego czy piętnastego roku życia, każdy, kto ją ujrzał, błogosławił Boga, że stworzył ją tak cudną; wielu rozmiłowało się w niej i głowę straciło. Wuj chował ją w wielkiej skromności i zamknięciu; lecz mimo to wieść ojej urodzie rozszerzała się tak, że zarówno dla niej, jak i dla jej wielkiego majątku zalotnicy nie tylko z naszej wsi, ale także z innych na wiele mil wokoło, i to z najlepszych rodzin, prosili, ubiegali się i napierali na wuja, aby ją im dał za żonę. Ale ten, jako człek uczciwy i dobry chrześcijanin, choć rad był ją wydać co przedzej, gdyż i wiek jej był po temu, nie chciał jednak tego uczynić bez jej zgody; jeśli odwlekał wydanie jej za mąż, nie czynił tego przez wzgląd na zyski i korzyści, jakie przynosiły mu zarząd majątku dziewczyny. I to zaiste stwierdzono na niejednym we wsi zgromadzeniu na pochwałę dobrego kapłana, chcę bowiem, byście wiedzieli, panie rycerzu błędny, że w tych małych wioskach o wszystkim się rozprawia i o wszystkim się szepce, i bądźcie pewni, jak ja, że niezwykle zacnym musi być ksiądz, o którym parafianie dobrze mówią, a przede wszystkim na wsi.

- To prawda - rzekł Don Kichote - lecz mówcie dalej, gdyż opowieść jest bardzo piękna, a wy, zacny Piotrze, macie dar opowiadania.

- Oby Bóg mi swej łaski użyczył, tylko o to mi chodzi. Wiedziecie tedy, że kiedy wuj przedstawił siostrzenicy przymioty każdego z osobna spośród licznych załotników, prosiąc, by wybrała wedle swego upodobania, ona stale

Don Kichote - Miguel Cervantez

odpowiadała tylko, że obecnie nie ma zamiaru iść za mąż i będąc tak bardzo młoda, nie czuje się na siłach, aby jarzmu małżeńskiemu podołać. Wymówki te zdawały się słuszne i wuj przestał ją nagabywać, mając nadzieję, że gdy podejdzie w lata, potrafi wybrać to- warzysza wedle swej woli. Mawiał bowiem, a mawiał bardzo trafnie, że rodzice nie powinni o stanie dzieci wbrew ich woli stanowić. Aż pewnego dnia, niespodzianie, okazało się, że ślicznotka Marcela stała się pasterką, i nadaremnie wuj oraz wszyscy włościanie starali się ją od tego odwieść, zaczęła chodzić na polany z innymi juhaskami miejscowymi i własnej swej trzody pilnować. Kiedy tak ukazała się otwarcie w całym blasku urody, nie potrafię wam dokładnie powiedzieć, ilu bogatych młodzieńców, szlachty czy wieśniaków, przywdziało szaty Chryzostoma i za nią na te polany w zaloty; jednym z nich, jak już wspomniałem, był nasz nieboszczyk, o którym mówiono, że nie tylko kochał, ale ją uwielbiał. Niech nikt nie myśli, że Marcela, wyrwawszy się tak na swobodę, na życie wolne i proste, bez żadnego przymusu, pozwalała na jakieś podejrzenie lub pozór uwłaczający jej uczciwości i skromności; przeciwnie, tak czujnie czci swej strzegła, że żaden ze starających i zalotników nie mógł się pochwalić, ani co prawda nie będzie się mógł chwalić, żeby mu dała najmniejszą choćby nadzieję spełnienia jego pragnień. Gdyż choć nie unika i nie stroni od towarzystwa i rozmów pasterzy, choć traktuje ich grzecznie i przyjaźnie, niech no który zdradzi swe zamiary, choćby tak prawe i święte jak małżeń-

prebendariusz- osoba korzystająca z dóbr lub honorariów kościelnych; prebendarz.

79

stwo, odrzuci go na strzał garłacza! I przez to dziwne postępowanie więcej szkody tej ziemi wyrządza niż zaraza, wdzięk jej bowiem i uroda przyciągają serca tych, którzy z nią przebywają, by jej służyć i kochać ją, zaś jej wzgarda i niechęć przy- prowadzają ich do krańcowej rozpaczki, więc nie wiedzą, co mówić, i krzyczą za nią: „Okrutnica! Niewdzięczna!”, i inne podobne wyzwiska, które jej usposobienie malują. I gdybyście pozostali tu, panie, przez kilka dni, usłyszeliście, jak góry te i doliny rozbrzmiewają skargami wzgardzonych, co się za nią włóczę. Niedaleko stąd jest miejsce, gdzie rośnie około dwóch tuzinów wielkich buków. Nie masz tam ani jednego, który by na swej gładkiej korze nie nosił wyrżniętego lub wypisanego imienia Marcelli, a ponad niektórymi wyrżnięta jest na tymże drzewie korona, jakby kochanek chciał najjaśniej ogłosić, że Marcela godna jest wyniesienia ponad wszelką piękność ludzką. Tu jeden pasterz wzducha, tam drugi się żali, stąd słyszać pieśni miłosne, stamtąd rozpaczliwe skargi. Ten trawi wszystkie godziny nocy, siedząc u stóp jakiegoś dębu czy skały i tam, nie zamykając zapłakanych oczu, upojony i zachwycony, w myślach trwa tak aż do wschodu słońca; ów zaś, nie zaprzestając wzduchań ani na chwilę, w najgorszy upał letniego południa leży na rozpalonym piasku, śląc w litościwe niebo lamenty swoje; lecz i nad tym, i nad owym, nad jednymi i drugimi wolna i niefrasobliwa triumfuje piękna Marcela; wszyscy, którzy ją znamy, czekamy, jaki będzie kres jej dumy i kto będzie tym szczęśliwcem, który ujarzmi tę straszną naturę i rozkoszować się będzie jej

Don Kichote - Miguel Cervantez

najwyższą pięknością. A po- nieważ wszystko to, co opowiedziałem, jest stwierdzoną prawdą, jestem przekona-ny, iż również prawdą jest, co gadają o przyczynie śmierci Chryzostoma, o czym nasz juhas mówił. A więc radzę wam, panie, abyście nie omieszkali jutro rano być na jego pogrzebie, warto to będzie widzieć, gdyż Chryzostom liczył wielu przyja- ciół, a stąd na miejsce, gdzie go pogrześć mają, jest zaledwie pół mili.

- Rozważę to - rzekł Don Kichote - i dziękuję wam za zadowolenie, jakie mi sprawiliście, opowiadając tak zajmującą opowieść.

- O! - odparł koziarz - nie znam ja i połowy różnych przygód, jakich doznali kochankowie Marcelli, lecz może się zdarzyć, że rankiem spotkamy w drodze jakieś goś pasterza, który nam je opowie. Na teraz dobrze byłoby, abyście zaraz spać po- szli pod dach, bo chłód nocy mógłby waszej ranie zaszkodzić, choć przy leku, jaki wam położyłem, nie ma się czego obawiać.

Sanczo Pansa, który już diabłu oddawał długą gadanię koziarza, nastawa! ze swej strony, aby jego pan poszedł spać do szałasu Piotra. Uczynił tak Don Kichote i całą noc spędził na rozmyślaniach o swej pani Dulcynei, za przykładem kochan-

ków Marcelli. Sanczo Pansa ułożył się między Rosynantem a swym osłem i spał, nie jak wzgardzony kochanek, ale jak człek kijami zmłócony. garłacz- dawna broń palna, strzelba z lufą rozszerzoną u wylotu. 80

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

w którym kończy się opowieść o pasterce Marcelli oraz o innych zdarzeniach Zaledwie zaczynało dnieć na balkonach wschodu, kiedy pięciu z sześciu ko- ziarzy wstało, poszło obudzić Don Kichota, by dowiedzieć się, czy trwa w zamia-

Don Kichote - Miguel Cervantez

rze i chce pójść oglądać świetny pogrzeb Chryzostoma, gdyż gotowi mu towarzyszyć. Don Kichote, którego to było żywym pragnieniem, wstał i polecił Sanczowi konia siodłać i osłu nałożyć terlicę, nie mieszkając, co tamten z wielkim pośpiechem wypełnił, i natychmiast rąco w drogę wszyscy ruszyli. Nie ujechali i dwieście mili, gdy na skrzyżowaniu szlaku ujrzeli zbliżających się sześciu pasterzy odzianych w czarne kożuchy, z cyprysowymi i laurowymi wieńcami na głowach. Każdy z nich niósł w ręku gruby kij z ostrokrzewu. Z nimi jechało konno również dwóch szlachciców dobrze do podróży zaopatrzonych, a trzech pachołków pieszo im towarzyszyło. Zbliżywszy się, pozdrawili się dwornie wzajem i zapytali jedni drugich

o cel podróży; dowiedziawszy się, że wszyscy dążą na miejsce pogrzebu, pojechali razem dalej.

Jeden z jeźdźców, rozmawiając z towarzyszem, mówił:

- Zdaje mi się, mości Vivaldo, że nie stracimy czasu, chcąc przyjrzeć się temu świetnemu pogrzebowi, powinien bowiem wypaść wspaniale, wedle tych osobliwości, jakie opowiadały pasterze zarówno o zmarłym, jak o mężobójczej pasterce.

- I mnie się tak zdaje - odpowiedział Vivaldo - nie chodzi mi o stratę jednego dnia, straciłbym i cztery, aby to zobaczyć. Zapytał ich Don Kichote, co słyszeli o Marcelli i o Chryzostomie. Podróżny odpowiedział, że tego ranka spotkali owych pasterzy i widząc ich w żałobnych szatach, zapytali o przyczynę takiego przebrania. Jeden z pasterzy opowiedział im o dziwactwie i piękności pewnej pasterki zwanej Marcelą, o miłości wielu zalotników oraz o śmierci tego Chryzostoma, na

Don Kichote - Miguel Cervantez

którego pogrzeb zdążają. W końcu powtórzył to wszystko, co Piotr opowiadał Don Kichotowi. Po tej rozmowie zaczęli inną. I ten, którego zwano Vivaldo, zapytał Don Kicho- ta, co zmusza go do podróżowania w pełnym uzbrojeniu przez kraj tak spokojny.

Na to Don Kichote odpowiedział:

- Mój stan i powołanie nie pozwalają mi jeździć inaczej. Przysmaki, biesiady i wygody wymyślone zostały dla zniewieściałych dworaków; trud, niepokój i zbroja są stworzone i przeznaczone jedynie dla tych, których świat zwie błędymi rycerzami, pomiędzy którymi ja, niegodny, jestem najmniejszy ze wszystkich. Zaledwie to usłyszeli, wszyscy wzięli go za szaleńca i aby się upewnić i przekonać, jakiego to rodzaju było szaleństwo, Vivaldo zwrócił się do niego z zapytaniem, co to są błędni rycerze.

- Czyż mości panowie nie czytali - odpowiedział Don Kichote - roczników i historii Anglii, opowiadających o słynnych czynach króla Artura, którego po 81 wszechnie w naszym ludowym kastylskim języku królem Artusem zwiemy? Jest o nim starodawne podanie, wspólne całemu Królestwu Wielkiej Brytanii, że ów król nie umarł, lecz czarodziejską sztuką zamienił się w kruka i gdy czas nadjdzie, znów powróci królować i odzyskać królestwo i berło; dla tej przyczyny nigdy aż po dziś dzień żaden Anglik kruka nie zabije. Otóż za czasów tego zacnego króla ustalone zostały zakony Rycerzy Okrągłego Stołu i miały miejsce, najdokładniej tam opowiadana, miłość Lancelota z Jeziora i królowej Ginewry, pośredniczką i powiernicą której była czcigodna dworka Kwintaniona. To dało początek tak znanej i śpiewanej w całej naszej Hiszpanii romancji:

Ze wszystkich w świecie rycerzy

Damy najwdzięczniej

służyły Lancelotowi,

gdy wracał

Z Bretanii znów w kraj swój miły.

1 ciąg dalszy tak wdzięczny i słodki o miłości owej i jego bohateriskich czynach. Od tego czasu zakon rycerski krok za krokiem zaczął się rozszerzać i rozprzestrzeniać w licznych i różnych częściach świata. A w nim stali się sławni i znani, dzięki swym przewagom, mążny Amadis z Galii wraz ze wszystkimi synami i wnukami aż do piątego pokolenia, dzielny Feliksmarte z Hirkanii oraz ów Tyrant Biały, którego nigdy dość wysławić nie można; za naszych już prawie czasów widzieliśmy, znaliśmy i słyszeliśmy o niezwyciężonym i dzielnym rycerzu Don Belianisie z Grecji. Oto, mości panowie, co znaczy być błędnym rycerzem, zaś zakon tego rycerstwa jest taki, jak powiedziałem: do niego, jak już rzekłem, ja, choć niegodny, nalezę, przestrze- gając tych samych praw, jakich przestrzegali wspomniani rycerze. I tak błądzę przez te pustacie i ostupy, szukając przygód, gotów z całej duszy stawić ramię i osobę własną w najniebezpieczniejszej przygodzie, jaką mi los nadarzy, w obronie sła- bych i potrzebujących. Dzięki tym wywodom podróżni ostatecznie przekonali się, że Don Kichotowi brak rozsądku, i poznali, jakiego rodzaju szaleństwo go opanowało; przejęło to ich zdumieniem, jakie ogarniało wszystkich, którzy się z nim pierwszy raz zetknęli. Vivaldo, który był wielki dowcipniś i krotochwilnego usposobienia, aby nie nudzić się przez resztę drogi, jaką mieli jeszcze przebyć, zanim dojadą do gór, gdzie miał się odbyć pogrzeb, chciał mu dać sposobność dalszego rozwinięcia jego dziwactw i tak rzekł:

- Zdaje mi się, panie rycerzu błędny, że waszmość wybrałeś sobie najuciąż- liwszy i najsurowszy zawód na ziemi; uważam, że nawet zakon braci kartuzów nie jest tak srogi.

Don Kichote - Miguel Cervantez

-Może być równie surowy- odpowiedział rycerz-ale czy jest równie światu potrzebny? O dwa palce jestem od podania tego w wątpliwość. Prawdę rzeklszy bowiem, żołnierz wykonujący rozkaz dowódcy nie czyni mniej niżli tenże sam dowódca, który rozkaz wydaje. Chcę powiedzieć, że zakonnicy z całym spokojem i bezpieczeństwem modlą się niebu o dobra ziemskie, lecz my, żołnierze i rycerze, w czyn wprowadzamy to, o co oni się modlą, bronimy tego męstwem naszych ra-

82

mion i ostrzem naszych mieczy, nie w bezpiecznym ukryciu, lecz pod otwartym niebem, wystawiając się na nieznośne promienie słońca w lecie, zaś na ostre mrozy zimą. Jesteśmy zatem slugami Boga na ziemi i ramionami jego sprawiedliwości. A jako sprawy wojny i wszelkie z nią związane, i jej się tyczające mogą być wykony- wane jedynie w pocie czoła, wśród trudów i mozołów, wynika z tego, że ci, których jest to powołaniem, bez wątpienia większego trudu zaznają niż owi, co w ciszy i spokoju modlą się do Boga za tych, którzy są w potrzebie. Nie chcę wcale twier- dzić, ani przez myśl mi to nie przechodzi, żeby stan błędnego rycerstwa był równie godny jak ścisłego zakonnika; mogę tylko wnosić z tego, co cierpię, że bez wąpie- nia jest bardziej uciążliwy, bardziej narażony, w głodzie, pragnieniu, nędzy, łach- manach i wśród robactwa, gdyż bezsprzecznie rycerze błędni w ciągu życia zaznali wielu utrapień. I jeśli jednym udało się, dzięki męstwu swego ramienia, cesarstwa dostąpić, zaiste trza wierzyć, że sowicie za to zapłacili krwią swoją i potem, i gdyby

Don Kichote - Miguel Cervantez

tym, którzy do tej godności doszli, nie stało cudowidzów i mędrców ku pomocy, ogołoceni zostaliby z marzeń i zawiedzeni

w nadziejach. - Jestem tego samego zdania — odparł podróżny — ale między wieloma innymi

jedna rzecz nie podoba mi się u błędnych rycerzy, a to, że kiedy zdarza się im wda- wać w jakąś wielką i niebezpieczną przygodę, w której grozi im oczywista utrata życia, nigdy w tym momencie nie pamiętają polecić się Bogu, jak każdy chrześcija- nin w podobnych niebezpieczeństwach czynić powinien; przeciwnie, polecają się

swym damom z takim zapałem i nabożeństwem, jakby one były ich Bogiem, rzecz, która zdaje mi się cuchnąć pogaństwem.

- Panie - odparł Don Kichote — nie może w żaden sposób być inaczej i źle by sobie poczynał błędny rycerz, inaczej postępując, gdyż w zwyczaj i obyczaj rycer- stwa błędnego weszło, że błędny rycerz, ważąc się na jakiś czyn zbrojny w obecno- ści swej damy, ku niej obraca wzrok pełen tkliwości i miłości, jakby błagając, by go w opiece miała i broniła w tym niepewnym spotkaniu, na jakie się naraża; co wię- cej, choćby go nikt nie słyszał, powinien wypowiedzieć słów kilka po cichu, pole- cając się jej z całego serca; mamy tego niezliczone przykłady w powieściach. Nie należy przez to mniemać, że nie mają polecać się Bogu, gdyż i czas, i miejsce po temu jest nawet w ogniu walki.

- Mimo wszystko - odparł podróżny - zostaje mi jeden skrupuł. Oto niejedno- krotnie czytałem, że dwaj rycerze błędni wiodą z sobą rozmowę i od słowa do słowa do gniewu się

przywodzą: zatoczywszy końmi na polu, by zyskać miejsce dosta- teczne, natychmiast ni stąd, ni zoward pełnym galopem rzucają się na siebie i w cza- sie biegu polecają się swym damom. W takim spotkaniu dzieje się zwykle, że jeden zwala się z konia, przebity na wskroś kopią przeciwnika, drugi zaś, gdyby się grzywy końskiejj nie trzymał, spadłby również na ziemię. Zaiste nie wiem, jak ten zabity zdołał znaleźć czas na polecenie się Bogu w tak naglej rozprawie. Lepiej byłoby, aby słów, którymi w biegu polecał się swej damie, użył na to, co było jego obowiąz- kiem jako chrześcijanina. Tym bardziej że uważam, iż nie wszyscy rycerze błędni mają damy, którym by się polecić mogli, nie wszyscy bowiem są zakochani. - Nie może to być! - odrzekł Don Kichote. - Twierdzę, że nie może istnieć błędny rycerz bez pani serca, gdyż dla nich tak właściwą i przyrodzoną sprawą jest

83

być zakochanym, jak niebu świecić gwiazdami i na pewne nigdy takiej historii nie słyszano, gdzie by się błędny rycerz bez miłości znalazły, a przyjawszy nawet, żeby się taki traf zdarzył, nie uważano by go za prawego rycerza, lecz za bękartą, który wszedł do twierdzy rycerstwa nie drzwiami, ale chyba przez płot, jak hultaj i zło- dziej. - Niemniej - mówił podróżny - zdaje mi się, o ile sobie dobrze przypominam, czytałem, że Don Galaor, brat dzielnego Amadisa z Galii, nigdy nie miał słynnej pani, której by się mógł polecić, a mimo to niemniej był szanowany i był bardzo dzielnym i sławnym rycerzem.

Na to odpowiedział nasz Don Kichote:

- Panie, jedna jaskółka nie czyni lata; tym bardziej że wiem o wielkiej, tajnej miłości tego rycerza; poza tym, zalecanie się do wszystkich,

które mu się podobały, było jego przyrodzoną skłonnością, której na wodzy utrzymać nie umiał. Jednak, by skończyć, dowiedzione jest, że miał jedną, którą panią swej woli uczynił, której często się polecał skrycie, gdyż chlubił się, że jest bardzo tajemniczym rycerzem.

- A zatem, jeśli właściwością rycerza błędnego jest być zakochanym

- rzekł podróżny - należy wierzyć, że waszmość jest nim, jako że takie jest wasze powołanie. Jeśli zaś wasza miłość nie zechce być równie skrytym jak Don Galaor, usilnie proszę w imieniu całego towarzystwa i w moim własnym, zdradźcie nam imię, ojczynę, stan i piękność waszej pani; powinna by się uważać za szczęśliwą, że cały świat dowie się, iż miłuje ją i służy jej taki rycerz jak wasza miłość.

Tu Don Kichote westchnał głęboko i rzekł:

- Nie mogę ręczyć, czy ta słodka moja nieprzyjaciółka cieszy się będzie, czy nie, gdy świat się dowie, że jej służę; jedno rzec mogę, odpowiadając na pytania zadane mi z taką uprzejmością, że imię jej jest Dulcynea, ojczyną Toboso, wioska

Manczy; staniej co najmniej książęcy, jest bowiem królową i panią moją; piękność jej nadludzka, w niej bowiem rzeczywistymi się stały wszelkie niepodobne do wiaty i chimeryczne przymioty piękności, jakie poeci swym damom nadawali: włosy jej - złoto szczere, jej czoło - Pola Elizejskie, brwi jej - łuki tęczy, oczy jej - słońca, lica jej - róże, wargi - korale, zęby jej - perły, alabastrem - szyja, marmurem - piersi, z kości słoniowej jej ręce,

Don Kichote - Miguel Cervantez

białość jej - śniegiem, zaś części ciała, które przed

wzrokiem ludzkim skromność zakrywa, takie są, jak mniemam i przeczuwam, że jeno z oględzą częścią je wysławiać można, lecz nigdy porównywać. - Chcielibyśmy się dowiedzieć czegoś o jej rodzie, pochodzeniu i pokrewieństwie - przerwał Vivaldo. Na to odrzekł Don Kichote:

- Nie wywodzi się z rodu starożytnych Kurcuszów, Gajów, Scypionów rzymskich ani z nowożytnych Colonów i Ursinów, ani też z Moncadów i Requesenów z Katalonii, tym mniej z Rebellów i Villanovów z Walencji, z Palafoxów, Nuzów,

Rocabertich, Corellich, Lunów, Alagonów, Urreów, Foków i Gurreów z Aragonii,

Cerdów, Manriquów, Mendozów i Guzmanów z Kastylii, Alencastrów, Pallów i Menesów z Portugalii, lecz jest z rodu Tobosów z Manczy. Ród ten, choć młodszy, godzien dać początek najznamienitszym rodzinom wieków przyszłych. Niech mi nikt zaprzeczyć się nie waży, chyba pod warunkiem, jaki Cervino wypisał pod trofeami z Rolandowej broni, a który głosił: 84

...Niech jej nikt nie ruszy,
Komu do walk z Rolandem może braknąć duszy.

- Choć mój ród pochodzi od Kaczopinów z Laredo - odrzekł podróżny - nie ważyłbym się równać z rodem Toboso z Manczy, mimo że, prawdę rzekłszy, dotąd do uszu mych nigdy takie nazwisko nie doszło.

- Jakże to być może, aby nie doszło? - odparł Don Kichote. Z wielką uwagą przysłuchiwali się wszyscy pozostali rozmowie owych dwóch

i wszyscy, nawet koziarze i pasterze, zdali sobie sprawę z wielkiego obłędu naszego Don Kichota. Jedynie Sanczo Pansa wierzył we wszystko, co pan

Don Kichote - Miguel Cervantez

jego opowiadał, wiedząc, kim był, i znając go od urodzenia; wątpliwość żywiał tylko co do pięknej Dulcynei z Toboso, nigdy bowiem nie słyszał o takim imieniu ani o księżniczce, która by je nosiła, choć mieszkał blisko Toboso. Jechali tak, gawędząc, gdy spostrzegli, że wąwozem, między dwiema wysokimi górami, schodziło około dwudziestu pasterzy, wszyscy w czarnych kożuchach z wieńcami na głowach, które -jak się wkrótce okazało - były bądź z cisu, bądź z cyprysów. Sześciu pośród nich niosło trumnę pokrytą wielką rozmaitością kwiatów i gałęzi. Co widząc, jeden z kozia- rzy rzekł:

- Ci, którzy tu schodzą, niosą ciało Chryzostoma, zaś u stóp owej góry jest miejsce, gdzie się pochować kazał. Na to przyśpieszyli kroku, czas był już, gdyż przybyli złożyli trumnę na ziemi i czterech z nich ostrymi czekanami zaczęły kopać grób pod ścianą twardej skały. Powitali jedni drugich dwornie i zaraz Don Kichote i ci, którzy z nim przybyli, jeśli przyglądać się trumnie, w której ujrzel martwe ciało pokryte kwiatami, w dzień pasterza, jak się zdawało, w wieku około lat trzydziestu i choć był umarły, znać było, że za życia miał oblicze urodziwe i wdzięczną postać. Dokoła niego w trumnie leżało kilka książek i wiele zeszytów

otwartych lub zamkniętych. Zarówno ci, którzy się przypatrywali, jak i kopiący grób, zachowywali dziwne milczenie, wreszcie jeden z tych, którzy zmarłego przynieśli, rzekł do drugiego:

- Zobacz dobrze, Ambroży, czy to jest miejsce, o którym Chryzostom mówił, chcecie bowiem dokładnie wypełnić, co w testamencie swym polecił.

- Tak, to tutaj - odparł Ambroży - nieraz mi tu opowiadał mój nieszczęsny przyjaciel historię swej niedoli. Tu, mówił, ujrzał po raz pierwszy ową

Don Kichote - Miguel Cervantez

śmiertelną nieprzyjaciółkę rodu ludzkiego i tu również po raz pierwszy wyznał jej swe uczucia, równie uczciwe, jak rozmiłowane, i tu po raz ostatni Marcela odrzuciła go i wzgardziła nim tak, że kres położył tragedii swego nędznego żywota. I tu, ku pamięci tylu cierpień, chciał, aby go złożyć we wnętrznościach wiecznego zapomnienia.

A zwracając się do Don Kichota i podróżnych, ciągnął dalej, mówiąc: - Ten zewłok, panowie, na który litosnym okiem spoglądacie, krył duszę, w której niebo złożyło nieskończone bogactwa. Jest to ciało Chryzostoma, który

1 Tak w Hiszpanii nazywano tych, których bieda pędziła za ocean, skąd często wracali wzbo-gaceni. 85

nie miał równego sobie w umyśle, dworności, w niepospolitej zacności, był feniksem w przyjaźni, wspaniałomyślnym bez rachuby, poważnym bez nadętości, wesołym bez poniżenia, wreszcie pierwszym we wszystkim, co szlachetne, a nieostatnim w cierpieniu. Kochał, a był znienawidzony, uwielbiał, a był wzgardzony, bła-gał okrutnicę, chciał marmur poruszyć, gonił wiatr, krzykiem samotność napełniał, służył niewdzięczności, od której w nagrodę uzyskał, że stał się łupem śmierci w połowie drogi życia; kres położyła mu pasterka, którą starał się unieśmiertelić, aby w ludzkiej pamięci żyła wiecznie, jak o tym świadczyć mogłyby te papiery, jakie tu widzicie, gdyby mi nie był przykazał rzucić je w ogień, kiedy ciało jego ziemi powierzymy.

- Postąpiliście z większą surowością i okrucieństwem z nimi niż sam ich pan - rzekł

Don Kichote - Miguel Cervantez

Vivaldo - nie jest rzeczą słuszną i godziwą wypełniać czyjas wolę wbrew rozsądkowi. Nie posiadałby go i August Cezar, gdyby się był zgodził na wykonanie tego, co polecił w testamencie swoim boski mantuańczyk. Tak więc, panie Ambro-

ży, choć oddacie ziemi ciało waszego druha, nie rzucajcie w niepamięć jego pism, nie wypełniajcie w nierozwadze tego,

co on w rozzaleniu polecił. Przeciwnie, ocalając życie tym papierom, sprawcie, by wiecznie żyło okrucieństwo Marcelli, aby było przykładem dla żyjących w przyszłych wiekach, by się mieli na bacznosci i strzegli przed upadkiem w podobne przepaści. Mnie i wszystkim, którzyśmy tu przyszli, znana jest historia waszego zakochanego i zrozpaczonego przyjaciela, wiemy o przyjaźni waszej, o okolicznościach jego śmierci. Z tej żałosliwej historii wniesć można, jaka była srogość Marcelli, miłość Chryzostoma, wierność waszej przyjaźni i jaki koniec czeka tych, którzy popuszczając wodze, rzucają się na ścieżkę, jaką ukazuje ich oczom złudna miłość. Wczoraj wieczorem dowiedzieliśmy się o śmierci Chryzostoma i że w tym miejscu ma być pogrzebany, więc wiedzeni ciękawością i współczuciem, zboczyliśmy z naszej drogi, postanawiając na własne oczy zobaczyć to, o czym słuchaliśmy z takim wzruszeniem. W zamian za tę litość i za ożywiające nas pragnienie, aby złemu zaradzić, o ile byśmy zdołali, prosimy was,

rozważny Ambroży, a przynajmniej ja was we własnym imieniu proszę, abyście nie rzucali w ogień tych papierów, lecz pozwolili mi zabrać

Don Kichote - Miguel Cervantez

niektóre. I nie czekając na odpowiedź pasterza, wyciągnął rękę i wziął kilka kartek do koła leżących; widząc to, Ambroży rzekł:

- Przez grzeczność zezwalam, abyście zatrzymali, panie, te, które już zabrali- ście, lecz na przόżno prosicie, abym zaniechał spalenia reszty. Vivaldo, pragnąc dowiedzieć się, co zawierały papiery, rozłożył natychmiast

jeden i spostrzegł, że nosił tytuł Pieśń rozpaczy. Usłyszawszy to, Ambroży rzekł:

- Jest to ostatni utwór, jaki napisał nieszczęsny, i abyście się, panie, przekonać mogli, do czego niedola go przywiódła, przeczytajcie głośno; starczy na to czasu, zanim grób wykopię. – Bardzo chętnie to uczynię - rzekł Vivaldo.

I kiedy wszyscy obecni, tę samą chęć okazawszy, otoczyli go kołem, on czytał głośno, co następuje:

86

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

który zawiera rozpaczliwe wiersze zmarłego pasterza i opowiada o innych niespodzianych
zdarzeniach

Pieśń Chryzostoma

Gdy chcesz, okrutna, aby ogłoszono

W wszystkich językach i po całej ziemi

Twojej srogości i bezlitosnej siły,

Sprawię, że samo srogie piekieł łono

Przepoi pierś mą tonami takiemi, Które by głos mój zwykły odmieniły.

Wedle mych pragnień, co się wysiliły,

By śpiewać ból mój i twą niegodziwość,

W głosie żałosne podniosą się jęki,

A do nich wmieszam dla większej udręki

Kawałki serca wydarte na żywo. Słuchaj, z

uwagą nachyl twego ucha.

To nie jest harmonijny dźwięk, lecz głucha

Skarga, co z piersi zgorzkniałej się wznosi,

W szaleństwie cierpień obłędnych powstaje, Mnie rozkosz daje, tobie hańbę głosi.

Srogość lwa, wilka przeraźliwe wycie.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Wstrętny syk węża o
łuskowych splotach,
Potworny pomruk nieznanego
smoka,
Krakanie wrony, co śmierć albo życie
Wróży, lub wiatru huk w burzy łoskotach,
Od których wzdyma się
mórz toń głęboka, Ryk
zwalonego byka, gdy
posoka
Ujdzie zeń, łkania, jakie rzuca wdowia,
Czuła turkawka, smętne zawodzenia
Zawistnej sowy oraz wszystkie pienia
I jęk czarnego piekielnego mrowia,
Niech z boleściwej mej powstaną duszy,
Złączone w jeden ton, który poruszy i
wstrząśnie zmysłów zasięgiem najszerzym,
Bo straszna boleść, co serce zalewa, By ją
wyśpiewać, nowych żąda wierszy.
Owych zawodzeń nie powtórzą piaski
Ojczyste Tagu w smutnych echa tonach

87

Ni sławne gaje Betysu oliwek.
Tutaj rozbrzmiewać będą moje wrzaski,
W głębiach przepaści, w skał wysokich stronach
- Choć martwy język, ale
słowa żywe - Lub w
ciemnych jarach zabrzmią,
gdzie zdradliwe
Piaski nietknięte nigdy stopą ludzi,
Wśród jadowitych bestii, które wody
Piją z błot Libii. Wśród martwej przyrody,
Której blask słońca nigdy nie obudzi,
Rozbrzmiewać będą mej bolesci echa
Ochrypłe; dla mnie będzie w tym pociecha,
Że twoją srogość rozgłoszą po świecie,

Don Kichote - Miguel Cervantez

Krótkiego życia to będzie nagrodą, Nim śmierć mnie młodo z szerokich ziem zmiecie.
Wzgarda zabija, cierpliwość zamiera Przez podejrzenia słuszne czy fałszywe.
Lecz najokrutniej jest w zazdrości konać,
Długa rozłaka życie do cna zdziera;
Lęk zapomnienia do szczętu szczęśliwe
Nadzieje gasi, wkrada się do łona, Śmierć tylko jedna jest nieunikniona.
Przecie, o dziwo, ja żyję dotychczas!
Zazdrosny, zdrady pewny i wzgardzony,
Przed podejrzeniem brak mi tu obrony W rozłące,
która ogień budzi w zgliszczach.
Wśród tej męczarni trudno dojrzeć oku
Nawet promyka nadziei wskroś mroku,
Ni ja, nieszczęsny, tak daleko sięgam,
Aby do kresu wyczerpać rozpacz, Bez niej już raczej żyć wiecznie przysięgam.
Zali o szczęściu możliwa w jednej chwili
Wątpić i ufać? Zali dobrze czynię,
Gdy pewność stwierdza serca niepokoje? i
kiedy sroga zazdrość wstaje, czyli
Zamykać oczy, choć w każdej godzinie
Wnika w tysiączne rany duszy mojej?
Każdy otwiera na oścież podwoje
Niewierze, kiedy nagła go obraża
Wzgarda, a jawność wszelkie podejrzenia
- Gorzka przemiana - w oczywistość zmienia I czystą
prawdę w kłamstwo przeobraża?
Najsroższa władztwa miłości udręko Zazdrości! Ostrze żelaza daj rękom.

I

Daj mi, o wzgardo, sznur jak najsilniejszy!
Biada mi! Bowiem w zwycięstwie okrutna Twa
pamięć smutna i boleść pomniejszy.
Umieram, szczęścia nie czekam już w chwili
Ostatniej życia ani też po skonie,
Uparcie wytrwam w moich rojeń kole, Że
czyniąc dobrze, nikt się nie pomyli.
Wolną jest dusza, choć jej zwiąże dlonie Przemoc miłości pętami w niewolę.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Powiem - nad wszystkie wrogą pannę wolę,
Co piękną duszę i ciało posiada,
Jej zapomnienie z mojej winy płynie,

A na stwierdzenie naszych mąk jedynie Amor dziedziną swą w pokoju włada.
W tym przekonaniu niech ten
stryczek twardy Przyśpieszy
koniec nieszczęsny, gdzie
wzgardy

Doprowadziły mię jej niełaskawe, Oddam
na wiatry duszę mą i ciało, Które nie dbało
o laur ani sławę.

Ty, której jawne szaleństwa zdradzały
Przyczynę, co mię rozstać się przymusza
Z życiem, jakiego już nie zniosę dłużej,
Może znienacka zatopisz wzrok śmiały
W głęboką ranę, z jaką moja dusza Radośnie znosi twej srogości burze?

Jeżeli jednak uznasz, że zasłużę,
Aby twych oczu pięknych niebo jasne Śmierć ma
zmaciła - stój, na miłość boską!

Nie chcę, ażebyś igrała beztrosko Z serca
strzepami, gdy przez ciebie gasnę. Raczej ze
śmiechem na moim pogrzebie Okaż, że śmierć
ma jest świętym dla ciebie. Lecz głupcze! Po
coż ci te rady wszystkie?

Wszak wiem, że chlubisz się tym znamienicie, Iż moje życie już kresu jest bliskie.
Już czas! Niech wyjdzie z
przepastnej czerwieni Spragniony
Tantal, niech Syzyf przybywa
Z ciężarem strasznym bezlitosnej skały,
Tition z swym sępem, Egian niech się spuści,
Lecz koła swego ruchu nie przerywa, Nie lza, by siostry złe swój trud wstrzymały.
Niech wszyscy społem żałobne chorąły
W pierś moją wleją i niechaj pomału 89

- Gdy zrozpaczony ma do tego prawo -

Śpiewy pogrzebne wiodą
smutnie, łzawo Ciału,
któremu odmówiony
całun.

A niech trzygłowy piekielny odźwierny
I tysiąc chimer, i widm tłum bezmierny
Naraz podniesie odzew przeraźliwy;
Pogrzeb niech wiodą w żałobnym pochodzie, Którego godzien kochanek nieżywy.
Pieśni rozpaczły, nie płacz, że twa gama
Zostanie w świecie po mym skonie sama,
Raczej - gdy bólu przyczynę okrutną Może radować
żal zamknięty w tobie. To choćby w grobie, nie
rozbrzmiewaj smutno!

Ta pieśń Chryzostoma podobała się
słuchającym, choć ten, który ją czytał, mówił, że
nie bardzo to się zgadza z tym, co słyszał o
skromności i zacności Marce- li, gdyż w tej
pieśni Chryzostom skarży się na zazdrość,
podejrzenia i rozłąkę, co
zaćmić mogłoby dobre imię i sławę Marcelli. Na to odpowiedział Ambroży, jako ten,
który znał najtajniejsze myśli
przyjaciela:

- Aby te wątpliwości wasze, panie, rozprószyć, wiedziecie, że
gdy nieszczęsnik pisał ową pieśń, był daleko od Marcelli. Oddalił
się bowiem od niej dobrowolnie, aby się przekonać, czy rozłość
wywrze na nim swe zwykłe prawo; a ponieważ ko- chanek z dala
od przedmiotu miłości wszystkim się dręczy i wszystkiego się lęka,
tak Chryzostom dręczył się urojoną zazdrością i podejrzeniami,
których się lękał, jakby były prawdziwe. I dlatego prawdę
pozostaje, co powszechnie mówią o za-
cności Marcelli, w której poza tym, że jest okrutna, nieco wzgardliwa i bardzo
dum- na, nawet zawiść nie może i nie zdoła żadnej skazy się doszukać.

- Szczera prawda - odpowiedział Vivaldo.
I chciał przeczytać inny papier ocalony od ognia, lecz
przeszkodziło mu cza- rowne zjawisko (takim się bowiem

Don Kichote - Miguel Cervantez

wydało), które niespodzianie ukazało się ich oczom; mianowicie na szczycie skały, pod którą grób kopano, ukazała się pasterka Marcela, tak piękna, że piękno jej przewyższała sławę jej urody. Ci, którzy jej dotąd nie widzieli, patrzyli na nią z podziwem i w milczeniu, inni, przyzwyczajeni do jej widoku, nie mniej od tamtych w zachwyceniu trwali. Lecz zaledwie ją Am- broży zoczył, z oznakami oburzenia

zawałał:

- Zali przychodzisz tu może patrzeć, o okrutny bazyliuszku tych gór, jak w obecności twojej zaczną krwawić rany tego nieszczęśliwca, który przez okrucień- stwo twoje utracił życie? Zali przybywasz się chełpić z okrutnych skutków postę- powania twego, zali patrzeć z tej wysokości, podobnie jak ów nieludzki Neron na pożar Rzymu przez się podpalonego, lub aby deptać zuchwale ten nieszczęsny ze- włok, jak niewdzięczna córka

Tarkwiniusza' uczyniła z
trupem ojca? Powiedz nam

Pomyłka Cervantesa: Tarkwiniusz był mężem Tulii, która podeptała zwłoki ojca, Serwiu- sza Tulusza.

90 natychmiast, po co przychodzisz i czego jeszcze pragniesz? Gdyż

wiedząc, że Chry- zostom zawsze za życia był ci powolny, sprawić,

choć on nie żyje, aby byli tobie posłuszni ci wszyscy, którzy zwali się

jego przyjaciółmi. - Nie przychodzę, o Ambroży, dla żadnego z tych powodów, jakie wymieniasz

- odpowiedziała Marcela- ale by własnej bronić sprawy i wytlumaczyć, jak mylą się ci wszyscy, którzy przypisują mi cierpienia i śmierć Chryzostoma; dlatego pro- szę wszystkich tu przytomnych o chwilę uwagi, nie potrzeba będzie wiele czasu ani wielu słów nie strawię, by przekonać rozumnych o prawdzie. Niebo

Don Kichote - Miguel Cervantez

uczyniło mię piękną-jak mówią- taką pięknością, która przyniewala do miłości wbrew wszel- kim wysiłkom; ode mnie zaś, za tę miłość, jaką mi okazujecie, żądacie, bym was pokochała. Wiem przez wrodzony rozsądek, jaki mi Bóg dał, że wszystko, co pięk- ne, jest miłowania godne, nie pojmuje jednak, dlaczego ten, kto jest kochany dla swej piękności, powinien kochać tego, który go miłuje. Co więcej, może się zda- rzyć, że ów wielbiciel piękna jest brzydki, a jako taki godny raczej odrazy i niewłaś- ciwe byłoby rzec: „Kocham cię, boś piękna, musisz mię kochać, choć jestem szpet- ny". Lecz przyjawszy, że obie strony są pięknością równe, nie idzie za tym wcale, aby skłonności jednakie być miały; nie każda piękność budzi miłość, niektóre radu- ją wzrok, a nie ujarzmiają woli. Jeśliby każda piękność miłości była przyczyną i serca wiązała, wywołałoby to pomieszanie i poplątanie pragnień nieświadomych, gdzie zatrzymać się mają, gdyż jako niezliczona jest liczba istot pięknych, tak i pra- gnienia byłyby niezliczone. A jak słyszałam, prawdziwa miłość jest niepodzielna, wolna i nieprzymuszona. Jeśli tak jest, jak w to wierzę, dlaczegóż chcecie, abym moją wolę siłą nagięła, nie mając ku temu żadnych zobowiązań innych jak to, że wy mnie o miłości prawicie? Kiedy tak jest - powiedziecie mi -jeśliby niebo, miast uczynić mię piękną, uczyniło brzydką, czy słusznie mogłabym się uskarżać wów- czas na was, że mię nie miłujecie? Tym bardziej, pomyślcie, że nie ja wybierałam urodę, jaką posiadam; że taką jest, jaką niebo mi dało z łaskawości swojej, bez mej

prośby ni wyboru. Tak jak żmija nie zasługuje na potępienie zajad, jaki nosi, choć ciaż nim zabija, gdyż to jej natura daje, tak samo i ja nie zasługuję na potępienie dlatego, że jestem piękna; piękność w kobiecie uczciwej jest jak ogień daleki albo ostry miecz: ani ogień nie pali, ani miecz nie rani tego, kto się nie zbliży. Cześć i cnota są ozdobą duszy, bez nich ciało, choćby piękne, nie powinno się takim wydawać. Więc jeśli uczciwość jest jedną z cnót, które zdobią i upiększą zarówno ciało, jak duszę, dlaczego miałby ją utracić ten, który dla urody swej jest miłowany, aby odpowiedzieć pragnieniom tego, który dla zadowolenia swego wszelkimi siłami i sposobami starać się będzie, aby go jej pozbawić? Urodziłam się wolna i ażeby żyć wolna, wybrałam sielskie pustkowie; drzewa tych gór samym towarzystwem, jasne wody tych strumieni są mi zwierciadłem, z drzewami tymi i wodami współżyczą moje myśli i uroda moja. Jestem ogniem dalekim i nieosiągalnym mięczem. Tych, których mym widokiem rozmiłowałam, słowami pozbawiłam złudzeń, a jeśli pragnienie ich podtrzymuje nadzieję, nie dałam żadnej Chryzostomowi ani nikomu innemu. W końcu o niejednym z nich można by rzec, że raczej własny upór ich zabił niż okrucieństwo moje. A jeżeli mię ktoś przekonuje, że zamysły jego uczciwe były i że dlatego powinna byłam na nie odpowiedzieć, powiem, że kiedy w tym

Don Kichote - Miguel Cervantez

odpowiedziałam, że moją wolą było żyć w wiecznej samotności i jedynie ziemia cieszyć się będzie owocem mej skromności i łupem mej urody; a jeśli on mimo te wszystkie ostrzeżenia chciał upierać się wbrew nadziei i płynąć przeciw wiatrowi, cóż dziwnego, że zatonął w odmęcie swego szaleństwa? Gdybym go była zwodziła, byłbym fałszywa, gdybym była spełniła jego życzenia, postąpiłabym wbrew mym najlepszym postanowieniom i zamiarom. Upierał się, choć ostrzeżony, wpadł w rozpacz, choć nie był znienawidzony, bacicie więc, czy jest słuszne, abymię o nieszczęście jego oskarżać. Niech skarży się ten, kogo oszukują, niech rozpacz, kogo zawiodą dane przyrzeczenia, niech ufa ten, kogo przywołam, niech chełpi się,

kogo przygarnę; lecz niech nie nazywa mię okrutną i mężabójczynią ten, komu nic nie obiecuję, kogo nie zwodzę, nie

przywabiam i nie wybieram. Niebo dotąd nie chciało, abym pokochała na śmierć i życie, a próżno myśleć, abym pokochała z wyboru. Oby ta ogólna przestroga posłużyła każdemu, kto mię chce zdobyć na swój osobisty pożytek, i niech wiedzą odtąd, że jeśli kto umrze przeze mnie, nie umrze z zazdrości ani z nieszczęścia, gdyż kto nie kocha,niczej zazdrości budzić nie może, a rozczarowań nie należy przypisywać wzgardzie. Kto nazywa mię dziką i bazylikiem, niech mię porzuci jako rzecz szkodliwą i złą, a kto zwie mię niewdzięcznicą, niech mi nie służy, kto mię ma za zwodnicę, niech mię nie zna, kto mię ma za okrutną, niech za mną nie chodzi, gdyż ta dzika, ten bazylik, ta niewdzięcznica, ta okrutnica i ta zwodnica nie chce nikogo szukać, nikomu służyć, nikogo znać i za nikim chodzić. Jeśli Chryzostoma zabiła jego porywczość i zuchwała chęć, czemuż oskarżać mię za moją obyczajność i skromność? Jeśli zachowuję mą czystość w otoczeniu drzew, dlaczego ma chcieć, abym ją utraciła, ten, który

Don Kichote - Miguel Cervantez

pragnie, bym ją zachowała wśród ludzi? Posiadam, jak wiecie, własny majątek i nie pożądam obcych; stan mój jest wolny i nie mam ochoty iść pod czyjąś władzę; nie kocham nikogo ani nienawidzę; nie zwodzę tego ani nie wabię innego; z nikim nie żartuję, z nikim nie przestaję. Przystojne rozmowy z juhaskami tej wsi i troska o me kozy czas mi wypełniają. Tęsknoty moje nie przekraczają tych gór, a jeśli stąd wybiegną, to chyba, aby piękność nieba podziwiać. Są to kroki, które dusza stawia na drodze do swego pierwotnego mieszkania. To rzekłszy, nie pragnąc słyszeć żadnej odpowiedzi, obróciła się plecyma i zaszyła w gęsty bór, który rósł w pobliżu, pozostawiając wszystkich tam obecnych w podziwie tak dla jej rozumu, jak dla jej piękności. Niektórzy, rażeni przemożną strzałą promieni jej pięknych oczu, zdradzali chęć ścigania jej, nie zważając na wyraźne ostrzeżenie, jakie usłyszeli. Co widząc Don Kichote osądził, że nadeszła sposobność okazania rycerskości w obronie uciśnionych dziewcząt, położył dłoń na rękojeści miecza i zwołał gromkim

głosem:

- Niech nikt, jakiegokolwiek byłby stanu i zawodu, nie waży się ścigać pięknej Marcelli, jeśli nie chce się narazić na me gniewne oburzenie. Jasno i wystarcza-

jąco dowiodła, że nie ponosi żadnej winy z powodu śmierci Chryzostoma, i oświadczyla, jak daleka jest od powolności dla zamysłów któregośkolwiek z zakochanych.

Dlatego słuszne jest, aby wszyscy uczciwi ludzie we wsi, zamiast ją ścigać i prze-

92

śladować, czcili ją i szanowali, gdyż może ona jedna na świecie w tak zacnych chęciach żywieć. Czy to dzięki pogróźkom Don Kichota, czy dlatego, że Ambroży naglił, aby dokończyli posługi winnej jego dobremu przyjacielowi, żaden z pasterzy z miejsca się nie ruszył ani nie oddalił, póki nie ukończono grobu i nie spalone

Don Kichote - Miguel Cervantez

papierów Chryzostoma. Złożono ciało do grobu przy ogólnym płaczu otaczających. Zamknięto grób wielkim głązem, zanim zostanie wykonana płyta, którą Ambroży zamyszał zamówić, a na niej taki napis miał być wyryty:

Tu kochanka mogiła,

Nieszczęsny zewłok leży Jednego z trzód pasterzy. Niemiłość go zgubiła.

Zmarł odtrącon ze wzgardą

Przez piękną niewdzięcznicę,

Wszystko obraca w nice Miłość władzą swą twardą.

Po czym obsypano grób mnóstwem kwiatów i zielenią, a wyraziwszy głębo- kie współczucie Ambrożemu, wszyscy się z nim pożegnali. To samo zrobili Vival- do i towarzysz jego, zaś Don Kichote pożegnał się z gospodarzami swymi i podróż- nymi, którzy namawiali go, by jechał z nimi do Sewilli jako do miejscowości, gdzie o przygodę na każdej ulicy i w każdym zaułku łatwiej niż gdziekolwiek indziej. Don Kichote podziękował im za tę wiadomość i za życzliwość, jaką okazali, chcąc mu zrobić przyjemność, i odparł, że na razie nie chce i nie może jechać do Sewilli, zanim nie oczyści tych gór ze zbójów i łotrzyków, od których się tu roi, jak słyszał. Widząc jego silne postanowienie podróżni nie chcieli go już więcej nagabywać, lecz pożegnawszy się ponownie, zostawili go i udali się w dalszą drogę, w czasie której nie brakło im tematu do rozmowy, zarówno o historii Marcelli i Chryzostoma, jak i o szaleństwach Don Kichota. Ten postanowił udać się na poszukiwanie pasterki Marcelli, aby ofiarować jej wszystkie swoje usługi; lecz stało się całkiem inaczej, niż myślał, jak o tym opowiada dalszy ciąg tej prawdziwej historii, której Księga druga tutaj się kończy. 93

KSIĘGA TRZECIA

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

w którym opowiada się o przykraj
przygodzie, jaka zdarzyła się Don
Kichotowi w spotkaniu z bezecnymi
Janguesami

Uczony Sidi Hamet Ben Engeli opowiada, jak Don Kichote, pożegnawszy swych gospodarzy i wszystkich uczestników pogrzebu pasterza Chryzostoma, wraz z gierkiem wjechał w ten sam las, gdzie, jak widzieli, znikła pasterka Marcela. Po dwugodzinnym przeszło błędzeniu i nadaremnym jej szukaniu wszędzie przybyli na łkę pełną świeżej trawy, przez którą płynął strumień spokojny i ożywczy; za- praszał on i przynaglał do spędzenia tam w wytchnieniu godzin południa, które już przykro dawało się we znaki. Don Kichote i Sanczo zsiedli z wierzchowców i puś- ciwszy osła i Rosynanta na obfitą trawę tego ustronia, by napasły się do woli, otworyli sakwy i bez żadnej ceremonii pan i pachołek pospołu i w mięej zgodzie zaja- dali, co w nich znaleźli. Sanczo nie zatroszczył się o spętanie Rosynanta, znał go bowiem i był pewny, że jest on tak spokojny i tak wstrzemięźliwy, iż wszystkie klacze pastwisk kordo- bańskich nie przywiodłyby go do grzechu. Aliści los czy diabeł (który nigdy nie śpi) sprawił, że w dolinie owej błądziło, pasąc się, stado świerzop' galicjańskich należących do poganiaczy Janguesów, których zwyczajem było zatrzymywać się w południe ze stadniną w miejscach obfitujących w trawę i wodę; owo zaś miejsce, gdzie zatrzymał się Don Kichote, bardzo tym Janguesom do smaku przypadło. Zda- rzyło się więc, że Rosynantowi przyszła ochota poswawolić z paniami klaczami, i ledwo je zwęszył, a już porzuciwszy swój zwykły krok i obyczaj, nie pytając swe- go pana o pozwolenie, dziarskim truchcikiem pospieszył im swą potrzebę oznaj- mić; jednak one -jak się okazało - miały większą ochotę na paszę niż na niego, przyjęły go zębami i podkowami, tak że niebawem zerwały mu popręgi i ogołociły z siodła. Ale jeszcze bardziej dali mu się we znaki poganiacze, którzy widząc, że ich klaczom gwałt się dzieje, przybiegli z kijami i wygrzmocili go mocno, rozcią- gnawszy na ziemi w opłakany stanie. Na to Don Kichote i Sanczo, ujrzawszy młóckę Rosynanta, przybiegli co tchu i Don Kichote rzekł do Sancza: świerzopa- młoda klacz.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Jak widzę, przyjacielu Sanczo, to nie są rycerze, lecz hołota i ludzie nędznej kondycji. Mówię to, gdyż możesz mi pomóc w należnej zemście za krzywdę, jaką w naszych oczach wyrządzono Rosynantowi.
- Do diaska! Jakaż to będzie pomsta - odparł Sanczo - jeśli ich jest z góram dwudziestu, a nas tylko dwóch, a nawet może tylko półtora. - Ja stanę za stu - odparł Don Kichote. I bez dalszych słów dobył miecza i rzucił się na Janguesów. Sanczo Pansa, zagrzanego przykładem, ruszył za panem. Za pierwszym zamachem Don Kichote tak rąbnął jednego, że przeciął mu skóra - rzany kaftan, jakim był okryty, i znaczną część ramienia odwalił. Janguesi, widząc, że ich tylko dwóch osobników napada, podczas gdy ich jest tylu, chwycili za kije i otoczywszy obu, zaczęli grzmocic z wielkim zapałem i gwałtownością. Istotnie, za drugim omłotem powalili Sancza na ziemię i to samo spotkało Don Kichota; nie pomogły mu ani zręczność, ani animusz; los chciał, że upadł w nogi Rosynanta, który się był jeszcze nie podniósł. Z tego przekonać się można, z jaką furią pracują kije w rękach rozwścieczonych prostaków. Po czym Janguesi, widząc spustoszenie, jakie uczynili, z największym pośpiechem objuczyli swoje bydlęta i ruszyli w dalszą drogę, pozostawiając dwóch miłośników przygód w żałosnym stanie i w marnym nastroju. Pierwszy ocknął się Sanczo Pansa i ujrzał się obok swego pana, głosem słabym i żałosnym przemówił:
 - Panie Don Kichocie! Ach, panie Don Kichocie!
 - Czego chcesz, bracie Sanczo? - odszepnął Don Kichote tym samym tonem, słabym i bolesnym.
 - Chciałbym, jeśli to możliwe — odparł Sanczo Pansa - aby jegomość dał mi dwa łyki tego trunku Feo Blas, jeśli go macie pod ręką, myślę, że równie skuteczny jest on na pogruchotane kości jak na rany.
 - Ach! Gdybym miał go tutaj, ja nieszczęsny! Czegóż by nam więcej

Don Kichote - Miguel Cervantez

trzeba - odpowiedział Don Kichote. - Ale przysięgam ci, Sanczo Pansa, na słowo błędnego rycerza, że zanim dwa dni przeminą, o ile los nie zrządzi inaczej, zdobędę go albo rąk mi nie stanie.

- Ale jak się jegomości zdaje, za wiele dni będziemy mogli ruszać nogami? - spytał Sanczo Pansa.

- Co do mnie - rzekł potłuczony rycerz Don Kichote - nie zdołam tego dnia dokładnie oznaczyć. Sam jestem winien wszystkiemu, gdyż nie lza mi było doby- wać oręża przeciw ludziom niepasowanym na rycerzy jak ja, i tak wierzę, że karząc mię za przekroczenie praw rycerskich, Bóg zastępów dopuścił, abym poskromiony został. Dlatego, Sanczo Pansa, zważ pilnie na to, co ci teraz powiem, jest to bowiem bardzo ważne dla naszego wspólnego dobra; a mianowicie, jeśli spostrzeżesz, że podobna hołota nam jakąś zniewagę wyrządza, nie czekaj, aż miecza przeciw nim добędę, gdyż za nic tego nie uczynię, ale ty się miecza imaj i do woli ich poskra- miaj; jeśli zaś im ku pomocy i obronie ruszą rycerze, ja cię obronić potrafię i ode- przeć ich całą moją mocą; już poznałeś bowiem z tysiąca oznak i doświadczeń, jak daleko sięga dzielność mego silnego ramienia. 98

Taką to pychą napełniło nieszczęsnego rycerza zwycięstwo nad dzielnym Bi-skajczykiem, lecz wywody jego pana nie podobały się zbytnio Sanczo Pansie. Nie omieszkał więc odpowiedzieć:

- Panie, jestem człowiekiem spokojnym, łagodnym, pokojowym, umiem krzywdy w niepamięć puszczać, gdyż mam żonę i dzieci do wyżywienia i wychowania. Przyj- mijcie więc jegomość do wiadomości (jako że wam tego nakazać mi nie lza), że w żadnym wypadku miecza do ręki nie wezmę, ani przeciw prostakowi, ani przeciw rycerzowi, i że Bogiem się tu świadczę, odtąd przebaczą wszelkie krzywdy, jakie mię spotkały i jakie mię spotkają, czy wyrządzi mi je lub wyrządzi człek znaczny
czy podlego stanu, bogaty czy ubogi, szlachcic czy chudopachołek, nie wyjawszysto nikogo, bez różnicy stanu i kondycji. Co

usłyszawszy, pan jego odpowiedział:

- Chciałbym mieć dość tchu, aby móc mówić nieco spokojniej i aby ból, jaki w boku czuję, ukoił się na tyle, bym mógł ci, Pansa, wy tłumaczyć, w jak wielkim pozostajesz błędzie. Słuchaj więc, mizerny człecze, a nóż wiatr fortuny, dotąd nam tak przeciwny, obróci się na naszą korzyść i napełni żagle pragnienia, abyśmy pewnie i bez przeciwności żadnej zawińeli do portu jednej z wysp, jakie ci obiecałem. Cóż byłoby z tobą, gdybym zdobył taką wyspę i uczynił ciebie jej władcą? Byłybyś zatem do tego niezdolny, nie będąc rycerzem ani nie pragnąc nim zostać, nie żywiąc męstwa ani zamiaru, by mścić się krzywd i bronić twego państwa? Trzeba ci bowiem wiedzieć, że w królestwach i prowincjach świeżo podbitech nigdy umyśli mieszkańców nie są tak spokojo ni ani tak powolne nowemu władcy, aby nie na leżało obawiać się jakichś spisków mających na celu zakłócenie znów biegu spraw i, jak to się mówi, pokuszenie się o odwrócenie losu; tak więc konieczne jest, aby nowy władca miał rozum do rządzenia, a męstwo do walki i obrony we wszystkich wypadkach.

- W tym, który nam się przydarzył - odparł Sanczo - chciałbym mieć ów rozmum i to męstwo, o którym jegomość prawicie; lecz przysięgam na słowo biedaka, że raczej pragnę plastrów niż pouczeń. Spróbujcie, panie, czy podnieść się zdołacie i pomożemy Rosynantowi, choć na to nie zasługuje, bo stał się główną przyczyną całej tej młóckiego. Nigdy nie byłbym się tego po nim spodziewał, miałem go za osobę wstrzemięźliwą i pokojową, jak ja. Ha! Dobrze mówię, że trzeba długiego czasu, aby poznać osobę, i że nie masz nic pewnego w tym życiu. Któż by przypuszczał, że po tych strasznych ciosach, jakie jegomość zadałeś nieszczęsnemu błędniemu rycerzowi, przyjdzie nam z kolei wpasać pod taki grad razów, które posypały się na nasze plecy?

- Co do twoich, Sanczo - odparł Don Kichote - powinny one być takich nawalności zwyczajne, ale jasne jest, że moje, wychowane w bisiorach i holenderskich płotnach, odczuwają bardziej bolesność tej nieszczęsnej przygody. Jeślibym nie

mniemał... co mówię, mniemał! Gdybym nie był całkiem pewien, że wszystkie te niepowodzenia są nieodłączne od zbrojnego rzemiosła, umarłbym tutaj z samej przykrości. Na to odpowiedział giermek:

99

- Panie, jeśli, jak mówicie, owe niepowodzenia są plonem rycerstwa, powiedz- cie mi, jegomość, czy one często się zdarzają? Czy też mają jakąś porę ograniczo- ną? Gdyż mnie się wydaje, że po dwóch podobnych zbiorach nie będziemy w sta- nie wytrzymać trzeciego, o ile Bóg w swym nieskończonym miłosierdziu nam z pomocą nie przyjdzie.

— Wiedziecie, przyjacielu Sanczo - odpowiedział Don Kichote - że życie błęd- nych rycerzy oddane jest tysiącom niebezpieczeństw i złych przygód, ale także ni mniej, ni więcej ma moc uczynić nagle z błędnych rycerzy królów i cesarzy, jak wykazało doświadczenie wielu rozmaitych rycerzy, których dzieje mam w dobrej pamięci. I mógłbym ci opowiedzieć teraz (gdyby mi ból na to pozwolił) o kilku, którzy jedynie mestwem swego ramienia doszli do wysokich godności, o jakich wspomniałem. Ale i oni też przechodzili przedtem i potem przez różne klęski i niedole; bowiem dzielny Amadis z Galii wpadł w moc swego śmiertelnego wroga, czarownika Arkalausa, który, jak zapewniają, trzymając go w niewoli, wymierzył mu ponad dwieście razów wodzami swego konia, przywiązał go do kolumny na dziedzińcu. Jest także pewien autor nieznany, lecz wielkiego zaufania godzien, który twierdzi, że Rycerz Słońca schwytany w zapadnięę, która się mu pod stopami w pewnym zamku otwarła, spadł i znalazł się w głębokim Lochu pod ziemią, gdzie związano mu ręce i nogi i zastosowano to, co zowią lewatywą z wody śniegowej i piasku, z czego omal ducha nie wyzionął. I gdyby w

Don Kichote - Miguel Cervantez

tej strasznej potrzebie nie przyszedł mu z pomocą pewien czarnoksiążnik, jego wielki przyjaciel, biedny rycerz byłby źle skończył. I tak mogę zacytować sporą liczbę godnych osób, gdyż większe są utrapienia, jakich doznali, aniżeli te, jakich my obecnie doznajemy. Chcę bowiem, abyś wiedział, Sanczo, że ciosy i rany zadane narzędziami, które przypadkiem wpadły w ręce napastnika, nie przynoszą wstydu, i jest to zapisane w regułach pojedynku wyraźnymi słowy: jeżeli szewc uderzy kogoś kopytem, które trzyma w ręku, to lubo ono jest z drzewa, tak samo jak kij, nikt nie powie, że uderzony został kijem. To mówię, abyś nie sądził, że choć w tym starciu zostaliśmy obici, ponieśliśmy ujmę; bowiem bronią, jaką ci ludzie się posługiwali i którą nas wymłowili, były jedynie ich kije, a żaden z nich (o ile sobie przypominam) nie miał szpady, miecza ni puginału.

- Nie dali mi czasu, by się przypatrzeć temu - odparł Sanczo - gdyż zaledwie ręką do mego korda sięgnąłem, przeżegnali mię kijami po plecach tak, że mi w oczach pociemniało i straciłem siłę w nogach; runąłem jak długi i dotąd tu leżę, nie zadając sobie trudu, by głowić się, czy te razy były od kijów, czy nie, dość, że bolą i w pamięci będą tak długo wyryte, jak i na plecach.

- Z tym wszystkim, wiedz, bracie Pansa - odparł Don Kichote - że nie masz pamięci, której czas by nie strawił, ani bolesci, której śmierć nie zakończy. - Ha, jakież większe nieszczęście być może - odparł Sanczo - od tego, które czas dopiero strawi, a śmierć zakończy? Gdyby nasza niedola była z tych, którą parę plastrów uleczy, to jeszcze pół biedy; lecz widzę, że wszystkie plastry szpitala nie starczyłyby, aby nas do jakiego takiego stanu doprowadzić.

- Daj już pokój, Sanczo, i zbierz siły w słabości - odpowiedział Don Kichote

- tak ja czynię, i chodźmy zobaczyć, jak się miewa Rosynant, gdyż zdaje mi się, iż nieborak niemało oberwał w tej przygodzie. 100

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Nie dziwota - odparł Sanczo - skoro i on jest błędnym rycerzem; cuduję się
tylko, że mój wierzchowiec uszedł wolny i zdrowy od wszelkich razów, podczas gdy
nam wszystkie żebra
policzono.
- Los w nieszczęściach zostawia zawsze jedną furtkę otwartą, aby
im zaradzić - mówił Don Kichote. - Mówię tak, bo to bydlątko będzie
nam mogło teraz Rosy- nanta zastąpić i donieść mnie do jakiegoś
zamku, gdzie bym rany wyleczyły. Co więcej, nie będę uważały takiego
wierzchowca za ujmę, bo przypominam sobie
z księgi, iż zacny starzec Sylen, piastun i wychowawca boga śmiechu, kiedy wjeżdżała
do Miasta o stu bramach¹, bardzo rad
swego pięknego osła dosiadał.
- Zaprawdę, musiał tak jechać, jak jegomość
powiada - odparł Sanczo - ale wielka to różnica jechać
wierzchem, a co innego być przerzuconym przez siodło
jak wóz nawozu. Na to odpowiedział Don Kichote:
 - Rany odebrane w walkach raczej dodają sławy,
niż odejmują; tak więc, przyjacielu Pansa, daj pokój
słowom, lecz jak ci rzekłem, podnieś się, jak potrafisz,
i wsadź mię na osła, jak umiesz najlepiej; ruszajmy,
zanim noc zapadnie, aby nie zaskoczyła nas na tym
bezludziu.
 - Zali nie słyszałem - rzekł Pansa-jak jegomość mówiliście, że
błędni ryce- rze zwykli nocować w polach i pustaciach przez
większą część roku, i poczytują to sobie za wielkie szczęście?
 - Tak jest - mówił Don Kichote - gdy inaczej nie
można lub kiedy są zakocha- ni; i zaprawdę zdarzyły się
rycerz, który dwa lata trwał na skale, wystawiony na
słońce i ciemności, na niełaskawości nieba, zaś pani
jego nie przeczuwała nawet tego. Jednym z nich także
był Amadis, kiedy to, przezwawszy się Pięknym
Smętkiem, spę- dził na nagiej skale osiem lat czy osiem
miesiący - nie pomnę już dobrze - dość, że trwał tam,

Don Kichote - Miguel Cervantez

czyniąc pokutę za nie wiem już jaką przykrość
wyrządzoną swej pani

Orianie. Lecz zostawmy to już, Sanczo, i śpiesz się, zanim znowu jakieś nieszczęście się nie zdarzy osłu jak Rosynantowi. - Byłaby to diabla sprawa - rzekł Sanczo.

I wyrzuciwszy z siebie ze trzydzieści „aj, aj!”, z kopę westchnień i ze sto dwa- dziesiątka przekleństw i przezywań tego, co go tutaj przywiódł, podniósł się na pół zgięty jak turecki łuk, nie mogąc się wyprostować; z wielkim wysiłkiem osiodłał swego osła, który wałęsał się nieco zdziwiony zbytnią swobodą zostawioną mu dnia tego. Podniósł potem Rosynanta, ten, gdyby miał język, aby móc się skarżyć, na pewno nie zostałby w tyle za Sanczem i za swym panem. W końcu Sanczo wsadził

Don Kichota na osła i uwiązał Rosynanta do jego ogona, a wziawszy osła za uzdę, ruszył mniej więcej w stronę, gdzie zdawało mu się, że musi znajdować się królewski gościniec. I mili nie ujechali, gdy los, co szczęśliwie sprawy prowadził, pozwolił im odnaleźć drogę, a przy niej odkryli gospodę, która wbrew giermkowi, a wedle rojeń Don Kichota, miała być zamkiem. Sanczo upierał się, że to gospoda, pan jego, i

Pomyłka Cervantesa: miastem o stu bramach zwano Teby w Egipcie. Sylen zaś, starzec z orszaku Bachusa, wjeżdżała do swego rodzinnego miasta Teb „o siedmiu bramach” w Beocji. 101 że nie żadna gospoda, jeno zamek; i spór trwał tak długo, aż nie dokonczywszy go, dojechali do osiedla, w które Sanczo wkroczył z całym taborem bez dalszych sprawdzień.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

o tym, co spotkało przemyślnego szlachcica w gospodzie, która wydawała mu się zamkiem

Gospodarz, ujrzałszy Don Kichota, przerzuconego tak przez osła, zapytał Sanczo, co ich złego spotkało. Sanczo odpowiedział, że głupstwo, spadł jedynie ze skały i potłukł sobie nieco boki. Gospodarz miał za żonę niewiąstę usposobieniem niepodobną wcale do innych kobiet tego stanu, była bowiem z natury bardzo litościwa i współczująca nieszczęściom bliźnich; ta zabrała się zaraz do opatrzenia Don Kichota, przywoławszy swą córkę, młodziutką i bardzo urodziwą, aby jej pomogła w leczeniu gościa. W tej samej gospodzie służyła dziewczyna, Asturyjka, o szerskiej twarzy, spłaszczonej czaszce, załamanym nosie, na jedno oko zezowata, na drugie kaprawa. Co prawda, zwinność jej ciała wynagradzała inne błędy: od stóp do głowy i siedmiu pięędzi nie miała, ramiona jej tak ciążyły, że zmuszały ją patrzeć w ziemię częściej, niżby chciała. Ta wdzięczna dziewczka pomogła panience i obie zgotowały Don Kichotowi bardzo niewygodne legowisko na poddaszu, które, jak z wyraźnych oznak wnosić było można, służyło ongiś długie lata za stodołę. Nocą wał tam również pewien mulnik, którego tapczan był nieco dalej niż legowisko naszego Don Kichota. I choć składały się nań juki i derki z mułów, lepszy był znacznie niż łóżko Don Kichota, które stanowiły cztery źle ociosane deski na dwóch nierównych kozłach oraz materac, raczej grubością przypominający kołdrę wypełnioną grudami; i gdyby przez dziury nie wyglądała wełna, można by po dotyku i twardości sądzić, że są to kamyki; były tam dwa płaty skóry tarczowej oraz koc, w którym gdyby kto chciał nitki policzyć, nie

Don Kichote - Miguel Cervantez

przeoczyłby ani jednej. Na to przeklęte łóżko legł Don Kichote i zaraz gospodyn i jej córka obłożyły go od stóp do głowy plastrami; światło trzymała im Maritornes - tak zwała się Asturyjka. Okładając go plastrami, gospodyn spostrzegła, że Don Kichote w wielu miejscach odniósł obrażenia, i mówiła, iż raczej pochodzić muszą od uderzeń niż z upadku.

- Nie są to razy - rzekł Sanczo -jeno skała miała ostre kanty i iglice, a każdy z nich swój ślad zostawił.

Dodał jeszcze:

- Postarajcie się, łaskawa pani, aby pozostało kilka szmatek, gdyż nie brak takiego, komu się przydadzą, mnie również nieco bolą krzyże. - A więc - odpowiedziała gospodyn - i wy także zlecieliście? - O nie - zaprzeczył Sanczo -jeno z przerażenia, kiedy ujrzałem upadek mego pana, takie mam całe ciało obolałe, i zdaje mi się, jakbym tysiąc kijów oberwał. 102
- Mogłoby tak być - rzekła córka - zdarzyło mi się nieraz śnić, że spadam z wieży na dół i nie mogę ziemi dosiągnąć, a kiedy zbudziłam się ze snu, czułam się tak połamana i potłuczona, jakbym naprawdę upadła.
- W tym sek, pani — odparł Sanczo Pansa — że ja nie śpiąc wcale, jeno bardziej przytomny niż teraz jestem, nie mniej obrażeń odniosłem na ciele niż mój pan Don Kichote.
- Jak się nazywa ten rycerz? - zapytała Asturyjka Maritornes.- Don Kichote z Manczy - odpowiedział Sanczo Pansa jest to rycerz błędny,

i to jeden z najlepszych i najdzielniejszych, jakiego od dawna nie widziano na świecie.

- Co to jest błędny rycerz? - pytała dziewczyna.
- Czyż tak niedawno żyjesz na świecie, że nie wiesz tego? - pytał Sanczo Pan- sa. - Wiedz przeto, moja siostra, że rycerz błędny w dwu słowach, to w jednej oso- bie człek obity i cesarz; dziś jest najnieszczęśliwszym stworzeniem na świecie i naj- bardziej potrzebującym pomocy, jutro zaś będzie miał dwie lub trzy korony królestw do rozdania swemu giermkowi.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Jakżeż to więc być może, że mając tak dobrego pana - mówiła gospodyn - nie macie, jak się zdaje, przynajmniej jakiegoś hrabstwa?

- Jeszcze nie czas na to - odpowiedział Sanczo - gdyż zaledwie od miesiąca jeździmy po świecie, szukając przygód, a do dziś żadnej nie spotkaliśmy, która by nią naprawdę była. Zdarza się bowiem, że szukając jednej, znachodzi się inną. Prawda jest, że jeśli mój pan Don Kichote wyliże się z ran czy upadku, a ja z moich nie zostanę kaleką, nie zamieniłbym mych nadziei na najwyższy szlachecki tytuł Hisz- panii.

Całej tej rozmowie przysłuchiwał się z uwagą Don Kichote i podniósłszy się na łóżu, jak mógł, chwycił za rękę gospodynę, mówiąc: - Wierzajcie mi, piękna pani, możecie się uważać za szczęśliwą, goszcząc

w waszym zamku moją osobę. Nie chwalę się, bowiem zwykło się mówić, iż chwalba samego siebie tylko ujmę przynosi; ale mój giermek opowie wam, kim jestem. Jedno powiem, że wiecznie w mej pamięci zapisana będzie przysługa, jakami oddałyście, abym póki żywota wdzięczność dla was zachował. I gdyby nie to, że spodobało się wysokim niebiosom, aby miłość uczyniła mnie, tak podległego jej prawom, niewolnikiem oczu pewnej najpiękniejszej niewdzięcznicy, której imię

szeptem zaledwie wymawiam, oczy tej pięknej panienki pozbawiłyby mnie wolności. Zmieszały się gospodyn, jej córka i

poczciwa Maritornes, słysząc przemowę błędnego rycerza; nie rozumiały z niej nic, jakby po grecku gadał, choć pojmowały dobrze, że wszystko były to oświadczenia i pochlebstwa. I jako nienawykłe do po-dobnego języka przypatrywały mu się i podziwiały, wydawał im się człowiekiem innym zgoła niż zwykle spotykani; podziękowawszy mu za dworność słowami, do

jakich w karczmie nawykły, opuściły go, zaś Asturyjka Maritornes opatrzyła San- cza, który tego nie mniej od pana potrzebował.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Mulnik zmówił się z dziewczątką, że tej nocy pobaraszkują trochę, i ta przyrzekła mu, że skoro goście się położą, a gospodarze usną, przyjdzie życzeniom jego uczyć nic zadość. Mówiono, że owa dobra dziewczka, gdy raz komuś takie słowo dała, do-

103

trzymywała go zawsze, choćby je dała w lesie i bez żadnego świadka, gdyż uważała się za szlachciankę i nie miała sobie za ujmę służby w zajeździe, bo jak mówiła, niedola i zły los przywiodły ją do tego stanu. Twarde, wąskie, nędzne i zdradliwe łóżko Don Kichota stało pierwsze w pośrodku owej ugwieźdzonej stodoły, a tuż obok niego Sanczo zgotował swoje, złóżone tylko z maty trzcinowej i kołdry, która raczej wyglądała na zgrzebne płótno niż na wełnę. Za tymi dwoma było legowisko mulnika, sporządzone, jak rzekliśmy, z der i juk z dwu najlepszych mułów, jakie posiadał; miał ich dwanaście, lśniących, grubych i wspaniałych, gdyż był to jeden z bogatych poganiaczy z Arevalo, jak

opowiada autor tej powieści, który temu mulnikowi poświęcił osobną wzmiankę, znał go bowiem dobrze i nawet, jak

mówią, był jego krewniakiem.

Był ów Sidi Hamet

Ben Engeli dziejopisem bardzo ciekawym i dokładnym we wszystkim, widać to z tego, że w relacji swej nie pominął milczeniem najmniejszych nawet spraw ani najmniej ważnych; stąd mogliby brać przykład historycy poważni, którzy nam zdarzenia opowiadają tak krótko i zwięzle, że zaledwie ust naszych sięgną, pozostawiając w kałamarzu czy to przez niedbalstwo, czy złośliwość lub nieumiejętność to, co najważniejsze w dziele. Tysiąckroć sławiony bądź, autorze Tablante de Riamonte, i ty, owej innej księgi, gdzie opowiedziane są czyny hrabi Tomillasa, z jaką dokładnością wszystko przedstawiacie! Więc wracając do rzeczy - skoro mulnik opatrzył swe zwierzęta i przydał im obroku na noc, legł na swych derach i zaczął oczekwać swej najpunktualniejszej Maritornes. Sanczo, opatrzony i obwiązany, również zabierał się do snu, choć mu ból w boku przeszkadzał; zaś Don Kichote, z powodu bólow swoich, miał oczy jak zając otwarte. Całą gospodę zaległa cisza,

Don Kichote - Miguel Cervantez

oświetlał ją jedynie kaganek, który płonął zawieszony nad drzwiami. Owa przedziwna cisza i myśli, jakie ciągle nasuwały naszemu rycerzowi wy- padki opisane na każdym kroku w księgach, sprawczyniach jego nieszczęścia, za- przątały mu wyobraźnię najdziwaczniejszym obłędem, jaki wymyślić było można; uroił sobie, że przybył do słynnego zamku (gdyż jak mówiliśmy, zamkami w jego mniemaniu były wszystkie zajazdy, gdzie się zatrzymywał), a córka gospodarza była córką pana zamku i podbita jego dwornością, rozmiłowała się w nim i przyrzekła, że owej nocy, w tajemnicy przed rodzicami, przyjdzie legnąć przy nim na czas ja- kiś. Chimera, którą sobie uroił, wydała mu się tak pewna i niewątpliwa, że zaczął się trapić, rozmyślając o niebezpiecznej pokusie, na jaką uczciwość jego narażona będzie, w sercu swym postanawiając nie złamać wiary swej pani Dulcynei z Tobo- so, choćby sama królowa Ginewra ze swą damą Kwintanioną przed nim stanęła. Gdy tak rozmyślał o tych niedorzecznosciach, nadeszła godzina i czas umó- wiony (bardzo dlań nieszczęśliwy), kiedy Asturyjka w koszuli, boso, z rozpuszczony- mi włosami, wciśniętymi pod barchanowy czepek, cicho i uważnie skradając się, weszła na poddasze, gdzie owi trzej nocowali, szukając mulnika; zaledwie weszła w drzwi, gdy Don Kichote usłyszał i podniósłszy się na łóżu pomimo swych pla- strów i bólu w kościach, wyciągnął ramiona, aby przyjąć urodziwą panienkę. Astu- ryjka, skupiona i milcząca, macała rękoma przed sobą, szukając miłego, wpadła w ramiona Don Kichota, który silnie pochwycił ją za rękę i przyciągnąwszy, zmu- sił, by usiadła na łóżu; ona zaś nie śmiała odezwać się słowem. Dotykał jej koszuli

104

i choć była ze zgrzebnego płotna, jemu wydawała się z najcieńszego i najdelikat- niejszego jedwabiu. Miała na rękach manele1 szklane, ale dla niego miały one blask najkosztowniejszych perel uriańskich2. Włosy, raczej do włosów podobne, jemu zda- wały się przedzą z najświętlistszego złota Arabii, których blask zaćmiewał nawet słońce. Oddech jej, który

Don Kichote - Miguel Cervantez

niewątpliwie czuć było oliwą i sałatą zwiędłą i starą sprzed nocy, wydawał mu się słodką i aromatyczną wonią z jej ust wychodzącą. Jednym słowem, w swojej wyobraźni wymalował ją wedle wzorów i rysów, jakie w czyta- nej ksiązce nosiła pewna księżniczka, która przyszła odwiedzić rannego rycerza, zwyciężona jego miłością, a obdarzona tymi wszystkimi powabami, o jakich tu mowa. I tak wielkie było zaślepienie biednego szlachcica, że ani dotyk, ani oddech, ani inne przymioty poczciwej panienki nie ocuciły go, choć każdego prócz mulnika przyprawiłyby o wymioty; przeciwnie, zdało mu się, że w ramionach swych trzyma boginię piękności. I ciasno ją obłapiwszy, głosem miłosnym i cichym tak począł przemawiać:

- O, gdybym miał możliwość, piękna i wyniosła pani, odpłacić ci tak wielką łaskę, jaką jest widok twej wielkiej urody, którego mi użyczasz! Aliści los, który nie przestaje prześladować zacnych, chciał oto powalić mię na to łożę, gdzie spoczywam tak potłuczony i połamany, że choć z całej duszy rad bym zadość woli twej uczynić, byłoby to niemożliwe. Tym bardziej że do niemocy tej inna, ważniejsza się przyłączyła: oto wierność, jaką ślubowałem niezrównanej Dulcynei z Toboso, jedynej pani mych najtajniejszych myśli, i gdyby nie ta przeszkoła, nie byłbym rycerzem tak szalonym, aby poniechać szczęśliwej okazji, jaką mi wasza wielka dobroć nastręcza. Maritornes, przerażona, pociła się ze strachu tak ściskana przez Don Kichota i nie słuchając ani nie zwracając uwagi na jego przemowę, usiłowała uwolnić się bez słowa. Poczciwy mulnik, któremu złe żądze sen odpędziły, od chwili gdy jego dziewczka weszła, poczuł ją i pilnie wysłuchawszy wszystkiego, co Don Kichote prawił, zazdrośnie, że Asturyjka zdradziła go dla innego, przysunął się do

Don Kichote - Miguel Cervantez

legowiska Don Kichota i trwał bez ruchu, chcąc przekonać się, do czego zmierza ta gadanina, której pojąć nie mógł; lecz widząc, że dziewczka usiłuje wyrwać się Don Kichotowi, zaś ten ją gwałtem zatrzymuje, źle ten żart przyjął, podniósł do góry ramię i wymie- rzył tak straszliwy cios w wąskie szczęki zakochanego rycerza, że całą gębę krew zalała; nie zadowoliwszy się tym, wskoczył mu na żebra i galopem kilkakrotnie przebiegł po nim tam i z powrotem. Łoże niezbyt mocne, nie mające silnych podstaw, nie wytrzymało zbytniego ciężaru mulnika i runęło na ziemię; na ten wielki hamider zbudził się gospodarz i zaraz odgadł, że muszą być to jakieś sprawki Maritor-

nes, ponieważ choć wołał na nią głośno, nie odpowiedziała. Z tymi podejrzeniami wstał i zapaliwszy kaganek, udał się tam, skąd zgiełk dochodził. Dziewka, ujrzawszy zbliżającego się pana, a wiedząc, że był w gniewie straszny, przerażona bardzo i wzburzona, ukryła się na barłogu Sanczo Pansy, który spał w najlepsze, i tam zwinęła się w kłębek. Gospodarz wszedł, krzycząc: 1 manela - ozdoba na rękę, bransoleta. 2 perles'd'Orient-perły wschodnie. 105

- Gdzie jesteś, taka córko? To twoje na pewno sprawki!
Na to zbudził się Sanczo, a poczuwszy jakiś ciężar na sobie, sądził, że zmora go dusi, i zaczął walić kułakami na prawo i na lewo, sporo też się Maritornes dosta- ło, która, obolała, odrzuciła całą wstydlowość i oddała Sanczowi z nawiązką, tak że wbrew sobie do reszty się obudził; widząc, jak go traktują, a nie wiedząc kto, podniósł się, jak zdołał, pochwycił Maritornes i rozpoczęli oboje najzacieklejszą i naj- zabawniejszą na świecie utarczkę. Lecz mulnik, spostrzegłszy w świetle kaganka gospodarza, co się dzieje z jego damą, puścił Don Kichota i pobiegł jej z pomocą. Poskoczył i gospodarz, ale w całkiem odmiennym zamiarze, chciał bowiem ukarać dziewczę, sądząc bez wą- pienia, że ona jedynie była

Don Kichote - Miguel Cervantez

przyczyną całej tej muzyki. I jak to zwykle bywa: Kij do kota, kot do myszy, mysz do sznura... Mulnik walił Sancza, Sanczo dziewczę, Mari- tornes Sancza, zaś gospodarz dziewczę, a wszystko szło z takim zapałem, że ani chwili

nie spoczywali. Na dobitek kaganek gospodarza zgasł i znalazły się w ciemności, tłumili się bezlitośnie wszyscy w kupie, tak że gdziekolwiek padły razy i zdrowego miejsca nie zostało.

Zdarzyło się, że tej nocy przebywał w gospodzie strażnik, z tych, co to Świętą Hermandadą Starą z Toledo ich zowią, ten, usłyszawszy również niezwykły zgiełk bójki, wziąwszy swą urzędową laskę i skrzynkę blaszaną ze swymi papierami, wszedł po omacku na poddasze, mówiąc:

- Stójcie w imieniu prawa; stójcie w imię Świętej Hermandady! Pierwszym, na którego się natknął, był obity Don Kichote, rozciągnięty na rozwałonym łożu, na wznak i bez czucia. Tego po omacku pochwyciwszy za brodę, nie przestawał wołać:

- Uszanowanie dla prawa!

Ale widząc, że ten, którego trzyma, nie rusza się i nie daje znaku życia, pomyślał, że to trup i że inni obecni to jego mordercy. I w tym podejrzeniu podniósł głos, wołając:

- Zamknąć bramy zajazdu! Uważać, by nikt nie uszedł, gdyż tu zamordowano człowieka! Ten krzyk wstrząsnął wszystkimi i każdy przerwał walkę w tym stanie, jak go głos zaskoczył. Gospodarz zemknął do swej izby, mulnik do swych bydląt, dziewczęka na swój barłóg; jedynie nieszczęśni Don Kichote i Sanczo ruszyć się nie mogli z miejsca. Strażnik puścił brodę Don Kichota i poszedł po światło, aby odszukać i uwiezić winnych; ale światła nie znalazł, bo gospodarz umyślnie zgasił kaganek, uciekając do swej izby, musiał więc udać się do kominka, gdzie dugo się mozolił, zanim drugi kaganek zapalił. 106

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

opowiada o dalszym ciągu niezliczonych przykrości, jakie spotkały dzielnego Don Kichota i jego poczciwego giermka Sanczo Pansę W

Don Kichote - Miguel Cervantez

zajeździe, który na swe nieszczęście rycerz uważał za zamek Don Kichote tymczasem ocknął się z omdlenia i tym samym tonem, jakim poprzedniego dnia wzywał swego giermka, leżąc rozcięgnięty w Dolinie Kijów, zaczął go wołać, mówiąc:

- Sanczo, przyjacielu, czy śpisz? Czy śpisz, przyjacielu Sanczo?- Jakże mam spać, do licha - odpowiedział Sanczo pełen rozgoryczenia i rozpaczy - zdaje mi się, że wszyscy diabli dręczyli mię tej nocy. - Bez wątpienia tak możesz myśleć - odparł

Don Kichote - gdyż albo ja głupi, albo ten zamek jest zaklęty. Masz bowiem wiedzieć... lecz musisz mi przysiąc, że to, co ci teraz powiem, zachowasz w tajemnicy aż do mej śmierci.

- Przysięgam - odpowiedział Sanczo.

- Powtórz to - rzekł Don Kichote - gdyż nie chcę niczyjej czci szkodzić. - Mówię, że przysięgam! - powtórzył Sanczo. - Trzymać to będę w tajemnicy do ostatnich dni waszego żywota i daj Boże, abym nazajutrz mógł tę tajemnicę zdra-dzić.

- Zali tyle ci złego wyrządziłem, Sanczo - zapytał Don Kichote - że chciałbyś mię tak rychło martwym widzieć?

- To nie dlatego - odpowiedział Sanczo - ale nie lubię dużo XTS, CT[^] W skrytości trzymać, nie chcąc, aby się popsuły.

- Niech tak będzie, jak jest - rzekł Don Kichote - ufam bardziej twemu przywiązaniu i twej dworności. A więc, trzeba ci wiedzieć, że tej nocy zdarzyła mi się jedna z najdziwaczniejszych przygód, o jakiej słyszałem. Krótko mówiąc, dowiedz się, że ledwie co przyszła do mnie córka pana zamku, panienka najurodzisza i najpiękniejsza, jaką na szerokiej ziemi znaleźć można. Cóż mógłbym o wdzięku jej osoby powiedzieć? Cóż o żywości umysłu, cóż o innych ukrytych przymiotach, których, chcąc dochować wiary winnej mej pani Dulcynei z Toboso, tknąc się nie ważę i przemilczę? Chcę ci tylko powiedzieć, że niebo pozazdrościło mi takiego dobra, jakie mi los szczęśliwy podał w ręce, lub raczej myślę (i to jest pewniejsze), że, jak już powiedziałem, ten zamek jest zaklęty; w czasie, który z nią spędzałem na najsłodszej miłosnej rozmowie, nie spostrzegłszy i nie zgadując, ktorędy weszła, jakaś pięść uczepiona do ramienia potwornego olbrzyma spadła i wymierzyła mi taki cios w szczęki, że całe mam we krwi skąpane; potem zbiła mnie tak, że czuję się gorzej niż wczoraj, kiedy mulnicy, z powodu wybryków Rosynanta, sponiewierali nas, jak ci wiadomo. Z tego wnioszę, że skarbu piękności owej panienki musi strzec jakiś zaczarowany Maur i że to nie

dla mnie.

- A tym bardziej nie dla mnie - odpowiedział Sanczo - gdyż ponad czterystu Maurów tak mię tłumiło, że młócenie kijami byłoby jak ciastko i malowany kołacz

107

i

przy tym. Ale powiedzcie mi, panie, jak możecie przygodę ową szczęśliwą nazywać i rzadką, skoro tak zostaliśmy sponiewierani? Jeszcze jegomość nie tak źle, jeśli trzymaliście w ramionach taką niezrównaną piękność, jak mówicie; ale ja, cóżem zyskał? Chyba najgorsze guzy w moim życiu! Nieszczęsny ja i matka, która mnie

zrodziła, ani błędnym rycerzem nie jestem, ani nie myślę nim być kiedy, a ze wszystkich niepowodzeń największa część

na mnie spada. - Jak to? Więc i ciebie też obito? - zapytał Don Kichote.

- Czyż nie powiedziałem tego? Nieszczęście na mój ród! - rzekł Sanczo.
- Nie trap się, przyjacielu - rzekł Don Kichote - przyrządzę zaraz ów cenny balsam, który uzdrowi nas w okamgnieniu.

W tym czasie strażnikowi udało się zapalić kaganek i wrócił, aby zobaczyć, kogo zabito. Skoro Sanczo ujrzał go wchodzącego, w koszuli, z głową obwiązana chustką, z kagankiem w ręku, z rozgniewaną miną, zapytał swego pana:

- Panie, czy to przypadkiem nie wraca ów Maur zaczarowany, aby nas pokarać, o ile coś jeszcze całego zostało?
- Nie może to być Maur - odpowiedział Don Kichote - bowiem zaklęci nie ukazują się nikomu.

- Jeżeli nie dają się widzieć, dają się za to odczuć-rzekł Sanczo-a jak, niech powiedzą moje plecy.

- I moje mogłyby o tym powiedzieć - dodał Don Kichote - jednak nie jest to dostateczny dowód, by mniemać, że ten, który nam się ukazał, jest zaczarowanym Maurem.

Strażnik zbliżył się i widząc, że rozmawiają z sobą tak spokojnie, stanął jak

Don Kichote - Miguel Cervantez

wryty. Co prawda, Don Kichote leżał jeszcze na wznak, nie mogąc się poruszyć, tak był obity i obłożony plastrami. Strażnik podszedł doń, mówiąc: - Jak się masz, poczciwczę?

- Przemawiałbym grzeczniej na waszym miejscu - odpowiedział Don Kicho- te.

- Czyż w tym kraju w ten sposób odzywają się do błędnych rycerzy, gburze?

Strażnik, tak źle przyjęty przez człeka mizernie wyglądającego, nie mógł tego ścierpieć i podniósłszy kaganek pełen oliwy, grzmotnął nim w głowę Don Kichota, tak że go roztrzaskał, a wówczas wszystko pogräżyło się w ciemności; sam natych- miast wyszedł, zaś Sanczo rzekł:

- Ani chybi, panie, to jest Maur zaczarowany, musi on skarbu strzec dla innych, dla nas zachowuje kułaki i tłuczenie lampką.

- Tak jest - odparł Don Kichote - nie trzeba sobie nic robić z tych czarów ani się na nie złościć, ni obrażać, gdyż jako to są rzeczy niewidzialne i złudne, nie do- szlibyśmy, na kim mścić się trzeba, choćbyśmy nie wiem jak szukali.

Wstań, San-

cko, jeśli możesz, i zwołaj pana tego zamczyska, postaraj się, niech ci da nieco oliwy, wina, soli, rozmarynu, aby sporządzić ów zbawienny balsam. Doprawdy, myślę, że

mi go teraz bardzo potrzeba, setnie bowiem krwawi rana zadana przez ową zjawę. Sanczo wstał z wielkim bólem w kościach i poszedł po ciemku odnaleźć go- spodarza; natknąwszy się na strażnika, który stał, podsłuchując, co się z przeciwni- kiem dzieje, rzekł doń:

108

w I

- Panie, kimkolwiek jesteś, uczyń nam łaskę i dobrodziejstwo i daj nam nieco rozmarynu, oliwy, soli i wina, potrzebnych do wyleczenia jednego z najprzedniej- szych błędnych rycerzy, jakich ziemia nosi, a który leży w tym łożu poraniony sro- dze ręką zaczarowanego Maura przebywającego w tym zajeździe. Kiedy strażnik to usłyszał, osądził, że ma z wariatem do czynienia; a ponieważ już dnieć zaczynało, otworzył drzwi zajazdu, przywołał gospodarza i powiedział, czego ten poczciwiec się domaga. Gospodarz dostarczył wszystkich żądanych rze- czy i Sanczo zaniósł

Don Kichote - Miguel Cervantez

to Don Kichotowi, który rękoma trzymał się za głowę, skarżąc się na ból zadany uderzeniem kaganka, co jednak nie uczyniło mu innej szkody,

tylko nabiło dwa nabrzmiałe guzy. To zaś, co uważały za krew, było jedynie potem wydzielanym przezeń w opałach minionej mordęgi.

W końcu wziął składniki, połączyl je, mieszając wszystkie razem i gotując przez dobrą chwilę, póki mu się nie zdało, że musi być dosyć. Zaraz zażądał jakiejś flaszy, aby tę mieszaninę wlać, lecz kiedy jej nie znaleziono w zajeździe, poprzestał na blaszance z oliwy, którą mu gospodarz ofiarował, po czym odmówił nad tą blaszanąką z góra osiemdziesiąt Ojczenaszów i tyleż Zdrowasiek, Salve i Wierzę, kreśląc za każdym słowem znak krzyża świętego, jakby błogosławiąc; przy tym wszystkim obecni byli Sanczo, gospodarz i strażnik, zaś mulnik tymczasem spokojnie chodził koło swych bydląt. Dokonawszy tego, nie mieszkając, chciał na sobie skuteczność tego cennego, jak sobie wyobrażała, balsamu wypróbować, więc wypił, co zostało w garnku, w którym się płyn gotował, a po wypełnieniu blaszanki zostało go jeszcze pół kwarty. Zaledwie pić skończył, gdy zaczął rzygać tak gwałtownie, że nic mu w żołądku nie pozostało; z podniecenia i z wysiłku wymioty te wywołyły silne pocenie, więc polecił, aby go owinięto i zostawiono samego. Uczynili tak, on zaś przespał przeszło trzy godziny, w końcu obudził się rześni w ciele i z tak dobrym samopoczuciem, że uznał się za zdrowego i uwierzył, że naprawdę wpadł na sposób przyrządzenia balsamu Fierabrasa i że dzięki takiemu lekarstwu będzie mógł bez żadnej obawy jakiekolwiek szkody brać udział we wszystkich bitwach i przygodach, choćby najniebezpieczniejszych. Sanczo, który uzdrowienie swego pana za cud uważa, prosił, aby mu dał, co w garnku jeszcze pozostało, a było tego sporo. Don Kichote przystał na to, a

ten, chwyciwszy garnek oburącz, w dobrej wierze i z najlepszą wolą sumiennie pochłonął nie mniej niż jego pan. Lecz być może, że żołądek biednego Sancza nie był tak delikatny jak jego pana, zanim bowiem zebrało mu się na wymioty, chwyciły go takie kolki i nudności, takie poty i osłabienie, jakby ostatnia nań przyszła godzina.

Widząc się tak znękanym i udręczonym, przeklinał balsam i zdrajcę, który mu go użyczył. Patrząc na to, Don Kichote rzekł:

- Sądzę, Sanczo, że to wszystko stąd pochodzi, że nie jesteś pasowany na rycerza; jestem bowiem przekonany, iż likwor ten nie przynosi korzyści tym, którzy nimi nie są.
- Jeśli jegomość wiedzieliście o tym - odparł Sanczo - przeklęty ja i cała moja familia - to czemuście pozwolili, abym go kosztował?!

109

W tej chwili lek zaczął działać i nieszczęsny giermekiał się wypróżniać obustronnie z taką gwałtownością, że zarówno matkę, na której legł z powrotem, jak i płachdę zgrzebną, którą się przykrywał, z kretesem zniszczył. Pociągnął się i dygotał w takich wstrząsach i zapadach, że nie tylko on, ale i wszyscy pewni byli, że kończy życie. Trwał ten atak około dwóch godzin, po upływie których nie doznał ulgi jak jego pan, ale był zmłociony i osłabiony tak, że nie mógł na nogach się utrzymać. Jednak Don Kichote, który jak powiedziano, uczuł się rzeski i zdrow, chciał natychmiast na poszukiwanie przygód wyruszyć, zdawało mu się bowiem, że każda zwłoka w tym miejscu pozbawia świat i potrzebujących jego opieki i pomocy, tym bardziej że pewności i zaufania dodawał mu posiadany balsam. I tak, zniewolony owym zapałem, własnoręcznie osiodłał Rosynanta i okulbaczył osła, a swemu giermkowi pomógł się odziać i dźwignąć na siodło. Sam wskoczył na konia i podjechał w róg podwórza, porwał podręczną dzidę, która tam stała, aby mu za kopię służyła. Przypatrywali się temu wszyscy

Don Kichote - Miguel Cervantez

obecni w zajeździe, w liczbie ponad dwudziestu osób, przypatrywała się temu również córka gospodarza, z której Don Kichote oczu nie spuszczał, wydając od czasu do czasu westchnienie, jakby z głębi wnętrznosci wyrywane, wszyscy zaś myśleli, że to z bolesci, jaką odczuwał w żebrych; a przy- najmniej myśleli tak ci, którzy widzieli, jak poprzedniej nocy okładano go plastra- mi. Kiedy obaj już na wierzchowcach siedzieli, przy bramie zajazdu Don Kichote zwołał gospodarza i przemówił doń spokojnym i poważnym głosem: - Liczne i wielkie są dobrodziejstwa, jakich, panie kasztelanie, doznałem w wa- szym zamku. Jestem wam najmocniej zobowiązany i wdzięczności mej po wszyst- kie dni żywota dochowam. Obym mógł się odwdzięczyć, mszcząc się na jakimś pysałku, który was obraził, wiedziecie bowiem, że powołaniem moim jest pomagać słabym, mścić się za pokrzywdzonych i karać zdrajców. Poszukajcie w pamięci waszej, a jeśli coś podobnego znajdziecie mi do rozkazania, wystarczy zawiadomić mię, gdyż przyrzekam na cześć rycerską zadośćuczynić i ukontentować was wedle woli waszej.

Gospodarz odpowiedział z tym samym namaszczeniem:

- Panie rycerzu, nie potrzebuję, aby wasza miłość mścił się za krzywdy mi wyrządzone, bo ja sam umiem się należycie zemścić, gdy mi je wyrządzają. Przystoi tylko, aby waszmość zapłacił mi za szkody wyrządzone tej nocy w gospodzie oraz za złomę i obrok dla waszych dwojga bydląt, a także za wieczerzę i łóżka.

- Jak to, więc to jest gospoda? - zapytał Don Kichote. - I to bardzo przyzwoita - odparł gospodarz.

- Byłem tedy dotąd w błędzie - odpowiedział Don Kichote - zaiste myślałem, że

Don Kichote - Miguel Cervantez

to zamek, i nie byle jaki. Lecz skoro tak jest, iż to nie zamek, lecz zajazd, na razie nic innego nie możecie uczynić, jak darować nam należność; nie mogę bowiem przestąpić prawideł błędnych rycerzy, których jestem pewny (dotąd bowiem nic innego nie czytałem), iż nigdy nie płacili za nocleg ani za inne rzeczy w gospodach, gdzie się zatrzymywali, bowiem ze zwyczaju i prawa należy im się dobre przyjęcie jako nagroda za nieznośne trudy, jakich doznają, szukając przygód w nocy i we dnie,
w zimie i w lecie, pieszo i konno, w głodzie i pragnieniu, w upale i w chłodzie, wystawieni na wszystkie nieba niełaskawości i niewygody ziemi. 110

- Mało mię to obchodzi - odrzucił gospodarz - zapłaćcie, co mi się należy, i zostawmy te gadki i rycerskości; chodzi mi tylko o to, abym na swoje wyszedł.

- Jesteście głupiec i zły gospodarz! - odparł Don Kichote. Spiął Rosynanta ostrogami, pochyliwszy kopię, wyjechał z zajazdu niezatrzy-

mywany przez nikogo i nie oglądając się, czy giermek za nim jedzie, oddalił się kawał drogi. Gospodarz, widząc, że odjechał, nie zapłaciwszy, zwrócił się do Sanczo Pan- sy, żądając zapłaty; ten rzekł, że jeśli pan jego zapłacić nie chciał, tym bardziej on nie zapłaci; jest bowiem gierkiem błędnego rycerza, trzyma się tych samych re- guł i prawideł, co i pan jego, aby nie płacić za nic w gospodach i zajazdach. Roz- sierdził się na to gospodarz i zagroził, że jeśli nie zapłaci, on odbije to sobie, tak że pożałuje. Na co Sanczo odpowiedział, że wedle prawa rycerskiego, które jego pan otrzymał, ani złamanego szeląga nie zapłaci, choćby miał życiem nałożyć; nie może bowiem przekraczać ani sprzeciwiać się dobremu i odwiecznemu zwyczajowi błęd- nych rycerzy ani też giermkom ich, którzy kiedyś się narodzą, dawać powodu do skarg za złamanie tak sprawiedliwego prawa. Zły los nieszczęsnego Sancza chciał, że pośród ludzi znajdujących się w za- jeździe było czterech

Don Kichote - Miguel Cervantez

sukienników z Segowii, trzech iglarzy z Placu Źrebięcego w Kordobie i dwóch przekupni z Targowiska sewilskiego, ludzi wesołych, kroto-chwilnych, złośliwych i żartobliwych; ci, jakby się zmówili, jedną myślą ożywieni, zbliżyli się do Sancza, ściągnęli go z osła, jeden z nich przyniósł derkę z łożą go- spodarza, położyli Sancza na niej, lecz wzniósłszy oczy, spostrzegli, że pułap jest za niski na to, co czynić zamierzali, postanowili przeto wyjść na podwórze, które- mu niebo było granicą, i tam, rozciągnawszy Sancza na derce, jeśli go podrzucać i zabawiać się nim jak z psem w zapusty.

Wrzaski podrzucanego biedaka były tak przeraźliwe, że doszły do uszu jego pana; ten zatrzymał się, słuchając uważnie; myślał, że nowa zbliża się przygoda; niebawem przekonał się jasno, że

wrzeszczącym był jego giermek. Ściągnąwszy wodze, galopem do zajazdu zwrócił, a znalazły bramę zamkniętą, objechał do- koła, szukając, któreby by mógł wkroczyć. Zaledwie zbliżył się do murów podwó- rza, które nie były wysokie, ujrzał niegodny żart, jakiego ofiarą padł jego giermek.

Zobaczył, jak podskakuje w powietrzu i spada z takim wdziękiem i szybkością, że gdyby go złość opuściła i on też nie wstrzymałby się od śmiechu. Próbował z konia

przez mur się przedostać, lecz był potłuczony i połamany, tak że nie mógł zleźć z siodła. Więc z konia zaczął ciskać na tych, którzy podrzucali Sancza, takie obelgi i plugastwa, że nie sposób ich powtórzyć. Mimo to tamci nie zaprzestali śmiechów i swego dzieła, zaś skoczek Sanczo nie zaprzestawał skarg, mieszając bądź groźby, bądź błagania, lecz to nie przydało się na wiele i nie byłoby się na nic przydało, gdyby oni sami, zmęczywszy się, nie poniechali go. Przyprowadzili osła, wsadzili go nań, owinąwszy jego własną opończą; zaś litościwa Maritornes, widząc go tak zmordowanym, pomyślała, że

Don Kichote - Miguel Cervantez

dzban wody przyniósłby mu ochłodę, i aby była

śwież-

sza, przyniosła mu ją wprost ze studni. Sanczo wziął dzban i podnosił go do ust, lecz powstrzymały go krzyki, jakie

jego pan wydawał, wołając: sukiennik- twórca tkanin, sukna lub osoba handlująca nimi. 111

- Synu Sanczo, nie pij tej wody! Synu, nie pij tej wody! Ona cię zabije. Wi- dzisz, oto mam tu balsam najświętszy - i pokazał mu blaszankę z napojem — dwie jego krople wypijesz, a uzdrawiony będziesz niechybnie.

Na te słowa Sanczo rzucił kosę spojrzenie i zawała jeszcze głośniej: - Do licha!

Czy wyszło jegomości z pamięci, że nie jestem rycerzem, czy też chcecie, abym wyrzygał resztę wnętrznosci, jakie mi jeszcze od wczoraj wieczora zostały?

Zachowajcie wasz likwor, do wszystkich diabłów, i zostawcie mnie w spo- koju!

To powiedziawszy, zaczął pić pełnym haustum; lecz poczuwszy przy pierw- szym łyku, że to była woda, zaprzestał i poprosił Maritornes, aby mu wina przynio- sła. Uczyniła to najchętniej i zapłaciła własnymi pieniędzmi, gdyż w rzeczy samej, choć mówią o niej, że oddawała się niecnemu rzemiosłu, miała w obie pewne cechy i rysy chrześcijanki. Skoro Sanczo się napił, zbódł swego osła piętami i przez bra- mę na oścież otwartą wyjechał, bardzo zadowolony, że nic nie zapłacił i że wytrwał w postanowieniu, choć ze szkodą swych zwykłych poręczycieli, jakimi były jego plecy. Prawda, że sakwy pozostały u gospodarza jako zapłata za dług, lecz Sanczo nie spostrzegł tego, tak wzburzony wyjechał. Gospodarz, widząc Sancza za bramą, chciał ją dobrze zaprzeć, ale sprzeciwili się temu huśtawnicy, gdyż byli to ludzie, dla których Don Kichote, choćby był nawet rzeczywiście rycerzem błędny Okrąg- łygo Stołu, nie wartał i dwu

szelągów. ROZDZIAŁ OSIEMNASTY,

który mówi o rozmowach Sanczo Pansy z

jego panem Don Kichotem oraz o innych

przygodach godnych, by je opowiedziano

Don Kichote - Miguel Cervantez

Sanczo dojechał do swego pana tak wyczerpany i osłabły, że ledwie mógł popędzić osła. Don Kichote, ujrzawszy go w tym stanie, rzekł: - Teraz już wierzę, mówiąc Sanczo, że ani chybi ten zamek czy zajazd jest zaklęty: kimże bowiem mogli być ci, którzy tak okrutnie twoim kosztem się zaba- wiali, jeśli nie marami i mieszkańców zaświatów? Twierdzę to zaś, przypatrując się bowiem ponad murem podwórza przebiegowi twej smutnej tragedii, nie mogłem ani przedostać się przez mur, ani zleźć z Rosynanta, musieli na mnie rzucić czary; przysięgam ci bowiem na wiare, jaką wyznaję, że gdybym był zdolny przeleźć lub zejść z konia, byłbym cię tak pomścił, że owi hultaje i złoczyńcy byliby na zawsze ten żart popamiętali, choć przekroczyłbym prawa rycerskie, które, jak ci wiele razy mówiłem, nie pozwalają rycerzowi podnieść ręki przeciw temu, który nim nie jest, chyba w obronie własnego życia i osoby w razie nagłej potrzeby. - I ja bym się zemścił, gdybym mógł, czy byłbym pasowany na rycerza, czy nie, ale nie mogłem; choć uważam, że ci, którzy tak ze mną swawolili, nie byli ani

112

marami, ani zaczarowanymi, jak jegomość powiada, lecz takimi samymi ludźmi z krwi i kości jak i my; a każdy miał inne imię własne; słyszałem, jak nawoływali się, podrzucając mnie; jeden zwał się Pedro Martinez, drugi Tenorio Hernandez, go- spodarza zaś, jak słyszałem, zwano Juan Palomeque Mańkut. Tak więc, panie, to, żeście nie mogli przeskoczyć muru podwórza ani zsiąść z konia, innej przyczynie, nie czarom przypisać należy. Z tego wszystkiego jedno jasno wnioszę, że owe przygody, których poszukujemy, w końcu

Don Kichote - Miguel Cervantez

doprowadzą nas do takich tarapatów, że nie potrafimy odróżnić, która nogą prawa. I byłoby lepiej i pewniej, wedle mego małego rozumu, wrócić do naszej wioski, teraz jest pora żniw, i zająć się gospodarką, a nie wałęsać się od dzwonnicy do dzwonnicy i od karczmy na jarmark.

- Jak mało znasz się, Sanczo, na sprawach rycerskich - odpowiedział Don

Kichote. - Milcz i mieć cierpliwość; nadejdzie dzień, gdy na własne oczy przekonasz się, jak zaszczytną rzeczą jest wykonywanie tego zawodu. Nuże, powiedz, czy

może istnieć większe zadowolenie na świecie i z jaką rozkoszą może się równać zwycięstwo w walce i triumf nad wrogiem? Z

żadną niechybnie. - Pewnie, że tak - odparł Sanczo - choć ja się na tym nie znam; wiem tylko, że

odkąd staliśmy się błędnymi rycerzami, a raczej jegomość nim stałeś się (gdźź mnie nie godzi się zaliczać do tak zaszczytnego grona), nie wygraliśmy żadnej bitwy krom owej z Biskajczykiem, a i w tej zostawiliście jegomość połowę ucha i połowę przy- łbicy; odtąd były jeno kije i jeszcze raz kije, kułaki za kułakami, ja jeszcze miałem szczęście być huśtanym i podrzucanym przez zaczarowane stwory, nad którymi

zemścić się nie mogę ani dowiedzieć się, dokąd sięga rozkosz zwycięstwa nad wrogiem, o której jegomość prawi.

- To właśnie me zmartwienie i to ciebie gnębić musi, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - ale niebawem postaram się dostać do rąk miecz taką sztuką kowany, że kto go nosi, tego się żadne czary nie imają; może się trafić, że los szczęśliwy nadarzy mi ten sam, który posiadał Amadis, kiedy zwał się Rycerzem Ognistego

Don Kichote - Miguel Cervantez

Miecz; był to jeden z najlepszych na świecie, prócz wymienionej zalety ciąż jak brzytwa i nie było tak silnej i tak cudownej zbroi, która by mu się ostać mogła.

- Mam takie szczęście - rzekł Sanczo - że choćby jegomość i znalazła miecz podobny, przydałby się i służył jedynie pasowanym rycerzom, jak ów balsam, gierm- kowie zaś najedliby się żałości.

- Nie lękaj się o to, Sanczo - rzekł Don Kichote - niebo dla cię będzie łaskaw- sze.

Tak rozprawiając, Don Kichote i jego giermek jechali przed siebie, gdy nagle Don Kichote spostrzegł na drodze zbliżającą się ku nim wielką i gęstą kurzawę; na ten widok odwrócił się do Sancza, mówiąc:

- Oto dzień, o Sanczo, który odsłonił nam szczęście losem wyznaczone! Oto dzień, mówię, w którym się okaże jak nigdy dotąd mestwo mego ramienia, w którym przyjdzie mi dokonać czynów, co po wszystkie wieki zapisane będą w Księdze sławy. Czy widzisz, Sanczo, ową kurzawę, co się tam podnosi? Oto podniosło ją olbrzymie wojsko maszerujące ku nam, złożone z różnych a niezliczonych nacji.

- W takim razie muszą to być dwie armie - rzekł Sanczo - gdyż oto z przeciwniej strony wzbija się również podobna kurzawa. 113

Don Kichote odwrócił się, by zobaczyć, i ujrzał, że była to prawda; uradował się niezmiernie, rojąc bez wahania, że były to dwie armie, które się miały zderzyć i zetrzeć na owej rozległej równinie; w każdej bowiem godzinie i chwili miał wyobraź- nię pełną jakichś bitew, czarów, zwycięstw, klęsk, miłości, wyzwań, o których księ- gi rycerskie opowiadają, i wszystko, o czym mówił, myślał i co czynił, do podob- nych spraw odnosił. Ową kurzawę podniosły dwie wielkie trzody owiec i baranów, które tą samą drogą z dwu przeciwnych stron się zbliżały, lecz kurz nie pozwalał

Don Kichote - Miguel Cervantez

ich dojrzeć, dopóki były daleko. Don Kichote z takim przekonaniem utrzymywał, że to są wojska, iż Sanczo uwierzył i zapytał:

- Panie, cóż więc nam czynić przystoi?
- Co? - rzekł Don Kichote. - Sprzyjać i pomagać uciśnionym i potrzebującym. Masz wiedzieć, Sanczo, że tej armii naprzeciw nas przewodzi wielki cesarz Alifanfaron, władca wielkiej wyspy Trapobana; ta zaś, która za nami się zbliża, należy do jego wroga, króla Garamanów, Pentapolina z Obnażonym Ramieniem, tak zwa- nego, gdyż w bitwach występuje zawsze z prawym ramieniem nagim.
- Lecz dlaczegoowi dwaj władcy tak na siebie dybią?
- Nienawidzą się - odparł Don Kichote - albowiem ów Alifanfaron, wściekły pohaniec, zakochał się w córce Pentapolina, bardzo pięknej i pełnej wielkiego wdzię- ku damie, która jest chrześcijanką, ojciec zaś nie chce jej oddać temu pogańskiemu królowi, póki ten nie odrzeknie się wiary swego fałszywego proroka Mahometa i nie nawróci.
- Na mą brodę! - krzyknął Sanczo - Pentapolin dobrze czyni. Dalibóg, ze wszystkich sił będę mu się starał pomagać.
- i tak spełnisz powinność swoją, Sanczo - rzekł Don Kichote - aby brać udział w podobnych starciach, nie trzeba być pasowanym rycerzem. - To rozumiem - odparł Sanczo - lecz gdzie zostawimy osła, abyśmy byli pewni go odnaleźć po skończonej bitwie? Albowiem sądzę, że jak dotąd, nie jest to w zwyczaju, aby brać udział w bitwie na podobnym wierzchowcu. - To prawda - rzekł Don Kichote - możesz go puścić luzem; albo się zgubi,
- albo i nie; jeśli bowiem z walki zwycięsko wyjdziemy, będziemy mieli tyle koni, że nawet Rosynantowi grozi niebezpieczeństwo wymiany na innego. Ale przy mnie stój, patrz i uważaj, chcę ci wymienić najprzedniejszych rycerzy, którzy w tych dwóch armiach się zbliżają. Abyś lepiej widział i zapamiętał, wjedziemy na ten wzgórek, skąd musi być widać oba wojska. Uczynili tak i stanęli na wzgórzu, skąd widzieć byłoby można dobrze obie trzo- dy, które dla Don Kichota były wojskami, gdyby chmura kurzu przez nie podno- szona nie mąciła i nie zakrywała widoku, lecz wbrew wszystkiemu Don Kichote w swej wyobraźni widział, czego nie dostrzegał i czego nie było, i

donośnym gło- sem zaczął mówić: - Ów rycerz, którego widzisz w złoconej zbroi, a który na tarczy swej nosi lwa w koronie leżącego u stóp dziewczyny, to waleczny Laurcalco, pan Srebrnego Mostu, tamten w zbroi w złote kwiaty, co na tarczy nosi trzy korony srebrne w lazurowym polu, to straszny Micocolembo, wielki książę Quirocii; inny po jego prawicy, o człon- kach olbrzymich, to nieustraszony zawsze Brandabarbaran z Boliche, władca trzech

114

Arabii, ten obleczony jest w wężową skórę i zamiast tarczy nosi bramę, która jak fama głosi, jest jedną z trzech bram świątyni zburzonej przez Samsona1, kiedy umierający zemścił się na swych wrogach. Lecz obróć oczy w przeciwną stronę, a ujrzyś na przedzie i na czele drugiej armii zawsze zwycięskiego i nigdy niezwy- ciążonego Timonela z Carcajony, księcia Nowej Biskai. Zbroja jego na cztery po- dzielona części: lazurową, zieloną, białą i jasnożółtą, a na tarczy swej nosi złotego kota w czerwonym polu z zawioleniem „Miau", jest to początek imienia jego pani, którą, jak mówią, jest Miaulina, córka diuka Alfeniquena z Algarby; tamten, który przygniata i ugina grzbiet swej olbrzymiej kobyły i który ma zbroję białą jak śnieg i tarczę białą bez żadnego znaku, to świeżo pasowany rycerz, Francuz rodem, zwa- ny Piotr Papin, władca baronii Utryki. Ów, który żelaznymi piętami bodzie boki owej pstrokatej i lekkiej zebry, a nosi zbroję w szachownicę błękitnosrebrną, jest potężny książę Nerwii, Espartafilardo z Lasu, na którego tarczy wyobrażone jest szparago- we pole z napisem kastyckim, który brzmi: „Szczęście za mną kroczy". W ten sposób Don Kichote wymienił licznych rycerzy jednych i drugich zastę- pów urojonych i wszystkim nadał zbroje, barwy, godła i

Don Kichote - Miguel Cervantez

zawołania wymyślone na poczekaniu, uniesiony wyobraźnią swego niespotykanego szaleństwa, bez wytchnienia ciągnął dalej:

Ten zastęp przed nami składa się z ludzi rozmaitych nacji, są tam ci, którzy piją ze słodkich wód słynnego Ksantu; górale uprawiający pola massylskie, ci, którzy przesiewają delikatny i drobny piasek złoty Szczęśliwej Arabii; tamci, którzy rozkoszują się słynnymi i świeżymi brzegami jasnego Termodontu; są, którzy różnymi i licznymi drogami puszczażą krew złotonośnego Paktolu, i Numidowie obietnic niedotrzymujący, i Persowie, słynni łucznicy; Partowie i Medowie walczący pozorną ucieczką; Arabowie koczownicy; Scytowie równie okrutni jak biali; Etiopowie o przeklutywach wargach oraz niezliczone inne narody, których oblicza widzę i rozpoznaję, choć nazw nie pomnę. W owym drugim zastępie suną ci, którzy piją z kryształnych nurtów Betysu bogatego w oliwki, ci, którzy myją i wygładzają twarze falą wiecznie obfitego złocistego Tagu i którzy rozkoszują się zbawiennymi wodami boskiego Genilu, są, którzy depcą Pola Tartezyjskie obfitujące w pastwiska, i którzy szczęśliwy żywot pędzą na Elizejskich Łąkach Jerezu; tu Manczegowie bogaci, zło tymi kłosami uwieńczeni, tamci, w żelazo zakuci, to ostatnie szczątki starodawnej krwi Gotów; są, którzy kąpią się w Pisuerdze słynnej ze spokojnego nurtu; ci, którzy pasą swe trzody na rozległych i wielkich pastwiskach krętej Guadiany, słynnej z podziemnego biegu, i którzy drżą zimna w lesistych Pirenejach i na białych szczytach wyniosłego Apeninu; wreszcie wszyscy, których Europa mieści i zawiera.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Bóg wie, ile prowincji wyliczył, wiele nacji wymienił z zadziwiającą szybkością, nadając każdej stosowne właściwości, cały przejęty i obałamucony tym, co wyczytał w swych kłamliwych księgach.

Sanczo Pansa słuchał z uwagą słów jego, nie puszczając pary z gęby, i od czasu do czasu obracał głowę, aby spojrzeć, czy nie zobaczy owych rycerzy i olbrzymów, których pan jego wymieniał, lecz nic nie odkrywszy, rzekł:

Pomyłka Cerventesa: Samson uniósł wrota nie świątyni, lecz miasta Gazy.

115

- Panie, niech mię diabeł porwie, jeśli jakiś człowiek, olbrzym czy rycerz z tych, których jegomość wymienia, daje się dostrzec w tym wszystkim; przynajmniej ja ich nie dostrzegam, myślę, że muszą to być czary, podobnie jak mary ostatniej nocy.

- Cóż ty gadasz? - odparł Don Kichote. - Czyż nie słyszysz rżenia koni, dzwonienia trąb i odgłosu bębnów? - Nic nie słyszę - odpowiedział Sanczo - jeno beczenia licznych owiec i baranów.

I była to prawda, obie bowiem trzody znacznie się zbliżyły. - Twój lęk, Sanczo - odparł Don Kichote - sprawia, że nie widzisz i nie słyszysz, jak należy, jednym bowiem ze skutków przerażenia jest, że mąci zmysły i sprawia, iż rzeczy nie wydają się tym, czym są; ale jeśli się tak boisz, usuń się na

bok i zostaw mnie samego; dość mnie jednego, abym zwycięstwo przechylił na stronę tych, którym przyjdę z pomocą.

To mówiąc, spiął Rosynanta ostrogami, nastawił kopię i spadł jak piorun z pagórka. Sanczo zawała za nim:

- Zawróccie, jegomość, panie Don Kichocie! Przysięgam na Boga, że to owce i barany, na które chcecie uderzyć. Zawróccie!

Nieszczęsny ojciec, który mię spłoszył! Cóż to za

Don Kichote - Miguel Cervantez

szaleństwo! Spójrzcie, nie ma ani olbrzyma, ani żadnego rycerza,
ani kotów, ani zbroi, ani tarcz całych czy dzielonych, ani szachownic niebieskich, ani diabelskich! Co czynicie? O Boże, ja nieszczęsny!

Nie odwrócił się Don Kichote na to, parł naprzód, wołając głośno: - Hej!
Rycerze! Wy, którzy służycie i walczycie pod sztandarami dzielnego rycerza
Pentapolina z Obnażonym Ramieniem, za mną wszyscy! Zobaczycie, z jaką
łatwością zemszczę się na jego
przeciwniku Alifanfaronie z Trapobany.

To mówiąc, wpadł w sam środek zastępu owiec i zaczął je atakować drzew- cem z takim mestwem i zapałem, jakby naprawdę uderzał na swych śmiertelnych wrogów. Pasterze i owczarze idący za trzodą zaczęli krzyczeć, aby zaprzestał, lecz widząc, że to nie pomaga, naciągnęli proce i jeśli częstować uszy jego kamieniami wielkości pięści. Don Kichote nie troszczył się o kamienie, lecz uganiając na wszyst- kie strony, wrzeszczał:

- Gdzie jesteś, dumny Alifanfaronie? Do mnie sam tu! Jestem rycerzem, który pragnie samowtór potykać się z tobą i życia cię pozbawić za krzywdę wyrządzoną dzielnemu Pentapolinowi Garamancie.

Wtem wpadł nań otoczak rzeczny, uderzył go w bok i wtłoczył mu w ciało dwa żebra. Widząc się tak poturbowanym, uwierzył, że ani chybi jest zabity lub ciężko raniony, i przypomniawszy sobie swój balsam, wyjął blaszankę, przytknął ją do ust i zaczął wlewać kordiał do żołądka; zanim jednak połknął go tyle, ile uznał za do- stateczne, nadleciał nowy grechot, uderzył go w rękę i w blaszankę tak silnie, że rozbił ją na kawałki, po drodze wybijając mu trzy czy cztery zęby przednie i trzono- we i miażdżąc paskudnie dwa palce u ręki. Taki był cios jeden, a za nim drugi tak

Don Kichote - Miguel Cervantez

silny, że biedny rycerz zwalił się z konia na ziemię. Pasterze zbliżyli się doń, myśląc, że go zabili; po czym pośpiesznie zegnali trzodę, załadowali pobite sztuki, których było siedem, i na nic więcej nie bacząc, oddalili się. 116

Przez cały ten czas Sanczo stał na pagórkku, przyglądając się szaleństwu swego pana, wyrywając sobie brodę, złorzecząc godzinie i miejscu, w którym los mu go dał poznać. Lecz ujrzawszy, jak zwalił się z konia na ziemię, a pasterze odeszli, zjechał ze wzgórza, zbliżył się doń i znalazłszy go w żałosnym stanie, choć przytomnego, rzekł doń:

- Czyż nie mówiłem wam, panie Don Kichocie, abyście zatrzymali, bowiem ci, których atakować chcieliście, to nie wojsko, ale trzody baranów? - Jakże więc umie odmieniać i przekształcać wszystko ten łotr, czarodziej mnie

nieprzyjazny! Wierz mi, Sanczo, że takim złoczyńcom łatwo jest zwodzić nas, jak chcą, zaś ten niegodziwiec, który mnie prześladuje, zazdrośnie o sławę, jaką miałem się okryć w tej bitwie, przemienił owe zastępy wrogów w trzody owiec. Jeśli nie wierzysz, zaklinam cię na moje życie, Sanczo, zrób jedno, aby wyjść z błędu i przekonać się, że mówię prawdę, wsiądź na osła i jedź po prostu za nimi, a zobaczyysz, że oddaliwszy się stąd nieco, odzyskają swą pierwotną postać i z baranów staną się znów prawdziwymi ludźmi, jak ich przedtem opisałem.

Lecz teraz nie

odchodź, gdyż trzeba mi twojej usługi i pomocy. Zbliż się do mnie i zobacz, ilu mi zębów brakuje, bo zdaje mi się, że nie mam

już ani jednego w gębie. Sanczo zbliżył się tak, że mu niemal oczy w gębę wraził, wówczas właśnie

balsam zaczął działać w żołądku Don Kichota i akurat, kiedy Sanczo do gęby mu zaglądał, wyrzucił gwałtowniej niżli strzał

muszkietu wszystko, co było w żołądku, na brodę litościwego giermka.

- Święta Mario! - wrzasnął Sanczo. - Cóż to mi się przygodziło? Ten nieszczęśliwy jest na pewne śmiertelnie ranny, jeśli krew z ust oddaje. Przyjrzał się jednak lepiej, przekonał się po kolorze, smaku i zapachu, że

nie była to krew, lecz balsam z blaszanki, który Don Kichote za szybko był wypił. Zaraz go takie mdłości chwyciły, że żołądek mu się odwrócił, wyrzygał na swego pana, co miał w trzewiach, i pozostali obaj wyczyszczeni jak perły. Sanczo pobiegł do osła, aby wziąć z sakw, co potrzeba, by się oczyścić i opatrzyć pana, a kiedy ich nie znalazł, omal rozumu nie postradał; zaczął przeklinać i poprzysięgać

w sercu swym, że porzuci pana i powróci do wioski, choćby miał stracić zapłatę za służbę i nadzieję panowania nad wyspą.

Don Kichote tymczasem podniósł się, wsadził lewą dłoń do gęby z obawy, aby mu reszta zębów nie wypadła, drugą ręką ujął wodze Rosynanta, który nie ruszył się na krok od swego pana, tak był wierny i stateczny, i podszedł do giermka, który stał oparty piersią o osła, złożyszy policzek na dłoni jak człek głęboko zamysłyony. Don Kichote, widząc go w tej postawie, z oznakami takiego smutku, rzekł: - Wiedz, Sanczo, że człek nie jest nad drugiego wyższy, jeżeli więcej niż inny nie działa. Wszystkie te burze, które nas spotykają, są oznakami zbliżającej się pogody i szczęśliwego obrotu naszych spraw; nie jest bowiem możliwe, aby зло czy dobro wiecznie trwało, i należy wnowić, że kiedy зло zbyt długo trwa, dobro już jest bliskie. Przeto przestań się trapić tymi niepowodzeniami, które mnie spotykają, a których ani częstka na ciebie przecie nie spada.

- Jak to nie? - spytał Sanczo. - Zali przypadkiem nie byłem huśtany? Zali może być to ktoś inny, a nie syn mego ojca? Zaś te sakwy, które mi przepadły ze wszystkimi mymi zasobami, zali do kogo innego należały? 117

- Jak to, sakwy przepadły ci, Sanczo? - zapytał Don Kichote.
- Pewnie, że przepadły - odpowiedział Sanczo.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Tedy nie będziemy mieli dzisiaj co jeść? - pytał Don Kichote.- A jużci - odpowiedział Sanczo -jeżeli nie znajdziemy na tych łąkach owych zioł znanych wam, które, jak jegomość mówicie, zwykły zastępować podobne bra- ki nieszczęśliwym jak wasza miłość błędny rycerzem.
 - Co prawda - odparł Don Kichote - w tej chwili wolałbym raczej ćwiartkę chleba lub placek i ze dwie główki wędzonych śledzi niż owe zioła opisane przez Dioskoridesa, choćby go komentował doktor Laguna. Ale wszystko jedno, siądz na osła, dobry Sanczo, i jedź za mną; Bóg, który o wszystko się troszczy, nie zowie- dzie nas, tym bardziej że wszystko, co czynimy, w jego służbie sprawujemy, wszak nie opuszcza on komarów w powietrzu ani robaczków w ziemi, ani żyjętek w wo- dzie i jest tak litościwy, że swemu słońcu oświecać każe złych i dobrych, a deszczowi padać na sprawiedliwych i niesprawiedliwych.
 - Wasza miłość - rzekł Sanczo - bylibyście lepszym kaznodzieją niż błędny rycerzem.
 - Błędni rycerze - zauważył Don Kichote - o wszystkim wiedzieli i muszą wiedzieć; w ubiegłych wiekach bowiem błędny rycerz zatrzymywał się w szcze- rym polu, aby wygłaszać kazanie lub wykład, jak gdyby był dyplomowanym Uni- wersytetu Paryskiego; stąd wnosić można, że kopia nigdy pióra nie stępiła ani pióro kopii. - Już dobrze, niech będzie, jak jegomość prawicie - odparł Sanczo - ruszajmy stąd i postarajmy się o nocleg na dziś, a dałby Bóg, aby przypadł, gdzie nie będzie ani huštających, ani mar, ani zaczarowanych Maurów. Jeśli się zaś trafią, takiego nicponia i złodzieja wyśle do diabła.
 - Poleć się Bogu, synu - rzekł Don Kichote - i prowadź, gdzie chcesz, tym razem tobie chcę zostawić wybór postoju. Lecz daj tu rękę, pomacaj palcem, by się przekonać, ilu zębów przednich i trzonowych brak mi z prawej strony górnej szcze- ki, bo mię tam boli.
- Sanczo włożył palce i macając, rzekł:
- Ile zębów trzonowych miał jegomość zwykle z tej strony?- Cztery - odpowiedział Don Kichote - a prócz zęba mądrości wszystkie cał- kiem zdrowe.
 - Niech jegomość dobrze zważy, co mówi, panie - upomniał Sanczo.- Mówię cztery, a może pięć - odpowiedział Don

Don Kichote - Miguel Cervantez

Kichote - przez całe życie bowiem nie wyrwano mi ani jednego zęba przedniego ni trzonowego, żaden mi nie wypadł ani żadnego nie zepsuła mi próchnica ni reumatyzm. - A więc, po tej stronie na dole - rzekł Sanczo - jegomość ma tylko dwa i pół

zęba; zaś na górze żadnego, ani pół nawet; wszystko jest równe jak dłoń.

- O ja nieszczęsny! - zawałał Don Kichote, usłyszawszy smutną nowinę od giermka. - Wolałbym, by mi odrąbano ramię, byle nie to, które mieczem władca. Po- wiadam ci bowiem, Sanczo, że usta bez trzonowych są jak młyn bez kamienia i ząb więcej cenić należy od diamentu. Ale na to wszystko jesteśmy narażeni, żyjący

118

w surowym stanie rycerskim. Usiądź, przyjacielu, na siodło i prowadź; podążę za tobą, gdzie zechcesz. Tak też uczynił Sanczo i skierował się tam, gdzie zdawało mu się, że mogło być schronisko, nie zbaczając z królewskiego gościńca, który w tej stronie był bardziej uczeńszczany. Jadąc tak nogą za nogą, gdyż ból szczećk Don Kichota nie ustawał ani na chwilę i nie pozwalał na pośpiech, Sanczo chciał rozerwać go nieco i zaba- wić rozmową, więc opowiadał rozmaitości, a między innymi opowiedział to, co zawiera następny rozdział.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY o

roztropnych rozmowach Sanczo

Pansy ze swym panem,

O przygodzie z pewnym trupem oraz o innych ważnych wypadkach

Zdaje mi się, panie mój, że wszystkie te niepowodzenia, które nas w tych dniach spotkały, są niezawodnie karą za grzech popełniony przez waszą miłość przeciw przepisom rycerskim; nie dotrzymaliście bowiem ślubu, iż nie będziecie pożywać chleba na obrusie ni swawolić z królową i wszystko, co za tym idzie, a miał

jegomość dochować tego, póki nie zdobędziemy hełmu Malandryna czy jak się tam ów Maur zowie, bo nie pomnę

już dobrze.

- Masz zupełną rację, Sanczo - rzekł Don Kichote - lecz prawdę rzeklszy, całkowicie o tym zapomniałem; możesz więc być pewny, że przygoda z derką spo- tkała cię za to, iż nie przypomniałeś mi w stosownym czasie; ja zaś wynagrodzę to uchybienie, gdyż w stanie rycerskim są sposoby zadośćuczynienia za wszystko.

- Alboż ja przypadkiem co ślubowałem? - zapytał Sanczo.

- Nie ma to znaczenia, czyś ślubował, czy nie - rzekł Don Kichote - wystar- czy, że, moim zdaniem, nie możesz uchylić się od odpowiedzialności, i czy tak, czy owak nie będzie źle pomyśleć o wynagrodzeniu. - Ha, jeśli tak - rzekł Sanczo - baczie jegomość, abyście nie zapomnieli o tym, tak jak o ślubie, może bowiem znowu owym marom przyjść ochota pograć ze mną po raz drugi i z jegomością, kiedy spostrzegą, żeście tak zatwardziali. Na podobnych i innych rozmowach zaskoczyła ich ciemność wpół drogi i nie dotarli ani nie znaleźli, gdzie by noc spędzić mogli; co gorsza, umierali z głodu; wraz z sakwami, które przepadły, przepadły też wszelkie zapasy i żywność; aby zaś przypieczętować to niepowodzenie, zdarzyła się przygoda, która bez żadnego na- ciągania była prawdziwa. Mianowicie zapadła ciemna noc; mimo to jednak jechali dalej, gdyż Sanczo uważały, iż skoro są na królewskim gościńcu, to w odległości jednej lub dwu mil niezawodnie znajdą jakiś zajazd. Jadąc więc tak wśród ciemnej nocy, zgłodniały giermek i pan mający ochotę coś zjeść spostrzegli na tej samej drodze zbliżającą się ku nim wielką ilość świąteł, które zdawały się poruszającymi gwiaz-

Don Kichote - Miguel Cervantez

dami. Sanczo, ujrzawszy to, zdrętwiał, zaś Don Kichote poczuł się nieswój; ów ściągnął za uzdę osła, ten wodze swej szkapy; stanęli jak wryci, patrząc uważnie, co by to być mogło. Ujrzeli światła zbliżające się ku nim, zaś im bliżej były, tym większe się wydawały. Na ten widok Sanczo począł się trząść jakby zatruty żywym srebrem, zaś Don Kichotowi zjeżyły się włosy na głowie, lecz ochlonąwszy nieco, rzekł:

- Sanczo, oto bez wątpienia największa i najniebezpieczniejsza przygoda, w której będę musiał okazać całą mą waleczność i siłę.

- O ja nieszczęsny! - odparł Sanczo. - Jeżeli przypadkiem będzie to przygoda ze zjawami (a na to wygląda), gdzież znajdę żebra, które by ją zniosły?

- Choćby to były nie wiem jakie widma - rzekł Don Kichote - nie pozwolę im tknąć jednego włoska twej odzieży; jeżeli tamtym razem tak igrali z tobą, to dlatego, że nie mogłem przeskoczyć muru od podwórza; ale teraz znajdujemy się w szczerym polu, gdzie będę mógł do woli mieczem wywijać.

- A jeśli rzucą na was czar i odrętwienie, jak uczynili to ostatnim razem? - zawała Sanczo. - Cóż przyjdzie z tego, czy będziemy w otwartym polu, czy nie? - Mimo to - odparł Don Kichote - proszę cię, Sanczo, nabierz odwagi, doświadczenie pozwoli ci się przekonać, jak wielkie ożywia mię mestwo.

- Zdobędę się na to, jeśli Bóg pozwoli - odpowiedział Sanczo. I przystanawszy na skraju drogi, znowu zaczęli uważnie przyglądać się, co by to mogły być za wędrujące światła. Niebawem

Don Kichote - Miguel Cervantez

roznili licznych ludzi w koszulach, a ten straszliwy widok do reszty pozbawił odwagi Sanczo Pansę, który zaczął szczekać zębami, jakby czwartaczka go trzęsła; owo przerażenie i szczekanie jeszcze bardziej wzrosło, gdy wyraźnie dostrzegli, co to było; rozróżnili bowiem około dwudziestu ludzi w koszulach, na koniach, z zapalonymi pochodniami w rękach; za nimi zbliżała się lektyka kirem obita, a za nią sześciu innych jeźdźców w żałobie aż po kopyta mulic, poznali bowiem powolnym ich chodzie, że nie były to konie. Ludzie w koszulach posuwali się, mrucząc bezustannie między sobą głosem cichym a żałosnym. Ta dziwaczna wizja o tej porze i w miejscu tak odludnym wystarczyła zupełnie, by przejąć trwogą serce Sancza, a nawet jego pana; i byłoby tak się stało z Don Kichotem, ale kiedy całe męstwo i odwaga Sancza wniwece rozwiały, to pan jego, przeciwnie, żywo w wyobraźni swej przedstawił sobie, że oto będzie jedna z przygód w jego księciach zawartych. Uroił sobie, że lektyka owa to nosze, na których niosą śmiertelnie rannego albo martwego rycerza, i zemsta za niego jemu jednemu jest pisana; nie wahając się dłużej, drzewce pochylił, umocnił się w siodle i zatoczywszy szumnie koniem, w mężnej postawie stanął w poprzek drogi, których mieli przejeżdżać ludzie w koszulach; kiedy ujrzał ich blisko, podniesionym głosem zawała:

- Zatrzymajcie się, rycerze lub kimkolwiek jesteście, opowiedzcie się, kto wy, skąd idziecie, gdzie dążycie i co niesiecie na owych marach? Gdyż wszystko wskazuje na to, że albo wy wyrządiliście, albo wam wyrządzone jakąś krzywdę. Wypa-

Don Kichote - Miguel Cervantez

da i jest konieczne, abym o tym wiedział, bądź aby was ukarać za зло, któreście wyrządzili, bądź pomścić wyrządzoną wam krzywdę.

- Idziemy spiesznie - odpowiedział jeden z ludzi w koszulach - bo gospoda daleko i nie możemy zatrzymywać się, aby wam zdawać sprawę, jak sobie życzyście. 120

I spiąwszy muła, jechał naprzód. Don Kichote uczuł się wielce dotknięty tą odpowiedzią, więc chwyciwszy muła za wodze, rzekł:

- Stójcie, bądźcie grzeczniejsi i odpowiedźcie mi na pytanie; w przeciwnym razie wypowiadam wam walkę. Muł był płochliwy; chwycony za uzdę, stanął dęba z przerażenia i zrzucił swego pana przez grzbiet na ziemię. Pachołek, idący pieszo, widząc spadającego koszulnika, zaczął lżyć Don Kichota, który w pasji, nie zwlekając, pochylił drzewce i rzuciwszy się na jednego z żałobników, zwalił go na ziemię ciężko rannego; po tem zwrócił się przeciw innym i trza było widzieć, z jaką chyzością ich atakował i rozpraszał, zdawało się, jakby Rosynantowi w owej chwili skrzydła urosły, tak szedł lekko i dumnie. Wszyscy koszulnicy była to brać strachliwa i bezbronna, więc w jednej chwili z łatwością poniechali oporu i zaczęli rozbiegać się po polu z płonącymi pochodniami, tak że raczej sprawiali wrażenie maszkar biegających w noc karnawałową czy świąteczną. Żałobnicy, również zaplątani i omotani w faldziste kirysy i sutanny, nie mogli się poruszać, tak że Don Kichote swobodnie ich prał i zmusił do ustąpienia z pola wbrew woli, wszyscy bowiem myśleli, że to nie człowiek, ale diabeł z piekła ich napadł, aby porzucili trupa niesionego na marach. Sanczo przypatrywał się temu wszystkiemu, podziwiając zapał swego pana i mówiąc do siebie: „Ani chybi, ten mój pan jest tak dzielny i odważny, jak powiada”. Obok pierwszego, który spadł z muła, leżała na ziemi zapalona pochodnia, w jej świetle mógł go Don Kichote dostrzec i zbliżywszy się doń, przyłożył mu ostrze kopii do twarzy, żądając, aby się poddał, w przeciwnym razie go zabije. Na to powalony odpowiedział:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Aż nadto jestem poddany, albowiem ruszać się nie mogę, mam jedną nogę złamaną. Błagam waszą miłość, jeżeli jesteście rycerzem chrześcijańskim, nie za- bijajcie mnie, popełnili byście wielkie świętokradztwo, jestem bowiem licencjatem i mam pierwsze święcenia.

- Cóż więc za diabeł sprowadził was tutaj - zapytał Don Kichote - skoro je- steście duchownym?

- Kto, panie? - odpowiedział leżący. - Moja zła dola.- Ale grozi wam jeszcze gorsza - rzekł Don Kichote - jeżeli nie odpowiecie mi na wszystko, o co was pierwej pytałem.

- Łatwo waszą miłość zadowolę - odparł licencjat. - A więc, dowiedziecie się, wasza miłość, że choć przedtem powiedziałem wam, że jestem licencjatem, jestem tylko bakałarzem, nazywam się Alonso López i pochodzę z Alcobendas; przyby- wam z miasta Baezy z jedenastoma innymi duchownymi, którzy rozbiegli się z pochodniami; dążymy do miasta Segowii, towarzysząc tym zwłokom, które niosą w lektyce; jest to szlachcic, zmarły w Baezie, gdzie złożono go do trumny, a teraz - jak powiedziałem - niesiemy jego zwłoki do grobowca znajdującego się w Segowii, skąd pochodzi.

- A który go zabił? - zapytał Don Kichote.

- Bóg jakąś zaraźliwą gorączką, na którą umarł - odparł bakałarz.- W ten sposób - rzekł Don Kichote - Pan Bóg zdjął ze mnie obowiązek po-

mszczenia jego śmierci, jaki musiałbym wziąć na siebie, gdyby go był zabił kto inny; 121 lecz jako zabił go ten, który go uśmiercił, trzeba milczeć i opuścić ramiona; to samo uczyniłem, gdyby i mnie żywota pozbawił. Chcą jednak, aby wasza wielebność wiedziała, że jestem rycerzem z Manczy zwanym Don Kichote, a powołaniem moim i zawodem jest jeździć po świecie, prostując błędy i naprawiając krzywdy. - Nie wiem, jakie to może być prostowanie błędów - rzekł bakałarz - kiedy mnie z prostego zrobiliście krzywym, zostawiając mię ze złamaną nogą, która już prosta nie będzie przez wszystkie dni mego

Don Kichote - Miguel Cervantez

żywota; zaś tak we mnie krzywdę naprawiliście, że skrzywdziliście mię, iż już na całe życie krzywym zostanę; było to wielkie nieszczęście dla mnie, żem was spotkał, którzy błądzicie, szukając przy- gód. - Nie

wszystko - rzekł Don Kichote - udaje się jednak; całe nieszczęście w tym, panie bakałarzu Alonzo López, żeście szli nocą, odziani w owe komże, z pło- nącymi pochodniami, mrucząc, okryci kirem, podobni raczej jakimś złym marom z innego świata. Dlatego nie mogłem poniechać tego, co mi obowiązek nakazywał,

i natarłbym na was, choćbym był zaiste wiedział, że jesteście samymi diabłami z piekła rodem, gdyż za takich was miałem i uważałem zawsze.

- Skoro już tak los chciał - rzekł bakałarz - błagam waszą miłość, panie rycerzu błędny (który taki błędny los mi zgotowałeś), pomóżcie mi wyleźć spod tego muła, który mi nogę przycisnął między strzemieniem a siodłem. - Gadałbym tak do rana! - rzekł Don Kichote. - A dokąd byście czekali, by mi o waszej biedzie powiedzieć?

Zawołał Sanczo Pansę, by natychmiast przyszedł, lecz temu nie było to w gło- wie, zajęty był bowiem zdejmowaniem z muła zapasów, jakie owi zacni panowie wiezli, dobrze w żywność zaopatrzeni. Sanczo z kubraka swego zrobił worek i zgar- nawszy weń wszystko, co zdołał i wiele wlazło, załadował na swego wierzchowca i bez zwłoki już podszedł na wołanie swego pana; dopomógł panu bakałarzowi wydobyć się spod ciężaru muła i wsadziwszy go na siodło, podał mu pochodnię. Don Kichote radził owemu, aby się udał w drogę za towarzyszami, tych ze swej

Don Kichote - Miguel Cervantez

strony polecił prosić o przebaczenie krzywdy, od wyrządzenia której nie w jego mocy było się powstrzymać. Sanczo również przemówił:

- Gdyby przypadkiem ci panowie chcieli wiedzieć, kim był ów śmiałek, który im tak dogodził, powiedzcie, wasza miłość, że to sławny Don Kichote z Manczy, inaczej zwany Rycerzem Smętnego Oblicza.

Po czym bakałarz odjechał, a Don Kichote zapytał, co skłoniło Sancza do nazwania go Rycerzem Smętnego Oblicza właśnie w tej chwili, a nie kiedy indziej. - Powiem wam - odparł Sanczo - oto patrzyłem na was przez chwilę przy świecę pochodni, jaką niósł ten kuternoga, i zaiste jegomość ma chyba najsmętniejszą

twarz, jaką kiedykolwiek widziałem. Przyczyną tego musi być albo zmęczenie walką, albo brak zębów przednich i trzonowych.

- To nie to - odpowiedział Don Kichote - jeno mądrzec, któremu przypadnie zadanie spisania historii moich czynów, uważały, iż dobrze będzie, jeśli przybiorę jakiś przydomek, jak to czynili wszyscy dawni rycerze; jeden zwał się Rycerzem Płomiennego Miecza, drugi Jednoróżca, ów był Rycerzem Panien, inny Ptaka Feniksa, ten Rycerzem Inogi, tamten Śmierci. Z tych to przydomków i godel znani byli na całej kuli ziemskiej. 1 dlatego mówię, że ów mądrzec natchnął cię i na język

122

ci położył myśl nazwania mię teraz Rycerzem Smętnego Oblicza, i tak myślę zwać się odtąd; aby zaś to miano lepiej mi odpowiadało, postanowiłem wymalować przy sposobności na tarczy bardzo posępne oblicze.

- Nie trza tracić czasu i pieniędzy na malowanie takiej twarzy — rzekł Sanczo — wystarczy, by jegomość swoją pokazał, obróciwszy się ku patrzącym, aby od razu, bez żadnego wizerunku na tarczy, nazwali was Rycerzem

Don Kichote - Miguel Cervantez

Smętnego Oblicza; wie- rzącie mi, że prawdę powiadam; zapewniam bowiem jegomości (i niech to będzie powiedziane żartem), że panu czy to głód, czy brak zębów czyni twarz tak mizerną, iż -jak powiedziałem - można się całkiem obejść bez smętnego malowidła. Roześmiał się Don Kichote z żartu Sancza, ale przecie postanowił przyjąć to miano i jeśli tylko będzie mógł, wymalować na tarczy czy puklerzu, jak to sobie wyobrażały. Więc rzekł:

- Sądzę, Sanczo, że jestem wyklęty za to, iż podniosłem w gwałcie rękę na rzecz świętą: Iuxta illud, si quis suadente diabolo1 itd., jakkolwiek dobrze wiem, że nie podniosłem rąk, lecz drzewce, tym bardziej iż nie miałem zamiaru obrażać du- chownych ani rzeczy należących do Kościoła, który szanuję i czczę jako katolik i wierny chrześcijanin, lecz sądziłem, że mam do czynienia z widmami i ze stwora- mi z tamtego świata. A choćby i tak było, mam w pamięci, co się zdarzyło Cydowi Ruyowi Diazowi, kiedy połamał krzesło ambasadora królewskiego w przytomno- ści Ojca Świętego, który go za to wyklął, aczkolwiek owego dnia zacny Rodryg de

Bivar postąpił jak bardzo czerstwy, prawy i dzielny rycerz. Wysłuchawszy tego, bakałarz oddalił się, jak rzekliśmy, nie pisnąłszy słowa.

Don Kichote chciał się przekonać, czy ciało niesione w lektyce było kościołuprem, czy nie, ale Sanczo nie zgodził się na to, mówiąc:

- Panie, jegomość wyszliście z tej niebezpiecznej przygody bardziej obronną ręką niż ze wszystkich dotychczas, mogłoby się zdarzyć, że ci ludzie, choć pokonani i rozproszeni, opamiętaliby się, że zwyciężył ich jeden człowiek, i rozgniewani tym oraz zawstydzieni, gotowi znowu się zebrać i wrócić, odszukać nas, i wtedy daliby nam łupnia! Osioł gotów, góry blisko, głód nagli, nic innego nam nie pozostaje, jak wziąć nogi za pas i szybko stąd uchodzić, a jak mówią: Niech umarły idzie do gro- bu, a żywy do kociołka.

Don Kichote - Miguel Cervantez

I popędzając osła, prosił pana, aby szedł w jego ślady, ten zaś, uważając, że Sanczo ma rację, bez sprzeciwu ruszył za nim. Ujechawszy niewiele między dwoma pagórkami, znaleźli się w rozległej i osłoniętej dolinie, gdzie zszedli, a Sanczo zdjął toból z osła i rozciągnąwszy się na zielonej trawie, z dobrą przyprawą głodu, zajadali naraz śniadanie, obiad, podwieczorek i kolację, racząc żołądkı dostateczną ilością zakąseki, jakie towarzyszący zmarłemu mości duchowni

(którzy rzadko

umartwiać się lubią) w tobołach swych na mule wieźli. Zdarzyła się atoli nowa bieda, przez Sancza za najgorszą uważana ze wszystkich, a mianowicie, nie mieli wina do picia ani nawet wody, by gębę odświeżyć; więc kiedy nękało ich pragnienie,

Sanczo, widząc, iż łąka, gdzie się znajdowali, pokryta była zieloną i drobną trawą, rzekł, o czym będzie mowa w kolejnym rozdziale.

1 Również gdyby kto za namową szatana podniósł rękę na osobę duchowną (łac, Dekrety soboru trydenckiego, rozdz. 45). 123

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

o nigdy niewidzianej i niesłyszanej przygodzie, jakiej żaden słynny rycerz świata nie zakończył tak szczęśliwie jak dzielny Don Kichote z Manczy

Panie mój, te trawy są niezawodnym świadectwem, że w pobliżu musi być jakieś źródło lub strumyk, który im wilgoć daje, dobrze więc uczynimy, idąc dalej; znajdziemy pewnie czym ugasić to straszliwe pragnienie, które nas męczy i bez wątpienia daje się nam bardziej we znaki

niż głód. Rada ta przypadła do smaku Don Kichotowi, więc ujawszy Rosynanta za wo-

Don Kichote - Miguel Cervantez

dze, Sanczo zaś osła za uzdę, włożywszy nań wprzód resztki posiłku, zaczęli iść łąką po omacku, ciemność nocy nic im bowiem widzieć nie pozwalała; nie uszli nawet i dwustu kroków, kiedy do uszu ich doszedł wielki huk wody, jaki czyni wodospad spadający z jakichś wysokich skał. Szum uradował ich niezmiernie, ale zatrzymawszy się, aby rozróżnić, z której strony dobiera, usłyszeli wnet jakiś inny stukot, który znacznie przygasił ich radość z wody, osobliwie u Sancza, z natury

bojaźliwego i małego ducha. Powiedzmy, że usłyszeli miarowe uderzenia i jakiś szczeć łańcuchów i żelastwa, którym towarzyszył szalony huk wody. Mogłoby to napełnić trwogą każde inne serce krom serca Don Kichota. Noc była ciemna, jak powiedziano; zdarzyło się, że weszli między jakieś wysokie drzewa, których liście, poruszane lekkim wiaterkiem, wydawały szmer przejmujący a cichy; tak że samotność, położenie, ciemność, szum wody i szmer liści wszystko razem wywoływało

lęk i przerażenie, zwłaszcza że stukot nie ustawał, wiatr nie cichł, dzień się nie zbliżała, a na dobitek wszystkiego nie wiedzieli, gdzie się znajdują. Don Kichote jednak, którego nie opuszczała nieustraszona odwaga, wskoczył na Rosynanta i ujawszy tarczę, pochylił drzewce i rzekł:

- Przyjacielu Sanczo, musisz wiedzieć, że z woli nieba urodziłem się w tym wieku naszym żelaznym, aby wskrzesić wiek złoty albo złocisty, jak go zwykle zowią. Jam jest, którego czekają niebezpieczeństwa, wielkie czyny, bohaterskie dzieła. Jam jest, raz jeszcze powtarzam, który ma wskrzesić Rycerzy Okrągłego Stołu, dwunastu Parów Francji, dziewięciu Rycerzy Sławy i który ma zaćmić

Don Kichote - Miguel Cervantez

Platirów, Tablantów, Oliwantów i Tyrantów, Febów i Belianisów, z całą zgrają słynnych rycerzy błędnych ubiegłych wieków, dokonując w obecnym wieku tylu wielkich i niezwykłych zbrojnych czynów, wobec których zbledną najsłynniejsze ich poczynania. Zauważ dobrze, wierny i lojalny giermku, ciemność tej nocy, jej niesamowitą ciszę, głuchy i zmieszany szum tych drzew, straszliwy huk wody, na której poszukiwanie idziemy, a która zdaje się spadać i zwalać z wysokości Górz Księżyco-wych', ten nieustanny łoskot, który bije o nasze uszy i rozdziera je; wszystko to

Aluzja do Nilu, którego źródła starożytni umieszczały w Górzach Księżyco-wych' Górnego

Etiopii i z których Nil miał spadać w dwu olbrzymich wodospadach.

124

pospołu i każde z osobna wystarcza, by napełnić trwogą i przerażeniem pierś samego Marsa, a cóż dopiero taką, która nie przywykła do podobnych spotkań i przygód. Wszystko to, co ci przedstawiam, to są przynęty i bodźce dla mego animuszu i to sprawia, że serce me wzbiera w piersi pragnieniem podjęcia tej przygody, choć by nie wiem jak niebezpieczną się okazała. Zatem ściągnij nieco popręgi Rosyntowi, zostań z Bogiem i czekaj tu na mnie trzy dni najdłużej. Jeżeli do tego czasu nie wrócę, możesz odjechać do naszej wsi, a stamtąd, zrobisz mi łaskę i dobrą przyługę, gdy udasz się do Toboso, gdzie niezrównanej mej pani Dulcynei powiesz, że jej niewolny rycerz zginął, ważąc się na sprawę, która by go godnym jej uczyniła.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Kiedy Sanczo usłyszał słowa swego pana, zaczął rzewliwie płakać: - Panie, nie wiem, po co jegomość chce podjąć tak zuchwałą wyprawę. Jest teraz noc, nikt nas nie widzi, możemy wybrać inną drogę i uniknąć niebezpieczeństw- stwa, choćbyśmy i trzy dni pić nie mieli; a jak nie masz nikogo, kto by nas widział, tym bardziej nie będzie miał nas kto za tchórzy poczytać; ponadto nieraz słyszałem, jak proboszcz naszej wioski (którego jegomość zna dobrze) kazał, iż kto niebezpie- czeństwa szuka, od niego zginie. Niedobrze jest więc kusić Boga, ważąc się na tak szalone dzieło, z którego cało wyjść można tylko cudem, wystarczy to, co niebo dla jegomości uczyniło, chroniąc was od podrzucania, jak to na mnie padło, i pozwala- jąc wyjść zwycięsko, swobodnie i cało spomiędzy tak licznych przeciwników jak ci, którzy towarzyszyli zmarłemu. A jeśli to wszystko nie poruszy ani nie zmiękczy twego twardego serca, niech wzruszy je myśl i przekonanie, że zaledwie stąd się jegomość oddali, ja ze strachu oddam duszę każdemu, kto ją zechce zabrać. Wysze- dłem z ziemi mojej, opuściłem żonę i dzieci, aby służyć waszej miłości, sądząc, że urosnę, a nie będę poniżony. Lecz podobnie jak chciwość zbytnia worki drze, tak i moje nadzieje zniweczyła; kiedy bowiem najżywiej spodziewałem się owej nie-

szczęsnej, przeklętej wyspy, jaką tylekroć obiecywał mi jegomość, widzę teraz, że w zamian za nią chcecie mię oto porzucić w miejscu tak odludnym. Na Boga jedy- nego, panie mój, nie czyńcie mi tej krzywdy; a w razie, gdybyście nie chcieli wy- rzec się tej wyprawy, odłóźcie ją przynajmniej do jutra rana, gdyż wedle umu, jaki posiadłem, będąc pasterzem, za trzy godziny dnieć zacznie, bowiem

Don Kichote - Miguel Cervantez

pysk Małej Nie- dźwiedzicy jest ponad naszą głową, a północ oznacza linia lewego ramienia. - Jak możesz, Sanczo - rzekł Don Kichote - dojrzeć, gdzie jest ta linia oraz ów pysk czy kark, o którym mówisz, jeśli noc jest tak czarna, że na całym niebie nie ma żadnej gwiazdy?

- To prawda - rzekł Sanczo - lecz strach ma liczne oczy i widzi rzeczy pod ziemią, zaś o wiele lepiej te, które są w górze na niebie, możecie jednym słowem osądzić, że świt już niedaleko. - Daleko czy niedaleko - odpowiedział Don Kichote - nie będzie można rzec

O mnie teraz ani nigdy, że łzy i błagania powstrzymały mię od wypełnienia obo- wiążku rycerza; więc proszę cię, Sanczo, zamilkni, gdyż Bóg, który serce moje natchnął zamysłem tej zuchwałej i nigdy niespotykanej przygody, baczyć będzie,

abym ocalał, i pocieszy cię w smutku. Pozostaje ci zacieśnić popręgi Rosynanta i czekać tutaj, powróć niedługo żyw albo umarły.

Sanczo, widząc, jak niezłomne jest postanowienie jego pana i jak niewiele wskórają rady, płacze i błagania, postanowił zażyć podstępu i o ile możliwości za125

trzymać go aż do rana. Dlatego poprawiając popręgi koniowi, cichcem i potajem- nie spętał uzdę swego osła obie nogi Rosynanta, tak że kiedy Don Kichote chciał odjechać, nie mógł, koń bowiem mógł poruszać się jedynie podskokami. Sanczo Pansa, widząc, że mu się podstęp udał, rzekł:

- Oto, panie, samo niebo wzruszone mymi łzami i prośbami sprawiło, że Rosynant ruszyć nie może, i jeżeli będziecie się upierać i ostrogami bóstwo, będzie to wyzywaniem losu i wierzganiem -jak to się mówi - przeciw ościeniowi.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Don Kichote zawziął się, lecz im bardziej bił konia piętami, tym mniej mógł nim kierować i nie zdając sobie sprawy ze spętania, postanowił zatrzymać się i za-

czekać, albo aby dzień nastął, albo aby Rosynant odzyskał swobodę ruchów, i nie przypuszczając zgoła, żeby to miała być

sztuczka Sancza, tak mówił: - Sanczo, ponieważ Rosynant nie może się poruszać, muszę rad nierad cze-kać, aż jutrzenka się uśmiechnie, choć opłakuję jej opóźnienie. - Nie ma co płakać - odparł Sanczo - zabawiał będę jegomości do białego rana

opowiadaniem, chyba że zechcecie zsiąść z konia i położyć się przespacerować trochę, na zielonej trawie, wedle zwyczaju błędnych rycerzy, aby znaleźć się rzeźwiejszym, kiedy dzień nastanie i nadziejście chwila rozpoczęcia nieprawdopodobnej przygody, jaka was czeka.

- Cóż pleciesz o zsiadaniu z konia i o spaniu? - rzekł Don Kichote. - Zaliż przypadkiem zaliczam się do owych rycerzy, którzy wśród niebezpieczeństw spoczywają? Śpij ty, który urodziłeś się, aby spać, lub czyn, co ci się podoba; ja bowiem uczynię, co uważać będę za najbardziej stosowne.

- Nie gniewajcie się, jegomość, panie mój - odpowiedział Sanczo - nie chciałem was urazić. I zbliżywszy się doń, położył jedną rękę na przednim, a drugą na tylnym łyku siodła w ten sposób, że objął lewe udo swego pana, nie śmiejąc się oddalić na cal nawet, tak bowiem bał się owych stukotów, które miarowo rozbrzmiewały. Don Kichote zachęcił go, aby mu opowiedział jakąś gadkę, jak obiecywał, na co Sanczo odparł, że uczyniłby to chętnie, gdyby mu na to pozwolił strach przed tym, co słyszy.

- Mimo to postaram się wam opowiedzieć pewną historię, która, jeśli skończyć zdołam i nic nie przeszkodzi, jest najzabawniejsza ze wszystkich; słuchajcie więc, jegomość, gdyż zaczynam: Było, co było, niech добро spłynie na wszystkich, a зло na tego, który zła szuka. Zważcie, jegomość,

Don Kichote - Miguel Cervantez

panie mój, że starożytni nie zaczynali swojej opowieści tak, jak by pan sobie życzył, ale od sentencji Katona Zonzoryna Rzymianina, brzmiącej: „Zło jest dla tego, który go szuka”. Pasuje ona tutaj jak pierścionek na palec, aby jegomość zachował spokój i nigdzie nie wyprawiał

się po nową biedę, a raczej wróćmy inną drogą, kiedy nikt nas nie zmusza jechać właśnie tą, gdzie nas tyle strachów oblatuje.

- Opowiadaj dalej, Sanczo - mówił Don Kichote - a mnie pozostaw troskę o drogę, jaką jechać mamy. Zamiast: Cenzoryn, tj. Cato Censorinus. 126

- Mówię tedy - ciągnął Sanczo - że w pewnej miejscowości Estremadury żył koziarz, chciałem rzec ten, który kóz strzeże, i pasterz ów, czyli koziarz, jak moja gadka mówi, zwał się Lope Ruiz; ów Lope Ruiz zakochał się w pewnej pasterce, zwanej Torralba; ta pasterka, zwana Torralba, była córką bogatego bacy; ten bogaty baca... -

Jeżeli w ten sposób będziesz opowiadał twą historię, powtarzając dwa razy to samo, nie skończysz i przez dwa dni. Gadaj więc porządnego i opowiadaj jak człek rozsądny albo nie gadaj wcale.

- W ten sposób, jak ja gadam - odpowiedział Sanczo - opowiadają się w mojej ziemi wszystkie gadki, nie umiem opowiadać inaczej i nie przystoi jegomości żą- dać, abym nowe zwyczaje wprowadzał.

- Gadaj, jak chcesz - odparł Don Kichote - a skoro los nie chce, abym mógł tego słuchania uniknąć, ciągnij dalej.

- A więc, panie mej duszy - ciągnął Sanczo - tak jak powiedziałem, ów pa- sterz zakochał się w Torralbie, pasterce; była to dziewczyna okrąglutka, harda i mająca coś męskiego w sobie, miała bowiem małe wąsiki, jakbym ją teraz widział.

- Chwileczkę... znałeś ją? - zapytał on Kichote.

- Nie znałem osobiście - odpowiedział Sanczo - ale ten, który mi tę gadkę opowiadał, mówił mi, że jest ona tak pewna i prawdziwa, iż gdybym ją kiedykol- wiek komu innemu

Don Kichote - Miguel Cervantez

opowiadał, mógłbym twierdzić i przysięgać, że to wszystko widziałem. Otóż, dzień za dniem schodził, a diabeł, który nie śpi i wszystko mąci, sprawił, iż miłość, jaką pasterz do pasterki żywili, zmieniła się w nienawiść i nie- chęć; a przyczyną było -jak złe języki głoszą - że dała mu liczne do zazdrości powody, które przekraczały granice, zbliżając się do rzeczy zakazanych.

A tak wielka

stała się odtąd nienawiść pasterza ku niej, że aby jej nie widzieć, postanowił opu- ścić kraj i udać się tam, gdzie by jej oczy jego nigdy nie oglądały. Torralba, widząc

się tak wzgardzona przez Lopego, naraz rozmiłowała się w nim bardziej niż kiedykolwiek.

- Oto przedziwna natura niewieścia - rzekł Don Kichote. - Gardzić tymi, któ- rzy je miują, miłować, którzy nimi gardzą. Mów dalej, Sanczo. - Stało się - rzekł Sanczo - że pasterz spełnił, co zamyślał, i popędzając swe trzody, zwrócił się przez pastwiska Estremadury, udając się do królestwa Portuga- lii. Torralba, dowiedziawszy się o tym, udała się za nim w ślady pieszo i boso, z kosturem w ręce, z torbą na szyi, w którą włożyła, jak mówią, kawałek zwiercia- dełka i grzebienie oraz puzderko z różem na lica; niechby niosła, co chciała, nie mam zamiaru teraz nad tym się rozvodzić, powiem tylko, jak opowiadają, że ów pasterz ze swą trzodą gotował się do przeprawy przez rzekę Guadianę, która w tej porze była bardzo wezbrana i groziła wylewem, zaś od strony, skąd przybył, nie było ani łodzi, ani promu, ani człeka, który by jego i jego trzody przewiózł na drugą stronę. Zgryzł się tym bardzo, gdyż widział, że Torralba go dogania i że będzie go dręczyć prośbami i łzami; rozglądając się, spostrzegł rybaka, który miał przy sobie czółno tak małe, że mogło unieść zaledwie jedną osobę i jedną kozę; jednak mimo to rozmówił się z nim i ugodził, że przewiezie jego i trzysta kóz, jakie pędził. Rybak wskoczył w czółno i przewiózł jedną kozę, zwrócił i przewiózł drugą, znów za-

Don Kichote - Miguel Cervantez

wrócił i jeszcze jedną przewiózł. Niech jegomość uważa, ile kóz rybak przewiózł, gdyż jeśli stracie rachunek, gadka się skończy i nie będzie można dalej opowia- dać. Wracam do rzeczy więc i mówię, że brzeg z tamtej strony był błotnisty i śliski

i rybak tracił wiele czasu, płynąc tam i z powrotem. W końcu zawrócił po jeszcze jedną kozę, potem znów jedną i jeszcze jedną.

- Przyjmij, że przewiózł wszystkie - rzekł Don Kichote - nie będziesz tak jeź- dził tam i z powrotem, w ten sposób i przez rok nie skończysz przeprawy.
- A ile dotychczas kóz przeprawił? - zapytał Sanczo.
- Skąd, do diaska, mam wiedzieć? - odparł Don Kichote.- Otóż to, co powiedziałem, abyście dobrze rachowali. Teraz, dalibóg, gadka skończyła się i dalszego ciągu nie będzie.
- Jakże to być może? - zauważył Don Kichote. - Czyż tak istotne w tej historii jest wiedzieć dokładnie, wiele kóz się przeprawiło, że kiedy się jedną opuści, ty już dalej opowieści ciągnąć nie możesz?
- A nie, panie, w żaden sposób - odpowiedział Sanczo - bowiem właśnie wówczas gdy pytałem jegomości, ile kóz zostało przeprawionych, a wyście mi od- powiedzieli, że nie wiecie, w tej samej chwili wywietrzało mi z pamięci, co do po- wiedzenia zostało i co, dalipan, było bardzo ciekawe i piękne.
- A przeto cała twa opowieść skończyła się? - spytał Don Kichote.- Skończyła jak moja matka - powiedział Sanczo.
- W samej rzeczy - odparł Don Kichote - opowiedziałeś mi jedną z najoso- bliwszych gadek, opowieści czy historii, jaką na świecie wymyślono, i o takim spo- sobie opowiadania i urywania nigdy za życia nikt nie usłyszy ani nie słyszał, choć

nie spodziewałem się niczego innego po tym bystrym rozumie, lecz nie dziwię się temu, gdyż owe nieustanne łoskoty musiały ci pomieszać w głowie. - Mogłoby tak być - odparł Sanczo - ale co do mojej gadki, nie mam nic do

powiedzenia, tam się ona kończy, gdzie zaczyna się błąd w obliczeniu przeprawy kóz.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Niech się kończy, do licha, gdzie chce - rzekł Don Kichote - zobaczymy, czy Rosynant może się ruszać.

I zaczął go bóść ostrogami, koń zaś podskakiwał i nie ruszał się z miejsca, tak był dobrze spętany. Tymczasem czy to skutkiem chłodu poranku, który się zbliżały, czy że Sanczo zjadł na wieczerzę coś przeczyszczającego, czy też (co najprawdopodobniejsze) z naturalnej potrzeby przyszła mu chęć zrobienia tego, czego kto inny za niego zrobić nie mógł; lecz tak wielki był strach jego sercem władający, że nie śmiał się na grubość czerni za paznokciem oddalić od pana. Nie było zaś co i myśleć, aby zdołał powstrzymać się od pofolgowania sobie, więc dla większego spokoju jedynie zdjął prawą rękę z tylnego lęku siodła, powoli cichcem rozluźnił węzeł sznura, na którym bez innej pomocy trzymały się portki, te natychmiast opadły i zatrzymały się na stopach jak dyby; po czym podniósłszy, jak zdołał najlepiej, koszulę, wypiął na wiatr dwa pośladki, które całkiem nie były małe. Kiedy to uczynił (a zdawało mu się, że najważniejsze spełnił, aby wyjść z tego strasznego utrapienia i niebezpieczeństwa), napotkał nową, większą trudność: zrozumiał, że nie będzie mógł ulżyć

128

sobie bez rumoru i hałasu, więc zacisnął zęby, zwarł ramiona, powstrzymał oddech, jak mógł; ale mimo te ostrożności, koniec końców, nieszczęśnik wydał odgłos zgodą - la odmienny od tego, który go takim lękiem napawał.

Don Kichote, usłyszawszy to, rzekł: - Cóż to za odgłos, Sanczo?

- Nie wiem, panie - odpowiedział - musi to być coś nowego, gdyż przygody i nieszczęścia nigdy same nie chodzą. Jeszcze raz spróbował skusić los i wreszcie udało mu się bez większego hałasu ni poprzednio uwolnić się od ciężaru, który go

Don Kichote - Miguel Cervantez

tak dręczył. Lecz Don Kichote miał zmysł powonienia równie tkliwy jak zmysł słuchu. Sanczo zaś był tak blisko przylepiony doń, że fetory, prosto ku górze bijąc, musiały w nos panu uderzyć; ten ledwie je poczuł, by im zapobiec, ścisnął nos dwoma palcami i nieco nosowym głosem przemówił: - Zdaje mi się, Sanczo, że zbyt wielki strach cię obleciał.- Oj, wielki - odparł Sanczo - ale po czym jegomość teraz bardziej niż przed- tem to spostrzegł?

- Bo czuć cię teraz bardziej niż kiedykolwiek, i to nie ambrą - odpowiedział Don Kichote.

- A to możliwe - rzekł Sanczo - ale to nie moja wina, jeno jegomości, który wleczy się o tak późnej porze przez te niezwykłe szlaki.

- Odsuń się, przyjacielu, o trzy lub cztery kroki - rzekł Don Kichote, nie odejmu-jąc palców od nosa - na przyszłość bardziej uważaj na siebie i pamiętaj o szacunku dla mnie; zbytnia poufałość, z jaką cię traktuję, spowodowała to lekceważenie.

- Założyłbym się - odparł Sanczo - że jegomość posądza moją cielesną osobę o dopuszczenie się czegoś nieprzystojnego.

- Nie poruszaj tego, przyjacielu Sanczo - odparł Don Kichote.Na takich i tym podobnych rozprawach strawili pan i jego pachołek noc całą;

Sanczo, widząc, że dzień się robi, cichcem Rosynanta rozpętał i portki naciągnął. Rosynant, poczuwszy się wolnym (choć z natury zbyt ognisty nie był), jakby odżył, zaczął kopytami bić; skoków bowiem (z jego przeproszeniem) robić nie umiał. Don Kichote zaś, spostrzegłszy, że się Rosynant poruszył, wziął to za dobrą wróżbę, są-dząc, że była to dlań zachęta do jakiejś zuchwałej przygody. Tymczasem dzień na-

stał zupełnie i można było dokładnie rozróżnić przedmioty. Don Kichote ujrzał, że znajduje się między wysokimi drzewami, a były to kasztany

Don Kichote - Miguel Cervantez

rzucające głęboki cień. Słyszał jednak, że łoskot nie ustawał, lecz nie widział, co mogło być jego przyczy- ną; więc nie zwlekając dłużej, spiął Rosynanta ostrogami, odwrócił się, by pożegnać Sancza, nakazując mu czekać w tym miejscu trzy dni najwyżej, jak poprzednio już się rzekło, zaś gdyby po ich upływie nie wrócił, może być pewien, że Bóg dopuścił, aby życie w tej niebezpiecznej przygodzie położył. Przypomniał mu zlecenie i poselstwo, jakie w jego imieniu ma sprawić u pani Dulcynei, i zapewnił, aby nie troszczył się o wypłatę zasług, albowiem przed opuszczeniem swej wioski spo- rządził testament zabezpieczający mu podjęcie zapłaty za cały czas służby. Jeżeli zaś Bóg wywiedzie go z tego niebezpieczeństwa zdrowo i cało, może być pewien,

129 że otrzyma przyrzeczoną wyspę. Sanczo

zaczął na nowo płakać, usłyszawszy po

raz wtóry żałosliwe przemówienie swego dobrego pana i postanowił, że nie opuści go aż do ostatecznego kresu i końca wyprawy.

Z tych łącz i z tego chwalebnego postanowienia Sanczo Pansy autor tej historii wnosi, że musiał on być dobrze urodzony, a przynajmniej wywodzić się ze starych chrześcijan. To przywiązanie wzruszyło nieco jego pana, ale nie na tyle, aby okazał jakąś słabość; raczej ukrywając, jak mógł, wzruszenie, skierował się w stronę, skąd zdawał się wychodzić grzmot wody i łoskoty. Sanczo pieszo szedł za nim, jak zwykle prowadząc swego osła za uzdę, wiernego druha swych

Don Kichote - Miguel Cervantez

nieszczęsnych i szczęs- nych losów; i tak ujechawszy spory kawał pomiędzy kasztanami i cienistymi drzewami, przybyli na łączkę leżącą u stóp wysokich skał, z których spadał olbrzymi wodospad. U stóp owych skał stało kilka lichych chat, raczej podobnych do ruin niż do budynków. Rozpoznali, że to spomiędzy owych chat wychodził ów huk i łoskot, nieustający i teraz. Rosynant spłoszył się na ten huk wody i ów łoskot, lecz Don Kichote uspokoił go i krok za krokiem zbliżała się do chat, polecając się z całego serca swojej pani i błagając ją, aby w owym strasznym dniu i przedsięwzięciu wspomagała go; w drodze polecił się również Bogu, aby o nim nie zapomniał: Sancho nie odstępował go, wyciągnął, jak mógł, szyję, zapuszczając wzrok między nogi Rosynanta, czy nie dojrzy tego, co go taką niepewnością i trwogą przejmowało. Kiedy przebyli dobrych sto kroków, minawszy występ skalny, odkryli jasno jedyną przyczynę tego straszliwego i przerażającego łoskotu, który całą noc trzymał ich w takiej niepewności i trwodze. Było to (jeśli ci to, czytelniku, nie będzie przykre i niemiłe) sześć stęporów foluszu, które swymi miarowymi uderzeniami ów łoskot sprawiały. Na ten widok Don Kichote oniemiał i zmartwiał od stóp do głowy. Sanczo widział, że głowę opuścił na piersi z oznakami wstydu. Don Kichote rzucił spojrzenie na Sancza i spostrzegł, że ma on policzki nadęte i gębe pełną śmiechu, którym gotów widocznie parsknąć, cała jego melancholia nie zdołała go na widok Sancza

od roześmiania powstrzymać. Sanczo, widząc, że pan jego zaczął, puścił sobie wodze, tak że musiał za boki się dzierżyć pięściami, aby nie rozpuknąć. Czterokroć uspokajał się i czterokroć znów śmiechem wybuchał z taką samą gwałtownością,

Don Kichote - Miguel Cervantez

aż Don Kichote się rozpieklił, tym bardziej kiedy usłyszał, jak Sanczo, drwiąc, powtarzał:

- Masz wiedzieć, przyjacielu Sanczo, że z woli niebios urodziłem się w tym naszym żelaznym wieku, aby wskrzesić znów wiek złocisty albo złoty. Jam jest, którego czekają niebezpieczeństwa, wielkie czyny i bohaterskie dzieła...

I tak cięgiem powtarzał wszystkie lub prawie wszystkie słowa, jakie Don Kichote wypowiedział, gdy pierwszy raz usłyszeli straszliwy łoskot. Don Kichote widząc, że Sanczo z niego drwi, rozgniewał się i rozsierdził tak, że wzniósłszy drzewce, wymierzył mu dwa ciosy takie, iż gdyby miast na plecy, były mu spadły na głowę,

Don Kichote nie potrzebowałby płacić mu zasług, chyba spadkobiercom. Sanczo, stępory foluszu-drewniane kloce, tuczki do folowania (tj. zgęszczania) tkanin.

130

widząc, że jego drwiny tak źle zostały przyjęte, ze strachu, aby pan jego nie posuwał się dalej, z wielką pokorą przemówił:

- Uspokójcie się, wasza miłość, na Boga! Żartuję przecie.

- Ale gdy ty żartujesz, ja nie żartuję - odparł Don Kichote - pójdź tu, mospa- nie żartownisiu, zali mniemasz, że gdybym miasto młynów foluszowych spotkał inną niebezpieczną przygodę, nie okazałbym odwagi stosownej, aby jej stawić czoło

i szczęśliwie dokonać? Czy może jestem obowiązany, będąc rycerzem, znać i rozróżnić odgłosy i wiedzieć, czy pochodzą od stępów, czy też nie? Tym bardziej

że może się zdarzyć, jak jest rzeczywiście, że ich nigdy nie widziałem, jak tyś je oglądał, będąc nikczemnym prostakiem wychowanym i urodzonym wśród nich.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Spraw, niech tych sześć stęporów zmieni się w sześciu olbrzymów, i wypuść ich na mnie po jednemu albo wszystkich razem, a jeśli ich nie rozciagnę do góry brzuchem, możesz ze mnie, ile chcesz, dworować.

- Dość tego, panie mój - odparł Sanczo - przyznaję, żem za daleko żart posu- nał w zuchwałości. Ale powiedzieć mi, jegomość, teraz kiedy mamy spokój (i niech Bóg wyprowadzi was ze wszystkich przygód, które by się zdarzyć mogły, tak zdro- wo i cało, jak was z tej wywiódł), czy nie była do śmiechu i czy nie nadaje się do opowieści ta wielka trwoga, jakiej doznaliśmy, a przynajmniej której ja doznałem, gdyż co do jegomości, wiem już, że nie znacie i nie wiecie, co to strach czy przena- żenie? -

Nie przeczę - odpowiedział Don Kichote - że to, co się nam zdarzyło, jest śmiechu warte, lecz nie należy o tym powiadać, gdyż nie wszyscy mają tyle roze- znania, iż biorą sprawy jak należy.

- Przynajmniej - odparł Sanczo - jegomość umielicie drzewce złożyć jak należy, mierzyć w głowę, uderzyć w plecy; dzięki Bogu i zręczności, żem zdołał się uchylić. Lecz fraszka, wszystko przejdzie po praniu, słyszałem bowiem, że: Ten życzy ci dobrze, który o płacz cię przyprawia. Zwłaszcza że wielcy panowie, wyła- jawszy brzydko swojego sługę, zwykli zaraz go parą portek obdarzać, nie wiem natomiast, co mu zwykli darować po obiciu kijami, chyba że rycerze błędni dają za kije wyspy czy królestwa na stałym lądzie.

- Tak może szczęsny los zrzadzi - rzekł Don Kichote - że wszystko, co mó- wisz, stanie się prawdą; wybacz, co się stało, a że jesteś rozsądny i wiesz, że czło- wiek nie zdoła zapanować nad pierwszymi odruchami, odtąd miej to na uwadze,

Don Kichote - Miguel Cervantez

abyś miarkował się i powstrzymywał w zuchwałym gadaniu ze mną; w żadnych księgach rycerskich, jakie czytałem, a są one niezliczone, nigdy nie znalazłem, aby jakiś giermek tyle ze swym panem gadał, co ty ze mną. Po prawdzie, uważam to za wielki błąd twój i mój; twój, bo za mało masz dla mnie szacunku; mój, bo nie każę się bardziej szanować. I tak o Gandalinie, giermku Amadisa z Galii, który był gra- bią Stałej Wyspy, czytamy, że zawsze przemawiał do swego pana z czapką w ręku, z głową pochyloną i ciałem zgiętym morę turquesco]. Dalej, co rzec o Gasabalu, giermku Don Galaora, który był takim milczkiem, iż aby powiadomić o doskonało- ści jego zadziwiającej niemoty, imię jego tylko raz wymienione jest w całej tej hi-
'Zwyczajem tureckim (łac).

131

storii, równie długiej, jak prawdziwej. Z tego wszystkiego, co mówię, Sanczo, masz wnosić, że należy robić różnicę między włodarzem a pachołkiem, między panem a sługą, między rycerzem a gierkiem, tak że od dziś trzeba nas traktować z większym uszanowaniem, bez zbytnich poufałości, gdyż jakkolwiek bym się z wami poróżnił, dzban na tym źle wyjdzie1. Nagrody i dobrodzieszcza, jakie wam przyrzekłem, przyjdą w swoim czasie; a jeśli nie przyjdą, to przynajmniej wynagrodzenie was nie minie, jak już powiedziałem.

- Wszystko to dobre, co jegomość mówi - rzekł Sanczo - ale chciałbym wie- dzieć (w razie gdyby czas nagrody nie nadszedł i trzeba było poprzać na zapła- cie), ile zarabiał w owych czasach giermek błędnego rycerza i czy umawiali się na miesiące, czy na dni, jak pomocnicy murarscy?

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Nie zdaje mi się - odpowiedział Don Kichote - aby ci giermkowie służyli za stałą zapłatą, raczej zdawali się na łaskę; a jeśli zabezpieczyłem cię w owym tajnym testamencie, zostawionym w domu, to dlatego, że nie wiem, co się stać może; nie wiem jeszcze, jak w tych nieszczęśliwych naszych czasach działać może rycerstwo, i nie chciałbym, aby dusza moja dla tak marnych spraw miała cierpieć na tamtym świecie. Chcę bowiem, abyś wiedział, Sanczo, że nie masz powołania niebezpieczniejszego niż błędnych rycerzy.

- To prawda - rzekł Sanczo - skoro sam łoskot stęporów foluszowych mógł zamącić i zaniepokoić serce tak walecznego błędnego rycerza jak jegomość. Ale możecie być pewni, że odtąd nie otworzę mych warg, aby dworować ze spraw wa-szej mości, jeno aby was uczcić jako mego pana i władcę przyrodzonego. - A w ten sposób - odparł Don Kichote - żyć będziesz szczęśliwie na powierzchni ziemi, po rodzicach bowiem należy czcić panów, jakby rodzonymi byli.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

o znakomitej przygodzie i świętym zdobyciu hełmu Mambryna² oraz o innych sprawach, jakie przydarzyły się naszemu

niezwyciężonemu rycerzowi

Tymczasem zaczął rosić deszczyk i Sanczo chciał schronić się do foluszów, alisci Don Kichote takiej do nich nabrął odrazy, że żadną miarą nie chciał wejść do wnętrza, pomny, jak z niego zadrwiono; zwróciли się więc na prawo i pojechali inną drogą niż ta, którą wczoraj

przybyli. Niebawem Don Kichote spostrzegł jeźdza,

1 Aluzja do hiszpańskiego przysłowia: „Gdy kamień spadnie na dzban, tym gorzej dla dzba- na, i gdy dzban spadnie na kamień, tym gorzej dla dzbana”.

2 Według poematów o Orlandzie: zaczarowany hełm mauretańskiego króla Mambryna, który chronił właściciela od ran. 132

który na głowie miał coś błyszczącego jak złoto; zaledwie go rycerz ujrzał, zwrócił się do Sancza, mówiąc:

- Zdaje mi się, Sanczo, że nie masz przysłowia, które by nie zawierało prawdy, wszystkie bowiem są to sentencje wysnute z doświadczenia, matki wszelakiej wiedzy, a zwłaszcza to, które mówi: Gdzie jedne drzwi się zamkają, otwierają się drugie. A mówię to dlatego, że jeśli wczoraj los zamknął nam wrota przygody, ja- kiej szukaliśmy, zwodząc nas foluszami, teraz otwiera nam na oścież inną, lepszą i pewniejszą przygodę; jeśli jej nie podejmę, moją to będzie winą i nie będzie moż- na winy składać na karb nieznajomości folusów ani ciemności nocy. To mówię dla- tego, że jeśli się nie mylę, zbliża się ku nam ktoś na głowie noszący hełm Mambry- na, w sprawie którego złożyłem wiadomą ci

przysięgę.

- Zważcie dobrze, jegomość, na to, co mówicie, a osobliwie na to, co czynicie

- rzekł Sanczo - nie chciałbym bowiem, aby to były inne jakieś folusze, które by nam do reszty wymłociły i starły rozsądek.

- Cóż ty, do diaska, za człowiek - odpowiedział Don Kichote - co ma hełm do folusza? - Nic nie wiem - odrzekł Sanczo - ale dalibóg, gdybym mógł mówić tyle, ile zwykłem, może dałbym takie dowody, że jegomość spostrzegłby swą omyłkę. - Jak mogę się mylić w tym, co mówię, zdrajco niewierny? - rzekł Don Ki- chote.

- Powiedz mi, czy nie widzisz rycerza, co się ku nam zbliża na swojabłko- witym koniu, a na głowie ma hełm złoty? - To, co widzę i rozróżniam - odpowiedział Sanczo - jest tylko człek na osle szarym jak mój, który na głowie ma coś świecącego.

- To właśnie jest hełm Mambryna - rzekł Don Kichote. - Usuń się gdzieś na bok i zostaw mnie z nim samego; zobaczysz, jak bez

Don Kichote - Miguel Cervantez

słowa, nie tracąc czasu, za- kończę ową przygodę i zdobędę sobie hełm tak upragniony. - Chętnie usunę się na bok - odparł Sanczo - lecz dałby Bóg, powtarzam, aby to była macierzanka¹, a nie folusze. Już ci powiedziałem, bratku, abyś mi nawet w myśl nie wspominał owych stępów - rzekł Don Kichote - gdyż przysięgam... i więcej nie powiem... że ci duszę zmielę. Zamilkł Sanczo ze strachu, by jego pan nie spełnił tego ślubu, który wyraził tak okrągły jak kula.

Faktem zaś jest, że z hełmem, koniem i rycerzem dostrzeżonym przez Don Kichota tak się rzecz miała: w tej okolicy były dwie wioski, jedna tak mała, że nie miała ani apteki, ani cyrulika, zaś druga, sąsiadnia, miała i jedno, i drugie; otóż cyrulik większej wioski obsługiwał i mniejszą, jeśli jakiś chory potrzebował puszczenia krwi lub kto inny chciał się ogolić. W tym celu jechał cyrulik i wiózł miedzianą miednicę; traf zdarzył, że w drodze zaczął padać deszcz, więc z obawy, aby nie poplamił mu nowego, jak się zdaje, kapelusza, włożył sobie miednicę na głowę, a ta, dobrze wyczyszczona, lśniła na pół mili. Jechał na swym szarym osłe, jak rzekł Sanczo,

1 Aluzja do przysłowia: „Dałby Bóg, aby to była macierzanka, a nie kminek”, dla obrazowego wyrażenia, by z dwu możliwości zdarzyła się mniej przykra.

133 a to wystarczyło Don Kichotowi, aby przywidziały mu się koń siwojabłkowity i ry- cerz, i hełm złoty; wszystko bowiem, co widział, przystosowywał z łatwością wielką do swych rycerskich szaleństw i obłędnych rojeń. Kiedy spostrzegł, że nieszczęśliwy rycerz już blisko, nie wchodząc z nim w dyskurs, pełnym galopem Rosynanta natarł na niego z pochyloną kopią, aby go przebić na wylot, lecz dojeżdżając doń w pełnym biegu, krzyczał:

- Broń się, nędzny stworze, lub po dobrej woli oddaj mi, coś mi słusznie wienien. Balwierz, ujrzał znienacka i niespodzianie nacierającą nań taką zjawę, nie znalazł innego

Don Kichote - Miguel Cervantez

sposobu uchylenia się od uderzenia kopii, jak zsunąć się z osła na dół; zaledwie ziemi dotknął, a już zerwał się szybszy niż daniel i zaczął umykać przez równinę, iżby go wiatr nie zgonił. Miednicę porzucił na ziemi ku radości Don Kichota, który orzekł, że ów poganin postąpił roztropnie, naśladowując bobra, który, osaczony przez myśliwych, odgryza sobie zębami to, dla czego dzięki przyrodzenemu instynktowi zgaduje, że nań polują. Polecił Sanczowi podnieść hełm; ten, wziawszy go do ręki, mówił:

- Dalibóg, dobra miednica i warta ośmioraka, jak jeden marawedi. Podał ją panu, zaś ten włożył ją natychmiast na głowę, obracając na tę i na ową stronę i szukając listewki, a nie znalazły jej, mówił: - Poganin, na którego miarę pierwotnie ten hełm słynny był ukuty, musiał mieć olbrzymi leb; najgorsze, że brak połowy hełmu.

Kiedy Sanczo usłyszał, że miednicę golibrody nazywają hełmem, nie mógł powstrzymać śmiechu; lecz pomny na porywczość pana, w połowie zamilkł. - Z czego się śmiesz, Sanczo? - zapytał Don Kichote.

- Śmieję się - odpowiedział Sanczo - myśląc, jak wielki leb miał poganin, właściciel tej misiurki, która kubek w kubek podobna jest do balwierskiej miednicy. - A wiesz, Sanczo, co przypuszczam? Ten słynny czarodziejski hełm musiał dziwnym trafem wpaść w ręce człeka nieświadomego jego wartości, ten, nie wie- dząc, co z nim począć, a widząc, że jest z najczystsze złota, musiał stopić jedną połowę dla zarobku, zaś z drugiej połowy zrobił to, co wygląda na miednicę goli- brody, jak mówisz. Lecz niech będzie, co chce, ja, który znam się na rzeczy, nic sobie z tej przemiany nie robię; już ja go w pierwszej miejscowości, gdzie będzie kowal, naprawię tak, że ani go nie przewyższy, ani mu nie dorówna hełm wykuty przez boga kuźni dla boga wojny:; tymczasem będę go nosił, jak się da, bo lepsze coś niż nic;

Don Kichote - Miguel Cervantez

tym bardziej że wystarczy, aby mię ochronić od rzutu kamienia.

- I owszem - rzekł Sanczo - aby tylko nie strzelano z procy, jak w owej bitwie

dwu armii, kiedy to jegomości przeżegnano zęby i rozbito blaszankę z owym błogosławionym balsamem, który mi wywrócił wnętrzności.

- Nie trap się zbytnio jego utratą; wiesz bowiem, Sanczo - rzekł Don Kichote

- że receptę jego znam na pamięć.

- Ja również ją znam - odpowiedział Sanczo - ale jeśli go zrobił albo skosz- tował kiedy w życiu, niech to będzie moja ostatnia godzina. Tym bardziej że nie

1 Skrom (tłuszcz) bobra (castoreum) uchodził w średniowieczu za cenny lek.

2 Jedna z licznych pomyłek Cervantesa: Wulkan nie kuł zbroi dla Marsa. 134

myślę, abym kiedykolwiek miał sposobność go potrzebować, zamyślam bowiem strzec się wszystkimi pięciu zmysłami, abym ani ranny nie został, ani nikogo nie ranił. Nie rzeknę nic o podrzucaniu, gdyby mi się jeszcze raz trafiło, podobnych nieszczęść przewidzieć nie można, i jeśli się zdarzą, nie pozostaje nic, jak tylko stalić ramiona, wstrzymać dech, zamknąć oczy i dać się rzucać, gdzie los i derka pro- wadzą.

- Zły z ciebie chrześcijanin, Sanczo - rzekł Don Kichote, usłyszawszy to - nie zapominasz krzywdy raz ci wyrządzonej; masz wiedzieć, że serca szlachetne i wspa- niałomyślne nie zważają na takie drobnostki. Zali przetrącono ci nogę, złamano żebro, rozbito głowę, że o tym żarcie nie zapominasz? Dobrze bowiem rzecz rozw- ważywszy, był to żart i igraszka; gdybym tak nie myślał, dawno bym wrócił tam i dla

Don Kichote - Miguel Cervantez

pomosczenia ciebie wyrządziłbym więcej szkody, niż wyrządzili Grecy za porwanie Heleny, która gdyby w naszych czasach żyła albo moja Dulcynea w tamtych, nie zażywałaby na pewne takiej sławy piękności, jaką się cieszy.

Tu wydał tak wielkie westchnienie, że zdało się chmur dosiągać. Zaś Sanczo rzekł: - Niech to będzie żart, skoro zemsta nie może być naprawdę, ale umiem od różniac prawdę od żartów; wiem również, że nigdy ich z pamięci nie stracę, jak nigdy ich z ramion nie zetrę. Lecz zostawmy to i niech mi jegomość powie, co zrobimy z tym rumakiem siwojabłkowitym, który ma pozór szarego osła, a którego tu zosta- wilów Marcino powalony przez pana; skoro wziął nogi za pas, aż się kurzyło, trzymając spodnie w garści, nie będzie miał ochoty już tutaj powrócić. A na mą brodę, to zacny siwek! - Nie mam zwyczaju - rzekł Don Kichote - ograbiać zwycięzonych, nie jest to rzecz rycerska zabierać konia i puszczać kogoś pieszo, chyba że zwycięzca straci swego w starciu; w tym wypadku wolno jest zabrać zwycięzonemu konia jako zdobywcz w godziwej walce. Zatem, Sanczo, zostaw tego konia czy osła, czy co chcesz, aby to było, kiedy jego właściciel zobaczy, żeśmy się oddalili, powróci po niego. - Bóg widzi, jak bym go chętnie zabrał - odparł Sanczo - a przynajmniej zamieniłbym go za mojego, który nie zdaje mi się tak zdatny. Zaiste, te prawa rycerskie są surowe, jeśli nie pozwalają mieniać jednego osła za drugiego; chciałbym wiedzieć, czy nie mógłbym przynajmniej zamienić uprzejły. - Co do tego nie jestem zbyt pewny - odparł Don Kichote - i w tym wątpliwym wypadku (póki nie dowiem się dokładnie) pozwalam ci zamienić, jeśli ci to konieczność ostateczna nakazuje.

- Konieczność tak ostateczna - odparł Sanczo - że dla siebie samego nie potrzebowałbym jej

Don Kichote - Miguel Cervantez

bardziej. I natychmiast, ośmieniony tym pozwoleniem, dokonał mutatio capparum' i przy- stroił swego osła w tysiączne powaby, wypiękniając go trzy- i pięciokrotnie. Po czym zjedli na śniadanie niedojadki z zapasów zabranych z muła, popili wodą z potoku foluszowego, nie odwracając głowy, by stęporów nie widzieć, tak wielka była w nich odraza za strach, jakiego im napędziły. Zmiana szat liturgicznych podczas rezydekacji (łac).

135

Uspokoił się w nich gniew i melancholia znikła, wsiedli na koń i nie wybiera- jąc drogi (aby tym pewniej naśladować błędnych rycerzy, którzy nigdy określonej nie mieli), pojechali, zdając się na wolę Rosynanta, kierującego wolą swego pana, oraz osła, który zawsze w jego ślady podążał w zgodzie i jedności. W ten sposób zawrócili na gościniec królewski i puścili się nim na los szczęścia, bez określonego celu. Kiedy tak jechali, Sanczo mówił do pana:

- Panie, czy pozwoli mi jegomość krzynę z sobą ugwarzyć? Odkąd wydali- ście ten surowy nakaz milczenia, już ze cztery sprawy zgniły mi w brzuchu, a nie chciałbym, aby się zmarnowała i ta jedna, którą mam teraz na końcu języka.

- Mówże - rzekł Don Kichote - ale w krótkich zdaniach, co zbyt długie, nic niewarte. - Powiem więc, panie - odpowiedział Sanczo - że od kilku dni rozważałem, jak mało zyskuje się i korzysta, szukając przygód, których jegomość wypatruje na pustaciach i rozstajach dróg, tam gdzie, choćby się wychodziło zwycięsko z najnie- bezpieczniejszych, nie ma nikogo, kto by to oglądał albo się o tym dowiedział.

Pozostaje to więc wszystko, wbrew temu, na co zasługuje w wiecznym zapomnie- niu z wielką

Don Kichote - Miguel Cervantez

szkodą dla zamiarów jegomości. Zatem zdaje mi się, że lepiej byłoby (chyba że jegomość inaczej uważa), abyśmy poszli na służbę do jakiegoś cesarza czy innego wielkiego władcy, który wojnę prowadzi, i w jego służbie jegomość okazałby wartość swej osoby, wielką siłę i jeszcze większy rozum, co widząc, pan, któremu byśmy służyli, musiałby nas wynagrodzić, każdego wedle zasług jego; tam nie zabrakłoby na pewne kogoś, kto spisałby przewagi jegomości dla wiecznej pamięci. O moich nie wspomnę, bo nie powinny przekraczać granic giermkowania; choć tuszę, że gdyby w rycerskim zwyczaju było spisywać czyny giermków, moje, sądę, nie pozostałyby między liniami.

- Nieźle mówisz, Sanczo - rzekł Don Kichote - lecz zanim do tego dojdzie- my, trzeba wędrować po świecie, wystawiać się na próbę, szukając przygód, aby wyszedłszy zwycięsko z kilku, zyskać takie imię i sławę, że kiedy rycerz zjawiłby się na dworze jakiegoś wielkiego władcy, już byłby znany ze swych czynów. Wtedy zaledwie ujrzeliby go mali chłopcy wchodzącego w bramy miasta, a już by za nim wszyscy biegli i otaczając go wołali: „Oto jest Rycerz Słońca" albo „Wąż", albo innego jakiegoś zwołania, pod którym sławnych dokonał czynów. „Oto ten, powiedzą, który w pojedynku zwyciężył niespożytego olbrzyma Broca Bruno, który zdjął czar z Wielkiego Mameluka Persji, w długim zaklęciu pozostającego prawie od dziewięciu wieków". I tak iść będą, powtarzając z ust do ust jego przewagi. I na krzyki chłopców i innych ludzi zaraz król owego państwa ukaże się w oknach swego królewskiego pałacu i ujrzałszy rycerza, pozna go po zbroi i po znaku na tarczy i będzie zmuszony rzec:

Don Kichote - Miguel Cervantez

„Nuże! Niech rycerze moi, ilu ich jest na dworze,
wyjdą, by powitać kwiat rycerstwa tu przybywający".
I na ten xo7kaz wyjdą wszyscy, król zaś zejdzie do
połowy schodów, obejmie rycerza uściiskiem,
pocałunek pokoju złoży na jego licu i wnet,
wziąwszy go za rękę, powiedzie do komnaty kró-
lowej, gdzie rycerz zastanie ją pospołu z infantką, jej
córką, która będzie jedną z najpiękniejszych i
najdoskonalszych dziewczic, jakie z największym
trudem zna- leźć można na otwartym świecie.
Nieuchronnie stanie się, że znienacka rzuci ona

136

wzrok na rycerza, on na nią i nawzajem wydadzą się sobie raczej boską niż ziemską istotą, a nie wiedząc, jak i kiedy, wpadną i zapłatają się w nieroziwiklaną sieć miło- ści, z wielką troską w sercach, nie wiedząc, jak by się porozumieć i odkryć swe wzajemne udręki i uczucia. Stamtąd bez wątpienia powiodą go do jakiegoś skrzydła pałacu bogato urządzonego, gdzie zdejmą zeń zbroję, zarzucą nań bogaty płaszcz ze szkarłatu, którym się okryje, i jeśli pięknie wyglądał w zbroicy, jeszcze piękniej wyda się w pikowanym żupanie. Kiedy noc zapadnie, wieczerzać będzie z królem, królową i infantką, nie spuszczając cały czas z niej oczu, przypatrując się jej ukrad- kiem, ona zaś tak samo postąpi, z podobną ostrożnością, gdyż jak rzekłem, będzie to dziewczica roztropna. Po usunięciu stołów, niespodzianie, drzwiami wejdzie brzydki i mały karzeł, a za nim piękna pani między dwoma olbrzymami przedstawi jakieś zadanie wymyślone przez starożytnego mędrcę, zaś rycerz, który by je wypełnił, uznany będzie za najlepszego rycerza świata. Król rozkaże, aby natychmiast wszyscy obecni oddali się próbie, i nikt temu nie podoła, jeno rycerz nowo przybyły, co przyczyni mu wielkiej sławy. Infantka nie posiadać się będzie z radości, szczęśliwa i zadowolona, że myśli swe tak wysoko umieściła, zaś najważniejsze będzie, że ów król czy książę, ktokolwiek by to był, prowadzić będzie bardzo zacieklą wojnę z innym, równie potężnym władcą, i obcy rycerz (po upływie kilku dni spędzonych na dworze) poprosi go o pozwolenie

Don Kichote - Miguel Cervantez

służenia mu w tej wojnie. Król zgodzi się na to bardzo chętnie, zaś rycerz ucałuje dwornie

ręce jego za taką łaskę. Tej samej nocy pożegna się z panią swą infantką przez kraty ogrodu położonego przy jej sypialni, przez te kraty już nieraz rozmawiali z sobą dzięki pośrednictwu i sprytowi pewnej panny, zaufanej królewny. On wzdycha, ona mdleje, panna biegnie po wodę, bar- dzo się trapiąc, że oto ranek nadchodzi, a nie chciałaby, aby ich odkryto przez wzgląd

na cześć swej pani. W końcu królewna przyjdzie do siebie i przez kratę poda białe dlonie rycerzowi, który je po tysiąckroć ucałuje i skapie we łzach. Omówią między sobą, w jaki sposób zawiadamiać się będą wzajemnie o swych dobrych i złych losach i księżniczka poprosi go, aby co rychlej wracał; przyczeknie jej to rycerz, za- klinając się wielokrotnie. I znowu ręce jej ucałuje i pożegna się z takim wzruszeniem, że omal z żalu nie umrze. Uda się do swej komnaty, rzuci na łóżko, ale oka nie zmruży z żałości rozstania; wstanie wczes rano, pojedzie pożegnać króla, królowę i infantkę, lecz zaledwie pożegna się z królestwem, powiedzą mu, że infantka słaba i nie będzie mogła go przyjąć. Rycerz pomyśli, że to ze zgryzoty z powodu jego odjazdu; serce mu przeszyje ból, o mały włosowej nie zdradzi żałości. Owa panna pośredniczka, przy tym obecna, zauważyszy wszystko, pobiegnie donieść swej pani, ta przyjmie ją we łzach i oznajmi, że najbardziej trapi ją nieświadomość, kim jest jej rycerz, czy jest z królewskiego rodu, czy nie; panna zapewni ją, że tyle dworności, szlachetności i dzielności, jakich dowody dał jej

Don Kichote - Miguel Cervantez

rycerz, mieszkać może jedynie w osobie dostojarnej i królewskiej. Usiłować będzie tym się pocieszać nieboga i aby nie budzić podejrzania rodziców, po dwóch dniach zjawi się wśród ludzi. Rycerz odjeżdża, walczy na wojnie, zwycięża nieprzyjacielskiego króla, zdobywa liczne miasta, triumfuje w licznych bitwach. Powraca na dwór, spotyka się ze swoją panią tam gdzie zwykle, umawiają się, że poprosi ojca o jej rękę w nagrodę za swe usługi. Ojciec jej dać nie zechce, nie wiedząc, kto zacz, ale wreszcie, czy to przez porwania¹³⁷ nie, czy w inny jakiś sposób, infantka zostanie jego żoną, ojciec, dowiedziawszy się, że ów rycerz jest synem dzielnego króla jakiegoś tam królestwa, którego pewnie na mapie nie ma, uzna to w końcu za szczęście. Potem ojciec umiera, infantka dziedziczy po nim i w dwóch słowach, nasz rycerz zostaje królem. Wówczas wynagradza swego giermka i tych wszystkich, którzy mu pomagali dojść tak wysoko, żeni giermka z panną dworu infantki, którą będzie zapewne owa pośredniczka ich miłości, córka potężnego księcia.

- O! W to mi graj; ani krzty inaczej - wykrzyknął Sanczo - do tego dążę, to wszystko bowiem zdarzy się co do jedynej jegomości, jeżeli zwać się będziecie Rycerzem Smętnego Oblicza.

- Nie wątp o tym, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - gdyż w ten sposób i po takich stopniach, jak ci opowiadałem, wznoszą się błędni rycerze, stając się królami i cesarzami. Jedynie musimy się rozejrzeć, który król w chrześcijaństwie czy pogaństwie prowadzi wojnę i ma piękną córkę, ale będziemy mieli czas o tym

pomyśleć, gdyż, jak ci rzekłem, wpierw należy zdobyć sławę gdzie indziej, zanim staniemy na dworze. Również innej rzeczy mi brak:

Don Kichote - Miguel Cervantez

przyjmijmy, że znajdzie się król z wojną i piękną córką i że ja okryję się sławą niebywałą w świecie całym; nie wiem, jak by się to stać mogło, abym z królewskiego rodu się wywiódł albo przynajmniej był pociotem cesarza; bowiem nie zechce mi dać król swej córki za żonę, zanim się nie upewni, choć moje słynne przewagi więcej będą warte; a więc obawiam się, że dla tego braku stracić mogę to, na co dobrze zasłużyłyby moje ramię. Co prawda,

jestem szlachcicem ze znanego rodu, posesjonatem, ziemianinem i należę do tych, którzy mają prawo do pięciuset soldów odszkodowania, a może się zdarzyć, że mądrzec, piszący moje dzieje, wywiedzie w ten sposób moją parantelę i pochodzi- nie, iż uzna mię wnukiem króla w

piątym czy w szóstym pokoleniu. Musisz bowiem,

Sanczo, wiedzieć, że dwa są rodzaje rodów na świecie; jedne początek biorą i wodzą się od książąt i monarchów, lecz z biegiem czasu upadły i kończą się jednym punktem jak piramida wywrócona; inne biorą początek z niskiego stanu, a wznoszą się ze stopnia na stopień, aż dojdą do tego, że stają się wielkimi panami; tak więc różnica polega na tym, że jedni byli tym, czym już nie są, zaś drudzy są tym, czym nie byli; więc mogłoby być, że dowiedzione zostanie, iż pochodzę z rodu, który miał wielki i sławny początek, czym zadowolić się powinien król, mój teść, a jeśli nie, infantka będzie mię tak miłowała, że wbrew ojcu, choćby jasno wiedziała, że je- stem synem woziwody, przyjmie mię za męża i pana; a jeśli i to nie, wówczas po- rwę ją i uwiozę, gdzie mi się będzie podobało, a czas lub śmierć uśmierzy gniew rodziców.

- Do tego się również stosuje - rzekł Sanczo - co niektórzy nicponie mówią: Nie proś o to, co możesz wziąć siłą, albo stosowniej jeszcze: Lepsza ucieczka przed karą niż prośba zacnych ludzi. Mówię to, ponieważ jeżeli pan król, teść jegomości, nie

zechce przystać na oddanie wam mej pani infantki, pozostaje jeno, jak jegomość mówi, porwać ją i uwieźć. Ino w tym sek, że zanim pogodzą się i radować będą panowaniem w pokoju, biedny giermek będzie musiał obejść się smakiem w oczekiwaniu nagrody: Chyba że owa panna pośredniczka, która ma być jego żoną, towarzyszyć będzie infantce i pocieszać się z nią przyjdzie w niedoli, póki niebo inaczej nie

138

zrządzi; bo sądzę, że pan jego będzie mógł mu ją zaraz dać w prawowite małżeństwo. – Nikt temu nie przeszkodzi - rzekł Don Kichote.

- A jeśli tak - odpowiedziała Sanczo - trza nam tylko Bogu się polecić i zdać na los, by nas prowadził jak najlepiej.

- Dałby to Bóg - odparł Don Kichote - jak ja tego pragnę i tobie, Sanczo, tego trzeba, a podły niech będzie ten, co się ma za takiego.

- Na Boga, niech tak się stanie - rzekł Sanczo - co do mnie, pochodzę ze starego chrześcijan, a to wystarczy, aby zostać grabią.

- Aż nadto - stwierdził Don Kichote - a gdybyś i nie pochodził, nic by to nie szkodziło, będąc bowiem królem, mogę ci nadać szlachectwo, bez zapłaty ni zasłużonej z twojej strony. Kiedy zaś raz będziesz grabią, uważać się będziesz za rycerza i niech gadają, co chcą, dalipan, nawet wbrew swej woli zwać cię będą wielmożnym.

- A czy mniemacie, że nie potrafię godnie nosić tetołu?

- Tytułu należy mówić, a nie tetołu - rzekł jego pan.

- Niech będzie - odparł Sanczo Pansa - mówię, że potrafię się doń zastosować, bo w życiu moim byłem czas jakiś starszym w bractwie i w duchownej szacie tak mi było do twarzy, że można mię było wziąć, jak mówili wszyscy, za zelatora bractwa. A cóż dopiero będzie, gdy włożę szatki książęce, przystroję się w złoto i perły, jak jakiś zagraniczny grobia. Założyłbym się, że schodzić się będą z odległości stu mil, aby mię oglądać.

- Przedstawiać się będziesz dobrze - rzekł Don Kichote - ale trzeba, abyś często golił brodę, bo masz ją gęstą, splątaną i zmierzwnioną, tak że jeśli jej przynajmniej co dwa dni brzytwą nie przejedziesz, to na strzał z garłacza każdy pozna, coś za jeden.

- Cóż więcej trzeba - rzekł Sanczo - jak zabrać golibrodę na stałe do domu?

A nawet w razie potrzeby każę mu jeździć z sobą jak koniuszemu granda.

- A skądże ty wiesz - zapytał Don Kichote - że grandowie wodzą za sobą koniuszych? - Zaraz wam powiem - odparł

Don Kichote - Miguel Cervantez

Sanczo. - W ubiegłych latach bawiłem przez miesiąc w stolicy i tam widziałem przechadzającego się bardzo małego panka, o którym mówiono, że był bardzo wielkim, za nim jechał człowiek na koniu, krok w krok za każdym jego poruszeniem, tak że zdawał się być jego ogonem. Pytałem, dlaczego ów człowiek nigdy się z tamtym nie zówna, jeno zawsze w tyle jedzie; odpowiedziano mi, że to jest jego koniuszy i że zwyczajem grandów jest takich za sobą wodzić. Do dziś to pamiętam dobrze, i nigdy o tym nie zapomnę. - Słusznie mówisz - rzekł Don Kichote - i możesz tak za sobą wodzić goli-brodę, obyczaje bowiem nie od razu wszystkie nastąpiły ani wszystkich naraz nie

wymyślono, możesz więc być pierwszym grabią, który wodzi za sobą golibrodę, wszak trudniej jest brodę golić niż konia kulbaczyć.

- Zostawcie mi już troskę o golibrodę - rzekł Sanczo - a jegomość postarajcie się zostać królem i zrobić mię grabią. - Tak też i będzie - odpowiedział Don Kichote.

I wzniósłszy oczy, ujrzał to, o czym będzie mowa w rozdziale następnym. 139

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

o wolności, jaką Don Kichote obdarzył wielu nieszczęśliwych, których po niewoli prowadzono tam, gdzie iść nie chcieli

"powiada Sidi Hamet Ben Engeli, pisarz arabski, rodem z Manczy, w tej bardzo poważnej, górnolotnej, prostej, miłej a ciekowej historii, że kiedy słynny Don Kichote z Manczy i Sanczo Pansa, jego giermek, zakończyli rozmowę przytoczoną przy końcu rozdziału dwudziestego pierwszego, Don Kichote, podniósłszy oczy, ujrzał na swej drodze około dwunastu ludzi pieszych, nawleczonego za szyję, niby paciorki różańca, na wielki łańcuch żelazny, a wszyscy mieli kajdany na rękach.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Twarzyszyli im dwaj jeźdzy i dwaj piesi; konni mieli muszkiety, piesi piki i szable. Ujrzał ich, Sanczo rzekł:

- Oto łańcuch galerników, skazańców królewskich, wiodą na galery.- Jak to skazańców? - zapytał Don Kichote. - Czy to możliwe, aby król przemoc na kimś wywierał?
- Tego nie mówię - odpowiedział Sanczo - ale to są ludzie, którzy za występkami swoje skazani są na przymusową służbę na królewskich galerach. - A więc - rzekł Don Kichote - tak czy owak owi tu prowadzeni ludzie idą przymuszeni, a nie z dobrej woli.
- A jużci - rzekł Sanczo.
- Przeto - rzekł Don Kichot - tu nadarza się sposobność spełnienia mej powinności: przeciwstawić się gwałtom i wesprzeć oraz pomóc nieszczęśliwym. - Zważcie, jegomość - rzekł Sanczo - że sprawiedliwość, która jest jedno z królem, nie czyni gwałtu ni krzywdy podobnym ludziom, jeno słusznie ich karze za przestępstwa. Tymczasem zbliżył się łańcuch galerników i Don Kichote grzecznymi słowy poprosił strażników, aby powiadomili go, z jakiego powodu prowadzą owych ludzi. Jeden z konnych strażników odpowiedział, że są to galernicy, ludzie Jego Królewskiej Mości, idący na galery i że nic więcej do powiedzenia nie ma i nic więcej wiedzieć nie potrzeba.
- A jednak - odparł Don Kichote - chciałbym dowiedzieć się od każdego z nich z osobna, jaka jest przyczyna jego nieszczęścia. Dodał do tych słów inne podobne i tak uprzejmie, aby nakłonić go do powiedzenia tego, o co mu chodziło, że drugi strażnik konny rzekł: - Chociaż mamy tu rejesty i wyroki sądowe każdego z tych nieboraków, nie

czas tu i nie pora bawić się wydobywaniem ich z łubów i czytaniem, niech się uważa miłość ich samych zapyta, opowieżą, jeśli zechcą, a zechcą na pewne, bo są to ludzie, którzy lubią robić i gadać szelmostwa.

Uzyskał pozwolenie, które by sobie Don Kichote sam wziął, gdyby mu go nie użyczono, podszedł do łańcucha i zapytał pierwszego, za jakie winy tak pokutuje. Ten odpowiedział, że pokutuje tak, bo się zakochał.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- I za nic więcej? - wykrzyknął Don Kichote. - Jeśli za zakochanie wysyłają na galery, dawno mógłbym być na nich wioślarzem.
- Nie jest to miłość, o jakiej waszmość myśli - rzekł galernik. - Tak pokochałem kosz pełen białej bielizny i uścisnąłem go tak mocno, że gdyby mi sprawiedliwość gwałtem go nie odebrała, po dziś dzień z dobrej woli bym go nie wypuścił. Schwytano mnie na gorącym uczynku, nie było trzeba tortur, sprawa była jasna. Da- no mi sto plag w plecy i zasądzono dokładnie na trzy lata gurap, ot, i sprawa skończona.
- Co to są gurapy? - zapytał Don Kichote.
- Gurapy to galery - odpowiedział galernik.

Był to młodzieńiec około lat dwudziestu czterech, pochodzący z Pietrahita, jak twierdzi. O to samo zapytał Don Kichote drugiego, który nie odpowiedział ni słowa, tak był smutny i melancholijny, ale za niego odpowiedział pierwszy, mówiąc: - Ten, panie, idzie za kanarka, za muzykę i śpiew.

- Jakże to? - zapytał Don Kichote. - Czy za muzykę i śpiewy idzie się na galery?
- A tak, panie - odpowiedział galernik - nie ma nic gorszego, jak śpiewać w ucisku. - Przeciwnie, słyszałem - rzekł Don Kichote - że kto śpiewa, зло odpędza.
- Tu wszystko na odwrót - rzekł galernik - kiedy kto raz zaśpiewał, płacze całe życie. - Nie pojmuję - rzekł Don Kichote.

Lecz jeden ze strażników powiedział:

- Panie rycerzu, śpiewać w ucisku dla tych ludzi bez czci, to znaczy zeznawać na torturach. Tego przestępce poddano próbie wody; przyznał się do winy, że był złodziejem bydła, i po tym przyznaniu skazano go na sześć lat galer oprócz dwustu batów, które już na plecy dostał. Zawsze idzie tak smutny i zamyślony, bo inni złoczyńcy, zarówno ci, którzy tam pozostali, jak ci, którzy tu idą, maltretują go, poniewierają, kpią zeń i pogardzają nim za to, że wyśpiewał i nie miał odwagi zaprzeczyć. Mówią oni bowiem, że tyleż liter jest w „nie”, co w „tak” i że winowajca jest na tyle szczęśliwy, iż życie jego zależy od jego języka, a nie od świadków i dowodów, w czym, moim zdaniem, nie są zbyt dalecy od prawdy.

- I ja tak myślę - odparł Don Kichote.

I podszedłszy do trzeciego, zapytał go jak poprzednich. Ten szybko i z całą swobodą odpowiedział:

- Idę na pięć lat do pań gurap, bo brakło mi dziesięciu dukatów.- Dałbym chętnie i dwadzieścia - rzekł Don Kichote - byle was z tej biedy wybawić.
- Zatem - odpowiedział galernik -jestem jak ten, który na pełnym morzu ma pieniądze i umiera z głodu, nie mając gdzie kupić, czego mu potrzeba. Mówię tak, bowiem gdybym był miał w swoim czasie owych dwadzieścia dukatów, które mi teraz wasza miłość ofiarujecie, byłbym posmarował pióro pisarza trybunalskiego i orzeźwił umysł prokuratora tak, że dziś znajdowałbym się na środku placu Zoco-

141

dover w Toledo¹, a nie na tej drodze wleczony jak chart; ale Bóg jest wielki, cierpli- wości, i basta! Don Kichote przeszedł do czwartego; był to człowiek o czcigodnym obliczu, z białą brodą spływającą poniżej piersi; ten, usłyszawszy pytanie, dlaczego się tu znajduje, zaczął płakać i nie odpowiedział ni słowa; ale piąty skazaniec zabrał głos za niego i rzekł:

- Ten czcigodny człowiek idzie na cztery lata galer, bo obwieziony był zwykłym szlakiem na ośle z paradą².
- To, jak mi się zdaje - rzekł Sanczo Pansa - znaczy, że pod pręgierzem wyzna- nie uczynił.
- Tak jest - odparł galernik - a przewiną, za którą spotkała go kara, było rajfur- stwo uszu i całego ciała. W rzeczy samej chcę rzec, że ten kawaler idzie na galery za brzydkie pośrednictwa i za czarodziejskie sztuczki.
- Gdybyście nie dodali tych guślarskich sztuczek - rzekł Don Kichote
- to wszak za to, że był uczciwym pośrednikiem, nie zasługiwałby na galernicze wio- słowanie, ale raczej, aby dowodzić galerami i być admirałem. Bowiem zawód po- średnika nie jest tym, co myślicie. To zawód ludzi mądrych, bardzo potrzebny w państwie

Don Kichote - Miguel Cervantez

dobrze rządzonym, który sprawowany być
winien jeno przez ludzi do- brze urodzonych; a
nawet powinni by być kontrolerzy i komisarze
takich ludzi, po- dobrnie jak są w innych
urzędach, w odpowiedniej liczbie, jak są
faktorzy bankowi, a w ten sposób uniknęłyby
się często zła, które stąd płynie, że urząd ten i
zawód sprawują idioci i ludzie małego rozumu,
jak równie mniej lub więcej warte kobię- cinki,
paziki i błazenki nieletnie i niedoświadczane,
którym gdy pilna konieczność przynagli i
trzeba znaleźć ważne wyjście, zastyga kasza
między ręką a gębą i nie wiedzą, która ręka
prawa. Chciałbym pójść dalej i przytoczyć
racje, dla których na- leżałyby wybierać tych,
którzy w państwie pełnić mają tak potrzebny
urząd, ale nie jest to miejsce po temu stosowne.
Któregoś dnia powiem to komuś, kto będzie
miał możliwość uporządkować to i naprawić,
teraz rzekę tylko, że żałosć, jaką mi sprawia
widok tych białych włosów i tego czcigodnego oblicza w takim poniżeniu za po-
średnictwo, została uśmierzona przez
dodatek, że był czarownikiem. Chociaż do- brze wiem, że nie ma
na świecie czarów ni uroków, które mogłyby zachwiać i zgwał- cić
wolę, jak niektórzy głupcy sądzą, albowiem wola nasza jest wolna
i nie masz zioła ani czaru, które by ją pogwałciły. To, co czynić
zwykły pewne proste kobieci- ny i złośliwi oszuści, są to jakieś
mikstury i trucizny, oszałamiające ludzi, oni zaś wmawiają im, że
posiadają one moc skłaniań ku nim miłości, a przecież, jak po-
wiadam, woli zgwałcić nie można.

- Tak jest - rzekł cny starzec - to prawda, panie,
że co się czarów tyczy, nie ponoszę winy;
pośrednictwa zaprzeczyć nie mogę. Ale nigdy
nie sądziłem, że źle postępuję, gdy jedyną moją
chęcią było, aby wszyscy radowali się, żyli w

Don Kichote - Miguel Cervantez

pokoju i ciszy, bez zwad ni przykrości; nic mi jednak ten mój dobry zamiar nie pomógł i nie

' Stary rynek arabski, miejsce schadzek wszelkich szumowin. 2 Skazaniec wleczony był przez ulice na oście, twarzą do ogona, na urągowisko przystrojony w tekturową mitrę i w toga.

142 W~\

zapobiegł temu, że oto idę, skąd nie ma nadziei powrotu, obarczony latami i chorobą pęcherza, która mi chwili wytchnienia nie daje.

Tu znowu płakać zaczął jak pierwej. Sanczo ulitował się tak, że z zanadrza wydobył reala czworaka i dał mu jałmużnę. Przechodząc dalej, Don Kichote zapytał następnego, jaki jest jego występek, ten odpowiedział z nie mniejszą niż poprzedni, a raczej z większą jeszcze

fantazją:

- Idę, bo zbytnio figlowałem z dwiema myimi ciotecznymi i z dwiema siostrami, które wcale moimi nie były; a w końcu tak ze wszystkimi broałem, że z tych figłów wyrosły pokrewieństwa nierozwikłalne, których sam diabeł by nie wyjaśnił. Dowiedziono mi wszystkiego, protekcja zawiodła, nie miałem pieniędzy i już omal gardła nie dałem; zostałem skazany na sześć lat galer; zgoda, to kara za moją winę, młody jestem, bylebym przeżył, wszystko się dobrze skończy. Jeśli wasza miłość, panie rycerzu, może czymś dopomóc tym biedakom, Bóg to wam w niebie odpłaci, my zaś będziemy dbali o to, aby prosić w modlitwach naszych Boga o życie i zdrowie waszej miłości, aby było tak długie i szczęśliwe, jak na to piękny wasz wygląd zasługuje.

Ten szedł w szatach studenta i jeden ze strażników powiedział, że to wielki mówca i znakomity łacinnik. Za tymi wszystkimi szedł człowiek lat trzydziestu, bardzo dobrze się przedstawiający, gdyby nie to, że jednym okiem patrzał w drugie. Szedł inaczej niż inni skuty, bo u nogi miał

Don Kichote - Miguel Cervantez

łańcuch tak długi, owijał go sobie wokoło całego ciała, i dwie obroże na szyi, jedna była złączona z łańcuchem, a druga była to tak zwana druhna-stróżka, czyli stopa przyjaciela. Z niej wychodziły dwa pręty żelazne sięgające pasa,

w nich umocowane były kajdanki na obie ręce, zamknięte wielką kłódką, tak że ani do ust rąk podnieść nie mógł, ani głowy pochylić, aby rękę dosięgnąć. Don Kichote zapytał, dlaczego ten człowiek ma więcej żelastwa niż inni. Odpowiedział mu straż-

nik, że on jeden więcej przestępstw popełnił niż wszyscy inni razem, a był tak zu-chwały i bezczelny, że choć go w ten sposób wiodą, nie sągo pewni i lękają się, aby im nie uciekł.

- Jakież przestępstwa mógł popełnić - zapytał Don Kichote - jeśli nie zasłużył na większą karę niż galery?
- Skazany na dziesięć lat - odparł strażnik - a jest to jakby śmierć cywilna. Wystarczy tylko wiedzieć, że ten poczciwiec to słynny Gines de Pasamonte, inaczej zwany Ginesillo de Parapilla'.
- Panie komisarzu - rzekł na to galernik - powoli, powoli, nie zaczynamy ustalać imion i przezwisk. Nazywam się Gines, a nie Ginesillo, zaś Pasamonte jest nazwiskiem rodowym, a nie Parapilla, jak mówicie. Niech każdy pilnuje swoich spraw, a będzie miał dość roboty.
- Nie gadaj tak bezczelnie - odparł komisarz - panie łotrze wysokiej miary, jeśli nie chcesz, abym cię wbrew twej woli zmusił do milczenia. - Snadź - odpowiedział galernik - z człowiekiem dzieje się, jak Bóg chce, ale nadejdzie dzień, gdy dowie się niejeden, czy nazywam się Ginesillo de Parapilla, czy nie. parapilla (hiszp.) - rabuś. 143

- Czyż więc nie tak cię nazywają, oszuście? - zapytał strażnik. - Nazywają - odpowiedział Gines - lecz ja to sprawię, że mię tak nazywać nie będą albo wyrwę sobie włosy zębami, nie powiem skąd. Panie rycerzu, jeśli chcesz mnie czymś obdarzyć, dajcie rychło i idźcie z Bogiem, bo nudzicie już nas, chcąc tyle dowiedzieć się o

Don Kichote - Miguel Cervantez

życiu każdego; a jeśli jesteście mojego ciekawi,
wiedziecie, że zwę się Gines de Pasamonte,
którego życie spisane zostało tymi paluchami.

- Prawdę gada - rzekł strażnik. - Sam spisał swoje dzieje i nic dorzucić nie można, zostawił księgę w więzieniu jako zastaw za dwieście reali.
- I myślę ją wykupić - rzekł Gines - choćby za dwieście dukatów.
- Czy jest aż tyle warta? - zapytał Don Kichote.
- Jest tak dobra - odparł Gines - że niech się schowa Łazik znad Tormesu i wszystkie inne w tym rodzaju już napisane albo które będą napisane. Mogę wam tylko powiedzieć, że podaje prawdę, i to prawdę tak śliczną i uczciwą, że nie ma kłamstw, które by jej dorównać mogły. - A jakiż tytuł tej książki? - zapytał Don Kichote. - Żywot Ginesa de Pasamonte - odparł tenże. - Czy skończona? - pytał Don Kichote.
- Jakże może być skończona - odparł ów - jeśli nie skończone jest moje życie? Obejmuje czas od mego urodzenia do chwili, gdy ostatni raz zostałem skazany na galery.
- Zaraz! Czy już raz byliście na nich? - zapytał Don Kichote. - Już raz tam byłem przez cztery lata, aby służyć Bogu i królowi, i wiem, jak smakuje suchar i kańczug - odpowiedział Gines. - Nie martwię się zbytnio, że tam idę, gdyż tam znajdę sposobność do skończenia mej książki, a zostaje mi wiele jeszcze do powiedzenia, zaś na galerach hiszpańskich jest więcej wolnego czasu, niż potrzeba, choć nie trzeba mi go dużo, to bowiem, co chcę napisać, umiem na pamięć.
- Wyglądasz na zdolnego - rzekł Don Kichote.
- i nieszczęśliwego - odparł Gines - nieszczęścia bowiem zawsze prześladują wyższe umysły.
- Prześladują łotrów - rzekł komisarz.
- Powiedziałem już, panie komisarzu - odpowiedział Pasamonte - powoli, powoli. Tamci panowie nie dali panu tej łaski, abyś maltretował biedaków, którzy tu idziemy, ale byś nas doprowadził, gdzie Jego Królewska Mość każe. Jeśli nie, to klnę się na życie... ale dość. Zdarzyć się bowiem może pewnego dnia, że przy praniu wystąpią na gębie owe plamy, które powstały w gospodzie; niech zamilkną wszyscy, żyją dobrze i gadają lepiej. Już idźmy! Za wieleśmy tu czasu strwonili.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Komisarz podniósł w góre laskę, aby dać
Pasamontowi odpowiedź na jego pogrózki, lecz
Don Kichote stanął między nimi i poprosił, aby
nie znęcał się nad
nim, bowiem nie dziwota, że kto ma tak ręce skrępowane, język ma tak swobodny, a
zwracając się do wszystkich na
łańcuchu, rzekł:

-Z tego wszystkiego, coście mi rzekli, najdrożsi
bracia, jasno wnoszę, że choć was ukarano za
winy wasze, kary, które was czekają, nie w smak
wam idą i na gallerie idziecie bardzo niechętnie i
wbrew waszej woli. Może być, że brak odwagi na

144

torturach u jednego, brak pieniędzy u drugiego,
brak poparcia u trzeciego, a w końcu błędny
wyrok sędziego był przyczyną waszego
nieszczęścia i że nie wymierzono wam takiej
sprawiedliwości, na jaką zasługiwałyście.
Wszystko to staje mi teraz w pamięci, która mi
szepce, przekonuje mię, a nawet przymusza
wyjawić wam cel, dla którego niebo mię na
świat posłało, abym sprawował zawód błędnego
rycerza i spełniał ślub, jaki uczyniłem, że będę
pomagał potrzebującym i uciśnionym przez
przemoc. Lecz ponieważ wiem, że przezorność
nakazuje, aby tego, co po dobroci dokonać
można, gwałtem nie czynić, chcę przeto prosić
panów strażników i komisarzy, by łaskawie
was rozwiązali i puścili w pokoju; nie braknie
bowiem innych,

aby królowi służyli w lepszych okazjach; zdaje się przecie okrucieństwem w nie-
wolników zamieniać tych, których Bóg
i natura wolnymi stworzyli. Tym bardziej, panowie strażnicy
- dodał Don Kichote - że owi nieszczęsnicy wam żadnego zła

Don Kichote - Miguel Cervantez

nie wyrządzili. Niech każdy własny grzech nosi; jest w niebie Bóg, który nie omiesz- ka karać za złe, a nagradzać za dobre, a nie przystoi ludziom częstym być katami drugich, osobliwie kiedy nic w tym nie mają. Proszę o to z taką pokorą i spokojem, aby, jeśli spełnicie to, móc wam podziękować, jeśli jednak dobrowolnie tego nie uczynicie, ta kopia i ten miecz wraz z walecznością mego ramienia sprawią, że spełnicie to przymuszeni.

- Rozkoszny żart! - wykrzyknął komisarz. -
Dobry pomysł, który w ostatniej chwili wyskoczył!
Chce, abyśmy puścili galerników królewskich,
jakbyśmy mieli prawo ich uwolnić albo on miał
prawo nam rozkazywać! Ruszajcie, mospanie,
szczęś- liwie w drogę, poprawcie sobie na głowie
tę miednicę, a nie szukajcie trzech łap u kota!

- Ty sam kot, szczur i hultaj! - wrzasnął Don Kichote. Od słowa do czynu, natarł na niego tak nagle, że ten nie zdążył stanieć w pogotowiu, powalił go na ziemię, zranił kopią. Miał nadzieję, że był to właśnie strażnik z muszkietem. Reszta strażników osłupiała ze zdumienia tym niespodzianym obrotem sprawy, lecz opamiętawszy się, konni chwycili za szpady, piesi za piki i natarli na Don Kichota, który ich w spokoju wielkim oczekiwał; niewątpliwie byłoby się to smutno skończyło, gdyby galernicy, widząc nadarzającą się sposobność odzyskania wolności, nie zechcieli z niej skorzystać, usiłując rozerwać łańcuch, którymi byli spętani. Taka krętwa powstała, że strażnicy wysilali się daremnie, to podbiega-jąc do galerników, którzy się oswobadzali, to do Don Kichota, który ich atakował, i niczego wskórać nie mogli. Sanczo ze swojej strony pomógł uwolnić się z więzów Ginesowi de Pasamonte, który pierwszy wyszedł wolny i rozkuty, dopadłszy leżą- cego komisarza, odebrał mu szpadę i muszkiet i mierząc to do jednego, to udając, że mierzy do drugiego, nie wypalił ani razu, a na całym polu ani jeden strażnik nie pozostał, wszyscy uciekli, tak przed muszkietem Pasamonta, jak przed licznymi kamieniami,

Don Kichote - Miguel Cervantez

które na nich rozkuci galernicy miotali. Bardzo markotny był Sanczo z tego powodu, wyobrażając sobie, że ci, którzy uciekli, dadzą znać o tym wypadku do Świętej Hermandady, a ta, uderzywszy na alarm, wybierze się natychmiast na poszukiwanie winnych, więc powiedział o tym swemu panu i błagał go, aby zaraz stąd odjechali i ukryli się w pobliskich

górac

h. 145

- To dobrze - rzekł Don Kichote - lecz wiem, co mi teraz czynić wypada. - I zwołał wszystkich galerników, którzy włóczyli się hałaśliwie i obdarli komisarza do naga. Zgromadzili się wszyscy dokoła niego, ciekawi, co im oznajmi, zaś on rzekł:

- Rzeczą ludzi dobrze urodzonych jest być wdzięcznym za dobrodziejstwa otrzymane i jednym z grzechów, które najbardziej Boga obrażają, jest niewdzięczność. Mówię to, bo widzieliście, panowie, na własne oczy dobrodziejstwo, jakie was ode mnie spotkało; w nagrodę za to chcę - i taka jest moja wola - abyście obciążeni tymi łańcuchami, które z waszej szyi zdjąłem, udali się zaraz w drogę do miejscowości Toboso i tam stanęli przed panią Dulcyneą z Toboso i oznajmili, że rycerz jej, zwany Rycerzem Smętnego Oblicza, poleca się jej. Opowiecie jej szczegółowo wszystko, co zaszło w owej sławetnej przygodzie aż do przywrócenia wam wolności. To spełniwszy, będziecie mogliudać się szczęśliwie, gdzie zechcecie.

Na to odpowiedział za wszystkich Gines de Pasamonte: - W żaden sposób nie możemy spełnić tego, co wasza miłość nam poleca, panie i oswobodzicielu nasz. Nie możemy bowiem drogami chodzić kupą, jeno każdy z osobna i w pojedynkę, każdy w swoją stronę, starając się ukryć we wnętrznościach ziemi, aby nie

Don Kichote - Miguel Cervantez

znalazła nas Święta Hermandada, która bez żadnej wątpliwości wyprawi się na poszukiwanie nas. Co jednak wasza miłość może uczynić i co słuszne jest, abyśmy uczynili, to zamienić ów hołd i trybut dla pani Dulcynei z Toboso na pewną liczbę Zdrowasiek i Wierzę, które odmówimy na intencję waszej miłości. To można spełnić i w nocy, i we dnie, w ucieczce i w odpoczynku, w pokoju i w wojnie, ale pomyśleć, że powrócimy teraz do egipskich garnków, mówię: do podjęcia naszych kajdan i udania się do Toboso, to znaczy wierzyć, że teraz jest noc, choć dziesiąta godzina rano nie minęła, a zaś żądać tego od nas, to tyle, co żądać gruszek od wierzby.

- Bodaj was! - krzyknął Don Kichote już w gniewie. - Taki... synu, panie Ginesillo de Parapilla, czy jak się zwiesz, masz tam pójść ty sam, z ogonem między nogami, z całym łańcuchem na plecach! Pasamonte, który nie był zbyt cierpliwy, a przekonany, że Don Kichote był niespełna rozumu, jeśli popełnił takie szaleństwo, obdarowując ich wolnością, widząc się tak traktowanym, mrugnął na towarzyszy, ci zaś, odsunąwszy się nieco na stronę, zaczęli miotać tyle kamieni na Don Kichota, że brakło mu rąk do zasłania tarczą, zaś biedny Rosynant tak sobie nic z ostróg nie robił, jakby był posągiem z brązu. Sanczo skrył się za swego osła i nim się zasłaniał przed chmurą i gra-

dem spadającym na nich obu. Don Kichote nie mógł się tak dobrze osłonić, nie wiem, ile kamieni dosięgło jego ciała z taką siłą, że powaliły go na ziemię. Zaledwie padł,

gdy rzucił się nań ów student, zerwał mu miednicę z głowy, uderzył go nią trzy, czy czterykroć po plecach i tylekroć grzmotnął nią o ziemię, że się niemal rozleckała w kawałki. Zdarli zeń kaftan, który nosił na zbroi, i chcieli mu ściągnąć i portki, ale nagolenniki

Don Kichote - Miguel Cervantez

przeszkadzały. Sanczowi zabrali opończę,
zostawiając go we własnej

Tzn. wróćmy do dawnych dobrych czasów; aluzja do Starego
Testamentu, gdy Synowie

Izraela szemrali przeciw Mojżeszowi na pustyni, żałując pełnych
mięsiwa garnków w Egip- cie (Stary Testament, Exodus, XVI, 3).

146 skórze, rozdzielili między siebie później łup

bitwy i rozeszli się każdy w swoją stronę,

troszcząc się bardziej o wymknięcie się Świętej

Hermandadzie, której się obawiali, niż o

obarczenie się łańcuchem i przedstawienie się

pani Dulcynei z Toboso. Zostali jeno osioł i

Rosynant, Sanczo i Don Kichote; osioł z

opuszczonym łbem, zamyślo- ny, strzygł od

czasu do czasu uszyna, sądząc, że jeszcze nie

ustała zamień kamieni, która ich tak udreczęła;

Rosynant leżał rozciągnięty obok swego pana,

gdyż padł również na ziemię od innego miotu

kamieni; Sanczo nagi drżała ze strachu przed

Świętą Hermandadą, zaś Don Kichote był wielce strapiony, iż skrzywdzili go ci właśnie, którym tak wiele dobrego wyściadczył.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

opowiada, co spotkało sławnego

Don Kichota w Sierra Morena, a

była to jedna z najrzadszych

przygód, o jakich opowiada ta

wiarygodna historia

Don Kichote, widząc się w tak opłakanym

stanie, rzekł do swego giermka: - Zawsze

słyszałem, Sanczo, że świadczyć dobro

chamom to wodę wlewać w morze. Gdybym

Don Kichote - Miguel Cervantez

był zawierzył temu, co mówiąłeś, byłbym uniknął tej przykrości.

Ale stało się, cierpliwości! I bądźmy odtąd rozsądni.

- Tak wy będącie rozsądni, jegomość, jak ja jestem Turkiem - odparł Sancho - ale ponieważ powiadacie, że gdybyście mnie posłuchali, uniknęlibyście tej szkody, posłuchajcie mnie obecnie, a ujdziecie znacznie większej; powiadam wam bowiem, wobec Świętej Hermandady na nic zda się rycerstwo; dba ona tyle o wszystkich błędnych rycerzy co o dwa marawedi; wiedziecie, już mi się zdaje, że jej strzały świszą mi koło uszu.

- Z przyrodzenia jesteś tchórzem, Sanczo - rzekł Don Kichote - ale abyś nie mówił, że jestem uparty i że nigdy wedle twych rad nie postępuję, na ten raz chcę pójść za twoją radą i oddałę się od tej furii, której się tak obawiasz, a stanie się to pod jednym warunkiem: nigdy żyw czy umarły nie piśniesz nikomu, że cofałem się i uszedłem przed tym niebezpieczeństwem ze strachu, lecz uległem jedynie twoim prośbom; jeślibyś co innego powiedział, skłamiesz i dziś jak wówczas, i wonczas jak dziś zadaję ci kłam i mówię, że kłamiesz i kłamać będziesz, ilekroć tak pomyślisz czy powiesz. Nie odpowiadaj mi więcej, gdyż na samą myśl, że usuwam się i cofam przed jakimś niebezpieczeństwem, a w szczególności w tym obecnym wypadku, który może dawać jakiś pozór strachu, choć tak nie jest, jestem niemal gotów tu pozostać i czekać nie tylko na Świętą Hermandadę, o której mówisz i której

się lękasz, ale na całe bractwo dwunastu pokoleń Izraela, na siedmiu Machabeuszów, na Kastora i Polluksa, a nawet na wszystkich braci i bractwa świata. 147

- Panie - odpowiedział Sanczo - unikać nie znaczy uciekać, oczekiwanie też nie jest mądrością, kiedy niebezpieczeństwo przekracza wszelką nadzieję; mądrzy powinni zachować się na jutro, a nie stawiać wszystkiego na jedną kartę. Wiedziecie zaś, że choć jestem prostak i chłop, posiadam jednak, jak to mówią, zdrowy rozum; dlatego nie wyrzucajcie mi, żeście mojej rady posłuchali; właźcie na Rosynanta, jeśli możecie, a jeśli nie, ja wam pomogę, i jedźcie za mną, gdyż rozsądek mi mówi, że bardziej potrzebne nam będą nogi niż ręce. Don Kichote dosiadł konia, nie odpowiadając ni słowa. Sanczo na osle prze- wodził. Wjechali w najbliższą część Sierra Morena. Sanczo miał zamiar przebyć góry i dotrzeć aż do Viso albo Almodóvar del Campo, aby skryć się na kilka dni pośród dzikich skał, gdzie by ich Święta Hermandadą znaleźć nie mogła. Zachęca- ło go do tego, że z utarczki z galernikami wyszedł cało worek żywności niesiony przez osła, co za cud poczytać by można, zważywszy, że galernicy wszystko prze- trząsnęli i zabrali. Tej nocy dotarli do wnętrza pasma Sierra Morena, gdzie Sanczo doradzał noc spędzić oraz dni kilka przynajmniej, póki starczą zapasy żywności, jakie wiózł. Więc rozłożyli się na nocleg między dwiema skałami i licznymi dębami korkowymi. Lecz los złowrogi, który, jak teraz ludzie pozbawieni światła prawdziwej wiary mówią, wszystkim rządzi, kieruje i wszystko układa na

Don Kichote - Miguel Cervantez

swą modłę, sprawił, że Gines de Pasamonte, słynny oszust i łotr, wyzwolony z łańcuchów przez dzielność i szaleństwo Don Kichota, wiedziony lękiem przed Świętą Hermandadą, której słusznie się obawiał, postanowił się ukryć w tych samych górach, a los i trwoga zawiodły go

w to samo miejsce, gdzie znajdowali się Don Kichote i Sanczo Pansa w czasie i godzinie, kiedy mógł ich poznać, a poznawszy, pozwolił im zasnąć. Zaś jako zawsze źli są niewdzięczni, a potrzeba zmusza ludzi do czynienia, czego by czynić nie powinni, i zysk chwilowy ma przewagę nad przyszłym, Gines, który nie czuł wdzięczności ani nie miał dobrych zamiarów, postanowił skraść osła Sancza, po-gardziwszy Rosynantem jako nienadającym się ani na zastaw, ani na sprzedaż. San- czo Pansa spał, gdy on mu kradł osła, a zanim dzień zaświtał, Gines był już zbyt daleko, aby go dosięgnąć.

Jutrzenka wzeszła rozradować ziemię, a zasmucić Sanczo Pansę, który spostrzegł brak swego siwka; widząc się pozbawionym go, począł zawodzić najsmutniejsze i najboleśniejsze w świecie skargi, tak że Don Kichote obudził się na te krzyki i usłyszał, jak ten mówił:

— O synu moich wnętrzności, zrodzony w moim własnym domu, uciecho moich dzieci, rozkoszy mojej żony, zazdrości moich sąsiadów, pomocy w moich trudach, a wreszcie żywicielu połowy mojej osoby, bowiem dwadzieścia sześć marawedi, jakie mi codziennie zarabiałeś, stało na pokrycie połowy moich wydatków. Don Kichote, słysząc tę skargę i dowiedziawszy się ojej przyczynie, pocieszał

Don Kichote - Miguel Cervantez

Sancza, jak mógł najlepiej, i prosił go o cierpliwość, obiecując mu dać przekaz na wydanie trzech osiołków z pięciu, jakie w domu zostawił.

Sanczo pocieszył się tym, otarł łzy, ukoił szloch i podziękował Don Kichotowi za wyświadczoną mu łaskę; ten, widząc się wśród tych gór, rozradował się w sercu, gdyż wyobraził sobie, że w tych miejscowościach spotkają go przygody, jakich szukał. 148

Przywodził na pamięć przedziwne zdarzenia, jakie w podobnych samotniach i pu- staciach spotykały błędnych rycerzy, i jechał, rozmyślając o tych sprawach, tak zadu- many i uniesiony, że o wszystkim innym zapomniał;

Sanczo też

(odkąd zdawało mu się, że idą przez miejsca bezpieczne) myślał jedynie o zaspokojeniu swego żołądka niedojadkami, jakie z księżego łupu zostały; i tak idąc za swym panem, objuczony tym wszystkim, co przedtem siwek dźwigał, sięgał do worka i napełniał brzuch, nawet za grosz nie dbając o żadną przygodę. Wtem podniósł oczy i ujrzał, jak pan jego zatrzymał się i usiłował ruszyć końcem drzewca jakiś tłumok leżący na ziemi, pośpieszył, aby mu pomóc w razie potrzeby, lecz kiedy się zbliżył, Don Kichote już był dźwignął końcem kopii poduszkę i przywiązał do niej sepecik, na wpół, a raczej zupełnie przegniły i podarty; ale było to tak ciężkie, że Sanczo musiał pomóc podnieść, a jego pan polecił mu przekonać się, co sepecik zawiera. Sanczo uwinął się różno i choć sepecik był zamknięty na kłódkę i łańcuch, to jednak przez dziury w zbutwiałym

Don Kichote - Miguel Cervantez

drewnie ujrzał, co w nim było: cztery koszule z cienkiego holender-skiego płótna oraz inna bielizna przednia i czysta, a w chustce znalazł trzosek pełen złotych talarów. To ujrzawszy, zawałał:

- Błogosławione niechaj będzie niebo, oto zsyła przygodę, która nam korzyćś przynieść może. I szukając dalej, znalazł notatnik bogato zdobiony; o ten poprosił go Don Ki-chote, pozwalając zatrzymać dla siebie pieniądze, które też sobie Sanczo zabrał.

Ucałował panu ręce, dziękując i opróżniwszy sepet z bielizny, włożył ją do worka na żywność. Co widząc, Don Kichote rzekł:

- Wydaje mi się, Sanczo (i nie może to być nic innego), tylko jakiś wędrowiec, przechodząc przez te góry, musiał być napadnięty przez łotrzyków, ci musieli go zabić i zawlekli w to ustronie, aby go pogrześć.

- To być nie może - odpowiedział Sanczo - jeśli to byli bowiem rozbójnicy, nie zostawiliby tu pieniędzy.

- Prawdę mówisz - rzekł Don Kichote - a więc nie mogę odgadnąć, co by to być mogło; ale poczekaj, zobaczymy, czy w tym notatniku jest coś zapisanego, to nam pozwoli wpaść na ślad i dowiedzieć się, czego pragniemy. Otworzył notatnik i od razu w rękopisie znalazł jakby brulion sonetu, choć

napisany pięknym charakterem. Przeczytał go na głos, aby i Sanczo również usły- szał.
A stało tam, co następuje: Albo

miłości brak jest rozumienia

Lub zbyt okrutna jest, zaś ma udręka

Nie dorównywa przyczynie, co nęka Mię taką
srogą katuszą cierpienia.

Lecz jeśli Amor Bogiem jest, to zmienia

Rzecz - on wie wszystko i nikt się nie lęka,

Aby okrutnym był Bóg - a więc ręka Czyja mię karze udręką
pragnienia? I sepecik- skrzyneczka, kuferek na cenne
przedmioty. 149

Filis, gdy powiem, że to ty - nie zgadnę, Zła tyle
z dobra takiego nie płynie. Z nieba zniszczenie
na ziemię nie schodzi.

Jedno jest pewne, że wnet martwy padnę,

Don Kichote - Miguel Cervantez

Bo na chorobę o tajnej przyczynie Cud chyba
jakiś lekarstwo znachodzi.

- Z tych rzeczy - rzekł Sanczo - niczego dowiedzieć się nie można i po tej nitce do kłybka nie dojdziemy ani za lisem do jamy. - O jakim lisie mówisz? - zapytał Don Kichote.
- Zdawało mi się, że jegomość wspomniał o lisie - rzekł Sanczo. - Mówiłem tylko o Filisie. Jest to bez wątpienia imię pani umiłowanej przez autora sonetu; i dalipan, musi to być tągi poeta albo się nie znam na sztuce.
- Chwileczkę... Jak to! - rzekł Sanczo. - Jegomość zna się i na rymach? - i lepiej, niż sądzisz - odparł Don Kichote - a przekonasz się o tym, gdy za- niesiesz list, od góry do dołu napisany wierszem, do pani Dulcynei z Toboso. Chciał- bym bowiem, abyś, Sanczo, wiedział, że wszyscy albo większość rycerzy błędnych ubiegłych wieków byli wielkimi poetami i wielkimi muzykami. Te dwie umiejętności albo, lepiej powiedziawszy, te dwa dary są przywiązane do błędnych kochanków. Co prawda, w wierszach tych dawnych rycerzy więcej było ducha niż dosko- nałości.
- Czytajcie dalej, jegomość - rzekł Sanczo - może znajdziemy coś, co nas zadowoli. Don Kichote odwrócił kartę i rzekł:
 - To jest proza, zdaje się, list.- A do kogo pisany, panie?
 - zapytał Sanczo.
 - Na początku zdaje się, że są to jeno wyznania miłosne
 - odpowiedział Don Kichote.
 - Przeczytajcie, jegomość, głośno - rzekł Sanczo - lubuję się bardzo w sprawach miłosnych. - Chętnie
 - rzekł Don Kichote.

I zgodnie z prośbą Sancza, głośno czytał, co następuje: Twoje obłudne
przyrzeczenia i moje jawne nieszczęście przywiodły mię na

Don Kichote - Miguel Cervantez

miejsce, skąd rychlej dojdzie do uszu twoich
wieś o mojej śmierci niż skarg moich
przyczyna. Porzuciłaś mię, niewdzięcznico, dla
innego, który ma więcej majątku, lecz niewart
więcej ode mnie; gdyby zaś cnota uważana była
za cenne bogactwo, nie zazdrościłbym majątku
innym ani nie opłakiwałbym moich własnych
nieszczęść.

Co twoja cudność zbudowała, to uczynki twoje zburzyły; pierwsza
kazała mi wie- rzyć, żeś aniołem, drugie przekonały mię, że jesteś tylko
kobietą. Zostań w pokoju,

przyczyno mojej udręki, niech niebo sprawi, aby zdrady twego
małżonka pozostały na zawsze przed tobą zakryte, abyś nie żałowała
tego, coś uczyniła, ani bym zemstę odniósł za to, za co mścić się nie
pragnę. 150

Skończywszy czytać list, Don Kichote rzekł:

- Mniej jeszcze z tego listu niż z tych wierszy wnosić możemy, wiemy tylko, że pisał
go jakiś wzgardzony kochanek.

I kartkując dalej prawie cały notatnik, znalazł jeszcze
inne wiersze i listy; zaledw- wie kilka odczytać zdołał.
Ale wszystkie zawierały skargi, lamenty, podejrzenia,
radości i rozpacz, przychylności i wzgardy, jedne
uroczyste, inne żałosne. W cza- sie, kiedy Don
Kichote przeglądał książeczkę, Sanczo przeglądał
sepecik, nie za- niedbując żadnego kącika w nim ani
w poduszce, którego by nie przeszukał i nie zbadał,
nie zostawił szwu, którego by nie rozpruł, kutasika
włóczkowego, którego by nie rozczesał, aby nie
opuszcić niczego przez uchybienie czy niedbałość: taką
chci- wość wzbudziły w nim znalezione talary,
których było ponad sto. I choć nic więcej nie znalazł,
uważał, że jest dobrze wynagrodzony za podrzucanie
na derce, za wy- mioty po balsamie, błogosławieństwa
kijów, kułaki mulnika, utratę sakw, kradzież osła, za

Don Kichote - Miguel Cervantez

cały głód, pragnienie i trud, jakie znosił w służbie swego dobrego pana; zdawało mu się, że był zapłacony aż nadto przez znalezioną nagrodę, która mu wpadła w ręce. Rycerz Smętnego Oblicza pałał żądzą dowiedzenia się, kim był właściciel sepecika; wnosząc z sonetu i listu, złotych pieniędzy i przednich koszul wszystko musiało należeć do jakiegoś dostojnego kochanka, którego wzgarda i złe obejście jego damy doprowadziły do rozpacznego końca, ale ponieważ w tak odludnym

i dzikim miejscu nie zjawiał się nikt, kto by mógł wiadomości udzielić, postanowił jechać przed siebie drogą, którą Rosynant go powiedzie, ten zaś szedł, jak mu było dogodniej. Don Kichote bezustannie wyobrażała sobie, że w takich pustkowiąch nie może braknąć niezwykłych przygód.

Jadąc tak w tych myślach pogranżony, ujrzał na szczycie góry, co nagle się ich oczom ukazała, człowieka skaczącego ze skały na skałę i z krzaka na krzak z niezwykłą lekkością. Wydawał się całkiem nagi, z czarną, gęstą brodą, z włosami bujnymi i zmierzwnymi; był bosy, z nagimi goleniami, uda miał okryte jakimiś spodniami, jak się wydawało, z brązowego aksamitu, były jednak tak podarte, że miejscami przeglądało ciało. Głowę miał odkrytą. Pomimo że biegł tak szybko, jak powiedziano, Rycerz Smętnego Oblicza spostrzegł i zauważył wszystkie te szczegóły; choćby usiłował, jednak nie zdoałby go dosiągnąć; bowiem osłabienie Rosynanta nie pozwalało na galop przez takie ostepy, tym bardziej że z natury był powolny i flegmatyczny. Don Kichote wyobraził sobie zaraz, że ów człek to właściciel poduszki i sepecika, więc postanowił go odszukać, choćby miał i rok błądzić po tych górach. Kazał więc Sanczowi zsiąść z osła, zabiec drogę z jednej strony góry, podczas gdy on pójdzie drugą stronę i dzięki tej zmyślności może się zdarzyć, że odnajdą człowieka, który tak rychło zniknął im z oczu.

- Nie zdołam tego uczynić - odparł Sanczo. - Zaledwie się bowiem od jego mości oddale,

Don Kichote - Miguel Cervantez

zaraz mię strach obleci i napadnie mnie tysiąc
różnych koszmarów
i zwidzeń; niech to, co teraz mówię, będzie wam przestrogą, abyście się, panie, nie
oddalali nigdy ode mnie choćby na cal
nawet.

- Niech będzie - rzekł Rycerz Smętnego Oblicza
- bardzom rad, że nabierasz ducha z mego męstwa,
które cię nigdy nie zawiedzie, choćby ci w ciele
całkiem ducha

151 brakło. Pójdź teraz za mną krok w krok, jak

zdołasz, a oczy niech ci za latarnie słu-

żą, okrązymy ten pagórek, może spotkamy człowieka, którego
widzieliśmy, a który bez wątpienia jest właścicielem naszej zdobyczy.
Na to Sanczo zauważył:

- O wiele lepiej byłoby go nie szukać, jeśli go bowiem
znajdziemy, a trafunkiem okaże się właścicielem pieniędzy,
jasne jest, że trzeba będzie mu je zwrócić; byłoby lepiej więc,
nie okazując tego niepotrzebnego pośpiechu, zatrzymać je w
dobrej wierze, póki na innej drodze, mniej niezwykłej i mniej
naglej, nie zjawi się ich prawdziwy właściciel, być może do
tego czasu wydam je, a wówczas król mię zwolni.

- Mylisz się, Sanczo, w tym - odpowiedział Don Kichote
- skoro już powzięliśmy przypuszczenie, kto jest ich
właścicielem, jesteśmy obowiązani szukać go i zwrócić mu to,
a choćbyśmy go nie szukali, silne podejrzenie, że wiemy, kto
jest właścicielem, obarczy nas taką winą, jakby to on nim był
rzeczywiście. Tak więc, przyjacielu Sanczo, nie martw się, że
go szukamy, gdyż co do mnie, wielki ciężar spadnie mi z
barków, kiedy go znajdziemy.

To mówiąc spiął Rosynanta, zaś Sanczo szedł za
nim pieszo, objuczony z łaski Ginesilla de
Pasamonte. Okrążywszy część góry, znaleźli nad

Don Kichote - Miguel Cervantez

brzegiem strumienia leżącego zdechłego muła
na pół zjedzonego przez psy i rozdziobanego
przez wro-

ny, osiodłanego i z uzdą; wszystko to utwierdziło w nich podejrzenie, że uciekający przed nimi był właścicielem muła i poduszki.

Kiedy zatrzymali się, aby się przypatrzeć padlinie, usłyszeli nagle gwizd jak-by pasterza strzegącego trzód i w tej chwili na lewo ukazała się znaczna liczba kóz, a za nimi na szczycie góry pasterz ich, człek

już w podeszłym wieku. Don Kichote

zawałał nań, prosząc, aby zszedł ku nim; ten odpowiedział krzykiem, zapytując, co ich sprowadziło w te strony, gdzie rzadko albo wcale nie spotyka się śladów innych stóp niż kóz lub wilków czy innych dzikich zwierząt tamtej błądzących. Na to

Sanczo odparł, żeby zeszedł, a wówczas wszystko dokładnie opowiedzą. Koziarz spuścił się na dół i zbliżywszy się do Don Kichota, rzekł: - Założybym się, że przypatrujecie się najemnemu mułowi, który w tym dole zdechł, a na dobre leży już tak od sześciu miesięcy. Powiedziecie, czy nie spotkali- scie tu gdzie jego właściciela?

- Nie spotkaliśmy nikogo - odpowiedział Don Kichote - znaleźliśmy tylko poduszkę i sepecik leżące oponal.
- Ja również je znalazłem - odpowiedział koziarz - ale nie chciałem ich pod- nosić ani nawet zbliżać się z obawy jakiegoś podstępu, aby mię o kradzież nie mogli posądzić; diabeł bowiem jest chytry i spod nóg czasem wstaje komuś, kto się o nie- go potyka i przewraca, nie wiedząc skąd i jak.
- Otóż i ja tak mówię - odparł Sanczo - ja również to znalazłem, ale nie chcia- łem się na rzut kamienia zbliżyć, zostawiłem tam, leży, jak leżało, gdyż nie szukam psa z dzwonkiem.

- Powiedzcie mi, zacny człowiek - zapytał Don Kichote - czy nie wiecie, kto może być właścicielem tych rzeczy?
152

- Wszystko, co mogę o tym powiedzieć - rzekł koziarz — to, że mniej więcej sześć miesięcy temu przybył do szalału pasterskiego, odległego stąd o przeszło trzy mile, pewien młodzieniec urodziwy i pięknej postawy, jadący na tym samym mule, który tu martwy leży, z tą samą poduszką i sepecikiem, które -jak mówicie - zna- leźliście i nie ruszali. Pytał nas o najdzikszą i najtrudniej dostępną część tych gór. Odpowiedzieliśmy, że właśnie to miejsce, gdzie obecnie jesteśmy, bo tak jest na- prawdę; jeżeli bowiem jeszcze pół mili w głąb pojedziecie, może nie zdołacie wyjść stamtąd, i dziwię się, jak mogliście aż tutaj się dostać, nie ma bowiem ani drogi, ani ścieżki, która do tego miejsca wiedzie. Powiadam więc, że ów młodzieniec, usły- szawszy naszą odpowiedź, zwrócił i pojechał w kierunku przez nas wskazanym, zostawiając nas oczarowanych jego piękną postacią, zdumionych jego pytaniami i pośpiechem, z jakim widzieliśmy, że zwrócił i puścił się w góry; odtąd nigdyśmy go już nie ujrzelii, aż przed kilkoma dniami zaszedł drogę jednemu z naszych paste- rzy i bez słowa rzucił się na niego, zadając mu liczne razy i kopniaki, po czym pod- szedł do jucznej oślicy i zabrał cały chleb i ser, jaki niosła; dokonawszy tego, z nadzwyczajną lekkością zwrócił ukryć się w górach. Kiedyśmy się o tym dowie- dzieli, w kilku koziarzy wybraliśmy się szukać go prawie przez dwa dni w tych najtajniejszych ostępach gór, w końcu znaleźliśmy go ukrytego w dziupli wielkie- go i potężnego dębu korkowego. Wyszedł ku nam z wielką uprzejmością, szaty miał podarte, twarz zmienioną i spaloną od słońca, tak że ledwie mogliśmy go poznać, gdyby nam szaty, choć poszarpane, ale które zapamiętaliśmy, nie dowiodły, że

Don Kichote - Miguel Cervantez

był to właśnie ten, którego szukaliśmy. Pozdrowił nas grzecznie i w krótkich, lecz wy- mownych słowach prosił, abyśmy się nie dziwili, widząc go w tym stanie, tak mu bowiem właśnie postępować przychodzi, aby dopełnić pewnej pokuty, jaką nałożył sobie za swe ciężkie grzechy. Prosiliśmy go, aby powiedział nam, kim jest, ale nie mogliśmy w żaden sposób tego uzyskać. Prosiliśmy również, aby kiedy będzie potrzebował żywności, bez której obejść się nie może, powiedział nam, gdzie by- śmy go znaleźć mogli, bowiem bardzo serdecznie i chętnie przyniesiemy mu; a je- śliby to nie było po jego myсли, niech przynajmniej przyjdzie o nią prosić, a nie wydziera jej naszym pasterzom. Podziękował nam za gotowość, przeprosił za gwałt ubiegły i przyczekł, że odtąd o potrzebne rzeczy prosić będzie dla miłości Bożej, nikomu nie wyrządzając przykrości. Co się tyczy miejsca jego schronu, powiedział, że nie ma innego krom tego, który nadarzy się przy nadaniu nocy; zakończył swą przemowę tak gorzkim płaczem, że bylibyśmy z kamienia, gdybyśmy słuchając go, nie zapłakali również, pomnąc, w jakim stanie ujrzaliśmy go po raz pierwszy, a jak zobaczyliśmy go obecnie. Był to bowiem, jak rzekłem, bardzo miły i wdzięczny młodzieniec, jego grzeczne i rozumne słowa wskazywały dobrze urodzoną i dwor- ną osobę. Bo choć my, którzy go słuchaliśmy, byliśmy prostakami, jego uprzejmość była tak wielka, że nawet prostakom poznać się dawała. Nagle w toku rozmowy przerwał i oniemał; oczy wbił w ziemię na dobrą chwilę, a my wszyscy staliśmy milcząc, w napięciu czekając, do czego doprowadzi jego zapamiętanie, patrząc nań z wielkim współczuciem, gdyż wnosząc z tego, co czynił, wytrzeszczając oczy lub nieruchomo patrząc w ziemię długo i bez drgnienia powiek, to znów zamykając oczy, zaciskając wargi, marszcząc brwi, z łatwością poznaliśmy, że napadł go atak sza153

Don Kichote - Miguel Cervantez

leństwa. On zaś rychło nas przekonał, że to nasze mniemanie było słuszne, pod- niósł się bowiem gwałtownie z ziemi, na którą się był rzucił, napadł na pierwszego z brzegu z taką siłą i wściekłością, że gdybyśmy go za ręce nie chwycili, zabiłby go razami pięści i rozszarpał zębami. Wszystko to czynił, wołając:

„Ach, zdradziecki

Fernando! Tu, tu zapłacisz wyrządzoną mi krzywdę, te ręce wydrą ci serce, w ktorym mieszkają i gnieźdzą się wszelkie nieprawości pospołu, osobliwie zaś fałsz i obłuda!". Do tego dorzucił jeszcze inne słowa, wszystkie złorzeczące Fernando- wi, traktujące go jako zdrajcę i oszusta. Oderwaliśmy go wreszcie, choć z trudem niemałym, zaś on, już teraz bez słowa, oddalił się od nas i pobiegł skryć się pośród wrzosowisk i cierni, tak że niemożliwością było go ścigać. To przekonało nas, iż od czasu do czasu chwytał go szal i że ktoś, zwany Fernando, wyrządził mu jakąś wielką krzywdę, tak ciężką, jak na to wskazywał stan, do jakiego go doprowadziła. To wszystko zostało jeszcze nieraz potwierdzone od tego czasu, kiedy to wypadał na drogę, raz, aby prosić pasterzy o jakieś pożywienie, innym razem, aby im siłą je wydrzeć; kiedy bowiem napada go szal, to choć pasterze dają mu po dobrej woli, nie przyjmuje, lecz wydziera je, bijąc pięściami; kiedy zaś jest przy zmysłach, prosi ich przez miłość Boga, grzecznie i uczciwie, i dziękuje im gorąco ze łzami w oczach. I powiem wam prawdę, panowie - ciągnął dalej koziarz - że postanowiliśmy, ja i czterech juhasów, dwóch pachołków i dwóch mych przyjaciół, szukać go, póki nie znajdziemy, a znalazłyśmy, czy to siłą, czy po dobrej woli, zabrać go do miasta Almodóvar, odległego stąd o osiem mil, i tam leczyć, jeśli cierpienie jego jest uleczalne, a przynajmniej dowiemy się w chwili jego przytomności, kim jest i czy ma krewnych, których

by o jego nieszczęściu powiadomić można. Oto, panowie, co odpowiedzieć mogę na wasze pytanie; wiedziecie, że właścicielem rzeczy przez was znalezionych jest ten sam nagi człowiek, którego ujrzaście przebiegającego z taką lekkością. Don Kichote bowiem już był pasterzowi powiedział, iż widział w przelocie jakiegoś człowieka skaczącego po górach. Teraz stał zdumiony bardzo tym, co od koziarza usłyszał, i jeszcze bardziej zapragnął dowiedzieć się, kim był ów nieszczęsny szaleniec, postanowił więc, o czym sam był już przedtem zamyślał: szukać go po wszystkich górach, przetrząsając każdy zakątek i każdą pieczarę aż do skutku. Jednak traf zdarzył lepiej, niż myślał albo oczekiwał, w tej samej bowiem chwili w wąwozie wychodzącym na miejsce, gdzie stali, ukazał się młodzieniec, którego szukali; szedł, mrucząc coś do siebie, czego nie można by zrozumieć z bliska, a cóż dopiero z daleka. Odzienie jego było takie, jak opisano, tylko kiedy był blisko, Don

Kichote zauważył, że jego podarty kolet1 był nasycony ambrą, a to go do reszty przekonało, że osoba taką odzież noszącą nie mogła być niskiego stanu. Młodzieniec, zbliżywszy się do nich, pozdrowił ich głosem szorstkim i ochry-

płym, ale bardzo dwornie. Don Kichote odpowiedział z nie mniejszą uprzejmością i zsiadłszy z Rosynanta, zgrabnie i wdzięcznie, objął go i trzymał dobrą chwilę w uścisku ramion, jakby go znał od dawna. Tamten, którego możemy zwać Obdar-

tusem Nieszczęsnego Oblicza (tak jak Don Kichota Rycerzem Smętnego Oblicza), kolet- wywijany kołnierz w dawnych strojach.

Don Kichote - Miguel Cervantez

pozwoliwszy się uścisnąć, odsunął go nieco od siebie i położywszy mu ręce na ramiona, przyglądał mu się, jakby chciał przekonać się, czy go zna, nie mniej zdziwiony widokiem oblicza, postaci i uzbrojenia Don Kichota niż Don Kichote jego wyglądem. W końcu pierwszy odezwał się obdartus i rzekł, co opowiem niżej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

I oto Dalszy ciąg przygody w Sierra Morena "powiada historia, że Don Kichote słuchał z największą uwagą mizeraka Rycerza Góra, który tak ciągnął swą opowieść:

- Zaiste, panie, kimkolwiek bylibyście, nie znam was bowiem, dziękuję wam za dowody dworności, z jaką wobec mnie postąpiliście, i chciałbym mieć sposobność z równą gotowością wam służyć, jaką wobec mnie okazaliście, i odwdzięczyć się wam za życzliwe wasze przyjęcie, lecz obawiam się, że mój los nie pozwoli mi za wasze zacne uczynki odpłacić inaczej, jak tylko dobrymi chęciami.

- Moim pragnieniem - odpowiedział Don Kichote - jest służyć wam, tak że postanowiłem nie opuścić tych gór, póki was nie odnajdę i nie dowiem się, czy na boleść, jakiej dowody w tak niezwykłym sposobie życia dajecie, nie można by znać jakiegoś lekarstwa. Jeśli byłoby trzeba za nim szukać, nie szczędziłbym trudów, aby je znaleźć. A jeśli wasze nieszczęście było z rzędu tych, które drzwi zatrzasnęły przed wszelką pociechą, chciałbym ulżyć wam, ile sił mi starczy, płacząc i skarżąc się z wami pospolu, pociechą bowiem w nieszczęściu jest znaleźć wspólnego czucie. A jeśli te dobre zamiary zasługują na wdzięczność i na pewnego rodzaju uprzejmość, błagam was, panie, na wielką dworność, jaka snadź w was mieszka, i zarazem zaklinam was na to, co w życiu najbardziej miłowaliście

Don Kichote - Miguel Cervantez

lub miłujecie, powiedziecie mi, kto jesteście i jaka przyczyna przywiodła was do życia i konania jak dziki zwierz w takich pustaciach, gdyż życie tu pośród nich wyzuty z własnej istoty, jak na to wskazują wasze szaty i wasza osoba. Przysięgam - dodał Don Ki- chote - na prawo rycerskie, które przyjąłem, jakkolwiek niegodny i grzeszny, i na powołanie błędnego rycerza, jakim jestem, że jeśli mię w tym zaspokoicie, panie, służyć wam będę z tak dobrą wolą i tak szczerze, jak mi godność moja każe, czy to starając się złagodzić wasze cierpienie, jeśli lek się znajdzie, czy to pomagając je opłakiwać, jak wam przyrzekłem. Rycerz Lasu, słuchając tego przemówienia Rycerza Smętnego Oblicza, nie spuszczał zeń oczu, wpatrywał się weń i mierzył go od stóp do głowy; w końcu dobrze mu się przyjrzał, rzekł:

- Jeżeli macie coś do zjedzenia, na miłość boską, dajcie mi; podjadłszy, uczy- nię wszystko, czego żądacie, z wdzięczności za tyle zacnej gotowości, jaką mi oka- zaliście. 155

Natychmiast Sanczo ze swego worka, zaś owczarz ze swego chlebaka wydo- byli żywność, aby obdartus zaspokoił głód; jadł, co mu dali, jakby w uniesieniu, a z takim pośpiechem, że zanim połknął jeden kawałek, już drugi wpychał; raczej je pochłaniał, niż połykał; w czasie, gdy jadł, ani on, ani patrzący nań nie rzekli ni sło- wa. Kiedy jeść skończył, dał im znak, aby za nim poszli, i zaprowadził ich na zielo- ną łączkę leżącą opodal pod skałami. Przybywszy tam, położył się na ziemi wśród traw, inni też poszli za jego przykładem, wszystko to odbyło się w milczeniu; wresz- cie obdartus, poprawiwszy się na swym legowisku, przemówił: - Jeżeli chcecie, panowie, abym wam w krótkich słowach opowiedział ogrom moich nieszczęścia, musicie mi przyrzec, że żadnym zapytaniem ani w inny sposób nie przerwiecie wątku mej smutnej historii, gdyż w przeciwnym razie w tym oka- mgnieniu przerwę moją

Don Kichote - Miguel Cervantez

opowieść. Te słowa obdarta przymioty Don Kichotowi na pamięć gadkę opowiadana mu przez jego giermka, kiedy to nie zdołał zapamiętać liczby kóz przeprawionych przez rzekę i historia się urwała. Tymczasem obdartus mówił dalej: - Czynię to ostrzeżenie, bo chcę jak najrychlej skończyć opowieść o mej niedoli; kiedy bowiem na myśl ją przywodzę, nową bolesć sobie jedynie przyczynam, im mniej mię pytać będziecie, tym przedżej skończę, co mam powiedzieć, lecz nie opuszczę żadnego ważnego szczegółu, aby całkowicie życzenie wasze spełnić.

Don Kichote przyobiecał to w imieniu pozostałych, zaś on po tym zapewnie- niu zaczął w ten sposób: - Imię moje jest Kardenio, ojczyną jedno z najzaczniejszych miast Andaluzji;

pochodzę ze szlacheckiego rodu, rodziców mam bogatych; niedola ma tak wielka, że musieli ją opłakać - i oni, i cały ród musiał współczuć ze mną, nie mogąc w ni- czym pomóc mi majątkiem; aby zaradzić niebu nieprzychylności, nie na wiele bo- gactwa się zdadzą. W tym samym mieście mieszkał anioł niebieski uposażony przez miłość całą chwałą, jakiej bym mógł zapragnąć. Taką jest piękność Lucyndy, dziewczyny której mi szlachectwem i majątkiem; miała ona więcej szczęścia ode mnie, ale mniej stałości należnej moim zacnym zamysłom. Tę Lucyndę kochałem, pragnąłem jej, uwielbiałem ją od mych najpierwszych i najmłodszych lat; i ona mię kochała szczerze i serdecznie, jak na to jej młody wiek pozwalał. Rodzice nasi wie- dzieli o naszych skłonnościach i nie byli im przeciwni, widzieli bowiem, że gdy się rozwiną, muszą się zakończyć małżeństwem, które

równość urodzenia i majątku czyniła stosownym. Czas upływał, a wraz z nim wzrastała nasza wzajemna miłość, tak że ojciec Lucyndy uważały za stosowne, dla przystojności, zabronić mi wstępu do swego domu, jakby naśladowując w tym rodziców owej Tysbe, tylekroć przez poe- tów opiewanej. Ta odmowa dodała ogień do ognia, tęsknotę do tęsknoty, bo chociaż narzuciła ona językom milczenie, nie mogła nakazać go piórom, które z większą swobodą niż języki zwykłe dawały do zrozumienia, komu chcąc, to, co zamknięte jest w duszy; nierzaz obecność istoty ukochanej miesza i milknąć każe najbardziej stanow- czym uczuciom i najbliższym językom. O nieba! Ileż listów do niej napisałem! Wiele słodkich i szlachetnych odpowiedzi odebrałem! Ileż pieśni ułożyłem, wiele miłosnych wierszy, w których dusza oświadczała i wykładała swe uczucia, malowała swe płomienne pragnienia, ożywiała wspomnienia i radowała wolę! Wreszcie

156

doprowadzony do ostateczności, kiedy dusza moja trawiła się żądzą oglądania jej, postanowiłem w czyn wprowadzić i dokonać w końcu tego, co zdawało mi się naj- stosowniejsze, by uzyskać upragnioną i zasłużoną nagrodę; zwrócić się mianowi- cie do jej ojca z prośbą, aby mi ją dał za

prawowitą małżonkę. Uczyniłem tak, na co on odpowiedział, że wdzięczny mi jest za chęć okazania czci i że pragnie mieć za- szczczyć swą ukochaną córką; uważa wszelako, że ponieważ ojciec mój żyje, jemu to słusznie przystoi występować z taką prośbą; gdyby bowiem nie było to z jego wolą chęcią zgodne, Lucynda nie

Don Kichote - Miguel Cervantez

jest kobietą, którą można pojąć lub oddać ukradkiem za żonę. Podziękowałem mu za dobre chęci, zdawało mi się, że słowa jego były słuszne; przekonany, że mój rodziniec zgodzi się na to, natychmiast udałem się doń, by mu przedłożyć, czego pragnę; kiedy wszedłem do komnaty, zastałem go z listem otwartym w ręku i zanim zdążyłem słowo przemówić, podał mi ów list i odezwał się: „Z listu tego dowiesz się, Kardenio, jaką łaskę chce ci książę Ryszard wyświadczyć”. Ten książę Ryszard, jak wy, panowie, musicie wiedzieć, jest jednym z grandów Hiszpanii, który ma posiadłości w najżyźniejszej części tej stro- nie Andaluzji. Wziąłem list i przeczytałem go; był tak nalegający, że mnie samemu zdawało się niepodobieństwem, aby ojciec mógł uchylić się od spełnienia prośby w nim zawartej. Chodziło o to, abym co rychlej udał się do miejsca jego pobytu, gdyż życzył sobie widzieć we mnie towarzysza, nie sługę, swego starszego syna, on zaś bierze na siebie troskę o nadanie mi stanowiska odpowiedniego szacunkowi, jaki dla mnie żywi. Przeczytawszy ten list, zaniemówiłem, a jeszcze bardziej, kiedy ojciec rzekł: „Kardenio, wyjedziesz stąd do dwóch dni zgodnie z wolą księcia, i dzię- kuj Bogu, że otwiera się przed tobą droga do osiągnięcia tego, na co - moim zdaniem - zasługujesz”. Dodał jeszcze kilka słów rad ojcowskich. Nadchodził dzień mego wyjazdu. Pewnej nocy rozmawiałem z Lucyndą, opowiedziałem jej wszystko, co zaszło, powtórzyłem to jej ojcu, błagając go, aby przez jakiś czas zwlekał i nie rozporządzał jej losem, póki się nie dowiem, czego książę Ryszard chce ode mnie.

On mi to przyrzekł, ona zaś potwierdziła tysiącem przysiąg i tysiącem omdleń. Udałem się wreszcie tam, gdzie książę Ryszard przebywał. Zo- stałem przezeń przyjęty tak życzliwie i łaskawie, iż od razu wzbudziło to zazdrość u dawnych dworzan, którym wydawało się, że dowody łaskawości, jakich mi książę Ryszard nie oszczędził, były z ich uszczerbkiem. Ale najbardziej rad z mego przyby- cia był drugi syn księcia, imieniem Fernando, młodzian wesoły, grzeczny, przystępny i serdeczny, który niebawem taką przyjaźnią ku mnie zapałał, że wszyscy o tym mówili; i choć starszy lubił mnie bardzo i był dla mnie wielce łaskawy, nie dorównał to uczuciu, jakie żywiał dla mnie Fernando i z jakim mię traktował. Otóż, jak to bywa, że między przyjaciółmi tajemnic nie ma, kiedy zażyłość moja z Fernandem zmieniła się w przyjaźń, wyjawił mi on wszystkie swe tajne myśli, a zwłaszcza miłość, która go dręczyła. Zakochał się gorąco w wieśniaczce, poddiance swego ojca, bardzo bogatej, a tak pięknej, mądrzej, skromnej i uczciwej, że nikt, kto ją znał, roz- strzygnąć nie umiał, w którym z tych przymiotów była doskonalsza i w którym ce- lowała. Te przymioty pięknej wieśniaczki tak rozpaliły pragnienie Don Fernanda, że by zdobyć ją i cnotę jej zwyciężyć, postanowił dać jej słowo, iż ją poślubi; ina- czej bowiem nie byłby swego dopiął. Z obowiązku przyjaźni, najshusznieszymi

najwymowniejsze przykłady. Widząc jednak, że to nie pomaga, postanowiłem powiedzieć wszystko księciu Ryszardowi, jego ojcu; ale Don Fernando, domyślny i sprytny, przeniknął mnie i przestraszył się, mniemając, że obowiązany byłem, jako dobry dworzanin, wyjawić rzecz, która mogła przynieść uszczerbek czci mego pana i księcia; a więc, aby odwrócić uwagę moją i oszukać, rzekł mi, że nie znajduje lepszego środka na oderwanie swej pamięci od piękności, która go tak opętała, jak oddalić się na kilka miesięcy, i pragnie, abyśmy w czasie tej nieobecności udali się do mego ojca pod pozorem, wobec księcia, podróży w celu wyboru i zakupu kilku znakomitych koni, z jakich słynie moje miasto, będące ojczyną najlepszych koni na świecie. Zaledwie usłyszałem te słowa, to choć zamierzenie jego nie było najlepsze, pod wpływem uczucia mego przyklaśniłem jako najpewniej- szemu, jakie można było wymyślić; nadarzała się bowiem dobra sposobność i do- godność ujrzenia znów mej Lucyndy. W tej myсли i chęci zgodziłem się na jego plan i utwierdziłem go w tym zamiarze, radząc, aby przeprowadził to jak najrychlej, bowiem rzeczywiście oddalenie robi swoje wbrew najsilniejszym uczuciom. Ale wówczas, kiedy on mi to mówił, jak się potem dowiedziałem, cieszył się już wdziękami wieśniaczki z tytułu praw męża i czekał na sposobność bezkarnego wyjawienia tego, lękając się, co pocznie książę ojciec, kiedy dowie się o jego szaleństwie. Zdarzyło się, jako że u młodych najczęściej miłość nie jest miłością, lecz żądzą, która na celu mając jedynie rozkosz, kiedy osiągnie ją, gaśnie

Don Kichote - Miguel Cervantez

(i to, co zdawało się miłością, za- wraca, nie mogąc przekroczyć granicy, jaką natura położyła, która to granica praw- dziwej miłości nie stoi na zawadzie), chcę rzec, że kiedy Don Fernando nacieszył się wieśniaczką, żądze jego uspokoiły się, a starania ochłodły. Jeśli dawniej uda- wał, że chce się oddalić, aby zapomnieć, teraz rzeczywiście chciał odjechać, aby przyrzeczenia nie spełnić. Książę dał pozwolenie i polecił mi towarzyszyć mu. Przy- byliśmy do mego miasta, ojciec przyjął Fernanda stosownie do jego stanu, ja na- tychmiast pobiegłem do Lucyndy; na nowo kochanie me odżyło (choć nigdy nie

zamarło ani nie osłabło). Na me nieszczęście powiedziałem o wszystkim Don Fer- nandowi, zdawało mi się bowiem, że wedle praw wielkiej przyjaźni, jaką mi okazy- wał, nie powiniensem mu niczego ukrywać. Wysławiałem piękność, wdzięk i rozum Lucyndy tak wymownie, że moje pochwały obudziły w nim pragnienie poznania dziewczyny takimi przymiotami zdobnej. Spełniłem to życzenie na moją niedolę i pokazałem mu ją pewnej nocy przy blasku pochodni, w oknie, przy którym zwy- kliśmy byli rozmawiać. Ujrzał ją w obcisłej szacie, tak piękną, że zapomniał o wszyst- kich pięknościach dotąd widzianych. Oniemiał, postradał przytomność, stał zachwy- cony, w końcu tak się rozmiłował, jak dowiecie się z dalszego opowiadania o moim nieszczęściu. Traf chciał, na tym większe rozpalenie jego żądzy (która ukrywał

przede mną i niebu jedynie w samotności odsłaniał), iż znalazł pewnego dnia bile- cik jej, w którym mię nagliła, abym prosił ojca ojej rękę;

bilecik tak rozumny, tak przystojny, a tak pełen miłości, że czytając, orzekł, iż w jednej Lucyndzie zamieszczą się wszystkie wdzięki piękności i rozumu, jakie między inne niewiasty na świecie są rozdzielone. Prawdę jest, co chcę dziś wyznać, że choć wiedziałem, jak słusznie Don Fernando Lucyndę wysławia, nie było mi miło słuchać owych pochwał z jego ust, zaczynałem się lękać i mieć się na baczości, bowiem bezustannie chciał ze mną

158

mówić o Lucyndzie i tak kierował rozmowę, nawet ciągnąc ją za włosy, że obudził to we mnie coś na kształt zazdrości, choć nie lękałem się żadnej zmiany wżyczliwości i wierności Lucyndy; pomimo to los mój kazał mi drżeć o to, o czym ona mnie zapewniała. Don Fernando starał się zawsze czytywać listy, jakie wysyłałem do Lucyndy, i jej odpowiedzi, pod pozorem, że rozum, jaki w nich przebijał, wielkie zadowolenie mu sprawiał. Zdarzyło się, że Lucynda poprosiła mnie o książkę rycerską do czytania, książkę, którą bardzo lubiła, a był to Amadis z Galii.

Zaledwie Don Kichote usłyszał wymienioną powieść rycerską, odezwał się:

- Gdybyście mi, wasza miłość, na początku powiedzieli, że jej dostońność pani Lucynda w książętach rycerskich się miłowała, nie potrzeba byłoby innych uniesień,

aby poznać wysokość jej rozumu, ani byłby on tak wielki, jak wy, panie, odmawaliście, gdyby brakło jej upodobania w tak smakowitej lekturze. Przeto nie potrzeba już więcej słów, aby objawić mi jej piękność, cnotę i rozum; znając bowiem jej

Don Kichote - Miguel Cervantez

zamiłowania, stwierdzam, że jest najpiękniejszą i najmądrzejszą z niewiast na tym świecie. I chciałbym, panie, abyście jej wasza miłość posłali byli, wraz z Ama- disem z Galii również zacnego Don Rogera z Grecji, podobałaby się bowiem pani Lucyndzie bardziej historia Daraidy i Garaja oraz przemyślności pasterza Darinela, podobnie jak wspaniałe wiersze jego sielanek, śpiewane i odgrywane przezeń z takim wdziękiem, rozumem i swobodą. Ale może przyjdzie czas, aby ten błąd naprawić i rychło by można temu zadośćuczynić, jeśli wasza miłość zechciał łaskawie udać się ze mną do mej wioski; tam będę mógł wam dać ponad trzysta książek, które są rozkoszą mej duszy i podporą mego życia, choć na myśl mi przychodzi, że obecnie już nie mam żadnej, dzięki złośliwości złych i zawiistnych czarowników. Wybacacie mi, wasza miłość, że złamałem swe przyrzeczenie i przerwał waszą przemowę, lecz kiedy słyszę o sprawach rycerskich i błędnych rycerzach, niemożliwą jest rzeczą, abym o nich nie mówił, jak niemożliwe jest, aby promienie słońca grzać przestały, a księżyce wilgoć rozsiewać. Przebaccie mi więc i mówcie dalej, co jest teraz rzeczą najważniejszą. Kiedy Don Kichote to mówił, Kardenio opuścił głowę na piersi, wydając się głęboko zamyślonym, i choć Don Kichote dwakroć powtarzał, aby dalej ciągnął swą

historię, ani głowy nie podnosił, ani słowa nie odpowiedział, wreszcie po upływie dobrej chwili podniósł się i mówił:

- Nie opuszcza mnie myśl i nie masz takiego na świecie, kto by mi ją wybił z głowy ani kto by mnie przekonał (a niecnota tylko myślałby i sądził

Don Kichote - Miguel Cervantez

inaczej), że ten szelma mistrz Elisabat zadawał się z królową Madasimą.
- Co to, to nie! Na Boga! - przerwał Don Kichote z wielkim gniewem (za-klawszy, jak to miał w zwyczaju). - Jest to wielka złośliwość, a raczej grubiaństwo, królowa Madasima była bardzo dostojną panią i nie można przypuścić, aby tak wielka księżna zadawała się z jakimś cyrulikiem; kto inaczej twierdzi, kłamie jak najwięk- szy łajdak! Gotów jestem mu tego dowieść pieszo czy konno, zbrojnie czy bez bro- ni, w dzień i w nocy, jak mu się spodoba.

Kardenio przyglądał mu się bacznie, przyszedł nań bowiem już atak szaleń- stwa i nie był w stanie ciągnąć dalej swej historii; zresztą również Don Kichote nie byłby w stanie jej słuchać, powziąwszy ku niemu wstręt po tym, co usłyszał o kró- lowej Madasimie. Dziwna rzecz, stanął za nią tak gorąco, jakby naprawdę jego 159

własną panią była; taki był wpływ przeklętych ksiąg. Mówię więc, że kiedy Karde- nia ogarnął szal i usłyszał, iż wymyślają mu od kłamców i łajdaków oraz inne po- dobne obelgi miotają, źle żart przyjął, podniósł kamień, który opodal znalazł, i grzmotnął nim z taką siłą w piersi Don Kichota, że powalił go na plecy. Sanczo Pansa, widząc, jak się obeszli z jego panem, rzucił się na szaleńca z zaciśniętymi pięściami, lecz obdartus tak go przyjął, że jednym uderzeniem pięści zwalił go do stóp, po czym wskoczył nań i jak umiał, gniótł mu żebra. Koziarz, który chciał bro- nić, naraził się na to samo niebezpieczeństwo. Wymłociwszy i natłukłszy wszyst- kich, szaleniec zostawił ich i spokojnie odszedł ukryć się w górach. Sanczo pod- niósł się wściekły, że go tak niezasłużenie poturbowano, pobiegł zemścić się na koziarzu, mówiąc, że to on wszystkiemu winien, bowiem nie ostrzegł ich, że czło- wieka tego napada od czasu do czasu atak szalu; gdyby o tym wiedzieli, byliby się mieli na bacznosci, aby się ustrzec. Koziarz odparł, że przecie to mówił, i jeśli go nie usłuchali, nie jego wina. Sanczo Pansa przemówił, koziarz odpowiedział, aż wreszcie

Don Kichote - Miguel Cervantez

przy tej utarczce chwycili się za brody i zaczęli się tak okładać pięściami, że gdyby Don Kichote ich nie uspokoił, byliby się podarli w kawały. Sanczo, trzy- mając koziarza, wrzeszczał: - Ostawcie mię, jegomość, panie Rycerzu Smętnego Oblicza; ten człek jest prostakiem jak ja i nie jest pasowany na rycerza, mogę bezpiecznie pomścić się za krzywdę, jaką mi wyrządził, potykając się w równej walce, jak człowiekowi uczci- wemu przystało.

— Tak jest — rzekł Don Kichote — ale wiem, że nie ponosi on żadnej winy za to, co się stało. Tak uspokoił ich Don Kichote i znów zaczął wypytywać koziarza, gdzie moż- na by odszukać Kardenia, gdyż pałał wielkim pragnieniem, aby się dowiedzieć końca jego historii. Koziarz mówił, podobnie jak pierwej, że nic pewnego nie wie o jego schronieniu, ale jeśli dłużej w tych stronach się zatrzyma, na pewno go spotka albo przy zdrowych zmysłach, albo w szale.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

opowiada o dziwnych sprawach, jakie przydarzyły się dzielnemu rycerzowi z Manczy w Sierra Morena, oraz o tym, jak naśladował pokutę Pięknego Smętka

Don Kichote pożegnał się z koziarzem i wsiadłszy znów na Rosynanta, po- lecił Sanczowi podążać za sobą, co ten uczynił bardzo niechętnie na swym osle. Coraz dalej zapuszczali się w najgłębsze góry, a Sanczo umierał z chęci ugwarzenia z panem, lecz oczekiwał, by ten zaczął rozmowę, nie chcąc przekroczyć jego zaka- zu; ale nie mogąc wytrzymać już dłuższego milczenia, rzekł: 160

- Panie Don Kichocie, niech mi wasza miłość da błogosławieństwo i odprawę, gdyż chcę bez zwłoki wracać do domu, do mej żony i do moich dzieci, z którymi przynajmniej mogę gadać i kłócić się do woli; chcieć bowiem, abym z jegomością dążył przez te pustacie dzień i noc bez słowa, kiedy mam ochotę gadać, to znaczy żywcemmię

Don Kichote - Miguel Cervantez

pogrzebać. Gdyby los chciał, żeby zwierzęta gadały, jak mówiły za czasów Hyzopal, nie byłoby tak źle, gdyż ugwarzyłbym z mym osłem, kiedy bym miał ochotę, i od razu lżej by mi zły czas przeszedł. Przykra to rzecz i trudno ją cierpliwie znosić, tak błędzić całe życie, poszukując przygód, a znajdować tylko kopniaki, podrzucania, kamienowanie i kułaki, a przy tym wszystkim gębę mieć zaszytą, nie śmiejąc rzec tego, co czeka w sercu nosi, jakbym był niemy. - Już ja cię pojałem, Sanczo - odpowiedział Don Kichote. - Umierasz z pragnienia, abym odwołał zakaz dany twemu językowi. Niech tak będzie, gadaj, co chcesz, pod warunkiem, że to pozwolenie będzie trwało jedynie, póki w tych górnach przebywać będziemy.

- A niech tak będzie - rzekł Sanczo - nagadam się teraz, bo Bóg wie, co się później stanie. I zaczynając od razu korzystać z tego zezwolenia, pytam: cóż jego mości zależało tak bardzo na tej królowej Magimasie, czy jak tam się nazywa? I co was obchodziło, czy ów Abad był jej kochankiem, czy nie? Gdybyście, jegomość, to mimo uszu puścili, nie będąc jego sędzią, myślę zaiste, że szaleniec byłby dalej swą historię opowiadał, a my oszczędzilibyśmy sobie owych razów kamieniami, kopniaków i ponad sześć policzków.

- Dalibóg, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - gdybyś wiedział tak jak ja, jak dostojną i jak wielką panią była królowa Madasima, wiem, że przyznałbyś, iż byłem aż nadto cierpliwy, nie uszkodziwszy gęby, z której podobne bluźnierstwa wyskoczyły. Wielkie to bowiem bluźnierstwo mówić czy myśleć, że królowa mogła być miłośnicą cyrulika. Prawdę jest w tej historii, że ów mistrz Elisabat, o którym szaleniec mówił, był bardzo mądrym mężem, doskonałym doradcą, był

Don Kichote - Miguel Cervantez

on nauczycielem i medykiem królowej; ale myśleć, iż była jego kochanką, to głupstwo zasługujące na wielką karę. I abyś przekonał się, że Kardenio nie wiedział, co ga- dał, zważ, że kiedy to mówił, już był pozbawion rozumu. - Otóż właśnie to mówię - rzekł Sanczo - nie należy zważyć na gadanie sza-

lonego; gdyby bowiem traf szczęśliwy jegomości nie pomógł, lecz skierował owo uderzenie w głowę, a nie w piersi, pięknie bylibyśmy wyszli na obronie tej pani, niech ją Bóg pohańbi. A potem, czyż Kardenio, jako szaleniec, nie wyszedłby z tego cało?

- Przeciw zdrowym na umyśle, jak przeciw szaleńcom każdy rycerz błędny jest obowiązany bronić czci kobiet, kimkolwiek byłyby, a tym bardziej królowych tak wysokiego rodu i zasług, jaką była królowa Madasima, dla której żywień szcze- gólne przywiązanie za jej przymioty, bowiem okrom tego, że była piękna, była też bardzo roztropna i nader cierpliwa w swych licznych przeciwnościach, zaś rady i towarzystwo mistrza Elisabata były jej bardzo potrzebne i pomocne w znoszeniu niedoli z roztropnością i cierpliwością. I to dało głupiemu i złośliwemu pospółstwu Sanczo z bajkopisarza Ezopa robi Hyzopa pod wpływem biblijnego „hyzopu" (piołun).

161

okazję do twierdzenia i mniemania, że była jego kochanką; lecz jeszcze raz powta- rzam, że kłamią i dwieście razy kłamać będą ci wszyscy, którzy tak pomyślą lub powiedzą.

- Ani to mówię, ani myślę - odparł Sanczo - niech to robią na własny rachu- nek, niech swój

Don Kichote - Miguel Cervantez

chleb jedzą; czy byli kochankami, czy nie, Bogu z tego zdadzą sprawę; ja z własnych winnic idę, nic nie wiem, nie chcę się do cudzego życia wtrącać; kto kłamie, gdy kupuje, kiesa jego to poczuje; a tym bardziej ja, goły się urodziłem i goły jestem, nie stracę ani zyskam. Choćby kochankami byli, cóż mi z tego? Wie lu myśli, że to słonina, a to tylko łozina. Lecz który by w polu stawał bramy? Tym bardziej że o samym Bogu napleść gotowi.

- Na miły Bóg - rzekł Don Kichote - ileś ty głupstw, Sanczo, nagromadził. Co ma to, o czym mówiliśmy, do przysłów, które nanizałeś? Na twe życie, proszę cię, Sanczo, zamilknij i zabierz się raczej do poganiania osła, a przestań troszczyć się o rzeczy do ciebie nienależące. I zakarbij sobie wszystkimi pięcioma zmysłami, że cokolwiek uczyniłem, czynię i czynić będę, jest rozumne i zgodne zupełnie z prawidłami rycerstwa, mnie znany mi lepiej niż wielu rycerzom, którzy je wyznawali na świecie.

- Panie - odpowiedział Sanczo - czy to dobra reguła rycerska tak błędzić po tych górach bez ścieżki ni drogi, szukając szaleńca, któremu, o ile go kiedy znajdziemy, może przyjść ochota miast opowiadać, dokończyć tego, co zaczął na jego mości głowie i na moich żebrach, i do reszty je pogruchotać. - Milcz, mówię ci raz jeszcze, Sanczo - rzekł Don Kichote - wiedz, że przez te okolice wodzi mię nie tylko pragnienie odnalezienia szaleńca, ale dokonania tu czynu, który zyska mi wieczne imię i sławę na całej powierzchni ziemi; a będzie to czyn taki, że wycisnie pieczęć na wszystkim, co doskonałego i sławnego dokonać może błędny rycerz.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Czy ten czyn jest bardzo niebezpieczny? -
zapytał Sanczo Pansa. - Nie - odpowiedział Rycerz
Smętnego Oblicza - choć rzut kości może paść
w ten sposób, że narazimy się na niepowodzenie, a nie na szczęśliwe
spotkanie; ale wszystko od twoego starania zależy. - Od mego
starania? - zapytał Sanczo.

- Tak - odpowiedział Don Kichote - jeśli bowiem
powrócisz rychło stamtąd, gdzie cię myślę
posłać, moja niedola skończy się szybko, a
rozpocznie się chwała. A ponieważ nie przystoi
dłużej cię w niepewności trzymać, w
wyczekiwaniu, do- kąd zamysły moje
zmierzają, chcę, Sanczo, abyś wiedział, że
słynny Amadis z Galii był jednym z
najdoskonalszych błędnych rycerzy. Źle mówię
„jednym” - był jedynym, pierwszym i jedynym
mistrzem wszystkich, którzy w tym czasie na
świecie żyli. Tym gorzej dla Belianisa i dla
wszystkich, którzy by twierdzili, że mu dorów-
nają w czymkolwiek; jako żywo, klnę się, że się
mylą. Twierdzę również, że jeśli jakiś malarz
chce dojść do sławy w swej sztuce, stara się
naśladować obrazy najdo- skonalszych malarzy,
jakich zna; ta sama reguła dotyczy wszystkich
zawodów waż- niejszych i umiejętności
służących do uświetnienia państw, i tak
powinien czynić i czyni ten, kto chce zasłużyć na
sławę roz tropnego i cierpliwego, naśladowując
Ulis- sesa, w którego osobie i niedolach Homer
maluje nam żywy obraz roz tropności 162

i wytrzymałości, tak jak również Wergiliusz ukazał nam w osobie
Eneasza cnotę synowskiej miłości i bystrość dzielnego i rozumnego
wodza. Nie malowali oni ani nie przedstawiali ich takimi, jakimi byli, ale
jakimi być powinni, tak aby swoimi cnotami dawali przykład przyszłym

Don Kichote - Miguel Cervantez

pokoleniom. Tak samo Amadis był gwiazdą polarną, jutrzenką i słońcem dla dzielnych i zakochanych rycerzy, jego powinniśmy naśladować wszyscy walczący pod sztandarem miłości i rycerstwa. Skoro więc tak

jest, uważam, przyjacielu Sanczo, że ów błędny rycerz, który go naśladować będę, bliższy stanie się osiągnięcia

doskonałości rycerskiej. Okolicznością, w której ten rycerz najlepiej okazał swą roztropność, dzielność, wartość, cierpliwość, stałość i miłość, była chwila, gdy wzgardzony przez panią swoją Orianę uszedł, aby pokutę odbyć na Ubogiej Skale, zmieniwszy swoje miano na imię Pięknego Smętka, zaiste wiele znaczące i stosowne do życia, jakie dobrowolnie obrał. I tak łatwiej mi jest go naśladować w tym niż płatać na dwoje olbrzymów, ścinać głowy wężom, zabijać endriagil, rozpraszać wojska, druzgotać floty i odczyniać czary. A ponieważ te oko-

lice tak nadają się do podobnych działań, nie należy marnować sposobności, która teraz tak dogodnie podaje nam swoje warkocze.

- W rzeczy samej - rzekł Sanczo - co jegomość zamierza robić w tak odrudnym miejscu?

- Czyż ci już nie mówiłem - odpowiedział Don Kichote - że chcę naśladować Amadisa, rozpaczając tu, w zapalczystości trwając, szalejąc, a zarazem naśladować dzielnego Don Rolanda, kiedy znalazły się przy zdroju dowody, że piękna Angelika popełniła nieprzystojność z Medorem, że smutku oszalał, wyrywał drzewa, mącił wodę czystych zdrojów, zabijał pasterzy, rozpedzał trzody, palił szalasy, rozwalał domy, uprowadzał klacze i dokonywał stu tysięcy innych szaleństw godnych wiecznej sławy i opisania. I choć nie zamyślam naśladować Rolanda, Orlanda czy też

Don Kichote - Miguel Cervantez

Rotolanda (wszystkie te trzy imiona bowiem nosił) punkt po punkcie we wszyst-

kich szaleństwach, jakie popełniał, mówił i myślał, to przynajmniej odtworzę je, jak najlepiej zdołam, w tym, co moim zdaniem jest w nich najistotniejsze. A być może,

poprzedzanę na naśladowaniu Amadisa, który nie popełniając szkodliwych szaleństw, jeno płaczem i żalami zdobył większą sławę niż ktokolwiek.

- Mnie się zdaje - rzekł Sanczo - że rycerze, którzy tak postępowali, byli do tego doprowadzeni i mieli przyczynę wyrabiania tych głupstw i pokut, ale jegomość! Cóż was skłania, aby stać się szaleńcem? Jakaż to dama wami wzgardziła i jakież dowody znaleźliście wskazujące na to, że pani Dulcynea z Toboso popełniła jako- weś głupstwo z Maurem czy chrześcijaninem?

- W tym sęk - odpowiedział Don Kichote - ale i cała subtelność mego zamie- rzenia. Albowiem kiedy jakiś błędny rycerz staje się szaleńcem, mając ku temu po- wód, nie ma w tym nijakiej jego zasługi; ale w tym rzecz, aby oszaleć bez przyczy- ny i dać poznać mej pani, że jeśli to czynię na zimno, cóż uczynię na gorąco? Tym bardziej że mam dostateczny powód w drugiej rożłace z niezmiennie moją panią Dulcyneą z Toboso, bo jak słyszałeś onegdaj na pogrzebie od owego pasterza Am- brożego, że nieobecny wszystkie utrapienia cierpi i wszystkich się lęka. Tak więc, Potwory zrodzone z kazirodczej miłości (Amadis z Galii).

163 przyjacielu Sanczo, nie trać czasu, doradzając mi poniechanie tak rzadkiego a tak szczęśliwego i tak niespotykanego naśladowictwa. Jestem szaleńcem i szaleńcem zostanę, póki nie wrócisz z odpowiedzią na list, jaki przez ciebie przesłać zamie- rzam pani

Don Kichote - Miguel Cervantez

mej Dulcynei, i jeśli ta będzie taka, na jaką wierność moja zasługuje, skończy się mój obłęd i pokuta; jeśli zaś będzie przeciwnie, oszaleję naprawdę i jako szalony będę pozbawiony czucia. Tak więc, jakkolwiek mi odpowie, skończy się rozterka i udręka, w jakiej mię zostawiasz, będę przy zdrowych zmysłach rado- wał się szczęściem, jakim mnie obdarzysz, lub jako szaleniec nie będę odczuwał zła przyniesionego. Ale powiedz mi, Sanczo, czyś dobrze przechował hełm Mam- bryna, który, jak widziałem, podniosłeś, kiedy to ów niewdzięcznik chciał go w kawałki rozbić, ale nie zdołał, po czym poznać można snadnie jego doskonałą hartowność. Na to odpowiedział Sanczo:

- Na żywy Bóg! Panie Rycerzu Smętnego Oblicza, nie mam już cierpliwości, by znosić to wszystko, o czym jegomość prawi, i ze słów tych wnioszę, że wszyst- ko, co mi opowiadaliście o rycerstwie, o zdobywaniu królestw i cesarstw, o nada- waniu wysp i wyświadczaniu innych łask i wspaniałości, jak to jest u błędnych ry- cerzy w zwyczaju, to tylko słowa na wiatr rzucane i łygarstwa, jeno mierzwa i plewa, czy jak to nazwiemy. Kto bowiem usłyszy was, jak nazywacie miednicę golarza hełmem Mambryna i dłużej niż cztery dni trwacie w tym błędzie, cóż może innego pomyśleć, jeno że ten, kto tak mówi i twierdzi, musi mieć źle w głowie?

Miednicę

noszę w worku, pogiętą do szczetu, a noszę, aby ją naprawić w domu i aby się w niej golić, jeśli Bóg pozwoli, abym kiedyś

zobaczył żonę i dzieci. - Bacz, Sanczo, przez tego Boga, na którego właśnie się zakląłeś - rzekł Don Kichote - że masz najkrótszy rozum ze wszystkich giermków na świecie. Jak to możliwe, abyś tak długo ze mną wędrując, nie pojął, że wszystkie sprawy błędnych rycerzy wydają się

Don Kichote - Miguel Cervantez

złudzeniem, głupstwem i szaleństwem i że wszystkie idą na opak? A to nie dlatego, aby takimi były, lecz przez to, że między nami płacze się zgraja czarowników, którzy wszystkie nasze sprawy odmieniają i zniekształcają, i wedle woli swej obracają zależnie od tego, czy nam sprzyjają, czy też na zgubę naszą dybią; dlatego też to, co się tobie wydaje miednicą golarza, ja biorę za hełm Mambryna, zaś komu innemu wyda się to czym innym. Była to ze strony moźnego czarownika, życzliwego mi, wielka przezorność sprawić, że miednicą wydaje się wszystkim to, co istotnie i naprawdę jest hełmem Mambryna, bo jako to rzecz tak cenna, wszyscy by mię prześladowali, chcąc mi go wydrzeć; ale kiedy widzą, że to jeno miednica golarza, nie dbają o nią, jak to okazał ten, który chciał ją rozbić i porzucił na ziemi, nie zabrawszy jej z sobą; gdyby był wiedział, co to jest, nie byłby jej tak poniechał. Strzeż więc jej, przyjacielu, bo w tej chwili nie jest mi to potrzebne; przeciwnie, teraz przyjdzie mi zrzucić wszelką zbroję i pozostać nagim, jak się rodziłem, jeśli mam wolę naśladować w pokucie mej raczej Rolanda niż Amadisa. Tak rozmawiając, przybyli do stóp wysokiej góry, która jak iglica sterczała sa- motna pośród wielu innych ją otaczających. Zboczem jej spływał cichy strumyk, okrążając ląkę zieloną i bujną, prawdziwą rozkosz dla oczu patrzących. Wiele tam było drzew leśnych, przeróżnych roślin i kwiatów, które nadawały urok miejscu. 164

Ten zakątek wybrał Rycerz Smętnego Oblicza na odbycie swej pokuty i oglądnąłw- szy go, zaczął mówić donośnym głosem jakby niespełna rozumu:
- Oto miejsce, o nieba, które wyznaczam i obieram, aby tu opłakiwać nieszczę-

ście przez was na mnie zesłane! Oto miejsce, gdzie wilgoć oczu moich podniesie wody tego strumyka, a me ustawniczne i głębokie westchnienia poruszać będą bez przerwy listowie tych drzew górskich, na świadectwo i znak męki, jaką cierpi serce moje udręczone. O wy! Kimkolwiek jesteście, bogowie sielscy, którzy zamieszku- jecie to odludzie, usłyszcie skargi nieszczęsnego kochanka, którego druga rozłąka i urojona zazdrość przywiodły, aby żale rozwodził wśród tych pustaci i skarżył się na okrucieństwo pięknej niewdzięcznicy, która jest szczytem i

Don Kichote - Miguel Cervantez

zenitem wszelkiej ludzkiej urody! O wy, nimfy łąk i drzew, co zwykle wśród dzikich gór mieszkacie, aby lekkie i sprośne satyry, daremnie was mięjące, nie zakłócały nigdy słodkiego spokoju waszego, pomóżcie mi opłakiwać mą niedolę lub przynajmniej nie wzdra- gajcie się o niej słuchać. O Dulcyneo z Toboso, dniu mej nocy, chwało mej udręki, gwiazdo przewodnia mych dróg, gwiazdo mojego szczęścia, niechaj ci niebo darzy we wszystkim, czego zapragniesz, abyś oglądać mogła miejsce i stan, do którego doprowadziła mię rozłaka z tobą i odpowiedziała mi tak przychylnie, jak wierność moja na to zasługuje. O samotne drzewa, które odtąd towarzyszyć macie mej sa- motności, dajcie znak łagodnym poruszeniem gałęzi, że obecność moja nie jest wam przykra! A ty, giermku mój, miły towarzyszu dobrych i złych zdarzeń, zapamiętaj dobrze, co zobaczyż, że tu czynię, abyś zdał z tego sprawę i opowiedział tej, która jest wszystkiego przyczyną. To mówiąc, zsiadł z Rosynanta i w jednej chwili zdjął uzdę i siodło, a ude- rzywszy go dlonią po grzbicie, rzekł:

- Daje ci wolność ten, który jej pozbawion, o koniu również znakomity przez dzieła swoje, jak nieszczęsny przez los! Idź, któreiedy chcesz, na czole bowiem no- sisz napisane, że lekkością nie dorównał ci hipogryf Astolfa ani sławny Frontyn, który tak drogo Bradamantę kosztował.

Widząc to, Sanczo rzekł:

- Dobrze uczynił ten, który nas pozbawił kłopotu rozkulbaczenia siwka; bo, dalipan, nie brakłoby i dla niego poklepywań i słów pochwalnych; ale gdyby tu był, nie pozwoliłbym, aby go kto rozkulbaczał, bo i po co? Nie do niego odnoszą się reguły zrozpaczonego albo zakochanego, skoro takim nie był jego pan, a tym by- łem ja, jak długo Bóg chciał. Doprawdy, panie Rycerzu Smętnego Oblicza, jeśli moja podróż i szaleństwo jegomości mają być istotne, dobrze będzie z powrotem osio- dłać Rosynanta, aby zastąpił brak osła, w ten sposób oszczędzę czasu na jazdę tam

Don Kichote - Miguel Cervantez

i z powrotem; jeśli my poszedł pieszo, nie wiem, kiedy tam dojdę ani kiedy tu wróczę, bo w rzeczy samej zły ze mnie piechur.

- Niech będzie, jak chcesz, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - twój pomysł nie wydaje mi się zły; dodaję, że wyjedziesz stąd za trzy dni, chcę bowiem, abyś przez ten czas oglądał, co dla niej czynię i mówię, byś potem jej to opowiedział.

Ariosto, Orlando szalony.

165

- A cóż bym jeszcze miał zobaczyć - rzekł Sanczo - nad to, co widziałem? - Wiele ci nie dostaje - odparł Don Kichote - teraz mi trza rozedrzeć szaty, porozrzucić broń, tłuc głową o te skały oraz inne podobne rzeczy czynić, które musisz podziwiać. - Na miłość boską! - rzekł Sanczo - niech jegomość uważa, tłukąc łbem o skały, bo może się zdarzyć skała i takie miejsce, że od jednego razu skończy się cała maszyna tej pokuty; sądzę, jeśli jegomości zdaje się, iż należy bić łbem tutaj i że bez tego się nie obejdzie, trza zadowolić się, jako że to wszystko jest „na niby”, zmyślone i żart, i czynić to w wodzie albo na czymś miękkim jak pierzyna, a zostawcie mnie, co powiem mojej pani o tym, jak jegomość tłukła głową o występ skalny twardy od diamentu.

- Dziękuję ci za dobre chęci, przyjacielu Sanczo - odpowiedział Don Kichote - ale chcę, abyś wiedział, że wszystkie te rzeczy, które czynię, to nie żart, jeno prawda; inaczej bowiem przekroczyłbym przepisy rycerstwa, które nam zabraniają wszelkiego kłamstwa pod karą wykluczenia, a czynić jedną rzeczą zamiast drugiej to tyle, co kłamać. Zatem moje tłuczenia głową o skałę będą rzeczywiste, mocne i istotne, nie mając nic z wykrętów i wymysłów, i trzeba, abyś mi zostawił trochę szarpi na opatrunki, kiedy zły los chciał, że straciliśmy nasz balsam. - Gorzej, że straciliśmy osła - odpowiedział Sanczo - bo z nim przepadły szarpie i wszystko. I błagam jegomości, abyście nie wspominali więcej o tym przeklętym napitku, na samo wspomnienie

Don Kichote - Miguel Cervantez

jego wywraca mi się dusza, a tym bardziej żołądek.
Proszę ponadto, uwzględnijcie, że owe trzy dni,
wyznaczone jako termin na oglądanie waszych szaleństw,
już jakoby minęły; uważałam sprawiedliwie, że widziałem
je dokonane, i opowiem o nich cuda mej pani. Piszcie list i
wysyłajcie mnie co rychlej, bo wielką mam chęć powrócić
i wyrwać jegomości z tego czyścica, w którym was
zostawiam.

- Nazywasz to czyścem, Sanczo? - zapytał Don Kichote. -
Lepiej nazwałbyś to piekłem lub jeszcze czymś gorszym, o ile takie
istnieje.

- Bo w piekle - odparł Sanczo - nulla est retentio¹, jak
słyszałem. - Nie rozumiem, co ma znaczyć retentio - rzekł
Don Kichote. - Retentio znaczy „zabawienie” -
odpowiedział Sanczo - niby że kto jest w piekle,
nigdy zeń nie wyjdzie ani wyjść nie może; zaś z
jegomością inaczej będącą albo moje nogi
zawiodą; skluję Rosynanta ostrogami, aby go
ożywić; zaniesie mię od razu do Toboso i stanę
przed panią moją Dulcyneą; nagadam jej tyle o
głupstwach i szaleństwach, co na jedno
wychodzi, jakie jegomość popełnił i jakie po-
pełnia, że stanie się miękka jak rękawiczka,
choćby była twardsza od korkowego dębu; a z jej
odpowiedzią, słodką i miodową, powietrzem
przyleczę jak czarownik i wy dobędę jegomości z
tego czyścica, który zdaje się być piekiem, a nim
nie jest,

istnieje bowiem nadzieja wyjścia zeń, jakiej, mówiłem już, nie mają ci, którzy
siedzą w piekle, sądząc, że jegomość mi nie zaprzeczy.

- To prawda - rzekł Rycerz Smętnego Oblicza - ale co
poczniemy z napisaniem listu?

1 Sanczo zamiast poprawnie: in inferno nulla est redemptio (w piekle nie
ma zbawienia), mówi nulla est retentio (zabawienia). 166

Don Kichote - Miguel Cervantez

- A także co z przekazem na osiołki? - dodał Sanczo. - Wszystko tam będzie zawarte - rzekł Don Kichote - i byłoby dobrze, jako że papieru nie mamy, napisać, jak to starożytni czynili, na liściach drzew lub na tabliczkach z wosku, choć te równie trudno byłoby znaleźć jak papier. Ale w tej chwili przypomniałem sobie coś, na czym pisać będzie dobrze, a nawet lepiej niż dobrze, mianowicie notatnik Kardenia, ty zaś postarasz się przenieść to na papier pięknymi literami w pierwszej miejscowości, gdzie się znajdziesz i gdzie będzie nauczyciel dziecięcej szkoły, a jeśli nie, to przepisz ci to jakikolwiek zakrystian, ale nie dawaj tego do przepisania żadnemu pisarczykowi, bo ci tak nasmaruje, że sam diabeł nie zrozumie. - Ale co zrobimy z podpisem? - zapytał Sanczo.
- Listy Amadisa nigdy podpisywane nie były - odparł Don Kichote. - To dobrze - odpowiedział Sanczo - ale przekaz musi być koniecznie podpisany, jeśli my dał przepisać, powiedzą, że podpis fałszywy, i zostanę bez osiołków. - Przekaz będzie w tym samym notatniku podpisany, a kiedy siostrzenica moja to zobaczy, nie będzie stawała żadnych trudności i spełni to. Co zaś tyczy się listu miłosnego, jako podpis położysz: „Wasz do śmierci Rycerz Smętnego Oblicza”; nie będzie to miało znaczenia, że podpis będzie obcej ręki, gdyż o ile pamiętam, Dulcy - nea nie umie ani pisać, ani czytać, a w całym swym życiu nie widziała ani literki, ani listu ode mnie, bowiem miłość nasza była zawsze platoniczna, ważąc się najwyżej na cnotliwe wejrzenie. A nawet to było tak rzadko, że śmiałbym przysiąc, że przez tych dwanaście lat, kiedy ją kochałem bardziej niż światło mych oczu, które ziemia ma przeżreć, nie widziałem jej i cztery razy. A nawet być może, że ona ani razu nie zauważała, iż na nią patrzyłem; tak skromnie i surowo wychowali ją bo wielu ojciec jej, Lorenzo Corchuelo, i matka jej, Aldonza Nogalez. - Co? Co? - zawała Sanczo. - To córka Lorenza Corchuelo ma być panią Dulcyneą z Toboso, inaczej zwana Aldonza Lorenzo?
- Ta sama - rzekł Don Kichote - ona to jest godna być panią całego świata.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Znam ją dobrze - rzekł Sanczo - i mogę powiedzieć, że żelaznym drążkiem ciska dalej niż najsilniejszy parobek ze wsi. Bogać to! Wszak to dziewczka na schwał! Dobrze zbudowana i prosta, włożata na piersi, i może wyrwać z błota każdego rycerza błędnego czy błędzącego, który ją weźmie za żonę. Ach - taka córka! Co za dech! Co za głos! Dość powiedzieć, że pewnego dnia wylazła na dzwonnicę wiejską, aby zwołać kilku parobków znajdujących się na ugorze jej ojca, i choć odlegli byli więcej niż o pół mili, słyszeli ją tak, jakby byli u stóp wieży. A najlepsze jest to, że wcale nie robi ceregieli, wiele ma z przeskoczki, z każdym poigra i wszystko obróci w śmiech i żarty. Teraz powiem, panie Rycerzu Smętnego Oblicza, jegomość nie tylko możecie i powinniście na szaleństwa dla niej się ważyć, ale sprawiedliwie możecie rozpaczać i powiesić się, a każdy, kto się o tym dowie, powie, że słusznieście zrobili, choćby i diabeł was porwał. Chciałbym już być w drodze, tylko aby ją zobaczyć; już dawno jej nie widziałem, a musiała się zmienić; ciągłe przebywanie na polu, w słońcu i na wietrze bardzo niszczy

twarz niewieścią. Wyznam jegomości, panie Don Kichocie, jedną prawdę: dotychczas byłem w wielkiej nieświadomości; byłem szczerze przekonany, że pani Dulcynea musi być jakąś księżniczką, 167

w której jegomość się pokochał, albo inną taką osobą zasługującą na bogate dary, jakie jej jegomość posyłał; czy to Biskajczyka, czy galerników, czy też wielu innych, jacy musieli być, stosownie do licznych zwycięstw odniesionych przez waszą miłość, zanim zostałem waszym giermkiem. Ale zważywszy wszystko, co przyjdzie pani Aldonzie Lorenzo, to jest pani Dulcynei z Toboso z tego, że przed nią padną na kolana pokonani, których jegomość jej posyła lub ma jeszcze posłać? Zdarzyć się mogło, że w czasie, kiedy oni się zbliżą, ona będzie czesała len lub młociła

Don Kichote - Miguel Cervantez

zboże na boisku; ich taki widok zgorszyłby, zaś ona wyśmiewałaby się i naigrawała z podarunku.

- Już ci tyle razy przedtem mówiłem, Sanczo - rzekł Don Kichote - że z ciebie wielki gaduła, lecz choć rozum masz nieokrzesany, nieraz rozumujesz sprytnie; ale abyś poznał, jak jesteś głupi, a jak ja jestem mądry, posłuchaj tej krótkiej gadki. Wiedz, że pewna wdowa, piękna, młoda, wolna i bogata, a zwłaszcza wesoła, zako- chała się w młodym braciszku zakonnym, okrąglutkim i dobrej tuszy; dowiedziała się o tym jego przełożony i pewnego dnia rzekł do zacnej wdówki z braterskim napomnieniem: „Zdumiony jestem, pani, i nie bez przyczyny, że tak szlachetna, tak piękna i tak bogata damska jak wasza miłość zakochała się w człowieku tak pospoli- tym, nikczemnym, głupim jak ten jakiś, mając w tym domu tylu mnichów, tylu dok- torów, tylu teologów, wśród których mogłaś, wasza miłość, wybierać jak pośród gru- szek, mówiąc: «Tego chcę, tego nie chcę». Lecz ona odpowiedziała z wielkim wdziękiem i swobodą: „Wasza miłość, panie mój, bardzo się mylicie i myślicie na starą modłę, sądząc, że źle wybrałem tego, kto się wam głupim wydaje, bo przez to, że go kocham, ma on tyle mądrości, a

nawet więcej niż Arystoteles". Tak więc, Sanczo, przez to, że kocham Dulcyneę z Toboso, warta ona jest tyle, co najpierwsza księżniczka na ziemi. Czy sądzisz, że poeci, którzy opiewali damy pod imionami, jakie im wedle kaprysów nadali, naprawdę posiadali? Zali myślisz, że Amarylidę, Filidę, Sylwię, Dianę, Galateę, Filisy i tyle innych, od których roją się książeczki, romanse, balwiernie, teatry komediantów, były naprawdę kobietami z krwi i kości i należały do tych, którzy je opiewali i opiewać będą? Nie, zaiste, ale wielu z nich zmyśla, aby znaleźć temat do wierszy i żeby ich uważano za zakochanych i za ludzi, którzy do miłości są zdolni. Tak więc i mnie wystarcza wierzyć, że zacna Al- donza Lorenzo jest piękna i cnotliwa. Co do jej pochodzenia, nie ma to znaczenia: nikt nie będzie badał tego, bo nie chodzi tu zgoła o przywdzianie jakiegoś habitu; ja zaś uważam ją za najznakomitszą na świecie księżniczkę. Masz wiedzieć bowiem, Sanczo, jeśli tego nie wiesz, że dwie są tylko

Don Kichote - Miguel Cervantez

rzeczy, które pobudzają miłość bar- dziej niż inne, a to wielka uroda i dobra sława, te zaś znajdują się w Dulcynei w swej doskonałości, albowiem pięknością nikt jej nie dorówna, a w dobrej sławie niewiele jej sprosta. I aby z tym skończyć, wyobrażam sobie, że wszystko jest tak, jak mówię, ani mniej, ani więcej, i maluję ją w mej wyobraźni taką, jaką chcę; za- równo co do urody, jak i wysokiej godności nie dorówna jej Helena, nie dosięgnie Lukrecja ani żadna inna ze sławnych niewiast dawnych wieków greckich, barba- rzyńskich czy łacińskich. Niech każdy mówi, co chce, a jeśli w tej materii przyga- niąmi ignoranci, nie potępią surowi sędziowie. 168

- Przyznaję, że jegomość ma we wszystkim rację - rzekł Sanczo - zaś ja je- stem osłem. Nie wiem jednak, dlaczego imię osła mam na ustach: nie należy mówić o stryczku w domu powieszonego. Ale dajcie list i niech już ruszam z Bogiem. Don Kichote wydobył notatnik i oddaliwszy się na stronę, w wielkim skupie- niu zaczął list pisać, a skończywszy, przywołał Sancza i rzekł mu, że chce mu prze- czytać, aby wbił sobie w pamięć, gdyby zdarzyło mu się list zgubić w drodze, bo wszystkiego należy się spodziewać od złego losu.

Na to odpowiedział Sanczo:

- Napiszcie jegomość dwa lub trzy razy w tej książeczce i dajcie mi, a ja go będę dobrze strzegł; szaleństwem jest bowiem mniemać, że to w pamięci zachowam, mam tak złą, że często zapominam, jak się nazywam. Ale mimo wszystko przeczytajcie, jegomość, miło mi będzie go słyszeć, musi być jak ulany.

- Słuchaj więc - rzekł Don Kichote. List Don Kichota do Dulcynei z Toboso Suwerenna i dostojska pani!

Zraniony ostrzem rozłąki i dotknięty w same włókna serca, najsłodsza Dulcy- neo z Toboso,

Don Kichote - Miguel Cervantez

zdrowia ci życzy jego pozbawiony. Jeśli twa piękność mię lekceważy, jeśli twa cnota nie przemawia za mną, jeśli pogardzasz moim strapieniem, to choć jestem dość cierpliwy, nie zdołam przenieść tej udręki, nie tylko silnej, ale długotrwałej. Mój zacny giermek Sanczo zda ci dokładnie sprawę, o piękna niewdzięcznico, ukochana nieprzyjaciółko moja, ze stanu, którego jesteś przyczyną! Jeśli masz wolę mi pomóc, jestem twoim, jeśli nie, czyń, co ci się podoba. Kończąc bowiem moje życie, zadośćuczynię okrucieństwu twemu i mojemu pragnieniu. Twój do śmierci

Rycerz Smętnego Oblicza

- Na żywot mego ojca - rzekł Sanczo, wysłuchawszy listu - jest to najwzniósłsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem. Do licha, jak to jegomość mówi tu

wszystko, co chce, i jak doskonale brzmi ten podpis: „Rycerz Smętnego Oblicza”!

Zaprawdę, jegomość jest chyba samym diabłem i nie masz, czego byście nie wiezieli!

- Wszystko jest potrzebne w moim zawodzie - odparł Don Kichote. - A teraz - rzekł Sanczo - napiszcie jegomość na drugiej stronie przekaz na

trzy osiołki i podpiszcie wyraźnie, tak aby ujrzałszy, od razu poznano.

- Chętnie - rzekł Don Kichote. I napisawszy, przeczytał, a stało tam: Polecam waszmościiance, pani siostrzenico, za okazaniem tego pierwszego przekazu na oślatka, wydać Sanczowi Pansie, memu giermkowi, trzy z pięciu oślat, jakie zostawiłem w domu pod opieką waszmościanki. Które to trzy osiołki polecam mu wydać za taką samą wartość, którą tu otrzymałem gotówką. Należy mu je wydać za okazaniem

Don Kichote - Miguel Cervantez
niniejszego i za pokwitowaniem. Dan z głębi Sierra Morena 22
sierpnia roku bieżącego. 169

- Dobra jest! - rzekł Sanczo. - Podpiszcie,
jegomość.

- Nie potrzeba podpisywać - rzekł Don
Kichote - wystarczy położyć moją pieczęć, jest
to to samo co podpis i wystarczy na trzy osiołki,
a choćby i na trzysta. - Zdaję się na waszą miłość
- odpowiedział Sanczo. - Pozwólcie mi pójść
osio- dłać Rosynanta i przygotujcie się, wasza
miłość, aby mi dać błogosławieństwo: zamyślams
bowiem odjechać zaraz, nie patrząc na
szaleństwa, jakie jegomość po- pełniać będzie.
Powiem, żem ich widział tyle, iż więcej ona i
żądać nie będzie. - Chcę przynajmniej, Sanczo,
i to jest konieczne, chcę, powtarzam, abyś zo-
baczył, jak nagi popełnię tuzin lub dwa tuziny
szaleństw, uwinę się w mniej niż pół godziny.
Albowiem ujrzałszy je na własne oczy, będziesz
mógł bezpiecznie przy- siąc i za te, które
zechcesz dodać; a zapewniam cię, że nie
wyliczysz tyle, ile doko- nać zamierzam.

- Na miłość boską, panie mój, nie chcę
jegomości widzieć nagim, żal by mi was było
zbytnio i nie mógłbym powstrzymać się od
płaczu, a jeszcze mię głowa boli od płaczu
ostatniej nocy za siwkiem i nie jestem w stanie
znów leż wylewać; a jeśli jegomość życzy sobie,
abym zobaczył jakieś szaleństwa, dokonajcie ich
wubraniu, rychło, jakie pierwsze do głowy wam
przyjdą, nie przebierając. Tym bar- dziej że co
do mnie, obeszłoby się bez tego, a jak rzekłem,
przedzej bym tu był z powrotem, i to wraz z

nowinami, których jegomość pożąda i na które zasługuje.

A jeśli nie, niech się pani Dulcynea przygotuje, że o ile nie odpowie, jak rozum każe, ślubuję uroczystie, komu mogę, że wyciągnę jej dobrą odpowiedź z wątpiów¹ kop-

niakami i policzkami; gdzież bowiem znieść można, aby rycerz błędny, tak sławny jak jegomość, stał się szaleńcem bez powodu i racji dla takiej?... Niech mi nie wraca głowy ta pani, bo na Boga, nagadam jej i tak rozpuszczę gębę, że będzie się miała z pyszna, niech się, co chce, dzieje! Stać mię na to! Źle mię zna! Gdyby mię znała, to, dalipan, pościłaby przede mną².

- Na mą duszę, Sanczo - rzekł Don Kichote - coś mi się zdaje, że nie jesteś przytomniejszy ode mnie.
- Nie jestem takim wariatem - odpowiedział Sanczo - ale większy ze mnie choleryk. Ale pominąwszy to, co jegomość jeść będzie, zanim powróczę? Czy jak

Kardenio będzie jegomość wychodził na drogę, aby łupić pasterzy? - Nie troszcz się o to, Sanczo - odparł Don Kichote - bowiem choćbym i znalazł inną strawę, nie jadłbym nic kromie ziół i owoców, których mi ta łąka i te drzewa użyczą. Subtelność mego zamierzenia polega na tym, abym pościł i inne umartwie- nia podobne znosił. A więc z Bogiem!

- Ale wie jegomość, o co się lękam? Że wracając, nie trafię na to miejsce, gdzie was zostawiam, tak jest ukryte.
- Znacz dobrze drogę, ja postaram się nie oddalać z tych okolic - rzekł Don Kichote - a nawet zamyślam wychodzić na te wysokie skały, aby cię dostrzec, kiedy będziesz powracał. Zresztą dla większej pewności, abyś się nie zabłąkał i nie zgubił, dobrze byłoby naciąć kilka gałęzi janowców, które tu rosną, i rzucać je co

1 wątpia- wnętrzności.

2 Tzn. miałaby przede mną wielki respekt.

Don Kichote - Miguel Cervantez

aby mię odnaleźć, kiedy powrócisz,
podobnie jak nić z labiryntu Tezeusza.

- Zrobię tak - rzekł Sanczo Pansa.

I uciąwszy kilka gałązek, poprosił swego pana o błogosławieństwo i pożegnał się z nim, co nie obeszło się bez obopólnych obfitych łez. I wsiadłszy na Rosynan- ta, którego Don Kichote gorąco mu polecił, aby uważały nań jak na siebie samego, skierował się ku równinie, rozrzucając w pewnych odstępach gałązki janowca, jak mu jego pan doradzał. Odjechał tak, pomimo że Don Kichot nalegał, aby przypa- trzył się dwom szaleństwom, jakie popełni. Ale nie ujechał i stu kroków, gdy za- wrócił, wołając: - A jednak, panie, jegomość dobrze rzekliście, abym z czystym sumieniem mógł przysiąć, że widziałem wasze szaleństwa, dobrze będzie, jeśli przynajmniej jedno zobaczę, choć widziałem nie byle jakie w postanowieniu jegomości pozostania tutaj.

- Czyż ci nie mówiłem? - rzekł Don Kichote. - Poczekaj, Sanczo, za jedno Wierzę uwinę się z nimi.

I pośpiesznie zrzuciwszy spodnie, pozostał półnagi w koszuli. I zaraz, ni z tego, ni z owego, uczynił dwa skoki w powietrzu i dwa koziołki machnął, głową na dół, a nogami do góry, ukazując takie rzeczy, że Sanczo, aby ich nie oglądać po raz wtó- ry, zwrócił Rosynanta i odjechał zadowolony, że może przysięgać, iż pan jego zwariował. Zostawmy go, niech jedzie swoją drogą aż do powrotu, który rychło nastąpił.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

który zawiera dalszy ciąg wymyśliw zakochanego Don Kichota w Sierra Morena racając do opowieści o tym, co czynił Rycerz Smętnego Oblicza, odkąd pozostał sam, historia mówi, że skoro Don Kichote zaprzestał

kozłów i skoków, a nagi od pasa do stóp, przyodziany od pasa w górę, widząc, że Sanczo odjechał, nie chcąc czekać ni oglądać dalszych szaleństw, wyszedł na szczyt wysokiej skały i tam zaczął znów rozmyślać nad tym, co nieraz rozważał, a czego nie zdołał nigdy rozstrzygnąć, a mianowicie, co byłoby lepiej i stosowniej:

naśladować Rolanda w jego nadzwyczajnych szaleństwach czy Amadisa w melancholii. I mówił do siebie w te słowa: „Jeżeli Roland był tak prawym i dzielnym rycerzem, jak wszyscy mówią, cóż dziwnego, że otaczał go czar i nikt go zabić nie mógł, chyba wbijając mu szpilę groszową w piętę, on zaś nosił buty o siedmiu żelaznych podeszwach. A przecież na nic nie zdały się wybiegi jego wobec Bernarda del Carpio, który je przeniknął i udusił go w ramionach w ronsewalskim wąwozie. Ale pominawszy jego waleczność, przejdźmy do tego, co go zmysłów pozbawiło, pewne bowiem jest, że

171

utracił je dzięki dowodom znalezionym przy zdroju i dzięki wiadomości od pewnego pasterza, że Angelika więcej niż dwa razy w południową porę spała z Medorem, młodym kędzierzawym Maurem i pakiem Agramanta. A jeśli wierzył w to wiarołomstwo swej pani, niewiele było potrzeba, aby zwariował, ależ jakżesz ja mogę naśladować go w szaleństwach, kiedy takiej przyczyny nie mam. Bo mógłbym przysiąc, że moja Dulcynea z Toboso przez wszystkie dni żywota swego nie widziała

Don Kichote - Miguel Cervantez

żadnego Maura we własnej osobie i stroju i do dziś jest taka sama, jak matka, gdy ją urodziła; wyrządziłbym jej wielką krzywdę, gdybym co innego sobie o niej uroił, wariując na sposób szalonego Rolanda. Z drugiej strony widzę, że Amadis z Galii, nie tracąc rozumu i nie czyniąc szaleństw, zyskał sławę największego kochanka, zaś to, co czynił -jak mówi historia- było jedynie dlatego, że wzgardziła nim jego pani Oriana, zabroniwszy mu się pokazywać na oczy tak długo, póki mu na to nie pozwoli. I dlatego uszedł na Ubogą Skałę w towarzystwie pewnego pustelnika i tam do woli łzy wylewał i polecał się Bogu, póki mu niebo nie przyszło z pomocą w najgorszej udręce i potrzebie. A jeśli to jest prawda, a jest, po cóž mam rozdzie- wać się całkowicie i dręczyć te drzewa, które mi żadnej przykrości nie wyrządziły? Nie mam też powodu mącić czystych wód tego strumienia, które ugaszą me pragnienie, kiedy będę miał ochotę. Niech żyje pamięć Amadisa i niech go Don Ki- chote z Manczy naśladowuje we wszystkim, co zdoła: a mówić będą o nim tak, jak mówią o tamtym, że choć wielkich rzeczy nie dokonał, umarł z pragnienia, aby je dokonać; a jeśli nie jestem wzgardzony ani odrzucony przez Dulcyneę z Toboso, wystarczy, jak już powiedziałem, że jestem od niej daleko. Imajmy się tego dzieła.

Przyjdźcie mi na pamięć, czyny Amadisa, i natchnijcie, od czego mam zacząć mnie naśladownictwo; lecz wiem, że nade wszystko modlił się i Bogu się polecał; jeno co zrobimy z różeńcem, jakiego mi brak?".

Wtedy przyszła mu pewna myśl, którą w czyn wprowadził. Oddarł bowiem wielki pas z

Don Kichote - Miguel Cervantez

szerokości koszuli i zrobił na nim jedenaście węzłów, w tym jeden większy od innych; to służyło mu za różaniec przez cały czas jego tam pobytu i odmówił na nim z milion Zdrowasiek. Najbardziej martwiło go, że nie było tam żadnego pustelnika, który by go wyspowiadał i pocieszył; tak pędził czas, przechadzając się po łączce, pisząc i wyrzynając na korze drzew i na drobnym piasku liczne wiersze, wszystkie wyrażające jego smutek, a niektóre na pochwałę Dulcynei.

Zachowały się jednak cało, tak że można było je później odczytać, jedynie te, które tutaj przytaczamy. Drzewa, rośliny i zioła,

Które się tutaj krzewicie,

Zielone, wysokie, dokoła,

. Jeśli z mych cierpień nie
drwicie, Słuchajcie mych
skarg i wołań!

Nie zmąci ból gajów, bo te,

Kiedym pozbawion nadziei,

Zbiorą swój haracz potem

Z łez. Płacze tu Don Kichote 172

W rozłące od Dulcynei

Kiedy kochanek tak wierny

Od swojej pani ucieka, Stąd zrodził się

ból niezmierny. Jak przyszło to, skąd, na
człowieka?

, Znacie Amora niecnotę, Kpi ten największy z złodziei.

Łez stągwie pełne, tesknotę

Płacze tu swą Don Kichote

W rozłące od Dulcynei

Rozmiłowany w przygodzie,

Przez dzikość skał się przeciska,

Przekleństwo w pustaciach go wodzi,

Wśród cierni tych i w złomiskach

. : Jeno udrękę
znachodzi, Smaga go
Amor z chichotem,
Biczem, nie szarfą go tnie i
Po głowie bije go splotem,
Tu płacze wciąż Don Kichote W
rozłące od Dulcynei Z Toboso.

Niemało śmiechu wzbudził u tych, którzy te wiersze znaleźli, przydomek „z Toboso” dodany do imienia Dulcynei; sądzili, że Don Kichote wyobrażał sobie, iż jeśli do imienia Dulcynei nie doda także „z Toboso”, wiersze nie będą zrozumiałe, i tak było rzeczywiście, jak później przyznał. Innych wiele jeszcze wierszy napisał, ale powiedziano już, że nie można było ich odczytać ani w całości odnaleźć krom tych trzech strof. Na tym wzdychaniu, wzywaniu faunów i sylwanów owych lasów i nimf strumieni, bolesciwej i łzawej nimfy Echo spędzał czas, prosząc, aby mu odpowiedzieli, pocieszyli go i wysłuchali, oraz na wyszukiwaniu pewnych ziół, aby się nimi pożywić, póki Sanczo nie wróci; więc gdyby ten był spóźnił się o trzy

tygodnie, jak spóźnił się o trzy dni, znalazłby Rycerza Smętnego Oblicza tak zmienionym, że rodzona matka by go nie poznała.

Zostawmy go tak otulonego westchnieniami i wierszami, aby opowiedzieć, co zdarzyło się Sanczo Pansie, kiedy poselstwo swe odprawowało; więc wyjechawszy na królewski gościniec, zaczął szukać drogi do Toboso i następnego dnia stanął przed zajazdem, gdzie spotkała go była przykra przygoda z derką;

Don Kichote - Miguel Cervantez

zaledwie go ujrzał, gdy zdało mu się, że już znowu fruwa w powietrzu, i nie chciał wejść do wnętrza, choć to była godzina, kiedy mógł i powinien był to uczynić, była to bowiem pora obiadowa i miał ochotę zjeść coś ciepłego, gdyż od wielu dni wszystko jadł zimne. 173

Ta konieczność skłoniła go, aby zbliżył się do gospody, ale wahał się, czy wstąpić, czy nie; kiedy tak sterczał, wyszło z zajazdu dwóch ludzi, którzy go poznali od razu. I jeden z nich rzekł do drugiego: – Powiedzcie mi, dobrodzieju licencjacie, czy ten tam na koniu, to nie jest Sanczo Pansa, o którym gospodyn naszego awanturnika mówiła, że wyjechał z panem jako jego giermek?

– Tak, to on – rzekł licencjat – a to jest koń naszego Don Kichota. Poznali go tak łatwo, ponieważ byli to proboszcz i cyrulik z tej samej wioski, ci sami, którzy przeglądali i palili jego księgi. Ci, poznawszy Sanczo Pansę i Rosy-nanta, pragnąc dowiedzieć się nowin o Don Kichocie, przystąpili doń i proboszcz zwołał go po imieniu, mówiąc: – Przyjacielu Sanczo Pansa, gdzie zostawiłeś swego pana?

Sanczo Pansa poznał ich natychmiast, ale postanowił zataić miejsce i położenie, w jakim pozostawił pana; więc odpowiadał im, że pan jego jest zajęty w pewnym miejscu jakąś ważną sprawą, on zaś nie może tego wyjawić nawet za oczy z głowy. – Nie, nie – rzekł cyrulik – Sanczo Pansa, jeśli nie powiesz nam, gdzie on bawi, wyobrażmy sobie, jak już posądzamy, żeś go zabił i obrabował, jako że jedziesz na jego koniu. Zaiste, albo oddasz nam właściciela tej szkapy, albo zapłacisz za to. – Nie należy mi grozić, nie jestem rozbójnikiem ani niczym zabójcą, niech każdego zabija przeznaczenie albo Bóg, jak zwykle. Mój pan pozostał, aby odprawić pokutę wpośród tych gór, które mu przypadły do smaku. I zaraz rozwiązał mu się język i jednym tchem opowiedział, w jakim stanie go

zostawił, jakie im się przygody zdarzyły i że niesie list do pani Dulcynei z Toboso, córki Lorenza Corchuela, w której się ów do cna rozmiłował. Zdumiewali się obaj,

Don Kichote - Miguel Cervantez

słysząc, co im Sanczo Pansa opowiadał; i choć znane im było szaleństwo Don Ki- chota i jego rodzaj, przecie kiedy o nim słuchali, dziwowali się jeszcze bardziej.

Prosili Sanczo Pansę, aby pokazał im list, jaki wiózł do pani Dulcynei z Toboso.

Ten odparł, że jest on napisany na kartach pewnego notatnika i że pan jego nakazał mu dać go do przepisania na papierze w pierwszej spotkanej miejscowości; na to proboszcz polecił go sobie pokazać, zaś on to przepisze najpiękniejszym pismem. Sanczo Pansa wsadził rękę za pazuchę, szukając książeczkę, ale jej nie znalazł, a znaleźć nie mógł, choćby aż dotąd jej szukał, bo została u Don Kichota, który jej nie oddał, zaś Sanczo nie pamiętał o nią się upomnieć. Sanczo, ujrzawszy, że książe- ki nie znajduje, zbladł śmiertelnie i zaczął obmacywać się po całym ciele pośpiesz- nie, aby się wreszcie przekonać, że jej nie znajdzie. Nie mieszkając, chwycił się dwiema garściami za brodę i wydarł z niej połowę włosów, a później szybko i bez przestanku wybił sobie z pół tuzina kułaków na twarzy i na nosie, aż całe zalały się krwią. Co widząc, proboszcz i cyrulik pytali, co się stało, że się tak nad sobą pa- stwi?

- Co mi się zdarzyć mogło gorszego! - odparł Sanczo. - Oto straciłem od ręki w jednej chwili trzy osiołki, a każdy z nich wart był zamku.
 - Jak to? - zapytał cyrulik. 174
-
- Zgubiłem notatnik - odpowiedział Sanczo - gdzie był list dla Dulcynei i przekaz podpisany przez mego pana, którym polecał swej siostrzenicy wydać mi trzy osiołki z czterech czy pięciu, jakie były w domu. - I na to opowiedział im o stracie siwka. Proboszcz pocieszał go, że odszukawszy

Don Kichote - Miguel Cervantez

jego pana, skłoni go do potwierdzenia przekazu i poprosi, aby napisał zlecenie na papierze, jak to zwyczaj każe, bowiem te, które są pisane na kartkach notatnika, nie mogą być ani przyjęte, ani wykonane. Pocieszył się tym Sanczo i oświadczył, że jeśli tak się rzecz ma, nie martwi się zbytnio stratą listu do Dulcynei, umie go bowiem prawie na pamięć i może go dać do przepisania, gdzie i kiedy zechcą.

- Wyrecytuj go, Sanczo - rzekł balwierz - abyśmy potem przepisali.

Sanczo zaczął drapać się po głowie, aby z pamięci wydobyć list, przestępując

z nogi na nogę; to wpatrzony w ziemię, to w niebo, a w końcu wyssawszy z połowę palca i wytrzymawszy w zawieszeniu tych, którzy na słowa jego czekali, zaczął wreszcie po długiej przerwie:

-Na Boga, panie licencjacie, niech to diabli wezmą, nie mogę sobie listu przy- pomnieć, wiem, że na początku było: „Wysoka i suterenna pani”.

- Nie może być - rzekł balwierz - suterenna, raczej nadludzka albo suweren- na pani. - Tak, tak - potwierdził Sanczo - a potem, o ile sobie przypominam dobrze:

„Zraniony, snu pozbawiony i ugódzony, cauję ręce waszej miłości, niewdzięczna i zapoznana piękności!”, i coś tam było o zdrowiu i chorobie, które jej posyła, i roz- wodził się szeroko o czymś, a kończyło się: „Twój do śmierci Rycerz Smętnego Oblicza”.

Niemało ubawiła obu dobra pamięć Sanczo Pansy; bardzo go chwalili i pro- sili, aby list ów ze dwa razy powtórzył, niech i oni nauczą się go na pamięć, aby go spisać w swoim czasie. Sanczo jeszcze ze trzy razy powtórzył, za każdym razem dodając ze trzy tysiące głupstw. Po czym opowiedział o sprawach swego pana, ale ani słowa nie pisał o podrzucaniu, jakiemu uległ w owej gospodzie, do której wejść się wzdragał. Mówił również, jak jego pan, skoroby tylko przychylną odpowiedź otrzymał od swej pani

Don Kichote - Miguel Cervantez

Dulcynei, zamierza wyprawić się w drogę, aby szukać spo- sobności zdobycia cesarstwa, a co najmniej monarchii, że to już między sobą obaj ułożyli i że będzie to łatwo możliwe dzięki mestwu jego i sile jego ramienia. Zo- stawszy władcą, jego ożeni (będzie on podówczas wdowcem), da mu za żonę co najmniej damę dworu cesarzowej, dziedziczkę bogatego i wielkiego państwa na lądzie, a nie jakiejś ispy czy wyspy, wielkiej czy małej, bo żadnej już nie chce. San- czo mówił to wszystko z taką powagą, obcierając sobie co chwila nos, i z taką dobrą wiarą, że obaj zdumiewali się znowu, wnosząc, jak wielkie musi być szaleń- stwo Don Kichota, jeśli mogło tak owładnąć rozumem tego nieboraka. Nie zada- wali sobie trudu, aby go z błędu wyprowadzić, uważając, że jako nie ma w tym nic, co by sumienie jego na szwank przywieść mogło, lepiej będzie zostawić go w tym, zaś oni chętnie posłuchają jego bajń. Więc rzekli mu, aby Boga prosił o zdrowie dla swego pana, gdyż jest rzeczą możliwą i całkiem wykonalną, że z biegiem czasu 175 zostanie cesarzem, jak powiada, a co najmniej arcybiskupem lub jakimś innym rów- norzędnym dostojuńnikiem. Na to

odpowiedział Sanczo:

- Panowie, jeśli fortuna potoczy sprawy tak, że panu memu przyjdzie chęć być nie cesarzem, lecz arcybiskupem, chciałbym od razu wiedzieć, co zwykli dawać arcybiskupi błędni swym giermkom.

- Zwykli dawać im — odpowiedział proboszcz — jakieś beneficja lub plebanie czy też jakąś zakrystię o dobrych stałych dochodach, nie licząc ubocznych wpływów, które zwykle drugie tyle

wynoszą.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Ale na to potrzeba - odparł Sanczo - aby giermek nie był żonaty i co naj- mniej umiał służyć do mszy. A jeśli tak, biada mnie, który jestem żonaty i ani ABC nie umiem! Co będzie ze mną, jeśli przyjdzie memu panu chętka zostać arcybiskupem, a nie cesarzem, jak to jest w zwyczaju błędnych rycerzy? - Nie kłopoczcie się, przyjacielu Sanczo - rzekł balwierz - oto poprosimy waszego pana i poradzimy mu, a nawet na sumienie mu położymy, aby został cesarzem, a nie arcybiskupem, co będzie znacznie łatwiej, zważywszy, że jest bardziej waleczny niż uczony.
- I mnie się tak zdawało - odparł Sanczo - choć we wszystkim jest biegły. Co do mnie, prosić będę Pana Boga, aby go wiódł tam, gdzie dla niego najlepiej i gdzie będzie mógł najsowiciej wynagrodzić.
- Mówicie roztropnie - rzekł proboszcz - postąpicie jak dobry chrześcijanin. Przede wszystkim teraz trzeba postarać się jak najrychlej pana waszego z owej nie- fortunnej pokuty wywieść, którą, jak mówicie, odprawia. Ażeby się namyślić, w jaki sposób mamy to zrobić, a także, aby coś zjeść, na co jest czas, dobrze będzie wejść do tego zajazdu. Sanczo powiedział im, aby weszli sami, on zaś zaczeka na dworze, a później powie im, jaka jest przyczyna, że nie wszedł ani nie godzi mu się wejść do wnętrza. Ale prosił ich, aby mu coś do zjedzenia przynieśli, i to coś ciepłego, a także i obroku dla Rosynanta. Oni zaś weszli i zostawili go, a po chwili balwierz wyniósł mu posiłek. Po czym, kiedy namyślali się pospołu obydwaj nad sposobem, w jaki usku- tecznici by mogli swoje zamierzenia, przyszła proboszczowi myśl bardzo zastosowana do smaku Don Kichota i do ich zamiarów. Rzekł balwierzowi, że chce się przebrać za młodą dziewczę, on zaś powinien przebrać się, jak może najlepiej, za jej giermka, i w ten sposób udadzą się na miejsce, gdzie Don Kichote przebywa, zmyślając, że to pewna dziewczyna stroskana i potrzebująca pomocy prosi go o łaskę, której nie będzie mógł jej odmówić jako dzielny błędny rycerz; zaś łaską, o jaką

Don Kichote - Miguel Cervantez

prosić zamierza, będzie, aby pojechał z nią tam, gdzie ona go zawiedzie, naprawić krzywdę wyrządzoną jej przez pewnego niegodziwego rycerza, i błagać go będzie również, aby nie domagał się zdjęcia zasłony z twarzy ani też niczego od niej nie żądał, póki nie pomści się na owym niecnym rycerzu. Spodziewał się proboszcz, że bez wątpienia Don Kichote zgodzi się na wszystko, o co go w ten sposób poproszą, i tak wywiodą go stamtąd i do wioski swej zaprowadzą, a tam spróbowią wyleczyć go z jego dziwacznego szaleństwa. 176

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

jak proboszcz i cyrulik zamysł swój wprowadzili w czyn oraz o innych sprawach godnych opowiedzenia w tej ważnej historii

Balwierzowi pomysł proboszcza nie wydał się zły, ale raczej tak dobry, że zaraz wzięli się do dzieła. Poprosili gospodynę o spódnicę i czepiec, dając jej w zastaw nową sutannę proboszcza. Balwierz sporządził sobie wielką brodę z ogo- na siwego czy rudego wołu, na którym oberzysta zwykły był zawieszać grzebień. Gospodynia zapytała, na co im potrzebne te rzeczy. Proboszcz w krótkich słowach opowiedział im obłęd Don Kichota i wytłumaczył, że potrzebuje tego przebrania, aby go wyciągnąć z gór, gdzie w tej chwili przebywa. Łatwo odgadli gospodarz i gospodynia, że owym szaleńcem był ich gość od balsamu i pan huśtanego giermka, opowiedzieli więc proboszczowi wszystko, co zaszło, nie kryjąc tego, co zataił Sanczo. W końcu gospodynia ustroiła proboszcza tak, że nie można lepiej: włożyła mu spódnicę sukienną z licznymi

Don Kichote - Miguel Cervantez

plisami z czarnego aksamitu na dłoń szerokości, pięknie wystrzępionymi, oraz zielony aksamitny gorset zdobnie lamowany białym atłasem; spódnica i gorset zdawały się pochodzić z czasów króla Wamby'. Nie chciał proboszcz włożyć czepca na głowę, ale włożył czapeczkę płocienną pikowaną, którą nosił do spania na noc, i czoło przewiązał sobie opaską z czarnej tafty; a z drugiej zrobił sobie zasłonę, którą dobrze zakrył brodę i twarz; nasadził na to swój kape-lusz tak wielki, że mógł służyć za parasol, i owinąwszy się płaszczem, wsiadł na muła po kobiecemu, balwierz zaś na swego, z brodą, która sięgała mu do pasa, ni to siwa, ni ruda, gdyż, jak się rzekło, zrobiona była z ogona płowego wołu. Pożegnali się ze wszystkimi, a także z poczciwą Maritornes, która obiecywała odmawiać ró- żaniec, choć grzeszna, aby Bóg dał pomyślny koniec tak trudnemu i chrześcijańskiemu dziełu, jakie podjęli. Ledwie wyjechali z zajazdu, gdy plebanowi przyszło

na myśl, że źle uczynił, przebierając się w ten sposób i nieprzystojną rzeczą jest, aby duchowny tak się odziewał, choćby dla ważnej sprawy. Powiedział o tym bal-wierzowi i poprosił go, aby szatki zamienili, ponieważ stosowniej będzie jemu stać się dziewczycą w potrzebie, księdzu zaś gierkiem, mniej w ten sposób godności swej uchybi; a gdyby tego uczynić nie chciał, on postanowił nie ruszyć się krokiem, choć- by Don Kichota miał diabeł porwać. Na to nadszedł Sanczo i widząc ich obu w ta- kim przebraniu, nie mógł powstrzymać śmiechu. Oczywiście, balwierz zgodził się na wszystko, co chciał proboszcz, a zmieniając pomysł, pleban pouczał go, jak się ma

zachować i jakimi słowy przemawiać do Don Kichota, by go wzruszyć i skłonić do wyjechania z nim razem i porzucenia miejsca, które sobie upodobał i obrał na swą niepotrzebną pokutę. Balwierz odpowiedział, że i bez tego pouczenia dobrze da sobie radę. Jednak nie chciał przebierać się od razu, póki nie zbliżą się do miejscowości, gdzie przebywał Don Kichote, więc włożył własne szaty, zaś pleban przyczepił Powiedzenie to ma tutaj sens: „z czasów króla Ćwieczka”.

177

sobie brodę i pojechali dalej w drogę, prowadzeni przez Sanczo Pansę; ten opowiadał im zdarzenie z szaleńcem, którego w górach spotkali, przemilczając jednak znalezienie sepeciku i jego zawartości, bo poczciwiec, choć głupawy, był nieco chciwy. Na drugi dzień przybyli tam, gdzie Sanczo porozrzutał drogowskazy z gałązek, aby trafić na miejsce, gdzie zostawił swego pana; poznawszy je, powiedział im, że tedy się wjeżdża i że mogą się przebrać, jeśli to jest wskazane dla uwolnienia jego pana; uprzednio bowiem powiadomili go o zamiarze przebrania się, aby wyzwolić jego pana z tego niegodnego życia, jakie obrał; nakazali mu usilnie, by nie mówił panu, kim byli ani że ich zna; a jeśli się go zapyta, co niezawodnie uczyni, czy oddał list Dulcynei, ma odpowiedzieć, że tak, jeno ona, nie umiejąc czytać, dała ustną odpowiedź, mówiąc, iż rozkazuje mu pod karą niełaski, aby natychmiast i bez zwłoki przybył zobaczyć się z nią w bardzo ważnej sprawie. W ten sposób i przez to, co

Don Kichote - Miguel Cervantez

zamierzali mu powiedzieć, niemal byli pewni, że sklonią go do lepszego życia i dopną tego, że zaraz uda się w drogę, aby zostać cesarzem czy monarchą, i że nie ma obawy, aby miał zostać arcybiskupem. Wszystkiego wysłuchał Sanczo i dobrze sobie wbił w pamięć, dziękując im, że zamierzali doradzić jego panu, aby

raczej został cesarzem, a nie arcybiskupem, przekonany był bowiem, że cesarze zdolni są lepiej wynagradzać giermków niż błędni arcybiskupi. Również, rzekł im, byłoby dobrze, by pojechał przodem, poszukał pana i przekazał mu odpowiedź jego pani, a to wystarczy, aby go z tego miejsca wyrwać bez zadawania sobie tak wiel-

kiego trudu. Przyznali Sanczo Pansie słuszność i postanowili przeto poczekać, póki nie wróci z zawiadomieniem, że znalazł swego pana. Sanczo wjechał w wąwozy górskie, zostawiając obu w jednym z nich, gdzie

płynął spokojny strumyk i gdzie kilka skał i drzew tam rosnących dawało cień miły i świeży. Kiedy przybyli na to miejsce, był upał dnia sierpnioowego, wtedy w tych stronach żar zwykły być największy; była godzina trzecia po południu; wszystko to czyniło najmilszym owo miejsce i zapraszało do oczekiwania tutaj powrotu San- cza, co też uczynili. Gdy więc tam obaj odpoczywali w cieniu, doszedł ich uszu głos, który bez towarzyszenia jakiegokolwiek innego instrumentu brzmiał słodko i rozkosznie, co zdumiewało ich bardzo, gdyż zdawało się, że w takim ustroniu nie można znaleźć nikogo, kto by tak dobrze śpiewał. Lubo bowiem zwykło się mawiać, że w lasach i polach spotyka się pasterzy z pierwszorzędnym głosem, ale są to raczej wymysły poetów niż

Don Kichote - Miguel Cervantez

prawda. Jeszcze bardziej zdumiali się, gdy usłyszeli, że owe śpiewy to wiersze, i to wcale nie sielskich pastuchów, ale jakby oświeconych dwo- raków. A prawdę tę potwierdziły wiersze, które usłyszeli:

Jaka mię dręczy moc
twarda? Pogarda.

Co wzmagia moje żałości?

Zazdrości.

Co gnębi moje
czekanie?

Rozstanie.

178

I tak już cierpię nieprzerwanie,
Nigdzie Lekarstwa nie znajduję,
Bowiem nadzieję każdą truje Pogarda,
zazdrość i rozstanie. Co rodzi serca
zawiłość? To miłość.

Kto sławie mojej
wrogi? Los
srogi.

A skąd mi
pociechy trzeba?
Z nieba.

Więc lękam się, że mi trzeba
Do ciemnej zstąpić mogiły,
Gdy przeciw mnie się zmówiły Miłość i los mój, i nieba.

Kto wiedzie na lepszą perć?

To śmierć.

Co koi miłości żałość?

Niestałosć.

Jakiż lek na męczeństwo?

Szaleństwo.

Więc to jest niepodobieństwo

Chcieć leczyć takie
choroby, Na nie
jedynie sposoby
Ma śmierć,
niestałość,
szaleństwo.

Godzina, pora, samotność, głos i umiejętność śpiewaka wzbudziły zachwyt i zadowolenie w dwóch słuchaczach, którzy trwali w milczeniu, czekając, zali cze- goś jeszcze nie usłyszą, ale widząc, że cisza trwa dugo, postanowili wyjść na po- szukiwanie muzyka, który tak pięknym głosem śpiewał. I kiedy już mieli to w czyn wprowadzić, ten sam głos ich powstrzymał, bo ponownie doszedł ich uszu, śpiewa- jąc taki sonet:

Sonet

Święta przyjaźni, co lekkimi pióry,
Pozostawiając swój pozór na ziemi,
Wzlatujesz w niebo z duszami świętymi,
Wesoło wschodzisz w zaświatowe chóry
I stamtąd kreślisz, jakie chcesz, kontury {
Pokoju mgłami zakryte lekkiemi,
Przez które niebo błyska skrami swemi Dzieł
dobrych, których koniec tak ponury. 179

Porzuć już niebo, o przyjaźni święta.
Nie pozwól, aby oszustwo w twe szaty,
By szczerość zmylić, nędznie się stroiło,
Gdy mu twa postać nie ma być odjęta,
Wkrótce na ziemię przyjdzie dzień zatraty Zginie
zmieciona nieprawości siłą. Śpiew urwał się
głębokim westchnieniem i dwaj słuchacze
natężali uwagę, wyczekując, zali więcej śpiewać
nie będzie; ale widząc, że śpiew zmienił się w
szloch i żałosne skargi, postanowili dowiedzieć
się, kim był ów nieszczęsny, którego głos był tak
boleściwy w jękach; niedaleko uszli, kiedy

Don Kichote - Miguel Cervantez

ominawszy występ skalny, ujrzeli człowieka tej samej postaci i oblicza, jak im Sanczo Pansa opisał w opowiadaniu o Kardeniu; człowiek ten, ujrzał ich, nie zmieszał się, lecz stanął z głową na piersi zwieszoną, jak zamyślony, nie podnosząc oczu, aby ponownie spojrzeć na tych, którzy go zaskoczyli. Proboszcz, człek bardzo wymowny, który już wiedział o jego nieszczęściu, poznawszy go z zewnętrznych oznak, zbliżył się doń i w krótkich a rozumnych słowach prosił go i przekonywał, aby porzucił to nędzne życie i nie marnował go tu, co byłoby najgorszym z nieszczęść. Kardenio był naówczas przy zdrowych zmysłach, wolny od napadów szalu, jaki go często przytomności pozbawiał; widząc zaś tych dwóch ludzi w stroju tak różnym od tego, jaki zwykło się w tych pustaciach spotykać, zdziwił się mocno, tym bardziej kiedy usłyszał, że

mówią o jego sprawach jako o rzeczy znanej (tego bowiem dowiodły mu słowa proboszcza), więc odpowiedział w ten sposób:

- Widzę dobrze, panowie, kimkolwiek jesteście, że niebo, które opiekuje się godnymi, a także niejednokrotnie i niegodnymi, zsyła mi, choć nie zasłużyłem na to, w te tak głucho miejsca, odległe od szlaku ludzkiego, jakieś osoby, które przedkładają mi jasno, żywymi i rozmaitymi słowy, jak zbawion jestem rozumu, pędząc takie życie, i starają się mię stąd wyciągnąć i odprowadzić w lepsze strony; ale po nieważ nie wiedzą, że wyszedłszy z tego niebezpieczeństwa, naraziłbym się na inne, jeszcze większe, może uważają mię za człowieka niespełna rozumu, a

Don Kichote - Miguel Cervantez

nawet co gorsze, pozbawionego go zupełnie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyż mnie samemu świata, że siła, z jaką sobie nieszczęścia me przedstawiam, jest tak wielka i tak do zguby mię przywodzi, że nie będąc w stanie jej przewyciążyć, trwam tu jak głaz pozbawiony wszelkiego czucia i rozeznania. I zdaję sobie sprawę z tej prawdy, kiedy ktoś mówi mi i wskazuje dowodnie na uczynki moje popełnione niewolnie w stanie tego strasznego obłędu; mogę tylko daremnie boleć i przeklinać na próżno mój los, a na usprawiedliwienie mych szaleństw opowiedzieć ich przyczynę tym, którzy słuchać zechcą; bowiem ludzie rozsądni, poznawszy tę przyczynę, nie zdziwią się jej skutkami, a jeśli nie znajdą lekarstwa, to przynajmniej nie obwinią mię i wstręt do mych szaleństw zamienią na litość nad mym nieszczęściem. A jeśli wy, panowie, w tej samej intencji przychodzicie, jak już to inni czynili, zanim przejdziecie do waszych mądrych przedłożeń, błagam, posłuchajcie opowieści

180 o moich nieszczęsnich przygodach, myślę bowiem, że wysłuchawszy jej, oszczędzicie sobie trudu pocieszania niedoli, na którą żadnej pociechy być nie może. Obaj podróżni, którzy niczego innego nie pragnęli, jak z własnych jego ust usłyszeć przyczynę jego niedoli, prosili go, aby ją opowiedział, przypiekając, że nie przedsięwezmą niczego, czego

Don Kichote - Miguel Cervantez

by sobie nie życzył, aby go uleczyć i pocieszyć. Wówczas smętny szlachcic zaczął swą żałosną historię prawie w tych samych słowa- wach i zdaniach, jak ją opowiadał kilka dni temu Don Kichotowi i koziarzowi, kie- dy to na wzmiankę o mistrzu Elisabacie i z powodu zbytniej dbałości Don Kichota o zachowanie przystojności rycerskiej powieść została przerwana, o czym wyżej opowiedziała historia. Ale teraz dobry los chciał, że atak szaleństwa nie przyszedł, i dał mu możliwość opowiedzenia jej do końca. Doszedłszy więc do wzmianki o bi- leciku, jaki znalazł Don Fernando między kartkami Amadisa z Galii, Kardenio rzekł, iż pamięta go dobrze, zawierał on następujące słowa:

Lucynda do Kardenia

Co dzień odkrywam w was zalety, które skłaniają mnie i zmuszają do większego dla was szacunku, przeto jeśli chcielibyście dać mi sposobność uiszczenia się z dlu- gu bez uszczerbku dla mej czci, możecie to łatwo uczynić. Ojciec mój was zna, a mnie miłuje bardzo, zapewne, nie przymuszając mej woli, spełni, co słusznie uczy- nicie, jeśli istotnie szanujecie mnie, jak twierdzicie, a czego jestem pewna. - To był ów bilecik, który skłonił mnie do oświadczenia się o rękę Lucyndy, jak już opowiadałem, i dzięki któremu Don Fernando powziął mniemanie, że jest ona jedną z najdelikatniejszych i najrozumiejszych niewiast swego czasu; ten bilecik też wzbudził w

Don Kichote - Miguel Cervantez

nim pragnienie zniszczenia mnie, zanim mój zamysł spełnię. Powiedziałem Don Fernandowi, czego żądał ojciec Lucyndy, a mianowicie, aby mój ojciec poprosił o jej rękę, o czym mu nie śmiałem powiedzieć, lękając się odmowy, nie dlatego, by niejawne mu były zalety, dobroć, cnota i pięknoś Lucyndy, która posiadała dość przymiotów, aby przynieść zaszczyt jakiemukolwiek innemu rodu- wi Hiszpanii, ale ponieważ zrozumiałem, że nie chciał, abym żenił się zbyt wcześnie- nie, zanim nie dowie się, co książę Ryszard dla mnie postanowi. Powiedziałem mu tedy, że nie odważyłem się powiadomić o tym ojca, zarówno z tego powodu, jak dla wielu innych przeszkód, które odbierały mi odwagę, choć nie byłem ich świadom; tak że straciłem już nadzieję, aby mogły się spełnić kiedykolwiek moje marzenia. Na to wszystko odpowiedział mi Don Fernando, że on podejmuje się rozmówić z mym ojcem i nakłonić go, aby się porozumiał z ojcem Lucyndy. O pyszny Mariusz! O okrutny Katylino! O zbrodnicy Sullo! O podstępny Galalonie! O zdradziecki

Vellido! Mściwy Julianie! Chciwy Judaszu!
Zdrajco okrutny, mściwy, podstępny! Jakąż krzywdę wyrządził ci nieszczęśnik, który z taką szczerością odkrył ci tajemnice i upodobania swego serca? Czymże cię obraziłem? Jakie wypowiedziałem słowa i jakich rad użyczyłem, które by na celu nie miały większej twej czci i korzyści? Ale na cóż się żałę, o ja nieszczęsny? Pewne jest bowiem, że kiedy nieszczęścia z gwiazd biorą początek i spadają z góry, zwalając się ze wściekłością i siłą, nie masz na ziemi potęgi, która by je powstrzymać mogła, ani zmyślności ludzkiej, która

181 by im zdołała zapobiec. Któż mógłby wyobrazić sobie, że Don Fernando, rycerz sławny, mądry, zobowiązany przez me usługi, który mógł zadowolić swe żądze miłości-

Don Kichote - Miguel Cervantez

gdziekolwiek by chciał, zdoła się tak zapalić (jak to się mówi), aby mi powrócić jedyną owieczkę, której nawet jeszcze nie posiadłem? Ale zostawmy te rozwązania jako bezużyteczne i niepotrzebne i nawiążmy zerwany wątek mej żałosnej historii. Mówię tedy, że Don Fernando, przekonany, iż moja obecność przeszkadza mu w wypełnieniu zdradzieckiego i niegodziwego zamysłu, postanowił wysłać mnie do starszego brata pod pozorem prośby o pewną kwotę na zapłacenie sześciu koni, które zakupił naumyślnie i jedynie w tym celu, aby mnie oddalić (i aby tym lepiej

swój przeklęty pomysł przeprowadzić); tego samego dnia, kiedy ofiarował się rozmawiać z mym ojcem, zażądał, abym po pieniądze się wyprawił. Zali mogłem przewidzieć taką zdradę? Zali mogłem zgoła przypuścić, że jest możliwa? Nie, zaiste, przeciwnie, z największą ochotą gotów byłem zaraz jechać, zadowolony z dobrego kupna, jakie przeprowadził. Tej samej nocy mówiłem z Lucyndą i rzekłem jej, co z Don Fernandem ułożyłem i jaką mam silną nadzieję, iż nasze zacne i godziwe kochanie odniesie zwycięstwo. Ona, podobnie jak ja, nie domyślając się zdrady Don Fernanda, poleciła mi, abym starał się rychło powrócić, wierzy bowiem, że nasze pragnienia spełnią się bez zwłoki, skoro tylko mój ojciec rozmówi się z jej rodziną. Nie wiem, co to było, ale kiedy te słowa wyrzekła, oczy jej napłoniły się łzami i tak ją za gardło ścisnęło, że słowa nie mogła przemówić, choć

Don Kichote - Miguel Cervantez

miała, jak mi się zdawało, jeszcze wiele mi do powiedzenia. Zdumiała mię ta nowa przypadłość, dotąd nigdy u niej niespotykana, rozmawialiśmy bowiem często, ilekroć szczęśliwy traf i mój spryt na to pozwolił, zawsze bardzo radośni i zadowoleni, bez domieszki lez, westchnień, zazdrości, podejrzeń czy lęków. Wdzięczny byłem losowi, że niebo dało mi ją za panią; wynosiłem jej piękność, podziwiałem jej cnotę i rozum. Ona odpłaciła mi, chwaląc we mnie to, co jej, jako zakochanej, zdawało się godnym pochwał. Więc opowiadaliśmy sobie sto tysięcy błahostek i zdarzeń dotyczących naszych sąsiadów i znajomych; a śmiałość moja ograniczała się jedynie do tego, aby, niby przemocą, porwać jedną z jej białych i pięknych rąk i podnieść do ust o tyle, o ile na to pozwalała gęstość niskiej kraty, która nas dzieliła. Ale tej nocy, która smutny dzień mego odjazdu poprzedziła, ona płakała, jęczała, wzrychała i odeszła, zostawiając mię w pomieszaniu i niepokoju, przestraszonego tymi niezwykłymi u Lucyndy i tak smutnymi objawami bolesci i uczucia; aby nie tracić nadziei, kładłem wszystko na karb wielkiej miłości, jaką ku mnie żywiała, i bólu, jaki musi budzić rozłąka dwojga bardzo kochających się ludzi. W końcu odjechałem smutny i zamyślony, z duszą pełną podejrzeń i lęków, nie wiedząc sam, co podejrzewam i roję; były to jasne przeczucia zwiastujące smutny koniec i nieszczęścia, jakie mię czekały. Przybyłem do miejscowości, dokąd mię wysłano, i oddałem listy bratu Don Fernanda, który mię dobrze przyjął, ale nie od razu wyprawił, polecił mi bowiem czekać (co mi nie w smak było) tydzień cały, i to w miejscu, gdzie by

Don Kichote - Miguel Cervantez

mię książę, jego ojciec, dostrzec nie mógł, ponieważ
brat mu pisał, aby mu przysłał pewną sumę
 pieniędzy bez wiedzy ojca; wszystko to było
 wymysłem fałszywego Don Fernan- da, nie brakło
 wszak jego bratu pieniędzy i mógł mieć od razu
 odprawić. Rozkaz ten i polecenie były takie, że nie
 miałem ochoty ich posłuchać, zdawało mi się
 bowiem, 182⁸Fł

że nie zdzierzę tyle dni pozbawiony widoku
 Lucyndy i daleko od niej, zostawiwszy ją w
 smutku, jak się rzekło; ale poddałem się temu jako
 dobry dworzanin, choć wiedziałem, że stanie się
 to ze szkodą dla mego zdrowia. Aliści w cztery
 dni po moim

przybyciu zjechał jakiś człowiek, który mnie odszukał i oddał mi list, zaś ja z adresu
 odgadłem, że był to list od Lucyndy, gdyż jej
 to było pismo. Otworzyłem go z lę-
 kiem i drżeniem, uważając, że musi ważną być sprawa, która ją
 skłoniła napisać do nieobecnego, rzadko to bowiem czyniła,
 kiedy byłem blisko. Zanim zacząłem czy- tać, wypytałem
 owego człowieka, kto mu list wręczył i ile dni był w drodze.
 Rzekł mi, że kiedy przypadkiem przechodził ulicą miasta w
 samo południe, jakaś pani, bardzo piękna, przywołała go z okna,
 z oczyma pełnymi łez, i bardzo spiesznie rze- kła: „Bracie, jeśli
 jesteś chrześcijaninem, jak się zdaje, na miłość Boga was bła-
 gam, wypraw się natychmiast i odnieś ten list do miejscowości i
 osoby wskazanej na adresie; jedno i drugie jest dobrze znane,
 zasłużysz sobie bardzo przed Bogiem, aby zaś nie brakło ci
 środków do wypełnienia tego, weź to, co się w tej chusteczce
 znajduje». To mówiąc, rzuciła mi przez okno chustkę, w której
 zawiniętych było sto realów i ten pierścień złoty, który
 przynoszę wraz z listem, jaki wam oddałem. Zaraz też, nie
 czekając na mą odpowiedź, odeszła od okna; ale przedtem
 widziała, że podniosłem list i chustkę i uwiadomiłem ją za

Don Kichote - Miguel Cervantez

pomocą znaków, że uczynię, co mi poleciła. Widząc się tak dobrze wynagrodzonym za trud, którego się podjąłem, aby to wam zanieść, i poznawszy z adresu, że to wy jesteście tym, do którego list był wysłany -jako was, panie, znam dobrze - a także skłoniony łzami owej pięknej pani, postanowiłem nie spuszczać się na nikogo, tylko udać się sam, aby go wam wręczyć i w szesnaście godzin od otrzymania listu przebyłem drogę, która, jak wiecie, liczy osiemnaście mil". Podczas kiedy mi to ów grzeczny i nieznany posłaniec mówił, wisiałem oczy - ma na jego wargach, a nogi pode mną drżały tak, że zaledwie utrzymać się mogłem.

W rzeczy samej, otworzywszy list, zobaczyłem, iż zawierał te słowa: Don Fernando dotrzymał danego wam słowa, że rozmówi się z waszym ojcem, by ten porozumiał się z moim, ale uczynił to raczej, jak się jemu podobało niż dla waszej korzyści. Dowiedziecie się, panie, że zażądał mojej ręki, a ojciec mój, przeszwydzony o wyższości Don Fernanda nad wami, zgodził się na jego prośbę tak dalece, że od dziś za dwa dni ma się odbyć ślub tajemny i bez świadków innych niż niebo i kilku domowników. W jakim stanie jestem, wyobraźcie sobie; osądźcie, czy powrót wasz jest wskazany, zaś czy miuję was, czy nie, okaże wynik całej sprawy. Niech Bóg zrzadzi, aby ten list doszedł rąk waszych, zanim moja będzie zmuszona połączyć się z ręką tego, który tak źle dochowuje przyczepionej wiary. Oto były słowa zawarte w liście, kazały mi one natychmiast wyruszyć w drogę, nie czekając ani na odpowiedź, ani na pieniądze; przekonałem się bowiem jawnie wówczas, że nie dla zakupu koni, ale dla zaspokojenia swej żądzy wysłał mię Don Fernando do brata. Gniew, jaki mię porwał na Don Fernanda, oraz lęk, aby nie stracić nagrody, jaką zdobyłem

Don Kichote - Miguel Cervantez

tyloma latami wysługi i miłości, dodały mi
skrzydeł; więc w lot następnego dnia stanąłem
w mym mieście o godzinie stosownej, aby
183 pomówić z Lucyndą. Wszedłem

potajemnie, zostawiając muła, na którym

przybyłem, w domu poczciwca, który mi list

doręczył. I chciał los, podówczas dla mnie

łaskawy, że zastałem Lucyndę stojącą kraty,

świadadka naszego kochania. Lucynda poznała

mię zaraz i ja ją poznałem, ale nie tak, jak ona

powinna była mię poznać, a ja ją. Któż na

świecie może się pochwalić, że przeniknął i

poznał chwiejną myśl i niestałą naturę

niewieścią? Zaiste nikt. Mówię więc, że ledwie

Lucynda mię ujrzała, rzekła: „Kardenio,

jestem na ślub przystrojona; już mnie w sali

czeka Don Fernando zdrajca i chciwy mój

ojciec z kilkoma świadkami, którzy będą raczej

świadadkami mej śmierci niż ślubu. Bądź

spokojny, przyjacielu, ale postaraj się być obec-

Don Kichote - Miguel Cervantez

nym przy tej ofierze; jeśli słowa nie wystarczą,

aby jej przeszkodzić, mam sztylet

ukryty, który powstrzymać zdoła najbardziej stanowczą przemoc, zadając kres memu życiu, a tobie da poznać miłość,

jaką dla cię żywiałam i żywię". Odpowiedziałem

w pomieszaniu i pośpiechu z obawy, że mi czasu zabraknie na odpowiedź: „O pani, niech czyny twe dowiodą prawdy tych słów, jeśli ty nosisz sztylet, aby zjednać sobie wiarę, ja noszę szpadę, aby cię bronić lub siebie zabić, jeśli los będzie nam przeciwny". Nie sądzę, aby mogła wszystkich tych słów wysłuchać, bo, jak usłyszałem, odwołano ją, nagląc, że oblubieniec czeka. Tak zamknęła się noc mego smutku, zaszło słońce mej radości; oczy me zostały pozbawione światła, a rozum świadomości. Nie mogłem zdobyć się na to, by wejść do jej domu ani poruszyć się z miejsca; ale rozważywszy, jak ważna jest ma obecność ze względu na to, co mogło się zdarzyć, przywołałem całą mą odwagę i wszedłem do wnętrza; a ponieważ znałem dobrze wszystkie wejścia i wyjścia, a zwłaszcza że z powodu tajnego zamętu, jaki tam wówczas panował, nikt mię nie spostrzegł; więc niedostrzeżony, zdołałem się ukryć w niszy okna sali zasłoniętej dwiema fałdzistymi kotarami, między którymi mogłem widzieć, nie będąc sam widziany, wszystko, co się w sali odbywało. Któż wyrazić zdoła, jak mi się serce tłukło, kiedy tak stałem, jakie przelatywały mi myśli i rozważania, których było tak wiele i takie, że ani wypowiedzieć ich nie można; ani nie byłoby dobrze, aby zostały wypowiedziane! Dość, jeśli wiedzieć będziecie, że nowożeniec wszedł do sali nie przyodziany odważnie, lecz w zwykłych codziennych szatach. Jako świadka przyprowadził stryjecznego brata Lucyndy i w całej sali nie było nikogo obcego krom służby domowej. Po chwili z gotowalni wyszła Lucynda w towarzystwie matki i dwu panien służebnych, przystrojona i odziana, jak na to jej ród i piękność zaslugiwały i jak osoba, która była doskonałością wdzięku i dwornej wielkoduszności. Napięcie i uniesienie nie pozwoliło mi widzieć i zapamiętać w szczegółach, jak była odziana;

Don Kichote - Miguel Cervantez

rozróżniłem jedynie barwy: róż i biel oraz blask, jaki rzucały drogie kamienie i klejnoty czepca i całej szaty, lecz wszystko gasiła niezwykła piękność jej wspaniałych złotych włosów, takich, że walcząc o lepsze z drogimi klejnotami i światłem czterech pochodni oświetlających salę, wiek- szym blaskiem jeszcze olśniewały oczy. O pamięci, śmiertelna nieprzyjaciołko mego spokoju! Po cóż przedstawiąć mi dziś nieporównaną piękność uwielbianej nieprzy- jaciółki mojej? Czyż nie lepiej, okrutna pamięci, abyś mi przypomniała i przedsta- wiła, co wówczas uczyniła, abym pobudzony tak jawną krzywdą szukał, jeśli nie zemsty, to śmierci? Niech was, panowie, nie nużą owe odstępowania od wątku, 184 bowiem nieszczęście me nie jest tego rodzaju, aby je można opowiedzieć krótko i pobicieżnie, lecz każdy szczegół zdaje się godny długiego wywodu. Na to odpowiedział proboszcz, że nie tylko się nie znużyli, słuchając, ale że z wielką ochotą słuchali szczegółów, jakie opowiadał, a były one tego rodzaju, że nie zasługiwały na pominięcie, lecz na taką samą uwagę, jak główny wątek. - Mówię więc - ciągnął dalej Kardenio - że kiedy wszyscy byli w sali, wszedł proboszcz tej parafii i wziąwszy ich oboje za ręce, jak tego obrządek wymaga, rzekł: „Czy chcesz, pani Lucyndo, pana Don Fernanda tu obecnego za prawowitego męża, wedle praw świętej matki Kościoła?". Wysunąłem całą głowę i szyję między zasło- ny i z natężonym słuchem i duszą wzburzoną czekałem, by usłyszeć odpowiedź Lucyndy, od tej odpowiedzi oczekując wyroku śmierci lub potwierdzenia życia. Och! Któż by wówczas odważył się być wyjść i krzyknąć: „Lucyndo! Ach, Lucyndo! Bacz, co czynisz! Pomyśl, coś mi winna, zważ,

Don Kichote - Miguel Cervantez

że jesteś moją i nie możesz do innego należeć!
Ostrzegam cię, że powiedzieć «tak» i zadać mi
śmierć to jedno. Ach, zdrajco Don Fernandzie,
rabusiu mojej czci, śmierci mego życia! Czegóż
chcesz? Do cze- go dążysz? Zważ, że nie możesz
po chrześcijańsku dojść do spełnienia swych pra-
gnień, bowiem Lucynda jest moją żoną, a ja jej
mężem". Ach, szaleniec ze mnie, teraz, kiedy
jestem daleko i bezpieczny, mówię, co trzeba
było czynić, a czego nie uczyniłem! Teraz, gdy
pozwoliłem sobie wydrzeć drogą zdobycz,
złorzeczę rabu- siowi, na którym mogłem się
pomścić, gdybym był miał wówczas dość
odwagi, aby

to uczynić, jak teraz, aby się żalić! W końcu, ponieważ wówczas byłem tchórzem i
głupcem, teraz słusznie umieram w
upadku, w żalu i szaleństwie. Pleban czekał na
odpowiedź Lucyndy, która długo zwlekała, i
kiedy ja myślałem, że dobywa sztyle- tu, aby
słów swych dowieść, i rozwiąże język, aby jakąś
prawdę wyrazić albo jakiś wybieg znaleźć, który
na moją korzyść wyjdzie, usłyszałem, jak
wyrzekła głosem słabym i omdlewającym:
„Tak, chcę", i to samo wyrzekł Don Fernando i
dał jej pierścionek, w ten sposób zostali
nierozdzielnym węzłem związanymi. Zbliżył się nowo-
żeniec, aby objąć swą żonę, zaś ona, rękę na
sercu położywszy, upadła zemdlna w ramiona
swojej matki. Pozostaje teraz opowiedzieć, co
się ze mną działo na owo

„tak", kiedy ujrzałem moje nadzieje wydrwione,
słowa i obietnice Lucyndy fałszy- we i
niemożność odzyskania kiedykolwiek szczęścia,
które w jednej chwili postra- dałem. Stałem
bezradny i, jak zdawało się, opuszczony przez

Don Kichote - Miguel Cervantez

niebo, wrogi ziemi, która mię nosiła, gdy powietrze odmawiało tchu moim westchnieniom, a woda wil- goci mym oczom, tylko ogień wzmagał się we mnie, tak że cały płonąłem wście- kością i zazdrością. Wszyscy zmieszali się omdleniem Lucyndy, matka odsłoniła jej pierś, aby jej powietrza przyczynić, znaleziono tam list ukryty, który Don Fer- nando zaraz porwał i zaczął czytać przy świetle pochodni; kiedy skończył, padł na krzesło, policzek oparł na ręku jak człowiek zamysłyony, nie troszcząc się o ratowa- nie małżonki, aby ją wyrwać z omdlenia.

Ja, widząc cały dom w poruszeniu, odważyłem się wyjść, czy mnie zobaczą, czy nie, gotów w razie dostrzeżenia taki rumor uczynić, że sprawiedliwe oburzenie mego serca poznałby cały świat dzięki karze wymierzonej fałszywemu Don Fer- nandowi, a nawet zemdlonej, zmiennej zdrajczyni; ale los mój (który mię na więk- sze nieszczęścia zachował, jeśli to możliwe, aby takie istniały) ocalił mię, sprawiw-

185

szy, że w tej chwili miałem aż zbytek rozsądku, którego mi teraz nie dostaje; i tak, nie usiłując mścić się na najgorszych mych wrogach (co wówczas było łatwe, nie spodziewali się mnie bowiem), postanowiłem wywrzeć zemstę na sobie i ukarać się tak surowo, jak oni na to zasłużyli, a nawet jeszcze srożej może niż ich, gdybym był

im wówczas śmierć zadał, bo ta, która nagle spotyka, kończy od razu boleść, zaś ta, która przedłuża się w udrękach, zabija ciągle,

a nie pozbawia życia. W końcu wyszedłem z tego domu i udałem się tam, gdzie zostawiłem muła; kazałem go osiąść i bez pożegnania wskoczyłem nań i wyjechałem z miasta, nie śmiejąc, niby drugi Lot, odwrócić twarzy, aby na nie spojrzeć; kiedy znalazłem się w szczerym polu sam i kiedy ciemność nocy mię okryła, a jej cisza do skarg zachęcała, nie bacząc i nie lękając się, że mię ktoś podsłucha lub pozna, podniosłem głos i rozwiązałem język, aby przeklinać Lucyndę i Don Fernanda, jakby te przekleństwa mogły pomścić krzywdę mi wyrządzoną. Nazywałem ją okrutną, niewdzięczną, fałszywą i bez serca, a nadewszystko chciwą, bowiem bogactwo mego wroga zamknęło oczy jej woli, aby mnie ją odebrać i oddać temu, dla którego fortuna okazała się bardziej szczodra i przychylniejsza; a w toku owych złorzeczeń i przekleństw usprawiedliwiałem ją, mówiąc sobie, że nie dziwota, jeśli córka żyjąca w takim odosobnieniu w domu rodziców, przywykła i przyzwyczajona do posłuszeństwa, chciała chęci ich zadośćuczynić; dawali jej przecie za męża pana tak dostojskiego, tak bogatego i tak szlachetnego, że gdyby go nie przyjęła, można by myśleć, że nie ma rozumu albo że ku innemu zwróciła swą chęć, co rozgłoszone przyniosłoby ujmę jej dobremu imieniu i czci. To znów mówiłem, że gdyby była oświadczyla, iż jestem jej mężem, przyznaliby, że nie uczyniła tak złego wyboru, aby jej nie rozgrzeszyć; nim się boję wiem Don Fernando zgłosił, sami nie mogli sobie życzyć (o ile by się kierowali rozsądkiem) lepszego męża dla swej córki niż ja; ona mogła zaś, zanim doszło do tej

Don Kichote - Miguel Cervantez

smutnej ostateczności oddania ręki, powiedzieć, że już ją mnie oddała, ja zaś byłbym się w to wmieszał i poświadczyl wszystko, co ona w tym wypadku byłaby wymyśliła. Wreszcie stwierdziłem, że słaba miłość, mały rozum, wielka ambicja i pragnienie wyniesienia kazały jej zapomnieć o słowach, jakimi mię okłamywała, utrzymując i ożywiając mię w silnych nadziejach i uczciwych pragnieniach. Z takim biadaniem i w takim niepokoju jechałem przez resztę nocy, zaś o świta- niu znalazłem się u wejścia do tych gór, w wąwozie, i jechałem nim przez dalsze trzy dni, bez ścieżki ni żadnej drogi, aż przybyłem na łąki rozciągające się na jednym z górskich stoków i tam zapytałem pasterzy, gdzie w tych górach znajduje się naj- dziksze miejsce. Odpowiedzieli mi, że w tej stronie. Zaraz też zwróciłem się w tym kierunku z zamiarem zakończenia tu życia; u wejścia do tych ostępów muł mój padł z wyczerpania i głodu albo też raczej, jak mniemam, aby się uwolnić od tak bezuży- tecznego brzemienia, jakie we mnie nosił. Pieszo, zupełnie wyczerpany, trawiony głodem nie miałem i nie myślałem szukać nikogo, kto by mógł mi pomóc. Padłem na ziemię i tak leżałem, nie wiem jak długo, po czym wstałem, nie czując głodu, i spotkałem w pobliżu kilku koziarzy, zapewne tych samych, którzy mię poratowali w potrzebie, opowiadałi mi bowiem, w jakim stanie mię znaleźli, jak mówiłem od Na niszczoną Sodomę obejrzała się żona Lota, za co została zamieniona w słup soli.

rzeczy i mającymi, dając jasny dowód, że straciłem rozum. Później zdałem sobie sprawę, że od tego czasu nie zawsze posiadam go w pełni, i to tak ukrócony i osła- bły, że popełniam tysiące szaleństw, rozdzierając szaty, wrzeszcząc w tych pusta- ciach, przeklinając mój los i powtarzając nadaremnie umiłowane imię mej nieprzy- jaciółki, nie mając wówczas innej myśli ni zamiarów, jak tylko umrzeć z tym woła- niem na ustach. A kiedy przychodzę do siebie, jestem tak wyczerpany i zmordowa- ny, że zaledwie poruszać się mogę.

Najczęstszym moim mieszkaniem jest dziupla dębu korkowego zdolna ukryć to mizerne ciało. Pasterze i koziarze, błądzący po górach, tknięci litością żywią mię, kładąc pożywienie na drogach i skałach, których, jak sądzą, przypadkiem przecho- dzę i mogę je znaleźć. I tak, choć wówczas brak mi rozumu, naturalna potrzeba sprawia, że rozpoznaję pokarm i budzi on we mnie chęć zaspokojenia głodu i ocho- tę zabrania go. Kiedy indziej -jak mi mówią, spotykając mię przy zdrowych zmy- słach - wypadam na drogi i choć mi żywność dają chętnie, gwałtem wydzieram pasterzom, którzy idą z wioski ku szałasom z zapasami. W ten sposób pędzę mnie nieszczęsne i niedzne życie, aż spodoba się niebu doprowadzić je do kresu albo za- bić we mnie pamięć, abym zapomniał o piękności i o zdradzie Lucyndy oraz o krzyw- dzie doznanej od Don Fernanda. Jeśli ziści to, nie odbierając mi życia, myśli me do lepszego biegu powrócią, w przeciwnym razie zostanie mi tylko prosić, aby miało

Don Kichote - Miguel Cervantez

pełną litość nad mą duszą; nie czuję bowiem w sobie ani odwagi, ani siły, aby ciało wydobyć z tego ucisku, któremu je z

własnej woli poddałem. Oto, panowie, gorzka historia mych nieszczęścia; powiedziecie, czy można ją było

wysłowić z mniejszym wzburzeniem, niż widzieliście we mnie, i nie starajcie się przekonywać mię i doradzać mi, co rozum wam podpowie jako skuteczne lekarstwo, bo na tyle przydałoby się to, co dobry lek przepisany przez słynnego lekarza choremu, który by go zażywać nie chciał. Nie chcę zdrowia bez Lucyndy, a skoro spodobało się jej należeć do innego, choć była i powinna była być moją, zadowolić się muszę nieszczęściem, lecz mogłem być szczęśliwy. Ona chciała przez swą niestałość niezawodnie mię zgubić, ja chciałbym, starając się zatracić, spełnić jej wolę. Niech będzie to przykładem dla wszystkich, którzy później żyć będą: brakło mi jedynie tego, co wszystkim nieszczęśliwym pozostaje; im pociechą jest niemożność osiągnięcia, a we mnie właśnie to jest przyczyną najboleńszych uczuć i nieszczęścia, ponieważ myślę, że nie skończą się

nawet ze śmiercią. Tu Kardenio zakończył swą długą opowieść i swą tak nieszczęśliwą miłosną

historię i kiedy proboszcz przygotowywał się, aby mu rzec kilka słów pociechy, przeszkodził mu w tym głos jakiś, który doszedł do jego uszu, a który w żałosnym tonie opowiadał to, o czym dowiemy się w Księdze czwartej tej powieści. W tym miejscu bowiem mądry i roztropny historyk Sidi Hamet Ben Engeli Księgę trzecią zakończył. 187

KSIEGA CZWARTA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

opowiada o nowej a miłej przygodzie, jaką spotkała proboszcza i cyrulika w tych samych górach

Don Kichote - Miguel Cervantez

Jakże bardzo szczęśliwe i pomyślne były czasy, kiedy przyszedł na świat naj- odważniejszy rycerz Don Kichote z Manczy! Powziął on bowiem nader chwalebny zamiar wskrzeszenia i przywrócenia świata zaginionego już i prawie zamarłego zakonu błędnego rycerstwa; radujemy się oto dziś, w naszym wieku tak pozbawionym wesołych rozrywek, nie tylko smakowitością jego prawdziwej historii, ale również opowiadaniami i epizodami w niej zawartymi, na ogół nie mniej od niej samej przyjemnymi, kunsttownymi i prawdziwymi, ona zaś, snując dalej swą czesaną, zwianą i krzyżowaną nić, opowiada, że właśnie kiedy proboszcz zabierał się pocieszyć Kardenia, przeszkodził mu głos jakiś, który uszu ich doszedł, a pełen smutku tak się żalił:

- O Boże! Zali naprawdę to miejsce stać się może ukrytym grobem ciała, którego ciężkie brzemię wbrew swej woli dźwigam? Tak się i stanie, jeśli niekłamana jest samotność obiecywana mi przez te góry! Górze mi! O ile milsze zamysłom moim jest towarzystwo owych skał i zarośli, które dają mi możliwość niebu niedolę mą w skargach powierzać, niżli obecność jakiejkolwiek istoty ludzkiej; nie masz bo-

wiem na ziemi nikogo, od kogo spodziewać by się można rady w niepewności, pociechy w skargach, leku w nieszczęściach.

Wszystkie te słowa słyszeli dokładnie proboszcz i jego towarzysze, a ponieważ zdawało im się - jak istotnie było - że wypowiedział je ktoś w pobliżu, powstali, aby go odszukać. Nie uszli i dwudziestu kroków, gdy za skaliskiem, u stóp jesionu, ujrzeliby siedzącego chłopca w wieśniaczym ubraniu;

twarz jego jednak dostrzec nie zdołali, trzymał ją bowiem pochyloną, myjąc nogi w strumieniu tamte- dy płynącym. Podeszli tak cicho, że ich nie spostrzegł, całą uwagę miał skupioną na obmywaniu swych stóp, które zdawały się być dwoma kawałkami białego krysz- tału, zrodzonymi pośród innych kamieni strumienia. Zadziwiła ich piękność i bia- łość tych nóg, które nie zdawały się stworzone, by stąpać po bruzdach ni chodzić za pługiem i wołami, jakby na to wskazywał przyodziewek chłopca. Widząc, że nie zostali zauważeni, proboszcz, idący przodem, dał znak, aby dwaj inni przyczaili się 191 i ukryli za jedną ze skał tam się znajdujących. Tak też uczynili, śledząc z uwagą zachowanie chłopca. Miał on na sobie krótką siwą gunięl o dwóch połach, ciasno przepasaną białą chustą. Na nogach miał spodnie i nogawice z siwego sukna, na głowie takąż czapkę, nogawice były podwinięte do połowy nóg, które zaiste zda- wały się być z białego alabastru. Kiedy skończył myć swe piękne nogi, osuszył je kawałkiem płotna wydobytym spod czapki; zdejmując czapkę, podniósł twarz, zaś ci, którzy mu się przypatrywali, spostrzegli wówczas jej niezrównaną gładkość; Kardenio więc szepnął proboszczowi:

- Skoro to nie Lucynda, nie ludzka to istota, jeno niebiańska być musi. Chłopak, zdjawszy czapeczkę, potrząsnął głową w obie strony, a wówczas spłynęły i rozsypały się włosy, którym nawet słońca promienie pozazdrościć mo- gły. Z tego poznali, że ten, który zdawał się wieśniakiem, białogłową był, i delikat- ną, najurodziszą zgoła, jaką dotąd oczy dwu z patrzących oglądały, a nawet i

Don Kichote - Miguel Cervantez

Kardenia, gdyby był nie oglądał i nie znał Lucyndy; jak później bowiem stwierdził, jedynie uroda Lucyndy mogła z nią wejść w paragon. Długie, złote włosy nie tylko jej ramiona, ale ją całą wokoło okryły, tak że żadnej części ciała prócz nóg widać nie było, takie było ich bogactwo i piękno. Wówczas jąła je rozczesywać rękoma, jeśli zaś nogi w wodzie zdawały się być kawałkami kryształu, ręce we włosach podobne były płatkom zastygłego śniegu. Wszystko to wprawiło trzech patrzących w najwyższy zachwyt i zapragnęli dowieść się, kto to taki. Postanowili więc wyjść z ukrycia; na ruch, jaki uczynili, po-wstając, piękna dziewczka podniosła głowę i odgarnąwszy włosy z oczu obiema rękoma, spojrzała na sprawców szelestu. Zaledwie ich dostrzegła, zerwała się na równe nogi i nie tracąc czasu na wkładanie obuwia ani nie zgarniając włosów, chwycała w pośpiechu tłumoczek z ubraniem, obok leżący, rzuciła się do ucieczki w pomieszczeniu i trwodze. Nie uszła i sześciu kroków, gdy padła na ziemię, bowiem delikatne jej nóżki nie mogły znieść ostrych kamieni. Na ten widok wszyscy trzej podbiegli, zaś proboszcz pierwszy przemówił:

- Zatrzymajcie się, pani, kimkolwiek jesteście, jedynym bowiem pragnieniem osób, które tu widzicie, jest służyć wam. Nie ma powodu do tak nagłej ucieczki; ani wasze nogi jej nie zniosą, ani

my na to nie pozwolimy.

Na to wszystko nie rzekła ni słowa, zdumiona i zmieszana. Podeszli do niej, zaś proboszcz, ujęwszy ją za rękę, tak dalej mówił: - Włosy wasze zdradziły, czemu szaty wasze przeczą. Jasny to dowód, że nie-płocze były przyczyny, które gładkość waszą w tak niegodne szatki przebrały i zawiodły w takie pustacie, gdzie szczęśliwy traf nam pozwolił was spotkać, jeśli nie, aby nieszczęście wasze uleczyć, to

przynajmniej, aby radą usłużyć. Nie masz bowiem tak dręczącego bólu, który by do tak ostatecznego doprowadził kresu, aby - póki życie tli - cierpiący nie zechciał posłuchać rady danej ze szczerego serca. Tedy, pani moja, czy

też panie mój, kim tam być chcecie, pozbądźcie się lęku, jaki nasz widok wam sprawił, i opowiedzcie nam waszą dobrą czy złą dolę, my zaś wszyscy

społem lub każdy z osobna pomożemy wam w znoszeniu waszego nieszczęścia. g u m
i a - ciepłe okrycie
wierzchnie z grubego sukna. 192

Kiedy proboszcz te słowa mówił, przebrana dziewczyna stała jak oszołomiona, wpatrywała się w nich, nie poruszając wargami ani słowa nie mówiąc; zgoła jak prosty wieśniak, któremu nagle zjawią się rzeczy rzadkie i nigdy przezeń niewidzialne. Lecz gdy proboszcz dalej zwracał się do niej z innymi słowy, ku temu samemu celowi zmierzając, z głębokim westchnieniem przerwała milczenie i rzekła: - Jeśli odludność tych górnictw nie zdołała mię ukryć, zaś rozsypanie mych niesfornych włosów nie pozwala memu językowi kłamać, na próżno bym zmyślała teraz od nowa, mówiąc coś, czemu uwierzono by jedynie przez grzeczność lub dla innej przyczyny. To rzekłszy, moi panowie, głęboko wdzięczna za okazaną mi gotowość, poczuwam się do obowiązku zadośćuczynić wszystkim życzeniom waszym; obawiam się jednak, że opowieść o mych nieszczęściach, budząc w was współczucie, przyczyni wam jednak przykrości, nie zdołacie bowiem ani znaleźć lekarstwa, by im zaradzić, ani pociechy, aby je złagodzić. Lecz mimo to, abyście nie wątpili w myślach waszych o mej uczciwości, odkrywszy we mnie białogłówkę młodą, sa-motną i w tym przebraniu, co wszystko razem i każde z osobna

mogłoby zniweczyć wszelką wiarę w cześć moją, powiem wam to, co ukryć bym rada, gdybym mogła. To wszystko wypowiedziała piękna dziewczyna jednym tchem, tak foremny- mi słowy i tak słodkim głosem, że nie mniej od urody podziwiali jej mądrość. I ponownie ofiarowywała jej zaczęli swe służby i upraszali o spełnienie obietnicy, ona zaś, nie dając się już dłużej prosić, włożywszy na nogi trzewiki z wielką skrom- nością i zebrawszy włosy, usiadła na kamieniu, a trzej słuchacze wokoło niej. Po- wstrzymując z wysiłkiem łzy, które do oczu jej się cisnęły, spokojnym, jasnym gło- sem zaczęła w ten sposób dzieje swego życia:

- W tej części Andaluzji leży miejscowości, od której tytuł bierze pewien księ- że, co stawia go w rzędzie tych, których zowią grandami Hiszpanii. Ma on dwóch

synów: starszy jest dziedzicem jego włości, a jak się zdaje, i jego pięknych zalet. Młodszy, nie wiem, czego dziedzicem będzie, chyba zdrad Vellida i podstępów Galalona. Poddanymi tego pana są moi rodzice, skromnego pochodzenia, lecz tak bogaci, że gdyby przywileje urodzenia dorównywały dobrom fortuny, niczego więcej pragnąć by nie mogli ani ja nie musiałabym się lękać nieszczęścia, w które popadłam; bowiem moja niedola płynie stąd, że nie mieli dość szczęścia urodzić się wielmoż- nymi; po prawdziwie nie są tak niskiego rodu, aby się mieli wstydzić swego stanu, jednak stan ten nie jest tak świetny, aby nie dręczyła mię myśl, iż z jego niskości nieszczęście moje płynie. Są oni bowiem prostymi wieśniakami czystej krwi, której żadna domieszka niegodnej rasy nie skaziła, i jak się zwykło mówić, są prawymi, sta- rymi chrześcijanami. Jednak bogactwo

ich i wspaniały tryb życia zyskiwał im z biegiem czasu tytuł hidalgów1, zgoła nawet wielmożnych. Aliści jako najwięk- szym bogactwem i szlachectwem szczycili się tym, że ja byłam ich córką; a ponie- waż nie mieli innej córki ani syna, który by po nich dziedziczył jako po rodzicach i krewnych, byłam jedną z najbardziej pieszczonych córek, jakie kiedykolwiek ro- dzice tulili. hidalgo - członek niższej szlachty hiszpańskiej mający prawo do używania tytułu „don". 193

Byłam zwierciadłem, w którym się przeglądali, podporą ich starości, celem wszystkich ich życzeń zgodnych z wolą nieba, a były one tak zacne, że moje od nich na jotę nie odbiegały. Byłam panią zarówno ich serc, jak majątku, godziłam i odprawiałam służbę, rachunki zasiewów i zbiorów przechodziły przez moje ręce; tłocznie oliwy, prasy winne, stada bydła rogatego i trzody owiec, ule pszczelne, wreszcie wszystko, co tak bogaty rolnik jak mój ojciec mógł posiadać i posiadał, było pod moją pieczą. Byłam gospodynią i panią tak zapobiegliwą i ku takiemu ich zadowoleniu, że w słowach je wyrazić trudno. Wolne dnia chwile, jakie mi zbywały po wydaniu zarządzeń rządcom, bacom oraz innym pracownikom, poświęcałam na zajęcia dla dziewcząt zarówno stosowne, jak pożyteczne: szycie, hafty, niekiedy przedzenie, a jeśli, by umysł rozerwać, owe zajęcia rzucałam, oddawałam się miłej lekturze pobożnych książek lub grze na harfie, doświadczenie nauczyło mię bowiem, że muzyka myśli niespokojne koi i łagodzi frasunek

umysłu. Oto jakie życie wio- dłam w domu ojców; jeśli tak szczegółowo o nim opowiadam, nie czynię tego przez chełpliwość ani z chęci pokazania, że jestem bogata, jeno abyście poznali, że bez własnej winy, ze szczęśliwego stanu, jaki opisałam, popadłam w niedolę, w jakiej

się teraz znachodzę. Takie więc pędziłam życie wśród rozlicznych zajęć i w takim zamknięciu, że tylko z klasztornym porównać je można. Niewidywana-jak mi się

zdawało - przez nikogo oprócz domowej służby, w pewne dni udawałam się na mszę świętą wczesnym rankiem, w towarzystwie matki i służebnych, tak okryta i nieśmiała, że oczy moje ledwie widziały ziemię, na której stawiałam stopy. A mimo wszystko, oczy miłości, a raczej mówiąc rozwiązałości, którym wzrok rysia nie dorówna, do- strzegły mię i wydały na pastwę Don Fernanda, takie jest bowiem imię młodszego syna księcia, o którym wspomniałam. Zaledwie opowiadająca wyrzekła imię Don Fernanda, Kardenio zmienił się na twarzy i zaczął drżeć w tak wielkim wzburzeniu, że proboszcz i cyrulik, spojrzał- szy nań, zlekli się, że nachodzi go atak szału, jaki - słyszeli - od czasu do czasu go napadał. Lecz Kardenio, złany potem tylko, trwał bez ruchu, nie spuszczał oczu z wieśniaczki, odgadując, kim ona była. Ta, nie zważając na jego poruszenie, cią- gnęła dalej swe opowiadanie:

- Zaledwie mię oczy jego ujrzały, kiedy (jak sam mówił później) taką gwałt towną ku mnie miłością zapałał, jakiej dowody miał mi dać niebawem. Aby jednak rychlej opowieść o tych moich nieszczęściach zakończyć, chcę pokryć milczeniem wszystkie usiłowania Don Fernanda, aby mi chęć swą oświadczyć. Przekupił wszystkich domowników, podarkami i grzecznościami zasypywał rodziców; dnie na ulicy mojej były ustawniczym świętem i zabawą, w noce serenady spać nikomu nie da- wały, niezliczone listy nie wiadomo jak do rąk moich dochodziły, pełne miłosnych wyznań i przyczepień; więcej w nich było obietnic i przysiąg niż liter. To wszystko, zamiast mię wzruszyć, odpychało raczej, jakby był moim śmiertelnym wrogiem, i wszystkie jego

wysiłki, aby mię chęci swej uczynić powolną, wywoływały wprost przeciwny skutek; nie mówię, aby mi nie była miła dworność Don Fernanda ni abym starania jego miała za obrazę, sprawiało mi to zadowolenie, sama nie wiem jakie, że jestem kochana i szanowana przez tak wybitnego szlachcica. Nie odczuwałam bynajmniej przykrości, czytając słowa chwałby w jego listach. W tych sprawach, 194

zdaje mi się, że białogłowom, choćby najbrzydzszym, zawsze miło jest słyszeć, kiedy je pięknymi nazywają. Lecz przed tym wszystkim wzdrygała się wstydliwość moja, przeciwstawiały się temu rady ustawiczne rodziców, którym nietajne były zamiary Don Fernanda, bowiem ten nie ukrywał ich bynajmniej przed światem. Prawili mi rodzice, że jedynie na cnocie mej i zacności polega i opiera się dobra ich cześć i sława, abym zważyła nierówność stanu, jaka dzieli mię od Don Fernanda, i abym sama przekonała się, że zamysły jego (choćby co innego prawił) mają raczej na celu dogodzenie chuciom niż moją korzyść, i jeżeli chcę w jakiś sposób przeszkodzić jego niesłuszny roszczeniom, oni gotowi mię zaraz wydać za mąż, za kogo zechcę spośród najzacniejszych młodzieńców naszej wioski lub okolicy, gdyż wielki ich majątek, a moja dobra sława czyni wszystko możliwym. Te oczywiste przedłożenia i prawda w nich zawarta utwierdziły moje postanowienie i nie chciałam nigdy Don Fernandowi odpowiedzieć nawet jednym słowem, które by mu okazać mogło choćby najdalszą nadzieję spełnienia jego pragnień. Wszystkie te ostrożności moje, które musiał poczytać za

wzgardę, bez wątpienia jeszcze bardziej rozpaliły jego lubieżną żądzę, gdyż tak nazwać muszę chęć, jaką mi okazywał; gdyby bowiem była taką, jaką być powinna, nie słyszelibyście teraz o niej, bo brakłoby do tego sposobności. W końcu Don Fernando dowiedział się, że rodzice starają się mię wydać, aby mu odjąć nadzieję zdobycia mnie lub przynaj- mniej abym miała więcej obrońców, którzy by nade mną czuwali. Ta wiadomość czy podejrzenie było bodźcem do postępu, o którym zaraz usłyszycie. Pewnej nocy byłam w swej komnacie sama, jedynie z moją służebną, zaparlszy dobrze drzwi z obawy, aby przez niedbalstwo cnoty mej na szwank nie narazić; nie wiem i nie mogę sobie wyobrazić, w jaki sposób, mimo tych ostrożności i przewidywań, w sa- motności mego ustronia on stanął przede mną. Na ten widok z pomieszania oczy mi się zamgliły, język oniemiał. Nie zdołałam wydobyć głosu, a wierę, nie byłby mi na to pozwolił, gdyż natychmiast zbliżył się do mnie, porwał mię w ramiona (kiedy ja, jak rzekłam, nie znachodziłam sił, aby się bronić, tak byłam wstrząśnięta), zaczął przemawiać do mnie takimi słowy, że nie wiem, jak to możliwe, aby w kłamstwie takowa zręczność była i aby potrafiło tak układać słowa, iż prawdę się być zdają. Zdrajca postarał się łzami poprzeć słowa, a westchnieniami zamiary. Ja zaś, biedac- two, sama jedna pośród bliskich moich, niezwyczajna takich spraw, sama, nie wie- dząc jak, zaczęłam fałsze jego za prawdę poczytywać, lecz nie do tego stopnia, by jego łzy i westchnienia przywiodły mię

do nieprzystojnej litości. Otrząsnawszy się jednak z pierwszego wrażenia i odzyskawszy z wolna mą straconą przytomność, z większą odwagą, niż mniemałam, że zdobyć się będę zdolna, rzekłam: „Panie! gdybym tak jak w tych ramionach znalazła się w łapach lwa dzikiego i gdybym w celu uwolnienia się z nich miała uczynić czy powiedzieć coś, co by na szkodę mej uczciwości było, równie niemożliwym byłoby mi uczynić to czy rzec, jak niemożliwe jest wstecz wypadki zatrwać. Jeśli więc trzymasz w ciasnym uści-
sku ramion me ciało, ja duszę moją zacnymi uczuciami dzierżę, a jak bardzo różnią się one od twoich, przekonasz się, jeślibyś chciał je siłą niewolić. Jestem twoją
poddanką, lecz nie niewolnicą; szlachetność twoego
rodu nie daje i nie powinna ci dawać prawa, aby
bezczesić i za nic mieć niskość mojego. Ja,
wieśniaczka i pro-
195 staczka, cenię się tak samo jak ty, pan i
szlachcic. Siła twa nie czyni na mnie żadnego
wrażenia ani wartości dla mnie nie mają twe
bogactwa, ani twe słowa niezdolne mię omamić,
ani twe westchnienia i łzy poruszyć. Gdybym
cokolwiek z tego, com wymieniła, dostrzegła w
człowieku, którego by mi rodzice na męża
przeznaczyli, wola moja jego woli poddałaby się
i nie stanęłaby przeciw. Więc ulegając z honorem,
choćby i bez skłonności, z dobrej woli
oddałabym mu, panie, co mi teraz siłą
wydrzeć chcecie. To wszystko mówię, aby nikt nie myślał, że cośkolwiek uzyska ode
mnie, nie będąc mym
prawym małżonkiem".

„Jeśli tylko o to ci chodzi, najpiękniejsza Doroto (takie jest bowiem imię nie- szczęśliwej) - rzekł zdradziecki kawaler - oto daję ci rękę, że będę twoim mężem, niebo biorę za świadka tej przysięgi, przed którym nic się nie ukryje, oraz ów obraz Bogarodzicy tu się znajdujący".

Skoro Kardenio usłyszał, że nazywa się Dorota, znowu wróciły mu drgawki, utwierdził się bowiem w swym pierwszym podejrzeniu; nie chciał jednak przerywać opowieści, aby dowiedzieć się, czy taki będzie jej koniec, jak przewidywał. Rzekł tylko:

- Jak to? Twe imię jest Dorota, o pani! Opowiadano mi o pewnej osobie, która je nosiła, a której nieszczęścia z twymi idą w parze. Ale idźmy dalej, a przyjdzie

czas, że opowiem ci rzeczy, które cię zadziwią, a zarazem zasmucą. Na te słowa Kardenia Dorota spojrzała nań bacznie i na jego dziwaczny po-

szarpany ubiór i poprosiła, aby jeśli wie o czymś, co jej dotyczy, bez zwłoki jej powiedział, bowiem jeśli los jej jeszcze coś dobrego zostawił, to chyba ono mestwo, z jakim znosi wszelkie ciosy, które na nią spadają, pewna, że - jej zdaniem - nie masz takiego, który by jej niedolę choćby o krzynę powiększyć zdołał.

- Nie zwlekałbym, pani - odpowiedział Kardenio - by ci moją myśl wyjawić, gdyby prawdą było, co przeczuwam, lecz sposobność ku temu jeszcze nie nadeszła i nie lza wam jeszcze

dowiadywać się o tym.

- Niech i tak będzie - odparła Dorota. - Wracając do mej opowieści, wiedziecie,

że Don Fernando chwycił obraz znajdujący się w komnacie, biorąc go za świadka naszych zaślubin; w wyrazach najwymowniejszych i

przysięgach najuroczystszych dał mi słowo, że będzie moim mężem. Jednak zanim przysięgi swej dokończył, rze- kłam, by dobrze zważył, co czyni, i aby pomyślał o gniewie, jaki ogarnie niezawodnie ojca jego, kiedy dowie się o małżeństwie z wieśniaczką, swoją poddanką; niech go nie oślepi uroda moja, jaka by była, nie będzie bowiem wystarczającą wymówką na usprawiedliwienie jego błędu, i jeśli chce mi jakieś dobro wyświadczać - dla miłości, jaką ku mnie żywi - niech pozwoli losowi memu płynąć odpowiednio do mojego stanu; nigdy bowiem tak nierówne związki nie są szczęśliwe i niedługo trwa szczęście, w jakim się poczęły. Mówiłam mu to wszystko, co teraz powtarzam, i wiele innych rzeczy, których nie pomnę, lecz nie były one zdolne odwieść go od jego zamiaru, podobnie jak ten, kto nie myśląc długu uiścić, przy lichwiarskiej umowie nie zważa na trudności. Ja zaś w tym momencie zaczęłam bić się z myśla- mi, mówiąc sobie: przecież nie jestem pierwszą, którą takie małżeństwo podnosi z niskiego stanu do wysokiej godności, ani Don Fernando nie będzie pierwszym, który uwiedzion pięknością, a raczej oślepion afektem, pojmie towarzyszkę nierówną

196

jego wysokości. A ponieważ ani świata nie stwarzam, ani obyczajów nie stanowię, lepiej zgodzić się na ten zaszczyt, jaki mi los nadarza, gdyż choćby miłość, jaką mi okazuje, nie miała przetrwać spełnienia jego żądzy, to wszak przed Bogiem małżonką jego będę. Jeślibym,

przeciwnie, chciała wzgardą go odrzucić, to w stanie, w jakim go widzę, gotów postąpić wbrew uczciwości i użyć siły, a wówczas zostanę zniesławiona bez możliwości usprawiedliwienia się z winy, jaką mi zarzucić będzie mógł ktoś nieświadomy, jak do tego doszło. Jakież bowiem dowody zdołają przekonać rodziców moich czy inne osoby, że ten szlachcic wszedł do mej komnaty bez mego pozwolenia? Wszystkie te pytania i odpowiedzi w jednej chwili przez myśli mi przeleciały, a przede wszystkim zaczęły mię przekonywać i nakłaniać do tego, co (wbrew przewidywaniom) stało się moją zgubą: przysięgi Don Fernanda, świadkowie, jakich stawał, łzy, jakie wylewał, a w końcu jego postawa kształtna i wdzięk, które wraz z oznakami prawdziwej miłości zdołałyby podbić każde serce tak wolne i nieświadome jak moje. Przywołałam mą służebnicę, aby na ziemi przyłączyła się do świadków niebieskich. Don Fernando ponowił i potwierdził swe przysięgi, przywołując obok dawnych nowych świętych na świadków; tysiąc przekleństw na siebie rzucił, gdyby w przyszłości nie wypełnił przyczyn. I znowu mu oczy łzami napłynęły, wzmogły się westchnienia, ścisnął mię mocniej w ramionach, z których

nie zdołałam się uwolnić, i wreszcie, skoro tylko z komnaty wyszła dziewczyna, ja nią być przestałam, on zaś stał się zdrajcą i wiarołomcą. Dzień, który miał nastąpić po nocy mej zguby, nadchodził nie tak szybko, jak tego - wedle mego mniemania - Don Fernando sobie życzył; gdyż skoro się tylko nasyci żądzę, najgorętszym pragnieniem jest ujście z

miejsca jej dopełnienia. Mówię to, bowiem Don Fernando co rychlej rad był mię opuścić i dzięki sprytowi mej służebnej, tej samej, która go tam przywiodła, zanim dnieć zaczęło, znalazł się na ulicy. I żegnając się ze mną, choć już bez tego zapału i gwałtowności co pierwej, zapewniał mię, że mi wiary dochowa, że przysięgi jego są pewne i prawdziwe. I na potwierdzenie swych słów zdjął drogocenny pierścień z palca i na mój palec włożył. Wreszcie odszedł, ja zaś pozostałem smutna czy wesoła, nie wiem, wiem jedno, żem trwała zmieszana i zamyślona, i jakby nieswoja po tym, co mię spotkało, nie mając nawet odwagi ani pamięci, aby złajać służebną za zdradzieckie ukrycie Don Fernanda w mej komnacie; nie mogłam wówczas jeszcze rozstrzygnąć, czy to, co się stało, na dobre czy na złe się obróci. Przy rozstaniu rzekłam Don Fernandowi, że tą samą drogą może mię odwiedzać nocami, należę bowiem już do niego aż do czasu, kiedy zechce ogłosić to publicznie. Aliści choć powrócił jeszcze nocy następnej, później nie mogłam go dojrzeć ani na ulicy, ani w kościele przez cały miesiąc; nadaremnie wypatrywałam go, wiadomo było, że przebywa w swej posiadłości i że wiele dni spędza na łowach, którą to

rozrywkę bardzo miłoał. Dobrze wiem, jak dni i godziny dla mnie się wlokły nieszczęsne i ciężkie,

i dobrze wiem, jak podczas nich zaczęłam wątpić i całkiem straciłam wiarę w dobrą wolę Don Fernanda; wiem również, że wówczas służebna moja usłyszała naganę za zuchwałstwo, której jej przedtem poskąpiłam. Musiałam powstrzymywać łzy i twarz układać, aby nie narazić się na pytania rodziców, dlaczego jestem tak strąpiona, i aby nie być zmuszona uciekać się do kłamstwa. Lecz to wszystko skończy-

197 ło się, kiedy nadeszła chwila, gdy odrzucając wszelkie wzgłydy, niepomna na cześć, straciłam cierpliwość i na jaw wyszły

Don Kichote - Miguel Cervantez

tajne myśli moje. Stało się to, kiedy nieba-wem rozeszła się we wsi wiadomość, że Don Fernando w pobliskim mieście ożenił się z panną niezwykłej gładkości i wielkiego rodu, choć nie tak bogatą, ażeby wiano jej pozwalało spodziewać się takiego związku. Mówiono, że nazywa się Lucynda, i opowiadano o przedziwnych rzeczach, które zaszły w czasie ceremonii ślubnej.

Kardenio, usłyszawszy imię Lucyndy, ruszył tylko ramionami, zagryzł wargi, zmarszczył brwi i niebawem z oczu jego popłynęły dwa zdroje łez. Dorota jednak nie przerwała opowiadania i mówiła dalej: - Zaledwie ta smutna wieść moich uszu doszła, serce, zamiast zamienić się w lód, zapaliło się takim gniewem i wściekłością, że niewiele brakło, a byłabym z krzykiem wypadła na ulicę, ogłaszaając podstęp i zdradę, jakiej padłam ofiarą. Lecz uciszyła się ma zapalczystość, gdy postanowiłam tej samej nocy w czyn wprowadzić pewne zamysły; a mianowicie przebrałam się w szaty, których mi użyczył jeden z parobków służących w gospodarstwie mego ojca. Jemu zwierzyłam się z mego nieszczęścia i prosiłam, aby mi towarzyszył do miasta, gdzie jak słyszałam, bawił mój wróg. Ten zrazu wyrzucał mi moje zuchwałstwo i odwodził od zamiaru, lecz widząc mię niewzruszoną, ofiarował się, jak mówił, towarzyszyć mi na koniec świata. Nie tracąc czasu, włożyłam do płóciennego worka szatki kobiece, nieco klejnotów i pieniądze na wszelki wypadek i potajemnie, tej samej nocy, nie wyjawiawszy ani słowa przed zdradziecką służebną, wyszłam z domu w towarzystwie parobka oraz chmary myśli. Ruszyłam pieszo do miasta, niosły mię tam jakby skrzydła pragnie-

nia, jeśli nie, aby przeszkodzić temu, co za dokonane miałam, to przynajmniej, mówiłam sobie, aby zapytać Don Fernanda, jakim czołem to uczynił. Po dwu i pół dniach stanęłam u celu i wszedłszy do miasta zapytałam o dom rodziców Lucyndy; pierwszy, do którego się z tym pytaniem zwróciłam, powiedział mi więcej, niż chciałam usłyszeć. Wskazał mi dom i opowiedział wszystko, co zaszło od zaślubin córki; wieść obiegała całe miasto, stając się przedmiotem plotkarskich zbiegówisk. Opowiedział mi, że tej samej nocy, kiedy Don Fernando poślubił Lucyndę, ta zaledwie wypowiedziała „tak” na pytanie, czy będzie jego żoną, popadła w silne omdlenie, a mąż jej, zbliżywszy się, aby rozluźnić jej pierś i oddech ułatwić, znalazł list pisany ręką Lucyndy, w którym oznajmiała i oświadczała, że nie może być żoną.

Don Fernanda, jest bowiem żoną Kardenia, który - wedle słów onego człeka - był znakomitym szlachcicem z tego samego miasta. A jeżeli odpowiedziała „tak” Don Fernandowi, to jedynie, aby zadośćuczynić obowiązkowi posłuszeństwa wobec rodziców. Krótko mówiąc, papier ten zawiera słowa, z których wnosić można było, iż postanowiła zabić się przy końcu ceremonii ślubnej i podawała powody, dla których pozbawia się życia; słowa te potwierdził sztylet znaleziony w fałdach jej szat. Na ten widok Don Fernando w mniemaniu, że Lucynda go oszukała, zadrwiła zeń i wzgardziła nim, rzucił się na nią, zanim wróciła do przytomności, i tym samym znalezionym sztylem chciał ją przebić, co by niezawodnie

uczynił, gdyby mu w tym rodzice i inni obecni nie przeszkodzili. Mówiono więcej, że Don Fernando natychmiast się oddalił, a Lucynda z omdlenia ocknęła się dopiero nazajutrz i oznajmiła rodzicom, że jest prawowitą małżonką owego wspomnianego Kardenia. Co 198

więcej, ów Kardenio, jak mówiono, był obecny przy ślubie i ujrzał ją poślubioną innemu, czego się jako żywo nie spodziewał, odjechał z miasta w rozpacz, pozostawiwszy wpierw list, w którym przedstawia krzywdę, jaką mu Lucynda wyrządziła, oznajmiając, że udaje się tam, gdzie go nikt więcej nie ujrzy. To wszystko

było w całym mieście wiadome i znane i wszyscy mówili o tym, a jeszcze więcej zaczęto gadać, gdy się dowiedziano, że Lucynda znikła z domu swych rodziców i nigdzie jej nie znaleziono. Rodzice głowę tracili, nie wiedząc, w jaki sposób można by ją odszukać. Ta nowina wzburdziła we mnie pewną nadzieję; uważałam, że lepiej było nie znaleźć Don Fernanda niż znaleźć go żonatym, zdawało mi się, że jeszcze nie zatrzasnęły się zupełnie drzwi mego ocalenia, i przypuszczałam, że niebo, być może, przeszkodziło temu wtórnemu małżeństwu, aby odwieść go i uprzytomnić mu, co winien pierwszemu, aby przypomnieć mu, że jest chrześcijaninem i że bardziej winien dbać o duszę niż o ludzkie względy. Wszystkie te sprawy tloczyły się

w mej wyobraźni i nie mając znikąd pociechy, pocieszałam się, rojąc nadzieję złudne i blade, byle podrzymać życie, które

mam już w odrazie. Bawiłam w mieście, nie wiedząc, co czynić, nie znalazły Don Fernanda, kiedy

do uszu moich dobiegło publiczne obwieszczenie, w którym obiecywano wielką

nagrodę temu, kto mię odnajdzie. Określano wiek mój oraz ubiór, jaki miałam na sobie; usłyszałam plotkę, że porwał mię z domu rodziców chłopak, który mi towarzyszył, rzeczą, która mię do głębi przejęła, spostrzegłam bowiem, jaką szkodę po-niosła moja sława; nie dość, że naraziłam ją przez mą ucieczkę, jeszcze dodawano, że uciekłam z takim prostakiem, niegodnym, abym nań uwagę zwróciła. Natychmiast, usłyszawszy to obwoływanie, opuściłam miasto ze swym pachołkiem, który zaczynał zdradzać chwiejność w wierności, jaką mi przyczekł. Tej nocy z obawy, aby nas nie odkryto, zapuściliśmy się w głąb tych gór. Ale jak mówią zwykle, jedno зло drugie przyciąga, a koniec jednego bywa często początkiem drugiego jeszcze gorszego; tak i ze mną się stało, gdyż ów dobry sługa dotąd tak pewny i wierny, zaledwie ujrzał mię w tej pustaci, wiedziony raczej swą niepoczczością niż mą urodą, zapragnął skorzystać ze sposobności, jaką - sądził - te pustkowia mu nada-rzały, i zbywszy wszelkiego szacunku, bez względu na bojaźń Bożą, śmiał mię prze-śladować miłosnymi wyznaniami; widząc, że gniewną i słuszną wzgardą odpowiadam na bezwstyd jego przedłożeń, zaniechał prośb, którymi sądził coś wskórać, i zamierzał użyć przemocy. Lecz sprawiedliwe niebo, które nigdy niemal nie odmawia opieki i pomocy dobrym zamysłom, sprzyjało moim i pozwoliło, aby me słabe ręce bez wielkiego trudu strąciły go w przepaść, gdzie go zostawiłam, nie wiem, żywym czy umarłym; wnet z pośpiechem, na jaki trwoga i znużenie mi

pozwalały, zagłębiłam się w te góry zjedna myślą i celem, aby ukryć się w nich i ujście rodzicom moim i tym, którzy w ich imieniu mię poszukiwali. Nie wiem, wiele miesięcy upłynęło od czasu, gdy z tym zamiarem weszłam w góry, gdzie znalazłam bacę, który mię przyjął za gońca, w miejscowości położonej we wnętrzu tego pasma. Służyłam mu przez cały ten czas, starając się przebywać stale w polu, aby zataić me włosy, które teraz tak bezmyślnie odkryłam. Ale wszelka zręczność moja i wszystkie starania na nic się nie zdały, mój baca spostrzegł, że nie jestem chłopcem i zapałał tą samą złą żądzą jak mój parobek; a ponieważ nie zawsze los, darząc złą przygodą, i lekarstwa użycza, więc nie znachodziłam przepaści ni urwiska, aby zeń strącić prącodawcę, jak uwolniłam się od parobka; uważałam, że lepiej porzucić go i ukryć się Znowu w tych skałach niż próbować sił moich lub wybiegów. Więc powróciłam się Schronić i szukać miejsca, gdzie bym bez żadnej przeszkody mogła westchnieniem i Płaczem błagać niebo, by ulitowało się mojej niedoli i aby mi dało sposób i łaskę, jakby wybrać z niej szczęśliwie albo utracić życie pośród tej pustaci, by nawet

Pamięć nie pozostała o nieszczęsnej, która bez żadnej winy stała się przedmiotem wielu obmów i poszeptów w swoich i obcych stronach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

•

opowiada o zabawnym podstępie i sposobie, jakich użyto, aby wyrwać naszego zakochanego rycerza z

najsrozszej pokuty, jaką sobie
naznaczył

O, to, panowie, prawdziwa historia mej tragedii:
zważcie i osądźcie teraz, czy Westchnienia, jakie
słyszeliście, słowa, jakie was doszły, łzy z oczu
moich płynące nie miały dostatecznej przyczyny,
by w większej jeszcze jawić się obfitości. Zaś
kiedy rozważycie rodzaj mego nieszczęścia,
poznacie, że próżną byłaby pociecha, bo nie masz
na nie lekarstwa. Proszę was tylko (co z łatwością
możecie i powinni- ście uczynić), abyście mi
wskazali miejsce, gdzie bym życie pędzić mogła
bez ciąg- giej obawy i lęku, że odnajdę się ci,
którzy mnie szukają, gdyż choć wiem, że wiel- ka
miłość, jaką rodzice ku mnie żywią, jest rękojmią,
że byłabym dobrze przez nich Przyjęta, taki
wstyd ogarnia mię na samą myśl, że staniełabym
przed ich oczyma nie taką, jaką sobie wyobrażali,
iż raczej na zawsze zejdę im z oczu, niżbym na ich
twarzys

^czytać miała, że na moim obliczu nie widzą już
poczciwości, jakiej się po mnie spodziewać mogli.
Zamilkła, powiedziawszy to, zaś jej lica pokrył rumieniec
świadczący jawnie o żalu i wstydzie jej duszy. Słuchacze
w głębi swych serc odczuli zarówno podziw, jak i
głębokie współczucie dla jej nieszczęścia; i kiedy
proboszcz gotował się już, by pocieszać i doradzać,
Kardenio, wyprzedziwszy go, chwycił ją za rękę,
mówiąc:

- A więc, pani, to wy jesteście piękną
Dorotą, jedyną córką bogatego Klenarda?
Dorota zdumiała się, usłyszawszy imię swego ojca i
widząc marny wygląd tego, który je wymienił -już

mówiliśmy bowiem, jak nędznie przyodziany był Kardenio -• więc zapytała:

- Kim jesteście, bracie, że znacie tak dobrze imię ojca mego? Ja bowiem dotąd, o ile sobie dobrze przypominam, w tej opowieści mej niedoli nie wymieniłam go. - Jestem owym nieszczęsnym - odparł Kardenio - któremu, jak pani powie-

działaś, Lucynda przyrzekła być żoną.

Jam jest nieszczęsny Kardenio, przez
prze-

200

wrotność człeka, który was do obecnego stanu przywiódł, doprowadzony do tego, co widzicie: otom w łachmanach, nagi, pozbawion wszelkiej ludzkiej pociechy, i co najgorsze, pozbawiony rozsądku, nad którym nie panuję, chyba w krótkich chwi- lach, kiedy niebo mi go przywróci. Ja, Doroto, jestem tym, który był świadkiem niegodziwości Don Fernanda, tym, który czekał, póki Lucynda nie wyrzekła „tak", stając się jego żoną. Jam jest, któremu zabrakło odwagi, aby czekać, w co obróci się jej omdlenie ani jaki skutek wywrze list na jej piersi znaleziony; nie stało mi w duszy sił, aby tylu połączonym przeciwnościom stawić czoło; więc porzuciłem dom i cierpliwość i zostawiwszy list memu gospodarzowi z prośbą, aby go do rąk Lucyndy oddał, udałem się w te pustacie z zamiarem dokonania tu życia, które od- tąd znienawidziłem jak śmiertelnego wroga. Ale los nie chciał mię żywota pozba- wić, zadowoliwszy się pozbawieniem rozsądku i zachowując mię

może na szczęś- liwe z wami spotkanie; bowiem jeśliby prawdą było -jak wierzę, że jest-wszystko, co tu opowiedziałaś, pani, może być, że niebo nam obojgu zachowało szczęśliwsze rozwiązanie naszych niepowodzeń, niż sądzimy. Bowiem przyjawszy, że Lucynda nie może być żoną Don Fernanda, będąc moją, co ona tak jawnie obwieściła, zaś Don Fernando jej mężem, będąc waszym, możemy mieć dobrą nadzieję, że niebo przywróci nam, co nasze, jako że to istnieje bez uszczerbku ni szwanku. A jako mamy tę pociechę, nie na dalekiej opartą nadzieję ani na zwodniczej wyobraźni - błagam was, pani, abyście w uczciwych zamiarach waszych przyjęli inne postanowienie, jakie i ja czynię: bądźmy skłonni lepszym losom zaufać. I przysięgam na słowo szlachcica i chrześcijanina, że nie opuszczę was, póki nie oddam Don Fernandowi w pieczę, i jeśli nie uda mi się słowami przywieść go do uznania waszych praw, to użyję wówczas argumentu, którego mi moje rycerstwo dostarcza, i słuszne poślę

mu wyzwanie za krzywdę, jaką wam wyrządził, nie pomny na własną urazę, za którą niebu zemstę pozostawiam, aby jeno waszą pomścić na ziemi. Słowa Kardenia wzmagły zdumienie Doroty i nie wiedząc, jak dziękować za

tyle gotowości, chciała mu upaść do nóg, by je ucałować, ale nie pozwolił na to. Proboszcz zaś odpowiedział za oboje, chwaląc zamysł Kardenia, a przede wszystkim prosiąc, radząc i przekonując, aby pospołu udali się do wsi, gdzie będą mogli zapatrzyć się w potrzebne rzeczy, jakich im brakło, i zastanowić się, jak odszukać Don Fernanda, jak odprowadzić Dorotę rodzicom i jak najodpowiedniej postąpić. Kardenio i Dorota zgodzili się na to i podziękowali za łaskę, jaką im wyrządza. Cyrulik, który milcząc,

Don Kichote - Miguel Cervantez

wszystkiego pilnie słuchał, wypalił również swą mówkę i z nie mniejszą od proboszcza gotowością ofiarował we wszystkim swoje usługi. Sam zaś opowiedział w krótkości, co ich tu przywiódło: dziwne szaleństwo Don Kichota, i jak oczekują tu jego giermka, który udał się na jego poszukiwanie. Kar- denio przypomniał sobie, jak przez sen, swą sprzeczkę z Don Kichotem i opowie- działy ją obecnym, ale nie umiał rzec, co było jej powodem. W tej chwili usłyszeli wołanie i poznali, że to Sanczo Pansa, nie zastawszy ich w oznaczonym miejscu, woła na całe gardło. Wyszli naprzeciw i zapytali o Don Kichota. Opowiedział, jak go zastał prawie nagim, w koszuli, wychudłym, pożółkłym i na pół umierającym z głodu, lecz wzdychającym do swej pani Dulcynei. I choć przedkładał, iż poleciła mu wyjść z tego pustkowia, by udać się do Toboso, gdzie go oczekiwać będzie, ów 201

odpowiadał, że postanowił nie jawić się przed jej pięknością, póki nie dokona nie- zwykłych dzieł, które go uczynią godnym jej łaski. Lecz jeśli to trwać miało, zachodzi obawa, że nigdy cesarzem nie zostanie, jak sobie był postanowił, ani na- wet arcybiskupem, a było to, co najmniej stać by się mogło. Dlatego niezwłocznie należy coś przedsięwziąć, aby go stamtąd wyrwać. Proboszcz odpowiedział San- czowi, by się nie turbował, wyciągną go bowiem stamtąd choćby i wbrew woli.

A zwracając się do Kardenia i Doroty, opowiedział im, co z balwierzem umyślili, aby uleczyć Don Kichota, a przynajmniej sprowadzić go do domu. Na to Dorota

oświadczyła, że lepiej odegra skrzywdzoną dziewczę aniżeli cyrulik, tym bardziej że ma ze sobą szatki jej płci przystojniejsze, niech jej jeno pozostawią troskę o przed-

stawienie tego wszystkiego, co potrzeba, aby sprawa się powiodła; czytała wiele książek rycerskich i dobrze zna styl, jakim uciśnione dziewczyny przemawiają, pro- sząc o łaskę błędnych rycerzy.

- Zatem niczego nam już więcej nie trzeba - rzekł proboszcz - jeno co rychlej wziąć się do dzieła. Bez wątpienia los szczęśliwy nam sprzyja, bowiem nie myśląc o was, moi państwo, uchyliłyśmy drzwi waszej nadziei, zaś my zyskaliśmy w was pomoc, jakiej nam było trzeba. Dorota natychmiast wyjęła ze swego worka szatę z jakieś cienkiej, drogiej wełny i mantylę ze wspaniałego zielonego altembasu¹, a ze szkatułki naszyjnik oraz inne klejnoty, którymi w jednej chwili się przyozdobiła, tak że wyglądała na bogatą i wielką damę. Mówiła, że wszystko to i więcej jeszcze zabrała z domu na wszelki wypadek i że dotąd nie miała potrzeby z tego korzystać. Wszystkich nadzwyczajnie oczarował jej wielki urok, wdzięk i gładkość, więc osądzili, że Don Fernando jest niespełna rozumu, jeśli taką pięknością pogardził. Ale najbardziej podziwiał ją Sanczo Pansa; zdawało mu się (co i prawdę było), że w całym swym życiu nie wi- dział dotąd równie urodziwej istoty. Wypytywał więc żarliwie proboszcza, kim była owa piękna pani i czego szukała wśród tych bezdroży.

- Ta piękna pani - odpowiedział proboszcz - bracie Sanczo, to ni mniej, ni więcej, jeno w prostej linii po mieczu dziedziczka wielkiego królestwa Micomicon; przybyła tu, by odszukać waszego pana i błagać go o łaskę, a mianowicie, aby na- prawił krzywdę czy zniewagę wyrządzoną jej przez złośliwego olbrzyma. Sława,

jaką się cieszy znakomity rycerz, wasz pan, na całej ziemi, przywiódła z Gwinei tę księżniczkę na jego poszukiwanie.

- Szczęśliwe szukanie i szczęśliwe spotkanie! - zawała na to Sanczo. - Oby

tylko mój pan miał szczęście, zmazał tę zniewagę i naprawił tę krzywdę, zabijając owego sukinsyna olbrzyma, o którym wasza wielebność mówi. A zabije go, jeśli spotka, o ile się tylko nie okaże marą, bo przeciw zjawom nie ma mój pan żadnej mocy. Chcę jeno prosić o jedno między innymi wielebnego księdza licencjata, a to, aby memu panu nie przyszła ochota zostać arcybiskupem, czego się bardzo obawiam. Niech mu wasza miłość poradzi, aby się co rychiej ożenił z tą księżniczką, w ten sposób nie będzie mógł uzyskać święceń arcybiskupich i z łatwością do cemantyla z altembasu- pelerynka lub szal ze złotogłówkiem.

202

sarstwa dojdzie, a ja do spełnienia mych pragnień; wiele nad tym rozmyślałem i doszedłem do przekonania, że dla mnie nie byłoby dobrze, gdyby mój pan został arcybiskupem, ja bowiem w kościele na nic się nie przydam, jestem wszak żonaty, a zabiegać teraz o dyspensy, aby móc uzyskać dochody z prebendy, mając jak ja żonę i dzieci, byłoby trudem bez końca; przeto w tym rzecz, aby mój pan zaraz się ożenił z tą panną, której imieniem nie nazywam, nie znając dotąd jej godności.

- Zowie się - odparł proboszcz - księżniczka Micomicona, królestwo jej bo- wiem zwie się Micomicon, jasne jest, że ona tak zwać się powinna. - Nie ma wątpienia - odpowiedział Sanczo - znałem wielu ludzi, którzy na- zwiska brali od miejscowości, gdzie się urodzili, i tak nazywał się Pedro de Alcala,

Juan de Ubeda, Diego de Valladolid, musi to samo być w zwyczaju i w Gwinei, iż królowe imiona od królestw biorą. - Musi tak być - stwierdził proboszcz. - Co się zaś tyczy ożenku waszego pana, uczynię

wszystko, co będzie w mej mocy. Sanczo tak się uradował tą obietnicą, jak proboszcz zdumiał się jego naiwnością, widząc, że w wyobraźni jego mieszkały te same szaleństwa, co u jego pana, który bez wątpienia był przekonany, że kiedyś cesarzem zostanie. Tymczasem Dorota dosiadła muła proboszcza, cyrulik zaś przyczepił do twarzy brodę z wolego ogona i rozkazał Sanczowi, by ich zaprowadził tam, gdzie się Don Kichote znajdował. Przestrzegli go, aby nie mówił, że poznał proboszcza i cyrulika, gdyż od niepoznania zależy, czy pan jego zostanie cesarzem. Dlatego ani proboszcz, ani Kardenio nie chcieli iść z nimi, aby nie przypominać Don Kichotowi sporu, jaki miał z Kardeniem, obecność zaś proboszcza nie była na razie potrzebna.

Puścili więc ich przodem, sami szli za nimi powoli piechotą. Nie zaniedbał proboszcz Dorotę pouczyć, co ma czynić, lecz ona odpowiedziała, by się o to nie troszczyć, wszystko wypełni się bez błędu, jak wymagają i opisują księgi rycerskie. Uszedłszy trzy ćwierci mili, dostrzegli Don Kichota pośród chaosu skał; był już odziany, choć nieuzbrojony; skoro Dorota go ujrzała i dowiedziała się od

Sancza, że to był

Don Kichote, podpędziła biczem swego wierzchowca, a za nią podążył brodaty cyrulik; kiedy byli już blisko, giermek zeskoczył z muła i schwycił w ramiona

Dorotę, która zsiadłszy z wielką swobodą z siodła, upadła na kolana przed Don Kichotem i choć ten usiłował ją podnieść, ona, nie powstając, przemówiła doń w ten sposób:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Nie podniosę się stąd, o dzielny i niezwyciężony rycerzu, póki mi dostojoność wasza nie użyczy łaski, która rozgłośem czci i chwały otoczy waszą osobę, a obróci się na korzyść najbardziej niepocieszonej i skrzywdzonej dziewczyny, jaką ziemia widziała. A jeśli zaprawdę męstwo waszego ramienia równe jest waszej nieśmiertelnej sławie, obowiązkiem waszym jest wspomagać nieszczęśliwych, którzy z tak daleka przybywają na rozgłos waszego słynnego imienia, chcąc znaleźć ratunek w niedoli.
- Nie odpowiem ani słowa, piękna pani - odrzekł Don Kichote - ani o wszystkich sprawach słyszeć nie chcę, póki nie powstaniecie z ziemi. - Nie powstanę, panie - odpowiedziała znękana dziewczyna - póki mi wpierw wasza dostojość nie użyczy tej łaski. 203

- Użyczam i zgadzam się - odpowiedział Don Kichote - o ile to, czego mam dokonać, nie będzie ze szkodą lub krzywdą mego króla i ojczyzny oraz tej, która dzierży klucze mego serca i mojej

wolności.

- Nie będzie ani na szkodę, ani przeciw temu, co powiadasz, mój dobry panie - odparła zboalała dziewczyna.

Na to nachylił się Sanczo Pansa do ucha swego pana i po cichu powiedział: - Może jegomość całkiem spokojnie zgodzić się na to, o co prosi, rzecz to nie byle jaka, chodzi o zabicie olbrzyma, zaś ta, która błaga, to księżniczka Micomico-na, królowa wielkiego państwa Micomicon w Etiopii.

- Niech będzie, kim chce - odpowiedział Don Kichote - uczynię, co będzie mym obowiązkiem i co mi podyktuje sumienie zgodnie z zawieleniem, jakie pełnię. I zwracając się do dziewczyny, rzekł:
- Niech wasza wysoka piękność powstanie, zgadzam się udzielić jej każdej łaski, o jaką poprosi.

- A więc błagam - rzekła dziewica - aby wasza wspaniałość natychmiast uda- ła się ze mną, gdzie was zawiodę i obiecała mi nie podejmować żadnej przygody ani żadnego wyzwania, póki nie pomści się za mnie na zdrajcy, który wbrew wszel- kim prawom boskim i ludzkim

przywłaszczył sobie moje królestwo. - Rzekłem, że się zgadzam - odparł Don Kichote - możecie przeto, pani, od

dziś wygnać z serca smutek, który was uciska, i niech wasza omdała nadzieja na- bierze nowych blasków i sił, bowiem z pomocą Bożą i mego ramienia ujrzyście się wnet królestwu waszemu przywróconą i zasiądziecie znów na stolicy waszego sta- rożytnego i wielkiego państwa, na przekór i na hańbę wiarołomców, którzy by temu przeszkodzić chcieli. Więc do dzieła! Bowiem w opieszałości, jak mówi się, zwy- kło niebezpieczeństwo czyhać. Uciśniona dziewica uporczywie usiłowała ucałować mu ręce, lecz Don Kichote, który pod każdym względem był gładkim i dwornym rycerzem, nie dopuścił do tego.

Podniósł ją i uścisnął z wielką dwornością i uszanowaniem, po czym rozkazał San- czowi niezwłocznie, by go uzbroił i ściągnął popręgi Rosynanta. Sanczo zdjął zbroję

zawieszoną na drzewie jakoby trofeum jakie, i ściągnąwszy popręgi koniowi, w okamgnieniu uzbroił swego pana. Ten, widząc się tak zbrojnie, rzekł:

- Ruszajmy stąd, w imię Boże, na pomoc tej wielkiej pani. Cyrulik trwał jeszcze na klęczkach, czyniąc wielkie wysiłki, aby powstrzymać się od śmiechu i nie pozwolić odpaść brodzie, której oderwanie mogłoby wszystkie ich dobre plany na szwank narazić. Widząc, że obietnica została już dana oraz z jaką pilnością Don Kichote gotuje się ją wypełnić, powstał i ujął drugą rękę swej pani i tak we dwóch wsadzili ją

na muła. Natychmiast Don Kichote wskoczył na Rosynanta, cyrulik zaś umieścił się na swym wierzchowcu, Sancza pozostawiając pieszo, co wznowiło w nim żal po stracie siwka, którego brak w tej chwili odczuwał; znosił to jednak ochotnie w przekonaniu, że pan jego jest nad drodze, i to ry-chlej, zostania cesarzem; myślał bowiem, że niezawodnie ożeni się z ową księżniczką i zostanie co najmniej królem Micomiconu. Martwiła go jedynie myśl, że królestwo owo było w ziemi Murzynów, a więc ludzie, którzy będą mu dani za wasałów, będą wszyscy czarni; na to jednak w wyobraźni swojej znalazł natychmiast dobre lekar-

204 stwo i mówił sobie: „Cóż mi to szkodzi, że poddani moi będą czarni? Cóż lepszego uczynię, jak załadować ich na okręt i zawieźć do Hiszpanii, gdzie będę ich mógł sprzedać i gdzie zapłacą mi gotówką, a za te pieniądze będę mógł kupić sobie jakiś tytuł albo urząd, aby żyć bez kłopotu po wszystkie dni żywota? Byle nie zasypiać i mieć dość sprytu i zręczności, by sprawę przeprowadzić i sprzedać trzydzięści, a choćby dziesięć tysięcy poddanych, dajcie mi ich tylko! Na Boga, dam im radę, małym czy wielkim lub jakimkolwiek bądź, a choćby czarni byli, zrobię z nich białych lub żółtych. Sami tu zobaczycie, czy dam się wystrychnąć na dudka!”. Tak szedł zagłębiony w myślach i tak zadowolony, iż zapomniał o przykrości, że idzie piechotą. Na to wszystko patrzyli spoza zarośli Kardenio i proboszcz i nie wiedzieli, jak postąpić, aby się z nimi połączyć. Lecz proboszcz, który był spryciarz wielki, wpadł zaraz na to, jak wyjść z trudności; nożyczami, jakie wydobył z futerału, błyskawicznie ostrzygł brodę Kardena, włożył mu szarą kapotę, jaką miał na sobie, i dał mu czarny swój płaszcz, sam zaś pozostał w spodniach i jubce. Kardenio tak się zmienił, że sam siebie nie poznałby, gdyby się w zwierciadle przejrzał. To uczy-niwszy, choć

tamci wyprzedzili ich w czasie, kiedy oni się przebierali, z łatwością dostali się na królewski gościniec przed nimi, bowiem zarośla i niedroża tej okolicy nie pozwalały jeźdźcom posuwać się tak szybko jak pieszym. Istotnie, wyszedłszy z gór, znaleźli się na równinie i kiedy Don Kichote z towarzyszami się ukazał, proboszcz zaczął mu się niby długo przypatrywać, jakby starając się go poznać, aż wreszcie po długim wpatrywaniu się ruszył ku niemu z otwartymi ramionami, głośno wołając:

- Bywaj i bądź pozdrowiony, wzorze rycerstwa, a mój dobry ziomku, Don Kichocie z Manczy, kwiecie i śmietanko szlachectwa, opoko i obrono potrzebujących cych, esencjo rycerstwa błędnego!

To mówiąc, ściskał Don Kichota za lewe kolano. Ten, zdumiony tym, co wiadomość i słyszał od tego człowieka,tał mu się przypatrywać z uwagą i w końcu poznawszy go, osłupiał i zaczął z wysiłkiem zlaźić z konia, na co mu proboszcz nie

pozwolił. Don Kichote rzekł:

- Pozwólcie, wasza wielebność, księże licencjacie, nie przystoi mi siedzieć na koniu, kiedy tak czcigodna osoba jak wasza miłość idzie piechotą. - Nie pozwolę na to żadnych w świecie - rzekł proboszcz - zostańcie, wasza wysokość, na koniu, konno bowiem dokonywaliście najsłynniejszych czynów i przygód, jakie w naszym wieku oglądano. Mnie, kapłanowi, choć niegodnemu, wystarczy siąść na łuku jednego z mułów tych ichmościów, którzy z waszą miłością jadą, o ile to nie będzie im przykro. Mnie zaś zdawać się będzie, że dosiadam

pegaza albo zebry czy klaczy, jakiej dosiadał ów słynny Maur Muzarak, który do dziś leży zaklęty w obszernej grocie Sulema, niedaleko wielkiego Complutum. - Nie pomyślałem o tym pierwsi, księże licencjacie - odpowiedział Don Kichote - lecz wiem, że pani moja, księżniczka, zechce dla miłości waszej polecić swemu giermkowi, aby użyczył waszej wielebności siodła swego muła; on zaś niech siądzie z tyłu, jeśli bydlę zdoła was unieść.

205

- Uniesie, jak sądzę - odrzekła księżniczka - i również wiem, że nie trzebatego rozkazywać memu giermkowi; jest on tak grzeczny i dworny, że nie pozwoli, aby osoba duchowna szła pieszo, mogąc jechać konno.
- W samej rzeczy powiedział cyrulik.

I zeskoczywszy, natychmiast ofiarował proboszczowi siodło, ten zaś wsiadł, nie dając się zbytnio prosić.

Na nieszczęście mulica była bydlęciem najemnym - to wystarczy, by rzec: złośliwym - i kiedy cyrulik chciał usadowić się z tyłu, podniosła zadnie nogi i tak dwukrotnie wierzgnęła w powietrzu, że gdyby tak w brzuch lub głowę mistrza Mikołaja, posłałaby do diabła narodziny Don Kichota. Doznał jednak takiego wstrząsu, że upadł na ziemię niepomny na brodę, która również odleciała. Spostrzegłszy swą stratę, nie znalazł innego sposobu, jak obiema rękoma zakryć twarz i żalić się, że

ma szczeчки pogruchotane. Don Kichote, ujrzałszy pęk kłaków z brody bez skóry i bez krwi, leżący z dala od oblicza rozciągniętego cyrulika, zawałał: - Na miły Bóg! A to dziw wielki! Oderwała mu i oddzieliła brodę od podbródka, jakby jednym cięciem ostrza.

Proboszcz, widząc, że jego pomysłowi grozi odkrycie, pośpieszył podnieść brodę i podszedł z nią do leżącego mistrza Mikołaja, który nie przestawał wrzeszczać. Wziął go za głowę, przytulił ją do piersi, zaczął nad nim mruczeć jakieś słowa, niby zaklęcia na przyrośnięcie brody, jak to się wnet zobaczy. I w rzeczy samej przyczepił mu ją, odstąpił, a cyrulik stał się tak samo brodaty i zdrów jak pierwej.

Don Kichote zdumiał się niezmiernie i prosił proboszcza, aby w sposobnym czasie wyuczył go tego zamawiania; przypuszczał, że moc jego nie ogranicza się jedynie do przyprawiania bród, bo jasne było, że tam, gdzie broda została oderwana, musiało być i ciało poranione i poszarpane, a przecie wszystko zostało uleczone, a nie tylko broda przyrosła.

- Tak i jest - powiedział proboszcz i obiecał nauczyć go zamawiania przy pierwszej sposobności.

Ułożyli, że na razie proboszcz wsiądzie na siodło, zaś inni trzej zmieniać się będą od czasu do czasu, zanim dojadą do gospody oddalonej stamtąd o dwie mile. Kiedy wszyscy troje wsiedli na konie, to jest Don Kichote, księżniczka i proboszcz, zaś cyrulik, Kardenio i Sanczo Pansa szli pieszo, Don Kichote zwrócił się do dziewczyny:

- Wasza wysokość, pani moja, prowadźcie, gdzie się wam podoba.

Nim odpowiedziała, proboszcz zapytał:

- Do jakiego królestwa pragnie wasza dostońcość prowadzić? Czy przypadkiem do królestwa Micomicon? Tak by należało albo mało znam się na królestwach. Dorota, wiedząc, w czym rzecz, zrozumiała, że ma odpowiedzieć twierdząco, więc rzekła:
- Tak, panie, do tego właśnie królestwa moja droga wiedzie.
- Jeśli tak jest - mówił proboszcz - przejechać nam wypadnie przez sam środek naszej wioski, stamtąd wasza miłość obierze drogę do Cartageny, gdzie z pomocą Bożą wsiądzie na okręt, a jeśli zdarzy się wiatr przychylny, morze spokojne

206

i nieburzliwe, to za niecałych dziewięć lat ujrzycie wielki zalew Meona, rzec chciałem Meotydy, odlegiej nieco więcej niż o sto dni od królestwa waszej wysokości. - Wasza wielebność, mylicie się - odparła -jeszcze nie ma dwóch lat, jak stamtąd wyjechałam, a zaprawdę pogoda stale była przeciwna, mimo to dotarłam tu, aby ujrzeć, co było moim najgorętszym pragnieniem, pana Don Kichota z Manczy; zaledwie nogą stąpiłam na hiszpańską ziemię, doszły mię o nim wieści i skłoniły do szukania go, aby się polecić jego dworności i słuszną sprawę moją dzielności jego ramienia powierzyć.

- Dosyć już, zaprzestańcie tej chwałby - rzekł na to Don Kichote - jestem bowiem wrogiem wszelkiego rodzaju pochlebstwa, choć wasze słowa pochlebstwem nie są, jednak słowa takie obrażają moje skromne uszy. To jedno powiedzieć mogę, pani moja, czy mam odwagę, czy mi jej nie dostaje, tę, jaką posiadam czy też nie posiadam, użyję w waszej służbie aż do utraty życia. Lecz zostawiam to czasowi, a teraz proszę wielebnego księdza licencjata, aby mi rzekł, jaka przyczyna tutaj go przywiódła samego, bez służby, w tak lekkiej odzieży, że lęk mię zbiera. - Odpowiem na to krótko - odparł proboszcz - musicie wasza miłość, panie Don Kichocie, wiedzieć, że ja i mistrz Mikołaj, nasz przyjaciel i balwierz, wybrali-

śmy się do Sewilli, aby podjąć pieniądze, jakie przysłał nam pewien mój krewniak, który wiele lat temu wyjechał do Indii. Nie było tego mało, bo suma sięgała sześć- dziesiąt tysięcy pesetów dobrej wagi. I kiedy wczoraj jechaliśmy przez te okolice, wypadło na nas czterech zbójów i obdarli nas, nie wyłączając brody, tak że balwierz musiał sobie sztuczną przyprawić; tego zaś młodzieńca, który mi towarzyszy - rzekł

wskazując na Kardenia - zostawili, jakby się na nowo narodził. Co najlepsze, że chodzą słuchy w tych stronach, że owi rabusie to pewni galernicy, których pono uwolnił niemal w tym samym miejscu człowiek tak dzielny, że wbrew komisarzowi i straży rozpuścił ich wszystkich. Bez żadnej wątpliwości musi on być pozbawiony rozumu albo jest takim samym wielkim złoczyńcą jak oni, jakimś człowiekiem bez duszy i bez sumienia, skoro śmiał wpuścić wilka do owczarni, lisa między kury i muchę do miodu, śmiał pogwałcić prawo, wystąpił przeciw królowi, przyrodzonemu panu swojemu, sprzeciwiając się jego słusznym wyrokom, śmiał pozbawić galery rąk, w zamieszanie wprawić Świętą Hermandadę, która od tyłu lat odpoczywała, śmiał w końcu porwać się na czyn, wiodący do zguby duszy, a bez pożytku dla ciała.

Sanczo opowiedział był proboszczowi i cyrulikowi przygodę z galernikami, którą zakończył Don Kichote z tak wielką chwałą swoją, dlatego proboszcz nad tym się rozwodził, ciekaw, co uczyni lub powie Don Kichote.

Ten mienił się na twarzy przy każdym słowie i nie śmiał przyznać się, że on to był owym oswobodzicielem tamtych osobników.

- Oni to właśnie - mówi proboszcz - nas obrabowali. Niech Bóg w miłosierdziu swoim przebaczy temu, który nie dopuścił, aby zasłużona kara ich spotkał

a. 207

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

w którym mowa o bystrości pięknej Doroty
oraz o innych sprawach wielce
smakowitych a krotochwilnych

Jeszcze proboszcz nie skończył, gdy Sanczo rzekł:

- Na mą duszę, wielebny książę licencjacie, to przecież mój pan tej sztukidokonał, nadaremnie odwodziłem go i przestrzegałem, aby rozważył, co czyni, że to grzech wracać wolność takim, wszyscy bowiem zostali skazani jako wielcy zbrodniarze.

- Głupcze! - zawałał Don Kichote. - Nie jest sprawą błędnych rycerzy dochodzić i sprawdzać, czy nieszczęśliwi, zakuci i uciskieni, jakich spotyka się na drogach, znaleźli się w tym położeniu i ucisku ze swej winy czy niewinnie; przystoi tylko im pomóc jako potrzebującym, bacząc na ich cierpienia, a nie

na ich łotrostwa. Spotkałem różaniec ludzi smutnych i nieszczęśliwych, nawleczych na łańcuch i postąpiłem wobec nich, jak mi moja religia nakazuje, a poza tym niech się dzieje, co chce, a komu się to nie podoba, to bez uszczerbku dla świętej godności

wielebnego licencjata i jego czcigodnej osoby powiem,
że niewiele zna się na sprawach rycerstwa i że kłamie
jak sukinstyn i cham, i dowiodę mu tego mieczem, gdzie
tylko mi stanie.

To rzekłszy, umocnił się w strzemionach i nacisnął misiurkę, ponieważ miednica balwierza, która dlań była hełmem Mambryna, wisiała u tylnego łyku siodła, póki jej nie naprawił po uszkodzeniu przez galerników. Dorota, bystra i pełna wdzięku, poznawszy już nieodpowiedzialne usposobienie Don Kichota, z którego wszyscy, z wyjątkiem Sanczo Pansy, dworowali, nie chciała pozostać w tyle i widząc go tak rozniewanym, rzekła: – Panie rycerzu, przypominam waszej miłości daną mi obietnicę, wedle której lza wam wdawać się w żadną przygodę, choćby nie wiem jak pilną; uspokójcie, wasza miłość, serce wasze; jeśli wielebnny książę licencjat wiedział, że to tym niezwyciężonym ramieniem zostali uwolnieni galernicy, trzykroć byłby usta zatkał i trzykroć zagryzł język, zanimby wypowiedział jedno słowo, które by waszej miłości nie w smak było.

- Przysięgam! - rzekł proboszcz - raczej bym sobie wąs zgolił.
- Zamilknę więc, pani moja - rzekł Don Kichote - i powściagnę słuszny gniew, który już w mej piersi wstawał, pójdę cichy i spokojny, póki nie wypełnię obietnicy; lecz w nagrodę za te dobre zamiary, błagam was, powiedzcie, jeśli to wam nie sprawi przykrości, jaka jest wasza troska, jacy to i jak liczni są ludzie, na których mam za was wywrzeć słuszną, dostateczną i pełną zemstę.
- Chętnie to uczynię - odrzekła Dorota - jeśli nie znużę was opowiadaniem skarg i narzekań.
- Nie znużycie mnie, pani moja - odpowiedział Don Kichote. Na to odrzekła Dorota:
208 - W takim razie
słuchajcie, mości
panowie...

Zaledwie to rzekła, Kardenio i cyrulik przysunęli się do jej boku, pragnąc usłyszeć, jak zmyśla sprytna Dorota swą historię, a to samo uczynił Sanczo Pansa, który, podobnie jak jego pan, dał się wywieść w pole. Ona zaś, poprawiwszy się na siodle, odkaszlnawszy i wykonawszy kilka poruszeń z wielkim wdziękiem, zaczęła tak opowiadać: – Przede wszystkim musicie ichmoście wiedzieć, że nazywam się...

Tu zastanowiła się chwilę, gdyż przepomniała imienia, jakie jej proboszcz nadał, ten jednak, zrozumiawszy to wahanie, pośpieszył z pomocą i rzekł:

- Nie dziwota, pani moja, że wasza miłość miesza się i wikła, opowiadając swenieszczęścia. Te zwykły tak działać, iż odbierają czasem pamięć dotkniętym, ba, nawet własnego imienia nie pomną, jak to się waszej miłości zdarzyło. Zapomnieliście oto, iż zwiecie się księżniczką Micomiconą i jesteście prawowitą dziedziczką

wielkiego królestwa Micomicon. Po tym przypomnieniu będzie waszej miłości łatwo na pamięć przywołać wszystko, co opowiedzieć chcecie.

- Prawdę mówicie - odpowiedziała dziewczyna - i odtąd, wierzę, nie będzie mitrzuba niczego przypominać i doprowadzę szczęśliwie do portu mą prawdziwą historię. Oto ona: król mój rodzinny, zwany Tinacrio Mędrzec, był bardzo biegły w sztuce zwanej czarodziejską; przewidział dzięki swej wiedzy, że matka moja, królowa Haramilia, umrze przed nim, on zaś wkrótce potem również życie skończy, a ja pozostanę sierotą po ojcu i matce. Ale twierdził, nie to go tak dręczy, jak niepokój w nim budzi pewność niezawodna, że srogi stolem, władca wielkiej wyspy graniczącej z naszym królestwem, zwany Pandafilando Ponurego Wejrzenia (albowiem, powiem wam, dowiedzione jest, że choć ma oczy na miejscu i prosto osadzone, zawsze patrzy krzywo, jakby był zezowaty, a czyni tak ze złośliwości, aby strachem i trwogą napawać tego, na kogo spogląda)... mówię więc, ojciec mój przeczuł, że ów olbrzym, dowiedziawszy się o mym sierociewie, z wielką potęgą królestwo moje najedzie i pozbawi mnie wszystkiego, nie zostawiając najmniejszej wioski, gdzie bym

się schronić mogła. Zdołam jednak uniknąć tej zatraty i nieszczęścia, jeśli się zgodzę go poślubić; był jednak przekonany, że nigdy nie zgodzę się na to niestosowne

małżeństwo, a było to szczerą prawdą, gdyż przenigdy w myсли mi nie postało zostać żoną tego stolema ani żadnego innego, choćby nie wiem jak ogromnego i gwałtownego. Radził mi też ojciec, abym po jego śmierci, widząc, że Pandafilando gotuje się do najazdu na moje państwo, nie myślała o obronie, co byłoby zgubą, ale bym dobrowolnie opuściła królestwo, jeśli chcę uniknąć śmierci i zupełnej zagłady

mych dobrych i wiernych poddanych, bowiem niepodobna mi będzie obronić się przed szatańską siłą olbrzyma. Natychmiast z kilkoma oddanymi sobie mam udać się do Hiszpanii, gdzie znajdę lek na moje nieszczęście, skoro tylko odszukam pewnego błędного rycerza, którego sława w tym czasie po całym tym królestwie szerzyć się będzie; ten zaś zwać się miał, dobrze nie pomnę, Don Azote czy Don Jigote1. - Don

Kichote, powiedziecie, pani - wwrócił Sanczo Pansa - czyli inaczej Rycerz Smętnego Oblicza.

1 Don Azote znaczy dosłownie: Pan Bykowiec; Don Jigote- Pan Potrawka.

209

- O właśnie! - rzekła Dorota - mówił też, że będzie on wysokiego wzrostu, suchy na twarzy, zaś po prawej stronie pod lewą łopatką czy też w pobliżu ma mieć brunatne znamię z kilkoma włosami podobnymi do szczecii.

Usłyszawszy to, Don Kichote rzekł do swego giermka:

- Bywaj, Sanczo synu, pomóż mi się obnażyć, gdyż chcę się przekonać, czyjestem tym rycerzem, przepowiedzianym przez króla.
- Po cóż chcecie się, wasza miłość, rozdziewać? - zapytała Dorota.- Aby zobaczyć, czy posiadam owo znamię, o jakim wasz ojciec powiadał odparł Don Kichote.
- Nie potrzebujecie się rozdziewać - rzekł Sanczo - dobrze wiem, że jegomość macie takie właśnie znamię na środku kręgosłupa, co jest oznaką człowieka mocnego.
- To wystarczy - rzekła Dorota - wśród przyjaciół nie zważy się na drobnostki, czy to jest łopatka, czy kręgosłup, obojętne, wystarczy, że znak jest, gdziekolwiek by był. Wszak to wszystko jedno ciało. I ani chybi mój dobry rodzinie przewidział to wszystko i ja jestem tego pewna, oddając się w opiekę pana Don Kichota. Jest on tym, o którym mój ojciec mówił, gdyż rysy twarzy zgadzają się z tymi, jakie wedle rozgłosu nie tylko w Hiszpanii, ale w całej Manczy ów rycerz posiada. Zaledwie bowiem wylądowałam w Osuna, nasuchałam się tyle o jego przewagach, że zaraz powiedziałam sobie w duszy: oto ten, którego szukać przybyłam.
- Jakoż wasza miłość mogła wylądować w Osuna - zapytał Don Kichote - niejest to przecie port morski?

Zanim Dorota zdążyła odpowiedzieć, proboszcz ujął ją za rękę i zabrał głos: - Dostojna księżniczka chciała powiedzieć, że kiedy wylądowała w Maladze, pierwszą miejscowością, w której usłyszała o waszej miłości, była Osuna.

- Tak właśnie rzec chciałam - odparła Dorota.
- To się rozumie - rzekł proboszcz. - Najjaśniejsza pani raczy dalej opowiadać.
- Nie ma już o czym - odparła Dorota - chyba o tym, że los w końcu był mi takprzychylny i znalazłam pana Don Kichota, a już uważam się i widzę się królową i władcynią całego mego państwa, gdyż on przez swą rycerskość i wsparcia myślność obiecał mi udać się ze mną, gdziekolwiek go zawiodę, to znaczy prosto przeciw Pandafilandowi Ponurego Wejrzenia, aby go zabił, a mnie oddał to, co wbrew prawu mi wydarto. To wszystko spełni się dosłownie, jak przepowiedziała

Tinacrio Mędrzec, mój dobry rodzinie. Prócz tego mówił i napisał greckim czy chaldejskim alfabetem, którego nie umiem odczytać, że gdyby ów rycerz z przepowiedni, ściąwszy łeb olbrzyma, chciał ożenić się ze mną, mam natychmiast się zgodzić, bez żad-

nich ceregieli, zostać jego prawowitą małżonką oraz oddać mu moje państwo łącznie z mą osobą.

- Jak ci się zdaje, przyjacielu Sanczo? - rzekł na to Don Kichote. - Czy słyszysz, co się dzieje? A co, czy ci nie mówiłem? Patrz, wszak mamy królestwo do rządzenia i królową do żeniaczki.
- Przysięgam na to - rzekł Sanczo - że sukinstwo to będzie, kto, podciąwszygardło acanowi Pandahilado, nie ożeni się! Do diaska, może to brzydka królowa?

210

Ach, żeby mię tak pchły po łóżku obracały! - To mówiąc, dwa kozły w powietrzu wywrócił na znak wielkiego ukontentowania, podbiegły chwycić za wodze muła Doroty i trzymając je, rzucił się przed nią na kolana, błagając, aby mu dała ręce do ucałowania na znak, że oto obiera ją za swoją panią i królową. Któż z przytomnych nie uśmiałby się, widząc obłęd pana i prostotę giermka.

Oczywiście Dorota dała ręce

ucałować i obiecała zrobić go wielkim panem w swym królestwie, skoro tylko niebo pozwoli utracone odzyskać i radować się nim. Sanczo dziękował jej takimi słowy, że znowu wszyscy śmiali się zaczęli.

- Oto, panowie - ciągnęła Dorota - moja historia, pozostaje mi jeszcze dodać, że ze wszystkich ludzi mej świty, którzy wraz ze mną królestwo opuścili, pozostał jeno jeden, ten oto brodaty giermek. Wszyscy bowiem zatonęli w czasie burzy, jaka nas u wejścia do portu spotkała, jeno on i ja uratowaliśmy się na dwóch deskach, przybijając do lądu cudem. Wszystko bowiem w ciągu mego życia jest tajemnicą i cudem, jak zauważycie. Jeśli nad czymś zbyt się rozwodziłam lub nie tak ściśle, jak należy, przedstawiłam, włożyćcie to na karb tego, co wielebny książę licencjat powiedział na początku mej opowieści - że trudy ustawnicze i nadzwyczajne pamięć cierpiącemu odbierają.

- Nie odbiorami mojej, o wysoka i mężna pani - rzekł Don Kichote - choćbyw służbie waszej spotkały mię nie wiem jak wielkie i niewidziane. Ponownie powtarzam daną obietnicę i przysięgam pójść z wami na koniec świata, aż stanę twarzą w twarz z

wrogiem waszym, któremu, wierzę, z pomocą boską i mego ramienia, utnę głowę dumną ostrzem tego miecza, nie śmiem powiedzieć dobrego, mój miecz bowiem zabrał mi Gines de Pasamonte.

Te słowa wymamrotał między zębami i dalej tak ciągnął:

- Kiedy zetnę go i przywrócę was w spokojne władanie wielkim waszym państwu, będziecie mogli wedle woli z osobą waszą uczynić, co się wam żywnie podoba, jak długo bowiem me myśli i pamięć jest zajęta a wola spętana, rozum utracony przez tę... więcej nie powiem... - nie jest możliwe, abym ważył się nawet w myśl na małżeństwo choćby z samym ptakiem feniksem.

Nie w smak poszły Sanczowi te ostatnie słowa jego pana, iż żenić się nie chce.

I rozsierdziwszy się bardzo, podniesionym głosem rzekł:

- Przysięgam i zaklinam się na wszystko, że wasza mość, Don Kichocie, nie jesteście spełna rozumu. Jak to? Czy to możliwe, aby jegomość wahał się ożenić z tak wysoką księżniczką jak ta oto? Zali sądzicie, że los wam często zsyłać będzie podobne szczęście jak to, co samo wam w ręce lezie? Zali pani moja, Dulcynea, jest piękniejsza? Nie, zaprawdę ani w połowie tak piękna nie jest, gotów jestem rzec, że nie sięga trzewika tej, która jest przed nami. A, do diaska, jakże ja tego upragnione- go hrabstwa dopnę, jeśli jegomość będzie szukać trufli w morzu? Żeńcie się, żeńcie się zaraz, do diabła, i bierzcie to królestwo, które samo pcha się wam w ręce jak vobis, vobis; raz królem, zróbcie mię markizem lub wielkorządcą, i to co żywo, albo niech diabeł porwie wszystko. Don Kichote, usłyszawszy takie bluźnierstwa przeciw swej pani Dulcynei, nie mógł tego ścierpieć i chwyciwszy kopię, nie mówiąc już ani słowa do Sancza, jak- 211 by gęby nie miał, wymierzył mu takie dwa razy, że rzucił go o ziemię, i gdyby Do- rota nie krzyknęła, aby mu nic złego nie czynił, ani chybi byłby go życia pozbawił.

- Zali myślisz - rzekł po chwili milczenia - podły gburze, że będziesz mi zawsze rękę pchał w rozkraczę i że tobie wolno będzie bezkarnie grzeszyć, a ja mam ci przebaczać? Wybij to sobie ze łba, szelmo przeklęty, jakim bez ochyby jesteś, skoro język przeciw niezrównanej Dulcynei puściłeś. Zali nie wiesz, chamie, łotrze i hultaju, że gdyby nie mestwo, które ona w moje ramię wlewa, nie zdoałbym nawet pchły zabić? Powiedz, szelmo o jaszczurczym języku, kto, myślisz, zdobył to królestwo? Kto ściął łeb temu olbrzymowi, a ciebie zrobił markizem (bo wszystko już uważam za dokonane i przesądzone), jeśli nie doskonałość Dulcynei, która ramię moje za narzędzie swych wielkich czynów obrała? Ona walczy we mnie, ona we mnie zwycięża, ja żyję i oddycham w niej, z niej życie me i istnienie czerpię.

O sukinsynu, gałganie, jakżeś ty niewdzięczny, z prochu ziemi podniosłem cię do godności utytułowanego pana, a ty odpłacasz za takie dobrodziejstwa szkalowaniem tych, co ci je wyściadczyli.

Sanczo nie był aż tak pobity, aby nie słyszeć, co pan jego prawił, pozbierał się, jak zdołał najprędzej, ukrył się za wierzchowcem Doroty i stamtąd rzekł do swego pana: – Powiedzcie mi, panie, jeśli wasza miłość postanowiłeś nie żenić się z tą wielką księżniczką, jasne jest, że królestwo nie będzie wasze, a jeśli nie będzie wasze, jaką

nagrodę dać mi będziecie mogli? Oto powód mego rozzalenia. Ożeńcie się jegomość raz na zawsze z tą królową, oto ją macie, jakby z deszczem z nieba spadła, a potem będziecie mogli do Dulcynei powrócić; musieli bowiem być królowie na świecie, którzy mieli i kochanice. Co się tyczy piękności, nie będę w to wchodził,

co prawda trzeba przyznać, że obie pięknie się przedstawiają, choć pani Dulcynei jeszcze na oczy nie widziałem.

- Jak to nie widziałeś, zdrajco bluźnierczy?! - zawałał Don Kichote. - Czyżnie przywiozłeś mi właśnie posłania od niej.
- Mówię, że nie oglądałem jej tak dokładnie - odparł Sanczo - abym zdołał zapamiętać szczegółowo jej gładkość i wdzięki punkt po punkcie, w ogólności jednak wydawała mi się urodziwa.
- Na teraz ci odpuszczam - rzekł Don Kichote - i przebacz mi przykrość, jakaci wyrządziłem, człek nie panuje nad pierwszymi odruchami.
- Widzę to dobrze - odrzekł Sanczo - we mnie też ochota do gadania jest zawsze pierwszym odruchem i nie mogę się pohamować, aby przynajmniej raz nie napleść, co mi ślina na język przyniesie.
- Z tym wszystkim - rzekł Don Kichote - zważ, Sanczo, co gadasz, bowiem tak dugo dzban wodę nosi... nic więcej nie powiem.
- Na teraz już dobrze - odparł Sanczo. - Bóg jest na niebie, widzi wszystkie przewiny, rozsądzi, kto gorzej sobie poczyna, czy ja, kiedy źle mówię, czy jegomość, kiedy źle czyni.
- Dosyć tego - rzekła Dorota - nuże, Sanczo, ucałuj rękę waszego pana i prośo przebaczenie, zaś odtąd bądź bardziej powściągliwy w pochwałach

swych i krytykach, a nie mów źle o tej pani z Toboso, której choć nie znam, już gotowam jej

212 służyć, i mieć ufność w Bogu, że niezawodnie obdarzy cię stanem, w którym żyć będziesz jak książę.

Poszedł Sanczo ze spuszczoną głową i poprosił swego pana o rękę, ten mu ją podał ze spokojną godnością, a kiedy ów ją ucałował, pobłogosławił go i polecił, aby z nim przodem jechał, chciał go bowiem wypytać i pomówić o sprawach bardzo ważnych. Posłuchał Sanczo i obaj wysforowali się naprzód, a Don Kichote przemówił:

- Odkąd powróciłeś, nie było sposobności ni czasu, aby cię zapytać o wieleszczegółów dotyczących poselstwa, jakie sprawiłeś, i odpowiedzi, jaką przyniosłeś.
- Teraz, kiedy los nadarza i czas, i miejsce, nie odmawiaj mi szczęścia, jakie udzielić mi możesz przez dobre nowiny.
- Pytajcie, jegomość, o co chcecie - odpowiedział Sanczo - co dobrze zacząłem, dobrze zakończę, lecz błagam waszą miłość, niech jegomość nie będzie odtąd tak porywczy.
- Dlaczego tak mówisz, Sanczo? - zapytał Don Kichote. - Mówię to - odparł - bo te kije przed chwilą początek wzięły raczej ze sprzeczki, jaką między nami diabeł tamtej nocy roznieli, aniżeli ze słów moich przeciw pani Dulcynei, którą miuję i czczę jak relikwię (choć żadnej w niej nie ma), a jedynie dlatego, że do waszej miłości należy.
- Nie wracaj do tego gadania, Sanczo, na twe życie, jest mi to przykro. Już ciprzbaczyłem i dobrze wiesz, jak to zwykło się mówić. Za nowy grzech nowa kara. Kiedy tak rozmawiali, ujrzelii jadącego naprzeciw tą samą drogą człeka na osłe; kiedy się przybliżył, wyglądał na Cygana, ale Sanczo Pansa, któremu gdy patrzył na osły, oczy i dusza się wyrywały, zaledwie zoczył człowieka, wnet poznał, że to Gines de Pasamonte, i po nitce do kłybka od Cygana doszedł do swego osła. W samej rzeczy był to siwek, którego dosiadał Pasamonte; ten, aby nie być poznany i aby móc sprzedać osła, włożył szaty cygańskie, bowiem język cygański znał, jak również i wiele innych, jakby swoje własne. Zobaczył go Sanczo i poznał, a zaledwie go zobaczył i poznał, zaraz wielkim głosem zawałał:
- A złodzieju Ginesillo! Ostaw, co moje, oddaj mi życie, nie pozbawiaj miępodpory, zostaw mego osła, zostaw mój skarb! Umykaj, sukinsynu, precz stąd, łajdaku! Oddaj, co nie twoje!

Nie trzeba było tylu słów ani obieg, bo na pierwsze słowo Gines zeskoczył i puścił się biegiem, który zdawał się być galopem, w jednej chwili znikł im z oczu.

Sanczo podszedł do siwka i obejmując go, rzekł:

- Co się z tobą działa, skarbie mój, siwku mych żrenic, drogi towarzyszu? Z tymi słowy całował go i ściskał, jakby to był człowiek. Osioł milczał i pozwalał się cmokać i ściskać Sanczowi, nie odpowiadając ni słowa. Zbliżyli się wszyscy i winszowali mu znalezienia osła, a zwłaszcza Don Kichote, który zapowiedział, że mimo to nie cofnie przekazu na trzy osiołki, za co Sanczo mu podziękował. Kiedy tak ci dwaj, jadąc drogą, rozmawiali, proboszcz chwalił Dorotę za spryt, jaki okazała w ułożeniu opowieści zarówno zwiążej, jak podobnej do tych, jakie się w księgach rycerskich znajdują. Odpowiedziała, że nieraz zabawiała się czyta213

niem ich, ale nie wiedziała, gdzie leżą owe prowincje i porty morskie, więc powiedziała na chybił trafił, że wysiadła na ląd w Osuna.

- Spostrzegłem to - rzekł proboszcz - i dlatego zaraz pośpieszyłem powiedzieć, co rzekłem, aby złemu zaradzić. Ale czy nie dziwne patrzeć, z jaką łatwością ten nieszczęsny szlachcic wierzy we wszystkie wymysły i kłamstwa dlatego jedynie, że zbliżają się do stylu i kształtu niedorzeczności z jego książek?

- Zaiste - rzekł Kardenio - rzecz rzadka i niewidziana, i nie wiem, czy gdybyto kto chciał wymyślić i sfabrykować kłamliwie, miałby tak bystry umysł, aby to wynaleźć.

- Lecz jeszcze jest coś dziwniejszego - mówił proboszcz - że poza głupstwa- mi, jakie ten zacny szlachcic wyplata, a które jego obłędu dotyczą, jeśli o innych sprawach rozmawia, mówi roztrąbnie bardzo i okazuje bystry rozum, jasny i rozważny we wszystkim; tak że o ile nie dotycza się spraw rycerskich,

nikt go nie weźmie za pozbawionego rozumu, ale za bardzo rozsądnego.

Kiedy ci tak gwarzyli, Don Kichote dalej ciągnął rozmowę z Sanczem: - Drogi Sanczo, rzućmy włosy w morze! w tej naszej sprzeczce i powiedz mi teraz, nie bacząc na gniew ani na urazę żadną, gdzie, jak i kiedy zastałeś Dulcyneę.

Co robiła? Co jej rzekłeś? Co ci odpowiedziała? Jaki miała wyraz twarzy, kiedy list czytała? Kto ci go przepisał? Wszystko, co w tym wypadku warto, abym wiedział, o co bym pytał, czym radował się, nie dodając ani nie kłamiąc, aby mi przyjemność sprawić, ani nie ujmując, aby mnie jej pozbawić.

- Panie - rzekł Sanczo - aby prawdę rzec, nikt mi listu nie przepisywał, bomnie wiózł żadnego.

- W rzeczy samej tak jest, jak rzekłeś - powiedział Don Kichote - bo notatnik, w którym go napisałem, znalazłem w dwa dni po tym odjeździe, co mi ogólną przykrość sprawiło. Nie wiedziałem bowiem, co uczynisz, spostrzegłszy brak listu, i sądziłem nawet, że zatróciś z miejsca, kiedy brak ten zauważysz. - Tak też stałoby się - odparł Sanczo - gdybym go nie zachował w pamięci, kiedy mi go jegomość czytaliście, więc przytoczyłem go pewnemu zakrystianowi, a ten z pamięci przepisał, słowo za słowem, i powiedział, że w całym swym życiu, choć czytał wiele pism z klątwami, równie pięknego listu jak ten nie widział i nie czytał.
- I pamiętasz go jeszcze dotąd, Sanczo? - zapytał Don Kichote.
- Nie, panie - odparł Sanczo - bo ledwie go wypowiedział, widząc, że więcej mi się to nie przyda, puściłem go w niepamięć, i jeśli coś przypominam sobie, to ową suterenną, chcę rzec suwerenną panią i zakończenie: „Wasz aż do śmierci Rycerz Smętnego Oblicza”. A między początkiem i końcem włożyłem ponad trzysta razy: duszo, życie i żrenico moja.

Tzn. zapomnijmy uraz - formuła z folkloru hiszpańskiego.

214

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

o uciecznych rozmowach Don Kichota z Sanczo Pansą, jego gierkiem, oraz o innych zdarzeniach

Jak dotąd, wszystko w porządku, mów dalej - rzekł Don Kichote. - Zbliżyłeś się, a cóż robiła ta królowa piękności? Zapewne zastałeś ją, gdy nawlekała perły lub haftowała złotym szyciem jakiś upominek dla swego niewolnego rycerza. - O nie! - odparł Sanczo. - Ale zastałem ją, jak przesiewała dwa półkorce zboża na podwórku zagrody.

- Możesz być pewny - rzekł Don Kichote - że ziarna zboża jej dłońmi dotknięte zamieniały się w perły. A czyś uważałeś przynajmniej, jakie to było zboże, zali była to najprzedniejsza biała pszenica, zali też czerwona?
- Była to sama najpodlejsza czerwona - odpowiedział Sanczo.
- Mogę cię zapewnić, że siana jej rękoma - rzekł Don Kichote - da bez wątpienia najbielszy chleb. Ale mów dalej, kiedyś jej list oddał, czy ucałowała go? Czy położyła go sobie na głowie? Czy dokonała jakieś ceremonii godnej takiego listu? Co zrobiła?
- Kiedy jej list miałem wręczyć - rzekł Sanczo - była cała oddana przesiewaniu znacznej ilości zboża, jakie miała w siedlaczce, więc rzekła mi:

Don Kichote - Miguel Cervantez

„Połóżcie, przyjacielu, ten list na jakimś worku, nie mogę go czytać, póki nie skończę przesiewać zboża, jakie tu mam”.

- O roztropna pani - rzekł Don Kichote - uczyniła tak zapewne, aby mogła go przeczytać swobodnie i nacieszyć się nim. Dalej, Sanczo - a przy tej swej pracy o czym rozmawiała z tobą? Czy pytała o mnie - a ty, coś odpowiedział? Dokończ, opowiedz mi wszystko, ani nutki nie zostaw w kałamarzu.
- O nic się nie pytała - rzekł Sanczo - za to ja jej opowiedziałem, jak jegomość, aby jej służyć, pozostał tu, czyniąc pokutę, obnażony od pasa w dół, pośród tych skał, jak dziki śpiąc na ziemi, nie jedząc chleba na obrusie, nie czesząc brody, płacząc i złorzecząc losowi.
- Źle rzekłeś, Sanczo, mówiąc, że przeklinam mój los - odparł Don Kichote przede wszystkim bowiem błogosławię i błogosławić będę przez wszystkie dni żywota, że uczynił mnie godnym miłowania tak wysokiej pani jak Dulcynea z Toboso. - Tak jest wysoka - odparł Sanczo - że na dobrą sprawę przerasta mnie o jedną piędrz.
- Jak to, Sanczo - zapytał Don Kichote - mierzyłeś się z nią?
- Zmierzyłem się w ten sposób - odpowiedział Sanczo - że zbliżywszy się, aby pomóc jej wóz zboża na osła włożyć, stanąłem tak blisko niej, iż mogłem przekonać się, że przewyższa mnie o dobrą piędrz.
- Zali nieprawda - odparł Don Kichote - że towarzyszą temu wzrostowi i przyozdabiają go tysiączne i milionowe przymioty duszy? Nie zaprzeczysz mi w jednym, Sanczo, kiedy zbliżyłeś się do niej, zali nie poczułeś sabejskiej woni, aromatu 215

upojnego, czegoś tak miłego, że nie wiem, jak to zwać? Powiedz, był to jakiś balsam czy opar, jakbyś się znajdował w sklepie przedniego rękawicznika? - Mogę rzec tylko - odpowiedział Sanczo - poczułem jakiś mężczyński odór, musiało to być, że przy tak ciężkiej robocie spociała się porządnie i zziajała. - To być nie może - odparł Don Kichote - musiałeś chyba mieć katar albo to od ciebie zionęło, wiem przecie dobrze, jak pachnie ta róża wśród kolców, ta lilia polna, ta ambra rozkoszna.

- I to być może - odpowiedział Sanczo - bo nieraz ze mnie dobywa się takicuch, jaki zdawało mi się, że rozchodził się od jejmości pani Dulcynei. Nie ma się czemu dziwić, jeden diabeł drugiemu podobny.
- Tedy - ciągnął Don Kichote - kiedy wywiąła zboże i odesłała je do młyna, cóż uczyniła, przeczytawszy mój list?

- Listu - rzekł Sanczo - nie czytała, bo jak rzekłem, nie umie ani czytać, ani pisać; lecz przeciwnie, podarła go na drobniutkie kawałeczki, mówiąc, że nikomu nie chce dać czytać, aby nie dowiedziano się we wsi ojej sekretach, i że wystarczy jej to, co opowiedziałem o miłości, jaką jegomość ku niej żywi, i o niezwykłej połkuje, jaką z jej przyczyny chce odbyć. W końcu rzekła mi, abym jegomości oznajmił, że ręce jego całuże i że większą ma chęć widzieć was niż pisać do was. A więc

błaga i rozkazuje, abyście, kiedy to posłanie was dojdzie, co żywo z tych gąszczy wyszli, zaprzestali dziwactw i migiem udali się w drogę do Toboso, jeśli coś ważniejszego nie zaszło. Żywi bowiem wielką chęć oglądania waszej miłości. Śmiała się bardzo, kiedy jej powiedziałem, że jegomość zowie się Rycerzem Smętnego Oblicza. Zapytałem, czy widziała owego onegdajszego Biskajczyka, odpowiedziała, że owszem, i był to bardzo porządnny człowiek. Pytałem ją również o galerników, lecz odparła, że dotąd żadnego nie oglądała.

- Wszystko dobrze jak dotąd-rzekł Don Kichote- lecz powiedz mi, jakiż ciklejnot przy pożegnaniu dała za nowiny ode mnie jej przyniesione. Stary to jest obyczaj między rycerzami i damami błędymi, giermków, panny czy karłów, przynoszących im nowiny od dam serca lub damom od błędnych rycerzy, obdarzać jakimś bogatym klejnotem w podzięce za poselstwo.

- Być może, że tak jest, i uważam, że to dobry zwyczaj; ale musiało tak być w minionych wiekach, a teraz widać daje się tylko kawałek chleba i sera, bo to mi dała pani moja Dulcynea przez mur podwórza, kiedy się z nią żegnałem. I to w dodatku był ser owczy.

- Jest nader hojna - rzekł Don Kichote - jeśli nie dała ci złotego klejnotu, topewnie dlatego, że nie miała go pod ręką, by ci ofiarować. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Dobre kołacze i po Wielkiej Nocy. Zobaczę się z nią i wszystko będzie dobrze. Wiesz, co mię zdumiewa, Sanczo, oto zdaje mi się, byłeś tam i z powrotem jak na skrzydłach, bo nie więcej niż trzy dni zużyłeś na udanie się i na powrót z Toboso, a stąd tam jest ponad trzydzięci mil. To mi daje do myślenia, że ów mądry czarodziej, który się mymi sprawami zajmuje i jest mi przyjazny - bo na pewno taki jest i być musi, nie byłbym inaczej prawdziwym błędnym rycerzem - powiadam więc, że musiał ci on pomóc w podróży, choć tego nie spostrzegłeś. Są bowiem czarodzieje, którzy porywają rycerzaшедшego, śpiącego w łóżu, i nie wiem jak ani 216 jakim sposobem na drugi dzień budzi się on tysiąc mil od miejsca, gdzie nocował. Gdyby nie to, nie mogliby rycerze błędni przychodzić sobie wzajemnie z pomocą w

niebezpieczeństwie, jak to na każdym kroku czynią. Zdarza się, że jeden walczy w górach Armenii z jakąś endriagą lub innym dzikim potworem czy też z drugim rycerzem, a w najgorszej chwili walki, już bliski śmierci, kiedy najmniej się spodziewa, zjawia się nagle tam na jakieś chmurze lub na wozie ognistym inny rycerz, druh jego, który przed chwilą jeszcze znajdował się w Anglii, i ten oswobadza go i ratuje od śmierci, a już w nocy jest z powrotem w swej włości i ze smakiem zajada wieczerzę, zwykle zaś jedna miejscowości od drugiej odległa jest o dwa lub trzy tysiące mil. A wszystko dzieje się dzięki zręczności i umowie owych mądrych czarodziejów, którzy opiekują się tymi dzielnymi rycerzami. Tak więc, drogi Sanczo, nietrudno mi uwierzyć, żeś w tak krótkim czasie zdołał dotrzeć do Toboso i powrócić, bowiem, jak powiedziałem, pewien przyjazny mędrzec musiał cię unieść na skrzydłach, choć tego nie czułeś.

- Mogło to być - rzekł Sanczo - bowiem zaprawdę Rosynant szedł, jakby byłcygańskim osłem z rtęcią w uszach1.
- Co tam z rtęcią- rzekł Don Kichote - przynajmniej z legionem demonów, coto bez znużenia biegają po drogach i innych do biegu zmuszają, ile tylko zechcą. Ale zostawmy to. Jak ci się zdaje, co powinienem uczynić z tym polecением pani mojej, abym ją odwiedził? Bo choć wiem, że jestem obowiązany wypełniać wszystkie jej polecenia, uniemożliwia mi to obietnica dana księżniczce, która z nami jedzie, a prawo rycerskie zmusza mię raczej do dotrzymania słowa niż dogodzenia sobie. Z jednej strony nagli mię i dręczy pragnienie ujrzenia mej pani, z drugiej pobudza mię i wzywa dane słowo oraz sława, jaką w tym przedsięwzięciu zdobyć można. Oto co zamyślams uczynić: jechać szybko i co przedzej dotrzeć do miejsca pobytu olbrzyma, a przybywszy tam, skrócić go o głowę, księżniczkę wynieść na spokojne państwo, a potem co rychlej zwrócić, aby oglądać światło uczuć moich. Takie wobec

niej usprawiedliwienie znajdę, że nie weźmie mi za złe mego opóźnienia, zrozumie bowiem, że wszystko ma na celu jej większą chwałę i sławę, boć ile jej zdobyłem, zdobywam i zdobędę orężem w tym życiu, wszystko wypływa z przychylności, jaką • ona mnie darzy, oraz z tego, że do niej należę.

- Aj! - zawała Sanczo. - Coś jegomość jesteście stuknięci w głowę. Powiedzciemi przecie, czy jegomość zamyśla taką drogę odbyć na darmo, poniechać i stracić takie bogate i wysokie małżeństwo, które da wam królestwo we wianie, mające zaiste,

(jak słyszałem, ponad dwadzieścia tysięcy mil obwodu, obfitujące we wszystkie rze-

czy potrzebne do utrzymania ludzkiego życia, większe od Portugalii i Kastylii razem wziętych? Milczcie, na miłość boską, i wstydźcie się tego, co

mówicie; wybaczcie mi, ale idźcie za moją radą i ożeńcie się co rychlej w pierwszej wiosce, gdzie

będzie proboszcz; a jeśliby go nie było, toż jest przecie nasz ksiądz licencjat, który to cudnie urządzi. Zważcie, że mój wiek pozwala mi na dawanie rad i że rada, jaką daje, jest murowana; lepszy wróbel w garści niż sęp w powietrzu. Bowiem kto ma dobro, a зло wybiera, sam sobie szkodzi i nie może się gniewać. Handlarze cygańscy wlewali rtęć do ucha koniom, aby dodać im ognia przy pokazie.

217

- Uważaj, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - ty radzisz mi się ożenić, bochcesz, abym zaraz królem został po zabiciu olbrzyma i mógł dać ci nagrodę oraz uiścić się z obietnicy, a wiedz, że bez ożenku mogę snadziej twe pragnienia spełnić,

bowiem zanim do walki wystąpię, zawaruję sobie, że jeżeli wyjdę z niej zwycięsko, to czy się ożenię, czy nie, mam otrzymać część królestwa, aby je oddać, komu będę chciał, a kiedy mi je dadzą, to komu chcesz, abym je przekazał, jeśli nie tobie? - Ot, co jest jasne- odparł Sanczo - ale uważaście, jegomość, aby ta część nad morzem leżała, bo jeśli mi tam życie nie dogodzi, będę mógł załadować mych czarnych poddanych na okręty i postąpić z nimi, jak mówiłem. A jegomość niech nie troszczy się o odwiedzanie teraz pani Dulcynei, tylko co rychlej śpieszy zabić ol- brzyma i zakończyć tę sprawę, gdyż, na Boga, wydaje mi się to z wielką chwałą i korzyścią.

- Powiem ci, Sanczo - rzekł Don Kichote - że masz rację i za radą twoją pójdę, by raczej ruszyć z księżniczką niż odwiedzać Dulcyneę. Ostrzegam cię, abyś nic nie mówił nikomu ani tym, co z namijadą, o tym, cośmy rozważyli i omówili. Skoro bowiem pani Dulcynea jest tak skromna, że nie chce, aby znano jej uczucia, nie lza, bym ja lub ktoś inny za mnie je zdradzał.

- Kiedy tak - rzekł Sanczo - to dlaczego jegomość chce, by wszyscy, którzy chramię wasze zwycięży, stawali przed panią Dulcyneą, czyliż przez to nie stwierdzacie jej imiennie, że miłujecie ją i jesteście w niej zakochani, a każecie, by ci wszyscy padali przed nią na kolana i mówili, iż z polecenia waszej miłości przychodzą zdać się na jej wolę; jakżeż zdołacie ukryć wasze wzajemne uczucia?

- O, jakże głupi jesteś i prostak - rzekł Don Kichote - czyż nie widzisz, Sanczo, że to wszystko obraca się na większą jej chwałę? Trza ci bowiem wiedzieć, że w naszym rycerskim obyczaju wielkim zaszczytem dla damy jest mieć licznych rycerzy błędnych, którzy jej służą, a których myśli nie sięgają dalej niż ta służba dla niej, za to, że jest taka, jaką jest, bez nadziei żadnej nagrody za liczne i serdeczne uczucia, jak tylko aby raczyła ich w poczet swych rycerzy zaliczyć. - Jak słyszałem na kazaniu - rzekł Sanczo - taką to miłością należy miłować Pana Jezusa, dla niego samego, a nie dla nadziei chwały lub z obawy przed karą. Ja także chciałbym go kochać i służyć mu, ile zdołam.
- Niech cię diabeł porwie, chłopie - zawałał Don Kichote - masz czasem takietrefne powiedzenia. Zdawałoby się, żeś w szkołach bywał. - A przecież, na mą duszę, i czytać nie umiem - odparł Sanczo.

W tej właśnie chwili zawałał ku nim mistrz Mikołaj, by zaczekali; chciano bowiem zatrzymać się i napić wody ze źródełka znajdującego się opodal. Don Kichote przystanął ku wielkiemu zadowoleniu Sancza, który już znużył się kłamstwami i lękał się, aby go pan nie chwycił za słowa, bo poza tym, że wiedział, iż Dulcynea była wieśniaczką z Toboso, nie widział jej nigdy w życiu.

Tymczasem Kardenio włożył ubranie, które Dorota nosiła, kiedy ją spotkali, i choć nie było dobre, więcej było warte od łachów, które zrzucił. Siedli przy źródle i tym, co proboszcz z gospody zabrał, zaspokoili nieco wielki głód, jaki ich dręczył. trefny-dowcipny, zabawny.

218

Właśnie wtedy przechodził drogą chłopak, przystanął i jał się ciekawie przypatrywać towarzystwu przy źródle, niebawem zaś pobiegł do Don Kichota, obłapił go za nogi i zaczął serdecznie płakać, mówiąc:

- Ach, panie mój, czy wasza miłość mię poznaje? Przypatrzcie mi się, przecież jestem ten parobek Jędrzej, którego kazaliście odwiązać od dębu, gdzie stałem skrępowany. Poznał go Don Kichote i wziąwszy za rękę, zwrócił się do obecnych, mówiąc: - Abyście, ichmość panowie, wiedzieli, jakie znaczenie mają błędni rycerze na świecie, naprawiając krzywdy i zniewagi popełnione przez bezczelnych i niegodziwych ludzi, wiedziecie, że w ubiegłych dniach, przejeżdżając przez las, usłyszałem jakieś krzyki i żałosne skargi, jakby osoby nieszczęśliwej i wzywającej pomo- cy. Skierowałem się szybko, wiedziony mą powinnością, w stronę, skąd zdawały się owe żałosliwe głosy rozbrzmiewać. Znalazłem przywiązanego do dębu tego chłopaka, który przed wami stoi, co raduje mi duszę, gdyż poświadczyczy, że w niczym nie

kłamię. A więc przywiązyany był do dębu, obnażony do pasa, a przy nim chłopisko jakieś, jak się okazało pracodawca jego, smagał go wodzami swej klaczy. Na ten widok spytałem o przyczynę tak srogiego bicowania. Gbur odpowiedział, że bije go, bowiem jest to jego parobek, którego pewne zaniedbania pochodziły raczej ze złodziejstwa niż z głupoty. Na to ten dzieciak rzekł: „Panie, on mię bije, bo upominał się o zasługi”. Nie wiem już, jakim gadaniem i wykrętem odpowiedział chłop, ale choć je słyszałem, nie trafiły mi do przekonania. W końcu kazałem go odwiązać i przysiąc, że zabierze go z sobą i zapłaci mu co do reala, nawet z nawiązką. Czy nieprawda, synu mój? Czy nie uważałeś, z jaką godnością rozkazywałem i z jaką pokorą przyrzekł mi wypełnić wszystko wedle zlecenia, nakazu i woli? Odpowiedź, nie wstydz się ani nie wahaj. Opowiedz tym panom, co się stało, aby przekonali się i rozważyli moje słowa, jak wielki jest pożytek z błędnego rycerstwa na drogach. - Wszystko to, co wasza miłość powiada, jest szczerą prawdą - odpowiedział chłopak - lecz koniec sprawy był zgoła odwrotny, niż wasza miłość sobie wyobraża.

- Jak to odwrotny? - zapytał Don Kichote - zaraz, czy ci twój pan nie wypłacił? - Nie tylko nie wypłacił - odrzekł chłopak - ale zaledwie waszmość wyjechaliście z lasu i zostaliśmy sami, przywiązał mię na powrót do tegoż dębu i tak mię zbił, że zostałem jak św. Bartłomiej ze skóry obdarty. A do każdego uderzenia do- dawał żarty, drwiny, urągając waszmości tak, że gdybym nie odczuwał takiego bólu,

byłbym się uśmieał z tego. Koniec końców, tak mię urządził, że dotąd leczyłem się w szpitalu z ran zadanych mi wówczas przez złego chłopa. Za to wszystko waszmość ponosicie winę, bo gdyby pan był jechał dalej swoją drogą i nie właził, gdzie

go nie wołano, gdyby się był nie mieszał w obce sprawy, mój gazda byłby się zadowolił tuzinem lub dwoma tuzinami plag. Lecz żeście go jegomość tak bez powodu zelżyli i tak mu nawymyślali, wpadł w gniew, a nie mogąc się na was zemścić, skoro ujrzał się sam, cały gniew na mych plecach wyładował, tak że, zdaje mi się, będę do niczego na całe życie.

- Jaka szkoda - rzekł Don Kichote - że się oddaliłem, nie czekając, aż zapłaci. Powiniensem wiedzieć z długiego doświadczenia, że nie ma chłopa, który dotrzymuje słowa, jeżeli widzi, że nie jest dobrze pilnowany. Ale przypominasz sobie,

Don Kichote - Miguel Cervantez

Jędręk, poprzysiągłem, iż jeżeli ci nie zapłaci, odszukam go i odnajdę, choćby się skrył w brzuchu wieloryba. – To prawda - rzekł Jędręk - ale na nic by się to nie zdało. – Zobaczysz, że się przyda - rzekł Don Kichote.

To mówiąc, podniósł się szybko - i rozkazał Sanczowi okieźnać Rosynanta, który pasł się w czasie, kiedy oni jedli.

Dorota zapytała, co zamyśla uczynić. Odpowiedział, że chce się udać na poszukiwanie chłopa i ukarać go za niegodziwość oraz zmusić do wypłacenia Jędrkowi aż do ostatniego marawedi, na przekór i na złość wszystkim gburom na ziemi. Na to ona odrzekła, żeby zważył, iż tego uczynić nie może zgodnie z obietnicą, jaką jej dał, niewszczynania żadnej przygody, póki jej sprawy nie ukończycy, zaś wiedząc o tym lepiej niż ktokolwiek, powinien powściągnąć swój gniew, póki z jej królestwa nie powróci.

- To prawda - odparł Don Kichote - trzeba więc Jędrkowi czekać cierpliwego powrotu, jak wy, pani, mówicie. Przysięgam mu i obiecuję powtórnie nie spocząć, póki nie zostanie pomszczony i wypłacony.

- Nie wierzę w te przysięgi - rzekł Jędręk - wolałbym nad wszystkie zemstyna świecie mieć o czym dotrzeć do Sewilli, dajcie mi, jeśli tu macie, coś do jedzenia na drogę i Bóg z wami i z wszystkimi rycerzami błędymi, którzy niech tak dobrze błądzą dla siebie, jak błądzili wobec mnie. Sanczo wyjął ze swej sakwy kawałek chleba i sera i dał to chłopakowi, mówiąc:

- Bierz, bracie Jędrku, niech wszyscy mamy udział w twej niedoli.

- Jak to? A jakiż będzie wasz udział? - zapytał Jędręk.

- Bóg wie, czy mi nie zabraknie kiedy - odparł Sanczo - tej części chlebai sera, którą ci daję. Masz bowiem wiedzieć, przyjacielu, że my, giermkowie rycerzy błędnych, jesteśmy narażeni często na głód i złą przygodę, a także na inne rzeczy, które łacniej się odczuwa, niż się o nich mówi.

Jędręk wziął chleb i ser, a widząc, że nic więcej nie uzyska, spuścił głowę i jak to się mówi - zagarnął drogę pod siebie. Lecz co prawda na odchodnym rzekł do Don Kichota:

- Na miłość boską, panie rycerzu błędny, jeśli mię kiedy jeszcze spotkacie, tochoćbyście widzieli, że mię ćwiartują na kawałki, nie pomagajcie mi ani nie broń-

cie, ale pozostawcie mej niedoli - nie będzie gorsza od tej, jaką by pomoc waszej miłości przyniosła. A was niech Bóg przeklnie wraz z wszystkimi rycerzami błędnymi, jacy na świecie istnieli.

Don Kichote poderwał się, aby go ukarać, lecz ten puścił się biegiem, tak że nikt nie zdołałby go dogonić. Okrutnie rozsierdzony słowami Jędrka przystał Don Kichote, zaś inni z całej siły śmiech powstrzymywali, aby go do cna nie rozdrażnić.

220

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

który opowiada, co się działo w zajeździe z całą kompanią Don Kichota

Kiedy dobrze pojedli, dosiedli znów wierzchowców i bez godnego uwagi wypadku przybyli na drugi dzień do gospody, która przerażeniem i zgrozą napełniała Sanczo Pansę; zamyślał nawet zgoła do niej nie wjeżdżać, ale tego uczynić nie mógł. Gospodyn, gospodarz, ich córka i Maritornes, ujrzałszy Don Kichota i Sancza, wyszli naprzeciw, witając ich z oznakami wielkiej radości. Don Kichote przyjął ich z powagą i dostojeństwem i polecił, aby mu przygotowali lepsze posłanie niż poprzednim razem. Na co odpowiedziała gospodyn, że o ile lepiej zapłaci niż poprzednio, ona zgotuje mu książęce łóże. Don Kichote przyrzekł, że tak będzie, więc zgotowano mu przystojne, na tym samym poddaszu co niedawno, on zaś zaraz się wyciągnął, był bowiem bardzo zmaltretowany na ciele i umyśle. Jeszcze się dobrze nie zamknął, kiedy gospodyn podeszła do cyrulika i chwytając go za brodę, rzekła:

- Na me świętości, nie będziecie używali dłużej mego ogona miasto brody; oddajcie mi go natychmiast, bo rzeczy mego męża stale walają się po ziemi, aż wstyd, chcę rzec zgrzebła, które zwykły na mym zacnym ogonie zawieszać.

Nie chciał go cyrulik oddać, choć mocno targała, póki licencjat nie zezwolił; już bowiem nie będzie trzeba używać tego podstępu i cyrulik może się ukazać we własnej osobie, a Don Kichotowi niech powie, że kiedy go galernicy obdarli, schronił się do tej karczmy; za to, jeżeli pytać będzie o giermka księżniczki, rzeką mu, że wysłała go przodem, aby oznać ludziom w jej królestwie, że przybywa i wiedzie ze sobą oswobodziciela dla wszystkich. Po czym cyrulik chętnie oddał ogon gospodyn oraz wszystko inne, co pożyczyl w celu uwolnienia Don Kichota. Wszyscy w gospodzie podziwiali urodę Doroty, a także piękną postawę młodego Kardenia. Proboszcz polecił przygotować jadło, jakie można było dostać w zajeździe, a go spodarz, w nadziei lepszej zapłaty skwapliwie sporządził niezły posiłek. Podczas tego Don Kichote spał i zdawało się, że lepiej go nie budzić, bowiem więcej pożytku przyniesie

mu sen niż jedzenie. Po posiłku rozprawiali w obecności gospodarza,

jego żony, córki i Maritornes oraz wszystkich gości o dziwnym obłędzie Don Kichota i w jaki sposób go odnaleźli. Gospodyn opowiedziała im, co zaszło między nim a mulnikiem, zaś oglądając się, czy Sanczo jest obecny, i nie ujrzał go,

opowiedziała wszystko o jego podrzucaniu, ku niemałej ucieczce przytomnych. Kiedy proboszcz oświadczył, że czytanie książek rycerskich pomieszało rozum Don Kichotowi, gospodarz rzekł:

- Nie wiem, jak się to stać mogło - bowiem zaprawdę, wedle mego przekonania nie masz lepszej lektury na świecie. Mam tu dwie albo i trzy takie książki pośród moich szpargałów, które zaiste dodały mi życia, i to nie tylko mnie, ale i innym wielu. W czasie żniw zbierają się tu bowiem w święta liczni żenicy, zawsze znajdzie 221 się ktoś, co czytać umie. Bierze więc wtedy jedną z tych książąt w ręce, otaczamy go kołem, często w trzydziestu i więcej, i słuchamy z taką rokoszą, że nam tysiąc si-

wych włosów ubywa. Ja przynajmniej mogę rzec, że kiedy słyszę o tych wściekłych i straszliwych ciosach, jakie rycerze zadają, bierze mię chęć tak samo czynić i rad bym słuchać tak dniami i nocami.

- I ja ni mniej, ni więcej - rzekła gospodyn - bo mam spokój w domu wtedyjedynie, kiedy wy słuchacie czytania; tak jesteście zasłuchani, że zapominacie wówczas o zrzędzeniu.

- To prawda - rzekła Maritornes. - Na mą duszę, ja też okrutnie lubię słuchać tych rzeczy, są takie przyjemne, a zwłaszcza te, które opowiadają, jak owa księżniczka pod pomarańczowymi drzewami całuje się ze swym rycerzem, a pani ochmistrzyni stoi na czatach, umierając z zazdrości i drżąc ze wzruszenia. Mówię wam - istny miód.

- A wam, aśka, jak się zdaje? - zapytał proboszcz, zwracając się do córkigospodarza.

- Na mą duszę, nie wiem, panie - odpowiedziała - ja również słucham i coprawda, chociaż nie rozumiem, wiele mi to przyjemności sprawia. Ale nie lubię owych ciosów, w których mój ojciec sobie upodobał, raczej wolę lamenty, jakie rycerze podnoszą, kiedy są od dam swych daleko. Zaiste, nierzaz przywodzi do płaczu litość, jaką we mnie budzą.

- A więc - rzekła Dorota - nie dopuściłabyś do tego, mościa panno, gdybyz waszego powodu płakali?
- Nie wiem, co bym zrobiła - odpowiedziała dziewczyna - wiem tylko, że niektóre panie tak są okrutne, iż rycerze nazywają je tygryskami, lwicami albo innymi potworami. O Jezu! Cóż to za plemię, tak bez duszy i sumienia, które na uczciwego człowieka okiem rzucić nie chce i pozwala mu umrzeć lub oszaleć. Nie wiem, na co się zdadzą takie fochy, jeśli to dla przystojności czynią; niech wychodzą za nich za mąż, wszak oni niczego innego nie pragną.
- Cicho, smarkata - rzekła gospodyn - coś, zdaje mi się, zbyt dobrze rozumiesz się na tych sprawach, a nie przystoi panience o tym tyle wiedzieć i mówić. - Skoro się ten pan o to pytał - odrzekła - nie mogłam mu odmówić odpowiedzi.
- Dobrze, dobrze - rzekł proboszcz - przynieście tu teraz, panie gospodarzu, owe księgi, chcę je zobaczyć. - Z chęcią - odparł gospodarz.

I wszedłszy do swej izby, wyniósł starą skrzyneczkę zamkniętą na łańcuszek 1 otworzywszy ją, wyjął trzy wielkie księgi oraz swój rękopis zapisany bardzo pięknym charakterem. Pierwsza, którą otworzył, była to: Don Cirongilio z Tracji, druga Feliksmarte z Hirkanii, zaś ostatnia Historia Wielkiego Wodza Gonzalo Hernandeza z Kordoby z życiorysem Diega Garcii de Paredes. Proboszcz, odczytawszy dwa pierwsze tytuły, zwrócił się do cyrulika i rzekł:

- Brak nam tu dzisiaj gospodyn i siostrzenicy naszego przyjaciela.
- Obejdzie się bez nich - odparł cyrulik - i ja również dobrze potrafię znieść jena podwórze albo do komina, bo co prawda dobry ogień w nim płonie.

222

- Co takiego? Ichmość panowie chcecie spalić moje księgi? - wykrzyknął gospodarz.
- O, tylko te dwie - rzekł proboszcz - Don Cirongilio i Feliksmarte. - Jak to? Czy przypadkiem - spytał gospodarz - książki moje są heretyckie lub flegmatyczne, że je spalić chcecie?
- Szyzmatyckie! chcieliście rzec, przyjacielu - wtrącił balwierz - a nie flegmatyczne. - Niech tam! - odparł gospodarz. - Ale jeśli już jakieś spalić chcecie, to niech to będzie raczej Wielki Wódz i ów Diego Garda, bo przedzej bym własne dziecko pozwolił spalić niż cokolwiek z tamtych.
- Bracie mój - rzekł proboszcz - te dwie księgi są kłamliwe i pełne głupstwi niedorzeczności, zaś ten Wielki Wódz to historia prawdziwa i opowiada czyny Gonzalo Hernandeza z Kordoby, który za swe liczne i wielkie bohaterstwa zasłużył,

aby w całym świecie zwano go Wielkim Wodzem; przydomek to słynny i świętny, jemu jedynemu należny. Zaś ów Diego Garcia de Paredes był znakomitym rycerzem, pochodzący z miasta Truhillo w Estremadurze, najdzielniejszy był to żołnierz, a taką siłą obdarzony, że jednym palcem koło młynskie w największym rozpędzie powstrzymywał. Stanąwszy raz z mieczem u wejścia na most, zatrzymał całą niezliczoną armię i przejście wzbronił. Dokazał i innych takich czynów, że gdyby ich nie był spisał i opowiedział sam, ze skromnością rycerza, który sam sobie jest kronikarzem, ale gdyby był spisał je kto inny swobodnie i bezstronnie, w zapomnieniu odsunęłyby czyny Hektora, Achillesa i Rolanda.

- Ojcze mój! - zawała na to gospodarz. - A czemuż tu się jest dziwować? Zatrzymać koło młynskie!! Na Boga, czytajcie teraz, wasza miłość, to, co ja wyczytałem o Feliksmarcie z Hirkanii; jednym ciosem rozplatał on pięciu olbrzymów do pasa, jakby byli z bobu, podobnie jak owe kukiełki robione przez dzieci. Innym

razem natarł na olbrzymie i przepotężne wojsko liczące ponad milion sześćset tysięcy żołnierzy, wszystkich zbrojnych od stóp do głowy, i rozprószył ich, jakby to były trzody owiec. A cóż powiecie dobrego o panu Cirongilio z Tracji, tak odważnym i dzielnym, jak to owa książka okazuje, opowiadając, że raz płynąc rzeką, uj-

rzał na środku toni wynurzającego się ognistego węża i zaledwie go zoczył, rzucił się nań, wskoczył mu na łuskowe barki i ścisnął go obiema rękoma za gardło z taką siłą, że smok, lękając się, aby go nie udusił, nie widział innego ratunku, jak zapaść w głęb toni, wciągając za sobą rycerza, który ani myślał go puścić. A kiedy poszli

na dno, znalazł się wśród pałaców i ogrodów cudnych nad podziw; od razu wąż zmienił się w dostojnego starca, który mu tyle dziwów opowiedział, że jeno słuchać. Zamilczcie, panie, gdybyście to usłyszeli, oszalelibyście z rozkoszy. A dwie figi pokażę Wielkiemu Wodzowi i temu Diego Garcii, jak mówicie!

Usłyszałszy to, Dorota rzekła szeptem do Kardenia:

- Niewiele brak naszemu karczmarzowi, aby stał się drugim Don Kichotem.- I mnie się tak zdaje - odparł Kardenio - gdyż jak sądę z tego, ni mniej, ni więcej, uważa on za niezbite, iż wszystko, co owe księgi opowiadają, stało się naprawdę tak, jak

opisując, i nie nawróciliby go nawet braciszki bosi. szyzmatycki- schizmatycki, dający do rozłamu.

223

- Zważcie, bracie - odezwał się proboszcz- że na świecie nie istniał ani Feliksmarte z Hirkanii, ani Don Cirongilio z Tracji, ani inni podobni rycerze, o których księgi rycerskie prawią. Wszystko to bowiem jest wytworem i wymysłem głów próżniacznych, ułożone, jak mówiliście, gwoli rozrywki tak, jak zabawiają się, czy-

tając owe księgi, wasi żenicy. Przysięgam wam zaprawdę, że nigdy takich rycerzy na świecie nie było ani nie zdarzały się takie przewagi i dziwactwa. - Gadajcie zdrowi! Niech inny pies wasze kości obgryza! - odpowiedział gospodarz. - Jakbym nie wiedział, wiele jest pięć i jaki but mię uciska. Niech wasza miłość bryją mnie nie karmi, bo na Boga, nie mam już mleka pod nosem. To dobre! Chcecie, wasza wielebność, wmówić we mnie, że to wszystko, co te zacne księgi opowiadają, to niedorzeczności i kłamstwa, kiedy to stoi wydrukowane za pozwoleniem panów z Królewskiej Rady, jakby to byli ludzie, którzy pozwoliliby wydrukować na raz tyle kłamstw o tylu bitwach i o tylu czarach, że aż się we łbie mąci.

- Już wam powiedziałem, przyjacielu - odparł proboszcz - że to wszystko mana celu rozrywkę naszych próżniacznych myśli i jak w państwach dobrze rządzących pozwalają na grę w szachy, w piłkę i w bilard, aby zabawić tych, którzy nie chcą, nie muszą i nie mogą pracować, tak pozwala się drukować i sprzedawać podobne książki, myśląc -jak i prawda - że nie znajdzie się taki nieuk, który by za prawdę poczytał jakąkolwiek historię w nich zawartą. I gdybym miał czas, a słuchacze by sobie życzyli, powiedziałbym coś o tym, jakie powinny być książki rycerskie, aby były dobre, co, sądzę, byłoby pozyteczne, a nawet i do smaku niektórym. Ale mam nadzieję, że nadziejcie się czas, kiedy uda mi się zetknąć z kimś takim, kto będzie mógł temu zaradzić, zaś na razie wierzęcie, panie gospodarzu, temu, co mówię, zabierzcie wasze księgi, myślcie, co chcecie, o ich prawdzie czy kłamstwie, niech wam to na pożytek wyjdzie. A daj Boże, abyście nie zaczęli kuleć na tę nogę, na którą wasz gość, Don Kichote, kuleje.

- Co to, to nie - odparł gospodarz - nie jestem takim wariatem, abym się przeobraził w błędnego rycerza, wiem dobrze, że dziś to nie jest w zwyczaju, jak bywało ongiś - kiedy, jak mówią, błądzili po świecie owi słynni rycerze. W ciągu tej rozmowy nadszedł Sanczo i stał bardzo frasobliwy i zadumany nad tym, co usłyszał, że teraz błędni rycerze nie są w zwyczaju i że wszystkie księgi

rycerskie to same bzdury i kłamstwa. I w sercu swym postanowił czekać, jak zakończy się wyprawa jego pana, a jeśli zakończenie nie będzie tak szczęśliwe, jak myślał, gotów był porzucić go i powrócić do żony i dzieci, i do swej zwykłej pracy. Gospodarz chciał zabrać skrzynkę z książkami, lecz proboszcz rzekł: - Zaczekajcie, chcę zobaczyć, co to są za szpargały tak pięknym pismem zapisane.

Wydobył je gospodarz i podał do czytania, proboszcz ujrzał, że było to dzieło z ośmiu składek zapisanych ręcznie, a na początku był wielki tytuł: Opowieść o nieopatrznym ciekawskim. Proboszcz przeczytał trzy czy cztery wiersze i rzekł: - Zaprawdę, podoba mi się tytuł tej powieści i bierze mię chęć przeczytać ją całą.

Na to odpowiedział gospodarz: ;

224

- Niech więc ją wasza wielebność przeczyta, wiem bowiem, że wielu gościom, którzy ją czytali, podobała się bardzo i gorąco się o niądopraszali. Ale ja nie chciałem jej dać, mając zamiar oddać ją temu, kto zapomniał tę skrzynkę z książkami i papierami. Zdarzyć się bowiem może łatwo, że jej właściciel wróci tu za czas jakiś, i choć wiem, że będzie mi brak tych książek, przysięgam, że mu je oddam. Chociażem karczmarz, jednak chrześcijanin. - Macie zupełną rację, przyjacielu - rzekł proboszcz - ale mimo to, jeśli mi się powieść spodoba, pozwolicie mi ją przepisać. - Z miłą chęcią - odparł gospodarz.

Kiedy tak ci dwaj rozmawiali, Kardenio wziął powieść i zaczął czytać. Osądził ją podobnie jak proboszcz i prosił o głośne jej odczytanie, aby wszyscy słyszeli.

- Czytałbym - rzekł proboszcz - gdyby czas nie był sposobniejszy ku spaniuniż ku czytaniu.
- Dostateczny to dla mnie będzie odpoczynek - powiedziała Dorota - spędź czas na słuchaniu jakiejś powieści, a nawet umysł mój nie jest tak spokojny, abym zasnąć zdołała, kiedy by należało.
- W takim razie - rzekł proboszcz - przeczytam ją choćby dla ciekawości, sądzę, że nie jednemu do smaku przypadnie. Zbliżył się mistrz Mikołaj i o to samo prosił, a Sanczo również. Proboszcz, widząc, że wszystkim może sprawić przyjemność, a przypuszczając, że i sam jej dozna, rzekł:
- Skoro tak - słuchajcie pilnie - powieść zaczyna się w ten sposób: ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI zawiera opowiadanie o nieopatrznym ciekawskim We Florencji, bogatym i sławnym mieście Włoch, w prowincji zwanej Toskania, żyli Anzelm i Lotariusz, dwaj bogaci, znakomici szlachcice, taką przyjaź-

nią złączeni, że znajomi dla wyróżnienia, miast imieniem, zwali ich dwaj przyjaciele. Obaj byli młodzi, nieżonaci, tego samego wieku i podobnych zamiłowań. To wszystko wystarczyło, aby ci dwaj odpowiadali sobie wzajemną przyjaźnią. Co prawda, Anzelm bardziej do miłością był skłonny niż Lotariusz, którego więcej łowy pociągały, ale kiedy się sposobność nadarzyła, Anzelm porzucał swe upodobania, aby dzielić przyjemności z Lotariuszem, ten zaś niechał swoich, by towarzyszyć Anzelmowi. W ten sposób ich chęci były tak zestrojone, że najlepiej nastawione zegary tak zgodnie nie chodzą.

Zdarzyło się, że Anzelm zakochał się na umór w pewnej pannie znakomitej i pięknej z tego miasta; była ona córką zacnych rodziców i tak godna sama, że po 225 stanowił w porozumieniu z Lotariuszem, swym przyjacielem, bez którego niczego nie przedsiębrał, prosić ją u rodziców w zamęście. Tak też niezwłocznie uczynił. W tym celu wysłał po swadźbie Lotariusza, który tak zręcznie sprawę załatwiał i tak po myśli przyjaciela, że niebawem Anzelm ujrzał się panem tej, którą tak miłował. Kamila zaś, szczęśliwa, że ma Anzelma za męża, nie przestawała dziękować niebu i Lotariuszowi, którego pośrednictwu takie szczęście zawdzięczała. Przez pierwsze dni po ślubie, które zwykle poświęcone są weselu, Lotariusz przebywał nadal w domu przyjaciela swego Anzelma, starając się uczcić go, rozweselić i zabawić, jak tylko zdołał. Ale po skończeniu uroczystości weselnych, kiedy ustały częste wizyty i powinszowania, zaczął Lotariusz rozmyślnie rzadziej bywać w domu Anzelma, przekonany, jak każdy człowiek rozumny, że nie należy tak często odwiedzać i gościć w domu żonatych przyjaciół, jak to było za kawalerskich czasów. Aczkolwiek cna i prawdziwa przyjaźń nie może i nie powinna być podejrzliwa, wszelako tak wrażliwa jest cześć małżonka, że nawet urazić ją mogą bracia rodzeni, a cóż dopiero przyjaciele. Anzelm zauważył odsunięcie się Lotariusza i czynił mu wielkie wyrzuty, mówiąc, iż gdyby był wiedział, że małżeństwo rozluźni ich stosunki, nie byłby się żenił, i jeśli dobre porozumienie, jakie między nimi panowało, kiedy był kawalerem, zyskało im słodkie miano dwóch przyjaciół, nie należy pozwolić przez zbytnią ostrożność i bez innej przyczyny, aby zatraciło się tak słynne i tak miłe prze-

zwanie. Więc błaga go, jeśli godzi się między nimi tego słowa użyć, aby znowu był panem jego domu, wchodząc i wychodząc jak dawniej; zapewniał go, że małżonka jego, Kamila, jedynie takie uczucia i życzenia żywii, jakie on w niej mieć pragnie, i że widząc, jak bardzo oni dwaj się miłowali, jest zmartwiona, spostrzegłszy w nim taką oziębłość.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Na te i na inne racje, jakie Anzelm Lotariuszowi przedkładał, chcąc skłonić go, by odwiedzał dom jego jak zwykle, odpowiadał Lotariusz z wielką przezornością, szybkością i roztropnością, więc dobre intencje przyjaciela zadowoliły Anzela i ustalono, że dwa dni w tygodniu oraz w święta Lotariusz będzie u nich jadał. Lecz chociaż tak ułożyli, Lotariusz miał zamiar nie czynić nic więcej, jak tylko co

mu się godziwym zdawało dla czci przyjaciela, którego sława była mu droższa od własnej. Mawiał on, a mówił słusznie, że małżonek, któremu niebiosa dały piękną żonę, winien baczyć zarówno, jakich przyjaciół w dom przyjmuje, jak z jakimi przy-

jaciółmi żona jego przestaje; gdyż to, czego się osiągnąć ani namotać nie da na placach, w świątyniach, na uroczystościach publicznych, na świętych dróżkach (w czym małżonkowie nie zawsze mogą żonie wzbraniać udziału), zawiązuje się i ułatwia w domu przyjaciółki lub krewniaczki najbardziej ulubionej. Podobnie

- mawiał Lotariusz - żonaci powinni mieć przyjaciela, który by im zwracał uwagę na zaniedbania, jakie popełniać mogą, bo zwykło się zdarzać, że przez wielką miłość, jaką mąż ku żonie żywi, by jej nie zasmucać, nie ostrzeże jej ani nie poleci uczynić czy też

zaniedbać czegoś, co przynieść może cześć czy też osławę. Gdyby zaś przyjaciel mu na to zwrócił uwagę, łatwo by złemu zaradzić. Ale gdzie znaleźć przyjaciela tak mądrego, wiernego i prawdziwego jak ten, którego Lotariusz żąda? Zaiste, nie wiem. Lotariusz byłby jedyny, który z taką troską i roztropnością strzegł czci swego druha 226

i starał się odwlekać, przerywać i skracać swoje umówione w domu przyjaciela odwiedziny, aby gawiedź próżniacza, oczy szpiegujące i złośliwe źle nie tłumaczyły odwiedzin młodego, bogatego szlachcica, dobrze urodzonego, obdarzonego wszelkimi zaletami, jakie wedle swego mniemania posiadał, w domu tak pięknej niewiasty jak Kamila; bo choć jej zacność i cnota mogła nałożyć wędzidło wszelkim złym językom, jednak nie chciał narażać dobrej sławy swojej ani swego przyjaciela. Przeto

najczęściej w owe umówione dni zajmował się innymi sprawami, jak twierdził, niezbędnymi; tedy najwięcej im czasu schodziło na wyrzutach jednego, a usprawiedliwianach drugiego. Zdarzyło się, że pewnego dnia, kiedy obaj przechadzali się po podmiejskiej łące, Anzelm tak do Lotariusza przemówił: «Pomyśl, Lotariuszu drogi, że za łaskę, jaką mi Bóg wyściadczył, czyniąc mię synem takich rodziców, jakimi moi byli, i obsypując mię hojnie darami, które zwą przyrodzonymi, jak i majątkością, winienem Mu wdzięczność za te dobrodziejstwa, a przede wszystkim za to, że mi dał ciebie za druha, a Kamilę za żonę. Oba te skarby cenię może nie tak, jak winienem, ale jak tylko zdołam. Jednak mimo te wszystkie dary, które wystarczają zwykle, aby ludzie mogli żyć szczęśliwi, ja żyję w największej rozterce i zniechęceniu pośród wszystkich ludzi na ziemi. Nie wiem już, jak długo dręczy mię i gnębi pragnienie tak dziwne i tak obce ludziom na ogół, że sam się nad sobą zdumiewam. Oskarżam się i karcę, staram sieje zataić i ukryć przed własnym sumieniem, to znów coś mię kusi, aby całemu światu tajemnicę tę obwieścić. A ponieważ muszę to wypowiedzieć, chcę to powierzyć tajni twej skrytości, ufając, że jako prawy przyjaciel z całą gotowością mi pomożesz, zaś ja ujrzę się wkrótce wolny od niepokoju, jaki mi to sprawia, a twe staranie pozwoli mi osiągnąć taki stopień radości, do jakiego doszła moja rozpacz szaleństwem tym spowodowana».

Zdziemieniem przejęły Lotariusza słowa Anzelma i nie wiedział, do czego ta dłuża przemowa i wstęp zmierzać mogą; i choć w myślach roztrząsała, jakie to pragnienie mogło tak dręczyć jego przyjaciela, daleki był jednak od utrafienia w sedno: aby rychło wyjść z tej niepewności, w jaką zdziemienie owo go wtrąciło, rzekł, iż bardzo by zgrzeszył przeciw ich wielkiej przyjaźni, szukając wybiegów dla wyrażenia swych najtajniejszych myśli, wie bowiem dobrze, że może na niego liczyć, bądź że mu doradzi, jak je ułagodzić, bądź poda sposób, jak je spełnić. «To prawda - odparł Anzelm - i z całym zaufaniem powiem ci, kochany Lotariuszu, że ową myślą, która mię dręczy, jest wątpliwość, czy Kamila, małżonka moja,

jest tak cnotliwa i tak doskonała, jak o tym sądzę,
i że nie mogę się upewnić inaczej, jak tylko
poddając ją próbie, zaś próba ta niech objawi
wartość jej cnoty, jak ogień

wykazuje wartość złota. Mniemam bowiem, o przyjacielu, że cnota niewiasty zależna jest od tego, czy się do niej zalecają, czy nie, i że ta tylko jest mocna, której

nie ugną ani obietnice, ani podarunki, ani łzy, ani ustawniczne natarczywości ubie-

gających się zalotników. Jakąże bowiem zasługę - mówił - ma białogłowa w tym, że jest cnotliwa, jeśli nikt jej do złego nie kusi? Cóż wielkiego, że jest skromna

i nieśmiała ta, której nie dano sposobności, by wyrwać się, lub ta, która wie, że mąż jej, schwytawszy ją na pierwszym występku, życia ją pozbawi. Tej zatem, która jest cnotliwa ze strachu lub z braku sposobności, nie chcę darzyć takim szacunkiem,

227

jaki miałbym dla tej, która nagabywana i prześladowana wyszłaby z tego w koronie zwycięstwa. Otóż dla tych powodów i dla licznych innych, które mógłbym ci powiedzieć, aby ugruntować i umocnić to przekonanie, pragnę, aby Kamila, moja żona,

przeszła przez te trudności, aby się oczyściła i zahartowała w ogniu, widząc się poszukiwaną i upragnioną przez człowieka godnego, aby swe pragnienia ku niej obrócił. A jeśliby wyszła, jak wierzę, że wyjdzie, z tej walki z palmą zwycięstwa, szczęście me będzie bez miary. Powiem, że próżnia moich pragnień została zapełniona, powiem, że przypadła mi w udziale silna białogłowa, o której mądrzec rzekł:

Ktoż ją znajdzie?, ajakby stało się przeciwnie, niż myślę, zadowolenie, żem się nie pomylił w mym przekonaniu, łatwiej pozwoli mi znieść bolesć, jaką by mi słusznie sprawić mogło tak kosztowne doświadczenie. Ponadto, jako żadne twoje wywody przeciw temu zamiarowi na nic się nie zdadzą i nie odwiodą mię od wprowadzenia tego w czyn, kochany Lotariuszu, proszę cię, abyś zgodził się być narzędziem, które tego dzieła dokona wedle mego pomysłu; aby ci zaś dać ku temu sposobność, nie oszczędzę ci niczego, co uważam za potrzebne do ubiegania się o względy białogłowy uczciwej, cnotliwej, skromnej i nieczułej na zysk. A skłania mię do tego prócz innych względów, aby tobie zlecić wykonanie tego trudnego zadania, przekonanie, że nawet jeśli zwyciężysz Kamile, nie będziesz chciał wyzyskać zwycięstwa do ostatka, jeno przez wzgląd poczciwy uznasz za dokonane, co mogłoby się dokonać, ja zaś czuć się będę obrażony przez zamiar jeno, zaś moja zniewaga pogrzebana zostanie w tajni twego milczenia, o którym wiem dobrze, że co się mnie tyczy, pozostanie wieczne jak milczenie śmierci. Przeto, jeśli chcesz,

abym uważały, że życie jeszcze jest coś warte, natychmiast rozpocznij tę miłosną walkę, i to nie nieśmiało i trwożliwie, ale z zapałem i pilnością, jakich mój plan wymaga, oraz z ufnością, jaką mi zapewnia przyjaźń nasza».

Oto słowa, z którymi Anzelm zwrócił się do Lotariusza. Ten zaś słuchał w takim napięciu, że prócz kilku słów wyżej wypowiedzianych nie otworzył warg do końca. A widząc, że przyjaciel milczy, wprzód wpatrywał się weń przez dobrą chwilę, jakby patrzył na coś nigdy niewidzianego, co wzbudza zdumienie i lęk, w końcu zaś rzekł:

«Nie przekonasz mię, przyjacielu Anzelmie, że to, co mi rzekłeś, nie jest żartem! Gdybym był pewny, że mówisz prawdę, nie pozwoliłbym ci dalej ciągnąć, lecz przestając cię słuchać, przerwałbym twą długą przemowę. Sądzę, że bez wątpienia albo ty mię nie znasz, albo ja ciebie nie znam. Lecz nie! Wszak wiem dobrze, że jesteś Anzelmem, a ty wiesz, że ja jestem Lotariuszem. Niestety, myślę, że nie jesteś tym Anzelmem, którym byłeś, ty zaś musisz mniemać, że ja również nie jestem tym Lotariuszem, którym być powinienem; słowa bowiem, które wypowiedziałeś, nie pochodzą od Anzelma, mego druhu, a prośby, jakie przedłożyłeś, nie mogą zwracać się do tego Lotariusza, którego znasz. Bowiem dobrzy przyjaciele mogą próbować swych przyjaciół i posługiwać się nimi, jak mówi poeta: usque ad aras1, chcę rzec, że nie powinni posługiwać się ich przyjaźnią w sprawach przeciwnych Bogu. Jeśli tak o przyjaźni sądził poganin, o ile lepsze rozumienie musi mieć chrze- Aż do ołtarzy (Plutarch).

228 ścijanin, który wie, że dla żadnej przyjaźni ludzkiej nie można tracić przyjaźni Bożej.

A jeśli przyjaciel tak daleko się posunie, że o powinnościach wobec nieba zapomni dla względów przyjaźni, nie może to stać się w rzeczach błahych i nieważnych, chyba takich, gdzie chodzi o cześć i życie przyjaciela. Powiedz mi, Anzelmie, która z tych dwu rzeczy jest zagrożona, tak abym ja ważył się, dla przypodobania się tobie, uczyć- nić rzecz równie ohydną jak ta, o którą prosisz? Zaiste, żadna! Przeciwnie, prosisz mię - o ile pojmuje - abym starał się i zabiegał o pozbawienie ciebie czci i

życia, a zarazem i moje postradał. Jeśli bowiem postaram się pozbawić ciebie czci, jasne jest, że i życie ci wezmę, wszak człowiek bez czci jest gorzej niż umarły, a będąc,

jak ty chcesz, narzędziem takiego twego nieszczęścia, czyż sam czci nie pozbędę, a przez to samo i życia? Słuchaj - druhu Anzelmie - i mieć cierpliwość nie odpowiadać mi, póki nie wypowiem do końca wszystkiego, co mi twój zamiar naglący przywodzi na myśl. Potem będzie czas, abyś ty mi odpowiadał, a ja ciebie słuchał».

«Zgoda - rzekł Anzelm - mów, co chcesz».

Więc Lotariusz tak ciągnął:

«Zdaje mi się, o Anzelmie, że umysł twój podobny jest do umysłu Maurów, którym nigdy nie można dowieść fałszywości ich wiary przez cytowanie Pisma Świętego ani przez dowody oparte na spekulacji rozumowej lub na artykułach wiary, jeno przez przykłady namacalne, łatwe, zrozumiałe, oczywiste, niewątpliwe oraz przez dowody matematyczne, niezaprzeczalne, jak np.: jeśli z dwu części równych odejmiemy po części równej, pozostałe także równe będą. Jeśli nie zrozumieją naszych słów, a pewne jest, że ich nie zrozumieją, trzeba im dotykalnie tego dowieść

i przed oczy postawić, ale mimo wszystko niczego nie dosyć, aby ich przekonać o prawdziwości naszej religii. Tej samej metody i sposobu będę zmuszony użyć i z tobą, bowiem zamiar, jaki się w tobie zrodził, tak odchyla się od wszystkiego, co choćby cień rozsądku zawiera, że moim zdaniem szkoda czasu na przekonywanie cię o twojej naiwności, której na razie nie chcę inaczej nazywać; a nawet gotów był-

bym zostawić cię w tym szaleństwie, aby cię ukarać za złe zamysły, ale nie pozwala mi na tę surowość przyjaźń, jaką dla ciebie żywię, a która nie godzi się, abym

opuścił cię w jawnym niebezpieczeństwie zatraty. Abyś zaś jasno zdał sobie z niego sprawę, Anzelmie, powiedz, czyś nie żądał ode mnie, abym zabiegał o względy białogłówki skromnej, przekonywał uczciwą, podarki składał bezinteresownej, nadskakiwał ostrożnej? Prawda, tak mówiąłeś? Jeśli zaś wiesz, że masz żonę skromną, uczciwą, na korzyści niełasą i rozważną, czego szukasz? Skoro wierzysz, że z wszelkich moich ataków wyjdzie zwycięsko, jak się bez wątpienia stanie, jakież zamýślasz dać jej tytuły wyższe od obecnych? Czy szacowniejsza będzie

ona później, niż jest obecnie? Albo nie masz jej za taką, jak powiadasz, albo sam nie wiesz, cze-

go chcesz. Czemuż chcesz ją wystawiać na próbę? Raczej, jeśli ją źle sądzisz, po- stąd z nią wedle woli twojej. Ale jeśli jest tak zacna, jak myślisz, nieopatrzną rzeczą jest doświadczanie samej prawdy, bowiem potem zachowa tę samą wartość co przódzi. Ostatecznym argumentem zaś jest, że jeno głowy bezrozumne i zuchwałe ważą się próbować rzeczy, z których jedynie szkoda, a nie pożytek wyjdzie, tym bardziej

że ich do tego nic nie zmusza ani nie skłania, a już naprzód przewidzieć można, że ich próba jest istnym szaleństwem. Podejmować rzeczy trudne można dla Boga lub

229

dla ludzi, albo dla obu tych celów. Dziełami podejmowanymi dla Boga są dzieła świętych, którzy wiodą życie aniołów w ludzkich ciałach. Dziełami podejmowanymi dla świata są dzieła dokonywane przez tych, którzy przemierzają tyle niezliczonych mórz, tyle rozmaitych klimatów, tyle przedziwnych nacji, aby zdobyć to, co nazywają dobrami fortuny. Dziełami spełnianymi dla Boga i dla świata zarazem są czyny dzielnych żołnierzy, którzy zaledwie dojrzałszy w murze nieprzyjacielskim wyłom, jaki wywalić może kula armatnia, już odrzucając precz wszelką trwogę, nie rozumiejąc ani nie zważając, na jakie niebezpieczeństwo oczywiste się narażają, niesieni skrzydłami zapału do walki za wiarę, za naród, za króla, rzucają się nie- ustraszeni pomiędzy tysiąc śmierci czyhających na nich. Oto dzieła, jakie podejmuje się zwykle dla honoru i korzyści, choć tak są pełne trudów i niebezpieczeństw.

Ale te, które, jak mówisz, chcesz podjąć i w czyn wprowadzić, nie zyskają ci chwawy przed Bogiem ani dóbr fortuny, ni sławy wśród ludzi, bowiem nawet kiedy wyjdiesz z tego, jak pragniesz, nie będziesz przez to ani dumniejszy, ani bogatszy, ani

bardziej szanowany niż obecnie. Jeśli zaś tak nie będzie, ujrzyś się w największym nieszczęściu, jakie wyobrazić sobie można, bo nie będziesz się mógł pocieszać, że o nieszczęściu tym nikt nie wie. Wystarczy bowiem, abyś ty sam o tym wiedział, by

trapić się i rozpaczać. Zaś dla poparcia tej prawdy chcę ci przytoczyć strofę ułożoną przez słynnego poetę Luigi Tansillo, na końcu pierwszej części jego Łezów. Piotra. Posłuchaj:

Rośnie boleść i hańba, rośnie wstyd i skrucha
W Piotrze, zaledwie pierwszy blask dnia się ukazał,
I choć go nikt nie widzi, w głębi swego ducha
Wstydem płonie, ujrzawszy, że się grzechem zmazał,
Bo wielkoduszne serce jego chwyta skrucha,
Choćby dla oczu innych skryta była skaza,
On sam siebie się wstydzi, w żalu kiedy błędzi, Choć prócz nieba i ziemi nikt go tu nie sądzi.

Tak więc tajemnica nie umniejszy twojej bolesci, przeciwnie, płakać będziesz ustawnicznie, jeśli nie łzami oczu, to krwawymi łzami serca, jak płakał ów naiwny doktor, o którym nasz poeta opowiada, że podjął się próby z czarą, od której mądry Rynałt rozumnie się wymówił, bo choć to fikcja poetycka, zawiera w sobie moral godny rozważenia, zrozumienia i naśladowania. Tym bardziej że po tym, co ci teraz chcę rzec, dojdzieś w końcu do przekonania, jak wielki błąd popełnić chciałeś. Powiedz mi, Anzelmie: gdyby niebo lub los szczęśliwy uczynił cię prawym właścicielem najpiękniejszego diamentu, którego piękno i zalety byłyby uznane przez wszystkich złotników i wszyscy zgodnie oświadczyliby, że zalety, piękno i zacność osiągnęły najwyższy stopień zalet, na które natura takiego kamienia pozwala, i ty sam byłbyś tego zdania, nie mając żadnych dowodów, że jest inaczej, czy byłoby słuszne, gdyby ci przyszła chęć wziąć ten diament, włożyć go między kowadło i młot i tam całą siłą uderzenia i ramion próbować, czy jest tak twardy i szlachetny, 230

jak mówiono? Co więcej -jeślibyś to uczynił, to gdyby kamień oparł się tak niedo- rzecznej próbie, nie zyskałby przez to ani większej wartości, ani większej sławy, a jeśli się skruszył, co zdarzyć by się mogło, czyż nie przepadłby cały? Na pewne

też w umysłach wszystkich zyskałby swemu właścicielowi opinię głupca. Wyobraź sobie, druhi Anzelmie, że Kamila jest najczystszym diamentem zarówno w twoim mniemaniu, jak i drugich, więc nie jest rozsądnią rzeczą wystawiać ją na niebezpie-

czeństwo rozbicia, jeśli się bowiem ostoi nietknięta, nie może zyskać wyższej wartości, niż ma obecnie; jeśli zaś ulegnie i nie oprze się teraz, co się z nią stanie, kiedy wartość utraci? I jak słusznie będziesz się mógł na siebie samego żalić, że stałeś się

przyczyną jej i swojej zguby. Zważ, że nie masz na świecie klejnotu, który byłby wart tyle co białogłowa czysta i szanowna, i że cała cześć niewiast leży w dobrym o nich mniemaniu, a ponieważ sława twojej małżonki jest taka, że jak wiesz, uchodzi za najwyższy wzór cnoty, czemuż ją chcesz podawać w wątpliwość? Zważ, przyjacielu, że białogłowa to stworzenie niedoskonałe i że nie należy jej stawiać przeszkód, o które potknąć się może i upaść, ale raczej usuwać je i drogę jej z wszelakiej zawa-

dy oczyszczać, aby bez trudności kroczyła lekko ku zdobyciu doskonałości, jakiej jej brak, a która cała na cnotie się zasadza. Opowiadają przyrodnicy, że gronostaj

jest zwierzętkiem mającym najbielszą sierść, kiedy zaś nań polują myśliwi, używają następującego podstępu: znając szlaki, jakimi zwykły przechodzić i przebiegać, zarzucają je błotem, potem krzykiem przepędzają go na to miejsce; kiedy gronostaj

zbliży się do błota, zatrzymuje się i daje się raczej schwytać i ująć, niż przejdzie przez muł i straci, skala biel swą, którą ceni bardziej niż wolność i życie. Uczciwa

i czysta białogłowa jest gronostajem, bielsza i czystsza od śniegu jest cnota przy- stojności; ten więc, kto chce, aby jej nie straciła, ale, przeciwnie, by ją ustrzegła i zachowała, musi postępować inaczej, niż postępują z gronostajem, nie należy bowiem wystawiać jej na błoto upominków i umizgi natrętnych zalotników, bo może, a nawet prawie pewne jest, nie posiada tyle cnoty i mocy przyrodzonej, aby sama zdołała podeptać i przezwyciężyć te trudności. Trzeba więc je usunąć i stawić jej przed oczy jedynie przejrzystość cnoty i piękno, jakie w sobie dobra sława chowa. Zacna niewiasta jest jak zwierciadło z jasnego i świetlistego kryształu, które jednak łatwo zmąci i skazi lada oddech dotknięciem. Należy postępować z cnotliwą białogłową w ten sam sposób jak z relikwiami: uwielbiać, a nie tykać. Należy pilnować

i cenić zacną niewiadzę, jak pilnuje się i ceni piękny ogród pełen kwiatów i róż, którego właściciel nie pozwala, aby byle kto wchodził i rwał kwiaty; wystarczy, kiedy z daleka i przez żelazne kraty nacieszą się ich wonią i pięknością. Na koniec chcę ci przytoczyć kilka wierszy, które mi się przypomniały, a które słyszałem w pewnej nowoczesnej komedii; odpowiadają one temu, cośmy rozważyli. Pewien ostrożny starzec radzi drugiemu, ojcu młodej dziewczyny, aby ją trzymał w ukryciu, dobrze jej strzegł i zamkał, a między innymi mówi tak:

Ze szkła są wszystkie kobiety,
Ale nie próbuj, broń Boże, Czy
która roztłuc się może,
Wszystko możliwe, niestety.

231

Szaleństwo jeno wystawia

Rzecz, co tak
łatwo rozpęka,
By Losu rozbila
ręka To, czego
się nie
naprawia.

Powszechne zdanie jest o tem, Na prawdzie oparte przecie. Jeśli Danae są w świecie, Są także i deszcze złote.

To wszystko, co dotąd mówiłem, ciebie się tyczy, Anzelmie, a teraz dobrze będzie, jeśli posłuchasz chwilę tego, co mnie obchodzi. A jeżeli zbytnio się rozwiodę, wybacz. To wina tego labiryntu, w któryś się wpędził i skąd chcesz, abym cię wyrowadził. Uważasz mię za przyjaciela, a chcesz mię pozbawić czci, co jest przeciwne wszelkiej przyjaźni, i nie tylko dążysz do tego, ale chcesz, abym ja także i ciebie czci pozbawił. Że mnie jej chcesz pozbawić, to jasne; bowiem kiedy Kami-

la spostrzeże, że się do niej zalecam, jak mię o to prosiś, pewne jest, że uważać mię zacznie za człowieka bez honoru i bez czci, który waży się na rzecz tak obcą temu, czym ja jestem i do czego mię twa przyjaźń obowiązuje. Również nie ma wątpliwości, że chcesz, abym i ja ciebie czci pozbawił, bowiem Kamila, widząc, że się do niej zalecam, pomyśli, że dostrzegłem w niej jakowąś płochość, która rozzuchwa-

liła mię do objawienia mych grzesznych zamysłów, a kiedy uzna się za zniesławioną, to i na ciebie, jako na męża, ta hańba spadnie i stąd pochodzi to, co się zwykle dzieje: że męża żony cudzołożnej, choćby o niczym nie wiedział ani dał pochop, aby żona zbyła swej przystojności, ani było w jego możliwości przez większą uwagę i staranie przeszkodzić nieszczęściu swemu, jednak obrzuca się i przezywa wzgardliwym i haniebnym przewiskiem, i z pewnością ci, którym wystąpienie jego żony jest wiadomy, mają go w pogardzie miast litować się nad nim, wiedząc, że niepowodzenie spotkało go nie z jego winy, ale z powodu złej skłonności jego towarzyszki.

Chcę ci jednak dać poznać przyczynę, dla której mąż występnej żony słusznie jest zniesławiony, choćby nie wiedział, że nim jest, ani nie ponosił winy, nie miał w tym żadnego udziału ani nie dał żadnej przyczyny, aby taką była. Niech cię słuchanie mnie nie nuży, wszystko to ma na celu twoją korzyść. Kiedy Bóg stworzył naszego pierwszego ojca w raju ziemskim -jak mówi Pismo Święte - zesłał sen na Adama i podczas kiedy on spał, wyjął mu żebro z lewego boku i z niego utworzył naszą matkę Ewę. Kiedy Adam obudził się i spojrzał na nią, rzekł: Oto jest ciało z mego ciała i kość z kości mojej. Zaś Bóg powiedział: Dla niej człowiek porzuci ojca i matkę swoją i będą dwu-

je w jednym ciele. Wówczas ustanowiony został święty sakrament małżeństwa, którego więzy jedynie śmierć rozerwać może. A taką moc i siłę ma ten cudowny sakrament, iż sprawia, że dwie odrębne istoty stają się jednym ciałem; i więcej

jeszcze w dobrych stadłach działa: choć mają dwie dusze, jedną mają wolę. Stąd pochodzi, że jako ciało żony jest jednym z ciałem męża, zmazy, które ją plamią, i błędy, jakie popełnia, znajdują oddźwięk w ciele męża, choćby ten -jak mówiłem 232

- nie dał powodu do takiej szkody. Tak jak ból nogi lub jakiekolwiek części ciała ludzkiego odczuwa całe ciało, gdyż całe jest jednym i tym samym ciałem, jak głowa odczuwa ból pięty, choć go nie wywołała, tak mąż uczestniczy w hańbie żony, gdyż jednym z nią jest. A jako część i hańba na świecie wszystkie w ciele i krwi początek mają, podobnie hańba występnej żony z nich się rodzi i musi mąż ją die-

lić i będzie uważany za zniesławionego, choćby o tym nie wiedział. Zważ przeto, o Anzelmie, na jakie niebezpieczeństwo się narażasz, chcąc zakłócić spokój, w ja-

kim twoja zacna żona żyje, zważ, dla jak próżnej i nieopatrzonej ciekawości chcesz obudzić namiętności śpiące dotąd w piersi twej czystej małżonki; rozważ, że z tego, na co się ważysz, korzyść będzie mała, a to, co mógłbyś utracić, będzie takie, że i nic więcej nie powiem, bo słów mi brak, by to wyrazić. Lecz jeśli to wszystko, co

mówię, nie wystarczy, aby cię od złego zamysłu odwieść, możesz szukać innego narzędzia twej hańby i niedoli, ja nim być nie myślę, choćbym przez to utracił twą przyjaźń, co jest największą stratą, jaką wyobrazić sobie mogę».

Powiedziawszy to, zamilkł cnotliwy i roztropny Lotariusz, zaś Anzelm stał tak stropiony i zamyślony, że przez dobrą chwilę nie mógł znaleźć słowa. Ale w końcu rzekł:

«Widziałeś, z jaką uwagą słuchałem, co mi mówiłeś, kochany Lotariuszu, w tych słowach, przykładach i porównaniach widziałem wielką mądrość twoją oraz szczyt prawdziwej przyjaźni, jaką dla mnie żywisz. Przyznaję również i widzę, że jeśli za zdaniem twoim nie pójdę, lecz przy moim wytrwam, uciekam od szczęścia, a gonię za nieszczęściem. Mimo to możesz uważać, że cierpię na chorobę, jakiej niektóre białogłówki ulegają, kiedy bierze je chęć jeść ziemię, gips, węgiel i inne gorsze rzeczy, wstrętne dla samego widoku, a co dopiero do jedzenia. Trzeba pewnego wybiegu, aby mię uzdrowić, a możesz łatwo to uczynić, bylebyś tylko zaczął, choćby udając tylko i na niby, zalecać się do Kamili, która nie jest tak

słaba, aby przy pierwszych usiłowaniach cześć swą podeptała. Sam ten zaczątek natarcia mię zadowoli i spełnisz obowiązek winny naszej przyjaźni, nie tylko zwracając mi życie, lecz przekonując mię, że nie jestem zhańbiony. A powinieneś się zgodzić dla jednego powodu, a to, kiedy widzisz mię tak stanowczym, jak jestem, aby swą próbę w czyn wprowadzić, nie powinieneś pozwolić, abym szaleństwo moje komu innemu zdradził i naraził przez to mój honor, który ty ocalić się starasz. Co zaś do tego, że twój ucierpi w mniemaniu Kamili, kiedy się do niej zalecać zaczniesz, mało to waży lub nic, bo wkrótce, widząc w niej niezłomność, jakiej się spodziewa-

my, będziesz mógł wyjawić jej całą prawdę o naszym podstępie, a przywróci cię do dawnego poważania. Skoro więc ryzykujesz tak mało, a ważąc się na to, tak wielkie możesz mi dać zadowolenie, nie odmawiaj mi wbrew wszelkim przeszkodom, jakie

widzisz, bowiem, jak już powiedziałem, zaledwie rozpocznesz sprawę, będę uważały ją za załatwioną».

Lotariusz, widząc niewzruszoną wolę Anzelma i nie wiedząc, jakie jeszcze przykłady przytoczyć, jakie rozumowania przedłożyć, aby go od tego odwieść, widząc, że grozi powierzeniem komu innemu swego zamiaru, aby uniknąć gorszego zła, postanowił przychylić się do prośby i spełnić ją z silnym zamiarem popro-

wadzenia sprawy w ten sposób, aby nie wzburzyć myśli Kamili oraz aby zadowolić 233

Anzelma; więc odpowiedział, by nikomu innemu nie powierzał swych planów, on bowiem bierze to przedsięwzięcie na siebie i przystąpi doń, skoro tylko uzna za stosowne. Anzelm uściaskał go czule i podziękował za gotowość tak serdecznie, jakby za wielką łaskę. Ustalili między sobą, że od następnego dnia przystąpią do dzieła.

Anzelm da mu czas i sposobność, aby swobodnie mógł pomówić z Kamilą, i sam da mu pieniądze i klejnoty, które ma jej ofiarować. Radził mu, aby urządał serenady, aby pisał wiersze na jej cześć, a jeśli nie chciał się tym zajmować, on sam go w tym wyręczy. Na wszystko zgadzał się Lotariusz w innej myśli, niż Anzelm sądził, i po tej umowie wrócili do jego domu, gdzie zastali Kamilę w niepokoju i trosce czekającą na męża, który dnia tego spóźnił się bardziej niż zwykle. Lotariusz powrócił do siebie, Anzelm pozostał w domu. O ile ten był zadowolony, o tyle zatroskany był Lotariusz, nie wiedząc, co począć, aby wyjść z tej przykraj sprawy. Przez

noc rozmyślał nad sposobem, jak oszukać Anzelma, nie obrażając Kamili; następnego dnia udał się na obiad do przyjaciela i został mile przyjęty przez Kamilę, która powitała go i ugościła z radością, wiedząc, jak Anzelm jest mu życzliwy. Po obiedzie zdjęto obrusy, zaś Anzelm oświadczył Lotariuszowi, aby pozostał z Kamilą, on tymczasem pójdzie pewną pilną sprawę załatwić, powróci zaś w półtorej godziny. Kamila prosiła go, aby nie odchodził, zaś Lotariusz ofiarował się mu towarzyszyć. Na nic się te usiłowania nie zdały, Anzelm nalegał na Lotariusza, by pozostał i czekał na niego, gdyż chce z nim omówić bardzo ważną sprawę. Prosił też Kamilę, aby nie pozwoliła oddalić się Lotariuszowi, póki on nie wróci. W

rzeczy samej,

tak dobrze potrafił udać konieczność czy też nieodzowność swego oddalenia, że nikt nie mógł odgadnąć, iż było to zmyślenie. Anzelm wyszedł, a przy stole zostali Ka-

mila i Lotariusz sami, domownicy bowiem poszli obiadować. Lotariusz ujrzał się przeto na placu boju, jak sobie tego jego przyjaciel życzył - i to wobec przeciwnika, który samą pięknością swoją mógł zwyciężyć cały oddział uzbrojonych rycerzy. Mógł się zatem słusznie Lotariusz obawiać. Oparły się przeto łokieć na poręczy

krzesła, głowę sklonił na dłoń i przeprosiwszy Kamilię za niegrzeczność, prosił, aby mu wolno było odpocząć nieco, póki Anzelm nie wróci. Kamila odpowiedziała, że lepiej odpocznie w świetlicy niż na krześle, i prosiła, aby się tam udał i przespał.

Lotariusz odmówił i pozostał na miejscu, drzemiąc do czasu powrotu Anzelma. Ten, zastawszy Kamilię w jej komnacie, zaś Lotariusza śpiącego, pomyślał, że z powodu jego opóźnienia mieli dość czasu na rozmowę, a nawet na spanie. Czekał cierpliwie, kiedy się Lotariusz obudzi, aby wyjść z nim i wypytać o wszystko, co zaszło.

Wszystko stało się, jak pragnął. Lotariusz obudził się i zaraz wyszli obaj z domu. Anzelm zapytał o to, co go dręczyło. Lotariusz odpowiedział, że nie uważa za sto-

sowne za pierwszym razem zdradzić się całkowicie, więc jedynie chwalił urodę Kamili, mówiąc, że całe miasto wysławia jej gładkość i mądrość i że to zdawało mu

się dobrym początkiem do pozyskania jej względów i przygotowania jej, aby za następnym razem wysłuchiwała go chętnie. Takiego wybiegu zwykły używać diabeł: kiedy chce kogoś uwieść, kto ma się na bacznosci, przybiera na sie postać anioła światłości, będąc aniołem ciemności, i przyjmując pozory piękna, w końcu odkrywa, kim jest i zamysł swój przeprowadza, o ile na początku podstęp jego nie zostanie odkryty. To wszystko bardzo się Anzelmowi spodobało i rzekł, że każdego

234

dnia da mu podobną sposobność, choćby nawet i nie wyszedł z domu, będzie sobie w domu wymyślał takie zajęcie, że Kamila podstępu nie będzie mogła podejrzewać. Upłynęło dni kilka, a Lotariusz, nie przemawiając ani słówka do Kamili, odpowiadał Anzelmowi, że rozmawiał z nią, ale nigdy nie zdołał uzyskać od niej najmniej-

szej oznaki słabości ani nie dała mu nawet cienia nadziei, przeciwnie, zagroziła, że jeśli nie poniecha owych niegodnych myśli,
powie o tym mężowi.

«Dobrze więc - rzekł Anzelm - dotąd Kamila opierała się słowom, trzeba przekonać się, jak oprze się uczynkom. Dam ci jutro rano dwa tysiące talarów w złocie, abyś jej ofiarował, i drugie tyle, abyś zakupił klejnoty na przynętę. Białogłowy bowiem, zwłaszcza piękne, choćby najsłomniejsze były, lubią się w nie stroić, by je podziwiano; jeśli oprze się tej pokusie, wystarczy mi to i nie będę ci się więcej naprzykrzał.

Lotariusz odpowiedział, że jak zaczął, tak i dokończy dzieła, choćby miał z tego wyjść znękany i zwyciężony. Na drugi dzień otrzymał te cztery tysiące talarów, a z nimi cztery tysiące kłopotów. Nie wiedział bowiem, jak mu się uda znowu wykręcić. W końcu postanowił rzec Anzelmowi, że Kamila została równie niewzruszona darami i obietnicami, jak słowami, i nie należy dręczyć dłużej, bo to tylko

strata czasu. Jednak traf, który sprawę miał inaczej przeprowadzić, chciał, że Anzelm, pozostawiwszy jak zwykle Lotariusza i Kamilę samych jak poprzednio, zamknął się w sąsiedniej komnacie i przez dziurkę od klucza podpatrywał i podsłuchiwał, jak się zachowują. Przekonał się, że więcej niż pół godziny Lotariusz ani słowa do Kamili nie przemówił i że nie przemówiłby, choćby tak i sto lat siedzieli.

Pojał tedy, że to wszystko, co mu przyjaciel mówił o odpowiedziach Kamili, było zmyślением i kłamstwem. Aby się o tym przekonać, wyszedł z komnaty, przywołał Lotariusza na stronę, pytając, jaką ma dlań nowinę i w jakim usposobieniu była Kamila. Lotariusz odpowiedział, że nie myśli dalej posuwać sprawy, odparła bowiem tak ostro i surowo, że nie ma odwagi jeszcze z nią mówić.

«Ach - rzekł Anzelm - Lotariuszu, Lotariuszu, jak źle wypełniasz swe wobec mnie zobowiązania, jak bardzo zaufanie moje zawiodłeś! Oto śledziłem cię teraz przez tę dziurkę od klucza i widziałem, że słowa do Kamili nie przemówiłeś, z tego wnosić mi należy, że i pierwej nie mówileś z nią. A jeśli tak jest, jak nie wątpię, czemuż mię oszukałeś i czemuż przez twój spryt chcesz udaremnić środki, jakie mógłbym znaleźć dla przeprowadzenia mego zamysłu?»

Don Kichote - Miguel Cervantez

Anzelm nie rzekł nic więcej, a dość tego było, aby zmieszać i zawstydzić Lotariusza, który raniony w swoim honorze, że go na kłamstwie złapano, poprzysiągł Anzelmowi, że od tej chwili zobowiązuje się zadowolić go i nie okłamywać, o czym rad się przekona, jeśli go pilnie śledzić będzie; tym bardziej że żadnej czujności nie będzie trzeba, bowiem skwapliwość, z jaką postara się go zadowolić, uwolni go od wszelkich podejrzeń. Anzelm uwierzył mu i ażeby zostawić mu większą swobodę i więcej spokoju, postanowił oddalić się na osiem dni, udając się do pewnego swego przyjaciela mieszkającego na wsi, niedaleko miasta. Umówił się z tym przyjacielem, że ten często będzie go zapraszał, aby mieć wobec Kamili pozór do wyjazdu.

Nieszczęsny i nieopatrzny Anzelmie, co czynisz? Co zamierzasz? Co przygotowujesz?

235
Zważ, że działasz przeciw sobie samemu, planując swą hańbę i przygotowując zgubę. Zacna jest małżonka twoja Kamila i spokojna, a ty ją w spokoju posiadasz, nikt nie dybie na twoją miłość, myśli jej poza ściany domu twego nie wybiegają. Jesteś jej niebem na ziemi; celem jej dążeń, spełnieniem jej pragnień, miarą, którą wolę swoją mierzy, stosując ją we wszystkim do twojej i do woli nieba. Jeśli więc złota żyła jej czci, piękności, cnoty i skromności daje ci bez trudu żadnego całe bogactwo, jakie masz i jakiego mógłbyś zapragnąć, dlaczegoż chcesz kopać ziemię i szukać nowych żyw nowego i nigdy niewidzianego skarbu, narażając się na niebezpieczeństwo, że wszystko w końcu się zawali, spoczywa bowiem na słabych podstawach jej ułomnej natury. Zważ, że ten, kto szuka niemożliwości, słusznie bywa możliwego pozbawiony, jak to wyraża lepiej poeta, mówiąc: Ja szukam w śmierci życia, Zdrowia w ciała chorości.

A w więzieniu wolności

Albo w zamknięciu wyjścia

Oraz w zdrajcy prawości,

Lecz los mój, od którego

Nie doznam nic dobrego,

I nieba chcą niegodziwe,

Że goniąc za niemożliwem, Nie znajdę i możliwego.

Na drugi dzień Anzelm udał się na wieś, oznajmiwszy Kamili, że przez czas jego nieobecności Lotariusz będzie przychodził doglądać domu i jadać z nią; polecił, by go traktowała jak jego samego. Zasmuciła się Kamila, jako białogłowa mądra i szanowna, zleceniem, jakie jej mąż zostawił. Zwracała mu uwagę, że nie godzi się, aby w czasie jego nieobecności ktokolwiek zajmował jego miejsce u stołu. Jeżeli zaś czyni to, nie mając zaufania, że ona potrafi zarządzać domem, niech tym razem spróbuje, a zobaczy dowodnie, jak da radę najtrudniejszym zadaniom. Anzelm odpowiedział, że taka była jego wola i nie pozostaje jej nic innego, jak schylić

głowę i słuchać. Kamila rzekła, że postąpi tak, choć wbrew swej woli. Po odjeździe Anzelma, na drugi dzień, przyszedł do domu Lotariusz i został przyjęty przez Kamilę serdecznie i grzecznie. Ale nigdy nie pozostała sam na sam z Lotariuszem i stale chodziła otoczona służbą i pokojowymi, a w szczególności w towarzystwie pewnej pokojowej zwanej Leonela, którą bardzo lubiła, były bowiem od dziecka razem wychowane w domu rodziców Kamili i kiedy wyszła za Anzelma, zabrała ją ze sobą. Podczas trzech pierwszych dni Lotariusz nic nie mówił, choć mógł być to uczynić, kiedy zebrano ze stołu, a służba odeszła, aby szybko zjeść obiad, jak przykazała Kamila. A choć Leonela miała rozkaz jadać przed Kamilą, aby nie odchodziła od jej boku, alisći miała ona milsze dla niej sprawy na głowie i używała tych godzin i tych sposobności wedle własnego upodobania, nie zawsze wypełniając przykazanie pani, przeciwnie, zostawiała ich samych, jakby jej to ktoś polecił. Jednak skromne zachowanie Kamili, powaga jej oblicza, godność jej postawy były takie, że nakładały wędzidło językowi Lotariusza.

Ale przewaga licznych cnót Kamili, które językowi Lotariusza nakazywały milczenie, obróciła się na zgubę ich obojga. W czasie gdy język milczał, myśli wolny bieg miały i sposobność do rozważania szczegółu po szczególe wysokich przymiotów cnoty i piękności, jakie posiadała Kamila, wystarczających, aby nawet w marmurowej figurze miłość rozniecić, a cóż dopiero w sercu cielesnym. Lotariusz patrzył na nią cały czas, zamiast mówić, i rozważał, jak godną była miłości; owe myśli zaczęły powoli obalać wzgłydy, jakie miał dla Anzelma, i po tysiąckroć chciał już wyjechać z

miasta i udać się, gdzie by go nigdy Anzelm na oczy nie oglądał, on zaś nie widziałby Kamili, lecz przeszkadzało mu i zatrzymywało go już upodobanie, jakie znajdował, patrząc na nią. Zadawał sobie gwałt i walczył z sobą, aby stłumić i nie doświadczać przyjemności, jaką mu sprawiało wpatrywanie się w Kamile; oskarżała sam siebie o szaleństwo, nazywała się złym przyjacielem, złym chrześcijaninem zgoła, rozważał i porównywał siebie i Anzelma, dochodząc do przekonania, że większy był obłęd i dufność Anzelma niż jego mizerna wierność i że jeśli przed Bogiem mógł znaleźć takie usprawiedliwienie jak przed ludźmi, nie lękałby się kary za swe przewinienie.

Tak więc piękność i cnota Kamili oraz sposobność, jaką nastręczył sam nierozważny małżonek, zwyciężyły wreszcie lojalność Lotariusza i nie bacząc już na nic innego krom swej skłonności, po upływie trzech dni nieobecności Anzelma, w czasie których toczył z sobą ustawiczną walkę, aby oprzeć się uczuciom, zaczął je Kamili objawiać z takim pomieszaniem i tak miłosnymi słowy, że Kamila osłupiała, podniosła się jeno z miejsca i odeszła do swej komnaty bez słowa. Ale oziębłość owa nie odebrała Lotariuszowi nadziei, która zawsze wraz z miłością się roodzi; przeciwnie, Kamila stała mu się bardziej pożądana. Ta zaś, odkrywszy w Lotoriuszu to, czego się nigdy nie spodziewała, nie wiedziała, co począć, a sądząc, że nie było ani bezpiecznie, ani godziwie dawać mu sposobność i miejsce do nowej rozmowy, postanowiła tej samej nocy wysłać sługę swego do Anzelma z listem tej treści:

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

który zawiera dalszy ciąg opowieści o nieopatrnym ciekawskim Z., zwykłego się mówić, że wojsko bez wodza i zamek bez kasztelana smętny przedstawiają widok, ja zaś twierdzę, że jeszcze żałośniejszy wygląda niewiasta zamężna i młoda bez męża, kiedy brak słusznych powodów do rozstania. Jest mi tak bez was źle i tak nie mogę znieść rozłąki, że jeśli rychło nie wrócie, będę zmuszona schronić się do domu mych rodziców, choćby mi wasz dom zostawić przyszło bez stróża,

237

ten bowiem, którego tu ustanowiliście, jeśli do tytułu tego ma prawo, bardziej swo-

ją przyjemność ma na względzie niż wasze sprawy. Jesteście człowiekiem roztropnym, więc nic więcej nie nadmienię ani też godzi się, abym więcej pisała. Kiedy Anzelm ten list otrzymał, wniósł z tego, że Lotariusz do dzieła przystąpił i że Kamila musiała odpowiedzieć na to, jak tego pragnął. Uradowany bez miary tymi nowinami, odpowiedział słownie Kamili, aby nie ruszała się nigdzie z domu, bowiem wraca niebawem. Zadziwiła Kamilę odpowiedź Anzelma i wwróciła ją w większą niż poprzednio rozterkę, nie śmiała bowiem ani pozostać w domu, ani tym mniej udać się do rodziców. Pozostając - narażała na bezpieczeństwo swą cnotę, wyjeżdżając - sprzeciwiała się poleceniom męża. W końcu wybrała gorsze, pozostała z postanowieniem nieunikania obecności Lotariusza, aby nie wywołać komentarzy służby, i już żałowała, że napisała o tym mężowi, lękając się, aby nie powziął podejrzzenia, że Lotariusz dostrzegł w niej jakowąś płochość, która go pochwyciła do poniechania należnego szacunku. Ale dufna w swą cnotę, mając nadzieję w Bogu i w zacności uczuć swoich, postanowiła odpowiadać milczeniem na wszelkie zalecanki Lotariusza, nie mówiąc o tym więcej mężowi, aby nie stać się dlań powodem jakiejś zwady i kłopotów. A nawet starała się znaleźć usprawiedliwienie dla Lotariusza wobec Anzelma, gdyby zapytał, co ją skłoniło do napisania tego listu. W takich zamysłach, bardziej uczciwych niż rozsądnych lub korzystnych, na drugi dzień słuchała Lotariusza, który tak gwałtownie nacierał, że stałość Kamili chwiać się poczęła, zaś jej cnota musiała pilnie baczyć, aby oczy nie zdradziły miłosnego współczucia, jakie w jej sercu wzbudziły łzy i słowa Lotariusza. Lotariusz zauważył wszystko i podnięciło go to bardziej. W końcu zdawało mu się, że należy korzystać ze sposobności i czasu nadarzonego przez nieobecność Anzelma i ostateczny szturm do tej fortocy przypuścić, więc zaatakował jej zarozumiałość, wysła-wiąjąc jej urodę, nie masz bowiem rzeczy, która rychlej kruszy i z ziemią równa warowne wieże próżności urodziwych niewiast, jak właśnie ta sama próżność językiem pochlebstwa zażыта. W rzeczy samej, tak zręcznie bojowymi środkami podminował skałę jej niezłomności, że choćby Kamila i z brązu była cała, musiałaby upaść. Płakał, błagał, obiecywał, uwielbiał, nacierał, zmyślał Lotariusz z tak wielkim uczuciem, z pozorami takiej szczerości, że obalił wstydliwość Kamili i uzyskał to, czego tak bardzo pragnął, a czego najmniej się spodziewał.

Poddala się Kamila, Kamila oddała się; lecz cóż w tym dziwnego, czyż przyjaźń Lotariusza wytrzymała próbę? Przykład to jawny, który wykazuje, że namiętność miłosną zwyciężyć można jedynie ucieczką i że nikt nie powinien występować do

Don Kichote - Miguel Cervantez

walki z tak potężnym przeciwnikiem, bo trzeba by siły boskiej, ażeby nad ludzkimi zapanować. Jedna Leonela tylko wiedziała o upadku swej pani, bo nie zdołało przed nią ukryć tego tych dwoje wiarołomnych przyjaciół a nowych kochanków. Nie chciał jednak Lotariusz zwierzyć Kamili planu Anzelma ani że to on właśnie dał im możliwość dojścia do tego celu, aby nie zlekceważyła jego miłości i nie sądziła, że zalecał się do niej tak przypadkiem i bezmyślnie, a nie z przekonania.

Po kilku dniach powrócił Anzelm do swego domu i nie zauważył, że w nim brak czegoś, co najbardziej cenił, choć nie umiał uszanować. Natychmiast odwie- 238 dził Lotariusza i zastał go w domu. Uścisnęły się, Anzelm zaś zapytał o nowiny, które miały mu dać śmierć albo życie.

«Cóż mogę ci rzec, druhu Anzelmie - rzekł Lotariusz - masz żonę, która może być godnym przykładem i koroną wszystkich cnotliwych niewiast. Słowa me do niej zwrócone wiatr uniósł, obietnice zostały wzgardzone, podarki nie zostały przyjęte, moje udane łzy stały się przedmiotem oczywistych drwin. Jednym słowem, oto Kamila jest sumą wszelakiego piękna, skarbem, gdzie ukrywa się cnota, gdzie żyje dworność, wstydliwość i wszelkie zalety, które niewiastę uczcwią czynią godną chwały i szczęśliwą. Weź swe pieniądze z powrotem, przyjacielu, oto ci je oddaję,

nie potrzebowałem się do nich uciekać, gdyż nieprzystępność Kamili nie jest wrażliwa na rzeczy tak niskie jak upominki i obietnice.

Uspokój się, Anzelmie, i nie szukaj

innych prób, a jak suchą nogą przeszedłeś morze trudności i podejrzeń, których niewiasty zwykły i mogą być przyczyną, nie chciej powtórnie puszczać się na głęboki ocean nowych burz, nie chciej z innym pilotem podejmować doświadczenia zalet i wytrzymałości statku, danego ci przez niebo w udziale, abyś na nim przepły-

nął morze tego świata. Rozważ, że jesteś już w bezpiecznym porcie, umocnij się kotwicami szlachetnej rozwagi i trwaj tak, póki ci nie przyjdzie spłacić dłużu, od płatności którego nie uwolni cię żadne ziemskie szlachectwo).

Wielką radość sprawiły Anzelmowi słowa Lotariusza, a tak w nie wierzył, jakby wypowiedziała je jakaś wyrocznia; jednak prosił go, aby nie zaprzestawał dzieła, choćby to było raczej dla ciekawości i rozrywki, ale niepotrzebne będą odtąd tak usilne zaloty. Prosi go tylko, aby napisał kilka wierszy, w których pod imieniem Chloris wysławiałby Kamilę, on zaś dałby Kamili do poznania, że Lotariusz jest zakochany w pewnej damie, którą pod tym imieniem opiewa, aby pod taką osłoną

mógł sławić ją z przystojnością należną jej cnocie. A jeżeli Lotariusz nie chciałby się podjąć trudu napisania wierszy, on sam go w tym wyręczy.

«To niepotrzebne - rzekł Lotariusz - muzy są mi przyjazne i odwiedzają mię niekiedy w ciągu roku. Powiedz Kamili, co chcesz, o rzekomych moich uczuciach, wiersze sam napiszę, jeśli nie tak dobre, jak przedmiot tego wymaga, to w każdym razie najlepsze, na jakie mię stać».

Kiedy ten układ zawarli dwaj przyjaciele, nieopatrzny i wiarołomny, wrócił Anzelm do domu i postawił Kamili pytanie, na jakie czekała, dziwiąc się, że tego nie czyni, a więc co było pobudką do napisania listu, jaki mu przysyłała. Kamila odpowiedziała, iż miała wrażenie, jakoby Lotariusz patrzył na nią okiem zuchwalszym, niż kiedy on był w domu, lecz zmieniła zdanie i sądzi, że to było przywidzenie, bowiem Lotariusz unika jej widoku i pozostania z nią sam na sam. Anzelm zapewnił ją, że może bezpiecznie poniechać tego podejrzenia, wiadomo mu bowiem, że Lotariusz jest zakochany w pewnej szlachetnej dziewczycy tego miasta, którą opiewa pod imieniem Chloris, a gdyby nawet tak nie było, nie należy wątpić w jego szczerość oraz w wielką przyjaźń, jaka ich obu łączy. Gdyby Kamila nie była uprzejma,

dzona przez Lotariusza, że owe uczucia do Chloris są zmyślone i że powiedział o tym Anzelmowi, aby móc niekiedy ją samą w wierszach wysławiać, byłaby bez wątpienia wpadła w rozpaczliwą sieć zazdrości, lecz ostrzeżona, przyjęła ów wstrząs bez przykrości.

239

Na drugi dzień, kiedy we troje siedzieli przy stole, prosił Anzelm Lotariusza, aby powiedział coś z wierszy, jakie ułożył dla swej ukochanej Chloris. Skoro Kamila jej nie zna, może spokojnie mówić, co zechce.

«Gdyby nawet ją znała - rzekł Lotariusz - nic do ukrycia nie mam, bo kiedy jakiś kochanek wysławia pięknośc swej pani, a nazywa ją okrutną, nie przynosi to żadnej ujmy jej sławie. Jakkolwiek jest, przeczytam sonet, jaki wczoraj napisałem o niewdzięczności owej Chloris, brzmi on tak:

Sonet

Wśród ciszy nocnej, kiedy się spokoje

Snu słodkie kładą na śmiertelnym czole,

Ja opowiadam me liczne niedole, Skarżąc się niebu oraz Chloris mojej.

. W godzinę, kiedy słońce przez podwoje

Różane wschodu ma oświetlić pole,

Don Kichote - Miguel Cervantez

Wśród westchnień, w szarpań nieustannych kole
Widzę, jak dawne wstają niepokoje.

A kiedy słońce w swej gwiaździstej chwale
Proste promienie na ziemię posyła,
Skarga ma wzrasta, jęk się w duszę wwierca,
Potem noc wraca i wracają żale, Walka
śmiertelna, co mię przepaliła: Niebo jest
głuche, a Chloris bez serca».

Sonet podobał się Kamili, ale bardziej jeszcze Anzelmowi; chwalił go i uważały, że owa dama była zbyt okrutna, nie odpowiadając na tak szczerze wyznania. Na to rzekła Kamila:

«Jak to, więc to wszystko, co mówią zakochani poeci, jest prawdą?»

«Nie mówią tego jako poeci, ale jako zakochani, zawsze jednak wyrażają mniejs, niż rzeczywiście czują».

«Nie ma wątpliwości» - odparł Anzelm, potwierdzając i popierając zdanie Lotariusza wobec Kamili, która o tyle mniej dbała o grę Anzelma, im bardziej była w Lotariuszu zakochana.

Więc miłe jej było wszystko, co od niego pochodziło, a upewniała, że jego uczucia i wiersze do niej się odnoszą i że ona jest prawdziwą Chloris, prosiła go, aby, jeśli pamięta jakiś inny sonet lub wiersz, powiedział je.

«Owszem, jeden pamiętam - odrzekł Lotariusz - lecz sądzę, że nie jest tak dobry jak poprzedni albo, powiedzmy lepiej, jest gorszy. Sami osądźcie, oto on:

Sonet

Wiem, że umieram, jeśli zostanę wzgardzony,

Umrę na pewno, tak jak los

jest niewątpliwy, 240

Że u stóp twoich, niewdzięczna, raczej bym nieżywy Padł, niż zaprzestał ciebie wielbić zniechęcony.

I mógłbym odejść nawet w niepamięci strony, W
życia, sławy, rozgłosu pozbawiane niwy.

Lecz kto by rozdarł serce, znalazłby w nim żywy
Wizerunek twej pięknej twarzy wyrzeźbiony. Ta
relikwia mię bronić będzie w złej godzinie,

Jaką mi grozi moje miłosne zawzięcie, Które w
twej surowości nową moc znajduje.

Biada, kiedy pod chmurnym niebem żeglarz płynie

Na niebezpiecznym szlaku w mórz obcych odmęcie, Gdzie żadna gwiazda jemu portu nie zwiastuje».

Anzelm chwalił również i ten drugi sonet, jak i poprzedni, i tak ogniwie dodawał do łańcucha, którym się omotał i związał ze swoją hańbą bo im bardziej Lotariusz mu uwłaczał, tym bardziej uważały się za zaszczyconego i wszystkie te stopnie, którymi Kamila schodziła na dno hańby, w opinii męża były stopniami, którymi wstępowała na szczyt cnoty i dobrej sławy. Pewnego razu, kiedy znalazła się sama z pokojową swoją, rzekła:

«Przykro mi, miła Leonelo, że tak mało się ceniłam i nie drożyłam się długo, oddając zbyt rychło Lotariuszowi wolę moją w całkowite władanie.

Lękam się, aby nie posądził mnie o zbytnią skwapliwość i lekkość, nie bacząc, jakiej użył natarczywości, której nie mogłam się oprzeć».

«Nie trówcie się tak, pani moja - odparła Leonela - rzecz nie traci na wartości przez to, że sieją rychło daje, jeśli to, co się daje, jest cenne i przez to poszanowania godne. Mówi się zwykle: Kto szybko daje, dwa razy daje».

«Również mówi się - rzekła Kamila - że to, co niewiele kosztuje, w niewielkiej jest cenie».

«To się was nie tyczy - rzekła Leonela - miłość bowiem, jak słyszałam, raz lata, a raz kroczy, dla jednego goni, dla drugiego idzie powoli, jednych ostudza, innych rozpala, jednych rani, drugich zabija; w tym samym punkcie bieg swych pragnień zaczyna i w tym samym kończy się i cel osiąga; rankiem zaczyna obleżenie fortocy, wieczór zaś ta się poddaje, nie mając siły, aby się oprzeć. Jeśli tak jest, czemuż się niepokoisz i czemuż się lękaszu? To samo zdarzyło się Lotariuszowi, kiedy miłość, by doprowadzić was do oddania, posłużyła się nieobecnością naszego pana. Musiało się spełnić w tym czasie to, co miłość postanowiła, nie zwłoczając aż do czasu powrotu Anzelma, gdyż w jego obecności dzieło nie zostałoby dokonane; nie ma bowiem miłość, aby dążenia swe wypełnić, lepszego służki jak sposobność, zwłaszcza na początek. O tym wszystkim wiem dobrze, więcej z doświadczenia niż ze słuchu, a któregoś dnia opowiem o tym pani, bowiem i ja jestem dziewczyną z krwi i ciała. W dodatku, pani Kamilo, nie oddaliście się tak od razu, wpierw dostrzegli 241

ście w oczach, w westchnieniach, w słowach, obietnicach i podarunkach całą duszę Lotariusza, a w niej, w zaletach jej zobaczyliście, jak godny jest miłości. Więc jeśli

tak jest, niech wyobraźni waszej nie dręczą te skrupuły i subtelności, lecz bądźcie pewna, że on

Don Kichote - Miguel Cervantez

was ceni, jak wy jego cenicie, i życie radosna i zadowolona, żeżeże- liście w sieci miłości popadli, ten, który was w nich trzyma, zasługuje na to i godny jest tego i że nie tylko posiada owe cztery S1, które, jak mówią, powinni mieć do-brzy kochankowie, ale i całe abecadło. Posłuchajcie mię, a zobaczycie, jak z pamięci wyliczę: jest on, jak widzę i jak mi się zdaje - ambitny, bystry, chwacki, do-bry, energiczny, foremny, gorliwy, honorowy, junacki, kochający, lojalny, łagodny, młody, namiętny, odważny, poważny, rycerski, ma owe cztery S, o których mówiąj jest nadto troskliwy, uważny, wdzięczny, żarliwy, x - nie nadaje się, jest zbyt chropowate, y -już się wyżej mieści».

Uśmieała się Kamila z abecadła swej pokojowej i uznała ją za bardziej doświadczoną w sprawach miłości, niżby się zdawało. Leonela przyznała to i oświadczyła jej, że związała się miłością z pewnym młodym szlachcicem z tego samego miasta. Kamilę zmieszała ta wiadomość, obawiała się, że doprowadzić to może do zagrożenia jej dobrej sławy. Wypytywała więc Leonelę, czy nie zaszli dalej niż słowa. Ta bez wstydu i swobodnie wyznała, że tak się stało oczywiście. Niezawodne jest bowiem, że błędy pani odbierają wstyd służącym, które widząc potknięcie się pani, gotowe całkiem okuleć i nic sobie z tego nie robią, choćby to było wiadome. Nie pozostało jej nic innego, jeno musiała prosić Leonelę, aby nic o jej postępku nie mówiła kochankowi i własne swe sprawy tak ostrożnie prowadziła, by słuch o nich nie doszedł ani do Anzelma, ani do Lotariusza. Leonela obiecała, że tak postąpi, lecz w ten sposób do tego się zabrała, że lęk Kamili przemienił się w pewność, iż gotowa cześć swą utracić, bowiem bezwstydnia i zuchwała Leonela, odkąd przekonała się, że postępowanie jej pani nie jest takie, jakim być powinno, odważyła się wpuścić do domu swego kochanka, pewna, że choćby go pani dostrzegła, nie odważy się wyjawić tego nikomu. Do takiego bowiem upadku prowadzą grzechy pań, że stają się niewolnicami własnych służebnych i zmuszone są pokrywać ich bezwstyd i podłość, jak to spotkało Kamilę, która choć nie raz i nie dwa widziała, że Leonela przyjmuje gacha w jednej z komnat jej domu, nie tylko nie śmiała jej zganić, lecz ułatwiała jej zamykanie się z nim i usuwała wszelkie przeszkody, aby mąż jej tego nie odkrył. Nie zdołała jednak przeszkodzić temu, że Lotariusz

pewne- go razu ujrzał wychodzącego o świecie
mężczyznę, a nie poznawszy, kto by to był,
mniemał zrazu, że to jakaś zjawa. Lecz widząc,
że ów idzie,

zakrywając twarz połą

i otulając się starannie i ostrożnie, poniechał poprzedniej myśli i powziął inną, która byłaby wszystkich do zguby przywiódła, gdyby Kamila nie była zaradziła złemu. Lotariusz wyobraził sobie, że ów człek, którego o tak niezwykłej porze widział wychodzącego z domu Anzelma, wszedł tam nie dla Leoneli - nie pamiętał zgoła, że jakaś Leonela istnieje na świecie - lecz sądził, że Kamila, jak okazała się łatwa

i lekka wobec niego, taką samą była i dla innego.

To pociąga za sobą wystąpek wiaro- 1 Luis Barahona de Soho w poemacie Łzy Angeliki podaje: sabio, solo, solicito, secreto (mądry, jedyny, gorliwy, dyskretny).

242

łomnej białogłów, że i ten nawet, który prośbami i namowami ją do tego przywiódł, traci wiarę w jej uczciwość i łatwo wierzy, że i dla innych z niej ustąpi. Więc skwa- pliwie gotów uwierzyć każdemu podejrzeniu, jakie się nasunie. Stało się, że Lota-

riuszowi zabrakło jakoby w owej chwili zdrowego rozsądku i że zapomniał o wszystkich rozważnych postanowieniach, nie bacząc bowiem, czy to dobre ani czy rozsądne, ni mniej, ni więcej, tylko drżąc z niecierpliwości i zaślepiony wście-

kłą zazdrością, która mu żarła wnętrzności, mrąc z pragnienia, aby zemścić się na Kamili, która w niczym mu nie zawiniła, zanim Anzelm wstał jeszcze, wpadł do niego i rzekł:

«Wiedz, Anzelmie, od kilku dni z sobą walczę i gwałt sobie czynię, aby wyjawić ci, co nie jest możliwe dłużej ukrywać. Wiedz, że twierdzi Kamili poddała się i gotowa była na wszystko, co z nią chciałbym uczynić. A jeżeli tak długo przemil-

czałem tę prawdę, to dlatego, że chciałem wiedzieć, czy to tylko lekkomyślny kaprys, czy też chęć wypróbowania mnie i przekonania się, czy owe miłostki, jakie z twym pozwoleniem wszczęłam, są poważne. Uważam, że gdyby była taką, jaką ją sobie obaj wyobrażaliśmy, byłaby cię już o mych umizgach powiadomiła. Lecz widząc, że tego nie czyni, przekonałem się, że prawdziwe są obietnice, jakie mi dała,

iż kiedy po raz wtóry oddalisz się z domu, naznaczy mi schadzkę w szatni, gdzie chowasz swe kosztowności (tam istotnie spotykała się z nim Kamila). Nie chcę jednak, abyś zbyt pochopnie zemstę podejmował, gdyż grzech dotąd jedynie w zamierzeniu jest dokonany i może być, że ona się opatrzy i zrodzi się w niej skrucha, za-

nim go rzeczywiście popełni. A skoro dotychczas w całości lub w części rad mych słuchałeś, przyjmij i tę, którą ci teraz daję, abyś bez błędu i z dojrzałym rozmysłem powziął postanowienie, jakie ci najbardziej odpowie. Udaj, że wyjeżdżasz na dwa lub trzy dni, jak zwykle, i postaraj ukryć się w twej szatni, bowiem kobierce tam się

znajdujące oraz inne szaty, za którymi ukryć się możesz, ułatwią ci rzeczą. I stamtąd, na własne oczy ujrzyesz, a ja wraz z tobą, czego ona chce; a jeżeliby to był wystę- pek, czego raczej obawiać niż spodziewać się można, ty mądrze i cichcem będziesz mógł stać się mścicielem swej krzywdy».

Słowa Lotariusza wprawiły Anzelma w osłupienie i zdumienie. Zaskoczyły go w chwili, kiedy się najmniej ich spodziewał, uważały bowiem, że Kamila odparła zwycięsko udane ataki Lotariusza, i radował się już chwałą z tego zwycięstwa. Dobrą chwilę milczał, patrząc w ziemię bez drgnienia powiek, a w końcu rzekł: «Postąpiłeś, Lotariuszu, jak się tego po twej przyjaźni spodziewałem, we wszystkim pójdę za twoją radą; czyń, co chcesz, i zachowaj tajemnicę, jakiej ten niespodziewany wypadek wymaga».

Lotariusz przymknął oczy, lecz kiedy go opuścił, zaczął żałować tego, co powiedział, widząc, jak głupio postąpił. Mógł się bowiem zemścić na Kamili, lecz nie w tak okrutny i podły sposób. Przeklinał swą głupotę, wyrzucał sobie lekkomyślne postanowienie i nie wiedział, w jaki sposób mógłby rzecz odrobić i jakie by wyjście rozsądne znaleźć. W końcu postanowił wszystko opowiedzieć jej, a ponieważ sposobności ku temu nie brakło, tego samego dnia zastał ją samą, zaś ona widząc, że może z nim mówić swobodnie, rzekła:

«Wiedz, drogi Lotariuszu, mam zmartwienie w sercu, które się tak ściska, jak- by lada chwila miało w piersi pęknąć i dziw, że to się jeszcze nie stało. Bowiem

243

bezczelność Leoneli do tego doszła, że co noc wpuszcza do tego domu swego gacha, który u niej do rana zostaje: dzieje się to kosztem mej dobrej sławy; gdyby bowiem ujrzano go wychodzącego o tak niezwykłych porach z mego domu, dałoby to wolne pole do posądzeń. Najbardziej dręczy mię niemożność ukarania jej i wyłajania, bo to, że wie ona o naszych tajnych stosunkach, kładzie mi wędzidło na usta i zamilczyć muszę ojej sprawkach, a boję się, aby się to źle nie skończyło». Kiedy Kamila mówić zaczęła, Lotariusz znowu mniemał, że jest to wybieg, aby weń wmówić, że człowiek spostrzeżony przezeń, jak wychodził rankiem z domu, przyszedł dla Leoneli, a nie dla niej, ale widząc ją płaczącą, zmartwioną i błagającą

o radę, przekonał się, że to prawda była, zaś uwierzywszy, bardzo się tym strapił i zmieszał. Ale mimo wszystko odpowiedział Kamili, aby się nie martwiła, gdyż znajdzie on sposób, by ukrócić beczelność Leoneli. Przyznał się jej też, co pobu-

dzony wściekłym szalem zazdrości powiedział Anzelmowi i jak ułożyli, iż ten ukryje się w szatni, aby stamtąd jasno przekonać się o jej wiarołomstwie. Prosił o przeba-
czenie mu tego szaleństwa i aby zastanowiła się, w jaki sposób można by temu zapobiec i znaleźć wyjście z tak zawikłanego labiryntu, w który własna nierozwaga go wpędziła.

Kamila z przerażeniem wysłuchała słów Lotariusza i bardzo rozwiewana, mnogimi a mądrymi słowy łajała go i wyrzucała mu jego niegodne myśli oraz głupie i fatalne postanowienie, jakie powziął. Ale -jako białogłowa z natury posiada umysł pochopniejszy zarówno do złego, jak i dobrego niż mężczyzna, chociaż go jej brak, kiedy z rozwagą dyskutować zaczyna - natychmiast i ona znalazła sposób zaradzenia temu, jak zdawało się, położeniu bez wyjścia i rzekła Lotariuszowi, aby

postarał się ukryć nazajutrz Anzelma tam, gdzie się umówili, ona bowiem myśli, że uda się jej wyjść z zasadzki w sposób tak dogodny, że odtąd będą mogli zabawiać się z sobą bez żadnej obawy. I nie wyjawiając swej myśli, poleciła mu, aby kiedy Anzelm

Don Kichote - Miguel Cervantez

ukryje się w swym schowku, zaś Leonela go przywoła, zaraz przyszedł i na wszystko, cokolwiek by mówiła, odpowiadał tak, jakby nie wiedział, że Anzelm go słucha. Lotariusz nalegał, by mu cały plan wyjawiła, aby z większą pewnością i rozwagą mógł postępować, jak należy.

«Mówię ci - rzekła Kamila - nic innego czynić nie trzeba, jak tylko odpowiadać na moje pytania».

Nic więcej nie chciała wyjawić, co uczynić zamierzała, z obawy, że gotów odmówić udziału w tym, co jej się zdawało tak świętym pomysłem, a będzie szukać innych, na pewno gorszych. Wówczas Lotariusz oddalił się, zaś Anzelm na drugi dzień, udając, że wyjeżdża na wieś do przyjaciela, wyszedł, ale wnet wrócił i ukrył się. Tym łatwiej mu to przyszło, że Kamila i Leonela nadarzyły mu ku temu sposob-

ność. Ukrył się więc Anzelm z takim wzruszeniem, jakie można sobie wyobrazić u człowieka, który na własne oczy oglądać ma wszystkie szczegóły swej hańby i który przygotowany jest na utratę najwyższego dobra, jakie widział w swej ukochanej. Kamila i Leonela, bezpieczne i pewne, że Anzelm już w kryjówce, weszły do szatni, a Kamila, ledwie próg przestąpiwszy, westchnęła głęboko i rzekła: «Ach, droga Leonelo! Zali nie lepiej byłoby, zanim wykonam to, o czym chcę, abyś wiedziała i nie starała się mi w tym przeszkodzić, gdybyś wzięła puginał An244 zelma, o który cię prosiłam, i przebiła tę niegodną pierś moją. Lecz nie czyń tego; nie byłoby słuszne, abym ja ponosiła karę za cudzą winę. Chcę wprzód wiedzieć, co we mnie bezczelne i bezwstydne oczy Lotariusza ujrzały takiego, iż rozzuchwaliło go to do odkrycia mi swych niecnych żądz, na co ważył się przeciw przyjaźni swojej i na moją hańbę. Stań, Leonelo, w tym oknie i przywołaj go. Bez wątpienia stoi na ulicy, czekając na sposobność, by swój podły zamiar uskutecznić. Lecz wprzód ja mój wypełnię, choć okrutny, ale godziwy».

«Ach, pani moja - odpowiedziała mądra i przebiegła Leonela. - Cóż począć chcecie z tym puginałem? Czy sobie chcecie odebrać życie, czy też Lotariusza go pozbawić? I jedno, i drugie zarówno na zgubę waszej sławy i czci się obróci. Raczej zniewagę waszą pokryć milczeniem i nie dopuścić, aby ten niegodziwiec wszedł do tego domu i zastał nas same. Zważcie, pani, że jesteśmy dwie słabe białogłówki, on zaś jest mężem i gotów na wszystko, a jako przychodzi w złym zamiarze, zaślepiony i uniesion namiętnością, gotów, zanim spełnicie, co zamierzacie, wyrządzić wam szkodę większą niż utrata życia. Źle uczynił pan mój, Anzelm, że pozwolił tak

w swoim domu rozpanoszyć się temu bezwstydkowemu! A choćbyście go i zabili, pani, jak sądzę, że uczynić chcecie - cóż poczniemy z jego trupem?» «Co? Moja miła - odparła Kamila - zostawimy go, aby go Anzelm pogrzebał. Słuszną będzie miał pociechę, zakopując w ziemi własną hańbę. Zawołaj go wreszcie, zdaje mi się, że tracąc czas i odwlekając zemstę za mą zniewagę, obrażam wierność, jaką mężowi memu winnam».

Wszystkiego tego słuchał Anzelm, a każde słowo Kamili zmienne w nim uczucia budziło, lecz kiedy usłyszał, że postanowiła zabić Lotariusza, chciał już wyjść z ukrycia, aby temu przeszkodzić, ale powstrzymała go chęć ujrzenia, do czego do prowadzi odważny i godziwy zamiar, gotując się wyjść na czas, by przeszkodzić nieszczęściu.

Kamila natenczas popadła jakoby w głębokie omdlenie, a Leonela, złożywszy ją na łóżu, które tam stało, zaczęła gorzko zawodzić, mówiąc:

«O ja nieszczęsna, jakiż zły los zdarzył, że w moich ramionach umiera kwiat cnoty wszelakiej, korona zacności niewieściej, wzór czystości».

Wiele podobnych rzeczy mówiła, a każdy, kto by ją słyszał, musiałby ją wziąć za najbardziej zmartwioną i najwierniejszą ze służebnych, zaś jej panią za nową i prześladowaną Penelopę. Niebawem Kamila ocknęła się z omdlenia i zwracając się do Leoneli, rzekła:

«Czemuż, Leonelo, nie przywołujesz tego najwierniejszego z przyjaciół, jakiego widziało słońce albo noc okrywała? Nuże, biegij, leć, śpiesz się, aby zwłoka nie przy gasiła ognia mego gniewu i aby sprawiedliwa zemsta, jakiej wyglądam, nie skończyła się na pogróźkach i przekleństwach».

«Już biegnę go przywołać, pani moja - rzekła Leonela - lecz oddaj mi wprzód ten puginał, abyś w mej nieobecności nie popełniła czynu, który by kazał całe życie płakać wszystkim cię miłującym».

«Idź spokojnie, droga Leonelo, nie uczynię tego - odparła Kamila - choć tobie wydaje się bezrozumna i szalona, broniąc tak czci mojej, nie jestem nią do tego stopnia jak owa Lukrecja, o której mówią, że zabiła się, nie popełniwszy никакiej 245 winy i nie zabiwszy wprzód tego, który był przyczyną jej nieszczęścia. Umrę, jeśli

mam umrzeć, ale zadośćuczynienie mieć muszę i pomścić się na tym, który mię tu przywiódł, aby ubolewać nad zuchwałstwem jego, niezawinionym przeze mnie».

Don Kichote - Miguel Cervantez

Długo dawała się prosić Leonela, zanim wyszła przywołać Lotariusza; kiedy wreszcie opuściła komnatę, Kamila, czekając jej powrotu, jęła mówić jakby sama do siebie: «Boże, zawaruj! Czy nie pewnie było odprawić Lotariusza, jak to nieraz czyniłam, aniżeli pozwolić, aby mię wziął za nieuczciwą i następną choćby przez krótki czas, póki go z błędem nie wyprowadzę? Lepiej by to było, ani chybi, ale nie pomściłabym się ani honor mego męża nie miałby zadośćuczynienia, gdyby umywszy ręce i lekkim krokiem zdrajca wyszedł stąd, gdzie go niewcne zamysły przywiadły. Niech życiem zapłaci za lubieżne swe chęci, niech świat wie (jeśli przypadkiem się dowie), że Kamila nie tylko wierności mężowi dochowała, ale i pomściła się na tym, który śmiał go znieważyć. Jednak czy nie byłoby lepiej wszystko Anzelmowi opowiedzieć? Wszakże doniosłam mu o tym w liście na wieś pisany do niego, a jeśli od razu nie zastosował środków przeciw złu, jakie mu wskazałam, to zapewne dlatego, że jest dobry i ufny i nie chce ani nie może uwierzyć, żeby w sercu tak wiernego druha mogła się kryć myśl jakaś jego honorowi przeciwna. Nawet ja temu przez wiele dni nie dawałam wiary i nie uwierzyłabym nigdy, gdyby bezczelność jego nie doszła do tego, że ujawniła się w bogatych darach, szerokich obietnicach i nieustannych łzach. Ale na cóż się zdadzą teraz owe rozważania? Czy tak śmiałe postanowienie rad czyichś żąda? Nie, zaiste. Precz stąd, zdrajco, bywaj, zemsto! Niech przyjdzie zdrajca, niech wejdzie, niech się zbliży, niech umrze raz na zawsze i niech się, co chce, dzieje! Czysta dostałam się w moc tego, którego mi niebo przeznaczyło, wyjdę z niej skąpana w czystej krwi własnej, ale i w nieczystej owego najfałszywszego z przyjaciół, jakiego przyjaźń oglądała na świecie».

To mówiąc, chodziła tam i sam po sali z obnażonym puginałem, krokiem niespokojnym i gwałtownym, z takimi gestami, iż zdawało się, że rozum postradała; nie była to już białogłowa delikatna, ale zrozpaczony gwałtownik. Widział to wszyscy Anzelm ukryty za kotarą i zdumiewał się bardzo. Zdawało się, że to, co widział i słyszał, mogło rozwiać najsroższe podejrzenia i już pragnął, by usiłowania spro-

wadzenia Lotariusza spełzły na niczym w obawie, by złego obrotu nie wzięły Gotów był wyjść i ukazać się, aby uścisnąć i wyprowadzić z błędu swą małżonkę, zatrzymał się jednak, ujrzałszy Leonelę powracającą z Lotariuszem, którego wiodła za rękę. Zaledwie zoczyła ich Kamila, puginałem zakreśliła wielki krąg przed sobą, mówiąc:

«Lotariuszu, zważ, co ci powiem, jeśli na nieszczęście ośmielisz się przekroczyć ten krąg, a choćby zbliżyć się doń, w tej samej chwili, gdy zamiar twój dostrzegę, przebiję pierś mą tym puginałem, który w ręku trzymam. I zanim słowem mi odpowiesz, chcę, abyś mię wysłuchał; potem odpowiesz, co ci się będzie podobało. Po pierwsze, chcę, Lotariuszu, abyś mi powiedział, zali znasz męża mego Anzelma i co o nim trzymasz; po drugie, chcę również wiedzieć, zali ty mnie znasz?

246 Odpowiedz mi bez wykrętów i bez wahania,
gdyż pytania te nie przedstawiają trudności».

Lotariusz nie był tak tępy, aby od pierwszej chwili, gdy od Kamili dowiedział się o ukryciu Anzelma, nie przeniknął gry, jaką prowadzić umyśliła, więc odpowiadając po jej myśli tak roztropnie i tak stosownie, że mogłyby te kłamstwa obojga mieć pozór prawdy najszczerszej; odpowiedział więc jej w ten sposób: «Nie sądzę, piękna Kamiło, że przywołałaś mię tu, aby pytać o sprawy tak dalekie od zamysłu, w jakim tu przybyłem. Jeśli to czynisz, aby odwlec obiecaną nagrodę, mogłaś uczynić to znacznie wcześniej, bowiem im bliższa jest nadzieja osiągnięcia celu, tym bardziej dręczące pragnienie. Lecz abyś nie rzekła, że na pytania twe nie odpowiadam, powiem, że znam twoego małżonka Anzelma, a znamy się obaj od najmłodszych lat; nie chcę tu mówić o naszej

przyjaźni dobrze ci znanej,

aby nie dawać świadectwa krzywdzie, jaką mu wyrządzam, zniewolony przez miłość, która może i gorsze jeszcze błędy usprawiedliwić. Ciebie znam również i w równej jak jego mam cenie. Gdyby było inaczej, czyż dla mniejszego skarbu niżli ty ważyłbym się sprzeniewierzyć mej powinności i najbliższym prawom prawdziwej przyjaźni, dzisiaj zerwanym i pogwałconym przez tak potężnego wroga jak miłość?»

«Jeżeli się do tego przyznajesz

- odparła Kamila - śmiertelny wrogu wszystkiego, co jest godne miłości, z jakim czołem śmiesz jawić się przede mną, wszak ci jestem zwierciadłem odbijającym obraz męża, w który tyś powinien był się wpatrywać, aby poznać, dla jak błahej przyczyny go znieważasz. Biada mi, nieszczęsnej, pojmuje już, co było powodem, żeś przepomniał, coś winien samemu sobie; musiałam zachować się zbyt swobodnie, nie chcę rzec nieprzystojnie, bowiem to było bez rozmysłu, lecz z nierozwagi, na jaką pozwalają sobie niewiasty bez zastanowienia, kiedy nie mają się czego obawiać. Jestli inaczej? Powiedz, o zdrajco! Zali kiedy na prośby twe odpowiadałam jakim słowem lub znakiem, które w tobie mogły zbudzić chociażby cień nadziei, iż twe bezecne chęci spełnione zostaną? Zali nie od-

rzucałam i nie odpychałam twych miłosnych wynurzeń stanowczo i surowo? Zali kiedy zawierzyłam licznym obietnicom twoim i przyjęłam kosztowne dary? Ale w przekonaniu, że nikt nie może wytrwać długo w miłosnych zamysłach, jeśli go w tym nadzieja nie podtrzymuje, sobie przypisuję winę twej bezczelności, gdyż bez

wątpienia nieopatrznosć jakaś moja podtrzymywała tak długo twój zamysł. Dlatego chcę sobie sprawiedliwość wymierzyć i karę, na jaką twoja wina zasługuje. Abyś prze-

konał się, że jeśli wobec siebie tak bezlitosna będę, nie mogę być inna dla ciebie, chciałam cię tu sprowadzić, abyś był świadkiem ofiary, jaką chcę złożyć zelżonemu honorowi mego tak czcigodnego małżonka, znieważonego przez ciebie najsrożej, jak tylko może, a również i przeze mnie, nie starałam się bowiem uniknąć sposobności - o ile ci taką dałam - która mogła sprzyjać i utwierdzać twe niecne zamiary. Muszę rzec, że najbardziej dręczy mię to podejrzenie, że jakaś nieopatrznosć moja zrodziła w tobie tak zbrodnicze myśli, za to chcę się ukarać własnoręcznie, gdyż gdyby jakiś inny kat miał mi karę wymierzyć, obawiam się, że błąd mój mógłby wszystkim stać się jawnym. Zanim to jednak uczynię, chcę,

umierając, zabić i zabrać ze sobą ciebie, a twoja śmierć nasyci pragnienie zemsty, jakiej pożądam i do której dążę - abym stamtąd, gdziekolwiek będę, oglądała karę, jaką słuszna

247 i niewzruszona sprawiedliwość wymierzyła tobie, któryś mię w tak rozpaczliwe położenie wtrącił.

To rzekłszy, z niewiarygodną siłą i chyzością rzuciła się na Lotariusza z obnażonym puginałem, jakby go istotnie przebić chciała, tak że on sam, niepewny, czy to wszystko było udaniem, czy prawdą, musiał użyć całej zręczności i siły, aby uniknąć ciosu Kamili; tyle ognia włożyć usiłowała w swój niezwykły podstęp i udanie, że zgoła, aby nadać więcej pozoru prawdy, nie zawała się własnej krwi utoczyć. Widząc bowiem lub udając, że nie zdoła dosiągnąć Lotariusza, rzekła: «Skoro los nie pozwala mi dopełnić całkowicie mego tak słusznego pragnienia, nie zdoła mi przeszkodzić, abym przynajmniej w części je zaspokoiła». I wydarlszy siłą rękę z puginałem, którą był Lotariusz pochwycił, skierowała ostrze w miejsce, gdzie mogła uderzyć niezbyt głęboko, i wbiła je sobie jakby po rękojeść powyżej lewej piersi blisko ramienia, po czym jakby bez życia na ziemię się osunęła. Leonela i Lotariusz, ujrzałszy ją leżącą na ziemi we własnej krwi skąpaną, zmartwiali i osłupieli. Błyskawicznie Lotariusz podbiegł bez tchu, przerażony, aby wyrwać ostrze, lecz ujrzałszy niewielką ranę,

pozbył lęku, jaki go nawiedził, i jeszcze bardziej podziwiał bystrość, przesorność i wielki spryt pięknej Kamili. Aby jednak rolę swą dobrze odegrać, zaczął długą i żałościwie rozpaczać nad jej ciałem,

jakby była nie żywa. Złorzeczył strasznie sobie oraz temu, który był pierwszym sprawcą tego, co się stało. Wiedząc zaś, że Anzelm go słucha, wypowiadał słowa, które w słuchającym musiały budzić większą litość dla niego niż dla niej, chociaż-

by miał ją za martwą. Leonela wzięła panią na ręce i złożyła na łóżu, błagając Lo-tariusza, aby pobiegł szukać kogoś, kto by po kryjomu Kamilę opatrzył. Prosiła go też o radę, co należało rzec Anzelmowi o owej ranie pani, jeśli powrócił, zanim

ona wyzdrowieje. Ten odpowiedział, aby mówiła, co chce, on bowiem nie jest w stanie teraz dawać pożytecznych rad; polecił jej tylko, by starała się krew zata-

mować, on zaś uda się tam, gdzie go ludzkie oko nie zobaczy. I z oznakami wielkiej bolesci i żalu dom opuścił. Kiedy ujrzał się sam w miejscu, gdzie od nikogo nie mógł być widziany, jał się wiele kroć żegnać znakami krzyża świętego, dziwując się spry-towi Kamili i doskonałej grze Leoneli. Sądził, że Anzelm przekonany odtąd będzie, iż ma za żonę drugą Porcję, więc pragnął co przedżej zobaczyć się z nim, aby pospołu sławić kłamstwo i prawdę utajone najlepiej, jak można sobie było tylko wyobrazić.

Leonela -jak się rzekło - zatamowała krew swej pani, której było akuratnie tyle, ile trzeba, aby podstępówie nadać pozory prawdy, i obmywszy odrobiną wina ranę, obandażowała, jak mogła najlepiej, prawiąc przez cały czas opatrunku takie słowa, że nawet gdyby innych wprzód nie wypowiedziano, starczyłyby, aby wmówić w Anzelma, że Kamila jest wzorem cnoty. Do słów Leoneli przyłączyły się i słowa Kamili oskarżającej się o tchórzostwo i brak odwagi, której zabrakło jej wówczas, kiedy najbardziej potrzebna była, aby pozbawić się życia, tak dla niej wstrętnego

obecnie. Pytała pokojową, czy należy opowiedzieć o wszystkim umiłowanemu mężowi. Leonela poradziła, aby o niczym nie mówiła, zmusiłoby to boł Bohaterka Kupca weneckiego W. Szekspira, wykorzystującą swój spryt i inteligencję dla ocalenia przyjaciela ukochanego.

248

wiem Anzelma do zemsty nad Lotariuszem, czego nie mógłby spełnić, nie narażając się na niebezpieczeństwo; dobra małżonka zaś nie powinna mężowi nastręczać sposobności do starć, a raczej starać się, o ile możliwości, wszystkie zwady oddalać

od niego. Kamila uznała radę za słuszną i postanowiła zastosować się do niej, ale w każdym razie należało zastanowić się, co rzec Anzelmowi o przyczynie owej rany, która nie może ujść jego uwagi. Na to Leonela odpowiedziała, że nawet dla żartu kłamać nie potrafi.

«A ponieważ i ja, siostro - odpowiedziała Kamila - tego nie umiem, nie ośmieliłabym się namotać ani podtrzymywać kłamstwa, gdyby i o życie moje chodziło. Więc jeśli nie można znaleźć innego wyjścia, lepiej będzie opowiedzieć nagą prawdę, niżby nas na fałszywej opowieści miał prychwycić»).

«Nie martwcie się pani - odparła Leonela - od teraz do rana rozmyślać będę nad tym, co powiemy, a myślę, że rana jest w takim miejscu, iż można ją będzie ukryć, aby jej nie spostrzegł, niebo zaś może będzie sprzyjało naszym tak słusznym i zacnym zamysłom. Uspokójcie się, pani moja, i starajcie się ukoić ten niepokój, aby pan mój nie zastał was tak wzburzoną. Resztę pozostawcie mnie i Bogu, który zawsze dobrym zamysłom z pomocą spieszzy».

Anzelm w wielkim napięciu słuchał i śledził przebieg tragedii śmierci swego honoru; była ona odegrana przez te osoby z taką niezwykłą i rzeczywistą siłą uczucia, jakby istotnie prawdą się stało to, co zmyślali. Niecierpliwie czekał nocy, aby mieć sposobność wyjścia z domu i udać się na spotkanie z dobrym swym druhem Lotariuszem i wraz z nim nacieszyć się cennym klejnotem, jaki znalazł, doświadczając cnoty małżonki. Obie niewiasty nastręczyły mu wnet sposobność, aby mógł wyjść swobodnie, on zaś, nie tracąc czasu, pobiegł natychmiast na poszukiwanie Lotariusza. Kiedy go znalazł, trudno opowiedzieć, jak ściskał go, co mu o swym szczęściu prawił, jakimi pochwałami obsypywał Kamilę. Wszystkiego tego słuchał Lotariusz, nie dając żadnej oznaki radości, nie schodziło mu bowiem z myśli, jak przyjaciela oszukał i jak go niecne znieważył. Anzelm widząc, że Lotariusz nie cieszy się, mniemał, że dzieje się to z powodu tego, iż zostawił Kamilę ranną ze swej przyczyny. Więc między

innymi słowy mówił, aby się nie martwił jej wypadkiem, rana bowiem bez wątpienia jest lekka, jeśli obie postanowiły ją ukryć przed nim; niech więc nie żywi żadnych obaw, jeno raduje się wraz z nim i weseli, że dzięki jego zręczności i pośrednictwu osiągnął najwyższy stopień szczęśliwości, jaki wy-

marzyć można. Odtąd wszystkie swe wolne chwile poświęci pisaniu wierszy na cześć Kamili, aby ją uwiecznić w pamięci przyszłych stuleci. Lotariusz pochwalił jego zacne postanowienie i obiecywał ze swej strony pomagać do wznieśienia tego wspaniałego pomnika.

W ten sposób Anzelm pozostał człowiekiem najdoskonalej oszukanym na świecie. W przekonaniu, że wprowadza sprawcę swej chwały, sam za rękę w dom wprowadzał zupełną swojej czci zagładę. Kamila przyjmowała Lotariusza z zagniewanym na pozór obliczem, lecz z uśmiechniętą duszą. To oszustwo trwało jeszcze czas jakiś, aż po upływie kilku miesięcy Fortuna koło swe obróciła i na jaw wyszła hańba z taką przemyślnością dotąd ukrywana, zaś Anzelm życiem przypłacił swą nieopatrzną ciekawość".

249

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

który opowiada o bohaterskiej i niezwykłej walce Don Kichota z kilkoma bukłakami czerwonego wina i w którym

znajduje się

zakończenie opowieści o nieopatrznym ciekawskim

Zaledwie kilka stronic zostało do zakończenia powieści, gdy nagle z poddasza, gdzie Don Kichote spoczywał, wybiegł Sanczo Pansa w wielkim wzburzeniu, wołając:

Bywajcie, panowie! Śpieszcie na pomoc memu panu, który wdał się w najsroższą i najtrudniejszą walkę, jaką kiedykolwiek oglądały moje oczy. Na Boga! Taki cios zadał olbrzymowi, nieprzyjacielowi księżnej pani Micomicony, że ściał mu głowę na czysto, jakby to była rzepa.

- Co gadasz, bracie? - rzekł proboszcz, przerywając czytanie ostatnich kartpowieści. - Czyś zmysły postradał, Sanczo? Jakże, do diabła, to się stać mogło, kiedy olbrzym o dwa tysiące mil stąd się znajduje.

Wtem usłyszano wielki rumor w izbie i Don Kichota wrzeszczącego:

- Poczekaj, zbóju, łotrze, zdrajco! Mam cię teraz i na nic ci się twój bułat! nie przyda.

I zdawało się, jakby wielkimi ciosami walił w ściany. Sanczo rzekł:

- Nie godzi się nam tu stać i słuchać, trza wejść, rozdzielić walczących i wesprzeć mego pana; chociaż tego pewnie nie będzie potrzeba, bo niechybnie olbrzym już nieżywy leży i zdaje sprawę Bogu ze swego podlego życia. Co ja tam krwi widziałem płynącej po ziemi! Zaś łeb ścięty potoczył się w kąt, a jest tak wielki jak olbrzymi bukłak na wino.

- Niech mnie zabiją - zawała na to karczmarz - czy tylko ten Don Kichote, czy Don Diabeł nie wpakował kilku sztychów w bukłaki z czerwonym winem, które u wezgłowia jego stały i rozlane wino wydało się być krwią temu poczciwcowi! Z tymi słowy wpadł na poddasze, a wszyscy za nim i zastali Don Kichota w najdziwaczniejszym na świecie stroju. Był w koszuli, a tak krótkiej, że z przodu ledwie uda mu zakrywała, z tyłu zaś o sześć cali mniej, nogi miał chude, obrośnięte i zgoła nie najczystsze. Na głowie miał zatłuszczoną czerwoną myckę karczmarza, przez lewe ramię przerzucił derkę z łożą, z którą Sanczo miał na pieńku, a dobrze wiedział dlaczego. W prawej trzymał obnażony miecz, którym rozdawał ciosy na wszystkie strony, wypowiadając przy tym słowa, jakby naprawdę walczył z jakimś wielkoludem. Najlepsze było to, że oczy miał zamknięte, spał bowiem i we śnie staczał bitwę z olbrzymem; tak silnie była poruszona jego wyobraźnia czynem, jakiego miał dokonać, że śnił już o przybyciu do królestwa Micomicon oraz o walce z wrogiem. Tyle ciosów wymierzył w bukłaki w przekonaniu, że rąbie olbrzyma, że cała izba była winem zalana. Karczmarz, ujrzałszy to, w taki gniew wpadł, iż rzubułat- miecz perski albo szabla turecka z szeroką rękęjeścią.

250 cił się na Don Kichota z zaciśniętymi pięściami i okładać go począł tak straszliwie, że gdyby Kardenio i proboszcz ich nie rozdzielili, zakończyłaby się bitwa z olbrzy-

mem. Mimo to nieszczęsny rycerz nie przebudził się, póki cyrulik, przyniósłszy świeżej wody ze studni, jednym zamachem całego ciała mu nie zlał; to ocuciło Don Kichota, ale nie tak całkowicie, aby zdał sobie sprawę, co się działo. Dorota, wi-

dząc, że tak kuso i skąpo jest odziany, nie chciała wejść, aby oglądać walkę swego obrońcy z jej wrogiem, Sanczo zaś krążył, szukając głowy olbrzyma po całej podłodze, a nie znachodząc jej, rzekł:

- Teraz to już wiem, że wszystko w tym domu jest dzieleni czarów, już tamtymrazem w tym samym miejscu, gdzie teraz jestem, spadły na mnie liczne kije i kułaki nie wiadomo od kogo, bo nikogo nie widziałem; a teraz ani śladu owej głowy, którą na własne oczy oglądałem ścientą, zaś krew buchała z kadłuba jak ze zdroju. - Co pleciesz o krwi i o zdroju, ty, Bogu i świętym obmierzły! wrzasnął karcz-

marz. - Czy nie widzisz, łotrze, że ta krew i ten zdrój to nic innego jeno moje bukła- ki podarte i czerwone wino, które po całej izbie płynie. Bodajby tak w piekle pływała dusza tego, kto je podziurawił. - Nic nie rozumiem - odparł Sanczo - wiem tylko, że kiedy na moje nieszczęście ten łeb się nie odnajdzie, roztopi się moje hrabstwo jak sól we wodzie. Gorszy był Sanczo najawie niż jego pan we śnie, tak opętały go obietnice, jakie ten mu uczynił. Karczmarz odchodził od zmysłów, widząc tępotę giermka i szkody wyrządzone przez jego pana, zaklinał się, że nie pójdzie tak łatwo jak poprzednim

razem, kiedy to odjechali, nic nie zapłaciwszy; już teraz nie pomogą im przywileje rycerskie, będą musieli zapłacić za jedno i za drugie, a nawet i za łaty wstawione w podarte bukłaki.

Proboszcz trzymał Don Kichota za ręce, ten zaś, sądząc, że dokonawszy dzieła, znalazł się przed księżniczką Micomiconą, padł na kolana przed plebanem, mówiąc: - Wasza wysokość, wielka i sława pani, możecie odtąd żyć bezpiecznie pewna, że nic wam od tego nędznego potwora nie grozi, i ja również jestem wolny od danego wam słowa, dokonałem bowiem wszystkiego z pomocą Bożą i za sprawą tej, dla której żyję i oddycham. - A co, nie mówiłem? - rzekł, usłyszawszy to, Sanczo. - Alboż to byłem pijany? Podziwiajcie, jak to pan nasolił olbrzyma. Nasze już byki!¹ Hrabstwo już się piecze!

Ktoż by nie uśmieiał się z szaleństw onych dwu: pana i pachołka? Wszyscy się śmiali z wyjątkiem karczmarza, który klął w diabły. W końcu jednak cyrulik, Kardenio i proboszcz tyle zyskali, że z niemałym trudem Don Kichota wciągnęli na łóżko, gdzie natychmiast usnął z oznakami wielkiego wyczerpania. Zostawili go tak śpiącego i wyszli przed bramę, aby pocieszyć Sanczo Pansę, że nie znalazł głowy olbrzyma. Trudniej przyszło uspokoić karczmarza, który był w rozpaczce z powodu naglej śmierci swych bukłaków. Karczmarka zaś wrzeszczała i syczała: - W złą chwilę i godzinę

wszedł do domu mego ów rycerz błędny! Oby go nigdy oczy moje nie oglądały, tak drogo mię kosztuje! Poprzednim razem sczezł wraz z kosztami noclegu, wieczerzy, łóżka, słomy i obroku dla niego, jego giermka, Tzn. zwycięzyliśmy (ludowy okrzyk).

251

dla szkapy i osła, mówiąc, że jest rycerzem od przygód (a niechże Bóg zdarzy złą przygodę jemu i wszystkim innym przygodnikom, jacy tylko są na świecie) i że dlatego nie jest obowiązany za nic płacić, bo tak stoi napisane w regułach włóczęcego

się rycerstwa; a teraz znów z jego przyczyny przybył ten drugi jegomość, zabrał mi ogon, a zwraca mi go tak obdartym, że o pół reala na wartości stracił i mężowi memu do jego potrzeb już na nic się nie zda. Oto na koniec i na dobitek rozpruwa moje bukłaki i rozlewa moje wino - obym tak jego krew rozlaną ujrzała. Lecz mu to nie ujdzie, bo na kości ojca mego i na wieczne zbawienie matki, jeśli nie kazałabym sobie zapłacić co do grosza, nie nazywałabym się, jak się zowie, ani nie byłabym córką mego ojca.

Te i tym podobne słowa wykrzykiwała rozsierdzona bardzo gospodyn, a wtórzyła jej dobra służka Maritornes. Córka milczała, od czasu do czasu uśmiechając się. Proboszcz uspokajał wszystkich, obiecując wynagrodzić szkodę, jak zdoła najlepiej, zapłacić zarówno za bukłaki, jak za wino, osobliwie zaś za oskubanie ogona, o czym tyle gadania było. Dorota pocieszała Sanczo Pansę, mówiąc, że jeśli prawdę się okaże, że pan jego ściął głowę olbrzymowi, obiecuje mu, wróciwszy do swego królestwa, dać najlepsze hrabstwo, jakie się tam znajdzie. Sanczo, uspokojony, zaklinał księżniczkę, aby wierzyła mu, iż naprawdę widziała głowę olbrzyma, która w dodatku miała brodę sięgającą po pas, a jeśli się ona nie znajdzie, to chyba dlatego, że w tym domu wszystko jest zaczarowane, jak tego doświadczył już poprzednim razem, kiedy tutaj gościł. Dorota zapewniła go, że również w to wierzy, niech

się zatem nie trapi, wszystko będzie dobrze i spełni się wedle życzenia. Kiedy spojrzeli zapanował, proboszcz miał ochotę dalej czytać powieść, widział bowiem, że niewiele już do końca brakło. Kardenio, Dorota i wszyscy inni prosili go też o to. On zaś, chcąc wszystkich zadowolić, a przede wszystkim dlatego, że sam miał ochotę dalej czytać, zaczął ciąg dalszy powieści:

„Zdarzyło się więc, że Anzelm, upewniony o cnocie Kamili, wiódł życie szczęśliwe i beztroskie, a ona umyślnie okazywała Lotariuszowi oblicze niechętne, aby przed Anzelmem tym łacniej uczucia swe ukryć. Chcąc go w tym przekonaniu utwierdzić, Lotariusz prosił go o pozwolenie unikania jego domu wobec jawnej przykrości, jaką

widok jego sprawia Kamili; lecz oszukany Anzelm namawiał go, by w żaden sposób tego nie czynił. Tak więc po tysiąckroć stawał się sprawcą swej hańby, uważając się za twórcę swego szczęścia. Równocześnie Leonela, czując się do swych miłostek uprawniona, tak się rozzuchwaliła, że na nic nie bacząc, puściła

sobie wodze, ufną, że pani ją zasłoni, a nawet pouczy, jak z najmniejszym ryzykiem rzecz prowadzić. Aż pewnej nocy Anzelm usłyszał kroki w komnacie Leoneli i pragnąc przekonać się, co by to być mogło, chciał tam wejść, poczuł atoli, że ktoś od wnętrza drzwi zapiera, co tym bardziej ciekawość jego pobudziło; z taką więc siłą nacisnął, że drzwi wyważyły i wpadły do środka w samą porę, by spostrzec jakiegoś człowieka, który przez okno na ulicę wskoczył; rzucił się, aby go pochwycić i rozpoznać, ale przeszkodziła mu w tym Leonela, uczepliwszy się jego ramienia, mówiąc:

«Uspokójcie się, panie mój, nie przejmujcie się zbytnio ani nie ścigajcie tego, który wyskoczył. To moja sprawa, ten człowiek bowiem jest moim mężem».

252

Anzelm nie chciał jej wierzyć, raczej uniesion gniewem dobył puginału i chciał Leonelę przebić, mówiąc, żeby mu prawdę wyznała, w przeciwnym razie zabije ją. Ona, przerażona, nie wiedząc sama, co mówi, rzekła:

«Nie zabijajcie mnie, panie, a powiem wam rzeczy ważniejsze od wszelkich, jakie wyobrazić sobie możecie».

«Gadaj natychmiast - rzekł Anzelm - lub umrzesz».

«To byłoby teraz niemożliwe - zwołała Leonela - tak jestem wzburzona; zostawcie mnie w spokoju do rana, a dowiecie się ode mnie rzeczy, które was napełnią zdumieniem. Bądźcie zaś pewni, że przez okno wyskoczył pewien młodzieniec z miasta, który mi dał słowo, że mężem moim będzie».

Anzelm, tak uspokojony, zgodził się dać jej zwłokę, o jaką prosiła, nie przypuszczał bowiem usłyszeć coś przeciw Kamili, będąc tak zadowolony i pewny jej cnoty; wyszedł więc z komnaty, zamknąwszy w niej Leonelę, uprzedzając, że nie wypuści jej, póki mu nie powie, co ma do powiedzenia.

Sam udał się zaraz do Kamili i opowiedział jej wszystko, co zaszło z jej pokojową, a także, że przyrzekła mu zwierzyć sprawę wielkiej wagi. I mówić nawet nie potrzeba, czy Kamila przeraziła się, czy nie; tak wielki zdjął ją lęk, była bowiem pewna, jak należało się spodziewać, że Leonela wyjawi Anzelmowi wszystko, co wie ojej wiarołomstwie. Nie miała nawet odwagi zaczekać, czy

podejrzenie to okaże

się prawdziwe, czy nie, lecz tej samej nocy, kiedy zdawało jej się, że Anzelm śpi, zebrała najkosztowniejsze klejnoty, jakie posiadała, oraz nieco pieniędzy i przez nikogo niespostrzeżona wyszła z domu, udając się do Lotariusza. Opowiedziała mu, co zaszło i błagała, aby ją ukrył albo aby oboje uciekli, gdzie by od Anzelma mogli

być bezpieczni. Lotariusz tak się przejął słowami jej, że nie potrafił ani słowa odpowiedzieć, ani zdobyć się na żadne postanowienie. Wreszcie zgodził się odprowadzić Kamilę do pewnego klasztoru, którego przełożoną była jedna z jego sióstr. Kamila przystała na to, zaś Lotariusz z pośpiechem, jakiego wymagała sprawa, odwiózł ją i pozostawił w klasztorze, sam zaś natychmiast opuścił miasto, nikogo o tym nie uprzedzając.

Skoro dzień nastąał, Anzelm nie zauważył braku Kamili u swego boku, nagliła go bowiem chęć dowiedzenia się, co Leonela ma mu do powiedzenia, wstał tedy i udał się do izby, gdzie zostawił ją zamkniętą. Otworzył, wszedł do wnętrza, lecz nie zastał w nim Leoneli; tylko prześcieradła do okna uwiązane były śladem i zna- kiem, że się po nich spuściła i uciekła. Zwrócił więc natychmiast, strapiony, aby

opowiedzieć o tym Kamili, nie znalazły zaś jej w łóżu ani w całym domu, stanął jak rażony. Wypytywał służbę o nią, lecz nikt nie umiał nic odpowiedzieć. Zdarzyło

się, że szukając jej wszędzie, zauważył skrzynie otwarte, brak większej części jej klejnotów - to go naprowadziło na trop nieszczęścia i na to, że to nie Leonela była

przyczyną jego niepowodzenia. Więc tak jak stał, niezupełnie odziany, smutny i zatroskany pobiegł opowiedzieć o swym złym losie przyjacielowi Lotariuszowi. Kiedy jednak go nie zastał, od службы zaś dowiedział się, że on tej nocy opuścił dom, zabierając z sobą wszystkie pieniądze, jakie posiadał, sądził, że rozum traci. Na do- miar złego, wróciwszy do siebie, nie zastał nikogo z licznych domowników i służebnych, dom był pusty i osamotniony.

253

Nie wiedząc, co myśleć, co rzec ani co czynić, czuł, że coraz bardziej rozum mu się miesza. Rozważył wszystko i ujrzał się nagle pozbawionym żony, przyjaciela, służby, opuszczonym -jak mu się zdawało - przez niebiosa, a przede wszystkim pozbawionym czci, której zatrąte widział w zniknięciu Kamili. Po dłuższym czasie postanowił wreszcie udać się na wieś do przyjaciela, gdzie zwykły był przebywać, aby dać możliwość rozwinięcia się całej tej nieszczęsnej przygody. Zawarł drzwi domu swego, wsiadł na koń i bez tchu puścił się w drogę. Ledwie ujechał połowę, napadły go złe myśli, pod ich naporem zsiadł z konia, przywiązał go do drzewa, pod którego pniem rzucił się na ziemię, wydając żałosliwe i bolesne westchnienia, i tak pozostał aż do zmierzchu. Ujrzał wówczas jakiegoś jeźdźca na koniu zbliżają- cego się od strony miasta i pozdrawiwszy go, zapytał, co słychać nowego we Florencji. Mieszczanin odpowiedział:

«Od dawna nie słyszano tak dziwnych wieści, jakie chodzą. Powszechnie się mówi, że Lotariusz, wielki przyjaciel bogatego Anzelma, który mieszkał przy Św. Janie, porwał tej nocy Kamilę, żonę Anzelma, a ten również znikł bez śladu. Wszystko to opowiadała jej służebna, którą tej nocy przychwyciła straż, kiedy spuszczała się z okna Anzelmowego domu. Nie wiem dokładnie, jak to się stało, wiem tylko, że całe miasto jest poruszone tym wypadkiem, gdyż kto by się był spodziewał po wielkiej i załyzej przyjaźni tych dwóch, tak wielkiej, jak mówią, że zwano ich ci dwaj przyjaciele». «Czy wiedzą może - rzekł Anzelm - w jakim kierunku udali się Lotariusz i Kamila?» «Nie mam pojęcia - odparł mieszczanin - choć gubernator zarządził pilne poszukiwania».

«Jedźcie z Bogiem, panie» - rzekł Anzelm.

«Ostańcie z Bogiem» - powiedział mieszczanin i odjechał.

Te nieszczęsne wieści wykończyły Anzelma tak, że nie tylko bliski był utraty rozumu, ale i życia. Dźwignął się, jak zdołał, i udał się do domu przyjaciela, który nic jeszcze o jego nieszczęściu nie wiedział. Kiedy jednak ujrzał go pożółkłym, wychudłym i wyniszczonym, pojął, że spotkało go coś ciężkiego. Anzelm prosił, aby mu zaraz przygotowano łóże i podano przybory do pisania. Spełniono to i zostawiono go w łóżu samego, jak sobie życzył, a nawet prosił, aby zamknięto drzwi.

Kiedy pozostał sam, nieszczęście tak wyobraźnią jego owładnęło, iż uświadomił sobie, że życia dokonać mu przyjdzie. Postanowił na piśmie pozostawić wiadomość, co jest

przyczyną jego dziwnego skonu. Zaczął więc pisać, ale zanim skończył wszystko, co chciał, stracił przytomność i ducha oddał w ręce bólu wywołanego przez własną nieopatrzna ciekawość. Pan domu widząc, że już późno, zaś Anzelm go nie woła, postanowił wejść, aby się przekonać, czy osłabienie jego przeszło; znalazł go leżącego z głową zwisłą, połowa ciała spoczywała na łóżu, połowa leżała na stole, na którym się opierał, przed nim był papier zapisany i otwarty, ręka zaś trzymała jeszcze pióro. Podszedł doń gospodarz, najpierw nań wołał, po czym za rękę go chwycił, a widząc, że nie odpowiada i jest zimny, poznał, że już nie żyje. Zdumiony i zrozpaczony nad miarę przywołał domowników, aby zobaczyli, jakie nieszczęście Anzelma spotkało, a w końcu przeczytał papier zapisany, jak poznał, jego ręką, a który te słowa zawierał:

254

Głupia i nieopatrznia zachcianka pozbawiła mnie życia. Jeżeli wieść o mojej śmierci dojdzie do uszu Kamili, niech wie, że jej przebaczą, bo do cudów nie była obowiązana ani żadna konieczność nie zmuszała mnie pragnąć, aby tego dokazała, a ponieważ sam byłem sprawcą mej hańby, nie lza...

Tyle napisał Anzelm, widać, że w tym miejscu, niezdolny zdania dopisać, życie zakończył. Przyjaciel Anzelma zawiadomił nazajutrz o jego śmierci krewnych, którzy już o nieszczęściu jego wiedzieli, oraz klasztor, gdzie przebywała Kamila, już niemal gotowa towarzyszyć mężowi w tej nieuniknionej podróży, nie tyle na wieść o śmierci męża, jak raczej na wieść o zniknięciu przyjaciela. Mówią, że choć została wdową, nie chciała opuścić klasztoru ani tym bardziej mniszką zostać, aż wreszcie po pewnym czasie nadeszły wieści, że Lotariusz zginął w bitwie, jaką w owym czasie stoczył Wielki Wódz Gonzalo Hernandez z panem de Lautrec w Królestwie Neapolu, gdzie udał się był przyjaciel zbyt późno skruszony.

Dowiedziawszy się o tym, Kamila złożyła śluby zakonne i wkrótce zakończyła życie pod surową dłonią smutku i melancholii. Na taki koniec przyszło tym trojgu z lekkomyślnego wynikły początku".

- Ta opowieść - rzekł proboszcz - podoba mi się, ale nie mogę uwierzyć, abybyła prawdziwa, jeżeli zaś jest zmyślona, autor zmyślał nieudolnie, nie może bowiem to być, aby znalazł się mąż tak głupi, który by się ważył na tak kosztowną próbę jak Anzelm. Uszłyby to, gdyby ten wypadek miał miejsce między kochankiem a jego damą, ale między mężem a żoną uważam to za niemożliwe. Sam jednak sposób opowiadania podoba mi się.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

opowiada o innych niezwykłych zdarzeniach w owym zajeździe
W, tym momencie gospodarz stojący w bramie zajazdu rzekł:

- Oto ciągnie ku nam piękny orszak gości, jeżeli się tu zatrzymają, to gaudeamus! –
Co to za ludzie? - zapytał Kardenio.
- Czterech jeźdźców o krótkich strzemionach - odpowiedział gospodarz - mająpiki i tarcze, a wszyscy w czarnych zasłonach; wśród nich jedna białogłowa w biel odziana, na siodle kobiecym z oparciem, twarz ma również zakrytą, a poza tym dwóch pachołków pieszych.
- Czy są już blisko? - zapytał proboszcz.
- Tak blisko - odparł gospodarz - że już dojeżdżają. Cieszmy się (łac).

255

Usłyszawszy to, Dorota zakryła sobie twarz, zaś Kardenio wszedł do izdebki Don Kichota; ledwie zdążyli to uczynić, gdy do zajazdu wjechali ci wszyscy, których karczmarz wymieniał. Czterej jeźdźcy pięknej postawy i wyglądu zeskoczyli z koni i pomogli zsiąść niewieście jadącej na kobiecym siodle. Jeden z nich, pochwyciwszy ją w ramiona, posadził na zydlu stojącym u wejścia do izby, w której ukrył się Kardenio. Przez cały ten czas ani ona, ani tamci nie zdjęli zasłon ani nie

przemówili słowa; jedynie niewiasta, usiadłszy na stołku, westchnęła głęboko i opuściła ramiona, jak osoba słaba i omdlewająca. Pachołkowie odprowadzili konie do stajni.

Na ten widok proboszcz zapragnął dowiedzieć się, kto zacz byli ci ludzie w takim stroju i tak milczący, podszedł do pachołków, by u jednego z nich zasięgnąć języka. Ten odpowiedział:

- Zaiste, panie, nie umiałbym wam rzec, co to za ludzie, wiem tylko, że musiło być ktoś znaczny, a osobliwie ów, co w ramionach swych uniósł panią, którą widzieliście; a to dlatego mówię, że wszyscy inni odnoszą się doń z szacunkiem i stosują się jedynie do jego rozkazów i zleceń. – A ta pani kim jest? - zapytał proboszcz.
- Niewiele umiem wam powiedzieć - odparł pachołek - bowiem w ciągu całej drogi nie widziałem jej twarzy; słyszałem, że często wzdychała i wydawała jęk, jakby przy każdym duszę wyzionać chciała. Nie należy się cudować, że nic więcej nie wiemy, niż powiedziałem, bowiem tak ja, jak i mój towarzysz zaledwie od dwóch dni idziemy z nimi, spotkali nas oto na drodze, uprosili i namówili nas, abyśmy z nimi do

Don Kichote - Miguel Cervantez

Andaluzji się udali, obiecując dobrą zapłatę. - A nie słyszeliście, jak którego zwą? - zapytał proboszcz.

- Zaiste nie - odparł pachołek - wszyscy bowiem jadą w takim milczeniu, żecud! Nic innego od nich sienie słyszy, jak tylko westchnienia i szlochy biednej pani, które do głębi nas przejmują. Zdaje nam się bezsprzecznie, że jedzie ona po niewoli tam, gdzie ją wiodą, zaś o ile z ubioru wnosić można, jest to mniszka albo co pew- niejsze postulantka, może zaś jest tak smutna, bo nie ma powołania do klasztoru, jak się zdaje. - Wszystko to być może - rzekł proboszcz.

I zostawiwszy ich, powrócił do Doroty, która słuchając westchnień zamaskowanej, wiedziona naturalnym współczuciem, podeszła do niej, mówiąc: - Co wam, pani moja, dolega? Może to jakieś cierpienie, na którym białogłów znać się zwykły i umiejaje leczyć; z całej mej dobrej woli usłużę wam, pani. Nic nie odpowiedziała na to smętna pani i choć Dorota ponowiła zapewnienie o swej wielkiej gotowości, tamta trwała w milczeniu, aż zbliżył się szlachcic w zasłonie (ten, którego wedle słów pachołka wszyscy słuchali) i rzekł do Doroty: - Nie trudźcie się, pani, ofiarując cośkolwiek owej niewieście, zwyczajem jej jest bowiem płacić niewdzięcznością za to, co się dla niej czyni, nie usiłujcie też

uzyskać od niej odpowiedzi, jeśli nie chcecie usłyszeć jakowegoś kłamstwa z jej ust.

- Nie kłamię nigdy! - rzekła żywo ta, która dotąd milczała - właśnie dlatego, że byłam zbyt szczerza i nie używałam kłamiwych wykrętów, w takiej dziś niedoli

256 się znajduję; chcę, abyście sami temu świadectwo dali, bowiem moja prawdomówność was czyni oszustem i kłamcą.

Słowa te dokładnie i wyraźnie słyszał Kardenio, stał bowiem tak blisko mówiącej, że jeno ich rozdzielały drzwi od izdebki Don Kichota. Usłyszawszy zaś to, wielkim głosem zawałał:

- Boże, zataruw! Co ja słyszę? Jakiż to głos uszu moich doszedł?

Na ten okrzyk owa pani odwróciła głowę całą wzburzona, a nie widząc, kto by go wydał, zerwała się na równe nogi, chcąc wejść do izdebki, co widząc, ów szlachcic zatrzymał ją, nie pozwalając uczynić ni kroku.

Podczas tego zamieszania i szarpaniny spadła tafta okrywająca jej twarz i odkryła gładkość nieporównaną, lica cudne, choć

blade i smutne; oczyma wodziła dokoła, jakby przeszukując wszystkie strony tak usilnie, iż robiła wrażenie osoby pozbawionej rozumu. Te oznaki, choć przyczyna ich była niewiadoma, wzbudziły wielkie współczucie w Dorocie i u wszystkich patrzących na nią. Szlachcic trzymał ją mocno za ramiona i tak był tym pochłonię-

ty, że nie zdołał poprawić zasłony, która się odchyłała, a w końcu zupełnie odpadła. Dorota, która również objęła panią, podniosła oczy i spostrzegła, że tym, który tamtą

wstrzymuje, jest mąż jej, Don Fernando. Ledwie go poznała, gdy wyrzuciwszy z najgębszych trzewi przeciągły i przejmujący jęk: „Ach!”, osunęła się na wznak zemdlona; na szczęście stał blisko cyrulik, który ją w ramiona pochwycił, inaczej byłaby na ziemię upadła. Nadbiegł zaraz proboszcz, by zdjąć jej zaslonę z twarzy i wodą lica spryskać; kiedy twarz odkrył, Don Fernando - on to był bowiem, który tamtą niewiastę uściskiem wstrzymywał - poznał ją i stanął śmiertelnie rażony. Mimo

to jednak nie puścił Lucyndy - ona to bowiem była - która usiłowała wydrzeć mu się z ramion, poznała bowiem Kardenia po okrzyku i on ją również poznał. Usłyszał był bowiem owe: „Ach!”, rzucone przez Dorotę, gdy padała zemdlona, i myśląc, że to jego Lucynda, wyskoczył zza drzwi przerzążony, a pierwszym, którego zobaczył, był Don Fernando trzymający w uścisku Lucyndę. Don Fernando również go poznał natychmiast i wszyscy troje, Lucynda, Kardenio i Dorota, stali oniemiali i osłupiali, nie wiedząc zaiste, co się z nimi dzieje.

Milczeli tak i patrzyli na siebie wzajemnie. Dorota na Don Fernanda, Don Fernando na Kardenię, Kardenio na Lucyndę, a Lucynda na niego. Pierwsza przerwała milczenie Lucyndy, tak odzywając się do Don Fernanda:

- Puście mnie, panie Don Fernandzie, choćby przez wzgląd na to, kim jesteście, jeśli nie dla innych względów, puśćcie mnie, abym przylgnęła do tego muru, któremu bluszczem jestem i oderwać od niego nie zdołały mię ani wasze natarczywości, ani wasze groźby, ani wasze obietnice, ani wasze dary. Zważcie, jak niezwykłymi i dla nas niepojętymi drogami przywiódło mię niebo do mego prawdziwego męża; dobrze wiecie, dzięki tysiącznym ciężkim doświadczeniom, że jedynie śmierć zdołałaby go z mojej pamięci wymazać. Niechaj tak jawne rozczarowania zmienią waszą miłość we wściekłość (jeśli was na co innego nie stać), skłonność we wzgar-

dę, a z nią zabierzcie mi życie; gdyż jeśli oddam je wobec mego prawego małżonka, uważać je będę za dopełnione: może śmierć moja dowiedzie mu mej wierności, którą mu dochowałam do ostatniego tchnienia życia.

257

Dorota tymczasem przyszła do siebie i wysłuchała wszystkich słów Lucyndy, dzięki którym dowiedziała się, kim ona była; widząc zaś, że Don Fernando nie wypuszcza jej z ramion ani na słowa jej nie odpowiada, z najwyższym wysiłkiem dźwignęła się, upadła przed nim na kolana i zalewając się potokami cudnych i bolesciwych łez, tak zaczęła mówić:

- Gdyby ci, panie mój, promienie tego słońca, jakie w ramionach swych w zaćmieniu trzymasz, nie odebrały i nie mąciły oczu, poznalibyś, że oto ta, która u stóp twoich klęczy, jest Dorotą smętną i jak długo ty zechcesz, nieszczęśliwą. Jam jest ową skromną wieśniaczką, którą ty dobrocią i miłością twoją chciałeś podnieść do godności, aby się mogła twoją nazwać, jam jest, która zamknięta w granicach przystojności żyłam życiem szczęśliwym, póki na głos twych natarczywości i -jak się zdawało - prawych i tkliwych uczuć, nie otwarłam drzwi mej dziewczęcej komnaty i nie oddałam ci kluczy mej wolności. Dary te przez ciebie źle przyjęte, jak o tym świadczy jasno, że oto zmuszona byłam znaleźć się w miejscu, gdzie mię zastajesz, i ujrzeć się w stanie, w jakim mię oglądasz. Ale mimo to nie chciałabym,

abyś mniemał, że przywiodła mię tu moja niesława. Jedynie boleść i żal, żeś o mnie zapomniał, wiodły moje kroki. Chciałeś, abym była twoją, a pożądałeś tego tak sil- nie, że choć dziś już tego nie pragniesz, nie możesz przestać być moim. Zważ, pa- nie mój, że niezrównana miłość, jaką dla ciebie żywię, może stać za piękność i szla- chectwo tej, dla której mię porzuciłeś. Nie możesz należeć do pięknej Lucyndy, moim

bowiem byłeś, ani ona nie może być twoją, bo do Kardena należy. Rozważ, że łatwiej ci przyjdzie skłonić wolę twoją do miłowania tej, która cię uwielbia, aniżeli przywieść do pokochania ciebie tę, która cię nienawidzi. Skorzystałś z mej nieopatrznosci, ugiąłeś prośbami moją nieprzystępność. Znane ci było moje pochodzenie. Wiesz dobrze, pod jakim warunkiem poddałam się woli twojej; nie

miejsce tu ani sposobność, abyś tłumaczył wykrętnie, że cię oszukano. Więc jeśli tak jest, jak

jest, a ty jesteś zarówno chrześcijaninem, jak szlachcicem, czemu tak kluczysz i zwlekasz, nie chcąc uczynić mię na koniec tak szczęśliwą, jak mnie na początku uczyniłeś? Jeżeli zaś nie zechcesz uznać mię za tą, którą jestem, za twoją prawdziwą i prawowitą żonę, weź mię przynajmniej za niewolnicę twoją, bylebym do ciebie należała, a będę czuć się szczęśliwą i przez los obdarzoną. Nie dopuść, porzuca-

jąc mię i opuszczając, aby wstały i w ślad za mną biegły plotki mej czci uwłaczającej, nie gotuj tak nieszczęśliwej starości rodzicom moim, którzy nie zasłużyli na to, bowiem jako poddani zawsze wiernie twoim służyli. A jeżeli zdaje ci się, że skazisz krew twoją, mieszając ją z moją, zważ, że nie masz prawie na świecie szlachectwa, które by takimi drogami nie chadzało, i że w słynnych w świecie rodowodach nie zważy się na szlachectwo niewiast, tym bardziej że prawdziwe szlachectwo polega na cnocie, a jeśli tobie jej zbraknie, kiedy mi odmówisz tego, co mi się słusznie należy, ja będę miała większe niż ty do szlachectwa prawa. Na koniec, panie, ostatnie ci powiem słowo: czy chcesz, czy nie chcesz, jestem twoją żoną. Świadectwem mi są twe słowa, które nie powinny kłamać, jeśli chłubisz się tym, czego mnie odmawiasz, świadectwem jest mi twój podpis i niebo wezwane przez ciebie na świadka tych obietnic. A gdyby i to zawiodło, twoje sumienie nie zawiedzie, milczeniem będzie

258 ono wołało pośród twoego wesela w obronie tej prawdy, którą głoszę, mącząc twe największe rozkosze i szczęśliwości.

Te i tym podobne słowa mówiła żałosna Dorota i z takim uczuciem i łzami, że nawet towarzysze Don Fernanda, tam obecni, jej zatwierdzali. Wysłuchał jej Don Fernando, nie odpowiadając ni słowa, dopóki nie skończyła i nie zaczęła znów tak szlochać i wzduchać, że musiałby serce mieć z brązu, kto by na widok takiej bolesci się nie wzruszył. Lucynda wpatrywała się w nią, wzruszona jej smutkiem, a nie mniej przejęta podziwem dla jej rozumu i piękności; ale choć chciała się do niej zbliżyć,

aby jej rzec kilka słów pociechy, nie puściły jej ramiona Don Fernanda, który ją trzymał w uścisku. On zaś, zmieszany i osłupiały, długo i ze skupieniem wpatrywał się w Dorotę, aż wreszcie otworzył ramiona i zwracając wolność Lucyndzie, rzekł: -

Zwyciężyłaś, piękna Doroto, zwyciężyłaś! Niepodobna bowiem zdobyć się na odwagę, aby zaprzeczyć tylu prawdom złączonym.

Lucyndę, kiedy ją Don Fernando puścił, ogarnęła nagła omdlałość i byłaby upadła na ziemię; lecz znalazła się w pobliżu Kardenio, który stał za plecyma Don Fernanda, by go ten nie poznał, a teraz pozbywszy lęku i na wszystko się ważąc, podbiegł podtrzymać Lucyndę i otaczając ją ramionami, rzekł:

- Jeżeli litościwe niebo pozwala i chce, abyś nareszcie zaznała nieco wytchnienia, o wierna, wytrwała i piękna pani moja, sądzę, iż nigdzie nie będzie ono pełniesz aniżeli w tych ramionach, które cię teraz przyjmują, jak cię obejmowały dawniej, kiedy los zezwalał, abym cię moją nazywał.

Na te słowa Lucynda zwróciła oczy na Kardenia i jak przedtem poznała go po głosie, tak teraz, upewniwszy się wzrokiem, że to on istotnie, od zmysłów odchodząc i nie zwracając uwagi na żadne względy przystojności, zarzuciła mu ramiona na szyję i tuląc swą twarz do twarzy Kardenia, rzekła:

- Wy to, panie mój, jesteście prawdziwym opiekunem tej oto niewolnicy waszej, wbrew przeszkodom przeciwnego losu i wszystkiemu, co zagrażało temu życiu, które na waszym się opiera.

Niezwykajny był to widok zarówno dla Don Fernanda, jak dla wszystkich obecnych, dziwujących się tak niebywałeemu zdarzeniu. Zdawało się Dorocie, że Don Fernando zbladł na twarzy i jakby gotował się do zemsty nad Kardeniem, spostrzegła bowiem, że dlonią sięgnąć zamierzał do rękojeści szpady; więc z niewidzianą chyzością, ledwie to pomyślała, objęła go za kolana, całując je i trzymając mocno w uścisku, tak że ruszyć się nie mógł, i nie przestając ani chwili wylewać łez, rzekła:

- Co zamyślasz czynić, jedyna ucieczko moja, w tym nieoczekiwany spotkaniu? Oto u stóp twoich żona twoja, zaś ta, którą chciałeś małżonką swą uczynić, w ramionach męża swego. Zważ, czy godzi się i czy możliwe jest rozrywać, co niebo związało, czyliż nie lepiej i czy nie przystoi ci raczej podnieść do stanu twego

tej, która silna swą prawdą i wiernością staje przed tobą oko w oko, oblewając miłosnym płaczem twarz i pierś swego prawowitego małżonka. Na Boga cię zaklinam oraz na twe własne nazwisko, niech tak jawny zawód nie tylko gniewu twego nie wzmagę, ale raczej niech go uśmierzy, abyś spokojnie i z dobrej woli pozwolił tym

kochankom żyć bez przeskody z twej strony tak długo, jak im niebo zdarzy, a przez 259 to okażesz wspaniałomyślność twoego słynnego i szlachetnego serca, zaś świat przekona się, że rządzi tobą rozum, a nie żądza.

Kiedy Dorota to mówiła, Kardenio, tuląc Lucyndę, nie spuszczał oczu z Don Fernanda, gotów, jeśliby z jego strony dojrzał jakikolwiek gest przeciw sobie, usiłować się bronić i stawić czoło, jak zdoła najlepiej, wszystkim, którzy by mu zagrażali, choćby miał to życiem przypłacić. Ale w tej chwili podbiegli druhowie Don Fernanda oraz proboszcz i cyrulik, którzy byli świadkami całego zajścia, nie wyłączając i poczciwego Sanczo Pansy. Wszyscy otoczyli Don Fernanda, błagając go, aby zlitował się nad łzami Doroty i żeby, jeśli słowa jej są prawdziwe - jak oni bez wątpienia są przekonani - nie dozwolił, aby została zawiedziona w najsłuszniejszych nadziejęach. Niech zważy, że nie przypadek, jakby się zdawało, ale szczególn-

na opatrznosć niebios sprawiła, iż spotkali się wszyscy w miejscu najmniej przewidywanym, i niech zastanowi się - mówił proboszcz - że jedynie śmierć rozdzielić zdoła Kardenia i Lucyndę, a choćby ich rozzielono ostrzem szpady, uważałyby śmierć za największe szczęście. W sprawach nieodwoalnych najwyższym męstwem jest pohamować się i zwyciężywszy samego siebie, okazać wspaniałomyślne serce i pozwolić, aby z dobrą wolą jego owych dwoje radowało się szczęściem, jakiego im niebo udziela. Niech on sam oczy zwróci na piękność Doroty, a zobaczy, że nie wiele, a może żadna równać się z nią nie może, a tym mniej ją przewyższyć. Zaś z gładkością jej łączy się skromność oraz najwyższa miłość, jaką ku niemu żywi. Nade wszystko niech rozważy, że jeśli chlubi się godnością szlachcica i chrześcijanina, nie może postąpić inaczej, jeno słowa danego dotrzymać mu trza. Dopełniając zaś tego, spełni obowiązek wobec Boga i zadowoli ludzi

rozumnych, którzy wiedzą i uznają, że przywilejem piękności, choćby z niskiego stanu pochodziła, jeżeli

cnota idzie z nią w parze, jest wznieść się i stać się
równą każdej wysokości, nie poniżając tego, który
ją podniósł i sobie równą uczynił; zaś kiedy
dopełniają się możliwe prawa miłości, a grzech im nie
stoi na drodze, nie ponosi winy, kto się im poddaje.

Wreszcie do wywodów tych wszyscy inni dodali swoje, a było ich tyle i takich, że
dzielne serce Don Fernanda (jakby je wreszcie sława krew ożywiła) zmięękło

i dał się zwyciężyć prawdzie, której zaprzeczyć nie mógłby, choćby i chciał. Na znak zaś, że się poddaje i ustępuje dobrej radzie, jaką mu dali, pochylił się i obejmując Dorotę, rzekł do niej:

- Powstańcie, pani moja, nie godzi się, aby u nóg mych klęczała ta, co w duszy mojej mieszka; a jeśli dotąd nie dałem dowodów na to, co mówię, może stało się to za zrządzeniem nieba, abym ujrzał wierność miłowania waszego, nauczył się cenić was, jak na to zasługujecie. O jedno was proszę, nie wyrzucajcie mi mego niegodnego postępowania ani mego zaniedbania; ta sama bowiem siła, która mię zniewoliła, abym was sobie zdobył, ta sama popchnęła mnie do tego, że się wam sprzeniewierzyłem. A że to prawda, obróćcie oczy i popatrzccie w lice szczęśliwej teraz Lucyndy, w nich znajdzicie usprawiedliwienie wszystkich moich błędów; a jako ona znalazła i uzyskała to, do czego dążyła, zaś ja w was znalazłem radość moją, niech żyje bezpieczna i zadowolona w długie a szczęśliwe lata ze swym Kardeniem, ja zaś proszę nieba, aby mi pozwoliło żyć z moją Dorotą.

260 To rzekłszy, powtórnie ją uściaskał i przytulił twarz swą do jej twarzy tak czule, że musiał siłą się powstrzymać, aby łzy nie dały jawnego dowodu jego miłości i skruchy. Nie powstrzymali ich też Lucynda i Kardenio ani inni przytomni, i wszy-

scy rzęsiste łzy lali, jedni z własnego szczęścia, drudzy z radości bliźnich i zdawać się mogło, że chyba jakieś ciężkie nieszczęście ich spotkało społem. Nawet Sanczo

Pansa płakał, choć potem prawił, że płakał z żalu, iż Dorota nie była, jak mniemał, królową Micomiconu, od której tak wielkich łask się spodziewał. Przez dłuższy czas

trwał ten płacz powszechny i to ogólne zdziwienie, po czym Kardenio i Lucynda padli na kolana przed Don Fernandem, dziękując za wyświadczoną im łaskę tak dwornymi słowy, że Don Fernando nie wiedział, co ma odpowiedzieć, więc podniósłszy ich, uściaskał z wielkim serdecznym wyłaniem i dwornością. Wypytywał potem Dorotę, w jaki sposób znalazła się w miejscu tak odległym od swoich stron. W krótkich i zwięzłych słowach opowiedziała wszystko, co mówiła poprzednio Kardeniowi; Don

Fernando i wszyscy jego towarzysze słuchali z wielką przyjemnością i chcieliby byli, aby opowieść ta dłużej trwała, z takim wdziękiem opowiadała Dorota o swoich niedolach; kiedy zaś skończyła, Don Fernando opowiedział, co spotkało go w mieście od czasu, kiedy znalazł list na łonie Lucyn- dy, w którym oświadczała, że jest żoną Kardenia i nie może być jego. Przyznał, że chciał ją zabić i byłby to uczynił, gdyby mu jej rodzice nie przeszkodzili; wypadł więc z jej domu obrażony i wściekły, z postanowieniem zemszczenia się przy okazji; na drugi dzień dowiedział się, że Lucynda zniknęła z domu swych rodziców, a nikt nie umiał rzec, dokąd się udała, aż wreszcie po kilku miesiącach dociekł, że przebywa w pewnym klasztorze z zamiarem pozostania tam na całe życie, o ile by nie mogła pędzić go z Kardeniem. Na wieść o tym przybrał sobie do towarzystwa owych trzech szlachciców, udał się do miejscowości, gdzie przebywała, nie szukał jednak z nią rozmowy z obawy, aby nie zbudzić czujności klasztoru. I tak doczekawszy się pewnego dnia, że furtę otwarto, zostawił onych dwóch na czatach przy bramie, sam z trzecim wpadł do klasztoru, szukając wszędzie Lucyndy, którą zastał w wirydarzu rozmawiającą z jakąś mniszką. Zanim zdołała się spostrzec, porwali ją i udali się z nią do pewnej miejscowości, gdzie zaopatrzyli się we wszystko, co potrzebne było do jej przebrania. Wszystko poszło gładko, klasztor bowiem leżał w szczerym polu, daleko od osiedli. Opowiedział, jak Lucynda, widząc się w jego mocy, straciła przytomność, odkąd zaś przyszła do siebie, nic tylko płakała i wzdychała, nie mówiąc ani słowa; i tak w milczeniu i we lżach dojechali do tego zajazdu, a oto, zdaje mu się, jakoby do nieba przybył, gdzie kończą się i nikną wszelkie ziemskie niedole.

261

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

zawiera dalszy ciąg historii słynnej infantki Micomicony oraz inne zabawne przygody Wszystkiego tego słuchał Sanczo z niemałą bolescią w duszy, widząc, jak zanikają i rozwiewają się w dym nadzieję na wielkie godności i że wdzięczna księżniczka Micomicona obróciła się w Dorotę, olbrzym zaś w Don Fernanda, a pan jego podczas tego spał w najlepsze, nie troszcząc się o to, co zaszło. Dorota jeszcze nie była pewna, czy szczęście jej nie było snem; Kardenio myślał tak samo, a Lucynda w podobnym była stanie. Don Fernando dziękował niebu za łaskę, jaką go spotkała, i za wyprowadzenie z zawiłego labiryntu, gdzie był bliski utraty czci i zbawie-

Don Kichote - Miguel Cervantez

nia. W końcu wszyscy obecni w zajeździe zadowoleni byli i uradowani, że trudne i beznadziejne sprawy taki obrót wzięły. Wszystko to podkreślił proboszcz jako człowiek mądry i winszował każdemu zdarzonego szczęścia; ale najbardziej rada i zadowolona była gospodynia dzięki obietnicy Kardenia i proboszcza, że zapłacą jej z nawiązką za wszystkie szkody, jakich z powodu Don Kichota doznała. Jeden Sanczo -jak rzekliśmy - był zmartwiony, nieszczęśliwy i smutny; z markotną miną poszedł do swego pana, który właśnie się obudził i rzekł doń:

- Możecie, jegomość, Panie Smutnego Oblicza, spać, ile tylko chcecie, nie troszcząc się o zabijanie żadnego olbrzyma ani o wprowadzanie księżniczki do jej królestwa, już po wszystkim... i rzecz skończona.

- Łatwo w to wierzę - odparł Don Kichote - zakończyłem bowiem z olbrzymem najsroższą i najpotworniejszą walkę, jaka może mi się w życiu zdarzyć. Jednym ciosem - ciach! - odwaliłem łeb na ziemię, a krwi trysnęło tyle, że potoki jej płynęły po podłodze jakby strumienie wody. - Moglibyście lepiej, jegomość, rzec, jakby czerwone wino - odparł Sanczo chcę, abyście, jegomość, wiedzieli, jeżeli dotąd nie wiecie, że zabity wielkolud był

rozprutym bukłakiem, zaś krew to sześć garncy czerwonego wina, które miał w brzuchu, głowa święta... to była... ta psia moja mać! A niech to wszystko diabeł porwie.

- Co ty pleciesz, wariacie - zapytał Don Kichote - czy straciłeś rozum? - Wstańcie, jegomość - rzekł Sanczo - a zobaczycie piękne dzieło, jakiegoście dokonali, a za które przyjdzie nam teraz płacić. Zobaczycie królową w zwykłą damę przedziergniętą, zwie się Dorota... i wiele innych rzeczy, których widok wprawi was w zdumienie.

- Nic by mię to nie dziwiło - odparł Don Kichote - bo jak sobie przypominasz, ostatnim razem, kiedyśmy tu bawili, powiedziałem ci, iż wszystko, co się tu dzieje, jest sprawą czarów, więc nic nadzwyczajnego, że i teraz jest tak samo. - We wszystko to uwierzyłbym - odparł Sanczo - gdyby i podrzucanie na derce było z tego rodzaju, ale niestety, było ono rzeczywiste i prawdziwe, widziałem, jak karczmarz, ten sam, co tu jest dzisiaj, trzymał róg derki i podrzucał mię aż do nieba

262

z nadzwyczajną zręcznością i zapałem, z równie wielkim śmiechem jak siłą. I sądzę, choć ze mnie prostak i grzesznik, że tam gdzie można rozpoznać ludzi, nie ma żadnych czarów, tylko wielka udręka i bardzo zła przygoda.

- Już dobrze, dobrze, Bóg temu zaradzi - rzekł Don Kichote - lecz pozwól misiąć odziać i wyjść stąd, chcę zobaczyć te wszystkie zdarzenia i przemiany, o których opowiadasz.

Sanczo podał mu szaty, a podczas kiedy ten się przyodziewał, proboszcz opowiedział Don Fernandowi i towarzystwu o obłędzie Don Kichota oraz o podstępie, jakiego użyli, aby go wyprowadzić z Ubogiej Skały, gdzie w swoim mniemaniu przebywał z powodu wzgardy swej pani. Opowiedział równocześnie prawie wszystkie przygody, o których wiedział od Sancza. Niemało się zdumiewali i naśmiali, gdyż zdawało im się tak jak i wszystkim, że było to najdziwniejsze szaleństwo, jakie kiedykolwiek zrodzić się mogło w pomyłonej głowie. Proboszcz mówił dalej, że jako szczęśliwy obrót spraw pani Doroty nie pozwala dokończyć dzieła, trzeba będzie coś innego wymyślić i wyszukać, aby go do jego włości doprowadzić. Kardenio ofiarował się dalej prowadzić dzieło, Lucynda zaś miała Dorotę w jej roli zastąpić.

- Nie - rzekł Don Fernando - nie tak będzie. Chcę, aby Dorota swój pomysł do końca przywiódła, a jeśli wioska tego rycerza nie jest zbyt odległa, rad będę przyczynić się do jego uzdrowienia. - Nie więcej niż o dwa dni drogi stąd.

- Choćby i dalej było, chętnie bym je przebył, aby tak zacnego dzieła dokonać. Na to wszedł Don Kichote w pełnym swym rynsztunku, z hełmem Mambryna, choć pogiętym, na głowie, z tarczą na ramieniu, wspierając się na konarze, który mu za kopię służył. Dziwaczny wygląd Don

Kichota zdumiał Don Fernanda i towarzyszy; ujrzałszy tę twarz długą na pół mili, suchą i pożółkłą, osobliwy wygląd broni i jego dumną postawę, czekali w milczeniu na to, co powie. On zaś z wielką powagą i dostojością, zwróciwszy oczy ku pięknej Dorocie, rzekł: - Dowiedziałem się, piękna pani, od mego giermka, że wasza wysokość unicestwiła się, a wasza istota odmieniła się, bowiem z królowej i wielkiej pani, jaką byliście, zamieniliście się w zwyczajną panienkę. Jeśli się to stało na rozkaz króla- -czarodzieja, waszego rodzica, który obawiał się, że nie potrafię wam użyczyć po-

trzebnej i należytej pomocy, powiem wam, że nie umiał i nie umie nawet połowy mszy i że nie był biegły w rycerskich sprawach. Jeśli bowiem rozczytywał się w nich i rozważał je z taką uwagą, jak ja to czynię, na każdym kroku znalazłby, jak to inni rycerze, o mniejszej sławie niż moja, dokonywali czynów trudniejszych,

nie jest bowiem to tak wiele zabić jakiegoś tam olbrzymka, choćby nie wiem jak bezczelnego, a nie upłynęło nawet kilka godzin od czasu, jak się z nim zmierzyłem, i... zamilczę raczej, aby mi kłamu nie zadano; czas jednak, który wszystko wykrywa, wyjawi to, gdy się tego najmniej spodziejemy.

- Zmierzyliście się z dwoma bukłakami, a nie z żadnym stolem - wtrącił gospodarz. Lecz Don Fernando nakazał mu milczeć i nie przerywać nijak przemowy Don Kichota, zaś ten ciągnął dalej:

263 - Na koniec powiem, wysoka i pozbawiona dziedzictwa pani, że jeśli to dlaowej przyczyny, jak rzekłem, rodzić wasz dokonał tej przemiany waszej osoby, żadnej mu wiary nie dajcie; nie masz bowiem takiego niebezpieczeństwa na ziemi, przez które by miecz mój nie otworzył sobie drogi.

I jak mieczem tym na ziemię straciłem łeb waszego wroga, tak wam włożę na głowę w najbliższych dniach koronę waszą.

Nic więcej nie rzekł Don Kichote i czekał na odpowiedź księżniczki. Ta, świadoma postanowienia Don Fernanda, aby dalej prowadzić ten podstęp, póki Don Kichota do właści jego nie odstawią, z wielkim wdziękiem i powagą odrzekła: - Ktokolwiek powiedział wam, dzielny Rycerzu Smętnego Oblicza, że zostałam odmieniona i inny stan wzięłam na sieć, nie powiedział wam prawdy. Dziś bowiem jestem tą samą, którą byłam wczoraj. Prawda, że pewną odmianę sprawiły we mnie niektóre szczęśliwe zdarzenia, które dały mi największe szczęście, jakie spotkać mię mogło, ale przez to nie przestałam być tą co przedtem i nie porzuciłam

zamiaru, jaki zawsze żywiałam, odwołania się do waszego dzielnego i niezwyciężonego ramienia. A więc, panie mój, niech wasza miłość zwróci cześć ojcu, który mię spłodził, i raczy uważać go za męża mądrego i roztropnego, dzięki bowiem swej wiedzy znał tak łatwy i niezawodny środek, by mym nieszczęściom kres położyć, wierzę bowiem, że bez was, panie, nie spotkałoby mię nigdy szczęście, jakie osiągnęłam; a mówię rzetelną prawdę, poświadczyc to mogą liczni z obecnych tu panów. Przeto trza nam jutro rano wyruszyć w drogę, dziś bowiem nie ujechalibyśmy daleko, pomyślny zaś wynik, którego się spodziewam, zostawiam Bogu i dzielności waszego serca.

Tak mówiła roztropna Dorota, a Don Kichote, wysłuchawszy jej, zwrócił się do Sancza i z oznakami wielkiego oburzenia rzekł:

- Teraz ci powiem, Sanczysko, że jesteś największym szelmą z całej Hiszpanii. Powiedz mi, łotrze, ladaco, czyś nie rzekł mi przed chwilą, że ta księżniczka

zmieniła się w zwykłą pannę, zwaną Dorota, i że łeb, który, jak jestem tego pewny, ściąłem olbrzymowi, jest psią twoją macią... i tym podobne brednie, które mię wprawiły w najgorsze pomieszanie, jakiego doznałem przez wszystkie dni żywota? Przysięgam - tu spojrzał w niebo i zazgrzytał zębami - sprawić ci taką łaźnię, która by nasypała soli w łby wszystkich kłamliwych giermków, jacy istnieć będą na świecie kiedykolwiek w służbie u błędnych rycerzy.

- Uspokójcie się, jegomość, panie mój - odparł Sanczo - być może, żem się pomylił co do odmienienia księżniczki Micomicony, ale co się tyczy głowy olbrzyma, a raczej rozprucia bukłaków i tego, że owa krew to czerwone wino, nie pomyliłem się, na Boga! Bo oto dziurawe bukłaki leżą tam u wezgłowia jegomości, a wino

czerwone rozlane jest w jezioro po izbie; a czy tak nie jest, zobaczycie, kiedy trzeba będzie jaja smażyć, chcę rzec, kiedy wielmożny pan gospodarz zażąda zapłaty za wszystko. Co do reszty, cieszę się z całej duszy, że pani królowa jest, jak była, bo przecie chodzi mi o moją sprawę, jak każdemu innemu.

- Teraz ci powiem, Sanczo - rzekł Don Kichote - że jesteś pomylony, mentecaptus¹, z przeproszeniem, i dość tego. Słaby na umyśle (łac).

264

- Dość tego - rzekł Don Fernando - nie mówmy o tym więcej, a ponieważpani księżniczka chce jechać dopiero jutro, bo dziś już za późno, tak i będzie, zaś tę noc możemy spędzić na miłych rozmowach aż do rana, a potem towarzyszyć będziemy panu Don Kichotowi, chcemy bowiem być świadkami dzielnych i niesłychanych przewag, których dokona w toku tej wielkiej potrzeby, jaką wziął na barki.

- Mnie wam przystoi służyć i towarzyszyć - odpowiedział Don Kichote wdzięczny wam jestem ogromnie za łaskę, jaką mi świadczyście, i za dobre o mnie mniemanie, postaram się go nie zawieść, choćbym miał życiem nałożyć i więcej jeszcze, o ile to być może.

Tak Don Kichote i Don Fernando jeśli się przesadzać w licznych dwornościach i oświadczeniach; ale nagle zamilkli na widok podróżnego, który właśnie wszedł do zajazdu. Po odzieniu poznali, że to chrześcijanin niedawno z ziemi Maurów przybyły, miał bowiem na sobie kabat z niebieskiego sukna o krótkich połach, z półrękawami i bez kołnierza; spodnie były podobnie z niebieskiego płótna, czapkę miał

tej samej barwy, na nogach miał brunatne chodaki, krzywa szabla mauretańska wisiała na pendencie1, który przepaszywał pierś. W ślad za nim wjechała na oście nie-wiasta odziana po mauretańsku, z zasłoniętą twarzą, w zawoju na głowie, pod nim miała czapeczkę z brokatu, a długa almalafa okrywała ją od ramion do stóp. Mężczyzna był silnej i wdzięcznej budowy, w wieku trochę ponad czterdziestkę, twarz miał śniadą, długie wąsy i starannie utrzymaną brodę. Wszystko to razem wzięte wykazywało, że gdyby odziany był lepiej, można by go wziąć za osobę znaczną i dobrze urodzoną. Wszedłszy, zażądał osobnej izby, a kiedy mu powiedziano, że w zajeździe takiej nie znajdzie, okazał niezadowolenie i zbliżywszy się do Mauretanki, jak zdawało się z ubioru, objął ją i zdjął z siodła.

Lucynda, Dorota, gospodyn, jej córka i Maritornes, przyciągnięte nowością nigdy niewidzianego stroju, otoczyły Mauretankę, a Dorota, jak zawsze miła, grzeczna i roztropna, widząc, że zarówno tamta, jak i jej towarzysz zmartwili się brakiem izby, rzekła:

- Nie kłopoczcie się, pani, niewygodami i niedostatkami, jakie tu znajdziecie, rzecz to zwyczajna w zajazdach; ale jeżelibyście zgodzili się na wspólny nocleg z nami (tu wskazała na Lucyndę), może jeszcze w toku waszej podróży nikt was milej nie przyjął.

Nic na to nie odpowiedziała niewiasta o zasłoniętej twarzy, jeno powstała z miejsca, gdzie siedziała, i skrzyżowawszy obie ręce na piersiach, pochyliła głowę, zgięła wpół całe ciało na znak podzięki. Z milczenia jej wniesiono, że musi być Mauretanką i chrześcijańskim językiem nie włada. Na to zbliżył się braniec, który innymi sprawami dotąd był zajęty, i widząc, że wszystkie kobiety otoczyły jego towarzyszkę, zaś ona na ich słowa nic nie odpowiada, rzekł:

- Moje panie, ta panienka mój język zaledwie rozumie, a żadnym innym próżnojczystego mówić nie umie, i dlatego nie odpowiedziała ani nie odpowie na wasze pytania.

- Nie pytałyśmy jej o nic - odpowiedziała Lucynda - ofiarowałyśmy tylko natę noc nasze towarzystwo i miejsce w izbie, gdzie się rozgościłyśmy, użyczymy jej pendant- pas do noszenia broni białej, zakładany przez ramię.

265 wygód, jakie będą możliwe, z chęci i z obowiązku usłużenia cudzoziemcom, o ile tego zajdzie potrzeba, a tym bardziej jeśli to kobieta.

- Za nią i za siebie - odparł braniec - całuję wam, pani, ręce i wielce sobiecenię łaskę ofiarowaną, która w takiej okoliczności i wyświadczona przez osobę tak godną, jak wasz wygląd zdradza, jest tym większa.

- Powiedziecie mi, panie - zapytała Dorota - czy ta dama jest chrześcijanką, czymuzułmanką? Szaty jej bowiem i milczenie pozwalają przypuszczać, że jest taką, jaką niechętnie byśmy widziały.
- Mauretanka jest z ubioru i z pochodzenia - odparł braniec - ale w duszy jest bardzo dobrą chrześcijanką, żywi bowiem usilne pragnienie stać się nią co rychlej.
- Jak to, więc jeszcze nieochrzczona? - zapytała Lucynda.
- Nie było ku temu sposobności - odparł braniec - odkąd opuściła Algierię, swoją ojczyznę i ziemię, aż po dziś dzień nie była nigdy w takim niebezpieczeństwie śmierci, aby trzeba ją było ochrzcić, nie zapoznawszy jej wpierw z wszystkimi obrzędami, jakich nasza matka, święty Kościół, wymaga; ale z pomocą Bożą rychło ochrzczona zostanie tak uroczyście, jak to przystoi jej stanowi, znacznie wyższemu, niżby strój jej i mój zdradzał.

Te słowa wzbudziły we wszystkich słuchaczach chęć dowiedzenia się, kim była owa Mauretanka oraz ów braniec; ale nikt nie chciał pytać tak od razu, uważając, że w tej chwili bardziej trzeba o odpoczynek dla nich zatroszczyć się niż nękać ich pytaniami o przeszłość. Dorota wzięła ją za rękę i posadziła przy sobie, prosząc,

aby zdjęła z twarzy zasłonę. Ona spojrzała na brańca, jakby pytając, co do niej mówią i co należy uczynić. On po arabsku rzekł jej, iż proszą o zdjęcie zasłony i że może to zrobić. Wówczas zdjęła ją i ukazała lica tak cudne, że Dorota znalazła ją pięk- niejszą od Lucyndy, a Lucynda piękniejszą od Doroty. Wszyscy zaś otaczający uznali, że jeśli jaka mogłaby się z tymi dwiema porównać, to jedynie owa Mauretanka, a nawet niektórzy uważali, że pod pewnymi względami je przewyższa. A jako przywilejem i darem piękności jest zwabiać umysły i przyciągać wolę - od razu wszyscy gotowi byli służyć pięknej Mauretance i pozyskać jej względy. Don Fernando zapytał brańca, jak zowie się Mauretanka, ten zaś odrzekł, że zwie się Lela Zoraida. Kiedy ona to usłyszała, pojęła, o co pytał

chrześcijanin, i natychmiast zaprzeczyła z niepokojem i wdziękiem:

- Nie, nie Zoraida, Maria, Maria! - dając do poznania, że zwie się Maria, a nie Zoraida.

Te słowa i wielkie uczucie, z jakim je wypowiedziała Mauretanka, wywołały niejedną łzę u niektórych słuchaczy, a szczególnie u niewiast, które z natury swojej są czułe i litościwe. Lucynda uściiskała ją serdecznie, mówiąc:

- Tak, tak, Maria, Maria! Na co odpowiedziała Mauretanka: - Tak, tak, Maria, Zoraida macange - co miało znaczyć: nie. Tymczasem zapadła noc, a na rozkaz towarzyszy Don Fernanda gospodarz dołożył starań i troski, aby przygotować możliwie najlepszą wieczerzę. Kiedy nadeszła godzina, wszyscy zasiedli do stołu długiego jak w refektarzu, nie było bo-

wiem w zajeździe ani okrągłego, ani kwadratowego. Na pierwszym miejscu posażili Don Kichota, choć się wzbraniał, on zaś życzył sobie, aby u jego boku zasiąść dla księżniczka Micomicona, jako że był jej opiekunem. Dalej usiadły Lucynda i Zoraida, naprzeciw nich Don Fernando i Kardenio, za nimi braniec i pozostała szlachta, zaś po stronie niewiast proboszcz i cyrulik. Wieczerzali ochotnie, uciecha

ich wzrosła, gdy spostrzegli, że Don Kichote zaprzestał jeść i ożywiony podobnym duchem jak wówczas, kiedy przemawiał, wieczerzając z koziarzami, zaczął tak mówić:

-Zaprawdę, mości panowie, rozważmy dobrze, jak wielkie i niesłychane sprawy oglądają, którzy zawód błędного rycerstwa obrali. Zważcie, kto z żyjących na świecie, wszedłszy teraz w bramy tego zamku i ujrzałszy nas tu siedzących, mógłby przypuścić i uwierzyć, że jesteśmy tymi, którymi jesteśmy. Kto powiedziałby, że ta pani u mego boku to wielka królowa, jak wszyscy wiemy, zaś ja jestem owym. Rycerzem Smętnego Oblicza, którego imię wargi Sławy głoszą po świecie? Czyż można teraz wątpić, że owa sztuka i zawód przenosi wszelkie inne, jakie ludzie wymyślili, i że na tym większy szacunek zasługuje, im większe jest niebezpieczeństwo, na które się naraża? Precz z tymi, którzy twierdzą, że pióro wyższe nad orążem, powiem im, kimkolwiek byliby, że nie wiedzą, co plotą. Bowiem racje, jakie ci ludzie podawać zwykli i na których się opierają, są, że trudy umysłu

przenoszą trudy cielesne; że broń ciałem tylko
włada, jakby to było rzemiosło tragarzy, do
którego

jeno krzepkość sił jest potrzebna, jakby w zawodzie rycerskim, jaki pełnimy, nie
zawierały się czyny strategiczne, które wymagają wiele rozumu, i jakby nie utrudził
się wojownik dowodzący wojskiem lub obroną oblężonego miasta zarówno umysłem,
jak ciałem. Baczcie, czy wystarczy zdatność cielesna, by poznać i przewidzieć
zamysły wroga, jego plany, zasadzki, trudności, zapobiec zagrażającemu
niebezpieczeństwemu; wszystkie te sprawy są czynnościami rozumu, w których ciało nie
bierze żadnego udziału. Atoli jeśli tak jest, że orąż wymaga współdziału umy-
słu tak jak pióro, zastanówmy się, która praca umysłowa jest cięsza - pisarza czy
wojownika; uświadomi się to nam, kiedy poznamy cel i metę, do której każdy zmierza;
ten zamysł jest większej czci godzien, którego cel jest szlachetniejszy. Cel
i przeznaczenie piśmiennictwa (nie mówiąc teraz o pismach boskich, których celem
jest dusze podnosić i ku niebu prowadzić, gdyż z takim nieskończonym celem nic
równać się nie może), mówię o piśmiennictwie ludzkim, które cel swój zakłada w tym,
aby sprawiedliwość świadczyć i aby każdemu oddać, co mu się należy, baczyć i
pilnować, aby sprawiedliwe prawo było zachowane. Cel zapewne szlachetny i
wzniosły, i wielkiej pochwały godzien, ale nie takiej, na jaką zasługuje zbrojne
rzemiosło, którego celem i przedmiotem jest pokój, najwyższe dobro, jakiego ludzie
w życiu tym pożądać mogą. Tak pierwszą dobrą nowinę zwiastowali światu i ludziom
aniołowie tej nocy, która naszym dniem się stała, śpiewając w powietrzu:

„Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli". Pozdrowienie,
jakiego najwyższy Pan nieba i ziemi nauczył uczniów swoich i wybranych, aby je
wygłaszał, wchodząc do domów, brzmiało: „Pokój temu domowi". A wielekróć
mawiał: „Pokój wam daję, pokój wam zostawuję, pokój niech będzie z wami". Oto
klejnot i dar, jaki nam owa dłoń udzieliła i zostawiła. Klejnot, bez którego ani na
ziemi, ani na niebie dobra nijakiego być nie może. Ten pokój jest prawdziwym ce-

267

lem wojny, zaś wojna jest to samo co orąż. Założyszy więc prawdę, że celem wojny
jest pokój i że jako taki przewyższa cel pióra, przejdźmy teraz do trudów cielesnych
pisarza oraz zawodowego wojownika i zobaczymy, które są większe. Tak strojnie i
w tak pięknych zdaniach prowadził Don Kichote swój wywód, że nikt ze słuchaczy
nie mógł go odtąd uważać za szalonego, a nawet -jako większość z nich była
szlachcicami, przeto rzemiosła wojennego zwyczajnymi - słuchali go bardzo chętnie,

Don Kichote - Miguel Cervantez

on zaś ciągnął dalej: - Powiem więc, że studiujący narażony jest na różne trudy: przede wszystkim na ubóstwo (nie dlatego, żeby wszyscy byli biedni, ale przyjmijmy ten skrajny wypadek, jaki zajść może); a skoro powiem, że biedę cierpi, nie trza mi już nic więcej

o jego złym losie prawić, bowiem kto jest biedny, nie ma dlań dobra. Niedostatek znosi pod rozmaitą postacią: raz jest to głód, raz zimno, raz nagość, a raz wszystko

naraz. Acz mimo to niedostatek ten nigdy nie jest tak wielki, aby nie miał co jeść, choćby nawet przyszło mu jeść znacznie po zwykłych porach posiłku, choćby pozywał niedojadki bogatych, bo największą nędzą studentów jest, jak to oni nazywają, „chodzić z garnuszkiem”. Nie brak im ognia u obcych albo miejsca przy kominie, które jeśli nie zagrzeję, to przynajmniej łagodzi ziąb, wreszcie nocą śpią pod dachem. Nie chcę zatrzymywać się nad innymi drobiazgami, jak brak koszul, przeszew do butów, jak niedostateczna i wytarta odzież, nie wspomnę o obżarstwie żar-

łocznym, kiedy dobry los zdarzy im jakąś uczęę.

Tą drogą, jaką odmalowałem, stro- mą i trudną, potykając się tu, upadając ówdzie, podnosząc się z jednego boku, aby

upaść na drugi, osiągając wreszcie stopień upragniony. Widzieliśmy niemało takich, którzy zdobywszy go i przebrnawszy przez owe mielizny, przez owe Scylle i Charybdy, jakby unoszeni skrzydłem przychylnego losu, zasiedli na tronie i widzieli-

śmy ich rozkazujących i rządzących światem; zmienili głód na sytość, zimno na miłą świełość, goliznę na szaty godowe, spanie na rogoły na spoczynek wśród holenderskich płócien i adamasków, nagroda to słuszna za ich wytrwałość. Ale kiedy się porówna i przeciwstawi ich znoje trudem wojownika, mocno ze wszystkim w tyle pozostaną, jak zaraz wykażę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

który przedstawia ciekawy wywód Don Kichota o orężu i piórze

Don Kichote ciągnął tak dalej:

- Skorośmy już zaczęli od nędzy studenta i jej różnej postaci, zobaczymy, czym żołnierz jest bogatszy. I ujrzymy, że nie masz nikogo nędzniejszego nadeń pośród tej biedoty. Jest bowiem zdany na szczupłość swego żołdu, który albo płacony jest późno, albo wcale nie, i na to, co własnymi rękoma zagrabi z jawnym narażeniem życia i sumienia. Niekiedy jego niedostatek jest taki, że pocięty

kaftan służy mu za 268

koszulę i za strój odświętny. Pośród zimy, w szczerym polu przed srogością powietrza chroni go jedynie oddech własnych ust, ten zaś, wychodząc z wygłodzonej próżni, jest na pewno zimny, wbrew prawom natury. Oczekuje zbliżającej się nocy, ufny, że po tych wszystkich znojach odpocznie w łóżu, które go czeka, a które nigdy za wąskie nie będzie, chyba z jego własnej winy; wolno mu wszak odmierzyć na ziemi wiele chce kroków i zwrócić się po niej do woli bez obawy, że się pościele wygniecie. Do tego wszystkiego dzień się zbliża i godzina, kiedy zdobyć może wyższy stopień w swym zawodzie: zbliża się dzień bitwy; tam nałożą mu na głowę chwast z szarpi, aby opatrzyć jakąś ranę od kuli, która może przeszyła mu skronie

albo zostawiła kaleką bez ręki czy nogi. Jeśli się to nie stanie i niebo łaskawe zachowa go zdrowym i żywym, znajdzie się, być może, w takiej samej nędzy jak przódzi, chyba że się nadarzy jedna i druga potyczka, jedna i druga bitwa, i ze wszystkich wyjdzie zwycięsko, ażeby byt nieco poprawić, ale cud taki rzadko się przydarza. Przeto powiedzcie mi, państwo, jeśli to rozważyście, o ile mniej jest ludzi nagrodzo-

nnych na wojnie aniżeli tych, którzy w niej polegli. Bez ochyby odpowiedzieć, że i porównywać nie można, bowiem poległych i zliczyć trudno, zaś tych, co z życiem uszli i zostali nagrodzeni, oznaczyć można trzema cyframi. Rzecz ma się całkiem inaczej z uczonymi; bo czy to dzięki połom swych tog, nie chcę rzec, dzięki swym szerokim rękawom! mają zawsze zapewnione utrzymanie; tak więc większy jest trud żołnierza, ale znacznie mniejsza nagroda. Można by na to odpowiedzieć, że łatwiej jest nagrodzić dwa tysiące ludzi pióra niż trzydzieści tysięcy żołnierzy. Tamtych nagradza się urzędami, które siłą faktu związane są z ich zawodem, ci zaś oczekiwając mogą nagrody jedynie z kiesy pana, któremu służą; to ograniczenie jeszcze bardziej zdanie moje umacnia. Porzućmy jednak tę sprawę, jest to labirynt, z którego wyjść niełatwo, a powróćmy do wyższości oręża nad piorem. Zagadnienie to niewyczerpane wobec racji wysuwanych przez obie strony, między innymi prawnicy mówią, że bez nich nie mógłby się oręź utrzymać, bowiem wojna ma również swoje prawa, którym podlega, a prawa należą do dziedziny piśmiennictwa i pisarzy. Na to odpowiada oręź, że prawa nie mogłyby się ostać bez niego, oręź bowiem broni państw, królestwa utrzymuje, miast strzeże, drogom bezpieczeństwo zapewnia, morza od korsarzy uwalnia, a wreszcie, gdyby nie on, państwa, królestwa, monarchie, miasta,

drogi lądowe i morskie podlegałyby uciskowi i zamętowi, jakie wojna za sobą pociąga, kiedy trwa i rozpętuje swe przywileje i gwałty. Jest rzeczą dowiedzioną, że co więcej kosztuje, to jest i powinno być bardziej cenione. Kto zdobyć chce znaczenie w piśmiennictwie, czasu nie szcędzi, cierpi czuwania, głód,

nagość, zawroty głowy, niestrawności oraz inne dolegliwości z tym złączone, jakie po części już wymieniłem; ale jeśli kto chce stać się dobrym wedle reguł żołnierzem, musi znosić wszystko to, co studiujący, ale w stopniu bez porównania wyższym, każdy bowiem krok grozi mu utratą życia. Czyż lęk przed niedostatkiem i nędzą, który dręczy studiującego, da się porównać z tym, jaki odczuwa żołnierz, który znalazły się w oblężonej fortacy lub na posterunku, na jakim szańcu czy ' Klienci kładli opłaty w polu togi sędziowskiej lub łapówki w jej szerokie rękawy. Tu w znaczeniu: tak czy owak.

0 269

blankach, czuje, że wrogowie minują właśnie grunt, na którym stoi, on zaś nie może w żadnym wypadku oddalić się ani uciec od niebezpieczeństwa, które mu tak z bliska zagraża? Jedno mu pozostaje, zawiadomić wodza, aby ów zapobiegł temu jakąś kontrminą. Sam musi trwać na miejscu w trwodze i naprężeniu, kiedy niespodzianie wzięci bez skrzydeł w chmury albo wbrew swej woli wpadnie w otchłań. Jeżeli bezpieczeństwo to małym się wydaje, obaczmy, czy dorówna jemu, czyli też przenosi je, kiedy dwie galery dziobami się zderzą na środku niezmiernego morza, tak szepione i zazębione, że żołnierzowi pozostaje jedynie ostroga dwu stóp szerokości, a mimo to, acz widzi przed sobą tyle śmierci wysłańców, ile armat nań się szczerzy ze strony przeciwej na rzut włóczni, zdają sobie sprawę, że każdy krok chybiony straci go na głębokie Neptuna łono, przecież z nieustraszoną odwagą, pobudzony żądzą chwały, wystawia się na cel tych wszystkich strzałów i usiłuje przedostać się po tak wąskiej kładce na pokład nieprzyjacielski. Co zaś na jeszcze

większy podziw zasługuje, zaledwie jeden padnie, skąd już się nie dźwignie do końca świata, wnet drugi miejsce jego zajmuje, a jeśli i ten padnie w morze, czyhające nań jak wróg, już trzeci i czwarty go zastąpi, ledwie mu czas na konanie zostawując. Tu, wśród wszystkiej grozy wojny, męstwo i zuchwałość najwyższy szczyt osiąga.

Szczęsne były te błogosławione wieki, którym obca była furia owych piekielnych narzędzi artylerii, wynalazca ich - tuszę - w piekle odbiera nagrodę za swój szatański pomysł, dzięki któremu podłe i tchórzliwe ramię pozbawia życia dzielnego wojownika: tego w pełni męstwa i zapału, kiedy serce dzielne żarem płonie, nie

wiadomo jak i skąd dosiąga kula (wystrzelona może przez tchórza, co sam uciekł przerażony błyskiem ognia przy wystrzale przeklętej maszyny) i w jednym momencie przecina i kończy myśli i życie tego, który godzien był cieszyć się nim jeszcze długie lata. Rozważywszy to wszystko, muszę wyznać, iż ciężko mi na duszy, iżem wybrał zawód błędnego rycerza w wieku tak podłym jak ten, w którym żyjemy, bo choć mi niestraszne żadne niebezpieczeństwo, jednak przykro mi pomyśleć, iż proch

i ołów mogą mię pozbawić sposobności zdobycia sławy i rozgłosu na całej kuli ziemskiej dzięki mestwu mego ramienia i ostrzu mego miecza. Lecz niech się dzieje wola nieba, jeśli cel mój osiągnę, tym większą zdobędę sławę, im większe od niebezpieczeństw błędnych rycerzy dawnych wieków będą niebezpieczeństwa, na jakie wystawiać się będę.

Całą tę długą przemowę Don Kichote wypowiedział, podczas gdy inni wieczernali, sam niepomny, aby kęs jakiś do ust podnieść, choć mu kilkakrotnie Sanczo Pansa przypominał o wieczerni, po której mógłby nagadać się do woli. I znowu słuchający go odczuwali litość na widok człowieka, który pozornie tak rozumny i wymowny w każdym przedmiocie, jakiego dotykał, tracił tak doszczętnie rozum, skoro tylko zaczynał rozprawiać o swym nieszczęsnym i niefortunnym rycerstwie. Proboszcz przyznał, że ma wielką rację we wszystkim, co rzekł na chwałę oręża, on też, mimo że w naukach biegły i stopień naukowy posiada, jest tego samego zdania.

Po wieczerni zebrano ze stołu i w czasie gdy gospodyn, jej córka i Maritornes sprzątały na poddaszu Don Kichota z Manczy, gdzie jak postanowiono, miały nocować same białogłówki, Don Fernando poprosił brańca, aby opowiedział kolejne swego życia, które wnosząc z pewnych oznak i przybycia w towarzystwie Zoraidy,

270

muszą być niezwykłe i ciekawe. Braniec zgodził się bardzo chętnie na to życzenie, obawiając się jednak, że opowieść nie będzie tak ciekawa, jak by tego pragnął, mimo

to, aby nie odmówić posłuszeństwa, opowiadać będzie. Proboszcz i wszyscy inni dziękowali mu i prośbę swą ponowili; on zaś, widząc, jak go wszyscy proszą, odrzekł, że zbyteczne są dalsze prośby, gdzie jeden rozkaz wystarczy. - A więc miłościwi

Don Kichote - Miguel Cervantez

państwo, uważajcie, a usłyszycie opowieść prawdziwą, niepodobną do owych zmyślonych, układanych zwykle z taką sztuką zręczną i wyszukaną.

Na te słowa wszyscy zgodnie usiedli w głębokiej ciszy; on zaś, widząc, że milczą w oczekiwaniu, co im powiedzieć zechce, miłym i spokojnym głosem tak zaczął mówić:
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

w którym braniec opowiada swoje życie i przygody

Ród mój bierze początek w pewnej miejscowości pogórza Leonu, przyroda była dlań łaskawsza i bardziej szczodra niż los, choć pośród tamtejszej nędzy wioskowej ojciec mój uchodził za bogacza i byłby nim bezsprzecznie, gdyby był dokładał tyle starań w celu utrzymania swej majątki, ile w jej trwonieniu. Ta skłonność do hojności i marnotrawstwa datowała się z czasów jego młodości, kiedy to był żołnierzem; żołnierka jest szkołą, w której skąpy staje się hojnym, zaś hojny

marnotrawcą; jeśli się pośród żołnierzy znajdzie kilku skąpców, są to jakby dziwo-lągi: rzadko się ich spotyka. Mój ojciec przekroczył granice szczodrości i już ku marnotrawstwu się zbliżała, co nie może być korzystne dla człowieka żonatego, który ma synów, przyszłych dziedziców nazwiska i mienia. Mój ojciec miał ich trzech,

byli ci młodzieńcy w wieku, kiedy przystoi wybrać sobie zawód. Ojciec mój, widząc -jak mówił - iż nie może poskromić swej skłonności, postanowił pozbawić się możliwości swego marnotrawstwa i szczodrości, a mianowicie wyrzec się majątku, bez którego nawet Aleksander musiałby się wydawać sknerał; więc przywołał nas wszystkich trzech pewnego dnia do swej komnaty i przemówił do nas mniej więcej w słowa, jakie przytoczę:

«Synkowie, by dowieść, że chcę waszego dobra, wystarczy wiedzieć i rzec, że dziećmi moimi jesteście; aby zaś sądzić, że was źle życzę, wystarczy wiedzieć, że nie umiem sobie dać rady, by majątek wasz utrzymać. Przeto chcąc was dać dowód, że miłuję was jak ojciec, a nie pragnę was zrujnować jak ojczym, chcę wobec was postąpić w sposób, nad którym od wielu dni dumałem i który powziąłem po dojrzałym namyśle. Jesteście już w wieku, kiedy możecie wybrać sobie stan,

Aleksander Wielki w średniowiecznych romansach odznaczał się hojnością.

a przynajmniej znaleźć zawód, który gdy dojrzejecie, przyniesie wam zaszczyt i korzyćć; umyśliłem więc podzielić majątek mój na cztery części; trzy chcę rozdać między was, każdemu dział jeden, jaki nań przypada po sprawiedliwości, część czwartą zostawię sobie na życie i utrzymanie na resztę dni, jakich mi niebo jeszcze użyczy. Chcę jednak, aby każdy, objąwszy w posiadanie część, jaka nań przypada z majątku, poszedł drogą, jaką mu wskażę. W Hiszpanii naszej istnieje przysłowie, wedle mnie bardzo prawdziwe, jako są wszystkie inne w krótkich sentencjach zamkające długie i mądre doświadczenie. To, o którym mówię, brzmi: Kościół lub morze, lub służba na dworze, co jaśniej wykłada się: kto chce zdobyć znaczenie i stać się bogatym, musi albo duchownym zostać, albo morskim handlem się zajmować, albo królowi na dworze jego służyć. Powiadają bowiem także: Lepsze królewskie okruchy niżli pańskie puchy. Mówię to, bo chcę i taka jest moja wola, aby jeden z was poświęcił się studiom, drugi kupiectwu, trzeci zaś niech służy królowi na wojnie, niełatwo bowiem na dwór królewski się dostać. I choć wojna wiele bogactw nie przysparza, zwykle obdarza sławą i rozgłosem. Do tygodnia wypłacę wam działy wasze w gotówce, nie zachowując ni szeląga, jak to sami sprawdzicie. Powiedziecie mi teraz, czy chcecie pójść za moim pomysłem i radą, tak jak wam tutaj przedstawiłem». Mnie, jako najstarszemu, kazał ojciec najpierw odpowiedzieć. Prosząc go, aby się nie pozbywał majątku, lecz używał go do woli, my bowiem jesteśmy jeszcze młodzi i mamy czas się dorobić, zakończyłem oświadczeniem, że zamysł jego wypełnię i rzemiosłu rycerskiemu się poświęcę, służąc Bogu i królowi. Drugi brat tę samą gotowość okazał i postanowił udać się do Indii z towarami, jakie za swój dział zakupi. Najmłodszy - a wedle mnie najrozsądzniejszy - rzekł, że pragnie służyć Kościółowi albo udać się dla dokończenia studiów do Salamanki. Skorośmy tak uzgodnili i wybrali nasze zawody, ojciec uścisnął nas wszystkich i jak powiedział, najrychlej w czyn wprowadził swe obietnice, dając każdemu jego część, co - o ile sobie przypominam - wynosiło trzy tysiące dukatów gotówką na każdego (bowiem jeden z naszych stryjów, pragnąc zachować dobra przy rodzinie, zakupił naszą mająt-ność i zapłacił gotówką). Tego samego dnia pożegnaliśmy wszyscy trzej naszego dobrego ojca, ja zaś w przekonaniu, że nieludzko byłoby ojca mego na starość w takim niedostatku pozostawiać, uprosiłem, aby z moich trzech tysięcy przyjął dwa

tysiące dukatów, mnie bowiem reszta wystarczy na zakupienie rzeczy potrzebnych żołnierzowi. Moi bracia, poruszeni moim przykładem, zostawili mu po tysiąc dukatów każdy, tak iż ojcu pozostało cztery tysiące gotówką oraz ponad trzy tysiące w nieruchomości, tyle bowiem, jak się zdawało, była warta posiadłość, która jemu przypadła, a której sprzedawać nie chciał, lecz pragnął zachować jako nienaruszal-

ną własność rodzinną. Pożegnaliśmy więc ojca i stryja, o którym wspomniałem, z wielkim żalem i powszechnym płaczem. Oni zaś polecili, abyśmy dawali znać, ilekroć sposobność się trafi, o naszych losach szczęśliwych czy przeciwnych. Przy-

rzekliśmy to, uścisnęliśmy i pobłogosławili, i jeden udał się w drogę do Salamanki, drugi do Sewilli, ja zaś do Alicante, gdzie, jak się dowiedziałem, stał okręt genueński, który wełnę do Genui ładował.

272

Oto dwadzieścia dwa lata upłynęło, odkąd porzuciłem dom rodzicielski, i przez ten czas, choć wiele listów napisałem, nie otrzymałem ani od ojca, ani od braci żadnej wieści. Pokrótkie opowiem, co w tym okresie przeżyłem. Wsiadłem na okręt w Alicante, po szczęśliwej żegludze przybiłem do Genui, stamtąd udałem się do Mediolanu, gdzie zaopatrzyłem się w broń i kilka mundurów żołnierskich, chcąc się zaciągnąć do wojsk piemonckich. Będąc już w drodze do Alessandrii della Paglia, czyli «Słomianej», dowiedziałem się, że wielki książę Alba przenosi się do Flandrii. Zmieniłem zamiar, przystałem do niego i brałem udział we wszystkich bitwach, jakie toczył; byłem obecny przy śmierci hrabiów Egmonta i Horna i udało mi się zostać chorążym słynnego kapitana z Guadalajara, który zwał się Diego de Urbina; w jakiś czas po moim do Flandrii przybyciu doszły słuchy, że jego świętobliwość papież Pius V, błogosławionej pamięci, zawiązał ligę z Wenecją i Hiszpanią przeciw wspólnemu wrogowi, Turczynowi, który w tym samym czasie zdobył swoją flotą słynną wyspę Cypr, będącą pod panowaniem Wenecjan. Strata nieopłakana i żałosna.

Powszechnie mniemanie było, że wodzem owej ligi zostanie najjaśniejszy Don Juan Austriacki, brat naturalny naszego dobrego króla Filipa; mówiono o olbrzymich przygotowaniach wojennych w toku, wszystko to zachęciło mnie i pobudziło we mnie ducha i pragnienie wzięcia udziału w wyprawie, jakiej oczekiwano. I choć miałem widoki, a nawet zgoła pewne obietnice, że przy pierwszej sposobności, jaka się nadarzy, będę mianowany kapitanem, wolałem wszystko rzucić i udać się do Włoch, co też uczyniłem. Szczęsny mój los chciał, że pan Don Juan Austriacki przy-

był właśnie do Genui i miał ciągnąć na Neapol, aby się tam połączyć z armadą Wenecji, co się stało później w Mesynie. W końcu powiem, że byłem przytomny tej najszczęśliwszej bitwie już jako kapitan piechoty, na który to stopień zaszczytny

wyniósł mię raczej szczęśliwy los niż moja zasługa. I w owym dniu tak dla chrześcijaństwa błogosławionym, kiedy świat cały i wszystkie narody zostały wyprowadzone z błędu, w jakim trwały, mniemając, jakoby Turcy byli niezwyciężeni na morzu, w owym dniu - mówię - kiedy pycha i buta ottomańska zostały zdruzgotane, pośród tylu szczęśliwych (szczęśliwi bowiem byli, którzy tam polegli, niż zwycięz-

cy przy życiu pozostali) ja jeden byłem nieszczęśliwy, bo miast wieńca morskiego, którego spodziewać się móglbym, gdybym był żył za rzymskich czasów, ujrzałem się tej nocy, która po tak sławnym dniu nastąpiła, z łańcuchem u nóg i w kajdanach

u rąk. Oto jak się to stało: Uczali, król Algierii, zuchwały i szczęśliwy korsarz, napadł i zahaczył kapitańską galę zakonu maltańskiego, na której ledwie trzech wojowników przy życiu zostało, i to ciężko rannych; na pomoc jej pośpieszyła kapitańska galera Juana Andrei, na której znajdowałem się z moim oddziałem; postąpiłem, jak przystoi w takim wypadku, skoczyłem na wrogą galerę, ta jednak odbiła się od galery atakującej i moi żołnierze zostali ode mnie odcięci. Znalazłem się tedy

sam pośród wrogów, którym wobec ich liczby nie mogłem sprostać; poddałem się w końcu cały w ranach. A że, jak słyszeliście, mości panowie, Uczali uszedł szczęśliwie z całą swą eskadrą, więc ja zostałem brańcem w jego mocy. I pośród tylu weselących się, ja jeden byłem smutny, niewolnik pośród wolnych; w ten dzień 273 bowiem piętnaście tysięcy chrześcijan, na galerach tureckich wiosłujących, odzyskało upragnioną wolność.

Zawieziono mię do Konstantynopola, gdzie Wielki Turczyn Selim mianował pana mego wodzem sił morskich, gdyż spełnił on w bitwie swoją powinność, zdobywając sztandar zakonu maltańskiego jako dowód swego mestwa. Następnego roku, a był to rok siedemdziesiąty drugi, znalazłem się pod Nawarynem jako wioślarz na admiralskiej galerze o trzech latarniach. Zdałem sobie sprawę, że stracono tam sposobność ujęcia w porcie całej tureckiej floty, wszyscy bowiem lewentyncy i jancza-

rowie, pewni, że zostaną zaatakowani w samym porcie, zebrały już szmaty i trepki, których miasto butów używają, aby natychmiast uciec na ląd, nie czekając bitwy. Tak wielka w nich była trwoga przed naszą armadą. Ale niebo zrządziło inaczej, a to nie z winy i zaniedbania wodza, który naszym przewodził, lecz za grzechy chrze-

ściijaństwa. Bóg bowiem chce i dopuszcza, abyśmy zawsze mieli katów, którzy nas karzą. Tymczasem Uczali uszedł do Modonu (jest to wyspa niedaleko Nawarynu) i wysadziwszy wojsko na ląd, ufortyfikował wyjście z portu i nie ruszał się stamtąd,

póki Don Juan się nie oddalił. W tym spotkaniu została wzięta galera nazwana «Zdo-

bycz», którą dowodził syn owego słynnego korsarza Barbarossy. Wzięta została przez admiralski statek neapolitański, zwany «Wilczycą», prowadzony przez ów piorun wojny, ojca żołnierzy, szczęśliwego, niezwyciężonego kapitana Don Alvaro de Bazan, markiza de Santa Cruz. Nie zaniedbam wam powiedzieć, co zaszło przy zdobyciu galery «Zdobycz». Ów syn Barbarossy był tak okrutny i tak źle obchodził się ze swymi jeńcami, że skoro wioślarze spostrzegli, że galera «Wilczyca» się zbliża i już ich dosięga, porzucili wszyscy naraz wiosła, pochwycili kapitana, który stojąc na tylnym mostku, wrzeszczał, aby co sił wiosłowali, i podając go z ławy na ławę,

od rufy na dziób, takiego łupnia mu dali, że zanim go do głównego masztu dowlektli, ducha do piekła wyzionął. Tak wielkie, jak rzekłem, było okrucieństwo, z jakim ich traktował, i taką nienawiść ku niemu żywili.

Zawróciliśmy do Konstantynopola i w następnym roku, to jest 1573, rozeszła się wieść, że pan Don Juan zdobył Tunis, odebrał to państwo Turkom i osadził tam Muleja Hameta, przecinając w ten sposób nadzieję powrotu do władzy Muleja Hamidy, Maura najokrutniejszego i najwaleczniejszego, jaki żył na świecie. Sułtan głęboko odczuł tę stratę i zażywając sprytu, właściwego całemu jego domowi, zawarł pokój z Wenecjanami, którzy bardziej niż on tego byli żądni; następnego zaś roku 1574 zaatakował Goletę i fort, który pod Tunensem pan Don Juan pozostawił na pół ukończony. Podczas tych wszystkich wypadków byłem przykuty do wiosła bez żadnej nadziei uwolnienia, choćby przez wykup, postanowiłem bowiem nie donosić ojcu o mym nieszczęściu. W końcu upadła Goleta, upadł i fort; było pod tymi dwiema warowniami siedemdziesiąt pięć tysięcy regularnego wojska tureckiego, zaś Maurów i Arabów z całej Afryki ponad czterysta tysięcy, a za tym mrowiem ludzkim ciągnęło

tyle amunicji i sprzętu wojennego oraz tylu ciurów, że rękoma i grudami ziemi mogli byli nakryć całą Goletę i twierdzę. Pierwsza padła Goleta, dotąd uważana za niezdobytą, a stało się to nie z winy obrońców (którzy w jej obronie uczynili wszystko, co byli powinni i na co ich stać było), ale iż doświadczenie wykazało, z jaką łatwością można na tych pustynnych piaskach wznowić wały, bo jeśli zwyczajnie wodę znachodziło się na głębokości dwu dloni, Turcy nie znaleźli 274 jej nawet na głębokości dwóch łokci, więc z licznych worów piasku wznieśli wały tak wysokie, że przenosiły mury warowni, i z góry tak ostrzeliwali okopy, że nikt nie mógł się pokazać ani pokusić o obronę.

Ogólne zdanie było, że nasi nie powinni byli zamknąć się w Golecie, lecz oczekiwając wroga w szczerym polu przy lądowaniu. Ci jednak, co tak twierdzą, sądzą z oddali i nie mają doświadczenia w podobnych wypadkach. W Golecie bowiem i w forcie było zaledwie siedem tysięcy żołnierzy, jakżeż więc tak nieliczna garstka, choćby najdzielniejszych, mogłaby wyjść w pole, a równocześnie utrzymać forty wobec takiej przemocy wrogów? Zali było możliwe obronić twierdzę bez żadnej pomocy, tym bardziej jeśli otaczało ją takie mrowie zażartych wrogów, walczących na własnej ziemi? Wielu natomiast jest zdania, i ja do nich należę, że niebo wyświad-

czyło Hiszpanii szczególną łaskę, pozwalając na zrównanie z ziemią tej kuźni i jamy nieprawości, tej strzygi czy gąbki niesytej, tego czerwia, co chłonął niezliczone sumy

wyrzucane tu bezużytecznie chyba na to, aby zachować pamięć zdobycia jej przez niezwycięzonego Karola V, jakby było potrzeba aż tylu głazów, aby uczynić ją wiecz-

ną, jaką jest i będzie. Stracono również fort, lecz Turcy musieli dobywać go krok za krokiem, bo żołnierze broniący go walzyli tak dzielnie i zaciekle, że wrogowie w dwudziestu dwóch szturmach ogólnych, jakie przypuścili, stracili ponad dwadzie-

ścia pięć tysięcy ludzi. Z trzystu pozostałych przy życiu żadnego nie wzięli zdrowym, dowód to jasny i pewny ich wysiłku i męstwa oraz uporu, z jakim bronili swych pozycji. Prócz tego poddał się mały fort, a raczej wieża w pośrodku Wyspy Cynowej, broniona przez Don Juana Zanoguerę, szlachcica z Walencji i słynnego żołnierza. Wśród jeńców znalazł się Don Pedro Puertocarrero, dowódca Golety, który uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby bronić warowni; a tak się przejął jej stratą,

że ze zmartwienia zmarł w drodze do Konstantynopola, gdzie go jeńcem wieziono. Wzięty również został dowódca fortu nazwiskiem Gabriele Cervellone, szlachcic mediolański, znakomity inżynier i bardzo dzielny żołnierz. Poległo w owych dwu warowniach wiele osób znanych, między innymi Pagan de Oria, kawaler Zakonu Św. Jana, człek bardzo wspaniałomyślny, jak dowiodła tego najwyższa hojność, jaką okazał bratu swemu, słynnemu Juanowi Andrea de Oria. Śmierć jego była tym żałosniejsza, iż zginał z ręki kilku Arabów, którym się powierzył, widząc, że twierdza stracona, a którzy ofiarowali się przeprowadzić go w przebraniu Maura do Tabarki, małego portu czy faktorii, jaką na tych wybrzeżach posiadają Genuńczycy, oddający się połowom korali. Ci Arabowie ucięli mu głowę i zanieśli ją do- wódcy armady tureckiej, ten zaś sprawdził na nich przysłowie kastylskie: Choć zdrada jest miła, zdrajca budzi wstręt; mówię, bo wiem, że wódz ten kazał powiesić wszystkich, którzy mu głowę przynieśli, za karę, że nie przywiedli go żywym. Pomiedzy chrześcijanami, którzy w forcie zostali pojmani, był jeden zwany Don Pedro de Aguilar, pochodzący z jakiejś miejscowości w Andaluzji: był on chorążym w forcie, żołnierzem bardzo dzielnym i niezwykłego rozumu; miał zwłaszcza szczególny dar poezji, jak się to mówi. Wspominam o tym, bo los przywiódł go na moją galerę i na moją ławę wioślarską, jako brańca mojego pana. Zanim opuściliśmy port, szlachcic ten ułożył dwa sonety na kształt epitafium, jeden poświęcony faktoria- placówka handlowa w odległej prowincji lub kolonii.

275

Golecie, drugi fortowi. I naprawdę rad bym je przytoczyć, umiem je bowiem na pamięć i sądę, że sprawią raczej przyjemność, niż znudzę". W momencie, kiedy braniec wymienił Don Pedra de Aguilar, Don Fernando spojrzał po towarzyszach i wszyscy się uśmiechnęli. Kiedy zaś mowa zeszła na sonety, jeden z nich rzekł:

- Zanim waszmość dalej mówić będziesz, proszę, powiedz mi, co się stało z owym Don Pedrem de Aguilar wspomnianym?
- Wiem jeno - odparł braniec - że po dwu latach spędzionych w Konstantynopolu uszedł w przebraniu Arnauty wraz z pewnym greckim szpiegiem; nie wiem, czy wydostał się na wolność, raczej wierzę, że tak, bo po roku spotkałem tego Greka w Konstantynopolu, ale nie mogłem wypytywać o wynik tej przeprawy. - I tak się stało - odpowiedział szlachcic - ten Don Pedro jest moim bratem i bawi w tej chwili w naszej wsi, szczęśliwy i zamożny, ożenił się i ma troje dzieci.
- Bogu niech będą dzięki - rzekł braniec - za tyle łask, jakie wyściadczył; niemasz bowiem na ziemi, jak mi się zdaje, radości równej odzyskaniu straconej wolności.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Co więcej - odparł szlachcic - znam również i owe sonety napisane przezbrata.
- Powiedzcie je więc, wasza miłość - rzekł braniec - potraficie to lepiej odemnie.
- Chętnie - odparł szlachcic. - Ten o Golecie brzmi: ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY zawiera dalszy ciąg historii brańca Sonet

Dusze szczęśliwe, co już wyzwolone

Z śmiertelnych osłon przez swe wielkie czyny,

Z ziemi się wolne wzniósłyście w wyżyny Nieba wysokie i błogosławione.

Gniewem i zacnym ogniem zapalone,

Wszystkieście siły zwarły tej godziny,

Własnej i obcej krwi kręte wężyny Barwiły morze oraz piaski słone.

Pierwej nim męstwo już życie spłonęło

W mdlejących rękach, które przed mogiłą,

Choć zwycięzone,

zwycięstwo zyskały, 276

Lecz to śmiertelne, smutne śmierci dzieło

||.,-.|| W murach, w żelastwie wam za to zdobyło

Rozgłos na świecie, w niebie wieniec chwały. - To ten
sam wiersz, który znam - rzekł braniec.

- Zaś tamten wiersz o forcie, o ile dobrze pamiętam - powiedział szlachcic brzmi tak:

Sonet

Spośród ziemi jałowej porytej przez działa,

Spośród gruzów fortecznej rozwalonej wieży

Święte dusze trzech dzielnych tysięcy żołnierzy Dla lepszego przybytku opuściły ciała.

Na początku ta garstka próżno wytężała

Siłę ramion swych mężczyzn w obronie wybrzeży,

Lecz niewielu ich było, duch trudem nie zdzierzył I

saraceńska szabla życie im zabrała. To ziemia bez

ustanku i stale karmiona

Tysiącem wspomnień, w których boleść i katusze

Ubiegłych wieków żyją i obecnej chwili. Lecz nigdy

sprawiedliwsze z jej twardego łona

W przejasne wyże niebios nie wstępły dusze I nigdy na niej ludzie tak mężni nie żyli.

Sonety nie wydały się złe. Braniec, uradowany wiadomością o swym towarzyszku, tak dalej ciągnął swą opowieść: „Po upadku Golety i fortu Turcy wydali rozkaz zburzenia

murów Golety (fort był w takim stanie, że i burzyć nie było co), aby zaś dokonać tego najrychlej i z naj-

mniejszym trudem, podłożyli miny w trzech miejscowościach, ale w żaden sposób nie zdołali wysadzić tego, co zdawało się najsłabsze, to znaczy starych murów, natomiast wszystko, co jeszcze ocalało z nowych umocnień budowanych przez Fratina, runęło z największą łatwością. W końcu flota wróciła do Konstantynopola, triumfująca i zwycięska, i tam w kilka miesięcy zmarł pan mój, Uczali, zwany Uczali-Fartax, co

po turecku wykłada się «Parszywy zaprzaniec», jakim on był. Obyczajem Turków bowiem jest nadawać przydomki oznaczające przywarę jakąś lub cnotę. Dzieje się to dlatego, że mają oni zaledwie cztery nazwiska rodowe, pochodzące od dynastii ottomańskiej, inni, jak rzekłem, biorą nazwiska i przydomki albo od wad ciała, albo

od przymiotów duszy. Ten zaś «Parszywiec», będąc niewolnikiem wielkiego sułtana, wiosłował przez czternaście lat na galerach, zaś w trzydziestym czwartym roku życia stał się poturczeńcem, bowiem w goryczy nie mógł znieść tego, iż mu jakiś Turek dał w gębę, gdy on stał przy wiośmie, więc chcąc się na nim zemścić, zaparł się 277

wiary. Był zaś tak męzny, że nie uciekając się do żadnych podłych środków i dróg, którymi większość zaufanych sułtana się wznosi, został królem Algierii, a potem wodzem sił morskich, co jest trzecim urzędem w tym państwie. Był to Kalabryjczyk z pochodzenia, pod względem moralnym człek zacny, niewolników swych traktował z wielką ludzkością, a miał ich trzy tysiące. Po jego śmierci rozdzielono

ich, jak polecił w testamencie, między sułtana (który zawsze dziedziczy po zmarłym pospolu z dziećmi nieboszczyka) i pomiędzy jego poturczeńców. Ja przypadłem pewnemu poturczeńcowi z Wenecji, którego Uczali był pojmał, kiedy ten był chłopcem okrętowym, i tak go umiłował, że był on jego ulubieńcem, ale stał się najokrutniejszym z zaprzańców, jakiego spotkać można. Zwał się Hassan-Aga, doszedł do wielkich bogactw i został królem Algierii. Z nim wyjechałem z Konstantynopola, zadowolony, że będę blisko Hiszpanii, nie dlatego, by donieść komuś o mojej niedoli, ale by spróbować, czy los nie będzie dla mnie łaskawszy w Algierii

niż w Konstantynopolu, gdzie próbowałem tysiąca możliwości ucieczki, nie znachodząc ani czasu, ani sposobności dogodnej. Umyśliłem więc szukać w Algierze innych sposobów, aby osiągnąć mój najbardziej upragniony cel, nigdy bowiem nie

opuszczała mnie nadzieję, że wolność odzyskam. I kiedy jednym dążeniom moim, zamiarom i usiłowaniom nie odpowiadał wynik szczęśliwy, natychmiast, nie upadając na duchu, obmyślałem i szukałem nowej nadziei, która, choć słaba i nędzna, wytrwać mi pozwalała. W ten sposób pędziłem życie zamknięty w więzieniu czy domu, który Turcy nazywają Łażnią, gdzie trzymają niewolników chrześcijańskich, zarówno należących do króla, jak do osób prywatnych, oraz tych, co zwą się almaceni, to znaczy, jakby ktoś rzekł, niewolnicy Rady, którzy używani są do robót publicznych i do innych prac; tacy brańcy bardzo trudno wolność odzyskują, należąc bowiem do ogółu, a nie mając osobnego pana, nie mają z kim o okup się umawiać, choćby i pieniądze mieli. W tych kaźniach, jak mówiłem, trzymają zwykle niektórzy mieszkańców miasta swych brańców, a zwłaszcza tych, którzy są na wykupieniu, są tam bowiem o nich spokojni i bezpieczni, póki okup nie nadjejdzie. Również niewolnicy królewscy będący na wykupieniu nie wychodzą na roboty z resztą galerników, chyba że okup się opóźnia, wtedy aby przynaglić ich do usilniejszego domagania się pośpiechu, pędzą ich do pracy oraz do zwożenia drzewa wraz z innymi, co jest niemałym trudem.

Należałem więc do tych, co mieli być wykupieni; skoro zwiedziano się, że byłem kapitanem, choć dowodziłem im, że nie posiadam żadnej możliwości wykupu ani majątku, nic nie pomogło, zaliczono mię do wysokiej szlachty i tych, którzy wykupić się mają. Założono mi łańcuch jako symbol wykupu raczej, niż aby mię nim niewolić, pędziłem więc życie w owej kaźni wraz z liczną szlachtą i ludźmi znacznymi, którzy byli wyznaczeni i trzymani dla okupu. Choć właściwie ustawicznie głód nas nękał i brak odzienia, największą udręką dla nas było patrzeć i słuchać na każdym kroku o nigdy niewidzianych ani słyszanych okrucieństwach mego pana wobec chrześcijan. Nie było dnia, aby tego nie powiesił, owego napal nie wbijał,

innemu nie obcinał uszu, a to dla tak błahej przyczyny albo i bez niej, że sami Turcy przyznawali, iż czynił to raczej dla zadowolenia przyrodzonej skłonności do mordowania całego rodzaju ludzkiego. Wychodził z nim dobrze tylko jeden żołnierz

278

hiszpański, niejaki Saavedra. Ten, aby wolność odzyskać, dokonywał takich rzeczy, które długie lata w pamięci owych ludzi pozostaną, a przecież nigdy nie był przezeń ani na jego rozkaz oćwiczony i nigdy złego słowa nie usłyszał, a lękaliśmy

się wszyscy, bo za najmniejszą rzeczą z wielu, jakie podejmował, groziło mu wbicie na pal, i on sam się tego nieraz obawiał. Gdyby nie było tak późno, opowiedziałbym dziś niektóre bohaterskie czyny tego żołnierza, niezawodnie zajęłoby to i zdumiało was znacznie bardziej niż opowiadanie moich dziejów.

Muszę rzec, że na zewnętrzny dziedziniec naszego więzienia wychodziły okna pewnego domu bogatego i znakomitego Maura, które, jak zwykle u Maurów, raczej strzelnic pozór mają niż okien, a nawet i te zakrywane są żaluzjami gęstymi i mocnymi. Zdarzyło się pewnego dnia, że na tarasie naszego więzienia z trzema innymi towarzyszami ćwiczyliśmy się w skakaniu w łańcuchach, aby zabić czas, a byliśmy sami, bowiem wszyscy inni chrześcijanie wyszli na roboty; nagle podniósłszy przypadkiem oczy, ujrzałem, że przez owo zakratowane okienko, o którym wspomniałem, wysunęła się trzcina, zaś u jej końca uwiązana była chustka. Trzcina chwiała się i poruszała, jakby dając znaki, aby po nią sięgnąć. Śledziliśmy to uważnie i jeden z mych towarzyszy stanął pod trzciną, aby zobaczyć, co się stało – nie, czyją opuszczą, jednak ledwo się zbliżył, trzcinę podniesiono i poruszono nią w tą i w tamtą stronę, jakby ktoś głową dawał znak, że nie. Kiedy chrześcijanin się oddalił, znów zaczęto pochylać trzcinę i poruszać nią jak przody. Podszedł drugi z mych towarzyszy, i to samo spotkało go co pierwszego; w końcu podszedł trzeci i zdarzyło mu się co pierwszemu i drugiemu. Na to ja podszedłem, chcąc próbować szczęścia i zaledwie stanąłem pod trzciną, kiedy ta upadła do moich stóp na podwórzec kaźni. Podbiegłem zaraz, aby odwiązać chustkę, a w węźle jej znalazłem dziesięć zijani, monety z lichego złota w obiegu u Maurów,

z których każda warta jest dziesięć naszych realów. Nie potrzeba mówić, jak uradowało mię to znalezione, a zadowolenie równało się zdumieniu, kiedy zastanowiłem się, skąd dar ten mógł pochodzić, przeznaczony wyłącznie dla mnie, bo z tego, że nie chciano opuścić trzcin dla nikogo, tylko dla mnie, wniesć można było jasno, że mnie ta łaska dotyczy. Wziąłem te zacne pieniądze, połamałem trzcinę, wróciłem na taras i spojrzałem w okienko, ujrzałem wysuniętą bieluską rączkę, która otworzyła je i zamknęła pośpiesznie. Pomyśleliśmy, a raczej wyobrażliśmy sobie, że to jakaś niewiasta, mieszkanka tego domu, wywiadczyła mi to dobrodziejstwo i na znak podzięki zaczęliśmy wybijać salamy na modłę Maurów, pochylając głowę, zginając ciało i krzyżując ręce na piersiach. Niedługo potem ukazał się w okienku mały krzyżyk z trzcin zrobiony i zaraz zniknął z powrotem. Ten znak utwierdził nas w mniemaniu, że w owym domu musi być zamknięta jakaś niewolnica chrześcijańska i jej ten dar zawszczamy. Jednak białość ręki i bransolety, jakie na niej

widzieliśmy, kazały nam myśl tę porzucić, więc wyobraziliśmy sobie, że musi być to chrześcijanka poturczona, jakie panowie ich zwykli brać za prawowite małżonki, poczytując to sobie za szczęście i ceniąc je bardziej niżli swe rodaczki. W tych naszych przypuszczeniach byliśmy dalecy od prawdy tego zdarzenia i odtąd całą naszą rozrywką było patrzeć jak w gwiazdę przewodnią w to okno, skąd rozbłysł nam promień trzciny. Ale dwa tygodnie przeszły, a nie ujrzaliśmy jej, ani ręki, ani 279 żadnego innego znaku. I choć przez ten czas staraliśmy się usilnie dowiedzieć, kto dom ten zamieskuje i czy jest tam jaka poturczona chrześcijanka, nikt nam nie umiał powiedzieć nic krom tego, iż mieszka tam Maur znakomity i bogaty, zwany Hadżi Murad, były alkaid twierdzy Pata, co u nich jest wysoką godnością. Ale kiedy najmniej spodziewaliśmy się, aby z okna tego mógł spaść na nas deszcz zianich, ujrzaliśmy nagle wyłaniającą się trzcinę z nową chustką uwiązaną na końcu w znacznie pokaźniejszy węzeł. A stało się to, jak poprzednim razem, kiedy kań była pusta i wyludniona. Zrobiliśmy tę samą próbę co zwykle, najpierw podchodził każdy z trzech moich towarzyszy, ale trzciną żadnemu nie dała się pochwycić, jeno mnie, bo kiedy zbliżyłem się, upadła. Rozsupiąłem węzeł i znalazłem czterdzieści talarów złotych hiszpańskich oraz list pisany po arabsku i podpisany na końcu wielkim znakiem krzyża. Ucałowałem krzyż, wzяałem talary, wróciłem na taras, wszyscy pokloniliśmy się, ręka ukazała się znowu, dałem znak, że list przeczytam, i okno się zamknęło. Zostaliśmy zmieszani i uradowani zdarzeniem, a jako nikt z nas nie rozumiał po arabsku, zapłoneliśmy chęcią dowiedzenia się, co list zawierał; bardzo było trudno znaleźć kogoś, kto by go przeczytał, wreszcie postanowiłem zawierzyć pewnemu poturczeńcowi pochodzącomu z Murcji. Oświadczył się z przyjaźnią dla mnie, a były między nami w cztery oczy sprawy, które zmuszały go do zachowania powierzonej tajemnicy. Zdarzają się bowiem niekiedy poturczeńcy, którzy mają zamiar powrócić do ziemi chrześcijańskiej, zabierając z sobą zaświadczenie wybitnych jeńców, stwierdzające w odpowiedniej formie, że ów zaprzaniec jest zacnym człowiekiem, że zawsze chrześcijanom dobro świadczył i że ma zamiar uciec przy pierwszej lepszej sposobności. Niektórzy starają się o takie zaświadczenie w dobrej wierze, inni starają się o nie na wszelki wypadek lub dla korzyści. Kiedy bo-
wiem wyprawią się na korsarstwo w kraje chrześcijańskie, a zdarzy się, że zostaną ujęci, dobywają owo zaświadczenie, twierdząc, iż ten

papier jest dowodem, w jakim zamiarze przybyli, a mianowicie chcieli dostać się do ziemi chrześcijan, i dlatego

z innymi Turkami udali się na wyprawę. W ten sposób uchodzą pierwszej popędliwości, godzą się z Kościółem i żadnej szkody nie ponoszą. Kiedy zaś im dogadza, wracają do Berberii, aby żyć tak samo jak przodzy. Inni znów starają się o takie pa-

piery i używają ich w dobrej wierze, pozostając w kraju chrześcijańskim. Jednym z takich właśnie poturczeńców, jak rzekł, był mój druh, który miał zaświadczenie od wszystkich naszych towarzyszy najgoręcej go polecające, gdyby zaś Maurowie te papiery znaleźli, spaliliby go żywcem. Wiedziałem, że dobrze umie po arabsku, i to nie tylko mówić, ale i pisać. Zanim jednak mu wszystko wyjawiłem, prosiłem go o odczytanie tego listu, który przypadkiem niby znalazłem w szparze w mej izbie.

Otworzył go i przez dłuższy czas przypatrywał się jemu i zastanawiał, mrucząc coś między zębami. Zapytałem, czy rozumie, odrzekł, że bardzo dobrze, i jeśli chcę, przełoży mi go słowo w słowo, ale aby to lepiej mógł uczynić, prosił o pióro i inkoust. Dałem mu natychmiast owe żądane rzeczy, on zaś słowo za słowem jął tłumaczyć, a skończywszy, rzekł: «Tu jest po hiszpańsku wszystko co do litery, co list Mauretanki zawiera: zważcie jeno, że tu stoi Lela Marien, a to ma znaczyć Nasza Pani Maria Dziewica».

Przeczytaliśmy list, a brzmiał on tak:

280

Kiedy byłam dzieckiem, ojciec mój trzymał niewolnicą, która w moim własnym języku nauczyła mię modlitwy chrześcijańskiej i wiele mi o Lela Marien mówiła. Chrześcijanka umarła; wiem, że nie poszła do piekła, ale jest z Alłachem; widziałam ją dwukrotnie we śnie i poleciła mi, abym udała się do ziemi chrześcijańskiej oglądać Lela Marien, która mię bardzo miłuje. Nie wiem, jak się tam udać, wielu chrześcijan widywałam z tego okienka, ale żaden nie wydał mi się tak szlachetny jak ty. Jestem bardzo urodziwa i młoda, posiadam wiele pieniędzy, które wezmę z sobą, więc poszukaj sposobu, jak byśmy się tam dostać mogli, jeśli chcesz, zosta-

niesz mym małżonkiem, jeżeli nie, nie będę się tym trafić; niech Lela Marien ześle mi kogoś za męża. Piszę o tym, ale ty bacz, komu dasz do przeczytania; nie ufaj żadnemu Maurowi, wszyscy są zdradliwi. Bardzo się tym martwię,

wolałbym, abyś nikomu się nie zwierzał, gdyby bowiem mój ojciec dowiedział się o tym, wrzuciłby mię do studni i zasypał kamieniami. Do trzciny uwiążę nić, do niej przytwierdz od-

powiedź, a jeśli nie znajdziesz, kto by ci ją po arabsku napisał, odpowiedz na migi, a Lela Marien niech sprawi, abym cię zrozumiała. Niech ona i Allach mają cię w opiece oraz ten Krzyż, który często całuję, tak bowiem poleciła mi niewolnica. Pomyślcie, panowie, jak nas zdumiały i uradowały słowa tego listu, a jedno i drugie tak bardzo, że poturczeniec poznał, iż list ten nie został znaleziony przypadkiem, ale był rzeczywiście napisany do jednego z nas. Prosił nas więc, jeżeli prawdą jest, co podejrzewa, abyśmy mu zaufali całkowicie i wszystko opowiedzieli, on zaś życie swe stawi, aby nas uwolnić. To mówiąc, wyciągnął spod szat na piersi krucyfiks metalowy i ze łączami przysięgał na Boga tam wyobrażonego, w którego on, choć niegodny i grzeszny, niezachwianie wierzy, że dochowa nam wierności i tajemnicy we wszystkim, co mu raczymy powierzyć, bowiem przeczuwa i jakby zgaduje, że z pomocą tej, która list ten pisała, i on, i my wszyscy wolność odzyskamy. On zaś, czego usilnie pragnie, zostanie przywrócony na łono świętego Kościoła, macierzy swojej, od której, jako członek zgniły, został odcięty i oddzielony przez grzech swój i głupotę. Wszystko to mówił poturczeniec wśród takich łącz i oznak skruchy, że zgodnie przychyliliśmy się do jego prośby i opowiedzieli całą prawdę o rzeczy; zdaliśmy mu ze wszystkiego sprawę, nie przemilczając niczego. Pokazaliśmy mu okienko, z którego pojawiała się trzcinina, on zaś oglądał dom i przyrzekł dołożyć wszelkich starań, aby dowiedzieć się, kto tam mieszka. Zgodziliśmy się też, że na list Mauretanki należałyby odpowiedzieć, a że mieliśmy kogoś, kto to potrafi, natychmiast podyktowaliśmy zaprzaćcowi, co wam dokładnie tu powiem, bo z pamięci mej nie wyszło i póki życia nie wyjdzie nic z ważniejszych szczegółów owego zdarzenia. Oto co odpowiedzieliśmy Mauretance:

Niech Allach prawdziwy ma cię w swej opiece, pani moja, a także i owa błogosławiona Marien, prawdziwa Matka Boża, która natchnęła twe serce zamiarem udania się do ziemi chrześcijańskiej, bowiem ciebie miłuje. Proś ją, aby dała ci poznać, w jaki sposób masz wypełnić jej polecenie; jest ona tak dobra, że to uczyni.

Z mojej strony oraz wszystkich chrześcijan, którzy są ze mną, zapewniamy cię, że uczynimy wszystko dla ciebie, co w naszej mocy, choćby nam zginąć przyszło. Nie

281 zaniedbaj napisać i uwiadomić nas, co
zamyślasz uczynić, a ja ci zawsze odpowiem,
gdyż wielki Allach zesłał nam niewolnika
chrześcijańskiego, który umie mówić i pisać
twoim językiem tak dobrze, jak ten list tego dowodzi. Możesz nas więc bez obawy
zawiadomić o wszystkim, co zamierzasz. Co się tyczy tego, że po
przybyciu do chrze-

ścijskiego kraju masz zostać moją żoną, ja ci to przyrzekam jako dobry
chrześci- janin, a wiedz, że chrześcijanie lepiej obietnic dotrzymują niż
Maurowie. Allach i Marien, Matka Jego, niech cię strzegą, pani moja.

Ten list napisany i zapieczętowany czekał dwa dni, aż kaźn opustoszeje, jak się często
zdarzało; wyszedłem zaraz na zwykłą przechadzkę po tarasie, by zobaczyć, czy trzcina
się nie pojawi, i niebawem ukazała się. Ujrzał ją, choć nie mogłem dostrzec, kto
ją trzyma, pokazałem list, dając znak, aby nić spuścić. Ale ta

była już uwiązana do trzciny: przyczepiłem list i wnet ukazała się nasza gwiazda z
zawężloną białą chorągwią pokoju. Kiedy ją opuściła, podniósł ją i znalazłem w
płótnie ponad pięćdziesiąt talarów w różnorodnej monecie srebrnej i złotej, które
pięćdziesięciokrotnie zmogły naszą radość i utwierdziły nadzieję odzyskania
wolności. Tej samej nocy wrócił nasz poturczeniec i powiadomił nas, że jak się dowie-
dział, w domu owym mieszka tenże Maur, o którym nam mówiono, zwie się Hadżi
Murad, jest niesłychanie bogaty i ma córkę jedynaczkę, dziedziczkę całego majątku i
wedle powszechnego zdania najpiękniejszą białogłówce Berberii. Wielu wicekrólów
tam przybywających chciało ją za żonę, ale ona nigdy za mąż iść nie chciała;
również dowiedział się, że Maur miał niewolnicę chrześcijankę, która umarła;
wszystko to zgadzało się z tym, o czym list donosił.

Złożyliśmy naradę z poturczeniem, w jaki sposób można by Mauretankę wykraść i
przedostać się pospołu do chrześcijańskiego kraju. W końcu postanowiliśmy na razie
czekać na drugą wiadomość od Zoraidy, tak bowiem zwała się ta, która obecnie chce
nosić imię Maria. Zdaliśmy sobie dobrze sprawę, że jedynie ona, a nikt inny, może
nam znaleźć sposób, aby wszystkie trudności pokonać. Kiedyśmy to postanowili,
poturczeniec rzekł, abyśmy się nie kłopotali, bo raczej utraci życie,
a nam wolność przywróci. Przez cztery dni kaźn
była pełna ludzi, i dlatego też trzcina się nie
pokazywała. Kiedy zwykła pustka nastąpała, pojawiła
się trzcina z zawiniąt-

kiem tak wydętym, że najszczęśliwszy poród zapowiadało. Trzcina z chustką pochyliła się ku mnie, znalazłem w niej list i sto złotych talarów bez żadnej innej monety.

Właśnie renegat był obecny, daliśmy mu list do przeczytania w naszej budzie, on nam podał, co zawiera:

Nie wiem ja, panie mój, co przedsiewziąć, aby udać się do Hiszpanii, a Lela Marien nic mi nie powiedziała, choć jej pytałam; jedno co w mojej mocy, to przez to okno spuszczać wam najwięcej złotych pieniędzy, wykupcie siebie za nie i waszych przyjaciół. Niech jeden z was uda się do kraju chrześcijan, zakupi tam barkę i zwróci po innych. Mnie zaś znaleźć będzie można w ogrodzie mego ojca przy bramie Babazon, w pobliżu morza, gdzie spędzię lato z ojcem i służbą. Stamtąd nocą będącie mogli mię porwać bez obawy i doprowadzić do barki. Pamiętaj, że masz być moim mężem, bo jeśli nie zechcesz, poproszę Marien, by cię ukarała. Jeżeli nie masz 282 nikogo zaufanego, aby go wysłać po barkę, wykup się i jedź sam; wiem, że powrócisz rychlej niż kto inny, jesteś bowiem szlachcic i chrześcijanin. Dowiedz się, gdzie nasz ogród, kiedy zaś będziesz się tutaj przechadzał, poznam, że kaźń jest pusta i dam ci wiele pieniędzy. Niech Allach ma cię w opiece, panie mój. To były słowa w drugim liście zawarte; po przeczytaniu go każdy gotów był dać się wykupić i przyczeknął wyruszyć i powrócić z całą dokładnością, ja również ofiarowałem się to uczynić. Wszystkiemu sprzeciwił się poturczenniec, mówiąc, iż w żaden sposób nie zezwoli, aby ktokolwiek wyszedł na wolność, póki wszyscy pospolu zwolnieni nie będąmy; doświadczenie bowiem wykazało, jak źle dotrzymują uwolnieni brańcy słowa danego w niewoli. Nieraz już jacyś znakomici jeńcy tego środka się chwytali, wykupując jednego, który jechał do Walencji czy Majorki

z pieniędzmi na wyekwipowanie barki, aby powrócić po tych, którzy go wykupili, i nigdy nie wracał. Tak wolność odzyskana i lęk przed jej utratą wymazują z pamięci wszelkie zobowiązania. A na poparcie prawdy swych słów przytoczył pokrótce zdarzenie, jakie w tym czasie spotkało pewnych chrześcijańskich szlachciców, najdziwniejsze z wszystkich, jakie miały miejsce w tych stronach, gdzie na każdym kroku zdarzają się rzeczy zdumiewające i przerażające. Na koniec rzekł, że należy i można zrobić rzecz jedną, a mianowicie dać jemu owe pieniądze przeznaczone na okup, aby zakupił w Algierze barkę pod pozorem, że chce zostać kupcem i handlować z Tetuanem oraz z wybrzeżem; kiedy raz będzie panem barki, znajdzie łatwo sposób, aby nas z kaźni wydobyć i na pokład zabrać. Tym bardziej, jeżeli Mauretanka da, jak mówi, pieniądze na wykupienie wszystkich, których jako uwolnionych bardzo łatwo można będzie i w biały dzień zaokrętować; największa trudność leży w tym, że

Don Kichote - Miguel Cervantez

Maurowie nie zezwalają poturczeńcom posiadać czy kupować barkę, chyba wielki statek korsarski na rozbój, a to dlatego, że lękają się, zwłaszcza jeśli kupujący jest Hiszpanem, że czyni to jedynie w celu przedostania się do ziemi chrześcijan, on jednak usunie tę trudność, przyjmując Maura Tagaryńca jako współwłaściciela barki i zysku z handlu, i pod tą pokrywką stanie się panem barki, zaś

resztę uważa za sprawę załatwioną. I choć mnie i towarzyszom moim zdawało się, że lepiej byłoby posłać po barkę na Majorkę, jak pisała Mauretanka, nie śmieliśmy się sprzeciwić z obawy, że jeśli mu po myśli nie pójdziemy, wyda nas i narazi na niebezpieczeństwo utraty życia, a gdyby się sprawa Zoraidy wydała,

także i ją, za

której życie oddalibyśmy byli wszyscy nasze. Więc postanowiliśmy oddać się w ręce Boga i w ręce poturczeńca, i natychmiast odpowiedzieliśmy Zoraidzie, donosząc, że postąpimy we wszystkim wedle jej rady, która była tak dobra, jakby Lela Marien ją natchnęła, i że od niej tylko zależy, czy sprawę ma się odłożyć, czy też natychmiast w czyn wprowadzić. Jeszcze raz powtórzyłem przyczeczenie, że będę jej mężem, i na to, na drugi dzień, kiedy kaźn była pusta, kilkakroć za pomocą trzciny

i chustki przysłała nam dwa tysiące talarów złotych oraz list donoszący, że w pierwszą jurną, czyli w piątek, udaje się do ogrodu ojca, ale przedtem da nam jeszcze więcej pieniędzy; jeżeli to nie wystarczy, należy ją powiadomić, a dostarczy nam, ile zażądamy, ojciec jej bowiem ma ich tyle, że nie zwróci to jego uwagi, tym bardziej że u niej są wszystkie klucze. Daliśmy zaraz pięćset talarów poturczeńcowi na zakup

283

barki; za osiemset talarów ja sam się wykupiłem, powierzywszy pieniądze pewnemu kupcowi z Walencji, który podówczas bawił w Algierze. Wykupiłem się od króla, ale na słowo zobowiązując się złożyć okup, skoro tylko pierwszy okręt z Walencji przybije. Gdyby bowiem dał pieniądze od razu, wzburdziłby był w królu podejrzenie, że okup mój od dłuższego czasu leżały w Algierze i że ów kupiec dla zysku za-

taił to. Zresztą mój właściciel był tak przebiegły, że w żaden sposób nie odważyłem się od razu mu pieniądze wypłacić. W czwartek przed piątkiem, w który piękna Zoraida miała udać się do ogrodu, dała nam jeszcze tysiąc talarów i zawiadomiła o swym wyjeździe, prosząc mię, abym natychmiast, skoro się wykupię, dowiedział się, gdzie jest ogród jej ojca, i znalazła koniecznie sposób, by się tam udać i zoba-

czyć się z nią. Odpowiedziałem w kilku słowach, że tak uczynię, ona zaś niech nie zapomina polecać się Leli Marien w tych wszystkich modlitwach, jakich ją niewolnica nauczyła.

Potem postarałem się o wykupienie moich trzech towarzyszy, aby ułatwić im wyjście z kaźni, a także, aby gdy zobaczą, że ja się wykupiłem, oni zaś nie, choć pieniądze na to były, nie oburzyli się i aby diabeł nie podszeptał im jakiegoś czynu na zgubę Zoraidy. Choć wiedząc, kim byli, mogłem być o to spokojny, nie chcąc jednak narażać sprawy, wykupiłem ich w ten sam sposób jak siebie, wręczając wszystkie pieniądze kupcowi, aby pewnie i spokojnie mógł za mnie zaręczyć, ale bynajmniej nie wyjawiliśmy mu naszej tajemnicy i spisku - byłoby to zbyt niebezpieczne.

ROZDZIAŁ

CZTERDZIESTY

PIERWSZY w którym
braniec dalej opowiada
swoje losy

Nie upłynęło dwa tygodnie, a nasz poturczeniec zakupił doskonałą barkę, która mogła pomieścić ponad trzydzięciu osób. Aby działać bezpieczniej i skryciej, wykonał, co postanowił, i pożeglował do miejscowości zwanej Sargel o trzydzięciu mil od Algieru w stronę Oranu, gdzie jest żywy handel suszonymi figami. Dwa lub trzy razy odbywał tę drogę w towarzystwie owego Maura z pogranicza, o którym wspomniałem. Tagaryńcami bowiem nazywają w Berberii Maurów pochodzących z Aragonii, zaś Maurów z Grenady zowią Mudeharami; w królestwie Fezu tych ostatnich nazywają Elczami. Oni to najczęściej stanowią siłę zbrojną króla. Tak więc poturczeniec, ilekroć przepływał ze swoją barką, zarzucał kotwicę w małej zatoce, leżącej o dwa strzelenia z kuszy od ogrodu, gdzie oczekiwała Zoraida; tam zatrzymywał się naumyslnie ze swymi mauretańskimi chłopcami od wioseł, czy to aby odprawiać modlitwę, czy to próbując niby żartem dokonać tego, co

naprawdę zamyślał. I tak wchodził do ogrodu Zoraidy, prosząc o owoce, które mu jej ojciec dawał,

nie znając go wcale; ale choć chciał -jak mi potem mówił - porozumieć się z Zo-
284 raidą i zawiadomić ją, że to on właśnie z mego rozkazu ma ją zawieźć na ziemię chrześcijańską, ażeby była zadowolona i pewna, nie udało mu się to ani razu, bowiem Mauretanki nie pokazują się żadnemu Maurowi czy Turkowi bez rozkazu męża czy ojca; brańcom chrześcijańskim natomiast pozwalają zbliżać się i przestawać z sobą częściej nawet, niżby rozsądek nakazywał. Co do mnie, nie byłbym rad, gdyby był z nią mówił; może czułaby się niespokojna, widząc swą sprawę powierzoną słowom zaprzańca. Bóg jednak inaczej zrządził i nie nadarzył poturczeńcowi sposobności do spełnienia tego zamiaru. Widząc, jak bezpiecznie jeździ do Sargelu tam i z po-

wrotem, zarzuca kotwicę, kiedy i gdzie zechce, zaś towarzysz jego pogranicznik, nie mając własnej woli, jeno jego zleceniem się kieruje, a że ja już byłem wykupio-

ny, pozostawało jedynie wyszukać kilku chrześcijan do wioseł; polecił mi rozejrzeć się, kogo chcę zabrać z sobą oprócz już wykupionych, i umówić ich na przyszły piątek, który oznaczył jako dzień naszego wyjazdu. Wobec tego umówiłem się z dwunastu Hiszpanami, dzielnymi wioślarzami, spomiędzy takich, którym wolno było swobodnie wychodzić z miasta; a nie było łatwo znaleźć ich tylu w tych okolicznościach, gdyż właśnie dwadzieścia okrętów wypłynęło na korsarską wyprawę, zabierając całą załogę wioślarską; nie byłbym ich znalazły, gdyby nie to, że właśnie ich pan nie wyruszał przez lato na rozbój, chcąc wykończyć galerę, którą miał w stoczni. Nie zdradzając się z niczym, poleciłem im, aby w najbliższy piątek pod

wieczór wyszli po jednemu i po kryjomu udali się w kierunku ogrodu Hadżi Murada i tam czekali, aż nadejdę. Dałem to polecenie każdemu na osobności, rozkazując innym tam spotkanym chrześcijanom mówić jedynie, że kazałem im w tym miejscu czekać; po załatwieniu tego pozostała mi sprawa inna, ważniejsza dla mnie, a to zawiadomić Zoraidę, jak sprawy stoją, aby była gotowa i uprzedzona i nie przeraziła się, jeśli ją niespodziewanie porwiemy, znacznie przed czasem potrzebnym, wedle jej wyobrażenia, na powrót chrześcijańskiej barki. Postanowiłem więc udać się do ogrodu i spróbować z nią mówić. Przeto pod pozorem zbierania pewnych ziół, w przeddzień odjazdu poszedłem tam i pierwszą osobą, jaką spotkałem, był jej ojciec, który przemówił do mnie językiem, jaki jest w użyciu w całej Berberii, a na-

wet w Konstantynopolu między niewolnikami i Maurami, a który nie jest ani mauretańskim, ani kastylskim, ani językiem żadnej innej nacji, jeno jakoby mieszaniną wszystkich języków pospołu; porozumiewamy się nim wszyscy. W tym więc języku zapytał mnie; czego szukam w jego ogrodzie i do kogo należę. Odpowiedziałem, że jestem brańcem Arnauty Mamiego (wiedziałem bowiem dobrze, że był to jego największy przyjaciel) i że szukam rozmaitych ziół na sałatę. Zapytał mnie dalej, czy jestem przeznaczony do wykupu i wiele pan mój za mnie żąda. W czasie tych pytań i odpowiedzi Zoraida, która już od dobrej chwili mię spostrzegła,

wyszła z domu do ogrodu. A jako Mauretanki nigdy nie robią ceregieli z pokazywaniem się chrześ-

cijanom ani nie unikają ich, jak już powiedziałem, nic jej nie przeszkadzało podejść ku ojcu, stojącemu przy mnie; przeciwnie, kiedy ojciec spostrzegł, że nadchodzi, z daleka przywołał ją, aby się zbliżyła.

Niepodobieństwem byłoby dziś opisać wielką urodę, wdzięk oraz strój wspaniały i bogaty, w którym ukochana Zoraida ukazała się moim oczom; powiem jedynie, że więcej, niż miała włosów na głowie, wisiało pereł na jej naj cudowniejszej

285

szyi, uszach i lokach. Na kostkach nóg, które ich zwyczajem były odsłonięte, nosiła dwie obręcze (są to jakby bransolety, czyli manele na nogi u Maurów) z najczystszego złota, tyle tam było wprawionych diamentów, że ojciec jej, jak mi później powiedziała, ocenił je na dziesięć tysięcy dublonów, te zaś, które na kostkach rąk nosiła, warte były drugie tyle. Pereł było mnóstwo, i to przepięknych, najwyższym

bowiem zbytkiem i ozdobą Mauretanki jest ustroić się w szlachetne perły i w rosę perłową, stąd też u Maurów więcej znajdziesz pereł szlachetnych i rosów perłowej niżli u wszystkich innych narodów. Ojciec Zoraidy uchodził za właściciela wielkiej

ilości najpiękniejszych pereł w Algierze, prócz tego miał mieć ponad dwieście tysięcy talarów hiszpańskich, panią zaś tego wszystkiego była ta, która dziś jest moją

panią. Można sobie wyobrazić, jak musiała być piękna wtedy w tym stroju! Wnosić można z resztek urody, jakie jej po tylu trudach pozostały, jak piękną być musiała w czasach pomyślności. Wiadomo bowiem, że uroda niektórych białogłów ma swoje dni i okresy, raz maleje, raz wzrasta; oczywista, że namiętności duszne bądź podnoszą ją, bądź obniżają, a najczęściej ją niweczą. Jednym słowem, wówczas zjawiła się najcudniej przystrojona, w najwyższym rozkwicie piękności, mnie przynajmniej wydawała się najurodzisza ze wszystkich, jakie dotąd widziałem; jeśli dodam do tego, jak wiele byłem jej winien, miałem wrażenie, że stanęła przede mną bogini z niebios, która na ziemię zstąpiła, aby mię wybawić i uszczęśliwić. Kiedy się przy-

bliżyła, ojciec jej w ich języku powiedział, że jestem brańcem jego przyjaciela Arnauty Mamiego i że przyszedłem szukać sałaty. Ona zwróciła się do mnie i owym mieszanym językiem, o którym wspomniałem, zapytała, czy jestem szlachcicem i dlaczego się nie wykupiłem. Odpowiedziałem, że jestem już wykupiony, zaś z sumy, jaką zapłaciłem, wnosić można, jak bardzo mię mój pan cenił, zapłaciłem bowiem jemu tysiąc pięćset sułtanów. Na to ona odpowiedziała:

«Zaiste, gdybyś był brańcem ojca mego, sprawiłbym, że i za dwakroć większą sumę nie wykupiłbyś się; wy, chrześcijanie, kłamiecie w każdym słowie i udajecie ubogich, aby Maurów oszukać».

«Bardzo to być może, pani - odpowiedziałem - ja jednak rzekłem prawdę memu panu i mówię ją, i zawsze mówić będę wszystkim spotkanym na świecie».

«Kiedy więc odjeżdżasz?» - zapytała Zoraida.

«Myślę, że jutro - powiedziałem - przybił tu jeden statek francuski, który jutro rozwija żagle, chcę na nim odpłynąć».

«Czyż nie lepiej - odrzekła Zoraida - byłoby zaczekać, aż zawią statki z Hiszpanii i odpłynąć z nimi miast z Francuzami, którzy dla was przyjaźni nie żywią?» «Nie - odpowiedziałem - chociaż gdyby wieść o przybyciu statku z Hiszpanii okazała się prawdą, może bym zaczekał, jednak pewniej jest odpłynąć jutro. Żywię bowiem we mnie takie pragnienie ujrzenia mej ziemi ukochanej i ukochanych osób, że nie zwoli mi czekać innej sposobności, choćby i lepszej, ale późniejszej». «Musisz być zapewne żonatym w tym kraju - rzekła Zoraida - i dlatego tak pragniesz żonę twą zobaczyć». «Nie jestem żonaty - odparłem - ale dałem słowo, że ożenię się po powrocie». «Zali piękna jest pani, której słowo dałeś?» - zapytała Zoraida.

«Tak piękna - odpowiedziałem - że aby ją wysławić i rzec prawdę, całkiem do ciebie podobną». Na to roześmiał się dobrodusznie jej ojciec i rzekł:

«Na Ałłacha, chrześcijaninie! Musi ona być bardzo piękna, jeśli do córki mej podobna, która jest najpiękniejszą w tym królestwie. Zali nie tak? Przypatrz się jej dobrze, a zobacysz, że prawdę powiadam».

Najczęściej w tej rozmowie służył mi za tłumacza ojciec Zoraidy, jako najbardziej biegły w lingua franca bo choć ona mówiła owym zwiedzionym żargonem, tam -jak wspomniałem - używanym, ale raczej myśli swe wyrażała na migi niż słowami. Kiedyśmy tak rozmawiali o tym, krzew i mur ogrodu przeskoczyło czterech Turków i zrywali owoce, choć niedojrzałe. Wzdrygnął się starzec, a także Zoraida: przyrodzony bowiem i naturalny jest lęk Maurów przed Turkami, a w dodatku żołnierzami, którzy są tak bezczelni i taką władzę mają nad Maurami, swymi poddanymi, że obchodzą się z nimi gorzej, niż gdyby ich niewolnikami byli. Ojciec rzekł tedy do Zoraidy:

«Córko, wracaj do domu i zaprzyj drzwi. Ja pójdę pogadać z tymi psami. Ty, chrześcijaninie, szukaj swych ziół i zawracaj co rychlej, a niech cię Ałłach szczerśliwie do ojczyzny doprowadzi».

Skloniłem się, on poszedł szukać Turków, zostawiając mnie samym z Zoraidą, która zraza udawała, że chce odejść, jak ojciec przykazał, ale zaledwie skryły go drzewa ogrodu, ona, zwracając się do mnie z oczyma pełnymi łez, rzekła: «Tamsziszi, chrześcijaninie, tamsziszil» - co miało znaczyć: odjeżdżasz, chrześcijaninie, odjeżdżasz?

Na co odpowiedziałem:

«Tak, pani, ale nigdy bez ciebie, czekaj na mnie w najbliższy piątek i nie przestrasz się, kiedy nas zobaczysz. Z całą pewnością udamy się w chrześcijańskie kraje».

Mówiłem to w taki sposób, że zrozumiała doskonale wszystkie słowa, jakie wymieniliśmy, i zarzuciwszy mi ręce na szyję, chwiejnym krokiem skierowała się ku domowi; traf chciał - mogło to być naszą zgubą, gdyby niebo inaczej nie zrządziło - że kiedyśmy tak oboje kroczyli z ramieniem zarzuconym na szyję, jak rzekłem, ojciec jej, który wracał już, przepędziwszy Turków, zobaczył nas w tej postawie i myśmy sobie zdali sprawę, że nas widział. Lecz Zoraida, sprytna i roztropna, nie zdjęła ramion z mej szyi, przeciwnie, bliżej jeszcze przymknęła się, składając mi głowę na

piersi, uginając nieco kolana i zdradzając jawne objawy omdlenia, ja rów-

nież udałem, że podrzymuję ją wbrew mej woli. Ojciec jej podbiegł ku nam i widząc córkę w tym stanie, zapytał, co jej się stało, kiedy mu na to nie odpowiedziała, rzekł: «Niechybnie przestrach wywołany wtargnięciem tych psów przyprawił ją o omdlenie».

I odjawszy ją ode mnie, przycisnął do piersi, zaś ona westchnawszy, a nawet z oczyma z łez nieotartymi, zwróciła się do mnie i rzekła: lingua franca- gwara złożona z elementów języków krajów śródziemnomorskich, używana w portach M. Śródziemnego.

287

«Ameszi, chrześcijaninie, amesz» - to znaczy: odejdź, chrześcijaninie, odejdź.

Na to ojciec jej rzekł:

«Cóż ci na tym zależy, aby ten chrześcijanin odszedł, on ci nic złego nie zrobił.

Turcy już uciekli. Nie masz się czego lękać, bo nie masz nic, co mogłoby ci być przykre. Powiedziałem ci już, Turcy na moje wezwanie zawrócili, którzy przyszli».

«To oni, panie, przerazili ją, jak dobrze rzekliście - powiedziałem ojcu - skoro jednak ona każe mi się oddalić, nie chcę jej robić przykrości: ostańcie w pokoju, a z pozwoleniem waszym powróćę, kiedy będzie potrzeba, po zioła z tego ogrodu, bo jak mój pan twierdzi, nigdzie nie ma lepszych na sałatę jak tutaj».

«Ile razy zechcesz, możesz powracać - odparł Hadżi Murad - córka moja nie rzekła ci tych słów dlatego, jakoby ty czy inni chrześcijanie byli jej przykrzy, ale chcąc rzec, żeby Turcy poszli precz, powiedziała, żebyś ty poszedł sobie albo że już czas, abyś ziół swych szukał». Na to pożegnałem się zaraz z obojgiem; Zoraida z sercem rozdartym, jak się zdawało, odeszła z ojcem, ja zaś pod pozorem zbierania ziół znów krążyłem do woli

po całym ogrodzie, oglądałem dobrze wszystkie wejścia i wyjścia, umocnienia domu oraz wszelkie okoliczności, które mogły naszą wyprawę ułatwić. Po czym wróciłem i zdałem sprawę renegatowi i mym towarzyszom z tego, co zaszło, nie mogąc się doczekać godziny, kiedy bez trwogi będę się cieszył szczęściem, jakim mię los w postaci uroczej i pięknej Zoraidy obdarzył.

Wreszcie upłynął czas i nastął dzień tak bardzo przez nas upragniony. Wszyscy trzymaliśmy się planu i pomysłu, jaki po dojrzałej rozwadze i drugiej naradzie kilkakrotnie ustaliliśmy i przywiedli do upragnionego skutku. Bowiem w piątek, który nastął po dniu mej z Zoraidą rozmowy w ogrodzie, nasz poturczeniec z nadejściem nocy zarzucił kotwicę naprzeciw domu, w którym piękna Zoraida

mieszkała. Chrześcijanie, którzy mieli wiosłować, zostali uprzedzeni i ukryci w różnych miejscach.

scach całej tej okolicy. Wszyscy czekali w radosnym napięciu na mnie, pałając już chęcią owładnięcia statkiem, jaki przed oczyma mieli. Nie wiedzieli bowiem nic o tym układzie z poturczeńcem i byli przekonani, że trzeba będzie siłą zdobywać wolność, zabijając Maurów zajmujących barkę. Skoro tylko zjawiłem się z mymi towarzyszami, wszyscy inni ukryci, spostrzegłszy nas, wyszli się z nami połączyć. Była to pora, kiedy bramy miasta były już zamknięte i żywej duszy w porcie widać nie było. Kiedyśmy się zebrały, wahaliśmy się, czy lepiej najpierw pójść po Zoraidę, czy raczej obezwładnić Maurów bagarynów, którzy byli przy wiosłach w barce. Kiedy tak staliśmy niepewni, nadszedł ku nam nasz poturczeniec i zapytał, czemu się ociągamy, teraz bowiem pora jest stosowna, gdyż Maurowie niczego się nie spodziewają, a większość ich śpi. Powiedzieliśmy, nad czym rozmyślaliśmy, on zaś odparł, że najważniejszą sprawą jest wpierw owładnąć statkiem, co można właśnie przeprowadzić z największą łatwością i bez żadnego niebezpieczeństwa, a natychmiast potem możemy pójść po Zoraidę. Przyznaliśmy mu słuszność we wszystkim i już nie tracąc czasu, za jego przewodem doszliśmy do statku. Poturczeniec pierwszy skoczył na statek, wyciągnął bułat i zwołał po mauretańsku: bagaryni - żeglarze. 288 «Niech nikt ruszyć się nie waży, jeśli życia postradać nie chce!» Tymczasem wskoczyli za nim prawie wszyscy chrześcijanie. Maurowie tchórzliwi, słysząc, jakim tonem ich naczelnik przemawia, znieruchomili z przerażenia,

żaden po broń nie sięgnął, której zresztą albo całkiem nie mieli, albo bardzo nie wiele, i bez słowa pozwolili się wziąć w łyka chrześcijanom, którzy powiązali ich

z wielką chyzością, grożąc Maurom, że gdyby który jakikolwiek okrzyk podniósł, wszystkich przebiją nożami. Dokonawszy tego, połowa naszych została na straży, zaś druga, prowadzona dalej przez poturczeńca, wtargnęła do ogrodu Hadzi Murada, a traf szczęśliwy zdarzył, że furtka, gdyśmy ją wyważyć chcieli, wcale zamknięta

nie była. I tak w wielkiej ciszy i milczeniu doszliśmy do domu niezauważeni przez nikogo.

Najcudowniejsza Zoraida czekała nas przy oknie. Kiedy usłyszała ludzi, szeptem spytała, czy jesteśmy nizarani, to jakby pytała, czyśmy chrześcijanie. Odpowiedzieliśmy, że tak, i prosiłem, by zeszła. Poznawszy mnie, nie zwlekała ni-

chwili i ukazała się nam wszystkim w takiej krasie i tak bogato odziana, że i wyrazić nie

sposób. Zaledwie ją ujrzałem, schwyciłem jej rękę i ucałowałem pierwszy, poturczeniec podobnie, a za nim moi towarzysze; inni, o niczym nie wiedząc, poszli za naszym przykładem. Zdawało się, że dziękujemy jej i uznajemy w niej sprawczynię naszej wolności. Poturczeniec zapytał japo mauretańsku, czy ojciec jest na letnisku. Odpowiedziała, że tak, ale śpi.

«Trzeba go zatem obudzić - odparł poturczeniec - i zabrać z nami wraz ze wszystkimi skarbami tej pięknej wilii».

«Nie - zawała Zoraida - żadną miarą nie tykajcie ojca. W domu tym nie masz nic ponad to, co zabrałam z sobą, a to wystarczy, abyście wszyscy byli zadowoleni i bogaci. Poczekajcie nieco, a zobaczycie».

To rzekłszy, wbiegła do domu, zapewniając, że natychmiast powróci. Poleciła nam stać cicho, nie czyniąc żadnego hałasu. Zapytałem renegata, o czym była mowa, a kiedy powiedział mi, poleciłem, aby we wszystkim stosowali się do woli Zoraidy.

Ta wróciła obarczona kasetą pełną złotych talarów, a było ich tyle, że ledwie ją udźwignąć mogła. Nieszczęście chciało, że ojciec jej właśnie się przebudził i usłyszał zgiełk w ogrodzie. Zbliżywszy się do okna, poznał natychmiast, że wszyscy tam zebrani to chrześcijanie, więc począł wołać wielkim, przerąźliwym

głosem raz po raz po

arabsku: «Chrześcijanie!

Chrześcijanie! Zbójcy!

Zbójcy!»

Krzyki te wszystkich nas ogromnie zmieszały i przeraziły, ale poturczeniec widząc niebezpieczeństwo nam grożące i jak ważną rzeczą było ukończyć dzieło, zanim nas odkryją, z największą chyżością wpadł do komnaty, gdzie się Hadżi Murad znajdował, a za nim skoczyło kilku naszych. Ja nie śmiałem opuścić Zoraidy, która na wpół omdlała padła w me ramiona. Tymczasem owi, co na góre wpadli, tak rychło się uwinęli, że niebawem zeszli z Hadżi Muradem, wiodąc go ze skrępowanymi rękoma, z kneblem w ustach, który nie pozwalał mu słowa przemówić i grożąc mu, że za jedno słowo życiem zapłaci. Kiedy ujrzała go córka, zakryła oczy, aby nie patrzeć, ojciec zaś przeraził się, nieświadom, że z własnej woli oddała się nam w ręce. Ale teraz najpilniejszą sprawą było wziąć nogi za pas, z pośpiechem i szybkością dobiegliśmy do statku, gdzie pozostawieni przez nas czekali w obawie, czy się nam co złego nie stało.

Była zaledwie druga po północy, kiedy się wszyscy w barce znaleźli, tam ojcu Zoraidy zdjęto więzy z rąk i knebel z ust, ale renegat powtórnie mu zagroził, że jeśli słówko piśnie, utraci życie. Ten, ujrzał tam swoją córkę, zaczął najżałośniej wzdychać, a jeszcze bardziej, kiedy spostrzegł, że ją czule obejmuję, ona zaś nie bronii

się, nie skarży się ani nie umyka, lecz spokojnie to przyjmuje. Jednak zmilczał w obawie, aby poturczeniec licznych swych gróźb nie dopełnił. Zoraida, widząc, że wszyscy już są w barce i że wiosła na wodę spuszczają zamierzamy, ojciec zaś jej oraz inni Maurowie w łykach, rzekła poturczeńcowi, aby wyprosił u mnie łaskę zwolnienia owych Maurów i przywrócenia swobody ojcu, raczej bowiem w morze się rzuci, niż oczy jej oglądać będą ojca, który ją tak bardzo miłował, uprowadzo-

nego w niewolę za jej przyczyną. Poturczeniec powtórzył mi to, ja zaś chętnie się zgodziłem, ale ów zwrócił mi uwagę, że nie byłoby korzystne dla sprawy wypuszczać ich tutaj, bo zaraz zaalarmują kraj i miasto podburzą, wskutek tego puszczą się za nami lekkie fregaty w pogon i tak nas osiągną na ziemi i na morzu, że ujść nie będzie sposobu. Można będzie natomiast przywrócić im wolność, kiedy przybijemy do najbliższego chrześciańskiego lądu. Zgodziliśmy się na to wszyscy i Zoraida również przystała, kiedyśmy jej przedłożyli, dlaczego nie możemy zaraz spełnić jej prośby. Wnet też w skupionej ciszy, ale z radosną pilnością każdy z naszych

dzielnych wioślarzy zaczął wiosłami pracować. Poleciwszy się Bogu z całego serca, zaczęliśmy żeglować w kierunku wyspy Majorki, która jest najbliższym chrześciańskim lądem. Ponieważ jednak dął lekki wiatr północny i morze było nieco wzburzone, nie mogliśmy płynąć wprost ku Majorce, ale byliśmy zmuszeni żeglować wzdłuż brzegów ku Oranowi, co nas bardzo martwiło, z obawy, aby nas nie dostrzeżono w Sargelu, leżącym o sześćdziesiąt mil od Algieru. Baliśmy się również spotkać w tych stronach jakąś galeotę wracającą zwykle z Tetuanu z towarem, choć każdy w sobie i wszyscy pospolu przypuszczaliśmy, że jeżeli spotkamy galeotę kupiecką (byleby tylko nie był to statek korsarski), nie będzie to nam na zgubę, ale, przeciwnie, zawładniemy nią i już na jej pokładzie bezpieczniej będziemy mogli dokończyć żeglugi. Kiedyśmy tak żeglowali, Zoraida głowę swoją złożyła w moje dlonie, aby nie widzieć ojca, i słyszałem, jak wzywała Lela Marien, aby nas wspomogła.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Upłynęliśmy dobrych trzydzieści mil; kiedy zaczęło dnieć, byliśmy o trzy strzelenia z rusznicy od ziemi, była ona bezludna, nie dostrzegliśmy nikogo, kto by nas mógł wyśledzić, ale mimo to wysiłkiem wioseł wypłynęliśmy głębiej na morze, które było już spokojniejsze. Kiedyśmy tak dwie mile przepłynęli, wydano rozkaz wiosłowania na zmianę, aby można się nieco posilić, barka bowiem miała dosyć żywności; wioślarze jednak odpowiedzieli, że nie czas na żaden spoczynek, niech jedzą, którzy

nie wiosłują, zaś oni wioseł żadną miarą z rąk nie wypuszczą. Tak się stało, ale wówczas zerwał się półwiatr, który nas zmusił do rozwinięcia żagli, porzucenia wioseł

i skierowania się ku Oranowi, inny bowiem kierunek był niemożliwy. Wszystko to z wielką szybkością zostało wykonane i odtąd pod żaglami płynęliśmy przeszło osiem mil na godzinę, lękając się jedynie spotkania z jakimś korsarskim statkiem. Dali290

śmy jeść Maurom bagarynom, zaś renegat pocieszał, ich zapewniając, że nie sajeńcami i przy pierwszej sposobności wróci im wolność. To samo powiedział i ojcu Zoraidy, ten jednak rzekł:

«Móglbym czego innego spodziewać się po waszej szlachetności i wielkoduszności, o chrześcijanie! Jednak nie bierzcie mię za tak głupiego, iż uwierzę, że mi wolność wrócie. Nie narażalibyście się na takie niebezpieczeństwo, aby mię jej pozbawić, a teraz mi ją tak szczodrze przywracać, osobliwie gdy wiecie, kim jestem i jaką korzyść możecie z tego wyciągnąć. Jakąkolwiek sumę wyznaczycie na okup, natychmiast ofiaruję wam wszystko, co tylko zechcecie, za siebie i za tę nie-

szczęsną córkę moją- a jeśli nie, to przynajmniej za nią samą, która jest najważniejszą i najlepszą częścią mej duszy».

To rzekłszy, zaczął płakać tak gorzko, że u wszystkich nas litość wzbiudził, a Zoraidę zmusił, by nań spojrzała. Widząc go tak płaczącym, wzruszyła się, wstała od mych kolan, podeszła uściaskać ojca. Twarz swą przytuliła do jego twarzy i zaczęli oboje tak rzewnie płakać, iż wielu naszych im zawtórowało. Jednak ojciec, ujrzawszy ją tak ustrojoną odświętne, tyloma klejnotami zdobną, rzekł jej w swoim języku: «Cóż to, córko moja, wszakże wczoraj wieczorem, zanim spotkało nas to straszne nieszczęście, w jakim się znajdujemy, widziałem cię w zwykłych domowych szatach, a teraz, choć i czasu na przebranie nie stało ani nie masz żadnej radosnej

wieści, którą byś uczcić miała tym strojem i ozdobami, widzę cię odzianą w najlepsze szaty ze wszystkich, jakie ci dać mogłem i jakie ci kiedykolwiek dałem, kiedy los nam był przychylny. Odpowiedz mi na to, bo niepokoi mię to i zdumiewa bardziej niż sama niedola, jaka mię spotkała».

Renegat tłumaczył nam wszystko, co Maur mówił do córki, ona zaś nie odpowiadała ani słowa. Kiedy jednak ojciec dostrzegł w kącie łodzi szkatułkę, gdzie zwykła chować swe klejnoty, a którą - jak dobrze wiedział - pozostawiono w Algierze i nie zabrano na letnik, doznał jeszcze większego wstrząsu i zapytał, w jaki

sposób owa szkatuła dostała się w nasze ręce i co jej wnętrze zawiera. Na to poturczeniec, nie czekając odpowiedzi Zoraidy, odrzekł:

«Nie trudźcie się, panie, wypytyując córkę waszą Zoraidę o tyle rzeczy, jedną bowiem wystarczającą na wszystko dam wam odpowiedź. Chcę, abyś wiedział, że jest ona chrześcijanką i ona to właśnie była ostrzem, które przecięło nasze pęta i oswobodziło nas z niewoli. Znajduje się tutaj z własnej woli, tak szczęśliwa - jak mniemam - ze swego położenia, jak ten, kto z cienia na światło się wydostanie, z śmierci ku życiu, z mitręgi do chwały». «Prawdę-li powiada on, córko?» - zapytał Maur. «Jest tak» - odpowiedziała Zoraida.

«Więc istotnie - rzekł starzec - jesteś chrześcijanką i to ty podałaś ojca w ręce wrogów?» Na to odrzekła Zoraida:

«Tak, jestem chrześcijanką, ale nie jam cię do tego stanu przywiadła, nigdy bowiem nie chciałam ciebie odstąpić ani źle z tobą się obejść, jeno sobie szczęście zdobyć». «Cóż to za szczęście, córko?» 291 «Zapytaj o to - odparła ona - Lelę Marien, ona ci potrafi wytlumaczyć lepiej niż ja».

Ledwie Maur to usłyszał, jak z niewiarygodną szybkością rzucił się głową w morze. I byłby niechybnie utonął, gdyby go długa i fałdzista szata, jaką nosił, nie zatrzymała przez chwilę na wodzie. Zoraida krzyknęła, aby go ratować, więc pośpieszyliśmy wszyscy i chwyciwszy go za burnus, wyciągnęliśmy na pół tonącego i nieprzytomnego. Zoraida tak się tym zmartwiła, że zaczęła nad nim rzewnie i bolesciwie zawodzić, jakby był nieżywy. Obróciliśmy go ustami na dół, oddał sporo wody i przyszedł do siebie po dwóch godzinach, w czasie których wiatr się obrócił i zmusił nas ku brzegom się skierować. Musieliśmy robić wiosłami, aby nas na nie nie wpędził, ale nasz szczęsnego los sprawił, że zawińeliśmy do zatoki wyżłobionej w

małym półwyspie, a raczej przylądku, zwanym przez Maurów przylądkiem Cava Rumia, co w naszym języku wykłada się przez przylądek «Złej chrześcijanki). Istnieje u Maurów podanie, że w tym miejscu pogrzebiona jest owa Cava, przez którą Hiszpania upadła, bowiem cava w ich języku znaczy: zła niewiasta, a rumia - chrześcijanka. Uważają nawet za zły omen, kiedy zmuszeni są tutaj zapuszczać kotwicę, inaczej nigdy tego nie czynią. Jednak dla nas nie było to siedlisko złej kobiety, ale raczej bezpieczny port ocalenia; morze bowiem było burzliwe. Na ląd wysadziliśmy placówkę, a wioseł z rąk nie wypuszczaliśmy, posililiśmy się żywnością nagromadzoną przez poturczeńca i poleciliśmy się z całego serca Bogu i Matce Bożej, aby nam pomogła i sprzyjała, żebyśmy mogli zakończyć szczęśliwie, co tak pomyślnie się zaczęło. Był na prośbę Zoraidy wydany rozkaz, aby wypuścić na ląd ojca jej i wszystkich innych Maurów, dotąd w łykach będących. Zabrakło jej bowiem odwagi i czuły jej serce znieść nie mogło widoku ojca i ziomków w łykach. Przyrzekliśmy jej spełnić to w chwili odjazdu, gdyż uwolnienie ich nie przedstawiało niebezpieczeństw w tym odludnym miejscu. Snadź modlitwy nasze nie były próżne i wysłuchało je niebo. Na nasze szczęście odwrócił się wiatr i morze uspokoило, pozwalając nam odbić żwawo i dalej zaczętą podróż prowadzić. Widząc to, zdjęliśmy więzy Maurom i jednego po drugim spuściliśmy na ląd ku wielkiemu ich zdumieniu. Ale gdy przyszło do wysadzenia na ląd ojca Zoraidy, który już całkiem był oprzytomniał, rzekł: «Z czegoż wnosicie, chrześcijanie, że ta zła niewiasta cieszyć się będzie, jeżeli mi przywrócicie wolność? Zali mniemacie, że to z litości dla mnie? Nie, zaiste! Czyni to dlatego, by jej nie przeszkadzała obecność moja do zaspokojenia swych niegodnych żądań. Nie sądzcie też, że do zmiany wiary przywiódło ją przekonanie, że wasza

lepsza jest od naszej. Nie to, jeno zwiedziała się, że w waszym kraju swobodniej można oddawać się nierzadowi).

A zwracając się do Zoraidy, gdy tymczasem ja i drugi chrześcijanin trzymaliśmy go mocno za ramiona, aby nie popełnił jakiegoś szaleństwa, rzekł: «O bezwstydną dziewczynko, młodo opętana, dokąd dążysz, ślepa i szalona, oddając się w ręce tych psów, wrogów naszych przyrodzonych? Przeklęta niech będzie godzina, w której cię spłodziłem, i przeklęte niechaj będą starania i pieszczyły, w jakich cię wychowałem)). burnus- długie, szerokie okrycie z kapturem, noszone przez Arabów.

292

Widząc, że nie zamierzał skończyć tak rychło, spiesznie go na ląd wysadziłem, a stamtąd dalej zlorzeczył i lamentował, prosząc Mahometa, by za jego przyczyną

Ałłach nas zniszczył, pograżył, wykończył. A kiedy rozwiniąwszy żagle, nie mogliśmy już słyszeć słów jego, widzieliśmy jego gesty, jak targał brodę, rwał wlosy i tarzał się po ziemi; raz jeszcze podniósł głos tak mocno, że usłyszeliśmy, jak wołał: «Wróć, córko umiłowana, wróć na ląd, wszystko ci przebaczą; oddaj tym ludziom pieniądze, już i tak są w ich mocy, i wracaj pocieszyć twego nieszczęsnego ojca, który w tej pustyni życie postrada, jeśli ty go opuścisz». Wszystkiego tego słuchała Zoraida i zrozpaczona płakała, niezdolna wyrzec ni odpowiedzieć słowa innego, jak tylko:

«Niech Bóg pozwoli, ojcie moj, aby Lela Marien, która sprawiła, że jestem chrześcijanką, pocieszyła cię w tym smutku. Ałłach wie dobrze, że nie mogę postąpić inaczej, jak postąpiłam, i że ci chrześcijanie nie zmuszali mię do niczego; choćbym nawet chciała nie jechać z nimi, lecz w domu pozostać, nie w mojej to mocy, bo dusza mię nagli, aby dopełnić tego, co ja za tak wielkie dobro poczytuję, a co tobie, ojcie ukochany, złem się wydaje».

Tak mówiła, tymczasem ojciec jej nie słyszał i myśmy już go nie dostrzegali; więc pocieszałem Zoraidę, a wszyscy krzatali się przy żegludze, którą ułatwiał nam wiatr pomyślny tak znacznie, że pewni byliśmy już, iż nazajutrz rankiem przybijemy do brzegów Hiszpanii. Ale jak rzadko kiedy, a raczej nigdy szczęście nie jest bez skaz i domieszki, lecz zawsze w ślad za nim idzie jakieś зло, które je mąci i zakłóca, tak i nasz los chciał albo sprawiły to przekleństwa Maura na córkę miotane, których zawsze należy się obawiać, choćby nie wiem, kim był ojciec, który je rzucił. Otóż po godzinie trzeciej w nocy, kiedy znajdowaliśmy się na pełnym morzu

i płynęliśmy z rozwiniętymi żaglami, z wiosłami podniesionymi, bo wiatr przychylny uwalniał nas od konieczności wiosłowania, spostrzegliśmy w świetle jasnego miesiąca tuż obok nas okręt o kwadratowych żaglach, idący z pełnym wiatrem i sterujący nieco przechylony na lewą burtę. Przepływał przed nami, a tak blisko, że byliśmy

zmuszeni ściągnąć żagle, aby się z nim nie zderzyć. Tamci również borykali się ze sterem, aby nam dać wolny przepływ. Ludzie z pokładu statku zaczęli nas wypytywać, kto jesteśmy, dokąd płyniemy i skąd przybywamy, ale że pytano nas o to po francusku, nasz poturczeniec rzekł:

«Nic nie odpowiadajcie. Są to bez ochyby korsarze francuscy, którzy niczemu nie przepuszczają».

Don Kichote - Miguel Cervantez

Na to ostrzeżenie nikt słowa nie przemówił; przepłynęliśmy nieco dalej, tak że barka dostała się pod wiatr i nagle wystrzelono za nami dwukrotnie z armat. Oba pociski były, jak się zdaje, łańcuchowe, gdyż jeden przeciął w połowie nasz maszt, który wraz z żaglami wpadł w morze, a drugi w ślad za nim wystrzelony trafił w sam środek barki i przebił ją na wylot, nie czyniąc nikomu nic złego. Spostrzegł-

szy więc, że idziemy na dno, zaczeliśmy wszyscy głośno ratunku wołać i prosić załogę okrętu, aby nas wzięli na pokład, bo toniemy. Wówczas zwinęli żagle i spuś-

cili szalupę czy barkę na morze, do której weszło około dwunastu Francuzów dobrze uzbrojonych, z muszkietami i zapalonymi lontami, i podpłynęli do nas. Widząc, jak 293 byliśmy nieliczni i że statek nasz tonął, zabrali nas, mówiąc, że była to kara za nie-

grzeczność, gdyż nie odpowiadaliśmy im. Renegat pochwycił szkatułkę ze skarbami Zoraidy i wrzucił ją w morze, nie zwracając niczyjej uwagi. W końcu przedostaliśmy się wszyscy na okręt Francuzów, którzy dowiedziawszy się od nas, co chcieli, jakby byli naszymi śmiertelnymi wrogami, obłupili nas ze wszystkiego, co posiadaliśmy, a Zoraidzie zabrali nawet obręcze, jakie na nogach miała. Jednak nie zmar- twiłem się tym tak, jak martwiła się Zoraida, lękałem się za to, aby po zrabowaniu jej najbogatszych i najwspanialszych klejnotów, nie sięgnęli po klejnot najwyższej wartości, który ona najbardziej ceniła. Ale żądze takich ludzi nie sięgają dalej niż

pieniądze, którymi ich chciwość nigdy się nie nasyci. Ta zaś doszła wówczas do tego, że byliby z nas zdarli i nasze niewolnicze szaty, gdyby mogli z tego zysk wyciągnąć; byli pomiędzy nimi, którzy nas w morze wrzucić chcieli zawiniętych w żaglowe płótno, mieli bowiem zamiar handlować w kilku portach Hiszpanii, podając się za Bretonów, gdyby zaś nas zostawili przy życiu, wyszedłby na jaw ich rabunek i zostaliby ukarani. Ale kapitan, ten sam, który obrabował moją drogą Zo- raidę, powiedział, że wystarczy mu łupu, jaki zabrał, nie chce przybijać do żadnego portu w Hiszpanii, ale przepłynąć Cieśninę Gibraltarską nocą, czy jak się uda, i dostać się do Roszeli, skąd

wypłynął; zgodzili się więc dać nam szalupę okrętową i wszystko, co było potrzebne do tak krótkiej żeglugi, jaka nam została, i tak zrobili następnego dnia, kiedy już widać było ląd hiszpański; na ten widok w jednej chwili zapomniane zostały wszystkie zmartwienia nasze i niedole, jakbyśmy ich nie przeżywali!

Tak wielka jest radość z odzyskania straconej wolności.

Mogło to być około południa, kiedy wysadzono nas na łódź, dając nam dwie beczułki wody i kilka sucharów, zaś kapitan, zdjęty niepojętą litością, kiedy najpiękniejsza Zoraida wsiadała do łodzi, dał jej około czterdziestu złotych talarów i nie pozwolił żołnierzom zdrzeć z niej tych szat, które dotąd nosi. Wsiedliśmy na łódź, podziękowali za wyświadczone dobrodziejstwo, okazując więcej wdzięczności niż urazy. Oni odpłynęli na pełne morze, kierując się ku cieśninie; my, nie szukając innych drogowskazów prócz ziemi, która się przed nami zarysowała, wiosłowaliśmy tak usilnie, że o zachodzie słońca zbliżyliśmy się ku niej, mając nadzieję

wylądowania jeszcze przed zapadnięciem nocy. Ale księżyc nie świecił, a niebo było chmurne; nie wiedzieliśmy, w jakiej okolicy jesteśmy, więc nie zdawało się bezpiecznie przybijać do lądu; było to wbrew życzeniu wielu z naszych, którzy należeli, aby lądować, choćby wśród skał i bezludzia, bowiem w ten sposób pozbędziemy się obawy, słusznej zresztą, natknąc się na statki korsarskie z Tetuanu, które nocują w Berberii, o świcie zaś błądzą przy wybrzeżach Hiszpanii i zwykle, zagarniając zdobycz, wracają na spoczynek do portu. Z tych dwóch przeciwnych zdań podjęliśmy postanowienie, by zbliżać się powoli, a jeśli spokojność morza pozwoli, lądować, gdzie się da. Tak się też stało i nieco przed północą podpłynęliśmy do stóp

olbrzymiej i wysokiej góry, która nie spadała bezpośrednio ku morzu, ale zostawiała nieco przestrzeni na wygodne lądowanie. Osiedliśmy na piasku, wyskoczyliśmy na ląd, ucałowali ziemię i ze łzami najwyższej radości złożyliśmy dziękczyznenie Bogu,

Panu naszemu, za tak niezrównaną łaskę, jaką nam wyściadczył. Wyjęliśmy z łodzi zapasy, jakie kryła, wyciągnęliśmy ją na ląd i podeszliśmy dobry kawał

294

w górę, bo chociaż tam staliśmy, nie mogliśmy uspokoić niepewności serca ani uwierzyć w końcu, że rzeczywiście stojmy już na chrześcijańskiej ziemi. Dzień nastąpił znacznie później, moim zdaniem, niżeszy tego pragnęli. Wspięliśmy się na sam szczyt góry, aby zobaczyć, czy nie odkryjemy stamtąd jakiegoś osiedla albo jakichś szałasów pasterskich; ale choć wytężaliśmy wzrok, nie dojrzaliśmy ani osiedla, ani istoty ludzkiej, ani perci, ani drogi żadnej. Mimo to postanowiliśmy zapuścić się w głęb lądu, pewni, że niebawem znajdziemy przynajmniej kogoś, kto nas objaśni, gdzie jesteśmy. Dla mnie najprzykrzejszy był widok Zoraidy idącej pieszo przez te złomiska; chociaż niekiedy brałem ją na ramiona, bardziej męczył ją mój trud, niżli odpoczynek krzepił. Nie chcąc więc, abym się tak męczył, szła bardzo cierpliwie, okazując wesołość i trzymając mię za rękę. Zaledwie uszliśmy čwierć mili, kiedy do uszu naszych

doszedł dźwięk dzwoneczka, znak oczywisty, że w pobliżu gdzieś znajduje się trzoda. I kiedyśmy się wszyscy pilnie rozglądały, zali czego nie ujrzyły, zobaczyliśmy u stóp dębu korkowego młodego pasterza, który spokojnie i beztrosko strugał kij nożem. Zawołaliśmy nań, on zaś podniósłszy głowę, zerwał się chyzo na nogi. Jak dowiedzieliśmy się później, pierwszymi, na których padł jego wzrok, byli poturczeniec i Zoraida; ujrzałszy ich w mauretańskich strojach, był przekonany, że wszy-

scy Maurowie Berberii nań nastają, i z niezwykłą chyzością dopadł lasu, wrzeszcząc stamtąd wniebogłosy:

«Maurowie w kraju! Na Maurów, na Maurów, do bron! Do bron!»

Te krzyki zmieszały nas i nie wiedzieliśmy, co czynić, ale rozważywszy, że nawoływanie pasterza zaalarmują okolicę i konna straż nadbrzežna nie omieszka się zjawić, by zobaczyć, co się dzieje, zgodziliśmy się na to, by poturczeniec zrzucił szaty tureckie i przyodział się w strój, a raczej kaftan brańca, który mu jeden z naszych zaraz podał, choć sam pozostał w koszuli. I tak, polecając się Bogu, ze- szliśmy tą samą drogą, którą jak widzieliśmy, oddalił się pasterz, w ciągłym oczek-.

waniu, kiedy runie na nas straż nadbrzeżna. Przewidywania nas nie zawiodły, bowiem i dwie godziny nie minęły, gdyśmy z zarośli wyszli na równinę, ujrzaliśmy wyłaniających się około pięćdziesięciu jeźdźców, którzy z wielką lekkością, co koń

wyskoczy, ku nam pędzili. Spostrzegłszy ich, zatrzymaliśmy się w oczekiwaniu, ale kiedy zbliżyli się i ujrzały miast spodziewanych Maurów tylu biednych chrześcijan, zatrzymali się, zmieszani, i jeden z nich zapytał, czy to przypadkiem nie z naszej przyczyny pastuch jał wzywać do broni.

«A tak» - odpowiedziałem.

Miałem już zacząć opowieść o naszych losach, rzec, skąd przybywamy, kto jesteśmy, kiedy jeden z chrześcijan, idący z nami, poznał jeźdźca, który nam zadał pytanie, i zawałał, nie dając mi przyjść do słowa:

«Bogu niech będą dzięki, panowie, że nas w tak szczęśliwe strony zaprowadził! Bowiem, jeśli się nie mylę, ziemia, po której stąpamy, należy do Velez Malaga. O ile lata niewoli nie odjęły mi pamięci, przypominam sobie, że wy, panie, którzy nas pytacie, kim jesteśmy, jesteście moim wujem, Piotrem de Bustamante». Zaledwie to rzekł chrześcijański braniec, a już jeździec zeskoczył z konia i zaczął młodzieńca ściskać, mówiąc:

295

«Siostrzeńcze, duszo moja! Życie moje! Poznaję cię, już opłakałem twą śmierć pospolu z siostrą moją, a twą matką, i wszystkimi twoimi, którzy jeszcze żyją. Bogu podobało się zachować ich przy życiu, aby mieli radość i przyjemność oglądania ciebie. Wiedzieliśmy, że byłeś w Algierze, a z sukien twych i twoich towarzyszy wnoszę, że w cudowny sposób odzyskałeś wolność».

«Tak jest- odrzekł młodzieniec. - Będziemy mieli czas wszystko opowiedzieć». Skoro tylko konni usłyszeli, że jesteśmy chrześcijańskimi brańcami, zeskoczyli z siodeł i każdy swego konia nam ofiarowywał, abyśmy dotarli do miasta Velez Malaga leżącego o półtorej mili drogi stamtąd. Niektórzy z nich, dowiedziawszy się, gdzieśmy zostawili łódź, poszli, by ją do miasta zabrać. Inni wsadzili nas na siodła, a Zoraida wsiadła na konia wuja owego chrześcijanina. Na nasze przyjęcie wyszło całe miasto, gdyż już ktoś pośpieszył donieść o naszym przybyciu. Nie dziwił nikogo widok niewolników wolnych ani brańców mauretańskich, bowiem cała ludność tego wybrzeża była przyzwyczajona do jednego i drugiego widoku; ale

podziw budziła uroda Zoraidy, która w owej chwili doszła do najwyższego szczytu, przyczyniło się do tego zarówno znużenie podróżą, jak radość, że widzi się już oto na ziemi chrześcijańskiej, gdzie nie grozi jej zguba; i ta wykwitła na twarzy takimi kolorami, że o ile mię uczucie wówczas nie zwodziło, śmiałbym rzec, że nie było cudowniejszej istoty na świecie; a przynajmniej ja takiej nie

widziałem. Udaliśmy się prosto do kościoła, aby podziękować Bogu za uzyskaną łaskę, a kiedy weszła tam Zoraida, zauważyła, że są tam oblicza podobne do twarzy Leli Marien. Powiedziałem jej, że były to jej obrazy, zaś renegat, jak umiał najlepiej tłu-

maczył, co one wyobrażają, aby je czciła, jakby naprawdę każdy z nich był tą samą Lelą Marien, która do niej przemawiała. Ona, mając z natury umysł bystry i jasny,

pojmowała od razu, co jej o obrazach mówiono. Stamtąd zaprowadzono nas i rozmieszczone w rozmaitych domach miasta, ale poturczeńca, Zoraidę i mnie zabrał z sobą ów chrześcijanin, który z nami przybył, do domu swych rodziców. Byli oni bardzo zamożni i przyjęli nas z takim uczuciem jak własnego syna. Sześć dni bawiliśmy w Velez, a po upływie ich poturczenie, zasięgnawszy wiadomości jego dotyczących, udał się do miasta Grenady, aby za pośrednictwem Świętej Inkwizycji zostać przywróconym na najświętsze łono Kościoła; z innych uwolnionych chrześcijan każdy udał się, gdzie mu się podobało; pozostały tylko Zoraida i ja, mając jedynie te talary, jakie dzięki uprzejmości Francuza odzyska-

ła Zoraida, za nie kupiłem bydlę, na którym ona teraz jeździ, i służę jej dotąd za ojca i giermka, a nie za męża. Jedziemy z zamiarem dowiedzenia się, czy ojciec mój żyje albo czy któremuś z mych braci poszczęściło się lepiej niż mnie, chociaż kiedy

niebo uczyniło mię towarzyszem Zoraidy, zdaje mi się, że żaden inny los, choćby nie wiem jak pomyślny mię spotkał, nie byłby tak cenny. Wytrwałość, z jaką Zoraida znosiła niewygody, jakie ubóstwo za sobą pociąga, i pragnienie, jakim pała, by

już zostać chrześcijanką, są tak wielkie, że budzą we mnie podziw i chęć służenia jej do końca mego życia. Jednak szczęście, jakie odczuwam, należąc do niej, a ona do mnie, jest zakłócone i zmącone przez niepewność, czy w moim kraju znajdzie się jakiś kąt, aby ją przyjąć. Bo czas i śmierć mogły sprawić takie

spustoszenie w majątkości i życiu ojca mego i braci, że o ile ich nie stałoby, zaledwie znajdę kogoś, kto by mnie poznał.

296

Nie mam już więcej nic do powiedzenia o mych dziejach, panowie. Osądźcie waszym zacnym rozumem, czy są ciekawe i niezwyczajne, chciałem je wam opowiedzieć jak najzwięzlej, gdyż obawa, aby was nie znużyć, kazała mi wiele wypadków przemilczeć".

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

opowiada, co się dalej działo w gospodzie oraz o wielu innych sprawach godnych uwagi Powiedziawszy to, braniec zamilkł, a Don Fernando rzekł doń:

- Zaiste, panie kapitanie, wasz sposób opowiadania tych nadzwyczajnych przygód dorównywał osobliwości i nowości samego zdarzenia. Wszystko to jest niezwykłe, wyjątkowe i pełne wypadków zadziwiających, które trzymają w zawieszeniu słuchaczy; takiej przyjemności zaznaliśmy, słuchając tego, że choćby świt jutrzyszego dnia miał nas zastać na słuchaniu tej samej opowieści, chętnie na nowo byśmy słuchali.

Na te słowa Kardenio i wszyscy pozostali ofiarowali swe usługi we wszystkim, co możliwe, w tak serdecznych i szczerych słowach i zdaniach, że kapitan oczarowany był ich gotowością. Zwłaszcza Don Fernando zaofiarował się, że jeżeli on zechce z nim jechać, to sprawi, by brat jego, markiz, był chrzestnym ojcem Zoraidy, zaś on ze swojej strony tak go zaopatrzy, że będzie mógł do swych włości wjechać z godnością i wygodą należną swej osobie. Braniec wszystkim bardzo dwornie podziękował, ale nie chciał przyjąć owych szczodrych zaofiarowań. Tymczasem zbliżała się wieczór, a gdy noc zapadła, zajechała przed gospodę karoca z kilku jezdnyimi. Zażądali noclegu, gospodyn odparła, że w całej gospodzie ani piedzi wolnego miejsca nie ma.

- Choćby nawet i tak było - rzekł jeden z jeźdźców, którzy weszli do wnętrza - nie może braknąć miejsca dla pana audytora1, który tu przybywa.

Na ten tytuł gospodyn zmieszała się i rzekła:

- Panie, w tym rzecz, że nie ma łóżek, jeśli jego miłość pan audytor wiezieswoje ze sobą, jak przypuszczam, bywajcie! Ja i mój mąż odstąpimy wam naszą izbę, aby wygodzić jego miłości. - Niech i tak będzie - rzekł koniuszy.

Podczas tego wysiadł z karocy człowiek, ze stroju którego można było poznać od razu, jaki urząd piastuje, bowiem długa szata z rozciętymi rękawami, jaką nosił, wskazywała, że był to audytor, jak służący jego powiedział; wiódł za rękę dziewczę-

kę, z wyglądu lat około szesnastu, w podróżnym odzieniu, tak wytworną, tak piękną, tak wdzięczną, że swoim zjawieniem wywołała ogólny zachwyt i gdyby nie miano audytor- członek sądu wojskowego lub kościelnego.

297 przed oczyma Doroty, Lucyndy i Zoraidy, obecnych w zajeździe, można by mniemać, że drugiej równie pięknej jak owa dziewczka znaleźć trudno. Don Kichote, obecny przy wejściu audytora z dziewczeką, na ich widok rzekł:

- Wasza miłość może bezpiecznie wejść i rozgościć się w tym zamku, bo choć jest ciasny i źle zaopatrzony, nie" masz takiej ciasnoty i niewygody na świecie, które by nie ustąpiły wobec miecza i pióra, zwłaszcza jeśli miecz i pióro za przewodniczkę i towarzyszkę mają piękność, jaką uczoność waszej miłości wiedzie w postaci tej urodziwej panienki, przed którą nie tylko winny się otwierać na oścież zamki, ale i skały kruszyć, góry rozstępować i równać, aby jej przejść pozwolić. Wejdźcie,

wasza miłość, mówię, do tego raju; oto znajdziecie tu gwiazdy i słońca godne towarzyszyć niebu, jakie wasza miłość z sobą prowadzi. Tu znajdziecie i oręź w pełni blasku, i piękność w swej doskonałości. Audytor przystał zdumiony tą przemową Don Kichota i jał mu się silnie przypatrywać, nie mniej dziwując się jego postaci jak słowom, a nie znajdująąc żad-

nego słowa odpowiedzi, zadziwił się znowu, kiedy ujrzał przed sobą Lucyndę, Dorotę i Zoraidę, które na wieść o przybyciu nowych gości oraz o piękności młodej panny, o której opowiedziała im gospodyn, przyszły, aby ją zobaczyć i przywitać. Ale Don

Fernando, Kardenio i proboszcz już świadczyli nader dworne uprzejmości. Zaiste, pan audytor wszedł bardzo zmieszany zarówno tym, co widział, jak tym, co słyszał, zaś piękne damy z gospody witały uprzejmie piękną dziewczekę. Z tego audytor zaraz poznał, że wszyscy tam obecni muszą być dobrze urodzeni; ale postać, oblicze i zachowanie Don Kichota zbiały go z tropu. Po tych wszystkich dwornych uprzejmościach, po rozważeniu możliwości gospody postanowiono ponownie, aby wszystkie niewiasty umieściły się na poddaszu wyżej wspomnianym, a mężczyźni aby pozostały zewnętrz, jakoby na straży. Audytor przeto był zadowolony, że jego córka, to jest owa panienka, odeszła z paniami, co uczyniła z miłą chęcią; urządzili sobie nocleg lepszy, niż przypuszczano, na części wąskiego łóża gospodyn oraz połowie tego, jakie audytor przywiózł. Braniec od

pierwszej chwili, kiedy ujrzał audytora, odczuł, jak mu serce bije przeciwiem, że to brat jego. Zapytał jednego ze służby z nim przybyłej o jego nazwisko i czy wie, z jakiej prowincji pochodzi. Służebny odparł, że zwie się licencjat Juan Perez

de Viedina i że jak słyszał, pochodzi z jakiejś miejscowości w górach Leonu. Ta odpowiedź i to, co widział, ostatecznie utwierdziły go w przekonaniu, że jest to jego

brat, który oddał się był studiom za radą ojca; wzruszony i szczęśliwy, odwołał na bok Don Fernanda, Kardenia i proboszcza, opowiedział im, co zaszło, zapewniając, że ów audytor jest jego bratem. Służący powiadomił go również, że udaje się on do Indii jako audytor przy trybunale w Meksyku oraz że owa piękna panienka jest jego córką, przy której urodzeniu umarła matka, a także, że stał się on bogatym człowiekiem dzięki wianu, jakie żona mu zostawiła wraz z córką. Braniec prosił o radę, w jaki sposób ma dać się poznać, czy nie lepiej przekonać się wprzód, zali brat, poznawszy go, a widząc w ubóstwie, nie pogardzi nim, ale przyjmie życzliwym sercem.

- Pozwólcie mi zrobić to doświadczenie - rzekł proboszcz - tym bardziej że jestem przekonany, panie kapitanie, iż będącie dobrze przyjęci, bowiem szlachet298

ność i roztropność, jaką zdradza w swym zachowaniu wasz brat, wskazuję na to, że nie jest pysznym i nieczułym i że potrafi ocenić właściwie przeciwności losów. - Mimo to - rzekł kapitan - nie chciałbym się dać poznać znienacka, chyba okrężnie.

- Już powiedziałem - odrzekł proboszcz - że przeprowadzę to w ten sposób, iż wszyscy zadowoleni będziemy. Na to podano wieczerzę i wszyscy zasiedli do stołu krom brańca i niewiast, które wieczerzały w swej izbie.

W czasie wieczerzy proboszcz przemówił:

- W Konstantynopolu, gdzie kilka lat jako jeniec przebywałem, miałem towarzyszącego samego nazwiska co wasza miłość, panie audytorze; ów towarzysz był jednym z najdzielniejszych żołnierzy i kapitanów, jakich liczyła piechota hiszpańska, ale był równie nieszczęśliwy jak dzielny i waleczny. - A jak nazywał się ów kapitan, panie mój? - zapytał audytor. - Zwał się - odpowiedział proboszcz - Ruy Perez de Viedma i pochodził z pewnej miejscowości w górach Leonu; opowiadał mi o zdarzeniu

tyczącym się jego ojca i braci; gdyby mi był tego nie mówił człowiek tak wiarygodny jak on, byłbym to wziął za gadkę, jakie babki opowiadają zimą przy kominie. Opowiadał mi, że ojciec podzielił swą mająłość między trzech synów i udzielił im rad mądrzejszych od rad Katona. Wiem, że temu, który wybrał rzemiosło wojenne, tak się powiodło, że w kilka lat dla zasług swych i bohaterskich czynów, nie mając żadnego poparcia prócz własnej wielkiej dzielności, doszedł do stopnia kapitana piechoty i już miał być niebawem mianowany pułkownikiem, ale los był mu przeciwny, bo właśnie to, co mogło mu dać nadzieję odzyskania pomyślności, było przyczyną jej utraty: utracił bowiem wolność w owym najszczęśliwszym dniu, kiedy tylu innych ją odzyskało, to jest w bitwie pod Lepantem. Ja ją straciłem pod Goletą i odtąd po rozmaitych kolejach znaleźliśmy się razem w Konstantynopolu. Stamąd dostał się on do Algieru, gdzie spotkały go najdziwniejsze w świecie przygody. Tu opowiedział proboszcz w krótkich słowach zdarzenie z Zoraidą, jakie spotkało brata; tego wszystkiego słuchał audytor tak pilnie, że chyba nigdy pilniejszym słuchaczem nie był jak w owej chwili.

Proboszcz doszedł do tego momentu, kiedy Francuzi ograbili chrześcijan płynących barką, pozostawiając jego druha oraz piękną Mauretankę w ubóstwie i nędzy. Dalej nie wie, co się z nimi stało, czy dotarli do Hiszpanii, czy ich Francuzi do Francji uprowadzili.

Kapitan na uboczu słuchał wszystkiego, co proboszcz opowiadał, i śledził wszelkie poruszenia swego brata. Ten, widząc, że proboszcz doszedł do końca swej opowieści, westchnął głęboko i ze łzami w oczach rzekł:

- Ach, panie, gdybyś przypuścił, jakie mi nowiny opowiedziałeś i jak mię one głęboko dotykają, dowodem tego łzy, które wbrew całemu opanowaniu i umiarowi napływają mi do oczu. Ten kapitan tak dzielny, jak opowiadacie, to mój brat starszy, który jako silniejszy i bardziej wyniosłych myśli niż ja i mój młodszy brat, wybrał Zwycięska dla Ligi Świętej bitwa morska z flotą turecką (1571 r.).

299

zaszczytne i godne rzemiosło wojenne. Była to jedna z trzech dróg danych nam do wyboru przez ojca, jak wam opowiadał wasz towarzysz, a co wy mieliście za gadkę. Ja oddałem się studiom, zaś Bóg i moja praca pozwoliły mi dojść do stopnia, na

którym mię widzicie. Mój młodszy brat jest w Peru tak bogaty, że to, co memu ojcu i mnie przesłał, nie tylko przekroczyło znacznie wartość części, jaką otrzymał, ale

nawet dało ojcu memu możliwość zaspokojenia swej przyrodzonej hojności, a mnie samemu możliwość odbycia studiów z większą przystojnością i powagą oraz dojścia do urzędu, który piastuję. Jeszcze żyje mój ojciec, ale umiera z pragnienia, aby dowiedzieć się, co się stało z pierworodnym, i prosi Boga w ustawicznych modlach, aby śmierć nie zamknęła mu oczu, póki żyw w oczy syna nie spojrzy. Dziwię się tylko, że będąc tak roztropnym, brat mój wśród tylu trudów i udręk czy też pomyślnych wydarzeń nigdy nie starał się dać znać o sobie ojcu. Gdyby ojciec lub który z nas był wiedział, nie potrzebowałby czekać na cud trzciny, aby uzyskać okup. Trapi mię teraz niepewność, zali owi Francuzi wypuścili go na wolność czy też zabili, aby ukryć swoją grabież. Dlatego też ruszę w dalszą drogę już nie tak rad jak przedtem, ale w smutku i żałości. O, dobry mój bracie! Kto może wiedzieć, gdzie się znajdujesz? Rad bym cię odszukać i uwolnić od trudów, choćby kosztem moich. O, gdyby kto zaniósł memu staremu ojcu wieść, że żyjesz, choćbyś był w najgłębszych lochach Berberii, wydobyłyby cię stamtąd jego, moje i brata mego zasoby. O, piękna i szczerza Zoraido, kto zdoła ci odpłacić, coś dla brata mego uczyniła.

Obym tak był przytomny odrodzeniu twej duszy i owemu weselu, które by taką radością dla nas wszystkich było.

Takie i tym podobne słowa mówił audytor poruszony nowinami o bracie, jakich mu udzielono, że wszyscy słuchający go z widocznym współczuciem brali żywego udział w jego żałosci. Proboszcz, widząc, że podstęp tak się udał zgodnie z życzeniem kapitana, nie chciał dłużej zostawiać wszystkich w smutku, lecz powstawszy od stołu, poszedł do Zoraidy, wyprowadził ją za rękę, a za nimi wyszły Lucynda, Dorota i córka audytora. Kapitan baczył czekał, co proboszcz zamierza, zaś ten, podając mu drugą rękę, z obojęciem wrócił do izby, gdzie znajdowali się audytor i reszta szlachty, i rzekł:

- Osuszcie łzy wasze, panie audytorze, i niech pragnienie wasze sięgnie szczytu szczęścia, jakiego spodziewać się można. Oto przed wami brat wasz i wasza dobra bratowa. Ten, którego tu widzicie, to kapitan Viedma, a oto piękna Mauretanka, od której tyle dobrego doznał. Francuzi, o których mówiłem, wtrącili ich w tę nędzę, jaką oglądacie, abyście mogli okazać wspaniałomyślność waszego zacnego serca. Podbiegły kapitan uścisnął brata, a ten, położywszy mu obie ręce na piersi, odsunął

się odeń, aby mu się przypatrzyć. Kiedy poznał go wreszcie, uścisnął go mocno, tyle rżewnych łez radości wylewając, że większość obecnych mu zawtórowała. Jakie obaj bracia wymieniali słowa, jakie uczucia objawiali, trudno sobie wyobrazić, a cóż dopiero napisać. Wtedy w krótkich słowach opowiadali sobie swe dzieje, wtedy okazywali sobie najwyższą miłość dwóch braci, wtedy audytor ściskał Zoraidę, wtedy ofiarowywał jej swoje włości, wtedy córce kazał ją obejmować, wtedy piękna chrześcijanka i najcudniejsza Mauretanka nowe łzy obecnym wyciskały. Wtedy Don Kichote przypatrywał się uważnie, bez słowa, rozważając tak dziwne zdarzenia i przypisując wszystkie chimerom błędного rycerstwa. Wte-

300

dy postanowiono, że kapitan i Zoraida udadzą się z bratem do Sewilli i dadzą znać ojcu o szczęśliwym odnalezieniu i uwolnieniu, aby jeśli będzie mógł, przyjechał wziąć udział w chrzcie i ślubie Zoraidy, audytor bowiem nie mógł w żaden sposób przerwać swej podróży, gdyż miał wiadomość, że za miesiąc odpływa flota z Sewilli do Nowej Hiszpanii i wielką niedogodnością byłoby stracić tę sposobność. Tak więc wszyscy radowali się i weselili szczęśliwym obrotem losów brańca, a ponieważ noc już niemal dwie trzecie swej drogi przebyła, postanowiono odpocząć i przespać pozostałą resztę. Don Kichote ofiarował się sprawować stróżę przed

zamkiem, aby nie napadł ich jakiś olbrzym albo inny bezecny niegodziwiec, łakomiąc się na wielkie skarby piękności, które zamek zawierał. Ci, którzy go znali, wyrazili mu swą wdzięczność i opowiedzieli audytorowi o dziwnym obłędzie jego, czym ten się niemało ubawił. Jeden Sanczo Pansa był nieszczęśliwy, że spoczynek tak się odwleka, i sam urządził się lepiej niż inni, wyciągnawszy się na terlicy swe-

go osła, która go tyle kosztować miała, o czym niedługo mowa będzie. Usunęły się więc damy do swojej izby, zaś inni ułożyli się, jak mogli najlepiej. Don Kichote wyszedł przed gospodę na stróżę pod zamkiem, jako był obiecał.

Zdarzyło się, że nieco przed świtem, do uszu dam doszedł głos tak dźwięczny i piękny, że wszystkie zaczęły uważnie słuchać, a szczególnie Dorota, która jeszcze nie spała, a przy której spoczywała Doña Klara de Viedma, tak bowiem nazywała się córka audytora. Nikt nie mógł odgadnąć, kim była osoba tak pięknie śpiewająca, głos brzmiał solo, bez akompaniamentu żadnego instrumentu, raz zdawało się, że śpiew płynie z wewnętrznego dziedzińca, drugi raz, że ze stajni. I kiedy słuchając pilnie, trwały w zadziwieniu, podszedł do drzwi izby Kardenio i rzekł: - Kto nie śpi, niech słucha, usłyszy głos młodego mulnika, który tak śpiewem swym czaruje.

- Właśnie słuchamy, panie - odparła Dorota.

Po odejściu Kardenia Dorota jeła jeszcze pilniej słuchać i pochwyciła pieśń taką:

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

gdzie opowiedziana jest wdzięczna historia młodego mulnika oraz inne niezwykłe zdarzenia, jakie zaszły w gospodzie Jestem miłości żeglarzem,

Po morza jej płynę głębi,

Dopłynąć gdzieś do przystani Nie żywię żadnej nadziei.

Tak płynę za jedną gwiazdą,

Która odkryłem w

przestrzeni, 301

Tak pięknej i tak świetlistej Nawet Palinur sam nie śnił.

I nie wiem, dokąd prowadzi,

Niepewny płynę w odmęcie,

Bo dusza tylko w nią patrzy W

skupieniu i bez pamięci.

Lecz skromność niepożądana

I cnoty blask niepowszedni,

Kiedy najbardziej rad patrzę, Nagle ją chmurą zaciemni.

Świetlista gwiazdo, co blaskiem

Swoich oczyszczasz promieni, . Gdy skryjesz

się, chwila taka Będzie godziną mej śmierci.

Kiedy śpiewak do tego miejsca doszedł, Dorota pomyślała, że szkoda, aby Klara nie słyszała tak pięknego głosu, więc poruszyła ją kilka razy i obudziła, mówiąc:

- Wybacz mi, maleńka, że cię budzę, ale chcę, abyś rozkoszowała się, słuchając najpiękniejszego głosu, jaki kiedykolwiek w życiu słyszała. Klara obudzona, jeszcze całkiem senna, nie od razu zrozumiała, co mówiła Dorota, zaczęła ją wypytywać, tamta powtórzyła, Klara słuchała ją uważnie, ale zaledwie usłyszała dwa wiersze dalszej pieśni, napadło ją tak dziwne drżenie, jakby poważny atak czwartaczki ją chwycił, i obejmując ciasno Dorotę, rzekła: - Ach, pani mej duszy i mego życia, po coś mię budziła? Największym dobrem, jakie los mógłby mi zdarzyć, byłoby mieć teraz oczy i uszy zamknięte, nie widzieć i nie słyszeć tego nieszczęsnego śpiewaka.

- Co mówisz, maleńka? Zważ, że, jak powiadają, śpiewa to młody mulnik.- Nie, jest to pan na włościach - odparła Klara - on też i moją duszą włada tak pewnie, że jeśli nie zechce jej porzucić, zostanie w niej na wieki. Zdziwiała się Dorota

Don Kichote - Miguel Cervantez

namiętnymi słowami dziewczynki: wydawało jej się, że przekraczają znacznie dojrzałość umysłu, jakiej się po tak młodym wieku spodziewać by można, więc rzekła:

- Mówicie tak, panno Klaro, że nie sposób zrozumieć, wytlumaczcie jaśniej powiedziecie, coście mówili o duszy, o włościach i o tym śpiewaku, którego głos tak was niepokoi. Teraz jednak nie mówcie nic, nie chcę bowiem, zajmując się waszym wzburzeniem, stracić przyjemności słuchania tego śpiewu. Zdaje mi się, że znowu śpiewać zaczyna inne wiersze i inną melodię.
- Niech tak będzie - odparła Klara. I aby nie słuchać, zatkała sobie ręka obojętnego uszu, czemu również dziwiła się Dorota, która słuchając uważnie pieśni, odróżniła te słowa:

302

Słodka moja nadzieja,
Która łamiąc przeszkody wszystkie i trudności,
Idziesz stale koleją,
Jaką twa własna uroda wykreśla i prości.
Niech cię to nie przeraża,
Że na każdym twym kroku czeka cię śmierć wraża.
Nigdy ludzie trwożliwi
Triumfów ani zwycięstw żadnych nie odniosą.
Nie mogą być szczęśliwi,
Którzy nie stawią czoła przeciwności losom,
Jeno wolą omdlałą
Poddają wszelkie czucie w bezczynność ospałą.
Gdy Amor swoją chwałę
Drogo sprzedaje, słusznie jest i sprawiedliwie:
Klejnoty to wspaniałe,
Karatami rozkoszy mierzone
żarliwie. Powszechnie to
wierzenie,
Że co tanio kosztuje, nigdy nie
jest w cenie. Zawziętość
miłowania
Wielekroć niemożliwe na świecie osiąga,

Więc i moje starania

Najtrudniejsza ze wszystkich miłości przyciąga.

I wątpić mi nie trzeba,

Że kiedyś przecie z ziemi wzniósę się do nieba.

Zakończył się śpiew, a zaczęły nowe szlochania Klary. Wszystko to podniecało w Dorocie chęć dowiedzenia się przyczyny tak lubież pieśni i tak smętnego płaczu. Zaczęła więc znów pytać, co to chciała przed chwilą powiedzieć? Wówczas Klara z obawy, aby jej Lucynda nie słyszała, ciasno objęła Dorotę, usta zbliżyła do jej ucha, tak że mogła mówić bezpiecznie, nie będąc od innych słyszana. I tak rzekła: - Pani moja, ten, który śpiewa, jest synem możnego szlachcica, rodem z królestwa Aragonii, pana dwóch majątków, mieszka on naprzeciw domu ojca mego, w stolicy; a choć ojciec mój przysłania okna swego domu płociennymi firankami w zimie, a żaluzjami w lecie, nie wiem, jak się stało; tak czy owak, dość, że ten kawaler, przebywający tam na studiach zobaczył mnie, nie wiem, czy w kościele, czy gdzie indziej, wreszcie zakochał się we mnie i dał mi to do poznania z okien swego domu takimi gestami i takimi łzami, że musiałam uwierzyć, a nawet pokochać, nie znając tego, kto mnie miłuje. Pośród znaków, jakie mi dawał, najczęściej łączył rękę

z ręką, dając mi do zrozumienia, że ożeni się ze mną, i choć byłabym bardzo rada, gdyby tak się stało, sama i bez matki, nie wiedziałam, przez kogo się z nim porozumię, więc tak trwało i nie okazywałam mu żadnej przychylności, chyba że pod

303

nieobecność ojca mego i jego rodzica unosiłam nieco zasłonę lub żaluzję, ukazując mu się cała, co było dlań takim świętym, że zachowywał się jak szalony. Tymczasem zbliżała się dzień wyjazdu mego ojca, on się o tym dowiedział, ale nie ode mnie,

bo nigdy nie mogłam z nim mówić. Zachorował, jak mniemałam, ze zmartwienia, tak że w dzień naszego odjazdu nigdzie nie mogłam go dojrzeć, by go pożegnać, choćby tylko oczyma. Aliści po dwóch dniach drogi, u wejścia do gospody w pewnej miejscowości o dzień drogi stąd oddalonej, ujrzałam go pod bramą domu w prze-

Don Kichote - Miguel Cervantez

braniu młodego mulnika; wyglądał tak naturalnie, że gdybym obrazu jego nie nosiła w duszy, nie byłabym mogła go poznać. Poznałam, zdziwiłam się i uradowałam, on wpatrywał się we mnie w skrytości przed ojcem, którego zawsze unika, czy to kiedy przechodzi na drogach koło mnie, czy w gospodach, gdzie się zatrzymuje. A wiedząc, kto on, i patrząc, jak przez miłość dla mnie idzie pieszo i tyle trudów

znosi, konam ze zmartwienia i oczyma kroki jego śledzę. Nie wiem, jaki ma zamiar, tak idąc, ani jak zdołał ujść przed ojcem swoim, który go nad wyraz miłuje, nie ma

bowiem innego dziedzica, a także, ponieważ on zasługuje na to, jak wasza miłość osądzi, ujrzał go. I więcej wam powiem: wszystko, co śpiewa, z własnej głowy czerpie, bo słyszałam, że jest bardzo uczonym i poetą. Prócz tego, ilekroć go widzę

czy słyszę śpiewającego, drżę cała i twozę się z obawy, aby mój ojciec go nie po- znał i nie dowiedział się o naszej miłości. W życiu moim nie zamieniłam z nim słowa, a mimo to miuję go tak, że mi nie żyć bez niego. Oto, pani moja, wszystko, co

mogę wam powiedzieć o tym śpiewaku, którego głos was tak zachwycił. Ten głos wystarczy, abyście pojęli, że to nie mulnik, jak rzekliście, ale pan dusz i włości, jak wam powiadam.

- Nie mówcie nic więcej, Doño Klaro - rzekła na to Dorota, całując ją tysiąkrotnie - nie mów, wańpanna, nic więcej i ufaj, że nastanie nowy dzień; a ja mam nadzieję w Bogu, że uda mi się doprowadzić sprawę do szczęśliwego końca, jak zasługują na to tak poczciwe początki.

- Ach, pani! - rzekła Dona Klara - jakiegoż szczęśliwego końca oczekiwacmogę, jeśli jego ojciec jest tak wielkim panem i tak bogatym, iż zdawałoby się, że nawet służką syna jego być nie mogę, a cóż dopiero żoną? Zaślubić go zaś w tajemnicy przed ojcem nie chciałabym za nic na świecie. Chciałabym, aby ów młodzieniec zwrócił z drogi i zostawił mię w spokoju, może kiedy go nie będę widziała i kiedy dzielić nas będzie tak wielka odległość drogi, jaką przebyć mamy, zelżeje nieco strapienie, jakie mię dręczy, choć wiem, że to lekarstwo nie na wiele się przy- da. Nie wiem,

jaki szatan to sprawił ani skąd owa miłość na mnie
przyszła, jestem

tak młoda jeszcze i on niedorostek, bo jak mniemam, jednego wieku jesteśmy, a ja nie
skończyłam jeszcze lat szesnastu, skończę je dopiero, ojciec
mówi, na św. Michała.

Dorota nie mogła powstrzymać się od śmiechu,
słuchając dziewczęcych słów Doni Klary i
rzekła jej:

- Starajmy się przespać tę resztę nocy, jaka pozostała, a kiedy Bóg da dzień,
zaradzę temu albo jestem niezdara.

Uciszyły się więc i w całej gospodzie zapanowało głębokie milczenie. Nie spały tylko córka gospodyni i Maritornes, jej służąca, które znając słabą stronę Don Kichota i wiedząc, że pozostał przed karczmą w zbroi, na koniu straż odprawując, 304 postanowiły obie spłatać mu jakiegoś figla albo przynajmniej przez czas jakiś zabawić się, słuchając jego bajdурzeń.

Trza wiedzieć, że w całej gospodzie nie było okna wychodzącego na pole, tylko otwór od gumna, którym wyrzucano na dwór słomę. Przy tym okienku umieściły się obie półdziewice i ujrzały Don Kichota na koniu, wspaniego na swej kopii, który od czasu do czasu wydawał tak bolesne i głębokie westchnienie, jakby przy każdym miał wyrwać z siebie duszę. Równocześnie usłyszały, jak mówił głosem słodkim, czułym i rozkochanym: - O pani moja, Dulcyneo z Toboso, szczycie wszelkiej gładkości, krasie i korono mądrości, skarbnico najwyższego wdzięku; zbiorze cnót, najostateczniejszy pierwowzorzec wszystkiego, co na świecie wartościowe, uczciwe i najmilsze! Czymże się w tej godzinie wasza miłość zajmuje? Zali może myśl swą obracasz ku twemu niewolnemu rycerzowi, który aby ciłuć jedynie, naraża się na tak wielkie niebezpieczeństwa? Daj mi wieść o niej, światło o trzech obliczach! Może zazdrośnie ojej lica patrzysz teraz na nią, jak przechadza się po krużgankach swych wspaniałych pałaców albo oparta piersią o jakąś balustradę rozmyśla, jak bez uszczerbku dla cnoty i wielkości swojej ukoić burzę, jaką dla niej cierpi moje znękane serce, jaką glorią moje udręki uwieńczyć, jakie ukojenie dać moim myślom, a w końcu, jakie życie memu konaniu i jaką nagrodę mym służbom. Ty zaś, Słońce, które już zapewne spiesznie zaprzęgasz rumaki, aby wcześnie wyruszyć i wjeździć oglądać panią moją, kiedy ją zobaczysz, błagam cię, pozdrów ją ode mnie. Ale ujrzałszy ją i pozdrowiwszy, nie waż się ucałować jej twarzy, bardziej

zazdrosny będę o ciebie niż ty o ową
wietrznicę, dla której się umęczyłeś i zgoniłeś
po równinach Tesalii i brzegach Peneusa, gdyż
sam już nie pomnę dobrze, kiedyś goniło
wówczas, zazdrosne i zakochane.

Do tego miejsca doszły żałosliwe rozmyślania Don Kichota,
kiedy córka gospodyni przywołała go i rzekła: - Panie mój,
zbliźcie się wasza miłość, jeśli łaska.

Na te znaki i głos Don Kichote odwrócił głowę i ujrzał w świetle księżyca, który właśnie był w pełni światłości, że wołają go z otworu, który zdawał mu się oknem, a nawet zgoła oknem ze złoczoną kratą, jak przystoi w tak bogatym zamku, jakim wydawała mu się ta gospoda. I od razu w tej samej chwili uroił sobie w swej obłędnej wyobraźni, że jak uprzednim razem piękna panna, córka pani tego zamku, zniewolona miłością ku niemu, znowu się doń zaleca. Więc w tej myśl, nie chcąc okazać się niewdzięcznym i niegrzecznym, ściągnął wodze Rosynanta i zbliżył się do otworu, ujrzałszy zaś dwie młode dziewczyny, rzekł:

- Żal mi was, piękna panno, że miłosne zapały swoje umieściście tam, gdziewam odpowiedzieć nie mogą, jak na to zasługuje wasza wysoka godność i uroda. Nie obwiniajcie o to tego nieszczęsnego rycerza błędnego, któremu Amor nie pozwala zwrócić chęci swojej ku innej niż ta, którą od pierwszego wejrzenia uczynił niepodzielną panią duszy swojej. Wybacacie mi, dobra pani, i powróćcie do swej Mowa o bogini Hekate, którą identyfikowano czasem z Dianą lub Prozerpiną. Jej trzy głowy oznaczały trzy fazy księżyca.

305 komnaty, abym zaś nie okazał się jeszcze bardziej niewdzięcznym, nie chciejcie mi żywiej objawiać miłości waszej. A jeśli przez miłość, jaką ku mnie żywicie, znajdziecie we mnie coś, co zadowolić was może, a co miłością by nie było - żądajcie, ja zaś przysięgam wam na nieobecną tu słodką nieprzyjaciółkę moją, że spełnię pragnienie wasze natychmiast, choćbyś pani żądała pęków włosów Meduzy, które były wężami, albo samych promieni słońca zamkniętych w krysztale.

- Pani moja żadnej z tych rzeczy nie potrzebuje, panie rycerzu - rzekła na to Maritornes.
- Więc czegoż trzeba pani waszej, o roztropna ochmistrzyni? - zapytał Don Kichote.
- Jedynie jednej z waszych pięknych rąk - rzekła Maritornes - aby dotknięciem jej ochłodzić nieco wielką tępnicę, jaka ją do tego okienka przywiodła z na-

rażeniem jej czci, bo gdyby tak pan ojciec dowiedział się o tym, posiekałby ją na kawałki, ledwie by uszy zostały.

- Chciałbym ja to zobaczyć - odparł Don Kichote. - Niech się ma na baczności, jeśli nie chce dostąpić najstraszniejszego końca, jaki kiedykolwiek spotkał na świecie ojca za to, że śmiał podnieść ręce na delikatne członki swej rozmiłowanej córki.

Maritornes nie wątpiła, że Don Kichote poda dłoń, o którą go proszą, i rozważyła w myślach, co należało uczynić. Odeszła od okienka na dół do stajni, skąd wzięła użdzenicę osła Sanczo Pansy, i bardzo chyżo wróciła do otworu w czasie, gdy Don Kichote stanął już na siodle Rosynanta, aby dosiągnąć zakratowanego okienka, gdzie, jak sobie wyobrażał, stała zraniona panienka, i podając rękę, rzekł:

- Weźmijcie, pani, tę rękę albo raczej ten bicz na wszystkich złoczyńców świata. Weźmijcie, pani, tę rękę, mówię, której żadna inna niewiasta nie dotknęła, nawet ta,

która całym mym ciałem niepodziennie włada. Nie podaję jej, byś ją, pani, ucałowała, ale abyś podziwiała układ nerwów, powiązanie mięśni, szerokość i rozpiętość żył. Stąd wnosić możecie, jaka musi być siła ramienia taką ręką zakońzonego. - Zaraz to zobaczymy - odparła Maritornes i zrobiwszy pętlę na użdzenicy, zarzuciła ją na przegub ręki, zaś odsunąwszy się od okienka, drugi koniec przywiązała bardzo mocno do rygla drzwi szopy.

Don Kichote, czując szorstkość powrozu na kostce, rzekł:

- Zdaje mi się raczej, że wasza miłość drapie rękę moją, a nie pieści. Nie obchodźcie się z nią tak źle, nie ona winna jest złu, jakie wola moja wam wyrządza, ani godzi się na tak małej częstce wywierać całej niechęci. Zważcie, że kto miłuje, nie mści się tak złośliwie.

Ale tych wszystkich słów Don Kichota nikt już nie słuchał, bowiem zaledwie Maritornes go uwiązała, obie zaraz uciekły, umierając ze śmiechu i zostawiły go, tak że nie mógł się uwolnić. Stał, jak się rzekło, na Rosynancie z całym ramieniem tkwiącym w okienku, z ręką uwiązaną w przegubie do rygla drzwi, w największym strachu i trosce, aby Rosynant się nie ruszył w tę czy ową stronę, gdyż wówczas zawisłby na ramieniu. I tak nie śmiał zrobić żadnego poruszenia, choć po cierpli-

wości i spokojności Rosynanta można by się spodziewać, że stać będzie i wiek cały bez drgnienia. Wreszcie Don Kichote, widząc, że jest uwięzany i że damy odeszły, wyobraził sobie, że to wszystko stało się dzięki czarom; podobnie

jak poprzednim

306 razem, kiedy w tym samym zamku zmłocił go ów zaczarowany Maur mulnika. Przeklinał swą głupotę i nierozwagę, że wydobywszy się poprzednim razem z tego zamku w tak żałosnym stanie, odważył się wejść tu po raz wtóry, a wszak przestrogą i zna-

kiem jasnym dla błędnych rycerzy jest, kiedy szczęście zawiedzie ich w przygodzie, na jaką się ważą, że nie dla nich przeznaczona była, jeno dla innych, przeto

nie lza jej drugi raz próbować. Z tym wszystkim nie przestawał ciągnąć ramieniem, próbując, czy się nie uwolni, ale uwięzany był mocno i wszystkie jego próby były próżne. Co prawda ciągnął ostrożnie, by się Rosynant nie poruszył, i choć miał ochotę usiąść i spuścić się na siodło, musiał jednak stać albo też wyrywać sobie rękę. Wówczas rad byłby mieć miecz Amadisa, przeciw któremu żadne czary mocy nie miały, wówczas złorzeczył losowi swemu, wówczas wyolbrzymiał szkody, jakie świat poniesie z powodu nieobecności jego, kiedy on trwa zaczarowany, bo nie wątpił, że nim był. Wówczas rozpamiętywał miłość swą ku Dulcynei z Toboso lub przyzywał swego poczciwego giermka Sanczo Pansę, który pograżony we śnie leżał wygodnie na terlicy swego osła i w tej chwili nie pamiętał nawet o rodzonej matce; wówczas przyzywał na pomoc czarowników Lirganda i Alquifa oraz wzduchał do swej dobrej przyjaciółki Urgandy, aby go wsparła, a wreszcie zastał go tam poranek w takiej rozpaczy i wzburzeniu, że ryczał jak byk, nie mając nadziei, aby jego zmartwienie ustąpiło z dniem, uważało je bowiem za wieczne, wierząc, że jest zaczarowany. Wierzył w to tym silniej, że i Rosynant prawie się nie ruszał, był przekona-

ny, że on i rumak, nie jedząc, nie pijąc i nie śpiąc, muszą tak trwać, póki nie przeminię zły wpływ gwiazd lub póki inny, potężniejszy czarodziej zaklęcia z nich nie zdejmie. Ale omylił się mocno w tym mniemaniu, bowiem zaledwie zaczęło świtać, do zajazdu przybyło czterech jeźdźców odzianych i zaopatrzonych przystojnie z rusznicami u łuku siodeł. Zakołatały mocno do wrót zajazdu jeszcze zamkniętych, co widząc, Don Kichote z miejsca, gdzie dotąd stróże swą sprawował, zawałał głośno i ostro:

- Rycerze czy włodzicy, czy ktokolwiek jesteście, nie dobijajcie się tak wcześnie do bram tego zamku, jasne jest przecież, że o tej godzinie śpią jego mieszkańców i nie mają zwyczaju otwierać twierdzy, póki słońce całej ziemi nie oświeci. Ustępcie i zaczekajcie, aż dzień wzejzie, a wówczas zobaczymy, czy się godzi, czy nie was otworzyć.

- Cóż to, do diaska, za twierdza czy zamek - rzekł jeden - żebyśmy musielitakich ceregieli dochowywać. Jeśli jesteś gospodarzem, każ nam otworzyć, jesteśmy podróżni i chcemy tylko nakarmić nasze wierzchowce i jechać dalej, bo nam spieszno.

- Czy zdaje się wam, rycerze, że mam wygląd karczmarza?

- Nie wiem, na co wyglądacie - odpowiedział tamten - ale wiem, że gadacie głupstwa, nazywając zamkiem ten zajazd.

- Zamek to jest-odparł Don Kichote-i to jeden z najzaczniejszych w tej prowincji. A goszczą w nim osoby, które berło dzierżyły w dłoni i koronę na głowie. - Lepiej byłoby na opak - rzekł podróżny - berło na głowie, a koronę na ręce! Powiedzmy jasno, musi tu bawić grupa jakichś komendantów, którzy zwykle takie

Przestępców piętnowano wypaleniem korony na rękach.

307

korony i berła, jak mówisz, noszą. W tak podłym
zajeździe i gdzie taka cisza panu- je, nie wierzę,
by gościli osoby godne korony i berła,

- Niewiele wiecie o świecie - odparł Don Kichote - kiedy nie jesteście świadomi przygód, jakie spotykają błędnych rycerzy. Towarzysze pytającego sprzykrzyli sobie jego gadaninę z Don Kichotem i na nowo zaczęli kołatać tak wściekle, że karczmarz zbudził się, a nawet wszyscy inni

w zajeździe i powstali dowiedzieć się, kto przyzywa. Zdarzyło się wtedy, że wierzchowiec jednego z jeźdźców nawołujących zbliżył się, weszcząc, do Rosynanta, który melancholijny i smutny, ze spuszczonymi uszyma, bez ruchu, podtrzymywał swego naciągniętego pana, lecz w końcu, będąc z ciała, aczkolwiek zdawał się być z drewna, nie mógł się powstrzymać, aby nie powieszyć, kto zbliżył się doń z piesz-

czotą. Zaledwie się odrobinę poruszył, kiedy nogi Don Kichota rozeszły się i byłby spadł na ziemię, ześliznąłwszy się z siodła, gdyby nie był za ramię uwiązany. Spra-

wiło mu to jednak ból taki, że pomyślał albo że mu przegub wyłamuję, albo że mu ramię wyrywają. Zawisł tak blisko ziemi, że koniuszkiem stóp jej dotykał, co mu na

dobre nie wyszło, bo czując, iż tak niewiele brakuje do oparcia stóp na ziemi, wy- tężał się i

naciągał, ile mógł, aby dosięgnąć gruntu, tak jak skazani na karę słupka, zawieszeni na „dotknie czy nie dotknie”, sami swą mękę przedłużają, wyprężając się ze wszystkich sił i ludząc się nadzieję, gdyż wyobrażają sobie, że naciągnąwszy się, sięgną ziemi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

zawiera dalszy ciąg niesłychanych wydarzeń w zajeździe

Wrzaski Don Kichota były w końcu tak przeraźliwe, że otwarto co przedzej bramy zajazdu i karczmarz wyszedł, przestraszony, zobaczyć, kto tak wrzeszczy, to samo uczynili stojący przed zajazdem. Maritornes, obudzona tymi krzykami, odgadując, co to być może, wymknęła się do szopy i przez nikogo niewidziana odwiązała sznur, który podtrzymywał Don Kichota. Ten runął wówczas na ziemię na oczach karczmarza i podróżnych, którzy zbliżywszy się doń, zapytali, co mu dolega i dla-

czego tak krzyczy. On, nie odpowiadając ni słowa, ściągnął sznur z przegubu, zerwał się na nogi, wsiadł na Rosynanta, porwał tarczę, nastawił kopię i okrążywszy dobry kawał pola, zwrócił klusem, mówiąc:

-Ktokolwiek powie, że słusznie zostałem zaczarowany, to jeśli mi na to da pozwolenie pani moja, księżniczka Micomicona, zadam mu kłam, dam mu pole i wyzwę go na pojedynek.

Nowo przybyli zdumiali się słowami Don Kichota, ale gospodarz wywiódł ich z tego zdziwienia, mówiąc, kto jest Don Kichote i że nie należy nań zwracać uwagi, bo jest niespełna rozumu.

308

Zapytali gospodarza, czy przypadkiem do zajazdu nie przybył młodzieniaszek około piętnastoletni, przebrany za mulnika, tak a tak wyglądający, przy czym dali rysopis umiłowanego Doni Klary. Gospodarz odpowiedział, że tyle było ludzi w zajeździe, iż nie wpadł mu w oczy taki, o jakiego pytają. Ale jeden z nich, spostrzegłszy karocę, w której przybył audytor, rzekł:

-Musi tu być, ani chybi. Oto jest bowiem karoca, za którą podąża, jak mówią.

Niech jeden z nas zostanie przy bramie, zaś reszta wejdzie poszukać do wnętrza. Nawet będzie dobrze, jeśli jeden z naszych okrąży cały zajazd, aby przez mur podwórza nie umknął.

-Tak się zrobi - odpowiedział któryś.

Dwóch weszło do wnętrza, jeden pozostał przy bramie, inny poszedł krażyć wokół zajazdu. Na to wszystko patrzył gospodarz, nie pojmując, na co te wszystkie

starania, choć przypuszczał, że szukają owego młodzieńca, którego rysopis podali. Tymczasem nastął dzień, a wraz z nim, a także z powodu rozruchu, jaki wywołał Don Kichote, wszyscy się obudzili i wstali; a zwłaszcza Dona Klara i Dorota, gdyż jedna z powodu wzruszenia, że jest tak blisko ukochanego, druga z powodu chęci ujrzenia go, nie mogły dobrze spać w nocy. Don Kichote - widząc, że żaden z czterech podróżnych nie zwraca nań uwagi ani nie odpowiada na jego wyzwanie, uniósł się, wściekły z rozgoryczenia i złości; a gdyby był tak znalazł w swoich przepisach rycerskich, że błędному rycerzowi wolno podejmować inną przygodę, choć dał słowo i poprzysiągł, że nie wda się w żadną, póki nie doprowadzi do końca tej,

jaką wziął na siebie, zmusiłby ich do odpowiedzi mimo chęci; ale zdało mu się, iż nie godzi się i nie wypada zaczynać innej przygody, póki Micomicony na tronie nie

posadzi, musiał zamilczeć więc i zachować spokój, oczekując, do czego zmierzają usiłowania owych podróżnych. Jeden z nich znalazł poszukiwanego chłopca, kiedy spał obok młodego mulnika, nie spodziewając się, że jest poszukiwany, a tym mniej, że zostanie odnaleziony. Człowiek ten szarpnął go za ramię i rzekł:

- Zaiste, panie Don Luis, zali ta odzież przystoi waszemu stanowi, a to posłanie, na którym was znachodzę, pieczętowitości, w jakiej wychowała was matka wasza?

Przetańczył młodzian oczy zaspane i popatrzył uważnie na pytającego, zaraz też poznał, że to służebny ojca jego, i tak się przeraził, że przez dobrą chwilę i słowa przemówić nie mógł. Śluga zaś ciągnął dalej:

- Nic innego teraz nie pozostaje, panie Don Luis, jak uzbroić się w cierpliwość i wracać do domu, jeżeli wasza mość nie chcesz, aby ojciec wasz, a mój pan, wyprawił się na drugi świat, bo niczego innego oczekiwac nie można w zgryzocie, jaką mu wasza nieobecność sprawiła.
- Ale jakże mój ojciec dowiedział się - zapytał Don Luis - że udałem się tądrogą i w tym przebraniu?
- Pewien student - odpowiedział służebny - któremu zwierzyliście się z zamysłów waszych, zdradził to, zdjęty żalem na widok rozpaczliwego ojca waszego, kiedy was nie zastał. Ojciec wyprawił więc czterech pajuków na wasze poszukiwanie i wszyscy jesteśmy tu do usług waszych, bardzo szczęśliwi, jak wyobrazić sobie p a j u k - dworzanin, członek straży magnata.

309 można, z dobrego wyniku, z jakim powrócimy,
wiodąc was przed oczy tak was miżące.

- Stanie się to, co ja zechcę albo co niebo zrzadzi - odparł Don Luis.- Cóż wy możecie chcieć albo co niebo zrzadzić może, jak tylko zgodzić się na powrót? Nie masz żadnej innej możliwości.

Młody mulnik, z którym Don Luis dzielił posłanie, słyszał wszystko, co owi dwaj między sobą mówili. I podniósłszy się, pobiegł opowiedzieć o tym Don Fernandowi i Kardeniowi oraz innym, którzy już byli odziani. Opowiedział, jak ów człowiek tytułował „don” owego młodzieniaszka, co ze sobą mówili, jak chce go zabrać do domu ojca z powrotem i jak się chłopak opiera. Wobec tego i z powodu jego pięknego głosu, jakim niebo go obdarzyło, a jaki poznali, zapragnęli wszyscy dowiedzieć się czegoś więcej, szczególnie, kim był, i nawet przyjść mu z pomocą, gdyby mu gwałt zadać chciano; skierowali się więc w stronę, gdzie rozprawiał i spierał się ze służebnym. Na to z komnaty zeszła Dorota, a za nią Dona Klara, głęboko wstrząśnięta. Dorota, wezwawszy Kardenia na stronę, opowiedziała mu w krótkich słowach historię śpiewaka i Dońi Klary; ten zaś opowiedział, co zaszło od przybycia poszukującej go służby ojca. Jednak choć mówił cicho, posłyszała go Dona Klara, która tak się tym przeraziła, że gdyby Dorota nie podbiegła jej podtrzymać, byłaby upadła na ziemię. Kardenio polecił Dorocie, aby wróciły do izby, on zaś postara się znaleźć sposób na wszystko. Tak też uczyniły.

Już wszyscy czterej szukający Don Luisa weszli do gospody i otoczyli go, tłumacząc, aby nie tracąc czasu i chwili, wrócił pocieszyć ojca. On odpowiedział, iż nijak tego uczynić nie może, póki do kresu nie przywieździe pewnej sprawy, w której idzie o życie, honor i duszę. Napierali nań wówczas służebni, mówiąc, że w żaden sposób bez niego nie wrócą, ale zabiorą go, czy chce, czy nie chce. - Nie uda się wam - odparł Don Luis - chyba że weźmicie mię trupem, w jakikolwiek sposób byście mię porwali, zabierzcie mię zawsze bez życia. W tej chwili i na ten spór nadbiegli wszyscy inni obecni w zajeździe, a zwłaszcza Kardenio, Don Fernando, jego towarzysze, audytor, proboszcz, cyrulik i Don Kichote, któremu się zdawało, że zamku już strzec nie potrzeba. Kardenio, znając już historię chłopca, zapytał tych, którzy go uprowadzić usiłowali, z jakiego powodu chcą zabrać młodzieniaszka wbrew jego woli.

- Chcemy - odparł jeden z czterech - wrócić jego ojcu życie, na którego utratę naraża go rozdzielenie z tym kawalerem.

Na to rzekł Don Luis:

- Nie będę zdawał sprawy z mego postępowania, jestem wolny i wrócę, kiedy mi się będzie podobało, a jeśli nie, nikt z was mię do tego nie zmusi. - Rozum waszą miłość do tego przywiedzie - odparł człowiek - a jeżeli i on nie wystarczy, wystarczy dla nas, abyśmy spełnili, po cośmy tu przybyli i do czego jesteśmy zobowiązani.
- Zbadajmy sprawę do sedna - wtrącił audytor. Lecz człowiek, który w nim poznał sąsiada, rzekł:
- Czy wasza miłość, panie audytorze, nie zna tego kawalera? Jest to przeciesyn waszego sąsiada, uciekł z domu ojca w odzieniu tak nieodpowiednim jego stanowi, jak wasza miłość tu widzi.

310 Popatrzył wówczas audytor uważniej; poznał młodzieńca i uściaskał go. - Cóż to za dzieciństwo, panie Don Luis, i jakież to ważne przyczyny skłoniły was do tej wyprawy w przebraniu tak nielicującym ze stanem waszym? Chłopcu napłynęły łzy do oczu i nie mógł słowa odpowiedzieć audytorowi. Ten kazał się służbie uspokoić, a wszystko pójdzie gładko, wziąwszy zaś Don Luisa za rękę na stronę, zapytał, co ten wyskok ma znaczyć. I w czasie kiedy zadawał mu te i inne pytania, usłyszano przy bramie zajazdu wielkie krzyki; przyczyną ich było, że dwaj goście, którzy tam nocowali, korzystając z tego, że wszyscy są zajęci

dowiadywaniem się, czego tamci czterej szukają, usiłowali wymknąć się, nie zapłaciwszy, co byli winni; ale gospodarz, bardziej czujny na własne sprawy niż na cudze, schwycił ich, kiedy wychodzili z bramy, i zażądał zapłaty, łając za niecny zamiar w takich słowach, że pobudził ich do odpowiedzi pięściami, zaczeli więc tak go tłuc, że nieborak zmuszony był wrzeszczeć o pomoc. Gospodyn i jej córka nie widziały stosowniej szego obrońcy nad Don Kichota, do którego przemówiła tak córka karczmarza:

- Pomóżcie, miłościwy panie rycerzu, zaklinam was na męstwo, jakie Bóg wam dał, memu biednemu ojcu, bo go dwaj niegodziwcy młócą niczym snopek.

Na to odpowiedział Don Kichote powoli i z wielką flegmą:

- Urodziwa panienko, nie czas na prośbę waszą, nie lza mi bowiem wdawać się w żadną przygodę; póki nie doprowadzę do końca tej, do której słowem się zobowiązałem. Aby wam usłużyć, uczynić mogę jedynie, co powiem: biegajcie, powiedzcie ojcu, aby trzymał się w tej potyczce, jak zdoła najdzielniej, i nie dał się

pokonać, póki nie zyskam pozwolenia od księżniczki Micomicony, by go wesprzeć w potrzebie; jeśli je otrzymam, bądźcie pewni, że wydobędę go z opresji. - O ja nieszczęsna - zawała obecna przy tym Maritornes. - Zanim wasza mość uzyska to pozwolenie, o którym mówicie, mój pan będzie już na drugim świecie! - Pozwólcie jeno wystarać się o to wspomniane pozwolenie - odpowiedział

Don Kichote - kiedy je uzyskam, nic szkodzić nie będzie, choćby i był na tamtym świecie; stamtąd go wydobędę, choćby cały świat miał mi stanąć przeciw. A przynajmniej tak się pomszczę na tych, którzy go tam wyprawili, że zupełnie zadowolone będącie.

Nic już więcej nie mówiąc, poszedł upać na kolana przed Dorotą, prosząc ją w słowach rycersko-błędnych, aby jej wysokość raczyła mu pozwolić pośpieszyć z pomocą kasztelanowi tego zamku, który znajduje się w wielkich ognach. Księżniczka zgodziła się chętnie, więc natychmiast z tarczą na ramieniu i z mieczem w dłoni ruszył ku bramie zajazdu, gdzie obaj goście dalej tukli gospodarza.

Ale kiedy tam doszedł, zatrzymał się i znieruchomił, choć gospodyn i Maritornes krzyczały, by nie zwlekał, lecz szedł z pomocą mężowi.

- Zatrzymałem się - rzekł Don Kichote - bo nie lza mi dobywać oręża przeciw ciurom. Zawołajcie tu mego giermka Sancza, do niego należy i jemu przypada owa obrona i zemsta.

To wszystko działało się przy bramie zajazdu, gdzie sypały się kułaki i razy dobrze wymierzone, wszystkie na szkodę karczmarza, a ku wściekłości Maritornes, gospodyn i jej córki, które rozpaczały, widząc tchórzostwo Don Kichota i krzywdę, jakiej doznał ich mąż, pan i ojciec.

311

Lecz zostawmy go tam, znajdzie się na pewno ktoś, kto mu pomoże, a jeżeli nie, niech cierpi i milczy, który się porwał na rzeczy siły jego przenoszące; my zaś wróćmy o pięćdziesiąt kroków wstecz, by dowiedzieć się, co Don Luis odpowiedział audytorowi, kiedy zostawiliśmy ich na boku i kiedy pytał go o przyczynę jego wyprawy, piechotą i w tak nędznym przyodziewku; na to młodzieniec pochwyciwszy go mocno za ręce jakby na znak, że jakaś wielka bolesć serce mu ścisnęła, i wylewając potoki łez, tak rzekł:

-Panie mój, nie umiem wam nic więcej rzec, jeno że od chwili kiedy niebu się spodobało, a nasze bliskie sąsiedztwo sprawiło, żem ujrzał pannę Donę Klarę, waszą córkę, a moją panią, stała się ona władcynią mojej woli i jeśli wasza, prawdziwy panie mój i ojcze, nie stanie na przeszkodzie, dziś jeszcze może stać się moją

małżonką. Dla niej to rzuciłem dom ojca mego i dla niej włożyłem te szaty, aby pójść za nią wszędzie, gdziekolwiek się uda, jak strzała, co do celu dąży, lub jak żeglarz za gwiazdą polarną. Ona wie o miłości mojej jeno tyle, ile jej zdradzić mogły łzy oczu moich, dostrzeżone z daleka. Wiadome wam są, panie, bogactwa i szlachetność rodu ojców moich i że jestem ich jedynym dziedzicem; jeśli te względy wydają się wam dostateczne, odważcie się uczynić mię szczęśliwym i przyjmijcie mię zaraz na syna; a gdyby ojciec mój roił inne zamysły, a nie podobały mu się te, które sam sobie wybrałem, czas ma większą moc rozwiązywania i zmieniania spraw aniżeli ludzka wola.

To powiedziawszy, zamilkł rozkochany młodzieniec, audytor zaś stał zdumiony, wzruszony i zdziwiony, słysząc, w jaki sposób i z jaką delikatnością Don Luis odsłonił swe uczucia, a także i tym, że sam, zaskoczony, nie wiedział, jak ma postą- pić w tak naglej i niespodziewanej sprawie. Więc nic nie odpowiedział, jeno prosił, aby się uspokoił na razie i uzyskał od służebnych, niech go tego dnia nie zabierają, bo trzeba czasu na rozważenie, co dla wszystkich będzie najlepsze. Don Luis usiłował ucalować mu ręce i oblał je łzami, co mogło być zmiękczyć serce z marmuru, a nie tylko audytora, który jako człek rozumny już pojął, jakim szczęściem dla córki byłoby to małżeństwo, jednak o ile to możliwe, rad był je przeprowadzić za zgodą ojca Don Luisa, o którym wiedział, że dążył do uzyskania tytułu dla syna. Tymczasem goście zawarli pokój z gospodarzem, gdyż za namową i dobrą radą Don Kichota raczej niż dla jego pogróźka zapłacili wszystko, czego ów żądał, a służebni Don Luisa czekali na koniec przemowy audytora i decyzję swego pana, kiedy diabeł, który nie śpi, sprawił, że w tej właśnie chwili do gospody wszedł cyrulik, któremu Don Kichote zabrał był hełm Mambryna, zaś Sanczo Pansa juczne siodło na osła, które wymienił na swoje. Cyrulik ten więc, prowadząc swego osła do stajni, spostrzegł Sanczo Pansę, który coś przy terlicy majstrował; ledwie ją zoczył, już ją poznał i odważył się napaść na Sancza, mówiąc:

- Ach, panie złodzieju, mam cię! Oddajcie mi miednicę i terlicę z całą uprzężą, któreście mi zrabowali.

Sanczo, widząc tę nagłą napaść i usłyszawszy te wyzwiska, jedną ręką chwycił terlicę, a drugą wyciął taki policzek cyrulikowi, że mu szczęki rozkrwawił; ale terlica - siodło drewniane mające z tyłu okrągłą ławkę z poduszką.

mimo to cyrulik nie wypuszczał zdobyczy i mocno trzymał terlicę, prócz tego zaczął wrzeszczeć tak mocno, że wszyscy z gospody zbiegli się na hałas i kłótnię, on zaś wrzeszczał:

- W imieniu króla i sprawiedliwości! Za to, że odbieram moją własność, tenzłodziej chce mię zabić, ten rozbójnik, włóczęga! - Łżesz - odparł Sanczo - nie jestem rozbójnik, włóczęga, ale mój pan, Don Kichote, zdobył mi ten łup w sprawiedliwej walce.

Już nadszedł był na to Don Kichote i z wielkim zadowoleniem spostrzegł, jak dobrze się broni i naciera jego giermek. Odtąd miał go za zucha i zamierzał w swym sercu pasować go na rycerza przy pierwszej sposobności, jaka się nadarzy, mniemał bowiem, że Sanczo wypełni dobrze zakony rycerskie.

Cyrulik w czasie zatargu tak mówił między innymi:

- Panowie, ta terlica tak jest moja jak śmierć, którą mi Bóg przeznaczył, i taką znam, jakbym ją urodził. Oto tam stoi mój osioł w stajni, który nie pozwoli mi skłamać. Jeśli mi nie wierzycie, przymierzcie terlicę, a będzie leżała jak ulana albo jestem niecnotą. Co więcej, tego samego dnia, kiedy mi ją skradziono, skradziono mi i niednicę miedzianą, nową, jeszcze nieużywaną, wartości całego talara. Tu nie mógł wytrzymać Don Kichote, by nie odpowiedzieć, i stanawszy między przeciwnikami rozdzielił ich, położył terlicę na ziemi, aby była widoczna, póki prawda na jaw nie wyjdzie, i rzekł:

- Ichmość panowie, oto zobaczycie jasno i oczywiście błąd, w jakim tkwi tenpoczątkowy ścierciałka'. Nazywa on niednicą to, co było, jest i będzie hełmem Mambryna. Odebrałem mu go w sprawiedliwej walce i stałem się jego właścicielem, zawładnawszy nim w prawy i słuszny sposób. Terlica mię nie obchodzi, rzec mogę o niej jedynie, że mój giermek Sanczo prosił mię o pozwolenie zabrania rzędu wierz-

chowca tego pobitego tchórza, aby nim mógł swojego ustroić. Dałem mu je i zabrał je sobie. Jak zmienił się rząd na terlicę, wy tłumaczyć nie zdołam inaczej jak zwykle: takie przemiany zachodzą w przygodaach rycerskich; na poparcie tego biegaj, synu mój Sanczo, i przynieś tu hełm nazwany przez tego poczciwca niednicą. - Na Boga, panie - rzekł Sanczo - jeśli nie mamy innego dowodu naszych intencji jak to, co jegomość mówi, to ta niednica jest tak hełmem Malina, jak terlica tego poczciwca rzędem.

- Czyń, co ci każę - odparł Don Kichote - może nie wszystkie rzeczy w tym zamku podlegają czarom.

Sanczo poszedł po miednicę i przyniósł ją. Kiedy ją Don Kichote ujrzał, wziął do rąk i rzekł:

- Patrzcie, panowie, jakim czołem mógl rzec ów ścierciałka, że to jest miednica, a nie hełm, jak mówię; przysięgam na rycerski zakon, jaki wyznaję, że jest to ten sam hełm, jaki mu odbiłem, nic w nim nie dodałem ani nie ująłem. - Bez wątpienia - wmieszał się Sanczo - bo odkąd go pan mój zdobył aż do teraz, tylko jedną bitwę w nim stoczył, kiedy uwolnił nieszczęsnych kajdaniarzy; a gdyby nie ta hełmomisa, byłoby wówczas kruczo, bo w tej utarczce kamienie gęsto latały. ścierciałka- świeżo nobilitowany szlachcic.

313

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

wyjaśnia wątpliwości co do hełmu Mambryna i terlicy oraz opowiada całą prawdę o innych awanturach

Jak wam się podoba, panowie - rzekł ów cyrulik - to, co utrzymuję owi szlachetni gości, którzy jeszcze upierają się, że to nie miednica, jeno hełm? - A jeśliby kto co innego twierdził - przerwał Don Kichote - przekonam go, że lże, o ile byłby rycerzem, jeśli zaś gierkiem, że lże po tysiąckroć.

Nasz cyrulik, obecny przy tym wszystkim, znając dobrze dziwactwo Don Kichota, chciał podsycić jego szaleństwo i dalej żart posunąć ku powszechniej ucieście, rzekł więc, zwracając się do tamtego cyrulika:

- Panie cyruliku, czy kimkolwiek tam jesteście, dowiedziecie się, że ja ten sam zawód uprawiam i już dwadzieścia lat minęło, jak się wyzwoliłem, znam doskonale wszelkie narzędzia balwerskie bez wyjątku: ni mniej, ni więcej byłem też żołnie-

rzem w młodości i wiem dobrze, co to jest hełm, a co szyszak, co przyłbica, misiur- ka oraz inne rzeczy wojskowe, to znaczy rodzaje broni żołnierskiej; otóż twierdzę, chyba że ktoś lepiej osądzi, ja zdaję się zawsze na sąd bystrzejszego, że ten przed- miot, który tu jest przed nami i który ten zacny pan w rękach trzyma, nie tylko nie

Don Kichote - Miguel Cervantez

jest miednicą balwierską, ale tak się od niej różni, jak białe od czarnego i jak prawda od kłamstwa. Również twierdzę, że choć to jest hełm, jednak jest niezupełny. - Oczywiście - rzekł Don Kichote - brak mu bowiem połowy, to jest dolnej części. - Otóż to - wtrącił proboszcz, który już zrozumiał zamiar swego druha balwierza.

To samo potwierdził Kardenio, Don Fernando i jego towarzysze; nawet audytor, gdyby nie był tak zatroskany sprawą Don Luisa, byłby wziął udział w żarcie, ale poważne sprawy, o których myślał, trzymały go w takim napięciu, że nie zwracał uwagi na owe dowcipy.

- Boże, zawaruj! - rzekł wówczas wykpiony cyrulik - czyż to możliwe, abytylu czcigodnych ludzi twierdziło, iż to nie miednica, jeno hełm! Oto co mogłoby, zdaje się, cały uniwersytet w zdumieniu wprawić, choćby najuczeńszy. Dość tego: jeśli ta miednica jest hełmem, to również i terlica będzie rzędem na konia, jak ten pan twierdzi.
- Mnie się wydaje terlicą - odparł Don Kichote - ale już powiedziałem, niemieszam się do tego.
- Czy to terlica, czy też rząd na konia - rzekł proboszcz - nikt z nas lepiej objaśnić nie zdoła jak pan Don Kichote. Bo w tych sprawach rycerstwa wszyscy ci panowie i ja uznajemy jego wyższość.
- Na Boga, mości panowie - rzekł Don Kichote - tyle i tak dziwnych rzeczy spotkało mię w tym zamku oba razy, kiedy w nim gościłem, że zapytany, nie ośmielę się twierdzić niezbicie o żadnej rzeczy, która ma z nim związek albo się w nim 314 znajduje, bo mniemam, że wszystko w nim czarodziejskim sposobem się odbywa. Pierwszy raz dręczył mię jakiś Maur zaklęty tu przebywający, a Sanczo też lepiej nie wyszedł z jego świętą; wczorajszego wieczora zaś zostałem powieszony za ramię na dwie godziny, nie widząc, jak ani dlaczego mię ta przykrość spotkała. Dziś

więc wdawać się w rozważania przyczyny tak zawiłych spraw byłoby, jak mniemam, wydawać sąd zbyt lekkomyślnie. Co się tyczy twierdzenia, że jest to miednica, a nie hełm, już odpowiedziałem na nie; ale nie ośmielę się wydawać ostatecznego wyroku, czy to jest terlica, czy rząd; wolę to zostawić rozstrzygnięciu waszmościów, może czary tego miejsca nie będą miały nad wami mocy, jako że nie jesteście rycerzami pasowanymi jak ja, więc mając umysł wolny, będziecie mogli osądzić sprawy tego zamku, jakimi one są w rzeczywistości i prawdzie, a nie jak się mnie wydają.

- Bez wątpienia - odparł na to Don Fernando - pan Don Kichote powiedział bardzo słusznie, że do nas należy rozsądzić tę sprawę; aby zaś sąd miał lepsze podstawy, zbiorę tajne głosy tych panów i zdam pewne i jasne sprawozdanie z wyniku. Dla wszystkich, którzy znali dziwactwa Don Kichota, było to wszystko okazją do serdecznego uśmieania się, ale dla tych, którzy wtajemniczeni nie byli, zdawało się rzeczą najdziwaczniejszą w świecie, osobliwie zaś czterem pajukom Don Luisa, a niemniej jemu samemu oraz trzem innym podróżnym, którzy przypadkiem przybyli do zajazdu, a wyglądały na strażników, jakimi w samej rzeczy byli. Najbardziej jednak zrozpaczony był cyrulik, którego miednica w jego oczach zmieniła się w hełm Mambryna, a nie wątpił, że i terlica osła zamieni się w bogaty rząd na rumaka. Jedni i drudzy śmiali się, widząc, jak Don Fernando chodził, zbiegając głosy tych i tamtych, szepcząc im na ucho, aby tajnie głosowali, zali ów skarb, o który tyle walczono, był terlicą czy rzędem. A kiedy już pozbierał głosy tych, którzy Don Kichota znali, oświadczył głośno:
 - Prawda jest, dobry człecze, że oto zmęczyłem się już zbieraniem tylu głosów, widzę bowiem, że wszyscy na pytanie odpowiadają jednak, a tylko szaleństwo może twierdzić, że to jest terlica na osła, kiedy to jest rząd na konia, i to zgoła konia pełnej krwi. Przeto uzbrójcie się w cierpliwość, bo na przekór wam i wasze- mu osłu jest to rząd, a nie terlica, wy zaś bardzo nieudolnie dowodziliście waszego twierdzenia.
 - Obym się do nieba nie dostał - rzekł nieszczęsny cyrulik - jeśli się waszemiłoście wszyscy nie mylicie, i niech dusza moja tak się Bogu wyda, jak to mnie się wydaje terlicą, a nie rzędem, ale tak się dzieje z prawami... I już więcej nie powiem nic, po prawdzie nie jestem pijany, nie przekroczyłem postu, chyba w myśli. Głupstwa, jakie plótły cyrulik, nie mniejszy śmiech wywołały niż szaleństwa Don Kichota, który właśnie rzekł:
 - Nie ma tu więcej nic do roboty, niech każdy weźmie, co jego, a komu Bóg dał, niech mu św. Piotr błogosławi. Jeden z czterech pajuków odezwał się:
 - Jeśli to wszystko nie jest z góry ułożonym żartem, nie mogę pojąć, jak ludzietak rozumni, jakimi są lub zdają się być wszyscy tu obecni,

ośmielają się mówić Aluzja do przysłownia hiszpańskiego: „Tam chodzą prawa, gdzie się królom podoba”.

315

i twierdzić, że nie jest to terlica ośla, a tamto balwierska miednica; lecz widząc, jak utrzymuję to i głoszą, muszę mniemać, że kryje się jakaś tajemnica w upieraniu się

przy twierdzeniu tak przeciwnym temu, co okazuje sama prawda i doświadczenie; przysięgam bowiem - tu zaklął soczyście - że nikt z żyjących na świecie nie zmusiłby mnie do powiedzenia, że to nie jest miednicą balwierza, a tamto terlicą na osła.

- Mogłoby to być i na oślicę - rzekł proboszcz.
- Na jedno to wychodzi - rzekł służebny - nie w tym rzecz, lecz w tym, czyjest to terlica, czy nie, jak wasze miłoście twierdzą.

Na to jeden ze strażników, którzy właśnie weszli do gospody, wysłuchawszy sporu i zatargu, rozgniewany i oburzony, wykrzyknął: - To przecie terlica, jak mój ojciec jest mym ojcem! A kto coś innego mówilub powie, musi być zalany w pestkę! - Łżesz jak podły cham! - odkrzyknął Don Kichote.

I wzniósłszy kopię, której nigdy nie wypuszczał z dłoni, wymierzył mu taki cios w głowę, że gdyby się był strażnik nie uchylił, już by leżał jak długi. Kopią spadła na ziemię i połamała siew kawałki, zaś inni strażnicy, widząc, jak napadnięto ich towarzysza, podnieśli krzyż, żądając pomocy dla Świętej Hermandady. Gospodarz, który należał do bractwa, pobiegł natychmiast po swą laskę i szpadę i stanął u boku swych kamratów; pajacy Don Luisa otoczyli młodzieńca, aby im w zamęcie nie zbiegły; cyrulik, widząc dom do góry nogami przewrócony, pochwycił swarterlicę, to samo uczynił Sanczo; Don Kichote dobył miecza i napadł na łuczniców. Don Luis krzyczał na służbę, aby go zostawili i biegli z pomocą Don Kichotowi, Kardeniowi i Don Fernandowi, którzy stanęli w obronie Don Kichota; proboszcz nawoływał, gospodyn piszczała, córka zawodziła, Maritornes

łkała, Dorota straciła głowę, Lucynda była przerażona, Dona Klara zemdlała; cyrulik walił Sanczo, Sanczo tłumił cyrulika, Don Luis, którego jeden ze służby ośmielił się chwycić

za ramię, by nie uszedł, wymierzył mu taki policzek, że zęby mu zalał krwią; audy-tor stanął w jego obronie; Don Fernando pod stopami swymi trzymał jednego ze strażników i mierzył mu ciało nocami, ile włazło; gospodarz znowu wrzeszczał coraz

głośniej, wzywając pomocy dla Świętej Hermandady; tak że cała gospoda była pełna płaczu, nawoływań, krzyków, zamieszania, strachu, przerażenia, biadań, ciosów, razów, kopniaków, kijów i rozlewu krwi. A pośród tego chaosu, płatań i powszechnej gmatwaniny Don Kichotowi strzeliło do głowy wspomnienie, że oto ni stąd, ni zowąd został przeniesiony w zgiełk obozu Agramanta, więc ryknął głosem, od którego zadrżała karczma:

- Wstrzymajcie się wszyscy! Wszyscy odłóźcie broń! Uspokójcie się wszyscy, posłuchajcie mnie wszyscy, jeśli chcecie życie ocalić! Na ten donośny głos wszyscy przystanęli, on zaś mówił dalej:

- Zali nie mówiłem wam, panowie, że ten zamek jest zaczarowany i że cały legion demonów musi go zamieszkiwać? Na potwierdzenie tego chcę, abyście na własne oczy ujrzaeli, jak przeniosła się między nas i wcisnęła się tu waść obozu Agramanta. Patrzcie, jak tam walczą o miecz, tu o rumaka, ówdzie o orła, gdzie indziej o hełm. I wszyscy walczymy i nie możemy się porozumieć. Pójdźcie więc,

316

wasza miłość, panie audytorze, i wasza miłość, wielebny proboszczu, niech jeden wyobraża króla Agramanta, zaś drugi króla Sobrino i pojednajcie nas; bowiem na Boga Wszechmogącego, wielkie byłoby to bezeczeństwo, aby tylu znakomitych ludzi jak my zabijało się dla takich błahostek. Strażnicy, którzy nie rozumieli nic z przemowy Don Kichota, a byli bardzo побici przez Don Fernanda, Kardenia i towarzyszy, nie chcieli się uspokoić, cyrulik

był nie od tego, bo w zwadzie wyrwano mu brodę i terlicę; Sanczo, jako dobry sługa, na pierwszy głos pana pohamował się; czterej pajucy Don Luisa również zaprzestali walki, widząc, jak mało mogą zyskać,bijąc się dalej; jeden gospodarz upierał się, że musi ukarać zuchwałstwo owego szaleńca, który na każdym kroku zajazd mu zakłoca. W końcu zgiełk uspokoił się, terlica pozostała aż do sądu ostatecznego rzędem rycerskim, miednica hełmem, zaś gospoda zamkiem w wyobraźni Don Kichota. Kiedy więc uspokoili się i pogodzili wszyscy dzięki namowom audytora i proboszcza, pajucy Don Luisa upierali się, aby natychmiast jechał z nimi; podczas kiedy on z nimi paktował, audytor naradzał się z Don Fernandem, Kardeniem i proboszczem, jak ma w tej okoliczności postąpić, opowiedziawszy im, czego się od Don Luisa dowiedział. W końcu postanowiono, że Don Fernando wyjawi pajukom Don Luisa, kim jest, i że chciałby, aby Don Luis pojechał z nim do Andaluzji, gdzie brat jego markiz przyjmie go, jak na to młodzieniec zasługuje, łatwo bowiem przewidzieć można, że Don Luis w tej chwili raczej da się posiekać na kawałki, niż wróci

Don Kichote - Miguel Cervantez

przed oblicze ojca. Kiedy więc czterej pajucy dowiedzieli się o godności Don Fernanda i o postanowieniu Don Luisa, uradzili między sobą, że trzech powróci zdać sprawę ojcu z tego, co zaszło, zaś czwarty pozostanie na usługach Don Luisa i nie opuści go, póki tamci po niego nie wrócą albo dopóki nie dowiedzą się o decyzji ojca. W ten sposób uspokoiła się owa gmatwanina sporów dzięki powadze Agramanta i roztropności króla Sobrino, ale wróg zgody i przeciwnik pokoju, widząc, że został wyszydzony i wydrwiony i że tak marną korzyść odniósł z wpędzenia wszystkich w ten zawiły labirynt, postanowił raz jeszcze spróbować szczęścia, wzniecając nowe zatargi i zamieszki.

Oto wprawdzie strażnicy ucichli, dowiedziawszy się, jak znakomitymi ludźmi byli ci, z którymi walczyli, i wycofali się ze starcia, bo zdawało się, że cokolwiek by zaszło, oni szkodę w walce poniosą; ale jeden z nich, którego właśnie wymłocił i podeptał Don Fernando, przypomniał sobie, że wśród licznych nakazów, jakie miał

przy sobie na uwięzienie złoczyńców, ma też jeden przeciw Don Kichotowi, którego Święta Hermandada kazała uwięzić za uwolnienie galerników, czego się bardzo słusznie Sanczo obawiał. Wpadłszy na to, chciał przekonać się, czy rysopis Don Kichota zgadza się i wyjąwszy z zanadrza pergamin, znalazł, czego szukał, itał czytać

powoli, nie był bowiem zbyt biegły w czytaniu; za każdym słowem, podnosząc oczy na Don Kichota, porównywał rysopis listu gończego z jego obliczem. Upewnił się, że

bez żadnej wątpliwości właśnie do niego list gończy się odnosił. Zaledwie się upewnił, zwinął swój pergamin, przełożył go do lewej ręki i prawą chwyciwszy Don Kichota za kołnierz tak silnie, że ten tchu złapać nie mógł, głosem gromkim zawałał:

317

- W imieniu Świętej Hermandady! A kto chce się przekonać, że słusznie wołam, niech czyta ten list gończy, który zawiera rozkaz pochwycenia tego opryszka szerokich dróg.

Proboszcz wziął list i przekonał się, że strażnik prawdę powiadał, bo rysopis zgadzał się z Don Kichotem; ten, widząc, jak źle obchodzi się z nim podły prostak, wpadł w taką wściekłość, że aż mu kości trzeszczały, i jak tylko zdołał, chwycił strażnika obiema rękoma za gardło; i gdyby mu towarzysze nie pośpieszyli z pomocą, byłby ów życie postradał, zanimby go Don Kichote wpuścił. Gospodarz, który był

obowiązany pomagać ludziom swego stowarzyszenia, pobiegł szybko z pomocą. Gospodyn, która swego męża znowu w obierzy ujrzała, zaczęła wrzeszczeć; krzyk ten zwabił Maritornes i córkę, które jeły wzywać niebo na pomoc i wszystkich obecnych. Sanczo, widząc, co się dzieje, rzekł:

- Na Boga żywego! Prawdajest, co mówił pan mój o czarach tego zamku, wszaki jednej godziny nie można tu żyć spokojnie.

Don Fernando rozdzielił strażnika i Don Kichota i ku zadowoleniu obu oderwał ich ręce, mocno zaciśnięte, te na kołnierzu jednego, owe na gardle drugiego. Jednak strażnicy nie przestawali domagać się więźnia i wołać pomocy, aby go oddać związanego i poddanego ich woli, jak wymaga powinność wobec króla i Świętej Hermandady, w której imieniu znowu żądali pomocy, aby pojmać tego łupieżcę i rozbójnika szlaków i gościńców. Don Kichote uśmiechnął się, słyszcząc te słowa i z wielkim spokoju rzekł:

- Pójście tu, głupcy i nikczemnicy, nazywacie rozbojem, kiedy obdarza się wolnością zakutych w kajdany, uwalnia więźniów, wspiera nieszczęśliwych, podnosi upadłych, pomaga potrzebującym? A! Plemię nikczemne, niegodny jest wasz niski i podły umysł, aby niebo was pouczyło o wartości, jaką zawiera w sobie błęd-

ne rycerstwo, ani by wam dało pojąć grzech i ciemnotę, w jakiej tkwiecie, nie okazu-jąc czci już nie cieniowi, ale co więcej obecności błędnego rycerza! Pójście tu,

zgrajo łotrów! Nie strażnicy wy, ale rozbójnicy dróg pod osłoną Świętej Hermandady; powiedziecie: cóż to za głupiec podpisał list gończy na uwięzienie takiego jak

ja rycerza? Któz jest, kto nie wie, że rycerze błędní nie podlegają żadnym sądom, że prawem im jest miecz, trybunałem ich przewagi, kodeksem wola? Cóż to za półgłówek - powtarzam - co nie wiedział, że żaden indygenat' szlachecki nie nadaje takich przywilejów, takich swobód, jak te, które zyskuje rycerz w dzień swego pasowania i podjęcia twardego zwołania rycerskiego. Któryz błędný rycerz płacił kiedykolwiek czynsz, sprzedażne, daninę na pantofelki królowej, cło, myto lub mostowe? Jakiż krawiec zażąda odeń zapłaty za uszycie szat? Jakiż kasztelan, goszcząc go w swym zamku, zażąda zapłaty za nocleg? Któryz król nie posadzi go przy swoim stole? Jakaż dziewczyna nie zakocha się w nim i nie odda mu swych powabów i woli? A w końcu, czy był, jest albo będzie na świecie jakiś błędný rycerz, który by

się nie odważył dać sam jeden czterysta kijów czterystu strażnikom ośmielającym się stawić mu czoło? indygenat- przyznanie praw szlacheckich,
nadanie
szlachectwa.

318

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

o słynnej przygodzie ze strażnikami i o

wielkiej zaciekłości naszego zacnego

rycerza Don Kichota

Kiedy Don Kichote to wygłaszał, proboszcz starał się wytłumaczyć strażnikom, że jest on pozbawiony rozumu, co widać z jego czynów i ze słów jego, i że nie należy sprawy dalej posuwać, bo choćby go uwięzili i zabrali, będą musieli zaraz go wypuścić jako szaleńca; na to odpowiedział nosiciel listu gończego,

że nie jego

rzeczą jest rozstrzygać o szaleństwie Don Kichota, jeno wypełnić zlecenie zwierzchnika, a kiedy raz będzie pojmany, mogą go i trzysta

razy wypuszczać. - Mimo to - rzekł proboszcz - tym razem go nie weźmiecie ani on wziąć się nie da, jak przypuszczam. W końcu proboszcz tak umiał do nich przemówić, a Don Kichote tyle szaleństw zdołał popełnić, że strażnicy musieliby być większymi wariatami niż on, gdyby nie

uznali kalectwa Don Kichota. Uważali, że lepiej będzie uspokoić się, a nawet pośredniczyć w pogodzeniu cyrulika i Sanczo Pansy, którzy dotąd bardzo gniewny spór toczyli. Na koniec jako przedstawiciele sprawiedliwości pośredniczyli i rozsą-

dzili sprawę w ten sposób, że obie strony zostały, jeśli nie zupełnie zadowalone, to przynajmniej nieco zaspokojone, bo zamieniono terlice, ale nie uzdy i popręgi. Co

się tyczy hełmu Mambryna, proboszcz po kryjomu, aby się Don Kichote nie dowiedział, dał za miednicę osiem reali, zaś cyrulik wystawił pokwitowanie odbioru, przyrzekając, że nie będzie się o nią upominał ani teraz, ani na wieki wieków, amen. Po złagodzeniu tych dwu zatargów, najważniejszych i największych, pozostało jeszcze sprawić, aby pajucy Don Luisa zgodzili się wrócić we trzech i aby jeden pozostał, towarzysząc mu tam, gdzie go Don Fernando zawieźć zechce. I jak dobry los i przyjazna fortuna zaczęły już kruszyć kopie i usuwać przeszkody z drogi ko-

chanków i bohaterów zajazdu, tak i zechciały przywieść wszystko do szczęśliwego końca, bowiem służebni Don Luisa zgodzili się na jego żądanie; z czego Doña Klara taką radość odczuła, iż każdy, kto wówczas na jej lica spoglądał, poznał wesele

jej duszy. Zoraida, choć nie rozumiała zdarzeń, na które patrzyła, to smuciła się, to rozweselała, zależnie od tego, co czytała na twarzach drugich, zaś osobliwie swego

Hiszpana, z którego nie spuszczała oczu, będąc z nim duszą związaną. Gospodarz, którego uwagi nie uszła zapłata i nagroda, jaką proboszcz dał cyrulikowi, zażądał wyrównania należności Don Kichota oraz wynagrodzenia za uszkodzenie bukłaków, za stratę wina, klnąc się, że nie wypuści z zajazdu Rosynanta ani osła Sanczo-

wego, póki mu nie zapłacią do ostatniego szeląga. Wszystko to uspokoił proboszcz, zaś Don Fernando zapłacił, choć audytor z najlepszej woli również ofiarował wspólnie-

udział. W ten sposób wszyscy pozostali w pokoju i ciszy, a zajazd już nie wydawał się być zwaśnionym Obozem Agramanta, o jakim Don Kichote mówił, ale samym pokojem i uciszeniem czasów Oktawiana. Powszechnie zdanie było, że stało się to 319 dzięki dobrym usiłowaniom i znakomitej wymowie jegomości plebana oraz niezrównanej szczodrości Don Fernanda.

Przeto Don Kichote, widząc się wolnym i oswobodzonym z tylu zatargów tak giermka swego, jak własnych, był zdania, że należało zacząć podróż dalej prowadzić i przywieść do końca ową wielką przygodę, do której został powołany i wybrany. Zatem w silnym postanowieniu poszedł paść na kolana przed Dorotą, która nie pozwoliła mu przyjść do słowa, póki nie powstanie. On więc, aby okazać się posłusznym, powstał i rzekł:

Jest znane przysłowie, piękna pani, że pośpiech jest matką pomyślności, i w wielu poważnych sprawach doświadczenie okazało, że pilność uczestnika do szczęśliwego kresu doprowadziła wątpliwą sprawę. Ale ta prawda nigdzie bardziej oczywista nie jest jak w sprawach wojennych, gdzie szybkość i pośpiech uprzedała plany wrogów i odnosi zwycięstwo, zanim przeciwnik zajmie obronne stanowisko. To mówię, wysoka i znakomita pani, ponieważ zdaje mi się, że dalszy pobyt nasz w tym zamku jest bez korzyści, a może nam przynieść szkodę, którą niebawem spostrzeglibyśmy; który bowiem wie, czy przez tajnych szpiegów i stronników olbrzym, wasz wróg, nie

Don Kichote - Miguel Cervantez

dowiedział się już, że ja wybieram się go zniszczyć, a mając czas i miejsce nie umocni się w jakimś niezdobytym zamku lub warowni, przeciw którym niewiele warte będą moje wysiłki i dzielność mego niestrudzonego ramienia? Uprzedź- my tedy, pani moja, jak rzekłem, jego zamysły naszym pośpiechem i ruszajmy natychmiast po los szczęśliwy, bowiem tym łacniej osiągnie wasza wysokość cel tak upragniony, im rychlej zetknę się z wrogiem waszym.

Umilkł i nie rzekł więcej ani słowa Don Kichote, oczekując z wielkim spokojem odpowiedzi pięknej infantki. Ta, z pańską miną i przystosowując się do stylu Don Kichota, odpowiedziała w ten sposób:

- Dzięki wam składam, panie rycerzu, za gotowość, jaką objawiacie, chcąc mi okazać pomoc w mej wielkiej niedoli. Tak przystoi rycerzowi, którego właściwością i powinnością jest pomagać sierotom i uciśnionym. Oby niebo zechciało, aby wasze i moje pragnienie spełniło się i abyście się mogli przekonać, że istnieją wdzięczne białogłów na świecie. Co zaś się mego wyjazdu tyczy, niech co rychlej nastąpi, nie mam innej woli, jeno waszą; rozporządzajcie mną wedle waszej chęci i umyślenia; ta bowiem, która wam powierzyła obronę swej osoby i w wasze ręce złożyła sprawę odzyskania swego królestwa, nie może przeciwstawiać się temu, co wasza roztropność rozkaże.

- W imię Boga przeto - rzekł Don Kichote - skoro taka pani przede mną się uniża, nie chcę tracić sposobności podniesienia jej i osadzenia na dziedzicznym tronie. Jedźmy co przedzej, bowiem bodźca dodaje mi zapał i daleka droga, skoro zwykło się mówić, że niebezpieczeństwo kryje się w zwłoce, a jako niebo nie stworzyło

ani piekło nie wydało nic, co by mię zastraszyć lub przerazić niosło, siodlaj, San- czo, Rosynanta, okulbacz twoego osła oraz stępkę królowej, pożegnajmy kasztelana i tych panów i co rychlej ruszajmy w drogę. Sanczo, który był wszystkiemu obecny, rzekł, kiwając głową na prawo i na lewo:

1 stępk- koń przyuczony do chodzenia stępa (pown 320

- Ach, panie mój, panie, więcej zła wśród sioła, niż kto wyśnić zdoła, z przeproszeniem tych dostojnych czepców.
- Jakież зло może w jakimkolwiek siole czy we wszystkich miastach świata, które by mogło naprzeciw mnie się obrócić, prostaku?

- Jeśli jegomość się gniewa - odparł Sanczo - zamilknę i nie powiem, co jakodobry giermek i dobry służka powiniennem rzec panu swemu. - Gadaj, co zamierzasz - odparł Don Kichote - byleby słowa twoje nie zmierzały do zatrwożenia mnie. Jeśli ciebie strach oblata, czyń, na co cię stać, ja zaś, który nie znam trwogi, postąpię, jak mnie przystoi.
- Nie w tym rzecz, grzesznik ja przed Bogiem - odpowiedział Sanczo - alewiem pewnie i niezbicie, że ta pani, która podaje się za królowę wielkiego królestwa Micomicon, jest nią tak jak moja matka; gdyby bowiem tak było, jak mówi, nie boćałaby się ciągle z jednym z tego grona, ledwie obrócimy głowy, i po wszystkich kątach...

Na te słowa Sancza Dorota spłonęła, prawdę bowiem było, że małżonek jej Don Fernando nieraz po kryjomu z ust jej brał nagrodę, na jaką uczucia jego zasłużowiły (spostrzegł to Sanczo i zdawało mu się, że taka poufałość przystoi raczej latawicy niż królowej tak wielkiego państwa), nie mogła więc i nie chciała odpowiedzieć Sanczowi, który tak dalej ciągnął swą przemowę:

- Mówię to, panie, bowiem skoro po przemierzeniu tylu dróg i szlaków, pospędzeniu tylu złych nocy i gorszych jeszcze dni ma zbierać owoce naszych trudów ktoś, kto się w tej gospodzie zabawia, na nic mi spiesznie siodłać Rosynanta, kulba-

czyć osła, oporządać stępaka, lepiej będzie siedzieć cicho, niech sobie każda dziwka przedzie swoje, my zaś podjedzmy sobie.

O Boże mój! Jak strasznym gniewem zapłonął Don Kichote, usłyszawszy te nieprzystojne słowa swego giermka! Powiem, że był to gniew, od którego głos mu się rwał, język płatał, oczy ogień ciskały.

- O hultaju, prostaku, niecnoto, bezwstydniku, głupcze, wyparzony jęzorze, oszczerco, zuchwalcze, bluźnierco i potwarco! Jakież słowa śmiałeś wypowiedzieć wobec mnie i tych znamienitych dam, jakież szkaradzieństwa i zuchwalstwa śmiałeś do twej mętnej głowy dopuścić? Precz z moich oczu, potworze, worze kłamstw, zbiorze oszustw, przepaści łołostw, wynalazco złośliwości, głosicielu głupstw, wrogu czci winnej królewskim osobom! Precz, nie stawaj mi do oczu pod groźbą gniewu mego!

To rzeklszy, zmarszczył brwi, wydał policzki, toczyłokoła oczyma i tupał o ziemię prawą nogą z okrutnym rozmachem, okazując gniew, jaki mu wnętrzności trawił. Na te słowa i wściekłe gesty Sanczo tak struchlał i przeraził się, że rad byłby,

gdyby mu w tej chwili otworzyła się ziemia pod stopami i pochłonęła go; nie wiedział, co czynić, jeno odwrócił się i uszedł z oczu swego rozsierdzzonego pana. Ale rozumna Dorota, znając już usposobienie Don Kichota, rzekła, aby gniew jego ułagodzić:

- Nie unoście się, panie Rycerzu Smętnego Oblicza, na głupstwa, jakie wypowiedział wasz giermek; być może bowiem, nie mówił ich na wiatr, a z jego zacnego usposobienia i chrześcijańskiego sumienia wnosić należy, że nie mówił tego, aby

321 świadczyć fałszywie. Należy bez wątpienia wierzyć, że jako w tym zamku, wedle was, mości rycerzu, wszystko dzieje się drogą czarów, być może - mówię - że Sanczo za takim diabelskim zrządzeniem widział to, co mówi, a co czci mojej uwłacza.

_ Na Boga wszechmocnego klnę się - rzekł na to Don Kichote - wasza wysokość od razu trafiła w sedno, że jakaś niecna zjawa stanęła przed oczyma tego grzesznika Sancza i ukazała mu, czego innym sposobem jak przez czary nijak widzieć nie można było; znam ja dobrze poczciwość i naiwność tego nieboraka, niezdolnego do fałszywego świadectwa przeciw nikomu.

_ Tak jest i tak będzie - rzekł Don Fernando - przeto wasza miłość, panie Don Kichocie, powinniście mu przebaczyć i przyjąć znów na łono łaski swojej, sicut erat 'n principio, zanim jakoweś zjawy nie poprosiły mu w głowie.

Don Kichote odrzekł, że przebacza, a proboszcz poszedł po Sancza, który wrócił bardzo pokorny i upadły na kolana, prosił swego pana, aby mu dał rękę ucałować, ten zezwolił na to i użyczył mu swego błogosławieństwa, mówiąc: _ Odtąd już wiedzieć będziesz, mój synu Sanczo, że prawdą jest, co ci tylekroć mówiłem, iż wszystkie sprawy w tym zamku dzieją się przez czary. _ Już w to wierzę- rzekł Sanczo - wyjątkszy tej z derką, która naprawdę zdażyła się na jawie.

_ Nie wierz temu - odpowiedział Don Kichote - gdyby tak było, byłbym cię Wówczas pomścił, a choćby i teraz; ale ani wtedy, ani teraz nie wiedziałbym, na kim mam pomścić twą krzywdę.

Wszyscy zapragnęli dowiedzieć się, co to była za przygoda z derką, więc karczmarz opowiedział punkt po punkcie, jak to Sanczo Pansa latał w powietrzu, z czego niemało się nasmiali wszyscy, a czym byłby się niemniej Sanczo rozzłościł, gdyby znów jego pan nie zapewnił, że były to czary, chociaż naiwność Sancza nie sięgała tak daleko, aby wierzył, że to nie była prawda szczerza i dowiedziona, bez śladu żadnego oszukaństwa, iż był podrzucany na derce przez osoby z krwi i kości, a nie Przez zjawy senne i wyobraźniowe, jak pan jego wierzył i utrzymywał. Dwa dni uplynęły, w czasie

których całe świetne towarzystwo bawiło w zajeź- dzie, i zdawało się, że czas odjazdu nadszedł; znaleziono sposób, aby nie narażając

Doroty i Don Fernanda na trud odprowadzania Don Kichota do jego wioski pod Pozorem oswobodzenia królowej Micomicony, pozwolić proboszczowi i cyrulikowi zabrać go, jak chcieli, aby próbować leczyć szaleństwo na własnej jego ziemi. Ułożyli więc, że umówią się z wolarzem, który przypadkiem tamtędy przejeżdżał, aby go zabrał w następujący sposób: zrobiono jakby klatkę z przeplatanych palików, zdolną pomieścić wygodnie Don Kichota; zaraz też Don Fernando i jego towarzysze, pajucy Don Luisa i strażnicy, łącznie z gospodarzem, na polecenie i wedle

Pomysłu proboszcza, zakryli sobie twarze i poprzebierali się, ten tak, ów inaczej, aby się Don Kichotowi wydać innymi ludźmi niż ci, których widział w gospodzie. To uczyniwszy, weszli cichuteńko do izby, gdzie spał i wypoczywał po przebytych Walkach-

Podeszli doń, kiedy spał wolny, od wszelkich niespodzianek bezpieczny, pochwyciwszy go mocno, związali mu ręce i nogi w ten sposób, że kiedy zerwał było na początku (łac.).

322

się w przerażeniu, nie mógł się poruszyć i nic więcej nie pozostało mu, jak dziwować się i zdumiewać, ujrzałszy przed sobą tak cudaczne maszkary. Zaraz też oddał się myśli, jaką mu zawsze jego szalona wyobraźnia podsufała, i uwierzył, że wszystkie owe postacie były to widma tego zaklętego zamku i że bez żadnej wątpliwości już i on był zaklęty, nie mogąc poruszyć się ani bronić. Wszystko stało się, jak przewidział proboszcz, sprawca całej tej machinacji. Jeden Sanczo spośród wszystkich obecnych został przy własnym rozumie i postaci; ten, choć niewiele brakło, aby nie zachorzał na tę samą chorobę co pan jego, poznał, kto był owymi przebranymi postaciami, ale nie odważył się otworzyć gęby, póki nie zobaczy, dokąd zmierza ów napad i owo pojmanie jego pana. Ten również nie pisał ani słowa, czekając, jaki będzie koniec jego niedoli. Otóż przyniesiono klatkę, zamknięto go w niej i zabito deskami tak szczerle, że nie można było ich wyłamać żadną siłą.

Potem wzięli ją na ramiona, a przy wyjściu z izby dał się słyszeć głos przerąźliwy, jaki zdołał wydobyć cyrulik, nie ten od terlicy, ale ten drugi, który mówił:

- O Rycerzu Smętnego Oblicza! Niech cię nie trapi więzienie, do którego cię wiodą, tak bowiem trzeba, aby rychlej zakończyła się przygoda, w którą twa dzielność cię wpędziła. Zakończy się ona, kiedy srogi lew manczeński i biała gołąbką z Toboso połączą się wreszcie, ugiąwszy swe dumne głowy pod

słodkie jarzmo małżeńskie; z tego niezwykłego stadła wywiodą się na świat dzielne lwiąta, które odzie-

dziczą drapieżne szpony męskiego rodzica. A stanie się to, zanim prześladowca płochliwej nimfy¹ w swym szybkim a przyrodzonym biegu dwakroć odwiedzi świetliste znaki². O ty najszlachetniejszy i najposłuszniejszy z giermków, jacy nosili szpadę

u boku, brodę na twarzy i węch w nozdrzach, nie martw się i nie zniechęcaj, widząc, jak w twoich własnych oczach porywają ten kwiat błędnego rycerstwa. Rychło bowiem, jeśli się to Stwórcy świata spodoba, ujrzyssz się tak wielmożnym i tak wynie-

sionym, że sam siebie nie poznasz i nie zostaną zawiedzione obietnice dane ci przez twoego dobrego pana. Upewniam cię w imieniu wróżki Klaminii, że zasługa Twoa zostanie ci wypłacona, o czym się jawnie przekonasz. Idź śladami dzielnego i zaklętego rycerza, trza ci iść za nim tam, gdzie obaj się zatrzymać macie. A jako nie wolno mi rzec więcej, ostań z Bogiem, wracam tam, gdzie mnie jednemu wiadomo. Pod koniec tego proroctwa podniósł zrazu głos, potem zniżył go z tak rzewnym wyrazem, że nawet wtajemniczeni w żart niemal uwierzyli w prawdę tego, co słyszeli. Don Kichote, słuchając proroctwa, pocieszył się, bowiem zaraz odgadł jego znaczenie, zrozumiał, że obiecywano mu połączenie w świętym i prawowitym stadle z jego umiłowaną Dulcyneą z Toboso, z którego to szczęśliwego związku wyjdą lwiąta, syny jego na wieczną Manczy chwałę. A wierząc w to mocno i niezachwianie, podniósł głos i westchnąwszy głęboko, mówił:

-O ty, kimkolwiek jesteś, który mi takie szczęście przepowiadasz, błagam cię, poproś ode mnie mądrego czarownika, który sprawę moją ma na pieczy, aby mi zginąć nie pozwolił w tym więzieniu, gdzie będę teraz wiodą, póki nie spełnią się 1 Chodzi o Apollina (boga słońca i sztuki) ścigającego Dafne.

2 Mowa o 12 konstelacjach zodiaku - a zatem przepowiednia ma spełnić się za dwa lata. 323 radosne i niezrównane obietnice, jakie mi tu uczyniłeś. Oby tak się stało! A glorią mi będą trudy więzienia, lekkością łańcuchy mię pętające, a to łożę, na którym będę rozciągnięto, nie będzie mi twardym polem bitewnym, ale miękkim i szczęśliwym łożem ślubnym. Co się zaś tyczy pocieszenia Sanczo Pansy, mego giermka, ufam jego zacności i prawości, że nie opuści mię w dobrej i złej doli, bo gdyby mój zły

los albo jego sprawił, że nie mógłbym mu dać owej wyspy czy innej równej temu nagrody, jaką mu obiecałem, przynajmniej zasługa jego nie przepadnie; albowiem

w testamencie, jaki sporządziłem, oświadczylem, co mu dać należy, jeśli nie wedle jego licznych i cennych zasług, to wedle możliwości mojej.

Sanczo Pansa sklonił się bardzo dwornie i ucałował mu obie ręce, nie mogąc ucałować jednej, jako że obie były razem związane.

Natychmiast też owe zjawy wzięły klatkę na ramiona i ustawiły ją na wozie zaprzężonym w woły. ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

o tym, w jak dziwny sposób zaczarowano Don Kichota z Manczy* oraz o innych słynnych wydarzeniach

Kiedy Don Kichote ujrzał się tak zamkniętym w klatce i na wozie, rzekł: - Liczne i bardzo poważne powieści o rycerzach błędnych czytałem, ale nigdzie nie czytałem, nie widziałem ani nie słyszałem, aby rycerzy zaklętych uprowadzano w ten sposób i tak wolno, jak zapowiadają te lękliwe i gnuśne zwierzęta. Zwykle bowiem unoszono ich w powietrzu z niezwykłą lekkością, spowiniętych w jakąś szarą i ciemną chmurę albo na jakimś ognistym wozie albo na jakimś hipogryfie czy innym podobnym potworze, mnie tymczasem wiozą na wozie zaprzężonym w woły. Na żywy Bóg! Jakiż to wstyd dla mnie! Ale może rycerstwo i czary naszych czasów muszą iść innym torem niż ongiś. Również być może, że ja jako jestem nowym rycerzem w świecie i pierwszym, który wskrzesił już zapomniane rzemiosło rycerstwa żądnego przygód, podobnie i nowe, inne rodzaje czarów wynaleziono oraz inne sposoby uprowadzania zaklętych? Jak ci się wydaje, synu Sanczo?

- Nie wiem, co mi się wydaje - odparł Sanczo - nie jestem tak oczytany jak jegomość w błędnych piśmidłach, ale mimo to śmiałbym twierdzić i przysięgać, że te stwory, co tu kroczą, całkiem nie są katolickie.

- Katolickie? Na mego ojca - zawałał Don Kichote - jakże by mogły być katolickie, jeśli to wszystko demony, które wzięły na siebie ciała fantastyczne, aby zejść spłocić to i wpakować mię w ten stan. A jeśli chcesz się o tym przekonać, dotknij ich i pomacaj, a zobaczysz, że ciała mają z powietrza, które są tylko złudą.

324

- Na Boga! Panie - rzekł Sanczo - wszak już ich dotykałem; ten diabeł, co tamidzie taki przymilny, jest nabity w ciele i ma inną właściwość, całkowicie różną od tych, które jak słyszałem, diabły posiadają, bo - mówią - wszystkie diabły czuć siarką i innymi smrodami, a ten wonieje ambrą na pół mili.

Tak mówił Sanczo o Don Fernandzie, który jako pan możliwy tak musiał wonieć, jak Sanczo określał.

- Nie dziw się temu, przyjacielu Sanczo - odpowiedział Don Kichote - musisz bowiem wiedzieć, że diabły są wiaduchi, przeto chociaż wonie wloką za sobą, sami niczym nie pachną, będąc duchami, a jeśli wonieżą, nie może to być nic dobrego, jeno smród i zgnilizna, a przyczyna w tym leży, że oni gdziekolwiek są, piekło noszą z sobą i nie mogą mieć żadnej ulgi w swych mękach, wonność zaś jest rzeczą miłą i dającą zadowolenie, nie może przeto być, aby miły zapach wydzielali, więc jeśli tobie się wydaje, że ów szatan ambrą wonieje, to albo ty się ludzisz, albo on chce cię zwieść, abyś go za demona nie uważał.

Takie rozmowy toczyły się między panem a sługą; Don Fernando i Kardenio, obawiając się, aby Sanczo nie wpadł na cały plan przez nich wymyślony, z którego już wiele zwietrzył, postanowili przyśpieszyć wyjazd. I zwołaławszy gospodarza na stronę, rozkazali osiodłać Rosynanta i okulbaczyć osła Sanczowego, co ten z wielką gotowością spełnił. Tymczasem proboszcz ułożył się ze strażnikami, że towarzyszyć im będą aż do wsi za umówioną zapłatą dzienną. Kardenio przytwierdził do łyku siodła Rosynanta z jednej strony tarczę, z drugiej niednicę, na migi rozkazał Sanczowi dosiąść osła i wziąć za uzdę Rosynanta, a po obu bokach wozu ustawił po dwóch strażników z muszkietami. Ale zanim ruszył wóz, wyszła gospodyn, jej córka i Maritornes, aby pożegnać Don Kichota, udając, że płaczą nad jego nieszczęściem; na to rzekł im Don Kichote: - Nie płaczcie, przebacne damy; te wszystkie nieszczęścia ścigają zawsze tych, którzy to samo zwołanie wykonują co ja. Gdyby mię owe niepowodzenia nie spotykały, nie miałbym się za słynnego błędnego rycerza, bowiem rycerzom o nazwisku nieznanym i bez sławy nie zdarzają się nigdy podobne przypadki, nie ma bowiem nikogo, kto by o nich na świecie pamiętał. Pamięta się o walecznych, mają oni wielu zazdrosnego o dzielność ich i męstwo pośród licznych książąt i licznych

innych rycerzy, którzy starają się nikczemnym sposobem zgubić szlachetnych. Ale mimo to cnota jest tak potężna, że sama przez się wbrew całemu czarnoksięstwu, jakie znał pierwszy jego wynalazca Zoroaster, wyjdzie zwycięsko z każdej obierzy i roztoczy blask na ziemi jak słońce na niebie. Wybaczenie mi, piękne panie, jeżeli wyrządziłem wam przez nieuwagę jakąś przykrość, której umyślnie i świadomie nigdy nikomu nie wyrządziłem, i proście Boga, aby mię wydobył z tego więzienia, w które mię jakiś złośliwy czarownik wtrącił. Jeśli wyjdę zeń wolny, nigdy z pamięci mej nie stracę dobrodziesztw, jakich w tym zamku od was doznałem, aby się za nie odwdzięczyć, odsłużyć i wynagrodzić, jak na to zasługują. Kiedy się to działo między owymi kasztelaniami a Don Kichotem, proboszcz i cyrulik pożegnali się z Don Fernandem i jego towarzyszami oraz z kapitanem, jego bratem, i wszystkimi tak

szczęśliwymi teraz paniami, a osobliwie z Dorotą i Lucyną. Wszyscy uściiskali się i postanowili powiadamać się o swoich losach. Don Fer325

nando wytłumaczył proboszczowi, gdzie ma pisać, aby uwiadomić go, co się stanie z Don Kichotem, zapewniając go, że najmilsze mu będą te nowiny, on zaś podobnie doniesie mu o wszystkim, co, zdaniem jego, obchodzić może proboszcza, a więc o swoim małżeństwie, o chrzcie Zoraidy, o losach

Don Luisa oraz o powrocie Lucyndy do domu. Proboszcz zobowiązał się z całą dokładnością wypełnić, co mu polecił. Uściiskali się jeszcze raz i jeszcze raz ponowili obietnice. Gospodarz zbliżył

się do proboszcza i dał mu jakieś papiery, mówiąc, że znalazł je za obiciem sepeciku, w którym znajdowała się Opowieść o nieopatrznym ciekawskim, a ponieważ właściciel nie wrócił tu więcej, więc niech je zabierze wszystkie, jemu to bowiem na nic,

jako że czytać nie umie. Proboszcz podziękował mu i otworzywszy je, zaraz na początku zobaczył tytuł Opowieść o Rincone i Cortadillu, wniosł z tego, że była to opowieść, a jako opowieść o nieopatrznym ciekawskim była tak przednia, przypuszczał, że i ta będzie podobna, gdyż, być może, pochodzi od tego samego autora; schował ją przeto z zamiarem przeczytania, gdy sposobność się nadarzy. Wsiadł na wierzchowca wraz z swym przyjacielem cyrulikiem, w zasłonach, aby ich Don Kichote nie poznał od razu, i ruszyli w drogę za wozem. Porządek zachowali taki: najpierw jechał wóz, którym powoził właściciel, po obu bokach szli

strażnicy, jak się rzekło, z muszkietami, zaraz za nimi Sanczo na osle prowadził za uzdę Rosynanta, a za nimi wszystkimi jechali proboszcz i cyrulik na swych potężnych mulicach, z zamaskowanymi twarzami, jak mówiliśmy, z powagą i spokojną godnością, nie poruszając się szybciej, niż na to pozwalał wolny krok wołów. Don Kichote jechał, siedząc w klatce, ze związanymi rękoma, z wyciągniętymi nogami, oparty o pręty, tak cicho i cierpliwie, jakby nie był człowiekiem z krwi i kości, ale posągiem z kamienia. Wolno i milcząco jechali około dwie mile, aż przybyli w dolinę, która wolarzowi wydała się miejscem stosownym, by odpocząć i popasać woły, więc porozumiał się z proboszczem. Cyrulik był zdania, aby jechać dalej, bo wiedział, że

za bliskim wzgórzem, już widocznym, znajduje się dolina bogatsza w trawy i znacznie dogodniejsza niż ta, gdzie zatrzymać się chcieli. Usłuchano zdania cyrulika i ruszyli dalej w drogę.

Nagle proboszcz, odwróciwszy głowę, spostrzegł, że w trop za nimi dąży sześciu czy siedmiu ludzi na koniach, dobrze odzianych i wyposażonych; niedługo dopędzili ich, nie jechali bowiem wolnym i spokojnym krokiem wołów, ale, przeciwnie, na kanonicznych mulicach, którym spieszno było dotrzeć do zajazdu, jaki widać było o niecałą milę stamtąd. Dogonili spieszni powolnych i pozdrawili dwornie, a jeden z tych podróżnych - był to właśnie kanonik z Toledo i pan tych, którzy mu towarzyszyli - widząc tę regularną procesję, złożoną z wozu, strażników, Sancza, Rosynanta, proboszcza i cyrulika, a tym więcej Don Kichota uwięzionego w klatce, nie mógł powstrzymać pytania, co ma znaczyć, że w ten sposób wiozą człowieka; choć widząc odznaki strażników, domyślał się, że musi to być jakiś bezbożny rozbójnik albo inny jakiś zbrodniarz, którego ukaranie należy do Świętej Hermandady. Jeden ze strażników, zapytany, odpowiedział: – Panie, niech ten kawaler sam powie, dlaczego go tak wieziemy, my bowiem nie wiemy.

Don Kichote, usłyszawszy tę rozmowę, rzekł:

326

- Wasze miłośćce, panowie szlachta, zapewne jesteście biegli i doświadczeni w sprawach rycerstwa błędnego? Jeśli tak, opowiem wam o mych nieszczęściach; jeśli nie, nie będę się trudził opowiadaniem.

Tymczasem proboszcz i cyrulik, widząc, że podróżni rozmawiają z Don Kichotem z Manczy, zbliżyli się, aby odpowiedzieć w sposób, który by ich podstępu nie zdradził. Kanonik odpowiedział Don Kichotowi:

- Zaiste, bracie, więcej znam ja ksiąg rycerskich niż podręczników Villalpanda¹, więc jeśli chodzi o to tylko, możecie bezpiecznie opowiedzieć, co zamierzacie.

- Chwała Bogu - odpowiedział Don Kichote. - Skoro tak jest, panie szlachcicu, wiedziecie, że jadę w tej klatce zaklęty przez zazdrość i zdradę złośliwych czarowników; cnota jest bardziej prześladowana przez złych niż miłowana przez dobrych. Rycerzem błędny jestem, i to nie z tych, których nazwisk nigdy Sława sobie nie przypomina, aby je uwieńczyć w pamięci, ale właśnie z takich, którzy mimo

zazdrości i wbrew wszystkim magom Persji, braminom Indii, gimnosofistom Etiopii ryją swe nazwiska w świątyni nieśmiertelności, aby służyły przykładem i wzorem przyszłym wiekom, by rycerze błędni mogli iść w ich ślady, jeżeli chcą osiągnąć szczyt i wyżynę wojennej chwały.

- Prawdę rzecze pan Don Kichote z Manczy - wtracił proboszcz -jako jedziezaklęty na tym wozie nie za swoje winy i grzechy, jeno przez zły zamysł tych, ktor-

rym niemiła jest cnota i których męstwo mierzi.

Ten ci jest, panie, Rycerz Smętnego Oblicza,
zapewne już kiedyś o nim słyszeliście, którego
dzielne czyny i przewa-

gi będą wyryte w twardym brązie i wiecznotrwałych marmurach, choćby nie wiem jak wysilała się zawiść, aby je zaćmić, a złośliwość, aby je zataić. Kiedy kanonik usłyszał, że zarówno uwięziony, jak swobodnie idący podobnym stylem przemawiają, już się miał ze zdumienia przeżegnać, nie mogąc pojąć, co go spotyka; takież zdumienie ogarnęło jego towarzyszy. Na to Sanczo Pansa, który się przybliżył, by rozmowy posłuchać, rzekł dla wyjaśnienia:

- A teraz, panowie, czy chcecie, czy nie chcecie, ja wam powiem: prawda ista, że mój pan Don Kichote jest tak zaczarowany jak moja matka, ma on swój pełny rozum, je, pije i potrzeby swe załatwia jak inni ludzie i jak jeszcze wczoraj to robił, zanim go w klatce zamknięto. Skoro tak jest, jakże chcecie, abym uwierzył, że został zaklęty? Słyszałem od wielu osób, że zaczarowani nie jedzą, nie śpią, nie mówią, a mój pan, gdyby mu pozwolono, gadałby więcej niż trzydziestu prokuratorów.

A zwracając oczy na proboszcza, ciągnął dalej:

- Ach, dobrodzieju proboszczu, dobrodzieju proboszczu, czy wasza wielebność sądzi, że was nie poznałem, i myślicie, że nie przeniknę i nie odgadnę, dokąd te nowe czary zmierzają? Wiedziecie przeto, że poznaję was, choć twarz sobie przesłaniacie, i wiedziecie, że was przenikam, choć tak dobrze podstępny wasze ukrywacie. Tam, gdzie zawiść panuje, nie może istnieć cnota ani hojność tam, gdzie jest

skąpstwo. Do kaduka! Gdyby wasza wielebność w poprzek nie stanęła, już by teraz

' Aluzja do podręczników dialektyki scholastycznej obowiązujących na uniwersytecie w Alcalá. 327 mój pan zaślubił był infantkę Micomiconę, a ja byłbym co najmniej hrabią, bo cze-

go innego nie można się było spodziewać zarówno po łaskawości mego pana Smętnego Oblicza, jak po wielkości zasług moich. Ale widzę, że prawdą jest, co zwykło

się mówić: koło Fortuny szybciej się obraca niż koło młyńskie i ci, którzy wczoraj

byli na wierzchu, dziś leżą na ziemi. Żał mi dzieci moich i żony, bo kiedy mogły i powinny były się spodziewać, że ich ojciec wkroczy w swe podwoje jako gubernator albo wicekról jakiejś wyspy czy królestwa, ujrzą go, jak wraca stajennym. Wszystko to mówię, księże proboszczu, jeno dlatego, abyście w ojcowskim sumieniu poznali, jak niegodnie obeszliście się z moim panem. Zważcie, aby Bóg w drugim życiu nie żądał rachunku za to uwieźnięcie mego pana i nie obarczył was odpowiedzialnością za wszystkie owe pomoce i dobrodziejstwa, jakich pan mój, Don Kichote, nie mógł świata wyświadczyć przez to zamknięcie.

- Bądź z tego mądry! - rzekł na to cyrulik. - Również i wy, Sanczo, należycie do bractwa waszego pana? Na żywy Bóg! Widzę, że winniście mu dotrzymywać towarzystwa w klatce i że na punkcie usposobienia jego i rycerstwa zostaliście tak samo zaczarowani jak on. W złą godzinę zostaliście brzemienni obietnicami jego i w złą godzinę włazła wam do głowy owa tak upragniona wyspa. - Nie jestem ja brzemienny od nikogo - odparł Sanczo - nie taki, aby mi ktobądź żywot napełnił, choćby to sam król był. A choć ubogi, chrześcijanin jestem stary i nic nikomu niedłużny. A jeżeli pragnę wyspy, inni gorszych rzeczy pożadają, każdy jest dziekiem swoich czynów; a że jestem człowiekiem, mogę zostać i papieżem, a tym bardziej wielkorządcą wyspy, zwłaszcza że mój pan zdobyć ich może tyle, że nie będzie wiedział, komu rozdawać. Waszmość panie cyruliku, zważcie, co powiadacie, jeszcze nie wszystko golić brody, jest różnica między Piotrem a Piotrem. Tak mówię, bo się wszyscy znamy, a ja się na dudka wystrychnąć nie dam. Co się tyczy zaklęcia mego pana, Bóg zna prawdę. Zostawmy to, lepiej tego nie tykać. Cyrulik nie chciał odpowiadać Sanczowi, aby w prostocie swej nie wyjawił tego, co on i proboszcz chcieli utrzymać w tajemnicy. I dla tej samej obawy proboszcz poprosił kanonika, aby nieco naprzód pojechali, on zaś wyjawi mu tajemnicę człowieka w klatce oraz inne sprawy wielce ucieczne. Kanonik więc wysforował się w rzeczy samej ze swą świętą i proboszczem naprzód i pilnie słuchał wszystkiego, co mu prawił o stanie, życiu, szaleństwie i obyczajach Don Kichota, opowiadając pokrótce, co było początkiem i przyczyną jego obłędu, oraz cały rozwój wypadków aż do wsadzenia go do tej klatki, i wy tłumaczył, że porwali go, aby zawieźć do jego włości i przekonać się, czy w jakiś sposób nie znalazły się lekarstwo na jego szaleństwo. I znów

dziwowała się służba oraz kanonik, słysząc niezwykłą historię Don Kichota, a kiedy proboszcz skończył, rzekł:

- Zaiste, mości proboszczu, co do mnie, twierdzę, że tak zwane księgi rycerskie są szkodliwe dla państwa, i choć sam, wiedziony próżnym i fałszywym zamiłowaniem, przeczytałem początek prawie wszystkich, jakie wydrukowano, nigdy nie zdobyłem się na przeczytanie żadnej do końca, bo zdaje mi się, że jedne mniej, drugie więcej, wszystkie to samo zawierają, w jednej nie ma więcej niż w drugiej ani w tej niż w tamtej. Wedle mego zdania, ten rodzaj pism i kompozycji należy do 328 rodzaju opowieści zwanych milezyjskimi. Są to opowiadania banialuczne, których celem jedynym jest zabawić, a nie nauczać, przeciwnie niż bajki apologiczne, które zarazem bawią i uczą. A chociaż głównym przeznaczeniem podobnych ksiąg jest zabawiać, nie wiem ja, jak to osiągnąć mogą, będąc pełne tylu i tak niezmiernych niedorzeczności. Rozkosz, jaką dusza odczuwa, winna płynąć z piękna i zgodności, jakie widzi i podziwia w rzeczach, które jej wzrok czy wyobraźnia przed oczy

stawiają, zaś żadna rzecz zawierająca brzydotę i rozkład nie może sprawić nijakiego zadowolenia. A jakaż piękność być może i jakiż stosunek poszczególnych części do całości i całości do poszczególnych części w książce czy zmysleniu, w której szesnastoletni chłopak jednym ciosem na dwoje rozpłata olbrzyma jak wieża, jakby ów był z marcypantu. Albo kiedy chcąc opisać bitwę, mówią nam, że po stronie wroga jest milion walczących, przed nimi staje bohater książki, a my oczywiście radzi nieradzi musimy rozumieć, że taki rycerz odnosi zwycięstwo jedynie dzięki mestwu swego silnego ramienia. Dalej, cóż powiemy o łatwości, z jaką jakaś królowa czy cesarzowa dziedziczna pada w ramiona błędnego, nieznanego rycerza? Jakiż umysł, chyba całkiem prostacki i nieukształcony, może odczuć zadowolenie, czytając, jak ogromna wieża pełna rycerzy żegluje po morzu niby okręt przy pomyślnym wietrze i dziś noc spędza w Lombardii, jutro świt ją zastaje w ziemiach księcia Jana Indyjskiego lub w innych, których nie odkrył Ptolemeusz ani Marco Polo nie widział? A jeśli mi na to odpowiedzą, że ci, którzy takie książki układają, piszą je jako zmyślenia i że wobec tego nie są obowiązani baczyć na drobiazgi i prawdziwość, odpowiem im, że tym lepsze jest zmyślenie, im bardziej ma pozór prawdy, i tym lepiej się podoba, im więcej ma prawdopodobieństwa i możliwości. Powieści zmyślone muszą przystosowywać się do umysłu czytelników, pisać je trzeba

Don Kichote - Miguel Cervantez

tak, aby uprawdopodobniając rzeczy niemożliwe, łagodząc przesadę, trzymając w napięciu umysły, budziły podziw, zaciekawiały, wzruszały i zachwycały tak, aby równocześnie dawały zachwyt i uciechę. A wszystkiego tego nie osiągnie, kto unika prawdopodobieństwa i naśladownictwa, na których zasadza się doskonałość dzieła. Nie spotkałem żadnej książki rycerskiej, która by tworzyła całość złożoną z poszczególnych członów w ten sposób, aby środek odpowiadał początkowi, zaś koniec początkowi i środkowi. Przeciwnie, komponuję je z tyłu członów, iż zdaje się, że raczej mają zamiar stworzyć chimerę lub monstrum aniżeli kształt proporcjonalny. W dodatku styl mają ciężki, nieprawdopodobne w opisie czynów bohaterskich, lubieżne w miłości, nieprzystojne w dworności, przydługie w opisie bitew,

głupie w rozmowach, niedorzeczne w opisach podróży, jednym słowem, dalekie od wszelkiej rozumnej sztuki, i dlatego godne, aby je wygnać z państwa chrześcijańskiego jako rodzaj bezużyteczny.

Proboszcz słuchał z wielką uwagą kanonika, który wydał mu się człowiekiem bystrego rozumu i wypowiadającym słuszne sądy. Rzekł mu więc, że jest tego samego zdania i że nienawidząc książąt rycerskich, spalił wszystkie książki Don Kichota, których było wiele. I opowiedział śledztwo, jakie wśród nich przeprowadził,

które przeznaczył w ogień, którym darowały życie,
z czego niemało uśmiała się kano-nik i przyznał, że
mimo iż wypowiedział o tych książkach sąd tak
niekorzystny, jedno w nich dobre znajduje, a tym
jest osnowa, która prawdziwemu talentowi
pozwala

329 się rozwinać, dając mu rozległe i szerokie pole, po którym bez przeskody pióro może bujać, opisując rozbicie okrętów, burze, spotkania i bitwy, malując dzielnego kapitana z wszystkimi stosownymi zaletami, ukazując go roztropnym, przewidującym podstępów wrogów, mówcą wytrawnym, by przekonać lub

odwieść swych żołnierzy, dojrzałym w radzie, szybkim w decyzji, dzielnym zarówno w oczekiwaniu, jak w starciu, malując raz żałosne i tragiczne zdarzenia, to znów radosną i niespo-

dzianą przygodę; tu przedstawiając najpiękniejszą damę uczciwą, mądrą i wstydkową; tam chrześcijańskiego rycerza dzielnego i statecznego; ówdzie bezczelnego bar-barzyńskiego samochwała; gdzie indziej księcia dwornego, dzielnego i roztropnego; przedstawiając zacność i wierność wasali, wielkość i szczodrobiwość panów; może

też okazać astrologa, już to kosmografa znakomitego, już to muzyka, już to statystę biegłego w sprawach państwowych, a niekiedy będzie miał sposobność, jeśli zechce, pokazać czarnoksiężnika. Może przedstawić chytrość Ulissesa, pobożność Eneasza, dzielność Achilla, nieszczęścia Hektora, zdrady Sinona, przyjaźń Euriala, hojność Aleksandra, męstwo Cezara, łaskawość i prawdomówność Trajana, wierność Zopira, roztropność Katona, a w końcu wszystkie te dzieła, które mogą uczynić doskonałym słynnego męża, bądź zgromadzone w jednym, już to rozdzielone na wielu. A kiedy to wykona stylem przyjemnym i tak pomysłowo, że jak najbardziej zbliży się do prawdy, bez wątpienia stworzy tkaninę z rozmaitych pięknych wątków osnuta, a dzieło ukończone wykaże taką doskonałość i piękno, że osiągnie cel najwyższy, do jakiego pisma zmierzają, to jest nauczać i bawić równocześnie, jak już powiedziałem. Swobodny sposób pisania tych książek pozwala autorowi okazać się epikiem, lirykiem, tragikiem, komikiem z tymi wszystkimi składnikami, jakie w sobie zamkają najsłodsze i najmilsze umy poezji i krasomówstwa, epopeja bowiem może zarówno prozą, jak wierszem być pisana. ROZDZIAŁ

CZTERDZIESTY ÓSMY

w którym kanonik dalej zajmuje się tematem ksiąg rycerskich
oraz innymi sprawamigodnymi jego umysłu

Tak jest, jak wasza miłość powiada, księże kanoniku - rzekł proboszcz i dlatego godni nagany są ci, którzy podobne książki układają, nie zwracając uwagi

na zdrowy rozum ani na sztukę i reguły, którymi mogliby się kierować i zdobywać sławę w prozie, podobnie jak w wierszu owi dwaj książęta poezji greckiej i łacińskiej.

- Co do mnie - odparł kanonik - miałem pewną pokusę, aby napisać książkę rycerską, zachowując w niej wszystkie czynniki, które podkreśliłem, i aby prawdę wyznać, jużem był pierwszych sto stron napisał. Aby doświadczyć, czy odpowiada mojemu mniemaniu, pokazałem ją ludziom rozmiłowanym w takiej lekturze,

330

uczonym i mądrym, ale równocześnie i nieukom, którzy lubią się w słuchaniu jedynie niedorzeczności. U wszystkich znalazłem wdzięczne uznanie, mimo to nie pisałem dalej; po pierwsze, zdawało mi się to rzeczą niezgodną z moim powołaniem, a także dlatego, że większa jest liczba nieuków niż ludzi oświeconych i że choć

lepiej jest być chwalonym przez kilku rozumnych niż wyśmiewanym przez licznych głupców, nie chciałem się wystawić na niepewny sąd zarozumiałego tłumu, który przeważnie takie książki czyta. Ale najbardziej zniechęciło mię, tak że nie chciałem

Don Kichote - Miguel Cervantez

jej nawet kończyć, rozumowanie, jakie z sobą samym przeprowadziłem na temat komedii, które dziś się wystawia, a mianowicie: Jeżeli te, które dziś mają powodzenie, zarówno zmyślone, jak historyczne, wszystkie albo prawie wszystkie są uznane za głupstwa bez ładu i składu, a mimo to tłum chętnie ich słucha, uznaje je i uważa

za dobre, choć tak im do tego daleko, zaś autorzy, którzy je piszą, i aktorzy, którzy je przedstawiają, twierdzą, że właśnie mają być takie, bo takich żąda publiczność, a nie innych, natomiast te, które są zbudowane wedle planu i rozwijają akcję wedle

wymogów sztuki, znajdują zaledwie czterech mądrych, którzy je rozumieją, a reszta nie jest zdolna pojąć ich artystycznego, i że dla nich ważniejszą rzeczą jest zarobić na

życie z tłumem niż liczyć się ze zdaniem niewielu, więc z moją książką stać się może, kiedy sobie nad nią brwi upał, aby zachować wszelkie wyżej wspomniane przepisy, że wyjdę na tym jak „krawiec z rogu ulicy, co szyje za darmo i dodaje nici”. I choć

niekiedy starałem się przekonać aktorów, że się mylą w swoim mniemaniu i że przy- ciągaliby więcej ludzi i okryliby się większą chwałą, przedstawiając komedie zbudowane wedle wymogów sztuki, a nie niedorzeczności, tak są uparci i w swym przekonaniu zakorzenieni, iż nie masz rozumowania ani oczywistości, które by im zmienić je kazały. Przypominam sobie, że dnia pewnego rzekłem do jednego z tych uparciuchów: „Powiedzcie mi, czy nie pamiętacie, że kilka lat temu przedstawiano w Hiszpanii trzy tragedie ułożone przez słynnego poetę tych królestw, były one ta-

kie, że zachwyt wzbudzały, uciechę i zdumienie wszystkich, którzy je słyszeli, zarówno prostaków, jak uczonych, zarówno tłumu, jak wybrańców, i one trzy więcej przyniosły pieniądze grającym niż trzydzieści spomiędzy najlepszych, jakie dotąd

napisano". - „Zapewne - odpowiedział wspomniany autor - wasza miłość mówi o Izabeli, Filisie i Aleksandrze". - „O nich właśnie - odpowiedziałem. - Zważcie, czyż nie zachowuję prawideł sztuki i czy zachowując je, przestały się podobać wszystkim. Nie jest to wina pospolstwa, które żąda niedorzeczności, ale tych, którzy nie umieją mu dać czegoś innego. Nie była głupstwem ani Pomszczone niewdzięczność, ani Numancja, nie zawierały ich Kupiec zakochany, a tym mniej Życzliwa nieprzyjaciółka ani kilka innych, jakie napisali niektórzy rozumni poeci dla chwały swojej i rozgłosu oraz dla zysku grających aktorów". Inne jeszcze rzeczy dodałem, które jak mi się zdawało, nieco go zachwiały, ale ani nie zadowoliły, ani nie przekonały na tyle, aby swe błędne mniemanie porzuciły.

- Wasza miłość, mości kanoniku, przedmiot, jakiego dotknęliśmy - rzekł proboszcz na to - poruszył we mnie pewien dawny uraz, jaki żywię do komedii obecnie grywanych, a który dorównuje urazowi, jaki mam do ksiąg rycerskich. Gdyż wedle zdania Tuliusza komedia powinna być zwierciadłem życia ludzkiego, wzorem obyczajów i obrazem prawdy, zaś te, które obecnie są wystawiane, sązwiercia-

331

dłem niedorzeczności, przykładami głupstw i obrazami sprośności. Czyż może bowiem być coś bardziej niedorzecznego w materii, o której mówimy, jak ukazać w scenie pierwszej aktu pierwszego dziecko w powijkach, zaś w drugiej już je wpro-

wadzić jako brodatego męża? Cóż głupszego, jak malować starca bohaterem, młodzieniąszka tchórzem, lokaja mówcą, pazia doradcą, króla tragarzem, a księżniczkę

pomywaczką? Cóż mówić więc o zachowaniu czasu, w jakim mogą czy mogłyby zachodzić czynności przedstawione? Widziałem przecie komedię, której dzień pierw-

szyst zaczyna się w Europie, drugi dzieje się w Azji, trzeci kończy się w Afryce, przeto gdyby miała ona cztery dni, czwarty kończyłby się w Ameryce, i w ten sposób akcja

rozgrywałaby się we wszystkich czterech częściach świata. Jeśli zaś naśladowictwo ma być główną cechą komedii, jakże może zadowolić człowieka choćby średniego umysłu, kiedy zmyślając akcję z czasów króla Pepina i Karola Wielkiego, wprowadza ktoś na scenę jako głównego bohatera cesarza Herakliusza, który wkraczając z

Don Kichote - Miguel Cervantez

krzyżem do Jerozolimy, odzyskuje Grób św. jak Godfryd z Bouillon, choć niezliczone lata dzielą jedno wydarzenie od drugiego, a jeśli komedia oparta jest na zmyślaniu, jakże można wkładać w nią prawdziwe zdarzenia i mieszać skrawki innych zdarzeń odnoszących się do różnych osób i czasów, i to nie wedle prawdopodobieństwa, ale z oczywistymi błędami, niedającymi się usprawiedliwić? Co gorsza, sąnieucy, którzy twierdzą, że to właśnie jest doskonałe, a wszystko inne to

szukanie dudka bez czubka. A cóż dopiero, gdy przejdziemy do sztuk religijnych? Wieleż w nich fałszywych cudów zmyślają, wiele apokryfów i nieporozumień, kiedy się jednemu świętemu przypisuje cuda innego! A nawet w komediach świeckich odważają się cuda przedstawiać, bez poszanowania ani też innego wzgędu jak tylko, że wydaje im się tu i ówdzie na miejscu taki cud i niezwykła zjawa, jak to oni nazywają, aby ciemny lud dziwował się i zbiegał zobaczyć sztukę. To wszystko dzieje się z uszczerbkiem i ze szkodą historii, a zgoła ze wstydem dla hiszpańskich auto-

rów, bowiem cudzoziemcy z większą dokładnością zachowują prawidła komedii i nas za barbarzyńców i nieuków mają, widząc głupotę i niedorzecznosć naszych dzieł. I na usprawiedliwienie tego nie wystarczy mówić, że głównym celem państw dobrze urządzenych, które pozwalają na publiczne odgrywanie komedii, jest dostarczenie ogółowi pewnej, uczciwej rozrywki i zapobieganie niezadowoleniu, jakie rodzi zwykle bezczynność. A że cel taki osiągnąć można jakąkolwiek komedią, dobrą czy złą, nie potrzeba ustanawiać praw ani krępować tych, którzy je tworzą, ani tych, którzy je przedstawiają, aby to czynili jak należy, jeśli - jak rzekłem - lada jaka

komedia cel swój osiąga. Na to odpowiedziałbym, że cel taki osiągają znacznie skuteczniej, i to bez żadnego porównania, dobre komedie niż lada jakieś, bowiem widz, wysłuchawszy komedii umiejętnie i dobrze ułożonej, wyjdzie rozweselony dowcipem, pouczony przez rzeczy prawdziwe, zachwycony zdarzeniami, kształcony przez wywody, przestrzeżony przed zasadzkami, oświecony przykładami, oburzony na występek, rozmiłowany w cnotie, bo wszystkie takie uczucia powinna budzić dobra komedia w duszy słuchacza, choćby był prostakiem i osiłkiem, i w żaden sposób nie jest możliwe, aby komedia w te wszystkie zalety wyposażona nie miała rozweselać i bawić, zadowolić i sprawiać

przyjemność znacznie bardziej niż te, które są
ich pozbawione, jak to zwykle sprawia ma się z
wystawianymi obecnie. A winy

332

za to nie ponoszą poeci, którzy je układają, bo niektórzy z nich znają swoje błędy
i wiedzą najdokładniej, jak powinni robić. Ale ponieważ komedie stały się towarem
na sprzedaż, powiadają, i powiadają prawdę, że aktorzy nie kupiliby
ich, gdy-

by nie były tego rodzaju. I tak poeta stara się
przystosować do żądań aktora, który płaci. A że to
jest prawdą, widzimy na wielu z niezliczonych
sztuk, które napisał najszczęśliwszy geniusz tego
królestwa; są one tak wykwintne, mają tyle
wdzięku, tak wytworny wiersz, tak dobre
wywody, tak poważne myśli, że w końcu tak są
pełne wymowy i wzniosłego stylu, że cały świat
jest pełen ich sławy. Ale ponieważ chciał on
przystosować się do gustu aktorów, nie wszystkie,
lecz tylko niektóre doprowa-

dził do należytego stopnia doskonałości. Inni piszą bez zastanowienia, po wystawieniu
zaś muszą aktorzy uchodzić i znikać, lękając się kary, jak się nieraz zdarza-
ło, za wystawienie sztuki ubliżającej królom albo wielkim rodom. A wszystkie te
niedogodności mogłyby ustać, a także i inne, o których nie wspominam, gdyby w
stolicy był ktoś inteligentny i rozumny, który by badał wszystkie sztuki przed ich
wystawieniem nie tylko w stolicy, ale także na wszystkich scenach Hiszpanii; bez jego
zezwolenia, pieczęci i podpisu żadna władza w żadnej miejscowości nie pozwoliłaby
wystawić żadnej komedii; w ten sposób aktorzy staraliby się o wysłanie komedii do
stolicy, aby je grać bez obawy, zaś autorzy musieliby w pracę swoją wkładać więcej
uwagi i starania w obawie, że dzieła ich poddane będą surowemu sądowi znawców. W
ten sposób powstawałyby komedie dobre i osiągałyby najszczęśliwiej to, czego się od
nich wymaga, zarówno rozrywkę dla ludu, jak dobre imię dla twórców hiszpańskich,
zysk i bezpieczeństwo dla wykonawców, których by nie trzeba strzec przed karą.
Gdyby zaś temu samemu lub komu innemu powierzono obowiązek badania ksiąg
rycerskich nowo powstających, to bez wątpienia pojawiłyby się niektóre tak
doskonałe, jak wasza miłość powiedzieliście, wzbogaciłyby nasz język wdzięcznym i

Don Kichote - Miguel Cervantez

cennym skarbem wymowy i sprawiłyby, że stare księgi zostałyby przyćmione blaskiem nowych, które stanowiłyby godziwą rozrywkę nie tylko dla próżniaków, ale i dla ludzi wielkiej pracy, bo hak nie może być ciągle napięty ani też natura i słabość ludzka nie zdoła wytrwać bez żadnego godziwego wytchnienia.

Właśnie kanonik i proboszcz doszli do tego punktu rozmowy, gdy cyrulik wysforował się naprzód i zbliżywszy się do proboszcza, rzekł:

- Oto, księże licencjacie, jest miejsce, o którym mówiłem, iż nadaje się znamienicie na odpoczynek, zaś woły znajdą tu świeżą i bujną paszę.

- 1 mnie się tak wydaje - odparł proboszcz.

Powiedział kanonikowi o swoim zamiarze, a ten również postanowił zatrzymać się z nimi, zachęcony urokiem pięknej doliny, która się przed ich oczyma otwarła, przeto aby nacieszyć się rozmową z proboszczem, który mu przypadł do serca, a także wywiedzieć się dokładnie o przewagach Don Kichota, rozkazały kilku służebnym udać się do pobliskiej gospody i przynieść, co tam będą mieli do jedzenia dla wszystkich, postanowił bowiem spędzić dłuższy południowy wypoczynek w tym I Aluzja do Lope de Vegi, który twierdził, że ponieważ komedia opłaca publiczność, trzeba się do jej gustu stosować.

333 miejscu; na to jeden ze służby odparł, że juczny muł z żywnością zapewne już jest w zajeździe, a żywności tej wystarczy, tak iż nie potrzeba nic zabierać z gospody prócz obroku dla zwierząt.

- Kiedy tak - rzekł kanonik - odprowadźcie tam wszystkie wierzchowce, a przywieźcie tu muła.

W czasie gdy to się działo, Sanczo, widząc, że mógłby swobodnie pomówić ze swoim panem, bez ciągłej asysty proboszcza i cyrulika, których uważały za podejrzanych, zbliżył się do klatki, w której pan jego jechał, i rzekł: - Jegomość, aby mieć spokojne sumienie, muszę rzec, jak się rzecz ma z waszym zaczarowaniem. Otóż ci dwaj, którzy tu idą z zakrytymi twarzami, to proboszcz

i cyrulik z naszej wioski; sądzę, że ten spisek, aby was porwać, uknuli z czystej zazdrości, jaką żywią za to, że jegomość przewyższa ich swymi słynnymi czynami. Przypuśćmy więc, że to jest prawda; wynika z tego, że nie jesteście zaczarowani, ale oszukani i głupi. Aby się o tym przekonać, chcę się o coś spytać, a jeśli mi od-

powiecie, jak mniemam, to namacalnie dotkniecie oszustwa i przekonacie się, że nie jesteście zaczarowani, jeno macie rozum przewrócony. - Pytaj, o co chcesz, synu Sanczo - odpowiedział Don Kichote - zadowolę cię i odpowiem na wszystko wedle twej woli. Co zaś do tego, o czym mówisz, że owi, którzy się tu kręcą naokoło, to proboszcz i cyrulik, nasi ziomkowie i znajomi, moż-

liwe, że się nimi być wydają, ale nie uwierzę w żaden sposób, aby nimi rzeczywiście i istotnie byli. Musisz wierzyć i zrozumieć, że jeśli się nimi być zdają, jak

mówisz, to ani chybi dlatego, że ci, którzy mię zaczarowali, wzięli na sieć ich pozór i podobieństwo. Łatwo bowiem czarownikom jest przybierać postać, jaka się im podoba, a przyjęli postać naszych przyjaciół, by dać ci sposobność pomyślenia tego,

co myślisz, i wpędzenia cię w labirynt domysłów, z którego nie zdołasz wyjść, choćbyś miał kłębek Tezeusza. Podobnie chcieli zamienić mój umysł, abym nie wiedział, skąd mi ta krzywda przyszła. Jeżeli bowiem z jednej strony ty mówisz, że towarzyszy-

szą nam proboszcz i cyrulik naszej wsi, a z drugiej ja widzę się uwięzionym w klatce, podczas gdy wiem, że nie ma takich sił ludzkich czy nadprzyrodzonych, które by mię w klatce zamknąć zdołały, cóż chcesz, abym pomyślał czy rzekł, jak tylko, że sposób mego zaklęcia przenosi wszystkie, o jakich czytałem w powieściach o błędnych rycerzach, którzy kiedykolwiek zaczarowaniu podlegali. A więc daj spokój i przestań wierzyć w to, co gadasz, tak bowiem tamci są nimi, jak ja jestem Turkiem. A jeżeli chcesz mię jeszcze o coś pytać, mów, ja zaś odpowiadać będę, choćbyś mię pytał aż do rana.

- Ratunku, Panno Święta! - zawała na to Sanczo wielkim głosem. - Zaliżmożliwe, aby jegomość miał tak twardą głowę, taki brak mózgu i nie spostrzegł, że

co mówię, jest rzetelną prawdą i że wasze więzienie i nieszczęście przypisać należy raczej złośliwości niż czarom?

Ale ponieważ tak jest, chcę wam oczywiście dowieść, że nie jesteście zaczarowani. Jeśli nie, powiedziecie ino... Oby Bóg wyrwał was z tej matni i obyście się znaleźli w ramionach mej pani Dulcynei, kiedy się tego najmniej spodziewać będziecie!

- Zaprzestań zaklęć - rzekł Don Kichote - i pytaj, o co chciałeś, już ci powiedziałem, że odpowiem najdokładniej.

- O to proszę - odparł Sanczo - chcę, abyście mi bez ogródek i bez dodawania powiedzieli tak szczerze, jak oczekiwane można od wszystkich, którzy jak jegomość sprawują rycerskie rzemiosło, tytułując się błędnymi rycerzami...
- Mówię ci, że w niczym nie skłamię - odpowiedział Don Kichote - skończ już z tym pytaniem, bo naprawdę mączysz mnie tyloma zaklęciami, prośbami i zastrzeżeniami, Sanczo.
- Powiadam, że jestem pewny dobroci i łaskawości mego pana, i dlatego, jak sprawa nasza wymaga, pytam, mówiąc z całym uszanowaniem, zali przypadkiem, odkąd jegomość jest zaklatkowany, a raczej wedle swego mniemania zaklęty w tej klatce, nie przyszła mu chęć i ochota robić coś na grubo i na cienko, jak się to mówi.
- Nie rozumiem tego „na grubo i na cienko”, Sanczo, wyjaśnij, jeśli chcesz, abym ci odpowiadał dokładniej.
- Czyż to możliwe, aby jegomość nie rozumiał, co znaczy robić na grubo i na cienko? Przecież to szkolne dzieci z mlekiem matki wyssały. Wiedziecie tedy, że chciałem spytać, zali nie przyszła wam chęć zrobić to, czego uniknąć nie sposób. - Już cię rozumiem, Sanczo! O, już nieraz i w tej chwili również! Wspomóż mnie w tym niebezpieczeństwie, bo niełatwo to przyjdzie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

który opowiada o rozsądnej rozmowie Sanczo Pansy z jego panem Don Kichotem kch! - rzekł Sanczo. - Złapałem was. Oto, co chciałem wiedzieć bardziej, niż pragnę duszy i życia. Pójdziecie ino, panie: czyż możecie zaprzeczyć temu, co pospolicie się mówi, kiedy ktoś jest w złym humorze: „Nie wiem, co temu jakiemuś się stało, nie je, nie pije, nie odpowiada do rzeczy, kiedy go pytają, nic innego, tylko, zdaje się, jest zaczarowany”. Stąd wnosić można, że ci, którzy nie jedzą, nie piją, nie śpią, nie spełniają naturalnych potrzeb, jak to mówią, są zaczarowani, ale nie ci, którzy mają takie chęci jak jegomość, którzy piją, kiedy im co dadzą, jedzą, kiedy coś mają i odpowiadają na wszystko, o co ich pytają. - Prawdę mówisz, Sanczo - odparł Don Kichote - ale już ci powiedziałem, że są rozmaite rodzaje czarów i być może, że z biegiem czasu zmienią się jedne w drugie i że dziś zaklęci robią wszystko to, co ja czynię, aczkolwiek tego drzewiej nie czynili. A więc przeciw obyczajom czasów nie należy zrzędzić ani wniosków z tego wyciągać. Ja wiem i twierdzę, że jestem zaklęty, i to wystarcza dla spokoju

mego sumienia, bo miałbym wielkie wyrzuty, gdybym sądził, że nie jestem zaczarowany, a siedzę w tej klatce bezczynnie i tchórzliwie, pozbawiając pomocy mnogich uciśnionych i potrzebujących, którzy w chwili obecnej muszą najbardziej i niezbędnie mej pomocy i poparcia potrzebować.

335 - A przecie z tym wszystkim - odparł Sanczo - mówię, że dla większej wygody i zadowolenia byłoby dobrze, abyście, jegomość, próbowali wyjść z tego więzienia, a ja z całej mej mocy postaram się wam to ułatwić, a nawet wydobyć was z niego i spróbujcie potem znowu dosiąść poczciwego Rosynanta, który również zdaje się iść jak zaczarowany, tak kroczy melancholijny i smutny, zaś uczyniwszy to, spróbujemy raz jeszcze szczęścia w szukaniu przygód. Jeżeli zaś nam się nie powiedzie, czas wtedy będzie powrócić do klatki, w której jako dobry i wierny giermek obiecuję zamknąć się razem z waszą miłością, jeśli jegomość był tak nieszczęśliwy, a ja tak głupi, żeby mi sienie powiodło wybrnąć, jak powiadam. - Bardzo chętnie uczynię, co powiadasz, bracie Sanczo - odparł Don Kichote - i kiedy czas wyda ci się sposobny, aby moje uwolnienie w czyn wprowadzić, będę ci we wszystkim całkowicie posłuszny, ale ty, Sanczo, zobaczysz, jak się mylisz w rozpoznaniu mego nieszczęścia.

Tak rozmawiali błędny rycerz i źle błądzący giermek, aż dojechali do miejsca, gdzie proboszcz, kanonik i cyrulik, zsiadłszy już, na nich czekali. Wolarz odprzągnął woły od wozu i puścił je wolno, aby pasły się na owej łące zielonej i cichej, której świeżość zapraszała do rozkosznego odpoczynku nie tylko osoby tak zaczarowane jak Don Kichote, ale raczej tak przytomne i roztropne jak jego giermek. Ten popro-

sił proboszcza, aby pozwolił jego panu wyjść na chwilę z klatki; jeśli mu wyjść nie pozwolą, owo więzienie nie pozostanie tak czyste, jak tego wymaga przymiotność dla takiego szlachcica jak jego pan. Proboszcz zrozumiał i rzekł, że chętnie by zgodził się na tę prośbę, gdyby się nie obawiał, że raz na wolności pan jego zacznie swoje sztuki i ucieknie, gdzie go nigdy nikt nie zobaczy.

- Ja ręczę, że nie ucieknie - odpowiedział Sanczo.
- I ja także - rzekł kanonik - a tym bardziej jeśli mi da parol rycerski, że nieoddali się od nas bez naszego pozwolenia.
- Daję - odezwał się Don Kichote, który wszystko słyszał - tym bardziej żekto jest zaklęty jak ja, nie jest wolny czynić z sobą, co by chciał, ten bowiem, który go zaczarował, może sprawić, że nie ruszy się z miejsca i przez trzy wieki; zaś gdy-

by uciekł, w lot go może zatrwać. Wobec tego możecie spokojnie mię wypuścić i będzie to z powszechną korzyścią, bo jeśli nie wypuścicie, to zaręczam, że będę musiał wasze powonienie obrazić, o ile się stąd nie usuniecie. Kanonik wziął go za rękę, choć obie miał związane, i na wiarę jego słowa uwolnili go, czym uradował się nieskończenie i niezmiernie, ujrzał się poza klatką. Najpierw przeciągnął całe ciało i zaraz pobiegł do Rosynanta, a klepiąc go po grzbiecie, rzekł:

- Ufam Bogu i jego błogosławionej Matce, że wkrótce, o kwiecie i wzorze rumaków ujrzymy się obaj, jak pragniemy, ty, mając twego pana na grzbiecie, zaś ja, siedząc na twoim, pełnić będę powołanie, dla którego Bóg mię na ten świat rzucił. To rzekłszy, Don Kichote oddalił się z Sanczem na ustroń, skąd wrócił lżejszy i jeszcze bardziej żądny wprowadzenia w czyn planu Sancza. Kanonik przypatrywał mu się i podziwiał niezwykłość jego wielkiego szaleństwa, a zwłaszcza że kiedy mówił i odpowiadał, wykazywał najzdrowszy rozum, jedynie tracił -jak się to

336

ongiś mawiał - ostrogi, kiedy mówił o rycerstwie. Więc ruszony współczuciem, kiedy wszyscy usiedli na zielonej murawie, oczekując prowiantów kanonika, rzekł: - Czyż to możliwe waszmość, panie szlachcicu, aby nudne i bezsensowne czytanie ksiąg rycerskich taki wpływ na waszą miłość miało, aż się wam umysł pomieszał do tego stopnia, iż uwierzyliście, że was zaczarowano oraz w inne tego rodzaju

rzeczy, tak dalekie od prawdziwości, jak samo kłamstwo od prawdy? I jak to możliwe, aby jakiś umysł ludzki mógł uwierzyć, żeby na świecie była taka nieskończona liczba Amadisów i taka chmara tylu słynnych rycerzy, tylu cesarzy Trebizondy, tylu Feliksmartów i z Hirkanii, tyle rumaków, tyle błędnych dziewcząt, tyle węży, tyle endriag, tylu olbrzymów, tyle niesłychanych przygód, tyle rodzajów czarów, tyle bitew, tyle strasznych starć, tyle wykwintnych strojów, tyle zakochanych księźni-

czek, tylu giermków z hrabiami, tyle zabawnych karłów, tyle listów, tyle zalecanek, tyle dzielnych białogłów, a wreszcie tyle i tak niedorzecznych zdarzeń, jakie księgi rycerskie zawierają? Co do mnie, rzec mogę, że kiedy je czytam, to o ile nie uzmy-

sławiam sobie, że to wszystko jest kłamstwem i nonsensem, sprawiają mi pewną przyjemność, ale zaledwie sobie zdaj sprawę z tego, czym są, najlepszą z nich o mur

ciskam, a nawet cisnąłbym ją w ogień, gdyby był pod ręką, bo zasługują w pełni na taką karę, jako fałszywe i oszukańcze, przeciwne naturalnemu biegowi spraw, wynajdujące nowe herezje i nowe sposoby życia i prowadzące do tego, że ciemny ogół wierzy i za prawdziwe uważa niezliczone brednie w nich zawarte. A nawet są tak zuchwałe, że ośmielają się mącić umysły roztropnych i dobrze urodzonych szlachciców, jak na przykładzie waszej miłości widzieć można; doprowadziły was bowiem do takich terminów, że musiano was w klatce zamknąć i wieźć na wozie ciągnionym przez woły, niby jakiego lwa czy tygrysa, od wsi do wsi, pokazując go dla zysku. Ej! Panie Don Kichocie, złitujcie się nad sobą samym i powróćcie na łono rozumu, byście ku pożytkowi używać mogli tego, który wam niebo dało; używajcie najszczerszych zdolności waszego umysłu na inne lektury, które by przyniosły pożytek waszemu sumieniu i wzmogły cześć waszą. A jeżeli jednak, wiedzeni przyrodzoną skłonnością, chcielibyście czytać księgi o wielkich czynach i rycerstwie, czytajcie Pismo Święte i Księgę Sędziów, znajdziecie tam 1 prawdy wzniosłe, i czyny zarówno prawdziwe, jak znakomite, Luzytania miała Wiriata, Rzym Cezara, Kartagina Hannibala, Grecja Aleksandra, Kastylia hr. Fernanda Gonzaleza, Walencja Cyda, Andaluzja Gonzalez Fernandeza, Estremadura Diega Garcię de Paredes, Toledo Garcilasa, Jerez Garcię Perez de Vargas, Sewilla Don Manuela de Leon. Czytanie o ich dzielnych czynach może zająć, pouczyć, uradować i zadziwić najwznióslejsze umysły czytelników. Oto byłaby lektura godna wyższego umysłu waszej miłości, panie Don Kichocie drogi; ona z was zrobi znaniec historii, rozmiłowanego w cnocie, świadomego zacności, poprawi wasze obyczaje, uczyni was dzielnym, choć nie nieopatrznym, śmiały bez trwogi, a to wszystko na większą chwałę Boga, waszą korzyść i sławę Manczy, skąd, jak dowiedziałem się, wasza miłość początek swój i ród wywodzi.

Z natężoną uwagą wysłuchał Don Kichote słów kanonika, a kiedy zauważył, że ów już skończył, przez chwilę mierzył go wzrokiem, a potem rzekł:

337

- Zdaje mi się, panie szlachcicu, że przemowa waszej miłości zmierza do tego, aby we mnie wmówić, że nie było błędnych rycerzy na świecie i że wszystkie księgi rycerskie są fałszywe, kłamliwe, szkodliwe i niepotrzebne dla państwa i że ja źle czyniłem, rozczytując się w nich, gorzej - wierząc im, a jeszcze gorzej, naśladowując je, postanowiwszy obrać sobie najtwardszy zawód błędnego rycerza, którego one uczą. Zaprzeczacie bowiem, jakoby na świecie żyli Amadisowie, czy ten z Galii, czy ów z Grecji, i wszyscy inni rycerze, których pełne są pisma.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Wszystko jest najdokładniej tak, jak wasza miłość przedłożyliście - rzekłwtedy kanonik.

Na to odpowiedział Don Kichote:

- Dodaliście jeszcze, wasza miłość, że wyrządziły mi owe księgi wielką szkodę, przewracając mi rozum i wpędzając do klatki, i że lepiej byłoby dla mnie poprawić się i zmienić ich lekturę na czytanie innych, prawdziwszych książek, które bardziej radują i nauczają. -

Tak jest - rzekł kanonik.

- A zatem ja - odparł Don Kichote - znajduję przeciwnie, że pozbawionymrozumu i zaczarowanym jest raczej wasza miłość, skoro ważyliście się wypowiedzieć takie bluźnierstwa przeciw rzeczy tak ustalonej w świecie i uważanej za tak

prawdziwą, iż ten, kto by temu przeczytał, jak wasza miłość przeczy, zasłużyłby na taką samą karę, jaką chcielibyście wyznaczyć księgom, których czytanie was nudzi. Chcieć bowiem przekonywać kogoś, że Amadis nie istniał na ziemi ani żadni inni błędni rycerze, których pełne są powieści, to chcieć wmówić, że słońce nie oświeca, lód nie mrozi ani ziemia nas nie nosi. Jakiż umysł na świecie zdołałby drugiemu dowieść, że nie była prawdą historia infantki Floripes i Wita z Burgundii

lub Fierabrasa i mostu Mantibli za czasów Karola Wielkiego? Klnę się na Boga, że to taka sama prawda jak to, że teraz jest dzień. A jeśli to jest kłamstwo, to również musiał nie istnieć Hektor ani Achilles, ani wojna trojańska, ani dwunastu Parów Francji, ani król Artur z Anglii, który dotąd błądzi przemieniony w kruka i oczekującą tam każdej chwili jego na tron powrotu. Również można by się ośmielić twierdzić, że kłamliwą jest historia Guarina Mezquino i poszukiwanie św. Graala, że zmyślona jest miłość Tristana i królowej Izoldy oraz Ginewry i Lancelota, choć żyją dotąd osoby, które prawie przypominają sobie, że widziały ochmistrzynię Kwintanionę, naj lepszą podczaszynię całej Wielkiej Brytanii. A jest to tak

prawdziwe, że przy-

pominam sobie, jak babka moja, ze strony ojca, mówiła, kiedy ujrzała jakąś matronę w czcigodnym czepcu: „Ta, mój wnuku, podobna jest do ochmistrzyni Kwintaniony”. Z czego wnoszę, że musiała ją znać lub co najmniej widzieć jej portret. Kto ośmieliłby się twierdzić, że nieprawdziwą jest historia Piotra i pięknej Magelony, wszak dotąd w zbrojowni królewskiej widaćć można kołek, który służył do kierowania konia drewnianego, na jakim dzielny Piotr przez powietrze leciał, a który jest

nieco grubszy niż dyszel wozu. Zaś obok kołka jest siodło Babieki, a w Ronsewalu jest róg Rolanda, wielki jak duża belka. Stąd wnosić należy, że

istniało dwunastu

Parów, że istniał Piotr, że istniał Cyd oraz inni rycerze jemu podobni z tych, o któ- rych ludzie opowiadają, że wyprawiali się na poszukiwanie przygód. Jeżeli zaś nie, to niech mi powiedzą, że również nieprawdą jest, jakoby błędnym rycerzem był

338 dzielny Luzytańczyk Juan de Merlo, który udał się do Burgundii i walczył pod mia- stem Ras ze słynnym panem de Charny, zwanym imć Piotr, a później w mieście Bazylei z imć panem Henrykiem z Remestan, wychodząc z obu spotkań zwycięsko i pełen zaszczytnej sławy; a także przygody i pojedynek, jakie również w Burgundii

zdarzyły się dwom dzielnym Hiszpanom, Piotrowi Barbie i Gutierre Quijadzie (od którego w prostej linii po mieczu pochodzię), którzy zwyciężyli dwóch synów hrabiego de Saint-Pol. Niech mi zaprzeczą tak samo, że Don Fernando de Guevara udał się do Niemiec w poszukiwaniu przygód i walczył z imć Jerzym, rycerzem z domu książąt Austrii, niech powiedzą, że bajką śmieszna są turnieje Suera de Quinones z Chwalebego spotkania, wyzwania imć Luisa de Falces przeciw Gonzalezowi de Guzman, rycerzowi kastylskiemu, oraz inne liczne przewagi rycerzy chrześcijańskich tego królestwa czy cudzoziemskich, tak autentyczne, tak prawdziwe, że kto by im przeczył, byłby całkiem rozumu i rozeznania pozbawion. Kanonik w najwyższym zdumieniu wysłuchał tego steku prawdy i zmyśleń, jaki wypowiedział Don Kichote; zdumiewała go również znajomość wszystkich spraw dotyczących błędnego rycerstwa, odpowiedział więc:

- Nie mogę zaprzeczyć panu Don Kichotowi, jakoby nie było prawdy w tym, co waszmość powiedziałeś, a zwłaszcza w tym, co dotyczyło błędnych rycerzy hiszpańskich; podobnie gotów jestem przyznać, że było dwunastu Parów Francji, ale nie mogę wierzyć, aby działały się te wszystkie rzeczy, o których pisze arcybiskup Turpin; prawdą jest bowiem, że byli to rycerze wybrani przez królów Francji, zwa- ni pares, jako całkowicie równi pod względem zasługi, pochodzenia i mąstwa; gdyby nawet takimi nie byli, tak o nich mówiono. Był to jakby zakon, podobny do tych,

jakie i dziś istnieją jako Zakony Św. Jakuba czy też Calatrava. Zakłada się, że ci, którzy do nich należą, są czy też powinni być rycerzami dzielnymi, zasłużonymi i

dobre urodzonymi i jak dziś mówi się „Rycerz św. Jana albo Alcantary”, tak mówiono w owych czasach „Rycerz z dwunastu Parów”, bowiem dwunastu ich wybierano równych sobie do tego rycerskiego zakonu. Nie należy wątpić, że istniał Cyd oraz Bernardo del Carpio, ale wiadomości o ich przewagach są mocno przesadzone. Co się tyczy kołka przypisywanego przez waszą miłość hr. Piotrowi, który ma leżeć obok siodła Babieki w zbrojowni królewskiej, wyznaję mój grzech: jestem tak nieudolny albo mam tak krótki wzrok, że choć widziałem siodło, nie udało mi się dojrzeć kołka, a tym bardziej tak dużego, jak waszmość mówiłeś. - Jednak on tam jest bez żadnej wątpliwości - odparł Don Kichote - a na dowód powiadam, że włożono go w pokrowiec, aby nie zbutwiał.

- To wszystko być może - odpowiedział kanonik - ale na me święcenia przysięgam, że nie przypominam sobie, abym go widział. A nawet gdybym przyznał, że tam jest, nie byłbym przez to obowiązany wierzyć w historie o tylu Amadisach oraz o takiej chmarze rycerzy, o jakich nam bają, ani się godzi, aby człek tak pełen sławy i tak znacznego rodu jak wasza miłość, obdarzony tak wysokim umysłem, dał się nabräć, że prawdziwe są wszystkie cudackie szaleństwa, jakie opisują niedorzeczne księgi

rycerskie. 339

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

o mądrych dysputach, jakie wiedli Don Kichote z kanonikiem, oraz o innych zdarzeniach

A to dobre - odkrzyknął Don Kichote - książki drukowane za pozwoleniem królewskim i za aprobatą powołanych, czytane z przyjemnością przez wszystkich i wychwalane przez wielkich i małych, przez ubogich i bogatych, przez uczonych i nieuków, przez prostaków i szlachtę, jednym słowem, przez wszelakiego rodzaju osoby wszystkich stanów i kondycji, miałyby być kłamstwem? Tak bardzo zbliżają się do pozoru prawdy, bo opowiadają nam o ojcu, matce, ojczyźnie, krewnych, o wieku, miejscu i o przewagach, jakich ten czy ówi rycerze dokonywali, punkt po punkcie i dzień po dniu. Zamilczcie, wasza miłość, nie mówcie takich bluźnierstw i wierzaj-

cie, że radzę, jak powinienem, człowiekowi rozumnemu: czytajcie, a zobaczycie, jaką przyjemność sprawi wam ta lektura. Powiedzcie mi: czy może być większe zadowolenie, jak widzieć, dajmy na to, kiedy tu oto przed nami zjawia się wielkie jezioro smoły wrące z bulgotem, a w nim pływają i krzyżują się niezliczone węże, żmije, jaszczury i różne inne rodzaje dzikich i potwornych zwierząt, zaś ze środka

jeziora wznosi się głos najżałosniejszy, mówiąc: „O rycerzu, ktokolwiek jesteś, a patrzysz teraz na to straszliwe jezioro, jeśli chcesz zdobyć skarb ukryty pod jego czarnymi wodami, okaż męstwo twoego walecznego serca i rzuć się w sam środek tego ciemnego i płonącego odmętu; jeśli tego nie uczynisz, nie będziesz godzien oglądać wspaniałych cudów, które zamyka i kryje siedem zamków siedmiu wróżek leżących na dnie tej czarnej topieli!”. Rycerz, nie dosłuchawszy nawet do końca owego niesamowitego głosu, nie namyślając się, nie bacząc na bezpieczeństwo, na jakie się naraża, a nawet nie złożywszy swej ciężkiej zbroicy, poleciwszy się Bogu i swej pani, rzuca się w sam środek wrącego jeziora i nawet nie opatrzy się ani wie, co się z nim stało, kiedy znachodzi się na kwiecieńczych łąkach, z którymi Pola Elizej- skie w niczym nawet równać się nie mogą. Tam, zdaje się, niebo jest przejrzystsze

i słońce nowszą światością jaśnieje, oczom jego ukazuje się gaj cichy, złożony z drzew tak zielonych i bogatych w liście, że sam widok ich rozwesela, uszy jego uderza słodki, a nieuczony śpiew niezliczonych ptasząt różnobarwnych, latających tam i sam w gęstwinie gałęzi. Tu odkrywa strumyczek, którego świeże wody płynnym kryształem biegą po drobnym piasku i białych kamyczkach, jakby po złotym podłożu i najczystszych perłach. Tam ujrzy fontannę kunsttowną z różnobarwnego jaspisu i gładkiego marmuru wzniecioną, ówdzie inną, bardziej sielskim zbudowaną porządkiem, gdzie drobniutkie muszelki małżów ze zwiniętymi domkami ślimaków białych i żółtych, w pozornym nieładzie ułożone, mieszają się z odłamkami lśniącego kryształu i ze sztucznymi szmaragdami, składając się na tak różnorodną całość, że sztuka naśladująca naturę zda się tu ją zwyciężyć. Z tej strony nagle uka- zuje się warowny zamek lub wspaniały pałac o murach ze szczerego złota, diamentowych blankach, bramach z hiacyntów, jednym słowem, zbudowany tak cudnie, 340 że choć budulec, jaki nań zużyto, to same tylko diamenty, rubiny, karbunkuły, perły, złoto i szmaragdy, jeszcze cenniejsza od nich jest sama architektura. Ujrzałszy

to, cóż więcej zobaczyć by można, chyba wychodzące z bram zamku liczne panny w wykwintnych i wspaniałych szatach, a jeśli my je teraz opisywać zechciał, jak je

nasze powieści malują, nie skończyłbym nigdy; i ta, która pośród nich najpierwszą się zdaje, bierze za rękę zuchwałego rycerza, który się rzucił we wrące jezioro, i bez słowa wiedzie go do wnętrza bogatego pałacu lub zamku, i zdjawszy zeń szaty, nagiego, jak go matka zrodziła, kąpie w letniej wodzie, nacierając wonnymi olejkami i przyodziewa w koszulę z najprzedniejszego sendalu, woniejącą i uperfumowaną całą, zaś inna panna, podbiegły, zarzuca mu na ramiona płaszcz, który, jak mówią, wart tyle co miasto całe albo i więcej. Cóż milszego, kiedy nam opowiadają, jak potem wiodą go do innej sali, gdzie znachodzi stoły zastawione tak obficie, że staje w zdumieniu i podziwie, lub widzieć, jak na ręce leżą mu wodę woniejącą ambrą i pachnącymi kwiatami? Kiedy sadzają go na krzesle z kości słoniowej? Kiedy usłu-

gują mu wszystkie te panny, zachowując przedziwne milczenie? Kiedy podają mu taką różnorodność dań, tak smacznie przyrządzone, że apetyt nie wie, po które rękę wyciągnąć? Jakaż rozkosz słyszeć muzykę, która rozbrzmiewa w czasie, kiedy on się posiela, a nie wiadomo, kto śpiewa ani skąd muzyka płynie. A kiedy po skończonym posiłku i usunięciu stołów rycerz nasz rozparty na krzesle może długie sobie w zębach, wchodzi w drzwi sali inna panna, o wiele piękniejsza od wszystkich poprzednich, i usiadły obok rycerza, zaczyna opowiadać mu, co to za zamek oraz o tym, że oto przebywa w nim zaklęta, a także inne rzeczy, które zdumiewają rycerza i zachwycają czytających tę powieść. Nie chcę się już nad tym bardziej roz-wodzić, gdyż już z tego wnosić można, że każda część jakiekolwiek powieści o błędny rycerzu sprawia przyjemność i zachwyca każdego czytelnika. Niech mi wasza miłość wierzy i, jak już rzekłem, czyta te książki, a zobaczycie, jak przegna-

ją melancholię, która was najść może, i jak poprawią wasze usposobienie, gdyby było niedobre. O sobie rzec mogę, że odkąd jestem błędny rycerzem, jestem waleczny, pełen umiarkowania, wspaniałomyślny, dobrze ułożony, szczodry, dwornym, śmiały, łagodny, cierpliwy, mążnie znoszący trudy więzienia i zaklęcia. I choć od niedawna siedzę zamknięty w klatce jako szaleniec, myślę, że dzięki mestwu mego ramienia, przy przychylności nieba i o ile los mi nie będzie przeciwny, niedługo ujrzę się królem jakiegoś królestwa, a to mi pozwoli okazać wdzięczność i szczodrością, jaką pierś moja kryje. Gdyż na wiarę moją, panie, biedak nie ma możliwości okazać cnoty szczodrości wobec nikogo, choćby ją w najwyższym stopniu posiadał; zaś wdzięczność jedynie na dobrej chęci oparta jest rzeczą martwą, jak martwa jest wiara

bez uczynków. Dlatego pragnę, aby los mi rychło nadarzył sposobność zostania cesarzem, by serce moje mogło okazać się w świadczeniu przyjaciolom moim, a osobliwie temu nieborakowi Sanczo Pansie, mojemu giermkowi, który jest najlepszym na świecie człowiekiem; chciałbym mu dać jakieś hrabstwo, co mu już od dawna przyrzekłem, choć lękam się, że nie posiada dość zdolności, aby rządzić państwem. Sanczo, usłyszawszy ostatnie słowa swego pana, rzekł doń:

- Postarajcie się, jegomość, panie Don Kichocie, dać mi owo hrabstwo tylekroć przez waszą miłość obiecywane, a wyczekiwane przeze mnie, ja zaś obiecuju

ę, 341

że nie zabraknie mi zdolności do rządzenia nim, zaś gdyby mi i zabrakło, to jak słyszałem, są na świecie ludzie, którzy biorą w dzierżawę państwa swych zwierzchników i dają im za to roczną tenutę; i oni to zajmują się rządami, zaś pan siedzi z wyciągniętymi nogami, używając tenuty, jaką mu płacą, i nie troszcząc się o nic.

I ja tak będę postępował i nie targując się zbytnio, rychło się wszystkiego kłopotu pozbędę i używać będę tenuty jak książę, a niech się dzieje, co chce. - Bracie Sanczo - rzekł kanonik - to się rozumie, kiedy chodzi o używanie tenuty; jednak nie, kiedy chodzi o wymiar sprawiedliwości, który należy do władcy, tutaj potrzebna jest zdolność i zdrowy sąd, a zwłaszcza dobra chęć sprawiedliwości rozstrzygnięcia; jeżeli tego u podstaw zabraknie, to zawsze środki i cele chybią. Tak więc Bóg zwykły błogosławić dobrym zamysłom ludzi prostych, a nie sprzyja złym zamysłom przemądrych.

- Nie znam się na tych filozofiach - odparł Sanczo Pansa - wiem tylko, żerównie rychło chciałbym mieć to hrabstwo, jak potrafiłbym nim rządzić; mam taką samą duszę jak inny i ciało mam jak i najtęższy, i byłbym równie dobrym królem mego państwa, jak każdy inny swego: a kiedy byłbym nim, robiłbym, co bym chciał, a czyniąc, co chcę, postępowałbym wedle mego upodobania, postępując wedle mego upodobania, byłbym zadowolony, a będąc zadowolony, nie pragnąłbym niczego więcej, a kiedy nie będę niczego więcej pragnął, będę miał dość. Niech tylko państwo będzie, to do zobaczenia z Bogiem, jak mówił ślepy do niewidomego. - Ta filozofia, jak mówisz, Sanczo, nie jest tak zła; ale mimo to byłoby wiele do powiedzenia w sprawie owych hrabstw.

Na to odpowiedział Don Kichote:

- Nie wiem, co by tu było więcej do powiedzenia, dla mnie jedynym wzorem jest wielki Amadis z Galii, który giermka swego uczynił hrabią Stałej Wyspy; dla-tego też z czystym sumieniem mogę zrobić Sanczo Pansę hrabią. Jest on bowiem jednym z najlepszych giermków, jakiego miał kiedykolwiek błędny rycerz. Kanonik zdziwił się niebywale, słuchając tych rozumnych bredni wypowiadanych przez Don Kichota, sposobowi, w jaki opisywał przygody Rycerza z Jeziora, wrażeniu, jakie na nim wywarły ułudne rojenia przeczytanych książek, a wresz- cie nie mniej podziwiał naiwność Sancza, który tak gorąco pragnął zdobyć obiecane przez swego pana hrabstwo. Tymczasem wróciła służba kanonika,

która udała się była do zajazdu po juczną mulicę z zapasami. Rozesłali kobierzec na zielonej murawie łąki w cieniu drzew, usiedli i posili się tam, bowiem wolarz nie chciał,

jak się rzekło, tracić sposobności dobrego popasu.

Kiedy tak jedli, usłyszeli silny trzask gałęzi i odgłos dzwonka płynący z pobliskich cierni i zarośli, i w tej samej chwili ujrzały wychodzącą z tych krzaków śliczną kozę o sierści nakrapianej w czarne, szare i białe plamy. Za nią szedł koziarz, nawołując i przemawiając do niej, aby się zatrzymała i powróciła do trzody. Zbiegła koza, płochliwa i przestraszona, podeszła

do ludzi, jakby tu pomocy szukając, i przy nich się zatrzymała. Nadszedł koziarz i chwyciwszy ją za rogi, mówił do niej, jakby mogła go zrozumieć i pojąć: -Ach! Włóczęgo, włóczęgo, Łaciata, Łaciata, cóż ty tak podskakujesz na jednej nodze? Jakiż wilk cię spłoszył, dzieciętko? Nie powiesz mi, co to ma znaczyć, ślicznotko? Ale cóż by to innego być miało, ino że jesteś samicą i niepokój cię nosi. Do diaska z taką naturą jak twoja i tych wszystkich, których śladem idziesz.

Wróć 342

się, wróć, moja droga, choć nie tak szczęśliwa, jednak bezpieczniejsza będziesz w twej zagrodzie z towarzyszkami; cóż one poczną, jeśli ty, przewodniczka ich i przodownica, bładzisz tak bez celu i bez ścieżki.

Słowa koziarza rozbawiły słuchających, osobliwie zaś kanonika, który rzekł: - Na wasze życie, bracie, uspokójcie się nieco i nie kwapcie się tak szybko kozę zaganiać do koszaru; jeśli bowiem jest to samka, jak powiadacie, pojedzie za przyrodzonym

instynktem, choćbyście temu nie wiem jak przeszkodzić chcieli. Weźmijcie ten kęs i łyknijcie sobie trocha, a uśmierzycie cholę, koza zaś tymczasem odpocznie.

To mówiąc, podał mu na końcu noża zioberka pieczonego królika na zimno.

Koziarz wziął, podziękował, popił i uspokoiwszy się, tak rzekł:

- Nie chciałbym, abyście, waszmościowie, wzięli mię za prostaka, iżem takpoważnie z tym bydlem gadał; po prawdzie nie brakło słowom moim tajemniczości. Jestem prostak, ale nie taki, abym nie wiedział, jak należy odnosić się do ludzi, a jak do zwierząt.

- Wierzę w to zaiste - rzekł proboszcz - wiem bowiem z doświadczenia, żegory żywią wykształconych, zaś szałasy pasterskie kryją filozofów.

- A przynajmniej, panie - rzekł pasterz - kryją one ludzi doświadczonych; zaśabyście się o tej prawdzie przekonali, a nieomal ręką jej dotknąć mogli, choć zdaje mi się, że nieproszony się narzucam, chcę, jeśli się tym nie znudzicie i raczycie, panowie, przez krótką chwilę poświęcić mi uwagę, opowiedzieć wam prawdziwą przygodę, która potwierdza, co ten jegomość - tu wskazał na proboszcza - powiedział, a co i ja mówię. Na to odpowiedział Don Kichote:

- Jako że, zdaje mi się, będzie to miało niby pozór przygody rycerskiej, ja z mej strony słuchać was będę, bracie, chętnie, a podobnie i wszyscy ci panowie, ludzie rozumni bardzo i rozmiłowani w ciekawych nowinach, które zadziwiają, cieszą i odświeżają umysł, jak to bez wątpienia wasza opowieść zdolna będzie uczynić.

A więc zaczynajcie, przyjacielu, abyśmy was wszyscy słuchali.

- Z wyjątkiem mnie - rzekł Sanczo - pójdę nad strumień razem z tym pasztelem i tam najem się na trzy dni; słyszałem bowiem od pana mego, Don Kichota, że giermek błędnego rycerza ma jeść, kiedy się nadarzy, co się wlezie; zdarzyć się bowiem może, że przypadkiem znajdzie się w takim mateczniku, że i przez sześć dni zeń wyjść nie zdoła, a jeśli człek nie jest dobrze napchany lub nie ma sakw dobrze zaopatrzonych, może tam pozostać, jak się to często zdarza, wyschnięty jak mumia.

- Masz rację, Sanczo - rzekł Don Kichote - idź, gdzie chcesz, i jedz, ile zdołasz, jam już nasycony i jeno trzeba mi duszę posilić, a to słuchając powieści tego poczciwca.

- My również nasze dusze posilimy - rzekł kanonik i poprosił koziarza, aby zaczął, co obiecał. Koziarz poklepał dwakroć po boku kozę, którą za rogi trzymał, i rzekł:

- Połóż się tu koło mnie, Łaciata, mamy czas powrócić do naszej trzody. Koza jakby go zrozumiała, kiedy jej pan usiadł, wyciągnęła się obok niego bardzo spokojnie i patrząc mu w twarz, dawała do poznania, że słucha uważnie, co koziarz powie; ów zaś zaczął swą historię w ten sposób: 343

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

podaje, co opowiedział koziarz wszystkim, którzy Don Kichota wiedli O trzy mile od tej doliny jest wioska, choć mała, ale jedna z najbogatszych w tych okolicach; w niej żył pewien wieśniak bardzo szanowany, i to tak, że choć szacunek przywiązyany jest zwykle do majątku, on szanowany był bardziej dla cnót, jakie posiadał, niż dla bogactwa, jakie zdobył. Ale największym szczęściem -jak sam powiadał - była mu córka tak niezwykłej gładkości, rzadkiego rozumu, wdzięku i cnoty, że kto ją znał i patrzył na nią, zdumiewał się, widząc niezwykłe zalety,
jakimi niebo i natura ją wzbogaciła. Jako dziecko
była już piękna i stale w gładko- ści wzrastała, a
w wieku szesnastu lat była najurodziwsza. Sława
jej piękności za-

częła się szerzyć we wszystkich okolicznych wioskach, co mówię w okolicznych, dotarła nawet do odległych miast, a zgoła wtargnęła na królewskie
sale; słuch do-

szedł do rozmaitych ludzi, którzy ze wszech stron przybywali ją oglądać, jakby osobliwość jaką albo obraz cudowny. Strzegł jej ojciec i ona sama pilnowała siebie, nie masz bowiem ryglów ni straży, ani zamków, które lepiej strzegą dziewczyny niż jej własna skromność.

Majątek ojca i uroda córki sprawiły, że wielu, zarówno wsiowych, jak obcych, ubiegało się o jej rękę, ale ten, który miał losem tego klejnotu rozporządzać, wahał się, nie mogąc rozstrzygnąć, komu spośród niezliczonych zalotników, którzy go nagabywali, ją powierzyć. Pomiędzy tyloma innymi, którzy te zacne zamiary żywili, byłem i ja. Ponieważ ojciec jej wiedział, kto zacz jestem, że pochodzę z tej samej wsi, że krew mam czystą, jestem w kwiecie wieku i majątku mi nie brak, a nie mniej obdarzony jestem zaletami ducha, żywilem liczne i wielkie nadzieje powodzenia. Starał się o nią inny młodzieniec z tej samej wsi, podobnymi zaletami zdobny; to wpłynęło na zwłokę i wahanie ojca, któremu zdawało się, że z każdym z nas córka jego będzie szczęśliwa. I by wyjść z tej niepewności, postanowił wszystko przedłożyć Leandrze (tak bowiem zwała się ta bogaczka, która mię do nieszczęścia przywiódła), ozajmiając jej, że ponieważ obaj jesteśmy równi sobie, zdaje się na wolę

swej ukochanej córki, aby wybierała wedle swej skłonności. Rzecz godna naśladowania przez wszystkich ojców, którzy chcą córki swe za mąż wydać; nie mówię, aby im pozostawiali wybór w rzeczach niegodnych i złych, ale przedkładając im godziwe, spośród takich pozwolili im wybierać do woli. Nie wiem, co uczyniła Leandra, wiem tylko, że ojciec obu nas trzymał w zawieszeniu, mówiąc o młodym wieku córki oraz inne ogólniki, które ani jego nie zobowiązły, ani nas również nie zniechęcały. Mój współzawodnik zwał się Anzelm, ja zaś Eugeniusz, mówię to, byście się zaznajomili z imionami osób biorących udział w tej tragedii, której koniec jest jeszcze niepewny, ale można już przewidzieć, że będzie nieszczęśliwy.

W tym czasie przybył do naszej wioski pewien Wincenty de la Roca, syn ubogiego wieśniaka z tej samej miejscowości; ów Wincenty wracał z Włoch oraz z innych rozmaitych krajów, gdzie służył przy wojsku. Kiedy był chłopcem dwunasto-

344

letnim, zabrał go z naszej wsi kapitan pewien przypadkiem tamtego przechodzący ze swą kompanią, młodzieniec wrócił po dwunastu latach, w wojskowym mundurze, tysiącem barw strojny, obwieszony świecidełkami z kryształu i delikatnymi łańcuszkami ze stali. Dziś wkładał strój taki, jutro owaki; ale zawsze było to wymuskane, pstre, małej wartości i tanie. Brać wieśniacza, złośliwa z natury, którą bezczynność w samą złośliwość zamienia, dobrze zauważała i liczyła każdy strój i ozdoby, kawałek po kawałku. I doszli do tego, że ubiorów tych było trzy, każdy innej barwy, z takimiż pończochami i podwiązkami. Ale tak je mieszał i kombinował, że gdyby ich nie zliczono, mógłby kto przysiąc, że paradował z kolei w co najmniej dziesięciu kompletach stroju i w ponad dwudziestu pióropuszach. Niech się wam nie wydaje niepotrzebne i głupie, że opowiadam wam o tych ubiorach, bowiem grają one wielką rolę w tej historii.

Siadywał on na kamiennej ławie pod wielką topolą na naszym placu i tam nas trzymał z otwartymi gębami zasłuchanych w opowiadania o swoich przewagach. Nie było na całej kuli ziemskiej kraju, którego by nie zwiedził, ani bitwy, w której nie brałby udziału. Więcej Maurów nasiekł, niż liczy ich Maroko i Tunis pospolu, i więcej pojedynek stoczył niż Gandyjczyk i Luna, Diego Garcia de Paredes i tysiąc innych przeżeń wymienianych; a ze wszystkich wychodził zwycięsko, nie przelewając ani kropli własnej krwi. To znów pokazywał nam blizny po ranach, choć ich znać nie było, i wmawiał w nas, że były to postrzały od muszkietów, odniesione

Don Kichote - Miguel Cervantez

w rozmaitych starciach i potrzbach. W końcu z niebywałą zuchwałością mówił «wy» równym sobie i nawet tym, którzy go dobrze znali; twierdził, że ojcem jest mu jego ramię, szlachectwem czyny i że będąc żołnierzem, samemu królowi jest równy. Do tych bezczelności dodać należy, że znał się nieco na muzyce i grał na gitarze, tak że niektórzy mówili, iż ona mu pod palcami gada. Ale nie kończyły się

na tym jego powaby; uważały się również za poetę i o każdym głupstewku, jakie się we wiosce zdarzyło, układał romansę długą na półtorej mili. Ten więc żołnierz, którego wam odmalowałem, ten Wincenty de la Roca, ten bohater, elegant, ten muzyk, ten poeta wpadł w oko Leandrze, która go nieraz widywała z okna swego domu, wychodzącego na plac. Zadurzyła się w sztychu jego wspaniałych uniformów, oczarowała ją romance, z których każdą po dwadzieścia razy przepisywał dawał; doszły do jej uszu jego bohaterskie czyny, o których on sam opowiadał, a w końcu sam diabeł musiał to namotać, zakochała się w nim, zanim on powziął zarozumiały zamiar ubiegania się o nią. A jako w sprawach miłości nic się łacniej nie spełnia jak to, czego chce niewiasta, Leandra i Wincenty łatwo

porozumieli się i zanim jakikolwiek z jej licznych zalotników zdał sobie sprawę z jej zamysłów, ona już je spełniła, opuszczając dom swego kochanego i drogiego ojca, matki bowiem nie miała, i uciekając ze wsi z żołnierzem, który z tej potrzeby wyszedł z większym triumfem niż ze wszystkich innych licznych, o których opowiadał.

Zdarzenie to zaskoczyło całą wieś i każdego, kto się o tym dowiadzał. Byłem jak odrętwiały, Anzelm osłupiały, ojciec smutny, krewni urażeni, poruszono sprawiedliwość, rozesłano strażników, przebieżono drogi, przeszukano lasy, wreszcie po trzech dniach znaleziono przekorną Leandrę w grocie górskiej, obdartą do ko-

345

szuli, ogołoconą z pieniędzy i drogich klejnotów, jakie z domu zabrała. Przywiedziono ją przed oblicze nieszczęsnego ojca, wypytano o jej żałosny los, wyznała bez ogródek, że Wincenty de la Roca oszukał ją i przysięgając poślubić, namówił do opuszczenia domu ojca, bo chce ją zawieźć do najbogatszego i najrozkoszniejszego miasta na świecie, jakim jest Neapol, zaś ona, nieopatrzną i oszukana, uwierzyła

mu i okradłszy ojca, uciekła z nim tej samej nocy,
kiedy nieobecność jej zauważono; następnie

zawiódł ją w dzikie góry i ukrył w owej grocie,
gdzie ją znaleziono. Opowiadała również, że
żołnierz, nie czyniąc szwanku jej cnocie,
zrabował, co miała,

i zostawił ją w tej grocie, a sam uciekł; rzecz, która znowu wywołała zdumienie
wszystkich. Trudno było, panie, uwierzyć w tę wstrzemięźliwość
młodzieńca, ale ona tak szczerze zapewniała o tym, że zrozpaczony ojciec pocieszył
się nieco, nie

dbając o zabrane kosztowności, jeżeli córce jego
zostawiono klejnot, który gdy się raz straci, nie
masz nadziei, aby go kiedykolwiek odzyskać.

Tego samego dnia, kie- dy Leandra się zjawiła,
ojciec usunął ją przed oczu naszych, uwożąc,
aby zamknąć ją w klasztorze pobliskiego miasta,
majac nadzieję, że czas zmaże w części złą sła-

wę, którą jego córka na siebie ściągnęła. Młody wiek Leandry usprawiedliwiał jej
winę, przynajmniej wobec tych, których niewiele obchodziło, czy
ona była cnotliwa, czy też występna; ci zaś, którym znany był jej rozum i bystrość, nie
przypisy-

wali przewinienia jej nieświadomości, ale raczej lekkości i naturalnej skłonności
niewiast, które są najczęściej nierozsądne i nieostrożne.

Po zamknięciu Leandry oczy Anzelma oślepły, to znaczy nic, na co patrzył, nie
sprawiało mu przyjemności; moje oczy zakrył mrok, pozbawione były światła, które
by ukazywało coś miłego; nieobecność Leandry wzmogła nasz smutek,
wyczerpywała się nasza cierpliwość, przeklinaliśmy strojność żołnierza i
zarzucaliśmy

ojcu Leandry brak ostrożności. Wreszcie Anzelm i ja postanowiliśmy porzucić wioskę
i udać się do tej doliny, gdzie on wypasa wielką liczbę owiec
własnych, a ja liczną trzodę kóz również moich; pędzimy życie wśród drzew,
puszczając wodze naszych uczuć, czy to śpiewając wspólne pochwały, czy to
zlorzecząc pięknej Lean-

drze, czy to wzdychając w samotności i w samotności nasze skargi powierzając niebu.
Za przykładem naszym wielu innych zalotników Leandry przybyło w te dzikie góry,
wiodąc podobny tryb życia, a są oni tak liczni, że zdawałoby się, iż cała okolica
zmieniła się w pasterską Arkadię, tak jest pełna pasterzy i trzód, i nie masz w niej

Don Kichote - Miguel Cervantez

zakątka, gdzie by pięknej Leandry imię nie dawało się słyszeć. Ten ją przeklina i nazywa kapryśną, zmienną i występną, ów potępia ją jako wietrznicę i płocharę; tam-

ten ją rozgrzesza i przebacza jej, inny ją sądzi i złorzeczy; jeden wysławia jej piękność, inny na jej charakter wyrzeka, a w końcu wszyscy ją piętnują, wszyscy ją wielbią, wszyscy ogarnięci są takim obłędem, że ten skarży się na jej wzgardę, ktor-

ry nigdy z nią nie mówił, a ów zgoła rozpaczla i odczuwa ataki wściekłej zazdrości, chociaż ona wzbudzić jej w nikim nie mogła, bo -jak rzekłem - wpierw znany był jej grzech niż uczucie. Nie masz groty skalnej ani biegu strumienia, ani cienia drzewa, gdzie by jakiś pasterz o swym nieszczęściu wiatrom nie opowiadał. Echo powtarza imię Leandry wszędzie, gdziekolwiek się tworzy; «Leandra» - wołają góry,

«Leandra» - szemrzą strumieniem, Leandra nas wszystkich trzyma półprzytomnych 346 i oczarowanych. Ufamy wbrew nadziei i lękamy się, nie wiedząc, czego się boimy. Pośród tych szaleńców okazuje się, że najwięcej rozsądku zachował mój współzawodnik Anzelm, który mając wiele powodów do żalenia się, żali się tylko na rozłą-

kę z nią i przy dźwiękach gęslików, na których gra zachwycająco, w wierszach zdradzających zdolności jego umysłu, śpiewem się skarży. Ja idę inną drogą, łatwiej-

szą i, moim zdaniem, pewniejszą, ganiąc płochość niewiast, ich niestałość, dwulicowość, ich zwodnicze obietnice, ich łamanie słowa, jednym słowem, brak rozsądku w umieszczaniu swych myśli i uczuć. Oto przyczyna, panowie, która mi nasunęła słowa i zdania wypowiadane do tej kozy, kiedy ją dogoniłem, bo za nic ją mam jako samicę, choć jest najlepsza z mej trzody. Oto historia, jaką obiecałem wam opowiedzieć. Jeżeli opowiadałem zbyt długo, za to w krótkich słowach wam usługi moje ofiaruję: w pobliżu jest mój szalaś, mam tam świeże mleko i bardzo smaczny ser oraz różne dojrzałe owoce, miłe zarówno oczom, jak smakowi".

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

o sporze Don Kichota z koziarzem i o niezwykłej przygodzie z pokutnikami, którą Don Kichote w pocie czoła szczęśliwie zakończył
O,

"powieść koziarza podobała się wszystkim słuchaczom, osobliwie przypadła do smaku kanonikowi, który z najwyższą ciekawością śledził sposób, w jaki ko-

ziarz opowiadał, tak niepospolity dla wiejskiego pasterza, a raczej przystojny wy- kwintnemu dworakowi, i stwierdził, jak słusznie mówił proboszcz, że owe góry rodzą wykształconych. Wszyscy jeśli się oświadczają Eugeniuszowi, ale najwięcej gotowości okazał Don Kichote, mówiąc:

-Zaiste, bracie koziarzu, gdyby mi wolno było podejmować jakąś przygodę, natychmiast wyruszyłbym w drogę, aby wam dobra przysporzyć, wydobyłbym z klasztoru (gdzie ani chybi wbrew swej woli pozostaje) Leandrę, nie zważając na sprzeciw ksieni i wszystkich, którzy by mi przeszkadzać chcieli, i oddałbym ją w wasze ręce, abyś z nią wedle woli swej i chęci postąpił, przestrzegając przy tym praw rycerskich, które nakazują żadnej dziewczyny gwałtu nie czynić. Jednak mam nadzieję w Bogu, Panu naszemu, że moc złośliwego czarownika nie ostoi się wobec przewagi innego życzliwego czarodzieja, a wówczas przyczekam wam poparcie i pomoc, do czego obowiązuje mię powołanie moje, mające na celu wspieranie słabych i potrzebujących.

Koziarz popatrzył na niego i widząc tak mizerny wygląd i odzież rycerza, zdumiał się i zapytał cyrulika, przy którym siedział: - Panie, cóż to za człek tej postawy, co w ten sposób gada?

347

- Któż by to był - odparł cyrulik - jeśli nie słynny Don Kichote z Manczy, mściciel zniewag, naprawiacz krzywd, opiekun dziewcząt, postrach olbrzymów i zwycięzca w bitwach!

- Podobne to - rzekł koziarz - temu, co się czyta w księgach o błędnych rycerzach, którzy to wszystko czynią, co ten człowiek, wedle słów waszmości; jednak sądzę, że albo waszmość dworujecie sobie, albo ten szlachcic ma puste komory w głowie.

- Największy hultaj z was - krzyknął Don Kichote - to wy macie pusty łeb! Pomyleniec jesteście, ja zaś mam pełniejszy niż kiedykolwiek był żywot najgorszej sukincórki ladaczniczy, która cię zrodziła!

Od słowa do czynu, porwał chleb obok leżący i rzucił prosto w twarz koziarzowi z taką wściekłością, że mu nos rozplaszczył; ale koziarz nieznający się na takich żartach, widząc, jak go źle potraktowano, nie zważając na kobierzec ani na obrus, ani na wszystkich siedzących i posilających się, skoczył na Don Kichota, chwycił go za gardło obiema rękoma i byłby go niechybnie zadusił, gdyby Sanczo Pansa co żywo

nie nadbiegł i porwawszy go za ramiona, nie zwalił na obrus, tłukąc talerze, szklanki, rozlewając i rozrzucając wszystko, co w nich było.

Don Kichote, ujrzawszy się oswobodzonym, napadł na koziarza, a ten z twarzą krwią zalaną, potłumiony przez Sancza, szukał po omacku jakiegoś noża na obrusie, aby krwawo się zemścić, ale przeszczodzili temu kanonik i proboszcz. Tymczasem cyrulik tak urządził, żeby koziarz wziął Don Kichota pod siebie i spuścił nań taki grad kułaków, że oblicze nieszczęsnego rycerza krwią spłynęło podobnie jak jego. Kanonik i proboszcz pękali ze śmiechu, strażnicy skakali z radości, szczerając jednego na drugiego, jak zwykło się czynić z psami, kiedy zagryzają się w bój- ce. Jeden Sanczo Pansa rozpaczal, nie mogąc się wyrwać służce kanonika, który nie dopuszczał, aby panu z pomocą przyszedł.

W końcu kiedy wszyscy, z wyjątkiem dwóch zapaśników walczących na pięści, zabawiali się tak i weselili, dał się słyszeć dźwięk trąb tak smutny, że zmusił wszystkich, by twarze zwróciły w stronę, skąd zdawał się dochodzić; najbardziej jednak głosem tym wstrząśnięty był Don Kichote, który choć leżąc po niewoli pod koziarzem, niezgorzej wymłocony, tak doń rzekł:

- Bracie demonie, kimże bowiem mógłbyś być, skoro masz odwagę i siłę, aby mnie pokonać, proszę cię, zawrzyjmy rozejm, choćby na godzinę, bowiem żałosny dźwięk tej trąby, dolatujący do mych uszu, wzywa mię, zdaje się, na nową przygodę.

Koziarz, już zmęczony biciem i otrzymanymi razami, puścił go zaraz, a Don Kichote powstał i zwrócił również oblicze w stronę, skąd dźwięk się słyszeć dawał; ujrzał wówczas schodzących po pochyłości wzgórza licznych ludzi odzianych biało jak pokutnicy.

Zdarzyło się, że w tym roku chmury odmówią ziemi swej rosą i we wszystkich miejscowościach tej okolicy odbywały się procesje błagalne i pokutne proszące Boga, aby otworzył dlonie miłosierdzia swego i spuścił deszcz. Dlatego też mieszkańcy pobliskiej wsi szli w procesji do cudownej pustelnicy znajdującej się na zboczu tej doliny.

348

Don Kichote, widząc cudacze stroje pokutników, nie przywodząc na pamięć, że wielekość je widywał, wyobraził sobie, że nadarza się nowa przygoda i że jemu jednemu jako błędному rycerzowi podjąć ją należy. Utwierdziła go w tym urojeniu myśl, że obraz, który niesiono kirem przykryty, był znakomitą damą, uprowadzoną siłą przez jakowychś zdrajców i brutalnych złoczyńców; a kiedy mu to do głowy wpadło, z wielką chyzością podbiegł do Rosynanta pasącego się swobodnie, zdjął z

łęku wodze i tarczę, okiełznał go migiem; a zażądawszy od Sancza swego miecza, wskoczył na Rosynanta, tarczę zarzucił na ramię i donośnym głosem zwołał do wszystkich obecnych:

- Teraz, dzielni towarzysze, ujrzycie, jak ważną rzeczą jest istnienie na świecie rycerzy uprawiających zwołanie błędного rycerstwa.

Teraz, mówię, ujrzycie po oswobodeniu tej zacnej pani tak niewolnie wiedzionej, jak należy poważyć błędnych rycerzy.

To mówiąc ścisnął Rosynanta kolanami, ostróg bowiem nie miał, i pełnym galopem (ponieważ w całej tej prawdziwej historii nie czytamy, aby Rosynant szedł inaczej jak pełnym skokiem) ruszył na spotkanie pokutników, choć zatrzymywali go proboszcz, kanonik i cyrulik. Nie udało im się to ani nie zatrzymały go wołania Sancza, który krzyczał:

- Gdzie pędzicie, panie Don Kichocie? Jakież diabły pana opętały i podjudziły przeciw naszej katolickiej wierze? Zważcie - górze mi!1 - to procesja pokutników, zaś owa pani, którą niosą na feretronie², to obraz Przenajświętszej Panny Nie- pokalanej. Bacacie, co czynicie, tym razem można o panu powiedzieć, że sami nie wiecie.

Na próżno mozolił się Sanczo, bowiem jego pan taką pałał niecierpliwością spotkania się z białymi widmami i uwolnienia damy spowitej kirem, że ani słowa nie słyszał; a choćby i słyszał, nie zwróciłby nawet na rozkaz samego króla. Do- padł więc procesji, zarył Rosynanta, który już miał ochotę odetchnąć nieco, i wzburzonym, ostrym głosem krzyknął:

- Wy, którzy może dlatego zakrywacie twarze, że jesteście bezecni, zatrzymajcie się i słuchajcie, co chcę wam rzec!

Pierwsi zatrzymali się, którzy obraz nieśli, a jeden z czterech kleryków śpiewających litanie, widząc dziwną postać Don Kichota, chudość Rosynanta oraz inne śmieszne szczegóły, jakie zauważył i odkrył w Don Kichocie, odezwał się: - Panie bracie, jeżeli chcecie nam coś powiedzieć, mówcie co przedżej, bo tamci bracia mają zmęczone barki i nie możemy ani też godzi się nam zatrzymywać dla słuchania, chyba że jest to coś krótkiego, co się da zamknąć w dwu słowach. - W jednym słowie wam powiem - odparł Don Kichote - a to, uwolnijcie natychmiast tę piękną panią, której łzy i smutny wygląd dowodzą jasno, że wiedziecie

ją wbrew jej woli i żeście jej wyrządzili jakąś okrutną krzywdę. Ja zaś, który przy-

szedłem na świat, aby podobne krzywdy naprawiać, nie pozwolę wam ani na krok się ruszyć, póki jej nie oddacie upragnionej wolności, na jaką zasługuje.

1 górze mi!-biada mi! źle ze mną!

2 feretron- przenośny ołtarzyk lub obraz noszony podczas procesji.

349

Na te słowa wszyscy, którzy go słuchali, doszli do wniosku, że Don Kichote musi być szaleńcem, i zaczęli się śmiać z całego serca; ten śmiech był iskrą na prochy gniewu Don Kichota; nie mówiąc już ani słowa, wyrwał miecz i rzucił się na feretron. Jeden z niosących, zdawszy ciężar towarzyszom, wyszedł naprzeciw Don Kichota uzbrojony w widły czy też drąg od podtrzymywania noszy w czasie odpoczynku; na drąg ten spadło wielkie cięcie Don Kichota i rozlupało go na dwoje, ale

trzecia część została w rękach pątnika, który zadał nią Don Kichotowi taki cios przez ramię od strony miecza, gdzie go tarcza nie kryła przed chłopskim rozmachem, że nieszczęsny Don Kichote spadł na ziemię mocno poturbowany. Sanczo Pansa, który bez tchu biegł w jego ślady, widząc, jak upadł, krzyknął na napastnika, aby go nie bił dalej, gdyż jest to błędny rycerz zaczarowany, który

nikomu nic złego nie uczynił przez wszystkie dni żywota. Ale wieśniaka powstrzymały nie tyle krzyki Sancza, ile widok Don Kichota, który ręką ani nogą nie ruszał;

więc przekonany, że go zabił, z pośpiechem zakasał opończę i zaczął zmykać przez pola jak daniel.

W tej samej chwili zbliżyli się wszyscy towarzysze Don Kichota, ale pątnicy procesji, widząc biegnących ku nim strażników z kuszami przeleękli się napaści, oczywiście kołem obraz, odrzucili kaptury, pochwycili dyscypliny, zaś klerycy lichtarze i oczekiwali napaści, gotowi się bronić, a nawet zaatakować napastników, jeśliby zdołali. Ale los lepiej ułożył wszystko, niżby się spodziewać można było. Sanczo bowiem nic, jeno rzucił się na ciało swego pana i jał nad nim najboleśniejsze i najśmieszniejsze w świecie skargi zawodzić, uważając go za nie żywego. Proboszcz poznał drugi proboszcz idący z procesją, a to poznanie uśmierzyło wzajemny strach obu oddziałów. Pierwszy proboszcz w dwu słowach opowiedział drugiemu, kim był Don Kichote, i obaj wraz z całym tłumem biczowników poszli obaczyć, czy nieszczęsny rycerz zabił, i usłyszeli, jak Sanczo ze łzami w oczach lamentował:

- O kwiecie rycerstwa, czemuż jeden cios kija zakończył bieg twoich lat, tak pozytecznie pędzonych. O chwało twego rodu, sławo i rozgłosie całej Manczy, a nawet całego świata, który kiedy ciebie zabraknie, zaroi się od złoczyńców, nie lękających się już kary za swe zbrodnie! O ponad wszystkich Aleksandrów bardziej szczodroigliwy, który tylko za osiem miesięcy służby dałeś mi najlepszą wyspę, jaką

morze opasuje i okala! O pokorny między pyszałkami, a zuchwały wobec pokornych, śmiały w niebezpieczeństwach, cierpiętniku zniewag, biczu na złych, wrogu podłych, jednym słowem, rycerzu błędny, a w tym jest wszystko, co powiedzieć można.

Na te krzyki i jęki Sancza odżył Don Kichote i pierwsze jego słowa były: - Ten, kto z dala od ciebie żyje, najsłodsza Dulcyneo, większych cierpień doznaje niż te oto. Pomóż mi, przyjacielu Sanczo, wsiąść na wóz zaczarowany. Nie zdołam już utrzymać się na siodle Rosynanta, całe bowiem ramię mam zgruchotane. - Uczynię to z największą chęcią, panie mój - odparł Sanczo - i wracajmy do mojej wioski w towarzystwie tych panów, którzy waszego dobra pragną. A tam przygotujemy nową wyprawę, która aby nam więcej korzyści i sławy przyniosła. - Dobrze gadasz, Sanczo - odparł Don Kichote - bardzo roztropnie będzie przeszekać, aż minie zły wpływ gwiazd, które teraz krążą.

350

Kanonik, proboszcz i cyrulik potwierdzili, że dobrze uczyni, postępując, jak mówi; i tak nacieszywszy się naiwnością Sanczo Pansy, wsadzili Don Kichota na wóz, na którym pierwej jechał; procesja na nowo się ustała i ruszyła dalej w drogę; koziarz pożegnał się ze wszystkimi; strażnicy iść dalej nie chcieli, więc proboszcz zapłacił im, co się należało; kanonik prosił proboszcza, aby go uwiadomił o losach

Don Kichota, czy wyleczy się ze swego obłędu, czy też będzie w nim trwał, potem pożegnał się i odjechał, a zostali jedynie proboszcz, cyrulik, Don Kichote i Sanczo Pansa oraz poczciwy Rosynant, który we wszystkim, co przeżywał, okazywał taką cierpliwość jak pan jego.

Wolarz zaprzęgł swe woły, usadowił Don Kichota na wiążce siana, ze zwykłym spokojem ruszył w drogę wskazaną mu przez proboszcza i po sześciu dniach przybyli do wsi Don Kichota; zajechali tam w samo południe. Była to właśnie niedziela i wszyscy ludzie byli zgromadzeni na placu, przez środek którego przejeżdżał wóz Don Kichota. Wszyscy zbiegli się zobaczyć, kto na wozie jedzie, a poznawszy swego ziomka, cudowali się bardzo. Chłopiec pewien pobiegł co tchu zanieść nowinę ochmistrzyni i siostrzenicy, że wuj ich i pan przybywa wychudły i wyżółkły, leżąc na

wiązce siana na wozie zaprężonym w woły. Litość brała, kiedy słyszało się zawodzenie obu zacnych pań, ich westchnienia i przekleństwa, jakie znów miotać poczęły na przeklęte księgi rycerskie. Wszystko to jeszcze się wzmogło, kiedy ujrzały Don Kichota wchodzącego w drzwi.

Na wieść o przybyciu Don Kichota przybiegła żona Sanczo Pansy, która już wiedziała, że poszedł w świat, służąc onemu za giermka, i ujrzawszy Sancza, zapytała naprzód, czy osioł zdrów; Sanczo odparł, że ma się lepiej niż pan jego.

- Bogu niech będą dzięki - odpowiedziała - że mi taką łaskę wyściadczył. Ale powiedzież teraz, kochany, coście zarobili na swym giermkowaniu, jaką mi przywieźliście sabaudkę, jakie trzewiki dla dzieci?
- Nic z tego nie przywożę, moja żono - rzekł Sanczo - jednak mam za to innerzeczy większej wagi i znaczenia.
- Bardzo jestem rada - odpowiedziała żona - pokażcie owe inne rzeczy większej wartości i większego znaczenia, przyjacielu mój. Chcę je zobaczyć, aby uradować sobie serce, które tak smutne i markotne było przez wszystkie wieki waszej nieobecności.
- W domu ci je pokażę, kobieto - rzekł Pansa - tymczasem bądź zadowolona, bo jeśli Bóg pozwoli, że znowu wyruszmy na poszukiwanie przygód, ujrzyesz mię rychło hrabią albo wielkorządcą wyspy, i to nie byle jakiej, ale najlepszej, jaką znaleźć można.
- Oby niebo tak chciało, mężu mój, bardzo nam się to przyda. Ale powiedzmi: co to są za wyspy, bo nie rozumiem?
- To nie miód dla osłego pyska - odparł Sanczo - zobaczysz w swoim czasie, żono, i dziwować się będziesz, słysząc, jak wszyscy twoi poddani nazywają cię panią.
- Co ty wygadujesz, Sanczo, o państwach, wyspach i poddanych? - odpowiedziała Juana Pansa, bo tak się nazywała żona Sancza, choć nie byli krewniakami, Jeno obyczaj jest w Manczy, iż żony przybierają nazwiska mężów.

351

I

- Powoli, Juana, nadto ci spieszno się wszystkiego dowiedzieć. Dość, że cimówię prawdę i zamknij gębę. Mogę ci tylko rzec pokróć, że nie masz rzeczy milszej na świecie dla czcigodnego męża, jak być gierkiem błędnego rycerza, poszukiwacza przygód. Prawda, że większość nadarzonych nie kończy się tak pomyślnie, jakby człek chciał, bo na sto, jakie się trafią, dziewięćdziesiąt dziewięć

zwykle kończy się nieprzyjemnie i na opak. Wiem i o tym z doświadczenia, bo niektóre kończyły się podrzucaniem, inne młócką, ale mimo to piękną rzeczą jest ocze-

kiwać zdarzeń, przekraczając góry, przetrząsając lasy, odwiedzając zamki, wspinając się na skały, gościć w zajazdach do woli, nie zapłaciwszy ani grosza. Takie rozmowy wiedli Sanczo Pansa i Juana Pansa, jego żona, a tymczasem gospodyn i siostrzenica Don Kichota podejmowały go, rozdziewały i ułożyły w starożytnym łóżu. On patrzył na nie krzywym okiem i nie mógł zrozumieć jeszcze, gdzie się znajduje. Proboszcz polecił siostrzenicy, aby starała się dogadzać wujowi i baczyć pilnie, aby im się znowu nie wymknął jak poprzednim razem, opowiadał, jakich wybiegów trzeba było, by go do domu sprowadzić. Na to obie znowu podniosły krzyk wniewoglosy, znowu zaczęły złorzeczyć księgom rycerskim, znowu błagały niebo, aby w sam środek otchłani wtrąciło autorów tylu kłamstw i szaleństw. W końcu trwały w zmartwieniu i trwodze, że ich wuj i pan ledwie przyjedzie nieco do siebie, znowu je porzuci. I tak się też stało, jak sobie wyobrażały.

Ale autor tej historii, chociaż z ciekawością i pilnością szukał przewag, jakich Don Kichote dokazał w czasie trzeciej wyprawy, nie zdołał odnaleźć żadnej o tym wiadomości, a przynajmniej w pismach autentycznych. Jedyna wieść przechowana w pamięci mieszkańców Manczy mówi, że Don Kichote, kiedy po raz trzeci opuścił swój dom, udał się do Saragossy, gdzie wziął udział w słynnych turniejach, jakie się w tym mieście odbywały, i tam zdarzyły się rzeczy godne jego męstwa i światłego umysłu. Nie dowiedziałby się też nic o jego śmierci i

końcu, gdyby go

dobry los nie zetknął z pewnym starym medykiem, który posiadał ołowianą skrzynkę znalezioną, jak mówił, w fundamentach rozwalonej starej pustelni, gdy ją odnawiano. W tej skrzynce znajdowały się jakieś pergaminy zapisane pismem gotyckim, ale w kastylskich wierszach, które opiewały liczne bohaterskie czyny onego i mówiły o piękności pani Dulcynei z Toboso, o wyglądzie Rosynanta, o wierności Sanczo Pansy, o grobie samego Don Kichota wraz z rozmaitymi epitafiami i pochwałami jego żywota i obyczajów. Te, które odczytać zdołano i na czysto przepisać, tu umieszcza wiarygodny autor tej nowej i niesłychanej historii. Autor ten prosi wszystkich, którzy je czytać będą, w nagrodę za olbrzymi trud, jaki poniosł, szukając i szperując we wszystkich archiwach Manczy, chcąc je na jaśń wywieść, aby im wierzyli, jak ludzie rozumni wierzą księgom rycerskim, które świat obiegają w tak wielkiej liczbie. To mu będzie nagrodą i zadowoleniem i znajdzie w tym pobudkę do szukania

i wydobycia na jaw innych, jeżeli może nie tak wiarygodnych, to przynajmniej dorównujących im pomysłami i równie zabawnych.

Pierwsze słowa napisane na pergaminie znalezionym w ołowianej skrzynce były:

352

AKADEMICY Z ARGAMASILLI MIASTECZKA W MANCZY,
NA ŻYCIE I ŚMIERĆ DZIELNEGO DON KICHOTA Z MANCZY
HOC SCRIPSERUNP

MAŁPISZON, AKADEMICKI Z ARGAMASILLI
NA GRÓB DON KICHOTA

Ep i taf i um

Szaleniec, który Manczę ozdobił swą chwałą,
Łupem nawet bogatszym niżli Jazon z Krety,
Rozum, co chorągiewkę wzniósł w górę niestety,
Kiedy raczej poziomo trzymać ją przystało,
Ramię, co męstwa swego siłę rozszerzało
Od Kataju wschodniego po skały Gaety,
Muza mądra i straszna, która z cnej podniety Ryła
wiersze swe w brązie bohaterstwa strzała.

Ten, który w kąt zapędził wszystkich Amadisów

I za nic sobie cenił Galaora czyny,

Uniesiony w strzemionach
męstwa i miłości, Ten, który
do milczenia zmusił
Belianisów,

Którego niósł Rosynant przez wszystkie krainy, Tu pod
zimnym kamieniem złożył swoje kości.

Cervantes kpi tutaj z ówczesnej mody, wedle której
przyjaciele autora umieszczali na po- czątku i na
końcu jego dzieła swe poezje wychwalające. W
Argamasilli, zapadłej mieści- nie, żadnej akademii nie
było. Natomiast znajdowało się tam więzienie, w
którym ponoć

Cervantes był przetrzymany. W takim razie owi „akademicy” to zapewne przestępcy
tam więzieni, a ich sonety to burleskowy żart Cervantesa.

To napisali (łac).
353

MOCZYMORDA, AKADEMICKI Z ARGAMASILLI
INLAUDEMDULCINEAE' Z TOBOSO

Sonet

Popatrz na to oblicze jak
pączek czerwony, Pierś
wyniosłą i kibić postawną,
wszak to są

Powaby Dulcynei, królowej Toboso, Przez które
Don Kichote wielki urzeczony.

Dla niej deptał wąwozy tej i tamtej strony
Wielkiej Sierra Moreny i w noc lśniący rosą
Wyż Montielu przekroczył piechotą i boso, Zieleń Aranjuezu łąk, bez tchu, znużony.
Z przewiny Rosynanta, gwiazdo niegodziwa,
I ta manczeńska pani, i ten niespożyty
Błędny rycerz zostali skoszeni w lat kwiecie,
Ona całą urodę straciła nieżywa,
Zaś on, choć przetrwa wieki w marmurze wyryty, Miłości,
zdrad, zawiści nie zdołał ujść przecie. Na chwałę
Dulcynei (łac).

354

GRYMAŚNIK, PRZEMĄDRY AKADEMICKI Z
NA CHWAŁĘ ROSYNANTA,
RUMAKA DON KICHOTA Z MANCZY

Sonet

Na diamentowym tronie, gdzie opiera
Mars krwawe stopy o złota wspaniałość,
Szaleniec z Manczy z siłą niebywałą
. Sztandar swych przewag na wiatry otwiera,
Porywa swoją broń, której stal szczerą
Siecze, zabija, rani i tnie ciało,
Dla nowych czynów sztuka nowy z chwałą Styl dla takiego znajdzie bohatera.
Jeśli się Galia Amadisem chwali,
A Grecja dzięki mestwu jego synów

Don Kichote - Miguel Cervantez

Tysiąc triumfów swej sławy rozgłasza,
To Kichotowi Bellona w tej sali Prym wiodąc,
wręcza dziś wieniec wawrzynów: Nad Grecję,
Galię, wyższa Mancza nasza.
I zapomnienie chwały nie rozprasza,
Nawet Rosynant, bohaterska stwora, Ponad Bayarda jest i Brilladora.

355

SBBS

PRZEDRZEŹNIACZ, AKADEMICK ARGAMASYLSKI
DO SANCZO PANSY

Sonet

Oto jest Sanczo Pansa, niepozorny w ciele,
Ale wysoki cnotą, bowiem dziw nad dziwy,
Nigdy giermek tak prosty i taki poczciwy Nie był znany na świecie, poświadczam to
śmiele.

Ażeby stał się grabią, brakło mu niewiele,
Gdyby się przeciw niemu nie spręgły sprzeciwy
Wiek, który spodlony był i niegodziwy, Bo nawet
przeciw osłu rozpuszczał gardziele.

Bowiem osła dosiadał (za wyraz przepraszał)
Ten cichy giermek, jadąc tak nogą za nogą Za
cichym Rosynantem i za jego panem. O, jak
zwodnicza jesteś ty, nadziejo nasza!

Przechodzisz, obiecując nam spokojność błogą, A
rozwiewasz się cieniem, snem, niby tumanem.

356

ZBEREŹNIK, AKADEMICK Z ARGAMASILLI
NA GRÓB DON KICHOTA

Epitafium

Tu leży rycerz srogi,
Znękany i obłędny,
Rosynant niósł go biedny Poprzez rozstajne drogi.

Sanczo w
rozum ubogi

Leży tuż obok
niego,

Giermka równie wiernego Nie
znał giermków ród mnogi.

**BAJBUGA, AKADEMICK Z ARGAMASILLI
NA GRÓB DULCYNEI Z TOBOSO**

Epi taf i um

Tu Dulcynea spoczywa,

Choć w wdzięki
zasobna była, W
proch, w popiół ją
przemieniła

Okrutna śmierć
złośliwa.

Z czystego była tworzywa,
Krwi niczym dostojarne panie,
Don Kichote szalał dla niej,
Sławą swą wioskę okrywa.

Te wiersze dały się odczytać, inne, pleśnią pokryte, zostały wręczone pewnemu akademikowi, aby je objaśnił koniekturalnie'. Wiadomo, że dokonał tego kosztem wielu nieprzespanych nocy i wielkiej pracy i ma zamiar wydobyć je na światło, w nadziei trzeciej wyprawy Don Kichota. Forse altri canteri con miglior plettro1.

KONIEC KSIĘGI CZWARTEJ I CZĘŚCI PIERWSZEJ
koniekturalnie-na podstawie analizy zachowanych fragmentów.

Może kto inny to wyśpiewa na lepszej lutni
(łac, Ariosto, Orland szalony, pieśń XXX,
okt. 16). 357

CZĘŚĆ DRUGA

DEDYKACJA

Hrabiemu de Lemos1

Przesyłając w ubiegłych dniach Waszej Dostojności komedie ogłoszone drukiem,
zanim zostały wystawione, oznajmiłem - o ile dobrze pamiętam

Don Kichote - Miguel Cervantez

- że Don Kichote już przypina ostrogi, aby móc ucałować ręce Waszej Dostojności; dziś donoszę, że jużże oto przypiął i puścił się w drogę; jeżeli dotrze na miejsce, to - jak

mniemam - oddam Waszej Dostojności niejaką przysługę, bowiem ze wszech stron nagłą mię, abym co rychlej wysłał go dla rozproszenia nudy i

niesmaku wywołanego przez innego Don Kichota, który podszywszy się pod miano Części drugiej, świat

obiega. Okazało się, że najusilniej pragnie go mieć wielki cesarz Chin; przed mie- siącem oto napisał mi przez umyślnego w języku chińskim list, w którym prosi mię,

a raczej błaga, abym mu go przesłał, zamierza bowiem założyć kolegium dla studium języka kastyńskiego i chciałby, aby podręcznikiem do tych studiów była właśnie historia Don Kichota. Równocześnie oświadczył mi, że to ja mam być rektorem takiego kolegium. Zapytałem posłańca, czy Najjaśniejszy Pan przysłał mi jakiś zasiłek na drogę. Odparł, że nawet mu to przez myśl nie przeszło. "W takim razie, bracie - odparłem - możesz wracać do swych Chin, jadąc po dziesięć czy dwadzieścia mil dziennie albo z taką szybkością, z jaką tutaj śpieszy- łeś, moje zdrowie nie pozwala mi bowiem przedsiębrać tak dalekiej podróży; w dodatku, prócz mojej słabości, jestem zupełnie bez pieniędzy i może być cesarz i esarzem, a monarcha monarchą, ja zasię mam w Neapolu wielkiego hrabiego de Lemos, który bez wielu tytułów uczelnianych i rektorskich wspiera mię i więcej łask mi wyściadcza, niżli życzyć bym się osmielił".

Z tymi słowy odprawiłem go i tymi też żegnam Waszą Dostojność, ofiarując jej Niedole Persylesa i Zygmunty, książkę, którą ukończę w przeciągu czterech miesięcy, Deo volente². Będzie ona najgorszą albo też najlepszą, jaką w naszym Juan Pedro hrabia de Lemos (1576-1622) uchodził za protektora literatów. Cervantes, zra- żony obojętnością księcia de Bejar, o którego protekcję prosił w dedykacji do tomu I, zwraca się z kolei do hr. de Lemos - też na darmo. Jeśli Bóg zechce (łac).

361

języku ułożono, oczywiście tylko spośród książek napisanych gwoli rozrywki; przyznam się, nawet żałuję, iż powiedziałem "najgorszą", bo, zdaniem moich przyjaciół, osiągnęła ona najwyższy stopień doskonałości. Bywajcie, Wasza Dostojność, w

najlepszym zdrowiu; niebawem stanie Persyles, by ucałować Wam ręce, a ja stopy,
jako sługa Waszej Dostojności.

Waszej Dostojności sługa
Miguel de Cervantes Saavedra
Madryt, ostatniego
października roku 1615.
362

SŁOWO WSTĘPNE DO CZYTELNIKA

Na miły Bóg! Z jaką niecierpliwością musiałeś oczekiwac, czytelniku znakomity
czy prostacki, tej przedmowy, mniemając, że znajdziesz w niej pomstowania, obelgi
i wyrzuty przeciw autorowi wtórego Don Kichota, to jest tego, który poczęty został,
jak mówią, w Tordesillas, a narodził się w Tarragonie! Wszakże nie sprawię ci tej
przyjemności; aczkolwiek zniewagi zwykły budzić gniew w najpokorniejszych
sercach, moje będzie wyjątkiem w tej regule.

Chciałbyś, abym go nazwał osłem, półgłówkiem i bezczelnym, ale przez myśl mi to
nie przeszło i niechaj własny grzech mu karą będzie, niech go żre z każdym kawałkiem
chleba, a zobaczy! Nie mogłem jedynie ścierpieć, że nazywa mnie starcem i kaleką,
jakby to w mojej mocy było wstrzymać czas, by nie przechodził po mnie, albo jakby
kalectwo moje wzięło początek w jakowejś szynkowni, a nie w najszczytniejszej
potrzebie, jaką widziały wieki przeszłe i obecne ani jaką przy-
szłe mają nadzieję oglądać. Jeśli rany moje nie
jaśnieją w oczach człeka, który na nie patrzy, są
przynajmniej szanowane i czczone przez ludzi,
którzy wiedzą, gdzie

je zdobyłem; piękniej wygląda żołnierz poległy w bitwie niż wolny w ucieczce; i tak
to tkwi we mnie, że gdyby mi dziś dano do wyboru i umożliwiono rzecz niemożliwą,
wolę to, że byłem obecny w owej wspaniałej potrzebie, niżli od ran moich być wolny,
nie biorąc w niej udziału. Blizny, które żołnierz na obliczu swym lub
piersi nosi, są gwiazdami, które innych prowadzą ku
niebu sławy i ku żądzy rozgło- su; należy zważyć, że
nie pisze się siwizną, lecz umysłem, który zwykły
doskonalić się z latami. Dotknęło mnie również, że
nazywa mnie zazdrośnikiem i jakby nieświadomemu

tłumaczy, co to jest zazdrość; bowiem w rzeczy samej z dwu, jakie istnieją, znam jedynie świętą, szlachetną i pełną dobrej woli; a jeśli tak się rzeczy mają, nie mam zamiaru prześladować żadnego duchownego, a tym mniej takiego, który w dodatku uchodzi za zaufanego Świętej Inkwizycji, jako zaś dorozumiewam się, w czym imieniu to powiedział, twierdzę, iż pomylił się całkowicie, bowiem onego talent wielbię, podziwiam dzieła oraz trud ustanowiony i chwalebny. Wszakóż wdzięczny jestem zaiste temu panu autorowi za orzeczenie, iż nowele moje są raczej satyryczne niż pouczające, ale że są dobre; a przecież nie mogłyby takimi być, nie mając żadnych zalet. 363

Odpowiesz mi, mam wrażenie, że zbyt zacieśniam się i zamykam w szrankach mej skromności, wiedząc, że nie należy dorzucać zmartwień strapiónemu, zaś strapienie owego panka musi być znaczne, skoro nie ośmiela się wystąpić w otwartym polu i pod jasnym niebem, ale kryje swe nazwisko, zmyślając, ojczyznę, jakby popełniał jakąś zbrodnię obrazy majestatu. Jeśli go poznasz przypadkiem, powiedz mu ode mnie, że nie uważam się za obrażonego; dobrze bowiem wiem, co to są szatańskie pokusy, ajednak największych jest wbić człowiekowi w głowę, iż może napisać i wydrukować książkę, która przysporzy mu tyle sławy, co pieniędzy, i tyle pieniędzy, co sławy; na potwierdzenie czego chcę, abyś z właściwym sobie dowcipem i wdziękiem opowiedział mu tę gadkę:

"Żył w Sewilli szaleniec, który popadł w najzabawniejszy obłęd i manię, jakie kiedykolwiek na świecie wariatowi przyszły do głowy. Zrobił sobie rurkę z trzciny ostro zakońzoną i złapawszy psa na ulicy lub
gdziekolwiek bądź, stopą przydepty-wał mu jedną
łapę, a ręką podniósł mu drugą i jak zdołał
najlepiej, wsadzał mu trzcinę

gdzieś, po czym, dmuchając, nadymał psa jak balon; trzymając go w ten sposób, uderzał go dwakroć dłonią po brzuchu, a wreszcie puszczał, mówiąc do gapiów, których zawsze zebrała się gromada:

"Czy waszmościowie sądzą teraz, że to mały trud tak nadymać psa?"

A czy wasza miłość myśli, że to mały trud napisać książkę?"

Jeśli mu ta powiastka nie w smak będzie, opowiesz mu, przyjacielu czytelniku, inną, również o psie i wariacie:

"Żył w Kordobie inny szaleniec, który miał zwyczaj nosić na głowie kawał marmurowej płyty albo też głąz jakiś, mało co lżejszy; kiedy spotkał jakiegoś bez-

pańskiego psa, podchodził doń blisko i cały ciężar z góry nań spuszczał; pies, wściekając się z bólu, wyjąc i skomląc, gonił przez trzy ulice. Zdarzyło się, że pośród psów, na które zrzucił ciężary, znalazł się pies czapkarza, bardzo przez pana umiłowany. Temu spuścił kamień prosto na głowę, pies ugadzony zawył; widział to i słyszał pan jego, porwał łokieć mierniczy, skoczył na wariata i kości mu całej nie zostawił; a za każdym wymierzonym razem przymawiał: "Pieski zbóju, na mego jamnika?! Nie widzisz, okrutniku, że mój pies to jamnik?"

I powtarzając niezliczone razy słowo "jamnik", zbił wariata na miazgę. Ukarany szaleniec uszedł i więcej niż miesiąc nie pokazywał się na mieście; po upływie tego czasu powrócił do swej manii, ale z większym ciężarem. Zbliżywszy się do miejsca, gdzie się pies znajdował,tał mu się przypatrywać bacznie, ale nie śmiał i nie odważył się spuścić nań kamienia, mówiąc: "To jamnik, baczność!"

Od tego czasu wszystkie psy, jakie spotykał, czy to były dogi, czy kundle, nazywały jamnikami; przeto nigdy nie spuszczał kamienia". Może się tak samo zdarzyć owemu historykowi, że nie odważy się więcej spuszczać ciężaru swego umysłu na książki, które choćby złe, od skał są twardsze.

Powiedz mu również, że o groźbę jego, iż swoją książką zysku mię pozbawi, dbam jak o złamany szeląg; lecz wspominając słynne intermedium z La Perenden-364 ga, odpowiadam mu: "Niech żyje dwudziestu czterech¹, moja władza, a Chrystus niech będzie z wszystkimi! Niech żyje wielki hrabia de Lemos, którego chrześcijańskie serce i szczodrością dobrze znana podtrzymuję mię wbrew wszystkim ciosom mego nędznego losu, i niech mi żyje najwyższe miłosierdzie najprzewielebniejszego arcybiskupa z Toledo, Don Bernarda de Sandoval y Rojas, choćby nie było więcej drukarń na świecie lub choćby wydrukowano przeciw mnie więcej książek, niż liter zawierają zwrotki Mingo Revulgo²". Ci dwaj wielmoże, choć nie nagabywałem ich czołobitnością moją ani też innym rodzajem pochlebstw, z własnej jedynie dobroci raczyli mię obsypać dobrodziejstwy swoimi i łaskami; dzięki nim mam się za szczęśliwszego i bogatszego, niż gdyby mię Fortuna zwykłą drogą na sam szczyt wyniosła. Honor mieć może nędzarz, ale nie występny, ubóstwo może przysłonić szlachectwo, ale nie zaćmić go zupełnie; ale jako cnota sama przez się jaśnieje, wbrew wszelkim przeciwnościom i brakom niedostatku zyskuje w końcu szacunek wysokich i szlachetnych umysłów i co za tym idzie, ich poparcie. Nie mów

Don Kichote - Miguel Cervantez

mu nic więcej ani ja ci nie chcę nic ponadto powiedzieć, jeno zwróci uwagę, że ta Część druga Don Kichota, którą ci oddaję, jest skrojona tą samą sztuką i z tego sa-

mego sukna co pierwsza i że w niej daję ci Don Kichota w jego dalszym rozwoju, w końcu jego śmierć i pogrzeb, aby nikt się nie odważył przywodzić nowych dokumentów, dawne bowiem wystarczą i wystarczy również, kiedy człek uczciwy zda sprawę z owych mądrych szaleństw, aby w to więcej nie wchodzić. Nadmiar bowiem rzeczy, choćby i dobrych, sprawia, że przestają być cenione, natomiast rzadkość, chociażby podlejszych, podnosi je w cenie. Zapomniałem ci rzec, że możesz oczekwać Persylera, który już jest ukończony, oraz drugiej części Galatei. 1 Tak zwano ławników Sewilli, Grenady, Kordoby, których było dwudziestu czterech.

2 Las coplas de Mingo Revulgo - alegoryczne i satyryczne dialogi przypisywane różnym autorom, traktujące o nadużyciach społecznych i politycznych. 365

ROZDZIAŁ PIERWSZY

o rozmowie, jaką o jego chorobie wiedli z Don Kichotem proboszcz i cyrulik

Opowiada Sidi Hamet Ben Engeli w Części drugiej tej historii o trzeciej wyprawie Don Kichota, że proboszcz i balwierz prawie przez cały miesiąc nie zajrzeli do niego, aby mu na pamięć nie przywodzić spraw ubiegłych, nie zaniedbali jednak odwiedzin u jego siostrzenicy i gospodyn, przykazując im, by go dobrze odżywiały, podając mu potrawy wzmacniające i odpowiednie dla serca i mózgu, bo tam prawdopodobnie było źródło całego jego nieszczęścia. Odpowiadali, że właśnie tak postępują i będą tak czynić nadal z największą ochotą i staraniem, zauważły bowiem, że pan ich chwilami robi wrażenie zupełnie zdrowego na umyśle. Ta wieść bardzo uradowała obu przyjaciół, przekonała ich bowiem, iż mieli słuszność, spruwadzając zaczarowanego na woźce ciągnionym przez woły, jak to opowiadał ostatni rozdział Części pierwszej tej tak ważnej i wiernej historii; postanowili zatem odwiedzić go i przekonać się o poprawie w jego stanie, choć uważali ją prawie za niemożliwą, umówili się jednak ani jednym słowem nie wspominać o błędny rycerstwie, aby nie narażać się na niebezpieczeństwo rozprucia ran, tak jeszcze świeżych.

Wreszcie odwiedzili go i zastali siedzącego na łóżku, odzianego w zieloną bajową kamizolę i czerwoną toledańską myckę; był tak wychudły i wyschnięty, że raczej

mumii miał pozór. Przyjął ich bardzo wdzięcznie i na zapytanie o zdrowie mówił o sobie i o swym stanie wielce rozsądnie w nader wytwornych słowach.

W ciągu rozmowy zeszli na temat tak zwanej racji stanu i sposobów rządzenia, naprawiali takie nadużycia, potępiali owakie, reformując jeden obyczaj, obalając drugi,

każdy z nich wyrastał na nowego prawodawcę, nowoczesego Likurga, płomiennego Solona; słowem, tak przeobrażali państwo, jakby zaniósłszy je do kuźni, przekuli na całkowicie inne; Don Kichote zaś mówił tak rozsądnie we wszystkich tych materiałach, że obaj egzaminatorzy uwierzyli niezbicie, iż jest całkiem zdrów i w pełni rozumu. Siostrzenica i gospodyn, obecne przy tej rozmowie, nie przestawały dziękować Bogu, że oto oglądają pana swego w tak dobrym stanie. Aliści proboszcz, 367

zmieniwszy pierwotne postanowienie nietykania spraw rycerskich, chciał do końca przeprowadzić doświadczenie, aby przekonać się, czy uzdrawienie Don Kichota było pozorne, czy istotne, i ni stąd, ni zowąd zaczął opowiadać pewne nowiny świeże ze stolicy nadeszłe. Między innymi mówił, jako rzeczą pewną jest, iż Turek spuścił na morze potężną flotę, nie wiadomo, w jakim zamiarze ani gdzie się ta wielka nawalnica ma rozpętać; pod tą grozą, która niemal corocznie każe nam chwytać za broń, a która całe chrześcijaństwo ogarnęła, Jego Królewska Mość polecił umocnić całe wybrzeże Neapolu i Sycylii oraz wyspy Malty. Na to odpowiedział Don Kichote: - Król Jegomość postąpił, jak najprzezorniejszemu wojownikowi przystało, umacniając na czas swoje państwo, aby nieprzyjaciel nie zaskoczył go nieprzygotowanym; ale gdyby był mojej zasięgnął rady, byłbym mu doradził uciec się do sposobu, o jakim się Jego Królewskiej Mości w obecnej chwili nawet nie śni. Zaledwie usłyszał proboszcz, rzeki sobie: "Niech cię Bóg ma w swojej opiece, biedny Don Kichocie, zdaje mi się oto, że rzucasz się z wysokiego szczytu szaleństwa w głęboką przepaść twoego bezrozumu!".

Ale balwierz, który już to samo co proboszcz pomyślał, zapytał Don Kichota, jakaż by to była owa rada zapobiegawcza, która wydaje mu się tak zbawienna; zali nie jest ona z rzędu owych licznych, niewczesnych rad, jakie zwykło się dawać panującym.

- Moja rada, panie golibrodo - rzekł Don Kichote - nie będzie niewczesna, ale przeciwnie, bardzo na czasie.
- Nie piłem do was - odparł balwierz - ale doświadczenie wykazało, że wszystkie albo prawie wszystkie rady przedstawiane Jego Królewskiej Mości są bądź

Don Kichote - Miguel Cervantez

niemożliwe, bądź niedorzeczne, bądź szkodliwe dla króla i królestwa. - Wszelako moja - odpowiedział Don Kichote - nie jest ani niemożliwa, ani niedorzeczna, ale przeciwnie, najłatwiejsza i najsłuszniejsza, najsprytniejsza i najkrótsza, jaka mogła przyjść do głowy jakiemukolwiek doradcy.

- Zbyt długo zwlekacie z wyjawieniem nam jej, waszmość panie Don Kichocie - rzekł proboszcz.
- Nie chciałbym - rzekł Don Kichote - aby to, co dziś tu powiem, jutro ranodoszło do uszu panów z Rady i aby kto inny zbierał podzięki i nagrodę za mój trud.
- Co do mnie - powiedział balwierz - daję słowo wszem wobec i przed Bogiem, że z tego, co wasza miłość zechce powiedzieć, ni słowa nie pisnę ani przed królem, ani przed wieżą1, ani przed żadnym człowiekiem na ziemi, wedle przysięgi, jakiej nauczyłem się z romancy o księdzu, co to w prefacji² wyśpiewał królowi o łotrze, który mu ukradł sto dublonów³ i rączego muła.
- Nie znam tej historii - rzekł Don Kichote - ale wiem, że owa przysięga jestzaczna, bowiem ufam panu balwierzowi jako uczciwemu człowiekowi.
- Choćby nawet tak nie było - wtrącił proboszcz - ja przyjmuję to na siebiei ręczę za niego, że w tym wypadku nie piśnie więcej niż niemy pod karą grzywny i wyroku.

' Wyrażenie przysłowiowe, oznaczało "nikt". 2 prefacja- część mszy o charakterze pochwalnym.

3 dublon - złota moneta hiszpańska o wartości 2 pistoli. 368

- A za waszą miłość który mi zaręczy, księże proboszczu? - zapytał Don Ki- chote.
- Mój stan - odpowiedział proboszcz - który obowiązuje do zachowania tajemnicy.
- Do kroćset! - wykrzyknął wtedy Don Kichote. - Czegóż więcej trzeba? Niechaj Jego Królewska Mość obwieści publicznie, aby w stolicy zebrali się w oznaczonym dniu wszyscy błędni rycerze wędrujący po Hiszpanii. Choćby ich przybyło tylko pół tuzina, zaliż nie znalazłyby się pośród nich taki, który sam jeden starczy, by zniszczyć całą potęgę Turczyna? Uważajcie, wasza miłość, na moje słowa i idźcie za moją myślą. Zali to nowina, że jeden błędny rycerz rozprasza dwieście tysięcy wojska, jakby wszyscy społeczeństwo jedno gardło mieli i byli z marcypańcami? Czyż nie? Powiedzcie, ileż powieści jest pełnych takich dziwów? Gdyby tak dziś żył - w złą godzinę dla mnie, nie chcę rzec dla kogo innego - słynny Don Belianis lub jakowyś z niezliczonego potomstwa Amadisa z Galii; gdyby tak któryś z nich żył i z Turczy- nem się zmierzył, to na mą duszę, nie chciałbym być w onego skórze! Ale Bóg wejrzy na lud swój i ześle

mu jakiegoś rycerza, jeśli nie tak dzielnego, jako drzewiejszy bywa- li błędni rycerze, to przynajmniej równego im animuszem. Bóg mnie rozumie, nie rzeknę nic więcej.

- Aj! - wykrzyknęła naonczas siostrzenica - niech mnie zabiją, jeśli mój panwuj nie chce powrócić do swego błędnego rycerstwa. Na to odpowiedział Don Kichote:
- Rycerzem błędnym umrę i niechaj Turek następuje czy nie następuje, kiedyzechce, z całą potęgą, na jaką go stać; już raz rzekłem: Bóg mię rozumie. Na to odezwał się balwierz:
- Proszę usilnie waszej miłości, niech mi wolno będzie opowiedzieć krótką historię, jaka się w Sewilli zdarzyła, mam wielką chęć ją przytoczyć, nadaje się bowiem tutaj doskonale.

Don Kichote przyzwolił; więc proboszcz i wszyscy inni jeśli słuchać uważnie, balwierz zaś zaczął w ten sposób: "W zakładzie dla obłąkanych w Sewilli znajdował się człowiek, którego tam umieściła rodzina, kiedy rozum utracił. Miał stopień z prawa kanonicznego uniwer-

sytetu w Osuna, ale choćby go był uzyskał i w Salamance, to wedle powszechniej opinii nie przestałby być wariatem. Po kilku latach zamknięcia ów

dypломant uroił

sobie, że jest zdrów i przy pełnym rozumie, i w tym przekonaniu napisał do arcybiskupa, błagając go usilnie i w przekonywających słowach, aby rozkazał wydobyć go z tej niewoli, w jakiej żywię, bowiem dzięki miłosierdziu Bożemu odzyskał już utracony rozum; jednak krewni jego, chcąc korzystać z jego części majątku, trzymali go tak wbrew prawdzie i byliby radzi, gdyby szaleńcem do śmierci pozostał. Arcybiskup, przekonany licznymi listami foremnymi i rozumnymi, polecił swemu kapelanowi dowiedzieć się od kierownika zakładu, czy prawdą jest, co ów licencjat pisze, oraz osobiście pomówić z obłąkanym, a gdyby odniósł wrażenie, że ów w pełni rozum posiada, ma go stamtąd wydobyć i wypuścić na wolność. Postąpił tak kapelan, ale kierownik zapewnił go, że ów człowiek przecie jest obłąkany, bo chociaż mówi często jak osoba bardzo rozumna, w końcu popada w szaleństwa, które w liczbie i wadze dorównują jego poprzednim rozumnym wywodom, o czym sam

369 się będzie mógł przekonać, rozmawiając z nim osobiście. Kapelan chciał się upewnić i zbliżywszy się do obłąkanego, rozmawiał z nim godzinę i dłużej, a przez cały

Don Kichote - Miguel Cervantez

ten czas tamten nie wypowiedział ani jednego słowa niezrozumiałego lub niedorzecznego, przeciwnie, mówił tak rozsądnie, że kapelan musiał uwierzyć w jego uzdrawienie; między innymi rzekł mu, że kierownik jest mu nieprzychylny, nie chcąc

utracić darów, jakie otrzymuje od krewnych, byle tylko podawał go za szaleńca, choć miewa niekiedy chwile przytomności; najbardziej zaś szkodzi mu jego znaczny majątek, bowiem wrogowie jego, pragnąc zeń zyski ciągnąć, przeczą prawdzie i powątpiewają o łasce, jakiej mu Pan Bóg udzielił, zmieniając go z bydlęcia w czło-

wieka. Jednym słowem, przemawiał w ten sposób, iż rzucił podejrzenie na kierownika, zaś krewnych przedstawił jako chciwców i ludzi bez serca, sam zasię wydał się tak rozsądny, że kapelan postanowił zabrać go z sobą, aby go arcybiskup zobaczył i naocznie przekonał się o prawdzie. W tej dobrej wierze zacny kapelan poprosił kierownika, aby polecił oddać licencjatowi suknie, w których przybył do zakładu; kierownik znowu ostrzegał, aby rozważył, co czyni, bowiem licencjat bez żadnej wątpliwości nie przestał być wariatem. Na nic nie zdały się ostrzeżenia i przedłożenia kierownika, aby go nie zabierał; więc ze względu na rozkaz arcybisku-

pa usłuchał kierownik i oddano licencjatowi jego szaty; były one nowe i przystojne; a ten, kiedy zwłoklszy szaty szaleńca, ujrzał się w szatach człowieka zdrowego, uprosił kapelana, aby mu łaskawie pozwolił pójść pożegnać obłąkanych druhów. Kapelan ofiarował mu się towarzyszyć, chcąc zobaczyć wariatów przebywających w zakładzie. Weszli istotnie, a wraz z nimi kilka osób tam obecnych. Licencjat wszedł do klatki, w której zamknięty był furiat, w tej chwili spokojny i cichy, i rzekł:

"Bracie mój, pomyśl, może masz jakieś zlecenia dla mnie, wracam bowiem do domu; Bóg w swej nieskończonej dobroci i miłosierdziu mnie niegodnemu przywrócił rozum; jestem oto zdrów i uleczony, gdyż mocy Bożej nie masz nic niemożebneg. Ufaj i mieć nadzieję w Panu, jako bowiem mnie do dawnego stanu przywrócił, tak i ciebie przywróci, jeśli ufać Mu będziesz. Postaram się przysłać ci coś

smacznego do jedzenia, w każdym razie radzę ci to spożyć; a mówię to dlatego, bo z własnego doświadczenia wnoszę, że wszystkie nasze szaleństwa pochodzą stąd, iż żołądkimamy puste, a mózgi pełne powietrza. Trzymaj się, nie trać ducha, w nieszczęściu bowiem upadek ducha niszczy zdrowie i sprowadza śmierć".

Wszystkie słowa licencjata słyszał inny wariat z klatki naprzeciw furiata i podniósłszy się z rogoży, na której leżał całkiem nagi, zapytał z krzykiem, kto odchodzi zdrów i przy rozumie. Licencjat odpowiedział:

"Jam jest, bracie, który odchodzę; nie ma już potrzeby, abym tu dłużej zostawał, więc nieskończone dzięki składam niebiosom za tak wielką łaskę mi wyściadzoną".

"Zważ, co mówisz, licencjacie, niech cię diabeł nie kusi - odpowiedział wariat - uspokój się i siedź na miejscu w celi, oszczędzisz sobie powrotu". "Wiem, żem zdrów - odpowiedział licencjat - i nie będę potrzebował drugi raz tych stacji odprawiać".

"Ty wyleczony? - rzekł wariat. - Gadaj zdrów! Idź z Bogiem! Ale przysięgam na Jowisza, którego majestatu przedstawicielem jestem na ziemi, że za ten jeden 370 grzech, jaki popełnia Sewilla, wyciągając ciebie z tego domu i uważając za zdrowego, taką karę na nią spuszczę, że pamiętać o niej przetrwa na wieki wieków, amen.

Zali nie wiesz, licencjatku nieudarzony, że w mocy mej to uczynić, co mówię, bo jestem Jowisza gromowładny, w ręku dzierżą pioruny zapalające, którymi zwykłem gromić i niszczyć świat. Ale ten ciemny lud jedną tylko plagą chcę ukarać, przez trzy pełne lata nie spuszczać deszczu na ten okrąg i okolicę od dnia i chwili, kiedy tę groźbę wyrzekłem. Ty wolny, ty zdrów i uleczony, aja wariat, ja zamknięty, ja spętany?! Raczej się powiesz, niż deszcz spuszczać".

Wszyscy obecni słuchali uważnie krzyków i słów szaleńca, ale nasz licencjat zwracając się do kapelana, chwycił go za ręce i rzekł:

"Niech się wasza miłość, panie mój, nie przejmuję tym, co powiedział ten wariat; jeśli on jest Jowiszem i nie chce spuścić deszczu, ja jestem Neptunem, oj- cem i bogiem wód i deszcz spuszczać, ilekroć mi się będzie podobało i kiedy będzie potrzeba".

Na to kapłan odpowiedział:

"Wszelako, panie Neptunie, nie lza drażnić mości Jowisza, niech wasza miłość pozostanie w tym domu; wróćmy po was kiedy indziej, gdy okoliczności i czas będą sposobniejsze".

Roześmiał się kierownik i obecni, co nieco rozgniewało kapelana; ściągnęli szaty z licencjata, pozostał w zakładzie i opowieść skończona".

- To jest więc ta powiastka, panie balwierz - rzekł Don Kichote - której opowiedzenia, jako nadającej się tutaj właśnie, nie mogliście sobie odmówić? Ach! Panie drapibrodo, panie drapibrodo, jakże ślepy byliby, kto by przez plecionkę sita nie widział! Zali to możliwe, byś waszmość nie wiedział, że wszelakie porównywania umysłu z umysłem, męstwa z męstem, piękności z pięknością, rodu z rodem są zawsze nieznośne i źle przyjęte? Ja, mości balwierz, nie jestem Neptunem, bogiem wód, ani przed nikim nie staram się uchodzić za rozumnego nie będąc nim. Usiłuję jedynie świata wykazać błąd, w jakim tkwi, nie przywracając tych najszczerszych

Don Kichote - Miguel Cervantez

czasów, kiedy to triumfował zakon błędnego rycerstwa. Ale niegodzien nasz wiek spodlony radować się takim dobrem, jakiego zażywały wieki, kiedy to błędni rycerze podejmowali i na barki swe brali obronę królestw, ochronę dziewcząt, pomoc dla sierot i dzieci, karanie pysznych i nagradzanie pokornych. Większość dzisiejszych rycerzy woli szelest adamaszków, brokatów czy innych bogatych tkanin, jakimi się przyodziela, niż chrzest kolczugi, którą jest zbrojna; nie masz dziś ry-

cerza, który by spał w polu, podany niełaskawości nieba, okryty żelazem od stóp do głowy, i nie masz dziś rycerza, który nie wyciągając nóg ze strzemion, wsparty na kopii, zdrzemnie się jeno nieco, jak mówią, że drzewieją błędni rycerze czynili. Nie masz już dziś nikogo, kto wynurzywszy się z tego lasu, przekracza góry, przemierza jałowe i pustynne piaski nad morzem niemal zawsze burzliwym i rozbuchanym, a znalazłeś tam na wybrzeżu małą łódeczkę bez wiosła, żagla, masztu ni lin żadnych, z nieuśredzoną odwagą wstępuję w nią i powierza się bezwzględnym falom głębokiego morza, które ku niebu go podnoszą, to znów w otchłań pograżają; on zaś pierś nadstawiając niepowstrzymanej burzy, zanim się spostrzeże, znajdzie się o trzy tysiące mil albo i dalej od miejsca, gdzie wsiadł do łodzi, i wyskoczywszy na ląd odległy i nieznany, przeżywa tam rzeczy godne, nie aby je zapisać na pergami³⁷¹ nie, jeno wyryć w brązie. Ale teraz gnuśność bierze góre nad gorliwością, lenistwo

nad trudem, występek nad cnotą, zuchwałstwo nad mestwem, teoria nad praktyką broni, tamte kwitły i jaśniąły jedynie w owych złotych wiekach i wśród błędnych rycerzy. Czyż nie? Powiedzcie: Któź cnotliwszy i waleczniejszy nad słynnego Amadisa z Galii? Któź mądrzejszy nad Palmerina z Anglii? Któź zgodliwszy i układniejszy nad Tyranta Białego? Któź wytworniejszy nad Lisuarta z Grecji? Któź wytrzymalszy na ciosy i więcej ciosów zadający niż Don Belianis? Któź bardziej nieugięty nad Periona z Galii? Któź bardziej wystawiający się na niebezpieczeństwo nad Feliksmarta z Hirkanii? Któź bardziej prawy nad Esplandiana? Któź zuchwalszy nad Don Cirongilia z Tracji? Któź dzielniejszy niż Rodamonte? Kto od króla Sobrina roz tropniejszy? Któź śmiały od Rynalta? Któź bardziej niż Roland niezwyciężony? Któź szlachetniejszy i dworniejszy nad Rogera, od którego pochodzą dziś książęta Ferrary, jak Turpin w swej Kosmografii wywodzi. Wszyscy ci rycerze i liczni inni, jakich wam, mości proboszczu, wymienić mogę, byli rycerza-

mi błędnymi, światłością i chwałą rycerstwa. Chciałbym, aby takimi lub podobnymi im byli rycerze mojego projektu; a gdyby tacy byli, Jego Królewska Mość byłby dobrze usłużony i wiele by wydatków oszczędził, Turczyn zaś mógłby sobie włosy z brody wyrywać; a tymczasem ja muszę siedzieć w domu, bowiem kapelan nie chce mię stąd puścić, a jeśli Jupiter, jak to mówił balwierz, deszczu nie zwoli, ja tu jestem, który deszcz sprowadzę, kiedy mi się będzie podobało. Mówię to, aby Mości Miednica wiedział, że zrozumiałem go.

- Naprawdę, panie Don Kichocie - rzekł balwierz -ja tak nie myślałem i takmi dopomóż Bóg, moja intencja była dobra i nie powinieneś się urażać o to.
- Czy mogę być urażony, czy nie - odparł Don Kichote -ja sam to wiem.

Na to wtrącił się proboszcz:

- Choć prawie słowa dotąd nie przemówiłem, nie chciałbym jednak zachować pewnej wątpliwości, która mi nęka i nurtuje sumienie, a zrodziła się ze słów pana Don Kichota.
 - O ważniejszych sprawach macie przywilej - odpowiedział Don Kichote wasza miłość, książę proboszcza, mówić, przeto możecie wypowiedzieć wątpliwość swoją; nie jest bowiem miło żyć z sumieniem pełnym skrupułów. - Z tym pozwoleniem więc powiem - odrzekł proboszcz - oto moja wątpliwość polega na tym, iż nie mogę w żaden sposób nabrac przekonania, jakoby cała ta chmara błędnych rycerzy, jaką waszmość, panie Don Kichocie, przytoczyłeś, były to rzeczywiście i prawdziwie osoby z krwi i kości na świecie; przeciwnie, wyobrażam sobie, że to wszystko jest wymysł, bajka i kłamstwo oraz mrzonki opowiadane przez ludzi ze snu ledwie ockniętych albo raczej na pół śpiących.
 - Otóż w tym leży błąd drugi - odparł Don Kichote - w jaki wpadają liczni, którzy wierzyć nie chcą, że tacy rycerze bywali na świecie; wielekość z rozmaitymi ludźmi i w rozmaitych okolicznościach starałem się na jaśń prawdy wywieść ów powszechny błąd, nie zawsze udawało mi się to zgodnie z mym zamiarem, niekiedy jednak zdołałem przekonać ludzi o prawdzie; a prawda ta jest tak oczywista, że mógłbym rzec, iż na własne oczy oglądałem Amadisa z Galii, który był mężem wysokiej postawy, białego oblicza, okolonego brodą piękną, chociaż czarną,
- wej- 372

Don Kichote - Miguel Cervantez

rzenia zarazem łagodnego i surowego, małomównym, nieskorym do złości, rychło niepamiętnym gniewu; i w ten sposób, w jaki przedstawiłem Amadisa, mógłbym, zdaje mi się, wymalować i opisać wszystkich innych błędnych rycerzy znanych nam z historii świata, bowiem z przekonania, jakie żywię, że byli, jakimi ich dzieje opowiadają, oraz z przewag, jakich dokonali, lub z ich charakteru można wedle dobrej filozofii wywieść, jaką mieli postawę, rysy i cerę.

- Jak wielki, wedle mniemania waszmości, panie Don Kichocie - zapytał balwierz - mógł być olbrzym Morgante?

- Co się olbrzymów tyczy - odpowiedział Don Kichote - zdania są podzielone, czy istnieli oni na świecie, czy nie; wszelako Pismo Święte, które ani na atom od prawdy się nie odchyla, dowodzi nam, że byli, opowiadając historię owego Filistyna Goliata, który liczył siedem i pół łokcia, co stanowi wysokość niezmierną. Podobnie i na wyspie Sycylii znalezione obojczyki i łopatki ogromne, które świadczą o wielkości swych właścicieli, olbrzymich jak wysokie wieże; tę niechybną prawdę podaje geometria. Ale mimo to wszystko nie potrafię rzec z pewnością, jak wielki był Morgante, choć wyobrażam sobie, że nie musiał być zbyt olbrzymi; a do tego mniemania przywodzi mię historia, która opowiada szczegółowo o jego przewagach; mówi bowiem, iż często sypiał pod dachem, a skoro znacząco się domy, które go pomieściły, wzrost jego nie musiał być nadmierny.

- Prawda - przywrócił proboszcz.

I smakując w słuchaniu tylu strasznych bredni, zapytał, jak mu się przedstawiają oblicza Rynałta z Montalbanu lub Don Rolanda czy innych dwunastu Parów hrancji, jako że wszyscy byli rycerzami błędymi.

- O Rynałcie - odrzekł Don Kichote - ośmienię się rzec, że twarz miał szeroką, bardzo rumianą, oczy ruchliwe, nieco wyłupiaste, drażliwy i porywczy nad miarę, był przyjacielem łotrów i straceńców. Roland, Rotoland czy Orland, bo tymi wszyst-

kimi imionami historia go nazywa, wydaje mi się - i jestem tego pewien - był wzrostu miernego, szeroki w barach, o nieco pałkowatych nogach, śniady na twarzy, o rudej brodzie, ciało miał owłosione, spojrzenie groźne, skąpy w słowach, ale bardzo uprzejmy i dworny.

- Jeżeli ów Roland nie był urodziwszy nad to, co wasza miłość powiadacie odrzekł proboszcz - nie dziwota, że piękna pani Angelika nim pogardziła i porzuciła dla wytworności, świetności i wdzięku, jakie mieć musiał ów młody Maur, któ-

remu się ledwie broda sypała, a któremu się oddała; i postąpiła rozumnie, przeklą- dając gładkość Medora nad szorstkość Rolanda.

- Ta Angelika - odpowiedziała Don Kichote - księże proboszczu, była to dziewczka płocha, kapryśna nieco i wietrzna i świat napełniła zarówno sławą swych zachciańek, jak swej urody; wzgardziła tysiącem mężów, tysiącem walecznych, tysiącem mądrych, a zadowoliła się pazikiem bezwąsym, bez majątku ni imienia innego niż In, jakie zyskała mu przyjaźń dochowana druhowi. Wielki piewca jej urody, słynny Ariost, nie śmiejąc albo i nie chcąc opiewać, co się działo z tą panią po jej haniebnym oddaniu, a nie musiały to być rzeczy zbyt chwalebne, pożegnał ją słowami:

A jak ona Kataju berło otrzymała,

Życzę, by lutnia potem pieńska śpiewała. "•" 373

A była to jakoby wróżba, bez ochyby; bowiem poeci nazywają się także wieszczami, co znaczy jasnowidzącymi. Tę prawdę poznajemy jawnie, bowiem od tego czasu słynny pewien poeta andaluzijski opłakał i opiewał jej łzy, zaś inny słynny i jedyny poeta kastylski ślaśnił jej piękność.

- Powiedziecie mi, panie Don Kichocie - odezwał się wtedy balwierz - czyż nieznalazł się poeta, który by napisał satyrę na ową panią Angelikę, pośród tylu, którzy ją ślaśni?

- Ma się rozumieć - odparł Don Kichote - że gdyby Sakrypant czy Rolandbyli poetami, byliby pannie porządnie głowę zmyli; jest bowiem w zwyczaju i w naturze poetów wzgardzonych i odrzuconych przez damy urojone czy nieurojone, które wybrali na panie swoich myśli, mścić się w satyrach i piśmidłach; jest to zaiste zemsta niegodna serc szlachetnych; jednak do dziś nie doszła mi wiadomość o żadnym wierszu obraźliwym dla pani Angeliki, która świat w zamieszanie wprawiła.

- Istny cud! - rzekł proboszcz.

Wtem usłyszeli, że gospodyn i siostrzenica, które towarzystwo już były opuściły, podniosły wielki wrzask na dziedzińcu, więc poszli zobaczyć, co się dzieje.

ROZDZIAŁ DRUGI

opowiada o słynnym zatargu Sanczo Pansy z siostrzenicą i gospodyną oraz o innych zabawnych

sprawach

Opowiada historia, że to siostrzenica i gospodyn podniosły wrzask, jaki usłyszeli Don Kichote, proboszcz i balwierz, Sanczo Pansa bowiem usiłował wtargnąć

przemocą, by odwiedzić swego pana, one zaś broniły mu wstępu, mówiąc: - Czego tu chce ten powsinoga? Wracaj, bratku, do siebie! To wy, a nie kto inny, podburzacie i uwodzicie naszego pana, wyciągając go na te bezdroża.

Na to Sanczo odpowiedział: - Szatańska gaździno! Uwiedziony, podburzony, porwany na te bezdroża toja, a nie twój pan! On to mię włóczył przez bezwiedne strony, a wy się mylicie i nawet przez pół prawdy nie sięgacie. On to mię wyciągnął z domu, radząc i przyobiecując wyspę, której dotąd na próżno wyglądams. - Udławi się tymi bezecznymi ispami! - odpowiedziała gospodyn. - Przeklęty

Sanczo, a cóż to za ispy? Czy to coś do jedzenia, ty nienasycony łakożerco? - To nie do jedzenia, ale do rządzenia i zawiadywania, a lepsze to niż zarząd czterech miast albo też rządy czterech alkadów stolicy. alkad - starszy urzędnik administracyjno-sądowy w Hiszpanii, wójt, burmistrz.

374

- A tak i nie wejdzieś tu - rzekła gospodyn - worze nieprawości, skrzyniołotrostwa. Idź rządzić we własnym domu i uprawiać swe płachetka, a przestań roić o wyspach czy ispach.

Proboszcz i balwierz serdecznie się ubawili, słuchając rozmowy tych trojga, lecz Don Kichote, lękając się, aby Sanczo nie rozpuścił języka i jakiegoś steku niecnich bezezeństw nie wypowiedział lub nie wygadał się z czym, co by mu ujmę przyniosło, przywołał go, nakazał tamtem dwom zamilknąć i pozwolić mu wejść. Sanczo wszedł, a proboszcz i balwierz pożegnali Don Kichota, straciwszy wiarę w jego uzdrowienie, widzieli bowiem, jak uparcie trwał w swych błędnych myślach i jak przeniknięty był głupstwami swego obłędnego rycerstwa. Przeto rzekł proboszcz do cyrulika:

- Zobaczcie, kumie, że kiedy najmniej spodziewać się będziemy, nasz szlachcic czmychnie nam znów w pole.
- Nie wątpię o tym - odparł balwierz - wszelako nie tyle zdumiewa mię obłedyrcerza, co naiwność giermka, który tak wierzy w tę wyspę, że jak mniemam, nie wybija mu jej ze łba żadne możliwe rozczarowania.
- Niech ich Bóg ma w swej pieczy - rzekł proboszcz - my zaś baczymy pilnie, a ujrzymy, dokąd doprowadzi cały stek niedorzeczności takiego rycerza i takiego giermka, którzy zdają się być z jednej formy odlani, zaś szaleństwo rycerza bez głupoty giermka i grosza by nie wartało.
- Zaiste - rzekł balwierz - rad bym bardzo wiedzieć, o czym ci dwaj rozmawiają teraz.

- Jestem pewien - odpowiedział proboszcz - że siostrzenica i gospodyn opowiadzą nam to później, nie będą bowiem w stanie powstrzymać się od podsłuchiwania.

Pod ten czas Don Kichote zamknął się z Sanczem w swej komnacie i kiedy zostali sami, rzekł:

- Bardzo mi przykro, Sanczo, iż powiedziałeś i twierdzisz, jakobym to ja cięz twej chatki wyrywał, kiedy wiesz, że i ja w domu nie siedziałem; razem wyjechaliśmy, razem przebywaliśmy i razem wędrowaliśmy; jedno szczęście i jeden los nam obu przypadł; jeżeli ciebie raz podrzucano, mnie sto razy młocono, i w tym masz wyższość nade mną.

- A to było słusznie - odparł Sanczo - wedle bowiem słów waszej miłości, niepowodzenia raczej przywiązane są do błędnych rycerzy, a nie do ich giermków. - Mylisz się, Sanczo - rzekł Don Kichote - przysowie mówi: Quando caput dolet..} - Tylko własną mowę rozumiem, innej zaś nie - odparł Sanczo.

- Chciałem rzec - mówił Don Kichote - że kiedy głowa boleje, wszystkie członki cierpią; więc jako jestem twym panem i zwierzchnikiem, jestem twoją głową, ty zaś moim członkiem, będąc mym slugą; dlatego też зло, jakie mnie dotycza lub dotknie, tobie bolesć sprawia, mnie zaś dotycza twoje.

Przysowie: Quando caput dolet, caetera membra dolent (łac.) - Gdy głowa boli, cierpią inne członki. 375

- Tak powinno być - rzekł Sanczo - ale kiedy mię, to znaczy członek, podrzucano, moja głowa została za ogrodzeniem, przypatrując się, jak latam w powietrzu, i nie odczuwając dolegliwości nijakiej; a jeżeli członki muszą cierpieć ból głowy, i ona powinna odczuwać ból członków.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, Sanczo - odparł Don Kichote - że nie bolałem, kiedy cię podrzucano? Jeśli tak mówisz, nie lza ci mówić tak ani myśleć; więcej bowiem bolesci odczuwałem wówczas w duchu moim niżli ty w tym ciele. Ale zostawmy to na razie, przyjdzie czas, a rozważymy to i dokładnie ustalimy. A powiedz mi, przyjacielu Sanczo, co na wsi o mnie mówią? Co o mnie sądzi gmin, co szlachta, co żołnierze? Co mówią o moim mestwie, o moich przewagach, o mojej dworności? Co prawią o moim zamiarze wskrzeszenia i przywrócenia świata już zapomnianego zakonu rycerstwa? W końcu chcę, Sanczo, byś mi rzekł, co o tym wszystkim doszło twoich uszu; a masz mi to powiedzieć wszystko, nic nie dodając dobrego ani nie opuszczając nic złego; wiernemu wasalowi przystoi prawdę powiadać panu swemu w jej własnej, nieskażonej postaci, nie przesadzając w uwielbieniu

Don Kichote - Miguel Cervantez

ani nie pomniejszając z innych próżnych względów; chcę, byś wiedział, Sanczo, że gdyby do uszu panujących dochodziła naga prawda, nieprzyodziana w pochlebstwa, inne by czasy nastąły oraz inne wieki, a nie nasz, uważane byłyby za żelazne, mówię o tych, które obecnie nazywamy złotymi. Niech ci to ostrzeżenie posłuży, Sanczo, abyś mądrze i z dobrym namysłem uszom moim podał prawdę o sprawach, o których byś wiedział, a o które pytam.

- Tak uczynię najchętniej, panie mój - odpowiedział Sanczo - pod warunkiem, że jegomość nie rozgniewa się na to, co powiem, jeśli chcecie, abym mówił szczerze, tak jak to doszło moich uszu, nie przyodziewając tego inaczej. - Bynajmniej się nie rozgniewam - odparł Don Kichote - możesz, Sanczo, mówić całkiem swobodnie i bez kluczenia.

- Przeto najpierw powiem, że gmin uważa waszą miłość za największego szaleńca, a mnie za nie mniej pomyłonego. Szlachta utrzymuje, że wasza miłość, nie trzymając się w granicach swego stanu, przywłaszczyliście sobie tytuł "don" i wy-sforowaliście się na wielmożnego, siedząc na czterech szczepach winnych i na dwóch zagonach roli, a łachmany wam wiszą i z tyłu, i z przodu. Możni zaś mówią, że nie

chcą, aby drobna szlachta z nimi się parała, a osobliwie jakoweś ścierciałki, którzy buty sadzą czyszczą, a czarne pończochy cerują zielonym jedwabiem. - To się do mnie nie odnosi - rzekł Don Kichote - zawsze bowiem chodzę chętnego odziany, a nigdy łaciaty, dziura to mogłaby się i zdarzyć, ale łacniej dziura od oręża niż od starości.

e

- Zać co się męstwa tyczy - ciągnął dalej Sanczo - dworności, przewag i zamierzenia jegomości, zdania są podzielone; jedni mówią: "Szaleniec, ale zabawny"; inni: "Dzielny, ale niezdarzony"; inni: "Dworny, ale zuchwały". I tak o wszyst-, kim rozprawiają, że ani na mnie, ani na jegomości i kostki zdrowej nie zostawią. - Uważ, Sanczo - rzekł Don Kichote - że kiedy cnota najwyższego szczebla sięgnie, jest prześladowana. Niewielu albo i nikt ze słynnych mężów dawnych nie uszedł potwarzy i złośliwości. Juliusz Cezar, najdzielniejszy, najroz tropniejszy i najmężniejszy wódz, był uważany za pyszałka, a nawet za niezbyt czystego za-
376 równo w odzieniu, jak w obyczajach. O Aleksandrze, któremu przewagi jego zyskały przydomek Wielkiego, mówiono, że zakrawał nawet na opoja. O Herkulesie,

tym, co licznych prac dokonał, opowiadają, że był lubieżny i zniewieściały. O Don Galaorze, bracie Amadisa z Galii, szeptają, że był nad miarę darmochwał, zaś o bracie jego, że był płaksą. Tak więc, o Sanczo, pośród tylu oszczerstw miotanych na tak zacnych mężów ujdą i te, które na mnie rzucają, jako że nie masz większych od tych, co powiedziałeś.

- W tym sek właśnie, na zewłok ojca! - odparł Sanczo.
- Jak to? Masz coś więcej? - zapytał Don Kichote.
- Jeszcze trzeba ogon ze skóry obłupić - rzekł Sanczo. - To, co dotąd było, toino tort i malowany kołacz; jeśli wasza miłość chce wiedzieć wszystko o oszczerstwach, jakie na was miotają, to przyprowadzę tu zaraz kogoś, kto wszystkie powtórzy, nie opuszczając jednego oczka. Wczoraj w przedwieczorzy przybył tu syn Bartłomieja Carrasco, który był na studiach w Salamance, został bakałarzem, i kiedy poszedłem go przywitać, powiedział mi, że już obiega książka z historią o waszej miłości pod tytułem Przemyślny szlachcic Don Kichote z Manczy; powiedział też, że i ja jestem tam wspomniany pod własnym nazwiskiem Sanczo Pansy, a także i pani Dulcynea z Toboso oraz inne sprawy, które zaszły między nami w cztery oczy, tak że jałem się żegnać ze zdumienia, jak to mógl wiedzieć ów historyk, który ją napisał.
 - Zapewniam cię, Sanczo - rzekł Don Kichote - że autorem tej naszej historii musi być jakiś mądry czarodziej; a przed takimi nic się nie ukryje ze spraw, jakie chcą opisać.
 - A jakże! - rzekł Sanczo - musi to być wiaduch i czarodziej, bowiem (jak mówił bakałarz Samson Carrasco - tak się nazywa ten, który mi to opowiadał) autor tej historii zwie się Sidi Hamet Berenjena! - To mauretańskie nazwisko - odpowiedział Don Kichote.
 - Pewnie tak - odparł Sanczo - bo jak słyszałem często, Maurowie lubują się w bakłażanach'.
 - Musiałeś się, Sanczo, pomylić - rzekł Don Kichote - co do owego przewiska Sidi, to po arabsku znaczy "pan".
 - Może to być - odparł Sanczo - ale jeśli jegomość życzy sobie, pójdę przywołać tu migiem bakałarza. - Zrobisz mi wielką przyjemność, przyjacielu - rzekł Don Kichote - tak mię trzyma w napięciu to, co powiedziałeś, iż nie potrafię kęska ze smakiem przełknąć, zanim nie dowiem się wszystkiego. - Duchem więc lecę po niego - odpowiedział Sanczo.

I opuściwszy pana, poszedł na poszukiwanie bakałarza, z którym niebawem powrócił, i potoczyła się między nimi trzema bardzo ucieczna rozmowa.

Sanczo zniekształca nazwisko autora, które brzmi Ben Engeli, na Berenjena, tj. bakłażan. 377

ROZDZIAŁ TRZECI

o pociesznej rozprawie, jaka miała miejsce
pomiędzy Don Kichotem, Sanczo Pansą i
bakałarzem

Głęboko zadumany Don Kichote oczekiwał bakałarza Carrasco, od którego spodziewał się usłyszeć o sobie samym wiadomości umieszczone w książce, jak powiadał Sanczo, i nie mógł pojąć, że mogła istnieć taka historia; nie obeschło bowiem jeszcze ostrze jego miecza z krwi przeciwników, których uśmiercił, a już miałyby być drukiem uwiecznione jego wspaniałe przewagi rycerskie? Jednak uroíł sobie, że jakiś wiaduch, czy to przyjazny, czy nieprzyjazny, czarnoksięską sztuką podał je do druku; jeśli przyjaciel, aby je wyolbrzymić i wynieść ponad najznakomitsze czyny błędnych rycerzy, jeżeli zaś nieprzyjaciel, aby je unicestwić i poniżyć wobec najpodlejszych czynów jakiegoś ścierciałki, jakie by zapisane zostały, chociaż (mówił sobie) żadne dokonania ścierciałków nie są opisywane; gdyby zaś prawdą było, że taka książka istnieje, to jako traktująca o błędnym rycerzu musi być górnolotna, wzniosła, niezwykła, wspaniała i prawdziwa. To go nieco pocieszyło; jeno markotno mu było, że autor jej był Maurem, jak o tym świadczył tytuł Sidi, od Maurów zaś nie należało się spodziewać prawdy nijakiej, wszyscy bowiem koloryzują, fałszują i zmyślają. Lekał się także, czy nie przedstawiono jego uczuć jakoś nieprzystojnie, co mogłoby ujmę i szkodę przynieść poczciwości jego pani Dulcynei z Toboso; pragnął, by podniesiono jego wierność i względy, jakie zachowywał zawsze, za nic mając sobie królowe, cesarzowe i wszelakiego stanu dziewczice, trzymając na wodzy porywy swych przyrodzonych chuci. Tak rozważającego i pograżonego w rozmaitych rojeniach zastali go Sanczo Pansa oraz Carrasco, którego Don

Kichote przyjął nader dwornie.

Ów bakałarz, choć nosił imię Samson, był niewielkiego wzrostu, ale za to chytrzak wielki; bladą miał cerę, lecz bardzo bystry umysł, miał lat około dwudziestu cztery, twarz okrągłą, nos płaski, usta wielkie, wszystko to znamiona usposobienia złośliwego,

lubownika żartów i krotochwil, jak tego dał dowód, kiedy ujrzałszy Don Kichota, upadł przed nim na kolana, mówiąc:

- Podajcie mi, wasza wysokość, ręce, panie Don Kichocie z Manczy, bo nasuknię św. Piotra, jaką noszę, choć ledwie czterech pierwszych stopni dosiąpił, klnę się, że wasza miłość jesteście jednym z najsłynniejszych rycerzy błędnych, jency istnieli czy istnieć będą na kuli ziemskiej. Szczęść Boże Sidi Hametowi Ben Hagi- li, że napisał historię waszych wielkich przewag i dwakroć owemu gorliwcy, który zadał sobie trudu i przełożył ją z arabskiego na nasz pospolity kastylski, ku powszechnej ucieczce wszystkich. Podniósł go Don Kichote i zapytał:
 - A zatem to prawda, że istnieje moja historia i że ją Maur uczony napisał?
 - A zatem to prawda, że istnieje moja historia i że ją Maur uczony napisał? - Taka to prawda, panie - rzekł Samson - że jestem pewien, iż do dnia dzisiejszego wydrukowano już ponad dwanaście tysięcy tomów tej historii. Czy nie - niech 378 odpowie Portugalia, Barcelona i Walencja, gdzie je wytłoczono; a nawet chodzą słuchy, że przedrukowano ją w Antwerpii, zaś swita mi, że nie będzie narodu ani języka na świecie, na który by jej nie tłumaczono.
 - Jedną z rzeczy - odpowiedział na to Don Kichote - która największe zadowolenie dawać musi mężowi cnotliwemu i wybitnemu, jest widzieć, jak sławią za życia jego dobre imię w językach rozmaitych ludów, drukiem i ryciną. Mówię: dobre imię, bowiem jeśli jest przeciwnie, żadna śmierć tej niedoli nie dorówna. - Jeśli idzie o dobrą sławę i o dobre imię - rzekł bakałarz - wasza miłość dzier-żysz palmę pierwszeństwa pośród wszystkich błędnych rycerzy; bowiem zarówno Maur w swoim języku, jak chrześcijanin w swoim dołożyli starań, aby na żywo odmalować odwagę waszej miłości, wielkoduszność wobec niebezpieczeństw, cierpliwość w przeciwnościach, wytrzymałość na niepowodzenia i na rany, obyczajność i wstrzemięźliwość w tak platońskiej miłości do pani Doni Dulcynei z Toboso.
- Na to odezwał się Sanczo Pansa:
- Nigdy nie słyszałem, aby pani mej Dulcynei dawano tytuł "dona", zwano ją jedynie Pani Dulcynea z Toboso, i już w tym historia się myli.
 - Nie jest to poważny zarzut - odparł Carrasco.
 - Zaiste nie - odpowiedział Don Kichote. - Ale powiedzcie mi, waszmość paniebakałarzu, jakie przewagi moje historia ta najbardziej podnosi?

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Tu - odparł bakałarz - zdania są rozmaite, jak i rozmaite gusta: jedni zwracają uwagę na przygodę z wiatrakami, które waszej miłości zdawały się Briareusem i gigantami; inni na przygodę z foluszami; ten na opis zastępów, które następnie okazały się dwoma kierdelami owiec; ów podnosi przygodę z umrzykiem, którego nieśli na pogrzeb do Segowii; jeden twierdzi, że najwięcej warta jest historia uwolnienia galerników; inny, że żadna nie może dorównać przygodzie z dwoma olbrzymimi benedyktynami lub zatargowi z dzielnym Biskajczykiem.
- Powiedzcie mi, waszmość bakałarzu - wtrącił naonczas Sanczo - czy wspomniana jest przygoda z Janguesami, kiedy to naszemu poczciwemu Rosynantowi zachciało się szukać w morzu bulw.
- Niczego - odpowiedział Samson - mędrczec nie zostawił w kałamarzu: opowiedział wszystko i wszystko najdokładniej, nawet o tych koziołkach poczciwego Sancza na derce.
- Na derce nie wyvracałem koziołków - odparł Sanczo - ino w powietrzu, i tonawet więcej, niżbym chciał.
- Sądzę - rzekł na to Don Kichote - że nie masz historii ludzkiej na świecie, a zwłaszcza historii dotyczącej rycerstwa, która by nie miała swych wzlotów i upadków; żadna bowiem nie może zawierać jedynie pomyślnych wydarzeń.
- Mimo to - odpowiedział bakałarz - niektórzy z tych, co historię czytali, mówią, iż byliby radzi, gdyby jej autorowie pominęli pewną liczbę z nieskończonych razów, jakie w rozmaitych spotkaniach spadły na pana Don Kichota.
- Tego wymagała jednak prawda historyczna - rzekł Sanczo.
- Mogli byli równie dobrze przemilczeć je - rzekł Don Kichote - bowiem zdarzeń, które nie zmieniają ani nie fałszują prawdy historycznej, nie należy zapisać, tym bardziej jeśli przynoszą ujmę bohaterowi historii. Na pewne Eneasznie był tak pobożny, jakim go Wergili maluje, ani Ulysses tak przemyślnym, jakim go Homer przedstawia. - Tak jest - odparł Samson - inaczej jednak pisze poeta, inaczej zaś historyk; poeta może opowiadać czy opiewać sprawy, niejakimi były, ale jakimi być winny; historyk zaś ma je spisywać, niejakimi być powinny, ale jakimi były, nie dodając ani nie ujmując ani żdżbła z prawdy.
- Skoro więc owemu panu Maurowi tak zależy na mówieniu prawdy - wtrącił Sanczo - to na pewne pośród kijów mego pana znajdą się i moje; ilekroć bowiem mierzono plecy jego miłości, nie zaniedbano przemierzyć mi całego ciała; nie mam się czemu

dziwować, bowiem -jak mówi pan mój - w bólu głowy udział biorą wszystkie członki.

- Chytrzak z ciebie, Sanczo - odparł Don Kichote - nie wypada ci z pamięci, co pragniesz w niej zachować.
- Choćbym chciał zapomnieć o kijach, jakimi mnie uraczyono - rzekł Sanczo nie pozwoliłyby na to sińce, jakie jeszcze na żebrach znać.
- Zamilcz, Sanczo - rzekł Don Kichote - i nie przerywaj panu bakałarzowi, którego upraszam, aby dalej prawił, co o mnie wspomniana historia opowiada. - No i o mnie - rzekł Sanczo - bo przecie, jak mówią, jestem w niej jedną z najważniejszych prostaci.
- Postaci, a nie prostaci, Sanczo przyjacielu - poprawił Samson. - Oto mamy już drugiego skrobigłoskę - rzekł Sanczo. - Jeśli się będziemy nad tym rozwodzić, do końca życia nie skończymy.
- Niech mię Bóg skarze, Sanczo - odpowiedział bakałarz -jeżeli nie jesteście w tą osobą historii; są tacy, którzy najbardziej są radzi, kiedy o was mowa, jako o najciekawszym w całej księdze, choć również są i tacy, którzy przyganiają waszej nadmiernej łatwowierności, kiedy wierzycie, że możliwe są rządy na jakieś wyspie ofiarowanej przez pana Don Kichota, tutaj obecnego. - Nie traćmy jeszcze nadziei - odezwał się Don Kichote - zaś im bardziej Sanczo w lata podejdzie, to zyskawszy doświadczenie z wiekiem, będzie bardziej zdolny i zdatniejszy do rządzenia, niżli jest obecnie.
- Na Boga, panie - rzekł Sanczo -jeśli w mym wieku nie umiałbym rządzić wyspą, to nie potrafię nią rządzić, choćbym Matuzalema wieku dożył. Cała bieda, że owa wyspa gdzieś się zawieruszyła, a nie w tym, że brak mi zdolności do rządzenia nią.
- Zdaj się na Boga, Sanczo - odrzekł Don Kichote - wszystko będzie dobrze, a może i lepiej niż myślisz, bo bez woli Bożej i liśc na drzewie się nie poruszy.
- To prawda - rzekł Samson -jeżeli Bóg zechce, nie zabraknie Sanczowii tysiąca wysp do rządzenia, a nie tylko jednej.

Już widziałem ja tu wielkorządów - rzekł Sanczo - którzy moim zdaniem i podeszwy butów moich nie sięgają, a mimo to nazywają ich wielmożnymi i jadają na srebrze. To jednak nie są wielkorządcy wysp - odpowiedział bakałarz -jeno zajmują inne, łatwiejsze urzędy; wielkorządcy wysp muszą co najmniej znać gramatykę.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Z tyką to bym sobie dał radę, ale z owym gramem nie wiem, jak wyjść anijk wykręcić, bo nic nie rozumiem. Sprawę rządów zostawiam w ręku Boga, niech mnie pośle w strony, gdzie mu się najlepiej przydam. Jest mi to jednak okrutnie przyjemnie, panie bakałarzu Samsonie Carrasco, że autor owej historii o mnie mówi

w sposób tak ciekawy, a nie nudny, bo daję słowo dobrego giermka, gdyby o mnie wyrażał się w sposób staremu chrześcijaninowi, jakim jestem, nieprzystojny, to usłyszeliby mię nawet głusi.

- Tedy dokazałbyś cudu - odparł Samson Carrasco.
- Cudu nie cudu - rzekł Sanczo - każdy musi baczyć, co mówi lub pisze o postaciach, a nie pleść bez rozwagi, co mu do łba strzeli.
- Jednym z błędów zarzucanych owej historii - rzekł bakałarz -jest włączeniew nią przez autora noweli zatytułowanej O nieopatrznym ciekawskim; nie dlatego, aby była zła lub źle ułożona, ale że jest nie na swoim miejscu i nie ma nic wspólnego z historią jego mości pana Don Kichota.
- Założę się - zauważył Sanczo - że ten psi syn pomieszał groch z kapustą.- Teraz powiem - rzekł Don Kichote - że autor tej mojej historii to nie mędrczec, ale jakiś nieuk-gaduła, który bez ładu i składu zabrał się do pisania na chybili

trafił, jak to czynił Orbaneja, malarz z Ubedy, który na pytanie, co maluje, odpo-wiedział: "Co się uda". Pewnego razu wymalował koguta w ten sposób i tak nieudolnie, że trzeba było gotyckimi literami podpisać: "To jest kogut". Podobnie musi być i z tą moją historią, że bez objaśnienia nie będzie zrozumiała. - Tak nie jest - odpowiedział Samson -jest bowiem tak jasna, że nie masz w niej trudności: dzieci ją przeglądają, młodzieżczy czytają, dorosli ją rozumieją,

a starcy wychwalają; w końcu jest tak przystępna, tak czytana i tak przyswojona przez wszelakiego stanu ludzi, że ledwie kto zobaczy jakąś wychudłą szkapę, powiada: "Oto kroczy Rosynant!". Najchętniej jednak pochłaniają ją paziowie, w każ-dym przedpokoju pańskim znajdziemy egzemplarz Don Kichota, ledwie go jedni odłożą, już go inni chwytają, jedni go wykradają, inni o niego proszą. Jednym sło-wem, jest to historia najprzyjemniejsza i stanowi najbardziej godziwą rozrywkę, jaką dotąd spotkać było można. Nie masz w niej bowiem nawet w przybliżeniu żadnego nieprzystojnego słowa, żadnej nieprawowiernej myśli.

- Gdyby ktoś inaczej napisał, nie byłoby to prawdą, lecz kłamstwem. Historycy posługujący się kłamstwem winni być paleni, podobnie jak fałszerze monet rzekł Don Kichote - i nie wiem, co skłoniło autora do posługiwania się nowelami i opowiadaniami obcymi, kiedy miał tyle do pisania o moich sprawach, powinien był

bez wątpienia pamiętać o przysłowiu: Słomą i plewami brzucha nie omami. Bowiem jedynie opisując moje myśli, moje wzdychania, moje łzy, moje zacne pragnienia i moje przewagi, zebrałby tom większy, tak wielki, że dorównałby wszystkim dziełom Tostada¹. Zaiste, uważam, panie bakałarzu, że kto chce układać historie i książki jakiegokolwiek rodzaju, musi mieć wielki rozum i dojrzały sąd. Na to, by wyrażać się wdzięcznie i pisać dowcipnie, potrzeba wielkiego talentu: najprzemyśl-

1 Przydomek biskupa Don Alonza de Madrigal (XV w.), którego nazwisko stało się symbolem grafomana.

381

niejszą postacią komedii jest postać błazna, gdyż może nim być ten, kto za takiego chce uchodzić. Historia jest jakby świętość; powinna bowiem być prawdziwa; a gdzie jest prawda, jest i Bóg, który jest samą prawdą; ale niemniej nie brak takich, którzy wypuszczają i smażą książki jakby jabłka w cieście.

- Nie ma książki tak złej rzekł bakałarz - która by nie zawierała czegoś dobrego.
- Bez wątpienia - odparł Don Kichote - ale bardzo często zdarza się, że ktorzy zasłużenie zdobyli znaczną i szeroką sławę przez swe pisma, tracili ją całkowicie albo na szwank narażali, wydając je drukiem.
- Przyczyna leży w tym - rzekł Samson - że dzieła drukowane czyta się z uwagą z łatwością dostrzega się ich błędy, które tym surowiej się śledzi, im większa jest sława pisarza. Ludzie słynący swym umysłem, czy to wielcy poeci, czy słynni historycy, zawsze albo często są przedmiotem zawiści ludzi, którzy sami nie wydawszы

niczego na światło dzienne, znajdują przyjemność i szczególną rozrywkę w sądzeniu pism obcych.

- Nie dziwota - rzekł Don Kichote - jest bowiem wielu teologów niezdarnych na kazalnicę, a znakomitych, gdy chodzi o wykrywanie błędów i usterek innych kaznodziei.
- Ze wszystkim tak jest, panie Don Kichocie - rzekł Carrasco - chciałbym jednak, aby tacy censorzy byli bardziej miłosierni, a mniej skrupulatni i nie podkreślali tak każdej plamki owego najjaśniejszego słońca w dziele, jakie krytykują; jeśli bowiem aliquando bonus dormitat Homerus niech zważą, ile nocy nie dospał, aby dziełu swemu dać najwięcej światła, a możliwie najmniej cienia; może się stać,

że to, co się im złyim wydaje, jest jakby pieprzykiem podnoszącym urodę twarzy; mówię więc, że na bardzo wielkie niebezpieczeństwo wystawia się, kto książkę drukiem wydaje, jako że niemożliwością jest napisać ją tak, aby wszystkich czytelników zadowoliła i zaspokoiliła. – Ta, która o mnie mówi - dodał Don Kichote - niewielu zadowoli.

- Właśnie przeciwnie, jako że stultorum infinitus est numerus², nieskończonemnóstwo w niej zasmakowało. Niektórzy zarzucali autorowi błąd i brak pamięci, jako iż zapomniał opowiedzieć, kim był złodziej Sanczowego osła, co nie jest jasne, bo już z treści wynika, że mu go skradziono, zaś niebawem widzimy go wierzchem na tym samym oście, choć ten się nie odnalazł. Podobnie mówią, że zapomniał rzec, co Sanczo uczynił z owymi talarami znalezionymi w kuferku w Sierra Morena, bo nigdy o nich nie wspomina, a wielu chciałoby wiedzieć, co z nimi uczynił, na co je wydał, jest to jeden z ważnych braków w tym dziele. Sanczo odpowiedział:
 - Ja, panie Samsonie, nie mogę teraz przedkładać rachunków i sprawozdania; taka czczość brzucha mię naszła, że jeśli nie uzdrawię jej dwoma łykami starowil Cytat ten, używany przysłowiowo na wyrażenie niedopatrzenia autora lub nudnej rozwlekłości, brzmi: *Quandoque bonus dormitat Homerus* – Niekiedy drzemie poczciwy Homer (łac, Horacy, List do /'tonów).
- 2 Głupich jest poczet nieprzeliczony (łac. Stary Testament, Ekklesiastes, I, 1 5). 382

nu, przygwoździ mię cierń św. Łucji¹. Mam go w domu, moja prawowita mnie czeka; kiedy się najem, wrócę i upokoję² waszą miłość oraz wszystkich, którzy mię wypytywać zechcą, zarówno o stratę osła, jak o to, co zrobiłem ze stu talarami. I nie czekając na odpowiedź, bez słowa odszedł do domu.

Don Kichote prosił usilnie bakałarza, aby został z nim "na pokucie". Bakałarz zaproszenie przyjął, pozostał, dodano do zwykłych dań parę gołębi; przy stole rozprawiali o sprawach rycerstwa. Carrasco dostroił się do Don Kichota. Po skończonym posiłku ucięli drzemkę, tymczasem powrócił Sanczo i na nowo podjęli przerwaną rozmowę. ROZDZIAŁ CZWARTY w którym Sanczo zaspokaja wątpliwości bakałarza Carrasco i odpowiada na jego pytania oraz o innych wypadkach godnych poznania i rozgłoszenia

Powrócił Sanczo do domu Don Kichota i nawiązując do poprzedniej rozmowy, rzekł:

- Odpowiadając na pytanie pana Samsona, który rad by wiedzieć, kto, jaki kiedy ukradł mi osła, mówię: tej samej nocy, kiedy uciekając przed Świętą Hermandadą, weszliśmy w głąb Sierra Morena, po nieszczęsnej przygodzie z galernikami i po spotkaniu umarłego niesionego do Segowii, mój pan i ja zaszyliśmy się w gęstwinę, gdzie pan mój oparty o kopię, ja zaś na moim ośle, zmłóceni i zmęczeni po ostatnich zmaganiach, zasnęliśmy jakby na czterech materacach z puchu; ja osobliwie w tak ciężki sen zapadłem, że ktoś, wszystko jedno kto, skorzystał z tego, zbliżył się i podstawił cztery paliki pod cztery rogi terlicy tak, że siedząc na niej, nie poczułem, kiedy spode mnie osła wysmyknął.

- Nic łatwiejszego i nic nowego; to samo zdarzyło się Sakrypantowi, kiedy podczas oblżenia Albraki takim samym fortelem wykradł mu konia spomiędzy nóg ów słynny łotr zwany Brunelo³.

- Gdy ranekastał - ciągnął dalej Sanczo - zaledwie jałem się przeciągać, obsunęły się paliki, a wraz z nimi i ja gruchnąłem na ziemię jak długi; rozglądam się za osłem i nie widzę go; napłynęły mi łzy do oczu i zacząłem tak lamentować, że jeśli autor naszej historii nie umieścił tego, można rzec, że co najlepsze opuścił. Po upływie nie wiem wielu dni, jadąc z księżniczką Micomiconą, ujrzałem mego osła,

1 Tzn. z sił opadnę. 2

Zamiast: zaspokoję. 3 Z

Ariosta, Orland szalony,

pieśń XXVII.

383

którego dosiadał przebrany za Cygana ów Gines de Pasamonte, ten łotr i największy złoczyńca, któregośmy na spółkę z moim panem z łańcuchów uwolnili. - Błąd nie w tym tkwi - odparł Samson - jeno w tym, że zanim osioł się odnalazł, autor powiada, że Sanczo na nim właśnie jechał. - Na to - rzekł Sanczo - nie wiem, co odpowiedzieć, chyba że historyk się pomylił albo też drukarz nie dopatrzył.

- Tak jest bez wątpienia - rzekł Samson - ale co stało się ze stoma talarami?

Gdzie się podziały?

Sanczo na to odpowiedział:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Wydałem je na własne potrzeby oraz mojej żony i dzieci, dzięki czemu mojakobieta tak cierpliwie znosiła te moje włóczęgi z panem Don Kichotem po drogach i manowcach, bo gdybym po upływie tak długiego czasu powrócił bez grosza i bez osła, czekałby mię czarny los! Gdyby ktoś chciał ode mnie jeszcze więcej wiedzieć, to jestem tu i odpowiem choćby samemu królowi we własnej osobie, a nikomu nic do tego, czy wziąłem, czy nie wziąłem, czy wydałem, czy nie wydałem; bo gdyby te wszystkie kije, jakie zbierałem w czasie tej podróży, miały być płacone w pieniądzach, to nawet gdybym je liczył tylko po cztery marawedi każdy, i drugich stu talarów nie starczyłoby, aby choć połowę zapłacić. Niech każdy na własnym sercu rękę położy i odważy się uznać białe za czarne lub czarne za białe; każdy jest taki, jakim go Pan Bóg stworzył, a nawet i gorszy często.

- Postaram się- rzekł Carrasco - aby autor tej historii, kiedy ją ponownie tłoczyć będzie, nie zapomniał tego, co Sanczo poczciwy teraz powiedział, bo to o stopień podniesie wartość dzieła.
- Czy są inne jeszcze poprawki do zrobienia w tej książce, panie bakałarzu? zapytał Don Kichote.
- Muszą być - odparł ów - ale wszystkie mniejszej wagie od wspominanych.- A czy przypadkiem - zapytał Don Kichote - autor nie zapowiada Części drugiej?
- Owszem, zapowiada - odpowiedział Samson - ale mówi, że dotąd jej nieznalazł i nie wie, gdzie szukać, wobec tego nie jesteśmy pewni, czyją ogłosili, czy nie; a także dlatego, że niektórzy mówią:

"Druga Część rzadko jest dobra", inni znów: "Dość już pisania o sprawach Don Kichota"; można więc wątpić, czy Część druga się ukaże; jeszcze inni, bardziej krotochwilni niż melancholijni, mówią: "Niech znów będą kichoterie, niech Don Kichote atakuje, niech Sanczo gada i niech będzie, co chce; uśmiejemy się za to".

- A co postanowił autor?
- Co? - odpowiedział Samson. - Sądzi, że szukając, znajdzie wreszcie historię, a szuka jej z niezwyczajną pilnością i zaraz da ją wydrukować, mając bardziej zysk na oku niż zdobycie rozgłosu.

Na to odezwał się Sanczo:

- Ach, to zysk i pieniądze ma autor na względzie? Cud to będzie, jeśli coś dobrego z tego wyjdzie, bo ino spartaczy, tak spartaczy jak krawiec na Wielką Sobotę, bo dzieła, które zbyt szybko są pisane, nigdy doskonałości należnej nie osią-

gną. Niech ten jegomość Maur czy ktokolwiek
zwraca uwagę na to, co robi, bo ja

384

i mój pan damy mu takie sterty materiału rozmaitych przygód i przeróżnych zdarzeń, że mógłby napisać nie tylko Część drugą, ale i sto. Musi ten poczciwiec ani chybi myśleć, że pospaliśmy się tu na słomie; niech nam weźmie nogę do podkucia, a zobaczy, na którą utykamy. Ja mogę tylko rzec, że gdyby pan mój zechciał posłuchać mej rady, bylibyśmy już w drodze, naprawiając krzywdy, prostując nadużycia, jak to jest w zwyczaju zacnych błędnych rycerzy.

Jeszcze nie skończył mówić Sanczo, gdy do ich uszu doszło rżenie Rosynanta. Don Kichote wziął to za dobrą wróżbę i postanowił do trzech lub czterech dni wyruszyć znów na wyprawę. Wyłożył swój zamysł bakałarzowi, prosząc go o radę, w której stronę najpierw skierować swą podróż. Ów odpowiedział na to, że, zdaniem jego, w kierunku królestwa Aragonu i Saragossy, miasta, gdzie za kilka dni mają się odbyć w dzień św. Jerzego najuroczystsze turnieje, w których można zdobyć sławę ponad wszystkich innych rycerzy aragońskich, a więc pierwszeństwo pośród wszystkich rycerzy świata. Pochwalił postanowienie jego jako najbardziej chwalebne i śmiałe i przestrzegał, aby był ostrożniejszy, narażając się na niebezpieczeństwa, bowiem życie jego należy nie do niego, ale do wszystkich potrzebujących jego opieki i pomocy w nieszczęściach.

- To właśnie najbardziej mię gniewa, panie Samsonie - rzekł na to Sanczo że mój pan rzuca się na stu zbrojnych jakby chłystek żarłoczny na pół tuzina nadpsutych melonów. Do kroćset, panie bakałarzu, jest czas na atakowanie, jest czas na cofanie, a nie ciągle tylko: "Sw. Jakubie, napieraj Hiszpanio!"¹. Co więcej, słyszałem, i to właśnie od mojego pana, o ile sobie dobrze przypominam, że między dwoma krańcami: tchórzostwem i zuchwałstwem, w pośrodku jest odwaga. Jeśli zaś tak jest, nie chcę, by uciekał, kiedy nie ma potrzeby, ani atakował, gdy przemoc

wroga co innego zaleca. Ale przede wszystkim zapowiadam memu panu, że jeśli chce mię zabrać z sobą, to jedynie pod warunkiem, że sam walczyć będzie, zaś ja mam jedynie dbać o jego osobę, jego ochędostwo i żydło. W tym wszystkim będę chętnie na jego rozkazy; ale myśleć, że chwycę za kord, choćby nawet przeciw pospolstwu, zbójom uzbrojonym w siekiery i zakapturzonym, to szkoda gadać. Ja, panie

Samsonie, nie myślę zdobywać sławy walecznego, ale najlepszego i najwierniejszego giermka, jaki kiedykolwiek służył błędному rycerzowi. A jeśli mój pan Don Kichote, uznając moje liczne i dobre zasługi, zechciałby mi dać jakąś wyspę spośród wielu, o jakich jegomość mówi, że są do zdobycia, bardzo mu będę wdzięczny; jeśli mi zaś jej nie da, trudno, urodziłem się człowiekiem, a człowiek żyjący

jedynie Bogu ufać powinien. Kto wie, może równie dobry, a nawet i lepszy będzie mi chleb bez wielkorządztwa, niż gdybym był wielkorządcą. Czy wiedzieć mogę, zali w tych urzędach diabeł jakowejś zasadzki mi nie zgotował, w której bym się potknął, upadł i zęby sobie wybił? Sanczem się urodziłem, Sanczem zamyslam umrzeć, ale jeśli mimo wszystko, tak po dobremu, bez wielu zachodów i bez ryzyka niebo zesłałoby mi jakąś wyspę czy coś podobnego, nie jestem tak głupi, abym ją odrzucał; gdyż również mówi się: Kiedy ci dają krówkę, leć po powróz i skuwkę; a także: Kiedy dobro się zbliży, bierz je do chyzy. ..

Okrzyk wojenny z czasów walk z Maurami.

385

- Wy, bracie Sanczo - rzekł Carrasco - mówicie jak z katedry, ale mimo wszystko miećcie nadzieję w Bogu i w panu Don Kichocie, że zdarzy wam królestwo, a nie tylko wyspę.

- Czy mniej, czy więcej, wszystko jedno - odpowiedział Sanczo - choć mogerzec, panie Carrasco, że mój pan nie wrzuci mi królestwa do dziurawego worka. Sam sobie puls zmacałem i wiem, żem dość zdrów na to, by rządzić królestwami, zawiadywać wyspami; już to innym razem powiedziałem memu panu.

- Zważcie, Sanczo - rzekł Samson - że godności zmieniają obyczaje i stać się może, że ujrzałszy się wielkorządcą, nie zechcecie znać rodzonej matki. - To się odnosi do takich, co się urodzili w ślazach' - odrzekł Sanczo - nie zaś do tych, co jak ja mają na duszy cztery pokłady słoniny starych chrześcijan! Nie, bacicie na mój charakter, nie potrafię być wobec nikogo niewdzięczny. - Dałby Bóg - rzekł Don Kichote - zobaczymy to, gdy władzę dostaniesz; a zdaje mi się już, jakbym ją własnymi oczyma oglądał.

To powiedziawszy, zwrócił się do bakałarza z prośbą, aby jeżeli jest poetą, zechciał łaskawie ułożyć na pożegnanie kilka wierszy, jakie zamierzał przesłać pani swej, Dulcynei z Toboso, ułożywszy je w ten sposób, aby każdy wiersz zaczynał się od litery jej imienia i aby po skończeniu wiersza, łącząc w słowa pierwsze litery, odczytać było można: Dulcinea del Toboso. Bakałarz odpowiedział, że choć nie należy do słynnych poetów Hiszpanii, których, jak mówią, nie ma

więcej niż trzech

i pół, nie uchyli się od napisania wiersza w takiej formie, choć natrafi na pewną wielką trudność w swej kompozycji, bowiem imię to zawiera siedemnaście liter; gdyby więc ułożył cztery strofy kastylskie czterowierszowe, zostanie jedna litera; jeżeli zaś użyć strofy pięciowierszowej, zwanej decimą lub redondillą, zabraknie trzech liter, ale mimo wszystko postara się on jedną literę ukryć, najlepiej jak zdoła, tak aby w czterech cztero wierszach zamknąć imię Dulcynei z Toboso. - Musi tak być - rzekł Don Kichote - jeśli bowiem imię nie jest podane jasno i wyraźnie, żadna białogłowa nie uwierzy, że wiersze dla niej ułożone zostały. Na tym poprzestali i postanowiono, że odjazd nastąpi za tydzień. Don Kichote zobowiązał bakałarza do zachowania tajemnicy, zwłaszcza przed proboszczem i mistrzem Mikołajem oraz wobec siostrzenicy i gospodyn, aby nie przeszkodzili jego zacnemu i śmiałemu postanowieniu. Wszystko to przyrzekł Carrasco. Na tym pożegnał się, polecając Don Kichotowi, aby powiadamil go przy sposobności o wszystkich dobrych i złych zdarzeniach. Rozstali się, a Sanczo poszedł przygotować wszystko, co było do drogi potrzebne. 1 Ludowe wyrażenie na oznaczenie ludzi niskiego czy nieprawego pochodzenia.

386

ROZDZIA

Ł PIĄTY

o mądrzej i uciecznej rozmowie Sanczo Pansy z jego żoną Teresą oraz o innych wypadkach godnych szczęśliwej pamięci

Don Kichote - Miguel Cervantez

Zabierając się do pisania tego piątego rozdziału naszej powieści tłumacz oświadcza, że uważa go za podrobiony, bowiem Sanczo Pansa przemawia w nim innym stylem, niżby spodziewać się można po jego krótkim rozumie, a mówi rzeczy tak subtelne, że niemożliwością jest, aby o nich wiedział; jednak nie chciał on tego opuścić w tłumaczeniu, aby nie uchybić przyjętemu zobowiązaniu, więc tak ciągnie dalej:

Wrócił Sanczo do domu tak rozradowany i wesoły, że żona jego na strzelanie z kuszy poznała jego wesołość, nie omieszkała przeto zapytać: - Co przynosiscie, przyjacielu Sanczo, że tak wesoło wracacie?

Na to on odpowiedział:

- Żono miła, gdyby Bóg chciał, wolałbym nie być tak zadowolonym, jak się wydaję.
- Nic nie rozumiem, mężu - odparła - i nie wiem, co chcecie rzec przez to, żegdyby Bóg chciał, wolelibyście nie być tak zadowolonym, bo choć jestem głupią, nie wiem, kto by nie chciał być zadowolonym.
- Uważ, Tereso - odrzekł Sanczo - jestem wesoły, bowiem postanowiłem powrócić do służby u pana mego Don Kichota, który wybiera się na trzecią wyprawę w poszukiwaniu przygód, i ja z nim się wybiorę, nagli mię bowiem potrzeba, a raduje nadzieja, że może znowu znajdę sto talarów jak tamte, któreśmy wydali, choć zasmuca mię konieczność rozłąki z tobą i dziećmi. I gdyby Bóg zechciał mi dać najeść się do syta we własnym domu, bez pocenia nóg i bez włóczenia się po manowcach i rozdrożach - co by mógł tanim kosztem sprawić, byleby tylko zechciał jasne jest, że radość moja byłaby mocniejsza i trwalsza, bo obecna zmieszana jest

ze smutkiem, że cię zostawiam; tak więc powiedziałem dobrze, że radowałbym się, gdyby Bóg zechciał, abym nie był tak zadowolony.

- Posłuchaj, Sanczo - odparła Teresa - odkąd staliście się członkiem błędnegorycerza, gadacie w sposób tak zawiły, że nikt nie rozumie. - Wystarczy, że mię rozumie Bóg, niewiasto - odpowiedziała Sanczo. - On jest, który wszystko rozumie, i dość na tym! Bacz więc, siostra, takie mieć staranie przez

te trzy dni o siwka, aby był zdolny do noszenia zbroi. Masz mu podwoić paszę, opatrzyć terlicę i resztę sprzętu. Nie jedziemy bowiem na wesele, ale w daleki świat, mierzyć się z olbrzymami, endriagami i straszydłami, słuchać syków, ryków, beków i wyciąć; wszystko to jednak byłoby tylko kwiatkami lawendy, gdyby nam się nie przyszło potykać z Janguesami i zaczarowanymi Maurami.

- Wierzę, mężu - odparła Teresa - że giermkowie błędni nie jedzą chleba zadarmo; będę więc tu prosić Pana Boga, aby was rychło z licznych obierzy wytargnął.

387

- A ja wam mówię, żono - odpowiedział Sanczo - że gdybym nie był pewien krótkim czasie zostać wielkorządcą wyspy, trupem padłbym. - Ach, nie to, mężu mój - rzekła Teresa - niech żyje kura choćby z pyciem; życie i wy, a niech diabeł porwie wszelkie panowania na świecie; bez wielkorządz- twa wyszliście z łona matki, bez wielkorządztwa żyliście dotąd, bez wielkorządztwa zejdziecie i pogrzebią was, kiedy się Bogu spodoba. Iluż to żyje bez rządzenia na świecie i nie przestają przez to żyć i są zaliczani pomiędzy ludzi. Najlepsza przy- prawa to głód, a jako nie brak jej ubogim, będą zawsze ze smakiem. Zważcie wsze- lako, Sanczo, gdybyście się przypadkiem ujrzel jakim wielkorządcą, nie zapomnijcie

O mnie i o waszych dzieciach. Pamiętajcie, że Sanczyk ukończył już piętnaście lat 1 czas, aby poszedł do szkoły, jako że wuj jego, opat, chce go do stanu duchownego sposobić; zważcie również, że Maria Sancza, córka wasza, nie umrze, jeśli ją wydamy, bo mnie się coś widzi, że tak samo pragnie męża jak wy waszego wielkorządztwa; a koniec końców, lepiej przedstawia się córka źle wydana niż bogata utrzymanka.

- Na mą duszę! - odpowiedział Sanczo. - Oby mi tylko Bóg zdarzył jakieś wielkorządztwo. Mam zamiar, żono moja, dać Marię Sanczę w tak wysokie małżeństwo, że nikt, kto się zbliży, nie nazwie jej inaczej jak wielmożna pani. - Co to, to nie! - odparła Teresa. - Wydajcie ją za równego, to pewniejsze, bo jeśli ją z sabotów wsadzicie w pantofelki, a ze zgrzebnej szarej sukni z samodziału w robrony i jedwabną sabaudkę, a z Maryjki, którą każdy tyka, zrobicie donę jakąś i jaśnie panią, dziewczyna się nie odnajdzie, na każdym kroku strzelać będzie tysiąc głupstw, odsłaniając grubą osnowę swej chłopskiej tkaniny. - Milcz, durna! - rzekł Sanczo. - To wszystko sprawa dwu lub trzech lat; potem jaśnie państwo i dostojość leżeć będą na niej jak ulane, a gdyby nie, cóż to szkodzi? Niech tylko będzie wielmożną, a potem niech się dzieje, co chce. - Poprzestańcie, Sanczo, na własnym

stanie - odpowiedziała Teresa - i nie chciejcie się wywyższać; zważcie, że przysłowie mówi: Utrzyj nos synowi sąsiada, niech w domu twoim zasiada. Zapewne byłoby to ślicznie wydać Marię za jakieś hrabiątko czy jaśnepankę, ale gdy takiemu przyjdzie fantazja, a zwymyśla ją od przybłedy, nazywając chamką, córką wyrobnika i szmaciarki! Nie! Póki ja żyję, mężu, nie! Czyż po to moją córkę wychowałam? Zaiste przywieźcie, Sanczo, pieniadze, a mnie pozostawcie zamęście; jest tu Lope Tocho, syn Juana Tocho, młodzian dorodny i zdrowy, którego znamy. Wiem, że miłym okiem na dziewczę patrzy, a przy tym jest nam równy. Stosowne to będzie małżeństwo i będziemy mieć je zawsze na oczach, i wszyscy będziemy razem, ojcowie i dzieci, wnuki i zięciowie, a pokój i błogosławieństwo Boże mieszkać będzie z nami wszystkimi; a nie wydawajcie jej na te dwory, na te wielkie pałace, gdzie ani jej nikt nie zrozumie, ani ona sama siebie. - Posłuchaj, bestio, babo Barabasza! - zawała Sanczo. - Czegóż chcesz nistąd, ni zowąd przeszkodzić mi w wydaniu córki za kogoś, kto mi da wnuków, których jaśnie państwu nazywać będą? Zważ, Tereso, zawsze słyszałem od moich starych, że kto nie umie korzystać ze szczęścia, kiedy się nadarza, nie powinien się skarżyć, kiedy go mija. I nie byłoby dobrze, aby teraz, kiedy w nasze drzwi pu388

ka, zamykać je przed nim; dajmy się nieść temu pomyślnemu wiatrowi, który nam wieje.

Ten sposób mówienia i to, co poniżej wypowiada Sanczo, skłania tłumacza do uznania tego rozdziału za podrobiony.

- Czyż nie wydaje ci się, bydlaku - ciągnął dalej Sanczo - że dobrze byłobycałą mocą starać się o jakieś korzystne rządy, które by nas z tego blocka wyciągnęły? Bylebym tylko wydał Marię Sanczę wedle mej woli, a zobaczysz, jak ciebie nazywać będą Dona Teresa Pansa i zasiadać będziesz w kościele na kobiercach, poduszkach i makatach na złość i ku zazdrości szlachciurek wiejskich. A nie - to zostań na zawsze w tym samym stanie, nie wzrastając ani nie malejąc, jak malowane figury. Nie mówmy o tym więcej, Sanczyka ma być hrabiną, choćbyś mi nie wiem co gadała.

- Czy zdajecie sobie sprawę, mężu, co mówicie? - zapytała Teresa. - Z tymwszystkim, obawiam się, że owo hrabstwo mojej córki stanie się jej zgubą. Zrobicie, co zechcecie. Możecie ją zrobić księżną czy księżniczką, ale nie stanie się to z moją wolą i przyzwoleniem. Zawsze, bracie, byłam za równością i nie mogę znieść wynoszenia się bez podstaw. Przy chrzcie dano mi proste, przyzwoite i krótkie imię

"Teresa" bez żadnych dodatków, firlifuszek i ozdobek "don" czy "dona". Cascajo zwał się mój ojciec, ja zaś jako jestem wasza żona, zwę się Teresa Pansa (równie dobrze mogłabym się zwać Teresa Cascajo: Tam chodzą królowie, gdzie chcą prawa), i nazwisko to mi wystarcza. Nie potrzebuję żadnego "don" z przodu, nie uniosłabym tego ciężaru. I nie chcę dać powodu do gadania ludziom, którzy by mię zobaczyli odzianą po hrabiowsku czy gubernatorsku i zaraz rzekli:

"Widzicie wy tę świnopaskę? Wczoraj jeszcze konopie przedła, a idąc na mszę nakrywała głowę fałdem spódnicy miasto mantyli, a dziś chadza w robronach z agrafami z taką dumą,

jakbyśmy jej nie znali". Jeśli Bóg mi zachowa moich siedem czy moich pięć zmysłów, czy wiele tam ich mam, nie myśl im dawać sposobności ujrzenia mię w takim stroju; wy, bracie, bądźcie sobie wielkorządca czy wyspiarzem i nadymajcie się do woli; ani moja córka, ani ja, klnę się na zbawienie mojej matki, i krokiem nie ruszymy się z naszej wsi; białogłowa uczciwa jak złamana nogą w domu siwym przebywa; uczciwym dziewczętom w robocie święto. Idźcie z waszym Don Kichotem na wasze przygody, a nas zostawcie w naszej niegodności; Bóg jąpoprawi, jeśli zasłużymy; a nie wiem, kto mu tam dodał owo "don", którego ani jego ojcowie, ani dziadowie nie mieli.

- Teraz powiem - odparł Sanczo - że masz diabła za skórą! Bóg z tobą, babo, coś ty tu rzeczy razem namotała, co nie mają nóg ni głowy! Co mają do tego, cośmy mówili, owe kamyki, agrafy, przysłowia i pycha? Pójdź tu, pomycona i głupia, bo tak cię mogę nazwać, kiedy nie rozumiesz mych słów i od szczęścia uciekasz. Gdybym kazał swej córce rzucić się z wieży na dół albo włóczyć się po świecie, jak to

miała czynić infantka Dona Urraca, miałabyś rację, nie pochwalając mię, ale jeśli tak w jednej chwili, jak z bicza trzasł, i w mniej niż w mgnieniu oka stroję ją w "don" i w, jaśnie państwo" i wydobywam ją z mierzwyl, a stawiam pod baldachimem, na piedestale, na podwyższeniu, gdzie więcej poduszek aksamitnych niż Maurów mierzwa- zgnieciona słoma, ściółka lub gnój, obornik.

389

w swoim rodzie mieli Almohadzi' z Maroka, czemuż nie godzisz się i nie chcesz tego, co jest moim pragnieniem?!

- A wiecie dlaczego, mężu? - odpowiedziała Teresa. - Bo mówi przysowie: Kto cię odziewa, ten cię obdziera. Biedaka wszyscy ledwie okiem musną w

przelocie, na bogatym zatrzymują oczy; jeżeli ów bogacz był swego czasu ubogim, zaraz szemranie i obmowa, a najbardziej uporczywi są obmowcy, których pełno na naszych drogach, jakby rojów pszczół.

- Posłuchaj, Tereso - odpowiedział Sanczo - co ci chcę teraz rzec, może niesłyszałaś o tym przez wszystkie dni żywota, nie mówię tego od siebie; wszystko, co

chcę powiedzieć, są to sentencje ojca kaznodziei, który kazał w naszej wsi w zeszłym poście. Ten jeśli sobie dobrze przypominam - mówił, że wszystkie sprawy obecne, na które patrzmy, tkwią i pozostają w naszej pamięci o wiele wyraźniej i silniej niż sprawy przeszłe.

Wszystkie słowa, które tu wypowiada Sanczo, są drugą przyczyną, dla której thumacz uważa ten rozdział za podrobiony, jako przewyższający możliwości Sancza.

Ów prawił dalej:

- Stąd pochodzi, że skoro widzimy jakąś osobę pięknie przystrojoną i w bogatych szatach, otoczoną mnóstwem służby, siłą rzeczy odczuwamy i odnosimy się do niej z szacunkiem, chociaż nam pamięć w tym momencie nasuwa niskość, w jakiej ją poprzednio oglądaliśmy. Owa plama niedostatku, czy też pochodzenia, jako wczo-

rajsza, już nie istnieje, a zostaje tylko to, co teraz widzimy. A jeśli ten, którego los szczęśliwie wydobył z błota jego poniżenia -jak to tymi samymi słowy ojciec ów wyraził - na wyżynę pomyślności, był dworny, wspaniały i uprzejmy wobec wszystkich i nie chciał współzawodniczyć ze szlachcicami starego rodu, to na pewne, Tereso, nikt nie będzie przypominać, czym on był, ale szanować go będą za to, czym jest, chyba że będą to zazdrośnicy, których każde powodzenie w oczy kluje.

- Nie pojmuję was, mężu - rzekła Teresa - róbcie, co chcecie, a nie zwracajcie głowy waszymi kazaniami i gadaniną. A jakeście zdezolowali robić, coście rzekli...
- Zdecydowali, mówi się, kobieto - rzekł Sanczo - a nie zdezolowali.- Nie zaczynajcie się ze mną kłócić, mężu - odpowiedziała Teresa. -

Mówię, jak Bóg przykazał, i nie wtykam nosa, gdzie nie potrza. Mówię, że jeśli się uparli zdobyć wielkorządztwo, zabierzcie ze sobą waszego syna, Sancza, aby już od teraz zaczął się uczyć rządzić; dobrze bowiem, gdy synowie dziedziczą i uczą się od ojców.

- Kiedy obejmę rządy - rzekł Sanczo - wezwę go pocztą. A tobie przyślę pieniądze tyle, że ci nie zbraknie, bowiem nigdy nie brak takich, którzy gubernatorom

pożyczą, kiedy ich nie mają. Syna zaś przyodziej mi tak, aby wydał się nie tym, kim jest, ale tym, kim ma być.

- Przyślijcie pieniądze - rzekła Teresa - a ja go wam przystroję jak ląteczkę.Gra słów: ulmohadas - poduszki, i Almohodes - dynastia berberska, która w r. 1145 przybyła z Maroka do Hiszpanii. 390

- A zatem jesteśmy w zgodzie - rzekł Sanczo - że nasza córka ma być hrabiną. - W dniu, gdybym ją zobaczyła hrabiną - odpowiedziała Teresa - zdam sobie sprawę, że ją grzebię; ale jeszcze raz mówię, róbcie wedle waszej woli; my, kobiety, ty, rodzimy się z tym ciężarem, że musimy być posłuszne mężom, chociażby byli cymbałami. I na to zaczęła płakać tak rzewliwie, jakby już widziała Sanczykę zmarłą i pogrzebaną. Sanczo pocieszał ją, mówiąc, że choć chciałby zrobić córkę hrabiną, uczyni to najpóźniej, jak będzie możliwe. Na tym skończyła się rozmowa i Sanczo powrócił do Don Kichota, aby omówić przygotowania do drogi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

o tym, co zaszło między Don Kichotem, siostrzenicą i gospodynią, a jest to jeden z najważniejszych rozdziałów całej

opowieści W,

czasie kiedy Sanczo Pansa i jego żona Teresa Cascajo prowadzili niedorzeczną rozmowę wyżej przytoczoną, siostrzenica i gospodynina Don Kichota nie zasypiały sprawy, bo z tysiąca oznak wnosiły, że ich wuj i pan chce wymknąć się po raz trzeci i powrócić do swego, wedle nich obłędnego, rycerstwa; starały się wszelkimi możliwymi sposobami odwieść go od tak niewczesnego zamysłu, ale to wszystko było tyle, co kazać na pustyni i kuć żelazo na zimno. W końcu, po wielu innych z nim rozmowach na ten temat, gospodynina rzekła: - Zaprawdę, panie mój, jeśli wasza miłość nie zechce spokojnie w domu siedzieć i puści się na wędrówkę przez góry i doliny jak dusza pokutująca, szukając tych, jak to mówią, przygód, które ja zowie nieszczęściem, żalić się będę na głos i krzyczeć przed Bogiem i przed królem, aby zaradzili temu.

Na to odpowiedział Don Kichote:

- Gospodiu, nie wiem, co odpowie Bóg na twoje skargi ani co Jego KrólewskaMość na to odpowiedzieć zechce; ja tylko wiem, że gdybym był królem, odmówiłbym odpowiedzi na te niezliczone niedorzeczne przedłożenia, jakimi co dzień go zasypują. Jednym z największych udręczeń królów, pomiędzy tylu innymi, jest, że muszą wysłuchiwać wszystkich i wszystkim odpowiadać, więc nie chciałbym, aby jeszcze trudzono go moimi sprawami. Na to rzekła gospodynina:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Powiedzcie nam, panie, czyż na dworze Króla Jegomości nie ma rycerzy? - Są - odparł Don Kichote - i liczni, i słuszna, że są, zarówno dla ozdoby wspaniałości książąt, jak dla blasku majestatu królewskiego.
- Przeto czemuż, wasza miłość - odparła ona - nie moglibyście być jednymi z tych, co na miejscu służą królowi i panu, pozostając na dworze? 391 - Bacz, moja droga - odpowiedział Don Kichote - że nie wszyscy rycerze mogą być dworakami ani nie wszyscy dworacy mogą ani powinni być błędymi rycerzami; potrzebni są tacy i owacy na świecie; i chociaż wszyscy jesteśmy rycerzami, jest wielka różnica między jednymi a drugimi; dworacy bowiem, nie opuszczając swych komnat ani progów dworskich, przebiegają cały świat, ale tylko oglądając mapę; nie kosztuje ich to ani grosza, nie cierpią upału ni zimna, głodu ni pragnienia; kiedy my, błędni rycerze prawdziwi, na słońcu, na mrozie, pod gołym niebem, w pogodzie niełaskawej, w nocy i we dnie, pieszo czy konno, przemierzamy całą ziemię własnymi stopami i znamy nie tylko przeciwników malowanych, ale we własnej osobie, i bez względu na bezpieczeństwo, przy każdej sposobności, stawiamy im czoło, nie zważając na żadne głupstewki ani na przepisy o pojedynkach; czy ma on, czy też nie krótszą kopię albo miecz; czy nosi przy sobie relikwie albo inne ukryte talizmany; jakie jest położenie słońca oraz inne ceregiele tego rodzaju, które ja znam, a ty nie, a jakie są w zwyczaju przy zwykłych pojedynkach. A masz wiedzieć i więcej, że dobry rycerz błędny, choćby ujrzał dziesięciu olbrzymów, którzy głowami nie tylko sięgają chmur, ale je przenoszą, i choćby każdy z nich miał miasto nóg dwie olbrzymie wieże, zaś ramiona każdego wydawałyby się masztami wielkich i potężnych okrętów, a każde oko byłoby jak wielkie koło młynskie i bardziej płomienne niż piec hutniczy, nijak nie śmie się przerazić, przeciwnie, z szlachetnym opanowaniem i nieustraszoną odwagą powinien wyjść przeciw i uderzyć w nich, a jeśli to było możliwe, zwyciężyć ich i rozproszyć w jednej chwili, choćby zjawili się okryci huskami pewnej ryby, które mają być twardsze od diamentów, a miasto miecza mieli ostre jatagany z damasceńskiej stali i maczugi również okute z kolcami stalowymi, jakie nie raz i nie dwa widywałem. Wszystko to powiedziałem, moja gospodku, abyś zrozumiała różnicę, jaką między jednymi

a drugimi rycerzami zachodzi; słuszna to rzecz byłaby, aby panujący bardziej cenili ten drugi,

a raczej ten pierwszy, rodzaj błędnych rycerzy, którzy, jak to czytamy w powieściach o nich, mieli na celu dobro niejednego tylko, ale wielu królestw.

- Ach, panie mój - rzekła na to siostrzenica - zważcie, jegomość, że wszystkoto, co o błędnych rycerzach opowiadają, to ino bajda i kłamstwo, a powieści o nich zasługują, jeśli nie na spalenie, to przynajmniej na pokutny wór albo na inne piętno, aby je rozpoznać można jako niegodne i psujące dobre obyczaje.

- Na Boga, który cię przy życiu utrzymuje! - rzekł Don Kichote - gdybyś niebyła mą siostrzenicą w prostej linii, jako córka mej rodzonej siostry, za bluźnierstwo, jakieś wyrzekła, ukarałbym cię tak, że cały świat by od tego huczał. Jak to możliwe, aby taka smarkula, która zaledwie dwunastu pałeczkami koronkarki obracać potrafi, ośmielała się język rozpuszczać i krytykować powieści o błędnych rycerzach? Co rzekłby pan Amadis, gdyby coś podobnego usłyszał? Wszakoż przebaczyłby ci pewnie, był bowiem najpokorniejszym i najdworniejszym rycerzem swego czasu, a prócz tego wielkim opiekunem dziewczic; ale mógłby cię posłyszeć ktoś inny, a miałabyś się z pyszna; nie wszyscy bowiem są dworni i uprzejmi, są 1 gburzy, i gwałtownicy. Nie wszyscy, którzy zwą się rycerzami, są nimi w całej pełni a t a g a n - krzywa szabla turecka.

392 ni; jedni są ze złota, inni z tombaku, choć

wszyscy zdają się rycerzami, ale nie wszy-

scy zdołaliby przejść przez kamień probierczy prawdy. Są ludzie niskiego pochodzenia, którzy nadymają się, aby wyglądać na rycerzy, są zaś rycerze znamienici, którzy dokładają starań, aby zdawać się maluchkimi; jedni podnoszą się przez ambicję i cnotę, owie poniżają się przez niedołęstwo lub występek. I należy mądrym baczeniem rozważyć, by rozróżnić te dwa rodzaje rycerzy, tak podobne z imienia,

a tak różne postępowaniem.

- Boże, zawaruj! - rzekła siostrzenica. - Waszmość panie wuju, jesteście tak uczonym, że w razie potrzeby moglibyście wejść na ambonę albo i na ulicach kazanie prawić, a mimo to pozostajecie w tak wielkiej ślepocie i w tak jawnym szaleń-

Don Kichote - Miguel Cervantez

stwie, że uważacie się za śmialka, choć stary, i za siłacza, choć chory, że naprawiać krzywdy, choć was wiek pochylił, a przede wszystkim, że jesteście rycerzem, nie będąc nim, bo choć mogą nimi być i zwykli szlachcice, ale nie ubodzy. - Masz wiele racji, siostrzenico, w tym, co mówisz - odrzekł Don Kichote. Móglbym ci atoli powiedzieć o rodach rzeczy, które by cię zadziwiły, ale aby nie mieszać spraw boskich z ludzkimi, nie powiem nic. Słuchajcie, moje drogie, wszystkie rody na świecie dadzą się sprowadzić do czterech, uważańcie dobrze! Jedne są, które z niskich początków wzrastając i rozwijając się, dochodzą do największej znakomitości; inne, znakomitego początku, zachowały się, zachowując i pozostając w tym samym stanie; jeszcze inne, choć początek miały znamiennity, skończyły na jednym punkcie, jakby piramida, coraz bardziej zmniejszając się i unicestwiając ród swój aż do nicości, tak jak wierzchołek piramidy, który w porównaniu z podstawą i założeniem jest niczym; są jeszcze inne - i to najliczniejsze - które ani początku zacnego nie miały, ani godziwego środka i koniec będą miały niesławny, jako rody niskie i pospolite. Przykład pierwszych, które początek miały skromny i wzniósły się do wielkości do dziś zachowanej, masz w dynastii ottomańskiej, która od założyciela rodu, skromnego i nędznego pasterza, wzniósła się na szczyt, gdzie ją dziś oglądamy. Przykładem drugiego rodu, mającego znakomity początek i zachowującego godność nie przysparzając jej, są liczne rody panujących, które prawem dziedzictwa zyskują ją i zachowując, nie powiększając ani nie umniejszając, zamkają się spokojnie w granicach swych państw. Tysiące przykładów mamy takich rodów, które zaczęły wspaniale, a skończyły w nicości; wszyscy bowiem faraonowie i Ptolemeusze egipscy, Cesarowie rzymscy i cała czereda - jeśli ich tak nazwać można - niezliczonych królów, monarchów, władców medyjskich, perskich, asyryjskich, greckich i barbarzyńskich, wszystkie te rody i dynastie skończyły na jednym punkcie i na niczym, tak oni, jak ci, którym oni początek dali, tak że dziś próżno byśmy szukali jakichś ich potomków, a gdybyśmy i znaleźliśmy, to chyba w niskim i ubogim stanie. O

pospółstwie nie ma nic do powiedzenia, chyba że służy jedynie po to, aby pomnażać liczbę żyjących, nie zasługując na żadną inną chwałę czy rozgłos. Ze wszystkiego, co powiedziałem, wnieś możecie, głupie baby, jak wielkie jest pomieszanie między rodami i że te jedynie wydają się wielkie i sławne, które odznaczają się cnotą, bogactwem i szczodrobiliwością swych członków. Mówię cnota, bogactwo i szczodrobiłość, bowiem możliwy, który by był występny, będzie tylko wielkim przestępca, bogacz nieszczodrobiły będzie żebraczym skąpcem; albowiem nie posiadanie

393

bogactw, lecz używanie ich czyni szczęśliwym, i to nie używanie wedle zachcenia, jeno trzeba umieć wydawać mądrze. Rycerzowi ubogiemu pozostaje jedna tylko droga, by się rycerzem okazać, a tą jest cnota; niechaj będzie uprzejmy, dobrze ułożony, dworny, uczynny i życzliwy ludziom, a nie pyszny, zuchwały lub zrzędą, a ponad wszystko ma być litościwy. Ubogi, dając dwa grosze chętnym sercem, dorównywa hojnością temu, który daje jałmużnę, bijąc w dzwony. I ktokolwiek oglądać go będzie w ozdobie owych wymienionych cnót, to choćby go nie znał, musi go uznać i uważa za człowieka dobrego rodu; i nic w tym dziwnego, zawsze bowiem uznanie było nagrodą cnoty, a cnotliwi muszą zyskać pochwałę. Dwie są drogi, moje córki, którymi dążyć mogą ludzie do majątku i sławy: jedna to pióro, druga to oreż. Więcej mam skłonności do oreża niż do pióra. Urodziłem się, jak ta skłonność dowodzi, pod wpływem planety Marsa; tak więc zmuszony niemal jestem iść jego ścieżką i kroczyć nią będę wbrew całemu światu, na darmo przeto wysilacie się, aby mię przekonać i odwieść od pożądania tego, czego chcą nieba, los rozkazuje i rozum się domaga, a ponad wszystko, czego moja wola pożąda; bowiem zdając sobie sprawę, jak to czynię, z niezliczonych trudów przywiązanych do błędnego rycerstwa, znam również i nieskończone dobra, jakie się dzięki niemu zdobywa; wiem, że ścieżka cnoty jest bardzo wąziuchna, zaś droga występu szeroka i przestronna; wiem, że cele ich ostateczne są rozmaite; bowiem droga występu wygodna i szeroka kończy się śmiercią, zaś droga cnoty wąska i uciążliwa kończy się życiem, i to nie życiem, co przemija, ale takim, które nie będzie miało końca; i wiem, że jak mówi wielki poeta nasz kastylski: Przez trudne perci droga jest daleka W nieśmiertelności wyniosłe dziedziny, trudów się wyrzeka.

. Nie dojdzie tam, kto

- Ach! Ja nieszczęśliwa - zawała siostrzenica. - Mój pan wuj jest i poeta! Wszystko wie i wszystko może. Założę się, że gdyby chciał zostać murarzem, potrafiłby i dom zbudować równie dobrze jak klatkę.

- Zaręczam ci, siostrzeniczko - odpowiedział Don Kichote - że gdyby mi owesprawy rycerskie nie zaprzątały wszystkich zmysłów tak z kretesem, nie byłoby rzeczy, której bym nie zrobił, i z moich rąk wychodziłyby cacka, a szczególnie klatki i wykałaczki. W tej chwili zapukano do drzwi, a na pytanie, kto puka, Sanczo Pansa odpowiedział, że to on. Zaledwie usłyszała to gospodynę, pobiegła się ukryć, aby go nie

oglądać, tak ścierpieć go nie mogła. Siostrzenica otworzyła, Don Kichote wyszedł przyjąć go z otwartymi ramionami, obaj zamknęli się w komnacie i tam mieli drugą rozmowę nieustępującą poprzedniej. 394

ROZDZIAŁ SIÓDMY

o tym, co zaszło między Don Kichotem a jego gierkiem, oraz o innych bardzo pamiętnych wypadkach

Zaledwie gospodynia spostrzegła, że Sanczo Pansa zamknął się ze swym panem, zaraz dorozumiała się, co się święci, i domyśliwszy się, że z owej narady wyniknie postanowienie trzeciej wyprawy, porwała swój długi czarny płaszcz i pełna niepokoju i troski udała się na poszukiwanie bakałarza Samsona Carrasco, w przekonaniu, że jako dobry mówca i świeży przyjaciel jej pana, potrafi go skłonić do porzucenia tak niedorzecznego zamysłu. Zastała go, gdy przechadzał się po dziedzińcu swego domu, a ujrzałszy go, rzuciła mu się do nóg, spocona i strapiona.

Kiedy Carrasco zobaczył ją tak zboalałą i wzburzoną, zapytał:

- Co się stało, pani gospodynia? Co się z wami dzieje? Wyglądacie, jakby wam duszę wydrzeć miano.
- Nic innego, panie Samsonie mój, jeno pan mój wybiera się w drogę, i anichybi rusza.
- Ale, pani, co się rusza? - zapytał Samson. - Czy złamał sobie coś w ciele? - Nie rusza - odrzekła gospodynia - ale wyrusza bramą swego szaleństwa.

Chcę rzec, drogi panie bakałarzu, że jeszcze raz wyruszyć zamierza, a będzie to trzecia wyprawa, na szukanie po świecie tego, co nazywa przygodzeniami. Ładne mi przygody, nie pojmuje! Pierwszy raz przywieziono go przerzuconego przez osła i zmłóconego kijami. Drugi raz wrócił na wozie zaprzężonym w woły, zamknięty w klatce, w której był, jak wmawiał w siebie, zaczarowany; a wrócił w tak smutnym

stanie, że by go rodzona matka nie poznała: wychudły, pożółkły, z oczyma zapadniętymi aż gdzieś w głęb czaszki; aby go nieco na nogi postawić, zużyłam ponad sześćset jaj, wie o tym Bóg i cały świat, i moje kury, które mi nie pozwolą kłamać.

- Chętnie w to wierzę - odparł bakałarz. - Są one tak poczciwe, tak tłuste i tak dobrze ułożone, że choćby pęknąć miały, nie świadczyłyby fałszywie.

Zaiste, pani gospodyn, czyż nic innego się nie stało i nie ma innego nieszczęścia, jak tylko lęk przed tym, co zamysła czynić pan Don Kichote? - Nie, panie - odpowiedziała.

- Nie martwcie się więc - odrzekł bakałarz -jeno wracajcie co rychlej do domui przygotujcie mi coś ciepłego do zjedzenia, a po drodze odmówcie modlitwę do św. Apolonii, jeżeli umiecie. Zaraz tam przyjdę, a zobaczycie cudeńka! - O ja nieszczęśliwa! - rzekła gospodyn. - Wasza miłość każecie mi odmawiać modlitwę do św. Apolonii! Byłoby to dobre, gdyby mego pana zęby bolały, ale nie mózgownica.

- Wiem, co mówię, pani gospodyn, idźcie i nie zaczynajcie ze mną dysputy, wiecie bowiem, że jestem bakałarzem z Salamanki i nie ma co bałakać. Więc gospodyn odeszła, a bakałarz zaraz udał się do proboszcza, aby z nim porozumieć się w sprawie, o której będzie mowa w swoim czasie. 395

Tymczasem Don Kichote i Sanczo Pansa, zamknąwszy się, toczyli rozmowę, którą przytacza historyk z wielką dokładnością i prawdomównością. Sanczo mówił do pana:

- Panie, już dowiodłem moją żonę do tego, że pozwala mi jechać z waszą miłością wszędzie, gdzie zechcecie mię zwieźć.

- Przywiodłem, chciałeś rzec, Sanczo - powiedział Don Kichote - a nie dowiodłem.

- Już raz czy dwa - odpowiedział Sanczo - o ile sobie dobrze przypominam, błagałem waszą miłość, abyście mię nie poprawiali w słowach, jeżeli rozumiecie, co chcę powiedzieć, a jeżeli nie rozumiecie, powiedzcie: "Sanczo, czy jakiś diable, nie rozumiem ciebie!". A jeżeli się nie wytłumaczę, możecie mię wówczas poprawić; jestem wszak tak pojemny...

- Nie rozumiem, Sanczo - podchwycił Don Kichote - bo nie wiem, co maznaczyć: jestem tak pojemny?

- Tak pojemny - odpowiedział Sanczo - to ma znaczyć, że jestem już taki, taki... - Jeszcze mniej teraz rozumiem - odparł Don Kichote.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Jeżeli nie możecie mię zrozumieć - odpowiedział Sanczo - to nie wiem, jakmam powiedzieć, nie umiem inaczej, Bóg ze mną.
- Już, już zgaduję- odpowiedział Don Kichote. - Chciałeś pewnie powiedzieć, że jesteś tak pojętny, uległy, sprytny, że wszystko przyjmujesz, co ci powiem, i dasz się łatwo poprowadzić.
- Założyłbym się - rzekł Sanczo - żeście od początku odgadli i zrozumieli mię, jeno chcieliście mię zbić z tropu, aby usłyszeć, jak plotę dwie setki innych głupstw.
- Być może - odparł Don Kichote. - A zatem w rzeczy, co mówi Teresa? - Teresa mówi - rzekł Sanczo - abym na palcach się z panem porachował, papier zostaje, słowa ulecą; kto się do czego bierze, niech sobie dobrze zastrzeże; więcej warte jedno masz niż dwa dasz. A ja mówię, że choć babska rada krucha, szalony, kto jej nie słucha.
 - I ja to samo powiadam - odpowiedział Don Kichote. - Mów dalej, przyjacielu Sanczo, perłami dziś sypiesz.
 - W tym rzecz - rzekł na to Sanczo - że jak jegomość lepiej to wiecie, wszyscy podlegamy śmierci, dziś jesteśmy, jutro nas nie ma, śmierć nie szczędzi ni ja-gnięcia, ni koźlęcia i nikt na tym świecie nie może sobie obiecywać więcej godzin życia, niżli mu Pan Bóg udzielić raczy. Śmierć bowiem jest głucha i kiedy przycho- dzi pukać w drzwi naszego żywota, spieszno jej i nie zatrzymają jej ni prośby, ni groźby, ni berła, ni korony, jak to powszechnie mówią i jak to nas uczą z ambony.
 - To wszystko prawda - rzekł Don Kichote - ale nie wiem, do czego zmierzasz.
 - Zmierzam do tego - rzekł Sanczo - żebyście mi jegomość wyznaczyli stałewynagrodzenie miesięczne przez cały czas mej służby i aby pensję tę wypłacano mi z waszego majątku. Nie chcę spuszczać się na łaski, które przychodzą późno albo źle, albo wcale nie; niech wiem, co mam z Bożą pomocą. W końcu chcę wiedzieć, ile zarabiam, mało czy wiele. 1 kura po jednym jajku znosi, a liczne "mało" czynią "wiele", a kiedy się coś zyskuje, nic się nie traci. Oczywiście, gdyby się zdarzyło

(w co nie wierzę ani się nie spodziewam), żeby mi jegomość dał ową wyspę obiecaną, nie jestem tak niewdzięczny ani tak łapczywy, abym nie zezwolił na obliczenie dochodów z mej wyspy i na odliczenie z nich na kota mego wynagrodzenia.

- Przyjacielu Sanczo, niekiedy równe dobre konto szczura, jak kota. - Ma się rozumieć - rzekł Sanczo - założyłbym się, że powinien byłem rzec na konto, a nie na kota, ale to nie ma znaczenia, bo jegomość mię zrozumiał. - I to tak dobrze - odpowiedział Don Kichote - że przeniknąłem do głębi twe myśli i wiem jasno, dokąd mierzą niezliczone strzały twych przysłów. Posłuchaj, Sanczo, rad bym ci wyznaczył wynagrodzenie, gdybym był znalazł w jakiekolwiek opowieści o błędnych rycerzach przykład, który by mi dał najmniejszą wskazówkę i podał, ile zwykli zarabiać giermkowie miesięcznie lub rocznie; ale przeczytałem

wszystkie albo prawie wszystkie te powieści i nie przypominam sobie, abym gdziekolwiek wyczytał, że jakiś błędny rycerz wyznaczył stałe wynagrodzenie swemu giermkowi; wiem jedynie, że wszyscy służyli za "co łaska", i kiedy najmniej się spodziewali, jeżeli ich panom się poszczęściło, otrzymywali w nagrodę wyspę czy coś równoznacznego, a co najmniej tytuł i godność. Jeżeli dla takiej nadziei i widoków, Sanczo, zechcecie powrócić do mej służby, to zgoda; ale darmo myśleć, bym przekraczał i łamał starodawne zwyczaje błędnego rycerstwa; przeto, Sanczo, wracajcie do domu, by oznajmić waszej Teresie moje postanowienie; a jeżeli ona i wy zgodzicie się, by pozostać przy mnie na "co łaska", bene quidem! a jeżeli nie, zostaniemy przyjaciółmi jak przody; gdy gołębiarzowi nie brak ziarna, nie brak mu i gołębi. A rozważcie, synu, że więcej warta dobra nadzieja niż liche posiadanie i dobra pretensja niż zła zapłata. Mówię w ten sposób, Sanczo, abyście zrozumieli, że i ja również jak i wy umiem sypać przysłowiami jak deszczem. I w końcu chcę rzec i wam powtórzyć, że jeśli nie chcecie pójść ze mną na "co łaska"
i ze mną dobry

i zły los dzielić, Bóg z wami i niech z was zrobi
świętego, mnie bowiem nie zabrak- nie giermków
posłuszniejszych i pilniejszych, a nie tak
niezdarnych i gadatliwych jak wy.

Kiedy Sanczo usłyszał o mocnym postanowieniu pana, pociemniało dlań niebo i opadły skrzydła odwagi, był bowiem przekonany, że jego pan nie wyruszyłby bezeń za żadne skarby świata. Kiedy tak trwał w niepewności i zamyśleniu, wszedł Samson Carrasco z gospodynią i siostrzenicą, które płonęły ciekawością, by usłyszeć, co powie ich panu, aby go odwieść od szukania przygód. Samson zbliżył się, szczwany lis,

Don Kichote - Miguel Cervantez

uściaskał go jak pierwszym razem i donośnym głosem rzekł: - O kwiecie błednego rycerstwa! O jaśniejące światło oręża! O sławo i zwierciadło narodu hiszpańskiego! Niech Bóg Wszechmocny sprawi, zgodnie z formułą przysięgi, aby osoba czy osoby, które stanęłyby na wstręcie i przeszkadzały twojej trzeciej wyprawie, zapłatały się w labiryncie swoich pragnień i aby nigdy nie spełniły się ich najgorętsze życzenia. A zwracając się do gospodyni, rzekł:

- Pani gospodynio może zaprzestać już modlitw do św. Apolonii; wiem już dziś, że wolą sfer wyższych jest, by pan Don Kichote powrócił do wypełniania swych To dobrze (łac).

397 wysokich i nowych zamysłów, ja zaś obciążylibym ciężko sumienie, gdybym nie nakłaniał i nie przekonywał tego rycerza, aby już dłużej nie trzymał

na uwięzi i nie

powściągnął siły swego walecznego ramienia i dobroci swej najszlachetniejszej duszy, bowiem zwlekając, pozbawia praw pokrzywdzonych, opieki sieroty, czci dziewice, ochrony wdowy, pomocy białogłowy zamężne oraz inne podobne sprawy zaniedbuje, które dotyczą, obchodzą, zależą i są związane z zakonem błednego rycerstwa. Naprzód więc, panie Don Kichocie mój, piękny i dzielny, raczej dziś niż

jutro niech wasza miłość i wasza dostońcość do drogi się gotuje; jeśliby czego nie dostawało do spełnienia zamysłu, jestem oto gotów moją osobą i mieniem wam służyć; a gdyby zaszła potrzeba być giermkiem u waszej wspaniałości, uważałem to za najwyższe szczęście.

Na to Don Kichote, zwracając się do Sancza, rzekł:

- Czyż nie mówiłem ci, Sanczo, że na giermkach mi zbywać nie będzie? Patrz, kto ofiaruje swoje usługi, sam oto znamienity bakałarz Samson Carrasco, wieczny krotochwilnik i uciecha dziedzińców salamantéńskich szkół, zdrów na ciele, rzeski w ruchu, oszczędny w mowie, wytrzymały na zimno i upały, na głód i na pragnienie, ze wszystkimi przymiotami, jakie powinien mieć giermek błednego rycerza. Ale uchowaj Boże, abym dla zadowolenia mego rozwalał kolumnę piśmiennictwa i czarę wiedzy, abym ścinał wyniosłą palmę zacnych sztuk wyzwolonych. Niech nowy Samson pozostanie w swej ojczyźnie, a przydając jej sławy, niech zarazem okryje czcią siwe włosy rodziców swoich; mnie jakikolwiek giermek wystarczy, skoro Sanczo nie raczy jechać ze mną.

Ależ raczę! - zakrzyknął Sanczo wzruszony, z oczyma łez pełnymi, i tak ciągnął dalej:-Nie powiedzą o mnie, panie mój: zjadł chleb, a drużbę porzucił; nie pochodzę z rodu niewdzięczników; wiedzą bowiem wszyscy, a zwłaszcza w mojej wsi, kim byli Pansowie, od których się wywodzę, tym bardziej że poznałem i zgaduję z wielu dobrych czynów i z wielu dobrych słów, że jegomość pragnie mi łaskę okazać; i jeżeli wyciągnąłem sprawę mego wynagrodzenia, zrobiłem to dla przypodobania się mojej żonie; kiedy ona się na coś uweźmie, to żaden młotek tak obręczy na beczkę nie wbija, jak ona ci wbije w głowę, byś zrobił, co ona chce; ale w końcu mąż musi być mężem zaiste, a białogłowa białogłówą, a jako nie mogę zaprzeczyć temu, że jestem mężem wszędzie, chcę nim być i we własnym domu na złość każdemu. Zatem nic więcej nie zostaje do zrobienia, tylko spiszcie, jegomość, testament z kodycylem¹, tak aby go wywołać nie można było, i zaraz wybierajmy się w drogę, niech nie cierpi dusza pana Samsona, który prawi, że dusza każe mu namawiać waszą miłość do trzeciej wyprawy w świat; ja ponownie ofiaruję się służyć waszej miłości uczciwie i wiernie, równie dobrze i lepiej niż wszyscy giermkowie, którzy błędny rycerzom służyli w wiekach przeszłych i obecnych.

Bakałarz zdumiał się, słysząc wyrażenia i sposób mówienia Sanczo Pansy; chociaż czytał pierwszą część historii Don Kichota, nigdy nie przypuszczał, że był on tak ucieszny, jak go tam przedstawiono; ale usłyszawszy, jak mówił teraz o testamencie i kodycylu, którego nie można wywołać, zamiast o testamencie i kodycylu, którego nie można odwołać, uwierzył we wszystko, co czytał, i uznał go za najurokodyczyl - dodatek do testamentu, dotyczący osoby niebędącej spadkobiercą.

398 czystszego półgłówka naszych wieków, mówiąc sobie, że takich

dwóch szaleńców jak pan i pachołek świat nie oglądał.

W końcu Don Kichote i Sanczo uścisnęli się i pozostali nadal przyjaciółmi, a idąc za zdaniem i radą wielkiego Carrasco, który odtąd stał się im wyrocznią, postanowiono wyruszyć za trzy dni; przez ten czas miało przygotować wszystko, co potrzebne na drogę, oraz wyszukać hełm z przyłbicą, jaki Don Kichote chciał koniecznie zabrać z sobą. Samson ofiarował mu się, wiedząc, że pewien jego przyjaciel posiadał takowy i że mu nie odmówi, choć hełm był raczej szczeriąły od rdzy i od pleśni niż świecący czystą i jasną stalą. Nie zliczyć przekleństw, jakie gospo-

dyni i siostrzenica miotały na bakałarza, wydzierały sobie włosy, podrapały twarz i jak zawodowe płaczki lamentowały nad wyprawą swego pana, jakby nad jego skonem. Samson, namawiając Don Kichota do nowej wyprawy, miał na myśl plan, jaki ustalili z proboszczem i balwierzem, z którymi przódzi się porozumiał, o czym później mowa będzie. Wreszcie w ciągu trzech dni Don Kichote i Sanczo przygotowali wszystko, co zdało się im potrzebne, i Sanczo, uspokoiwszy swą żonę, a Don Kichote siostrzenicę i gospodynię, o zmierzchu, kiedy nikt ich nie widział prócz bakałarza, który chciał

ich odprowadzić pół mili za wioskę, skierowali się na drogę do Toboso - Don Kichote na swym poczciwym Rosyncanie, Sanczo na swym dawnym siwku, z dobrze zaopatrzonymi w żywność biesagami oraz z sakiewką pieniędzy, którą mu Don Kichote powierzył na wszelki wypadek. Samson uściiskał Don Kichota i zaklinał go, by mu donosił o swym dobrym i złym losie, aby jednym się radował, zaś drugim smucił, jak tego wymagają prawa przyjaźni. Don Kichote przyobiecał mu to, Samson powrócił do wsi, zaś tamci dwaj udali się do wielkiego miasta Toboso.

- ROZDZIAŁ ÓSMY

opowiada, co spotkało Don Kichota,
kiedy jechał odwiedzić panią - swoją,
Dulcynę z Toboso

Błogosławiony niechaj będzie wszechmocny Ałłach! - mówi Sidi Hamet Ben Engeli na początku tego ósmego rozdziału. - Błogosławiony niechaj będzie Ałłach! - powtarza po trzykroć i dodaje, że błogosławieństwa te wznosi, bo oto Don Kicho- te i Sanczo już wyruszyli w pole i czytelnicy tej miłej powieści mogą zdać sobie sprawę, że od tej chwili zaczną się przewagi i ucieczne historie Don Kichota i giermek- ka; zachęca ich, by przepomnieli dawne rycerskie przewagi "przemyślnego szlachcica" i oczy wytężyli na te, które się zdarzą i od razu zaczną się na tej drodze do

Toboso, jak tamte rozpoczęły się na równinie Montielu; niewielka to prośba, zważywszy, ile obiecuje, i tak ciągnie dalej, mówiąc: 399

Don Kichote i Sanczo pozostali sami, a zaledwie Samson się oddalił, Rosynant zaczął rżeć i siwek ryczeć, co obaj, tak rycerz jak giermek, poczytali za dobry znak i najszczęśliwszy omen; choć aby prawdę rzec, częstsze były poryki i zawodzenia siwka niż rżenia szkapy, stąd Sanczo wnosił, że jego szczęście znacznie prze-

kroczy i przewyższy powodzenie pana; czy opierał się w tym na jakiejś sobie znanej astrologii wróżbiarskiej, nie wiem, bo historia o tym nie mówi; często słyszano, jak

mówił, kiedy się potknął lub upadł, że bodajby był raczej z domu nie wychodził, takie potknięcie bowiem czy upadek kończył się podartym butem albo połamanymi żebrami; choć był głupi, ale nie tak od prawdy daleki. Don Kichote odezwał się:

- Sanczo, druhu, im dalej jedziemy, tym gębsza noc zapada, a coraz większemności utrudniają nam przybycie za dnia do Toboso, dokąd postanowiłem się udać, zanim jakkolwiek przygodę podejmę, tam otrzymam błogosławieństwo i przyzwolenie niezrównanej Dulcynei; z jej przyzwoleniem ufam i jestem pewien każdą niebezpieczną przygodę szczęśliwie zakończyć; nic bowiem w tym życiu tak nie zagrzewa błędnych rycerzy jak wiara w przychylność ich dam. - I ja tak myślę - odpowiedział Sanczo - ale uważam, że będzie jegomości bardzo trudno mówić z nią i widzieć ją na osobności, abyście mogli jej błogosławieństwo uzyskać, chyba że zechce je przerzucić przez ogrodzenie podwórca, gdzie ją pierwszy raz widziałem, kiedy to wręczałem jej list zawierający nowiny o wybrykach i szaleństwach, jakie jegomość wyczyniał w głębi Sierra Morena. - Ogrodzeniem podwórca wydawało ci się, Sanczo - rzekł Don Kichote miejsce, gdzie ujrzałeś ową nigdy dość nie wysłowioną urodę i piękność? Musiały to być raczej galerie, krużganki i podcienia, czy jak tam się zwą, bogatych i królewskich pałaców.
- Wszystko to być może - odparł Sanczo - ale mnie wydawały się ogrodzeniami, chyba że mię pamięć zawodzi.
- W każdym razie jedźmy tam, Sanczo - odrzekł Don Kichote - bylebym ją zobaczył, a wszystko mi jedno, czy przez ogrodzenie, czy przez okna, czy przez szpary, czy przez kraty ogrodów, byleby promień słoneczny jej piękności do oczu moich doszedł, umysł mój oświecił i serce me umocnił, abym stał się jednym i niezrównanym w mądrości i mąstwie.
- Jednak po prawdzie, panie - powiedział Sanczo - kiedy widziałem owo słońcepani Dulcynei z Toboso, nie było ono tak jasne, aby mogło jakieś promienie rzucać;

musi dlatego, że jak mówiłem, jej miłość wiała właśnie zboże i wielki kurz, jaki się podnosił, chmurą przed jej obliczem stanął i zaciemnił je. - Czy znów do tego powracasz, Sanczo? - rzekł Don Kichote. - Mówisz, myślisz, wierzysz i upierasz się,

Don Kichote - Miguel Cervantez

że moja pani Dulcynea przesiewała zboże? Wszak taka praca i zajęcie odbiega całkowicie od tego, co zwykły i powinny czynić osoby znakomite, powołane i stworzone do innych czynności i zajęć, które na strzał z kuszy zdradzają ich wysokie urodzenie!... Źle pamiętasz, o Sanczo, owe wiersze naszego poety, w których opiewa on czynności, jakim w swych kryształowych przybytkach oddają się cztery nimfy, które wyłoniwszy głowy z umiłowanego Tagu, zasiadły na zielonej łące, aby tkać drogocenne płótna, całe przeplatane złotem, jedwabiem 400 i perłami, jak nam ów przemyślny poeta opisuje. Taką też musiała być praca mej pani, kiedyś ją zobaczył; chyba że zawiść jakiegoś złośliwego czarodzieja, nieprzychylnego wszystkim sprawom, które mnie miłe być mogą, wypacza je i w rozmaity kształt przemienia, obawiam się przeto, że w owej opowieści o moich przewagach, która jak mówią, jest wydrukowana - jeżeli przypadkiem autor jest jakimś nieprzyjaznym mi czarodziejem - sprawy są wykoławione, zjedna prawdę zmieszanych jest tysiąc kłamstw, że zabawia się on opowiadaniem zdarzeń obcych prawdziwej historii. O zawiści, korzeniu nieskończonego zła, raku cnoty! Wszystkie wady, San-

czu, mają w sobie jakiś urok, jedynie zawiść przynosi tylko przykrości, urazy i wściekłość.

- To samo i ja powiadam - odrzekł Sanczo - i myślę, że w owej legendzie czy historii o nas, którą jak mówił - widział bakałarz Carrasco, musi mój honor, na wio i na hejta rozchwiany, niechlujnie walać się tu i tam po ulicach. Choć na słowo uczciwe nie rzekłem nic złego o żadnym czarowniku ani też nie posiadam takich dóbr, aby mi ich można zazdrościć. Prawda, że jestem krztyńcem złośliwy i mam pewne cechy nicponia; ale wszystko to pokrywa i otula wielki płaszcz mej prostoduszności, zawsze naturalnej, a zgoła nie sztucznej; i choćby tylko przez wzgląd na silną

i prawdziwą wiarę w Boga, jaką żywię, i w to wszystko, czego strzeże i do wierze- nia podaje św. Kościół katolicki rzymski, jak i na to, że jestem, jako żywo, śmiertel-

nym wrogiem Żydów, powinni by historycy mieć litość nad mną i oszczędzać mię w swoich pismach. Zresztą niech gadają, co chcą! urodziłem się gołym i goły jestem, nie tracę ani nie zyskuję, choćby mię w książce wsadzono i choćbym obiegał świat z ręki do ręki, figa to dla mnie, niech gadają o mnie, co im się podoba. - To mi, Sanczo, przywodzi na myśl - rzekł Don Kichote - co się zdarzyło pewnemu słynnemu poecie

naszych czasów. Ułożył on złośliwą satyrę na wszystkie dworskie damy lekkich obyczajów, opuściwszy bez wzmianki jedną, tak że nie wiadomo było, czy się do nich zalicza, czy nie; ta, widząc, że brak jej pośród innych na liście, żaliła się przed poetą, pytając, co by w niej dojrzał takiego, iż pomimo nał ją, i żądała, aby satyrę rozszerzył i pomieścił ją w dodatku, jeśli zaś tego nie uczyni, niechaj się ma na bacznosci. Poeta posłuchał i przedstawił ją niczym najgorsze stare plotkarki, ona jednak była zadowolona z rozgłosu, choć zniesławiona.

Podobnie przypomina mi to, co opowiadają o owym pasterzu, który podłożył ogień i spalił słynną świątynię Diany, uważaną za jeden z siedmiu cudów świata, jedynie po to, aby imię jego wieki przetrwało; i chociaż zakazano wymieniać imienia jego w słowie i w piśmie, aby życzeniu jego nie stało się zadość, wiemy wszelako, że zwał się Herostrat. Nie od rzeczy tu wspomnieć, co zdarzyło się wielkiemu cesarzowi Karolowi V z pewnym rzymskim szlachcicem. W Rzymie cesarz zapragnął zwiedzić ową sławną Świątynię Rotundy, która w starożytności zwała się Świątynią Wszystkich Bogów, a dziś znacznie stosowniej zwie się Świątynią Wszystkich Świętych. Jest to budynek najlepiej zachowany z wszystkich, jakie pogaństwo w Rzymie wzniósło, i który najlepiej przekazuje chwałę wspaniałości i wielkości swoich założycieli; ma kształt na wpół przekrojonej pomarańczy olbrzymich rozmiarów; jest bardzo jasna, choć światło przenika do wnętrza tylko przez jedno okno, a raczej okrągły otwór w jej szczycie. Przez nie oglądał cesarz ten budynek, mając 401 u swego boku pewnego rzymskiego szlachcica, który objaśniął mu mistrzostwo i przemyślność tego wiekopomnego arcydzieła architektury; kiedy odsunęli się od otworu, ten rzekł do cesarza: "Wasza Cesarska Mość! Po tysiąckroć nachodziła mię pokusa, aby objąwszy Waszą Cesarską Mość, rzucić się razem przez ten otwór w dół i zostawić po sobie wieczną sławę na świecie". "Dziękuję wam - odpowiedział cesarz - żeście tej niegodziwej myśli w czyn nie wcielili, odtąd już nie dam wam sposobności wystawiania na próbę lojalności waszej; zakazuję wam odzywać się do mnie oraz przebywać w mojej obecności". I po tych słowach obdarzył go sowicie. Chcę powiedzieć, Sanczo, że żądza zdobycia sławy jest zawsze bardzo żywym bodźcem. Jak sądzisz, co pchnęło Horacjusza, by w pełnej zbroi rzucił się z mostu w

tonie Tybru? Co kazało Mucjuszowi rękę i ramię w ogień włożyć? Co skłoniło Kurcjasza, by rzucił się w głęboką ognistą czelność, która się w pośrodku Rzymu otworzyła? Co, wbrew wszelkim przeciwnym wróżbom, kazało Cezarowi przejść Rubikon? Poszukajmy bardziej współczesnych przykładów. Któż to kazał dzielnym Hiszpanom, wiedzionym do Nowego Świata przez najdworniejszego Kortezu, przedziurawić okręty i porzucić je na mieliźnie, by odciąć się od swej ziemii? Te wszystkie i inne wielkie i różnorodne czyny są, były i będą dziełami chwały, której poszukują śmiertelnicy jako nagrody i udziału w nieśmiertelności, na jaką ich wspaniałe poczynania zasługują, atoli my, chrześcijanie, katolicy i błędni ryce-

rze, winniśmy raczej dążyć do chwały wieków przyszłych, która trwa wiecznie w eterycznych przestworzach nieba, aniżeli do próżnej sławy, jaką zdobyć można w obecnym marnym wieku; bo sława ta, choćby długotrwała, musi skończyć się wreszcie ze światem, któremu kres jest wyznaczony. A więc, Sanczo! Nasze czyny nie powinny przekraczać granicy zakreślonej nam przez religię chrześcijańską, jaką wyznajemy. Winniśmy w olbrzymach pokonywać pychę; zawiść zwalczać szlachetnością i dobocią serca, gniew opanowaniem i pogodą ducha, obżarstwo i ospałość wstrzemięźliwością w jadle i czuwaniem, rozpustę i rozwiązłość wiernością, jaką zachowamy wobec tych, które uczyniliśmy paniami myśli naszych, lenistwo wędrówką przez wszystkie części świata w poszukiwaniu przygód, które z nas mogą uczynić i uczynią nie tylko dobrych chrześcijan, ale i słynnych rycerzy. Oto, Sanczo, środki ku osiągnięciu największego rozgłosu, jaki dobra sława ze sobą przynosi.

- Wszystko, co mi wasza miłość dotąd powiedzieliście - rzekł Sanczo - rozumiałem doskonale, ale z tym wszystkim chciałbym, aby mi jegomość odwiązał pewną wątpliwość, jaka mi teraz do głowy przyszła.
- Rozwiązał, chciałeś rzec, Sanczo - powiedział Don Kichote. - Mów więc. Odpowiem, jak będę umiał.
- Powiedziecie mi, panie - ciągnął Sanczo - owi Juliusze czy Augusty i wszyscy owi rycerze dzielni, o których mówiliście, że pomarli, gdzie oni są teraz? - Poganie - odpowiedział Don Kichote - są bez wątpienia w piekle, chrześcijanie, o ile byli dobrymi chrześcijanami, są albo w czyścu, albo w niebie. - Doskonale - rzekł Sanczo - ale teraz chciałbym wiedzieć, zali u grobów, gdzie złożone są ciała owych panisków, wiszą lampy srebrne, czy ściany są ozdobione kulami chromych, całunami, długimi włosami, nogami i oczyma z wosku? A jeśli nie, czym są ozdobione? 402

Na to odpowiedział Don Kichote:

- Grobowce pogan były najczęściej wspaniałymi świątyniami; prochy Juliusza Cezara umieszczone były na kamiennej piramidzie niezwykłej wielkości, którą dziś w Rzymie nazywają Obeliskiem Św. Piotra, cesarzowi Hadrianowi za grobowiec służył zamek tak wielki jak dobra wieś, który dawniej zwała się Moles Hadriani - jest to dzisiejszy Zamek Św. Anioła w Rzymie; królowa Artemiza pochowała swego męża Mauzola w grobowcu, który uchodził za jeden z siedmiu cudów świata; ale żaden z tych grobowców ani żaden z wielu innych wystawionych pogonie nie był zdobny w całuny ani inne wota czy znaki, które by wskazywały, że pochowani w nich byli świętymi.
- Tum was czekał - odparł Sanczo. - Powiedzcie mi teraz, co więcej znaczy: wskrzesić zmarłego czy zabić olbrzyma?
- Odpowiedź jak na dłoni - odrzekł Don Kichote - oczywiście, że wskrzesić zmarłego.
- Złapałem was! - rzekł Sanczo. - Przeto sława tego, który umarłych wskrzesza, ślepym wzrok przywraca, chromych prostuje, chorym zdrowie daje i przed grobem którego płoną lampy, a kaplice jego pełne są ludzi pobożnych, którzy na klęczkach jego relikwie wielbią, jest większą sławą w tym i w przyszłym życiu niż ta, jaką pozostawili czy pozostawią wszyscy cesarze pogańscy oraz błędni rycerze, jacy tam byli na świecie?
- I ja tę prawdę wyznaję - odpowiedział Don Kichote.
- Jako przeto ta sława, te łaski, te przywileje, czy jak tam nazwiemy - odrzekł Sanczo - przywiązane są do ciał i relikwii świętych, którym za zgodą i pozwoleniem świętej naszej matki Kościoła przysługują lampy, świece, całuny, kule, obrazy, włosy, oczy, nogi, co wzmagia pobożność i powiększa ich chrześcijańską sławę; ciała czy relikwie świętych królowie noszą na swych barkach, całują kawałki ich kości, zdobią i wzbogacają nimi swe kaplice i swoje najbardziej czczone ołtarze...
- Co chcesz, abym wniósł z tego wszystkiego, coś powiedział, Sanczo? - zapytał Don Kichote.
- Chcę rzec - powiedział Sanczo - że powinniśmy zostać świętymi, a uzyskamy rychlej dobrą sławę, o jaką zabiegamy. Zważcie, panie, że wczoraj czy przedwczoraj (było to tak niedawno, że można w ten sposób rzec) kanonizowano czy beatyfikowano dwóch braciszków bosych i dziś za wielkie szczęście poczytuję sobie, którzy mogą ucałować czy dotknąć żelaznych łańcuchów, jakimi opasywali i umartwiali swe ciała, i w większej czci je mają niżli miecz Rolanda w zbrojowni

króla, pana naszego, którego niech Bóg zachowa. Dlatego, panie mój, lepiej być pokornym braciszkiem jakiegokolwiek zakonu niż dzielnym i błędnym rycerzem, więcej przed Bogiem mogą dwa tuziny uderzeń dyscypliną niż dwa tysiące pchnięć kopią wymierzonych czy to olbrzymom, czy strzygom, czy też endriagom. - Tak jest zaiste! - odpowiedział Don Kichote - ale wszyscy nie możemy być braciszkami i liczne są drogi, którymi Bóg swych wybranych ku niebu wiedzie.

Rycerstwo jest zakonem, święci rycerze zasiadają w chwale.

- A jakże - odpowiedział Sanczo - atoli słyszałem, iż więcej jest w niebie zakonników niż błędnych rycerzy. 403
- Tak jest - odpowiedział Don Kichote - większa bowiem jest liczba zakonników niż błędnych rycerzy.
- Wielu jest błądzących - rzekł Sanczo.
- Wielu - odparł Don Kichote - ale niewielu, którzy zasługują na miano rycerzy.

Na takich i tym podobnych rozmowach zeszła im noc i dzień następny i nie zdarzyło się nic, o czym wspomnieć by warto, co niemało martwiło Don Kichota. Wreszcie na drugi dzień w przedwieczerni ujrzały wielkie miasto Toboso, którego widok rozradował ducha Don Kichota, a zasmucił Sancza, nie wiedział on bowiem, gdzie się znajduje dom Dulcynei, ani jej w życiu całym nie widział, podobnie jak nie widział jej pan jego; więc obaj byli niespokojni, jeden, bo miał ją zobaczyć, drugi,

bo jej nie widział, i Sanczo nie wyobrażała sobie, co zrobi, kiedy pan go do Toboso wyśle. W końcu Don Kichote postanowił wejść do miasta z nastaniem nocy i czekając stosownej pory, zatrzymali się w dębinie w pobliżu Toboso, w oznaczonym czasie zaś wjechali do miasta, gdzie zaszły rzeczy nie byle jakie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

który opowiada o tym, co zobaczymy Pół-

ólnoc właśnie była mniej więcej, kiedy Don Kichote i Sanczo opuścili las i wjechali do Toboso. Wieś leżała pograniona w spokojnej ciszy, bowiem wszyscy jej mieszkańców odpoczywali, śpiąc jak kamień, jak zwykło się mówić. Noc była widna, choć Sanczo radziej wolałby całkiem czarną, by w ciemności znaleźć wymówkę dla swej głupoty. W całej miejscowości słyszać było jeno szczenię psów, które drażniło uszy Don Kichota, a serce Sancza napełniało trwogą. Od czasu do czasu zaryczał osioł, chrząkały wieprze, miauczały koty, a głosy te różnorodnego dźwięku wzmagala cisza nocna; wszystko to zakochany rycerz poczytywał za złą wróżbę, ale mimo to rzekł do Sancza:

- Sanczo, synu, prowadź do pałacu Dulcynei; może zastaniemy ją jeszcze czuwającą.

- Do jakiego pałacu mam prowadzić, do diaska - odpowiedział Sanczo - tenbowiem, w jakim widziałem jej wysokość, był tylko bardzo mizernym domkiem. - Musiała się podczas usunąć - odrzekł Don Kichote - do jakiegoś małego ustronia swej rezydencji, zabawiając się w samotności z dworkami, jak to jest w zwyczaju wielkich pań i księżniczek.
- Panie - rzekł Sanczo - jeśli już wasza miłość chcecie tak koniecznie (mnienia przekór), aby dom pani Dulcynei był pałacem, to czyż o tej porze uda nam się znaleźć otwartą bramę? I czyż przystoi kołatać, aby nas usłyszano i otwarto nam?

404

Wszystkich ludzi zaniepokoimy, narobiwszy hałasu. Czyliż to może dobijamy się do domu naszych miłośnie, jak czynią rozpustnicy, którzy nachodzą, kołaczą i włażą o każdej porze, choćby nie wiem jak późno?

- Znajdźmy w każdym razie najpierw ten pałac - rzekł Don Kichote - a wówczas powiem ci, Sanczo, co nam czynić wypada. Patrz, Sanczo, albo źle widzę, albo ów budynek wielki i ciemny stąd widoczny musi być pałacem Dulcynei. - Prowadźcie przeto, wasza miłość - odrzekł Sanczo - może i tak jest, ale choćbym go na własne oczy ujrzał i rękomą dotknął, jeszcze nie uwierzę, jak nie uwierzę, że teraz jest dzień. Don Kichote ruszył przodem i nie ujechawszy i dwieście kroków, natknął się na budynek, który cień rzucał. Ujrzał wysoką wieżę i od razu poznał, że gmach ten to nie pałac żaden, jeno kościół parafialny wioski. - Trafiliśmy na kościół, Sanczo.
- Ano widzę - odpowiedział Sanczo. - Dałby Bóg, aby nie na nasz grób. Niedobry to znak włóczyć się o tej porze po cmentarzach, tym bardziej że o ile sobie dobrze przypominam, mówiłem jegomości, iż dom owej pani miał być w jakimś zaułku.
- Niech cię Bóg przeklnie, półgłówku! - zawałał Don Kichote. - Gdzieś tywidział, aby przybytki i pałace królewskie były budowane w zaułkach? - Panie - odpowiedział Sanczo - co kraj, to obyczaj; może tu w Toboso zwykli budować w zaułkach pałace i gmachy. Dlatego błagam jegomości, pozwólcie mi przeszukać te ulice i te oto zaułki; być może, w jakimś zakątku natknę się na ów pałac, aby psy go pożarły, tyle nam bieganiny i kłopotów sprawia!
- Wyrażaj się z uszanowaniem, Sanczo, o rzeczach mojej pani - rzekł Don Kichote. - Święćmy święto w pokoju i nie rzucajmy za wiadrem powroza! - Będę się pilnował - odparł Sanczo - ale krew mię zalewa, kiedy jegomość chce, abym raz tylko

zobaczywszy dom naszej pani, zapamiętał go na zawsze i znalazł nawet o północy, kiedy wasza miłość nie znachodzi go, choć musielicie go widzieć po tysiąckroć.

- Doprowadzisz mię do rozpaczki, Sanczo - rzekł Don Kichote. - Pójdźże, heretyku, zali ci nie mówiłem po tysiąc razy, że w całym mym życiu nie widziałem nieporównanej Dulcynei ani nie przekroczyłem progu jej pałacu i że rozmiłowałem się jeno ze słyszenia i dla wielkiej sławy jej gładkości i mądrości? - Pierwszy raz słyszę - rzekł Sanczo - i powiem, że jako jegomość nigdy jej nie widzieliście, ja jej również nie oglądałem.
- To niemożliwe - odpowiedział Don Kichote - wszakże przynajmniej mówiłeś, że widziałeś ją wiejącą zboże, kiedyś mi przyniósł odpowiedź na list, jaki przez ciebie wysłałem.
- Nie turbujcie się tym, panie - odpowiedział Sanczo - musicie wiedzieć, żemoje oglądanie i odpowiedź, jaką przyniosłem, była także ze słyszenia; tak bowiem wiem, kto jest pani Dulcynea, jak pięścią w niebo grzmotnąć. Czyli: nie traćmy nadziei.

405

- Sanczo, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - jest czas na żarty i czas, kiedy żarty ustać muszą i są niestosowne. Jeśli ja mówię, że nie widziałem jej ani nie mówiłem z panią mojej duszy, nie musisz i ty gadać podobnie, żeś z nią nie rozmawiał ani jej nie widział, wiesz bowiem dobrze, że to nieprawda.

Kiedy tak rozmawiali obaj, ujrzaли przechodzącego koło nich jakiegoś człeka z dwoma mułami. Po szczęku płyga wleczonego po ziemi poznali, że musi to być rolnik, który wstał przed świtem do pracy; tak też było istotnie. Rolnik zbliżył się, śpiewając starą romancę: Nieszczęsna was dola spotkała, Francuzi od Ronsewalem.

- Niech mnie zabiją! - rzekł, usłyszawszy to, Don Kichote - jeśli nas co dobrego spotka tej nocy. Czy nie słyszysz, co śpiewał ten wieśniak? - Słyszę dobrze - odpowiedział Sanczo - ale co ma do naszej sprawy pościg ronsewalski? Równie dobrze mógł śpiewać romancę o Kalainosie, na jedno by to wyszło, jeśli chodzi o dobry czy zły obrót naszej sprawy. Tymczasem wieśniak się przybliżył, a Don Kichote zapytał go:
- Czy moglibyście mi rzec, przyjacielu, niech wam Bóg szczęście zdarzy, gdzietutaj są pałace nieporównanej księżniczki, pani Dulcynei z Toboso?
- Panie - odparł parobek - jam nietutejszy i od kilku dni zaledwie w tej wiosce jestem na służbie u bogatego wieśniaka do robót w polu, ale w tym domu naprzeciw

mieszka proboszcz i zakrystian tutejszy; obaj albo któryś z nich będzie mógł waszej miłości udzielić wieści o owej pani księżniczce, mają bowiem spis wszystkich mieszkańców Toboso; choć mnie się wydaje, że w całej wiosce żadna księżniczka nie mieszka; są liczne damy, tak dostojarne, że każda z nich może być księżniczką w swoim domu.

- Pośród nich - rzekł Don Kichote - musi być, przyjacielu, ta, o którą cię pytam.
- Może to być - odpowiedział parobek - ostańcie zdrowi, bo oto już dnieje. i popędził muły, nie czekając na dalsze pytania. Sanczo, widząc, że pan jego jest zakłopotany i bardzo niezadowolony, rzekł:
- Panie, oto dzień się zbliża coraz większy i nie byłoby wskazane, aby nas słońce zastało na ulicy. Lepiej będzie, jeśli wyjedziemy z miasta. Jegomość niech ukryje się w jakimś pobliskim lesie, ja zaś powróć po dniu i do ostatniego zakątka prze- trząsnę całą miejscowościę, szukając domu, przybytku czy pałacu mojej pani, bylbym zbyt nieszczęśliwy, gdybym go nie znalazł; znalazlszy zaś, rozmówię się z jej miłością i powiem, gdzie i jak oczekuje jegomość w nadziei, że wyznaczycie wam spotkanie i poda sposób, jak by ją widzieć można bez uszczerbku dla jej czci i sławy.
- Wypowiedziałeś, Sanczo - rzekł Don Kichote - tysiąc zacnych myśli zamkniętych w kręgu krótkich słów; zgadzam się i przyjmuję z największą ochroną radę, jaką mi dałeś. Pójdz, synu, i jedźmy poszukać dla mnie ukrycia, ty zaś powrócis, jak rzekłeś, aby odnaleźć, zobaczyć moją panią i pomówić z nią; po jej mądrości i dworności oczekuję przedziwnych dobrodziejstw. 406

Sanczo starał się usilnie odciągnąć swego pana od wsi, aby nie wyszło na jaw kłamstwo odpowiedzi, jaką przywiózł od Dulcynei do Sierra Morena. Naglił więc do wyjazdu i zaraz ruszyli. O dwie mile od wioski znaleźli las czy gaj, gdzie ukrył się Don Kichote, podczas gdy Sanczo zawrócił do miasta na rozmowę z Dulcyneą. W czasie tej misji zaszły rzeczy wymagające nowej uwagi i wiary. ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

który opowiada o wybiegu, jakiego użył Sanczo, by zakłacić panią Dulcyneę, oraz o innych wypadkach zarówno

pociesznych, jak prawdziwych

Autor tej długiej historii, doszedłszy do opowiadania zawartego w tym rozdziale, nadmienia, że rad by go pominąć milczeniem z obawy, iż mu wiary nie dadzą; szaleństwa Don Kichota doszły tu bowiem do kresu i ostatecznych granic, jakie sobie wyobrazić można, a

Don Kichote - Miguel Cervantez

nawet o dwa strzelenia z kuszy przekroczyły największe. W końcu, choć z taką obawą i zahamowaniem, spisał je w ten sam sposób, jak popełniał je Don Kichote, nie dodając ani nie ujmując z opowieści ani atomu prawdy i nic sobie nie robiąc z zarzutów kłamstwa, jakie go spotkać mogły; i miał słuszność, bowiem prawda łagodzi, a nie psuje, i zawsze na wierzch kłamstwo wypływa jak oliwa na wodę. Ciągnąc przeto dalej swą historię, opowiada, że Don Kichote, skoro tylko ukrył się w gaju, dębinie czy lesie w pobliżu wielkiego Toboso, polecił Sanczowi zawrócić do miasta i nie jawić się przed jego obliczem, zanim nie rozmówią się w jego imieniu z jego panią i nie uprosi jej, aby raczyła ukazać się swemu niewolnemu rycerzowi i zechciała udzielić mu błogosławieństwa, by mógł spodziewać się najszczęśliwszych osiągnięć we wszystkich zamierzeniach i trudnych przedsięwzięciach. Sanczo przyrzekł wypełnić wszystko wedle zlecenia i przynieść mu taką dobrą odpowiedź, jak za pierwszym razem.

- Idź, synu - odparł Don Kichote - i nie zmieszaj się, kiedy staniesz w świetle słońca tej piękności, której idziesz szukać. O najszczęśliwszy z wszystkich giermków świata! Zapamiętaj i nie przepomnij, jak ciebie przyjmie; czy zmieni się i za- płoni, kiedy zdawać jej będziesz sprawę z twego poselstwa; czy wzruszy się, i zmie-

sza, usłyszawszy me imię; czy opadnie na poduszki, jeśli przypadkiem znajdziesz ją siedzącą na bogatym podwyższeniu, jakie jej godności przystoi; a jeśli zastaniesz ją stojącą, zważ, czy przestępować będzie z nogi na nogę; czy odpowiedź, jaką ci da, powtórzy dwa lub trzy razy; czy ją zmieni z uprzejmiej na szorstką, czy z cierplkiej na czułą; czy podniesie rękę do włosów, aby je poprawić, choćby nie były w nieładzie; wreszcie, synu, bacz pilnie na wszystkie jej czynności i poruszenia.

Jeśli bowiem dokładnie mi z nich zdasz sprawę, wywniosuję z tego, co kryje ona 407 w tajni swego serca i co miłości mej

dotyczy. Musisz, Sanczo, wiedzieć, o ile nie

wiesz, że między kochankami czynności i poruszenia zewnętrzne, okazywane, kiedy o miłość ich chodzi, są najpewniejszymi posłańcami niosącymi wieść o tym, co się w głębi duszy dzieje. Idź, przyjacielu, i niech cię wiedzie los szczęśliwszy od

mego, wracaj z lepszym wynikiem, niż się spodziewam, i z trwogą oczekuję w tej gorzkiej samotności, w jakiej mię zostawiasz.

- Pojadę i wrócę rychło - rzekł Sanczo - a jegomość, panie mój, rozszerzcieowo serduszko, które teraz nie większe od orzeszka być musi, zważcie, że zwykło się mówić: dzielne serce przeciwności przełamuje, a gdzie nie ma słoniny, tam nie ma i haka, i że podobnie mówi się: zając wyskakuje, skąd się nie spodziewasz. Powiadam to, bowiem jeżeli tej nocy nie znaleźliśmy pałaców czy przybytków mej pani, teraz kiedy jest dzień, myślę je znaleźć, gdy najmniej się spodziewać będę; znalazlszy zaś, dam sobie z nią radę.

- Zaiste, Sanczo - rzekł Don Kichote - zawsze stosujesz przysłowia tak właściwe do tego, o czym mówimy, aby Bóg podobnie mi poszczęścił w moich życzeniach.

Po tych słowach Sanczo zawrócił - i popędził siwka, a Don Kichote pozostał na koniu, wyciągnięty w strzemionach, oparty na drzewcu swej kopii, pełen smutnych i pomieszanych myśli. Zostawmy go, udając się z Sanczo Pansą, który nie mniej pomieszany i zadumany oddalił się precz od swego pana. Ledwie z lasu wyjechał i odwróciwszy głowę, spostrzegł, że Don Kichota już nie widać, zeskoczył z osła i usiadłszy pod drzewem, tak zaczął do siebie gadać i rozprawiać: "Zastanówmy się teraz, bracie Sanczo, dokąd to wasza miłość zmierza? Czy na poszukiwanie osła, który się zagubił? - Zaiste nie. - Tedy czego szukacie? - Jadę szukać wielkiego Nic, jak by ktoś powiedział, księżniczki, a w niej słońca i zarazem całego nieba piękności. - I gdzież myślicie znaleźć to, o czym mówicie, Sanczo?

- Gdzie? W wielkim mieście Toboso. - To dobrze, a od kogo jedziecie jej szukać? - Od sławnego rycerza Don Kichota z Manczy, który krzywdy prostuje, spragnionych karmi i głodnych poi. - To wszystko wyśmienicie; a wiecie, gdzie jej dom, Sanczo? - Mój pan powiada, że muszą to być jakieś królewskie pałace lub jakieś wspaniałe przybytki. A czyście ją kiedy przypadkiem widzieli? - Ani ja, ani pan mój nie widzieliśmy jej nigdy. - A czy wam się nie zdaje, że byłoby słuszne i sprawiedliwe, gdyby tobosańczycy, dowiedziawszy się, iż przybyliście tu wykradać ich księżniczki i niespokoić ich damy, przyszli żebra wam wymłocić porządnymi kijami, nie zostawiając ani jednej zdrowej kosteczki? - Zaiste, mieliby zupełną rację, gdyby nie zwrócili uwagi, żem jest wysłańcem i że:

; Posłem jesteś, przyjacielu, .. ,
Nie ponosisz żadnej winy.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Nie ufajcie zbytnio temu, Sanczo, bowiem ludzie manczeńscy są zarówno porywczymy, jak honorni i nie lubią, gdy się ich łaskocze. Zawaruj Bóg! Niechby was wysle- dzili ino, mielibyście się z pyszna. - Tam do licha, taki synu! A toś się wkopał! Mam- -li szukać trzech łap u kota dla czyjejś zachcianki! Co więcej! Szukać Dulcynei 408 w Toboso to tak, jakby szukać Maryki w

Rawennie albo bakałarza w Salamance! 1 Czart

to, a nie kto inny, sam czart mię w to wplątał!"

Po takim ze sobą samym monologu Sanczo doszedł do następnego wniosku: "Dalibóg! Na wszystko jest sposób krom śmierci, pod jarzmo której wszyscy przejść musimy, choć wbrew woli, pod koniec życia. Ten mój pan, jak z tysiąca oznak poznalem, jest szaleńcem godnym związania, a ja również nie pozostaję w tyle, je- stem bowiem jeszcze bardziej pomylony, chodząc za nim w krok i służąc mu, jeżeli prawdę powiada przysłowie: Powiedz mi, z kim przestajesz, powiem ci, kim jesteś, inne zaś: Nieważne, kim się rodzisz, ale z kim się wodzisz. Przeto jeśli on jest takim

szaleńcem, jak jest, i jako to szaleństwo każe mu nieraz brać jedne rzeczy za drugie, białe za czarne, a czarne za białe, jak się okazało, kiedy poczytywał wiatraki za ol- brzymów, a mulice zakonników za wielbłądy, kierdele owiec za wojska nieprzyjacielskie oraz inne liczne podobne rzeczy, nie będzie mu trudno wmówić, że jakaś pierwsza lepsza chłopka, jaką tu spotkam, jest panią Dulcyneą; kiedy nie uwierzy,

przysięgnę; kiedy on przysięgać będzie, że nie, znów przysięgnę, że tak; a jeśli upierać się będzie, ja uprę się jeszcze bardziej, tak że moje zawsze będzie na wierz- chu i niech się dzieje, co chce. Może przez ten upór uzyskam, że mię już po raz drugi w podobnym poselstwie nie wyprawi, widząc, jakie bąki strzelam. A może pomyśli, jak sobie wyobrażam, że jakowyś złośliwy czarodziej, z tych co mu źle życzą, jak mówi, odmienił jej postać jemu na złość i na szkodę". Na myśl o tym Sanczo Pansa uspokoił swego ducha i uważał sprawę za załatwioną. Zatrzymał się na tym miejscu aż do popołudnia, aby Don Kichote uwierzył, że w tym czasie dojechał i powrócił z Toboso. Wszystko powiodło mu się dobrze, bo kiedy podniósł się, aby wsiąść na siwka, ujrzał, że od Toboso ku niemu zbliżają

się trzy wieśniaczki na trzech osłach czy też oślicach, czego autor bliżej nie określa, choć raczej sądzić można, że były to oślice służące zazwyczaj wieśniaczkom za wierzchowce; ale ponieważ niewiele na tym zależy, nie lza czasu tracić na

sprawdzanie. Krótko mówiąc, zaledwie Sanczo ujrzał wieśniaczki, wyciągniętym klusem zawrócił do swego pana Don Kichota. Znalazł go wzdychającym i wygłaszającym tysiączne miłosne lamenty. Ujrzawszy go, Don Kichote zapytał:

- Cóż więc, przyjacielu Sanczo? Białym czy czarnym kamykiem oznaczyć mamten dzień?
- Lepiej - odrzekł Sanczo - niech jegomość zapisze na czerwono, jak ogłoszenia uniwersyteckie, aby lepiej wszystkim były widoczne. - Przeto dobre przynosisz nowiny? - zapytał Don Kichote.
- Tak dobre - odpowiedział Sanczo - że przystoi jedynie waszej miłości spiąć Rosynanta i wyjechać na równinę, aby ujrzeć panią Dulcyneę z Toboso, która z dwiema dworkami nadjeżdża naprzeciw jegomości.
- Święty Boże! Cóż mi powiadasz, Sanczo? - rzekł Don Kichote. - Bacz, abyśmię nie zwodził i nie chciej omylną radością rozpraszać mych prawdziwych smutków.
- Cóż bym zyskał, zwodząc waszą miłość? - odpowiedział Sanczo - zwłaszcza że tak blisko można odkryć, czy mówię prawdę? Dodajcie, panie, ostrogi i by-Przysłowiowe wyrażenia obrazujące daremne szukanie.

409

wajcie, a ujrzycie, jak zbliża się księżniczka, pani nasza, strojna i zdobna, no tak, jaka powinna być.
Jej dworki i ona, wszystkie jaśnieją od złota, całe w jedwabiach

perłami usianych, całe w diamentach, całe w rubinach, całe w złotogłówach na dziesięć palców grubych; włosy ich na ramiona puszczone są jak słońca promienie igrające z wiatrem; a nade wszystko jadą na trzech murzynkach srokatych, które zobaczyć warto.

- Mierzynkach rzec chciałeś, Sanczo.
- Niewielka to różnica - odpowiedział Sanczo - murzynki czy mierzynki, niech sobie jadą, na czym chcą, są to najwytworniejsze damy, jakie wyobrazić sobie można, a szczególnie księżniczka Dulcynea, pani moja, zmysły uwodzi.
- Jedźmy, Sanczo synu - odpowiedział Don Kichote - a jako zapłatę za te niespodziewane, a tak dobre wieści dam ci najlepszy łup w pierwszym mym spotkaniu zdobyty, a jeśli ci to nie dość, dam ci żrebięta, jakich w tym roku oczekuję od trzech moich klaczy, które jak wiesz, niebawem mają się ożrebić na gminnym

pastwisku. - Wystarczą mi żrebięta - odpowiedział Sanczo - nie jestem bowiem zbyt pewien, czy łup waszego pierwszego spotkania wart coś będzie.

Tymczasem wyjechali z lasu i ujrzeli blisko trzy wieśniaczki. Don Kichote objął wzrokiem całą drogę z Toboso, a widząc jedynie trzy chłopki, zmieszał się srodze i zapytał Sanczo, czy daleko za miastem zostawił damy.

- Jak to, daleko od miasta? - odpowiedział Sanczo. - Czy jegomość macie możeoczy na karku i nie widzicie, że oto one są te, które się zbliżają, jaśniejące jak samo słońce w południe?
- Widzę jedynie, Sanczo - rzekł Don Kichote - trzy wieśniaczki na trzech klapouchach.
- A niechże mię Bóg bronii od diabła! - zakrzyknął Sanczo. - Czyż możliwe, aby trzy mierzynki, czy jak się tam zwą, białe jak śnieg, wydawały się jegomości klapouchami? Na żywy Bóg! Wyrwałbym sobie włosy z brody, gdyby to prawda była.
- Wszakoż mówię ci, przyjacielu Sanczo - rzekł Don Kichote - że jakem Don Kichote, a ty Sanczo Pansa, tak są to osły czy oślice, a przynajmniej takimi mnie się wydają.
- Zamilczcie, panie - rzekł Sanczo - nie wymawiajcie takiego słowa. Przetrzyjcie jeno dobrze oczy i pójdzcie się pokłonić pani waszych myśli, która właśnie się zbliża.

To rzekłszy, pośpieszył na przyjęcie trzech wieśniaczek, zsiadł z siwka i pochwyciwszy za uzdę wierzchowca jednej z trzech dziewczek, upadł przed nią na kolana i rzekł:

- Królowo i księżniczko, i włościni piękności! Niechaj wasza wysokość i dostońność raczy przyjąć do łaski swej i życzliwości niewolnego rycerza waszego, który zamienił się jakby w marmur, zmieszany i bez tchu, znalazlszy się przed wspaniałą oblicznością waszą. Jam jest Sanczo Pansa, jego giermek, on zaś jest wiecznie błędzący rycerz Don Kichote z Manczy, zwany inaczej Rycerzem Smętnego Oblicza. W tej chwili już i Don Kichote ukląkł obok Sanczo i nieprzytomnym obłędnym wzrokiem wpatrując się w tę, którą Sanczo nazwał królową i panią, a widząc 410

przed sobą jeno dziewczkę wiejską, bynajmniej nie urodziwą, pyzatą, o spłaszczonym nosie, osłupiał i zdumiał się, nie śmiejąc ust otworzyć. Wieśniaczki również zgłupiły, widząc owych dwóch tak różnych ludzi na kolanach, którzy nie pozwalali ruszyć się ich towarzyszce; ta zaś, przerywając milczenie, rozezłona i zniecierpliwiona, huknęła:

- Wynocha! Precz z drogi! Puśćcie nas, bo nam spieszno.

Na to Sanczo odpowiedział:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- O księźniczko i pani wszechwładna Toboso! Zali nie wzruszy się wasze wielkoduszne serce, widząc klęczącą w waszej najwznioślejszej obliczności kolumnę i podporę błędnego rycerstwa? Usłyszawszy to, inna z dwu dziewczek wrzasła:

Hej! Jak cię zamaluję, kulawy osłe mego teścia! Patrzajcie, jak ci pankowieżarty sobie z chłopek stroją, jakbyśmy to nie umiały przedrzeźniać jak oni, niech swoją drogą idą, a nam naszą jechać pozwolą, jeśli chcą wyjść cało! - Wstań, Sanczo - rzekł na to Don Kichote - widzę, że los nieszczęścia mego niesyty legł na wszystkich drogach, którymi mogłoby pocieszenie jakieś przyjść ku tej nieboraczce duszy, jaką w ciele noszę. A ty! Najwyższa wartości, jakiej zaprägnąć można, szczycie ludzkiego uroku, jedyny leku tego strapionego serca, które cię uwielbia! Choć mię złośliwy czarodziej prześlada i oczy me zakrył chmurą i bielmem i przez to, a nie dla czego innego odmienił i przeobraził twą niezrównaną gładkość i oblicze w twarz lichej chłopki, o ile podobnie i mego nie odmienił wjakówś straszydło, aby uczynić je wstrętnym dla twych oczu, nie przedstawaj patrzeć na mnie łaskawie i miłośnie i upatrywać w tym poddaniu i uniżności dla twej oszpeconej urody pokory, z jaką cię dusza moja wielbi. - Bywaj, dziadku! - zawała wieśniaczka. - Lubię ja takich bzdur słuchać!

Zabierajcie się i puścicie nas, a powiemy dziękuję.

Odsunął się Sanczo i przepuścił je, okrutnie zadowolony, że się tak wykręcił ze swego oszukaństwa. Zaledwie wieśniaczka, domniemana Dulcynea, ujrzała się wolną, dźgnąwszy swą "murzynkę" kolcem osadzonym na patyku, pomknęła przez łąkę. Oślica zaś, poczuwszy oścień ostrzej niż zazwyczaj, zaczęła wierzgać tak, że panią Dulcyneę na ziemię zwaliła. Na ten widok Don Kichote podbiegł, by ją podnieść, zaś Sanczo chciał poprawić i ściągnąć popręgi terlicy, która przekręciła się pod brzuch oślicy. Ledwie poprawiono terlicę, a Don Kichote miał unieść w ramionach swych zaczarowaną panią na siodło, ta, podniósłszy się z ziemi, oszczędziła mu tego trudu, gdyż cofnawszy się nieco, wzięła rozmach i wsparłszy się obiema rękoma o grzbiet oślicy, lżejsza niż sokół, jednym rzutem ciała wskoczyła na siodło i siadła okrakiem po męsku; na to rzekł Sanczo:

- Na Rocha! Nasza pani lżejsza od raroga, mogłaby lekkiej jazdy uczyć najzręczniejszego kordobańczyka albo i Meksykanina! Tylny łęk skokiem przesadziła i bez ostróg pędzi mierzynka jak zebrę. A tamte jej dziewczki nie zostają w tyle, wszystkie pędzą jak z wiatrem.

I to była prawda: ujrzała Dulcyneę na siodle, wszystkie dały bodźca i pędem znikły, nie odwracając głowy przez więcej niż pół mili. Don Kichote wiódł za nimi wzrokiem, a kiedy już widać ich nie było, wrócił się do Sancza i rzekł:

- Sanczo, widzisz, jak nienawidzą mnie czarownicy? Patrz, dokąd sięga ich złość i niechęć ku mnie, pozbawili mnie nawet radości, jaką mi dać mogło oglądanie mej pani w jej własnej postaci. Zaiste, urodziłem się, aby być przykładem nieszczęśliwych, celem i tarczą, w które godzą ibiją pociski złego losu. I zważ również, Sanczo, że nie zadowolili się owi zdrajcy zmianą i przeistoczeniem mej Dulcynei, ale przemienili ją i przeobrazili w postać tak nikczemną i tak szkaradną jako owa chłopka, a w dodatku pozbawili ją tak istotnej cechy wielkich dam, jaką jest woń dobra, ciągle bowiem chadzają jakby wśród ambry i kwiatów. Muszę ci zaś rzec, Sanczo, że kiedy zbliżyłem się, aby Dulcyneę podnieść na mierzynka (jak mówisz, który mnie się zdawał oslicą), uderzył mię cuch surowego czosnku, który zamroczył i zatrął mi duszę.
- A szelmy! - krzyknął na to Sanczo. - O czarnoksiężnicy przeklęci i złośliwi! O, gdybym was tak ujrzał wszystkich nawleczonych przez skrzela jak sardynki na rożen! Wiele umiecie, wiele możecie i wiele złego wyrządziecie. Mało wam, łajdaki, żeście perły oczu mojej pani zamienili na dębowe galasówki1, jej włosy z najczystsze złota w szczecinę ogona rudego wołu, całę jej gładkość w szkaradę, a do tego nie oszczędziliście jej woni; może jej śladem odkrylibyśmy, co się pod tą szpetną powłoką kryje; choć prawdę mówiąc, ja nie widziałem wcale jej brzydoty, jeno gładkość, którą podnosiła jeszcze o kilka karatów brodawka, jaką miała nad prawą wargą, coś jakby wąs z siedmioma czy ośmioma włosami jak złote nici, dłuższe niż dłoń.
- Co do tej brodawki - rzekł Don Kichote - to wedle zgodności, jaka zachodzi między znamionami oblicza i ciała, musi Dulcynea mieć taką samą na pośladku, który odpowiada danej stronie twarzy; ale jak na znamię, to włosy, o których mówileś, wydają mi się zbyt długie.
- Mogę tylko zapewnić waszą miłość - odpowiedział Sanczo - że tam wydawały się w sam raz.
- Wierzę ci, przyjacielu - odparł Don Kichote - natura bowiem nie dała Dulcynei żadnej rzeczy, która by nie była doskonała i wykończona, tak więc gdyby nawet miała sto znamion, jak powiadasz, w niej nie byłoby to znamiona, jeno miesiące i gwiazdy jaśniejące. Ale powiedz mi, Sanczo, to, co mnie wydało się terlicą, którą ty poprawiałeś, czy było to siodło płaskie, czy z oparciem?
- Było to siodło arabskie z dwoma łykami, z czaprakiem podróżnym, wartościowo królestwa, tak było bogate.
- Ach, czemuż tego wszystkiego nie oglądałem, Sanczo! - rzekł Don Kichote.

- Mówię teraz i po tysiąckroć powtarzam, że jestem najnieszczęśliwszym z ludzi. Hultaj Sanczo musiał dobrze nad sobą panować, aby nie parskać śmiechem, słysząc brednie swego pana tak zręcznie oszukanego. Wreszcie, pogadawszy jeszcze mało wiele z sobą, wsiedli znów na wierzchowce i udali się w drogę ku Saragossie, gdzie spodziewali się dojechać na czas, aby wziąć udział w uroczystościach, jakie w tym mieście co roku się odbywają. Ale zanim tam dojechali, wydarzyły się im przygody, które jako liczne, ważne a nowe zasługują na zapisanie i czytanie, jak się niebawem okaże.
- galasówka- narośl na roślinach; galas. 412

ROZDZIAŁ JEDENASTY

o dziwnej przygodzie, jaka zdarzyła się dzielnemu Don Kichotowi z Manczy z wozem czy kolasą Sejmu Śmierci

Don Kichote jechał dalej przed siebie srodze zamyślony, dumając nad nieczną psotą czarnoksiążników, którzy zamienili jego panią Dulcyneę w szpetną postać chłopki. I nie wyobrażała sobie, jakie by lekarstwo znaleźć, aby ją do pierwotnego stanu przywrócić. Te myśli tak go pochłonęły, że nie zdając sobie sprawy, popuścił wodze Rosynantowi, który czując swobodę, jakiej mu zwolono, zatrzymywał się co krok, skubiąc zieloną trawę, obfitą na owych polach. Z tej zadumy wyrwał go Sanczo Pansa, mówiąc:

- Panie, smutki nie są stworzone dla bydląt, ino dla ludzi; ale kiedy się ludziezbytnio im poddają, stają się bydlętami; opanujcie się jegomość, i opamiętajcie, ściągnijcie wodze Rosynanta, ocknijcie się i obudźcie, okażcie mestwo, jakie ryce-

rzom błędny przystoi. Cóż u diabła? Cóż to za upadek ducha? Jesteśmy tu czy we Francji? Niech lepiej szatani porwą wszystkie Dulcyneę, jakie są na świecie, bo więcej warte zdrowie jednego błędnego rycerza niż wszelakie czary i przeobrażenia na ziemi. Milcz, Sanczo - odpowiedział Don Kichote głosem bynajmniej nie omdlałym - milcz, mówię, i nie miotaj bluźnierstw przeciw tej zaczarowanej pani; ja je-

den bowiem winien jestem jej nieszczęścia i niepowodzenia; z zawiści, jaką ku mnie żywią niegodziwcy, jej zły los wziął początek.

- Ja to samo mówię-odparł Sanczo-kto widział ją dawniej i widzi ją dzisiaj! Jakież serce by nie zapłakało?

- Ty możesz to najlepiej powiedzieć, Sanczo - odparł Don Kichote - widziałeś ją bowiem w całej krasie jej urody; czary nie zdołały zmącić ci wzroku ani zakryć jej gładkości; przeciw mnie tylko i przeciw mym oczom wysiliła się moc ich jadu, jednak w tym wszystkim jedna rzecz mię uderza, Sanczo, że niedokładnie odmalowałaś mi jej piękność; bowiem, o ile dobrze pamiętam, rzekłeś, że oczy ma jak perły, a przecie oczy jak perły to raczej oczy kraba, a nie damy; wedle mego mniemania oczy Dulcynei muszą być jak zielone szmaragdy, ogromne, z niebiańskimi dwoma łukami miasto brwi; a te perły, Sanczo, weź precz z oczu i przenieś je na zęby, bo na pewno pomyliłeś się, Sanczo, biorąc oczy za zęby.
- To wszystko możliwe - odpowiedział Sanczo - bo tak zmieszała mię jej gładkość, jak waszą miłość jej brzydota. Ale wszystko to polećmy Bogu. On jest, które- mu wiadome wszelakie sprawy, jakie stać się mają na tym padole płaczu, na tym złym świecie, gdzie żyjemy, gdzie ledwie można znaleźć coś bez domieszki zła, kłamstwa i łotrostwa. Jedno tylko, panie mój, mnie nęka bardziej niż inne sprawy;
a to myśl, co począć, jeżeli jegomości uda się pokonać jakiegoś olbrzyma czy innego rycerza i rozkażecie, aby poszedł stanąć przed pięknością pani Dulcynei: gdzie ją ma znaleźć ów nieszczęsny wielkolud albo też ów biedny, nieszczęśliwy, zwykły ciężony rycerz? Jakbym już ich widział błędzących po Toboso jak straszaki w poszukiwaniu pani Dulcynei, i choćby ją spotkali na środku ulicy, nie poznają jej, jakby i mego ojca nie poznali.
- Sanczo - odparł Don Kichote - może czary nie będą sięgać tak daleko, aby zwyciężeni i przedstawiający się jej wielkoludy i rycerze nie mogli poznać pani Dulcynei. Jednego czy dwóch z pierwszych pokonanych wyśle, byśmy się przekonali, czy ją zobaczą, czy nie, i poleczę, by wrócili zdać sprawę z tego, co im się zdarzyło.
- Powiem, panie - odparł Sanczo - że o ile mnie się zdaje, dobry jest ten pomysł jegomości i taką sztuczką dojdziemy do tego, co wiedzieć chcemy; a jeżeli ona jedynie przed waszą miłością się kryje, większe wasze nieszczęście niż jej; byleby tylko pani Dulcynea była zdrowa i zadowolona, my jakoś damy sobie radę i zniesiemy to, jak zdołamy najlepiej, szukając przygód i pozostawiając czasowi, aby swoje zrobił; jest to bowiem najlepszy lekarz w podobnych oraz innych większych niedomaganiach.
Don Kichote chciał odpowiedzieć Sanczowi, ale przeszkodziła mu w tym kolasa, która wjechała na drogę pełną różnych najdziwniejszych, jakie sobie można wyobrazić, osób

- i postaci. Muły prowadził i za woźnicę służył szkaradny Diabeł. Kolasa była od góry odkryta, bez budy ni plecionki.

Pierwszą postacią, jaka się oczom

Don Kichota ukazała, była sama Śmierć z ludzką twarzą. Obok niej jechał Anioł w koronie z wielkimi malowanymi skrzydłami. Na boku stał Cesarz w koronie na głowie, która zdawała się złota. U stóp Śmierci siedział bożek zwany Kupidynem, bez przepaski na oczach, tylko ze swym lukiem, kołczanem i strzałami; jechał również Rycerz uzbrojony od stóp do głowy, choć bez hełmu i przyłbicy, jeno w kapeluszu pełnym piór różnobarwnych. Z nimi jechali inne osoby o rozmaitych obliczach i strojach. Ten niespodziewany widok zaniepokoił Don Kichota, a strachem napełnił serce Sancza; ale zaraz uciechyła Don Kichota nadzieja, że oto nadarza się jakaś nowa i niebezpieczna przygoda, a w tej myśli, gotów stawić czoło jakiemukolwiek niebezpieczeństwemu, posunął się naprzeciw kolasy i głosem donośnym

i groźnym zawałał:

- Woźnico, furmanie, diable, czy kimkolwiek tam jesteś, bez omieszki rzeknijmi, ktoś ty, dokąd jedziesz i co to za ludek wieziesz w twojej bryce, która raczej ma wygląd łodzi Charonowej aniżeli zwykłej kolasy. Na to uprzejmie zatrzymał Diabeł wóz i odpowiedział:

- Panie, jesteśmy komediantami z trupy Angula Złego. W miejscowości za tymwzgórzem dziś rano, jako w oktawę Bożego Ciała, graliśmy misterium Sejm Śmierci, a wieczorem mamy je przedstawić w tej wiosce, którą stąd widać, a ponieważ to

tak blisko, przeto aby uniknąć trudu przebierania się, jedziemy w tych samych strojach, w których gramy. Ten młodzieniec gra Śmierć, ten drugi Anioła, owa kobieta,

żona autora, Królową, tamten Żołnierza, ów Cesarza, ja Diabła, a jestem jedną z głównych postaci w sztuce, bo w tej trupie gram najważniejsze role. Jeżeliby wasza miłość życzyła sobie wiedzieć coś jeszcze, pytajcie mnie, potrafię odpowiedzieć na wszystko dokładnie, gdyż jestem diabłem, przeto wszystko ode mnie zależy.

414 - Na cześć błędного rycerza - zawałał Don Kichote - zaledwie ujrzałem wóz, zaraz wyobraziłem sobie, że gotuje się jakaś wielka przygoda, a teraz widzę, iż pozorów trzeba ręką dotknąć, aby się wraz rozczarować. Jedźcie z Bogiem, dobrzy ludzie, odbądźcie wasze przedstawienie i rozważcie, czy mógłbym się wara na co

przydać, uczynię to z całego serca i z wielką ochotą, bowiem od dzieciństwa przepadałem za maskaradą, a w młodości oczy mi wyłaziły za komediantami Faranduli. Kiedy tak rozmawiali, los zdarzył, że zbliżył się jeden z igrców przebrany za błazna, z licznymi dzwoneczkami i z kijem, na końcu którego niósł trzy nadęte pęcherze krowie. Ten sowizdrzał, zbliżywszy się do Don Kichota, zaczął kijem szermować, uderzać o ziem pęcherzami i wielkie kozły wywracać, przy czym dzwoneczki dźwięczały. Ten straszny widok tak przeraził Rosynanta, że spłoszył się i próżno go usiłował Don Kichote powstrzymać, wziął wędzidło wzęby i zaczął gonić po polu z lekkością, jakiej nigdy nie można się było spodziewać po jego szkieletycznej budowie. Sanczo, pojmując niebezpieczeństwo zrzucenia, jakie groziło jego panu, zeskoczył z siwka i co sił pędził mu na pomoc. Zanim ich dopadł, już Rosynant razem z panem leżeli na ziemi; zwykły to był koniec i ostatni kres zapałów i wybryków Rosynanta.

Zaledwie Sanczo zsiadł ze swego wierzchowca, aby pobiec do Don Kichota, kiedy ów szatański tancerz z pęcherzami wskoczył na siwka, bijąc go nimi. Strach i hałas bardziej niż dotkliwość razów sprawiły, że siwek pogalopował przez pole ku wiosce, gdzie miało się odbyć przedstawienie. Sanczo spoglądał na galop swego siwka i na pana leżącego na ziemi, nie wiedząc, w którą stronę biec mu przody wypada; ale w końcu, jako u dobrego giermka i dobrego sługi, przeważyła miłość ku panu nad przywiązaniem do osła, choć ilekroć ujrzał pęcherze wzlatujące ku górze i spadające na grzbiet siwka; było to dlań udręką i wstrząsem śmiertelnym i raczej byłby wolał, gdyby owe razy spadały na żrenicę jego oka niż na najmniejszy włoszek ogona jego osła. W tej przykraj rozterce podszedł, gdzie leżał Don Kichote w znacznie smutniejszym stanie, niżby życzyć sobie można, i pomógłszy mu wsiąść na Rosynanta, rzekł:

Panie, diabeł porwał mi siwka.- Jaki diabeł? - zapytał Don Kichote.

- A ten z pęcherzami - odparł Sanczo.
- Już ja ci go odzyskam - odpowiedział Don Kichote - choćby się z nim schował w najgłębszym i najciemniejszym zakamarku piekiel. Pójdź za mną, Sanczo, kolasa jedzie powoli, mułami ci wynagrodzę stratę twoego osła.
- Nie ma co tak się śpieszyć, panie - powiedział Sanczo. - Niech jegomość powstrzyma swój gniew, bo jak mnie się zdaje, już diabeł siwka porzucił, ot, już ku nam wraca. Była to prawda; Diabeł bowiem wraz z siwkiem wywrócił się na ziemię, naśladując Don Kichota i Rosynanta i poszedł ku wiosce piechotą, zaś osioł powracał do pana.

- Mimo to - rzekł Don Kichote - nie zawadzi pomścić zuchwałstwodemonu na kimś z wozu, choćby to był sam cesarz. 415
- Wybijcie to sobie z głowy - odparł Sanczo - i pójźcie, panie, za mą radą, aby nigdy nie zadawać się z igrcami, bo to ludzie uprzywilejowani.

Widziałem, jak komediant uwięziony za dwa morderstwa wyszedł wolny bez szwanku. Wiedziecie, jegomość, że jako to ludek wesoły i zabawny, wszyscy ich popierają, wszyscy się opiekują nimi, pomagają im i cenią ich, osobliwie zaś takich, którzy należą do tru-

py królewskiej i utytułowanej', ci wszyscy przeważnie w przyodziewku swym i zachowaniu wyglądają jak książęta.

- Ale mimo wszystko - odpowiedział Don Kichote - nie chciałbym, aby ówdiabeł czy komediant chlubił się tym, co zrobił, choćby go cały ród ludzki popierał.

To mówiąc, zwrócił ku kolasie, która już zbliżała się do wioski, i pędził, wrzeszcząc:

- Zatrzymajcie się, poczekajcie, zgrajo wesoła i nieokiełznana! Chcę was nauczyć, jak trza szanować osły i bydlęta służące za wierzchowce giermkom błędnych rycerzy.

Krzyki Don Kichota były tak donośne, że jadący w kolasie usłyszeli je i zrozumieli, odgadując ze słów zamiar wrzeszczącego. W jednej chwili Śmierć wyskoczyła z kolasy, a za nią Cesarz, Diabeł, woźnica i Anioł, nie wyłączając Królowej

i bożka Kupidyna. Wszyscy uzbiorli się w kamienie i stanęli w szyku, gotowi przyjąć Don Kichota ostrzem swoich pocisków. Don Kichote, widząc ich ustawionych w tak męskim hufcu, z ramionami wzniesionymi, gotowych do ciskania ciężkich kamieni, powściągnął wodze Rosynanta i zastanowił się, w jaki sposób zaatakować ich z najmniejszym ryzykiem dla własnej osoby. Na to wahanie nadszedł Sanczo i widząc, że pan gotów uderzyć na dobrze uformowany hufiec, rzekł: - Zbyt wielkim szaleństwem byłoby porywać się na taką rozprawę. Zważcie, jegomość, panie mój, że na taki grad otoczaków bez liku nie masz innej obrony na świecie, chyba schować się i zamknąć pod dzwonem z brązu; podobnie rozważyć należy, że jest to raczej nieopatrzność niż odwaga, kiedy jeden mąż na całe wojsko

uderza, wojsko, w którym śmierć udział bierze i w którym walczą osobiście cesarze, którym pomagają złe i dobre anioły; a jeśli ten względ nie skłoni was do pozostania

w spokoju, może sprawi to pewność, że pośród tych wszystkich tu obecnych, choć wyglądają na królów, książąt i cesarzy, nie masz ani jednego błędnego rycerza. - Oto

- rzekł Don Kichote - utrafiłeś w sedno, to może i powinno zmienić mój powzięty zamysł. Nie mogę i nie lza mi wyciągać miecza, jak tylekroć kiedy indziej tobie mówiłem, przeciw temu, który nie jest pasowanym rycerzem. To do ciebie należy, Sanczo, jeżeli chcesz się pomścić za despekt twojemu siwkowi wyrządzony, ja ci stąd pomagać będę nawoływaniem i zbawiennymi przeszkodami. - Nie ma po co, panie - odpowiedział Sanczo - szukać na kim pomsty, niechrześcijańska to rzecz mścić się krzywd, tym bardziej że z moim osłem umówię się, aby pomstę w moje ręce złożył; a moją wolą jest przeżyć pokojowo dni żywota, jakich mi niebo udzieli.

- Skoro takie jest twoje postanowienie - odparł Don Kichote - Sanczo dobry, Sanczo mądry, Sanczo chrześcijański, Sanczo serdeczny, zostawmy te straszydła 1 Filip III, aby ukrócić nadużycia trup wędrownych, zarządził, że każda trupa musiała mieć pozwolenie zwane tytułu.

416 i zawracajmy szukać lepszych i przyzwoitszych przygód, bo, jak mi się zdaje,

w takim kraju nie będzie nam zbywać na licznych i

naj cudowniejszych. I zaraz zawrócił, Sanczo zaś poszedł ująć siwka. Śmierć z całym hufcem powróciła do kolasy i dalej ruszyli w drogę. Taki to szczęśliwy koniec wzięła straszna

przygoda z kolasą Śmierci dzięki zbawiennej radzie, jakiej Sanczo panu swemu udzielił; temu aliści nazajutrz zdarzyła się inna przygoda z

zakochanym i błędnym rycerzem, nie mniej zdumiewająca jak poprzednia.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

o niezwykłej przygodzie walecznego Don
Kichota z dzielnym Rycerzem
Zwierciadeł

Don Kichote i jego giermek spędzili noc, jaka nastąpiła po dniu spotkania ze Śmiercią, pod wysokimi cienistymi drzewami. Don Kichote za namową Sancza posilił się z zapasów, jakie nosił siwek, a w czasie wieczerzy Sanczo tak rzekł do pana:

- Panie, jakimże głupcem byłbym, gdybym sobie wybrał jako nagrodę łupz pierwszej przygody jegomości zamiast trzech żrebiąt waszych trzech klaczy! Zaiste, zaiste lepszy wróbel w garści niżli sęp w locie.
- Wszelako - powiedział Don Kichote - gdybyś był, Sanczo, pozwolił mi zaatakować, jak chciałem, byłbym przypadła co najmniej złota korona cesarzowej i malowane skrzydła Kupidyna; byłbym im je zdarł na czysto i tobie w ręce złożył.

- Nigdy berła czy korony komedianckich cesarzy - odrzekł Sanczo Pansa nie były z czystego złota, jeno z pozłotki albo blachy.
- To prawda - odparł Don Kichote - nie byłoby bowiem stosowne, aby ozdoby teatralne były ze szlachetnego kruszcu, a nie udane i pozorne, tak jak i sama komedia, z którą chcę, abyś się, Sanczo, pogodził, polubił ją, a przez to samo i tych, którzy je odgrywają, oraz tych, którzy je układają. Wszyscy oni bowiem są narzędziami ku wielkiemu pożytkowi państwa, stawiając ludziom na każdym kroku przed oczy zwierciadło, w którym na żywo śledzić można czynności życia ludzkiego. Żadne porównanie tak żywo nie przedstawia nam, jakimi jesteśmy i jakimi powinniśmy być, jak komedia i aktorzy. Czyż nie? Powiedz, zali nie widziałeś komedii, która wprowadza królów, cesarzy, papieży, rycerzy, damy oraz inne rozmaite osoby? Jeden udaje hultaja, inny oszusta, ten kupca, tamten żołnierza, ów roztropnego prostaczka, inny znów naiwnego kochanka, a po skończonej komedii i po zrzuceniu kostiumów wszyscy grający stają się sobie równi.
- Pewnie, że widziałem - odparł Sanczo.

417

- To samo tedy - rzekł Don Kichote - zachodzi w komedii i w życiu tego świata, gdzie jedni grają rolę cesarzy, inni papieży, w końcu wszystkie te role, jakie mogą

Don Kichote - Miguel Cervantez

występować w komedii; ale kiedy dobrniemy do kresu, to znaczy, kiedy skończy się życie, wszystkich śmierć pozbawi owych szat, które ich różniły, i staną się równi sobie w grobie.

- Przednie porównanie - rzekł Sanczo - choć nie takie nowe, bo słyszałem jenie raz i nie dwa. To tak jak w grze w szachy: jak długo trwa gra, każdy pionek ma swoje szczególne zadanie, kiedy gra się skończy, wszystko się miesza, równa, traci wartość i zostaje pospołu do worka złożone, niczym życie do grobu. - Z każdym dniem, Sanczo - rzekł Don Kichote - wyzbywasz się głupoty i stajesz się mądrzejszy.
- Jużci, musi coś do mnie przylgnąć z rozumu jegomości - odpowiedział Sanczo - tak i gleba, z natury swej jałowa i sucha, nawiezione i uprawiona daje wreszcie piękne plony; chcę rzec, że rozmowy z jegomością były jakby nawozem, który padł na jałową glebę mego suchego umysłu; uprawą był czasowej służby i przedstawiania z wami; przeto spodziewam się przynieść plon błogosławiony, taki, który nie sprzeniewierzy się ani nie zejdzie nigdy ze ścieżek dobrego wychowania, jakie jegomość w moim umyśle wykreślił.

Uśmieiał się Don Kichote z przesadnych wyrażeń Sancza i zdawało mu się, że istotnie prawdą jest, iż ten mądrzeje, bowiem od czasu do czasu wyraża się w sposób godny podziwu, jednak zawsze albo prawie zawsze, ilekroć Sanczo chciał przemawiać wysokim stylem albo dwornie, kończył swą przemowę, spadając ze szczytu naiwności w otchłań niewiedzy, w czym wszelako okazywał wielką biegłość oraz pamięć w przytaczaniu przysłów w związku lub bez związku z tym, o czym była mowa, jak to widzieliśmy i zauważaliśmy w ciągu tej historii.

Na tych i tym podobnych rozmowach zeszła im większa część nocy i Sanczowi przyszła ochota, jak mawiał, kiedy chciał spać, zapanować zasłony oczu, rozkulbaczywszy przeto siwka, puścił go wolno na obfitą paszę. Rosynantowi nie zdejmował siodła na wyraźny rozkaz pański, aby jeśli noc spędzają w szczerym polu, a nie

śnią pod dachem, Rosynanta nie rozkulbaczać, wedle starego zwyczaju ustalonego i przestrzeganego przez błędnych rycerzy, który pozwalał zdejmować uzdę i zawieszać ją na łęku siodła, ale siodło zdjąć - wara! Tak też postąpił Sanczo i puścił go wolno jak siwka, którego przyjaźń z Rosynantem była tak wyjątkowa i tak zażyła, że jak idzie wieść, podawana z ojca na syna, autor tej prawdziwej historii poświęcił jej osobne rozdziały; wszakże aby zachować przystojność i godność należne tak bohaterskiej powieści, nie włączył ich do niej, choć niekiedy zapomina

Don Kichote - Miguel Cervantez

- tym postanowieniu i opisuje, jak tych dwoje zwierząt, skoro udało im się zbliżyć, tarło się
- siebie wzajemnie, a potem, kiedy były zmęczone i syte, Rosynant kładł swą szyję na sztywną siwka (tak że zwisała z drugiej strony na pół łokcia) i obaj wpatrzeni w siebie mogli byli tak trwać i trzy dni, a przynajmniej dopóki ich zostawiono w spokoju lub dopóki ich głód nie zmusił do szukania żywności. Utrzymują nawet, że autor

porównywał ich przyjaźń z przyjaźnią, jaką żywili Nizus i Eurial oraz Pylades i Orestes; a jeśli tak jest, wnosić z tego można, jak silna musiała być druźba owych 418 dwojga zwierząt, wszystkim ku podziwieniu, a ku wstydowi ludzi, którzy tak nieudolnie dochowują wzajemnej przyjaźni. Dlatego mawia się ji.

Nie masz drucha dla drucha, Kije zmieniają się w dzidę.

Albo ta inna śpiewka:

Od drucha do drucha włazi pluskwa do ucha.

Niech nikt nie mniema, że autor zboczył z drogi, porównując przyjaźń tych zwierząt do ludzkiej; od zwierząt bowiem ludzie wiele przestróg wzięli i nauczyli się wielu ważnych rzeczy, jako to: od bocianów lewatwy, od psów wymiotów i wdzięczności, od żurawi czujności, od mrówek przezorności, od słoni uczciwości, wierności od koni.

W końcu Sanczo zasnął u stóp korkowca, zaś Don Kichote drzemiał pod rozłożystym dębem. Niewiele czasu upłynęło, kiedy zbudził go jakiś rozgwar za plecym; skoczył na równe nogi, rozglądając się i nadśluchując, skąd hałas dochodził; ujrzał dwóch ludzi na koniach; jeden z nich, zeskakując z siodła, rzekł do drugiego:

- Zsiadź, przyjacielu, i puść wodze rumakom; to miejsce, jak mi się zdaje, obfituje w paszę dla nich, zaś ja znajdę tu ciszę i samotność, jakiej potrzeba mym miłosnym dumaniom.

Ledwie to wyrzekł, już rozciągnął się na ziemi. Kiedy zsiadł z konia, zbroja, którą przywdzięwał, chrzest wydała, znak oczywisty, po którym Don Kichote poznał, że musiał to być błędny rycerz; zbliżywszy się więc do Sancza, który spał, szarpnął go za ramię i z niemałym trudem przywróciwszy do przytomności, rzekł doń po cichu:

- Bracie Sanczo, mamy przygodę.
- Dałby Bóg, aby dobra była - odpowiedział Sanczo - a gdzież jest, panie mój, owa jejmość przygoda?

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Gdzie, Sanczo? - odparł Don Kichote. - Odwróć oczy i patrz, a ujrzyssz tamleżącego błędnego rycerza, który, jak mi się wydaje, nie musi być nadmiernie radosny, widziałem bowiem, jak zeskoczył z konia i padł na ziemię z oznakami jakiejs rozpaczki, aż zbroja jego przy tym szczećk wydała.
- Ale z czego, jegomość, wnosicie - spytał Sanczo - że to będzie przygoda?
- Nie mówię - odpowiedział Don Kichote - że będzie to przygoda na całego, ale raczej jej początek, tak się bowiem przygody zaczynają. Ale posłuchaj, zdaje mi się, że stroi on lutnię albo gitarę, a ponieważ chrząka i spluwa, snadź gotuje się śpiewać.
- Na mą duszę, tak jest - odpowiedział Sanczo - i musi to być rycerz zakochany. - Nie masz błędnego rycerza, który by nim nie był - rzekł Don Kichote. - Ale posłuchajmy, może po nitce dojdziemy do kłębka jego myśli, jeśli zaśpiewa, jako że z obfitości serca usta mówią. 419

Sanczo chciał odpowiedzieć panu, ale przeszkodził mu głos Leśnego Rycerza, ani zbyt zły, ani zbyt dobry; obaj nastawili uszu i usłyszeli śpiew następując

y: Sonet

Dajcie mi, pani, wedle własnej woli
Hasło, za którym dążyć będę wszędzie,
I wasza wola moją wolą będzie, Na krok odchylić mi się nie dozwoli.
Gdy chcesz, bym milcząc o tym, co mię boli,
Skonał, już postaw mię w umarłych rzędzie, |
Lecz gdy się kochasz w żałosnej gawędzie, | Amor sam będzie mówił o mej doli.
Wśród prób przeciwnych, w ciągłej poniewierce, Jak
wosk jest miękka, a jak diament lita Dusza ma prawem
miłości podbita.

Miękkie czy silne oddaję ci serce,
Tnij, wyryj na nim, jakie zechcesz, słowa, Które - przysięgam - na wieki zachowam.
Jękiem wydartym, jak się zdawało, z najgłębszego serca zakończył swój śpiew
Leśny Rycerz, a po chwili głosem bolesciwym i żałosnym przemówił: - O najpiękniejsza i najniewdzięczniejsza z kobiet świata! Jak to możliwe, o najdostojniejsza Kasyllo z Wandalii, abyś godziła się, by niewolny twój rycerz trawił się i wyniszczał w ciągłych tułaczkach i w twardych a trudnych wysiłkach? Czyż nie dość, że za moją sprawą wszyscy rycerze Nawarry, Leonu, Tartezji, Kastylii, a wreszcie wszyscy rycerze Manczy uznają cię za najpiękniejszą na świecie?

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Co to, to nie! - rzekł na to Don Kichote. - Jam jest z Manczy i nigdy nieoświadczyłbym, nie mógłbym ani nie godziłoby mi się wyznać rzeczy tak przeciwej piękności mojej pani. Ten rycerz bredzi, jak widzisz, Sanczo. Ale posłuchajmy, może coś więcej powie.
- O, na pewne - odparł Sanczo - gdyż wygląda na to, jakby się żalić miał przezokrągły miesiąc.

Jednak tak się nie stało, bowiem Leśny Rycerz posłyszawszy rozmowę w pobliżu, przerwał swoje lamenty, zerwał się na nogi i rzekł głosem dźwięcznym i grzecznym:

- Kto idzie? Kim jesteście? Czy macie szczęście należeć do liczby zadowolonych, czyli też do zasmuconych?
- Do smutnych się liczymy - odpowiedział Don Kichote.
- Przybliżcie się przeto - odpowiedział Leśny - a ujrzyście przed wami samsmutek i samą udrękę. 420

Don Kichote, widząc, że odpowiadają mu tak łagodnie i tak grzecznie, przybliżył się, a Sanczo razem z nim.

Rycerz żałosnik wziął Don Kichota za ramię, mówiąc:

- Usiądziecie tutaj, mości rycerzu; by pojąć, kim jesteście, i że należycie do zako- nu błędnego rycerstwa, dość mi, że znajdujecie się w tym miejscu, gdzie samotność i cisza nocna dotrzymuje wam towarzystwa, zwykła to przystań i pościele błędnych rycerzy.

Na to odpowiedział Don Kichote:

- Jestem rycerzem z zakonu, o którym mówicie, i choć w mej duszy własnäsiedzibę mają smutki, nieszczęścia i niepowodzenia nie wygnały z niej współczucia, jakie budzi we mnie obca niedola. Ze śpiewu waszego zrozumiałem, że wasze są miłosne, chcę rzec z miłości ku owej pięknej niewdzięcznicy, którą wymieniliście w waszych lamentach.

Tak rozmawiając, usiedli obok siebie na twardej ziemi, w najlepszym pokoju i zgodzie, jakby z nastaniem dnia nie mieli sobie głów porozbijać. - Zali przypadkiem, mości rycerzu - zapytał ów Leśny Don Kichota -jesteście zakochani?

- Niestety, jestem - odpowiedział Don Kichote - choć udręki, jakie się rodzą dobrze umieszczonego uczuć, raczej należy poczytać za łaski niż za nieszczęścia.
- Prawda ista - odpowiedział Leśny - gdyby nie mąciły nam rozumu i umysłu wzgardy tak liczne, że wydają się raczej zemstą. - Nie byłem nigdy wzgardzony przez moją panią - odparł Don Kichote.- Zaiste nie - wtrącił Sanczo

Don Kichote - Miguel Cervantez

znajdujący się w pobliżu - moja pani jest bowiem łagodna jak baranek i bardziej miękka niż masło.

- Czy to wasz giermek? - zapytał Leśny.- Tak - odpowiedział Don Kichote.
- Nie widziałem nigdy giermka - odparł Leśny - który by ośmielił się przemawiać, kiedy pan jego rozmawia, przynajmniej ten mój, choć tak rosły jak jego ojciec, nie zdarzyło się, aby otworzył usta, kiedy ja mówię.
- Na mą duszę - rzekł Sanczo - gadałem i mogę gadać przed każdym... takim... ale zostawmy to, lepiej tego nie tykać. Giermek Leśnego Rycerza ujął Sancza za ramię, mówiąc:
- Chodźmy obaj, gdzie będziemy się mogli nagadać jak giermkowie, o wszystkim, co zechcemy, i zostawmy tych naszych panów; niech się posprzeczą, opowiadając sobie historie swych miłości, bo na pewno dzień ich zastanie, a oni jeszcze nie skończą.
- Doskonale - rzekł Sanczo - opowiem wam, kto jestem, abyście wiedzieli, czy można mię zaliczać do tuzina najbardziej gadatliwych giermków. Potem dwaj giermkowie odeszli na bok i rozmowa ich była równie zabawna, jak poważna była rozmowa ich panów. 421

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

zawiera dalszy ciąg przygody Leśnego
Rycerza oraz mądrą, nową i miłą
rozmowę między dwoma giermkami

Rozłączyli się rycerze i giermkowie, ci opowiadali sobie swoje miłości; ale historia przytacza naprzód rozmowy giermków, a zaraz potem przechodzi do rozmowy panów; opowiada przeto, jak oddaliwszy się nieco od panów, giermek Leśnego Rycerza rzekł do Sancza:

- Ciężkie jest życie, jakie my, giermkowie błędnych rycerzy, spędzamy. Zaistepożywamy chleb w pocie czoła, jest to jedno z przekleństw rzuconych przez Boga na pierwszych naszych rodziców.
- Również powiedzieć można - dodał Sanczo - że pożywamy go w udręczeniach ciał; który bowiem znosi tyle upałów i tyle mrozu jak my, nieszczęśni giermkowie błędnych rycerzy? Gdybyśmy choć jedli, nie byłoby tak źle, kiedy dość chleba, mniejsza bieda; ale niekiedy zejdzie dzień i dwa bez żadnego kęsa krom wiatru, co wieje.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- To wszystko można by znieść i przetrwać - rzekł giermek Leśnego Rycerza- w nadziei przyszłej nagrody, o ile bowiem rycerz, któremu giermek służy, nie jest zbyt nieszcześliwy, to przynajmniej można w niedługim czasie zyskać w nagrodę rządy nad jakąś wyspą albo przyzwoite hrabstwo.
- Ja - rzekł Sanczo -już powiedziałem memu panu, że zadowolę się rządam jakiejś wyspy; jest on tak szlachetny i tak hojny, że mi to wiele kroć obiecał. - Ja - odrzekł Leśny - byłbym zadowolony, gdybym za moje usługi otrzymał kanonię i już mi mój pan ją przyznał, i to jaką!
- Musi być - rzekł Sanczo - pan waszmości rycerzem duchownym i może wyświadczać takie łaski swoim dobrym giermkom, ale mój jest po prostu świeckim, choć przypominam sobie, że osoby rozumne, aczkolwiek moim zdaniem, źle usposobione, chcięły mu doradzać, aby starał się zostać arcybiskupem; on jednak nic ino cesarzem chce być, ja zaś wówczas lękałem się, że gdyby mu tak przyszła chętna na godność kościelną, nie uda mi się wyciągnąć z tego żadnej korzyści, bo musicie, waszmość, wiedzieć, że choć wyglądam na człowieka, do kościoła nadaję się jak bydlę.
- Co prawda nie macie, waszmość, słuszności - rzekł Leśny - bo rządy nawyspach nie wszystkie są intratne. Jedne są trudne, inne nędzne, jeszcze inne smutne, a wreszcie i najkorzystniejsze, i najpomyślniejsze niosą z sobą wielki ciężar trosk i kłopotów, który zwala się na barki nieszczęsnego, jakiemu przypadną w udziale. Dużo lepiej byłoby dla nas, którzy odbywamy tę przeklętą pańszczynę, powrócić do domu i tam oddawać się zajęciom milszym, jakby rzec, polowaniu albo rybołówstwu; czyż jest na świecie bowiem tak ubogi giermek, któremu by brakło konika, pary gończych oraz wędki, by mógł mile spędzać czas w swojej wiosce?

422

- Niczego mi z tego nie brak - odpowiedział Sanczo - co prawda, nie mam konika, ale mam osła, który dwa razy więcej wart niż rumak mego pana. Żeby mi tak Bóg dał złe święta i to pierwsze, jakie przyjdą, gdybym go miał zamienić, choćby mi i cztery półkorce owsa w dodatku dawano. Za żart może waszmość weźmiesz pochwałę mego siwka, bo siwej maści jest mój osioł; co do gończych, nie braknie mi ich, jest ich dość we wiosce, tym bardziej że polowanie milsze, kiedy się na cudzy koszt odbywa.
- Zaiste i naprawdę - odpowiedział Leśny - panie giermku, umyśliłem i postanowiłem porzucić osielstwa tych rycerzy, usunąć się do mojej wioski i wychowywać moje dzieci, mam ich troje jak uriańskie perły.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Ja mam dwoje - rzekł Sanczo - które mógłbym samemu papieżowi przedstawić, a osobliwie dziewczętkę, którą wychowuję na hrabinę, jeśli się Bogu spodoba, choć wbrew woli matki.
- A wiele lat ma ta panna, którą wychowuje się na hrabinę? - zapytał Leśny.- Piętnaście mniej więcej - odrzekł Sanczo - ale tak wysoka jak dzida, a świeżutka jak kwietniowy poranek, a silna jak tragarz.
- Ho, ho! Z tym wszystkim - odparł Leśny - mogłaby zostać nie tylko hrabiną, ale i nimfą z zielonego gaju. O psia mać, taka córka, ależ dech musi mieć, zuch dziewczucha!

Na to odrzekł Sanczo nieco urażony:

- Ani ona sukincórka, ani jej matka taka nie była, ani żadna z nich nie będątaka, póki ja żyję, daj Boże! Mówcie przystojniej, bo te słowa nie są zbyt wybredne, jak na takiego, co jak waszmość wychowałaś się między błędnymi rycerzami, którzy są samą dwornością.
- O, jakże mało znacie się, waść - odrzekł Leśny - na pochwałach, panie giermku! Jak to? Czyż nie wiecie, że kiedy jakiś kawaler zgrabnie byka na arenie piką uderzy albo kiedy ktoś czegoś dobrego dokona, pospolicie mówi się: "Ot, skurczybyk taki syn, a to się dobrze sprawił!". I to, co wygląda na zniewagę, jest znaczną

pochwałą; raczej wyrzeklibyście się synów lub córek, którzy nie spełnialiby czynów, co na ich rodziców podobne pochwały ściągają.

- No, wyparłbym się - odpowiedział Sanczo - a zatem możesz waszmośćwyrzucić na me dzieci i na moją żonę od razu całe takiesyństwo, bowiem wszystko, co czynią i mówią, godne jest w najwyższym stopniu podobnych pochwał; aby do nich powrócić i zobaczyć ich, modlę się Bogu, by mię od grzechu śmiertelnego wybawił, to znaczy, wytargnął z tego niebezpiecznego zawodu giermkowskiego, w który po raz drugi popadłem znęcony i skuszony sakiewką z setką dukatów, jaką pewnego dnia znalazłem w samym sercu Sierra Morena, i diabeł mi przed oczy stawia to tu, to tam, z tej czy z tamtej strony worek pełen dublonów, co krok zdaje mi

się, że już ręką dosięgam i ściskam go, i do domu niosę, umieszczam na hipotece, rentę pobieram i żyję jak książę; a kiedy o tym pomyślę, łatwe i znośne stają się wszystkie trudy, jakie cierpię z powodu mego pomylonego pana, który, jak wiem, więcej ma z wariata niż z rycerza.

- Dlatego to - odparł Leśny - mówię, że chciwość worki dziurawi; a jeśli nich mowa, to chyba nie masz większego wariata na świecie niż mój pan; jest bo423

Don Kichote - Miguel Cervantez

wiem z tych, o których mówią: Cudza troska zabija osła; dlatego że jakiś rycerz zbył rozumu, on sam stał się wariatem i szuka tego, co, być może, będzie go drogo kosztować.

- Może jest zakochany?
- A jakże - przytwardził Leśny - w pewnej Kasylidzie z Wandalii, najsurowszej i najtrwardszej pani, jaką znaleźć na świecie; ale nie tylko na jej surowość kuleje; różne inne głupstwa burczą mu w brzuchu i niebawem opowie o nich. - Nie masz tak gładkiej drogi - odparł Sanczo - na której byś się o jakiś kamień nie potknął. W różnych domach bób gotują, ale w moim całe kotły; zaś więcej kompanów i wyjadaczy musi mieć szaleństwo niż mądrość; tym bardziej że, o ile prawdę jest, co się pospolicie mówi, iż towarzysz w trudach ulgę przynosi, będę mógł się pocieszyć z waszmością, jako że służysz drugiemu panu, równie bez głowy jak mój.
- Bez głowy, ale dzielny - odpowiedział Leśny - a jeszcze większy hukaj niżwariat i dzielny.
- Mój takim nie jest - rzekł Sanczo. - Powiadam, nie ma nic z hultaja; przeciwnie, duszę majak kryształowy dzban, nie potrafi nikomu szkodzić, raczej dobro wszystkim świadczy, nie ma w nim złośliwości nijakiej; dziecko potrafiłoby mu wmówić, że jest noc wśród białego dnia, i dla tej poczciwości miłuję go z całego serca i nie mogę porzucić mimo wszystkich szaleństw, jakie wyczynia.
- Jednakże, panie bracie - rzekł Leśny - jeżeli ślepiec wodzi ślepego, obu grozi wpadnięcie do dołu. Lepiej dla nas obrócić się na pięcie, wymknąć się po cichu i powrócić do pieleszy; bowiem ci, którzy szukają przygód, nie zawsze korzystne znachodzą.

Sanczo co chwila spluwał ślinę, jak się zdawało, lepką i nieco suchą; spostrzegł to i zauważył litościwy Leśny Giermek, i rzekł:

- Wydaje mi się, że od gadania języki nam do podniebienia przylepły, ale ja na odlepienie przytroczyłem do łyku mego konia coś wybrednego.

I powstawszy, powrócił zaraz z wielkim bukłakiem wina i z pasztetem długim, bez przesady, na pół łokcia; był bowiem sporządzony z białego królika tak wielkiego, że Sanczo, wziawszy pasztet, osądził, iż chyba jest z jakiegoś już nie koźlęcia, a kozła, i na ten widok zapytał:

-1 to waszmość pan ze sobą wozicie?

- A jakże myślicie - odpowiedział tamten - albom to ja giermek od chlebai wody? Lepsze zapasy mam ja na grzbiecie mego konia, niż ze sobą wozi w podróży generał!

Don Kichote - Miguel Cervantez

Sanczo zajadał, nie dając się prosić; w ciemności połykał kawały wielkie jak węzły na powrozie.

- Waszmość - rzekł -jesteście snadź gierkiem wiernym i uczciwym, szczerym i łatwym, wspaniałomyślnym i wielkim, o czym świadczy ta uczta, która choć nie zjawiła się tu mocą czarów, taką się co najmniej wydaje; to nie tak jak ja, mizerny i nieszczęsny, który w sakwach moich wożę ledwie nieco sera tak twardego, że można by nim głowę rozbić olbrzymowi; a towarzyszą mu cztery tuziny strączków świętojańskich oraz innych podobnych orzechów i orzeszków, a wszystko to dzięki

424 niezamożności mego pana, a także jego przekonaniu i zasadom przezeń wyznawanym, że błędni rycerze powinni się odżywiać ino suszonymi owocami i ziołami polnymi.

- Dalibóg, bracie - odpowiedział Leśny - nie mam żołądka stworzonego doostów, dzikich gruszek i korzonków górskich. Bogać tam naszych panów z ich zasadami i prawami rycerskimi, niech jedzą, co one nakazują; ja mam zimnemięsiwo i ten bukłak przytroczyony do łemku siodła na każdy wypadek; a tak go miłuję i kocham, że co chwila po tysiąckroć go całuję i obejmuję.

To mówiąc, włożył bukłak w ręce Sancza; ten, podniósłszy go, przytknął do ust i przez kwadrans stał, spoglądając w gwiazdy; skończywszy pić, głowę na bok przechylił i westchnąwszy głęboko, rzekł: - O taki synku; draniu, to ci wino katolickie!

- A widzicie - rzekł Leśny, usłyszawszy owo "taki synku" Sanczowe - jakpochwaliliście to wino, nazywając je "takim synkiem".
- Prawda - rzekł Sanczo. - Przyznaję teraz i stwierdzam, że nie jest zniewagąnazawać kogoś "takim synem", kiedy na myśli ma się pochwałę. Ale powiedzcie mi, waść, na życie wam najmilszej istoty, zali to nie jest wino z Ciudad Real? - Brawo, znałco! - zawała Leśny. - Zaprawdę nie skądinąd jest i kilka latek sobie liczy.
- Komu to mówić! - rzekł Sanczo. - Nie myślcie tylko, że mi ono zamacił w głowie. Mam przecie, mości giermku, węch tak dobry i tak wrodzony do rozpoznawania wina, że skoro powąchałam jakie, odgaduję jego ojczynę, pochodzenie, smak, wiek i wszystko, co jego dotyczy. Ale nie ma się czemu dziwić, bo w rodzie moim ze strony ojca miałem dwóch najlepszych probierców win, jakich od lat wielu liczyła Mancza; a na dowód opowiem wam, co im się zdarzyło. Dano im raz obydwoim skosztować wina z pewnej beczki, pytając, jakie jest ich mniemanie o jego wieku,

Don Kichote - Miguel Cervantez

wartości czy też brakach. Jeden spróbował końcem języka, drugi powąchał ino. Pierwszy rzekł, że wino czuć żelazem, drugi, że raczej kordubanem.

Właściciel mówił, że beczka była czysta i że wino nie miało żadnej domieszki, od której mogłoby przejąć smak żelaza czy skóry. Mimo to obaj słynni smakosze upierali się przy swoim zdaniu. Czas upłynął, wino sprzedano i przy czyszczeniu beczki znaleziono małe klucz zawieszony na rzemyczku z kordubanu. Widzicie więc, waszmość, kto z takiej rodziny pochodzi, ten może wyrokować w podobnych sprawach. - Dlatego też powiadam - rzekł Leśny - zaprzestańmy szukać przygód i mając chleb w ręku, nie szukajmy kołaczy, powróćmy do naszych chat; tam Bóg nas znajdzie, gdy zechce.

- Dopóki mój pan nie dojedzie do Saragossy - rzekł Sanczo - służyć mu będę, a potem wszyscy coś postanowimy.

W końcu obaj zacięci giermkowie tyle się nagadali i tyle wypili, że sen musiał im powiązać języki i uśmierzyć ich pragnienie nigdy nienasycone. I tak obaj, siedząc przy prawie pustym bukłaku, z ustami pełnymi niedogryzionych kąsków zasnęli. Zostawmy ich tymczasem tak śpiących, aby opowiedzieć, co zaszło między Leśnym Rycerzem a Rycerzem Smętnego Oblicza.

425

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

dalszy ciąg przygody Leśnego Rycerza

Z licznych rozmów, jakie toczyły się między Don Kichotem a Leśnym Rycerzem, historia podaje, że ten ostatni rzekł do Don Kichota:

- Na koniec, mości rycerzu, muszę wasm zwierzyć, że przeznaczenie moje czy raczej powołanie przywiodło mnie do rozmiłowania się w nieporównanej Kasylidzie z Wandalii. Nazywam ją nieporównaną, bo nie masz jej równej ani postawą, ani stanem, ani urodą. Owa Kasylda, o której mówię, w zamian za moje zaciecne uczucia i uczciwe pragnienia wystawiała mnie, jak macocha Herkulesa, na liczne i przeróżne niebezpieczeństwa, obiecując mi po zakończeniu każdej próby, iż za następnym razem spełni moje nadzieję. Ale trudy moje ciągną się tak, jak łańcuch, którego nie widzę końca ani wiem, które ogniwko będzie ostatnim i przyniesie spełnienie mych zaciecnych pragnień. Raz rozkazała mi wyzwać ową sławną olbrzymkę z Sewilli, zwaną Giralda, która jest tak mężna i silna, jako że jest z brązu, i nie ruszając się z miejsca

jest jednak najruchliwszą i najobrotniejszą białogłową na świecie. Przybyłem, ujrzałem, zwyciężyłem i zmusiłem do pozostania bez ruchu, bowiem więcej niż przez tydzień wiał podówczas tylko wiatr północny. Innym razem

Don Kichote - Miguel Cervantez

kazała mi podnieść i zważyć Byki z Guisando; zadanie stosowniejsze raczej dla tragarzy niż dla rycerzy.

Kiedy indziej rozkazała mi rzucić się i zagłębić w czeluści Cabra, co było niebezpieczeństwem niesłychanym i groźnym, oraz zdać jej szczególną relację o tym, co owa ciemna przepaść zawiera. Powstrzymałem ruch Giraldy, zważyłem Byki z Guisando, rzuciłem się w otchłań i na światło wywiodłem tajemnice jej czeluści,

lecz nadzieję moje jak były, tak są martwe, a jej rozkazy i wzgarda są żywe a żywe.

W końcu, ostatnio, rozkazała mi przejechać wszystkie prowincje Hiszpanii i zmusić wszystkich błędnych rycerzy, którzy po nich wędrują, by przyznali, że ona jedna jest najpiękniejsza ze wszystkich żyjących

białogłów, zaś ja jestem najdzielniej- szym i najbardziej zakochanym z rycerzy na kuli ziemskiej. Dla tej próby objecha-

łem już większą część Hiszpanii i zwyciężyłem licznych rycerzy, którzy ośmielili się mi sprzeciwić. Ale najbardziej szczycę się i pysznię, iż zwyciężyłem w pojedynku owego słynnego rycerza Don Kichota z Manczy i zmusiłem go do wyznania, że moja Kasylde jest piękniejsza od jego Dulcynie. I to jedno zwycięstwo poczytu- ję za zwycięstwo nad wszystkimi rycerzami świata, bowiem ów Don Kichote twierdził, że wszystkich pokonał, jako ja zaś jego pokonałem, jego

sława, rozgłos i cześć została przeniesiona i przelana na moją osobę. Tym większą sławę zdobywa zwycięzca, Im zwyciężonych była sława większa. Przeto już mnie dzisiaj są przypisywane i moimi się stały niezliczone zwycięstwa rzeczonego Don Kichota. 426

Zdumiał się Don Kichote, usłyszawszy Rycerza Leśnego, i już po tysiąckroć chciał mu zadać kłam, i już miał na końcu języka słowo "łżesz!", ale powstrzymał się, jak zdołał, aby zmusić go do stwierdzenia własnymi ustami tego kłamstwa, przeto spokojnie odezwał się:

- Nie przeczę, że wasza miłość, panie rycerzu, zwyciężyłeś większość błędnych rycerzy Hiszpanii, a nawet całego świata, ale pozwalam sobie wątpić, czy zwyciężyłeś Don Kichota z Manczy. Być może, był to ktoś doń podobny, choć niewielu jest takich.

- Jak to nie? - odpowiedział Leśny. - Klnę się na niebo, które jest nad nami, że zwyciężyłem i pokonałem Don Kichota. Jest to mąż wysokiej postawy, suchy na twarzy, członki ma długie, żylaste, cerę żółtą, nos orli, nieco zakrzywiony, długie wąsy, czarne i obwisłe. Walczy pod przezwiskiem Rycerza Smętnego Oblicza, a za giermka wodzi z sobą pewnego wieśniaka nazwiskiem Sanczo

Don Kichote - Miguel Cervantez

Pansa, dosiada i wędzidłem ściąga słynnego rumaka, zwanego Rosynantem, a w końcu za panią swej woli uważa Dulcyneę z Toboso, zwaną dawniej Aldonzą Lorenzo, tak jak moją, która zwała się Kasylą, a pochodziła z Andaluzji, ją zwę Kasylą z Wandalii. Je- żeli te wszystkie znaki nie wystarczają, aby prawdy dowieść, oto mój miecz, który wcielone niedowiarstwo przekona.

- Tylko spokojnie, panie rycerzu - rzekł Don Kichote - i posłuchajcie, co chcę rzec. Musicie wiedzieć, że ów Don Kichote, o którym mowa, jest najlepszym druhem, jakiego mam na świecie, tak iż rzec mogę, że jedno jesteśmy, i wedle znaków, jakieś mi podali, tak dokładnych i pewnych, chyba myśleć muszę, że jego samego zwyciężyliśmy. Z drugiej strony oczyma widzę i rękoma dotykam, że nie jest możliwe, aby to był on, chyba że jeden z rozlicznych czarnoksiężników jemu wrogich (a osobliwie jeden, który go ustawicznie prześladuje) wziął na siebie jego postać i pozwolił się umyślnie pokonać, aby wydrzeć mu sławę, jakiej mu wspaniałe rycerskie przewagi przysporzyły i zyskały na całym świecie. I na potwierdzenie tego

chcę także, abyście wiedzieli, na dowód, jak tacy czarnoksiężnicy są złośliwi, że nie dalej jak przed dwoma dniami odmienili postać i osobę pięknej Dulcynei z Toboso w chłopkę brzydką i nikczemną, w ten sam więc sposób musieli odmienić Don Kichota; a jeżeli to wszystko nie wystarcza, aby ugruntować prawdę tego, co powiadam, oto sam Don Kichote poprze ją swoim orążem, pieszo czy konno, czy w jakikolwiek innym sposobem.

To mówiąc, zerwał się na nogi i miecz pochwycił, oczekując, co postanowi Leśny Rycerz; ten zaś głosem równie spokojnym odpowiedział:

- Dobrego płatnika nie bolą zadatki: ten, panie Don Kichocie, który zdołał waszwyciężyć przemienionego, może mieć nadzieję, że zwycięży was i we własnej postaci. Ale jako nie przystoi rycerzom w ciemności orężnie się potykać, jak czynią rozbójnicy i łotrzykowie, poczekajmy dnia, aby słońce oglądało nasze czyny. Zaś warunkiem naszego spotkania będzie, że zwyciężony zda się na wolę zwycięzczy i wypełni każdy rozkaz, o ile nie będzie on przeciwny przystojności rycerskiej.

- Przyjmuję z wielkim zadowoleniem ów warunek i umowę - odpowiedział Don Kichote.

Don Kichote - Miguel Cervantez

A powiedziawszy to, podeszli ku swym giermkom i znalezli ich chrąpiących w tej samej postawie, jak ich sen zaskoczył. Obudziwszy ich, polecili trzymać w pogotowiu konie, bo o wschodzie słońca mają stoczyć obaj krwawy, niezwykły i straszliwy bój. Na tę wieść Sanczo osłupiał i struchlał ze strachu o całość swego pana po tym, co od giermka słyszał o przewagach Leśnego; ale nie mówiąc ni słowa, obaj giermkowie poszli szukać stadniny, to jest trzech koni i siwka,

które już się węchem pokumały i pasły razem. Po drodze rzekł Leśny Giermek do Sancza:

- Trza wam, bracie, wiedzieć, w Andaluzji jest zwyczaj, że świadkowie pojedynku nie mogą pozostawać bezczynnie, z założonymi rękoma, podczas gdy przeciwnicy walczą. Mówię wam o tym, bo w czasie kiedy nasi panowie walczyć będą, nam również przyjdzie walczyć i wymieniać razy.
- Ten obyczaj, panie giermku - odpowiedział Sanczo - panuje może międzywarchołami i rębałami, jak mówią, ale wątpię, aby obowiązywał giermków błędnych rycerzy. Przynajmniej nie słyszałem od mego pana o podobnym zwyczaju, zaś on zna na pamięć wszystkie przepisy błędnego rycerstwa. Przyjmijmy, że byłoby to prawdą i regułą obowiązującą, aby giermkowie walczyli, podczas kiedy walczą ich panowie; ale ja tego nie dotrzymam, choćbym miał zapłacić karę nakładaną na takich pokojowych giermków, jestem pewien, że nie wyniesie więcej niż dwa funty wosku; wolę to zapłacić, wiem bowiem, że mniej mnie kosztować będą niż szarpie, jakie zużyję, lecząc sobie głowę, którą już czuję rozbitą i rozplataną na dwoje. Co więcej, nie mogę potykać się, nie mając miecza, bo w całym życiu go nie nosiłem. - Na to łatwo jest poradzić - rzekł Leśny - mam tu dwa worki płócienne tej samej wielkości, weźcie wy jeden, aja drugi i bić się będziemy workami jako równą bronią.
- W takim razie wybornie - odpowiedział Sanczo - w takiej bójce raczej się odkurzymy, niż poranimy.
- To tak nie będzie - odparł tamten - bo do worków, aby ich wiatr nie unosił, wrzucimy z pół tuzina kamieni okrągłych i gładkich, jednakowej wagi, i w ten sposób będziemy mogli workować się, nie wyrządzając sobie żadnej szkody ni krzywdy. - Na zewłok mego ojca - odpowiedział Sanczo - patrzcie no, jakie to skórki sobolowe, jakie to puchy bawełny gręplowanej kładzie on do worków, aby nam łbów nie porozbiąć i kości na miał nie pogruchotać! Ale choćbyście włożyli i kokony jedwabiu, mości panie, wiedziecie, że walczyć nie będę. Niech sobie nasi panowie potykają się, ich to rzecz, my zaś pijmy i żyjmy; czas sam zatroszczy się, by nas życia pozbawić; nie lza szukać nam podniet, by ono skończyło się przed czasem, zanim dojrzeję.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Mimo to - odparł Leśny - trza nam się bić, choćby pół godziny.
 - Co to, to nie - odpowiedział Sanczo - nie będę ani tak niegrzeczny, ani takniewdzięczny, abym o najdrobniejszą sprawę miał wadzić się, z kim jadłem i piłem,
- tym bardziej że jakże, u diabła, przeć tak do bójki bez powodu, jeśli nie ma ani gniewu, ani urazy.
- I na to dam dostateczne lekarstwo - odpowiedział Leśny Giermek - a mianowicie, zanim zaczniemy walkę, podejdę grzecznie do waszmosci i wymierzę wam

428 trzy albo cztery policzki, które was do mych stóp rzucą,

a tym obudzę wasz gniew, choćby spał jak suseł.

- Na to pchnięcie znam inne - odpowiedział Sanczo - które tamtemu nie ustępuje; wezmę dobry kij i zanim waszmość zaczniecie budzić mój gniew, ja tak wasz uśpię za pomocą kijów, że nie obudzi się aż na tamtym świecie, gdzie dobrze wiedzą, iż nie jestem człowiekiem, który daje się bić po twarzy komukolwiek. Niech każdy pilnie baczy, co czyni, choć najpewniej byłoby pozwolić spać zagniewaniu, gdyż nikt nie wie, co w duszy drugiego siedzi, i kto szuka wełny, wraca postrzyżony. Bóg zaś błogosławi pokojowi, a przeklina zwady; bowiem jeśli kot ścigany, otoczony i naciskany zmienia się w lwa, ja, który jestem człowiekiem, Bóg wie, w co zamienić się mogę. Przeto teraz przestrzegam waszmości, panie giermku, że na własny rachunek narażacie się na wszelkie зло i szkodę, jaka z naszego spotkania wyniknie.
- To dobrze - odrzekł Leśny - Bóg da poranek i jakoś to będzie. Tymczasem zaczynały już świergotać wśród drzew tysiące barwnych ptasząt i swymi różnobrzmiącymi a wesołymi śpiewami zdawały się witać na dzień dobry świeżą jutrzenkę, która już przez bramy i balkony wschodu wchodziła, ukazując piękność swego oblicza, strzasając ze swych włosów mnóstwo płynnych perel, a zioła skapane w ich słodkiej wilgoci zdawały się same rozrzucać deszcz białych i drobniutkich paciorek. Z przyjściem jutrzenki z wierzb sączyła się wonna manna, śmiały się zdroje, szemrały strumienie, weseliły się lasy i łąki rozkwitały bujnością. Zaledwie jednak jasność dnia pozwoliła widzieć i rozróżnić przedmioty, pierwszą rzeczą, jaka uderzyła oczy Sancza, był nos Leśnego Giermka, niezmiernej wielkości, zakrzywiony w połowie, cały pełen brodawek, barwy fioletowej jak bakłażan; zwisał przeszło na dwa palce poniżej ust; jego rozmiar, barwa, brodawki i zakrzy-

Don Kichote - Miguel Cervantez

wienie tak oszpecały twarz, że Sanczowi, kiedy nań patrzył, zaczęły drżeć nogi i ręce jak dziecięciu w konwulsjach, i w sercu swym postanowił raczej dwieście policzków znieść, zanim zbudzi się jego gniew i stanie do walki z tym straszydłem.

Don Kichote spojrzał na swego przeciwnika, ale ujrzał go już w spuszczonej i zamkniętej przyłbicy, tak że nie mógł dostrzec oblicza. Zauważył jeno, że był to człek krzepki, choć niewysoki. Na zbroi nosił kaftan czy kubrak jakby ze złocistego naj- delikatniejszego złotogłówia, usiany całym licznymi małymi księżyccami jaśniejących

zwierciadełek, które w najwyższej mierze dodawały mu elegancji i świętości. Nad szyszakiem chwiało się mnóstwo piór zielonych, żółtych i białych; kopia, którą oparł o drzewo, była niesłychanie wielka i gruba, zakończona grotem na dłoń długim. Wszystko to ujrzał i zauważył Don Kichote, i osądził na oko, że ów rycerz musiał być niezwykłej mocy; ale nie przeraziło go to tak jak Sancza, przeciwnie, swobodnym tonem przemówił do Rycerza Zwierciadeł:

- Jeżeli wielka żarliwość do walki, mości rycerzu, nie przeszkadza dworności, w jej imię proszę, uchylcie nieco przyłbicy, abym widział, czy męstwo waszego oblicza dorównywa waszej gotowości.
- Mości rycerzu, czy wyjdziecie z tego spotkania zwycięzcą czy zwyciężonym- odpowiedział Rycerz Zwierciadeł - starczy wam czasu i sposobności na oglądanie mnie; a jeśli teraz waszemu życzeniu zadość nie uczynię, to dlatego że, zdaje mi się, uchybiłbym wybitnie pięknej Kasylidzie z Wandalii, tracąc czas na podnoszenie przyłbicy, zanim was zmuszę do wyznania tego, czego jak wiecie, od was żądam. - Teraz gdy dosiadamy koni - rzekł Don Kichote - chyba możecie mi rzec, zali jestem owym Don Kichotem, którego, jak mówicie, zwyciężyliście. - Na to wam odpowiadamy - odparł Rycerz Zwierciadał - że podobni jesteście jak jedno jajko do drugiego do owego rycerza, którego pokonałem, ale skoro mówicie, iż prześladują go czarnoksiężnicy, nie ośmielę się twierdzić, czy jesteście nim w istocie.
- To mi wystarcza - odpowiedział Don Kichote - żebym uwierzył w wasząpomyłkę, ale by was całkowicie z niej wyprowadzić, niechaj przywiodą konie, jeżeli Bóg, pani moja i moje ramię pozwolą, w krótszym czasie, niżbyście stracili na podnoszenie przyłbicy, ujrzę wasze oblicze i dowiodę wam, że to nie ja jestem owym zwyciężonym przez was Don Kichotem, jak mniemaliście. Tu przerwawszy rozmowę, wskoczyli na koń, a Don Kichote zawrócił Rosynanta i okrążył pole dla lepszego

Don Kichote - Miguel Cervantez

rozpedu i uderzenia na przeciwnika. To samo uczynił i Rycerz Zwierciadeł. Ale Don Kichote nie ujechał i dwudziestu kroków, gdy usłyszał nawoływanie, zatrzymali przeto ku sobie, a Rycerz Zwierciadeł przemówił:

- Zważcie, mości rycerzu, że warunkiem naszego spotkania jest, jak już powiedziałem, iż zwycięzony zda się na wolę zwycięzcy.
- Wiem już o tym - odpowiedział Don Kichote - o ile rozkazy i zlecenia, jakie otrzyma zwycięzony, nie przekroczą granic rycerskości. - Rozumie się - odpowiedział Rycerz Zwierciadeł.

W tej chwili oczom Don Kichota ukazał się przedziwny nochal giermka i zdumiał się nie mniej od Sancza; wziął go przeto za jakieś monstrum czy za istotę nową, dotąd na świecie niespotykaną. Sanczo, widząc, że pan jego okrąża pole, aby nabrac rozpedu, nie chciał pozostać sam na sam z nosaczem, lękając się,

że za jednym

pchnięciem takiego nochala w jego nos skończy się cała potyczka, bo od tego pchnięcia albo ze strachu będzie leżał na ziemi; pobiegł przeto za swoim panem, czepiąc się strzemienia Rosynanta i kiedy już, jak mu się zdało, przyszedł moment nawrotu, rzekł:

- Błagam waszą miłość, panie mój, abyście, zanim do starcia przyjdzie, pomogli mi wyleźć na jakiś dąb korkowy, skąd mógłbym wygodniej i snadniej niż z ziemi oglądać mężne spotkanie waszej miłości z owym rycerzem.
- Raczej myślę, Sanczo - rzekł Don Kichote - że chcesz wyleźć na gałąź jakna trybunę, aby bezpiecznie przyglądać się walce byków.
- Prawdę mówiąc - odparł Sanczo - potworne nozdrza owego giermka przerzążą mnie i napełniają strachem, i nie mam odwagi stać przy nim blisko. - Zaiste są one takie - rzekł Don Kichote - że gdybym nie był sobą, również byłbym się przeląkł; a więc pójdź, pomogę ci wyleźć, gdzie chcesz. Podczas gdy Don Kichote zatrzymał się, aby Sanczowi pomóc wyleźć na korkowiec, Zwierciadlny objechał pole, ile mu się potrzebnym wydało, i mniemając, że Don Kichote to samo już uczynił, nie czekając na głos trąby ani na inny znak pobudki zatoczył koniem (który niewiele od Rosynanta był żwawszy ni lepszy) i całym galopem, który był miernym truchtem, puścił się na spotkanie przeciwnika. 430 Ale spostrzegłszy, że ten zajęty jest podsadzaniem Sancza na drzewo, ściągnął wodze

Don Kichote - Miguel Cervantez

i osadził się w połowie biegu, za co mu rumak był wdzięczny ogromnie, bo już i poruszać się nie mógł. Don Kichote, któremu zdawało się, że przeciwnik jego lo-

tem nań spada, wbił ostrogi w wychudłe boki Rosynanta i tak go przynaglił, jak mówi historia, że ten jedyny raz, przyznać to można, nieco pogalopował - bowiem kiedy indziej zawsze jego wszystkie galopy były jeno jawnym truchcikiem - i z niebywałą furią wpadł na Rycerza Zwierciadeł, który wbijał swemu rumakowi ostrogi aż po pięty, nie mogąc go zmusić do ruszenia choćby na palec z miejsca, gdzie zatrzymał się w pędzie. W tak sprzyjającym momencie zastał Don Kichote swego przeciwnika, kiedy ten, borykając się z koniem i nie mogąc sobie dać rady z kopią, nie potra-

fił już ani nie zdołał jej nastawić. Don Kichote, nie zważając na te przeszkody, na pewności i bez ryzyka wpadł na Rycerza Zwierciadeł z taką siłą, że wysadził go z siodła i przez grzbiet konia zrzucił na ziemię z taką gwałtownością, iż ten, nie ruszając nogą ani ręką, legł jak zabity.

Ledwie Sanczo ujrzał go padającego, zsunął się z korkowca i szybko podbiegł do swego pana; ten, złazłszy z Rosynanta, pochylił się nad Zwierciadlanym i rozwiązywał mu hełm, aby przekonać się, czy zabił, a gdyby był żyw, aby go ocucić powietrzem... Wtem ujrzał... Któz mógłby powiedzieć, co zobaczył, nie wywołując zdumienia, podziwu i osłupienia u wszystkich słuchających? Ujrzał - jak powiada historia - iste oblicze, istą postać, isty pozór, istą fizjonomię, obraz i zjawę bakałarza Samsona Carrasco, a ujrzałszy go, zakrzyknął:

- Bywaj, Sanczo! Popatrz, zobaczysz, a nie uwierzysz! Bywaj, synu, i przekonaj się, co mogą czary, co mogą guślarze i czarnoksiężnicy.

Sanczo nadbiegły, zaś ujrzałszy oblicze bakałarza Carrasco, jał się po tysiąckroć żegnać i egzorcyzmować. Tymczasem zrzucony rycerz nie dawał znaku życia, przeto Sanczo rzekł do Don Kichota:

- Moim zdaniem, panie mój, na wszelki wypadek, jegomość, wpakujcie miecz w gębę temu, który się wydaje bakałarzem Carrasco, może zabijecie w nim jednego z czarnoksiężników, swych wrogów.
- Nieźle gadasz - rzekł Don Kichote - im mniej nieprzyjaciół, tym lepiej. Kiedy wyciągał miecz, by w czyn wprowadzić pomysł i radę Sancza, nadbiegły giermek Zwierciadlanego już bez nochala, który go tak oszpecał, i zwołał: - Bacacie, wasza miłość, co robicie, panie Don Kichocie, wszak ten, co u stóp waszych leży, to bakałarz Samson Carrasco, wasz przyjaciel, a ja jestem jego gierkiem. Sanczo, ujrzałszy go bez tej niedawnej ohydy, zapytał: - A nochal?

Na to odpowiedział tamten: - Tu go mam, w kieszeni.

I sięgnąwszy ręką do prawej kieszeni, wyciągnął nos zrobiony, jako pisywaliśmy, na kształt maski z masy papierowej lakierowanej; Sanczo, wpatrując się weń hucznie, głosem wielkim i pełnym podziwu zawałał:

- Święta Mario, ratuj! Czyż to nie Tomek Cecial, mój sąsiad i kum?

431 - A jakże, to ja- odpowiedział pozbawiony nosa giermek - Tomek Cecial jestem, kum i druh Sanczo Pansy. Zaraz opowiem, jakie sztuczki, podstępy i wybiegi mię tu przywiodły; a tymczasem proście i błagajcie miłościwego pana waszego, aby nie tykał, nie dręczył, nie ranił ani nie zabijał Rycerza

Zwierciadeł leżącego u jego stóp, bowiem bez żadnej wątpliwości jest to ten wartogłów, nieroźważny bakałarz, Samson Carrasco, nasz krajan.

Tymczasem Rycerz Zwierciadeł przyszedł do siebie, co widząc, Don Kichote przyłożył mu ostrze obnażonego miecza do lica i rzekł:

- Zginąłeś, rycerzu, jeśli nie wyznasz, że nieporównana Dulcynea z Tobosoprzewyjsza urodą waszą Kasyldę z Wandalii; ponadto musicie mi przymierzyć (jeśli z tego spotkania i upadku żywym wyjdziecie), że pójdziecie do miasta Toboso i przedstawicie się jej w moim imieniu, aby postąpiła z wami wedle woli swojej; a jeśli pozostawi was wolnym, powrócie zaraz mię odszukać, a wieść was będą ślady moich przewag do miejsca, gdzie będę przebywał, i opowiecie, co zaszło mię-

dzy nią a wami - oto warunki zgodne z tymi, jakie postawiliśmy przed walką naszą, i nie przekraczają granic błędnego rycerstwa.

- Wyznaję - odezwał się powalony rycerz - że więcej wart podarty i brudnytrzewik pani Dulcynei z Toboso niż rozczochrane, choć czyste kudły Kasyldy, przyrzekam pójść i przed oblicza jej powrócić ku wam, zdać dokładnie sprawę ze wszystkiego, o co prosicie.

- Musicie również wyznać i uznać - dodał Don Kichote - że ów rycerz zwyciężony przez was nie był ani nie mógł być Don Kichotem z Manczy, jeno innym, co się nim wydawał, jak ja wyznaję i wierzę, że wy, choć zdajecie się być bakałarzem Samsonem Carrasco, nie jesteście nim, ale kim innym, który ma jego pozór i którego pod jego postacią stawili mi tu wrogowie moi, abym powstrzymał i miarkował porywczość gniewu mego i abym nie nadużywał chwały zwycięstwa.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Wszystko to wyznaję, przyznaję i czuję, jak wy wierzycie, uznajecie i czujecie - odpowiedział zmordowany rycerz. - Pomóżcie mi tylko wstać, jeśli na to pozwoli mi ból, z upadku, który mi bardzo dokucza.

Pomógł mu powstać Don Kichote i giermek jego Tomek Cecial, z którego Sanczo Pansa nie spuszczał oczu, zadając mu pytania. Odpowiedzi na nie były oczywistym dowodem, iż był to naprawdę Tomek Cecial, jak powiadał; ale nieufność, jaką w Sanczu wzbudziły słowa jego pana o tym, jak czarnoksiężnicy zmienili postać Rycerza Zwierciadeł w bakałarza Carrasco, nie pozwalała mu uwierzyć w prawdę, jaką oczyma oglądał. W końcu pan i pachołek pozostali w swym błędzie, zaś Zwierciadlany i giermek jego, nieszczęśni i niezadowoleni, oddalili się od Don Kichota i Sancza z zamiarem znalezienia jakiejś wioski, gdzie by mogli namaścić i nastawić żebra. Don Kichote i Sanczo zawrócili na drogę do Saragossy, gdzie po-zostawia ich historia, aby opowiedzieć, kim był Rycerz Zwierciadeł i jego wielko-nosy giermek.

432

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

który opowiada i wyjaśnia, kim był Rycerz Zwierciadeł i jego giermek

Zachwycony, dumny i chełpliwy jechał Don Kichote, odniósłszy zwycięstwo nad tak dzielnym rycerzem, jakim wedle jego urojenia był Rycerz Zwierciadeł. Ufał, że dzięki jego rycerskiemu słowu dowie się niebawem, czy zaczarowanie jego pani trwa jeszcze, miał bowiem za pewne, że ów zwyciężony rycerz, pod groźbą wykluczenia go ze stanu, powróci zdać sprawę ze swego z nią spotkania. Ale co innego myślał Don Kichote, a co innego Rycerz Zwierciadeł, w tej chwili bowiem jedyną jego troską było -jak się rzekło - gdzie by się mógł plastrami obłożyć. Opowiada bowiem historia, że kiedy bakałarz Carrasco doradził Don Kichotowi, aby na nowo podjął swoje rycerskie zaniechane czyny, stało się to po naradzie z proboszczem i balwierzem, w jaki sposób można by zmusić Don Kichota, by spokojnie i cierpliwie

siedział w domu, a nie zadręczał się szukaniem nieszczęsnego przygód. Wynikiem tej narady była jednomyślna uchwała na wniosek Carrasco, że pozwolą wyruszyć Don Kichotowi, jako że powstrzymać go wydawało się niemożliwe, zaś Samson uda się w drogę przebrany za błędnego rycerza i zawarłszy wprzód z nim umowę, że zwyciężony zda się na łaskę zwycięzcy, stoczy z nim walkę, do której przyczyny nie zabraknie, i zwycięży go, co uważano za rzeczą łatwą; zwyciężywszy Don Kichota, miał mu bakałarz rozkazać, by powrócił do swej wioski i domu, przez dwa lata ich nie opuszczał albo przynajmniej dopóki innego rozkazu nie otrzyma; było bowiem jasne, że Don Kichote, zwyciężony, niewątpliwie wypełniłby to, aby nie przekroczyć praw

Don Kichote - Miguel Cervantez

rycerskich ani im nie uchybić. I mogło się zdarzyć, że podczas tego odosobnienia zapomni o swoich urojeniach albo znajdzie się na jego szaleństwa jakieś skuteczne lekarstwo.

Carrasco podjął się tego, a Tomek Cecial, kum i sąsiad Sancza, ofiarował się za giermka. Był to człek krotowat i nie w ciemę bita. Uzbroił się Samson, jak już powiedzieliśmy, a Tomek Cecial na swój naturalny nos przyczepił sobie nos sztuczny z kartonu, aby kum go nie poznał, kiedy się spotkają; potem pojechali tą

samą drogą i omal nie wpadli na przygodę z wozem Śmierci. W końcu zastali ich w lesie, gdzie spotkało ich wszystko, co czytaliście, rozważny czytelniku, i gdyby

nie dziwne urojenia Don Kichota, który wmówił w siebie, że bakałarz nie jest bakałarzem, mości bakałarz byłby musiał się na zawsze pożegnać ze stopniem licencjata, bo tam, gdzie miał nadzieję znaleźć ptaki, nawet i gniazd nie znalazły. Tomek Cecial, widząc, jak smutny obrót wzięły ich zamiary i jak źle się wyprawa zakończyła, rzekł do bakałarza:

- Zaprawdę, panie Samsonie Carrasco, mamy, na cośmy zasłużyli. Łatwowymiślisz i porwać się na jakieś przedsięwzięcie, ale najczęściej trudno zeń wyjść.

Don Kichote jest szaleńcem, my zaś zdrowi na umyśle, za to on odjeżdża cały i śmiejący, a wasza miłość obity i smutny tu zostajecie. Obaczmy ino, kto bardziej jest szalony, zali ten, co nie może być inny, zali ten, kto się nim z własnej woli staje?

433

Na to odpowiedział Samson:

- Różnica między tymi dwoma szaleńcami jest ta, że ten, kto jest nim w istocie, będzie nim zawsze, ten zaś, kto nim jest z umysłu, przestanie nim być, kiedy zechce.

- Skoro tak - rzekł Tomek Cecial - dobrowolnie stałem się wariatem, kiedy zapragnąłem być gierkiem waszej miłości, a teraz podobnie chcę przestać nim być i powrócić do domu.

- To się was tyczy - odpowiedział Samson - ale darmo myśleć, abym powrócił do domu, zanim nie zmłócę porządnie kijami Don Kichota; a do odszukania go skłania mię teraz już nie chcę przywrócenia mu rozumu, ale pragnienie zemsty, bo silny ból moich żeber nie pozwala mi na żadne bardziej litościwe słowa. Tak rozprawiając, obaj dojechali do wioski, gdzie na szczęście znalazły się nastawiacz, który wyleczył nieszczęsnego Samsona. Tomek Cecial porzucił go i powrócił do domu, ów zaś

Don Kichote - Miguel Cervantez

pozostał, obmyślając zemstę. Historia opowie nam o nim w swoim czasie, obecnie powracamy weselić się z Don Kichotem. ROZDZIAŁ SZESNASTY opowiada, co przydarzyło się Don Kichotowi z pewnym rozsądny szlachcicem z Manczy

Jak mówiliśmy, Don Kichote jechał dalej w drogę z radością, zadowoleniem i dumą, wyobrażając sobie, że po zwycięstwie, jakie odniósł, jest on najdzielniejszym rycerzem błędym owego wieku na świecie. Miał już za dokonane i do szczęśliwego końca doprowadzone wszelkie przygody, jakie go odtąd spotkać mogły; za nic sobie miał czary i czarowników; nie pamiętał już niezliczonych kijów, jakie w ciągu rycerskich przygód nań spuszczano, ani kamennego gradu, który go połowy zębów pozbawił, ani niewdzięczności galerników, ani bezczelności i deszczu pałek Janguesów; w końcu mówił sobie, że gdyby tak znalazł sposób czy środek na odczarowanie pani Dulcynei, nie pozazdrościłby już największego szczęścia, jakie spotkało lub spotkać mogło najszczęśliwszego błędnego rycerza wieków ubiegłych. Jechał zatopiony w tych rojeniach, kiedy Sanczo odezwał się doń: - Czy to nie dziwne, panie, że ciągle mam przed oczyma potworne nosisko, takie ogromne, mego kuma Tomka Ceciala?

- I ty, Sanczo, wierzysz może, że Rycerz Zwierciadeł to był bakałarz Carrasco, a jego giermek to twój kum Tomek Cecial?
- Nie wiem, co mam powiedzieć na to - odrzekł Sanczo - wiem tylko, że szczegóły, jakie mi podał o domu moim, żonie, dzieciach, mogły tylko od niego pochodzić;

no i twarz, kiedy nochal odjął, była obliczem Tomka Ceciala takim, jakie oglądałem 434

nieraz w mojej wiosce, a nawet w moim własnym domu; no i brzmienie głosu było takie same.

- Będźmy rozsądni, Sanczo - odparł Don Kichote. - Zważ ino, jakże przypuścić, że bakałarz Samson Carrasco zjawił się jako błędny rycerz, uzbrojony w broń zaczepną i odporną, by walczyć ze mną? Zali byłem kiedy jego wrogiem, zali mu kiedykolwiek dałem przyczynę, aby mię miał w nienawiści! Zali jestem jego rywalem, czyli też podjął rzemiosło rycerskie przez zawiść o sławę, jaką dzięki temu zdobyłem?
- A przecież - rzekł Sanczo - cóż rzec o tym, że ów rycerz, kimkolwiek by tambył, jest tak podobny do bakałarza Carrasco, zaś giermek jego do mego kuma Tomka Ceciala? Jeżeli to są czary, jak wasza miłość powiada, czyż nie było na świecie innych dwóch, do których mogliby być podobni?

Don Kichote - Miguel Cervantez

- To wszystko jeno sztuczka i podstęp - odrzekł Don Kichote - złośliwych czarnoksiążników, którzy przewidując, że wyjdę zwycięsko z potyczki, postarali się,

aby rycerz zwycięzony ukazał oblicze mego druhu bakałarza, a przyjaźń, jaką ku niemu żywię, stanęła między ostrzem mojej szpady i srogością mego ramienia, miarkując słuszny gniew mego serca, by w ten sposób ocalić życie tego, który podstępami i oszustwem na moje dybał. A na dowód, już wiesz, Sanczo, z doświadczenia, które ci nie pozwoli omylić się ani skłamać, jak łatwo jest czarnoksiążnikom odmieniać nasze oblicza, z pięknych przeobrażeń w szpetne, a ze szpetnych w urodziwe, bo i dwóch dni nie ma, jak na własne oczy oglądasz gładkość i wdzięk Dulcynei w całej przyrodzonej i pełnej postaci, ja zaś widziałem w niej jeno szkaradę i pospolitość gruboskórnej chłopki z bielmem na oczach i cuchnącą gębą; cóż dziwnego tedy, że przewrotny czarodziej, który odważył się na tak niewłe przeobrażenie, zdziałał również przemianę w Samsona Carrasco i w twego kuma, aby mi wydrzeć z rąk chwałę zwycięstwa; wszelako, pocieszam się, bowiem w jakiejkolwiek bądź postaci mi się jawił, odniosłem zwycięstwo nad przeciwnikiem.

- Bóg zna całą prawdę - odrzekł Sanczo.

A jako wiedział, iż przeobrażenie Dulcynei było jego własnym podstępem i wymysłem, nie zadowoliły go chimeryczne wywody pana, ale nie chciał ich zbijać, aby jakimś słowem nie zdradzić swego fortelu.

Kiedy tak rozmawiali, nadjechał człek, który za nimi tą samą drogą zdążył, na bardzo pięknej jabłkowitej klaczy, odziany w opończę z przedniego zielonego sukna, obramioną aksamitem płowym i w kołpaku z takiegoż aksamitu; lekki, turecki rząd klaczy był podobnie zielony i płowy. Nosił mauretański bułat u boku, zawieszony na szerokim pendencie zielono-złotym, ciżmy miał tej samej roboty co pendent; ostrogi nie były złote, lecz na zielono szmelcowane, tak wyczyszczone i świecące, że w zestrojeniu z resztą sprzętu lepszy pozór miały niż szczerozłote; zblżywszy się, podróżny pozdrowił ich dwornie i spiąwszy klacz, chciał ich wyminąć, ale Don Kichote zatrzymał go słowami:

- Mój piękny panie, jeśli wasza miłość jedzie tą samą drogą i nie śpieszy wasmieś, będę wdzięczny, gdy zechcecie dotrzymać nam towarzystwa.
- Co prawda - odparł jeździec na klaczy - nie byłbym was wymijał, gdyby nieobawa, że obecność mojej klaczy podnieci tego konia. 435

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Możecie panie - odrzekł na to Sanczo - powściągnąć wodze waszej klaczy, bowiem nasz rumak jest najuczciwszym i najwstrzemięźliwszym na świecie; nigdy w podobnych sposobnościach nie postąpi! nieprzystojnie, a kiedy mu raz trafiło się

tak uczynić, ja i mój pan zapłaciliśmy siedemkroć za to. Jeszcze raz powtarzam, że wasza miłość może zatrzymać się, jeżeli macie ochotę; bo gdyby mu ją i na srebrze podano, na pewne nasz rumak nie zaczepiłby jej.

Podróżny ściągnął wodze, podziwiając postawę i oblicze Don Kichota, który jechał bez hełmu, ten bowiem Sanczo na kształt kuferka przytroczył do przedniego lęku siwka; a jeśli Zielony przypatrywał się Don Kichotowi, Don Kichote jeszcze uważniej oglądał Zielenego, który wydawał mu się poważnym człowiekiem. Z wieku wyglądał na lat pięćdziesiąt, włosy miał szpakowate, profil orli, spojrzenie zarazem wesołe i poważne; w końcu strój i postawa świadczyły, że to człek godny. Zielony zaś osądził, że człowieka takiego wyglądu jak Don Kichote nigdy w życiu nie widział; podziwiał długość jego szyi, wielkość tułowia, chudość i żółtość oblicza, jego

uzbrojenie, wzięcie i ułożenie, postać i widok, jakiego od dawna w tych stronach nie spotykano. Zauważył dobrze Don Kichote, z jaką uwagą przygląda mu się podróżny, i w tym zadziwieniu wyczytał ciekawość; a jako był dworni i rad wszystkich zadowolić, uprzedzając pytania podróżnego, rzekł: - Postać, jaką wasza miłość we mnie ogląda, jest tak niezwykła i odmienna od tego, co się pospolicie widzi, że nie zadziwi mię wasze zdumienie, ale przestaniecie

się dziwić, kiedy wam powiem, że oto jestem rycerzem

Z tych, o których ludzie mówią,

| • Że przygód w świecie szukają.

Porzuciłem ojczynę, zostawiłem majątko, poniechałem spokoju i rzuciłem się w ramiona Fortuny, aby wiodła mię, kiedy zechce. Chciałem wskrzesić zamarłe błędne rycerstwo i od drugiego czasu potykając się tutaj, upadając ówdzie, staczając się tu, a wznosząc gdzie indziej, wypełniłem większą część mych zamierzeń, wspomagając wdowy, opiekując się dziewczynami, wspierając mężatki, sieroty i dzieci, jak to jest istotnym i przyrodzonym obowiązkiem błędnych rycerzy; i dzięki moim dzielnym, licznym i chrześcijańskim przewagom zasłużyłem, aby żywot

mój w druku obiegał prawie wszystkie narody świata. Trzydzieści tysięcy tomów wydrukowano moich dziejów, a jeśli niebo pozwoli, trzydzieści milionów razy to powtórzy. Wresz-

cie, aby to w krótkości zamknąć, jednym słowem powiem, że jestem Don Kichote z Manczy, inaczej zwany Rycerz Smętnego Oblicza, i choć nieprzystojnie samego siebie chwalić, jestem wszelako nieraz zmuszony to czynić, nie mając nikogo, kto by mię wyręczył. Tak więc, mości szlachcicu, ani ten koń, ani ta kopia, ani ten giermek, ani ta tarcza, ani cała ta zbroja, ani żółtość mej twarzy, ani zbytnia chudość nie zdoła was zadziwić, kiedy już wiecie, kto jestem i jaki mój zawód.

Tu zamilkł Don Kichote, a Człowiek w Zieleni nie śpieszył się z odpowiedzią, jakby nie wiedział, co ma rzec; ale po pewnej chwili odezwał się: - Po moim zdumieniu odgadliście, panie rycerzu, moją ciekawość, ale nie udało się wam wywieść mię ze zdumienia, jakie mi wasz widok sprawił; wedle tego, co

436

rzekliście, świadomość, kim jesteście, powinna kres zdziwieniu położyć, ale tak nie jest; przeciwnie, teraz kiedy wiem, jestem jeszcze bardziej zdziwiony i zaciekawiony.

Jak to możliwe, aby dziś istnieli błędni rycerze na świecie i aby drukowane powieści opowiadały o prawdziwych zdarzeniach rycerskich? Nie mogę sobie wyobrazić, aby dziś istniał na ziemi ktoś, kto pomaga wdowom, opiekuje się dziewczynami, strzeże czci mężatek, wspomaga sieroty, i nie uwierzyłbym, gdybym na własne oczy tego w waszmości nie oglądał; niebu niech będą dzięki! Oby owe drukowane dzieje waszych wysokich i prawdziwych czynów rycerskich, o których wasza miłość mówi, w zapomnienie podały niezliczone powieści o zmyślonych błędnych rycerzach, których świat był pełen, ze szkodą wielką dobrych obyczajów i z krzywdą, i pomniejszeniem powieści dobrych.

- Byłoby wiele do powiedzenia - odparł Don Kichote - na temat, czyli sązmyślone, czy nie owe historie błędnego rycerstwa.
- Jak to - odpowiedział Człek w Zieleni - a który by wątpił, że fałszywe są owe historie?
- Ja wątpię - odpowiedział Don Kichote - ale tymczasem pozostawmy to; jeżeli nasza podróż potrwa dłużej, mam nadzieję w Bogu, że wyjaśnię waszej miłości, jak źle czynicie, idąc z prądem tych, którzy przeczą ich prawdziwości. Te ostatnie słowa Don Kichota wzruszyły w podróżnym podejrzenie, że Don Kichote musi być nieco pomyłony, i czekał, aby go inne w tym utwierdziły; ale zanim

Don Kichote - Miguel Cervantez

rozwiedli się w dalszych rozważaniach, Don Kichote zapytał go o jego stan i życie. Na to odpowiedział Pan Zielonej Opończy:

- Ja, mości Rycerzu Smętnego Oblicza, jestem szlachcicem pochodząącym z miejscowości, gdzie dziś obiadować będziemy, jeśli Bóg dozwoli.

Jestem dość za- możliwy, a nazywam się Diego de Miranda; życie pędzę z żoną i dziećmi oraz z przyjaciółmi; zajęciem moim łowy i rybołówstwo; nie trzymam ani sokołów, ani psów gończych, jeno kilka ułaskawionych kuropatw na wabia i kilka łasic do polowania. Mam około sześć tuzinów książek, jedne w języku rodzimym, inne po łacinie, niektóre historyczne, inne pobożne; księgi rycerskie nawet przez progi mego domostwa nie przeszły. Chętniej przerzucam książki świeckie niż pobożne, byleby były uczciwą rozrywką i zachwycały językiem, budziły podziw i zaciekawienie pomysłem, jednak takich niewiele jest w Hiszpanii. Niekiedy z sąsiadami i przyjaciółmi

biesiadujemy, często ich zapraszam; moje posiłki są proste i zdrowe, ale nie wymyśl- ne; nie cierpię plotek ani chcę wiedzieć, co o mnie powiadają; nie wracam się do obcego życia ani nie szpieguję postępowania bliźnich; mszy św. codziennie słucham;

dzielę mój majątek z ubogimi, nie chwaląc się dobrymi czynami, aby do serca nie dopuścić obłudy i chełpliwości, tych nieprzyjaciółek, które chyłkiem opanowują najskromniejsze serce; staram się pogodzić poróżnionych, mam nabożeństwo do

Matki Bożej i zawsze ufam nieskończonemu miłosierdziu Boga, Pana naszego. Z największą uwagą słuchał Sanczo opowiadania o życiu i zajęciach szlachcica; wydało mu się ono zacne i święte, osądził, że kto tak żyje, winien czynić cuda, zlazł z siwka i pośpiesznie pochwyciwszy za prawe jego strzemię, w pobożności serca i niemal ze łzami ucałował mu stopy kilkakrotnie. Widząc to, szlachcic zapytał:
437

- Co czynicie, bracie? Cóż to za pocałunki?
- Pozwólcie mi, panie, całować - odpowiedział Sanczo - bowiem wasza miłość zdaje mi się być pierwszym świętym lekkiej jazdy, jakiego widziałem przez wszystkie dni żywota.

Don Kichote - Miguel Cervantez

-Nie jestem święty - odrzekł szlachcic -jeno wielki grzesznik. To wy, bracie, musicie być tak zacnym, jak wasza prostota wskazuje.

Sanczo z powrotem wsiadł na terlicę, wywoławszy uśmiech swego pana mimo jego głębokiej melancholii, i stał się powodem nowego zdumienia Don Diega. Don Kichote zapytał szlachcica, wiele ma dzieci, i dodał, że jedną z rzeczy, w których starożytni filozofowie, prawdziwego Boga nieznający, widzieli najwyższe dobro, były dobra przyrodzone, dobra fortuny, wielka liczba przyjaciół oraz liczne i dobre dzieci.

- Ja, panie Don Kichocie - odpowiedział szlachcic - mam jednego syna, a gdybym go nie miał, może uważałbym się za szczęśliwszego, niż jestem; nie jest on zły, ale nie jest tak dobry, jakbym tego pragnął. Będzie miał lat osiemnaście. Sześć lat spędził w Salamance, studując łacinę i grekę, ale kiedy chciał, aby oddał się innym naukom, zastałem go tak zatopionego w nauce poezji - o ile można to nazwać nauką- że nie było sposobu zmusić go, aby przystąpił do studiowania prawa, co było moim życzeniem, ani też teologii, królowej wszystkich nauk. Byłbym chciał, aby stał się koroną naszego rodu, żyjemy bowiem w wieku, kiedy królowie nasi wynagradzają wysoko pisma zacne i cnotliwe, gdyż pisma bez cnoty są jak perły rzucone w gnojowisko. Cały dzień mu schodzi na sprawdzaniu, czy Homer dobrze, czy źle się wysławił w jakimś wierszu Iliady, czy Marcjalis nieprzystojnie się wyraził w jakimś epigramie; czy tak, czy inaczej należy rozumieć te a te wiersze Wergiliusza. W końcu przestaje jedynie z książkami tych wymienionych poetów oraz z książkami Horacego, Persjusza, Juwenala i Tybulla, poetów nowoczesnych, osobliwie piszących językiem rodzimym, lekce sobie waży; lecz mimo niechęci, jaką żywą do poezji rodzinnej, jest w tej chwili pochłonięty głowieniem się nad głosą do czterowiersza przysłanego mu jako temat z Salamanki, zapewne na turniej literacki. Na to odpowiedział Don Kichote:

- Synowie, panie, są jakby częścią ojcowskich wnętrzności i należy ich miłować czy to dobrych, czy złych, jak miłuje się dusze, co nas ożywiają. Rodzicom przystoi prowadzić ich od maleńkości ścieżkami cnoty, dobrego wychowania, dobrych i chrześcijańskich obyczajów, aby kiedy dorosną, byli podporą starości ojców i chwałą dla potomności. Nie uważam za słuszne zmuszać ich do studiowania tej lub innej nauki, choć nie zawadzi ich przekonywać; a kiedy student nie ma potrzeby studiować pane lucrando¹ i kiedy jest tak szczęśliwy, że niebo dało mu rodziców, którzy go żywią, mnie się wydaje, iż należy mu pozwolić wybrać naukę, ku której największą skłonność żywą, i choć poezja nie jest tak użyteczna jak rozkosz-

na, nie należy do nauk, które przynoszą ujmę temu, kto się jej oddaje. Poezja, mości szlachcicu - wedle mego zdania -jest jak dziewczyna słodka i młodzietka, we wszystkim doskonale piękna, którą bogato przystrajają, upiększają i przyozdabiają inne Dla zdobycia chleba, dla zysku (hiszp.).

438

liczne dziewczyny, jakimi są wszystkie inne umiejętności; ona wszystkimi powinna się posługiwać, one zaś przez nią się wznosić; ale ta dziewczyna nie chce być tykana ani po ulicach włóczona, ani na placach na widok wystawiana, ani też w zakamarkach pałaców. Jest tworem alchemii tak szlachetnej, że kto się z nią umie obchodzić, zamieni ją w szczerą, bezczenną złoto; winien ją trzymać na wodzy, nie dozwoli-

lić jej rozbiegać się w bezecnych satyrach albo w bezduszych sonetach; żadną miarą frymarchyć nią nie lza, jej rzeczą są bohaterskie poematy, żałosne tragedie albo komedia wesoła i pomysłowa. Nie mogą mieć do niej przystępu błazny albo nieokrzesane pospolstwo, niezdolne poznać ani ocenić skarbów w niej zawartych, a nie myślcie, panie, że pospolstwem nazywam jedynie ludzi niskiego i podlego stanu; każdy nieuk, choćby był panem i księciem, może i powinien być zaliczony do gminu; ten więc, kto uprawiać będzie poezje, zachowując wszystkie te warunki, będzie się radował sławą i poszanowaniem wszystkich narodów oświeconych na świecie. Co zaś się tyczy tego, że, jak powiadacie, syn wasz nie bardzo uznaje poezję rodzoną, sądzę, iż się myli w tym względzie, bowiem wielki Homer nie pisał po łacinie, będąc Grekiem, ani Wergiliusz nie pisał po grecku, będąc Rzymianinem. Jednym słowem, wszyscy poeci starożytni pisali językiem, jaki z mlekiem matki wyssali, nie szukali obcych języków dla wyrażania swych wzniosłych myśli. A ponieważ tak jest, należałyby rozciągnąć ten zwyczaj na wszystkie narody i nie gardzić poetą niemieckim, dlatego że pisze po niemiecku, ani Kastylczykiem, ani nawet Biskajczykiem za to, że piszą w swoich. Ale wasz syn, jak sobie to, panie, wyobrażam, nie tyle jest wrogiem poezji rodzimej, ile owych poetów, co piszą jedynie po kastylsku, nie znając innego języka ani też innych umiejętności, które by mogły ozdobić, obudzić i wspomóc ich przyrodzony talent; jednak i w tym może kryć się błąd, bowiem wedle powszechnej i sprawiedliwej opinii człek rodzi się poetą, to znaczy, że prawdziwy poeta z łonu matki poetą wychodzi i przez tę skłonność, którą mu niebo dało, bez dalszych studiów i sztuczek układa rzeczy,

Don Kichote - Miguel Cervantez

które sprawdzają zdanie: Est Deus in nobis! itd.

Powiadam takoż, że prawdziwy poeta, jeśli się sztuką wspomoże, będzie znacznie lepszym i prześcignie poetę, który jedynie przez znajomość sztuki chce nim zostać; przyczyna w tym leży, że sztuka nigdy nie zdoła prześcignąć natury, jedynie ją doskonali; tak że kiedy się natura ze sztuką połączy,

a sztuka z naturą, stworzą najdoskonalszego poetę. Ale na zakończenie mej przemowy rzekę, mości szlachcicu, pozwólcie, wasza miłość, synowi iść, gdzie go jego gwiazda woła; a jeśli jest tak dobrym w naukach, jak być musi, i przekroczywszy już szczęśliwie pierwszy stopień nauk, jakim jest nauka języków, dzięki nim wzniesie się na szczyt nauk humanistycznych, które tak przystają kawalerowi bez majątku i tak go zdobią, wyróżniają i wywyższają jak mitra biskupów lub jak toga prawników. Przyganiajcie synowi, jeśli pisał satyry przynoszące szkodę czci bliźniego,

ukarzcie go i podrzyjcie je w strzępy; ale jeśli będzie pisał napominania na modłę Horacego, piętnując w nich występkę ogółu, jak to tamten udatnie czynił, chwalicie

go; przystoi bowiem poecie pisać przeciw zawiści, pięknować zazdrośników, a także i inne wady, nie wymieniając nikogo; choć istnieją poeci, którzy lubując się Jakiś bóg jest w nas (lac, Owidiusz, Sztuka kochania, ks. III).

439 w złośliwości, gotowi narazić się na niebezpieczeństwo wygnania na wyspy

Pontu. Jeżeli poeta jest czystych obyczajów, będzie takim i w wierszach,

pióro jest językiem

duszy: jakie były pomysły przez nią poczete, takie będą jej pisma; kiedy królowie i książęta widzą cudowną wiedzę poezji wśród poddanych rozumnych, cnotliwych i poważnych, czczą ich, poważają i wzbogacają ich, a nawet koronują liśćmi owego drzewa, którego nigdy piorun nie dotknie, jakby na znak, że nikomu nie lza obrażać tych, których skronie są uczczone i ozdobione takimi wieńcami. Szlachcic w Zielonej Opończy był tak zdziwiony przemową Don Kichota, że porzucił już mniemanie, jakoby był on pomyłony. Ale w połowie tej rozmowy Sanczo, któremu ona bynajmniej nie w smak była, zboczył nieco z drogi, by uprosić trochę mleka u pasterzy, którzy w pobliżu owce doili. Szlachcic, zachwycony mądrością i wymową Don Kichota,

Don Kichote - Miguel Cervantez

gotował się do nowej rozmowy, gdy Don Kichote, podniósłszy głowę, spostrzegł na drodze, którą jechali, zbliżający się wóz przybrany chorągiewkami z herbem królewskim; w przekonaniu, że gotuje się nowa przygoda, wielkim głosem przywołał Sancza, aby mu hełm podał. Sanczo, usłyszawszy wołanie, zostawił pasterzy, co tchu siwka popędził i ku panu swemu pomknął, któremu zdarzyć się miała przygoda straszna a niedorzeczna.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W którym objawia się najwyższy i ostateczny szczyt, jaki osiągnęła i osiągnąć mogła niesłychana odwaga Don Kichota, oraz o szczęśliwie zakończonej przygodzie z lwami

Historia opowiada, że kiedy Don Kichote wołał na Sancza, aby mu hełm przyniósł, ten kupował właśnie serki sprzedawane przez pasterzy; a przynaglony niecierpliwością Don Kichota, nie wiedział, co z nimi począć ani w czym je zabrać; aby zaś nie stracić tych, za które już zapłacił, wpadł na pomysł, by wrzucić je do szyszakańskiego, i z tą piękną zdobyczą zawrócił dowiedzieć się, czego pan żąda; kiedy stanął przed nim, ten rzekł:

- Podaj mi, przyjacielu, hełm. Albo niewiele znam się na przygadach, albo to, co tam widzę, jest przygodą, która zmusi mnie, co mówię, już zmusza do wydobycia miecza. Szlachcic w Zielonej Opończy, usłyszawszy to, obejrzał się wokoło, ale nie ujrzał nic prócz wozu jadącego im naprzeciw z dwiema czy trzema chorągiewkami, z czego wniosł, że wóz ten musi wieźć mienie Jego Królewskiej Mości, i powiedział o tym Don Kichotowi. Ten jednak uwierzyć się wzdragał, przeświadczony i przekonany zawsze, że wszystko, co go spotyka, musi być przygadą nad przygadami; odparł więc szlachcicowi:

440

- Człek w pogotowiu już jest na poły zwycięzcą. Nic nie stracę, mając się nabaczności. Wiem z doświadczenia, że mam wrogów widzialnych i niewidzialnych, i ani wiem kiedy, ani skąd, ani w jakim czasie, ani w jakiej postaci na mnie uderzą. I zwracając się do Sancza poprosił go o hełm, ten zaś, nie zdoławszy wyciągnąć zeń serków, podał mu go wraz z nimi. Pochwycił go Don Kichote i nie spojrzał, co w nim było, z pośpiechem wsadził go sobie na głowę; serki zgniecone wypuściły serwatkę, która jąła ściekać po obliczu i brodzie Don Kichota. Ten doznał takiego wstrząsu, że wykrzyknął do Sancza:

- Cóż to jest, Sanczo! Zda się, że czaszka mi rozmiękła i mózg topnieje albolipocę się od stóp do głowy. Jeśli istotnie się pocę, to zaiste nie ze strachu; nie wątpię

Don Kichote - Miguel Cervantez

jednak, że przygoda, jaka mię teraz czeka, okaże się straszliwa. Daj mi coś do otarcia, jeśli masz, bowiem pot obfitły oślepia mi oczy.

Sanczo nic nie rzekł i podał mu chustkę, dziękując Bogu, że pan jego nie odgadł właściwej przyczyny. Otarł się Don Kichote i zdjawiwszy hełm, by zobaczyć, co wedle jego mniemania tak mu oziębiło głowę, spostrzegł jakąś białą miazgę we wnętrzu szyszaka, podniósł ją do nosa i rzekł:

-Na życie mojej pani Dulcynei z Toboso! Toć świeże serki włożyłeś mi tutaj, zdrajco, łobuzie i niewydarzony giermku!

Na to z wielką flegmą i pozorną obojętnością odpowiedział Sanczo:

- Jeśli tam są serki, dajcie mi je, jegomość, niech zjem... albo raczej niech jediabeł zeżre, który je tam musiał włożyć. Czyż osmieliłbym się tak splugawić hełm waszej miłości? Ot, znaleźliście zuchwalca! Na mą duszę, na Boga klnę się, chyba i ja takoż mam czarowników, którzy mię prześladują, jako że jestem rzeczą i człon-

kiem waszej miłości, oni to włożyli tę obrzydliwość, aby waszą cierpliwość w gniew obrócić i abyście mi żebra zmłócili swoim zwyczajem; ale tym razem zaprawdę strze-

lili w próżnię, polegam na roztropności mego pana, który rozważy, że nie mam ani serków, ani mleka, ani niczego podobnego, a gdybym to miał, raczej bym je sobie w brzuch wpakował niż do hełmu. - Wszystko możliwe - rzekł Don Kichote.

Na to wszystko patrzył szlachcic i dziwował się, zwłaszcza kiedy Don Kichote otarłszy sobie głowę, twarz, brodę i hełm, włożył go z powrotem na łeb i poprawiwszy się w strzemionach, dobył miecza, nastawił kopię, wołając: - A teraz, bywaj, kto chce! Otom gotów zmierzyć się choćby z samym szatanem.

Właśnie zbliżył się wóz z chorągiewkami, na którym nikt nie jechał prócz woźnicy na mułach i jednego człeka na przednim siedzeniu. Don Kichote zastąpił im drogę i rzekł:

- Gdzie to dążycie, bracia? Cóż to za wóz, co na nim wieziecie i co to za chorągwie?
Na to odpowiedział woźnica:

- Wóz jest mój; wiozę na nim dwa dzikie lwy w klatce, które gubernator Oranu przysyła na dwór jako podarunek dla Króla Jegomości; chorągwie są z godłem króla, pana naszego, na znak, że jego własność wieziemy. - A czy te lwy są wielkie? - zapytał Don Kichote.⁴⁴¹

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Tak wielkie - odrzekł człek jadący na przedzie wozu - że nigdy równych aniteż większych z Afryki do Hiszpanii nie przywoziłem; jestem dozorcą lwów i inne woziłem, ale nigdy takich. Jest samiec i samica, samiec jest w tej pierwszej klatce, samica w drugiej, głodne są teraz, bo jeszcze dziś nic nie jadły; niech się więc wasza miłość usunie, trza nam dotrzeć co przedżej, gdzie by je nakarmić było można.

Na to odpowiedział Don Kichote, uśmiechnawszy się nieznacznie:

- To na mnie z lewkami? Z lewkami na mnie? I to teraz? Hej, na Boga! Pokażę tym panom, co je nasłali, czy taki człowiek jak ja przestraszy się lwów! Zejdź z wozu, poczciwce, i jako jesteś dozorcą lwów, otwórz te klatki i wypuść na mnie te bestie; w otwartym polu pokażę im, kto jest Don Kichote z Manczy, wbrew i na przekór wszystkim zawistnym czarnoksiężnikom.

- Ta, ta, ta! - rzekł na to do siebie szlachcic - nasz zacny rycerz okazał, kimjest; zapewne serki rozmiękczyły mu czaszkę i zwurdziły mózg.

Właśnie zbliżył się doń Sanczo, mówiąc:

- Panie, na miłość Boską! Nie dajcie, wasza miłość, panu memu Don Kichotowi porwać się na te lwy, jeśli to uczyni, one nas wszystkich na kawałki rozszarpią.

- Jak to, czyż wasz pan jest aż tak szalony, iż lękacie się i mniemacie, że porwie się na tak dzikie zwierzęta?

- Nie jest szalony - odparł Sanczo - ale okrutnie zuchwały.

- Postaram się go odwieść - odpowiedział szlachcic.

I podszedłszy do Don Kichota, który domagał się gwałtem, aby dozorca klatki otworzył, rzekł doń:

- Panie rycerzu, błędni rycerze powinni podejmować jeno takie przygody, z których jest nadzieję szczęśliwego wyjścia, a nie mieć się takich, które są całkowicie beznadziejne; odwaga bowiem, która wkracza w dziedzinę nieopatrnego zuchwałstwa, raczej do szaleństwa się zbliża niż do męstwa; tym bardziej że owe lwy przeciw waszej miłości nie występują ani myślą o tym; ma to być podarunek dla Króla Jegomości i nie przystoi zatrzymywać ich i przeszkadzać im w drodze.

- Idźcie wasza miłość, mości szlachcicu, zabawiać się waszą ułaskawioną kuropatwą i wojowniczą łasiczką, a zwölcie każdemu czynić, co do jego powołania należy. To moje rzemiosło i ja to wiem najlepiej, czy te mości

Don Kichote - Miguel Cervantez

lwy mają, czy nie mają coś ze mną do czynienia.

I zwracając się do dozorca, rzekł:

- Do kroćset! Panie hultaju, jeśli zaraz nie otworzysz klatek, tą kopią przywożdę cię do wozu.

Woźnica, widząc upór owego uzbrojonego straszydła, przemówił:

- Panie mój, niechże wasza miłość przez litość zezwoli, abym wyprzągły muły z nimi w bezpieczne miejsce uszedł, zanim lwy się nie wydostaną, gdyby mi je zabiły, zostałbym na całe życie żebrakiem; ten wóz i te muły to cały mój majątek.
- O człeku małej wiary! - wykrzyknął Don Kichote. - Złaź i wypręgaj corychlej; niebawem ujrzyysz, że trudziłeś się daremnie i że mogłeś poniechać fatygi.

Woźnica zsiadł i wyprzągły pośpiesznie, dozorca lwów zaś na cały głos oświadczył:

- Wszystkich tu obecnych wzywam na świadków, że wbrew mej woli i przymuszonny otwieram owe klatki i wypuszczam lwy i że tego pana czynię odpowiedź-

442 dzialnym za wszelkie зло i szkody, jakie lwy wyrządzają, nie licząc mej zapłaty i in-

nnych należności. Ichmość panowie zaś ukryjcie się bezpiecznie, zanim otworzę; co do mnie, jestem pewien, że nic złego mi nie uczynią.

Jeszcze raz szlachcic usiłował przekonać Don Kichota, aby nie popełniał takiego szaleństwa; niech nie kusi Boga, porywając się na podobną niedorzecznosć. Don Kichote odpowiedział, iż wie, co czyni. Ostrzegał go szlachcic, by dobrze rozważył, pewne jest bowiem, że się myli.

- Hola, panie mój! - zawałał Don Kichote. - Jeśli wasza miłość nie chce być świadkiem tego, co, jego zdaniem, ma się stać tragedią, dodajcie ostrogi jabłkowitej i w bezpieczne miejsce ustąpcie.

Usłyszawszy to, Sanczo ze łzami w oczach błagał go, aby poniechał tej przygody, wobec której wszelkie przygody z wiatrakami, pełna grozy przygoda z foluszami, a w końcu wszystkie przewagi, na jakie ważył się w ciągu swego życia, wydają się ciasteczkiem i kołaczem.

- Zważcie, panie - mówił Sanczo - że nie ma tu czarów ani nic podobnego. Sam widziałem przez prety i szpary klatki pazur prawdziwego lwa i zeń wnoszę, że lew mający takie pazury musi być większy niż góra.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- To strach niezawodnie - odparł Don Kichote - czyni ci lwa większym niżpół świata. Usuń się, Sanczo, i zostaw mię; a gdybym tu zginął, pamiętaj o naszej dawnej umowie; pośpieszysz do Dulcynei... więcej nic ci nie powiem. Dodał do tego jeszcze inne słowa, które odebrały wszelką nadzieję, aby zechciał poniechać szalonego zamysłu. Rad byłby się Jegomość w Zielonej Opończy sprzeciwił temu, ale widząc nierówność uzbrojenia, osądził, że szaleństwem byłoby mierzyć się z wariatem, za jakiego już teraz w pełni miał Don Kichota; kiedy ten

zaczął znowu przynaglać dozorcę, obrzucając go groźbami, szlachcic spiął klacz ostrogami, Sanczo popędził siwka, woźnica muły i wszyscy starali się możliwie najdalej od wozu odsunąć, zanim wypadną lwy. Sanczo opłakiwał już śmierć swego pana, gdyż nie wątpił, że tym razem padnie on pod szponami lwów; złorzeczył swemu losowi i przeklinał godzinę, kiedy mu do głowy przyszło powrócić na służbę, ale płacz i lament nie przeszkadzały mu popędzać siwka, aby oddalić się od wozu.

Dozorca, sprawdziwszy, że uciekający byli już dość daleko, znów jał ostrzegać Don Kichota i przekładać mu, powtarzając, co już uprzednio mówił; ten odrzekł, że już to słyszał i nie dba o żadne więcej ostrzeżenia i przedłożenia, wszystko jest na darmo, niech się jeno śpieszy.

Podczas kiedy dozorca zwłoczył z otwieraniem pierwszej klatki, Don Kichote rozważał, zali lepiej będzie walczyć pieszo czy konno, w końcu, lękając się, by Rosynant nie przeraził się widoku lwów, postanowił stawać pieszo. Zsiadł więc z konia, odrzucił kopię, pochwycił tarczę i wyciągnąwszy miecz, krok za krokiem, z przedziwną odwagą i z sercem walecznym stanął przed wozem, polecając się Bogu z całej duszy, a także pani swej Dulcynei. Trza wiedzieć, że doszedłszy do tego miejsca, autor tej prawdziwej historii nie może powstrzymać okrzyku: "O mężny i ponad wszelki wyraz śmiały Don Kichocie z Manczy! Zwierciadło, w którym przeglądać się mogą wszyscy waleczni świata, o drugi i nowy Don Manuelu de Leon, co to był chwałą i chlubą hiszpańskich rycerzy! Jakimiż słowy

443 opowiem twój czyn tak straszliwy? Jakimiż wyrazy potrafię weń wzbudzić wiarę wieków przyszłych? Jakież znajdę pochwały stosowne i godne ciebie, choćby to była przesada nad przesadami? Ty oto pieszo, ty sam jeden, ty nieustraszony, ty wspaniałomyślny, jedynie z mieczem twoim, i to nie z tych, co znak pieska noszą!, z tarczą, i to z niezbyt czystej i lśniącej stali, stajesz oto w oczekiwaniu przeciw

Don Kichote - Miguel Cervantez

dwom najdzikszyim lwom, jakie kiedykolwiek wydały afrykańskie lasy! Własne twe czyny ciebie sławić będą, waleczny Mancejczyku! Przedstawiam je tutaj tak, jakimi są, brak mi bowiem słów na ich pochwałę".

Tu urywa autor przytoczony okrzyk, a przechodząc dalej, nawiązuje znów wątek historii, mówiąc: Dozorca, widząc, że Don Kichote zajął już stanowisko i że nie zdoła uchylić się od wypuszczenia lwa-samca, pod grozą zawziętości oburzonego i zuchwałego rycerza otworzył na oścież pierwszą klatkę, w której, jak się rzekło, siedział lew

wielkości niezwyczajnej, wyglądu straszliwego i dzikiego. Lew najpierw zaczął się przewracać tedy i owędy po klatce, w której leżał, wysunął szpony i przeciągnął się

jak długi; po czym rozwarł paszczę, ziewnął przeciągle i wywiesiwszy jazor prawie na dwie piędzie długie, otarł z kurzu oczy i obmył pysk; to uczyniwszy, wystawił głowę za klatkę i powódź dokoła oczyma jak rozżarzone węgle; spojrzenie to i poruszenie mogło przerażeniem napoić uosobienie zuchwałości. Don Kichote jeden wpatrywał się weń z napięciem, pragnąc, by wyszedł z wozu i zmierzył się z nim, pewny, że bestię na kawałki rozsiecze.

Do takiego ostatecznego kresu doszło jego nigdy niewidziane szaleństwo. Ale lew wspaniałomyślny, bardziej dworny niż zuchwały, nie zważając na dzieciństwa i pyszałkowatość, obejrzałszy się na tę i na tamtą stronę, jak rzekliśmy, odwrócił się, ukazawszy tył Don Kichotowi, i z wielką flegmą i spokojem znowu się w klatce ułożył; co widząc, Don Kichote wezwał dozorę, aby go kijem uderzył i podrażniwszy, skłonił do wyjścia na zewnątrz.

- Nie, tego nie uczynię - odpowiedział dozorca - gdybym go podrażnił, mnie pierwszego rozdarłby na kawałki. Wasza miłość, panie rycerzu, niech się zadowoli tym, czegoście dokazali, a to jest najwyższy stopień waleczności, i nie chciejcie po

raz drugi losu kusić. Lew ma klatkę otwartą; jego wola wyjść czy nie wyjść, ale jeśli nie wyszedł dotąd, to i do końca dnia nie wyjdzie. Wielkie męstwo waszej miłości objawiło się już w całej pełni. O ile wiem, żaden dzielny zapaśnik, kiedy

Don Kichote - Miguel Cervantez

wyzwał swego przeciwnika i oczekiwając go na placu, nie jest obowiązany do niczego więcej; kiedy przeciwnik mu nie stanie, sam się hańbą okryje, oczekując zaś wieniec zwycięstwa zdobywa.

- Zaiste, prawda! - odpowiedział Don Kichote. - Zamknij, przyjacielu, drzwiklatki i wydaj mi poświadczenie w najlepszej, jak potrafisz, formie tego, coś tu oglądał, to znaczy: jak otworzyłeś klatkę lwa, jak go oczekiwałem, jak on nie wyszedł, jak dalej go czekałem, on zaś wyjść nie chciał i zwrócił się położyć.

Więcej

nie jestem obowiązany czynić. Precz z czarami!

Bóg niech wspomaga rozum, spra- Mieczes
płatnerza Juliana del Rey z Toledo nosiły na
rękę jeści znak pieska (gmerk). Toledo słynęło z
wyrobów płatnerskich na całą Europę.

444

wiedliwość i prawdziwe rycerstwo. A teraz zamijkaj, jak rzekłem, ja zaś pod ten czas
dam znak tym, co uciekli i nie byli obecni, niech z twoich ust dowiedzą się o tej
przewadze.

Uczynił tak dozorca, zaś Don Kichote, zawiesiwszy na ostrzu kopii chustkę, którą
sobie twarz ocierał z rozciekłych serków, zaczął przywoływać tych, którzy nie
przedstawali uciekać, odwracając głowy za każdym krokiem, wszyscy zbici w
gromadę wokół szlachcica; zaledwie Sanczo spostrzegł znak białej chusty, rzekł:

- Niech mnie zabiją, jeśli mój pan nie zwyciężył owych dzikich bestii, oto
nasprzywouję.

Zatrzymali się wszyscy i zauważyli, że Don Kichote dawał znaki, i pozbywszy nieco
lęku, powoli zaczęli się zbliżać, aż wyraźnie usłyszeli wołanie Don Ki-
chota, który ich przyzywał. W końcu wrócili do
wozu, kiedy zaś zbliżyli się, Don Kichote rzekł do
woźnicy:

- Zaprzegaj, bracie, z powrotem swe mulice i jedź dalej w drogę. Ty zaś, Sanczo,
daj dwa złote talary jemu i dozorcy w nagrodę, że się z mej przyczyny
zatrzymali. - Dam je z wielką chęcią - odparł Sanczo - ale co się stało z lwami?
Żywe-li sączy martwe?

Wówczas dozorca lwów drobiazgowo i z licznymi przerwamitał opowiadać wynik
tego spotkania, wyolbrzymiając, jak tylko zdołał i potrafił, męstwo Don Ki-

Don Kichote - Miguel Cervantez

chota, na którego widok lew, stchórzywszy, ani chciał, ani śmiał wyjść z klatki, choć przez długi czas drzwi klatki stały otworem; a kiedy przedstawił onemu rycerzowi,

że byłoby kuszeniem Boga drażnić lwa, zmuszając go do wyjścia, tak jak ów sobie życzył, z ciężkim sercem i wbrew woli pozwolił wreszcie klatkę zamknąć. - Cóż ty o tym myślisz, Sanczo? - zapytał Don Kichote. - Cóż mogą czary przeciw prawdziwemu męstwu? Mogliby czarownicy pozbawić mię powodzenia, ale nigdy męstwa i dzielności.

Sanczo wypłacił talary, woźnica zaprzągły, dozorca ucałował ręce Don Kichotowi za wyściadzoną łaskę i obiecywał opowiedzieć o tym walecznym czynie samemu królowi, kiedy na dwór przybędzie.

- Przeto jeśli przypadkiem Jego Królewska Mość zapytał, kto to uczynił, powiedziecie, że Rycerz Lwów; bowiem odtąd chcę, aby tak zmieniło się, przeobraziło

i przetworzyło miano Rycerza Smętnego Oblicza, jakie dotąd nosiłem. Idę w tym za odwiecznym zwyczajem błędnych rycerzy, którzy zmieniali miana, kiedy chcieli lub kiedy im to było na rękę.

Wóz odjechał w dalszą drogę, zaś Don Kichote, Sanczo i Ów w Zielonej Opończy pojechali swoją.

Przez cały ten czas Don Diego de Miranda i słowa nie przemówił, śledząc w skupieniu czyny i słowa Don Kichota, który zdawał mu się człekiem rozumnym dotkniętym obłędem lub szaleńcem obdarzonym rozumem. Nie doszła była jeszcze do jego wiadomości Część pierwsza jego dziejów, gdyby był ją przeczytał, pozbyłby się zdumienia, jakim napełniały go jego czyny i słowa, poznawszy rodzaj jego szaleństwa. Ale nie znając jej, raz go miał za zdrowego na umyśle, a raz za obłąkanego, wypowiedzi bowiem jego były rozumne, wytworne, dobrze wygłoszone, zaś

445

czyny dziwaczne, nieopatrzne, szalone. I mówił sobie: "Czyż może być większe szaleństwo, jak włożyć na głowę szyszak pełen serków i wyobrazić sobie, że to czarnoksiążnicy czaszkę mu rozmiękczyli? Albo czyż może być większe i bardziej nieprzytomne zuchwałstwo, jak chcieć gwałtownie walczyć z lwami?".

Z tych rozmyślań wyprowadził go Don Kichote, mówiąc:

- Nie wątpię, panie Don Diego de Miranda, że wasza miłość uważa mnie za człowieka szalonego i obłąkanego. I niewiele brakuje, abym takim był, bowiem czyny

Don Kichote - Miguel Cervantez

moje świadczą o tym. Ale mimo wszystko chcę, abyście, wasza miłość, przyznali, że nie jestem aż tak obłąkanym ani tak pomyłonym, jak muszę się wydawać. Piękny to widok, kiedy dzielny rycerz na oczach króla pośrodku wielkiego placu szcześliwym uderzeniem kopii poskromi rozjuszonego byka; piękny to widok, kiedy rycerz okryty świetlistą zbroją w radosnej gończy na oczach dam się mierzy; pięk-

ne to również, kiedy wszyscy rycerze zabawiają się, radują i, o ile rzec to można, sławą okrywają dwory swych książąt przez igrzyska wojenne, a raczej które takowe udają; ale prym nad wszystkimi bierze ów błędny rycerz, który przez pustacie i odludzia, przez manowce, przez lasy i przez góry błądzi w poszukiwaniu przygód niebezpiecznych, pragnąc je szczęśliwie i pomyślnie zakończyć jedynie, aby zyskać

sławny i trwały rozgłos. Wyższy jest, mówię, błędny rycerz, który pomaga wdowie na jakimś bezludziu, od rycerza dworaka ubiegającego się o jakąś dziewczę w mieście. Wszyscy rycerze mają swe powołania odmienne: dworak niech służy damom, niech strojem swym przydaje blasku królewskiemu dworowi; niech przy swym sutym stole nakarmi ubogich rycerzy, niech urządza gonity, niech zwycięża w turniejach; niech okazuje się wielkim, szczodrym i wspaniałomyślnym, a nade wszystko dobrym chrześcijaninem i w ten sposób wypełni przystojnie swe obowiązki; ale błędny rycerz niech przetrząśnie świat aż po rubieże, niech przemierzy najbardziej zawiłe labirynty, niech co krok dokonywa rzeczy niemożliwych, niech znosi w pustkowiach bezludnych upalne słońca promienie w pełni lata, zaś zimą okrutną niełaskawość wichrów oraz mrozów, niech go nie zaniepokoją lwy, nie przerażą widma, nie przestraszą endriagi, bowiem szukać tych, mierzyć się z owymi, a zwyciężać wszystkie,

oto jego najważniejsze i istotne zadanie. Ja więc, jako mi przypadło w udziale być jednym z liczby błędnych rycerzy, nie mogę uchylić się od spełnienia wszystkiego,

co wedle mego rozumienia do obowiązków mego zawodu należy; tak przeto bezpośrednim moim obowiązkiem było zaatakować owe lwy przed chwilą, choć zdawałem sobie sprawę, że było to zuchwałstwem nadmiernym, wiem bowiem dobrze, co to jest męstwo -jest to cnota postawiona między dwoma krańcowymi wadami: tchórzostwem i zuchwałstwem. Ale mniejszym złem jest, kiedy człek waleczny na szczyt zuchwałstwa się wdziela, niż gdyby stoczył się aż do tchórzostwa. I jako człowiekowi szczodremu łacniej się wspaniałomyślnym okazać niżli skapcowi, tak i łacniej zuchwałemu stać się prawdziwie mężnym niżli tchórzowi prawdziwej

Don Kichote - Miguel Cervantez

waleczności dostąpić. Co zaś podejmowania przygód się tyczy, to wierzcie mi, panie Don Diego, iż lepiej na kartę stawić więcej niż mniej; bowiem zacnej brzmi w uszach słuchających: "Ów rycerz jest zuchwały i śmiały" niż: "Ten rycerz jest nieśmiały i tchórzliwy".

- Powiem, mości Don Kichocie odpowiedział Don Diego - że wszystko, co wasza miłość rzekliście i uczyniliście, jest ściśle pod nić rozumu wyrównane, i wie 446 rze, że gdyby się przepisy i reguły błędnego rycerstwa zatraciły, odnalazłyby się

w sercu waszmości, jakby w swoistym schowaniu i archiwum. Pośpieszajmy atoli, bo robi się późno, abyśmy na czas dotarli do mej wioski i domu, gdzie wasza miłość odpoczniecie po trudach przeszłych, bo choć nie utrudziło się ciało, utrudził się duch, co często się na zmęczeniu całego ciała odbija.

- Z wielką wdzięcznością i chęcią przyjmuję wasze zaproszenie, panie Don Diego -

odpowiedział Don Kichote.

I popędziszy konie ostrzej niż dotąd, około drugiej po południu stanęli we wiosce i przed domem Don Diega, którego Don Kichote nazwał Rycerzem

Zielonej

Opończy. ;

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY o
tym, co spotkało Don Kichota w
zamku czy dworze

Rycerza Zielonej Opończy, oraz o innych nadzwyczajnych sprawach Don Kichote znalazł dom Don Diega de Miranda obszernym, jak to na wsi bywa; nad bramą od ulicy widniał herb wykuty w surowym kamieniu; Loch na wino w dziedzińcu, piwnica w bramie, a dokoła liczne gliniane stągwie, które, jako wyrabiane w Toboso, przywiodły mu na pamięć zaczarowaną i przemienioną jego Dulcyneę; westchnawszy przeto, niebaczny na to, co mówi ani w czystej obecności, rzekł:

Słodkie zadatki, a dla mnie złowieszcze, Słodkie, radosne, póki Bóg zezwalał.

O tobosańskie stągwie, któreście mi na pamięć przywiodły słodki skarb najsrozszej mej goryczy!

Słyszał te słowa student poeta, syn Don Diega, który wraz z matką wyszedł na przywitanie; zarówno matkę, jak syna ogarnęło zdumienie na widok dziwacznej postaci Don Kichota; ten, zsiadłszy z Rosynanta, sunął bardzo dwornie prosić o rękę do ucałowania, zaś Don Diego rzekł:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Przyjmijcie, pani, ze zwykłą wam przychylnością pana Don Kichota z Manczy, bo oto przed wami stoi najdzielniejszy i najmędrzy z błędnych rycerzy świata.

Pani, która zwała się Dona Krystyna, przywitała go bardzo serdecznie i dwornie, zaś Don Kichote ofiarował swe usługi w licznych, mądrych i grzecznych słowach. Podobne grzeczności wymienił ze studentem, który odkąd usłyszał Don Kichota przemawiającego, uznał go za mądrygo i światłego.

Tu opisuje autor szczegółowo dom Don Diega, malując nam wszystko, co znajduje się w domu zamożnego ziemianina, ale tłumacz tej historii pominął mil-

447

czeniem, jak się zdaje, te i inne podobne szczegóły jako niemające związku z właściwym tokiem powieści, której siła raczej na prawdzie się zasadza aniżeli na zimnych opisach. Wprowadził Don Kichota do jednej z sal, gdzie Sanczo rozbroił go; pozo-

stał w pludrach walboskich oraz w kaftanie łośniowym, poplamionym od zbrudzonej zbroi; na szyi miał wyłożony kołnierz, jaki zwykli nosić studenci, niekrochmalony i bez koronek; nogawice były brązowe, a trzewiki nawoskowane. Dobry swój miecz zawiesił na pendencie z foczej skóry, gdyż jak mówiono, od wielu lat cierpiał na nerki; na ramiona narzucił długi płaszczek bez kołnierza z dobrego siwego sukna; ale wprzód umył sobie twarz i głowę, zużywszy na to pięć czy sześć kociołków wody; bo co do ich liczby istnieje pewna rozbieżność, a jednak woda pozostała koloru serwatków dzięki łakomstwu Sancza i kupnemu czarnej pamięci serków, które tak na biało Don Kichota umalowały. W tym opisanym stroju, z miłym wdziękiem i swobodą, przeszedł Don Kichote do drugiej sali, gdzie oczekiwali nań student, aby go zabawiać, póki stołów nie ustawią, bowiem na przyjęcie tak szlachetnego gościa Dona Krystyna chciała pokazać, że umie i może godnie przyjąć, kto do jej domu zawita. Don Lorenzo, tak bowiem zwał się syn Don Diega, skorzystał z czasu, kiedy Don Kichote zdejmował zbroję, aby zapytać ojca:

- Co myśleć, panie ojcze, o tym rycerzu, któregoście, wasza miłość, do domuprzywiedli? Nazwisko, postać i mowa owego błędnego rycerza wprawia zarówno mię, jak matkę w zadziwienie.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Nie wiem, co ci rzec, synu - odparł Don Diego - mogę ci jeno powiedzieć, że widziałem, jak czynił rzeczy godne największego szaleńca na świecie i jak wypowiadał słowa tak mądre, że przekreślały i zacierały jego czyny; pomów z nim ty, domacaj się pulsu jego wiedzy, a jako sam masz rozum, osądź, co jest większe: jego mądrość czy też nierożum, choć prawdę rzekłszy, uważałam go za szaleńca raczej niż za zdrowego na umyśle.

Po czym Don Lorenzo poszedł rozmawiać z Don Kichotem, jak było powiedziane. W rozmowie, jaką obaj wiedli, Don Kichote rzekł do Don Lorenza: - Jegomość Don Diego de Miranda, rodzinie waszmości, powiadomił mię o rzadkiej zdolności i subtelności waszego umysłu, a przede wszystkim o tym, że wasza miłość jest wielkim poetą.

- Poetą, być może - odpowiedział Don Lorenzo - ale wielkim? Ani mi przezmyśl to nie przeszło. Prawdą jest, że rozmiłowany jestem nieco w poezji i w czytaniu dobrych poetów; ale nie tak, abym miał prawo nazwać się wielkim, jak rzekł ojciec.

- Podoba mi się ta skromność - odparł Don Kichote - nie masz bowiem poety, który by nie był zarozumiałym i nie sądził, że jest największym poetą na świecie.

- Nie masz reguły bez wyjątku - odpowiedział Don Lorenzo - może się zdarzyć ktoś, kto nim jest, ale tak nie myśli.

- Niewielu - odpowiedział Don Kichote - ale powiedzcie mi, wasza miłość, jakież to wiersze obecnie macie na warsztacie, o których wasz ojciec mówi, że sprawiają wam pewien niepokój i troskę? Jeśli to jakaś glosa, rozumiem się nieco na tych sprawach i rad bym to poznać; a jeśli chodzi o turniej poetycki, starajcie się 448

uzyskać drugą nagrodę; pierwszą bowiem przyznają zwykle z faworu osobie wysoko postawionej; drugą przysądza ścisła sprawiedliwość, wobec tego trzecią jest drugą, a pierwsza wedle tego rachunku jest dopiero trzecią, podobnie jak to się dzieje z licencjatem nadawanym na uniwersytetach; ale mimo wszystko osobistość znaczna jest zawsze pierwsza. "Jak dotąd - rzekł do siebie Don Lorenzo - nie mogę go za wariata uważać, ale chodźmy dalej".

I powiedział:

- Jak mi się zdaje, wasza miłość, bywaliście w szkołach? Jakie nauki studiowaliście?
- Wiedzę o błędny rycerstwie - odpowiedział Don Kichote - również ona zacnajak poezja, a może o dwa palce wyższa. - Nie znam takiej nauki - odparł Don Lorenzo - i jak dotąd, nie doszedł mniesłuch o niej.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Jest to wiedza - odpowiedział Don Kichote - która w sobie zamyka wszystkie lub prawie wszystkie umiejętności świata, biorąc to przed sie, że kto ją uprawia, musi być prawnikiem, znać przepisy prawa karnego i cywilnego, aby każdemu wymierzyć, co jego i co mu się należy; winien być teologiem, aby umieć wyjaśnić dowodnie i zrozumiale, gdzie tego zajdzie potrzeba, dogmaty chrześcijańskiej wiary, jaką wyznaje; winien być medykiem, a zwłaszcza zielarzem, aby pośród bezludzi i w pustaciach rozpoznać zioła, które mają własność gojenia ran, nie może bowiem rycerz błędny każdej chwili tracić czasu na szukanie, kto by go uleczył; winien być astrologiem, aby po gwiazdach poznać, ile godzin nocy upłynęło oraz w jakiej części i w jakim klimacie na świecie się znajduje; musi znać matematykę, bowiem na każdym kroku okazuje się potrzebna; pomijając, że prócz tego musi być ozdobiony wszelakimi cnotami teologicznymi i głównymi, a przechodząc do innych, pomniejszych, powiem, że musi umieć pływać, jak pływał Mikołaj Ryba, czyli Cola; musi umieć podkuć konia, zakładać siodło i wędzidło; a wracając do rzeczy najważniejszych, winien dochować wiary Bogu i swej damie; musi być czystym w myślach, uczciwym w słowach, wspaniałomyślnym w działaniu, walecznym w czynach, wytrwały na trudy, litościwym dla potrzebujących, a w końcu obrońcą prawdy, choćby ta obrona i życie go kosztować miała. Z wszystkich tych wielkich i drobnych częstek składa się dobry rycerz błędny; z tego widzieć możecie, waszmość panie Don Lorenzo, czy umiejętność, jaką zdobywa rycerz, który ją studiuje i oddaje się jej, jest nauką dziecinną i czy może wchodzić w paragon z najcenniejszymi, jakie w szkołach i gimnazjach są wykładane.
- Jeżeli tak jest - odpowiedział Don Lorenzo - powiedziałbym, że owa umiejętność prym pośród wszystkich trzyma.
- Jak to, jeżeli tak jest? - zapytał Don Kichote.
- Chciałem rzec tylko - powiedział Don Lorenzo - iż wątpię, jakoby ongiś istnieli i jakoby dziś żyli błędni rycerze tyloma cnotami zdobni. - Wielekroć powtarzałem, co i teraz powtórzę - odparł Don Kichote. - Oto większa część ludzi na świecie mniema, że nie było na ziemi błędnych rycerzy, a jako przekonany jestem, że jeżeli niebo cudem nie dowiedzie prawdy, iż tacy istnieli i dziś istnieją, wszelki trud, aby ich przekonać, będzie daremny - jak wiele449 kroć wykazało doświadczenie - nie chcę przeto tracić czasu, aby waszą miłość wyprowadzić z błędu, jaki z wielu innymi dzielicie; mogę tylko prosić nieba, aby was zeń wywiodło i przekonało, jak pozyteczni i jak potrzebni byli światu błędni rycerze

Don Kichote - Miguel Cervantez

w wiekach ubiegłych i jak pozyteczni byliby obecnie, gdyby to było w zwyczaju; ale dziś za grzechy ludzkie triumfują lenistwo, bezczynność, obżarstwo i gnuśność.

"Oho! Teraz nasz gość się rozpedził - rzekł sobie na to Don Lorenzo - ale z tym wszystkim jest to wariat niezwykły i byłbym sam półgłówkiem do niczego, gdybym inaczej Sądził".

Na tym zakończyli swą rozmowę, zwołano ich bowiem do obiadu. Don Diego zapytał syna, co wywnioskował o umyśle gościa. Ten odpowiedział: - Wszyscy medycy i wszyscy mądrkowie świata nie przeniknęliby mgławicy jego szaleństwa: to jest wariat połowiczny, niepozbawiony przebłysków świadomości.

Zasiedli do stołu, posiłek był taki, o jakim Don Diego mówił w czasie drogi, że zwykły swoich gości przyjmować: dobrze podany, obfitły i smaczny, ale najbardziej zachwyciła Don Kichota cudowna cisza, jaka panowała w całym domu, który podobny był do klasztoru kartuzów. Kiedy zdjęto obrusy, odmówiono modlitwę dzięczynną ora^ podano wodę do umycia rąk, Don Kichote jał prosić Don Lorenza, aby odczytał wiersze na turniej literacki, na co tamten odrzekł: - Aby nie być podobnym takim poetom, co to, proszeni o wygłoszenie swych wierszy, odmawiają, a kiedy ich nie proszą, wyrzucają je z siebie, wypowiem moją głosę, za którą nie spodziewam się żadnej nagrody, napisałem ją jedynie dla ćwiczenia umysłu.

- Pewien mój przyjaciel a mądry człek - odpowiedział Don Kichote - wyrażazdanie, że nie należy się trudzić układaniem głos; a to dlatego - mówił - że glosa

nigdy nie stosuje się do tekstu i często, a raczej najczęściej odbiega od intencji i sensu tekstu głosowanego"; co więcej, prawidła głosy są niezmiernie ścisłe: nie

dopuszczają zapytań ani słów "powiedział" lub powiem", nie pozwalają urabiać rzeczowników od czasowników ani zmieniać sensu, nie licząc innych dodatków i utrudnień, które krępują glosatorów, jak to, wasza miłość, wiedzieć musicie. - Zaiste, panie Don Kichote - rzekł Don Lorenzo - chciałem złapać waszą miłość na jakimś Zasadniczym błędzie, ale nie sposób, tak wymykacie mi się z rąk jak piskorz.

- Nie rozumiem _ odparł Don Kichote - co wasza miłość mówi, czy chce powiedzieć przez to, że wymykam się jemu?
- Wytlumaczę się niebawem - odparł Don Lorenzo - a teraz zechciejcie, wasza miłość, posłuchać tych wierszy głosowanych oraz głosy;

brzmią one tak:

Temat

Don Kichote - Miguel Cervantez

Gdyby w "jest" znów przyszło "było",
Nie czekałbym już na
"będzie", Gdybym
znał, co przyszłość
przedzie, Co przed
nami Jutro skryło.

450

Glosa

W końcu wszystko w świecie minie,

Przeszło szczęście,
które dała Fortuna w
dobrzej godzinie,

I przywrócić go nie chciała W obfitości ni w drobinie.

Wieki już jest tak niemiłą, Do kolan swych gnie mię siłą.

Przywróć mię do pomyślności!

Byłbym syt wszelkiej radości, Gdyby w , jest" znów przeszło "było".

Nie chcę rozkoszy ni sławy,

Laurów i zwycięstw mam zadość,

Za nic triumfy, buławy,

Niech jeno wróci ta radość, Po której został ból łzawy.

Gdyby los w szczęśliwych rzędzie

Mię postawił, jak najprędzej

Słumiłbym żar żräcy ciało;

Gdyby się to dzisiaj stało, Nie
czekałbym już na "będzie".

Wiem, po

niemożliwe

sięgam, By

wstrzymawszy

biegu koła, Wstecz

wróciła czasów

wstępą,

Tego dokonać nie zdoła Żadna na świecie potęga.

Goni czas, leci w rozpoczęcie, Kto chce wstrzymać go, jest w błędzie.

Jest to także sen dziecięcy,

Don Kichote - Miguel Cervantez

By czas nastął dzisiaj inny, Gdybym znał, co przyszłość przedzie.

Żyć tak wśród ciąglej udręki

Między nadzieję a trwogą,

Śmierć raczej większe ma wdzięki.

Szczęśliwi, którzy w niej mogą

Szukać wyzwolin od męki. i.

Nieraz mi się to marzyło,

Aby skryć się pod mogiłą,

Lecz jakaś dziwna rozwaga

Wciąż się lękiem przed tym wzdraga,

Co przed nami "jutro" skryło. i u 451

Zaledwie Don Lorenzo skończył recytację glosy, Don Kichote zerwał się na równe nogi i donośnym głosem, który raczej krzykiem się wydawał, pochwyciwszy prawicę poety, zawałał:

- Chwała bądź najwyższym niebiosom, szlachetny młodzieńcze, jesteś oto najlepszym poetą na ziemi i zasłużyłeś, aby cię uwieńczyły już nie Gaeta czy Cypr, jak mówił pewien poeta, któremu aby Bóg był miłościw, ale akademie ateńskie, gdyby dziś istniały, oraz współczesne nam akademie Paryża, Bolonii i Salamanki! Niech sprawi niebo, by Febus swymi strzałami poraził sędziów, którzy by wam pierw-

szej odmówili nagrody, i oby Muzy nigdy progu ich nie przestąpiły; powiedzcie mi, panie, jeśli łaska, jakieś wiersze o szerszym rytmie; chciałbym pochwycić głęboki puls waszego zadziwiającego talentu.

Czyż można się dziwić, gdy mówią, że Don Lorenza uradowały pochwały Don Kichota, choć miał go za szaleńca? O mocy pochlebstwa, dokądże sięgasz! I jak rozległe są granice twoego rozkosznego władztwa! Potwierdził tę prawdę Don Lorenzo, przystając na prośbę i życzenie Don Kichota i wygłaszaając taki sonet o bajecznych dziejach Pyrama i Tysbe: Sonet

Mur rozkruszyła dziewczka urodziwa,

Która zraniła serce Pyramowe;

Oglądać ciasne, dziwne szpary owe Już Amor z Cypru skwapliwie przybywa.

Cisza tam mówi, głos się nie odzywa,

Nie śmiejąc wedrzeć się w szczelinę słowem,

Dusze pęknięciem tylko przejść gotowe,

Don Kichote - Miguel Cervantez

Bo miłość sprawia niepojęte dziwa.
Zwiodła ich miłość, owa nierozwaga, Jaką
tęskliwa dziewczyna popełnia. Miast szczęścia dała
śmierć, mówi historia: Oboje naraz-o! serce się
wzdraga!

Zabija, kryje i unieśmiertelnia Miecz i grób jeden oraz jedna gloria.

- Błogosławiony niechaj będzie Bóg! - zawałał Don Kichote do Don Lorenza, wysłuchawszy sonetu - że spośród nieskończonej liczby doskonałych poetów dzisiejszych spotkałem tak doskonałego jak wasza miłość, panie mój! Mówią mi o tym artyzm tego sonetu.

Przez cztery dni podejmowano wspaniale Don Kichota w domu Don Diega; po ich upływie poprosił on o pozwolenie odjazdu, dziękując za gościnę i dobre przyjęcie, jakiego w jego domu doznał; nie lza atoli błędny rycerzom zbyt wiele czasu 452 poświęcać spoczynkowi i używaniu, chce przeto odjechać, aby powołaniu swemu zadośćuczynić, szukając przygód w jakie, jak się dowiedział, owa

kraina obfituje;

zamierza przeto spędzić tutaj czas dzielący go od dnia turnieju w Saragossie, który jest celem jego wyprawy. Przede wszystkim jednak ma zamiar udać się do Jaskini Montesinosa, o której tyle przedziwnych rzeczy w tych okolicach opowiadają, a także dojść i odkryć, jakie jest źródło i prawdziwy początek siedmiu jezior, zwanych powszechnie Stawami Ruidery. Don Diego i jego syn pochwaliли to szczytne postanowienie i prosili, aby z domu ich i majątkości zabrał wszystko, co by mu miłe było;

usłużą mu z największą ochotą; skłania ich do tego zarówno wartość jego osoby, jak i szlachetne jego zwołanie. Nadszedł wreszcie dzień odjazdu, tak radosny dla Don Kichota, jak śmietny i gorzki dla Sancza, który czuł się doskonale wśród obfitości domu Don Diega i wzdragał się przed powrotem do głodu, jaki się odczuwa wśród lasów i pustaci, i do chudzizny źle zaopatrzonych biesagów1. Niemniej napchał je i wypełnił mnóstwem rzeczy, które wydały mu się potrzebne. Przy pożegnaniu Don Kichote rzekł do Don Lorenza:

- Nie wiem, czyli już kiedy waszej miłości mówiłem, to co dziś powtarzam, że kiedy waszmość zechcecie skrócić drogę i trudy wiodące na niedostępny szczyt świątyni Sławy, nic innego wam nie zostaje, jak rzucić ścieżkę poezji nieco wąską,

Don Kichote - Miguel Cervantez

a obrać jeszcze węższą ścieżynę błędnego rycerstwa, która was za jednym zamachem do cesarstwa doprowadzi. Tymi słowy ostatecznie rozstrzygnął Don Kichote sprawę swego obłędu, a jesz- cze bardziej przez to, co dorzucił później:

- Bogu wiadomo, jak bardzo rad bym zabrać z sobą pana Don Lorenza, aby go nauczyć, jak należy przebaczać podbitym, uginać i deptać pysznych; są to cnoty z moim powołaniem związane; ale jako nie pozwala na to wiek młody ani nie dopuszczają jego chwalebne studia, zadowolę się jedynie ostrzeżeniem jego miłości, że będąc poetą, może zyskać sławę, kierując się raczej zdaniem innych niż swoim; nie masz bowiem ojca ni matki, którym własne dzieci wydawałyby się brzydkimi, a pomyłka ta zdarza się jeszcze częściej, kiedy chodzi o dzieci umysłu. I znowu ojciec i syn zdumiewali się nad pogmatwaniem zdań Don Kichota, tak mądrych zarazem i tak szalonych, a przy tym uwiązkowi i uporowi, z jakim wracał bezustannie do poszukiwania owych nieszczęsnych przygód, które uważała za cel i metę swych pragnień. Po ponownej wymianie gotowości i grzeczności, za łaskawym zezwoleniem pani zamku, Don Kichote i Sanczo, ów na Rosynancie, ten na siwku, ruszyli w drogę. 1 biesagi - podwójny worek lub torba skórzana, zwłaszcza do przewożenia żywności. 453

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

opowiada przygodę zakochanego pasterza oraz inne ucieczne zaiste zdarzenia Niedaleko ujechał Don Kichote od wioski Don Diega, kiedy spotkał dwóch niby to kleryków, niby studentów oraz dwóch wieśniaków wierzchem na czterech bydlętach osłego rodu. Jeden ze studentów wiózł jako tłumok podróżny węzełek z nieprzemakalnej zielonej płachty, a w nim, jak się zdawało, nieco bielizny i dwie pary wełnianych pończoch, drugi wiózł jedynie dwie nowe czarne szpady do szermierki wraz ze skórzanymi muszkami. Wieśniacy zaopatrzeni byli w przeróżne przedmioty wskazujące jasno, że wracali z jakiegoś wielkiego miasta, gdzie je za-

kupili, i do wioski swej wieźli. Tak żacy, jak wieśniacy wpadli w zdumienie, jakie ogarniało wszystkich, którzy po raz pierwszy oglądali Don Kichota, i umierali z ciekawości, co by to był za człowiek tak różny od wszystkich innych ludzi. Don Kichote pozdrowił ich i zwiedziawszy się, że jadą w tym samym kierunku, ofiarował im swe towarzystwo i prosił o zwolnienie kroku, bowiem koń jego nie mógł zdążyć tak szybko jak ich osły; aby okazać im grzeczność w krótkich słowach powiedział, kim był, jaki jego zawód i powołanie, że oto jest błędny rycerzem poszukującym przygód we wszystkich częściach świata. Rzekł, że nazywa się Don Kichote z Manczy i używa przydomka Rycerz Lwów. Dla wieśniaków było to, jakby gadał po grecku

Don Kichote - Miguel Cervantez

albo po cygańsku; ale studenci zaraz zmiarkowali, że Don Kichotowi rozumu nie dostaje; niemniej przypatrywali mu się z podziwem i szacunkiem, a jeden z nich rzekł:

- Jeżeli wasza miłość, mości rycerzu, nie macie wyznaczonej drogi, jak to zwykle bywa u tych, którzy przygód szukają, jedźcie waszmość z nami, a zobaczyście najwspanialsze i najbogatsze wesele, jakie po dziś dzień obchodzono w Manczy oraz na wiele mil dokoła.

Don Kichote zapytał, czy tak okazałe wesele będzie weselem jakiegoś księcia. - Nie - odparł student - żeni się wieśniak z wieśniaczką, ale jest to najbogatszy człek całej tej okolicy; ona zaś jest najurodziwszą, jaką ludzie oglądali. Wesele ma się odbyć z niewidzianym i nadzwyczajnym przepychem na łące koło wioski narzeczonej, którą dla wyróżnienia nazywają Piękną Kiterią, narzeczony zaś nazywa się Camacho Bogacz; ona ma lat osiemnaście, on zaś dwadzieścia dwa. Oboje równi sobie rodem, choć niejacy wscibscy, którzy na pamięć znają koligacje całego

świata, utrzymują, że Piękna Kiteria jest z lepszej rodziny; ale na to się nie zważa: bogactwa wiele braków pokrywają. Zaiste, ów Camacho jest hojny, wpadł na pomysł, aby całą łąkę ocienić gałęziami, tak że słońcu niełatwo będzie przedostać się na trawę, jaka łąkę pokrywa. Przygotował również zbiorowe tańce zarówno z mieczami, jak z malutkimi dzwoneczkami, bo w jego wiosce przedziwnie nimi poruszać i dźwięczeć umieją; nie wspominam nawet o tancerzach "klaskanego", bo cud, ilu ich zamówił. Ale żadne z tych rzeczy, o których mówiłem, ani te, które pominą⁴⁵⁴

łem, tak nie upamiętnią owych godów, jak to, czego, jak mniemam, dokaże zrozpaczony Bazyli. Ten Bazyli to juhas z tej samej wioski, sąsiad Kiterii; dom jego przy-

tykał do domu jej rodziców, zaś Amorowi dało to sposobność odnowienia świata dawno zapomnianych miłości Pyrama i Tysbe; Bazyli bowiem pokochał Kiterię od swych najmłodszych, dziecięcych lat, ona zaś odpłacała mu tysiącem łaskawych życzliwości; tak że cała wieś zabawiała się opowiadaniem o dziecięcej miłości Bazylego i Kiterii. Kiedy podrośli, ojciec jej zabronił Bazylemu wstępu do swego domu; ażeby zaś pozbyć się kłopotu czuwania i ustawicznych podejrzeń, postanowił wydać córkę za bogatego Camacha, nie uważając za stosowne wydać ją za Bazylego, któremu fortuna odmówiła darów równych tym, jakimi go natura obdarzyła; bez zawiści bowiem trzeba przyznać, że zaiste jest to najzgrabniejszy młodzian, jakiego znamy, najlepszy miotacz drążkiem, znakomity zapaśnik i wielki gracz w pelotę; biega jak daniel, skacze lepiej niż koza, a kręgle zmiata jakby czarem,

Don Kichote - Miguel Cervantez

śpiewa jak wilga, gitara mu gada pod palcami, a nadto wszystko szpadą włada jak najlepszy szermierz.

- Dla tej jednej zalety - wtrącił Don Kichote - wart ów młodzian nie tylkopoślubić Piękną Kiterię, ale choćby samą królową Ginewrę, jeśliby dziś żyła, na przekór Lancelotowi oraz wszystkim, którzy by mu przeszkodzić chcieli. - Powiedziecie to mej kobiecie! - rzekł Sanczo Pansa, który dotąd jechał, milcząc i słuchając. - Ona chce, aby każdy żenił się z równą sobie, upierając się na

przysłowiu, które mówi: Każda owca z swoją parką hopsa. Co do mnie, rad bym, aby ów poczciwy Bazyle, którego już miuję, ożenił się z ową panną Kiterią; a niech odpoczywają w wiecznej szczęśliwości i pokoju (już chciałem rzec przeciwnie) ci, którzy nie pozwalają pobierać się ludziom miującym się wzajemnie. - Gdyby wszyscy, którzy się miują, żenić się mogli - rzekł Don Kichote - odjętybyłyby rodzicom wybór i prawo żenienia dzieci, z kim i kiedy wypada; gdyby zaś woli córek zostawiono wybór mężów, ta wybrałaby parobka ojcowskiego, owa przechodnia z ulicy, który by jej się udał jako dzielny i świetny, choćby był rozpustni-

kiem i zawalidrogą; bowiem miłość i uczucie łatwo zamykają oczy rozumu tak potrzebnego do wyboru stanu; w małżeństwie niebezpieczeństwoomyłki jest znaczne i trzeba wielkiego taktu oraz osobliwej łaski nieba, aby dobrze wybrać. Kto zamie-

rza udać się w daleką podróż, jeśli jest rozważny, zanim się w drogę puści, wyszukuje towarzystwo jakieś pewne i spokojne; dlaczego nie postępowałby tak samo ten, kto całe życie aż do śmierci ma przebyć z kimś, tym bardziej że z towarzyszką ową musi dzielić łóże i stół wszędzie, jako mąż i żona? Żona prawowita nie jest towarem, który raz kupiony można oddać, wymienić lub odstąpić; małżeństwo to zdarzenie nieodwracalne, trwa tak długo jak życie: jest to pętla, którą gdy raz wło-

żysz na szyję, w węzeł gordyjski się zamienia, ani go rozwiązać nie można, póki go nożyce śmierci nie przetną. Wiele by w tej materii powiedzieć można, gdyby mi nie przeszkadzało pragnienie, aby dowiedzieć się czegoś więcej od pana licencjata o historii Bazylego.

Na to odpowiedział student bakałarz czy licencjat, jak go nazwał Don Kichote: - Pozostaje mi jeno rzec, że od chwili kiedy Bazyle dowiedział się o małżeństwie pięknej Kiterii z bogatym Camachem, nie widziano go nigdy śmiejącym się

Don Kichote - Miguel Cervantez

455 ani mówiącym rozsądnie, zawsze chodzi smutny i zamyślony, gada do siebie i daje pewne i oczywiste oznaki, iż mu się rozum pomieszał; jada mało, nie sypia, żywi się jeno owocami, a jeśli sypia, to na polu, na twardej ziemi, niby dziki zwierz; od czasu do czasu spogląda w niebo, to znowu wbije oczy w ziemię w takim zapamiętaniu, że raczej wydaje się posągiem odzianym W szaty, które wiatr porusza. Wreszcie

daje takie dowody serdecznej namiętności, iż wszyscy, którzy go znamy, lękamy się, że słowo "tak" wypowiedziane jutro przez Piękną Kiterię będzie dlań wyrokiem śmierci.

- Bóg lepiej zrządzi - rzekł Sanczo - Bóg, który daje utrapienie, daje i lekarstwo; nikt nie zgadnie, co jutro przypadnie; od teraz do jutra wiele czasu upłynie, a w jednej godzinie, ba, w jednej chwili, dom się zwalić może; widziałem nieraz deszcz i słońce naraz; ten zdrów się wieczorem położy, który rankiem ruszyć się nie może; i powiedziecie, zali kto pochwalić się zdoła, że wbił gwóźdź w Fortuny koła? Nie, zaiste, a między "tak" a "nie" białogłówki nie odważyliby się wsunąć końca igły, bo nie włazliby tam. Dowiedźcie mi tylko, że Kiteria miłość z całego serca i z dobrej woli Bazylego, a dam mu wór szczęśliwości; bo miłość, jak słyszałem, patrzy przez takie okulary, że miedź wydaje się jej złotem, ubóstwo bogactwem, a jęczmień na oku perłą.

- Dokądże tak się rozpędziłeś? Bodaj cię, Sanczo! - rzekł Don Kichote. - Kiedyżaczynasz nizać przysłowia i gadki, nikt cię nie dogoni, chyba sam Judasz, który niech cię porwie! Powiedz mi, głupcze, co ty wiesz o gwoździach, kołach i o innych rzeczach?

- O! Kto mię nie rozumie, nie dziwota, że mu się zdania moje głupstwem wydają. Ale niech tam! Wiem, co mówię, i wiem, że w tym, co rzekłem, zbyt wiele głupstw nie było; jeno że jegomość, panie mój, zawsze mię za słowa hapietie, a także i z czynów dworujecie.
- Łapiecie masz mówić - odezwał się Don Kichote - a nie hapietie, o psowaczu dobrej mowy! Niech cię Bóg pohańbi.
- Nie sprzeczajcie się, jegomość, ze mną- odparł Sanczo - wiecie bowiem, żenie wychowałem się w stolicy ani nie studiowałem w

Salamance, by rozumieć się na tym, kiedy dodać, a kiedy odjąć jakąś literę słowa. Przecie, na miły Bóg! Nikt nie może zmusić sajageńców, by gadali jak toledańczycy, a nawet i toledańczycy zdarzyć się mogą, którzy nie będą biegli w wytwornej mowie. - To prawda - rzekł licencjat - bowiem nie mogą tak dobrze

Don Kichote - Miguel Cervantez

mówić wychowani w garbarniach lub na targowisku jak owi, którzy cały dzień spędzają w krużgankach katedry, choć wszyscy są toledańczykami- Język czysty, właściwy, wytworny i jasny jest jedynie udziałem wykształconych dworaków, choćby urodzeni byli w Majalahonda, mówię wykształconych, wielu bowiem nie jest nimi, a wykształcenie jest gramatyką dobrego języka, kiedy mu wprawa towarzyszy. Ja, panowie, za moje grzechy studiowałem prawo kanoniczne w Salamance i silę się wypowiadać w słowach jasnych, wyraźnych i treściwych.

- Gdybyście się nie silili raczej szermować szpadą niż językiem - rzekł drugi student - bylibyście na czele licencjatów, a nie na ogonie. 456
- Bacacie, bakałarzu - odpowiedział licencjat - do cna mylicie się, uważając zręczność w szermierce za niepotrzebną.
- Dla mnie to nie jest tylko mniemanie, jeno prawda oczywista - odparł Corchuelo - a jeśli chcecie, abym dowodnie to wam wykazał, wyciągnijcie szpadę, jest okazja, ja mam pięści i siłę, które wsparcie mają odwagą - co nie fraszka - zmuszą was do wyznania, że się nie myliłem. Zsiądźcie z siodła, puśćcie w ruch wasze wypadły, wasze młyńce, wasze cięcia i wszystkie finty; ja zaś spodziewam się wam pokazać gwiazdy w południe moją zręcznością młodą i nieuczoną, dzięki której w Bogu mam nadzieję, że jeszcze się taki nie urodził, który by mię do odwrotu zmusił,
- i że nie masz takiego na świecie, który by w spotkaniu ze mną gruntu pod nogami nie stracił.
- Nie obchodzi mnie, czy tył podacie, czy nie - odparł szermierz - chociaż mogłoby się zdarzyć, że tam gdzie pierwszy raz tupniecie nogą, grób dla was kopać będą chce rzec, że tam legniecie zabity przez ową pogardzoną wprawę. - Zaraz to zobaczymy - odpowiedział Corchuelo.
- I zsiadłszy z wierzchowca z wielką chyżością, wyciągnął jedną ze szpad, które licencjat wiózł.
- O! Tak nie będzie - wtrącił w tej chwili Don Kichote - chcę być kierownikiem starcia oraz sędzią tej tylekroć nierostrzygniętej rozprawy. I zsiadłszy z Rosynanta, ujął kopię w rękę i stanął na środku drogi w chwili, gdy licencjat z dobrze ułożoną postawą stanął w pozycji isunął przeciw Corchuelo- wi, który szedł przeciw niemu, ciskając, jak to się mówi, ogień z oczu. Inni dwaj wieśniacy im towarzyszący, nie zsiadając z osłów, służyli za świadków tej śmiertelnej tragedii. Ciosy, pchnięcia, uderzenia z góry na dół, na odlew i

Don Kichote - Miguel Cervantez

oburącz Corchu- ela były bez liku, gęściejsze niż ulewa i rzęsistsze od gradu.

Rzucał się jak lew

wściekły, ale naprzeciw niego wysuwała się muszka szpady licencjata, która go w największym rozpedzie hamowała i kazała się całować, jakby była relikwią, chociaż nie z takim nabożeństwem, z jakim powinno i zwykło się całować relikwie. W końcu licencjat porachował mu koniuszkiem szpady wszystkie guziki owej półsutanny, jaką miał na sobie, i pociął ją w bryty jakby macki polipa; zrzucił mu dwa-

kroć kapelusz i zmęczył go tak, że zrozpaczony, zły i wściekły, tamten ujął swą szpadę za rękojeść i odrzucił ją w powietrze z taką siłą, iż jeden z obecnych wieśniaków, pisarz gminny, który poszedł ją podjąć, poświadczyl, że poleciała na trzy ćwierci mili daleko. Świadectwo to powinno służyć i posłużyło za dowód i doświadczenie prawdzie, że siłę zwycięża sztuka.

Corchuelo siadł zmęczony, a Sanczo, zbliżywszy się doń, rzekł:

- Na mój dusiu, panie bakałarzu, jeśli wasza miłość za mą radą pójdzie, jużnigdy nikogo nie wyzwiecie na szpady, chyba na pięści albo na miotanie drążkiem, macie bowiem i wiek, i siłę po temu; albowiem ci, których zwą biegłymi, trafiają, jak słyszałem, ostrzem szpady w ucho igielne.
- Dość mi na tym - odrzekł Corchuelo - że z klapoucha spadłem i że doświadczenie wykazało mi prawdę, od której byłem tak daleki.

I powstawszy, uścisnął licencjata i zostali większymi przyjaciółmi jak przódzi. Nie chcieli czekać na pisarza, który poszedł szukać szpady, bo zdawało się, że 457

tak rychło nie wróci, i postanowili jechać dalej, aby wcześniej przybyć do wioski Kiterii, skąd wszyscy pochodzili.

Przez resztę drogi licencjat wykładał im zalety szpady z tak oczywistą racją, tak obrazowo i z takimi dowodzeniami matematycznymi, że wszyscy przekonali się o doskonałości tej sztuki i Corchuelo wyleczył się ze swego uporu. Wieczór nadszedł; dojeżdżając, ujrzał przed wioską jakoby niebo pełne niezliczonych i błyszczliwych gwiazd. Usłyszeli również zmieszane i słodkie dźwięki różnych instrumentów, więc fletów, więc tamburynów, gęśliczek, dud, baskijskich bębenków i dzwoneczków; zbliżywszy się, ujrzał, że drzewka chłodnika, zasadzone u wstępu do wioski, były pełne lampionów, którym wiatr nie szkodził, wiał bowiem podówczas tak łagodny, że nawet liśćmi drzew nie poruszał. Muzykanci mieli rozweselać uroczystość,

Don Kichote - Miguel Cervantez

przemierzając owo miłe ustronie w różnych grupach, jedni tańcząc, drudzy śpiewając, inni grając na różnych wymienionych instrumentach. Zdawało się zaiste, że całą łękę przebiegała wesołość i plaśała zadowolenie. Liczna

grupa zajęta była budowaniem podwyższeń, skąd wygodnie można by następnego dnia oglądać widowiska i tańce, które miały się odbyć w tym miejscu dla uczczenia wesela bogatego Camacha i pogrzebu Bazylego. Don Kichote nie chciał wjeżdżać do wioski, chociaż zapraszali go zarówno wieśniak, jak bakałarz; jako wystarczające,

jego zdaniem, usprawiedliwienie podał, że zwyczajem błędnych rycerzy było nocować na otwartym polu i raczej w lasach niż we wioskach, chociażby to było pod złocistymi dachami; po czym zjechał nieco z drogi ku wielkiemu niezadowoleniu

Sancza, któremu pamięć nasunęła zacną gościnę w zamku czy dworze Don Diega. ROZDZIAŁ DWUDZIESTY opowiada o weselu bogatego Camacha oraz o zajściu z ubogim Bazylem Zaledwie biały świt ustąpił świetlistemu Febowi, by ten żarem gorących promieni osuszył wilgotne perły złocistych włosów, kiedy Don Kichote, strząsnąwszy ociężałość z członków, zerwał się na nogi i zawałał na swego giermka Sancza, choć ten jeszcze chrapał; spojrzałszy nań, zanim go obudził, tak przemówił:
- O ty! Ponad wszystkich żyjących na powierzchni ziemi szczęśliwy, bowiem przeciw nikomu zawiści nie żywiąc ani od nikogo zawiści nie doznając, śpisz w spokoju ducha, ani ciebie czarownicy prześladują, ani cię czary nie niepokoją. Spij, powtarzam raz jeszcze i powtórzę po stokroć, ciebie nie trzyma w ustawniczym czuwaniu zazdrość o twoją panią ani cię dręczą myśli o płaceniu dawnych długów, ani o tych, które zaciągnąć musisz, aby wyżywić jutro siebie i twą niewielką,ubożuchną rodzinę. Ani ciebie ambicja nie szarpie, ani cię próżny przepych świata 458

nie mączy, bowiem granice twoich pragnień nie sięgają dalej niż starania o osła; troska

o ciebie na mych barkach spoczywa; jest to zadośćuczynienie i obowiązek, jakie

panom natura i zwyczaj nałożyły. Spij, sługo, czuwaj, panie, w rozmyślaniach,

jak cię utrzymać, jak poprawić twój los i łaskę ci wyjaśnić. Kiedy niebo jak z brązu odmawia ziemi ożywiającej rosą, zmartwienie nie dotyczy sługi, jeno pana, który tych, co mu służą, musi w czasie nieurodzaju i głodu utrzymać w obfitości i dostatku.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Na to wszystko Sanczo nie odpowiadał, spał bowiem, ani byłby się obudził tak rychło, gdyby go Don Kichote końcem swej kopii nie przywołał do przytomności. Obudzony wreszcie, zaspany i ociężały, na wszystkie strony obrócił oblicze i rzekł:

- Jeśli się nie mylę, od owych chłodników płynie woń i zapach raczej pieczonych połci szynek niż macierzanki i tymianku; na wszystkie świętości! Wesele, które się takimi zapachami zapowiada, ani chybi będzie obfite i hojne.
- Cichaj, żarłoku - rzekł Don Kichote - chodź, pójdzem oglądać owe zaślubiny, aby zobaczyć, co robi wzgardzony Bazyli.
- Niech sobie robi, co chce! - odpowiedział Sanczo. - Czemuż jest ubogi, ożeniłby się z Kiterią. Ale kiedy się nie ma ani ćwierci, jak chcieć się żenić w obłokach? Zaiste, panie, moim zdaniem, biedny ma się zadowolić tym, co znajdzie, a nie szukać trufli w morzu. Rękę daję, że Camacho mógłby Bazylego zasypać realami; a jeśli tak się rzeczy mają, jak się zdaje, głupia byłaby Kiteria odrzucać stroje i klejnoty, jakie jej ofiarował i jakie jeszcze jej może dać Camacho, aby wybrać

rzucanie drążkiem i machanie szpadą Bazylego. Za najlepszy rzut drążkiem albo za najwdzięczniejszy cios szpadą ani kwarterki wina w karczmie nie kupisz. Zdolności i wdzięków nie można sprzedać, choćby ich posiadał więcej niż hrabia Dirlos; ale kiedy te talenty i wdzięki przypadną temu, który ma pieniądze, niechbym takie życie miał, jak pięknie się wydają. Na dobrym fundamencie można zacny dom postawić, a najlepszym w świecie fundamentem i umocnieniem są pieniądze. - Na Boga, Sanczo - przerwał Don Kichote - skończ już twą przemowę, jestem pewien, że gdyby ci tak gadać pozwolono za każdym razem, kiedy zaczniesz, nie stałoby ci czasu ani najedenie, ani na spanie, wszystko byś zmarnował na gadaniu.

- Gdybyście, jegomość, mieli dobrą pamięć - odparł Sanczo - powinni byście przypomnieć naszą umowę przed ostatnim naszym wyruszeniem z domu; jednym punktem było, że pozwolicie mi gadać, ile bym chciał, byleby to nie było przeciw bliźniemu i przeciw powadze waszej miłości. I jak dotąd nie przekroczyłem, jak się zdaje, tego warunku.
- Nie przypominam sobie, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - takiego warunku; a choćby i tak było, pragnę, byś zamilkł i podążył ze mną; już bowiem instrumenty, któreśmy wczoraj wieczorem słyszeli, znów zaczynają rozweselać doliny, i bez wątpienia zaślubiny odbędą się o porannym chłodzie, a nie w upal popołudniowy.

Sanczo zastosował się do życzenia pana; osiodławszy Rosynanta, włożywszy terlicę na siwka, wskoczyli na siodło i krok za krokiem wjechali pod chłodniki.

459

Pierwszym widokiem, jaki się oczom Sancza przedstawił, był młody byczek nadziany na rożen z całego wiązowego pnia; w ognisku, nad którym miał być pieczony, piętrzyła się duża góra drzewa; sześć kadzi stało wokół ogniska; nie były one do zwykłych kadzi podobne, były to raczej półkadzie, z których każda zawierała w sobie niemal całą jatkę; pochłaniały one i kryły we wnętrzu całe barany, tak że ich i widać nie było, jakby to były gołyki; zajęce odarte ze skóry, kury oskubane wisiały na drzewach bez liku, a niebawem miały zniknąć w kotłach; ptactwa i dziczyny przeróżnej nieskończona ilość wisiała też na drzewach, aby na powietrzu skruszały. Sanczo naliczył ponad sześćdziesiąt wielkich gąsiorów o pojemności więcej niż dwie

arroby każdy, pełnych, jak się potem okazało, szlachetnych win. Były tam takie stosy białego pieczywa, jakby zboża w stodole; sery spiętrzone jakby cegły tworzyły mur,

a dwa kotły oliwy większe niżli farbiarskie służyły do smażenia pączków, które wyławiano dwiema potężnymi szuflami usmażone i zanurzano w drugim kotle pełnym miodu, który się obok znajdował. Ponad pięćdziesięciu kucharzy i kucharek czysto odzianych uwijało się zwinnie i wesoło. W rozdętym brzuchu byczka zaszyty był tuzin młodziutkich i maleńkich prosiątek, które miały mu dodać smaku i kruchości. Korzeni rozmaitego rodzaju zakupiono chyba nie na funty, ale na arroby, były one na widoku w wielkiej skrzyni. Jednym słowem,

przygotowania do wesela były sielskie, ale tak obfite, że całą armię wyżywić była możliwa.

Wszystko to podziwiał Sanczo Pansa, wszystkiemu się przyglądał i wszystkim się zachwycał. Najpierw zwabiły go i apetyt wzbudziły kotły, z zawartości których chętnie byłby przyjął pół garnca, niebawem oczarowały go gąsiory; potem smażone w cieście owoce z patelni, o ile patelniami nazwać by można tak poważne kotły; więc nie mogąc wytrzymać już dłużej ani zapanować nad sobą, zbliżył się do

jednego ze żwawych kucharzy i dwornymi a zgłodniałymi słowy poprosił, aby mu zezwolił umaczać ułomek chleba w owych kotłach. Na to kucharz odrzekł: - Bracie, ten dzień, dzięki bogatemu Camachowi, nie należy do takich, którymi głód włada.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Zsiądziecie z wierzchowca i poszukajcie, czy nie ma tu jakiej warząchwi; zszumujcie sobie jedną czy dwie kury i niech wam to wyjdzie na zdrowie.

- Nie widzę żadnej - odparł Sanczo.
- Poczekajcie - rzekł kucharz. - Biedaku! Jakiż wstydliwy i niezdara musiciebyć. To mówiąc, pochwycił rondel, zanurzył go w jednej półkadzi, wyciągnął trzy kury i dwie gęsi i rzekł do Sancza: - Pożywajcie, przyjacielu, pośniadajcie tą szumowiną, zanim nadejdzie godzinaobiadu.
- Nie mam na co tego przerzucić - odparł Sanczo.
- A więc zabierajcie - rzekł kucharz - rondel z zawartością; bogactwo i zadowolenie Camacha starczy na wszystko.

Kiedy się to działo z Sanczem, Don Kichote, rozglądając się po chłodniku, ujrzał wjeżdżających dwunastu wieśniaków na dwunastu najpiękniejszych klaczach, w bogatych i wspaniałych czaprakach z mnóstwem dzwoneczków na napierśniku. Wieśniacy, odświętne odziani, w dobrym szyku kilkakroć objechali łąkę dokoła z wesołym zgiełkiem i okrzykami, wołając: 460

- Niech żyje Camacho i Kiteria! On tak bogaty jak ona urodziwa, a jest najurodziwszą na świecie.

Co słysząc, Don Kichote rzekł do siebie:

"Zaraz to poznać, że nie widzieli oni mej Dulcynei z Toboso, gdyby ją oglądali, powstrzymaliby nieco pochwały dla owej Kiterii".

Po chwili z rozmaitych stron chłodnika występować zaczęły liczne i rozmaite tańce, a pośród nich taniec mieczowy, tańczony przez dwudziestu czterech parobków dzielnego wyglądu i chwackich, wszyscy odziani byli w cienkie najbielsze płótno, a na głowach mieli zwoje z jedwabnych, różnokolorowych chust; wiódł ich zgrabny młodzian, którego jeden z jeźdźców zapytał, czy żaden z tancerzy nie zranił się. - Jak dotąd, dzięki Bogu, nikt; wszyscy jesteśmy zdrowi.

I natychmiast wszedł w koło innych druhów w takich obrotach i z taką zręcznością, że choć Don Kichotowi nie nowiną były podobne tańce, przyznał, że nigdy równie udanych nie widział.

Podobał mu się również i następny taniec najśliczniejszych młodziutkich dziewczątek, bo na oko żadna nie liczyła mniej niż czternaście, a nie przekroczyła osiem-nastu latek. Wszystkie odziane były w lekkie zielone sukno; włosy ich bądźły związane, bądź lekko spływały; ale wszystkie tak złociste, że mogły iść o lepsze ze

Don Kichote - Miguel Cervantez

słonecznymi; na włosach miały wieńce splecone z jaśminów, róż, amarantów i hordowiny¹; wiódł je czcigodny starzec oraz stateczna matrona, oboje jednak lżej-

si i zgrabniejsi, niżby po ich wieku spodziewać się było można. Kobza zamorańska im przygrywała, one zaś, z uczciwością na twarzach i w oczach, o leciuchnych stopach, okazały się najlepszymi tancerkami na ziemi.

Za nimi wbiegła grupa w płaszcach kunsztownych, które zwą tańcem mówionym. Było to osiem nimf w dwóch rzędach; jeden szereg prowadził bożek Kupido, drugi Interes, tamten zdobny skrzydłami, łukiem, kołczanem i strzałami, ten odziany w barwne i bogate złotogłów i jedwabie. Nimfy wiedzione przez Amora nosiły na plecach na białym pergaminie wielkimi literami wypisane imiona: Poezja nazywała się pierwsza, Mądrość druga, trzecia Dobry Ród, czwarta Dzielność. W ten sam sposób oznaczone były te, które wiódł Interes: pierwsza nosiła miano Szczodrobiwość, druga Wspaniałośćomyślność, trzecia Skarb, czwarta Spokojne Posiadanie. Poprzedzał je drewniany zameczek, ciągniony przez czterech dzikich mężów, okrytych całkowicie listowiem bluszcza i zgrzebnym płótnem barwionym na zielono, a tak naturalnych, że Sanczo omal się ich nie przeraził. Na fronce zamku i na czterech jego bokach był napis: "Zamek zacnej przezorności". Przygrywało im czterech doskonałych muzykantów na tamburynach i fletach. Taniec rozpoczął Kupido i po dwóch obrotach, podniósłszy oczy, napiął łuk na dziewczę, która ukazała się między blankami zamku, i odezwał się do niej w ten sposób:

Jestem
potężnym
bogiem W
powietrzu i na
ziemi,

' hordowina- wysoki krzew o
promienistych białych kwiatach. 461

I nad morza odlogiem,
W otchlani, co się plemi
Za swej czeluści progiem.
Trwogi nie znam ja wcale,
Co chcę, biorę zuchwale,
Sięgam po niemożliwe,
By we wszystkim, co żywe, Rządzić, brać, wieść i szaleć.

||||||.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Skończywszy strofę, wypuścił strzałę ponad wysokość zamku i powrócił na miejsce. Wystąpił wówczas Interes, nakreślił dwie figury; tamburyny umilkły, on zaś przemówił:

Idę w krok przed Amorem,
Chociaż Amor mię wodzi,
Byt z najstarszego biorę
Rodu, jaki świat rodzi, Najwyższego
splendorem. Jam Interes, co panem
Wszystkich, wprowadzam zamęt,
Wbrew mnie nic się nie staje.

Dziś Tobie się oddaję Na
wieki wieków, amen.

Usunął się Interes, wystąpiła Poezja i po nakreśleniu jak poprzednicy kilku figur tańca obróciła oczy ku dziewczynie na zamku, mówiąc:

Oto w najmilszych słowach
Poezja dziwnie słodka,
Wzniosła,
poważna,
nowa, Pani,
duszę twą
spotka W
sonetu
złotogłowach.

Gdy ci dnia nie zamączę
Mój hołd, przyjdę
gorąca, Ponad
zawistnych krocie
Wyniosę los twój
w locie

Wyżej nad krąg miesiąca.

: Odeszła Poezja, a z grupy Interesu

wystąpiła Szczodroliwość i po kilku obrotach rzekła: Szczodrością się nazywa

Cnota, która odległa

Od

rozrzutności

bywa 462

I od skąpstwa,
gdzie zbiegła Wola
miękka, leniwa.

Lecz ciebie dziś wysławiam,
Granic darom nie stawiam.
Choć to зло, зло uznane: Serce
rozmiłowane Darzeniem się
objawia.

W ten sposób występowali i usuwały się wszystkie postacie dwóch hufców i każda tańczyła swe figury i wypowiadała wiersze, jedne udatne, inne śmieszne. Don Kichote, choć miał dobrą pamięć, zapamiętał jedynie wyżej przytoczone; potem pomieszali się wszyscy, wijąc i rozwijając kręgi z wielkim wdziękiem i swobodą; kiedy Amor przechodził pod zamkiem, wypuszczał w góre strzałę, zaś Interes rozbijał o mur złociste kulki wonności. Wreszcie, przetańczywszy tak dobrą chwilę, Interes wyciągnął sakiewkę ze skóry długowłosego, trójkolorowego kota, jak zda-

wało się, pełną złota i rzucił nią w zamek.

Wówczas nagle rozpadły się i rozwarły ściany, pozostawiając dziewczę odkrytą i bez żadnej obrony. Zbliżył się Interes wraz ze swoją świętą i zarzucił jej wielki złoty łańcuch na szyję, jakby ją chciał pojmać,

obezwładnić i wziąć w niewolę. Na ten widok Amor i jego orszak starali się ją uwolnić; wszystkie te pokazy odbywały się przy dźwięku tamburynów, w rytmie miarowym tańca. Dzikusi zaprowadzili spokój, z wielką chyżością osadzili na nowo ściany zamku, dziewczyna zamknęła się w nim powtórnie, kończąc w ten sposób taniec, wszystko ku wielkiemu zadowoleniu patrzących. Don Kichote zapytał jedną z nimf, kto to wszystko skomponował i ułożył. Odpowiedziała, że pewien prebendariusz z tej wsi, który ma wielkie zdolności do takich pomysłów.

- Ręczę - rzekł Don Kichote - że taki bakałarz czy beneficjariusz jest większym przyjacielem Camacha niż Bazylego i że lepiej zna się na satyrze niż na nieszporach; doskonale jednak połączył w tym tańcu zręczność Bazylego i bogactwo Camacha.

Sanczo Pansa, który wszystko słyszał, rzekł: - Mój kogut królem! Trzymam z Camachem.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Sanczo, okazujesz w ten sposób - rzekł Don Kichote - żeś nikczemnego rodu, z tych, co to krzyczą: "Niech żyje zwycięzca!".
- Nie wiem, z których jestem - odrzekł Sanczo - ale wiem, że nigdy z garnków Bazylego nie zebrałbym tak smakowitej szumowiny jak z kotłów Camacha. I ukazawszy garnek pełen gęsi i kur, wziął jedną i zaczął zajadać z wielką ochotą i radością, mówiąc:
- Co mi tam zalety Bazylego! Tyleś wart, ile masz, tyle masz, ileś wart! Dwatylko są rody na świecie, jak mówiła moja prababka, tych, co mają, i tych, co nie

mają; ona zaś zawsze trzymała się tych, co mają. I dzisiaj, panie mój, Don Kicho- cie, raczej maca się puls mienia niż wiedzy; osioł okryty złotem lepiej wyglądać może niżli rumak objuczony. Powtarzam więc, że trzymam z Camachem, z którego

Okrzyk z walki kogutów, bardzo popularnej w Hiszpanii.

463 kotłów zszumować można obficie gęsi i kury, zajace i króliki; a kotły Bazylego, gdyby mi pod rękę wpadły, nawet stóp by nie sięgały, a byłyby pełne lury.

- Czy skończysz, Sanczo, raz to gadanie? - rzekł Don Kichote.
- Już je skończyłem - odparł Sanczo - bo widzę, że jegomości ono nie w smaku; jeśli to na drodze nie stało, miałbym o czym gadać przez trzy dni. - Oby Bóg dozwolił, Sanczo - odparł Don Kichote - abym cię zobaczył niemym, zanim umrę.
- Jeśli tak dalej pójdziesz - odpowiedział Sanczo - zanim jegomość umrze, jąjuż gryźć glinę będę, a wtedy łacno stać się może, że oniemieję takąż i słowa do końca świata nie przemówię, a przynajmniej aż do dnia sądu.
- Choćby się tak stało, o Sanczo - odpowiedział Don Kichote - nigdy twemilczenie nie dorównałoby temu, coś nagadał, co gadasz i co nagadasz w twoim życiu! Tym bardziej jako naturalną rzeczą jest, że wpierw nadejdzie dzień mojej śmierci niż twojej, nigdy nie spodziewam się widzieć cię niemym, chyba w czasie, kiedy śpisz lub pjesz - to wszystko, co powiedzieć mogę.
- Zaiste, panie - odparł Sanczo - nie należy ufać tej Kostusze, chcę rzec śmierci, która zjada tak jagnię, jak barana; słyszałem, jak nasz proboszcz mówił, że równą

Don Kichote - Miguel Cervantez

stopą trąca wysokie wieże królów jak niziuchne chaty ubogich. Więcej ma ta pani mocy niż delikatności; całkiem nie jest wybredna: wszystko zjada, wszystko niszczy i swoje sakwy napełnia ludźmi wszelakiego stanu, wieku i znaczenia. To żniwiarz, który nie zna spoczynku; o każdej porze zbiera i ścina zarówno suche, jak zielone trawy; zdaje się, że nic nie żuje, jeno połyka i pochłania, co jej popadnie, ma bowiem wilczy apetyt i nigdy się nie nasyci, i chociaż brzucha nie ma, wydaje się, jakby cierpiała na puchlinę, wiecznie spragniona wypijać życie wszystkich żyjących jak ten, co kubeł wody zimnej wypija.

- Dosyć, Sanczo! - rzekł na to Don Kichote. - Trzymaj się dobrze i nie daj się tej wysokości stracić; bo zaiste to, co o śmierci w twych prostackich słowach po-

wiedziałeś, mógłby rzec i dobry kaznodzieja. Mówię ci, Sanczo, że gdybyś miał tyle umu, co chłopskiego rozumu, mógłbyś wziąć kazalnicę i chodząc po świecie, śliczne kazania prawić.

- Dobrze każe, kto dobrze żyje - odparł Sanczo - innej tologii nie znam.- Nie potrzeba ci nic więcej wiedzieć - rzekł Don Kichote - ale nie mogę tego pojąć, zważywszy, że początkiem mądrości jest bojaźń Boża, jak się dzieje, że ty, który jaszczurki bardziej się boisz niż Boga, tyle wiesz.

- Wydawajcie, jegomość, sąd o waszych rycerstwach - odpowiedział Sanczo- a nie bierzcie się do sądzenia strachów czy męstwa innych; tak samo Boga się boję jak każde dziecko sąsiada. I pozwólcie mi, jegomość, spokojnie wsunąć tę szumowinę; wszystko inne to próżne gadanie, z którego musimy zdać sprawę w przyszłym życiu. To mówiąc, na nowo począł atakować garnek z tak świętym apetytem, że obudził apetyt Don Kichota, i ten byłby mu ani chybi dopomógł, gdyby mu nie przeszkodziło to, co musimy odłożyć do następnego rozdziału. 464

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

dalej opowiada o weselu Camacha oraz o innych

- ciekawych zdarzeniach

Kiedy Don Kichote i Sanczo zajęci byli rozmową, przytoczoną w poprzednim rozdziale, dały się słyszeć okrzyki i wielki zgiełk wywołany przez wieśniaków dosiadających klaczy, którzy pełnym galopem, wznosząc wiwaty, udali się na spotkanie państwa młodych zbliżających się w otoczeniu rozmaitych grajków oraz

Don Kichote - Miguel Cervantez

innych osób. Towarzyszył im proboszcz oraz krewni obojga, a także najwybitniejsi goście z sąsiednich wsi w odświętnych strojach.

Zaledwie Sanczo ujrzał oblubienicę, rzekł:

- Na mój dusiu, oto ustrojona nie jak wieśniaczka, ale jak piękniejsza pałacowa! Do licha! Jak widzę, zamiast medalików, jakie nosić powinna, ma bogate korale, a zielone sukno z Cuenca, to przecie kamcha trzydziestowłosa!

Co więcej, przybra-

na lamówkę z białej materii, klnę się, że to atłas! Fiу!

Patrzcie na te ręce ustrojone pierścieniami z agatem!

Niech umrę, jeśli te bransolety nie ze złota, i to przedniego,

wysadzane perłami białymi jak zsiadłe mleko, a każda kosztować musi jak żrenica oka. A taka córka! Cóż to za włosy! O ile nie są sztuczne, nigdy w życiu nie widziałem tak długich ani tak złocistych! Ułożeniu jej i kibici nic zarzucić nie można i chyba ją porównać do palmy chwiejącej się pod ciężarem daktyli; tak bowiem podobne im są klejnoty, jakie na jej włosach i na jej gorsie wiszą! Przysięgam na mą duszę, to nie lada jaką młodką i śmiało może wejść w flandryjską łożnicę. Uśmieał się Don Kichote z prostackich pochwał Sanczo Pansy; ale zdawało mu się, że poza panią Dulcyneą z Toboso nie widział nigdy piękniejszej osoby.

Piękna

Kiteria była nieco blada, zapewne po bezsennej nocy, jaką zwykle trawią narzeczone na przygotowaniach do następnego dnia wesela. Zbliżyli się do rodzaju podwyższenia umieszczonego po jednej stronie łąki i ozdobionego kobiercami i gałęzimi, gdzie miały się odbyć zaślubiny i skąd oglądać mieli tańce i widowiska. Zanim doszli do miejsca, odezwały się za ich plecyma głośne krzyki i usłyszano głos:

- Zaczekajcie nieco, ludzie niebaczni i niecierpliwi!

Na te krzyki i słowa wszyscy odwrócili głowy i ujrzelii człeka w czarnej tunice obszytej językami z aksamitu koloru i kształtu płomienia. Szedł (jak zauważono niebawem) w wieńcu z żałobnych cyprysów, w ręku miał wielki kostur; kiedy zbliżył się, poznali wszyscy urodziwego Bazylego i stanęli zdumieni, nie wiedząc, do czego zmierzają jego krzyki i słowa, a lękając się, że to zjawienie się jego w takiej chwili zwiastować może jakieś nieszczęście.

Zbliżył się wreszcie, wyczerpany i bez tchu, i stanąwszy przed oblubieńcami, wbił w ziemię kostur zakończony z jednej strony stalowym ostrzem, zmienił się na twarzy i utkwiwszy oczy w Kiterii, głosem drżący i chrapliwym tak przemówił: 1 Skazani na

stos przez inkwizycję odziewani byli w czarne tuniki z obszyciami w kształcie czerwonych płomieni. 465

- Wiesz dobrze, niewdzięczna Kiterio, że wedle świętej wiary, jaką wyznajemy, nie wolno ci, póki ja żyję, wziąć innego męża; zarazem wiesz, że w oczekiwaniu, aż czas i starania poprawią moją zamożność, nigdy nie uwłóczyłem przystojności twojej czci należnej; ale ty precz odrzucając wszelkie zobowiązania, na jakie moja uczciwa miłość zasłużyła, chcesz innego uczynić panem tego, co mnie przynależy, jego bogactwa nie tylko dają mu dobrobyt, ale i największe szczęście. Aby zaś szczęścia tego dopełnić (nie abym myślał, że zasłużył na nie, ale że taka była wola niebios), chcę własnymi rękoma zniweczyć niemożebnośc i przeszkodę, która mu na drodze staje, i usunąć się spomiędzy was. Niech żyje! Niech żyje bogaty Camacho z niewdzięczną Kiterią, niech umiera, niech ginie, niech umiera ubogi Bazyli, którego niedostatek podciągnął skrzydła jego szczęśliwości i wraca go do grobu. To rzekłszy, porwał kostur wrażony w ziemię i pozostawiwszy połowę jego w ziemi, jako że okazała się pochwą, w której krył się krótki mieczyk, oparł o ziem

to, co można było nazwać rękojeścią, i z żywą gwałtownością i nagłym rozmachem rzucił się na ostrze. Zaraz też na plecach ukazała się plama

krwawa i połowa ostrej szpady, a nieszczęsnik, krwią brocząc, legł na ziemię, własną bronią przebitny. Wnet

nadbiegli przyjaciele, aby go ratować, współczując jego nędzy i żałosnemu nieszczęściu. Don Kichote, poniechawszy Rosynanta, przybiegł na pomoc, chwycił go w ramiona i przekonał się, że jeszcze żyje. Chciał wyciągnąć

ostrze, ale proboszcz

tam obecny nie zgodził się na to, póki tamten się nie wyspowiada, bowiem wyciągnięcie ostrza równało się natychmiastowej śmierci. Bazyli zaś, wracając nieco do

przytomności, głosem bolesnym i mdlejącym przemówił:

- Gdybyś zechciała, okrutna Kiterio, w tej ostatniej i złowrogiej chwili oddaćmi rękę, pomyślałbym zgoła, że mi zuchwałstwo moje będzie przebaczone, bowiem dzięki niemu dostąpiłem szczęścia zostania twoim.

Proboszcz, usłyszawszy to, ostrzegł, aby raczej myślał o zbawieniu duszy niż o sklonnościach ciała i aby szczerze prosił Boga o przebaczenie grzechów oraz tego rozpaczliwego kroku. Na to odrzekł Bazyli, że w żaden sposób nie wyspowiada się, póki wprzód Kiteria nie odda mu ręki w małżeństwie; ta radość wzmacni jego wolę i doda mu ducha do spowiedzi.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Don Kichote, usłyszawszy prośbę rannego, rzekł na głos, że Bazyli prosi o rzeczą bardzo sprawiedliwą i słuszną, a przeto łatwą do spełnienia, i że panu Camachowi nie ubliży wziąć za żonę panią Kiterię jako wdowę po dzielnym Bazylem, jakby ją brał z ramienia ojca.

- Chodzi tu bowiem jedynie o jedno "tak", które ma być tylko wypowiedziane, gdyż łożnicą owych godów będzie grób.

Camacho słuchał tego wszystkiego zmieszany i w rozterce, nie wiedząc, co począć ani co rzec; ale przyjaciele Bazylego tak nalegali, tak prosili, aby zezwolił Kiterii na oddanie ręki umierającemu i aby duszy jego nie gubił, gdyby ten w rozpaczy rzucił życie, aż wzruszyli go i niejako skłonili do odpowiedzi, że, o ile Kiteria przyzwoli, on się zgadza, wszystko to bowiem odwlecze tylko nieco spełnienie jego pragnień.

Wszyscy więc pobiegli do Kiterii i jedni błaganiem, inni łączami, owi wymownymi słowy przekonywali ją, by oddała rękę biednemu Bazylemu; ona zimniejsza niż marmur i sztywniejsza niż posąg, zdawała się nie móc, nie umieć ani chcieć

466

odpowiedzieć słowem; i nie odpowiedziały, gdyby proboszcz nie naglił, by rozstrzygnęła rychle, co ma uczynić, bowiem z Bazylego już dusza uchodzi i nie ma czasu do namysłu i wahania. Wówczas piękna Kiteria, nie odpowiadając ni słowem, wstrząsnęta i na pozór smutna, z przykrością jakby podeszła do Bazylego, który mając wzrok błędny i oddech krótki, ciężko dysząc, mruczał przez zęby imię Kiterii, robiąc wrażenie, że umiera raczej jak poganin, a nie jak chrześcijanin. Wreszcie uklękła przy nim blisko i bez słowa dała mu znak, by jej podał rękę. Bazyli otworzył oczy i uważnie się w nią wpatrując, rzekł:

- O Kiterio! Zlitowałaś się w chwili, kiedy litość twa ma zadać mi ostatni cios i życia pozbawić, brak mi bowiem sił, aby znieść szczęście, jakie mi dajesz, wybiegając mię za męża, oraz aby powstrzymać ból, który tak spiesznie oczy mi przysiąnia cieniem śmierci! Proszę cię jeno, o nieszczęsna gwiazdo moja, abyś żądając mej ręki i oddając mi swoją, nie czyniła tego z litości ani aby mię zwodzić ponownie, ale wyznaj i powiedz, że nie czyniąc gwałtu woli swojej, powierzasz mi ją i oddajesz jako prawowitemu małżonkowi; nie godzi się bowiem w tak groźnej chwili okłamywać i zwodzić tego, który szczerze z tobą postępował. Mówiąc te słowa, omdlewał, a wszyscy obecni mniemali przy każdym omdleniu, iż duszę wyzionate; Kiteria, ujawszy prawą ręką rękę Bazylego, rzekła z godnością i w zawstydzieniu:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Żadna siła nie byłaby w stanie przymusić mnie, przeto z pełnej mej wolnejwoli oddaję ci rękę jako prawowita żona i przyjmuję twoją, jeśli mi ją w pełni świadomości oddajesz, a nie w podnieceniu i rozterce wywołanej nieszcześciem, w jakie porywczość twoja cię pchnęła.
- Oto daję ci ją- odpowiedział Bazyli - nie w pomieszaniu i rozterce, ale z takpełną świadomością, jakiej mi niebo użyczyć raczyło, i oddaję ci się i powierzam jako twój małżonek.
- A ja jako żona twoja - odrzekła Kiteria - czy żyć będziesz długie lata, czyleż z moich ramion zaniosą cię do grobu.
- Jak na tak ciężko rannego - rzekł wówczas Sanczo Pansa - za wiele ten młodzian gada; niech już to gruchanie zostawi, a myśli o swej duszy, którą, wedle mnie, ma raczej na języku niż na wargach.

Kiedy tak Kiteria i Bazyli za ręce się trzymali, proboszcz, wzruszony, płacząc, pobłogosławił ich i prosił niebo o spokój duszy dla nowożeńca; ten zaledwie uzyskał błogosławieństwo, chyżo skoczył na równe nogi i z niezwykłą zręcznością wyrwał klingę, której ciało jego za pochwę służyło. Wszyscy obecni osłupieli, a niektórzy bardziej prostoduszni niż przenikliwi zaczęli na głos wołać: - Cud! Cud!

Ale Bazyli odpowiedział:

- Żaden cud, cud, ino spryt, spryt.

Proboszcz, pomieszany i zdumiony, przybiegł, aby dwiema dłońmi ranę obmacać, i przekonał się, że ostrze przeszło nie przez ciało i żebra Bazylego, ale przez rurkę żelazną umocowaną tam zręcznie i pełną krwi przyrządzonej odpowiednio, aby się nie ścięła, jak się później przekonano. Więc proboszcz i Camacho oraz wszyscy inni obecni uznali, że ich oszukano i zadrwiono z nich. Oblubienica jednak nie zdawała się urażona tym wybiegiem; przeciwnie, kiedy usłyszała, że ów ślub, jako 467 oszukańczy, nie może być ważny, oświadczyła, iż gotowa go powtórnie potwierdzić; z tego wnieśli wszyscy, że za wspólną zgodą i wiedzą tych obojga to się stało;

na to Camacho i jego zwolennicy wpadli w taki gniew, że zaraz mścić się chcieli, i dobywszy szpad, rzucili się na Bazylego, któremu na pomoc w jednej chwili dobyto drugie tyle szpad. Don Kichote, wysforowawszy się naprzód na koniu z kopią podniesioną i okryty tarczą, torował sobie drogę pośród wszystkich. Sanczo, któremu nigdy podobne bezpieczeństwa nie podobały się ani go nie bawiły, schronił się między kotły, skąd był zebrał smakowitą szumowinę, wydawało mu się bowiem miejsce to

Don Kichote - Miguel Cervantez

jakby święte, które przez wszystkich uszanowane być powinno. Don Kichote donośnym głosem zawałał:

- Wstrzymajcie się, ichmość panowie, wstrzymajcie; nie należy mścić się za zniewagi, jakie nam miłość wyrządza; zważcie, że miłość i wojna to jedno, i jak na wojnie dopuszcza się i zwyczajnie używa podstępów i wybiegów, aby nieprzyjaciela zwyciężyć, tak i miłosne zatargi i współzawodnictwa słusznie i sprawiedliwie używają zasadzek i sztuczek, aby dojść do upragnionego celu, o ile nie przynoszą ujmy i osławy umiłowanemu przedmiotowi. Kriteria należała do Bazylego, Bazyli do Kiterii za słusznym i przychylnym zrządzeniem niebios. Camacho jest bogaty, będzie mógł kupić sobie miłość, gdzie i jaką zechce. Bazyli ma tylko tę jedną owcę i nikt, choćby nie wiem jak potężny, odebrać mu jej nie zdoła; dwoje, których Bóg złączył, człowiek niech nie rozwacza; a kto by tego próbował, pierwszy się z ostrzem tej kopii spotka.

I z tymi słowy potrąsnął nią tak silnie i tak
zręcznie, że wszystkich, którzy go nie znali,
strach obleciał; tak mocno też wraziła się
wzgarda dla Kiterii w świado-

mość Camacha, że w jednej chwili wymazał ją ze swej pamięci; na dobry przeto grunt padły przedłożenia proboscza, męża roztrąpnego i rozważnego; pod ich wpływem uspokoił się Camacho i jego stronnicy ucichli; na dowód tego szpady do pochew wróciły, oskarżono raczej płochość Kiterii niż chytrówkę Bazylego. Camacho rozważył, że jeśli Kiteria kochała Bazylego jako pannę, nie przestanie go kochać jako mężatka i że powinien niebu dziękować raczej, że mu ją zabrało, niż gdyby mu ją dało. Pocieszył się przeto uspokojony Camacho oraz jego swojacina, druhowie Bazylego również; zaś Camacho bogacz, na dowód, że nie odczuł urazy oraz nie czuł się dotknięty, wyraził życzenie, aby uroczystość odbywała się dalej, jakby istot-

nie się żenił; ale ani Bazyli, ani jego żona, ani ich towarzysze nie chcieli w niej brać udziału i oddalili się do wsi Bazylego; bowiem również ubodzy, cnotliwi i mądrzy znachodzą druhów, którzy ich szanują i otoczą opieką, jak bogaci znaj dużą pochlebców i kumotrów.

Zabrali ze sobą Don Kichota, uważając go za człowieka dzielnego i męża w każdym calu. Jedynie Sancza dusza zasmuciła się, gdyż nie zdołał doczekać się wspaniałej uczty i godów Camacha, które trwać miały do nocy; zasępiony przeto i smutny jechał za swym panem, którysunął z orszakiem Bazylego, a w tyle za nim zostawały garnki egipskie, chociaż je unosił w duszy; bowiem już prawie spożyta i niedojedzona szumowina, jaką w rondlu uwoził, wyobrażała dlań przepych i obfitość dóbr

Don Kichote - Miguel Cervantez

utraconych; zmartwiony przeto i zamyślony, choć niegłodny, siedząc na osłe, jechał śladami Rosynanta. 468

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

podaje opowieść o wielkiej przygodzie w Jaskini Montesinosa, położonej w samym sercu Manczy, którą do

szczęśliwego końca doprowadził dzielny Don Kichote

Gościnnie i obficie podejmowali państwo młodzi Don Kichota, wdzięczni za okazanie im życzliwości przy obronie ich sprawy; stawiając męstwo jego na równi

z mądrością, poczytywali go za Cyda w sprawach oręza, a za Cicerona w wymowie. Początki Sanczo używały przez trzy dni na koszt oblubieńców, od

których dowiedziano się, że pozorna rana nie była wspólnie z Kiterią ułożonym podstępem, ale była to chytrówka Bazylego, który pokładał w niej nadzieję, jak widzieliśmy, speł-

nioną; przyznał się co prawda do tego, że wtajemniczył w swój plan kilku przyjaciół, aby w sposobnym czasie pomogli jego zamysłom i ułatwili mu oszustwo. - Nie należy żadną miarą nazywać oszustwem tego - mówił Don Kichote - co ma cel zacny. A połączenie kochanków jest celem najdoskonalszym, baczyć atoli należy, że największym przeciwnikiem miłości jest głód i ciągły niedostatek; miłość bowiem jest cała weselem, radością i zadowoleniem, osobliwie kiedy kochanek jest w posiadaniu ukochanego przedmiotu, zaś największymi jej jawnymi wrogami są niedostatek i ubóstwo; a mówię to wszystko z zamiarem skłonienia pana Bazylego, by zaniechał ćwiczenia sprawności, w jakich celuje, które przysparzają mu nawet sławy, ale nie dają pieniędzy, i aby starał się powiększyć swe mienie sposo-

bami przystojnymi i zmyślnymi, których ludziom rozważnym i pracowitym nigdy nie zabraknie. Dla biedaka szanownego (przyjawszy, że biedak

może być szanownym) żona piękna to klejnot; kiedy go straci, traci również cześć i życie. Białogło-

wa piękna i cnotliwa, której mąż jest ubogi, zasługuje na uwieńczenie wawrzynem i na palmy zwycięstwa i triumfu. Gładkość sama przez się przyciąga chęci wszystkich, którzy na nią patrzą i znają ją, niby smakowita przynęta, ku której zlatują się

orły królewskie i górnolotne ptaki; ale jeśli gładkości towarzyszą niedostatek i ubóstwo, napastują ją również kruki, krogulce oraz inne drapieżne ptaszyska, zaś ta, która tym wszystkim

Don Kichote - Miguel Cervantez

atakom mążnie stawi czoło, zasługuje, by ją nazwać koroną męża.

Wiedziecie, roztropny Bazyli - dodał Don Kichote - że zdaniem, nie pomnę już jakiego mędrcę, jedna jest tylko na świecie cnotliwa białogłowa. Radził on, aby każdy mąż mniemał i wierzył, że tą jedyną cnotliwą jest jego żona, a żyłby wtedy zadowo-lony. Nie jestem żonaty ani dotąd przez myśl mi nie przeszło się ożenić, a mimo to

odważyłbym się radzić, gdyby mię ktoś pytał, w jaki sposób szukać należy niewiasty, z którą by się miał ożenić. Po pierwsze, radziłbym jemu, aby więcej zważył na

dobrą sławę niż na majątek, bowiem cnotliwa białogłowa zyskuje tę sławę nie tylko dlatego, że jest taką, ale że się taką wydaje; a więcej szkody przynoszą sławie nie-

wiast płochość i jawną nieopatrznosć niż ukryte uchybienia. Jeśli wprowadzisz w dom twój cnotliwą żonę, łatwo ci będzie ją utrzymać, a nawet umocnić w owej

469 zacności; ale gdy wprowadzisz niegodną, trudno ci przyjdzie ją poprawić; niełatwo bowiem z jednego krańca przejść na drugi; nie mówię, aby to było niemożliwe, ale uważam to za bardzo trudne.

Słuchał tego Sanczo i rzekł pod nosem:

- Ten mój pan, kiedy ja mówię o rzeczach ważnych i zasadniczych, zwykł powiadać, iż mógłbym wziąć kazalnicę, po świecie wędrować i cudowności kazania prawić, ja zaś powiadam, że kiedy on zacznie nizać sentencje i rady dawać, mógłby wziąć nie jedną kazalnicę w ręce, ale i dwie na każdy palec i chodząc po placach gadać, ile wlezie. Tam do diaska, z takim błędny rycerzem, co tyle wie! Myślałem w duchu, że może on rozumieć się jedynie na tym, co odnosi się do rycerstwa, ale nie masz rzeczy, gdzie by swego nosa nie wetknął. Kiedy Sanczo tak mruczał, posłyszał go pan jego i zapytał: - Co tam mruczysz, Sanczo?
- Nic nie mówię ani nic nie mruczę - odpowiedział Sanczo. - Mówiłem tylkodo siebie, że chciałbym był słyszeć, co by jegomość powiedział, zanim się ożeniłem, bo teraz mogę rzec: "Wól bez jarzma lepiej się liże".

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Jak to, czy tak niedobra jest Teresa, Sanczo? - zapytał Don Kichote.- Nie tak bardzo zła - odpowiedział Sanczo - ale i nie bardzo dobra; przynajmniej nie tak dobra, jak bym sobie życzył.
- Źle robisz, Sanczo - rzekł Don Kichote - przy ganiając twej żonie, która przecie jest matką twoich dzieci.
- Nic sobie nie jesteśmy winni - odparł Sanczo - ona również źle się o mniewyraża, kiedy się gniewa, a zwłaszcza kiedy jest zazdrośna; wówczas sam szatan niech z nią sobie daje radę.

Trzy dni w końcu pozostali z nowożeńcami, którzy ich gościli i podejmowali po królewsku. Don Kichote prosił szermierza licencjata, aby mu polecił przewodnika, który by go zaprowadził do Jaskini Montesinosa, chciałby bowiem bardzo wejść tam i na własne oczy zobaczyć, czy prawdziwe są owe cuda, jakie o niej w całej tej okolicy opowiadają. Licencjat przyrzekł, że da mu jednego ze swych krewnych, wybitnego studenta, rozmiłowanego w czytaniu ksiąg rycerskich, który bardzo chę-

nie zawiedzie go do wejścia do jaskini i pokaże mu Stawy Ruidery, zarówno w całej Manczy słynące, jak nawet w całej Hiszpanii; rzekł mu też, że znajdzie przyjemność w rozmowie z nim, jest to bowiem młodzieniec, który umie układać książki do druku oraz dedykować je książętom. Wreszcie krewniak przyjechał na żrebnej oślicy, której terlica pokryta była derką czy pasiąkiem. Sanczo osiodłał Rosynanta i okulbaczył siwka, napełnił biesagi, któ-

rym odpowiadały biesagi krewniaka równie dobrze zaopatrzone, i poleciwszy się Bogu oraz pożegnawszy ze wszystkimi, ruszyli w drogę w kierunku słynnej Groty Montesinosa.

Po drodze wypytywał Don Kichote krewniaka, jakiego rodzaju i stopnia były jego zajęcia, prace i studia; tamten odpowiedział, że z powołania był humanistą; zajęciem jego i ćwiczeniem było układanie książek do druku, ku wielkiemu pożytkowi i nie mniejszej rozrywce całego państwa; że jedna z tych książek nosiła tytuł Księga dworskich ubiorów, opisywał w niej siedemset trzy ubiory dworskie, ich 470 barw, cyfry i dewizy; w okresie

uroczystości i igrzysk mogą na tej podstawie

wy-

Don Kichote - Miguel Cervantez

bierać je sobie rycerze dworacy, nie prosząc nikogo o to ani nie łamiąc sobie, jak to mówią, mózgu, aby znaleźć stosowne do swych upodobań i zamysłów. - Podaję bowiem stroje dla zazdrosnego, dla wzgardzonego, dla zapomnianego, dla rozwiałonego, które leżeć będą jak ulane. Napisałem także inną książkę, którą chcę zatytułować Przemiany, czyli Owid hiszpański, rzecz całkiem nowa i oryginalna. Bowiem w niej, naśladowując Owidiusza, żartobliwie opisuję, co to była Giralda w Sewilli, Anioł Magdaleny, kanał Vecinguera w Kordobie, Byki z Guisando, Sierra Morena, studnie Leganitos i Lavapies w Madrycie, nie pomijam Źródła Wszawego ani Kanału Złotego czy Kanału Ksieni. A wszystko to z alegoriami, metaforami i figurami retorycznymi, tak że bawi, zaciekawia i poucza równocześnie. Mam jeszcze jedną książkę pod tytułem Przeczynek do Wirgiliusza Polidora; traktuje ona o wynalazkach, pełna erudycji i studiów, bo o czymkolwiek ważnym Polidor zapomniał powiedzieć, ja to badam i pięknym stylem podaję. Zapomniał Wirgiliusz powiadomić nas, kto pierwszy na świecie miał katar i kto wynalazł maść na galicką chorobę, a ja to podaję najdokładniej, opierając się na więcej niż dwudziestu pięciu autorach; widzicie przeto, wasza miłość, czy dobrze się namozolę i czy taka książka może być dla wszystkich użyteczna.

Sanczo, który bardzo uważnie słuchał całego wywodu krewniaka, zapytał: - Powiedzcie mi, panie (oby Bóg dał wam szczęśliwą rękę w wydawaniu takich książek), czy potraficie mi rzec, a jużci potraficie, jako że wszystko wiecie, kto pierwszy podrapał się w głowę, ja bo sądzę, że był to nasz praojciec Adam. - Może to być - odparł krewniak - bowiem nie ulega wątpliwości, że Adam miał głowę i włosy; a skoro tak było, on zaś był pierwszym na świecie człowiekiem, mógł się czasem podrapać.

- Tak też myślę - odpowiedział Sanczo - ale powiedzcie mi jeszcze, kto był pierwszym linoskoczkiem na świecie?
- Zaiste, bracie - odparł krewniak - nie potrafię tego w tej chwili określić, nie przestudiowawszy sprawy. Zbadam ją, kiedy do mych książek wrócę, a zaspokoję waszą ciekawość, kiedy się znów zobaczymy, gdyż chyba nie ostatni raz się widzimy.
- No więc, panie - odparł Sanczo - nie zajmujcie się tym; w tej chwili wpadłem na to, o co pytałem. Wiedziecie, że pierwszym linoskoczkiem świata był Lucyfer, kiedy go wypędzono i zrzucono z nieba i wywracając kozły w powietrzu, leciał aż do otchłani.
- Masz rację, przyjacielu - rzekł krewniak.

Don Kichote odezwał się:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Tych pytań i odpowiedzi nie wymyśliłeś sam, Sanczo, musiałeś je od kogoś posłyszeć.
- Nie gadajcie, panie - odparł Sanczo - gdyby mi tak przyszło pytać i odpowiadać, do jutra rana bym nie skończył; bo żeby pytać o głupstwa i brednie odpowiadać, nie potrzeba szukać u sąsiadów pomocy.
- Powiedziałeś więcej, niż wiesz, Sanczo - rzekł Don Kichote - są tacy, którzy zmyzolą się badaniem i dociekaniem rzeczy, które jako znane i dowiedzione, za grosz korzyści nie przynoszą rozumowi ani pamięci. 471

Na tych i tym podobnych przyjemnych rozmowach przeszedł dzień, a noc spędzili w małej wiosce, gdzie krewniak oświadczył Don Kichotowi, że stamtąd do Jaskini Montesinosa nie ma więcej niż dwie mile i jeżeli zamierza się tam udać, należy zaopatrzyć się w liny, by uwiązać się i spuścić w jej głęb. Don Kichote rzekł, że choćby miał dojść do piekła, musi przekonać się, dokąd grotu sięga. Zakupili więc około stu sążni powroza i następnego dnia o drugiej po południu dotarli do jaskini,

której otwór był szeroki i duży, ale cały zarosły głogiem, dzikimi figami, cierniami i jeżynami tak gęsto i tak splątanymi, że całkowicie go zasłaniały i zakrywały. Ujrzawszy to krewniak, Sanczo i Don Kichote zeskoczyli z koni, dwaj pierwsi silnie bardzo przewiązali liną Don Kichota, a kiedy go tak opasywali i ubezpieczali, Sanczo rzekł:

- Zastanówcie się, jegomość, panie mój, co czynicie: nie chciejcie się żywcem grzebać ani nie róbcie z siebie jakoby butli, którą dla ochłodzenia do studni wpuszczają. Czy to was dotyczy i co was obchodzi, aby badać tę grotę, która musi być straszniejsza od mauretańskiego lochu? - Wiąż i milcz
- odparł Don Kichote - bo to zadanie, Sanczo, przyjacielu, dlamnie było zachowane.

Wówczas odezwał się przewodnik:

- Błagam waszą miłość, panie Don Kichocie, oglądajcie i wypatrujcie stu oczyma, co to wnętrze kryje: może znajdą się tam rzeczy, które zamieszczone w mojej książce Przemian.
- Bęben jest w rękach, które dobrze bębnić potrafią - rzekł Sanczo Pansa. Po tych słowach, kiedy skończyli uwijać Don Kichota (nie przez zbroję, jeno przez kaftan), ten rzekł:

Don Kichote - Miguel Cervantez

-Nieopatrznie wybraliśmy się, nie wziawszy jakiegoś małego dzwonka, który uwiązanego na tym samym sznurze, dźwiękiem dawałby znak, że się spuszczam i że jeszcze żyję; ale to już niemożliwe, Bogu się polećmy, niech mię prowadzi. I zaraz rzucił się na kolana, pomodlił się cicho do nieba, prosząc Boga o pomoc i o dobry wynik w tej, jak się zdawało, niebezpiecznej i niezwykłej przygodzie, a potem rzekł na głos:

- O pani mych poczynań i poruszeń, najjaśniejsza i nieporównana Dulcyneoz Toboso! Jeśli możliwe, aby do uszu twych doszły prośby i błagania twoego nieszczęśliwego kochanka, zaklinam cię na piękność twoją, wysłuchaj ich. O nic cię nie błagam, jeno o przychylność i pomoc w obecnej, tak wielkiej potrzebie. Idę spuścić się, zanurzyć, pograżyć w otchlani, która tu się przede mną otwiera, jedy- nie, aby świat poznał, że kiedy ty mi sprzyjasz, nie masz rzeczy tak niemożebnej, której bym się nie podjął i nie dokonał.

To mówiąc, zbliżył się do pieczary i ujrzał, że nie można było ani się spuścić, ani przedostać do otworu, nie używszy siły ramion i miecza, więc pochwyciwszy za miecz, zaczął siec owe zarośla u wejścia do jaskini, a na ten łomot i łoskot wyleciało z niej nieskończone mnóstwo olbrzymich kruków i kawek, taką chmarą i z takim rozmachem, że powaliły Don Kichota na ziemię i gdyby był równie zabobonny, jak był dobrym katolikiem, poczytywałby to za zły omen i poniechałby zagrzebywania się w podobnym miejscu. 472

Ale on wstał i widząc, że więcej już kruków ani innych nocnych ptaków nie wylata, ani też nietoperzy, które za krukami wyleciały, podał linę krewniakowi i Sanczowi i zaczął się spuszczać w głąb straszliwej czeluści; Sanczo błogosławił go przy zejściu i żegnał znakiem krzyża po tysiąckroć, mówiąc:

- Niech cię Bóg prowadzi i Pani z Francuskiej Skały oraz Św. Trójca z Gaety, kwiecie, śmietanko i piano błędnego rycerstwa! Idź oto, o waleczności świata, serce ze stali, ramię z brązu! Niech cię Bóg prowadzi i znów wolnym powróci, zdrowym i bez przeskody światu tego życia, jakie porzucasz, aby się zagrzebać w tych ciemnościach, które pragniesz zbadać. Prawie takie same modły i zaklęcia odprawiał krewniak.

Don Kichote schodził, wołając, aby mu liny coraz bardziej popuszczali, co też oni bardzo wolno czynili; a kiedy wołania dochodzące z jaskini nie dawały się słyszeć, zaś oni odwinęli już sto sążni liny, wydało im się, że należało wyciągnąć Don Kichota, bowiem już liny nie stało. Mimo to przczekali jeszcze pół godziny, a po upływie tego czasu zaczęli nawijać linię, co szło im bardzo łatwo i lekko; wnio-

Don Kichote - Miguel Cervantez

skowali z tego, że Don Kichote pozostał na dnie, w tym przekonaniu Sanczo rozpłakał się gorzko i ciągnął pośpiesznie linę, aby się przekonać o tym; ale gdy wedle

ich obliczeń zwinęli już ponad osiemdziesiąt sążni, uczuli ciężar, co ogromnie ich uradowało. Wreszcie na długości dziesięciu sążni wyraźnie ujrzały Don Kichota, do którego Sanczo zakrzyknął:

- Bywajcie, jegomość! Szczęśliwie nam wrócony, panie mój! Już myśleliśmy, że tam na dobre zostaniecie.

Ale Don Kichote nie odpowiadał ani słowa i kiedy go całkowicie wyciągnęli, spostrzegli, że oczy ma zamknięte, jakby spał. Ułożyli go na ziemi i odwiązali, mimo to nie ocknął się; tak go jednak zwyrtały, obracali, potrząsali i tarmosili, że w końcu po dobrej chwili oprzytomniał i przeciągnąwszy się, jakby obudzony z ciężkiego, głębokiego snu, rozglądając się na wszystkie strony, na pół

przytomny rzekł: - Bóg niech wam przebaczy, przyjaciele, że wyrwaliście mię z najmilszego i najrozkoszniejszego życia i pozbawili najpiękniejszego widoku, jaki kiedykolwiek

człek śmiertelny oglądał. Zaiste, poznaję oto, że wszystkie radości tego żywota przechodzą jak sen i cień albo więdną jak kwiat polny. O nieszczęsny Montesinosie! O ciężko ranny Durandarte! O nieszczęśliwa Belermo! O rozełkany Guadiano i wy, niefortunne córy Ruidery, których wody okazują obfitość łez przez piękne wasze oczy wylanych!

Z wielką uwagą słuchali krewniak i Sanczo słów Don Kichota, które ten wypowiadał, jakby z niezmierną bolescią dobywał je z wnętrznosci. Błagali go, by wyjaśnił im te słowa i by im opowiedział, co w owym piekle oglądał. - Nazywacie to piekiem? - rzekł Don Kichote. - Nie nazywajcie piekiem tego, bo nie zasługuję na to, jak się przekonacie.

Prosił, aby mu dali coś zjeść, bowiem jest bardzo głodny. Rozścieliili płachtę krewniaka na zielonej murawie, dobyli zawartości biesagów i usiadłszy, wszyscy trzej, w najlepszej drużynie i zgodzie, pożywali naraz śniadanie i obiad. Kiedy płachtę zwinęli, rzekł Don Kichote z Manczy:

- Nie ruszajcie się z miejsca i pilnie słuchajcie, synkowie, co powiem. 473

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Don Kichote - Miguel Cervantez

O podziwu godnych rzeczach, jakie doskonały Don Kichote z Manczy miał widzieć w głębokiej jaskini Montesinosa, a których niepodobieństwo i niezwykłość sprawiają, że uważa się

tę przygodę za nieprawdziwą

Była godzina czwarta w przedwieczerni, kiedy słońce skryte między chmurami, rzucając światło łagodne i promienie słabsze, pozwoliło Don Kichotowi, by wolen od upału i przykrości, opowiedział swym obu najznakomitszym słuchaczom, co widział w jaskini Montesinosa. Zaczął w ten sposób:

-Na dwanaście czy czternaście stóp głębokości w owej jaskini otwiera się jakby wgłębienie i miejsce, gdzie mógłby się zmieścić wielki wóz wraz z mułami. Przenika tam słabiutkie światełko przez jakieś szczeliny i szpary otwarte ku powierzchni ziemi. Tę wklęsłość i przestrzeń wolną zauważałem, kiedy zmęczony i wyczerpany, zawieszony na linie zjeżdżałem w tę ciemną głębię, nie znając pewnej i określonej drogi; postanowiłem przeto wejść tam, aby nieco odpocząć. Zawałałem, abyście nie spuszczali więcej liny, póki wam nie powiem; ale nie musielicie mnie słyszeć. Zwijałem tedy linię, przez was spuszczoną, i uczyniwszy z niej okrągły zwój, usiadłem na nim zamysły, rozważając, co mi wypada uczynić, aby dotrzeć do głębi nie mając nikogo, kto by mnie podtrzymał. Kiedy byłem zatopiony w tych myślach i niepewności, nagle i niespodziewanie naszedł mi sen bardzo głęboki; a kiedy najmniej się spodziewałem, nie wiedząc ani jak, ani kiedy, znalazłem się w pośrodku najpiękniejszej, uroczej i najrozkoszniejszej łąki, jaką by mogła

stworzyć przyro-

da, a najbogatsza wyobraźnia ludzka wymarzyć. Otworzyłem oczy, przetarłem je i poznałem, że nie śnię, ale istotnie jestem zupełnie przytomny;
mimo to dotykałem

głowy i piersi, aby upewnić się, że to ja sam tam się znachodzę, a nie jakowaś zjawa znikoma i złudna. Dotyk, poczucie, rozsądne rozważania, jakie z sobą wiodłem, upewniły mnie, że tam istotnie byłem ten sam, jaki teraz jestem. Wkrótce oczom moim odsłonił się królewski pałac czy przybytek wspaniały, o murach i ścianach, które zdawały się z przeźroczego i jasnego kryształu zbudowane. Otwarły się jego dwie wielkie bramy i ujrzałem, jak wychodzi z nich i ku mnie zbliża się starzec czcigod-

ny, okryty płaszczem z miękkiej fioletowej wełny, który włókł się po ziemi, ramio- na i pierś okrywała mu pelerynka kolejalna z zielonego atłasu; na głowie miał czarny biret mediolański, a

Don Kichote - Miguel Cervantez

broda bielusieńka do pasa sięgała; żadnej broni nie nosił, jeno różaniec o ziarnkach wielkości średnich orzechów, o dziesiątkach jak dobre strusie jaja; postawa, chód, powaga i dostojość, każda z osobna i wszystkie pospołu, zadziwiły mię i zachwyciły. Zbliżywszy się do mnie, uścisnął mię

mocno i rzekł: "Od dawnego już, dzielny rycerzu Don Kichocie z Manczy, my, zaklęci w tych pustkowiach, oczekujemy ciebie, ażebyś świata odsłonił, co zawiera i kryje w sobie głęboka ja-skinia, do której tu wszedłeś, zwana Jaskinią Montesinosa, czyn ten czekał na twą 474 niezwyciężoną odwagę i na twoe zadziwiające męstwo. Pójdz ze mną, najznamienitszy panie, chcę ci pokazać cuda, jakie kryje ten przeźroczysty pałac, którego jestem

kasztelanem i najwyższym, wieczystym stróżem, ja bowiem jestem owym Montesinosem, od którego jaskinia wzięła nazwę". Zaledwie wyrzekł, że jest Montesinosem, zapytałem zaraz, czy prawda jest, co opowiadają na górnym świecie, że wydarł on małym mieczykiem z głębi piersi serce swego wielkiego druha Durandarta i zaniósł je pani Belermie, jak ów to przykazał w godzinę swej śmierci. Odpowiedział, że wszystko to prawda, ale nie był to mieczyk mały czy wielki, jeno puginał wydłużony, ostrzejszy od szydła.

- Musiał to być - przerwał w tej chwili Sanczo - puginał Ramona de Hocesz Sewilli.
- Nie wiem - ciągnął dalej Don Kichote - ale nie mógł być roboty tego płatnerza, bowiem Ramon de Hoces żył niedawno, zaś bitwa pod Ronsewalem, gdzie się owo nieszczęście zdarzyło, była przed wiekami; to stwierdzenie jednak nie ma znaczenia, nie zmienia ani nie paczy prawdy i toku opowiadania.
- Tak jest - rzekł krewniak - opowiadajcie dalej, waszmość panie Don Kichocie; słucham tego z największą przyjemnością.
- Z nie mniejszą i ja to opowiadam - odparł Don Kichote. - Mówię przeto, że czcigodny Montesinos zawiódł mię do kryształowego pałacu, gdzie w dolnej sali niezwykle chłodnej, a całej z alabastru, stał marmurowy sarkofag wielkim kunsztem wykuty, na którym ujrzałem leżącą postać rycerza nie z brązu ani z marmuru, ani z jaspisu wykonaną, jak to zwykle na innych grobowcach bywa, ale z ciała i kości. Prawą rękę-jak mi się zdawało, nieco owłosioną i muskularną, co wskazywało na wielką siłę jej właściciela - trzymał na sercu. Zanim zdążyłem o cośkolwiek zapytać Montesinosa, on, widząc moje zdumienie

Don Kichote - Miguel Cervantez

na widok takiego sarkofagu, rzekł: "Oto mój druh Durandarte, kwiat i zwierciadło dzielnych i zakochanych rycerzy swego czasu. Trzyma go tu pod zaklęciem, tak jak trzyma mnie oraz licznych innych mężów i niewiasty, Merlin, ów francuski czarodziej, o którym mówią, że był synem czarta, ja zaś wierzę, że synem czarta on nie był, ale od czarta był mą-

drzejszy. Jak i dlaczego nas zaczarował, nikt nie wie, wyjaśnia to przyszłe czasy, które już są niedaleko, jak mniemam. Najbardziej mnie zdumiewa, że wiem tak pewnie, jako że teraz jest dzień, iż Durandarte zakończył życie w mych ramionach i że po śmierci wyjąłem mu serce własnymi rękoma; a zaprawdę musiało ono ważyć ze dwa funty, bowiem wedle przyrodników, kto ma większe serce, większą odwagą jest obdarzony niżeli ten, który posiada małe. Skoro tedy tak jest i skoro rycerz ten rzeczywiście umarł, jak to się dzieje, że żali się i wzdycha od czasu do czasu, jak gdyby był żyw?".

Ledwie to rzekł, nieszczęsny Durandarte zawałał

wielkim głosem: "Montesinosie rycerzu,

Ostatnią błagam cię prośbą,

Kiedy już śmierć mię zabierze

I duszę moją wyzionę,

Zaniesiesz wtedy me serce 475

Pięknej Belermie w poklonie,

Wydarłszy mi je wprzód z piersi Sztylem lub miecza ostrzem".

Usłyszawszy to, czcigodny Montesinos upadł na kolana przed nieszczęsnym rycerzem i ze łzami w oczach rzekł: "Panie Durandarte, najdroższy mój krewniaku, wszak uczyniłem, coście mi polecili w gorzkim dniu naszej klęski; wyjąłem wam serce, jak zdołałem najlepiej, ani kawałczka w piersi wam nie zostało; otarłem je koronkową chusteczką, a skoro tylko was w łonie ziemi złożyłem, udałem się, co koń wyskoczy do Francji, wylewając tyle łez, że starczyły, aby mi obmyć ręce i spłukać z nich krew, która je zbroczyła, kiedy w wnętrznościach waszych błędzi-

ły. Co więcej, krewniaku mojej duszy, w pierwszej miejscowości, jaką spotkałem, wyjechałem z Ronsewalu, serce wasze przysypałem odrobiną soli, aby nie wydawało przykraj woni i aby, jeśli nie świeże, to przynajmniej dobrze zachowane zanieść przed oblicze pani Belermy, którą jak was i mnie, i Guadianę, waszego giermka, i ochmistrzynię Ruidere, i jej siedem cór, i dwie siostrzenice oraz wielu innych naszych znajomych i drułów - trzyma tu w zaklęciu czarodziej Merlin już od lat wielu.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Aczkolwiek pięćset lat już upływa, nikt z naszych nie pomarł; brak tylko Ruidery i jej córek oraz siostrzenic; płaczowi ich ulitował się Merlin i przeobraził je w tyleż jezior, które dziś w świecie żyjących i w prowincji Manczy nazywają Stawami Ruidery; a siedem z nich należy do królów Hiszpanii, a dwie siostrzenice do rycerzy najświętszego zakonu, który zowią zakonem św. Jana. Guadiana, wasz giermek, opłakując wasze nieszczęście, zamieniony został w rzekę, która jego imię nosi; ten, kiedy wypłynął na powierzchnię ziemi i ujrzał słońce innego nieba, z żalu, iż cię porzucił, zapadł we wnętrznosci ziemi; ale jako nie jest możliwe przeciwsta-

wić się przyrodzonemu biegowi, od czasu do czasu wypływa i pokazuje się, aby go oglądało słońce oraz ludzkie oczy. Zasilają go swymi wodami wspomniane stawy i z ich wodami oraz z licznymi innymi dopływami wkracza okazały i rozlewny do Portugalii. Ale mimo wszystko, gdziekolwiek się kieruje, zawsze objawia smutek swój i melancholię, nie dba o to, by w wodach swoich żywić smaczne ryby, jeno pospolite i niedobre, tak różne od ryb złocistego Tagu. A to, co wam dzisiaj mówię, o mój krewniaku, mówiłem wam już wielekróć, a jako mi nie odpowiadaliście, wyobrażałem sobie, że mi nie wierzycie lub mnie nie słyszycie, a Bóg sam wie, jak się tym martwiłem. A teraz chcę wam udzielić pewnych wieści, które choć bolesci waszej nie ulżą, nie mogą jej powiększyć żadną miarą. Wiedziecie, że oto tu przed oblicznością waszą, macie - otwórzcie oczy, a ujrzycie go - wielkiego rycerza, o którym tyle rzeczy przepowiedział czarnoksiężnik Merlin; owego Don Kichota z Manczy, mówię, który od nowa i z większą niż dawniej chwałą wskrzesił w obecnych wiekach zapomniane już błędne rycerstwo. Może za jego przyczyną i łaską zostanie-

my uwolnieni z zaklęcia, bowiem wielkie czyny czekają na ludzi wielkich". "A gdy- by i tak się nie stało - odpowiedział żałosny Durandarte głosem omdłalym i cichym - choćby i tak nie było - o krewniaku! - rzekę: "Cierpliwości, mieszajmy karty!""

-

i obróciwszy się na drugi bok, zapadł w zwykłe milczenie, nie mówiąc już ni słowa. Dały się na to słyszeć wielkie zawodzenia i płacze, którym towarzyszyły głębokie

476 jęki i przejmujące łkania; odwróciłem głowę i ujrzałem poprzez ściany kryształowe, że w drugiej sali przeciąga procesja: w dwu szeregach kroczyły najpiękniejsze

dziejwice okryte żałobą, w białych zawojach na głowie na modłę turecką. Na końcu orszaku kroczyła dostońska pani, jak wskazywała jej powaga, również czarno odziana, w białej zasłonie tak długiej i szerokiej, że wlokła się po ziemi. Jej zawój był dwakroć większy niż największe innych dziewic; brwi miała zrosnięte, nos nieco spłaszczony; usta duże, ale wargi czerwone;zęby, które od czasu do czasu odsłaniała, były raczej rzadkie i nierówno osadzone, choć białe jak wyłuskane migdały;

w rękach niosła cienkie płótno, a w nim, o ile dostrzec mogłem, serce jakby mumii, tak wyschnięte i skurczone. Montesinos objaśnił mię, że cały ten orszak to dworki

Durandarta i Belermy, które tu wraz z dwojgiem swych państwa zaklęte zostały, ostatnia zaś, która serce na płótnie niosła, to pani Belerma, która wraz z pannami swymi czterykroć w tygodniu taką procesję odbywa, śpiewając, a raczej zawodząc treny nad zwłokami i nad żałosnym sercem swego krewniaka; a choć wydała mi się nieco brzydka, to znaczy nie tak urodziwa, jak sława niosła, przyczyną były złe noce

i jeszcze cięższe dni w owym zaklęciu spędzone, na co wskazywały jej wielkie cienie pod oczyma oraz cera chorobliwa. "Ta żółtość i te podbite oczy nie pochodzą z miesięcznej słabości białogłowom zwyczajnej - od wielu miesięcy, a nawet i lat tego nie doznaje - jeno boleść, jaką odczuwa z powodu onego serca, które bezustannie w dłoniach swoich nosi, odnawia i na pamięć jej przywodzi nieszczęście jej

żałosnego kochanka; gdyby nie to, zaledwie dorównywałaby jej urodą, wdziękiem i świetnością wielka Dulcynea z Toboso, tak sławiona w tych okolicach, a nawet w całym świecie". "Dość tego - przerwałem wówczas - panie Montesinosie, opowiadajcie, wasza miłość, waszą historię, jak należy; wiedziecie, że wszelkie porównania

są niemiłe i nie należy nikogo z nikim porównywać. Nieporównana Dulcynea z Toboso jest, czym jest, a pani Doña Belerma jest, czym jest i czym była, i poprze-

Don Kichote - Miguel Cervantez

stańmy na tym". Na to on mi odpowiedział: "Panie Don Kichocie, wybaczcie mi, wasza miłość; wyznaję, pobłędziłem i źle się wyraziłem, mówiąc, iż pani Dulcynea zaledwie dorównywałaby pięknością pani Belermie, gdyż wystarczyło mi powziąć podejrzenie, że wasza miłość jesteście jej rycerzem, abym się w język ugryzł, zanimbym ja przyrównał do kogokolwiek, chyba do samego nieba". To zadośćuczynienie, jakie mi dał wielki Montesinos, uspokoilo wzburzenie mego serca, jakie odczułem, słysząc, że moją panią przyrównują do Belermy.

- A nawet ja się dziwię - rzekł Sanczo - że jegomość nie wskoczył na tegostarucha i nie połamał mu wszystkich kości, nie wyrwał mu brody aż do ostatniego włosa.
- Nie, przyjacielu Sanczo - odpowiedział Don Kichote - nie należało mi tegouczynić, bowiem wszyscy winniśmy szanować starców, nawet gdyby rycerzami nie byli, a w szczególności tych, którzy pozostają w zaklęciu. Wiem, że nie zostaliśmy sobie dłużni pośród licznych zapytań i odpowiedzi, jakieśmy wymienili.

Na to odezwał się krewniak:

- Nie pojmuję, panie Don Kichocie, w jaki sposób waszmość w tak krótkim czasie, jaki spędziście tam na dole, zdołaście widzieć tyle rzeczy i tyle mówić, i odpowiadając. 477
- Jak długo byłem na dole? - zapytał Don Kichote.
- Nieco więcej niż godzinę - odpowiedział Sanczo.
- To niemożliwe - odparł Don Kichote - tam bowiem zaskoczyła mię noci poranek, i tak po trzykroć zapadała noc i nastawał dzień; zatem, wedle mego obliczenia, trzy dni spędziłem w owych stronach nieprawdopodobnych, a oczom naszym zakrytych.
- Mój pan musi prawdę powiadać - rzekł Sanczo - bo jako wszystko, co gospotkało, jest wynikiem czarów, może i to, co nam wydaje się godziną, tam wydało się trzema dniami i nocami.
- Tak i będzie - odpowiedział Don Kichote.
- A czy wasza miłość jedliście coś przez ten cały czas, panie mój? - zapytał krewniak.
- Ani kęsa nie tknąłłem - odpowiedział Don Kichote - nawet nie byłem głodny, ani o tym nie pomyślał.
- A czy zaklęci jadają? - zapytał krewniak.
- Nie jedzą- odparł Don Kichote - ani nic nie wydzielają; choć panuje przekonanie, że rosną im paznokcie, broda i włosy.
- A czy owi zaczarowani sypiają, panie? - zapytał Sanczo.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Zapewne nie - odpowiedział Don Kichote - przynajmniej w czasie owych trzech dni, jakie z nimi spędziłem, żaden ani oczu nie zmrużył, ani ja podobnie. - Bardzo się tu stosuje przysłowie - rzekł Sanczo - powiedz mi, z kim przestajesz, powiem ci, kim jesteś. Zadawajcie się tylko, jegomość, z zaklętymi, którzy poszczą i czuwają; nie dziwota wcale, że nie jadacie ani nie sypiacie, jak długo z nimi jesteście. Ale wybaczcie, jegomość, panie mój, jeśli powiem, że w to wszystko, co tutaj powiedzieliście, niech mię Bóg porwie (chciałem już rzec diabeł), nie wierzę ani odrobinę.
- Jak to nie? - rzekł krewniak. - Czyż pan Don Kichote zdolen kłamać? Nawet choćby chciał, nie miałby czasu wymyślić i wynaleźć takiego miliona łgarstw.
- Nie wierzę, aby mój pan kłamał - odpowiedział Sanczo. - No to w co wierzysz? - zapytał Don Kichote.
- Wierzę - odpowiedział Sanczo - że ów Merlin czy owi czarodzieje, którzy zaklęcie rzucili na tę całą zgraję, którą, jak mówicie, jegomość, widzieliście i z którą stykaliście się tam na dole, zakuli wam w mózg i w pamięć waszą całą tę machi-nę, którą nam opowiedzieliście, i to wszystko, co jeszcze do opowiadzenia zostało.
- Wszystko to mogłyby być, Sanczo - odparł Don Kichote - ale tak nie jest; tobowiem, co opowiedziałem, widziałem na własne oczy i dotykałem tego własnymi rękoma. Ale cóż powiesz na to, co ci teraz oznajmię; otóż pomiędzy niezliczonymi rzeczami i cudami, jakie mi Montesinos ukazał (opowiem ci o nich kolejno i w swoim czasie w ciągu naszej podróży, bowiem nie wszystkie tu się nadają), pokazał mi trzy wieśniaczki, które po tych najrozkoszniejszych łąkach harcowały, skacząc i igrając jak kozy; ledwie je ujrzałem, od razu poznałem, że jedna z nich jest nieporównaną Dulcyneą z Toboso, a tamte dwie tymi samymi wieśniaczkami, które jej towarzyszyły, gdyśmy je spotkali, opuszczając Toboso. Zapytałem Montesinosa, czyje zna; odpowiedział, że nie; ale wyobraża sobie, iż muszą to być jakieś możliwe damy zaczarowane, które od niewielu dni zjawiły się na tych łąkach; niech mię to nie dziwi, 478 bowiem znajdowały się tam inne liczne damy ubiegłych i obecnych wieków, zaklęte w rozmaite i dziwaczne postacie, pomiędzy którymi rozpoznał królowę Ginewrę i jej ochmistrzynię Kwintanionę, która nalała Lancelotowi wina, gdy wrócił. Z Bretanii znów w kraj swój miły.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Sanczo, usłyszawszy słowa swego pana, myślał, że rozum straci albo umrze ze śmiechu; a jako znał prawdę o zmyślonym zaczarowaniu Dulcynei, którego sam był czarodziejem i głównym świadkiem, przekonał się niezbicie, że pan jego był rozumu pozbawion i wariat zupełny, rzekł przeto: – W złą godzinę i w złą chwilę, w przeklęty dzień spuściliście się, wasza miłość, umiłowany panie mój, w ten inny świat, i w złą chwilę spotkaliście pana Mon-

tesinosa, który w takim stanie was nam przywrócił. Tu na powierzchni posiadaliście, jegomość, wasz pełny rozum, jaki Bóg wam dał, wypowiadałyście sentencje i dawali rady na każdym kroku, a nie jak teraz, kiedy opowiadacie najsrozsze brednie, jakie wyobrazić sobie można.

- Ponieważ znam cię, Sanczo - odparł Don Kichote - nie zważam na twojesłowa.
- Ani ja również na słowa jegomości - odparowała Sanczo - choćbyście miębili, choćbyście mię zabili za to, co rzekłem, i za to, co zamyślamsz powiedzieć, jeśli się pan w swoim gadaniu nie poprawi i nie odmieni. Ale powiedzcie mi, jegomość, teraz kiedy pokój między nami, jak i po czym poznaliście panią naszą? A jeśliście z nią rozmawiali, co rzekliście i co odpowiedziała?
- Poznałem ją- odpowiedział Don Kichote - bowiem miała na sobie te sameszaty jak wtedy, kiedyś mi ją pokazał. Przemówiłem do niej, ale nie odpowiedziała ni słowa; przeciwnie, odwróciła się tyłem i uciekła tak szybko, że i strzała by jej nie dosiągła. Chciałem ją gonić i byłbym to uczynił, gdyby mi był Montesinos nie poradził, abym się nie trudził, gdyż byłoby to na darmo, i rzekł, że zbliża się godzina,

kiedy będę musiał zwrócić i wyjść z jaskini. Rzekł mi również, że z biegiem czasu uwiadomi mię, w jaki sposób odczarowani zostaną on, Belerma, Durandarte i wszyscy, którzy tam przebywają; ale największą przykrość mi sprawiło ze wszystkiego, co tam widziałem i zauważałem, że w czasie kiedy mi to Montesinos mówił, podeszła do mnie z boku, ani widziałem kiedy, jedna z dworek, towarzyszek nieporównanej Dulcynei, i z oczyma pełnymi łez, głosem zmieszany i cichym rzekła: "Moja pani, Dulcynea z Toboso, całuże ręce waszej miłości i błaga o łaskawe powiadomienie jej o waszym zdrowiu; i również błaga waszą miłość najusilniej, będąc w wielkiej potrzebie, o pożyczczenie jej pół tuzina realów albo ile tam będącie mie- li, pod zastaw barchanowej, nowej kieckie, jaką mam ze sobą; daje ona słowo, że w najbliższym czasie wam odda". - Poselstwo to zdumiało mię i zdziwiło, więc zwróciwszy się do pana Montesinosa, zapytałem: "Czy to możliwe, panie Montesinosie, aby wybitni zaklęci cierpieli niedostatek?". On zaś mi odpowiedział:

"Wierzcie mi,

Don Kichote - Miguel Cervantez

wasza miłość, panie Don Kichocie z Manczy, że to, co zowiemy potrzebą, wszędzie się wciska, na wszystkich się rozciąga, wszystkich dotyka i nawet zaklętym nie przebacza, przeto jeśli pani Dulcynea przysłała z prośbą o tych sześć reali, H zastaw jest dobry, jak się zdaje, nic innego nie zostaje, jak dać jej te pieniądze, bez

479 wątpienia bowiem musi być w jakiejś ciężkiej potrzebie". "Zastawu nie wezmę odpowiedziałem - ani dać nie mogę, o co prosi, mam bowiem tylko cztery reale". Te dałem (a były to te same, któreś mi, Sanczo, wręczył onegdaj na jałmużnę dla ubogich spotykanych po drodze) i rzekłem: "Powiedzcie, moja miła, waszej pani, że na duszy mi ciążą jej utrapienia i że chciałbym być Fukierem, aby im móc zaradzić; niech wie, że nie mogę ani nie powiniennem cieszyć się zdrowiem, pozbawion jej rokossznego widoku i mądrzej z nią rozmowy, i że błagam ją najusilniej, jak mogę, aby była łaskawa i pozwoliła oglądać się i przystąpić do siebie swemu niewolnemu słudze i uwiedzionemu rycerzowi. Powiedzcie jej również, że kiedy najmniej spodziewać się będzie, usłyszy o przysiędze i ślubie, jaki uczyniłem, na modłę ślubu markiza z Mantui, który znalazlszy krewniaka swego Baldwina konającego w głębi gór, poprzysiągł, iż nie będzie jadał chleba na obrusie i podda się innym umartwie-

niom, póki go nie pomści; tak i ja ślubuję, że nie spocznę i przemierzę siedem części świata z większą dokładnością, niż to uczynił infant Don Pedro Portugalski, aż ją uwolnię z zaklęcia". "To wszystko i więcej jeszcze winniście, wasza miłość, mojej pani" - odpowiedziała panna. I wziawszy cztery reale, zamiast ukłonu wywróciła kozła takiego, że na dwa łokcie uniosła się nad ziemią.

- Ach, święty Boże! - zawała wówczas Sanczo. - Zali to możliwe, by na świecie byli czarodzieje i czary tak silne, zdolne przewrócić zdrowy rozum mego pana tak niedorzecznym obłędem?! O panie, panie, na Boga! Niech jegomość panuje nad sobą i do czci swej powróci, a nie daje wiary tym bredniom, które mu rozsądek psują, gubią i naruszają.

- Mówisz tak, Sanczo, bo mię miłujesz - rzekł Don Kichote - a jako nie maszdoświadczenia w sprawach tego świata, wszystkie, które pewną trudność przedstawiają, zdają ci się niemożliwe, ale czas przyjdzie, jak już innym razem rzekłem, a opowiem ci rzeczy, jakie tam na dole widziałem, one zaś każą ci wierzyć

Don Kichote - Miguel Cervantez

w te, które tu opowiadam, a tych prawda nie ulega wątpliwości ani dyskusji.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

opowiada o tysięcznych banialukach zarówno niepotrzebnych, jak koniecznych do istotnego zrozumienia tej wielkiej

historii Tłumacz tej przydługiej historii, który ją przełożył z pierwotnego oryginału napisanego przez Sidi Hameta Ben Engeli, mówi, że na marginesie rozdziału o przygodzie w Grocie Montesinosa znalazł własnoręcznie przez Hameta dopisane następujące słowa:

Nie mogę w to uwierzyć ani nie mogę tego w siebie wmówić, że dzielnemu Don Kichotowi zdarzyło się dokładnie wszystko, co w poprzednim rozdziale na-

480 pisano; a to dlatego, że wszystkie

przygody, jakie do tego czasu się zdarzyły,

były możliwe i prawdopodobne; ale tej

przygody w jaskini nie mogę w żaden sposób

uważyć za prawdziwą, przekracza bowiem

znacznie granice rozumu. Jednak

niepodobieństwem jest myśleć, by Don

Kichote kłamał, będąc

najprawdomówniejszym i najszlachetniejszym

rycerzem swego czasu, który choćby go

strzałami rażono, nie

skalałby się żadnym kłamstwem. Z drugiej strony uważam, że opowiadał ją i przytaczał ze wszystkimi wymienionymi szczegółami i nie mógł w tak

Don Kichote - Miguel Cervantez

krótkim czasie wymyślić takiego ogromu niedorzecznosci; przeto jeśli ta przygoda wyda się nieautentyczna, nie ja ponoszę winę; nie rozstrzygając więc, czy jest fałszywa, czy prawdziwa, spisuję ją. Ty, rozważny czytelniku, osądź wedle twego uznania, ja tego

nie mogę ani nie muszę czynić; alisci uważa się za pewne, że przed swym skonem i śmiercią, jak mówią, Don Kichote odwołał to i przyznał, iż przygodę zmyślił, bo mu ona odpowiadała i stosowała się do przygód, o jakich czytał w powieściach.

Po czym zaraz autor tak dalej ciągnie:

Krewniak dziwował się zuchwałości Sanczo Pansy oraz cierpliwości jego pana, mniemając, że radość z widzenia pani Dulcynei z Toboso, choćby i zakletej, zrodziła w nim pobłaźliwość; gdyby bowiem tak nie było, słowa i przymówki Sancza zasługiwały na porządne zmłocenie kijami; zaiste bowiem zdawało mu się, że zbyt zuchwale sobie z panem poczynał, do tego zaś zwrócił się w ten sposób: - Ja, panie Don Kichocie z Manczy, uważam podróż z waszą miłością za najowocniejszą, bo czterech rzeczy mi przysporzyła. Po pierwsze, poznalem waszą miłość, co za wielkie szczęście poczytuję. Po drugie, dowiedziałem się, co zawiera

Grota Montesinosa oraz o przeistoczeniu Guadiany i Stawów Ruidery, a to posłuży mi do Owidiusza hiszpańskiego, którego opracowuję. Po trzecie, odkryłem starodawność kart do gry, bo co najmniej już za czasów cesarza Karola Wielkiego ich używano, jak mogłem wynioskować ze słów waszej miłości o tym, że Durandarte, ocknąłwszy się po długiej rozmowie z Montesinosem, wyrzekł: "Cierpliwości, mieszajmy karty!". Owyh słów i owego sposobu mówienia nie mógł nauczyć się w czasie zaklęcia, ale kiedy jeszcze bawił we Francji za czasów wspomnianego cesarza Karola Wielkiego. A ten sprawdzian nadaje mi się w sam raz do innej książki,

która piszę, a mianowicie do Przyczynku do Virgiliusza Polidora o wynalazkach starożytności; jestem przekonany, że on w swojej zapomniał zamieścić wynalazek kart, ja o tym teraz napiszę, co będzie miało wielkie znaczenie, osobliwie jeśli powołam się na świadka tak poważnego i tak wiarygodnego jak pan Durandarte. Po czwarte, dowiedziałem się z wszelką pewnością, gdzie jest źródło rzeki Guadiany, dotąd nieznane ludziom.

- Macie, waszmość, rację - rzekł Don Kichote - ale rad bym wiedzieć, o ile Bóg zdarzy wam łaskę i zdołacie uzyskać przywilej na druk owych książek (w co wątpię), komu je zamyślacie poświęcić.

- Nie braknie w Hiszpanii możliwych i grandów, którym mogą być dedykowane rzekł krewniak.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Nie tak wielu - odrzekł Don Kichote - nie dlatego, aby na to nie zasługiwali, ale że nie zechcą przyjąć tego, aby nie być zobowiązany do odpłaty

należnej 481 autorom za ich trud i grzeczność. Jednego znam księcia, który za wszystkich stanie, takimi zaletami obdarzonego, że gdybym odważył się je rozmawiać, obudziłbym zazdrość w niejednej szlachetnej piersi; ale zostawmy to na inny sposobniejszy czas, a teraz jedźmy poszukać noclegu.

- Niedaleko stąd - odpowiedział krewniak - znajduje się pustelnia zamieszkała przez pewnego pustelnika, który jak mówią, dawniej był żołnierzem. Uchodzi on za dobrego chrześcijanina, bardzo mądryego i litościwego w dodatku. Obok pustelni ma on mały domek, który wzniósł własnym trudem, ale chociaż mały, może gości pomieścić.

- A czy ten pustelnik ma może kury? - zapytał Sanczo.

- Prawie wszyscy pustelnicy trzymają kury - odpowiedział Don Kichote - dziś bowiem nie masz już takich, jacy żyli w pustyniach Egiptu, odziegali się w palmonowe liście i żywili korzonkami ziemnymi. Nie znaczy to, abym dobrze wyrażając się o tamtych, miał źle o tych mówić, chciałem tylko rzec, że surowość i umartwienie ówczesne były inne niż pokuty dzisiejsze, ale to nie znaczy, aby przez to pustelnicy

nie mieli być wszyscy cnotliwi; przynajmniej ja ich za takich uważam, a kiedy wszystko niewiele warte, mniej szkody przyniesie fałszywy świętoszek, który cnotliwego udaje, niż otwarty grzesznik.

Tymczasem ujrzał idącego ku nim człowieka, który pośpieszał, popędzając muła objuczonego dzidami i halabardami. Zbliżywszy się do nich, pozdrowił ich i dalej dążył. Don Kichote odezwał się doń:

- Zatrzymajcie się, poczciwce; zdaje mi się, że dążycie zbyt spiesznie jak dla tego muła.
- Nie mogę przystawać, panie - odpowiedział człowiek - bo ta broń, którą wiozę, jak widzicie, potrzebna będzie jutro i dla tego nie sposób mi się zatrzymać.

Z Bogiem! Ale gdybyście chcieli dowiedzieć się, dla kogo to wiozę, powiem, że myślę noc spędzić w gospodzie niedaleko pustelni; ażeżeli pojedziecie tą samą drogą, tam mnie znajdziecie, a opowiem wam cudeńka! Jeszcze raz z Bogiem! I popędził osła, nie zostawiając Don Kichotowi czasu na zapytanie, o jakich to cudeńkach zamierzał opowiadać; a jako ten był nieco ciekaw i zawsze dręczyło go pragnienie poznania rzeczy nowych, rozkazał natychmiast ruszyć, aby noc spędzić w zajeździe, nie docierając do pustelni, gdzie krewniak zamierzał się zatrzymać. Skoczyli przeto na

Don Kichote - Miguel Cervantez

siodła i wszyscy trzej udali się wprost do zajazdu, gdzie przybyli nieco przed zapadnięciem nocy. Krewniak radził Don Kichotowi dojechać do pustelnii, aby się czegoś napić. Ledwie to posłyszał Sanczo Pansa, od razu siwka

w tym kierunku zwrócił, a to samo uczynił Don Kichote i krewniak; ale pech Sancza sprawił, że pustelnika nie zastali w domu; tak im powiedziała pewna podpustelniczka, którą tam zastali. Zażądali wina najprzedniejszego; odpowiedziała im, że jej pan wina nie posiada, ale jeśli chcieli zwykłej wody, da im bardzo chętnie.

- Gdybym ja wody chciał - rzekł Sanczo - są przy drodze studnie, skąd bym jej zaczerpnął pod dostatkiem. Ach! Wesele Camacha i obfitości domu
Don Diega, ileż razy żałować was muszę!

Aluzja do hr. de Lemos. .. , .. 482

Wobec tego opuścili pustelnię i pośpieszyli do gospody, niebawem spotkali młodzieniaka, który przed nimi szedł wolnym krokiem, więc dogonili go. Niósł na ramieniu szpadę, do której przyczepiony był pakunek czy zawiniątko zawierające, jak się zdawało, odzież, prawdopodobnie spodnie, czyli szarawary, płaszcz długi bez kołnierza i kilka koszul; miał na sobie kaftan aksamitny z obszyciami atłasowymi; koszulę miał wyrzuconą; pończochy były jedwabne, a trzewiki czworokątne wedle dworskiej mody; mógł mieć osiemnaście lub dziewiętnaście lat; oblicza weso-

łego i żwawej postaci z wyglądu. Szedł, śpiewając segidillę, aby zabić nudę drogi. Kiedy się doń zbliżyli,kończył śpiewać jedną, którą krewniak zapamiętał, a brzmiała ona:

Na daleką wojenkę wiedzie potrzeba, Nie poszedłbym tam wcale, gdyby nie bieda.

Pierwszy zagadnął go Don Kichote, mówiąc:

- Lekko wybraliście się w drogę, waszmość piękny paniczu. I dokąd to? Chcielibyśmy wiedzieć, jeśli zapytać wolno.

Na to młodzian odpowiedział:

- Lekko podróuję, a powodem tego jest upał i ubóstwo, idę zaś teraz na wojnę.
- Jak to ubóstwo? - zapytał Don Kichote. - Bo że upał, to prawda.- Panie - odparł młodzian - w tym zawiniątku mam pludry aksamitne, całość do tego kabata; jeśli je zniszczę w drodze, nie będę mógł przyzwoicie pokazać się

w mieście, a nie mam za co kupić innych. I dlatego to idę w takim stroju, niby dla

Don Kichote - Miguel Cervantez

chłodu, póki nie dotrę do pewnej kompanii piechoty, która ma leżeć o dwanaście mil stąd. Chcę się tam zaciągnąć, a pewnie nie zbraknie taborów, abym z nimi dojechać mógł do miejsca załadowania, którym -jak mówią- ma być Cartagena. Wolę króla mieć za zwierzchnika i pana i służyć mu na wojnie aniżeli jakiemuś niedopankowi w stolicy.

- A może spodziewacie się waszmość jakiegoś wyższego żołdu? - zapytał krewniak.
- Gdybym był sługa jakiemuś grandowi Hiszpanii albo innej znakomitej osobistości - odpowiedział młodzieniec - na pewne byłbym coś uzyskał, bo tak się dzieje, kiedy się służy dobrze urodzonym: z izby czeladnej wychodzi się zwykle porucznikiem albo kapitanem, albo z jakimś dobrym uposażeniem; ale ja, nieborak, służyłem zawsze poławiaczom posad oraz oczajduszom, którzy tak źle służbę żywią i tak skąpo płacą, że nakrochmalenie kołnierza połowę wynagrodzenia zjadą; cud byłby, gdyby paź takich panów mógł cokolwiek wskórać.
- Ale na miłe życie, przyjacielu - zapytał Don Kichote - czyż możliwe, abyś służąc tak latami, nie zdołał sobie przynajmniej jakiejś barwy wysłużyć? - Dali mi dwie - odpowiedział paź - ale tak jak temu, który opuszcza jakiś klasztor przed złożeniem ślubów, odbierają szatki duchowne, a zwracają świeckie, tak i moi panowie ledwie skończyli swoje sprawy w stolicy i wracali do domu, odbierali mi moją barwę, którą mi dla wystawności dali. 483
- Wierutne sknerstwo, jak mówią Włosi - rzekł Don Kichote - ale mimo wszystko możecie sobie powinszować, żeście opuścili stolicę w tak zacnej intencji; nie masz bowiem na ziemi sprawy chwalebniejszej ani korzystniejszej jak najpierw służyć Bogu, a potem królowi i panu przyrodzonemu, osobliwie zaś w rzemiośle wojennym, przez które dochodzi się, jeżeli nie do wielkich bogactw, to przynajmniej

do większej sławy niż przez studia prawnicze, jak już tylekroć to wyraziłem; bo chociaż dzięki ustawodawstwu więcej majoratów ustanowiono piorem niż orężem, jednak orężem zdobyte mają coś wyższego w sobie od ustanowionych prawem i jakiś splendor je otacza, który je nad inne wywyższa. A to, co wam teraz powiem, zachowajcie w swej pamięci; będzie to dla was z wielką korzyścią i pomocą w waszych trudach: usuwajcie z wyobraźni waszej wszelkie niepomyślne zdarzenia, jakie

zajść mogą! bowiem najgorszym złem jest śmierć, zaś byleby ta była piękna, najlepiej byłoby umrzeć. Zapytano Juliusza Cezara, owego dzielnego cesarza rzymskiego, jaka jest najlepsza śmierć; odpowiedział, że niespodziewana, nagła i nieprzewidziana;

Don Kichote - Miguel Cervantez

a choć odpowiedział jako poganin, któremu obca jest znajomość prawdziwego Boga, jednak powiedział dobrze, wbrew zwykłemu ludzkiemu mniemaniu. Choćbyście zginęli w pierwszej potyczce i starciu, czy to od kuli armatniej, czy od wybuchu miny, nie ma to znaczenia! Byle tylko zginąć, i skończona sprawa; wedle Terencjusza snadziej przystoi żołnierzowi polec w bitwie niż żywym pozostać, ratując się ucieczką; a tym większą sławę zyskuje żołnierz, im bardziej swym dowódcom jest posłuszny oraz tym, którzy rozkazywać mu mają prawo. Zważcie, synu, że dobremu żołnierzowi milsza jest woń prochu niż piżmo, a gdy was starość w tym zaszczytnym

zawodzie zastanie, choćbyście byli ranami okryci i kaleką lub chromym, przecież nie zaskoczy was bez honoru, a wtedy nawet ubóstwo was nie pomniejszy; tym więcej że wydano już rozporządzenia, aby zaopatrzyć i zaopiekować się żołnierzami starymi i kalekami; bowiem nie Iza, aby ich tak traktowano, jak zwykli traktować panowie swych Murzynów, którym wracają wolność, kiedy ci są starzy i już niezdolni służyć; wyrzucając ich z domu jako wolnych, robią ich niewolnikami głodu, od którego jeno śmierć wyzwolić ich może. Dziś już nic więcej nie chcę wam powiedzieć, jeno wsiadajcie za mną na mego konia, aby dojechać do gospody, gdzie wieczerzać ze mną będącie, rankiem zaś udacie się w drogę, którąoby Bóg tak dobrą nadarzył, jak na to wasze zamysły zasługują. Paź jednak nie zgodził się wsiąść za lękiem, przyjął atoli zaproszenie na wieczerzę w gospodzie, a na to Sanczo zamruczał do siebie:

"A niech was Bóg ma w opiece! Czyż możliwe, aby człowiek, który tyle tak mądrych i zacnych rzeczy wypowiedzieć umie, jak ten tutaj, gadał, że widział te niemożliwe niedorzeczności w Jaskini Montesinosa? No trudno, trzeba się z tym pogodzić". Niebawem dojechali do karczmy, kiedy już zaczęło się zmierzchać, i ku zadowoleniu Sanczo pan jego uznał ją za prawdziwą gospodę, a nie za zamek jak zwykle. Jeszcze nie przestąpili progu, gdy Don Kichote zapytał karczmarza o człowieka z dzidami i halabardami; ten odpowiedział, iż znajduje się on w stajni, oporządzając swego muła. Tak samo ze swymi wierzchowcami postąpili krewniak i Sanczo, pozostawiając Rosynantowi najlepszy żłob i najlepsze miejsce w stajni. 484

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

gdzie zanotowana jest przygoda z rycerzem, zabawna przygoda z kuglarzem oraz pamiętne jasnowidzenia małpy wróżbiarki

Don Kichote mało się nie upiekł, jak to mówią, jak chleb z ciekawości, by dowiedzieć się o cudeńkach zapowiadanych przez człeka wiożącego broń. Poszedł go szukać

Don Kichote - Miguel Cervantez

tam, gdzie wedle wskazówek gospodarza miał go zastać, znalazł go i przynaglał, aby mu na wszelki wypadek natychmiast opowiedział, co mu później opowiedzieć zamierzał o sprawach, o które w drodze go pytał. Człowiek ten rzekł: - Tak nagle i na stojąco te cudeńka nie dadzą się opowiedzieć; pozwólcie mi, wasza miłość, panie mój dobry, abym mego muła opatrywać dokończył, a powiem wam rzeczy zadziwiające. - Jeśli o to chodzi - odpowiedział Don Kichote - pomogę wam we wszystkim. I od razu zabrał się do przesiewania obroku i oczyszczenia żłobu, a ta pokora skloniła owego człowieka do opowiedzenia chętnie historii, o którą go proszono; usiadł tedy na kamiennej ławie, Don Kichote obok niego, a za słuchaczy i senat mając krewniaka, pazia, Sanczo Pansę i karczmarza, zaczął swą opowieść w ten sposób: - Musicie, ichmość panowie, wiedzieć, iż w pewnej wiosce, o cztery i pół mili oddalonej od tej gospody, zdarzyło się, że tamtejszemu ławnikowi przepadł osioł; stało się to przez psotę i złośliwość dziewczki służebnej (siła by o tym mówić było), i choć ławnik wszelkich możliwych starań dokładał, aby go odnaleźć, na nic się to zdało. Minęły dwa tygodnie - wedle powszechnego głosu i opinii - od straty osła, kiedy do poszkodowanego ławnika przystąpił na placu drugi ławnik tej samej wsi mówiąc: "Dajcie mi napiwek, kumie, odnalazł się wasz osioł". "Przyrzekam go wam, i to suty, kumie - odpowiedział tamten - ale powiedzcie mi, gdzieście go widzieli?"

"Dziś rano w borze - odrzekł znalazca - bez terlicy i bez żadnej uprzęży, tak chude- go, że litość brała patrzeć. Chciałem go schwytać i przyprowadzić, ale tak zdziąał i taki stał się płochliwy, że zaledwie się zbliżyłem, uciekł w największą ustroń leśną.

Jeśli chcecie, abyśmy we dwóch poszli go szukać, pozwólcie mi tę oślicę do domu odprowadzić, zaraz powróczę". "Wielką mi zrobię przysługę - rzekł właściciel osła - a ja postaram się wam podobnie odpłacić". Z tymi wszystkimi szczegółami i w ten sam sposób jak wam opowiadam, opowiadają to wszyscy tego wypadku świadkowie. Tedy dwaj ławnicy, ręka w rękę, pieszo poszli w las i doszli do miejsca, gdzie

spodziewali się odnaleźć osła, ale nie znaleźli go ani tam, ani w całej okolicy, choć go szukali. Widząc, że śladu nie ma, rzekł ów ławnik, który go pierwej widział:

"Słu-

Don Kichote - Miguel Cervantez

chajcie, kumie, przyszedł mi na myśl dobry sposób, który nam bez wątpienia pozwoli odnaleźć osła, choćby się skrył w samych wnętrznościach ziemi, a nie tylko lasu; umiem bowiem wspaniale ryczeć, a jeśli i wy tak potrafficie, nasza sprawa załatwiona". "Czy potrafię, mówicie, kumie? - rzekł tamten. - Na Boga, nikt mnie w tym nie prześcignie, nawet same osły". "Zaraz to obaczmy - odpowiedział drugi ławnik - umyśliłem, że ja udam się w jedną stronę boru, a wy w drugą, tak że 485 okrążymy i przejdziemy cały i od czasu do

czasu zaryczycie wy i ja zaryczę, a musi osioł nas usłyszeć i odpowie, jeśli się w tym borze znajduje". Na to odpowiedział

właściciel osła: "Powiem, kumie, że sposób to doskonały i godny waszego wielkiego umysłu". I wedle tej umowy rozeszli się. Zdarzyło się, iż obaj naraz ryczeć za-częli i każdy, uwiedziony ryczeniem drugiego, pobiegł na poszukiwanie, myśląc, że już osioł się odnalazł; kiedy się ujrzał, rzekł poszkodowany:

"Czy to możliwe, kumie, aby to nie mój osioł ryczał?". "To tylko ja" - odpowiedział tamten.

"Teraz powiem - rzekł właściciel - że między wami a osłem nie ma żadnej różnicy, co się tyczy ryczenia, bowiem nigdy w życiu ani widziałem, ani słyszałem prawdziwego". "Te pochwały i schlebiania - odrzekł autor podstępu - raczej wam przynależą i was dotyczą aniżeli mnie, kumie; bo na Boga, który mię stworzył, o dwa ryki prze-

nosicie najlepszego mistrza w ryczeniu na świecie; głos macie donośny, wysokie tony dobrze odmierzone, przerwy liczne i szybkie, słowem uważałam się za zwyciężonego i wam oddaję palmę i sztandar tej rzadkiej umiejętności". "Powiem tedy odpowiedział właściciel - iż odtąd bardziej się szacować i uważać będę, przekonany, że coś niecoś umiem i że mam pewien talent; bo choć sądziłem, że ryczę dobrze, nie myślałem, że aż do takiej, jak mówicie, doskonałości doszedłem". "Ja też mówię - odrzekł tamten - że wiele jest zdolności na świecie straconych i zmarnowanych przez ludzi, którzy z nich korzystać nie umieją." "Nasze - odpowiedział właściciel osła - na nic by się nam nie zdały, chyba w podobnym wypadku jak obecny; daj Boże, aby teraz nam posłużyły". To powiedziawszy, znów się rozdzieliли i znowu zaczęli ryczeć, a co krok podobnie mylili się i zbiegali razem, aż umówili się, że dla rozpoznania, iż to oni, a nie osioł, będą ryczeć dwukrotnie, raz po razie.

Don Kichote - Miguel Cervantez

I tak, podwajając ryczenie za każdym razem, obeszli cały bór, ale zgubiony osioł ani razu im nie odpowiedział. Jakże bowiem mógłby im odpowiedzieć nieborak nieszczęsny, skoro go znaleźli w największej gęstwinie, pożartego przez wilki? Ujrzaw-

szy go, pan jego rzekł: "Dziwiło mię to już, że nam nie odpowiada, gdyby był żyw, już by dawno się odezwał, słysząc nas, albo nie byłby osłem; ale w zamian, kiedy słyszałem was, kumie, ryczącego tak wdzięcznie, nie żałuję trudu straconego na poszukiwanie, choć znalazłem go martwym". "W dobre ręce, kumie - odpowiedział tamten - bo jeśli dobrze śpiewa opat, braciszek nie pozostaje w tyle". Na to, niepotoczeni i zmęczeni, wrócili do wsi, gdzie opowiedzieli przyjaciołom, sąsiadom i znajomkom, co im się zdarzyło przy szukaniu osła, przy czym każdy wynosił talent drugiego w ryczeniu; rozniosła się ta wieś po wszystkich okolicznych wioskach; a diabeł, który nie śpi, ale lubi rozsiewać i wzniecać wszędzie, gdzie się uda, kłopotnie i niezgodę, roznosząc plewę z wiatrem i wielkie swary o byle co rozpalając, sprawił i nagodził, że mieszkańcy innych wsi, widząc jakiegoś człowieka

z naszej wioski, zaczynają zaraz ryczeć, rzucając mu w twarz naszych ławników. Wdali się w to i ulicznicy i było to, jakby w grę weszli wszyscy szatani z piekła; ryczenie tak

się rozszerzyło na wszystkie wioski, że mieszkańców wsi rozpoznaje się po ryku, jak rozróżnia się Murzynów od białych; i do takiego nieszczęścia ten żart doprowadził, że już nieraz wyszydzeni występowali zbrojnie w regularnych hufcach przeciw szydercom i dochodziło do bitwy; nie poradził na to ani król, ani wieża, ani strach,

ani wstyd. Myślę, że jutro albo pojutrze wyjdą w pole mieszkańcy naszej wsi, tej od 486

ryczenia, przeciw drugiej wiosce, o dwie mile odległej, bo ta nas najbardziej prześladuje; abyśmy tedy dobrze byli przygotowani, wiozę te zakupione dzidy i halabardy, które widzieliście. Oto owe cudeńka, jakie wam powiedzieć miałem, a choćby się takimi wam nie wydawały, ja o innych nie wiem.

Na tym zakończył swe opowiadanie poczciwiec, tymczasem w drzwi gospody wszedł człowiek odziany cały w koźle skóry, z których miał pludry, kabat, skórznie, i donośnym głosem rzekł:

- Panie gospodarzu, czy macie miejsce? Oto wiozę małpę wróżbiarkę i szopkę z uwolnieniem Melisendry.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Do diaska - rzekł gospodarz - wszak to mistrz Piotr! Dobry wieczór gotujesz dla nas.

Zapomniałem wam rzec, że ów mistrz Piotr miał lewe oko i prawie połowę policzka zakryte przepaską z zielonej tafty, dowód, że cała strona musiała być chora; gospodarz zaś ciągnął dalej:

- Witajcie waszmość, mistrzu Piotrze. Gdzie małpa i szopka, bo ich nie widzę?
- Już są blisko - odpowiedział koźloskóry -ja wysforowałem się naprzód, abywiedzieć, czy jest miejsce.
- Samemu księciu Albie bym odmówił, aby je wam, mistrzu Piotrze, ofiarować - odpowiedział karczmarz. - Niech tylko bywa małpa i szopka; tyle ludzi dzisiaj wieczór jest w gospodzie, zapłacą, aby oglądać widowisko i małpie sztuczki. - Doskonale - odrzekł człek z opaską- ceny

dam umiarkowane, zadowolę się tylko zwrotem kosztów; zawróczę, by przyśpieszyć wóz, który wiezie szopkę i małP?- I zaraz wyszedł z gospody.

Don Kichote jał wypytywać gospodarza, co to za mistrz Piotr i jaką to szopkę i małpę wozi. Na to odpowiedział karczmarz:

- Jest to znany kuglarz, od dawna już objeżdża Manczę Aragońską, pokazując szopkę z Uwolnieniem Melisendry, które dokonał słynny Don Gaiferos; jest to jedna z najlepszych i najlepiej wystawionych historii, jaką od wielu lat w tej części

królestwa oglądano. Wozi też z sobą małpę rzadkich zdolności, jakiej ani wśród małp nie widziano, ani ludzie wyobrazić są zdolni; bowiem jeśli ją kto o coś zapyta, pil- nie na pytanie zważy i zaraz wskakuje na plecy swego pana, a zbliżywszy się do jego ucha, szepce mu odpowiedź na owo pytanie, którą wnet mistrz Piotr powtarza; o wiele więcej mówi o przeszłości niż o przyszłości; a choć nie zawsze utrafi, prze- ważnie się nie myli; tak iż musimy podejrzewać, że diabeł w niej siedzi. Za każde pytanie, o ile małpa odpowie, to jest, chciałem rzec, jeśli jej pan za nią odpowie, kiedy mu nagada do ucha, pobiera dwa reale, tak że mistrz Piotr uchodzi za bardzo bogatego; jest to galant (jak mówią w Italii) i dobry kompan i żyje bardzo wygod- nie na świecie; gada za sześciu, pije za dwunastu, a wszystko to na koszt swego języka oraz swojej małpy i swej szopki. Tymczasem powrócił mistrz Piotr, a na wozie zajechała szopka i małpa wielka, bez ogona, o obrośniętych pośladkach, ale wcale miłym wyglądzie; ledwie ją

Don Kichote ujrzał, zapytał:

487 n - Powiedzcie mi wasza miłość, panie wróżko, jakie to ryby złowimy? Co się z nami stanie? Oto moje dwa reale.

Don Kichote - Miguel Cervantez

I kazał Sanczowi wypłacić je mistrzowi Piotrowi, który odpowiadając za małpę, rzekł:

- Panie, to zwierzę nie odpowiada ani nie zapowiada rzeczy przyszłych; wiecoś niecoś o przeszłości i niejedno o teraźniejszości.
- Na Rusa! - rzekł Sanczo. - Nie dam i dwóch groszy, żeby mi mówiło o tym, co się działo! Po co? Któź lepiej to może wiedzieć ode mnie, a płacić za to, o czym wiem, byłoby wielkim głupstwem; ale jeśli wie o tym, co się teraz dzieje, oto moje dwa reale, a powiedzcie mi, panie małpoludzie, co robi teraz moja żona Teresa Pansa i czym się zajmuje.

Nie chciał mistrz Piotr brać pieniędzy, mówiąc:

- Nie chcę brać pieniędzy z góry, zanim małpa na nie zasłuży.

I uderzył się dwakroć prawą ręką po lewym ramieniu; jednym skokiem małpa usiadła na nim i zbliżywszy wargi do ucha, jęła szybko kłapać zębami i kiedy tak nakłapała przez przeciag jednego Wierzę, jednym skokiem znalazła się na ziemi, a wtedy mistrz Piotr natychmiast runął na kolana przed Don Kichotem i obejmując mu nogi, rzekł:

- Obejmuję te nogi, tak jakbym obejmował dwie kolumny Herkulesa, o wskrzesicielu słynny zapomnianego już błędnego rycerstwa! O, nigdy dość niewysławiony rycerzu Don Kichocie z Manczy, odwago słabych, podporo upadających, ramieniu upadłych, ostoję i pociecho wszystkich nieszczęśliwych!

Don Kichote oniemiał, Sanczo zgłupiał, krewniak osłupiał, paź się przestraszył, ryczący otworzył gębę, zmieszał się karczmarz i w końcu wszyscy zadziwieni wysłuchali słów kuglarza, który dalej tak ciągnął:

- I ty, o cny Sanczo Pansa! Najlepszy giermku najlepszego rycerza na świeciewesel się; twoja dobra żona Teresa jest zdrowa i w tej chwili międli funt lnu, a chcesz-

li więcej wiedzieć: to ma ona po lewej ręce dzban wyszczerbiony z dobrą miarą wina, którym się w pracy swej pokrzepia.

- W to chętnie wierzę - odpowiedział Sanczo - to zapobiegliwa kobieta i gdyby nie była tak zazdrośna, nie zamieniłbym jej za olbrzymkę

Andandonę, która wedle mego pana, była niewiastą na schwał i co się zowie, a moja Teresa jest z tych, co lubią sobie dogadzać choćby i ze szkodą swoich spadkobierców.

- Powiem teraz - odezwał się na to Don Kichote - że kto wiele czyta i wiele podróżuje, ten wiele widzi i wiele się dowiaduje. Mówię to, bo czyż mógłby mieć kto przekonać, że istnieją na świecie małpy jasnowidze, jako teraz na własne oczy

Don Kichote - Miguel Cervantez

oglądam? Jestem bowiem istotnie Don Kichotem z Manczy, jak to zwierzę poczciwe rzekło, chociaż zbytnio się w pochwałach dla mnie rozwiodło; ale jaki tam jestem, niebu dziękuję, że mię obdarzyło usposobieniem łagodnym i litościwym, gotowym zawsze dobrze czynić wszystkim, a nikomu nie szkodzić.

- Gdybym miał pieniądze, rzekł paź - zapytałbym pani małpy, co mię spotkało mojej podróży. Na to odpowiedział mistrz Piotr, który już powstał od stóp Don Kichota:

488

- Już powiedziałem, że ta bestyjka nie przepowiada przyszłości; gdyby odpowiedzieć mogła, nic by tu nie znaczyło, czy są pieniądze, czy nie, bo dla usług pana

Don Kichota nie dbałbym o żadną zapłatę. A teraz, jak mu się należy i dla jego przyjemności, chcę ustawić mą szopkę i widowisko dać ku ucieście wszystkich obecnych w gospodzie za darmo.

Usłyszałszy to, gospodarz, uradowany nad miarę, wyznaczył miejsce, gdzie można było ustawić szopkę, co w momencie zostało zrobione.

Don Kichote nie był zbyt zadowolony z wróżenia małpy, nie wydawało mu się godziwe, aby małpa przepowiadała czy to rzeczy przyszłe, czy też minione, i podczas, kiedy mistrz Piotr ustawał szopkę, Don Kichote usunął się na bok z Sanczem w kąt stajni i pewny, że nikt go nie słyszy, rzekł: - Słuchaj, Sanczo, rozważyłem dobrze niezwykłą sprawność tej małpy i doszedłem do przekonania, że bez ochyby ów mistrz Piotr, jej pan, musi mieć tajny i formalny pakt z diabłem.

- Jeżeli pacht jest feralny i diabelski - rzekł Sanczo - będzie to brudny pacht; ale na cóż byłyby temu mistrzowi Piotrowi wszystkie te pachty? - Nie rozumiesz mię, Sanczo; chciałem rzec, że musi mieć jakąś umowę z diabłem, aby ten przelewał ową zdolność na małpę, dzięki której zarabia na życie, a kiedy się wzbogaci, odda mu duszę, do czego ten wróg powszechnie dąży. A naprowadza mię na to, że małpa odpowiada tylko w sprawach przeszłych lub obecnych, bowiem wiedza diabła nie sięga dalej; rzeczy przyszłych może się jeno domyślać, i to nie zawsze; jedynie Bogu zachowana jest wiadomość o wszystkich wiekach i chwilach i dla Niego nie masz przeszłości ni przyszłości, wszystko jest teraźniejszością. A jeśli tak się rzeczy mają, jasne jest, że owa małpa przemawia

Don Kichote - Miguel Cervantez

językiem diabelskim; jestem pełen zdziwienia, iż nie oskarżono jej przed Świętą Inkwizycją, aby ją zbadała i doszła jawnie, czyją mocą wróży, bowiem pewne jest, że owa małpa nie jest astrologiem i ani jej pan, ani ona nie potrafią nakreślić horoskopów, owych figur zwanych gwiaźdzarskimi, tak dziś w użyciu w Hiszpanii, że nie masz kobiecinki ani pazia, ani łatacza starzyzny, którzy by nie uważali, że po-

trafią horoskop wyciągnąć, jakby chodziło o podniesienie z ziemi waleta karcianego, przyczyniając się przez swe łgarstwa i nieuctwo do zatraty cudownej prawdziwości tej wiedzy. Znam pewną panią, która pytała jednego z owych gwiaździarzy, czyjej malutka, "kieszonkowa" suczka oszczeni się i urodzi, wiele i jakich maści będzie miała szczenięta. Na to ów mistrz astrolog, wyciągnawszy horoskop, odpowiedział, że suczka oszczeni się i porodzi trzy pieski, z których jeden będzie zielo-

ny, drugi czerwony, a trzeci mieszanej maści, pod warunkiem, że pocznie między godziną jedenastą a dwunastą w nocy czy we dniu w jakiś poniedziałek czy sobotę. Zdarzyło się, że po dwóch dniach suczka zdechła z niestrawności, jednak ów acan od horoskopu niemniej zyskał w tej miejscowości opinię najlepszego astrologa, jaką zwykle się cieszą wszyscy jemu podobni.

- Mimo wszystko chciałbym - rzekł Sanczo - aby jegomość zapytał mistrza Piotra i jego małpę, czy prawdą jest, co się waszej miłości w Jaskini Montesinosa zdarzyło; bo co do mnie, mniemam, z przeproszeniem jegomości, że to wszystko złudzenie i łgarstwo, a co najmniej senna mara. 489

- Wszystko to być może - odpowiedział Don Kichote - ale uczynię, jak miradzisz, choć - nie wiem jaki - skrupuł mię wstrzymuje.

Tymczasem zbliżył się mistrz Piotr, który szukał Don Kichota, i oznajmił mu, że szopka już ustawniona; prosił, aby jego miłość raczył ją oglądnąć, bo tego warta. Don Kichote powierzył mu swą wątpliwość i prosił, aby zapytał zaraz małpy, niech ona powie, czy pewne rzeczy, jakie zaszły w Jaskini Montesinosa, były snem czy prawdą; mają bowiem coś ze snu i zjawy. Na to mistrz Piotr, nie odpowiadając ni słowa, poszedł po małpę i postawiwszy ją przed Don Kichotem i Sanczem, rzekł: - Słuchaj, pani małpo, ten rycerz pragnie wiedzieć, czy pewne rzeczy, jakie zdarzyły się w Jaskini Montesinosa, były fałszywe czy prawdziwe. Na umówiony znak małpa wskoczyła mu na lewe ramię i do ucha mu rzekomo szeptała, mistrz Piotr zaraz oznajmił:

- Małpa powiada, że część rzeczy, jakie wasza miłość w owej grocie widzieliście czy przeżyliście, jest fałszywa, a część prawdopodobna; wie tylko tyle i nic

Don Kichote - Miguel Cervantez

więcej odpowiedzieć nie umie na to pytanie; a jeśli wasza miłość zechce wiedzieć więcej, w przyszły piątek odpowie na wszystko, o co ją pytać będą; na teraz atoli opuściła ją moc i nie odzyszcze jej aż do piątku, jak wyżej rzekła. - Czyż nie powiedziałem - rzekł Sanczo - że nikt mi nie wmówi, iż wszystko, co jegomość, panie mój, opowiadałiście o wypadkach w tej jaskini, jest prawdą, nawet i połowy prawdy w tym nie ma.

- Wypadki to okażą, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - czas odkrywawszelkie rzeczy i każdą bez wyjątku na jaśń słońca wywodzi, choćby była ukryta w łonie ziemi. Na teraz dosyć, chodźmy zobaczyć szopkę zacnego mistrza Piotra, bo widzi mi się, że musi to być coś nowego.
- Jak to coś? - odpowiedział mistrz Piotr - sześćdziesiąt tysięcy nowości mojaszopka zawiera; powiem, wasza miłość, panie Don Kichocie mój, że jest to jedna z rzeczy najbardziej godnych dziś widzenia w świecie, lecz *operibus credite et non verbis*. Do dzieła! Robi się późno, a mamy dużo do powiedzenia i do pokazania. Posłuchali go Don Kichote i Sanczo i poszli, gdzie już była szopka ustawiona i odkryta. Oświetlało ją ze wszystkich stron mnóstwo świec woskowych zapalonych, które dodawały jej blasku i wspaniałości. Mistrz Piotr zaraz wszedł do wnętrza, bo on to miał poruszać kukiełki, a na przedzie stanął młodzienaszek, pachołek mistrza Piotra, aby tłumaczyć i objaśniać tajniki widowiska; w ręku miał laseczkę, którą pokazywał wychodzące kukły.

Kiedy wszyscy obecni w zajeździe umieścili się przed szopką, jedni siedząco, drudzy stojąco, zachowując najlepsze miejsca dla Don Kichota, Sancza, pazia i krewniaka, objaśniacz zaczął mówić to, co usłyszy i zobaczy, kto słuchać będzie lub czytać rozdział następny. 1 Wierzcie uczynkom, a nie słowom (łac, Ewang. św. Jana, X, 38). 490

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

zawiera dalszy ciąg uciecznej
przygody z kuglarzem oraz inne
zaiste zabawne rzeczy

Zamilkli wszyscy Tyryjczycy i Trojanie, chcę rzec, wszyscy przypatrujący się widowisku, zawiśli na ustach zwiastuna jego cudowności, kiedy w szopce rozległo się nagle bicie bębnów, dzwonienie trąb i grać zaczęła liczna artyleria; wkrótce ten hałas zamilkł, a głos podniósł chłopak, mówiąc:

- Ta prawdziwa historia, którą waszym miłościom przedstawiamy, wzięta jestdosłownie z kronik francuskich i z romanc hiszpańskich, które z ust do ust przecho-

Don Kichote - Miguel Cervantez

dzą znane wszystkim, nawet małym ulicznikom. Opowiada ona o uwolnieniu Melisendry przez jej mażonka Don Gaiferosa. Była ona więziona przez Maurów w Hiszpanii, w mieście Sansuena, tak bowiem zwała się wówczas dzisiejsza Saragossa; widzą tu, ichmość panowie, jak gra w szachy Don Gaiferos, zgodnie ze słowami pieśni:

- Oto spokojnie gra Don Gaiter w szachy, Jakby zapomniał już o Melisendrze.

Ta postać, która się tam podnosi w koronie na głowie i z berłem w ręku, to cesarz Karol Wielki, domniemany ojciec owej Melisendry; rozgniewany na opieszałość i beztroskę zięcia przychodzi go zgromić, zważcie, z jaką gwałtownością i ogniem go łąje; zdawałoby się, że chciałby mu berłem pół tuzina razów wymierzyć, a nawet niektórzy autorowie mówią, że go obiły, i to porządnie; wyrzuca mu, że na wielki szwank naraża swoją cześć, nie starając się o uwolnienie mażonki, i tak podobno kończy:

Dość powiedziałem, dobrze to rozważcie.

Patrzcie, waszmość państwo, jak się cesarz plecyma do niego odwraca, pozostawiając Don Gaiferosa rozżalonego; jak ten rozsierdzony, pałając gniewem, zrywa się, precz

od siebie odrzuca stół i szachownicę, o broń co rychlej woła; krewniaka swego Rolanda prosi o użyczenie mu miecza Durandany, Roland nie chce mu go pożyczyć, lecz ofiarowuje swą pomoc w trudnej wyprawie, jednak śmiałek, rozgniewany, nie chce jej przyjąć; powiada, że sam wystarczy, by uwolnić mażonkę, choćby była ukryta w samym wnętrzu ziemi; natychmiast zbroi się, by wyruszyć w drogę. Obróccie, waszmościowie, oczy na ową wieżę, która tam się ukazuje; przypuszczamy, że jest to jedna z wież zamku Saragossy, obecnie Aljaferią zwana; a ta pani, która zjawia się na balkonie w mauretańskim stroju, jest nieporównaną Melisendrą;

nieraz ona stamtąd spoglądała na drogę ku Francji i wyobraźnią przenosząc się do Paryża, do mażonka swego, pocieszała się w swej niewoli. Patrzcie teraz na nową 491 scenę, jakiej nigdy może oczy wasze nie oglądały. Czy widzicie owego Maura, który nieznacznie, cichcem, z palcem na ustach, skrada się za plecyma Melisendry? Potem, patrzcie, w same usta ją całuje, z jakim wstrętem ona spluwa i ociera sobie wargi białym rękawem koszuli, jak lamentuje i z rozpaczliwą wlosy piękne wyrywa, jakby to one winne były tej zniewagi. Popatrzcie również na owego

poważnego Maura, który na tamtym krużganku stoi, to jest król Marsyll z Sansueny; ten, skoro

dostrzegł bezczelność owego Maura, choć to był jego krewniak i ulubieniec wielki, natychmiast każe go pojmać i wymierzyć mu dwieście batów, oprowadzając po mieście zwyczajowym szlakiem skazańców:

Obwoływacze przodem, Siepacze idą z tyłu.

Oto widzicie, już wychodzą, aby wykonać wyrok, choć zaledwie przed chwilą wystąpek był popełniony; bowiem u Maurów nie masz przesłuchania świadków ani śledztwa, ani przetrzymania jak u nas.

- Dzieciaku, dzieciaku! - zawała na to głośno Don Kichote - opowiadaj twą historię po prostej linii, a nie wedle okrężnych i przekątni; aby prawdy dowieść, trzeba licznych dowodów za i przeciw.

Na to odezwał się mistrz Piotr ze środka szopki:

- Chłopcze, nie wchodź w drobiazgi, ale czyń, co ci ten pan każe, to będą najlepiej; ciągnij śpiew jednym głosem i nie dbaj o kontrapunkt, byś nie rozbił się o subtelności.

- Niech ta - odpowiedział chłopak i ciągnął tak dalej:

- Ta postać, która teraz ukazuje się na koniu, okryta gaskońskim płaszczem, tosam Don Gaiferos; tutaj jego małżonka, już pomyczona za zuchwałstwo zakochanego Maura, z twarzą pogodniejszą i spokojniejszą wstąpiła na balkon wieży i rozmawia ze swym mężem, biorąc go za przechodnia, a wszystkie te rozmowy i słowa zgodne są zową romaną, która mówi: Rycerzu, idąc ku Francji, O Don Gaifera zapytaj.

Nie powtarzam jej teraz, bowiem z rozwlekłości zwykła rodzić się nuda; dość wiedzieć, jak Don Gaiferos daje się poznać i jak z radosnego zachowania się Melisendry możemy wnosić, iż go poznała, co więcej, widzimy, jak spuszcza się z balkonu, aby wskoczyć na konia miłego małżonka. Lecz biada! Nieszczęśliwa zaczepiła fałdem szaty o sztabę ganku i zawisła w powietrzu, nie mogąc dosiągnąć ziemi. Ale spójrzcie, jak litościwe niebo wspomaga w największych potrzebach; zbliża się oto Don Gaiferos i nie zważając, że kosztowna spódnica się podrze, chwyta żonę i z wiel-

kim trudem ściąga ją na ziemię. Natychmiast jednym zamachem sadza ją na konia okrakiem, jak mężczyznę, i nakazuje jej trzymać się mocno,

Don Kichote - Miguel Cervantez

objąć go ramionami i skrzyżować mu ręce na piersi, aby nie zleciała, nie była bowiem pani

Melisendra

Saraceński władca Saragossy zwyciężony przez

Karola Wielkiego w Pieśni o Rolandzie. 492

zwyczajna podobnej jazdy. Zważcie, jak koń

rżeniem swoim okazuje radość, że niesie

taki dzielny i piękny ciężar: swego pana i panią swoją. Patrzcie, jak zawracają i wyjeżdżają z miasta, weseli i szczęśliwi, drogą ku Paryżowi. Jedźcie w pokoju, o nieporównani, prawdziwi kochankowie! Dotrzyjcie zdrowo do waszej upragnionej ojczyzny, a los niech waszej szczęśliwej podróży przeszkód nie stawia! Niech oczy waszych przyjaciół i krewnych oglądają, jak pędzicie w spokojnym szczęściu dni (oby nestorowym podobne), które wam jeszcze pozostają do życia.

Tu znów podniósł głos mistrz Piotr i rzekł:

- Powoli, chłopcze, nie wzlatuj tak wysoko, wszelka przesada jest zła. Nic nato nie odrzekł objaśniacz, ale ciągnął dalej w ten sposób: - Nie brakło jednak próżniaczych oczu, które zwykły podpatrywać wszystko, dostrzegły przeto spuszczenie się Melisendry i jej ucieczkę; zaraz o tym powiadomiono króla Marsyla, a ten natychmiast kazał porwać za broń; patrzcie na ten pośpiech, już miasto drży od dźwięku dzwonów, które na wszystkich wieżach meczetów się rozdzwoniły.

- Co to, to nie! - wtrącił nagle Don Kichote - co do dzwonów, to wielka nieścisłość, mistrzu Piotrze, bowiem u Maurów nie używają dzwonów, jeno kotłów i krzywuł podobnych naszym obojom; przeto owo bicie w dzwony w Sansuenie jest ani chybi wielką niedorzecznością.

Usłyszawszy to, mistrz Piotr zaprzestał dzwonienia i rzekł:

- Nie zważajcie na drobiazgi, panie Don Kichocie, ani nie żądajcie doskonałości, jakiej osiągnąć trudno. Zali tu nie wystawia się zazwyczaj tysiąca komedii pełnych tysiąca niewłaściwości i niedorzeczości, a mimo to mają największe powodzenie i słuchają ich wszyscy nie tylko z uznaniem, ale i z podziwem? Mów dalej,

chłopcze, i kończ; bylebym tylko napełnił kiesę, cóż mi szkodzi przedstawiać więcej niewłaściwości, niż słońce ma atomów. - I to prawda - odparł Don Kichote.

A chłopak mówił:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Uważajcie, jaka to liczna i świetna jazda wychodzi z miasta w pościgu zadwojgiem katolickich kochanków, ile trąb gra, ile obojów dźwięczy, ile bębnów i kotłów huczy. Obawiam się, aby ich nie dopędzili i nie przywiedli z powrotem, przywiązanego do ogona własnego konia; byłby to przerażający widok. Don Kichote, widząc takie mrowie Maurów i słysząc taką wrzawę, uznał, że powinien przyjść z pomocą dwojgu uciekającym, i zerwawszy się na nogi, zawałał donośnym głosem:

- Nie zgodzę się, by za moich czasów i w mej obecności mógł się działać takigwałt równie słynnemu rycerzowi i śmiałemu kochankowi jak Don Gaiferos. Zatrzymajcie się, plugawa hałastro! Nie ścigajcie go ani nie prześladowajcie! Inaczej ze mną będącie mieli rozprawę.

Jak rzekł, tak zrobił, wyciągnął miecz i jednym zamachem doskoczył do szopki, z nagłą i niezwykłą furią zaczął siec gęsto kukiełki mauretańskiej ciżby, przewracając jedne, ścinając głowy drugim, kalecząc te, gruchocąc tamte, a między innymi taki cios zadał, że gdyby się był mistrz Piotr nie pochylił, nie odskoczył i nie przy-

cupnął, jeśli mu był głowę tak łatwo, jakby była z marcepanu. Mistrz Piotr zaczął krzyczeć: 493

- Powstrzymajcie się, wasza miłość, panie Don Kichocie, i zważcie, że ci, których łamiecie i zabijacie, to nie prawdziwi Maurowie, ale figurynki z masy papierowej. Zważcie, o ja nieszczęsny, że niszczycie mię i pozbawiacie całego mienia! Ale Don Kichote mimo to nie przestawał rozdawać oburacz ciosów, cięć, sztychów i płazowań, które padały jak deszcz. Wreszcie w dwa pacierze rzucił całą szop-

kę na ziemię, porąbał i połamał w kawałki wszystkie jej dekoracje i kukły; król Marsyl został ciężko ranny, cesarz Karol Wielki miał koronę i głowę rozplataną na dwoje. Strapiła się cała widownia, małpa uciekła na dach zajazdu, przeraził się krewniak,

paź struchlał, ba, nawet Sanczo Pansę ogarnęło wielkie przerażenie, bowiem jak przysięgał po przejściu tej burzy, nigdy nie widział swego pana w tak nieprzytom-

nej wściekłości. Zniszczywszy do szczetu szopkę, uspokoił się nieco Don Kichote i przemówił:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Chciałbym mieć tutaj przed sobą wszystkich tych, którzy nie wierzą ani niechcą wierzyć, jak pozyteczni są na świecie błędni rycerze. Patrzcie, gdybym tu nie był obecny, co by się stało z zacnym Don Gaiferosem i z piękną Melisendrą; na pewne byłyby ich do tej pory dopadły te psy i na pohańbienie przywiodły. A więc, niechaj żyje błędne rycerstwo ponad wszystko na ziemi.
- Niech sobie żyje - jęknał na to słabiutkim głosem mistrz Piotr - a ja niechajumrę, jestem bowiem tak nieszczęśliwy, że mogę wraz z królem Rodrygiem rzec:
Wczoraj byłem król Hiszpanii, , . !
Dzisiaj ani jedna wieża ..
Nie została w moich rękach!

Nie masz i pół godziny, nawet i pół chwili, widziałem się panem królów i cesarzy, pełne stajnie miałem koni, kufry i wory niezliczonych strojów, a teraz oto widzę się nieszczęsnym, przybitym, ubogim i żebrawiakiem, a przede wszystkim pozbawionym małpy i napoczę się pozęby, zanim ją odzyskam; a wszystko to przez nierozważną furię tego pana rycerza, który opowiada, że popiera sieroty, prostuje błędy i spełnia różne inne czyny litościwe. Czemuż tylko dla mnie zabrakło mu szlachetnego zamiaru. Niech będą błogosławione i pochwalone nieba, gdzie najwyższe istoty mają swe siedziby, snadź Rycerz Smętnego Oblicza musiał być w końcu tym, który porąbał oblicza moich kukieł.

Rozrzewniły Sanczo Pansę słowa mistrza Piotra, więc rzekł:

- Nie płaczcie, mistrzu Piotrze, nie lamentujcie, bo mi serce pęknie; bowiemmuszę wam rzec, że mój pan Don Kichote jest takim dobrym katolikiem i tak sumiennym chrześcijaninem, że jeśli sobie zda sprawę, że wyrządził wam krzywdę, potrafi i zechce wypłacić i wynagrodzić wam z nawiązką. - Gdyby mi pan Don Kichote zapłacił choćby część za owe kukły, które zepsował, byłbym zadowolony, a jego miłość uspokoiłby swe sumienie; nie może być bowiem zbawion, kto sobie cudze wbrew woli właściciela przywłaszcza i nie zwraca.
- Tak jest - rzekł Don Kichote - ale dotąd nie wiem o tym, abym co waszego zabrał, mistrzu Piotrze. 494
- Jak to nie? - odpowiedział mistrz Piotr. - A te szczątki rozrzucone po twardej, jałowej ziemi, który je roztrącił i wyniszczył, jak nie siła niezwyciężonego tego potężnego ramienia? A czyżeż były te trupki, jak nie moje? I z czegoż się utrzymywałem, jak nie dzięki nim?

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Teraz ostatecznie uwierzyłem - rzekł na to Don Kichote - co mi już tylekroć przychodziło na myśl, że owi czarnoksiężnicy, którzy mię prześladują stale, stawia-

ją mi przed oczy rzeczy w ich istotnej postaci, a później je zmieniają i przeobrażają, jak chcą. Rzetельnie i prawdziwie mówię wam, panowie, którzy mię słuchacie, wierzyłem, że wszystko, co się tutaj działo, działo się naprawdę: że Melisendra była Melisendrą, Don Gaiferos Don Gaferosem, Marsyl Marsylem, Karol Wielki Karolem Wielkim, i dlatego taki mię gniew wyburzył; przeto aby wypełnić moją powinność błędnego rycerza, chciałem nieść pomoc i wsparcie uciekającym i z tym dobrym zamiarem uczyniłem, coście widzieli; a jeśli wszystko na wspanak poszło, nie moja wina, ale tych złych, co mię prześladują; mimo że błąd mój nie pochodził ze złości, chcę sam skazać się na pokrycie kosztów: niech mistrz Piotr oceni, co chce za zniszczone kukiełki, ja zaś gotów jestem zapłacić, nie mieszkając, w dobrej obiegowej monecie kastylskiej.

Mistrz Piotr ukłonił się, mówiąc:

- Nie mniej się spodziewałem po niesłychanej sumienności dzielnego DonKichota z Manczy, który jest prawdziwą podporą i pomocą wszystkich potrzebujących oraz nieszczęsnego tułaczy; oto, panowie, karczmarz i wielki Sanczo niechaj będą pośrednikami pomiędzy waszą miłością a mną i oszacują, wiele były warte, czy mogły być warte zniszczone kukiełki.

Gospodarz i Sanczo zgodzili się na to, a mistrz Piotr podniósł zaraz z ziemi króla Marsyla z Saragossy bez głowy i rzekł:

- Widać od razu, że niemożliwością jest tego króla do pierwotnego stanu przywrócić i moim zdaniem, chyba że ktoś lepiej osądzi, należy mi się za jego śmierć, koniec i zniszczenie cztery i pół reala. - Dalej - rzekł Don Kichote.
- Tedy za owo rozdarcie od góry do dołu - ciągnął dalej mistrz Piotr biorąc doręki rozpłatanego cesarza Karola Wielkiego - nie będzie zbyt wiele, jeśli zażadam pięć i ćwierć reala.
- To nie jest mało - zauważył Sanczo.
- Ale i niewiele - odparł gospodarz - weźmy pośrednio i ustanówmy pięć reali. - Dać mu całych pięć i ćwierć - rzekł Don Kichote - ta ćwierć mniej lub więcej nie stanowi o wysokości tej poważnej straty; i kończcie żywo, mistrzu Piotrze, czas już wieczerzać i ja już odczuwam dreszcz głodu.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Za tę kukłę - rzekł mistrz Piotr - bez nosa i bez jednego oka, która jest kukłą pięknej Melisendry, żądam i uważam, że słusznie, dwa reale i dwanaście marawedi. - Czyżby i tu wmieształ się diabeł - rzekł Don Kichote - jakby Melisendra ze swoim małżonkiem nie była już co najmniej u granic Francji; bowiem koń, na którym jechali, wydawał mi się raczej latać niż jechać i nikt mi tu kota za zająca nie

sprzedza, pokazując Melisendrę bez nosa, która wam w ręce wpadła, kiedy tamta teraz we Francji ze swoim mężem raduje się na całego. Niech Bóg każdemu daje, co mu się należy, panie mistrzu Piotrze, my postępujmy prosto i uczciwie. Dalej!

495

Mistrz Piotr, widząc, że Don Kichote już bredzi i wraca do poprzedniego przedmiotu, nie chciał, aby mu się wywinął, rzekł przeto:

- To nie musi być Melisendra, ale któraś z jej dworek: przeto zadowolę się zupełnie sześćdziesięcioma marawedi za nią.

W ten sposób ustalono ceny wielu innych zniszczonych kukiełek, które dwaj sędziowie nieco obniżyli ku zadowoleniu obu stron; całość doszła do czterdziestu i trzech czwarty reala; Sanczo natychmiast sumę wypłacił, ale mistrz Piotr zażądał ponadto dwóch reali za trud w schwytaniu małpy. - Daj mu je, Sanczo - rzekł Don Kichote - nie tyle na małpę, ile na kieliszek; a teraz dałbym i dwieście reali napiwku, gdyby mi ktoś powiedział na pewne, że jejmość Doña Melisendra i pan Don Gaiferos są już we Francji pomiędzy swoimi. - Nikt nam tego lepiej nie mógłby powiedzieć niż moja małpa - rzekł mistrz Piotr - ale jaki tam diabeł teraz ją schwytą, choć myślę, że przywiązanie i głód zmuszą ją do poszukania mię tej nocy. Bóg da dzień i zobaczymy się.

Tak tedy burza teatralna przeszła i wszyscy wieczerzali w pokoju i w miłej zgodzie na koszt Don Kichota, który był niesłychanie hojny.

Przed świtem odjechał człek z dzidami i halabardami, a kiedy zadniało, przyszli krewniak i paź pożegnać Don Kichota; jeden, aby powrócić do domu, drugi, by ruszyć w dalszą drogę, na którą wspomogł go Don Kichote dwunastoma realami. Mistrz Piotr nie chciał już więcej zadawać się z Don

Kichotem, którego znał dosko-

nale, więc zerwał się przed świtem i pozbierał resztki swej szopki i swą małpę, udał się na dalsze przygody. Gospodarz, który Don Kichota nie znał, podziwiał zarówno jego szaleństwo, jak jego szczodrość. Na koniec Sanczo zapłacił mu hojnie

Don Kichote - Miguel Cervantez

na rozkaz swego pana i pożegnawszy go około ósmej rano, opuścili zajazd ruszając w drogę, którą niech sobie jadą; zostawimy

ich, aby opowiedzieć inne sprawy, konieczne dla zrozumienia tej słynnej historii.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

gdzie opowiada się, kim był mistrz Piotr i jego małpa, oraz o złym dla Don Kichota wyniku przygody z ryczeniem, której nie zakończył tak, jakby był sobie życzył ani jak zamysłał

Idi Hamet, kronikarz tej wielkiej historii, tymi słowami rozpoczyna ten rozdział:

Przysięgam jak chrześcijanin i katolik, zaś jego tłumacz wyjaśnia, że przysięga Sidi Hameta, jakoby był chrześcijaninem i katolikiem, podczas gdy bez żadnej wątpliwości był Maurem, nic innego nie oznacza, jak tylko, że tak jak chrześcijanin katolik, kiedy składa przysięgę - przysięga czy też powinien przysięgać, że powie prawdę i prawdę mówi - tak i on, przysięgając , jak chrześcijanin katolik", chce 496

powiedzieć prawdę o Don Kichocie, a w szczególności opowiadając, kim był mistrz Piotr i jaką to małpę jasnowidzącą woził, która wszystkie wioski okoliczne wprawiała w podziw swoimi zgadywaniami.

Mówi dalej, że kto Część pierwszą tej historii czytał, przypomni pewnie sobie owego Ginesa de Pasamonte, którego wraz z innymi galernikami uwolnił Don Kichote w Sierra Morena, za które to dobrodzieszcza owa hołota złośliwa i przewrot- na odpłaciła mu niewdzięcznością i niegodziwością. Ten Gines de Pasamonte, przezwany przez Don Kichota Ginesillem de Parapilla, był tym, który ukradł siwka San-

cko Pansy, a jako w Części pierwszej nie nadmieniono ani jak, ani kiedy się to stało, a to z winy drukarzy, było to przyczyną, że wielu czytelników ten błąd drukarski przypisywało brakowi pamięci autora. Jednym słowem, Gines skradł osła w czasie, kiedy Sanczo Pansa spał, a uczynił to w ten sam sposób, jakiego użył Brunelo, kiedy pod Albraką Sakrypantowi wyciągnął konia spomiędzy nóg. Już opowiadaliśmy, jak go Sanczo odzyskał. Ten Gines, lękając się pochwycenia przez sprawiedliwość, która go poszukiwała, by go ukarać za niezliczone łotrostwa i przestępstwa, których było tyle i takich, że on sam im wielki tom poświęcił, postanowił przedostać się do królestwa Aragonii i zakrywszy sobie lewe oko, obrał zawód kuglarza, do tego bowiem miał nadzwyczajną zręczność w rękach. Następnie od pewnych chrześcijan wyzwoleniec, wracających z Berberii, kupił ową małpę, którą nauczył na dany znak skakać sobie na ramię i niby coś szeptać mu do ucha. To uczyniwszy, zanim wkroczył

Don Kichote - Miguel Cervantez

do jakiejś miejscowości ze swoją szopką i małpą, dowiadywał się w pobliżu, czy od kogo się dało, najdokładniej, co szczególnego zdarzyło się w owej wiosce czy danym osobom; wrażwszy to sobie w pamięć, najpierw pokazywał szopkę, przedstawiając raz jedną historię, a raz drugą; ale wszystkie wesołe, pogodne i powszechnie znane. Po przedstawieniu zachwalał zdolności małpy, opowiadając ludkowi, że odgaduje ona wszelkie rzeczy przeszłe i teraźniejsze, ale w rzeczach przyszłych nie jest biegła. Za każdą odpowiedź żądał dwóch reali, czasem cenę obniżał, zależnie od możliwości pytających, a jako nieraz zatrzymywał się w domach ludzi, których sprawy były mu znane, choć go nawet nie pytali, nie chcąc pła-

cić, dawał znak małpie i zaraz oznajmiał, że powiedziała mu to i owo, co rzeczywiście było się zdarzyło. W ten sposób zyskał niebywałe zaufanie i wszyscy za nim łazili. Kiedy indziej, będąc bardzo bystrem, odpowiadał w ten sposób, że odpowiedzi zgadzały się z pytaniem; a ponieważ nikt nie dochodził ani go nie nagabywał, w jaki sposób małpa może zgadywać, wszystkich wystrychnął na dudka i napełniał mieszek. Wszedłszy przeto do gospody, poznał od razu Don Kichota i Sancza i dzięki temu łatwo mu było wprawić w zdumienie ich obu oraz wszystkich tam obecnych; ale byłoby go to drogo kosztowało, gdyby był Don Kichote zniżył nieco rękę, kiedy ścinał głowę królowi Marsylowi i rozbijał całą jego jazdę, jak to opowiedzieliśmy w poprzednim rozdziale.

Oto cośmy mieli rzec o mistrzu Piotrze i jego małpie. Wracając do Don Kichota z Manczy, powiem, że po opuszczeniu zajazdu postanowił najpierw zwiedzić brzegi rzeki Ebro oraz wszystkie owe okolice, zanim wkroczy do miasta Saragossy, bo wiele jeszcze czasu zbywało do igrzysk rycerskich. W tej myślì jechał dalej drogą przez dwa dni, ale nie zdarzyło mu się nic, o czym warto by napisać, aż trzeciego 497

dnia, wjeżdżając na pagórek, usłyszał wielki rozgłos bębów, trąb i strzelanie z rusznic. Zrazu myślał, że jakiś pułk żołnierzy ciągnie tamtędy, i aby ich dojrzeć, spiął

Rosynanta i wjechał na wzórze. Kiedy stanął na szczycie, ujrzał u stóp jego, na oko, ponad dwustu ludzi uzbrojonych rozmaitą bronią, jakbyśmy rzekli: w dzidz, kusze, berdysze, halabardy, piki, nawet w rusznice i liczne tarcze. Zjechał z pochyleści i zbliżył się tak do oddziału, że wyraźnie mógł widzieć chorągwie, odróżnić barwy i odczytywać dewizy, jakie nosiły; zauważył osobliwie jedną: na sztandarze czy proporcu z białego atłasu był wyobrażony, jak żywy, osioł mały, sardyński, z

Don Kichote - Miguel Cervantez

podniesioną głową, z otwartym pyskiem, z językiem wywalonym, w postawie, jakby miał co ino ryknąć; dokoła były wielkimi literami wypisane takie dwa wiersze:

Nie darmo nasi wójtowie 1

Ryczeli jakby osłowie.

Z tego znaku wniosł Don Kichote, że musieli to być ludzie ze wsi poryków, i powiedział o tym Sanczowi, tłumacząc, co na sztandarze było wypisane. Rzekł również, że ten, co ich o owym zajściu powiadomił, musiał być w błędzie, mówiąc, iż byli to ławnicy, którzy ryczeli, wedle wierszy tych bowiem chodzi tu o wójtów.

Na to odrzekł Sanczo:

- Panie, nie ma co się tym przejmować, być może owi ławnicy, co wówczas ryczeli, z czasem zostali wójtami w swojej wiosce, więc można im oba tytuły nada-

wać; tym bardziej, że nie zmienia to prawdy historii, czy ryczącymi byli wójtowie, czy ławnicy, bo tak czy owak ryczeli; a tak samo może ryczeć ławnik, jak i wójt. W końcu doszli do tego, że ludek wsi wydrwionej wystąpił do walki z drugim, który ich wydrwił, przekroczywszy granice przystojności należnej dobremu sąsiedztwu.

Don Kichote podjechał do nich ku wielkiemu zmartwieniu Sancza, który nie lubił znachodzić się w podobnych spotkaniach. Ludzie z oddziału przyjęli go w szeregu, mniemając, że jest jednym z ich stronnictwa. Don Kichote, podniósłszy przyłbicę, z szlachetnym zapałem i godnością zbliżył się do sztandaru z osłem; tam

otoczyła go cała wojskowa starszyna, aby go oglądać ze zdumieniem, w jakie wpadali wszyscy, którzy po raz pierwszy go widzieli. Don Kichote, widząc, jak uważnie mu się przypatrują, nie mówiąc nic i o nic nie pytając, chciał skorzystać z tej ciszy i przerywając milczenie, podniósł głos, mówiąc:

- Zacni panowie, jak mogę, najusilniej was proszę, nie przerywajcie tej przemowy, jaką chcę mieć do was, póki was nie znuży i nie znudzi; na najmniejszy wasz znak położę sobie pieczęć na ustach i wędzidło na język.

Wszyscy odparli, aby mówił, co chce, chętnie posłuchają. Don Kichote, korzystając z pozwolenia, ciągnął tak dalej:

- Ja, moi panowie, jestem błędny rycerzem, zawodem mym rzemiosło zbrojne, powołaniem pomóc dla potrzebujących i wsparcie dla nieszczęśliwych. Od wielu dni znane mi wasze niedole i sprawa, która was skłoniła do chwycenia za broń, aby 498

pomścić się na wrogach. Wiele rozmyślałem nad waszą sprawą i doszedłem do tego, że wedle praw pojedynku niesłusznie uważacie się za obrażonych; żadna bowiem osoba nie może całej społeczności obrazić, chybby oskarżyła wszystkich pospołu o

Don Kichote - Miguel Cervantez

zdradę, w razie gdyby nie było wiadomo, kto ową zdradę popełnił. Przykład taki daje nam Don Diego Ordoñez de Lara, który oskarżył całą ludność Zamory, bo nie wiedział, że jedynie Vellido Dolfos popełnił zdradzieckie królobójstwo. Przeto oskarżył wszystkich tak, że zarówno zemsta, jak i odpowiedź wszystkich dotyczyła; prawda jest, że pan Don Diego zapomniał się trochę, a nawet przekroczył znacznie gra-

nice oskarżenia, bowiem po cóż było oskarżać zmarłych, wody, zboża oraz tych, którzy mieli się dopiero narodzić, i inne pomniejsze rzeczy, jakie wymienia; ale nie-

stety, kiedy gniew występuje z łożyska, język nie zważy na ojca i nie ma wędzidła, które by go powstrzymało. A skoro tak jest, że jednostka nie może obrazić całego królestwa, prowincji, miasta, rzeczypospolitej ani całej ludności, jasne jest, że nie ma przyczyny podejmować zemstę za obrazę, która nią nie jest; bowiem cóż by to było, gdyby na każdym kroku zabijali się mieszkańcy Zegarowa z tymi, którzy ich zwą zegarmistrzami, albo ci, których dzieci i pospolstwo obrzuca często przezwiskami gonitrudów, bakłażańców, wielorybiąt czy mydlarzy. Pięknie by to było zaiste, gdyby mieszkańcy tych znamienitych miast trwali w ciągłym gniewie i zemście i stale do korda sięgali za najmniejsze słowo. Nie, nie, nie chce tego Bóg i na to nie pozwoli. Mężowie roztropni, państwa praworządne za broń chwytać i miecza dobywać winne jeno dla czterech powodów, narażając swe osoby, życie i majątkość: pierwszy to obrona wiary katolickiej, drugi obrona własnego życia -jest to prawo przyrodzone i boskie - trzeci w obronie własnej czci, rodziny i mienia, czwarty w służbie królowi swemu w sprawiedliwej wojnie, a jeśli chcielibyśmy dodać jeszcze piąty (który już w drugim się mieści)

- w obronie ojczyzny. Do tych pięciu głównych powodów można dodać jeszcze inne, byleby sprawiedliwe i rozsądne, które skłaniają do podjęcia broni; ale podnosić ją dla głupstw oraz dla spraw, które raczej

są żartem i igraszką niż obrazą, to dowieść, że ten, kto to czyni, pozbawion jest całkowicie rozumu. Tym bardziej że podejmować zemstę niesłusznie (a zemsta słuszną być nie może), to otwarcie występować przeciw świętej wierze, jaką wyznajemy, a która

Don Kichote - Miguel Cervantez

nam nakazuje dobrze czynić nieprzyjaciołom naszym i miłować tych, którzy nas nienawidzą; przykazanie, które choć wydaje się trudne do wypełnienia, jest takim jedynie dla tych, którym zależy bardziej na świecie niż na Bogu i bardziej są z ciała niż z ducha. Jezus Chrystus bowiem, Bóg i człowiek prawdziwy, który nigdy nie kłamał ani kłamać nie mógł i nie może jako prawodawca nasz, rzekł, że jarzmo jego jest słodkie, a brzemię lekkie; nie mógł tedy żądać od nas rzeczy niemożliwej do wypełnienia. Otóż, mości panowie, prawa boskie i ludzkie nakazują waszym miłościom uspokoić się.

- Niech mnie diabeł porwie - rzekł na to Sanczo do siebie - jeśli ten mój pannie jest tologiem; a jeśli nim nie jest, to podobny doń jak jedno jajko do drugiego. Don Kichote zamilkł nieco, by nabrac tchu, a widząc, że wszyscy milczą, chciał dłużej swą przemowę ciągnąć i byłby tak uczynił, gdyby nie stanęła mu w poprzek pochopność Sancza, który widząc, że pan jego zamilkł, zabrał głos, tak mówiąc:

499

- Mój pan, Don Kichote z Manczy, który dawniej nazywał się Rycerzem Smętnego Oblicza, a teraz zwie się Rycerzem Lwów, jest bardzo poważnym szlachcicem, zna łacinę i hiszpański jak bakałarz, a we wszystkim, co mówi i co radzi, po-

czyna sobie jak doskonały żołnierz, który w jednym palcu ma wszystkie prawa i tak nazwane ustawy pojedynkowe; więc cóż wam pozostaje, jak dać mu się prowadzić wedle jego uznania, a jeśli się pomyli, ja to biorę na siebie; tym bardziej że, jak się rzekło, głupotą byłoby gniewać się jedynie o jedno ryczenie. Przypominam sobie, kiedy byłem dzieckiem, zaczynałem ryczeć, ilekroć mi się zachciało, a nikt mi nie przeszkaďał, ryczałem zaś tak wdzięcznie i udatnie, że kiedy ja ryczałem, odpowiadały mi rykiem wszystkie osły wioskowe, mimo to nie przestałem być synem moich rodziców, którzy byli bardzo szanowni; a choć tej zdolności zazdrościło mi wielu największych bogaczy mej wioski, nie dbałem o to ani za dwa grosze. Abyście zaś wiedzieli, że mówię prawdę, czekajcie i słuchajcie, z tą umiejętnością jest tak jak z pływaniem, kto jej się raz nauczy, nigdy nie zapomina.

1 od razu, ścisnąłwszy nos ręką, zaryczał tak potężnie, że po wszystkich okolicznych dolinach echo poszło. Ale jeden ze stojących w pobliżu, sądząc, że sobie z nich żarty stroi, podniósł żerdź, którą w ręku trzymał, i taki mu cios wymierzył, że Sanczo nie zdzierzył i zwalił się na ziemię. Don Kichote,

Don Kichote - Miguel Cervantez

widząc Sancza tak potur- bowanego, natarł na napastnika z kopią podniesioną; ale tylu ludzi stanęło między nimi, że pomścić się nie zdołał, przeciwnie, widząc, że spada nań grad kamieni i że

zagraża mu tysiąc naciągniętych kusz oraz nie mniej muszkietów, zawrócił i pełnym galopem, na jaki stać było Rosynanta, wyrwał spośród nich, polecając się z całego serca Bogu, aby go od tego niebezpieczeństwa uwolnił, lękając się za każ-

dym krokiem, czy mu jakowaś kula pleców nie przeszyje i nie wyjdzie przodem, i co chwila oddychał głęboko, aby przekonać się, czy mu tchu nie braknie. Ale lu-

dziom oddziału dość było patrzeć, jak umyka, więc nie strzelali. Sancza wsadzili na osła, skoro tylko przyszedł do siebie, i pozwolili mu jechać za panem. Nie miał on

dość przytomności, aby osłem kierować, ale siwek szedł śladami Rosynanta, od którego na krok się nie oddalał. Don Kichote, który się już dobry kawał odsadził, odwrócił głowę i widząc, że Sanczo jedzie, a nikt go nie ściga, zaczekał nań. Ludzie

oddziału stali tak aż do wieczora, a kiedy przeciwnicy ich do bitwy nie wystąpili, zawrócili do wioski zadowoleni i weseli; gdyby im był znany obyczaj starożytnych Greków, byliby w tym miejscu wznieśli pomnik triumfu.

500

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

o rzeczach, o których mówił Ben Engeli, dowie się ten, kto rozdział ten przeczyta, o ile czytać będzie uważnie

Kiedy mężczyzna ucieka, snadź odkrył zasadzkę; mężczyznom rozważnym przystoi chować się na lepszą sposobność. Tej prawdy dowódł Don Kichote, kiedy zostawiając pole wściekłości wieśniaków i złym zamysłom oburzonego oddziału, wziął nogi za pas, niepomny na Sancza ani na bezpieczeństwo, w jakim go zostawia; umknął tak daleko, aż poczuł się bezpiecznym. Sanczo jechał w ślad za nim, przerzu-

Don Kichote - Miguel Cervantez

cony przez osła, jak opowiedzieliśmy. Dojechał wreszcie już zupełnie przytomny i zsunął się z siwka do nóg Rosynanta, załekniony, zbity i zmłócony. Don Kichote zsiadł z konia, aby opatrzyć mu rany, ale znalazły go zdrowym od stóp do głowy, niemal ze złością rzekł:

- W złą godzinę wybrałeś się z ryczeniem, Sanczo! Gdzież to słyszałeś, abygodziło się w domu wisielca wspominać o sznurze! Na tę muzykę ryku jednym wtórem mogły być kije. Dziękuj Bogu, Sanczo, że pobłogosławili cię kijem, a nie per signum crucis] bułatem.

- Nie jestem w stanie odpowiadać - odrzekł Sanczo - ale zdaje mi się, że mojepleczy za mnie mówią. Siadajmy na siodła i jedźmy stąd, już nie będę nigdy ryczał, ale nie przestanę mówić, że rycerze błędni uciekają, zostawiając swych dobrych giermków, zmielonych jak henna albo jak zboże, w mocy swych wrogów. - Nie ucieka, kto się cofa - odpowiedział Don Kichote - trza ci bowiem wiedzieć, Sanczo, że mestwo nieoparte na fundamencie rozwagi nazywa się zuchwałstwem, a przewagi zuchwalców przypisuje się raczej szczęśliwemu trafunkowi niż odwadze. I tak przyznaję, żem się usunął, ale nie, że uciekałem; a naśladowałem w tym licznych walecznych, którzy zachowywali się na lepsze czasy; powieści pełne są takich przykładów, ale nie przytoczę ci ich teraz, bo ani ja nie mam na to ochoty, ani tobie korzyści nie przyniosą. Tymczasem Sanczo wgramolił się na siodło przy pomocy Don Kichota, który również dosiadł Rosynanta, i niebawem zaszyli się w las topolowy, który widać było o ćwierć mili stamtąd. Od czasu do czasu Sanczo wydawał bardzo głębokie westchnienia i bolesne jęki; na zapytanie Don Kichota o przyczynę tak gorzkiego strapienia

odpowiedział, że od stosu pacierzowego aż do karku boli go tak, iż przytomność traci.

- Przyczyna tego bólu ani chybi w tym leżeć musi- rzekł Don Kichote - że kij, którym cię okładano, był szeroki i długi, tak że całe plecy przemierzył w tych bolesnych miejscowościach, im dalej byłby sięgnął, tym bardziej byś cierpiał. - Na Boga! - rzekł Sanczo.

- Zaiste, jegomość, wywodzicie mię z wielkiej niepewności i jak pięknie mi to wyjaśnacie, do diaska! Czyż aż tak ukryta była Znakiem krzyża (łac.) - zwano tak przecięcie na krzyż policzka w pojedynku.

501 przyczyna mej boleści, że trzeba mi było

tłumaczyć, iż boli mię wszystko, wszyst-

ko, gdzie dosięgnął kij? Gdyby mię bolały kostki u nóg, można by jeszcze zgadywać, dlaczego mię bolą; ale nie potrzeba jasnowidzenia, aby odgadnąć, że boli mię

Don Kichote - Miguel Cervantez

tam, gdzie mnie pobito. Zaiste, panie, nasz chlebodawco, niedola bliźniego wisi u was na włosku, i co dzień poznaję, jak mało spodziewać się mogę po waszej druż-

bie; jeśli tym razem pozwoliliście mię walić kijami, na drugi raz i stokrotny powrócimy do podrzucania na derce i do innych igraszek, które dziś wyszły mi plecyma, kiedy indziej na oczach się skrupią. O ile lepiej bym zrobił (ale jestem prostak i nigdy nie zrobię nic dobrego w mym życiu), o ile lepiej bym zrobił, gdybym powrócił do domu, do mej żony i dzieci, pracował na nich i wychowywał je dzięki temu, co by Bóg mi użyczył raczył, a nie włóczył się z jegomością po drogach bezdrożnych, przez ścieżki i szlaki, bez celu, źle pijąc, a jeszcze gorzej jedząc. A patrzcie, co to za spanie! Odlicz, bracie giermku, siedem stóp ziemi, a jeśli chciał więcej, weź drugie tyle, możesz brać, ile zechcesz, i wyciągnij się na całą długość. Obym tak

ujrzał spalonego i w proch obróconego pierwszego, który wymyślił ongiś to błędne rycerstwo, a przynajmniej pierwszego, który zechciał być gierkiem takich głupców, jakimi musieli być wszyscy rycerze błędni dawnych czasów. O obecnych nic nie mówię, bo jako jegomość do nich należycie, uszanuję ich, a dlatego także, że we wszystkim, co mówicie i myślicie, samego diabła przeszliście mądrością. - Poszedłbym o dobry zakład z wami, Sanczo - rzekł Don Kichote - że teraz kiedy możecie tak pleść bez żadnej przeskody, nic was w ciele waszym nie boli. Gadajcież, synu mój, wszystko, co wam śliną na język przyniesie, bylebyście tylko bólu nie odczuwali, chętnie zniosę nudę, jaką mi sprawiają wasze utyskiwania, a jeśli tak bardzo pragniecie powrócić do domu, do żony i dzieci, nie przeszkozę

temu, broń Boże! Macie moje pieniądze, policzcie, ile czasu minęło, od kiedy wyjechaliśmy z naszej wioski na tę trzecią wyprawę, ile moglibyście i powinniście byli zarobić miesięcznie i wypłaćcie sobie własnymi rękoma.

- Kiedy służyłem - odrzekł Sanczo - u Tomasza Carrasco, ojca bakałarza Samsona Carrasco, którego wasza miłość zna dobrze, zarabiałem dwa dukaty miesięcznie prócz wyżywienia; u waszej miłości nie wiem, ile mógłbym zarobić, wiadomo bowiem, że bardziej się utrudzi giermek błędnego rycerza niżli ten, który u rolnika

służy; bo w sumie rzeczy my, parobcy, służąc u rolników, choć wiele utrudzimy się za dnia, to przynajmniej wieczorem możemy się najeść bigosu i spać w łóżu, a nie spałem w nim, odkąd u waszej miłości służe. Wyjawszы ten krótki czas, jaki

Don Kichote - Miguel Cervantez

spędziliśmy w domu Don Diega de Miranda, i śniadanka, jakie uciąłem sobie, szumując kotły Camacha, oraz tego, co wypiłem i przespałem w domu Bazylego, przez resztę czasu spałem na twardej ziemi, pod gołym niebem, wystawiony -jak to się mówi - na niełaskawość nieba, odżywiając się skrawkami sera i skórkami z chleba, popijając wodą czy to ze strumieni, czy to ze zdrojów, jakie spotykaliśmy w tych pustkowiach, przez które błądziliśmy.

-Wyznaję-rzekł Don Kichote - że wszystko, co powiedzieliście, Sanczo, jest prawdą. O ile więcej przeto, wydaje wam się, powinienem wam dać, niż dawał wam

Tomasz Carasco?

502

- Moim zdaniem - rzekł Sanczo - gdybyście, wasza miłość, dodali co miesiąc o dwa reale więcej, byłbym zadowolony. Tyle, kiedy chodzi o wypłatę zasług, a jeśli chodzi o dotrzymanie słowa i obietnicy waszej miłości, że dacie mi zarząd wyspy, byłoby słuszne dorzucić jeszcze sześć realów, co razem czyni trzydzieści. -Znamienicie! -odparł Don Kichote. - Stosownie zatem do zapłaty, jaką ustaliliście, i dwudziestu pięciu dni, od kiedy wyjechaliśmy ze wsi, policzcie, Sanczo, i rozważcie, ile się wam należy, i odpowiednio wypłaćcie to sobie, jak rzekłem, własnoręcznie.

- Tam do diaska! - rzekł Sanczo. - Myli się bardzo wasza miłość w tym rachunku; bowiem o ile chodzi o obietnicę wyspy, należy liczyć od dnia, kiedy mi ją wasza miłość przyrzekliście aż po dzisiejszy dzień.
- Jakże dawno przyrzekłem ją wam, Sanczo? - zapytał Don Kichote.
- Jeżeli dobrze pamiętam - odpowiedział Sanczo - musi to być z dwudzięciakilką lat temu, trzy dni mniej lub więcej.

Don Kichote uderzył się dlonią w czoło i zaczął się śmiać z całej duszy, mówiąc:

- Zaledwie dwa miesiące strawiłem na pobyt w Sierra Morena i w ciągu wszystkich naszych wędrówek, a ty mówisz, że przed dwudziestu laty przyrzekłem ci wyspę.

To ja ci teraz powiem: oto pragniesz, aby twoja zapłata pochłonęła wszystkie pieniądze- dze moje, jakie nosisz; jeśli tak jest, a tak ci na nich zależy, od razu ci je daję i niech

ci się przydadzą; bo wolę pozostać sam i bez grosza niż oglądać tak niegodziwego giermka. Ale powiedz mi, ty psowaczu przepisów giermkowych błędnego rycerstwa, gdzieś ty widział czy czytał, aby jakiś giermek błędnego rycerza targował się

Don Kichote - Miguel Cervantez

ze swym panem: "Co miesiąca macie mi dać tyle a tyle, a będę wam służył". Wejdź, wejdź no, rozbójniku, potworze, zdrajco, jakim być się zdajesz, wejdź, mówię, w marę magnum' ich historii, a jeśli znajdziesz tam, że jakiś giermek powiedział albo pomyślał, co tu rzekłeś, chcę, abyś mi to wyrył na czole, a w dodatku, abyś mi twarz na odlew przypieczętował czterema policzkami. Nuże! Ściągaj wodze; a raczej użdzienicę twoego siwka i zwracaj do domu, bo odtąd ani kroku ze mną nie lza ci uczynić. O chlebie nieuznany! O obietnice źle umieszczone! O człowieku, który masz więcej z bydlęcia niż z istoty ludzkiej. Teraz, kiedy zamyślałem wynieść cię tak wysoko, że wbrew twej kobiecie zwano by cię wielmożnym, ty mię rzucasz? Teraz odchodzisz, kiedy miałem silny i niewzruszony zamiar ustanowić cię panem najlepszej wyspy na świecie? Krótko mówiąc, tak jak powiedziałeś kiedyś: "to nie miód dla..." i tak dalej... Osłem byłeś, osłem zostaniesz i osłem będziesz aż do końca życia; wierzę, że rychlej ono ostatecznego kresu dojdzie, nim ty się ockniesz i zdasz sobie sprawę, że byłeś bydlakiem.

Sanczo oczu nie spuszczał z Don Kichota, kiedy ten takim stekiem wymówek sypał; zdjął go taki żal, że łzy napłynęły mu do oczu, więc głosem żałosnym odezwał się:

- Panie mój, przyznaję, że ze mnie całkowity osioł, jeno mi ogona brak; jeśli wasza miłość zechce mi go przyprawić, powiem, że dobrze siedzi, i służyć będę za Wielkie morze (łac).

503 osła przez wszystkie dni, jakie mi do życia
zostają. Niech mi wasza miłość wybaczy i użali
się mej głupcio; zważcie, że niewiele wiem, a
jeśli gadam dużo, to raczej z przywary niż ze
złośliwości, ale kto błędzi, lecz się poprawia,
tego Bóg zbawia.

- Dziwiłoby mnie, Sanczo, gdybyś nie był wplątał jakiegoś przysłowia do twej przemowy. Na teraz dobrze, przebaczam ci, ale popraw się i nie bądź na przyszłość tak zachłanny na zysk, raczej poszerz swoje serce, nabierz ducha i nadziei w oczekiwaniu na spełnienie mych obietnic, które choć się opóźniają, ale nie są niemożliwe.

Sanczo odpowiedział, że tak postąpi, choćby w słabości miał czerpać siły.

Po czym wjechali w las i Don Kichote ułożył się u stóp wiązu, Sanczo zaś u stóp buka, bowiem te drzewa oraz inne im podobne zawsze mają stopy, a nigdy rąk.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Sanczo miał przykryą noc, bowiem pod wieczór potłuczenia od kija bardziej dawały mu się we znaki. Don Kichote noc spędził na ustawicznych wspomnieniach; ale mimo wszystko sen im skleił oczy, zaś o świcie ruszyli dalej, kierując się ku brzegom słynnego Ebro, gdzie zdarzyło się, co w przyszłym rozdziale opowiadamy. ROZDZIAŁ o słynnej przygodzie z zaczarowaną łodzią

Jadąc tak krok za krokiem, w dwa dni po opuszczeniu "topolowego lasu" dotarli Don Kichote i Sanczo do brzegów Ebro. Widok rzeki sprawił Don Kichotowi wielką radość, wpatrywał się i podziwiał rozmazność jej brzegów, przejrzystość jej wód, spokojny nurt i obfitość płynnych kryształów, których urok przywiódł mu na pamięć tysiąc miłosnych myśli. Osobliwie przypomniały mu się zjawy oglądane w Jaskini Montesinosa, które wbrew temu, co małpa mistrza Piotra rzekła, jakoby część ich była prawdą, a część kłamstwem, on raczej uważa za prawdziwe niż za kłamiwe, przeciwnie niż Sanczo, który wszystkie jednak za kłamstwo poczytywał. Kiedy tak jechali, ujrzelni nagle małą łódź bez wioseł i bez masztowia, uwiązaną

ną do pnia drzewa przy brzegu. Rozejrzał się Don Kichote na wszystkie strony i nie spostrzegł nikogo; nie zastanawiając się dłużej, zeskoczył z Rosynanta i polecił Sanczowi zleźć z siwka i mocno oba zwierzęta przywiązać do topoli czy wierzby w pobliżu rosnącej. Sanczo zapytał o powód tak nagłego porzucenia wierzchowców i uwiązania ich. Don Kichote rzekł:

- Musisz wiedzieć, Sanczo, że ta łódź oto najwidoczniej i najoczywiściej wzywa mię i zaprasza, abym wsiadł i popłynął ratować jakiegoś rycerza czy też inną ważną osobistość, która musi się znajdować w ciężkiej potrzebie; jest to zupełnie w stylu opowieści o rycerzach i czarownikach, którzy w nich występują: kiedy jakiś rycerz znajduje się w opałach, z których go jedynie pomoc drugiego rycerza wy-

targnąć może, to choć są od siebie oddaleni o dwa albo o trzy tysiące mil, nawet 504

i więcej, czarnoksiążnicy przeciągają rycerza na chmurze albo przewożą łodzią, w którą kiedy wstąpi, w jednym mgnieniu oka, powietrzem czy morzem, przeniesiony zostaje, gdzie oni chcą i gdzie pomoc jego jest potrzebna; tak więc, o Sanczo,

ta łódź jest tutaj umieszczona w tym samym celu; taka to prawda jak to, że teraz jest dzień; ale zanim to się stanie, uwiąż siwka i Rosynanta i zdajmy się na Boga, niech nas prowadzi; a choćby mię błagali wszyscy braciszki bosi, nie odwiedliby mię od tej wyprawy.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Skoro tak jest- odpowiedział Sanczo- i jeśli jegomość chce na każdym krokuwdawać się w takie, jak ja to nazywam, szaleństwa, mogę jeno słuchać i skłonić głowę, wedle przysłownia: Czyń, co ci pan rozkaże, jedz razem z nim, co się zdarzy;

ale mimo wszystko, abym sumienie miał czyste, chcę ostrzec waszą miłość, mnie się zdaje, że łódź ta nie należy do czarowników, ale do jakichś rybaków z tej rzeki, tu bowiem łowią najlepsze pstrągi na świecie.

Mówiąc to, Sanczo przywiązywał zwierzęta, zostawiając je na opiece i staraniu czarowników, z wielką bolescią w duszy. Don Kichote mówił mu, aby się nie trafił porzuceniem tych stworzeń; ten bowiem, który ich wiedzie przez tak longinquaem drogi i strony, będzie miał o nie staranie.

- Nie rozumiem tego słowa: logikwe - rzekł Sanczo - ani nie słyszałem goniad w życiu.
- Longinquaus - odpowiedział Don Kichote - to znaczy odległy, nie dziwota, że nie rozumiesz, nie jesteś obowiązany umieć po łacinie, jak niektórzy ludzie, którzy wyobrażają sobie, że umieją, a nic nie rozumieją. - Już są uwięzane - rzekł Sanczo. - Co mamy teraz robić?
- Co? - odparł Don Kichote. - Przeżegnać się i podnieść kotwicę, chcę rzec, wsiąść do łodzi i przeciąć linię, którą łódź jest przycumowana. I wskoczył do łodzi, a Sanczo za nim, przecięto linię i łódź zaczęła powoli oddalać się od brzegu. Sanczo, ujrzałszy, że znajduje się na dwa sążnie od brzegu, na środku rzeki, zaczął drżeć, lękając się zguby; ale nad wszystko przykrość mu sprawa-wiąła, kiedy słyszał ryk siwka i widział, jak się Rosynant szarpał, chcąc się uwolnić. Rzekł więc do pana:

- Siwek ryczy zmartwiony naszą nieobecnością, a Rosynant usiłuje wydostać się na wolność, aby nas dogonić. O najdrożsi przyjaciele, ostańcie w pokoju, szaleństwo, które nas rozciera, rozwieje się w rozczarowaniu i wróćmy do was.

I na to zaczął płakać tak gorzko, że Don Kichote zły i gniewny rzekł:

Czego się lękaszt, tchórzliwe stworzenie? Czemu płacziesz, serce maślano? Kto cię prześladuje? Kto na cię nastaje, ty szczurza duszo? Czegóż ci brak, nieboraku, pośród obfitości? Można by rzec, że boso i pieszo błądzisz po ryfejskich górzach, gdy oto siedzisz na ławie jakby arcyksiążę, płynąc spokojnym nurtem tej miłej rzeki, z której niebawem na szerokie morze wypłyniemy? Już powinniśmy wypływać, bo ujechać musieliszy przynajmniej siedemset czy osiemset

Don Kichote - Miguel Cervantez

mil; i gdybym tu miał astrolabium, aby oznaczyć wysokość bieguna, powiedziałbym ci, ile ujechaliś-

my; choć albo się na tym nie rozumiem, albo już przejechaliśmy czy niebawem przepły- niemy linię równika, która dzieli i przecina przeciwnie dwie półkule w jednakowej odległości. 505

- A kiedy dojedziemy do tej leniji, o której wasza miłość mówi - zapytał Sanczo - ile jeszcze drogi będziemy mieli przed sobą?
- Niemało - odparł Don Kichote - bo z trzystu sześćdziesięciu gradusów', jakie ma kula ziemska, licząc wody i lądy, wedle komputu² Ptolemeusza, największego znanego kosmografa, ujechalibyśmy połowę, dotarłszy do owej linii, o której mówiłem.
- Na Boga - rzekł Sanczo - cóż mi jegomość przywodzi na świadka swoich słów jakąś pogańską osobę, kosmatego grafa z dodatkiem kompotu koło uszu, czy ja wiem co?

Uśmieał się Don Kichote, usłyszawszy, jak Sanczo wy tłumaczył sobie nazwisko, komput i obliczenia kosmografa Ptolemeusza, i rzekł:

- Dowiedz się, Sanczo, że Hiszpanie i ci, co się w Kadyksie okrętują do Indii Wschodnich, z rozmaitych oznak poznają, iż minęły linię równika, o której ci mówię, a jedną z nich jest, że u wszystkich znajdujących się na okręcie giną wszyscy co

do jednej i nawet na wagę złota na całym statku żadnej nie znajdziesz; możesz tedy, Sanczo, przesunąć ręką po udzie i jeśli znajdziesz jakieś żywątko, wywiedziesz nas z wątpliwości, a jeśli nie, to znaczy, żeśmy ją minęli.

- Nic w to nie wierzę - odparł Sanczo - ale przecie zrobisz, co mi jegomość każe, choć nie wiem, czyli takie doświadczenie jest potrzebne, bo ja na własne oczy widzę, że zaledwie na pięć saźni oddaliliśmy się od brzegu i ani na dwa saźnie nie odbiliśmy od miejsca, gdzie są nasze bydlęta, bo Rosynant i siwek znajdują się na

tym samym miejscu, gdzieśmy ich zostawili; a mierząc uważnie, jak teraz czynię, klnę się na Onego, że nie poruszamy i nie posuwamy się nawet z chyzością mrówki. -Zrób, Sanczo, ową próbę, o której mówiłem i nie troszcz się o nic więcej; nie rozumiesz się na tym, co to są kolury³, linie, równoleżniki, zodiaki, eklipytyki, bieguny, przesilenia i zrównania, planety, znaki, punkty geograficzne i miary, z których

Don Kichote - Miguel Cervantez

rych składa się sfera niebieska i ziemska; gdybyś się na tym wszystkim rozumiał choćby w części, poznałbyś jasno, ile równoleżników przecięliśmy, ile znaków oglądalismy, jakie konstelacje zostawiliśmy w tyle, a jakie mijamy obecnie. i powtarzam ci, abyś się obmacał i obszukał; pewien bowiem jestem, żeś czyściejszy od karty białego i gładkiego papieru.

Obmacał się Sanczo, a włożyszy powoli rękę i dotykając lewej łydki, podniósł głowę, spojrzał na swego pana i rzekł:

- Albo doświadczenie jest fałszywe, albo jeszcze nie dotarliśmy tam, gdzie jegomość mówi, wiele jeszcze mil nie dostaje. - Dlaczego? - zapytał Don Kichote. - Złapałeś jaką? - Ba, nawet kilka! - odpowiedział Sanczo.

I strząsnąwszy palcami, obmył całą rękę w rzece. Łódź spokojnie sunęła środkiem nurtu, nie poruszana żadną tajemną wolą ani przez żadnego ukrytego czarnoksiężnika, jeno prądem wody łagodnym podówczas i wolnym. **1 g r a d u s - stopień.**

2 komput- rejestr, spis, zbiór obliczeń.

3 kolury- dwa wielkie koła sfery niebieskiej przecinające się na biegunach.

506

Wtem ujrzał kilka wodnych młynów stojących na środku rzeki; ledwie je Don Kichote zoczył, głosem donośnym rzekł do Sancza:

- Widzisz tam? O przyjacielu! Odkrywa się miasto, zamek czy warownia, gdziemusi przebywać jakiś uciemiążony rycerz albo jakaś królowa, infantka czy księżniczka nieszczęśliwa, której mam przyjść z pomocą.

-O jakimże, do diaska, mieście, warowni czy też zamku mówicie, jegomość rzekł Sanczo - zali nie widzicie, że są to młyny wodne stojące na rzece, w których zboże miały?

- Milcz, Sanczo - rzekł Don Kichote - choć zdają się młynami, ale nimi niesą; już ci mówiłem, że czary wszystkie rzeczy przeobrażają i zmieniają. Nie mówię, żeby ta zmiana była rzeczywista, ale taką się wydaje, jak tego dowodzi nasze doświadczenie z przeobrażeniem Dulcynei, jedynej ucieczki mojej i nadziei. Tymczasem łódź, dostawszy się w sam środek prądu rzeki, zaczęła mknąć znacznie szybciej niż dotąd. Młynarze zajęci przy młynach, widząc łódź pędzącą wprost w wir pod kołami, wybiegli co przedzej z długimi żerdziami, aby ją zatrzymać; ponieważ wybiegli, mając twarze i ubrania pokryte mąką i całe białe, wyglądały przerażająco. Zaczęli krzyczeć, wołając:

- Diabły, nie ludzie! Gdzie płyniecie? Czy rozpacz was pędzi? Czego szukacie? Czy chcecie utopić się i dać się rozerwać w kawałki przez te koła? - Czyż nie mówiłem

Don Kichote - Miguel Cervantez

ci, Sanczo - rzekł na to Don Kichote - otośmy przybyli na miejsce, gdzie trzeba mi okazać, dokąd sięga męstwo mego ramienia. Patrz, ilu łotrów i nędzników wyszło na mnie spotkanie; patrz, jakie poczwary stają mi na drodze; patrz, jak strasznie wykrzywiają się te szkaradne widma... Ale zobaczcie teraz, hultaje!

I stanąwszy w łodzi, zaczął wielkim krzykiem grozić młynarzom, mówiąc: - Hołoto niegodziwa, niebaczna, puśćcie wolno i przywróćcie swobodę osobie, którą w waszej warowni czy więzieniu trzymacie w ucisku, jakiegokolwiek byłaby stanu czy pochodzenia, wysokiego czy niskiego; jestem bowiem Don Kichote z Manczy, zwany inaczej Rycerzem Lwów, któremu zrządzeniem wysokich niebios przypadło szczęśliwe zakończenie tej przygody.

To mówiąc, dobył miecza i zaczął w powietrzu wymachiwać, grożąc młynarzom. Ci słysząc, lecz nie rozumiejąc tych bredni, zaczęli żerdziami zatrzymywać łódź, która już wpadała w wir i kanał, pod koła. Sanczo padł na kolana, modląc się gorąco, aby niebo uratowało go z tak oczywistego niebezpieczeństwa, co też się stało dzięki zręczności i sprawności młynarzy, którzy nastawiwszy żerdzie, zatrzymali łódź; alibi przy tym przewrócili ją i Don Kichote oraz Sanczo wpadli do wody; przydało się Don Kichotowi, że umiał pływać jak gęś, mimo że ciężar zbroi dwakroć go w głębinę wciągnął i gdyby nie młynarze, którzy wskoczyli do wody i wydobyli obydwóch jak tłumoki, byliby tam obaj swoją Troję znaleźli. Kiedy ich wyciągnęli na brzeg, raczej przemokłych niż umierających z pragnienia, Sanczo, padłszy na kolana, ze złożonymi rękoma, oczy utkwiwszy w niebo, błagał Boga w długiej i gorącej modlitwie, aby go na przyszłość uwolnił od nieopatrnych zachceń i przedsięwzięć pana jego.

507

Nadbiegli na to rybacy, właściciele łodzi, którą koła młyńskie pogruchoły w kawałki; widząc to, rzucili się na Sancza, aby ściągnąć zeń odzież, oraz domagali się od Don Kichota zwrotu kosztów; ten z wielkim spokojem, jakby nic się nie zdarzyło, oświadczył młynarzom i rybakom, że bardzo chętnie zapłaci za łódź pod warunkiem, że zwróci wolność osobie czy osobom w tym zamku uwięzionym. - O jakich osobach i o jakim zamku mówicie? - zapytał na to jeden z młynarzy. - Człowieku bezrozumny! Czy chcecie zabierać może tych, którzy przybywają, aby w tych młynach zboże mielić?

- Dość! - rzekł na to Don Kichote. - Równie dobrze można kazać na pustyni, jak chcieć skłonić tę hołotę, by spełniła jakiś dobry uczynek albo czyjaś prośbę.

Don Kichote - Miguel Cervantez

W tej potrzebie musieli się zetrzeć dwaj potężni czarnoksiążnicy, co jeden zamierza, drugi mu przeszkadza: jeden przysłał mi łódź, a drugi mu zrobił na przekór. Bóg niech temu zaradzi! Cały ten świat pełen jest przeciwnieństw i pozorów, które się zwalczają. Już zdzierzyć nie zdołam.

I podniósłszy głos, tak ciągnął dalej, patrząc na młyny:

- Przyjaciele, ktokolwiek jesteście, którzy pozostajecie w tym więzieniu zamknięci, przebaczenie mi; na moje i wasze nieszczęście nie zdołałem was z tej niedoli wydobyć. Dla innego snadź rycerza musi być zachowana i przeznaczona owa przygoda.

To rzekłszy, ułożył się z rybakami i zapłacił za łódź pięćdziesiąt realów, które im Sanczo bardzo niechętnie wręczył, mrucząc:

- Jeszcze dwa takie łódkowania, a całe mienie pójdzie na dno. Rybacy i młynarze nie mogli się nadziwić owym dwom cudakom tak odmiennym z wyglądu od innych ludzi; nie mogli też do końca zrozumieć, dokąd zmierzały słowa i pytania, jakie im Don Kichote zadawał. Uważając ich za wariatów, zostawili ich i powrócili do młynów, a rybacy do swych bud. Don Kichote i Sanczo wrócili do swych bydląt, równie głupi jak one, i taki był koniec przygody z zaczarowaną łodzią.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

o tym, co się zdarzyło Don Kichotowi z piękną łowczynią

Dość melancholijni i w złym humorze zbliżyli się do swych bydląt rycerz i giermek, a osobliwie Sanczo, któremu duszę raniło każde sięgnięcie do trzosa z pieniędzmi i zdawało mu się, że ilekroć dobywa coś z niego, wyrywa sobie jakby żrenicę oka. Przeto nie mówiąc ni słowa, wsiedli na siodła i oddalili się od słynnej rzeki; Don Kichote zatopiony w swych miłosnych marzeniach, a Sanczo w myślach o swym wyniesieniu, które na razie wydawało się bardzo dalekie do urzeczywistnienia; bo choć był głupawy, zdawał sobie dobrze sprawę, że postępowanie jego

508 pana było najczęściej szalone, i szukał sposobnego czasu, aby bez obrachunku i bez pożegnania z nim czmychnąć pewnego dnia i wrócić do domu; jednakże Fortuna sprawiła zgoła przeciwnie, niż myślał.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Zdarzyło się bowiem, że na drugi dzień o zachodzie słońca, wyjeżdżając z lasu, Don Kichote rzucił wzrokiem na zieloną łąkę i na jej drugim krańcu ujrzał grupę ludzi, a zbliżywszy się do nich, poznał, że byli to myśliwi polujący na wysokolotne ptactwo. Podjechał jeszcze bliżej i ujrzał pośród nich wytorną damę na stępku czy też mierzynku śnieżnobiałym, w zielonym czapraku i z srebrzystym siodłem. Pani owa była również w zielonej szacie tak wspaniały i bogatej, że zdawała się uosobieniem wspaniałości, na lewej ręce trzymała krogulca, po czym Don Kichote poznał, że musiała to być jakaś wielka dama, pani owych wszystkich myśliwych, co było też prawdą; rzekł tedy do Sancza:

- Śpiesz, Sanczo synu, i oświadcz owej pani na stępku z krogulcem, że ja, Rycerz Lwów, cauję ręce jej wielkiej piękności i jeżeli jej wysokość pozwoli, pośpieszę je ucałować i usłużyć jej, ile mi sił stanie, i we wszystkim, co jej wysokość rozkaże. Uważaj zaś, Sanczo, jak masz mówić, i staraj się żadnego przysłowia nie wplątać do takiego poselstwa.
- Macie już płatcza - odpowiedział Sanczo - czy do mnie tak mówicie? Wszaknie pierwszy raz w tym życiu sprawiam poselstwo do wysokich i wzniosłych dam.
- Prócz tego, jakie odbyłeś do pani Dulcynei - odparł Don Kichote - nie wiem, do kogo byś posłował, przynajmniej z mego polecenia.
- To prawda - odpowiedział Sanczo - ale dobry płatnik nie żałuje zadatku, a w dostatnim domu rychło wieczerzę zastawiają; chcę rzec, że nie potrzeba mi nic mówić ani przestróg udzielać, bom na wszystko gotów i na wszystkim nieco się rozumiem.
- Wierzę ci, Sanczo - rzekł Don Kichote - jedź szczęśliwie i niech cię Bóg prowadzi.

Pojechał Sanczo kłusem, zmuszając osła do zmiany kroku, dotarłszy do pięknej łowczyni, zeskoczył i przykłęknałszy, rzekł:

- Piękna pani, ten rycerz, którego tam widać, zwany Rycerzem Lwów, to mójpan, a jam jest jego giermek, którego w domu zwą Sanczo Pansą. Ten Rycerz Lwów, który do niedawna zwał się Rycerzem Smętnego Oblicza, przesyła mię, abym prosił waszą wysokość o łaskawe pozwolenie, by za jej zgodą, chęcią i wolą mógł swoje

pragnienie spełnić, które jest, jak on mówi i jak ja myślę, służyć waszej chmur sięgającej wysokolotności i piękności; jeśli mu wasza dostońcość tego udzieli, wyjdzie to jej na korzyść, on zaś uzyska największą łaskę i zadowolenie. - Zaiste, cny giermku - odpowiedziała pani - wypełniliście poselstwo wasze ze wszystkimi formalnościami,

Don Kichote - Miguel Cervantez

jakich takie poselstwo wymaga. Powstańcie, nie przystoi bowiem klęczeć giermkowi tak znamienitego rycerza, jakim jest Rycerz Smętnego Oblicza, dobrze nam już znany; powstańcie, przyjacielu, i powiedzcie waszemu panu, że z największą gotowością powitamy go ja i księżę, mój małżonek, w naszym wiejskim dworcu, jaki tu posiadamy. Powstał Sanczo, przejęty zarówno pięknością łaskawej pani, jak jej wielką grzecznością i dwornością, a najbardziej tym, że -jak mówiła - słyszała już o Ry509 cerzu Smętnego Oblicza, a jeśli go nie na zwała Rycerzem Lwów, to zapewne dlatego, że przyjął ten przydomek tak niedawno. Zapytała go księżna, której nazwiska nawet nie znamy:

- Powiedzcie mi, bracie giermku, czy to o waszym panu obiega drukowanahistoria pod tytułem Przemyślny szlachcic Don Kichote z Manczy i który za panią swej duszy obrał Dulcyneę z Toboso?
- To ten sam, pani - odpowiedział Sanczo - a tym gierkiem jego, który tam jest wymieniony, to jest powinien być w takiej historii wymieniony, a którego zwą Sanczo Pansą, jestem ja, o ile mię w kołysce nie zamieniono, chciałem rzec, o ile mię w druku nie zmieniono.
- Bardzo mię to wszystko raduje - rzekła księżna. - Jedź, bracie Pansa, powiedz panu swemu, niechaj będzie pozdrawiony, witam go z radością w moich dziedzinach i nic przyjemniejszego nie mogło mię spotkać nad jego przybycie. Z tą miłą odpowiedzią Sanczo okrutnie kontent wrócił do swego pana, któremu opowiedział wszystko, co wielka pani mówiła, wynosząc w swych gminnych słowach pod niebiosa ogromną gładkość i wielki wdzięk jej i dworność. Don Kichote rósł na siodle, umocnił się w strzemionach, poprawił swą przyłbicę, spiął Rosynanta i z pełną wdzięku swobodą ruszył ucałować ręce księżnej; ta, przywoławszy księcia, swego małżonka, zanim się Don Kichote przybliżył, opowiedziała mu
 - całym poselstwie, jakie przyjęła; oboje czytali już byli Część pierwszą tej historii i poznali z niej dziwaczny charakter Don Kichota, więc oczekiwali go z największą ochotą i pragnieniem poznania, postanowili przystosować się do jego usposobienia i zgadzać się z nim we wszystkim, co by mówił, traktując go jako błędnego rycerza
 - przez te dni, jakie z nimi spędzi, z zachowaniem wszelkich zwyczajowych ceremonii,
 - jakich czytali w księgach rycerstwa, w których się bardzo lubowali. Tymczasem przybliżył się Don Kichote z podniesioną

Don Kichote - Miguel Cervantez

przyłbicą; kiedy chciał zsiąść z konia, pomknął Sanczo, aby mu strzemię przytrzymać; atoli kiedy nieborak chciał zeskoczyć z siwka, zaplątała mu się nogą w postronku terlicy i nie mógł jej wydostać; pozostał tedy zawieszony, głową i piersiami włócząc po ziemi. Don Kichote, nieprzyzwyczajony do zsiadania, gdy mu ktoś strzemienia nie przytrzymywał, myśląc, że Sanczo już je ma w ręku, jednym rzutem ciała przechylił się, ściągnąwszy przy tym siodło z Rosynanta, które snadź źle było umocowane, i obalił się na ziemię wraz

z siodłem, z wielkim wstydem, licznymi przekleństwami obrzucając między zębami Sancza, którego nogą ciągle tkwiła w klubach. Książę rozkazał swym łowczym, aby przybiegli z pomocą rycerzowi i giermkowi. Ci podnieśli z upadku Don Kichota potłuczzonego, on zaś, kulejąc, poszedł, jak mógł, zgiąć kolana przed obojgiem państwa; ale książę w żaden sposób do tego nie dopuścił, przeciwnie, zeskoczył z konia, uścisnął Don Kichota, mówiąc:

- Przykro mi, panie Rycerzu Smętnego Oblicza, iż pierwszy krok waszej miłości na mej ziemi był tak nieszczęśliwy, jak widzieliśmy; ale zaniedbania giermka są często przyczyną innych gorszych przypadków.
- Spotkanie z wami, waleczny książę - odpowiedział Don Kichote - nie możebyć nieszczęśliwe, choćby upadek mój wciągnął mnie do głębi otchłani, stamtąd podniosłaby mię i wydobyła chwała oglądania was. Mój giermek - bodajby go Bóg

510

przekłął - lepiej potrafi rozwiązywać język, by niedorzeczności pleść, niż zapinać i ściągać siodło, by mocno siedziało; ale w każdym położeniu, leżąc czy stojąc, pieszo czy konno, zawsze będę do usług waszych i łaskawej księżnej pani, godnej małżonki waszej i godnej królowej piękności, i włościni powszechnej dworności. - Powoli, mój panie Don Kichocie z Manczy! - rzekł książę - tam gdzie jest łaskawa pani Doña Dulcynea z Toboso, nie przystoi chwalić innych piękności. Tymczasem Sanczo Pansa uwolnił się z pętli i znalazły się w pobliżu, zanim pan jego odpowiedzieć zdołał, odezwał się: - Nie można zaprzeczyć, stwierdzić tylko można, iż bardzo piękna jest pani moja Dulcynea z Toboso, ale zajęc wyskakuje, gdzie się go najmniej spodziewamy; słyszałem, że to, co zowiemy naturą, jest jak garncarz, który

Don Kichote - Miguel Cervantez

wazy lepi z gliny, a ten, co potrafi zrobić jedną piękną, może równie dobrze zrobić i drugą, i trzecią,

i setną; mówię to, bowiem, zaiste, łaskawa pani księżna nie ustępuje mej dobrodziejce pani Dulcynei z Toboso.

Don Kichote zwrócił się do księżnej i rzekł:

- Musi wasza wysokość wiedzieć, że żaden błędny rycerz na świecie nie miał giermka tak gadatliwego i tak uciecznego jak ja; przekona on was o tym, jeśli wasza wzniósłość zechce pozwolić, abym jej przez kilka dni służył. Na to odpowiedziała księżna:
- Jeśli cny Sanczo jest żartownikiem, tym bardziej go szacuję, jest to bowiem dowód, iż jest bystry; żarty i dowcip, panie Don Kichocie - jak wasza miłość dobrze wie - nie są udziałem tępich umysłów; to przeto, iż cny Sanczo jest dowcipny i krotochwilny, utwierdza mię w przekonaniu, że jest i rozumny.
- I gadatliwy - dodał Don Kichote.
- Tym lepiej - rzekł książę - wielu krotochwilnych rzeczy nie można w parusłowach zamknąć. Ale aby nam czas na tym nie zszedł, jedźmy, wielki Rycerzu Smętnego Oblicza...
- Lwów raczcie wasza wysokość mówić - wtrącił Sanczo - już nie ma Smętnego Oblicza, ale jest niby Rycerz Lwów.
- Proszę więc, jedźmy, Rycerzu Lwów - podjął książę - do jednego z moich zamków, który znajduje się w pobliżu, tam spotka was przyjęcie, na jakie wasza wysoka osobistość słusznie zasługuje i jakim ja i księżna zwykliśmy podejmować wszystkich błędnych rycerzy, którzy nas odwiedzają.

Podczas tego Sanczo poprawił siodło i mocno ściągnął popręgi Rosynanta; dosiadł go Don Kichote, a księże swego pięknego rumaka. Księżnę wzięli w pośrodek i ruszyli w stronę zamku. Księżna chciała, aby Sanczo jechał u jej boku, bawiło ją bowiem niezmiernie słuchanie jego wymądrzań. Sanczo nie dał się prosić i wsunął się między nich troje jako czwarty, mieszając się do rozmowy ku wielkiej ucie-

sze księżnej i księcia, którzy bardzo się radowali, że mogą w swym zamku ugościć takiego błędnego rycerza i takiego obłędnego giermka.

511

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

który opowiada o licznych i ważnych sprawach

Sanczo odczuwał najwyższą radość, widząc się - tak się jemu przynajmniej zdawało - w łaskach u księżnej, wyobrażała sobie bowiem, że w jej zamku niezawodnie znajdzie

Don Kichote - Miguel Cervantez

podobną obfitość jak w domu Don Diega i Bazylego, a zawsze lubił sobie dogadzać; kiedy tylko nadarzała się sposobność używania, chwytał ją zawsze i wszędzie.

Opowiada historia, że kiedy dojeżdżali do dworca wiejskiego czy też zamku, książę wyprzedził ich i wydał rozkazy służbie, jak mają traktować Don Kichota; kiedy ten wraz z księżną u bram zamku stanęli, zaraz wyszło dwóch pajuków albo masztalerzy odzianych w powłoczyste do stóp szaty, w rodzaju porannika, z najdelikatniejszego karmazynu i ani się rycerz nie opatrzył, jak chwyciwszy go w ramiona, zsadzili z konia i rzekli:

- Niechaj wasza wysokość pomoże księżnej pani przy zsiadaniu.

Don Kichote posłuchał i rozpoczęły się wielkie certolenia między obojgiem, ale wreszcie zwyciężył upór księżnej, która nie chciała zsiadać z wierzchowca jak tylko w ramionach księcia, mówiąc, że nie czuje się godna tak wielkiemu rycerzowi niepotrzebnie trudu przysparzać. Wreszcie wyszedł książę, zsadził

ją, a kie-

dy weszli na wielki dziedziniec, zbliżyły się dwie piękne panny i zarzuciły na ramiona Don Kichota obszerny płaszcz z najpiękniejszego szkarłatu i w jednej chwili wszystkie galerie dziedzińca wypełniły się służbą i dworkami owych państwa, wołającymi:

- Bywaj! Bywaj nam, kwiecie i śmietanko błędnych rycerzy.

I wszyscy lub prawie wszyscy wylewali flakony wonności na Don Kichota i na księstwo, co zachwyciło rycerza; i oto był pierwszy dzień, kiedy zaprawdę poczuł się i uwierzył, że jest istotnie błędny rycerzem, prawdziwym, a nie urojonym, widząc, że podejmują go w ten sam sposób, jak czytał, iż podejmowano takich rycerzy w ubiegłych wiekach. Sanczo, zostawiwszy siwka, uczepił się księżnej i wszedł do zamku; lecz gryzło go sumienie, iż zostawił osła samego, więc zbliżywszy się do czcigodnej ochmistrzyni,

ni, która wraz z innymi wyszła była na przywitanie księżnej, cicho rzekł do niej:

- Jejmość pani Gonzales, czy jakie tam jest nazwisko waszej miłości...- Nazywam się Dona Rodriguez de Grijalba - odrzekła ochmistrzyni - czego sobie życysz, bracie? Na to Sanczo odpowiedział: - Chciałbym, aby wasza miłość dla mnie to zrobiła i zechciała wyjść do bram zamku, gdzie pozostawiłem mego siwego osła; niech wasza miłość będzie łaskawa i rozkaże go zawieść albo go sama zawiedzie do stajni; bo biedaczek jest nieco płochliwy i kiedy ujrzy się sam, nie będzie wiedział, gdzie się podziać. 512

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Jeśli pan jest równie mądry jak jego pachołek - odpowiedziała ochmistrzyni- pięknieśmy wyszli! Idźcie, bracie, do stu diabłów, wy i ten, kto was tu przywiódł, i sami troszczcie się o osła, ochmistrzynie tego domu nie są takich czynności zwyczajne.
- Jednakże naprawdę - odpowiedział Sanczo - słyszałem, jak mój pan, który jest w takich historiach na cztery nogi kuty, mówił, przytaczając romance o Lancelocie: Kiedy powrócił z Bretanii,

Księżniczki go miały w pieczy, Dziewice o konia dbały; zaś co się mego osła tyczy, nie zamieniłbym go za konia pana Lancelota. - Bracie, jeśli jesteście trefniisiem - odparła ochmistrzyni - zachowajcie swe żarty dla tych, którym się spodobają i którzy za nie zapłacą; ode mnie możecie dostać tylko figę.

- Dobre i to - odpowiedział Sanczo - będzie ona całkiem źrała, bo wasza miłość, grając z nią w kości o lata, nie przegra ani o jedno oczko.
- Sukinsynu - wybuchła ochmistrzyni, cała zapalona gniewem - czym stara, czyniestara, Bogu z tego zdam sprawę, ale nie wam, hultaju, czosnkiem śmierdzący. Powiedziała to tak głośno, że usłyszała ją księżna; obróciwszy się, ujrzała ochmistrzynię wzburzoną, z oczyma zaczerwienionymi, zapytała więc, z kim się posprzeczała.
- Aż tym poczciwcem - odpowiedziała ochmistrzyni - który żądał ode mnienatarczywie, abym poszła odprowadzić do stajni jego osła, który stoi u bram zamku, dając mi za przykład, że tak, nie wiem gdzie, robiły jakieś damy, które pieczo-

łowały pewnego Lancelota, zaś jakieś ochmistrzynie jego konia, i w dodatku na zakończenie nazwał mię starą.

- To wzięłabym za obrazę największą, jaka by mnie spotkać mogła - rzekłaksiężna i zwróciła się do Sancza:
- Zważcie, przyjacielu Sanczo, że Dona Rodriguez jest bardzo młoda i że ówcześnie nosi raczej dla powagi i dla zwyczaju niż dla wieku.
- Niechby tak złe były lata, jakie mi do życia zostają - odpowiedział Sanczo jeśli do tego pił; rzekł, bo tak bardzo miuję mego osła, że zdawało mi się, iż nie mógłbym go polecić litościwszej osobie niż jejmość Dona Rodriguez.

Don Kichote, który słyszał to wszystko, rzekł:

- Sanczo, czyż to jest mowa stosowna w tym domu?
- Panie - odrzekł Sanczo - każdy może mówić, czego potrzebuje, gdziekolwiek by się znalazł; tu przypomniałem sobie o siwku, więc tu o nim mówiłem; gdybym sobie był przypominał o nim w stajni, mówiąbym tam. Na to rzekł książę:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Sanczo ma całkowitą słuszność i nie należy go w niczym winić; siwek będzie miał paszy po uszy, niech się Sanczo nie troszczy, obchodzić się z nim będą jakby z jego własną osobą. , 513

Te rozmowy bawiły wszystkich prócz Don Kichota; przeszli na piętro i wprowadzili Don Kichota do sali zdobnej koltrynami i ze złotogłów i brokatów najbogatszych; sześć panien go rozbroiło i służyło mu za paziów, wszystkie były powiadomione i pouczone przez księcia i księżnę, co czynić mają i jak mają traktować Don Kichota, aby wyobraził sobie i przekonał się, że obchodzą się z nim jak z błędnym rycerzem. Don Kichote, rozbrojony, pozostał w obcisłych pludrach i w swym kaftanie łożyskowym, wysoki, chudy, długie, ze szczękami tak ścieśnionymi, że od wnętrza stykały się jedna z drugą; była to postać taka, że gdyby panny nie starały się powstrzymać, co było jednym z głównych przykazań państwa, byłyby chyba pękły od śmiechu.

Prosiły go, aby pozwolił się obnażyć dla zmiany koszuli; ale nie dopuścił do tego, mówiąc, że obyczajność równie przystoi błędny rycerzom, jak waleczność. Jednakże prosił, aby powierzyły koszulę Sanczowi, a zamknąwszy się z nim w komnacie, gdzie stało bogate łoże, zdjął szaty i przebrał koszulę; widząc się zaś sam z Sanczem, przemówił:

- Powiedz, nowoczesny błaźnie, a starodawny głupcze: czyż zdaje ci się przystojną rzeczą obrażać i znieważyć ochmistrzynię tak dostojną i tak godną szacunku jak owa? Czyż była to pora przypominać siwka? Zali państwo, którzy tak godnie podejmują właścicieli, mogliby nie dbać o zwierzęta? Dla Boga, Sanczo, powstrzymaj się i nie pokazuj tak konopnej nici, aby nie spostrzeżono, żeś utkany z grubej, zgrzebnej osnowy. Zważ, niebożę, że tym bardziej pan jest szanowany, im grzeczniejsi i lepiej urodzeni są ludzcy, i że w tym wyższość mają książęta nad innymi ludźmi, że służą im dworzanie tak zaciśni jak oni sami. Czyż nie rozumiesz, tumanie

(na moje nieszczęście), iż kiedy widzą, że jesteś ciężkim prostakiem czy też śmieszonym półgłówkiem, pomyślą, że i ja jestem mataczem i oszustem? Nie, nie, drogi Sanczo, unikaj, unikaj takich niewłaściwości; niebaczny papłacz i dowcipniś przy pierwszym potknięciu upada i staje się nieznośnym błaźnem. Powściągnij swój język, rozważaj i przeżuwanie słowa, zanim ci z ust wyskoczą; pomyśl, że przybyliśmy do miejsca, skąd z pomocą Bożą i dzięki mestwu mego ramienia powinniśmy wyjechać trzykrotnie i pięciokrotnie bogatsi w sławę i majątkowość.

Sanczo przerzekł naj szczerzej swemu panu, że gębę sobie zaszyje i ugryzie się w język, zanim wypowie słowo, które by nie było stosowne i przemyślone, tak jak mu

Don Kichote - Miguel Cervantez

przykazano, i niech się pan tym nie kłopocze: z jego winy nikt nie odkryje, kim są. Don Kichote przyodział się, przypasał pendent z mieczem, zarzucił płaszczek szkarłatny na ramiona, włożył czapeczkę z zielonego atłasu, którą mu panny zostawiły, i w takim stroju wyszedł do wielkiej sali, gdzie zastał je ustawione w rzędy po jednej i po drugiej stronie w jednakowej liczbie, trzymały one wszystko, co potrzebne

do umycia rąk; podały mu to z wieloma poklonami i całym obrzędem. Zaraz też podeszło dwunastu paziów z marszałkiem dworu, aby go poprowadzić do stołu, gdzie już państwo czekali. Wzięli go w środek i z wielką pompą i majestatem wprowadzili do drugiej sali, gdzie stał bogato zastawiony stół z czterema tylko nakryciami. koltryny obicia ścienne z materiału lub papieru, zwykle malowane. 514 Książę i księżna wyszli aż na próg sali, aby go powitać, a wraz z nimi poważny duchowny, jeden z tych, którzy rządzą domami książąt; z tych, co to, sami nie uro-

dzeni książętami, nie są w stanie nauczać, jakimi być powinni prawdziwi książęta, którzy radzi by mierzyć wielkość możliwych ciasnotą swego umysłu, którzy pragnąc skłonić ich do umiarkowania, doprowadzają ich do skąpstwa; z takich to - mówię musiał być poważny duchowny, który z księstwem wyszedł na spotkanie Don Kichota. Po wymianie tysięcznych dwornych grzeczności wzięli Don Kichota między siebie i poszli zasiąść do stołu. Książę zaprosił Don Kichota, aby zajął pierwsze miejsce u stołu, i choć ten się wzdragał, nalegania księcia były tak natarczywe, że musiał ustąpić. Duchowny siadł naprzeciw, a księżna i książę po bokach. Sanczo, przy wszystkim obecny, był ogłupiały i zdumiony, widząc, jaką część owi księstwo jego panu oddają; a przypatrzywszy się licznym ceremoniom i naleganiom, jakie miały miejsce między księciem a Don Kichotem, aby go posadzić na pierwszym miejscu u stołu, rzekł:

- Jeżeli wasze miłośćce raczą mi pozwolić, opowiem, co się zdarzyło w mejwiosce z powodu takiego sadzania.

Ledwo to Sanczo wyrzekł, Don Kichote zadrżała, lękając się, iż bez ochyby powie jakieś głupstwo. Sanczo popatrzył nań i zrozumiał, rzekł tedy: - Nie lękajcie się, wasza miłość, panie mój, że się odrzekam i że powiem coś niestosownego; nie przepomniałem rad, jakich mi przed chwilą jegomość udzieliliście, czy mam mówić wiele, czy mało, dobrze czy źle.

- Nic sobie nie przypominam, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - mów, cochcesz, aby tylko prędko.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- To, co chcę rzec, jest tak prawdziwe, że mój pan Don Kichote, tu obecny, niezada mi kłamu.
- Co do mnie - odparł Don Kichote - możesz kłamać, Sanczo, ile chcesz, ja cinie przeszkodę, ale rozważ, co chcesz powiedzieć.
- Tyle przemyślałem i obmyślałem, że już dzwonnik jest bezpieczny, jak towarzaz zobaczymy.
- Zaiste - rzekł Don Kichote - dobrze byłoby, gdyby wasze wysokości kazały wyprowadzić stąd tego głupca, bo tysiąc bredni naświergoli.
- Na życie księcia - rzekła księżna - nie pozwolę się Sanczowi oddalić odemnie na krok; lubię go bardzo, wiem bowiem, że jest bardzo rozważny. - Niechaj wasza świętość wiele pięknych dni przeżyje za zaufanie, jakim mnie darzy - rzekł Sanczo - choćby i niesłuszne było. Oto moja opowieść: pewien szlachcic z mej wioski, bardzo bogaty i możny, jako pochodzący z rodziny Alamos de Medina del Campo, ożeniony z Doną Mencią de Quinones, która była córką Don Alonsa de Maranon, który był rycerzem Zakonu Św. Jakuba, który się utopił w Herradurze i z powodu którego wybuchła przed laty owa bitka, w której jak słyszałem, brał udział mój pan Don Kichote, a w której raniony został Tomasillo Krotochwilnik, syn kowala Balbastro... Czy to wszystko nieprawda, panie mój? Na życie was zaklinam, powiedzcie, aby ci panowie nie uważały mnie za bajbugę. - Na razie - rzekł duchowny - raczej uważam was za pleciugę niż za bajbugę, ale w przyszłości nie wiem, za co was mieć będę. Przytaczasz tylu świadków i tyle 515 dowodów, Sanczo, że nie mogę zaprzeczyć, iż musisz mówić prawdę. Gadaj dalej i skracaj opowieść, bo w ten sposób nie skończysz jej i za dwa dni. - Niechaj nic nie skraca - rzekła księżna - aby mi zrobić przyjemność, przeciwnie, niech opowiada, jak umie, choćby i w sześciu dniach nie miał skończyć; jeśliby ich tyle było, będę je uważać za najlepsze dni mego żywota. - Mówię tedy, moi państwo - ciągnął dalej Sanczo - że ów szlachcic, którego znam jak własne ręce, bowiem od jego domu do mego nie ma więcej nad strzał z kuszy, zaprosił ubogiego, lecz uczciwego wieśniaka.
- Naprzód, bracie! - rzekł na to duchowny. - Tą drogą waszą opowieść ciągnąć będziecie aż na drugi świat.
- Bylebym jeno połowę przebył z pomocą Bożą - odpowiedział Sanczo. - Mówię tedy, że kiedy wieśniak ów przybył do domu tego szlachcica, który go zaprosił, aby dusza jego odpoczywała w pokoju, bo już pomarł, a z wielu oznak mówiono, że była to śmierć anioła, ale ja nie byłem przy tym obecny, bo poszedłem był wówczas na żniwa do Tembleque...

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Na miłość boską, synu, wracajcie co rychlej z Tembleque i bez grzebaniaszlachcica, jeśli nie chcecie i nas pogrzebać, kończcie waszą opowieść. - Oto chwila - odpowiedział Sanczo - kiedy dwaj biesiadnicy mają zasiąść do stołu, i zdaje mi się, jakobym ich dziś widział lepiej, niż kiedy... Wielką uciechę mieli księstwo, widząc niezadowolenie, w jakie wprawiały zacnego księdza liczne przerwy i rozwlekłości w opowiadaniu Sancza.

Ale Don

Kichote nie posiadał się z gniewu i wściekłości.

- Mówię tedy - gadał Sanczo - że kiedy tak obaj gotowi byli usiąść do stołu, wieśniak upierał się, aby szlachcic siadł na pierwszym miejscu, szlachcic zaś po-dobnie upierał się, aby to uczynił wieśniak, jako że w jego domu musiało się wszystko działać, jak on rozkaże; ale wieśniak, uważając się za grzecznego i dobrze wychowa- nego, w żaden sposób nie przystawał, aż szlachcic zniecierpliwiony, położywszy mu obie ręce na ramiona, posadził go przemocą, mówiąc: "Siadajcie, niedźwiedziu, gdziekolwiek ja usiadłbym, tam zawsze będzie dla was pierwsze miejsce". Oto moja opowieść i myślę zaiste, że nie była tutaj niestosowna.

Don Kichote mienił się tysiącem kolorów, na jego ciemnej twarzy kładły się jakby plamy na agacie. Księstwo, zrozumiawszy złośliwość Sancza, pokryli śmiech, aby nie złościć bardziej Don Kichota; chcąc zmienić rozmowę i przeszkodzić Sanczowi w opowiadaniu innych bredni, zapytała księżna Don Kichota, czy ma jakieś wieści o pani Dulcynei i czy w ostatnich dniach posyłał jej jakoweś dary w postaci olbrzymów czy lotrzyków, bo niezawodnie musiał ich sporo zwyciężyć.

Na to odpowiedział Don Kichote:

- Pani moja, nieszczęścia me, choć miały początek, końca mieć nie będą. Olbrzymów zwyciężyłem; posyłałem jej zbójców i opryszków; ale jakoż odnaleźć ją mogli, jeśli jest zaklęta i zmieniona w najszkaradniejszą chłopkę, jaką wyobrazić sobie można?
- Nie wiem - rzekł Sanczo Pansa - ale mnie ona się wydawała najpiękniejszą istotą na świecie; a przynajmniej w lekkości i morzpręgach nie dałaby się prześcignąć żadnemu skoczkowi: zaiste, mością księżno, pani Dulcynea tak skacze z ziemi na oslicę, jakby była kotem. 516
- Czy widzieliście ją zaczarowaną, Sanczo? - zapytał książę.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Jak to, czyja widziałem! - odpowiedział Sanczo. - Przecie do diabła, byłempierwszym, który wpadłem na to zaczarowanie! Tak jest zaczarowana jak mój ojciec!

Duchowny, słysząc, jak mówią o olbrzymach, zbójcach i czarach, zrozumiał wreszcie, że musi to być Don Kichote z Manczy, którego historię czytywał często książę, co mu on przyganiał wiele kroć, mówiąc, iż niedorzecznością było czytać podobne niedorzeczności; przekonawszy się, że podejrzenia jego są prawdziwe, z wielkim gniewem zwrócił się do księcia, mówiąc:

- Wasza dostońność, panie mój, będącie musieli zdać sprawę Panu Boguz czynów tego poczciwca. Ten Don Kichote albo raczej Don Głupiec, czy jak się tam zwie, nie musi być, jak myślę, tak rozumu pozbawion, jak by wasza dostońność sobie życzył, dając mu sposobność do rozwinięcia jego głupstw i manii.

A zwracając swą przemowę do Don Kichota, rzekł:

- A wy, łbie kamienny, kto wam wbił w głowę, że jesteście błędnym rycerzem, że zwyciężacie olbrzymów i chwytacie złoczyńców? Idźcie w pokoj, to wam powiem: wracajcie do domu i wychowujcie wasze dzieci, o ile je macie, doglądajcie waszej majątkości, a porzućcie owe włóczęgi po świecie, gdy łykając wiatr, wystawiacie się na śmiech wszystkich, którzy was znają czy nie. Skąd, do licha, wymyśliliście, że istnieli i dziś istnieją błędni rycerze? Gdzież są w Hiszpanii olbrzymy?

Gdzie złoczyńcy w Manczy? Gdzie Dulcynea zaklęta oraz cała ta chmara głupstw, które o was opowiadają?

Don Kichote wysłuchał uważnie słów owego czcigodnego męża, a widząc, że wreszcie zamilkł, nie zważając na szacunek należyny księstwu, z obliczem zagniewanym i wzburzonym zerwał się na równe nogi i rzekł:

Ale ta odpowiedź wymaga osobnego rozdziału. ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI o odpowiedzi, jaką Don Kichote dał swojemu przyganiaczowi oraz o innych wypadkach poważnych a uciecznych

Zerwał się na równe nogi Don Kichote, drżąc od stóp do głowy, jakby żywym srebrem natarty, i zdławionym, pomieszany głosem rzekł:

-Miejsce, gdzie jestem, obecność tych osób i cześć, jaką zawsze miałem i jaką żywię dla stanu, który wasza miłość przedstawiacie, powstrzymują mię i wiążą ręce mego słusznego oburzenia; zaś jako zawsze mówię i jako cały świat wie, że ludzie teologi nie mają innej broni niż biały głowy, to znaczy język, podejmuję z waszą miło-

Don Kichote - Miguel Cervantez

ściąg równą walkę na języki, choć od was można się było spodziewać raczej dobrych 517 rad niż niegodnych wymyślań. Święte i dobrze zamierzone karcenia wymagają

innych okoliczności i innego kształtu; co najmniej rzec moge to, iż taka

publiczna napaść i tak gwałtowna przekracza granice słusznej przygany, która raczej na życz-

liwości niż na gwałtowności się zasadza, i nie godzi się, kiedy się nie zna przewiny, przeciw której się występuje, wymyślać grzesznikowi od szaleńców i głupców, ni stąd, ni zowąd. Czyż nie? Powiedziecie mi, wasza miłość, jakież to

szaleństwo dostrzegliście we mnie, za które mię potępiacie, wymyślacie mi i rozkazujecie wracać

do domu, zajmować się nim oraz moją żoną i dziećmi, nie wiedząc, czy je mam i czy jestem żonaty? Czyż godzi się raczej chyłkiem do cudzego domu wkradać, aby jego właścicielami rządzić; czyż wystarczy być wychowanym w ciasnoci jakiegoś kolegium, nie zwiedziwszy nigdy więcej niż dwadzieścia czy trzydzieści mil

, wokoło, by nagle narzucać prawa rycerstwu i wydawać sądy o błędnych rycerzach?

Zali to próżne zajęcie i czas stracony, owe wędrówki po świecie, które mają na celu nie używanie, ale umartwienie, dzięki którym cnotliwi wyżyn nieśmiertelności sięgają? Gdyby to rycerze wspaniali, szlachetni, wysoko urodzeni traktowali mię jak głupca, miałbym to za obrazę nie do naprawienia; ale jeśli za bezrozumnego uważają mnie pedanci, którzy nigdy nie weszli ani krokiem nie postąpili na ścieżki rycerstwa, nie dbam za grosz o to; rycerzem jestem, rycerzem umrę, kiedy się to Najwyższemu spodoba. Jedni kroczą szerokim polem pysznej ambicji; inni polem pochlebstwa niewolniczego i niskiego; jeszcze inni drogą oszukańczej hipokryzji, tylko nieliczni drogą prawdziwej religii, ale ja, wiedziony przez moją gwiazdę, idę

wąską ścieżyną błędnego rycerstwa, powołanie to każe mi gardzić dobrami ziemskimi, ale nie honorem. Mściłem zniewagi, prostowałem krzywdy, karałem zuchwałość, zwyciężałem olbrzymów, tratowałem potwory. Jestem zakochany, to prawda, ale jeno dlatego, że rycerze błędni nimi być muszą, jednak będąc zakochanym, nie jestem z owych kochanków występnich, ale należę do platońskich i wstrzemięźliwych. Zawsze zamiary moje ku dobrym celom kieruję, a to, aby wszystkim dobrze czynić, a nikogo nie krzywdzić; zali ten, kto tak myśli, zali ten, kto tak postępuje, zali ten, który o tym mówi, zasługuje na miano głupca, powiedziecie mi, wasza wysokość, najdostojniejsi księstwo.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Świetnie, na Boga! - zawała Sanczo. - Wasza miłość, panie mój i dobrodzieju, nic więcej nie mówcie w swojej obronie; bo już i nic do powiedzenia ani do pomyślenia, ani do obrony na świecie nie ma. Tym bardziej że jako ten jegomość przeczy, jak zaprzeczył, że są czy byli na świecie błędni rycerze, nie dziwota, że nie zna żadnej rzeczy, o której mówi.
- Zali trafunkiem bylibyście, bracie - zapytał duchowny - owym Sanczo Pansą, któremu, jak mówią, wasz pan obiecał wyspę?
- Jestem nim - odpowiedział Sanczo - i zasługuję na nią tak samo jak każdy inny; jestem z tych, co to: Z dobrym przestajesz, dobrym się stajesz, i jestem z tych, co to: Nie z kim się rodzisz, ale z kim się wodzisz, i z tych, co: Kto pod dobrym drzewem staje, dobry cień mu drzewo daje. Ja się przywiązałem do mojego pana i wiele miesięcy wędruję w jego towarzystwie i winienem być drugim nim z Bożą wolą; niech żyje on, niech żyję i ja; nie zabraknie jemu cesarstw do władania ani mnie wysp do rządzenia.

518

- Na pewne nie, przyjacielu Sanczo - rzekł książę na to - bo oto ja, w imieniu pana Don Kichota, oddaję wam rządy jednej z moich wielu, i to nie byle jakiej. - Rzuć się na kolana, Sanczo - rzekł Don Kichote - i ucałuj stopy jego dostojości za łaskę, jaką ci wyrządził.

Sanczo posłuchała; na ten widok duchowny powstał od stołu niezmiernie zachmurzony i rzekł:

- Na habit, jaki noszę, muszę rzec, że wasza dostojość jest równie szalony jak owi dwaj grzesznicy. Jakżeż nie mają być szalonymi, jeżeli zdrowi uświęcają ich szaleństwa. Ostańcie z nimi, wasza dostojość; jak długo oni bawić będą w tym

domu, ja w swoim pozostanę; uwolni mię to od potępienia tego, czemu przeszkodzić nie mogę. Nie mówiąc już ani słowa, nie tykając już obiadu, wyszedł, nie zważając na prośby księstwa, którzy go zatrzymywali, chociaż książę nie mówił wiele, bo przeszkodził mu śmiech, jaki ten niedorzeczny wybuch wywołał. Uśmiechnął się do woli, rzekł do Don Kichota:

- Wasza miłość, panie Rycerzu Lwów, odpowiedzieliście tak górnio, że niepotrzeba już wam zadośćuczynienia za zniewagę, która choć tak wygląda, jednak żadną miarą nią nie jest; wiecie bowiem to lepiej ode mnie, że zarówno duchowni, jak białogłówki znieważyć nie są zdolni.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Tak jest - odpowiedział Don Kichote - a przyczyna w tym leży, że nie możeznieważyć nikogo, kto nie może być znieważony. Biały, dzieci i duchowni, jako bronić się niemogący, choćby obrażeni zostali, nie mogą istotnie być znieważeni. Bowiem -jak to wasza dostońność lepiej wie - między obrazą a zniewagą jest ta różnica, że zniewaga pochodzi od tego, kto ją wyrządzić może, wyrządza i podtrzymuje; zaś obraz może pochodzić od kogokolwiek, a nie musi być zniewagą. Na przykład: ktoś beztrosko idzie ulicą, napada go dziesięciu zbrojnych i bije go kijem, on sięga po broń i czyni swą powinność, ale przewaga przeciwników nie pozwala mu na to i nie pozwala mu dopełnić swego pragnienia zemsty; ten człowiek jest obrażony, ale nie znieważony. To samo potwierdza inny przykład: ktoś idzie, drugi zabiega od tyłu, kijem go uderza i ucieka, nie mieszkając, tamten goni za nim, ale go nie dopędza; ten, który otrzymał uderzenie, został obrażony, ale nie znieważony, bo zniewaga musi być podtrzymana. Gdyby ten, który uderzył, choćby ukradkiem, chwycił za kord i czekał spokojnie, stając twarzą w twarz przeciwni-
- kowi, uderzony byłby i obrażony, i znieważony równocześnie; obrażony, bowiem napadnięty zdradziecko; znieważony, bowiem sprawca spokojnie podtrzymuje swoje stanowisko, nie podając tytułu. Przeto wedle praw wykłętego pojedynku ja mogłem być obrażony, ale nie znieważony; gdyż dzieci i biały nie odczuwają zniewagi ani nie są w stanie uniknąć jej, ani czekać zadośćuczynienia, a to samo dotyczy osób stanu duchownego, te bowiem trzy rodzaje pozbawione są broni zaczepnej i odpornej, i choć są oczywiście obowiązane się bronić, nikogo nie mogą obrazić. A choć przed chwilą rzekłem, że mogłem być obrażony, teraz zaprzeczam temu stanowczu, biorąc to przed sie, iż kto nie może doznać zniewagi, ten znieważyć nie jest zdolny; i dla tych przyczyn nie powinienem odczuć ani nie odczuwam zniewag, jakie mi ów poczciwiec rzucił; byłbym chciał jeno, aby się był krzynę zatrzymał. 519 by go wywieść z błędu, w którym tkwi, myśląc i mówiąc, że nie było i nie ma błędnych rycerzy na świecie; gdyby tak usłyszał to Amadis albo ktokolwiek z jego niezliczonego rodu, wiem, że nie wyszłoby to jegomości na dobre.
- O, przysięgam na to - zawała Sanczo - byliby mu cios wymierzyli, który by go rozplatał od góry do dołu jak owoc granatu albo jak przeźrały melon. Ładnie

Don Kichote - Miguel Cervantez

by takie łaskotania znieśli! Na me świętości klnę się, że zaiste, gdyby taki Rynałt z Montalbanu posłyszał słowa owego człowieczka, tak by go sprał po pysku, że i przez trzy lata by się nie odezwał. Niech się tylko z nimi spotka, a zobaczy, jak się im z rąk wyrwie!

Umierała ze śmiechu księżna, słuchając gadania Sancza, i w swym umyśleniu miała go za ucieśnieszszego i za większego szaleńca niż pan jego, i wielu podówczas było tego samego zdania. W końcu Don Kichote uspokoił się, obiad dobiegły końca, a kiedy zdjęto obrusy, weszły cztery panny: jedna z misą srebrną, druga z dzbanem wody, również srebrnym, trzecia z dwoma najbielszymi i najbogatszymi ręcznikami na ramieniu, czwarta zaś z rękami obnażonymi do łokci, w dloniach swych białych (były one bez ochyby białe) trzymała okrągłą gałkę neapolitańskiego mydła. Podeszła panna z misą i z wdziękiem i swobodą podsunęła misę pod brodę Don Kichotowi; ten nie mówiąc i słowa, zdziwiony podobnym ceremoniałem, mniemał, że takowy zwyczaj jest w owym kraju, by miasto rąk myć brodę; naciągał przeto swoją, jak mógl, a tymczasem dzban zaczął lać wodę, a panna z mydłem szyb-

ko namydliła mu brodę, wzniecając śnieżną burzę (bo nie mniej biała była piana mydlana) nie tylko na brodzie, ale na całym obliczu i oczach posłusznego rycerza, tak że zmuszony był je zamknąć. Książę i księżna, o niczym powiadomieni nie będąc, trwali w oczekiwaniu, co wyjdzie z tego niezwykłego obmywania. Panna-balwierz, kiedy go tak na dłoń grubo pokryła pianą mydlaną, udała, że zabrakło jej wody, i posłała po nią pannę z dzbankiem, prosząc Don Kichota, by raczył zaczekać. Tak się stało i Don Kichote pozostał, przedstawiając cudaczy i zmuszający do śmiechu widok, jak to sobie wyobrazić można.

Patrzyli nań wszyscy obecni, licznie zebrani, a kiedy widzieli go z szyją długą na pół łokcia, niebywale śniadą, z oczyma zamkniętymi i brodą pełną mydła, cud był to i wielka delikatność, że zdołali powstrzymać się od śmiechu. Panny żartownisie oczy miały spuszczone, nie śmiejąc spojrzeć na swoich państwa; u tych walczył gniew ze śmiechem i nie wiedzieli, co począć: czy ukarać zuchwałość młodek, czy nagrodzić je za uciechę, jaką mieli, oglądając Don Kichota w tym stanie. Wreszcie panna z dzbankiem wróciła i skończyła myć Don Kichota; natychmiast ta, która niosła ręczniki, osuszyła go, otarła bardzo delikatnie i wszystkie cztery, skłoniwszy się głęboko, chciły odejść, ale książę, aby Don Kichote nie domyślił się kpin, przywołał pannę z misą, mówiąc: – Pójdzie i umyjciemię, ale bacicie, aby nie zabrakło wody.

Młoda, sprytna i bystra, podeszła i podsunęła misę księciu podobnie jak Don Kichotowi i wziąwszy się do dzieła, umyły go i namydliły doskonale, a osuszywszy go i otarłszy, złożyły ukłon i odeszły. Potem dowiedziano się, że książę poprzesiągł, jeśli go nie umyły jak Don Kichota, ukarać ich zuchwałość; żart ten naprawili zręcznie, namydliwszy i jego. Sanczo, przypatrując się uważnie temu ceremoniałowi, rzekł do siebie:

520

- Boże zawaruj! Czyżby był w tej ziemi także zwyczaj mycia brody i giermkom, jak i rycerzom? Bowiem na Boga i na mą duszę, bardzo by mi się to przydało, a nawet gdyby ją brzytwą ogoliły, uważałem to za czysty zysk. - Co tam mówicie do siebie, Sanczo? - zapytała księżna.
- Mówię, pani - odpowiedział - często słyszałem, że na dworze innych książąt po zdaniu obrusów podają wodę do umycia rąk, ale nigdy do mydlenia brody; i że dlatego dobrze jest żyć długo, aby widzieć wiele; chociaż mówią, że kto długo żyje, wiele ma złych dni, ale takie obmywanie to raczej przyjemność niż przykrość.
- Nie martwcie się, przyjacielu Sanczo - rzekła księżna - każe moim pannomwas obmyć, a nawet was wyprać, jeśli zajdzie potrzeba. - Broda wystarczy - odpowiedział Sanczo - przynajmniej na teraz; z biegiem czasu, co Bóg da, to będzie.
- Słyszcie, marszałku - rzekła księżna - o co prosi cny Sanczo? Wypełnijciego wolę co do jedy.

Marszałek zapewnił, że jegomość Sanczo we wszystkim będzie usłużony, i poszedł obiadować, zabrawszy z sobą Sancza; przy stole zostali księstwo i Don Kichote, rozmawiając o licznych i rozmaitych sprawach; wszystkie jednakże tyczyły się zbrojnego rzemiosła i błędnego rycerstwa.

Księżna prosiła Don Kichota, aby nakreślił i odmalował - jako że zdaje się posiadać szczęśliwą pamięć - urodę i rysy pani Dulcynei z Toboso, która, jak sława jej piękności głosi, musi być oczywiście najurodziszą istotą na świecie, a nawet w całej Manczy. Don Kichote westchnął, słysząc, o co prosi

księżna, i rzekł: - Gdybym tak mógł wydrzeć sobie serce i postawić je przed oczy waszej wysokości, tu oto na tym stole, na jakiejś tacy, uniknąłbym trudu, bowiem wasza do-

stojność ujrzałaby ją tam całą odmalowaną, ale próżno starać się o nakreślenie i opisywanie szczegółu po szczególe i część po części piękności niezrównanej Dulcynei, to ciężar godny innych barków niż moje, to zadanie, którego by się podjąć winne pędzle Parrhasiosa, Timanta i Apellesa oraz dluo Lizypa1, aby ją odmalować

i wyrzeźbić na płótnie, w marmurze i w brązie, a retoryka cyceroniańska i demostycka winna ją wychwalać.

- Co znaczy demostycka, panie Don Kichocie? - zapytała księżna - nie słyszałam tego słowa przez wszystkie dni żywota. - Wymowa demostycka - odrzekł Don Kichote - znaczy to samo co wymowa

Demostenesa, tak jak cyceroniańska Cicerona; byli to najwięksi mówcy świata. - Tak jest - rzekł książę - to było nieopatrzne pytanie. Ale mimo wszystko sprawiły nam wielką przyjemność pan Don Kichote, gdyby ją odmalował, bo na pewne, choćby to był jeno zarys i szkic, wyszłaby taką, że wzbudziłyby zazdrość najurodziwszych.

- Uczyniłbym to z pewnością - odpowiedział Don Kichote - gdyby mi jej wyobrażni mojej nie wykreśliło nieszczęście, jakie ją spotkało, a jest ono takie, że raczej opłakiwać ją mi się godzi niżli opisywać; musicie bowiem, wasze wysokość, wiedzieć, że kiedy udałem się w ubiegłych dniach, aby jej ucałować ręce i uzy-Wybici greccy malarze oraz rzeźbiarz z V-IV w. p.n.e.

521

skać jej błogosławieństwo, życzenia i pozwolenie na tę trzecią wyprawę, znalazłem ją zgoła inną niż ta, której szukałem. Znalazłem ją zaczarowaną i z księżniczki prze-

mienioną w wieśniaczkę, z urodziwej w szkaradną, z anioła w diablicę, z woniejcej w cuchnącą, z dobrze ułożonej w gburowatą, ze spokojnej w rozwodyrzoną, ze światłości w ciemność, jednym słowem, z Dulcynei z Toboso w chłopkę z Sayago. - Uchowaj Bóg! - zawała na to książę wielkim głosem. - Któż to popełnił taki wstertyny czyn? Któż pozbawił świat jej urody, która mu tak miła była, wdzięku, który go zachwycał, i przystojności, która była jego dumą?

- Kto? - odpowiedział Don Kichote - a ktoż by to mógł być, jak nie pewienzłośliwy czarnoksiążnik, najbardziej zawzięty ze wszystkich, którzy mię prześladują. To ród przeklęty na świat zesłany, aby zaciemniać i niweczyć czyny cnotliwych i aby wynosić i na jaśń wywodzić czyny niegodziwych. Prześladowali mię czarnoksiążnicy i czarnoksiążnicy mię prześladują i prześladować będą, póki mnie i moich rycerskich przewag nie zepchną w głęboką otchłań zapomnienia, smagają mnie i ranią w miejsca najbardziej dotkliwe, bowiem błędному rycerzowi odebrać jego damę to pozbawić go oczu, którymi patrzy, słońca, które go oświeca, i pożywienia, które go podrzymuje. Już nieraz to mówiłem i teraz do tego powracam, że błędny rycerz bez damy jest jak drzewo bez liści, jak budynek bez fundamentu i cień bez ciała, które go rzuca.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Nic więcej rzec nie można - rzekła księżna - ale jeśli mimo wszystko mamydać wiarę historii, która o panu Don Kichocie od niedawna w tej okolicy ujrzała światło dzienne, z powszechnym uznaniem ludzi, wynika z niej, jeśli dobrze sobie przypominam, że wasza miłość nigdy nie widzieliście pani Dulcynei, że takiej pani nie ma na świecie, że jest to jeno pani urojona, którą wasza miłość poczęliście i urodzili w waszej wyobraźni, i odmalowaliście z wszystkimi urokami i doskonałościami, jakie chcieliście.
 - Byłoby w tej sprawie wiele do powiedzenia - odpowiedział Don Kichote. Bóg wie, czy Dulcynea istnieje na świecie, czy nie, czy jest urojona, czy nieurojona; to są sprawy, których do sedna dochodzić nie należy. Ani ja począłem, ani urodziłem moją panią, chociaż wyobrażam ją sobie taką, jaką powinna być dama zdobna zaletami, które mogą ją rozsławić po wszystkich częściach świata, a te są: urodziwa bez plamy, poważna bez pychy, zakochana, lecz skromna, wdzięczna przez dworność, dworna dzięki dobremu ułożeniu, a wreszcie wysokiego rodu, bowiem zacnej krwi piękność żywiej jaśnieje i triumfuje z większą doskonałością niżli uroda niskiego pochodzenia.
 - To prawda - rzekł książę - ale pozwólcie mi, panie Don Kichocie, rzec, comię powiedzieć przymusza historia, którą o waszych przewagach czytałem, a z której wniesć można, iż choćbyśmy przyjęli, że istnieje pani Dulcynea w Toboso lub gdzie indziej, i choćby była urodziwa w najwyższym stopniu, jak ją wasza miłość nam odmalowuje, to co do wysokości rodu ustąpić musi kroku Orianom, Alastajareom, Madasimom oraz innym tej miary, od których roją się powieści dobrze waszej miłości znane.
 - Na to mogę odpowiedzieć - odezwał się Don Kichote - że Dulcynea jest córką swoich czynów, że cnoty poprawiają krew i że na większy szacunek zasługuje prosta522

czek cnotliwy niż występny wysoko urodzony; tym bardziej że Dulcynea ma coś, co ją może podnieść do godności królowej w koronie i z berłem; bowiem zasługa białogłówki pięknej i cnotliwej większe cuda zdziałać może i choćby nie w rzeczywistym spełnieniu, to w możliwościach ma w sobie zawarte najwyższe przeznaczenia. - Powiem, panie Don Kichocie - rzekła księżna - że we wszystkim, co wasza miłość mówicie, krocacie jakoby stopami z ołowiu i, jak to zwykło się mówić, z sondą w dłoni; i że odtąd wierzyć wam będę i wpoję tę wiarę we wszystkich mych domowników, a nawet w księcia mego pana - gdyby zaszła potrzeba - że istnieje Dulcynea z Toboso, że dotąd żyje i jest piękna, wysoko urodzona i godna, aby taki

Don Kichote - Miguel Cervantez

rycerz jak pan Don Kichote jej służył; a to jest najważniejsze, co mogę i potrafię rzec. Ale nie mogę pozbyć się pewnej wątpliwości i pewnego rozzalenia wobec Sanczo Pansy: otóż owa historia opowiada, iż Sanczo Pansa, kiedy go, wasza miłość, wysłaliście z listem do owej pani Dulcynei, zastał ją wiejącą wóz zboża, i dodaje dla dokładności, że była to czerwona pszenica; a to mi każe wątpić o szlachetności jej rodu.

Na to odpowiedział Don Kichote:

- Pani moja, musicie wiedzieć, że wszystkie albo prawie wszystkie rzeczy, jakie mi się zdarzyły, odbiegają od tych, jakie się zwykle zdarzają innym błędnym rycerzom, czy to się dzieje z niezbadanej woli przeznaczenia, czy przez złośliwość jakiegoś zawistnego czarnoksiężnika. A jako dowiedzioną rzeczą jest, że spomiędzy rycerzy błędnych a sławnych jeden ma przywilej, iż nie mają się go czary, drugi ma tak nieprzenikliwe ciało, że raniony być nie może, jak to było ze słynnym Rolandem, jednym z dwunastu Parów Francji, o którym powiadają, iż nie mógł być raniony inaczej jak pod lewą stopę, i to jedynie za pomocą grubej szpili, a żadną inną bronią; dlatego kiedy Bernardo del Carpin pokonał go w Ronsewalu, widząc, że nie zdoła przeszyć go mieczem, podniósł go w ramionach z ziemi i udusił, zając mu śmierć taką jak Herkules Anteuszowi, owemu strasznemu olbrzymowi, który miał być synem Ziemi. Z tego, co powiedziałem, chcę wywieść, że być może i ja posiadam jakiś taki przywilej, nie, iż nie mogę być raniony, bowiem nieraz doświadczanie wykazało, że ciało mam miękkie i raczej przenikliwe, ani też, że czarom nie podpadam, bowiem już się widziałem zamkniętym w klatce, gdzie nikt nie byłby w stanie mnie wsadzić, gdyby nie moc czarów; ale jako wyzwoliłem się z tego, chcę wierzyć, że żadne inne nad mną mocy mieć nie będą; tedy czarnoksiężnicy, widząc, że na mej osobie nie mogą swych złych czarów wywrzeć, mszczą się na tym, co miuję najbardziej, i chcą pozbawić mię życia, znęcając się nad Dulcyneą, przez którą żyję. Wierzę też, że kiedy mój giermek poselstwo sprawiał, przemienili ją w chłopkę zajętą tak prostacką robotą jak wianie zboża; ale ja utrzymuję i oświadczam, że to zboże nie było pszenicą ani jęczmieniem, jeno ziarnami uriańskich perel; a na dowód tej prawdy chcę rzec waszym dostojościom, że kiedy niedawno udałem się do Toboso, nie mogłem w żaden sposób znaleźć pałaców Dulcynei; a kiedy na drugi dzień mój giermek Sanczo widział ją we własnej postaci, najpięk-

Don Kichote - Miguel Cervantez

niejszą w świecie, mnie ona wydała się chłopką brudną i brzydką, źle się wyrażają- cą, choć jest najwytworniejszą w świecie; zaś ponieważ ja nie jestem ani nie mogę 523 być zaczarowany, to wedle zdrowego rozumu ona jest zaklęta, zniekształcona, zmieniona, zamieniona i przemieniona, i na niej zemściili się moi wrogowie, i przez nią żyć będę w wieczystych łzach, póki jej w pierwotnym stanie nie zobaczę. To wszystko powiedziałem, aby nikt nie zważył na to, co mówi Sanczo o przesiewaniu czy wianiu zboża przez Dulcyneę; jeśli bowiem dla mnie ją odmienili, nie dziwota,

że i dla niego mogli ją odmienić. Dulcynea jest zacnego i dobrego rodu, z rodu owej szlachty tobosańskiej tak licznej, starożytnej i znamienitej. Zapewne przypisać na- leży Dulcynei wielką część tej sławy, dzięki której miejscowości ta słynie i będzie

wspominana przez wieki przyszłe, choć z lepszego tytułu i z większą chwałą niż Troja dzięki Helenie, a Hiszpania dzięki Cavie. Z drugiej strony chcę, abyście miłościwi państwo wiedzieli, że Sanczo jest jednym z najucieszniejszych giermków, jacy kiedykolwiek rycerzom błędny służyli; niekiedy naiwność jego jest tak bystra, że z niemałą przyjemnością pytać się można, czy jest on tak naiwny, czy tak

bystry; dla złośliwości jego można by go wziąć za hultaja, a dla niedbalstwa uważać go za fafułę, o wszystkim wątpi i we wszystko wierzy; kiedy człowiek jest przekonany, że wpadnie w głupstwa, wyskakuje z mądrością, która go pod niebo podnosi. Jednym słowem, nie zamieniłbym go za innego giermka, choćby mi w dodatku dawali i miasto; przeto w niepewności jestem, czy dobrze będzie wysyłać go na owe

rządy, które mu wasza wysokość łaskawie nadała; choć widzę w nim pewne zdolności do rządzenia i jeśli mu się dosoli nieco rozumu, da sobie radę i wyjdzie na tych rządach jak król na swoich żupach; tym bardziej że dzięki licznym doświadczeniom wiemy, iż nie potrzeba wielkiej zręczności ani wielkiej wiedzy, aby być gubernatorem, bo dziś są setki takich, którzy ledwie czytać umieją, a rządzą jak rarogi; najważniejsze jest, aby mieli dobre intencje i chęć dojścia do celu; nigdy nie

zbraknie im kogoś, kto im poradzi i pokieruje nimi, jak mają postąpić, jak to bywa

Don Kichote - Miguel Cervantez

z wielkorządami z możnych rodów, choć nie biegłymi w prawie, którzy sądzą przez zastępów. Ja mu doradzę, aby nie dał się zepsować ani prawości nie zbył, a także wiele innych pomniejszych spraw, które mi leżą na sercu, a które w swoim czasie objawię dla pożytku Sancza a korzyści całej przezeń rządzonej wyspy. Do tego punktu doszła rozmowa, kiedy książę, księżna i Don Kichote usłyszeli liczne głosy i wielki zgiełk ludzki w pałacu i naraz ujrzano Sancza, który wpadł do sali cały wzburzony, ze ścierką miasto ręcznika, a za nim kilku doskoczków, a raczej hultajów kuchennych oraz wielu innych nicponiów; jeden niósł cebrzyk wody, której barwa i czystość niepewna wskazywała raczej na pomyje; gonił on za Sanczem i starał się wszelkimi siłami umocować i przywiązać mu ten cebrzyk pod brodą, zaś drugi hultaj udawał, że chce go myć.

- Bracia, co to znaczy? - zapytała księżna. - Co to jest? Czego chcecie od tegopoczciwca? Czyż nie zważacie, że został obrany gubernatorem?

Na to odpowiedział hultaj balwierz:

- Nie chce się ten pan dać umyć, jak to jest w zwyczaju i jak umył się książę, pan nasz, i ten pan jego.
- Ależ chcę- odpowiedział Sanczo z wściekłością- ale czystymi ręcznikami, klarowniejszym ługiem i nie tak brudnymi łapami; nie masz aż takiej różnicy mię-

524

czy mną a moim panem, aby jego obmywano wodą anielską, a mnie diabelskim ługiem. Zwyczaje dziedzin i pałaców książęcych dobre są, o ile nie sprawiają przykrości, ale tutejszy zwyczaj obmywania gorszy jest niż dyscyplina biczowników. Brodę mam czystą i nie potrzebuję podobnych orzeźwień, a ten, kto się zbliży, aby

mię umyć albo mi dotknie choćby włosa z głowy, chcę rzec z brody, to - mówiąc z należnym uszanowaniem - tak mu dam pięścią, że mu ją w czaszkę wtłoczę; bo takie cyrymonie i mydliny wydają mi się raczej kpinami z gości niż grzecznościami. Mało nie zginęła księżna ze śmiechu, widząc wściekłość Sancza i słuchając słów jego; ale Don Kichotowi nie było w smak widzieć go tak owiniętym poplamioną ścierką i obskoczonym przez tylu kuchennych żartownisiów, więc złożywszy głęboki ukłon księstwu, jakby prosząc ich o pozwolenie przemówienia, spokojnym głosem rzekł do owej hałastry:

- Hola, panowie szlachta! Zostawcie waszmościowie tego młodziana i wracajcie, skąd przyszliście albo i gdzie indziej, jak się wam podoba; mój giermek jest

Don Kichote - Miguel Cervantez

tak czysty jak każdy inny, a te niecki nie są dlań stosowne. Posłuchajcie mej rady i zostawcie go; bo ani ja, ani on przedmiotem żartów być nie chcemy.

Sanczo wpadł mu w słowa i tak ciągnął dalej:

- Nie! Niech się tylko zbliżą naigrawać się z przybłędy; zniosę to tak, jak teraz jest noc! Przynieście mi grzebień, czy co tam chcecie, i oczyśćcie mi tę brodę; a jeśli znajdzie się w niej coś, co czystość obraża, niech mi ją przytną w schodki.

Na to, nie przestając się śmiać, rzekła księżna: - Sanczo Pansa ma zupełną rację we wszystkim, co powiedział i jeszcze powie; jest czysty i jak mówi, nie ma potrzeby go myć; jeśli nasz zwyczaj mu nie w smak, niech słucha swego sumienia, tym bardziej że wy, ministranci czystości, zbyt byliście niedbali i leniwi i nie wiem, czy mogę rzec, zuchwali, stawiając przed

taką osobistością i taką brodą w miejsce miedniczek i dzbanków szczerozłotych, ręczników niemieckich - cebrzyki drewniane i ścierki kredensowe.

W końcu jesteście niepoczciwi, źle urodzeni i nie umiecie, jako hultaje, ukryć nienawiści, jaką żywicie do giermków błędnych rycerzy. Rozwydrzeni kuchcikowie, a nawet i marszałek, który z nimi przyszedł, byli przekonani, że księżna mówi poważnie, zdjęli przeto ścierkę z piersi Sancza i za- wstydzili, ale i zagniewani odeszli, zostawiając go. Sanczo, widząc, że najwyższe, jak mu się zdawało, niebezpieczeństwo już nie grozi, poszedł paść na kolana przed księżną i rzekł:

- Od wielkich pań wielkich łask spodziewać się można; tej, jaką wasza miłośćdzisiaj wyświadczyła, nie można spłacić inaczej, jak pragnąć pasowania na błędne-

go rycerza, aby poświęcić wszystkie dni mego żywota w służbie tak dostońskiej pani. Jestem chłop, nazywam się Sanczo Pansa, jestem żonaty, mam dzieci i służyę za gierm- ka; jeśli z tym wszystkim mógłbym służyć waszej wysokości, rychlej bym wypełniał rozkazy, niżby wasza dostojność wydać je zdołała.

- Widać to zaraz, Sanczo - odpowiedziała księżna - że nauczyliście się być dwornym w najwyższej szkole dworności, chciałam rzec, widać, że wychowaliście

Woda toaletowa modna w czasach Cervantesa.

525 się na łonie pana Don Kichota, który musi być śmietanką wytworności i kwiatem ceremonii czy cyrymonii, jak mówicie. Błogosławieni taki pan i taki sługa, jeden jako gwiazda przewodnia błędnego rycerstwa, drugi jako światło wiernego giermkowania. Powstańcie, przyjacielu Sanczo; waszą dworność odpłacę, skłaniając księcia, mego pana, aby co rychlej zechciał spełnić obietnicę oddania wam rządów. Na tym

Don Kichote - Miguel Cervantez

skończyły się te wdzięczne rozmowy, Don Kichote udał się na spoczynek, zaś księżna prosiła Sancza, aby - o ile nie ma ochoty się przespać - przeszedł do chłodnej bardzo sali spędzić popołudnie z nią i z jej dworkami. Sanczo odpowie- dział, że choć, prawdę rzekłszy, zwykły był sypiać w upałach letnich cztery do pięciu godzin, ale aby jej łaskawości usłużyć, postara się wszelkimi siłami zwalczyć sen-ność i tego dnia ani na chwilę nie zasnąć, jej rozkazowi posłuszny. To powiedział- szy, odszedł. Książę wydał nowe polecenia, jak przystoi traktować Don Kichota jako

błędnego rycerza, nie chybając ani na włos temu, co opowiadają o sposobie życia starodawnych rycerzy. ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI o smakowej rozmowie księżnej i jej dworek z Sanczo Pansą, godnej, aby ją zapisano i przeczytano Z kolei historia opowiada, że Sanczo drzemki popołudniowej nie odprawił, ale by dotrzymać słowa, po obiedzie udał się do księżnej; ta, znaczcząc wielką przyjemność w słuchaniu go, kazała mu usiąść obok siebie na niskim karle, choć Sanczo, jako sługa prawy, siadać się wzdraagał; ale księżna rozkazała, aby usiadł jak wielkorządca, a gadał jak giermek, gdyż dla tych dwóch godności zasługuje na fotel samego Cyda Ruy Diaza Campeadora. Sanczo stulił ramiona, posłuchał i usiadł, a wszystkie dworki księżnej otoczyły go w wielkim milczeniu, uważnie słuchając, co powie; księżna pierwsza przemówiła w ten sposób:

- Teraz kiedy jesteśmy sami i kiedy nikt nas nie słucha, chciałabym, abyście, mości wielkorządco, wywiedli mię z pewnych wątpliwości, które zrodziły się we mnie po przeczytaniu drukowanej historii Don Kichota; oto jedna z nich: jeżeli cny

Sanczo nigdy nie oglądał Dulcynei, chcę rzec:
pani Dulcynei z Toboso, ani nie od- dał jej listu
pana Don Kichota, ten bowiem pozostał w
kartkach notatnika w Sierra

Morena, jakże odważył się zmyślić odpowiedź i rzec, że zastał ją przesiewającą zboże? Wszak to były wszystko żarty i kłamstwo przynoszące ujmę dobrej sławie niezrównanej Dulcynei, rzeczy tak niegodne zalet i wierności dobrego giermka. Na te słowa Sanczo, nic nie odpowiadając, podniósł się z karła i cichcem, pochylony, z

Don Kichote - Miguel Cervantez

palcem na ustach, obszedł całą salę, unosząc zawieszone kołtryny; uczyniwszy to, powrócił, usiadł i rzekł: 526 – Teraz, pani moja, kiedy przekonałem się, że oprócz obecnych nikt nas niesłucha po kryjomu, bez obawy i niepokoju odpowiedem na wasze pytanie oraz na wszystkie, jakie mi zadać raczycie; najpierw powiem, że uważam mego pana Don Kichota za zupełnego szaleńca, chociaż nieraz mówi rzeczy, które moim zdaniem oraz wszystkich, którzy go słuchają, są tak mądre i tak dobrze wywiedzione, że sam

diabeł nie mógłby lepiej powiedzieć; ale mimo wszystko, zaprawdę i bez skrupułów mniemam, że jest pomylony. I jako to sobie w głowę wbiłem, odważam się wmaniać weń coś, co nie ma ani nóg, ani głowy, jak to było z ową odpowiedzią na list albo jak to było przed sześciu czy ośmiu dniami

- co jeszcze nie jest zapisane

w historii, a co wiedzieć trzeba - z zaczarowaniem pani Dulcynei, kiedy wmówiłem weń, że jest zaklęta, choć to taka prawda, jakbym pływał po górach

Ubedy. Księżna prosiła go, aby opowiedział, jak było z owym zaczarowaniem czy też żartem, i Sanczo gadał wszystko ku wielkiej uciechę słuchaczek; wysłuchawszy opowiadanego, rzekła księżna:

- Z tego, co cny Sanczo opowiedział, zrodził się w mojej duszy pewien skrupuł i jakby mi szepce do ucha: "Jeżeli Don Kichote z Manczy jest szalony, pomylony i pozbawion rozumu, a Sanczo Pansa, jego giermek, wie o tym, a mimo wszystko służy mu i towarzyszy oraz pokłada nadzieję w próżnych jego obietnicach, bez wątpienia musi być bardziej szalony i bezrozumny niż pan jego; jeżeli zaś tak się

sprawy mają, za złe by ci, księżno pani, wzięto, gdybyś takiemu Sanczowi dała rządy wyspy; jeżeli bowiem nie umie się sam rządzić, jakże potrafi rządzić drugimi?"

- Przebóg, pani! - zawała Sanczo. - Ten skrupuł jest słuszny, możecie mu, wasza miłość, rzec, aby mówił jaśniej czy jak tam zechce; ja wiem, że mówi prawdę; gdybym ja był mądry, od dawna byłbym mego pana porzucił. Ale taki mój los i mój pech, nie mogę i muszę mu towarzyszyć, jesteśmy z tej samej wioski; jadłem jego chleb; miuję go bardzo; jest wdzięczny, dał mi swoje żrebaki, a przede wszystkim jestem wierny; tedy nic nas rozdzielić nie może, chyba motyka i rydel. A jeśli wasza wysokolotność nie zechcecie mi dać owych przyobieczanych rządów, Bóg mię postawił nisko i może się zdarzyć, że ta odmowa wyjdzie na dobre memu sumieniu;

bo choć głupi, rozumiem to przysłowie: Mrówce skrzydła na zgubę wyrosły, a nawet zdarzyć się może, że rychlej Sanczo-giermek do nieba się dostanie niż Sanczo-gubernator. Równie dobry tu chleb pieką jak we Francji, a po ciemku wszystkie koty są szare; nieszczęsny ten człek, który o drugiej po południu jeszcze nie śniadał; nie masz żołądka, który byłby o dłoń większy od drugiego; każdy można napełnić choćby słomą i sianem; ptaszki polne w Bogu mają opiekuna i żywiciela; a lepiej grzeją cztery łokcie grubego sukna z Cuenca niż cztery cienkiego z Segowii. Opuszczając ten świat, kiedy nas do ziemi zakopią, jednaką wąską ścieżką idzie książę i wyrob- nik, a ciało papieża nie zajmuje więcej miejsca niż ciało zakristiana, choćby był i wyższy od niego; schodząc do grobu, wszyscy się ściskamy, kurczymy i malejemy, a raczej nas ściskają i kurczą, choćby nam to przykro było i... dobranoc! Powtarzam raz jeszcze, że jeśli wasza dostojność nie zechce mi dać tej wyspy dlatego, żem głupi, potrafię nie dbać o to, bom mądry; słyszałem, że często za krzyżem diabeł

stoi i że nie wszystko złoto, co się świeci, i że od plugów, wołów i jarzma oderwano wieśniaka Wambę, aby go królem Hiszpanii uczynić, zaś spomiędzy brokatów, rozry-

527

wek i bogactw wyrwano Rodryga, aby go żmije pożarły, o ile stare romance nie kłamią.

- Jak to, o ile nie kłamię! - wtrąciła na to Dona Rodriguez, ochmistrzyni, która była pośród słuchaczek. - Istnieje romana, która opowiada, jak króla Rodryga żyw- cem wrzucono do jamy pełnej ropuch, żmij i jaszczurów i jak po dwóch dniach skarżył się król Rodryg z głębi jamy boleśnie i cicho:

Już mnie jedzą, już mi gryzą Członki, którymi grzeszyłem.

I dlatego wielką rację ma ten jegomość, mówiąc, że raczej woli być wieśniakiem niż królem, jeżeliby go miały gadziny pożreć.

Nie zdołała księżna powstrzymać się od śmiechu z naiwności swojej ochmistrzyni ani wyjść ze zdumienia, słuchając słów i przysłów Sancza, do którego rzekła: - Wiem dobrze, cny Sanczo, że co raz rycerz przyzeknie, winien dotrzymać, choćby i życiem miał przypłacić. Książę, mój pan i małżonek, choć nie należy do błędnych, niemniej jednak jest rycerzem; przeto dotrzyma słowa i obietnicy wyspy na przekór zawiściom i złośliwościom świata. Niech więc Sanczo będzie dobrej myśli, bo kiedy się najmniej spodziewać będzie, zasiądzie na tronie swej wyspy i państwa i obejmie władztwo, którego nie zamieni chyba na trzykroć bogatsze. Na-

Don Kichote - Miguel Cervantez

kazuję mu jeno, aby w rządach swoich dbał o poddanych, zważywszy, że wszyscy są wierni i dobrze urodzeni.

- Co się dobrego rządzenia tyczy - odparł Sanczo - nie potrzeba mi tego nakazywać, bom z natury litościwy i współczujący biedzie; kto piecze i miesi w dzieży,

kraść mu chleba nie należy; ale na moje świętości, niech nie próbują mię oszukiwać: jestem stary pies i rozumiem się na psich figlach, umiem się obudzić w stosownym czasie, nie pozwolę sobie muszek pod nos puszczać, bo wiem, jaki but mię uciska; mówię to, bo z dobrymi pójdę ręką w rękę i przystęp do mnie będą mieli otwarty, a żli ani pomocy, ani przystępu. Wedle mnie, w rządzeniu jest najtrudniej-

szy początek i być może, że po dwóch tygodniach rządów lepiej się będę znał na tym urządzie niż na uprawie roli, na której wyrosłem.

- Macie rację, Sanczo - rzekła księżna - nikt nie rodzi się uczonym, wszakbiskupów robią z ludzi, a nie z kamieni. Ale wracając do niedawnej rozmowy o zaczarowaniu pani Dulcynei, uważam za rzecz pewną i więcej niż dowiedzioną, że ów pomysł Sancza, aby z pana zakpić i wmówić weń, że owa chłopka jest Dulcyneą, a jeżeli pan jej nie poznaje, to zapewne dlatego, że jest zaczarowana, był po-

mysłem któregoś z czarnoksiążników, którzy pana Don Kichota prześladują; wiem bowiem istotnie, prawdziwie i z dobrego źródła, że owa chłopka, która na oślicę wskoczyła, była i jest Dulcyneą z Toboso, a zacny Sanczo, myśląc, że pana oszukuje, sam oszukany został; nie można wątpić o tej prawdzie jak i o rzeczach, których nigdy nie widzieliśmy; wiedziecie, mości Sanczo, że i my mamy również czarowników nam życzliwych, którzy nam mówią, co się na świecie dzieje, po prostu i szcze-

rze, bez wykrętów ni mactw, i wierzcie mi,
Sanczo, że owa chłopska skoczka była i jest
Dulcyneą z Toboso, zaczarowaną jak jej rodzona
matka, i kiedy najmniej się 528

spodziejemy, ujrzymy ją we własnej postaci, a wówczas Sanczo pozbędzie się złudzenia, w jakim trwa.

- Wszystko to możliwe - rzekł Sanczo Pansa - teraz już chcę wierzyć i w to, co mi mój pan opowiada, jakoby w Grotie Montesinosa oglądał; mówi, że widział tam panią Dulcyneę z Toboso w tej samej postaci i odzieniu, w jakich ją-jąk rzekłem - widziałem wówczas, kiedy ją dla własnej przyjemności zaczarował. I

Don Kichote - Miguel Cervantez

wszystko musi być na opak -jak to wasza wysokość, pani moja, mówicie - bowiem, wedle mego słabego umysłu, nie mogę ani rusz pojąć, jak by w jednej chwili zdołał wymyślić tak subtelne kłamstwo, ani też sądzę, że mój pan jest aż tak szalo-

ny, aby moje słabe i mizerne przekonywanie zdołało skłonić go do uwierzenia w rzecz tak niedorzeczną. Ale, pani, nie lza stąd łaskawości waszej

wnosić, żem jest złośliwy, bowiem taki prostak jak ja nie jest obowiązany przenikać myśli i zło-

sliwości najgorszych czarowników; zmyśliłem to, aby ujście wyrzutów mego pana, Don Kichota, a nie miałem zamiaru go obrazić; a jeśli inaczej się stało, jest Bóg na niebie, który serca sądzi.

- To prawda - rzekła księżna - ale niech mi teraz Sanczo odpowie, co to wspomnieliście o Grocie Montesinosa, rada bym to wiedzieć.

Wówczas Sanczo Pansa opowiedział dokładnie, co już przytoczyliśmy o tej przygodzie. Co usłyszawszy, księżna rzekła:

- Z tego zdarzenia wnieść można, że jeśli wedle opowiadania wielkiego DonKichota widział on tam tę samą chłopkę, którą Sanczo spotkał wyjeżdżającą z Toboso, jest to bez wątpienia Dulcynea i że nasi czarownicy są bardzo czujni, choć nad miarę ciekawi.
- Co do mnie, mówię - rzekł Sanczo Pansa - że jeśli pani moja Dulcyneaz Toboso jest zaczarowana, tym gorzej dla niej; bo ja nie czuję się na siłach stanąć przeciw wrogom mego pana, którzy muszą być liczni i żli. Zaprawdę, ta, którą ja widziałem, była chłopką i za chłopkę ją miałem, i za taką osądziłem, a jeśli ona była

Dulcyneą, nie mnie to przypisać należy ani mnie za to obwiniać i pal sześć! Inaczej na każdym kroku zanudzano by mię tylko: "Sanczo powiedział, Sanczo zrobił, Sanczo tu, Sanczo tam!", jakoby Sanczo był nie wiem kim, a nie tym

samym Sanczo Pansą, który już świat w książkach obiega, jak mi mówił Samson Carrasco. a ten przynajmniej jest osobistością ubakałarzowaną w Salamance, tacy nie mogą kłamać, chyba że im się tak spodoba i że im to po myśli; nikomu tedy nic do mnie; a że dobrą sławą się cieszę, zaś wedle tego, co mój pan mówi - więcej warte dobre imię niż liczne bogactwa, wsadźcie mię na te rządy, a zobaczycie cudeńka, bo kto był dobrym giermkiem, ten i dobrym wielkorządcą będzie.

- Wszystko, co tu cny Sanczo powiedział - rzekła księżna - to katońskie sentencje, a przynajmniej dobyte z samych trzewiów Micaela Verino, który florentibus

Don Kichote - Miguel Cervantez

occidit annis\ Jednym słowem, mówiąc na modłę Sancza, pod nędznym płaszczem zwykł dobry pijak siedzieć.

- Zaiste, pani - odparł Sanczo - nigdy w życiu nie piłem z nałogu; z pragnienia tak, bo nic nie mam ze świętoscza; piję, kiedy mam ochotę, a choć i nie mam,
Zgasł w kwiecie wieku (łac).

529 kiedy mię częstują, aby się nie wydać

delikatkiem i źle wychowanym; bo kiedy druh

przypija, miałyby serce z marmuru, kto by nie odpowiedział. Ale choć buty wkładam, nie brudzę ich, zwłaszcza że giermkowie błędnych rycerzy prawie zawsze piją wodę, włócąc się ciągle przez lasy, gaje, łąki, góry i skały, nie znachodząc wina ani kropelki, choćbyś oko dał za nie.

- Zgadzam się z tym - rzekła księżna - a teraz niech Sanczo idzie sobie odpocząć; pogadamy jeszcze szerzej kiedy indziej, wydam zaraz rozkazy, aby was -jak mówicie - wsadzić na owo wielkorządztwo.

Sanczo znów ucałował ręce księżnej i prosił o łaskę, aby miano staranie o jego siwka, który jest światłem jego oczu.

- A cóż to za siwek? - zapytała księżna.

- To mój osioł - odpowiedział Sanczo.- Aby go tak nie nazywać, nazywam gosiwkiem. Kiedy wszedłem do tego zamku, prosiłem tę panią ochmistrzynię, aby miała

o niego staranie, ale tak się rozsierdziła, jakbym jej był rzekł, że jest brzydka i stara, a przystojniejszą i właściwszą ochmistrzyniom rzeczą byłoby karmić bydlęta niż w salach paradować. Przebóg, jakże nie znosił tych jejmości pewien szlachcic z mojej wsi.

- Musiał to być jakiś prostak - rzekła Dona Rodriguez, ochmistrzyni - gdyby był szlachcicem i dobrze urodzonym, wynosiłby je ponad księżyc.

- Już dobrze - rzekła księżna - dość tego, zamilczcie, Dona Rodriguez, i uspokójcie się, panie Pansa, mojej pieczy zostawcie starania o siwka -jako że jest on klejnotem Sancza, droższy mi będzie niż żrenice moich oczu.

- Wystarczy, jeśli będzie w stajni - odpowiedział Sanczo - bo ani on, ani ja nie jesteśmy godni być żrenicą oka waszej wysokości ani przez chwilę i nie zezwoliłbym na to, jak i na to, aby mię kułakiem częstowano, choć mój pan mówi, że w sprawach dworności raczej jedną kastę więcej stracić niż mniej - ale do spraw końskich i oślich trzeba raczej przystępować z cyrklem i z miarą w ręce. - Niechże go

Don Kichote - Miguel Cervantez

Sanczo weźmie - rzekła księżna - ze sobą na wielkorządztwo, tam będzie mógł mu dogadzać, jak zechce, a nawet można go zwolnić od pracy. - Nie wiecie, wasza miłość, pani księżno, jak utrafiliście - rzekł Sanczo - widziałem już niejednego osła na urzędzie i nie byłoby w tym nic nowego, gdybym mego nań wyniósł.

Słowa Sancza wzbudziły nowy śmiech i wesołość księżnej. Odesławszy go na spoczynek, poszła zdać sprawę księciu z tego, co się działo, i oboje ułożyli plan i porządek krotochwili zaiste doskonałej, jaką urządzić chcieli Don Kichotowi, całkowicie na kształt obyczajów rycerskich; ułożyli ich wiele tak udatnych i sprytnych, że zaliczają się one do najlepszych przygód, jakie ta długa historia zawiera.

530

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

opowiada, jak odkryto sposób odczarowania niezrównanej Dulcynei z Toboso, a jest to jedna z najsłynniejszych przygód w tej książce Wielką uciechę znachodzili książę i księżna w rozmowie z Don Kichotem i Sanczo Pansą; utwierdzało ich to w zamiarze urządzenia jakieś krotochwili, która

by miała pozór i wygląd przygód. Osnowę wzięli z tego, co im Don Kichote opowiadał o Grocie Montesinosa, aby przygotować przepyszna krotochwilę. Ale najbardziej zdumiewała księżnę prostoduszność Sancza, tak wielka, iż uwierzył niezbicie w zaczarowanie Dulcynei z Toboso, choć sam był tym czarodziejem i sprawcą. Wydali tedy służbie rozkazy, co ma czynić, i po sześciu dniach zaprosili Don Kichota na łowy z nagonką oraz z takim orszakiem myśliwych i naganiaczy, jakby to był orszak koronowanego króla. Ofiarowali Don Kichotowi strój myśliwski, a Sanczowi również zielony, z cieniutkiego sukna; ale Don Kichote nie chciał stroju włożyć, mówiąc, że następnego dnia będzie musiał wrócić do twardego rzemiosła zbrojnego, nie może przeto zabierać ze sobą garderoby ni sprzętu. Sanczo przyjął, co dali, z zamiarem sprzedania tego przy pierwszej lepszej okazji.

Nadszedł wreszcie dzień oczekiwany, włożył zbroję Don Kichote, przyodziałał się Sanczo i dosiadłszy siwka, którego porzucić nie chciał, choć mu ofiarowano konia, wmieszał się w tłum poganiaczy. Księżna ukazała się wytwornie ustrojona, a Don Kichote, zawsze nader dworny i uprzemysły, trzymał wodze jej stępaka, choć książę nie chciał zrazu na to pozwolić. Dotarli wreszcie do kniei rozciągającej się między dwiema bardzo wysokimi górami, zajęli stanowiska, zasiadki i ścieżki, ludzi rozesłano na rozmaite przejścia i zaczęto łowy z wielkim zgiełkiem, krzykiem i

Don Kichote - Miguel Cervantez

nawoływaniem, tak że dla psów szczekania i trąb grania jedni drugich słyszeć nie mogli.

Księżna zsiadła z konia i z ostrym, krótkim oszczepem w ręku stanęła na stanowisku, którydy, jak wiedziała, zwykły przemykać odyńce. Zsiadł również książę i Don Kichote i stanęli u jej boku. Sanczo zajął miejsce za wszystkimi w tyle, nie zsiadając z siwka, którego opuścić się nie odważył, aby go coś przykrego nie spottkało.

Zaledwie zajęli stanowisko na skrzydle, a z nimi liczni dworacy, ujrzeli, jak szarpany przez psy i ścigany przez łowców sadzi na nich olbrzymi odyniec, kłapiąc zębami i kłami, tocząc pianę z pyska; widząc to, Don Kichote zarzucił tarczę, po-

chwycił miecz i wyszedł mu naprzeciw; wystąpił podobnie książę ze swym oszczepem; ale wszystkich byłaby wyprzedziła księżna, gdyby jej książę nie przeszkodeił.

Jedynie Sanczo, widząc strasznego zwierza, zeskoczył z siwka i zaczął zmykać, ile miał sił; starał się wdrapać na wysoki dąb, co mu się nie udawało; kiedy był już w połowie wysokości, chwycił za gałąź, usiłując wydostać się na wierzchołek, ale na jego pech i nieszczęście gałąź złamała się, on zaś, spadając, zawisł w powietrzu

uczepiony na odłamku konaru, nie mogąc dosiągnąć ziemi. W tym położeniu, widząc, jak drze się zielony strój, w trwodze, że ów dziki zwierz dopadnie go i dosięgać nie, zaczął

wrzeszczeć i wołać tak przeraźliwie, że

wszyscy, słysząc go, a nie wi-

dząc, byli pewni, że już wpadł w zęby jakiejś srogiej bestii. Wreszcie odyniec o wielkich kłach został przeszyty ostrzami licznych oszczepów, które mu przeciw stanęły; a Don Kichote, obróciwszy głowę na wrzaski Sancza, po których poznał go od razu, dojrzał go zawieszonego na dębie, głową na dół, zaś obok niego siwka,

który go w niedoli nie opuścił; mówi Sidi Hamet, iż rzadko widywano Sancza bez siwka, a siwka bez Sancza: taka była przyjaźń i wierność, jaką ku sobie żywili.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Podszedł Don Kichote i odczepił Sancza; ten, widząc się wolnym i stojąc na ziemi, spojrzał na swój myśliwski strój rozdarty i ciężko mu się zrobiło na duszy, bo już myślał, że ta szata za majorat mu starczy. Tymczasem potężnego dzika przetrzucono przez grzbiet mulicy i przykrywszy go pękami rozmarynu i gałęziami mirtu, zawieziono jako łup zwycięski ku wielkim namiotom polowym ustawnionym pośrodku kniei. Tam zastano stoły nakryte i przygotowany posiłek, którego obfitość i wystawność świadczyła o wielkości i wspaniałości gospodarzy. Sanczo pokazując księżej rany swego podartego stroju, rzekł:

- Gdyby to było polowanie na zajęce czy ptaszki, mój strój nie byłby w takim opłakany stanie. Nie wiem, co to za przyjemność czatować na zwierza, który jeśli

was kłami zaczepi, może żywota pozbawić; przypominam sobie starodawną romance, jaką słyszałem, brzmiała ona:

Niedźwiedzie ciebie rozedrą

. , Jak sławionego Fawile.

- To był król gocki - rzekł Don Kichote - który w czasie łowów na grubego zwierza został przez niedźwiedzia pożarty.
- Właśnie to mówię - odparł Sanczo - nie chciałbym, aby księżęta i królowienarażali się na podobne niebezpieczeństwa dla przyjemności, która wedle mego zdania, nie jest godziwa, bowiem polega na zabiciu zwierza - który nic złego nie zrobił.

- Mylicie się, Sanczo - odpowiedział księżę - łowy bowiem na grubego zwierza są ze wszystkich ćwiczeń najprzystojniejszą i najwłaściwszą rozrywką dla królów i książąt. Łowy to jakby obraz wojny: mamy w nich podstępy, wybiegi i zasadzki; aby zwyciężyć wroga i wyjść cało, trzeba znosić podczas nich największe mrozy i nieznośne upały, ukrócić spoczynek i sen; siły w ten sposób rosną, członki

tego, który w nich udział bierze, nabijają zwinności, jednym słowem, jest to zajęcie, które nikomu szkody nie przynosi, a wielu sprawia przyjemność; najlepszą jego stroną to, że nie jest dla wszystkich, jako inne rodzaje polowań bywają, z wyjątkiem

polowania z sokołami, które również tylko królom i możnym przystoi. Tedy, Sanczo, zmieńcie zdanie i kiedy będziecie wielkorządcą, zajmujcie się łowami, a zobaczycie, że się to wam stokrotnie opłaci.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Co to, to nie! - odpowiedział Sanczo. - Dobry wielkorządca zawsze siedziw domu jak złamana nogą. Dobrze by to było, gdyby ludzie potrzebujący szukali go, utrudzając się, a on zabawiał się w borach! Wielkorządztwo by wkrótce diabli wzięli! Na mą duszę, panie, łowy i rozrywki są raczej dla próżniaków, a nie dla wielu korządców. Zabawiać się myślę na wielkie święta grą w trumpfa, a kręglami w niedzielę i święta; zaś te łowy czy ławy nie godzą się z mą godnością, ani z moim sumieniem.

- Daj Boże, aby tak było, Sanczo; bowiem od słowa do czynu daleka droga.- Niech będzie, co chce - odparł Sanczo - dobremu płatnikowi nie żał zadatku, więcej wart ten, któremu Bóg daje, niż ten, co rano wstaje, wątpię nogi wodzą, a nie nogi wątpię; chcę rzec, że z pomocą Bożą, jeśli będę czynić, co należy, w dobrej myśli, ani chybi rządzić będę lepiej od rara. Niech mi ino palec do gęby włożą, a zobaczą, czy kąsam, czy nie!

- Bądź przeklęty od Boga i wszystkich jego świętych, Sanczo potępieńcze rzekł Don Kichote - kiedyż nadjdzie dzień, jak nieraz ci mówiłem, abym usłyszał cię mówiącego porządnie, słowami rozsądnymi, a bez przysłów! Zostawcie tego głupca, wasze dostojości, państwo moi, bo zmieli wam duszę nie między dwoma, ale między dwoma tysiącami przysłów tak nie do rzeczy i nie na czasie, że niechby Bóg miał pieczę nad moją duszą i nad jego, gdybym ich chciał słuchać. - Przysłowia Sanczo Pansy - rzekła księżna - choć liczniejsze niż komentatora greckiego, nie mniej przeto godne są poważania dla zwiągłości sentencji. Co do mnie, rzec muszę, że znajduję w nich większą przyjemność niż w innych, choćby tamte były lepiej wygłoszone i zastosowane. Wśród takich i innych rozmów i rozważań wyszli z namiotu do lasu, aby obejść niektóre zasiadki i stanowiska, na czym upłynął im dzień i zapadła noc, nie tak ja-
sna i pogodna, jakby można się było spodziewać o tej porze roku, jako że była to połowa lata, ale ów pewien półmrok, jaki przyniosła, był bardzo po myśli księstwu.

Otóz kiedy ściemniać się zaczęło, zanim jeszcze mrok zapadł, nagle wydało się, jakby knieja z czterech stron rozgorzała i naraz dały się słyszeć tu i tam, ówdzie i zewsząd niezliczone trąby i inne

instrumenty wojenne, jakby liczne oddziały jazdy las

prze-

biegały. Łuna ognia i dźwięk wojennych instrumentów oślepiąły oczy i ogłuszały uszy zebranych i zgoła wszystkich przebywających w borze. Potem usłyszano nieskończone ałłakowania na modłę Maurów idących do boju, zadzwoniły trąby i puzony, zagrzmiały bębny, zadźwięczały piszczałki, wszystko naraz tak uporczywie i tak przeraźliwie, że trzeba było być głuchym, aby słuchu w zgiełku tylu instrumentów nie stracić. Oniemiał książę, straciła dech księżna, osłupiał Don Kichote, trząsł się Sanczo Pansa, a nawet wtajemniczeni w przyczynę tego wszystkiego prze-

razili się. Lęk zmusił ich do milczenia, gdy nagle goniec w stroju diabła przebiegły, dmąc miasto w trąbę w olbrzymi róg, który wydawał głos ochrypły i przeraźliwy. - Hola! Bracie gończe - odezwała się książę - ktoś ty? Dokąd dążysz? Cóż to za zbrojni ludzie przez las ciągną?

Na to odpowiedział goniec głosem strasznym i przeraźliwym:

-- Jestem diabeł. Poszukuję Don Kichota z Manczy. Ludzie, którzy się tu zbliżają, to sześć hufców czarowników, którzy na triumfalnym wozie wiodą niezrównaną Dulcynę z Toboso. Wraz z zaklętą jedzie dzielny rycerz Montesinos, aby Don Kichotowi wyjawić, jak zdjąć czary z tej pani.

- Gdybyś był diabłem, jak twierdzisz i jak twa postać wskazuje, już byłbyś poznął rycerza Don Kichota z Manczy, bo go masz przed sobą.

533

- Na Boga i na sumienie - odparł diabeł - nie zauważylem go; tyle spraw zaprzata mi myśli, że najważniejszej, dla której jadę, przepomniałem. - Ani chybi - rzekł Sanczo - ten diabeł to zacny człek i dobry chrześcijanin być musi, inaczej nie kląłby się na Boga i na sumienie. Odtąd już wiedzieć będę, że nawet w samym piekle musi być dobry naród.

Diabeł, nie zsiadając z konia, obrócił wzrok na Don Kichota i rzekł: - Do ciebie, Rycerzu Lwów (obym cię co rychlej w szponach mych zobaczył), przysyła mię nieszczęsny, ale waleczny rycerz Montesinos, polecając ci, abyś cze-kał w tym miejscu, gdzie cię spotkam, wiedzie bowiem z sobą tę, którą zowią Dulcynę z Toboso, aby ci objawić sposoby jej odczarowania. A jako innego celu moje zjawienie nie miało, nie lza mi tu dłużej zostawać, niech szatani mnie podobni zostają z tobą, a dobrzy aniołowie z tym państwem. To rzeklszy, zadął w róg przeraźliwie, odwrócił się i odjechał, nie czekając odpowiedzi.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Nowe zdumienie ogarnęło wszystkich, a osobliwie Sancza i Don Kichota; Sancza, gdy widział, że na przekór prawdzie utrzymywano, iż Dulcynea jest zaczarowana; Don Kichota, bo nie mógł rozeznać, zali prawdą jest czy nie, co mu się zdarzyło w Jaskini Montesinosa. I kiedy rozmyślał nad tym, książę zapytał: - Czy zamierzacie tu czekać, panie Don Kichocie?

- Czemuż by nie? - ów odpowiedział. - Tu czekać będę nieustraszony i silny, choćby mi całe piekło przeciw stanęło.
- A ja, jeśli my miał innego diabła oglądać i słyszeć inny podobny róg, to raczej zaczekałbym we Flandrii niż tutaj - rzekł Sanczo.

Tymczasem zapadła zupełna ciemność i w borze zaczęły przebiegać liczne światełka, jak po niebie biegają wyziewy suchej ziemi, które zdają się spadającymi gwiazdami. Dał się równocześnie słyszeć przerażający łoskot na kształt tego, jaki czynić zwykły ciężkie koła wozów ciężarowych ciągnionych przez woły, których skrzypienie przykre i ustawiczne płoszy, jak mówią ludzie, wilki i niedźwiedzie, jeśli znajdą się w pobliżu. Do tych wszystkich hałasów przyłączył się inny, który je wzniósł jeszcze, bo zdawało się, jakby w czterech stronach boru równocześnie toczyły się cztery bitwy: tam grzmiał głuchy odgłos przerażającej artylerii, ówdzie

waliły niezliczone muszkiety, dokoła słyszać było jakby głosy walczących, w oddali powtarzały się wojenne alakowania Maurów. Wreszcie rogi, trąbki, trąby, oboje, bębny, artyleria, rusznice, a nade wszystko przerażający łoskot wozów zlały się w taki rumor

zmieszany i straszliwy, że Don Kichote musiał zebrać całą odwagę, aby to znieść; ale odwaga Sancza legła na ziemi i padł niemal zemdłony w fałdy sukni księżnej, która go podtrzymała i rozkazała natychmiast skropić mu twarz wodą. Tak się stało, a kiedy wrócił do przytomności, już wóz skrzypiący wtaczał się na polanę. Ciagnęły go cztery ocięzałe woły, całe okryte czarnymi kapami; do każdego ich rogu przymocowana była wielka płonąca woskowa pochodnia, a na wozie wznosiło się wysokie siedzenie, na którym jechał czcigodny starzec z brodą bielszą od śniegu, a tak długą, że niżej pasa sięgała; odziany był w szatę z czarnego drelichu, a że wóz był pełen niezliczonych świateł, można było łatwo wszystko na nim roz-

Don Kichote - Miguel Cervantez

różnić. Wóz prowadziło dwóch szkaradnych diabłów odzianych podobnie, z tak wstrętnymi obliczami, że Sanczo, raz na nich spojrzał, zamknął oczy, aby ich więcej nie oglądać.

Wóz zrównał się z nimi, a z wysokiego siedzenia powstał czcigodny starzec i donośnym głosem zawałał:

- Jestem czarnoksiążnik Lirgand.

I wóz przejechał, a on słowa więcej nie rzekł. Za nim zbliżył się inny wóz, podobny, z drugim starcem na tronie; ten, zatrzymawszy wóz, głosem równie poważnym jak tamtem rzekł:

- Jestem czarnoksiążnik Alquife, wielki przyjaciel Urgandy Zwodnicy.

I pojechał precz.

Zaraz zbliżył się trzeci wóz tego samego kształtu, ale ten, co na tronie siedział, nie był jak tamci starcami, jeno mężem silnym, niemiłego oblicza; ten, powstawszy, głosem bardziej ochrypłym i diabelskim rzekł:

- Jestem Arkalaus czarnoksiążnik, wróg śmiertelny Amadisa z Galii i całej jego swojaciny.

I przejechał precz. Nie ujechawszy daleko, trzy wozy zatrzymały się i ustąpiły nieznośny łoskot ich kół, za to słyszeć się dał nie łoskot już, a dźwięk słodkiej i harmonijnej muzyki; Sanczo uradował się, uważając to za dobry znak i odezwał się do księżnej, od której ani na chwilę krokiem się nie oddalał: – Pani, tam gdzie jest muzyka, nie może być nic złego.

- Ani gdzie jest światło i jasność - odpowiedziała księżna. Na to Sanczo odparł:

- Światło jest od ognia, a jasność od żarowisk, które widzimy dokoła i od których spłonąć możemy, ale muzyka zawsze zapowiada wesołość i uroczystość.

- Zobaczmy - rzekł Don Kichote, który wszystkiemu się przysłuchiwał.

I prawdę mówił, jak się okaże w następnym rozdziale. ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

zawiera dalszy ciąg wiadomości, jaką otrzymał Don Kichote o odczarowaniu Dulcynei, oraz o innych zadziwiających wypadkach

Przy dźwiękach miłej muzyki ujrzało nadjeżdżający wóz z tych, co je "triumfalnymi" zowią, ciągniony przez sześć siwych mulic w kapach z białego płótna; na każdej siedział pokutnik, również biało odziany, z wielką zapaloną pochodnią woskową w ręku. Wóz ten był dwakroć lub trzykroć większy od poprzednich, a po bokach i na szczycie siedziało dwunastu innych pokutników białych jak śnieg, z płonącymi

Don Kichote - Miguel Cervantez

pochodniami; widok ten zachwycał, ale i przerażał jednocześnie; na wyniosłym tronie siedziała nimfa otulona w tysiąc srebrnych gaz, lśniących od nie⁵³⁵ zliczonych złotych blaszek, które nadawały jej jeśli nie bogaty, to wspaniały pozór. Twarz jej zakrywała zasłona z przejrzystego, delikatnego jedwabiu, którego wiotka

osnowa nie przeszkadzała widzieć najurodziwszych rysów dziewczyny, zaś liczne światła pozwalały rozróżnić jej piękność i wiek, który nie wydawał się wyższy niż

dwendzieścia ani niższy niż siedemnaście lat. Obok niej siedziała postać odziana szatą powłoczystą, do stóp spływającą, głowę jej okrywał czarny welon, ale kiedy wóz stanął naprzeciw księstwa i Don Kichota, ustała muzyka piszczałek, a wnet zamilkły harfy i lutnie, które na wozie rozbrzmiewały; potem powstała osoba w całunie, rozchyliła szatę na obie strony, odrzuciła welon z twarzy i ukazała się oto Śmierć we własnej postaci, tak koścista i obrzydliwa, że Don Kichote wzdrygnął się ze wstrętu, Sanczo ze strachu, a sami księstwo odczuli coś na kształt lęku. Powstała na równe nogi owa żywa Śmierć i głosem nieco sennym, językiem jakby nierozbudzonym, zaczęła mówić w ten sposób: Jestem Merlinem, o którym powieści

Mówią, że ojcem był mu szatan z piekła

(Kłamstwo, przez liczne wieki uświęcone). . . Jam książę magii, król jej, archiwista

Całej tajemnej wiedzy Zoroastrą,

Współzawodniczę z czasem i wiekami,

Które by chciały w niepamięci zatrzeć

Przewagi błędnych, walecznych rycerzy, Których darzyłem i darzę miłością.

Magów i wszystkich

czarodziejów zawsze

Twarda, surowa, szorstka i

brutalna,

Moja jest czuła, łagodna, miłosna I chętnie wszystkim ludziom dobrze czyni.

W ciemnych czeluściach podziemnych Plutona,

Gdzie moja dusza była pogrążona,

Kreśląc figury i pisma magiczne,

Głos mię doleciał smutny niezrównanej Toboso pani, pięknej Dulcynei.

Nie było tajne mi niecne zaklęcie,

Które zmieniło tę szlachetną
panią .. > ; W
prostaczkę wiejską, i litość
mię wzięła.

Przeto zamknąłem ducha w szkielet wstrętny,
Przewertowałem sto tysięcy książek Mojej nauki
szatańskiej, przeklętej, . .

I tu przybywam, by wam podać leki . | Na tą żałobę straszną i nieszczęście.
Chwało, honorze wszystkich, którzy noszą
Kirys stalowy, twardy jako diament,
Światło, pochodnio, przewodniku, gwiazdo

536

Tych, co rzuciwszy gnuśny sen i puchy
Miękkiego łoża, podejmują twarde Rzemiosło wojny, ciężkie oraz krwawe!
Do ciebie mówię, mężu, nigdy zadość , Niewysławiony, do ciebie, waleczny
. I mądry razem, panie Don Kichocie, Splendorze Manczy i Hiszpanii gwiazd:
Trzeba, by Sanczo, twój giermek, obnażył
Swoje potężne dwa tłuste pośladki,
Na wiatr je podał i by trzy tysiące
I trzysta batów sobie dać pozwolił,
Niech go to boli, piecze, niech go złości,
Tak oto wszyscy ci postanowili,
Którzy niedoli owej są sprawcami, I po to
jestem tutaj, mości państwo.

Tam do diaska - zawałał na to Sanczo - trzy tysiące batów! Ależ nie dałbym sobie i
trzech batów ani trzech kuksów. Niech diabeł porwie takie sposoby zdejmowania
czarów! Nie wiem, co mają wspólnego moje pośladki z czarami. Przebóg, jeśli
jegomość Merlin nie znalazł innego sposobu odczarowania
pani Dulcynei z Toboso, może zejść do grobu zaczarowana.

- A ja was pochwycę - zawałał Don Kichote - chanie czosnkiem śmierdzący, i
uwiążę do drzewa nago, jak was matka zrodziła, i nie trzy tysiące trzysta batów
wymierzę wam, ale sześć tysięcy sześćset, tak dobrze odmierzonych, że nie
otrząśniecie się z nich, choćbyście trzy tysiące trzysta razy podskakiwali.

Ani słowa więcej, bo wam duszę wydrę! Słysząc to, Merlin rzekł:

- Tak być nie może, bowiem baty, jakie ma otrzymać cny Sanczo, muszą
być dobrowolne, a nie pod przymusem, i w czasie, jaki sam obierze; nie stawia mu się

Don Kichote - Miguel Cervantez

żadnego terminu. Jeśliby chciał jeno połowę tego biczowania opłacić swą udręką, zezwala mu się pod warunkiem, że mu ją obce ręce wymierzą, choćby i ciężkie. - Ani obce, ani własne, ani ciężkie, ani lekkie - odparł Sanczo - nikt mnie nie dotknie. Czy to ja przypadkiem zrodziłem panią Dulcyneę, aby moje pośladki płaciły za to, że jej oczy nagrzeszyły? To mój pan dobrodziej jest częścią jej istoty, bo nazywają co krok: "Moje życie, moja dusza", lub podporą i oparciem swoim, on może i powinien oćwiczyć się dla niej i dołożyć wszelkich starań, aby ją odczaro-

wać. Ale po cóż ja mam się smagać? Abernuncjo!1

Ledwie te słowa Sanczo wypowiedział, podniosła się srebrzysta nimfa, obok zjawy Merlinia siedząca, zdjawszy welon, ukazała wszystkim oblicze nad miarę uroSanczo przekręca wyraz abrenuntio (wyrzekam się), który był łacinską formułką powszechnie używaną w Hiszpanii w znaczeniu: "broń Boże!". 537 dziwe i z meską otwartością głosem zgoła nie niewieścim zwróciła się wprost do Sancza, mówiąc:

- O niegodny giermku, duszo kamienna, serce korkowe, flaki zakamieniałe i żwirowate! Gdyby od ciebie żądano, łoźrze bezecny, byś się z wysokiej wieży rzu-cił na ziemię, gdyby żądano, ty wrogu rodzaju ludzkiego, abyś połknął tuzin ropuch, dwa tuziny jaszczurek i trzy tuziny wężów, gdyby cię namawiano do zabicia żony twojej i dzieci okrutnym, ostrym jataganem, nie można by się dziwić, że wzdragał-

byś się i wymawiał; ale tyle krzyku o trzy tysiące trzysta batów (jakby w sierocińcu nie było choćby najmarniejszego dziecka, które by co miesiąc tyle nie otrzymywało), dziwią się, oburzają i gorszą wszystkie pobożne wnętrznosci tych, którzy cię słyszą, a nawet tych, którzy by się dowiedzieli o tym z biegiem czasu. Rzuć, o nędz- ne i zatwardziałe bydlę, rzuć, mówię, oczy twoje przerażonego puchacza na źrenice oczu moich, podobne gwiazdom jaśniejącym, a ujrzysz, jak wylewają kroplę po kropli, a potem strużkę po strużce łzy, które żlobią bruzdy, ścieżki i drogi przez piękne

pola moich lic. Niechaj cię wzruszy, błaźnie i niegodny potworze, iż wiek kwitną- cy, który liczy teraz dziesięć i coś tam lat, bo mam dziewiętnaście i dwudziestu jeszcze nie dobiegłam, trawi się i więdnie pod skorupą prostej chłopki; a jeśli teraz tak nie

Don Kichote - Miguel Cervantez

wyglądam, to łaska szczególna, jaką wyściadczył mi pan Merlin tu obecny, jedynie, aby cię gładkość moja wzruszyła; bowiem łzy udręczonej piękności w puchy zmieniają skały, a tygrysy w owieczki. Wal, wal w tę kupę cielska, bestio nieokieł-

znana, dobań z gnuśności tą moc, która cię tylko do jadła i jeszcze raz do jadła nakłania, i oswobodź gładkość ciała mego, słodycz mej natury i urodę mego oblicza; a jeśli ja nie zdołam cię zmiękczyć i do rozsądnego postanowienia przywieść, uczyn to dla tego nieszczęsnego rycerza, który obok ciebie stoi, dla twoego pana, mówię, którego duszę już dostrzegam, jak mu w gardle ugrzęzła, na dziesięć palców od warg, w oczekiwaniu twej bezlitosnej czy przychylnej odpowiedzi, gotowa bądź z ust ulecieć, bądź do wątpi opaść. Don Kichote, usłyszawszy to, pomacał się po gardzieli i rzekł, zwracając się do księcia:

- Przebóg, panie! Dulcynea prawdę rzekła: dusza mi w gardle uwięzła nibygałka kuszy.
- Cóż wy na to, Sanczo? - zapytała księżna.
- Pani - odpowiedział Sanczo - powiem, co już rzekłem: batów - abernuncjo!
- Trzeba mówić abrenuntio, Sanczo, a nie jak rzekliście - odezwał się książę.- Ostawcie mię, wasza wysokość - odpowiedział Sanczo - nie czas teraz na subtylności, by baczyć, czy o jedną literę jest mniej, czy więcej; tak jestem wzburzony tymi batami, które mam odebrać czy sobie wymierzyć, że ani wiem, co mówię, ani co czynię. Ale chciałbym się dowiedzieć od łaskawej pani mej, Doni Dulcynei z Toboso, gdzie nauczyła się w ten sposób prosić; przychodzi mię błagać, abym

pociął ciało batogami, a nazywa mię duszą kamienną, bestią nieużytaną i obrzuca ca- ły stekiem innych przewisk, których by diabeł nie ścierpiał? Zali mam ja ciało może z brązu i zali mi na tym zależy, czy ona się odczaruje, czy nie? A jakiż to kosz bielizny białej, koszul, chust, skarpet (choć ich nie używam) przyniosła tu, aby mię ułagodzić? Nic, ino wymyślania i obelgi, choć wie, że przysowie mówi: Osioł, co 538 złote niesie, lekko w góre rwie się, i że:

Dary kruszą skały. Trzeba Boga prosić,

a maczugę nosić, i raczej warte: Jedno masz, niż dwa otrzymasz. A mój pan, który mię za szyję powinien obłapić i ugłaskać, aby mię zamienić w wełnę i gręplowane puchy, prawi, że mię przymusi i uwiąże obnażonego do drzewa i podwoi mą porcję batów. A ci litościwi państwo powinni zważyć, że żądają, aby batom poddał

Don Kichote - Miguel Cervantez

się nie tylko giermek, ale i wielkorządca; jakby ktoś rzekł: "Pij miód z sokiem!". Niechby

dobrze się naumieli na złą godzinę prosić, błagać i grzecznie postępować, bo czasy nie zawsze jednakie ani ludzie nie zawsze w dobrym humorze. Ja mało nie pęknię ze zmartwienia, widząc mój zielony strój podarty, a oni ode mnie żądają, abym dobrowolnie się biczował, kiedy mi tak to w głowie, jak zostać kacykiem. – Zaiste, przyjacielu Sanczo - rzekł książę - jeśli nie zmięknacie jak źrała figa, nie uzyskacie wielkorządztwa. Dobrze by to było, gdybym moim wyspiarzom posał wielkorządce bez serca, o zakamieniałychn wnętrznościach, którego nie wzruszy ani zły los zgnębionych dziewcząt, ani błagania mądrych, potężnych i czcigodnych czarnoksiążników i mędrców! Jednym słowem, Sanczo, albo zgodzicie się wysmagać czy być wysmagany, albo nie zostaniecie wielkorządca.

- Panie - odpowiedział Sanczo - czyż nie dalibyście mi dwóch dni zwłoki, abym pomyślał, co lepsze?

- Nie, żadną miarą - rzekł Merlin. - Tu w tej chwili i na tym miejscu należy tę sprawę rozstrzygnąć: albo Dulcynea powróci do Jaskini Montesinosa i do dawnej postaci chłopki, albo tak jak tu stoi, zostanie przeniesiona na Pola Elizejskie, aby tam czekać, aż się liczba biczoń wypełni.

- Nuże, cny Sanczo - rzekła księżna - nabierzcie ducha i wdzięczności za chleb, którym was żywiał pan Don Kichot, któremu wszyscy powinniśmy służyć i czcić go za jego szlachetność i wielkie czyny. Zgódźcie się, synu, na to obicie, a niech diabli porwą te niegodne lęki; możliwe serce zwycięża zły los, jak dobrze wiecie.

Na te słowa Sanczo w uniesieniu zwrócił się do Merlinia z pytaniem:

- Powiedzcie mi, wasza miłość, panie Merlinie, ów goniec diabelski, który tedy przebiegł, przyniósł memu panu posłanie od pana Montesinosa, polecając mu w jego imieniu czekać tutaj, bowiem przybędzie załatwić sprawę odklecia pani Dulcynei z Toboso, a dotąd nie widzieliśmy ani Montesinosa, ani nikogo podobnego?

Na to odezwał się Merlin:

- Ten diabeł, przyjacielu Sanczo, jest głupiec i bardzo wielkie ladaco, posłałem go na poszukiwanie waszego pana, ale nie ze zleceniem od Montesinosa, a z moim; Montesinos bowiem został w jaskini, oczekując, a raczej spodziewając się własnego odczarowania, któremu jeszcze brak ogona do oskubania. Jeżeliście mu coś winni

albo macie doń jakąś sprawę, przywiodę go wam i przeniosę, gdzie będziecie chcieli.

Don Kichote - Miguel Cervantez

A teraz zgóździe się w końcu na to biczowanie i wierzcie mi, że będzie to iście z wielką korzyścią dla was, tak dla duszy, jak dla ciała: dla duszy, bo spełnicie dzieło miłosierdzia, dla ciała, bo wiem, żeście krwistej kompleksji i że nie będzie źle nieco wam krwi upuścić.

- Siła lekarzy jest na świecie; już zgoła i czarnoksiężnicy są medykami - odparł Sanczo. - Skoro tedy wszyscy na mnie nastają, choć nie wiem po co, oświadczam, że gotów jestem sobie wymierzyć tych trzy tysiące trzysta batów pod warunkiem, iż sam je sobie odliczę, ile i kiedy zechcę, bez oznaczania dnia ani godziny; a po 539

staram się spłacić ten dług możliwie jak najrychlej, aby świat radował się pięknością pani Dońi Dulcynei z Toboso, jako że wbrew temu, com mniemał, jest naprawdę urodziwa. A także i ten warunek stawiam, że nie będę zmuszony smagać się dyscypliną aż do krwi, a jeśli niektóre razy byłoby jak dla much, będą się jednak

liczyły. Podobnie jeśli się w liczeniu pomyle, pan Merlin, który wie wszystko, bę- dzie łaskaw rachunek prowadzić i uwiadomi mię, ile mi nie dostaje albo ile mi zbywa.

- O naddatkach nie ma potrzeby oznajmiał - odpowiedział Merlin - bo skorotylko dojdzie do pełnej liczby, w tej samej chwili zostanie odczarowana pani Dulcynea i przyjdzie sama podziękować dobremu Sanczowi i odwdzięczyć mu się oraz wynagrodzić za dobry uczynek. Nie lza przeto troszczyć się o naddatki ani o braki.
- W imię Boże tedy - rzekł Sanczo - zgadzam się na ten mój zły los; to znaczy, przyjmuję tę pokutę pod umówionymi warunkami.

Ledwie Sanczo wyrzekł ostatnie słowo, kiedy znów zadźwięczała muzyka pisz- czałek i zagrzmiały niezliczone muszkiety. Don Kichote rzucił się Sanczowi na szyję całując go tysiąckrotnie po czole i policzkach. Księżna i księżę oraz wszyscy obec- ni dawali wyraz swej wielkiej radości, a wóz ruszył z miejsca; w przejeździe piękna

Dulcynea skloniła głowę przed księstwem i niski poklon złożyła Sanczowi. Tymczasem zbliżała się jutrzenka radosna i uśmiechnięta; kwiateczki polne wyprostowały się i podniosły główki, a płynne kryształy strumyczków, szemrząc po

Don Kichote - Miguel Cervantez

białym i szarym żwirze, pobiegły złożyć daninę czekającym na nie rzekom. Ziemia wesoła, niebo jasne, powietrze czyste, światło pogodne, każde z osobna i wszystko pospołu dawało jawne oznaki, że dzień, który już deptał po fałdach szat jutrzenki, będzie pogodny i jasny. Księstwo, zadowoleni z polowania i z tak sprytnego i szczęśliwego przeprowadzenia ich pomysłu, wrócili do zamku, obiecując sobie dalej prowadzić tę zabawę, bowiem nic im większej uciechy sprawić nie mogło. ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

opowiada o niezwykłej i niepojętej przygodzie ochmistrzyni Doloridy, zwanej inaczej hrabiną Trifaldi, oraz o liście,

jaki Sanczo Pansa napisał do swej żony, Teresy Pansy

Liął księżę marszałka umysłu nader krotochwilnego i wesołego; on to grał rolę Merlinia, przygotował całe widowisko opisanej przygody, ułożył wiersze i pazia przebrał za Dulcyneę. Wreszcie ze wspólnudziałem swych państwa ułożył inną sztukę, najdowcipniejszą i naj kunsztowniejszą, jaką wyobrazić sobie było można.

Nazajutrz zapytała księżna Sancza, zali rozpoczął już ciężką pokutę, do której zobowiązał się, ażeby odczarować Dulcyneę. Odrzekł, że owszem, tej nocy bowiem wymierzył sobie pięć plag. Księżna zapytała, czym je sobie wymierzył. Odpowiedział, że ręką. 540

- Jednakoż - odparła księżna - są to raczej klapsy niż plagi. Przekonana jestem, że wiaduch Merlin nie byłby zadowolony z tej delikatności, cny

Sanczo powinien sobie zrobić dyscyplinę z kolców albo z węzłów, tak aby to łacniej odczuć; bo każda litera z krwią się w ciało wzera, zaś wolności tak wielkiej damy jak Dul- cynea nie okupuje się tak łatwo i za tak niską cenę; niech Sanczo zważy, że uczynki miłosierne, dokonywane niedbale i bez zapału, nie mają załugi i nic nie są warte. Na to odpowiedział Sanczo:

- Dajcie mi, wasza wielmożność, jakąś dyscyplinę alboli rzemień odpowiedni, a będę się nim smagał, byleby mnie zbytnio nie bolało, trzeba bowiem waszej miłości wiedzieć, że choć ze mnie prostak, ciało mam raczej z puchu niż z łyka i nie lza mi go podrzeć dla cudzej korzyści.
- Znamienicie - odpowiedziała księżna - jutro rano dam wam dyscyplinę sam raz dla was, która przystosuje się do miękkości waszego ciała jak rodzona siostra.

Na to rzekł Sanczo:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Wasza wysokość, pani mej duszy, wiedzieć musi, że napisałem list do mejżony, Teresy Pansy, w którym donoszę jej o wszystkim, co mi się zdarzyło od czasu naszego rozstania; mam go tu w zanadrzu, ino podpis położyć; rad bym, aby go wasza światłość przeczytała, zdaje mi się bowiem, że jest stosowny dla wielkorządcy, to jest napisany kształtem, jaki wielkorządcom przystoi. - A który go pisał? - zapytała księżna.

- A który by go miał pisać, jak nie ja, grzeszny nieboraczek?

- Samiście pisali? - zapytała księżna.

- Ani myślałem - odpowiedział Sanczo - nie umiem bowiem ani czytać, ani pisać, ledwie się podpisać wydolę.

- Pokażcie mi list - rzekła księżna - bez wątpienia wykazaliście w nim przymioty i zdolności waszego umysłu. Sanczo wydobył z zanadrza otwarty list. Księżna, odebrawszy go, przeczytała te słowa:

List Sanczo Pansy do Teresy Pansy, jego żony

Lubo dobrze mię płazowali, trzymałem się mocno na siodle; jeśli uzyskałem dobre wielkorządztwo, kosztuje mnie to wiele cięgów. Nie rozumiesz tego na razie, moja Tereso, innym razem dowiesz się o tym. Musisz wiedzieć, Tereso, postanowiłem, że masz jeździć karocą, to jest na dzisiaj ważne, inaczej bowiem jeno koty cha-

dzają. Tyś żona wielkorządcy, bacz, aby ci nikt nie ubliżył. Posyłam ci dziś zielony strój myśliwski, który mi księżna pani podarowała; przerób go w ten sposób, aby z tego była spódnica i jupaczka dla naszej córki. Don Kichote, pan mój, wedle tego,

co w tym kraju słyszę, to wariat rozumny i ucieszny półgłówek; a ja nie pozostaję w tyle. Byliśmy w Jaskini Montesinosa i czarnoksiążnik Merlin skorzystał ze sposobności, aby mnie użyć do odczarowania Dulcynei z Toboso, która u was tam zwie się Aldonza Lorenzo; za cenę trzech tysięcy trzysta batów mniej pięć, które już so-

bie wymierzyłem, będzie ona odczarowana jak matka, która ją zrodziła. Nikomu o tej sprawie nie opowiadaj, bowiem jeśli twoje innym pokażesz, jedni powiedzą, że 541 białe, zaś drudzy, że

czarne. Za kilka dni pojadę objąć rządy, udaję

się tam z wielką

Don Kichote - Miguel Cervantez

bardzo ochotą, aby uzbierać pieniądze, powiedziano mi, że wszyscy nowi wielkorządcy z takim samym zamarem wyjeżdżają; pomacam tam puls i zawiadomię cię, czy masz przyjechać do mnie, czy nie. Siwek zdrów i poleca się gorąco twej pamię-

ci; nie myślę się z nim rozstawać, choćby miał sutlanem zrobili. Księżna, pani moja, całuje ci ręce po tysiąc razy; odpłać jej to w dwójnasób, gdyż, jak mówi mój pan, nic mniej nie kosztuje i taniej nie wychodzi jak grzeczność. Nie spodobało się Bogu nadarzyć mi drugi taki kuferek z drugą setką talarów, jak poprzednio; ale nie martw

się tym, moja Tereso; Kto na alarm dzwoni, ten się dobrze chroni, a wszystko złe spłynie z praniem wielkorządztwa. Turbuję się jedynie, słysząc, że gdy raz rządów

spróbuje, tak w nich zasmakuję, że palce sobie do cna obgryzę. W takim razie zbyt drogo by miało kosztować, lubo kalecy i bezręcy mają dobrą prebendę z uzbieranej jałmużny. Tak czy owak, przeto będziesz bogata i dobrze ci się działać będzie. Niech ci Bóg da szczęścia, ile może, a mnie zachowa, abym ci służył. Z tego zamku, dnia 20 lipca 1614 r.

Twój mąż wielkorządca

Sanczo Pansa

Księżna, przeczytawszy list, rzekła do Sancza:

- W dwóch sprawach zacny wielkorządca zbacza nieco z drogi. Po pierwsze, kiedy mówi lub daje do zrozumienia, że nadano mu ten urząd za cięgi, jakie sobie ma wymierzyć, a wiadomo i temu zaprzeczyć nie może, że kiedy księżę, mój pan, przyrzekł mu te rządy, nie było jeszcze w świecie słuchu o batach; po drugie, oka-

zuje się w tym liście nazbyt chciwym, a nie chciałabym, aby się ta macierzanka w pakość obróciła, bowiem chciwość worki drze, a wielkorządca chciwy sprawiedliwości prawej nie wymierza.

- O, ja nie tak chciałem rzec - odparł Sanczo - a jeśli waszej miłości się wydaje, że ten list nie jest taki, jak powinien, to ino go podrzeć trza i napisać nowy, ale ten może być jeszcze gorszy, jeśli się na moją łepetę spuścimy.
- Nie, nie - odpowiedziała księżna - ten jest dobry i chcę, aby go księżę przeczytał.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Po tych słowach udali się do ogrodu, gdzie miało obiadować dnia tego. Księżna pokazała list Sancza księciu ku wielkiej jego ucieczce. Spożyto obiad, a kiedy zdjęto obrusy i zabawiano się przez dobrą chwilę smakowitą rozmową z Sanczem, nagle dał się słyszeć lamentliwy głos piszczałki oraz głuchy i chrypliwy bębna. Wszyscy zdawali się poruszeni tą zmęconą, wojenną i smętną harmonią, osobliwie Don Kichote, który z wielkiego wzruszenia nie mógł już usiedzieć na miejscu. O Sanczu powiedzmy tylko, że strach zapędził go do zwyczajnego mu schronu, jakim były fałdy sukni księżnej; zaiste bowiem muzyka rozbrzmiewająca była w najwyższym stopniu smutna i teskliwa. Pośród ogólnego zdumienia i naprężenia ujrzano, jak do 1 pakość- złość, dokuczliwość. Stare przysłowie o znaczeniu: "aby wam to na złe nie wyszło". 542 ogrodu wchodzą i naprzód kroczą dwaj ludzie w żałobnych szatach tak długich, iż wlokły się po ziemi. Szli, uderzając w dwa wielkie bębny, również

kirem przykryte.

U ich boku kroczył piszczek, czarny i ponury jak tamci. Za tymi trzema postępowała postać wzrostu olbrzyma, nie odziana, lecz opłaszczona najczerniejszą sutanną, której ogon był również niepomiernie długi. Suttanę przepasywał i przecinał szeroki pen-

dent, również czarny, na którym zwieszał się ogromny bułat o czarnej pochwie i jelcu. Szedł, mając twarz okrytą przejrzystą czarną zasłoną, przez którą przezierała

długa broda, biała jak śnieg. Szedł, krok stosując do rytmu bębnów, z wielką powagą i spokojem. Jednym słowem, jego wzrost, jego chód napiszony, jego czarność i jego świata mogły w zdumienie wprawić wszystkich, którzy go oglądali, nie znając.

Zbliżył się tedy tak wolno i uroczyście, jak się rzekło, i zgiął kolana przed księciem, który powstawszy, oczekiwając go pośród wszystkich obecnych; jednakże nie chciał go w żaden sposób dopuścić do słowa, póki nie wstanie. Posłuchało to przedziwne straszydło i powstawszy, odrzuciło zaslonę z twarzy, ukazując najstraszliwszą, najszerszą, najbielszą i najgęstszą brodę, jaką kiedykolwiek oczy ludz-

kie oglądały. Natychmiast wydobył i wyrwał z szerokiej i wydjętej piersi głos poważny i dźwięczny i zwróciwszy na księcia oczy, odezwał się: - Największy i potężny panie,

Don Kichote - Miguel Cervantez

nazywają mnie Trifaldin Białobrody, jestem gierkiem hrabiny Trifaldi, inaczej zwanej ochmistrzynią Doloridą, i w jej imieniu

sprawuję do waszej wielmożności poselstwo, by wasza wspaniałość była tak łaskawa i udzieliła jej pozwolenia, aby mogła wejść i przedstawić swą niedolę, która jest

jedną z najbardziej niezwykłych i podziwienia godnych, jakie najczarniejsza wyobraźnia świata mogłaby uroić. Przede wszystkim chce wiedzieć, czy bawi na waszym zamku dzielny i niezwyciężony nigdy rycerz Don Kichote z Manczy, w poszukiwaniu którego ona, pieszo i poszcząc, przybywa aż z królestwa Kandai do waszej dzie-

dziny, co można i powinno się poczytywać za cud albo za moc czarów. Stoi ona u bram tej warowni czy tego dworca wiejskiego i czeka jedynie waszego pozwolenia, aby wejść. Rzekłem.

Po czym zakaszłał, jał gładzić brodę od góry do dołu obiema rękoma i z wielkim spokoju oczekiwali odpowiedzi księcia. Ten zaś rzekł:

- Już od dni wielu, cny giermku Trifaldinie Białobrody, znane nam jest nieszczęście pani hrabiny Trifaldi, którą czarnoksiężnicy ochmistrzynią Doloridą nazywać zmuszają; możecie jej, przedziwny giermku, rzec, aby weszła, gdyż oto jest obecny waleczny rycerz Don Kichote z Manczy, po wspaniałomyślności którego spodziewać się może bez ochyby wszelakiej podpory i pomocy, możecie jej również rzec w moim imieniu, że gdyby moje poparcie okazało się potrzebne, może na nie liczyć, gdyż jestem obowiązany go użyczyć jako rycerz, któremu przystoi i na-

leży wspomagać wszystkie białogłówki, osobliwie zaś poważne wdowy,uciśnione i zbolełe, jaką musi być jej wielmożność. Wysłuchawszy tego, Trifaldin przykląkł na jedno kolano i dając znak piszcz- kowi i bębnistom, by zaczęli, tym samym krokiem, jak wszedł, odwrócił się i ogród opuścił, pozostawiając wszystkich zdumionych zarówno jego wyglądem, jak zachowaniem.

Książę, zwracając się do Don Kichota, rzekł: 543

- Sławny rycerzu, oto mroki zawiści i nieświadomości niezdolne są przyćmińi zasłonić światła męstwa i cnoty. Mówię to, bowiem ledwie od sześciu dni wasza zacność w tym zamku gości, a już przybywają tu was szukać z dalekich i zamorskich krain, i to nie w karocach ani na wielbłądach, ale pieszo i na czczo, smutni,

Don Kichote - Miguel Cervantez

przygnębieni, z ufnością, że znajdą w tym przemożnym ramieniu lek na swe troski i niedole, dzięki waszym wielkim przewagom, o których wieść obiega i krąży po całej powierzchni ziemi.

- Chciałbym ja, mości książę - odpowiedział Don Kichote - aby tu był przytomny ów czcigodny duchowny, który przy stole onegdaj okazał taką nieżyczliwość i niechęć do błędnych rycerzy, aby na własne oczy zobaczył, jak tacy rycerze są potrzebni na świecie: a przynajmniej własną dłonią dotknąłby tej prawdy, że niezwykle uciśnieni i niepocieszeni w poważnych wypadkach i w ogromnych nieszczęściach nie udają się po ratunek do domów uczonych ani do zakrystianów wioskowych, ani do szlachcica, który nigdy granic swojej posiadłości nie przekroczył, ani

do trwożliwego dworaka, który raczej poszukuje nowinek, aby je powtarzać i opowiadać, aniżeli podejmuje czyny i przewagi, które by inni opowiadali i zapisywali. Najlepszy ratunek dla trosk, pomoc dla potrzebujących, opieka dla dziewczic i rada dla wdów nie gdzie indziej znachodzi się, jeno u rycerzy błędnych, i nieskończone dzięki składam niebu za to, że nim jestem i za błogosławione uważam wszelkie trudy i niedole, jakie by mię w pełnieniu tego zaszczytnego powołania spotkać mogły. Niechaj przybywa owa dama, niech prosi, o co zechce, ja w sile mego ramienia oraz w nieustraszonej odwadze mego mężnego ducha znajdę dla niej ratunek.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

zawiera dalszy ciąg słynnej przygody ochmistrzyni Doloridy siążę i księżna uradowali się niezmiernie, słysząc, jak zgodnie z ich zamysłem odpowiedział Don Kichote; tymczasem odezwał się Sanczo: -Nie chciałbym, aby owa jejmość ochmistrzyni stanęła na wspan obiecanemu mi wielkorządztwu; słyszałem bowiem od pewnego aptekarza toledańskiego, który gadał jak szczygieł, że tam, gdzie się w mieszają ochmistrzynie, nic dobrego wyjść

nie może. Uchowaj Boże, jak ów aptekarz ich nie znosił! Wnoszę stąd, że jeśli wszystkie matrony są nieznośne i doskwirne, jakiejkolwiek byłyby kondycji i uspo-

sobienia, jakież dopiero będą "boleściwe", jak mówią o tej hrabinie... trzech brytów czy też trzech ogonów? Bo w mojej okolicy bryty i ogony czy ogony i bryty to wszystko jedno. T r i f a 1 d i -jest to gra słów: fałda znaczy bryt, fałd, wtedy nazwisko ochmistrzyni można by oddać przez hr. Trzybrycka. Ale może też pochodzić od włoskiego truffar, a wtedy mogłoby brzmieć hr. Zwodnicka, bo rolę tej damy gra

mężczyzna. 544

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Zamilcz, przyjacielu Sanczo - rzekł Don Kichote - bowiem ta jejmość ochmistrzyni, która przybywa z tak odległych stron, aby mię odnaleźć, nie może być z tych pomieszczonych na liście aptekarza, tym bardziej że jest to hrabina, a kiedy hrabiny służą jako ochmistrzynie, to jedynie królowym alboli cesarzowym, w domach zaś swoich są najdostojniejsze i służą im inne ochmistrzynie.

Na to odezwała się Doña Rodriguez tam obecna:

- W służbie u mej księżnej pani pozostają ochmistrzynie, które mogłyby być hrabinami, gdyby los pozwolił; ale tak chodzą prawa, jak chcą królowie.

Wszelako niech nikt źle się nie wyraża o ochmistrzyniach, osobliwie starszych, i to pannach, bo lubo nią nie jestem, aliiści dobrze wiem i pojmuje, że panna ochmistrzyni prym trzyma nad ochmistrzynią wdową. Temu, kto by nas chciał ostrzyc, pozostaną nożyce w ręku.

- Mimo wszystko - dorzucił Sanczo - tyle jest do ostrzyżenia u wdów, jak mówimój aptekarz, że lepiej nie mieszać tego ryżu, choćby się miał przychwycić. - Giermkowie zawsze są nam nieprzyjaźni - odpowiedziała Dona Rodriguez - a jako są chochlikami przedpokojów i widzą nas na każdym kroku, to o ile się nie modlą- a to bardzo rzadko się zdarza - trwonią czas na plotkowaniu o nas, wygrzebując kości naszych przodków, a zagrzebując naszą sławę. Jednak ja im przepowiadam, że na galerach skończą, a my im na złość żyć będziemy w świecie na najznakomitszych dworach, lubo przymierając tam głodem i okrywając nasze mniej lub bardziej delikatne ciała czarnym habitem, tak jak w dni procesji okrywa się i maskuje obornik. Na mą duszę! Gdyby tak było mi dane i gdyby czas pozwolił, wykazałabym nie tylko obecnym, ale i całemu światu, że nie masz cnoty, która by nie była udziałem ochmistrzyni.

- Wierzę - rzekła na to księżna - że moja zacna Doña Rodriguez ma słuszność, i to rzetelną, ale musi czekać czasu sposobniejszego, aby stanąć w swej obronie i wszystkich innych ochmistrzyni i aby obalić złą opinię owego niecnego aptekarza oraz wyrwać tę, którą w swym sercu chowa wielki Sanczo Pansa.

Na to odpowiedział Sanczo:

- Odkąd wapory wielkorządztwa na mnie uderzyły, porzuciłem kwilenia giermka i tyle mnie obchodzą wszystkie ochmistrzynie, co dzika figa. Byłaby ta rozmowa o ochmistrzyniach dalej trwała, gdyby znów nie dał się słyszeć głos instrumentów piszczka i bębenistów, z czego poznano, że ochmistrzyni

Dolorida nadchodzi. Księżna zapytała księcia, czy nie należałoby jej wyjść naprzeciw, jako że jest hrabiną i wysoką osobistością.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Jeśli chodzi o hrabinę - wtrącił Sanczo, uprzedzając odpowiedź księcia dobrze byłoby, aby wasze wysokości wyszły ją przyjąć, ale jeśli chodzi o ochmistrzynię i na krok ruszyć się nie przystoi.
- Kto ci się każe do tego mieszać, Sanczo? - rzekł Don Kichote.
- Kto, panie? - odrzekł Sanczo. - Ja sam się mieszam i mogę się w to wdawać jako giermek, który nauczył się przepisów dworności w szkole waszej miłości, wszak jesteście najdworniejszym i najwytwornejszym rycerzem w całym zasięgu dworności; a w tych sprawach -jak z ust waszej miłości słyszałem - przez jedną kartę mniej lub więcej można przegrać: Mądroj głowie dość dwie słowie. 545

-1 tak jest, jako Sanczo powiada - rzekł książę - zobaczymy, jak wygląda owa hrabina, i do tego przystosujemy należną jej grzeczność. Na to wkroczyli bębeniści i piszczelek, jak poprzednim razem.

Tutaj autor kończy ten krótki rozdział i rozpoczyna następny, zawierający dalszy ciąg tej samej przygody, będącej jedną z najważniejszych w tej powieści. ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

przytacza, co opowiada ochmistrzyni

Dolorida o swym nieszczęsnym losie

Z tymi lamentliwymi muzykantami jeļo wkraczać do ogrodu aż dwanaście matron, dwoma rzędami. Wszystkie odziane w szerokie habity z falowanej szarszy, w czepcach białych z cieniutkiego indyjskiego muślinu, których końce były tak długie, że zaledwie rąbek habitu był widoczny. Za nimi postępowała hrabina Trifaldi, wiedziona za rękę przez giermka Trifaldina Białobrodego, odziana w najdelikatniejszą, czarną długowłosą wełnę, którą gdyby ufryzowano, każdy gruzełek byłby

wielkości dużego, najlepszego martoskiego grochu. Ogon, czyli bryt, czy jak tam będzie to nazwali, był trójdzielny, a nieśli go trzej paziowie, równie żałobnie odziani, w ten sposób, że trzy ostre kąty owych trzech końców tworzyły wspaniałą geometryczną figurę; i od razu wszyscy zrozumieli, patrząc na ten trosty ogon, dlaczego

musiała się ona nazywać hrabiną Trifaldi, jakbyśmy rzekli: hrabiną trzech ogonów, i wedle Ben Engelego było tak faktycznie, bowiem prawdziwe jej nazwisko brzmiało hrabina Wilczewska, z powodu wielkiej mnogości wilków w jej hrabstwie, gdyby zaś miasto wilków były tam lisy, zwano by ją hrabiną Lisowską, zwyczajem bowiem owych okolic panowie nazwiska swoje biorą od rzeczy, w które kraj obfituje; wszelako nasza hrabina, aby podkreślić godnie nowość swego stroju, porzuciła nazwisko Wilczewska, a przyjęła Trifaldi, po naszemu Trzybrycka. Dwanaście ochmistrzyni

hrabina zbliżały się procesyjnym krokiem, mając twarze czarnymi krepinkami przykryte, ale nie tak przejrzystymi jak Trifaldin, jeno tak gęstymi, że nic przez nie dojrzeć nie było można; kiedy wreszcie ten hufiec ochmistrzyń wkroczył, książę, księżna i Don Kichote powstali, a wraz z nimi wszy-

scy przytomni tej wielkiej procesji. Zatrzymał się dwanaście ochmistrzyń i utwo- rzyło szpaler, środkiem którego sunęła Dolorida, nie puszczaając ręki Trifaldina; co widząc, książę, księżna i Don Kichote postąpili dwanaście kroków na jej przyjęcie. Ona, padając na kolana, głosem raczej niskim i zachryplym niż miłym i delikatnym rzekła:

- Raczcie, wasze wysokości, nie świadczyć takiej uprzejmości temu waszemusłudze, chcę raczej rzec służce waszej; będąc bowiem tak zbolała, nie jestem pew-

na, czy odpowiem na to godnie, gdyż moje niezwykłe i niespotykane nieszczęście
546

rozum mi porwało nie wiadomo gdzie, zapewne daleko, tak że im bardziej go szukam, tym mniej go odnachodzę.

- Ten byłby go pozbawion - odpowiedziała książę - pani hrabino, kto by z samej postaci nie odgadł waszej wielkiej godności; od razu widać, że godna ona całej śmietanki dworności i kwiecia najwytworniejszych ceremonii.

I wziawszy ją za rękę, podniósł ją i posadził na krześle obok księżnej, która podobnie przyjęła ją z wielką uprzejmością. Don Kichote milczał, Sanczo zaś umierał z ciekawości, aby dojrzeć oblicze pani Trifaldi albo którejś z jej licznych ochmistrzyń, nie było to wszelako możliwe, dopóki nie odsłoniłyby ich dobrowolnie. Wszyscy trwali bez ruchu, w milczeniu, czekając kto pierwszy je przerwie, aż ochmistrzyni Dolorida odezwała się tymi słowy: - Jestem pewna, najpotężniejszy panie, najurodziwsza pani i cała najmędrszaprzytomności, że najnajokropniejsza troska przyjęta będzie przez wasze najszlachetniejsze serca nie tylko życliwie, ale ze wspaniałomyślnością i współczuciem; jest ona bowiem taka, że zdoła rozczulić marmury, rozpuścić diamenty i zmiękczyć stal najtwardszych serc na świecie; ale zanim wejdzie w przestrzeń waszego słuchu

Don Kichote - Miguel Cervantez

(aby nie rzec do uszu waszych), chciałabym wiedzieć, czy w tym zespole, kole i towarzystwie znajduje się najkryształowski rycerz Don Kichote Najmanczeński i jego najgiermkowatszy giermek Pansa.

- Pansa tu jest - odezwał się Sanczo, zanim ktokolwiek głos zabrał - a Don Najkichociński również; możecie przeto, najboleściwsza ochmistrzyniusiu, powiedzieć, co tylecko byście zachcieli, wszyscy jesteśmy gotowi usługieńcy i najochotniusieńcy zostać waszymi najniższymi służęńczykami.

Wówczas Don Kichote, powstawszy i zwracając swe słowa do ochmistrzyni Doloridy, rzekł:

- Jeśli wasze strapienia, uciśniona pani, zostawiają jakowąś nadzieję ratunku ze strony męstwa i siły błędnego rycerza, oto moje, choć słabe i niedostateczne, oddają się całkowicie na wasze usługi. Jestem Don Kichote z Manczy, którego powołaniem jest pomagać wszelkiego rodzaju potrzebującym. I skoro tak jest, jak jest, nie trzeba wam, pani, życzliwości szukać ani długich wstępów używać, jeno po prostu i bez kluczeń opowiedzieć wasze nieszczęścia; ci, którzy was słuchają, potrafią, jeśli nie zaradzić im, to przynajmniej współczuć z wami.

Usłyszawszy to, ochmistrzyni Dolorida chciała upaść do stóp Don Kichota, a nawet uklękła, usiłując objąć mu nogi, i rzekła:

- Rzucam się pod te stopy i nogi, o niezwyciężony rycerzu, są one bowiem podstawą i kolumnami błędnego rycerstwa; chcę całować te stopy, na których krokach leży i od których zależy odwrócenie nieszczęścia moich. O dzielny błędnny rycerzu, którego przewagi istotnie zostawiają w tyle i zaciemniają bajeczne czyny Amadisów, Esplandianów i Belianisów!

Odstąpiwszy zaś Don Kichota, zwróciła się do Sanczo Pansy i pochwyciwszy go za rękę, rzekła:

- O ty, najwierniejszy z giermków, jacy kiedykolwiek służyli błędnym rycerzom dzisiejszych czy ubiegłych wiekach, którego dobroć jest większa niżli broda Trifaldina, mego towarzysza, tu obecnego. O! Możesz być dumny, że służąc wielkim 547 mu Don Kichotowi, służysz zarazem jakoby całej zgrai rycerzy, którzy na świecie broń nosili. Zaklinam cię, w imię twej najwierniejszej dobroci, abyś mi był orędownikiem u pana twego, by najrychlej poparł tę najpokorniejszą i najnieszczęśliwszą hrabinę.

Na to odpowiedział Sanczo:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Czy moja dobroć, pani łaskawa, jest tak wielka i długa jak broda waszegogiermka, mało mnie to obchodzi; natomiast to ważne jest, czy moja dusza będzie brodata i wąsata, schodząc z tego świata, bo o brody doczesne dbam niewiele albo wcale nic; ale bez owych wszystkich prośb i ubłagiwań ja poproszę mego pana

(wiem bowiem, że mię miłuje, a tym bardziej teraz, kiedy mu jestem do pewnej sprawy potrzebny), aby poparł i wspomógł waszą miłość, ile mu sił stanie. Wylejcie przeto, wasza miłość, wasze strapienie i opowiedzcie je, a resztę nam pozostawcie, porozumiemy się wszyscy.

Księstwo mało nie rozpełni ze śmiechu, słuchając tych rzeczy, gdyż z ich współudziałem cała przygoda była ułożona, i chwalili sobie spryt i dobre udawanie hrabiny Trifaldi, która usiadły znów, tak opowiadać zaczęła:

- W sławnym królestwie Kandaja, leżącym między wielką Trapobaną a Morzem Południowym, o dwie mile od przylądka Komorin, żyła królowa, pani moja, Doña Maguncja, wdowa po królu Archipelu, panu swoim i mężu; z małżeństwa tego urodziła się i na świat przyszła infantka Antonomazja, dziedziczka królestwa; owa

infantka Antonomazja rosła i wychowywała się pod moją opieką i nauczaniem, byłam bowiem najstarszą i najznakomitszą ochmistrzynią jej matki. Dni płynęły i upływały, a malutka Antonomazja doszła w czternastu leciech do takiej doskonałej piękności, że natura nic więcej przydać jej nie mogła. Czyż powiemy może, że rozum miała dziecięcy? Nie! Była równie mądra, jak urodziwa, a była najpiękniejsza na świecie. I taką jest, o ile zawistne losy i okrutne Parki nie przecięły przedzy jej żywota. Lecz nie uczyniły tego; nie pozwoliłyby nieba, aby ziemi wyrządzano tak wielką krzywdę i odcięto niedojrzałe grono najśliczniejszej winorośli na świecie.

W tej nadobności (której mój tropy język niezdolny jest wysłowić jak należy) rozmiłowało się nieskończenie wielu książąt zarówno miejscowych, jak obcych, a między nimi śmiały podnieść swe uczucia do nieba tej gładkości pewien rycerz bawiący na dworze, dufny w swą młodość, w świetność swą i w swe mnogie zdolności i wdzięki, w łatwość i urok swego umysłu; trzeba bowiem wiedzieć waszym wysokościom, jeśli was nie znudzę, że grał na gitarze tak, iż mu pod palcami śpiewała; co więcej, był poetą i doskonałym tancerzem, umiał robić tak piękne klatki dla ptaszków, że to tylko robiąc, mógłby zarabiać na życie, gdyby się znalazł w po-

Don Kichote - Miguel Cervantez

trzebie; wszystkie te zalety i wdzięki wystarczały, aby poruszyć góry, a cóż dopiero delikatną panienkę. Ale wszystkie te zalety i wielki wdzięk, i wszystkie jego uroki i zdolności nie miałyby w żaden sposób dość mocy, aby zdobyć twierdę mej dziewczynki, gdyby ten łotr bezwstydny nie umyślił naprzód mię zdobyć. Usiłował wpierw ten złoczyńca i przybłęda bez sumienia moją czujność uśpić i usiądać chęć, abym ja, zły strażnik, wydała mu klucze twierdzy, której strzegłam. Krótko mówiąc, opę-

tał mój umysł pochlebstwami, wolę moją naklonił nie wiem jakimi drobiazgami i świecidełkami, jakie mi ofiarował; ale najbardziej mnie do upadku przywiodły 548 i na ziem powaliły strofy, które słyszałam, jak pewnej nocy śpiewał w małej ulicz- ce, pod kratą okienną, przy której stałam. O ile sobie dobrze przypominam, brzmiały one tak: . Ma dręczycielka mię darzy

Bólem, co rani mi duszę,

Dla większej udręki muszę Cierpieć, lecz się nie skarżyć.

Słowa zdawały mi się perłami, a głos jego syropem, od tego czasu i od tej chwili, widząc nieszczęście, w jakie przez te i tym podobne wiersze popadłam, utrzymuję, że -jak radził Platon - z państw praworządnych i uporządkowanych powinni być wygnani poeci, przynajmniej lubieżni, piszą bowiem strofy nie na modłę markiza z Mantui, które zabawiają i do płaczu przywodzą dzieci i białogłowy, ale wiersze tak przenikliwe, co niby słodkie ciernie duszę przeszywają lub jak pioruny ją rażą, zdrowiu i szatom nie szkodząc. Innym razem śpiewał:

Przyjdź, śmierci, ale tak skrycie,

Bym nie czuł

twego zbliżenia,

Bo sama rozkosz

konania

Mogłaby wrócić mi życie.

oraz inne tego rodzaju śpiewki i przyśpiewki, które śpiewane oczarowują, a pisane zachwycają, zwłaszcza kiedy poeci zechcą ułożyć pewien rodzaj wiersza, który wówczas był powszechnie w Kandai w użyciu, a który nazywają segidillą. Wówczas to dusza się roztańczy, śmiechem się zaniesie, ciało się rozigra, a wszystkie zmysły w końcu żywym srebrem się stają. Mówię przeto, państwo moi, że tacy trubadurowie słusznie powinni być wygnani na Wyspy Jaszczurcze. Nie jest to jednak ich wina, jeno naiwniaków, którzy ich wychwalają, i głupich, które im wierzą.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Gdybym była dobrą ochmistrzynią, jak byłam powinna, nie byłyby mię poruszyły jego nocne wymysły ani prawdą nie wydawałyby mi się słowa: "Żyję, umierając, płonę wśród lodu, drżę z zimna wśród ognia, ufam wbrew nadziei, oddalam się, pozostając", oraz inne tym podobne niemożliwości, od których ich pisma się roją, bowiem cóż się dzieje, kiedy obiecują wara feniksa z Arabii, koronę Ariadny, włosy Słońca, perły Południowego Morza, złoto Tibaru i balsam Panchai? Oto dokąd sięga ich pióro, niewiele wszak kosztują obietnice, których nigdy nie myślą ani nie mogą wypełnić. Ale dokąd się zapędzam, och, ja nieszczęsna! Jakież szaleństwo i jakaż głupota każe mi opowiadać obce błędy, gdy mi tyle o moich opowiedzieć trzeba? Biada mi! Jeszcze raz nieszczęsna! To nie wiersze mię pokonały, to moja głupota; nie zmiękczyła mię muzyka, jeno moja lekkość, moja wielka nieświadomość i brak zastanowienia otwarły drogę i utorowały ścieżkę krokom Don Clavija, bo takie jest nazwisko wspomnianego kawalera; i za moim pośrednictwem nie raz Ludowa nazwa wysp fantastycznych.

549 i nie dwa wpuszczony został on do komnaty przeze mnie, nie przez niego oszukanej Antonomazji, pod pozorem prawowitego małżonka; bowiem choć grzeszna, aliści nie byłabym przystała, aby dotknął choćby tylko koniuszków jej trzewików, gdyby jej mężem nie był. O, co to, to nie! Zawsze małżeństwem zaczynały się wszystkie tego rodzaju sprawy, w których pośredniczyłam. W tej jedna tylko przeszkoda była,

a to nierówność stanu, był bowiem Don Clavijo zwykłym rycerzem, zaś infantka Antonomazja dziedziczką jak rzekłam - królestwa. Owa intryga przez jakiś czas była ukrywana i utajona dzięki mej ostrożności i skrytości, dopóki nie zdałam sobie sprawy, że na jaw wyjdzie dzięki dziwnej obrzmiałości żywota Antonomazji. Pod tą obawą naradziliśmy się we troje i postanowiono, by - zanim зло stanie się widoczne - Don Clavijo od regenta zażądał Antonomazji za żonę, opierając się na pisemnej obietnicy, jaką mu dała infantka, że będzie jego żoną. Tę dzięki memu spry-

towi ułożyłam tak zręcznie, że sam Samson nie zdołałby jej zerwać. Zaczeliśmy działać gorliwie, regent przeczytał pismo, wybadał pannę, ta wyznała mu wszystko, on zaś rozkazał oddać ją pod straż w domu bardzo cenionego starosty dworskiego... Tu przerwał Sanczo:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Przeto i w Kandai są starostowie, poeci i segidille, mogę tedy przysiąć, żejak mniemam, cały świat jest jednaki. Ale przyśpieszcie nieco, wasza miłość, pani

Trifaldi, jest późno, a umieram z chęci dowiedzenia się końca tej długiej historii.

- Tak też uczynię - odpowiedziała hrabina.
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY w którym Trifaldi dalej ciągnie swą oszałamiającą i godną pamięci historię

Każde słowo Sanczo Pansy radowało księżnę, a do rozpaczys doprowadzało Don Kichota; nakazał mu milczeć, zaś Dolorida dalej ciągnęła, mówiąc: - W końcu po wielu pytaniach i odpowiedziach regent, widząc, że infantka uparcie trwała przy swoim, nie odwołując ani nie zmieniając swego pierwszego oświadczenia, wydał wyrok przychylny dla Don Clavija, oddając mu infantkę za prawowitą małżonkę, z czego tak wielką żałość powzięła królowa Maguncja, matka infantki Antonomazji, że pogrzebaliśmy ją do trzech dni.

- Musiała umrzeć - zawyrokował Sanczo.

- To jasne - odpowiedział Trifadin - bowiem w Kandai nie grzebią ludzi żywych, jeno umarłych.

- Już widywano, panie giermku - odparł Sanczo - iż pochowano zemdłonego, którego miano za umrzyka, a mnie się wydaje, że królowa Maguncja musiała pierwej zemdleć, zanim umarła, życie bowiem na wiele spraw lekarstwo znachodzi,

550 a szaleństwo infantki nie było tak wielkie,

aby się nim należało aż tak przejmować.

Gdyby była poślubiła jakiegoś pazia swego albo innego pokojowca, jak tyle innych uczyniło - co słyszałem - зло byłoby nieuleczalne; ale jeśli wyszła za kawalera tak szlachetnego rodu i tak mądrego, jak nam tu odmalowano, zaprawdę, zaprawdę, owe głupstwo nie było tak wielkie, jak się wydaje; bowiem wedle reguł mego pana tu obecnego, który mi kłamać nie pozwoli, tak jak z ludzi uczonych robi się biskupów, tak z rycerzy, a tym bardziej jeśli są błędymi, można robić królów i cesarzy. - Masz rację, Sanczo - rzekł Don Kichote - bowiem błędny rycerz, jeśli ma dwa cale szczęścia, ma w sobie możliwość niezawodną stać się największym panem świata. Ale mówcie dalej, pani Dolorido, bo przeczuwam, że pozostała do opowiedzenia jeszcze cała gorycz tej dotąd słodkiej historii.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Och, ileż goryczy zostało! - odpowiedziała hrabina. - I to takiej, że w porównaniu z nią słodkie są goryczki, a smakowite laury. Umarłą przeto królowę, a nie zemdloną, pochowaliśmy i ledwie przykryliśmy ją ziemią, i ledwie wypowiedzieliśmy ostatnie Vale - kiedy (Quis talia fando temperet a lacrimis?) ukazał się nad grobem królowej na drewnianym koniu olbrzym Malambruno, stryjeczny brat Maguncji, nie tylko okrutnik, ale i czarnoksiężnik, i ten przez swe sztuki, aby pomścić śmierć krewniaczki, ukarać zuchwałstwo Don Clavija i kres położyć szaleństwu Antonomazji, zaczarował ich oboje na tym grobie, ją przemieniając w małpę z brązu, zaś jego w straszliwego krokodyla z nieznanego metalu; pomiędzy nimi stanął słup również metalowy, na którym wypisane były w języku syryjskim litery, które przetłumaczone na kandajski, a obecnie na język kastylski, zamykają taki wyrok: "Nie odzyskają pierwotnego kształtu ci zuchwali kochankowie, póki waleczny rycerz manczeński nie stoczy ze mną dwuboju; bo jedynie jego wielkiemu męstwu przeznaczyły losy tę niewidzianą nigdy przygodę". To uczyniwszy, dobył z pochwyt szeroki i przeogromny bułat i pochwyciwszy mię za włosy, gotował się podciąć mi gardło i jednym ciosem głowę mi zdjąć z ramion. Struchlałam, głos uwiązał

mi w krtani, zmartwiałam zupełnie, ale mimo wszystko ostatnim wysiłkiem, na jaki mię stać było, głosem drżącym i żałosnym powiedziałam mu tyle i takich rzeczy, że powstrzymały go od wykonania tak srogiej kary. W końcu kazał przyprowadzić przed swe oblicze wszystkie ochmistrzynie pałacowe, a były to te same, które tu są obecne, i wyolbrzymiając naszą winę, a złorzecząc charakterom ochmistrzyn za ich złośliwe podstęp i gorsze matactwa, obarczając wszystkie winą, którą ja tylko ponosiłam, rzekł, że nie chce nas karać śmiercią, lecz długimi katuszami, które nam zadawać będą śmierć haniebną i ustawniczą. W tej samej chwili, kiedy wypowiadał te słowa, uczułyśmy, że otwierają się nam wszystkie pory twarzy i na całym obliczu czujemy jakby ukłucia ostrych igiełek. Podniosłyśmy dlonie do lic i znalazłyśmy to, co zaraz ujrzyście.

Natychmiast też Dolorida i pozostałe matrony podniosły zasłony, którymi były okryte, i odsłoniły twarze porosłe brodami, jedne rudymi, inne czarnymi, owe białymi, tamte szpakowatymi, na których widok księstwo zdawali się zaskoczeni, Don Któz, mówiąc o tym, powstrzyma się od łez? (łac, Eneida, ks. II, 7). 551

Kichote i Sanczo osłupiali, zaś wszyscy obecni zdumieni. Tymczasem Trifaldi tak mówiła dalej:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- W ten sposób ukarał nas ten zdrajca niegodziwy Malambruno, pokrywając gładkość i delikatność naszych twarzy szorstkością tej szczeciny; oby było raczej spodobało się niebu, by nam głowy ściął swym ogromnym bułatem, niżli miał ściemnić światło naszych lic tymi kudłami, które je pokryły; bo jeśli rozważymy, moi państwo (a to, co teraz powiem, chciałabym wypowiedzieć, zmieniwszy me oczy w zdroje, niestety, rozważania naszego nieszczęścia i morze łez dotąd wylane wyczerpały ich wilgoć i wysuszyły do cna jak ości kłosów, powiem przeto bez płaczu), gdzież pójdzie - mówię- matrona brodata? Jakiż ojciec czy matka nad nią się użali? Kto jej pomocy użyczy? Bowiem nawet kiedy płeć ma gładką i twarz udręczoną tysiącem rodzajów mikstur i barwiczek, ledwie znajdzie, kto by ją zechciał, a cóż będzie, kiedy odkryje swe oblicze zamienione w las? O matrony i towarzyszki moje, pod złą gwiazdą narodziłyśmy się i w nieszczęsną godzinę poczęły nas rodzice nasi! To rzekłszy, zdawała się bliska omdlenia.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

o szczegółach dotyczących i odnoszących się do tej przygody i do tej pamiętnej historii i zaprawdę jakże wszyscy, którzy lubią się w podobnych opowie-

ściach, powinni okazać się wdzięczni Sidi Hametowi, pierwszemu jej autorowi, za staranne przytoczenie nam wszystkich szczegółów bez opuszczenia choćby najdrobniejszych rzeczy, z których każdą dokładnie na jaśń wyprowadził. Maluje on uczucia, odsłania urojenia, odpowiada na milczące pytania, wyjaśnia wątpliwości, rozwiązuje trudności, jednym słowem, zadośćczyni wszystkim atomom najżarliwszej ciekawości. O autorze najsłynniejszy! O szczęśliwy Don Kichocie! O wsławiona Dulcyneo! O krotochwilny Sanczo Pansa! Obyście każde z osobna i wszyscy społeczeństwo żyli przez nieskończone wieki ku zadowoleniu i rozrywce żyjących.

Opowiada następnie historia, że kiedy Sanczo ujrzał zemdloną Doloridę, rzekł: - Przysięgam na wiarę uczciwego człowieka i na zbawienie wszystkich moich przodków Pansów, nigdy nie słyszałem ani nie widziałem, ani mój pan nie opowiadał, ani w umyśle swoim nie uroił podobnej przygody jak ta. A wciórności! Żebym gorzej nie przeklął cię czarodzieju i olbrzymie Malambruno! Czyż nie mogłeś znaleźć innego rodzaju kary dla tych grzeszniczek, jeno je ubrodzić? Jakby nie było lepiej i

bardziej dla nich stosowne przeciąć im nosy z góry na dół, niechby i przez nos gadały, aniżeli brody im przyprawić? Założyłbym się, że nie mają za co dać się ogolić.

552

- Zaiste to prawda, panie - odpowiedziała jedna z dwunastu - nie stać nas naodwłosienie; przeto niektóre spośród nas dla oszczędności wynalazły jakieś smaro-

widła czy zalawty ze smoły, na twarz je sobie przykładamy, potem nagle odrywamy i wówczas stajemy się gładkie i bezwłose jak dno kamennego moździerza. Są wprawdzie w Kandai niewiasty, które chodzą od domu do domu wyrywać włosy, wygładzać brwi oraz przyrządzać dla kobiet różne stosowne mastygi, jednak ochmistrzynie naszej pani nigdy ich dopuścić nie chciąły, bowiem najczęściej są to dawne

ladacznice, które stały się pośredniczkami. I jeśli nam pan Don Kichote nie pomoże, z brodami nas pochowają.

- Wyrwę sobie raczej moją w kraju Maurów' - rzekł Don Kichote - jeśli myna wasze nie poradził. W tym momencie ocknęła się z omdlenia Trifaldi i rzekła:
- Zadzwoniła mi ta obietnica, dzielny rycerzu, w moim omdleniu, do uszu moich dobiegła i wystarczyła, abym wróciła do przytomności i wszystkie zmysły odzyskała: i oto raz jeszcze błagam was, słynny błądzący i niezwyciężony panie, obróćcie w czyn waszą wdzięczną obietnicę.
- Nie będę zwlekał - rzekł Don Kichote - powiedziecie, pani, co mi czynić przystoi; męstwo moje gotowe wasm służyć.
- Rzec trzeba - odpowiedziała Dolorida - że stąd do królestwa Kandai, jeśli podróżuję lądem, jest pięć tysięcy mil, o dwie mniej lub więcej; ale jeśli podróżuję się powietrzem i w linii prostej, jest tylko trzy tysiące dwieście dwadzieścia siedem. Również, jak wiecie trzeba, Malambruno oznajmił mi, że o ile los pozwoli mi odnaleźć oswobodziciela naszego, wyśle po niego wierzchowca znacznie lepszego i mniej narowistego niż konie najemne, będzie to bowiem ten sam rumak drewniany, na którym dzielny Piotr porwał piękną Magelonę; a konia tego kieruje się za pomocą kołka, jaki ma na czole i który mu za hamulec służy; lata on przez powietrze tak daleko, iż zdaje się przez same diabły niesiony. Ten rumak wedle dawnego podania jest dziełem owego czarnoksiężnika Merlinia; użyczył on go Piotrowi, który był mu druhem, na nim Piotr odbył wielkie podróże i porwał, jak się rzekło, piękną Magelonę, sadząc ją na łuku i unosząc powietrzem, pograżywszy w osłupieniu wszystkich, którzy ich z ziemi oglądali. Lecz Merlin użyczał konia jedynie tym, których miłował

Don Kichote - Miguel Cervantez

lub kto lepiej zapłacił, i od czasu wielkiego Piotra aż do dziś nie znamy nikogo, kto by go dosiadał. Malambruno przywłaszczył go sobie czarnoksięskimi sztukami, w mocy go swojej trzyma, odbywa na

nim niekiedy podróże przez różne części świata, dziś jest tu, jutro we Francji, pojutrze w Potosi;

korzystne jest to, że taki rumak nie je, nie śpi, podków nie psowa, ino kroczy po powietrzu, nie mając skrzydeł, tak że dosiadający go może trzymać w ręku szklankę pełną wody, nie roniąc ani kropli, sunie bowiem tak gładko i spokojnie; dlatego też piękna Magelona radowała się wielce, dosiadając go. Na to wtrącił Sanczo:

- Aby sunąć spokojnie i gładko, nie majak mój siwek, tylko że nie lata przepowietrze, ale na ziemi prześcignąłby wszystkich inochodźców świata. U Maurów brak brody był oznaką niskiego pochodzenia. 553

Wszyscy się roześmiali, zaś Dolorida ciągnęła dalej:

- Ten koń (o ile Malambruno zechce naszym nieszczęściom kres położyć) zjawi się tutaj, zanim upłynie pół godziny od nastania nocy; czarnoksiążnik bowiem wy tłumaczył mi, że znakiem, który mi wskaże, iż odnalazłam rycerza, jakiego szukałam, będzie przysłanie mi konia gdziekolwiek bądź, bez zachodu i bez zwłoki. - A wiele osób na nim się zmieści? - zapytał Sanczo.

Dolorida odpowiedziała:

- Dwie, jedna na siodle, druga na łuku; najczęściej owymi dwiema osobami sarycerz i jego giermek, kiedy nie ma jakiejś porwanej dziewczyny. - Chciałbym wiedzieć, pani Dolorido - rzekł Sanczo - jak zwie się ów rumak.. - Jego imię- odpowiedziała Dolorida - to nie imię rumaka

Belerofonta, który zwał się Pegazem, ani Bucefała, konia Aleksandra Wielkiego, nie nazywa się jak koń Orlanda szalonego, który nosił imię

Brilladora, ani jak koń Rynałta z Montal- banu

- Bajard, ani Frontyn, jak ów Rogera, ani

Bootes czy Peritoa1, jak zwały się

wedle podania konie Słońca, nie nazywa się również Orelia, jak koń nieszczęsnego Rodriga, ostatniego króla Gotów, który go dosiadał w bitwie, kiedy postradał życie i królestwo.

- Założyłbym się - rzekł Sanczo - że jako mu nie dano żadnego ze znanychimion owych słynnych rumaków, nie dano mu również i miana konia mego pana, Rosynanta, który sam jeden przenosi wszystkie tu wymienione.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Zaiste - odpowiedziała brodata hrabina - alisci imię ma bardzo stosowne, nazywa się bowiem Kołkowiec Chyży, a pochodzi to stąd, że jest z drzewa, ma na czole kołek i porusza się z chyzością; co do miana, przeto może iść o lepsze z Rosynantem. - To imię dość mi się podoba - odparł Sanczo-ale jakim wędzidłem czy jaką użdzieńicą się go kieruje?
- Już powiedziałam - odrzekła Trifaldi - że kołkiem, który raz w jedną, a razw drugą stronę obraca rycerz na nim siedzący i kieruje, gdzie chce, czy to powietrzem, czy też dotykając i jakby zamiatając ziemię, czy to w miernej wysokości, jako że najlepiej zachować umiarkowanie we wszelkim składnym postępowaniu. - Już bym go chciał widzieć - odpowiedziała Sanczo - ale żądałby gruszki na wierzbie, kto by myślał, że rad bym go dosiąść czy to na siodle, czy na łuku. Zadwie bowiem zdołam na mym siwku się utrzymać i na terlicy miększej od jedwabiu, a teraz chciano by, abym siadł na łuku z deski, bez żadnego podkładu ni poduszki! Dalibóg, nie mam ochoty tłuc się, aby komuś brodę odejmować; niech się każdy goli wedle własnej woli; nie myślę towarzyszyć memu panu w tak dalekiej podróży, tym bardziej że nie mam obowiązku bród tych golić, jeno odczarować panią Dulcyneę.
- Owszem, przyjacielu - odpowiedziała Trifaldi - tym bardziej, że bez waszego udziału, jestem pewna, nic nie uzyskamy.

Bootes nie jest nazwą konia słonecznego, lecz konstelacji zwanej Wolarzem, zaś Pirithous

(nie Peritoa) był to bohaterski król Lapitów, pogromca Centaurów. 554

- Królu mój! - zawała Sanczo. - A cóż mają giermkowie do przygód swychpanów? Zali oni mają zdobywać sławę z pomyślnych przygód, a my całe trudy ponosić? A psiakrew! Gdyby choć historycy powiedzieli: "Ten rycerz dokonał takiej a takiej przewagi, ale z pomocą miejskiego giermka, bez którego nie zdoałby

jej przywieść do końca". Ale napiszą sucho: "Don Paralipomenon Trójkątny pokonał sześć potworów", nie wymieniając osoby jego giermka, który przy tym był obecny, jak gdyby on wcale na świecie nie istniał. Oto, panowie, powtarzam, że mój

pan może jechać sam, aby mu się poszczęściło! Ja tu zostanę w towarzystwie księżnej, mojej pani, i może się zdarzyć, że po powrocie znajdzie on sprawę pani Dulcynei lepszą o jedną trzecią albo i piątą; myślę bowiem, że w chwilach wolnych i bez zajęcia wygarbuję sobie skórę tak, że ni włoska nie zostanie. - Mimo wszystko będziecie musieli towarzyszyć panu, jeśli zajdzie potrzeba, zacny Sanczo, bo błagają

Don Kichote - Miguel Cervantez

was szlachetni; nie mogą wszak dla waszej czczej obawy oblicza owych dam pozostać tak zarośnięte, byłoby to niegodziwe.

- Królu mój, jeszcze raz! - zawała Sanczo. - Gdyby ten czyn, to miłosierdziewyściadczone być miało jakimś dziewczicom klasztornym albo małym dziewczynkom szkolnym, mógłby człek na ten trud się ważyć, ale cierpieć, aby ochmistrzyniom odejmować brody, a zły rok! Raczej bym je wszystkie oglądał z brodami, od największej do najmniejszej, od największej delikatki do największej wykwintnisi.
- Nie kochacie ochmistrzyn, przyjacielu Sanczo - rzekła księżna - nie jesteście dalecy od zdania aptekarza toledańskiego. Zaiste, nie macie słuszności: żyją w moim domu ochmistrzynie, które są wzorem ochmistrzyn; oto jest tu obecna Doña Rodriguez, która słowom mym nie zaprzeczy.
- Żeby wasza dostojość nie wiem co mówiła - rzekła Rodriguez - Bogu całaprawda wiadoma. Czy zacne, czy złe, czy brodate, czy gładkie, tak dobrze nas nasze matki zrodziły, jak i inne białogłówki. A skoro Bóg nas na świat rzucił, wie On dlaczego i w Jego miłosierdziu ufność pokładam, a nie w czylejkolwiek brodzie. - To się chwali, pani Rodriguez - rzekł Don Kichote. - Pani Trifaldi wraz z towarzyszkami, ufam, że niebo łaskawe wejrzy na niedolę waszą i Sanczo postąpi, jak ja rozkażę. Niech tylko przybywa Kołkowiec i niechaj się z Malambrunem zmierzę; wiem bowiem jedno, że żadna brzytwa łącznej by waszych miłości nie ogoliła, niż miecz mój z ramion zgoli łeb Malambruna. Bóg cierpi złych, ale nie na zawsze. - Ach! - rzekła na to Dolorida - niech wszystkie gwiazdy niebieskich przestworzy łaskawym okiem spojrzą na waszą wysokość, dzielny rycerzu, i na wasze męskwo zleją wszelką pomyślność i odwagę, abyś stał się tarczą i obroną znieważa-

nego i poniżanego rodzaju ochmistrzynskiego, znienawidzonego przez aptekarzy, obmawianego przez giermków i naciąganego przez pań; przeklęta niech będzie ta szalona, która w kwietiu wieku swego zamiast mniszką zostanie ochmistrzynią. Biada nam, ochmistrzynie! Bo choćbyśmy pochodzili w prostej linii po mieczu od Trojańczyka Hektora, nie oszczędziliśmy nam nasze panie pogardliwego "wy", jeśli miały przez to królestwa dostąpić! O olbrzymie Malambruno, który choć czarodziejem jesteś, dotrzymujesz wiernie słowa, przesyłaj rychło nieporównanego Kołkowca, aby zakończyła się nasza udręka; bo gdy nadejdą upały, a brody nasze trwać będą, już po nas!

Don Kichote - Miguel Cervantez

Z takim uczuciem wypowiedziała to Trifaldi, że wszystkich przytomnych do łez wzruszyła, a nawet napełniła łzami oczy Sancza, który w swym sercu postanowił towarzyszyć panu swemu do ostatnich krańców świata, jeśli od tego zależało uwolnienie od kudłów tych czcigodnych twarzy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

o przybyciu Kołkowca oraz o zakończeniu tej przydługiej przygody Tymczasem zapadła noc, a wraz z nią nadeszła oznaczona pora przybycia słynnego rumaka Kołkowca. Jego opóźnienie zaczęło niepokoić już Don Kichota, myślał bowiem, że jeśli Malambruno zwleka z jego przysaniem, to albo on nie jest rycerzem, któremu ta przygoda jest przeznaczona, albo Malambruno nie śmiał się z nim zmierzyć w pojedynku. Aliści nagle w tym momencie weszły do ogrodu czterech dzikich mężów, okrytych liściem bluszczu, którzy na barkach swych wtaszczyli wielkiego drewnianego konia. Postawili go na ziemi i jeden z dzikusów rzekł:

- Niech dosiędzie tej maszyny rycerz, który ma dość odwagi.
- Tedy ja nie siadam - rzekł Sanczo - bo ani odwagi nie mam, ani rycerzem nie jestem.
Lecz dzikus ciągnął dalej:
 - A jeżeli rycerz ma giermka, niech ten siada na łuku i niech zaufa dzielnemu Malambrunowi, bo krom jego miecza nic innego ani żadna samołówka mu nie grozi. Wystarczy jedynie okręcić kołek na szyi konia, a uniesie ich powietrzem tam, gdzie oczekuje ich Malambruno, wszelako aby wysokość i wzlot drogi nie przyprawił ich o zatrzymanie głowy, mają zawiązać sobie oczy, dopóki koń nie zarzy, co będzie zwiastować koniec podróży.

To powiedziawszy, zostawili Kołkowca i miarowym krokiem wrócili, skąd przyszli. Dolorida, skoro ujrzała konia, niemal ze łzami rzekła do Don Kichota: - Waleczny rycerzu, obietnice Malambruna okazały się niezawodne, koń jest na miejscu, nasze brody rosną i każda z nas każdym ich włoskiem błaga cię, ostrzyż nas i ogol, wystarczy na to, abyś dosiadł konia wraz z twoim giermkiem i szczęśliwie waszą niezwykłą podróż rozpoczęł.

- Tak też uczynię, pani hrabino Trifaldi, z największą chęcią i ochotą, nie tracąc próżno czasu na zabieranie poduszki i przypinanie ostróg, tak wielkie jest we mnie pragnienie widzieć was, pani, i wszystkie owe matrony ogolonymi i gładkimi. - A ja tego nie zrobię - rzekł Sanczo - ani chętnie, ani niechętnie, w żaden sposób; a jeśli istotnie to golenie nie może się odbyć, o ile nie siadę na łuku, może mój pan poszukać sobie innego giermka, aby mu towarzyszył, zaś owe damy innego samołówka - potrzask, pułapka.

Don Kichote - Miguel Cervantez

556 sposobu wygładzenia twarzy; nie jestem czarownikiem, abym lubił po powietrzu

latać. A cóż by powiedzieli moi wyspiarze, dowiedziawszy się, że ich

wielkorządca

na wiatry się puścił? A co ważniejsze: jeśli stąd do Kandai jest trzy tysiące i coś tam mil, to jeśli koń się zmęczy albo olbrzym się zagniewa, na powrót stracimy pół tu- zina lat, a już wtedy ani wyspy nie będzie, ani wyspiarzy na świecie, którzy by mię

znali; a jako zwykle powiada się, iż w zwłoce tkwi niebezpieczeństwo i kiedy ci dają jałówkę, biegaj po powróz i skuwkę, to niech mi brody owych dam wybaczą, ale św. Piotrowi dobrze w Rzymie, chcę rzec, dobrze mi w tym domu, gdzie mi tyle dobrodziejstw świadczą i gdzie od gospodarza spodziewam się tak wielkiego szczęścia, jak ujrzeć się wielkorządcą. Na to wtrącił książę:

- Sanczo przyjacielu, wyspa, którą wam przyrzekłem, nie rusza się ani nieucieknie; tak ma głębokie korzenie, jądra ziemi sięgające, że wszelkie wysiłki, aby ją z miejsca ruszyć i wyrwać, byłyby daremne, a jako wiecie równie dobrze jak ja, że nie masz urzędu, zwłaszcza spomiędzy tak zacnych, którego by okupić nie trzeba jakimś porękawicznym mniejszym czy większym, ja za to wielkorządztwo żądam, abyście się udali z waszym panem Don Kichotem, tę nadzwyczajną przygodę doprowadzili do szczytu i końca i powrócili na Kołkowcu tak rychło, jak po jego chyzości spodziewać się można. A gdybyście wskutek przeciwności losu musieli wracać pieszo jak pielgrzym od domu do domu i od zajazdu do zajazdu, to kiedy byście wrócili, znajdziecie zawsze waszą wyspę tam, gdzie ją zostawiliście, a waszych wyspiarzy tak samo żądnego powitania was jako wielkorządcę swego; moja wola zaś będzie niezmienna, nie powątpiewajcie nijak o tej prawdzie, panie Sanczo, ubliżylibyście ciężko mej chęci usłużenia wam.

- Dość na tym, panie - rzekł Sanczo -jestem tylko prostym gierkiem i niezdołam odpowiedzieć godnie na tyle dworności; niech mój pan wsiada, niech mi zawiążą oczy, powierzą mnie Bogu i niech powiedzą mi, czy wolno mi będzie, kiedy tak wysoko latać będziemy, polecić się Panu naszemu i wezwać anioły ku pomocy. Na to odpowiedziała Trifaldi:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Sanczo, oczywiście będziecie mogli polecać się Bogu czy komu tam zechcecie; Malambruno, choć czarnoksiążnik, jest chrześcijaninem i wszystkie czary swoje pełni z wielką roztropnością i z wielkim umiarem, z nikim nie zadzierając.
- Tedy - rzekł Sanczo - pomagaj Bóg i Przenajświętsza Trójca z Gaety.- Od czasu pamiętnej przygody z foluszami - rzekł Don Kichote - nie widziałem nigdy Sancza w takim przerażeniu jak obecnie; gdybym był równie przesadny jak inni, jego tchórzliwość przyprawiłaby mą duszę o gęsią skórkę. Zbliź się tedy, Sanczo, za pozwoleniem tych państwa chcę ci na osobności rzec dwa słowa. I odszedł z Sanczem pomiędzy drzewa ogrodu, pochwycił go za ręce i rzekł: - Widzisz oto, Sanczo bracie, jak daleka podróż nas czeka. Bóg wie, kiedy z niej powrócimy i czy te sprawy zostawią nam sposobność i czas na to; chciałbym przeto, abyś usunął się teraz do swojej izdebki pod pozorem zabrania rzeczy potrzebnych do drogi i ażebyś na rachunek trzech tysięcy trzystu plag, do których się zobowiązałaś, wymierzył sobie w okamgnieniu zadatek, choćby pięćset, tyle twego! Rzeczy zaczęte są jakby na pół ukończone. 557

-Na miły Bóg! -wykrzyknął Sanczo. - Chyba naprawdę jegomość rozum stracił! To jakby kto rzekł: "Brzemienną mię widzisz, a dziewczwa żądasz". Teraz kiedy mam usiąść na gładkiej desce, wasza miłość chce, abym sobie pośladki poranił? Zaprawdę, zaprawdę nie macie, jegomość, rozumu. Jedźmy teraz golić owe matrony; po powrocie zaś przyczekam wam na mój honor, jakom jest Sanczo, z taką gorliwością do wypełnienia moich zobowiązań przystąpić, że jegomość będzie zadowolony, i nic więcej nie powiem.

Don Kichote odparł:

- Ta obietnica, zacny Sanczo, pociesza mię i wierzę, że jej dotrzymasz, bowiem istotnie, choć głupi, jesteś człek rzetelny.
- Nie jestem zielony, lecz czarny, ale choćbym był nakrapiany, dotrzymam słowa.Po tych słowach powrócili, aby wsiąść na Kołkowca, a wsiadając, Don Kichote rzekł:
- Zawiążcie oczy i wsiadajcie, Sanczo; ten, który z tak dalekich stron po nasprzysyła, nie może nas zwodzić, mała byłaby to chwała oszukiwać człowieka, który mu zaufa. A chociażby wszystko poszło wbrew temu, co sobie wyobrażam, to niczyja złośliwość nie zaćmi sławy, że na ową przygodę się ważyłem. - Jedźmy, panie - rzekł Sanczo -już brody i łzy owych dam tak mi się w serce wraziły, że i kęska nie przełknę, póki ich nie ujrzę w pierwotnej gładkości. Wsiadajcie, jegomość, i pierwsi zwiążcie oczy; bo jeśli ja mam jechać na łuku, jasne jest, że wpierw musi ktoś wsiąść na siodło. - To prawda - odparł Don Kichote.

Don Kichote - Miguel Cervantez

I wyciągnawszy chustkę z kieszeni, poprosił Doloridę, aby mu dokładnie oczy zawiązała; ale zaraz potem znów zdjął opaskę i rzekł:

- Jeśli sobie dobrze przypominam, czytałem u Wergilego o Palladium¹ trojańskim; był to koń drewniany, którego Grecy rzekomo ofiarowali bogini Pallas, a jego

wnętrze pełne było uzbrojonych rycerzy, którzy dokonali zupełnego zniszczenia Troi; dobrze byłoby się przeto wpierw przekonać, co Kołkowiec w swoim żywocie zamyka.

- Nie ma potrzeby - rzekła Dolorida - wierz bowiem i wiem, że Malambrunonie ma nic z niegodziwca i zdrajcy; wasza miłość, panie Don Kichocie, wsiadajcie bez obawy, a jeśliby się co złego przydarzyło, biorę to na siebie. Zdawało się Don Kichotowi, że cokolwiek by rzekł w sprawie swego bezpieczeństwa, byłoby z uszczerbkiem dla jego mestwa, przeto bez dalszych ceregieli wsiadł na Kołkowca i spróbował kołka, który obracał się lekko; a jako nie miał strzemion i nogi mu dyndały, robił wrażenie wymalowanej, a raczej utkanej postaci z flamandzkiego arrasu w obrazie rzymskiego triumfu. Niechętnie i powoli zaczął się Sanczo gramolić i usadowiwszy się, jak mógł najlepiej, na łuku, znalazł go raczej nieco twardym, a bynajmniej nie miękkim, i poprosił księcia, aby -jeśli to możliwe - dostarczył mu jakieś derki czy poduszki, choćby z podium księżnej pani

1 Posąg bogini Pallas Ateny, spadły z nieba w Troi, otoczony tam największą czcią jako gwarancja nienaruszalności miasta. Cervantes pomieszał owe Palladium ze słynnym "koniem trojańskim".

558 albo z łóżka jakiegoś pazia; bowiem łęki tego konia zdawały się raczej z marmuru niż z drewna. Na to rzekła Trifaldi, że Kołkowiec nie znosi żadnego rzędu ani żadnej przyozdoby; może jedynie Sanczo usiąść po kobiecemu, a wtedy nie będzie mu tak twardość dawać się we znaki. Sanczo poszedł za tą radą i pożegnawszy wszystkich, pozwolił sobie zawiązać oczy, ale wnet je odkrył i spoglądając czule i ze łzami na wszystkich w ogrodzie, prosił o zmówienie na jego intencję w tej ciężkiej przeprawie mnogich Ojczenaszek i mnogich Zdrowasiek, aby Bóg zesłał im kogoś, kto by ich też wspomógł, kiedy się znajdą w podobnych opałach. Na to odezwał się Don Kichote:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Tchórzu! Zali stoisz pod szubienicą i w ostatniej godzinie życia, aby o takiemodły prosić? Czy nie siedzisz - ty bezduszny i tchórzliwy stworze - na tym samym miejscu, które zajmowała piękna Magelona, a zeszła zeń nie do grobu, ale na tron królowej Francji, o ile historia nie kłamie?

Ja zaś, którego widzisz u twego boku, zali nie mogę się uważać za dzielnego Piotra, który zajmował to samo miejsce, jakie ja teraz zajmuję? Zasłoń oczy, zasłoń oczy, bezrozumne stworzenie, bacz, aby

strach, jaki odczuwasz, nie wyskoczył ci przez usta, przynajmniej w mej obecności.

- Niech mię zawiążą - odrzekł Sanczo - skoro nie chcą, abym się Bogu polecił, ani aby mnie polecano, cóż dziwnego, że boję się, aby skądś sfora diabłów nie porwała nas do Peralvillo'?

Zawiązali sobie oczy i Don Kichote, czując, że wszystko jest jak należy, dotknął kołka: zaledwie dwa palce na nim położył, kiedy wszystkie ochmistrzynie, ile ich tam było obecnych, podniosły głos, wołając: - Niech Bóg cię prowadzi, dzielny rycerzu! - Niech Bóg będzie z tobą, nieustraszony giermku!

- Już, już unosicie się w powietrzu i przecinacie je szybciej niż strzała! - Oto już w podziw wprawiacie i w zdumienie wszystkich, którzy was z ziemi oglądają!
- Trzymaj się, mężny Sanczo, bo się chwiejesz! Bacz, abyś nie spadł! Gorszybyłyby twój upadek niżli zuchwałego młodzika, który chciał wozem swego ojca Słońca kierować.

Sanczo słyszał głosy i przytuliwszy się do swego pana, ciasno opasał go ramionami i rzekł:

- Panie, jak mogą mówić, że lecim tak wysoko, jeśli ich głosy dochodzą takwyraźnie, iż zdaje się, jakby mówili tuż obok nas?
- Nie zastanawiaj się nad tym, Sanczo; te rzeczy i te latania tak odbiegają odzwyczajnego biegu, że i z wysokości tysiąca mil mógłbyś widzieć i słyszeć, co byś

zechciał. Ale nie ściskaj mnie tak, bo mnie zrzucisz; nie wiem doprawdy, dlaczego niepokoisz się i lękasz? Móglbym przysiąc, że nigdy w moim życiu nie jechałem na tak łagodnie niosącym wierzchowcu, wydaje się, jak gdybyśmy się z miejsca nie ruszali. Pozbądź, przyjacielu, trwogi, bowiem wszystko idzie, jak należy, i wiatr mamy z tym. Miejscowość, w której odbywały się egzekucje skazanych przez Świętą Hermandadę.

559 - To prawda - odpowiedział Sanczo - z tamtej strony czuję wiatr

tak gwałtowny, jakby tysiąc miechów we mnie dmuchało.

Don Kichote - Miguel Cervantez

I tak też było; kilka wielkich miechów bowiem na nich dęło; tak świetnie ułożona była owa przygoda przez księcia, księżnę i marszałka, że nie brakło niczego, aby była doskonała.

Don Kichote, czując również podmuch, rzekł:

- Bez żadnej wątpliwości, Sanczo, musimy już sięgać drugiej sfery nieba, gdzie rodzą się grad i śniegi; grzmoty, pioruny i błyskawice powstają w trzeciej sferze; jeśli z taką szybkością wznoś się będziemy, dotrzymy niebawem do sfery ognia i nie wiem, jak hamować tym kołkiem, abyśmy nie wznieśli się do miejsca, gdzie się spalimy.

W tej chwili pakułami uwiązanymi do trzciny, które równie łatwo zapalić jak ugasić, zaczęto im ogrzewać twarze. Sanczo, poczuwszy żar, rzekł: - Niech mnie zabiją, chyba już jesteśmy w sferze ognia albo bardzo blisko; mam już bowiem połowę brody osmoloną, bierze mię chęć odsłonić oczy i zobaczyć, gdzie jesteśmy.

- Nie czyń tego - odpowiedział Don Kichote - i przypomnij sobie prawdziwą opowieść o licencjacie Torralbie, którego diabły uniosły w powietrze, siedzącego na patyku jak na koniu, z zamkniętymi oczyma; w dwanaście godzin dotarł do Rzymu, zsiadł na jednej z ulic miasta zwanej Torre di Nona1, oglądał bitwę, atak i śmierć Burbona, rankiem zaś był z powrotem w Madrycie, gdzie zdał sprawę ze wszystkiego, co widział; ten sam opowiadał, że kiedy płynął przez powietrze, diabeł kazał mu otworzyć oczy, a kiedy je otworzył, ujrzał się tak blisko księżyca, że jak mnie mał, mógł go ręką dosięgnąć, ale nie śmiał spojrzeć na ziemię z obawy przed zawrotem głowy. Nie należy przeto, Sanczo, oczu odsłaniać. Ten, który zobowiązał się nas prowadzić, odpowiada za nas; może tak krążymy i wzbijamy się ku górze, aby od razu spaść na królestwo Kandai, jak czyni krogulec czy sokół, kiedy spada na czapłę, aby ją porwać, choćby uciec usiłowała. I lubo nam się wydaje, że nie ma i pół godziny, odkąd opuściliśmy ogród, wierzaj mi, musieliszy ujechać dobry kęs drogi.

- Nie wiem, jak jest - odpowiedział Sanczo Pansa - mogę rzec jeno, że pani Magaliana czy Magalona musiała nie mieć delikatnego ciała, jeśli dobrze się czuła na tym łęku. Książę, księżna i wszyscy w ogrodzie słuchali owej rozmowy dwóch śmiałków z niezmierną uciechą. Pragnąc zaś zakończyć ową niezwyczajną i doskonale ułożoną przygodę, kazali przytknąć kłaki zapalone do ogona Kołkowca. A ponieważ koń był pełen rac i petard, natychmiast wszystko wyleciało w powietrze z wielkim hukiem i spadło na ziemię razem z Don Kichotem i Sanczem, na wpół osmalonymi. Tymczasem

Don Kichote - Miguel Cervantez

znikł z ogrodu cały brodaty hufiec ochmistrzyń wraz z Trifaldi i resztą, a wszyscy, którzy byli w ogrodzie, legli jakby w omdleniu na ziemię rozciągnięci; Don Kichote i Sanczo pozbierali się w smutnym stanie i rozglądając się na wszystkie strony, ze zdumieniem ujrzelii się w tym samym ogrodzie, skąd wy- Nie była to ulica, lecz więzienie.

560

lecieli, w osłupieniu patrzyli na takie mnóstwo ludzi leżących na ziemi, a wzrosło ono jeszcze bardziej, kiedy w kącie ogrodu dostrzegli zatkniętą wielką dzidę, a na niej zawieszony na dwóch jedwabnych sznurkach gładki biały pergamin, na którym wielkimi złotymi literami było napisane:

"Znamienity rycerz Don Kichote z Manczy przedsiewziął i do kresu doprowadził przygodę hrabiny Trifaldi, inaczej zwanej ochmistrzynią Doloridą, oraz jej towarzyszek, przez samo jej podjęcie. Malambruno jest zupełnie zadowolony, poprzestaje na tym zadośćuczynieniu, podbródki ochmistrzyń stają się gładkie i oczyszczone, zaś królestwo Don Clavijo i Antonomazja przywrócone do pierwotnego stanu. A kiedy wypełni się biczowanie giermkowe, biała gołębica wyzwolona ze szponów smrodliwych białozorów, które ją prześladują, uleci w ramiona swego gruchającego kochanka; tak postanowił wiaduch Merlin, czarnoksiążnik nad czarnoksiążnikami".

Kiedy Don Kichote przeczytał napis na pergaminie, jasno pojawił, że mowa tam o odczarowaniu Dulcynei; niebu zaczął liczne dzięki składać, że z tak małym narzeniem tak wielkiego czynu dokonał, przywracając do pierwotnej postaci oblicza czcigodnych ochmistrzyń, które znikły; podszedł do miejsca, gdzie książę i księżna leżeli jeszcze bez ducha i potrząsając ręką księcia, rzekł:

-Nuże! Zacny panie, czuj duch! Czuj duch! Wszystko minęło! Przygoda zakończona bez szkody dla nikogo, jak dowodzi jasno napis na tym słupie zawieszony. Książę powoli, jak ten, kto ze snu ciężkiego się budzi, przychodził do siebie i w ten sam sposób księżna oraz wszyscy inni leżący na ziemi w ogrodzie, z takimi objawami podziwu i osłupienia, że można by mniemać, iż naprawdę zdarzyło im się to, co tak dobrze udawać umieli przez żarty. Książę przeczytał napis na wpół przymkniętymi oczyma i natychmiast wziął w ramiona Don Kichota, nazywając go najlepszym rycerzem, jakiego wieki widziały. Sanczo oczyma szukał

Don Kichote - Miguel Cervantez

Doloridy, aby ujrzeć, jak wygląda bez brody, czy była tak urodziwa, jak jej okazała postać zapo-

wiadała; ale powiedziano mu, że kiedy Kołkowiec spadł w płomieniach z powietrza na ziemię, cały hufiec ochmistrzyń znikł wraz z Trifaldi i że były ogolone i bez

kudłów. Księżna zapytała Sancza, jak mu się wiodło z tej dalekiej podróży, na co Sanczo odpowiedział:

- Ja, pani, czułem, że jedziemy, jak mi mój pan mówił, lecąc przez kręgi ognia, więc chciałem trochę oczy odsłonić; ale pan mój, którego prosiłem o pozwolenie, nie zgodził się na to; aliści ja, który jestem żdziebko ciekawski i zawsze chcę wi-

dzieć, co mi doskwiera i przeszkadza, po kryjomu i niepostrzeżenie uchyliłem nieco przy nosie chustki, która mi oczy zakrywała; spojrzałem na ziemię i wydała mi się ona nie większa niż ziarnko gorczyczne, a ludzie po niej chodzący nieco więksi od laskowych orzechów, z tego widzieć można, jak wysoko musieliszy wówczas lecieć.

- Sanczo przyjacielu, zważcie, co powiadacie, bo zdaje się, nie widzieliście ziemi, jeno ludzi po niej chodzących, jasne bowiem, że jeżeli ona wydawała się wam ziarnkiem gorczycy, a każdy człowiek jak orzeszek laskowy, jeden człowiek musiał całą ziemię zakrywać. 561

- Prawda - odpowiedział Sanczo - ale mimo to spojrzałszy na nią z ukosa, dojrzałem ją całą.

- Zważcie, Sanczo - rzekła księżna - że z ukosa nie widzi się całości tego, naco patrzmy.

- Nie rozumiem się na tych oglądaniach - odparł Sanczo - wiem tylko, że wasza dostojość powinna zrozumieć, iż lecieliśmy zaczarowani i dzięki czarom mogłem zobaczyć całą ziemię i wszystkich ludzi, skądkolwiek bym patrzał. A jeżeli mi nie wierzycie, również nie uwierzy wasza miłość, że odsłoniwszy chustkę z nasady brwi, ujrzałem się blisko nieba, ledwie na półtora piedzi, i na to mogę przysięgać, pani moja, że jest ono okrutnie wielkie. Zdarzyło się, że lecieliśmy obok Siedmiu Kózl,

Don Kichote - Miguel Cervantez

i na Boga, i na mą duszę, jako w dzieciństwie byłem w mej wiosce koziarczykiem, skoro tylko je ujrzałem, przyszła mi ochota pobawić się trochę z nimi!... Pękłbym

chyba, gdybym jej nie uczynił zadość. Zbliżyłem się przeto i cóż czynię? Nic nikomu nie mówiąc ani nawet memu panu, po cichutku i ostrożnie złażę z Kołkowca i zabawiam się prawie przez trzy pacierze z Kózkami miłymi jak lewkonijki albo jakieś kwiatki, a Kołkowiec nie rusza się z miejsca ani na krok.

- A podczas kiedy zacny Sanczo zabawiał się z Kózkami - zapytała księżna czym zajmował się Don Kichote? Na to odpowiedział Don Kichote:
 - Ponieważ wszystkie te sprawy i te wszystkie wypadki tak odbiegają od naturalnego biegu, nie dziwota, że Sanczo takie rzeczy opowiada. O sobie powiedzieć mogę, że nie odsłoniłem się ani od góry, ani od dołu, nie widziałem ani nieba, ani ziemi, ani morza, ani piasków. Co prawda czułem, że leczę przez sferę powietrza i że jestem nawet bliski sfery ognia, ale nie mogę uwierzyć, abyśmy wznieśli się wyżej,

sfera ognia znajduje się bowiem między niebem księżycowym a ostatnią sferą powietrzną, nie mogliśmy, nie spaliwszy się, dosiągnąć więc nieba, gdzie znajduje się owych Siedem Kóz, o których mówi Sanczo; a jako nie upiekliśmy się, to Sanczo albo lże, albo śni.

- Ani lżę, ani śnię - odpowiedział Sanczo - zapytajcie mnie ino, jak owe Kozysą znaczone, a przekonacie się, czy mówię prawdę, czy nie. - Powiedzcie tedy, Sanczo - rzekła księżna.
- Są one - odpowiedział Sanczo - dwie zielone, dwie czerwone, dwie błękitne, a jedna łaciata.
- To jakiś nowy rodzaj kóz - wracił książę - w naszej ziemskiej krainie niema takich kolorów, to znaczy kóz takiej maści. - To jasne przecie - rzekł Sanczo - musi być różnica między Kozami niebieskimi a ziemskimi.
- Powiedzcie mi, Sanczo - zapytał książę - czy pomiędzy tymi Kozami widzieliście jakiegoś Kozła?
- Nie, panie - odpowiedział Sanczo - ponieważ słyszałem, że żaden nie przekracza rogów księżyccowych. Ludowa hiszpańska nazwa konstelacji Plejad. "(562

Nie chcieli już więcej dopytywać go o podróż, jasne bowiem było, że Sanczo gotów po całym niebie się wodzić i o wszystkim, co się tam dzieje, opowiadać, choć nie opuszczał ogrodu. Jednym słowem, taki był koniec przygody ochmistrzyni Doloridy,

Don Kichote - Miguel Cervantez

mieli się z czego księstwo śmiać nie tylko w tym czasie, ale i przez całe życie, a Sanczo opo- wiadać przez wieki całe, o ile by tak długo żył. Don Kichote, zbliżywszy się do Sancza, szepnął mu do ucha:

- Sanczo, jeśli chcecie, aby wam wierzono w to, co widzieliście na niebie, ja chcę, abyście wierzyli w to, co ja widziałem w Grocie Montesinosa.

Nic więcej nie powiem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

o radach, jakich udzielił Don Kichote Sanczo Pansie, zanim ten objął rządy na wyspie, oraz o innych sprawach bardzo ważkich

siętwo tak byli uradowani szczęśliwym i zabawnym zakończeniem przygody z Doloridą, że postanowili dalej posunąć żarty, widząc, z jaką łatwością mogą je tym dwom wmaować jako prawdę; wydawszy przeto wskazówki i rozkazy, wedle których służebni i podwładni mają postępować wobec Sancza na wielkorządztwie obiecanej wyspy, na drugi dzień po locie Kołkowca rzekł książę do Sancza, aby się przygotował i przystroił do objęcia rządów; już bowiem jego wyspiarze wyglądają go jak deszczu w maju; Sanczo sklonił się nisko i rzekł:

- Odkąd zstąpiłem z nieba i odkąd z jego wysokości oglądałem ziemię i widziałem ją tak maleńką, znacznie zmalała we mnie wielka żądza zostania wielkorządcą; cóż bowiem znaczy panować nad ziarnkiem gorczycznym i cóż to za godność czy władztwo rządzić pół tuzinem ludzi wielkich jak laskowe orzeszki, bo nie wydawało mi się, aby ich było więcej na świecie. Gdyby wasza dostojość zechciała mi dać malutką cząsteczkę nieba, choćby tylko miała pół mili, przyjąłbym ją z większą ochotą niż największą wyspę na świecie.
- Zważcie, przyjacielu Sanczo - odpowiedziała książę - iż nie jestem w stanie dać komukolwiek cząstki nieba, choćby nie większej od paznokcia; w boskiej jedynie mocy takie łaski i dary. Daję wam to, co dać mogę, to jest wyspę całą i porządną, okrągłą i kształtną, nad miarę urodzajną i obfitującą, gdzie, jeśli potraficie zabrać się do rzeczy, możecie przez bogactwa ziemskie i bogactwa niebieskie pomnożyć. - Dobrze więc - odrzekł Sanczo - niech będzie ta wyspa. Postaram się być takim wielkorządcą, że na przekór wszystkim gałganom do nieba się dostanę; a to nie przez chęć wyjścia z mej lepianki ani przez chęć wywyższenia się ponad moich dziadków, ale ponieważ chcę spróbować i wiedzieć, co to jest być wielkorządcą.

563

- Kiedy raz spróbujecie, Sanczo - rzekł książę - zjecie ręce do łokcia na tychrządach, nie masz bowiem słodszej rzeczy na świecie, jak rozkazywać i być słucha-

Don Kichote - Miguel Cervantez

nym. Z pewnością, kiedy wasz pan dojdzie do cesarstwa, a stanie się to bez ochyby, jeśli dalej tak sprawy jego się potoczą, nie da go sobie wydrzeć nikomu i żałować ciężko będzie w głębi duszy, że tyle czasu zmarnował, nie będąc cesarzem. - Panie - odparł Sanczo - myślę, że miło jest rozkazywać choćby i trzodzie owiec.

- Niech mię z wami pogrzebią, Sanczo, na wszystkim się znacie - odpowiedział książę. - Mam nadzieję, że będziecie takim wielkorządcą, jakiego wasz rozsądek zapowiada. Zostawmy to teraz. Pamiętajcie, że jutro rano macie udać się na wyspę dla objęcia rządów, dziś wieczór przygotują wam szaty odpowiednie, które macie zabrać, i wszystko, co do podróży potrzebne.
- Niech mię przyodziewają, jak chcą- rzekł Sanczo - jakkolwiekbym się przyodziałał, zawsze Sanczo Pansą zostanę.
- Iście prawda - rzekł książę - ale strój musi być stosowny do urzędu i do piastowanej godności; nie byłoby przystojnie, gdyby prawnik odziewał się jak żołnierz albo żołnierz jak duchowny. Wam, Sanczo, przystoi odziewać się na poły jako praw- nik, a na poły jako wódz, bowiem na wyspie, jaką wam oddaję, potrzebna jest zarówno broń, jak prawo, i prawo, jak broń. - Na pisaniu niewiele się rozumiem - odpowiedział Sanczo - nawet ABC nie umiem, ale wystarczy mi mieć krzyż na pamięci, aby dobrym być wielkorządcą. Co do broni, szermować będę taką, jaką mi dadzą, póki nie upadnę, i pomagaj Bóg! - Mając tak dobrą pamięć - rzekł książę - w niczym Sanczo pobłędzić nie może. Na to nadszedł Don Kichote i dowiedziawszy się, co się stało i jak rychło Sanczo ma na swój urząd odjechać, za pozwoleniem księcia wziął go za rękę i oddalił się z nim do swej komnaty z zamiarem udzielenia mu rad, jak ma swój urząd sprawować. Weszli do komnaty, Don Kichote zamknął drzwi, zmusił Sancza, by usiadł koło niego, i głosem spokojnym przemówił:
- Nieskończone dzięki składam niebu, przyjacielu Sanczo, że zanim mnie się coś pomyślnego zdarzyło, tobio pierwszemu los szczęśliwy wyszedł naprzeciw, aby cię powitać. Oto ja, który liczyłem na traf przychylny, aby twe usługi opłacić, widzę się u początków mej pomyślności, a ty przed czasem i wbrew rozsądnej rachubie widzisz twe pragnienia ziszczone. Inni dają porękawiczne, nachodzą, nalegają, wstają o świtaniu, proszą, bługają natarczywie i nie uzyskują, o co się starają, a przyjdzie ktoś inny i

nie wiedząc jak i dlaczego, otrzymuje godność i urząd, o który liczni

inni zabiegają; tu zastosować trzeba i można powiedzenie, że w dążeniach naszych jedni mają, drudzy nie mają szczęścia. Ty, który w porównaniu ze mną jesteś ani chybi prostakiem, ani rano nie wstając, ani nocą na czuwaniu nie trawiąc, bez żadnych zabiegów, ledwie cię owiały wiatr błędного rycerstwa, ni stąd, ni zowąd widzisz się wielkorządcą wyspy jakby nigdy nic. To wszystko mówię, o Sanczo, abyś własnym zasługom nie przypisywał otrzymanej łaski, jeno dziękował niebu, które tak łaskawie rzeczy układa, oraz wielkości, jaką w sobie zamyka zawód błędnego rycerstwa. Nachylając serce twe ku wierze w słowa moje, posłuchaj uważnie, o synu,

564

twojego oto Katona, który chce udzielić ci rady i stać się gwiazdą polarną i przewodnikiem, który cię prowadzi i doprowadzi do bezpiecznego portu owego burzliwego morza, na które się masz puścić, urzędy bowiem i wielkie godności nie są niczym innym, jeno odmętem głębokim, pełnym wirów.

Po pierwsze, o synu, Boga się lękaj, w bojaźni Bożej tkwi mądrość, a będąc mądrym, nie pobłędzisz w niczym.

Po drugie, masz mieć przed oczyma, kim byłeś, starając się poznać samego siebie, a jest to najtrudniejsze poznanie, jakie wyobrazić sobie można. Dzięki poznaniu samego siebie nie będziesz się nadymał jak owa żaba, która chciała wołu dorównać. A jeśliby twoja próżność roztoczyła ogon jak paw, to jakby na widok brzydkich nóg opadnie twego szaleństwa koło, gdy przypomnisz, żeś wieprze pasał w swej wiosce.

- To prawda - odpowiedział Sanczo - ale byłem wtedy chłopaczkiem, później, jako wyrostek, pasałem już gęsi, a nie świnie. Ale mnie się zdaje, że to nic nie ma do rzeczy; nie wszyscy, którzy rządzą, pochodzą z królewskiego stanu. - I to prawda - odparł Don Kichote - i dlatego u tych, którzy nie wywodzą się ze szlacheckiego rodu, powadze godności, którą pełnią, towarzyszyć musi miła łagodność, ta, wiedziona przez roztropność, oszczędzi im poszeptów złośliwych, jakich żaden stan nie uniknie. Raczej chlubą niech ci będzie skromność twojego rodu

i nie wahaj się przyznać, że pochodzisz z wieśniaków; gdyż widząc, że się tego nie wstydzisz, nikt cię tym nie zechce zawstydzić; raczej staraj się być maluczkim cno-

tliwym niż występnym pyszałkiem. Niezliczeni są, którzy z niskiego stanu pochodzą, wznieśli się do najwyższej godności kościelnej czy cesarskiej; na dowód tej prawdy przytoczyć mógłbym ci tyle przykładów, żebyś się nimi znużył. Zważ, Sanczo, jeśli weźmiesz cnotę za wytyczną i starać się będziesz postępować cnotliwie, nie będziesz

Don Kichote - Miguel Cervantez

miał czego zazdrościć książętom i panom; bowiem krew się dziedziczy, a cnotę się nabywa i cnota ma wartość sama w sobie, a krew nie. A jako tak jest, jak jest, to gdyby przypadkiem ktoś z twoich krewnych przybył cię odwiedzić, gdy będziesz na swej wyspie, nie odpychaj go ani nie czyń mu afrontu, przeciwnie, przyjmij go przyjaźnie, obdaruj i ugość; postąpisz zgodnie z prawami natury i z wolą niebios, które lubią, kiedy człek nie wstydzi się tego, czym

był. Jeśli żonę sprowadzisz (a nie jest dobrze, kiedy ci, którzy rządy sprawują, dłu- go bez swoich zostają), poczaj ją, kształć i oglądzaj z jej przyrodzonego prostac-

twa; wszystko bowiem, co potrafi uzyskać wielkorządca mądry, zwykła stracić i zepsować biały głowa nieokrzesana i głupia. Jeślibyś przypadkiem owdowiał (co się zdarzyć może) i dla godności ożenisz się z kobietą wyższego rodu, nie bierz takiej,

która ci służyć będzie za przynętę i wędkę, za "nie chcę" twojego kaptura², zapraw- dę bowiem powiadam ci, że ze wszystkiego, co żona sędziego otrzyma, zda mąż 1 Aluzja do pawia, który, według ludowego wierzenia hiszpańskiego, zamka roztoczony ogon ze wstydu, kiedy spojrzy na swe brzydkie nogi.

2 Aluzja do hiszpańskiego przysłowia: "Nie chcę, nie chcę, ale wrzuć mi do kaptura lub do kapelusza". 565

sprawą na sądzie ostatecznym i w czwórnasób zapłaci po śmierci rachunki, z których się za życia nie uiścił.

Nigdy nie postępuj wedle swego widzimisię, jak zwykli czynić głupcy, którzy się za mądrych uważają.

Miej dla lez ubogich więcej litości, ale z równą sprawiedliwością przyjmuj przedłożenia bogacza.

Staraj się odkryć prawdę zarówno poprzez obietnice i podarki bogacza, jak poprzez szlochy i nalegania biedaka.

Kiedy słuszność pozwala i dopuszcza, nie przytaczaj winowajcy całą surowością prawa; bo lepsza jest sława sędziego litościwego niż surowego. Jeśli zdarzy ci się uchylić rózgę sprawiedliwości, niechaj to nie będzie pod ciężarem podarków, jeno miłosierdzia.

Kiedy zdarzy ci się sądzić sprawę nieprzyjaciela twojego, odsuń z pamięci krzywdę twoją i sądź według prawdy.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Niech cię w obcych sprawach nigdy osobista namiętność nie zaślepią; błędy, jakie byś popełnił w ten sposób, najczęściej będą nieuleczalne; a jeśli znajdziesz się na nie lekarstwo, to kosztem twej dobrej sławy, a nawet twego mienia. Jeśli jakaś piękna białogłówka przyjdzie sprawiedliwości żądać, odwróć oczy od jej łez i uszy od jej jęków i spokojnie rozważ istotę jej prośby, jeśli nie chcesz rozumu stracić w jej płaczu i uczciwości w jej wzdychaniu. Nie znieważaj tego słowy, kogo masz czynnie ukarać, dość nieszczęsnikowi udręki kary, aby mu dorzucać jeszcze zniewagi.

W winowajcy, który się pod przegierz twej sprawiedliwości dostanie, masz widzieć człowieka nieszczęśliwego, podległego warunkom naszej skłonnej do złego natury, i o ile to tylko możliwe bez uszczerbku dla strony przeciwej, okaż się litościwy i miłosierny; bo chociaż przymioty boskie są wszystkie równe, jednak w oczach naszych jaśniej i bardziej świeci miłosierdzie niż sprawiedliwość. Jeśli tych prawideł i przypisów trzymać się będziesz, Sanczo, długie będą dni twoego żywota, sława twa będzie wieczna, marzenia spełnione, szczęście twe niewypowiedziane; pożenisz dziatki swoje, jak zechcesz, zdobędą tytuły, one i twe wnuki, żyć będziesz w pokoju i błogosławiony przez ludzi, w ostatnich dniach żywota twoego spotka cię śmierć w starości słodkiej i dojrzałej, a oczy ci zamkną czułe i delikatne dłonie prawnuków twoich. To, co ci dotąd powiedziałem, to były pouczenia ku ozdobie duszy twojej; posłuchaj teraz innych, które posłużyć mają przyzdrobieniu ciała twego. 566

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

o wtórych radach, jakie Don Kichote dawał Sanczo Pansie

Któź, wysłuchawszy poprzedniej przemowy Don Kichota, nie miałby go za osobę najzdrowszą na umyśle i najszlachetniejszą? Jedynie, jak już nieraz w ciągu tej długiej powieści powiedziano, ledwie się tknął sprawy błędnego rycerstwa, tracił głowę, w innych przedmiotach dawał dowody jasnego i swobodnego umysłu, tak że na każdym kroku czyny jego zaprzeczały rozumowi, a rozum jego czynom. W tych wtórych radach użyczonych Sanczowi okazał równocześnie wielki dowcip i rozwinął zarazem swą mądrość i swe szaleństwo w najwyższym stopniu. Sanczo słuchał go z największą uwagą i usiłował zachować w pamięci jego rady, jak ten, kto zamyślał korzystać z nich, aby godnie przebyć pierwociny swego wielkorządztwa. Don Kichote ciągnął dalej, mówiąc:

- W sprawach dotyczących rządzenia własną osobą i domem twoim, Sanczo, przede wszystkim przykazuję ci, abyś był schludny, abyś obcinał swe paznokcie, nie pozwalając im rosnąć, jak niektórzy czynią, w swej głupocie mniemając, że długie

Don Kichote - Miguel Cervantez

paznokcie przydają piękności rękom, tak jakby te wydzieliny i przydatek, które przycinać zaniedbują, zasługiwały na miano paznokci, będąc raczej szponami pustułki wężojada; obrzydliwy, brudny i dziwaczny to zwyczaj.

Nie chodź, Sanczo, bez pasa i niedbale, szat niechlujność jest oznaką nieporządnego umysłu, o ile ta niedbałość i niechlujność nie jest wynikiem wyrachowania jak w wypadku Juliusza Cezara.

Rozważaj pilnie, ile może przynosić twój urząd i czy będziesz w możliwości służbę ową w barwę przyodziąć, a daj im raczej szaty porządne i wygodne niż wystawne i wpadające w oko i rozdzieli je między ubogich i służbę; to znaczy, że jeśli masz przyodziąć sześciu pań, przyodziej trzech i trzech ubogich, w ten sposób będziesz miał pań i w niebie, i na ziemi; tego nowego sposobu nadawania barwy nie znają pyszałki.

Nie jedz czosnku ni cebuli, aby ich odór twoego chamstwa nie zdradzał. Chodź powoli, mów z namaszczaniem; ale nie w ten sposób, jakoby zdawało się, że sam siebie słuchasz; wszelka przesada jest zła.

Jedz mało, a na wieczerzę jeszcze mniej; zdrowie całego ciała urabia się w pracowni żołądka.

Bądź umiarkowany w piciu, zważywszy, że nadużycie wina ani tajemnicy, ani słowa dotrzymać nie pozwoli. Uważaj, Sanczo, aby nie żuć dwiema szczękami, i bacz, by ci nie odbijało się w czyjejś obecności. - Nie rozumiem tego słowa "odbijać" - rzekł Sanczo.

A Don Kichote mówił:

- "Odbijać" to znaczy: czkać, a to jest jedno z najplugawszych słów językakastylskiego, choć i najbardziej wymownych; przeto ludzie światli mówią "odbi- 567

jać" zamiast "czkać" i "odbijanie" zamiast "czkanie"; a jeżeli kto tego słowa nie rozumie, nie szkodzi, częsty użytek wprowadzi je do języka z czasem i z łatwością będzie zrozumiałe; w ten sposób wzbogaca się język, na który wpływ wielki ma pospółstwo i zwyczaj.

- Doprawdy, panie - rzekł Sanczo - ze wszystkich rad i przestróg, jakie chcę w pamięci zachować, to jest pierwsza, aby nie czkać, bowiem bardzo często zwykłem to czynić.
- Mów, Sanczo, "odbijać", a nie "czkać" - rzekł Don Kichote.
- Odtąd będę mówił "odbijać" - odpowiedział Sanczo - na mój dusiu, nie zapomnę.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Również, Sanczo, nie należy mieszać do słów twoich takiego mnóstwa przysłów, jak zwykłeś; bo choć przysłowia są krótkimi sentencjami, często tak je za włosy ciągniesz, że raczej zdają się niedorzeczną niż sentencjami. - Na to tylko Bóg poradzić potrafi - odpowiedział Sanczo - więcej bowiem znam przysłów, niż ich książka zawiera, i same mi nieraz do gęby się cisną, kiedy mówię, i jedne z drugimi spierają się u wyjścia; język wyrzuca pierwsze, jakie się nadarzą, choćby nie do rzeczy; ale odtąd baczyć będę, aby wypowiadać tylko te, jakie powadze mej godności przy stoją; w pełnym domu na jadle nie zbywa nikomu; kto się chce godzić, ten nie będzie szkodzić; kto na alarm bije, dobrze się ukryje; aby dać, aby mieć, trzeba dobrze rozumieć.

- Otóż to, Sanczo! - rzekł Don Kichote. - Gromadź, zbieraj, nizaj przysłowia; nikt ci w tym nie przeszkodzi: Matka mię wali, baka puszcza dalej!

Kiedy ja ci mówię, abyś unikał przysłów, w tej samej chwili ty wysypujesz ich całą litanię, który re tak się stosują do tego, o czym mówimy, jak do pagórków Ubedy. Zważ, Sanczo, ja nie mówię, że przysowie trafię użyte jest złe; ale nagromadzenie i nawalenie przysłów bez ładu i składu czyni mowę niedorzeczną i pospolitą.

Kiedy konia dosiądziesz, nie rozwalaj ciała na tylnym łuku, nie trzymaj nóg wyciągniętych daleko od końskiego brzucha ani także nie siedź tak niedbale, jakbyś jechał na swoim siwku; umiejętność dosiadania konia jednych czyni rycerzami, drugich komuchami.

Miarkuj swój sen, kto ze słońcem nie wstaje, nie korzysta z dnia; rozważ, Sanczo, że pilność jest matką szczęścia, lenistwo zaś, przeciwnie, nigdy nie osiąga upragnionego celu.

Ostatnią radę, jaką ci daję, lubo nie służy ku ozdobie ciała, chcę, abyś sobie dobrze w pamięci wraził, wierzę bowiem, że przyda ci się nie mniej niż te, które dotychczas ci dałem, a to: abyś nigdy nie rozprawiał o rodach, zwłaszcza by je z sobą porównywać, bowiem z konieczności jeden musi być znakomitszy niż drugi, a ród, który poniżysz, znienawidzi ciebie, zaś ten, który wywyższysz, nigdy ci się nie odwdzięczy.

Twe ubranie powinno się składać z długich spodni, długiego kaftana, płaszczu bez kołnierza, nieco dłuższego; o pludrach nie myślę, nie przystoją one ani wysokiej szlachcie, ani wielkorządcom.

Oto wszystkie rady, Sanczo, jakie mi się w tej chwili nasunęły; z biegiem czasu i stosownie do okoliczności nowych wskazówek ci użyczę, o ile nie zaniedbasz mi donosić o twoich sprawach. 568

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Panie - odpowiedział Sanczo - widzę dobrze, że wszystko, co mi jegomość powiedział, jest mądre, święte i korzystne; ale na cóż mi się przydadzą te rady, jeśli

ich nie zapamiętam! Co prawda, te, które mówią, abym nie pozwalał rosnąć paznokciom albo abym się drugi raz ożenił, nie wyjdą mi z lepety; ale o innych bajdurze-

niach, banialukach i firlifuszkach pamiętam i pamiętać będę jak o zeszłorocznych chmurach, tedy trzeba mi to dać na piśmie, bo lubo ani czytać, ani pisać nie umiem, mogę to dać memu spowiednikowi, aby mi je wtłaczał i wbijał w głowę, gdy tego będzie potrzeba.

- O grzesznik ja nieszczęsny! - zawała Don Kichote. - Jak to źle, kiedy wielkorządcy ani czytać, ani pisać nie umieją! Musisz bowiem, Sanczo, wiedzieć, że kiedy ktoś nie umie czytać albo jest mańkutem, wnoszą z tego jedno z dwóch: albo że jest synem zbyt podłych i niskiego pochodzenia rodziców, albo jest tak nikczemny i niewarty, że nie sposób weń wpoić dobrego obyczaju i zasad. Wielki to twój brak i chciałbym, abyś przynajmniej podpisać się nauczył. - Podpisać nazwisko swe umiem - odpowiedział Sanczo - bo kiedy byłem kościołem w mej wsi, nauczyłem się kreślić jak na tłumokach wielkie litery, które,

jak mówiono, nazwisko me oznaczały; zresztą udawać będę, że mam prawą rękę bezwładną i każę komu innemu za mnie podpisywać, na wszystko

jest sposób krom śmierci; a mając władzę i łaskę, będę robić, co mi się będzie podobało, łacniej niż ten, którego ojciec jest wójtem... będąc wielkorządcą, będę więcej niż wójt. Pójdz-

cie tu ino, a zobaczcie! A jak nie, niech mnie poħańbią i pokarzą; kto przyjdzie po wełnę, wróci ostrzyżony; komu Bóg sprzyja, dom jego to odbija; głupstwa bogacza uchodzi w świecie za mądre sentencje, a jako ja nim będę, będąc wielkorządcą i przy tym szczodrym, jak zamierzam być, nie znajdę we mnie błędu. Jeno miód wydzielaj, a zje cię ćma pszczoła; tyleś wart, ile masz, mówiła jedna moja prababka, a człowiek dostatni zawsze wyjdzie z matni.

- Och! Niech cię Bóg przeklnie, Sanczo - rzekł na to Don Kichote. - Niech ciętysiąc diabłów porwie z twoimi przysłowiami! Od godziny już niżesz jedno przysowie za drugim, a każde mię o tortury przyprawia. Przysięgam ci, że te przysłowia

Don Kichote - Miguel Cervantez

zawiodą cię kiedyś na szubienicę; przez nie pozbawią cię wasalowie twoi rządów albo będą spiskować. Powiedz mi, skąd je wyszukujesz, głupce, i jak je stosujesz, półgłówku. Ja aby jedno przytoczyć stosownie, napocę się i natrudzę porządnie, jakbym ziemię kopał.

- Na Boga, panie, dobrodzieju mój - odpowiedział Sanczo - czemuż się jegomość na takie drobiazgi skarzy? Co jakiemu diabłu do tego, że mego dobra używam? Bo żadnego innego mienia nie mam ani kapitału, nic, jeno przysłowia a przysłowia. Macie, oto cztery mi się nasuwają, a tak w sam raz jak gruszki w koszyku; ale ich nie wypowiem, bowiem prawy milczek zwie się Sanczo.
- Ten Sanczo to chyba nie ty - rzekł Don Kichote - nie tylko nie jesteś bowiem prawym milczkiem, ale największym gadułą i uparciuchem; ale mimo wszystko rad bym wiedzieć, co to za cztery przysłowia teraz ci się na pamięć przyplątały, takie w "sam raz"; bo choćby moją przetrząsał, która nie jest najgorsza, to żadne mi się nie nasuwa.
- A cóż lepszego nad te - rzekł Sanczo - pomiędzy mądrości zęby nie kładźpalca do gęby; lub: precz z mojego domu, od mej żony zasię, co na to powiedzieć

569

da się; albo: kiedy dzban na kamień lub kamień na dzban, źle ze dzbanem; wszystkie bardzo stosowne, czyż nie? Niech nikt nie zaczyna z wielkorządcą albo z tym, co ma władzę, bo wyjdzie poraniony jak ten, kto kładzie palec między zęby mądrości, a choćby nie mądrości, ale zwykłe trzonowe, na jedno wychodzi; a kiedy wielkorządca ci coś powie, nie lza ci odpowiadać jak temu, co gada: "Precz z mojego domu, od mej żony zasię", a co do kamienia i dzbana, to i ślepy by zobaczył. Jesz-

cze by trzeba, aby ten, który widzi słomkę w oku bliźniego, dojrzał belkę w swoim, aby o nim nie mówiono: "Przeraziła się umarła tej, której głowę ścięto"; a wiecie dobrze, jegomość, że mądrzejszy głupiec w swoim domu niżli mądry w cudzym. - Co to, to nie, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - bo głupiec ani we własnym, ani w obcym domu nic nie wie, na fundamencie głupoty nie stanie żaden mądry budynek. Zostawmy to na teraz, Sanczo, jeśli źle rządzić będziesz, twoja będzie wina, a mój wstyd; pocieszam się jeno, że postąpiłem jak należy, dając ci rady tak prawdziwe i mądre, na jakie mię stać było; w ten sposób wywiązałem się z obowiązku mego i obietnicy. Niech cię Bóg prowadzi, Sanczo, i rządzi tobą na

Don Kichote - Miguel Cervantez

tym wielkorządztwie, a mnie niech uwolni od skrupułu, jaki mi pozostał: że razem z twoją całą

wyspą przewrócisz się do góry nogami, czego mógłbym uniknąć, gdybym wyznał księciu, kim jesteś, mówiąc, że cały ten kałdun i osobka

twoja jest niczym innym, jeno worem pełnym przysłów i przymówek.

- Panie - odpowiedział Sanczo - jeżeli waszej miłości wydaje się, że się nienadaję na to wielkorządztwo, natychmiast się go zrzekam; bardziej sobie cenię czerń za jednym paznokciem mej duszy niżli całe ciało; i równie dobrze wyżywi się Sanczo tylko chlebem i cebulą, jak wielkorządca przepiórkami i kaplonami; co więcej, kiedy

śpimy, wszyscyśmy równi, i wielcy, i mali, ubodzy i bogaci; a jeśli jegomość się zastanowi, przekona się, że tylko jegomość mię pchaliście do tego wielkorządztwa; tak umiem rządzić wyspami jak gąsior, a jeżeli mniemacie, iż kiedy będę wielkorządca, diabeł mię porwie, wolę jako Sanczo pójść do nieba niż jako wielkorządca do piekła.

- Na Boga, Sanczo - rzekł Don Kichote - dla tych ostatnich słów, jakie wyrzekłeś, uważam, żeś godzien zostać wielkorządca tysiąca wysp.

Zacny masz charakter, bez którego żadna wiedza nic nie jest warta; poleć się Bogu i staraj się złym zamysłem nie grzeszyć; chcę rzec, mieć silny zamiar i twarde postanowienie być sprawiedliwym we wszystkich sprawach, które się nadarzą, niebo bowiem zawsze sprzyja dobrym zamysłom. Chodźmy na obiad; bo zdaje się, że ci państwo na nas czekają.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

O tym jak Sanczo Pansa wyniesiony był na wielkorządztwo oraz o dziwnej przygodzie, jaka spotkała Don Kichota w zamku

Mówią, że w pierwotnym oryginałtej powieści stoi, iż rozdział ten, napisany przez Sidi Hameta, nie został wiernie przełożony przez tłumacza, a była to jakby skarga skierowana przez Maura przeciw samemu sobie, że podjął się napisania historii tak suchej i ograniczonej jedynie do Don Kichota, bo zdawało

mu się, że na-

leży mówić tylko o nim i o Sanczu, nie ważył się przeto na żadne jej urozmaicenie przez odchylenia i epizody poważniejsze i ciekawsze; mówi on, że to ciągłe napięcie umysłu, ręki i

Don Kichote - Miguel Cervantez

pióra, aby pisać stale na ten sam temat i

przemawiać przez usta

niewielu osób, było nieznośnym trudem, z którego autor żadnego owocu nie zbierze, i ażeby uniknąć tej niedogodności, użył w Części pierwszej wybiegu, wtrącając kilka nowel, jak np. "O nieopatrznym ciekawskim" albo "O kapitanie brańcu", które są wyodrębnione z całości, choć wszystko inne, co opowiada, jest przygodami samego Don Kichota, których pominąć nie mógł. Również sądzi, jak mówi, że liczni czytelnicy pochłonięci uwagą, z jaką śledzą przewagi Don Kichota, nie zwracają jej na owe nowele i przebiegają je pobieżnie albo znudzeni nie zauważają do- skonałości i sztuki w nich zawartej, która wyszłaby na jaśń, gdyby same dla siebie,

a nie przywiązane do szaleństw Don Kichota i do głupstw Sancza, zostały ogłoszone; przeto w tej Części drugiej nie chciał wpłatać nowel związanych
czy nie z histo-

rią, krom kilku epizodów, które zdawały mu się zrodzone przez same wypadki tych prawdziwych dziejów, a i to w ograniczonej ilości i w niewielu koniecznych słowach; a jako ogranicza się i zamyla w ciasnych granicach opowiadania, choć na talencie, zdatności i rozumie, aby o wszelakich sprawach mówić, mu nie zbywa, prosi, aby nie gardzono jego pracą i chwalono go nie za to, co napisał, ale za to, co opuścił w pisaniu. I zaraz dalej ciągnie opowieść, mówiąc:

Po skończonym obiedzie Don Kichote wieczorem tego samego dnia dał Sanczowi na piśmie rady poprzednio wyrażone, aby ten wyszukał sobie kogoś, kto by mu je przeczytał; ale zaledwie mu je wręczył, Sanczo je zgubił i wpadły one w ręce księcia, który je pokazał księżnej i oboje zdumiewali się znowu szaleństwem i małdrością Don Kichota; aby zaś dalej swą krotochwilę prowadzić, tego samego wieczora wysłali Sancza z liczną świtą do miejscowości, która wedle niego miała być wyspą. Zdarzyło się, że ten, któremu powierzono go, był tym samym marszałkiem księcia, bardzo bystrym i dowcipnym (bo nie masz dowcipu, gdzie nie ma bystrości), który poprzednio grał rolę hrabiny Trifaldi z talentem wyżej wspomnianym; dzięki temu oraz pouczeniom swoich państwa, jak ma z Sanczem postępować, wywiązał się z zadania przedziwnie. Mówię tedy, iż zdarzyło się, że Sanczo, ujrzałszy tego marszałka, poznał w jego twarzy oblicze hrabiny Trifaldi i zwróciwszy się do swego pana, rzekł: 571

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Panie, albo niech mię diabeł, chociaż sprawiedliwy i wierzący, stąd porwie, albo jegomość musi przyznać, że oblicze tego marszałka książęcego tu obecnego jest iście obliczem Doloridy.

Don Kichote popatrzył uważnie na marszałka i oglądając go, rzekł do Sanczo: - Nie ma powodu, aby cię diabeł miał porwać, Sanczo, czyś sprawiedliwy i wierzący, czy nie (choć nie wiem, coś przez to chciał rzec), bo oblicze Doloridy

jest rzeczywiście obliczem marszałka, ale mimo to marszałek nie musi być Doloridą; gdyby nią był, byłaby w tym wielka sprzeczność i nie czas teraz na sprawdzanie, które by nas w nieroziwikłany labirynt zawiodło. Wierz mi, przyjacielu, że musimy modlić się Panu naszemu bardzo żarliwie, aby nas obu uwolnił od złośliwych zaklinaczy i czarnoksiężników.

- To nie żarty - odparł Sanczo - dopiero co słyszałem go mówiącego i zdawało mi się, że iście głos pani Trifaldi dzwonił w moich uszach.

Niech będzie, zamil- cze; ale nie zaprzestanę odtąd go śledzić, aby przekonać się, czy nie odkryję innej oznaki, która by potwierdziła lub obaliła moje podejrzenie. - Tak powinieneś uczynić, Sanczo - rzekł Don Kichote - i powiadomisz mię o wszystkim, co odnośnie tej sprawy odkryjesz, i o wszystkim, co na tym wielkorządztwie ci się wydarzy.

Wyjechał wreszcie Sanczo z liczną świtą, przyodziany jak jurysta, mając na sobie obszerną opończę z płowego, cienionego kamlotu', w czapce tej samej barwy, na lekko osiodłanym mule, a za nim z rozkazu księcia kroczył siwek ustrojony rzędem i czaprakiem jedwabnym i błyskotliwym. Raz po raz odwracał Sanczo głowę, aby spojrzeć na swego osła, w którego towarzystwie jechał tak zadowolony, że nie zamieniłby się z cesarzem niemieckim. Przy pożegnaniu z księstwem ucałował im ręce, wziął błogosławieństwo od swego pana, który mu go ze łzami udzielił, a które Sanczo przyjął, popłakując.

Pozwól, miły czytelniku, w pokoju i szczerliwie jechać zacnemu Sanczowi i przygotuj się na dwa półkorce śmiechu wywołanego wiadomością, jak sprawiał się na tym urzędzie, a tymczasem zwróć uwagę na to, co przydarzyło się jego panu tej samej nocy; a jeśli śmiać się z tego nie będziesz, to przynajmniej wykrzywią ci się wargi w małpim uśmiechu, bowiem przygody Don Kichota muszą być uczczone podziwem albo śmiechem.

Opowiadają tedy, że zaledwie Sanczo odjechał, Don Kichote odczuł swe osamotnienie i gdyby to było możliwe, byłby odwołał poruczenie i kazał mu porzucić urząd. Księżna dostrzegła jego melancholię i zapytała, czemu jest smutny; jeżeli powodem jest

Don Kichote - Miguel Cervantez

nieobecność Sancza, wszyscy giermkowie, dworki i ochmistrzynie jej dworu służyć mu będą, gotowi jego życzeniom dogodzić.

- Prawda jest, pani moja - odpowiedział Don Kichote - że odczuwam nieobecność Sancza, ale nie to jest głównym powodem, że wydaję się smutny; liczne wzgłydy ze strony waszej dostojarnej osoby przyjmuję jedynie jako dowód waszej wobec mnie życzliwości, jednakowoż błagam waszą dostojość o zezwolenie i zgodę na to, abym w komnacie mojej sam sobie usługiwał. kamlot - cienka, ostra tkanina wełniana. 572

- Zaiste - rzekła księżna - panie Don Kichocie, tak nie może być, służyć wambędą cztery moje panny, urodziwe jak kwiaty.
 - Dla mnie - odpowiedziała Don Kichote - nie będą one jak kwiaty, ale jak ciernie wrażone mi w duszę. Nie wejdą przeto do mej komnaty ani nic im podobnego, jak ja nie mam skrzydeł ku lataniu. Jeśli wasza wysokość chce nadal zaszczycać mię swą łaską, na którą nie zasłużyłem, raczcie mię pozostawić samego z sobą, abym

sobie sam służył przy zamkniętych drzwiach; należy mi mur położyć pomiędzy żadne moje a uczciwość i nie chcę tego zwyczaju łamać dla wspaniałomyślności, jaką wasza wysokość raczy mnie okazywać. Jednym słowem, raczej spać będę w sukniach, niżbym miał zezwolić, abymię ktokolwiek obnażał.

- Dosyć już, dosyć, panie Don Kichocie - odpowiedziała księżna. - Z mej stronywydam rozkaz, aby nawet mucha nie wleciała do waszej komnaty, a nie dopiero panna; nie jestem osobą, która by urazić pozwoliła wstydliwość pana Don Kichota, bo z tego, co przejrzałam, wnioszę, że najwybitniejszą zjego licznych cnót jestoby-

czajność. Rozdziewajcie się i przyodziewajcie, wasza miłość, wedle chęci i na swój sposób, i kiedy wam się podoba; nikt wam w tym nie przeszkodzi, znajdziecie nawet we wnętrzu waszej komnaty naczynie potrzebne temu, kto śpi przy drzwiach zamkniętych, aby żadna potrzeba naturalna nie zmusiła was ich otwierać. Niechaj żyje przez tysiączne wieki Wielka Dulcynea z Toboso i niech imię jej rozsławione będzie na całej okrąglości ziemi, jeśli zasłużyła być podobnie umiłowaną przez tak męskiego i tak obyczajnego rycerza, i niech łaskawie niebiosa w serce Sanczo Pansy, naszego wielkorządcy, wleją chęć rychłego zakończenia swego biczowania, aby znowu świat mógł rozkoszować się pięknością tak wielkiej pani. Na to odpowiedział Don Kichote:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Wasza wysokość mówiła, jak przystoi takiej pani; w ustach kobiet wysokiego rodu nie może się znaleźć nic złego; większym szczęściem i uznaniem dla Dulcynei jest pochwała z ust waszej wysokości niż wszelkie pochwały najwymowniejszych ust na ziemi.
- A teraz, panie Don Kichocie - odparła księżna - godzina wieczerzy się zbliża i książę zapewne nas czeka; pójźcie, wasza miłość, i wieczerzajmy, a potem udacie się na spoczynek; podróż, jaką odbyliście do Kandai, nie była krótka i musicie odczuwać zmęczenie.
- Żadnego nie czuję, pani - odpowiedział Don Kichote - mógłbym bowiem waszej dostojości przysiąc, że nigdy w moim życiu nie dosiadałem tak spokojnego zwierzęcia, o tak lekkim kroku jak Kołkowiec, nie wiem, co mogło skłonić Malambruna, aby pozbawił się tak lekkiego i tak miłego wierzchowca i spalił go bez ogródek.
- A ja to mogę zrozumieć - odpowiedziała księżna - robiąc sobie wyrzuty z powodu zła wyrządzonego hrabinie Trifaldi i towarzyszkom oraz innym osobom, a także z powodu zbrodni, jakie musiał popełniać jako zaklinacz i czarnoksiążnik, chciał skończyć ze wszystkimi narzędziami swego zawodu, a w szczególności z głównym tym, które mu spokoju nie dawało, wodząc go po całej ziemi, z Kołkowcem, więc spalił go, zaś popioły spalonego i karta z napisem są trofeami uwieczniającymi męstwo wielkiego Don Kichota z Manczy. |•• 573

Don Kichote nowe dzięki złożył księżnej, a po wieczerzy usunął się samotnie do swej komnaty, nie zgodziwszy się, aby mu ktokolwiek towarzyszył dla usługi; tak lękął się, aby nie zdarzyła się sposobność, która by go pchnęła czy zmusiła do utraty prawej wierności, jaką swej pani Dulcynei dochowywał, mając stale na pamięci cnotę Amadisa, kwiatu i zwierciadła błędnych rycerzy. Zamknął za sobą drzwi i przy świetle dwóch woskowych świec rozdziął się, ale kiedy ściągał pończochy (o nieszczęście niegodne takiej osobistości!), puścił nie westchnienie ani nic inne-

go, co by jego przystojnej obyczajności uszczerbek przyniosło, ale dwa tuziny oczek jednej z pończoch, która stała się podobna do żaluzji. Niezmiernie zmartwił się nasz zacny pan i byłby dał uncję srebra za kilka gramów zielonego jedwabiu, bo takiej barwy były jego pończochy.

Tu Ben Engeli, pisząc, zawałał:

O nędzo, nędzo! Nie wiem, co skłoniło wielkiego poetę z Kordoby, by cię nazwał.

O święty darze niewdzięcznie przyjęty! ,

Ja, lubo Maur, wiem dobrze dzięki mojemu z chrześcijany przestawaniu, że świętość zasadza się na miłosierdziu, pokorze, wierze, posłuszeństwie i ubóstwie, ale mimo to mówię, że kto potrafi się ubóstwem zadowolić, ma w sobie wiele łaski Bożej; chyba że chodzi o to ubóstwo, o którym powiada jeden z największych świętych: "Posiadajcie, jakobyście nie posiadali", co nazywają ubóstwem duchowym; ale ty, drugie ubóstwo (o którym teraz mówię), dlaczegoż znęcasz się raczej nad rycerzem i urodzonymi niż nad innymi ludźmi? Czemuż zmuszasz ich, aby buty kartonem łatali i aby u szat ich jedne guziki były z jedwabiu, inne z włosia, a jeszcze inne ze szkła? Przecz ich kołnierze są najczęściej pomięte jak sałata, a nie nakrochmalone? Z tego widzieć można, jak starodawne jest używanie krochmalu i wyłożonych kołnie-

rzy. I dalej tak mówi: "Nieszczęsny człek dobrze urodzony, który dla zachowania pozoru jada źle przy zamkniętych drzwiach, a wychodząc na ulicę, używa oszukańczej wykałaczki, mimo że nie jadł niczego, co by go do oczyszczania zębów zmusza-

ło, nieszczęsny ów, mówię, który wiecznie o cześć swoją się troszcząc, myśli, że na milę już dostrzec można latę na trzewiku, przepocenie kapelusza, wystrzępiony płaszcz i głód jego żołądka". To wszystko przyszło na myśl Don Kichotowi, kiedy mu oczka puściły; ale pocieszył się, spostrzegłszy, że Sanczo pozostawił buty podróżne, i umyślił je wło-

żyć nazajutrz. W końcu położył się, zamyślony i zgnębiony zarówno brakiem Sancza, jak nieszczęściem pończoch, niedającym się naprawić; byłby połapał oczka chociażby innego koloru jedwabiem, co zwykło być najgorszym dowodem nędzy, jaki mógłby dać szlachcic w swym ciężkim niedostatku. Zgasił świece; był upał i spać nie mógł, wstał z łoża, uchylił okno zakratowane, wychodzące na piękny ogród; otwierając je, usłyszał i poczuł, że ktoś chodzi po

ogrodzie i rozmawia. Zaczął słuchać uważnie. Na dole podniesiono głos, tak że mógł odróżnić słowa:

- Nie nalegaj, o Emerencjo, abym śpiewała, wiesz przecież, że od chwili kiedy ten nieznajomy wszedł do zamku i oczy moje go ujrzały, nie potrafię śpiewać, jeno 574 płakać; tym bardziej że sen naszej pani nie jest ciężki, ale lekki, a za żadne skarby

Don Kichote - Miguel Cervantez

świata nie chciałabym, aby nas tu zastała. Ale choćby i spała, daremny byłby mój śpiew, jeśli śpi i nie obudzi się, aby go słuchać, ów nowy Eneasz, który przybył w te strony na moją zgubę.

- Nie lękaj się tego, Altisidoro miła - odpowiedziano - niezawodnie śpi księżna i wszyscy domownicy krom pana twego serca i budziciela duszy twojej; przed chwilą słyszałam, jak otworzył okno z kratą w swej komnacie, ani chybi przeto musi czuwać; śpiewaj, biedna moja, cichuteńko a słodko, przy dźwięku twej harfy; jeśliby księżna nas usłyszała, winę zrzucimy na gorącą noc. - Nie o to chodzi, o Emerencjo - odpowiedziała Altisidora - ale nie chciałabym, aby śpiew mój serce me odsłonił i żeby ci, którym obce są przemożne siły miłości, wzięli mię za narwaną i lekką. Ale niech się co chce dzieje, lepszy wstyd na twarzy niżli serca rana.

Po tych słowach usłyszał, iż słodzisieńko na harfie grać zaczęła. Wówczas Don Kichote osłupiał, w tej chwili przyszły mu na pamięć niezliczone przygody podobne: te okna, kraty, ogrody, muzyki, oświadczenia i omdlenia, o których w swych niedorzecznych księgach rycerskich czytał.

Wyobraził sobie od razu, że jakaś dworka księżnej rozmiłowała się w nim, a wstydlowość zmusza ją do ukrywania swej namiętności. Lękając się upadku i postanawiając w swej myсли nie ulec, poleciwszy się z całej duszy i serca swej pani Dulcynei z Toboso, postanowił posłu-

chać muzyki, zaś aby dać znak swej obecności, kichnął umyślnie, czym niemało ucieszyły się obie panienki, których jedynym życzeniem było, aby Don Kichote je słyszał. Nastroiwszy przeto harfę, po przygrywce Altisidora zaczęła śpiewać romance: Ty, co na łóżu spoczywasz

W cieniuchną pościel spowity,

Ty, który śpisz jak nieżywy

Od wieczora do świtu,

Rycerzu, największa chlubo,

Jaką twa Mancza wydała,

Tyś czystszy, cenniejszej próby

Niż złoto Arabii całej,

Wysłuchaj dziewczęcę smętną,

Nieszczęśliwą, uroczą,

Duszę jej pali namiętność Od

żaru słońca twoich oczu.

Szukając przygód

na świecie, Obce

znachodzisz
niedole,
Rany zadajesz i nie chcesz Dać leku na ową boleść.

575

Powiedz, o dzielny junaku,
Niech Bóg życzeniom twym sprzyja,
Czy rodzą cię góry Jaca? Czy urodziła cię Libia?
Czy mlekiem karmiły cię węże?

Czy były ci karmicielką Kniej
głębrie złe, niedosiążne Lub dzika
okropność górz wielkich?

I może twa Dulcynea,
Dorodna i zdrowa panna, Chlubić się, że w pęta wzięła
Tygrysa, bestię zachłanną.
I przez to hyr1 idzie o niej
Przez Jaramę, Henares,
Przez Tag, Pisuergi tonie,
Arlanzę i Manzanares.

Gdyby zmieniła się ze mną,
Dałabym za to mą szatę,
Na której pasy się mienią, Tę w złote frędzle bogatą.
Ach, w twoich ramionach leżeć
Lub stanąć u łoża przy tobie,

By włosy oczyszczać z łupieży Albo cię iskać po głowie.
Zbyt wiele żądam, niegodna,
Łaski tak bardzo drogiej,

Bylebym tylko
mogła Pokornie
natrzeć twe nogi.

Siatki roboty mej ręki
Dałabym, srebrne
trzewiczki,
Adamaszkowe spodenki
I z falendyszu płaszczki.
I jakież bezcenne perły,
Jak galasówki olbrzymie,

1 hyr - pogłoska,

opinia, lama. 576

Te, co porównać

nie cierpię I

zowią się

Jedyne.

Ty z twojej Tarpejskiej Skały

Jam słodka dziewczynka w pączkach,

Piętnastu lat nie dobiegłam,

Czternaście i trzy miesiące Mam lat, na

Boga przysięgam.

Nie jestem

chroma ni kosa

I nie mam

nijakiej wady,

A jak irysy me włosy

Na ziemi się płaszczem kładą.

Choć usta

podobne do

dzioba A nos

mam nieco

plaskaty,

To zębów topazy urodę

Podnoszą w niebieskie zaświaty.

Głos mój, już wiesz, jeśli słuchasz,

Z najsłodszym głosem się jedna,

Postawa moja wysmukła

Jest nieco mniejsza niż średnia.

Te wdzięki największe w świecie

Twój kołczan

zdobył od wzoraj,

Ja jestem tu na

respekcie, A zwę

się Altisidora.

Tu urwał się śpiew boleśnie zranionej Altisidory, a zaczęła się udręka pożądanej Don Kichota; ten, westchnąwszy głęboko, rzekł do siebie: - Czemuż jestem tak

Don Kichote - Miguel Cervantez

nieszczęśliwym błędnym rycerzem, że każda dziewczyna, która spojrzyszy na mnie,
musi się we mnie rozmiłować!... I czemuż jest tak nieszczęsna
nieporównana Dulcynea z Toboso, że nie pozwalają jej radować się spokojnie
niezrównaną moją stałością!... Czegóż od niej chcecie, o królowe? Czemuż ją prześla-
dujecie, cesarzowe? Czemuż dręczycie ją, dziewczynki czternasto- i piętnastoletnie?
Zostawcie, zostawcie tę nieszczęsną, niech triumfuje, raduje się i chlubi szczęściem,
jakie miłość jej dała, podając jej moje serce i zniewalając duszę. Zważcie, zgrajo roz-
miłowana, że dla jednej Dulcynei jestem jak ciastko i pomadka, dla wszystkich in-
nych jestem jak krzemień; dla niej jestem jak miód, dla was jak piołun; dla mnie jedna
Dulcynea jest piękna, mądra, cnotliwa, wdzięczna i dobrze
urodzona; inne

577

białogłówki są brzydkie, głupie, lekkie i nikczemnego rodu. Abym do niej należał, a
do żadnej innej, natura mię na świat wywiodła. Niechaj płacze czy
śpiewa Altisi-

dora, niechaj rozpacz dama, dla której zostałem obity w zamku zaczarowanego
Maura; ja należę do Dulcynei, zgotowany czy upieczone, dla niej mam pozostać
czysty, dworni i obyczajny, na przekór wszystkim czarodziejskim potęgom świata. I
z tymi słowy zamknął gwałtownie okno, zły i zgnębiony, jakby go jakieś wielkie
nieszczęście spotkało, rzucił się na łóżko, gdzie go pozostawimy tymczasem, bo
wzywa nas wielki Sanczo Pansa, który pragnie rozpocząć swoje słynne rządy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

O tym jak wielki Sanczo Pansa objął w posiadanie wyspę i w jaki sposób rzadzić zaczął
O

wielki odkrywco antypodów, pochodnia świata, oko niebios, słodkie kołysanie
dzbanów, tu zwany Tymbriuszem, tam Febusem, ówdzie łucznikiem, gdzie indziej
lekarkiem, ojcem poezji, wynalazcą muzyki, ty, który zawsze wschodzisz, a nigdy,
wbrew złudzeniom, nie zachodzisz! Ciebie wzywam, o Słońce, dzięki któremu
człowiek człowieka płodzi! Ciebie wzywam, wspomóż i oświeć ciemności mego
umysłu, abym zdołał należycie opisać rządy Sanczo Pansy; bez ciebie bowiem czuję
się słaby, przybity i nieswój.

Powiem tedy, że Sanczo z całą swą świętą przybył do miejscowości liczącej około
tysiąca mieszkańców, jednej z najlepszych, jakie były w posiadaniu księcia. Powie-
dziano mu, że zwie się ona wyspą Barataria, czy to dlatego, że miejscowość zwała się
Baratario, czy dlatego, że dano mu jej rządy za darmo. Przed bramy miasteczka,

Don Kichote - Miguel Cervantez

które było otoczone murem, wyszła rada miejska, aby go przywitać, zadzwoniły dzwony i wszyscy mieszkańcy okazywali powszechną radość i z wielką pompą wiedli go do fary, aby złożyć dzięki Bogu, po czym z rozmaitymi pociesznymi ceremoniami wręczyli mu klucze miasta i obwołali wieczystym wielkorządcą wyspy Baratarii. Po drodze broda, otyłość i niski wzrost nowego wielkorządcy budziły podziw wszystkich, którzy w te machinacje nie byli wtajemniczeni, a nawet wszystkich tych, którzy powiadomieni byli, a było ich wielu. W końcu, wyszedłszy z kościoła, zaprowadzili go do sali przyjęć i posadzili na sędziowskim stolcu², a marszałek książęcy rzekł:

- Istnieje na tej wyspie starodawny zwyczaj, panie wielkorządco, że ten, kto obejmuje tę słynną wyspę w posiadanie, jest obowiązany odpowiedzieć na jedno
1 W krajach Południa w lecie trzymają wodę w porowatych dzbanach glinianych, zawieszonych na przewiewie. Kołysanie ich wzmagą parowanie, co obniża temperaturę. 2 s t o l e c - tron, fotel, krzesło.

578

zadane mu pytanie bardzo zawiłe i trudne; odpowiedź pozwala ludowi domacać się pulsu rozumu swego nowego wielkorządcy i albo radować się, albo też smucić z powodu jego przybycia.

Podczas kiedy marszałek wypowiadał te słowa, Sanczo przypatrywał się wielkim a licznym literom wypisany na murze naprzeciw jego stolca; a jako nie umiał czytać, zapytał, co by to były za malunki na ścianie. Odpowiedziano mu: - Panie, tam zapisany i oznaczony jest dzień, w którym wasza wielmożność objęła rządy tej wyspy, i napis ten głosi: "Tego dnia, takiego miesiąca, takiego roku objął w posiadanie tę wyspę pan Don Sanczo Pansa. Oby długie lata nią się radował!".

- A kogóż to nazywają Don Sanczo Pansa? - zapytał Sanczo.
- Waszą wielmożność - odpowiedział marszałek - na tę wyspę bowiem żaden inny Pansa nie przybył krom tego, który na tym stolcu zasiada.
- Wiedziecie tedy, bracie - rzekł Sanczo - że nie mam żadnego tytułu "don" i nikt w moim rodzie go nie posiadał: Sanczo Pansa nazywają mnie po prostu i Sanczo zwał się mój rodzic, Sanczo mój dziad i wszyscy byli Pansami bez dodatku żadnego "don" ani "dona"; wyobrażam sobie, że ta wyspa musi liczyć więcej "donów" niż kamieni; ale dość, Bóg mię słyszy i być może, że jeśli rządy moje potrwa-

Don Kichote - Miguel Cervantez

ją dni cztery, wypielę te wszystkie "don", które dla wielości swojej muszą być nie- znośne jak komary. Dalej przeto pytajcie, panie marszałku, odpowiem, jak będę umiał najlepiej, czy się naród zasmuci, czy nie.

W tej chwili weszło do sali sądu dwóch ludzi, jeden w szatach wieśniaczych, a drugi w krawieckich, niósł bowiem w ręku nożyce. Krawiec ten rzekł: - Panie wielkorządco, ja i ten wieśniak przychodzimy przed oblicze waszej miłości w takiej sprawie: ten poczciwiec przyszedł wczoraj do mego kramu (bo jestem, z przeproszeniem waszmościów, wyzwolonym krawcem, niech Bogu będą dzięki) i dając mi w rękę kawałek sukna, zapytał: "Panie, czy wystarczy tego sukna na kaptur?". Zmierzywszy sukno, odpowiedziałem, że tak; i jak ja to sobie wyobrażam, a wyobrażam dobrze, musiał sobie wyobrazić, opierając się na swej złośliwości i na złej opinii o krawcach, że bez ochyby ja chcę ukraść kawałek sukna, więc odezwał się, żądając, abym zobaczył, czy na dwa wystarczy. Odgadłem jego myśli i odpowiedziałem, że wystarczy; ten gagatek w swoim przeklętym pierwotnym umyśleniu coraz bardziej mnożył kaptury, a ja dorzucałem "tak", aż doszliśmy do pięciu kapturów; i teraz oto on przyszedł je odebrać, oddałem mu je, on zaś płacić mi nie chce; przeciwnie, żąda, abym ja zapłacił albo oddał sukno.

- Czy tak się sprawaiała, bracie? - zapytał Sanczo.
- Tak, panie - odpowiedział człowiek - ale kaźcie, wasza miłość, niech onpokaże tych pięć kapturów, jakie mi zrobił. - Najchętniej - odpowiedział krawiec.

I wyjąwszy rękę spod płaszcza, pokazał pięć kapturków wsadzonych na pięć palców ręki, mówiąc:

- Oto jest pięć kapturów, które ten poczciwiec żąda ode mnie; na Boga i na mesumienie klnę się, nie zostało mi już nic z sukna, oddaję tę robotę osądowi cechmistrzów.

579

Wszyscy obecni śmiali się z mnogości kapturków i z dziwnego sporu. Sanczo pomyślał nieco i rzekł:

- Zdaje mi się, że spór ten nie wymaga dalszych odroczeń, ale może być od razu rozstrzygnięty wedle zdrowego rozsądku; przeto wydaję wyrok, żeby ten krawiec stracił wynagrodzenie za swoją robotę, a ten wieśniak swoje sukno, kapturki zaś niech będą oddane więźniom. Rzekłem. Jeśli poprzedni wyrok z trzosem właściciela trzody wzbudził podziw wśród obecnych, ten wywołał śmiech; ale w

Don Kichote - Miguel Cervantez

końcu stało się, jak wielkorządca rozkazał. Przed tym stanęło znowu dwóch starców, jeden zamiast kija miał w ręku trzcinę; ten bez kija przemówił:

- Panie, temu poczciwcowi pożyczylem przed niejakim czasem dziesięć talarów w złocie, chcąc mu usłużyć i zrobić przyjemność, pod warunkiem, że mi je zwróci, kiedy o to poproszę; minęło wiele dni, nie upominałem się o nie, nie chcąc go w większy kłopot wprowadzić niż ten, w jakim się znajdował, kiedy mu je pożyczałem; lecz widząc, że nie myśli mi ich oddać, upomniałem się raz i drugi, on wszelako zaprzecza i mówi, że nigdy mu dziesięciu talarów nie pożyczylem, a jeśli bym mu je pożyczyl, on byłby mi je dawno oddał. Nie mam świadków ani na pożyczkę, ani na zwrot, bo mi ich nie oddał; chciałbym, abyście, wasza miłość, zmusili go do przysięgi, a jeśli przysięgne, że oddał, daruję mu je teraz i na zawsze przed Bogiem.

- A cóż wy na to, zacny staruszku z kijkiem? - zapytał Sanczo. Na to rzekł starzec:
- Ja, panie, przyznaję, że mi je pożyczyl. Skłońcie, wasza miłość, łaską sędziow- ską, a jako on zdaje się na mą przysięgę, ja przysięgnę, że mu je zwróciłem prawdziwie i rzetельnie.

Wielkorządca pochylił laskę, tymczasem starzec z trzciną podał ją tamtemu starcowi do potrzymania w czasie przysięgi, aby mu bardzo nie przeszkadzała, i zaraz, położywszy rękę na krzyżu laski sędziowskiej, rzekł, iż prawdziwie pożyczyl owych dziesięć talarów, o które chodzi, ale zwrócił mu je do rąk własnych; tamten zaś widocznie zapomniał, jeśli się dalej upomina. Widząc to, wielkorządca zapytał wie-

rzyciela, co może na to odrzec innego; ten odpowiedział, że bez ochyby dłużnik jego musi prawdę powiadać, gdyż uważa go za uczciwego człowieka i dobrego chrześcijanina, sam zaś musiał przepomnieć, kiedy i gdzie zostały mu zwrócone, odtąd o nic więcej upominać się nie będzie. Dłużnik odebrał swą trzcinę i skloniwszy gło-

wę, wyszedł z sali sądu; Sanczo, widząc, że tak z miejsca odszedł, i zważywszy cierpliwość oskarżyciela, pochylił głowę na piersi, wodząc kciukiem prawej ręki po brwiach i po nosie, przez dobrą chwilę trwał w zamyśleniu, potem nagle podniósł głowę i rozkazał, aby przywołano z powrotem starca z trzciną, który był odszedł.

Zawrócili go, a Sanczo, patrząc nań, rzekł:

- Dajcie mi, poczciwce, tę trzcinę, jest mi potrzebna.
- Z wielką chęcią - odpowiedział starzec - weźcie ją, panie.

I podał mu ją, Sanczo wziął trzcinę i dając ją drugiemu starcowi, rzekł:

- Idźcie z Bogiem, jesteście zapłaceni. Cervantes pomylił tu porządek spraw sądzonych.

580

- Ja, panie?! - odkrzyknął starzec. - Jak to, czy ta trzcinka warta jest dziesięć talarów złotych?
- Tak - rzekł wielkorządca - a jeżeli nie, jestem największym durniem na świecie. Teraz pokaże się, czy mam leb do rządzenia choćby całym królestwem. I rozkazał wobec wszystkich złamać i rozłupać trzcinę. Kiedy tak zrobili, we wnętrzu znaleziono dziesięć talarów w złocie; wszystkich zdjął podziw i zaczęli uważać swego gubernatora za nowego Salomona. Zapytali go, skąd doszedł do tego, że w tej trzcinie ukrytych było dziesięć talarów, odpowiedział, że widząc, jak na

czas przysięgi starzec obwiniony oddał swemu przeciwnikowi tę trzcinę, a przysię- gał, iż rzetelnie i rzeczywiście mu je zwrócił, potem zaś zaraz odebrał ją, przyszło

mu na myśl, że w niej zawarta była żądana kwota. Stąd wnosić można, że tym, którzy rządy sprawują, chociażby byli głupi, Bóg daje natchnienie w ich sądach; a zresztą słyszał od proboszcza swej wioski o podobnym wypadku, ma zaś tak dobrą pamięć, że gdyby nie zapomniał, o czym chciałby pamiętać, nie byłoby lepszej pamięci na całej wyspie.

W końcu obaj starcy odeszli, jeden przygnębiony, drugi zapłacony, a wszyscy przytomni trwali w podziwie, zaś ten, który spisywał słowa, czyny i zachowanie Sancza, nie zdołał rozstrzygnąć, czy ma go mieć i uważać za głupca, czy za mędrcę. Zaledwie zakończono tę sprawę, wpadła przed trybunał białogłówka, ciągnąc co sił za sobą jakiegoś dostałno odzianego hodowcę bydła i wrzeszcząc:

- Sprawiedliwości, panie wielkorządco, sprawiedliwości! A jeśli jej nie znajdę na ziemi, w niebie jej sobie poszukam. Panie wielkorządco mojej duszy, ten niegodziwiec napadł mię w szczerym polu i tak nadużył mego ciała, jakby to była brudna ścierka. O ja nieszczęsna! Wydarł mi to, czego strzegłam przez dwadzieścia trzy lata, broniąc przed Maurami i chrześcijanami, rodakami i obcymi. Na to byłam twarda jak dąb i zachowałam się nietknięta jak Salamanka w ogniu albo wełna pośród cierni, żeby ten nicpoń teraz mię obmacywał brudnymi łapami? - To należy jeszcze stwierdzić - rzekł Sanczo - czy ten gagatek ma ręce czyste, czy nie.

I zwróciwszy się do człowieka, zapytał, co może rzec na skargę owej niewiasty.

Ten bardzo stropiony odpowiedział:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Panowie, jestem ubogim hodowcą świń i dziś rano wyszedłem z tego miasta, gdzie sprzedawałem (z przeproszeniem was) cztery wieprze, przy czym zabrano mi na sprzedażne i inne frycowki mało co mniej, niż one były warte; wracałem do swej wioski, spotkałem w drodze tę zacną matronę i diabeł, który wszystko płacze i do wszystkiego się miesza, sprawił, że pożartowaliśmy razem; zapłaciłem jej dostatecznie, a ona niezadowolona uczebiła się mnie i nie puściła, aż mię tu przywiodła.

Mówi, że ją zgwałciłem, ale kłamie - na to przysięgam i przysięgnę; oto cała prawda, nie brak ani okruszyny.

Wówczas wielkorządca zapytał, czy ma przy sobie jakieś pieniądze w srebrze; odrzekł, że ma około dwudziestu dukatów w zanadrzu w skórzany trzosie. Sanczo rozkazał, aby je wyjął i w całości oddał białogłówie; ten usłuchał, drżąc cały.

Kobieta trzos porwała i wybijając tysiące salamalejków przed wszystkimi oraz zasyłając do Boga modły o zdrowie i zbawienie dla wielkorządcy dobrodzieja, który taką opieką otacza sieroty w potrzebie i dziewczę, opuściła salę, ściskając trzos 581 obiema rękoma; wprzód jednak sprawdziła, czy pieniądze, jakie zawierał, były istotnie srebrne.

Zaledwie wyszła, Sanczo rzekł do hodowcy, któremu już łzy płynęły, a oczy i serce wyrywały się za mieszkiem:

- Poczciwce, biegaj za tą kobietą, odbierz jej trzos po woli czy po niewolii wracaj tu z nią razem.

Nie mówił tego do głupiego ani do głuchego; hodowca pognał piorunem, aby spełnić, co mu rozkazano. Wszyscy przytomni trwali w oczekiwaniu, ciekawi, jaki obrót sprawy weźmie; niedługo wrócili człowiek i białogłowa jeszcze ciasnej sczeplieni niż za pierwszym razem; ona, zadarłszy kieckę, trzymała w fałdzie trzos przyciśnięty do łona, mężczyzna zaś usiłował go jej odebrać; nie było to jednak możliwe, bo białogłowa bronila go zawzięcie, krzycząc:

- Sprawiedliwości boskiej i ziemskiej wołam! Patrzcie, panie wielkorządco, jak bezwstydnego i zuchwały jest ten niegodziwiec, w samym środku miasta na ulicy chciał mi wydrzeć trzos, który mi wasza miłość dać rozkazał. - No i wydarł wam? - zapytał Sanczo.
- Jak to wydarł?! - wykrzyknęła kobieta. - Raczej dałabym sobie wydrzeć życie aniżeli trzos! Dobre sobie! Inne koty musiałyby mię pazurami napaść niż ten nędznik i obrzydluch! Obcęgi i młoty, kleszcze i dłuta nie wystarczyłyby, aby mi go

Don Kichote - Miguel Cervantez

z pazurów wydrzeć, ani nawet szpony lwa; raczej wydarto by mi duszę z samego śródeczka ciała!

- Prawdę powiada - rzekł mężczyzna -jestem zwyciężony i bezsilny, wyznaję, że moje siły nie wystarczą, aby gojej wydrzeć. I puścił ją.

Wówczas wielkorządca odezwał się do kobiety: -

Pokaźcie no ten trzosik, czcigodna i waleczna.

Zaraz mu go oddała, a wielkorządca zwrócił go mężczyźnie i rzekł do gwałtownej, lubo niezgwałconej:

- Sioстро моя, gdybyś z takim samym zapałem i mestwem, jakieś okazała obronie twego trzosa, a nawet z o połowę mniejszym broniła twego ciała, sam Herkules by cię nie zniewolił. Idźcie z Bogiem, a raczej do diabła, i nie pokazujcie się na całej tej wyspie ani na sześć mil wokoło pod karą dwustu batów. Precz stąd co rychlej, kłamczyni bezwstydnia i oszustko!

Białogłowa przerażona odeszła, zła i ze spuszczoną głową, a wielkorządca rzekł do mężczyzny:

- Poczciwcze, wracajcie z Bogiem do waszej wioski z waszymi pieniędzmi, ale odtąd, jeśli ich stracić nie chcecie, niech wam nie przychodzi ochota gzić się z kimkolwiek.

Człowiek podziękował najniezgrabniej, jak zdołał, i odszedł, a przytomni znów dziowali się sądom i wyrokom nowego wielkorządcy. Wszystko to, spisane przez kronikarza, zostało przedłożone księciu czekającemu na wiadomość z wielką niecierpliwością. Pozostawmy tu zacnego Sancza; śpieszy nam się do jego pana wzburzonego muzyką Altisidory. 582

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

o straszliwym przerażeniu, jakiego doznał Don Kichote z powodu dzwoneczków i kotów w czasie

miłosnych

zabiegów zakochanej Altisidory

Zostawiliśmy wielkiego Don Kichota spowitego w myślach, jakie wzbudził w nim śpiew rozmiłowanej panny Altisidory. Z nimi położył się, ale jakby to były pchły, nie dały mu zmrużyć oka, tym bardziej że dołączyły się do nich spuszczone oczka pończoch; jednak czas jest lotny i żadna przeszkoła go nie wstrzyma, pędem przegnał godziny i niebawem zawitał ranek. Co widząc, Don Kichote rzucił miękkie puchy, co rychlej przywdział swój zwykły strój i włożył buty podróżne, chcąc zakryć klęskę swych pończoch; zarzucił na to płaszcz szkarłatny, a na głowę włożył czapeczkę z

Don Kichote - Miguel Cervantez

zielonego aksamitu srebrzystym galonem zdobną; temblak włożył na ramiona ze swym zacnym, ostrym mieczem; wziął wielki różaniec, z którym się nigdy nie rozstawał, i z przesadnym dostojeństwem, w podrygach, skierował kroki do przedsionka, gdzie znajdowali się książę i księżna już ubrani, jakby oczekujący na niego. W przejściu przez galerię czatowały nań Altisidora i druga panna, jej przyjaciółka; ledwie Altisidora spostrzegła Don Kichota, udała omdlenie, padając na suknię swej przyjaciółki, która pośpiesznie jąła rozpinać jej stanik. Don Kichote, ujrzałszy to, zbliżył się i rzekł:

- Wiem dobrze, skąd pochodzą takie przypadłości.
- Ja nie wiem z czego - odpowiedziała przyjaciółka - Altisidora bowiem jest panienką najzdrowszą w tym domu i nigdy od niej nie słyszałam żadnego

"ach", odkąd ją znam; przeklęci niech będą wszyscy błędni rycerze na świecie, jeśli wszy- scy są tak niewdzięczni. Odejście, wasza miłość, panie Don Kichocie; nie przyjdzie do siebie biedna dziewczka, póki waszmość tu zostajesz.

Na to odpowiedział Don Kichote:

- Postarajcie się, wasza miłość, pani, aby tej nocy w mej komnacie znalazła się lutnia; będę usiłował, jak umiem, pocieszyć ową zranioną panienkę; w początkach miłości rychłe roczarowanie zwykło być najlepszym lekiem.

I odszedł z tymi słowy, obawiając się, aby go ktoś tam nie zobaczył. Zaledwie się oddalił, kiedy Altisidora zupełnie przytomność odzyskała, rzekła do towarzyszki:

- Trzeba będzie dostarczyć mu tej lutni; ani chybi Don Kichote chce nas uraczyć muzyką; nie będzie zła, jeśli to jego kompozycji!

Zaraz też udało się zdać sprawę księżnej ze wszystkiego, co zaszło, i powiedzieć o lutni, o którą Don Kichote prosił, ta zaś nad wyraz rozweselona ułożyła z księciem i ze swymi pannami nową krotochwilę, która by więcej śmiechu niż szko-

dy przyniosła. Bardzo zadowolone czekały nocy, która nadeszła tak spiesznie, jak wpierw dzień spędzony przez księstwo na smakowitych rozmowach z Don Kichotem. Księżna rzeczywiście dnia tego wysłała pazia (tego samego, który w lesie udawał zaczarowaną Dulcyneę) do Teresy Pansy z listem jej męża, Sanczo Pansy,

583

dołączając do tego strój, jaki ten zostawił, aby go przesłać, i nakazując mu dokładnie zdać sprawę ze wszystkiego, co między nim a Teresą zajdzie. Wreszcie kiedy nadeszła jedenasta godzina nocy, znalazł Don Kichote w swej izbie lutnię. Spróbował jej, otworzył kratę i przekonał się, że ktoś jest w ogrodzie; przebiegłszy palcami po

Don Kichote - Miguel Cervantez

strunach i nastroiwszy, jak najlepiej umiał, odpluł, chrząknął i zaraz głosem zachrypnietym, ale nie fałszywym, zaśpiewał taką romancę, którą sam tegoż dnia ułożył:

Zwykle potęga kochania

Wyrywa duszę z zawiasów, • , - ..,

Najlepszym narzędziem dla niej

Bezczynność długich wywczasów.

Szycie, haft i robótki, I nieustanne zajęcia .

To są najlepsze odtrutki W
miłosnych przedsięwzięciach.

Dla młodych, skromniutkich panien, ;i

Co o zamęściu śnić lubią,

Cnota najlepszym jest wianem,

A wszyscy rycerze błędni

I wszyscy rycerze z dworu

Z płochymi bawią się chętni, Miłości, co z wschodem słońca .

Zawiążą się gdzieś w gościnie,

Miłość, co nagle powstaje,

Dziś jest, a jutro zanika, Nie

są obrazy jej trwałe Wyryte w
sercu człowieka.

Nie maluj nic na obrazie,

Wyraźnie się nie odznaczy,

Gdzie pierwsza

miłość się wrazi,

Druga nie

przyjmie się

raczej. , Ja

Dulcyneę z

Toboso

Wyrytą mam w duszy głębi, 584

Tak nieodparcie tam wrosła, Że nic
jej już nie dosięgnie.

Kochanków w wierności stałość

Jest cnotą najbardziej cenną

I przez nią miłość cud działa, I chwałę daje podniebną.

Don Kichote doszedł dotąd w swej pieśni, której słuchali książę, księżna, Altisi- dora i prawie wszyscy mieszkańców zamku, kiedy niespodziewanie z galerii, znajdującej się bezpośrednio nad oknem Don Kichota, spuszczono sznur, na którym było ponad sto dzwoneczków, i zarazem wytrząśnięto wielki worek kotów, które wszystkie miały również do ogona przyczepione małe dzwoneczki. Brzęczenie dzwonków i miauczenie kotów było tak wielkie, że nawet księstwo, choć sami ten żart wymyślili, doznali wstrząsu, a przerażony Don Kichote oniemiał; los zdarzył, że dwa albo trzy koty wpadły przez okno do komnaty i zaczęły się tłuc po wszystkich kątach, tak iż zdawało się, jakby zgraja diabłów tam się dostała. Pogasiły świece, które izbę oświetlały, szukając, których by uciec mogły. Tymczasem bezustannie wznoszono i opuszczano sznur z dzwonkami; większość ludzi zamkowych, niewtajemniczona, trwała w zdumieniu i zadziwieniu. Don Kichote zerwał się na nogi i dobywszy miecza, zaczął dźgać przez kratę, wołając wielkim głosem: - Precz stąd, złośliwi czarnoksiążnicy! Precz, czarnoksięski motłochu! Jestem Don Kichote z Manczy, przeciw któremu wasze złe zamysły nic nie są warte i nic nie poradzą. I obróciwszy się do kotów latających po komnacie, wiele ciosów im wymierzył; one wskoczyły ku kracie i przez nią uciekły, jeden tylko, widząc się zagrożony ciosami Don Kichota, skoczył mu na twarz, pazurami i zębami wczeplając się w nozdrza, a Don Kichote zaczął wniebogłosy wrzeszczeć.

Książę i księżna usłyszawszy to i zastanawiając się, co by to być mogło, z wielkim pośpiechem przybiegli na pomoc do jego komnaty. Otworzywszy swoim kluczem drzwi, zastali nieszczęsnego rycerza walczącego z wszystkich sił, by oderwać kota od twarzy. Przyniesiono światło i ujrzano tę nierówną walkę; książę pośpieszył z pomocą, chcąc ich rozdzielić, ale Don Kichote wołał:

- Nie odrywajcie go! Zostawcie mnie samowtór z tym diabłem, czarownikiem, z tym czarnoksiążnikiem! Niech zrozumie, kim jest Don Kichote z Manczy. Ale kot, nic sobie z tych gróźb nie robiąc, burczał i coraz mocniej się wgryzał.

W końcu książę go oderwał i wyrzucił przez kratę.

Don Kichote pozostał z twarzą podrapaną i nosem w nie lepszym stanie, ale jeszcze bardziej zagniewany, że nie pozwolono mu dokonczyć walki tak srogiej z tym niecnotą czarnoksiążnikiem. Zaraz kazano przynieść dziurawcowej oliwy i sama Altisidora swymi bielutkimi rękoma przyłożyła mu bandaże na wszystkie rany, a podczas tego szeptała:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Wszystkie te nieprzyjemności zdarzają ci się, rycerzu kamiennego serca, za karę, żeś tak twardy i nieużyty; a dałby Bóg, aby Sanczo, twój giermek, zapomniał 585 o swym biczowaniu, by nigdy nie wyszła z zaczarowania swego twoja tak bardzo umiłowana Dulcynea, abyś nie mógł się nią cieszyć ani jej poślubić tak długo przynajmniej, jak ja żyję, która cię tak uwielbiam.

Na to wszystko Don Kichote nie odpowiedział ani słowa, ale westchnął głęboko i natychmiast położył się na łóżu, dziękując za łaskawość księstwu, nie dlatego, aby lękał się tej kociej hołoty czarnoksięskiej i rozdzwonionej, ale za okazanie dobrej chęci w niesieniu mu pomocy. Księstwo zostawili go, aby odpoczął, i odeszli zmartwieni, że żart tak smutno się skończył; nie spodziewali się bowiem, iż ta przygoda będzie tak wiele kosztować Don Kichota, który musiał pozostać przez pięć dni w komnacie i w łóżu; w tym czasie miał inne zdarzenie przyjemniejsze niż poprzednie, lecz historyk na razie nie ma zamiaru go opowiadać, chcąc wrócić do

Sanczo Pansy, który bardzo troskliwie i sprytnie rządy swe sprawował. ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY dalej opowiada, jak Sanczo Pansa rządy swe sprawował "powiada historia, że z sali sądowej zawiedziono Sanczo Pansę do wspaniałego pałacu, gdzie w wielkiej sali stał stół obficie i po królewsku zastawiony; kiedy Sanczo wszedł, odezwały się szalamajeł i czterech paziów wyszło, aby mu służyć przy rąk umyciu, co Sanczo przyjął z wielką powagą. Muzyka umilkła, Sanczo zasiadł na naczelnym miejscu przy stole, nie było bowiem innego siedzenia i tylko dla niego przygotowano nakrycie. U jego boku stanęła osobistość, która później okazała się medykiem, z fiszbinową pałeczką w ręce. Zdjęto kosztowną białą serwetę, którą przykryte były owoce i wielka różnorodność półmisków z rozmaitymi daniami; ktoś na kształt kleryka pobłogosławił je, a paź zawiązał Sanczowi podbródek koronkowy; drugi, jakby mistrz ceremonii, postawił przed nim talerz owoców; ale zaledwie zdążył skosztować, kiedy osobnik z pałeczką dotknął nią półmiska i z największym pośpiechem zabrano mu go przed nosa; aliści mistrz ceremonii podsunął mu drugi z innym danim. Sanczo gotował się spróbować, jednak nim go pokosztować zdążył, już pałeczka dotknęła jedzenia i paź sprzątał go z taką chy-żością jak ów z owocami. Co widząc, Sanczo zdumiał się i patrząc po obecnych, zapytał:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Zali to obiad czy kuglarskie sztuczki? Na to odpowiedział człek z pałeczką:
- Panie wielkorządco, musicie jadać wedle zwyczaju i obyczaju panującego na innych wyspach, gdzie istnieją wielkorządcy. Ja, panie, jestem medykiem i jestem płatny na tej wyspie, abym służył jej wielkorządcom i bardziej ich zdrowia

1 szałamaja- dawny drewniany dęty instrument muzyczny z podwójnym stroikiem.

586

strzegł niż własnego, badając i pilnując dniem i nocą kompleksji' wielkorządcy, aby tym pewniej uleczyć go, kiedy by zachorował; a najważniejszym mym zadaniem jest stać u jego boku przy obiedzie i wieczerzy, aby dozwalać mu jeść, co mi się wyda dlań stosowne, a nie dopuścić, by jadł, co moim zdaniem może mu zaszkodzić i zepsuć żołądek; i dlatego kazałem zabrać półmisek owoców, zbyt wiele bowiem zawierają wilgoci, a podobnie zabrać kazałem i drugi półmisek, gdyż zawierał potrawy zbyt rozgrzewające i zbyt korzenne, wzmagające pragnienie; a ten, kto wiele pije, rozpuszcza i wyniszcza zasadniczą wilgoć, która życie utrzymuje. - W takim razie ten półmisek przepiórek pieczonych, a jak mnie się widzi smacznie przyrządzonek, nie może mi w żaden sposób zaszkodzić.

Na to odpowiedział medyk:

- Tego pan wielkorządca jeść nie będzie, póki mego życia. - Jak to? Dlaczego nie? - zapytał Sanczo. A medyk odrzekł:
- Albowiem nasz mistrz Hipokrates, gwiazda przewodnia i światłość medycyny, w aforyzmie swoim mówi: Omnis saturatio mala; perdicis autem pessima², co się wykłada: Każda niestrawność jest zła, ale po przepiórkach najgorsza. - Jeśli tak jest - rzekł Sanczo - spójrzcie, mości doktorze, jakie dania na tym stole mogą mi wyjść na pożytek i jakie najmniej szkody przynieść, i pozwólcie mi jeść bez pałeczkowania; bowiem na życie wielkorządcy (oby nim Bóg cieszyć mi się dozwolił) przysięgam, że umieram z głodu, a zabranianie mi jadła, choćby to było waszmości niemiłe, panie doktorze, i choćby mi nie wiem co gadali, raczej pozbawi mnie życia, niż mi je przedłuży.
- Wasza miłość ma rację, panie wielkorządco - odparł medyk - wszelakoż jestem zdania, że nie należy waszej miłości jeść owych królików w potrawce, które tam stoją, bo to zwierzę długowłose. Tej cielęciny, o ile nie byłaby pieczona i duszona, można by spróbować, ale tak jest niemożliwa. Na to Sanczo:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- W tej misie tam dalej, która dymi, są, zdaje mi się, "gniluchy", a jako zawierają one tyle rzeczy, z jakich takie hultajskie bigosy się składają, bez wątpienia znajdzie się w nich coś dla mnie smacznego i zdrowego.
- Absif - rzekł medyk. - Odsuńcie precz takie niegodne myśli; nie masz naświecie bardziej niestrawnej rzeczy niż te "gniluchy". Zostawcie te bigosy kanonikom albo rektorom kolegiów, albo godom wieśniaczym, ale uwolnijmy od nich stoły wielkorządów, gdzie panować ma doskonałość i wybredność. A racja ku temu jest, że zawsze i wszędzie, i dla kogokolwiek lekarstwa proste są lepsze od lekarstw złożonych, w prostych bowiem pomylić się nie można, a w złożonych tak, pozmieniawszy ilość ich składników; co najwyżej pan wielkorządca, chcąc zachować zdrowie i nawet je wzmacnić, powinien spożyć z setką zwiniętych andrutów i kilka plasterków cieniuchnych pigwy, które wzmacniają żołądek i ułatwiają trawienie.

1 kompleksja- budowa ciała, wygląd.

2 Autentyczny aforyzm brzmi: *Omnis saluratio mala, panis autem pessima* (łac.) - Wszelkie przejedzenie jest złe, ale chlebem najgorsze.

3 Precz! (łac.).

587

Kiedy Sanczo to usłyszał, rzucił się na poręcz krzesła, spojrzał ostro na medyka i głosem poważnym zapytał, jak on się zowie i gdzie się kształcił. Na co tamten odpowiedział:

- Ja, panie wielkorządco, nazywam się doktor Piotr Recio de Aguero¹, pochodzę z miejscowości zwanej Tirteafuera², położonej między Caracuel i Almodovar del Campo, na prawo, a stopień doktora uzyskałem na uniwersytecie w Osuna.

Na to odpowiedział Sanczo, zapalony wielkim gniewem:

- Tedy, mości doktorze Piotrze Srogi Złej Wróżby, pochodzący z Wynochastąd, miejscowości położonej po prawej ręce, kiedy się jedzie z Caracuel do Almodovar del Campo, dyplomowany w Osuna, wynoście się stąd natychmiast; a jeśli nie, przysięgam na słońce, że złapię kija i zaczynając od was, przegnam wszystkich medyków z tej wyspy, przynajmniej tych, których uważam za nieuków; przed medykiem mądrymi, roztrąpnymi i uczonymi sklonię głowę i czcić ich będę jak boskie istoty. I jeszcze raz powtarzam, precz stąd, Piotrze Recio, a jeśli nie, porwę to krzesło, na którym siedzę, i rozbiję w drzazgi na waszej głowie, niech mi potem każą za to odpowiadać na rezydencji³, usprawiedliwię się, mówiąc, że Bogu się przysłużyłem, zabijając złego medyka, który był katem tego państwa. Niech mi dadzą

Don Kichote - Miguel Cervantez

jeść albo niech zabierają sobie te rządy; bo zawód, który nie pozwala jeść swemu pracownikowi, niewart i dwóch ziarnek bobu.

Przeraził się doktor, widząc wielkorządce w takim gniewie i chciał chyłkiem zemknąć z sali, ale w tej chwili dała się słyszeć trąbka pocztowa z ulicy, a mistrz ceremonii, wyjrzał oknem, odwrócił się ze słowami:

- To posłaniec od księcia pana przybywa, snadź przynosi jakąś ważną wiadomość.

Wszedł posłaniec zapocony i zdyszany i wyciągnawszy z zanadrza list, wręczył go wielkorządcy, a Sanczo podał go marszałkowi, polecając mu odczytać adres, brzmiał on jak następuje:

DO DON SANCZO

PANSY,

WIELKORZĄDCY

WYSPY BARATARIA.

DO RĄK WŁASNYCH ALBO

JEGO SEKRETARZA Co

usłyszawszy, Sanczo zapytał:

- Kto tu jest moim sekretarzem? Jeden z obecnych odezwał się:

- Ja, panie, umiem bowiem czytać i pisać i jestem Biskajczyk⁴. 1 Recio (hiszp.) - srogi, mal aguero zła wróżba.

2 Tirteafuera znaczy: "wynoś się stąd!". Jest to zarazem nazwa rzeczywista miejscowości koło Argamasilla de Alba.

3 Po złożeniu urzędu gubernatorowie i urzędnicy musieli przez określony czas rezydować w okolicy, gdzie pełnili urząd, żeby można było ich wezwać do odpowiedzialności. 4 Od wieków Biskajczycy bywali sekretarzami królów, mając opinie wiernych, lojalnych i praworządnych. 588 - Z takim przydatkiem - rzekł Sanczo - możecie być zaiste sekretarzem samego cesarza. Otwórzcie ten list i zobaczcie, co tam stoi.

Nowo narodzony sekretarz uczynił tak, a przeczytawszy posłanie, rzekł, że należałoby je na osobno omówić. Sanczo rozkazał opróżnić salę i kiedy wszyscy razem z medykiem, krom marszałka i mistrza ceremonii, sekretarz przeczytał list, w którym było:

Doszło do mej wiadomości, panie Don Sanczo Pansa, że pewni nieprzyjaciele moi oraz tej wyspy gotują się do gwałtownego na nią natarcia którejś nocy; należy

Don Kichote - Miguel Cervantez

czuwać i mieć się na bacznosci, aby was nie zaskoczyli nieprzygotowanych. Dowiedziałem się również przez godnych zaufania szpiegów, że do waszej miejscowości przedostały się cztery osoby w przebraniu, aby godzić na wasze życie, lękają się bowiem waszego geniuszu. Miej cię pilne oko na wszystkich, którzy się do was zbli-

żą, chcąc z wami mówić, i nie jedzcie nic z tego, co wam podadzą. Nie omieszkam przyjść wam z pomocą, jeśli będziecie się znaleźć w opałach; postępujcie we wszystkim tak, jak oczekiwane można od waszego rozumu.

Dań w tej miejscowości, 16 sierpnia o czwartej godzinie ranka

Wasz przyjaciel

Książę

',- Sanczo był zaskoczony tą wiadomością, podobnie jak wszyscy przytomni, i zwracając się do marszałka, przemówił:

- Co dziś i natychmiast uczynić należy, to wrzucić do lochu doktora Recio; bo jeśli kto chciał mnie zabić, to na pewno on, i to śmiercią najpowolniejszą i najokrutniejszą, bo głodową.
- Jednak mnie się również zdaje - rzekł mistrz ceremonii - że wasza miłośćnie możecie być wszystkiego, co na tym stole stoi, bo potrawy te są przeważnie dostarczone przez pewne zakonnice, a zwykło się powiadać, że za krzyżem diabeł stoi.
- Nie przeczę - odpowiedział Sanczo - tymczasem niech mi dadzą kawał chleba i dobre cztery funty winogron, te chyba nie mogą zawierać trucizny; nie mogę zaiste obejść się bez jedzenia, a jeśli mamy być gotowi do walki, jaką nam grozi, trzeba się dobrze pokrzepić, bowiem kiszki podtrzymują serce, a nie serce kiszki. Zaś wy, sekretarzu, odpowiedziecie księciu, memu panu, że wszystkie zlecenia wypełnione zostaną wedle rozkazu i co do słowa; a w moim imieniu nie zapomnijcie ucałować rąk mej księżnej pani i dodać, że błagam ją, aby nie zapomniała wysłać przez

umyślnego mego listu i mego tłumoczka żonie mej, Teresie Pansie, a będę jej za to ogromnie wdzięczny i będę starał się usłużyć jej, ile mi siły pozwolą; przy sposob-

ności możecie dorzucić ucałowanie rąk dla pana mego, Don Kichota z Manczy, aby wiedział, że chleba niejadłem niewdzięczny; a zresztą, wy, jako dobry sekretarz i jako prawy Biskajczyk, możecie dodać wszystko, co zechcecie i co wam na myśl przyjdzie. A teraz niech zbiorą te obrusy i niech mi coś dadzą zjeść; już ja dam so-

bie radę ze wszystkimi szpiegami, mordercami i czarnoksiążnikami, którzy by na mnie lub na moją wyspę się zasadzili. 589

Na to wszedł paź ze słowami:

- Jakiś handlarz wiejski pragnie pomówić z waszą wielmożnością w pewnej sprawie bardzo ważnej, jak powiada.
- Dziwaczni są ci handlarze. Czyż możliwe, aby byli tak głupi i nie wiedzieli, że w takich godzinach nie należy się naprzykrzać ze sprawami? Czy przypadkiem my, którzy sprawujemy rządy, którzy sądzimy, nie jesteśmy ludźmi z krwi i kości i trzeba nam zostawić czas konieczny na wypoczynek, zali też sądzą, że jesteśmy z marmuru? Na Boga i na me sumienie, jeśli te rządy potrwają (a przeczuwam, że trwać nie będą długo), już ja nauczę niejednego z tych natrętów. Powiedziecie teraz temu człowiekowi, niech wejdzie, ale przekonajcie się wprzód, czy nie jest to szpieg albo mój morderca.
- Nie, panie - odpowiedział paź - zdaje się mieć prostą duszę i albo się na tymnie znam, albo jest tak dobry jak dobry chleb.
- Nie ma się czego lękać, gdy wszyscy tu razem jesteśmy - rzekł marszałek. - Czy byłoby możliwe, mistrzu ceremonii - zapytał Sanczo - abym teraz, kiedy nie ma tu doktora Recio, zjadł coś porządnego i pozytecznego, choćby kawałek chleba z cebulą?
- Dziś wieczór przy wieczerzy naprawimy niedostatek obiadu i wasza wielmożność będzie zadowolony i odpłaci sobie. - Dałby to Bóg - odpowiedział Sanczo.

Na to wszedł wieśniak, bardzo poczciwie wyglądający, tak że na tysiąc mil poznać było można zacną i dobrą duszę. Pierwsze słowa jego były: - A który tu jest panem wielkorządcą?

- A któryż ma być - odpowiedział sekretarz - jeśli nie ten, który zasiada nastolcu. - Padam mu przeto do nóg - rzekł wieśniak.

I upadłszy na kolana, poprosił o rękę do ucałowania. Sanczo odmówił i rozkazał mu powstać i przedłożyć swą prośbę. Posłuchał wieśniaka i tak rzekł: - Ja, panie, jestem rolnikiem, pochodzę z Miguelturry, miejscowości o dwie mile leżącej od Ciudad Real.

- Otóż mamy drugą Tirteafuerę! - wykrzyknął Sanczo. - Opowiadajcie, bracie, mogę wam rzec, że Miguelturę znam dobrze, bo to niedaleko od mej wioski. - Sprawa ma się tak, panie - rzekł wieśniak - otóż ja, z łaski Bożej, jestem żonaty prawowicie wobec świętego Kościoła rzymkokatolickiego, mam dwóch synów studentami, młodszy uczy się na bakałarza, starszy na licencjata; jestem wdowcem, bo żona moja umarła albo lepiej rzec, zabił mi ją zły medyk, który jej dał na przeszczepienie,

Don Kichote - Miguel Cervantez

kiedy była w ciąży; gdyby był Bóg pozwolił, by płód na świat wydała, a byłby to syn, chciałem go uczyć na doktora, aby nie zazdrościł swoim braciom, bakałarzowi i licencjatowi.

- Tedy - rzekł Sanczo - jeśli wasza żona nie była umarła czy gdyby jejo śmierć nie przyprawiono, nie byłbyście wdowcem jeszcze. - Nie, panie, nijak - odpowiedział wieśniak.
- Dużośmy się dowiedzieli - dorzucił Sanczo. - Prędzej, bracie, teraz raczejpora spać niż sprawy rozstrzygać. 590
- Mówię tedy - rzekł wieśniak - że ten mój syn, który ma zostać bakałarzem, zadurzył się w jednej dziewczynie z naszej wsi, zwanej Klara Perlerina, córce Andrzeja Perlerino, rolnika bardzo bogatego; to nazwisko Perlerinów nie jest rodzinny ani wywodzi się od jakiejś posiadłości, jeno stąd, że wszyscy z tej rodziny są paralitykami, a tylko, aby delikatniej rzec, nazywają ich Perlerinami; choć aby prawdę powiedzieć, owa dziewczyna jest jak perła uriańska, oglądana z prawej strony wydaje się jak kwiat polny, z lewej już nie tak, brak jej bowiem jednego oka, które jej

wypłynęło przy ospie; a choć ma liczne dzioby na twarzy, i to wielkie, mówią o nich ci, którzy ją miują, że nie są to dzioby, jeno groby, gdzie pogrzebane są dusze jej

miłośników. Tak jest czysta, że aby twarzy nie powalać, nos nosi zadarty wysoko, jakby się zdawał od ust uciekać; z tym wszystkim wygląda nadzwyczaj urodziwie, bo usta ma wielkie, które gdyby jej nie brakło dziesięciu czy dwunastu zębów przednich i trzonowych, mogłyby prym trzymać między najpiękniejszymi. Nie wiem, co rzec o wargach, są bowiem tak wąskie i delikatne, że gdyby je można nawinąć, utwo-

rzyłyby motek, ale wydają się dziwne, bo nie mają zwykłej wargom barwy, są bowiem nakrapiane niebiesko, zielono i fioletowo; wybaczcie, panie wielkorządco, jeśli tak drobiazgowo maluję wszystkie częsteczki tej, która koniec końców ma być moją córką; lubię ją bardzo i nie wydaje mi się brzydka.

- Malujcie ją, jak chcecie - rzekł Sanczo - bawi mię to malowanie, a gdybym był po obiedzie, nie byłoby lepszych wetów dla mnie jak wasz portret. - Zaraz go będziecie mieli do usług - odpowiedział wieśniak - ale dużo jeszcze czasu upłynie, jesteśmy od tego daleko. Mówię, panie, że gdybym zdąział opisać wdzięk i strzelistość jej postawy, byłby to powód do podziwu, jednak to nie-

Don Kichote - Miguel Cervantez

możliwe, jest bowiem pokrzywiona, zgarbiona i kolana jej do ust sięgają, a z tym wszystkim łącznie odgadnąć można, że gdyby się zdołała wyprostować, głową dostałaby dachu; już byłaby rękę oddała memu bakałarzowi, tylko nie może jej wyciągnąć, bo jest skurczona, przecie z jej szerokich i żlobionych paznokci widać jej dobroć i zacną kompleksję.

- No dobrze - rzekł Sanczo - a przyjawszy, bracie, że odmalowaliście ją odstęp do głowy, czegoż więcej chcecie? Przejdźcie do rzeczy, nie kluczając ani nie włócząc, bez dodatków i odpadków.
- Chciałbym, panie - odpowiedział wieśniak - aby wasza miłość daliście miłaskawie list polecający do jej ojca, prosząc go, aby zezwolił na rychłe małżeństwo, jesteśmy bowiem sobie równi tak dobrami fortuny, jak natury, bowiem, aby prawdę rzec, panie wielkorządco, mój syn jest opętany i trzy lub cztery razy dziennie dręczą go złe duchy; a że wpadł raz do ognia, twarz ma pomarszczoną jak pergamin, a oczy załawione i zaropiałe; ale charakter ma anielski i gdyby nie to, że sam siebie tłucze i wali kułakami, byłby jak święty. - Czegoż więcej żądasz, poczciwcze? - zapytał Sanczo.
- Chcę jeszcze - odpowiedział wieśniak - tylko nie śmiem powiedzieć, ale niechco chce będzie, niech mi to nie gnije w środku: chciałem, mówię, abyście mi, wasza miłość, dali trzysta lub sześćset dukatów, aby dodać do uposażenia mego bakała- Gra słów między perła (perla) a perlatico (paralityk).

591 rza, mówię, aby mu pozwolić się zagospodarować, bo w końcu trzeba, aby mieli z czego żyć i nie byli wystawieni na grubiaństwa teściów. – Pomyślcie, czy jeszcze czegoś chcecie - rzekł Sanczo - i nie przemilczajcie obawy albo ze wstydu. – Nie, na pewne - odpowiedział wieśniak.

Ledwie wypowiedział te słowa, kiedy wielkorządca skoczył, porwał krzesło, na którym siedział, i rzekł:

- Bogać mi, Don Gruby Drabie nieokrzesany, jeśli nie znikniesz i nie skryjesz się przede mną, łeb ci rozwalę tym krzesłem. Taki synu, łajdaku, malarzu od wszystkich diabłów, o tej porze przychodzisz żądać ode mnie sześciuset dukatów? Skądże je mam wziąć, śmierdzielu? I za cóż miałybym ci je dawać, choćbym je miał? Półgłówku, oszuście! I cóż mię obchodzi Miguelturra i cały ród Perlerinów? Precz stąd,

mówię, a jeśli nie, to na życie księcia, mego pana, zrobię, co rzekłem! Ty chyba nie jesteś z Miguelturry, ale jakimś oszustem, którego piekło mi tu na pokuszenie przy- słało. Powiedz mi, niegodziwcze, jeszcze nie ma

Don Kichote - Miguel Cervantez

półtora dnia, jak rządy objąłem, a ty już chcesz, abym miał sześćset dukatów?

Dał znak mistrz ceremonii wieśniakowi, aby opuścił salę, co ten uczynił z głową spuszczoną, jakby w trwodze, aby wielkorządca gniewu na nim nie wywarł, bo ten hultaj doskonale odegrał swą rolę. Pozostawmy Sancza w jego gniewie, niech znów pokój zapanuje i powróćmy do Don Kichota, którego zostawiliśmy z twarzą obłożoną plastrami i leczącego swoje kocie rany, które nie zagoiły się wcześniej aż po upływie tygodnia, w czasie którego zdarzyło mu się to, co Sidi Hamet obiecuje opowiedzieć dokładnie i prawdziwie, jak zwykły opowiadać wszystkie choćby najgłabsze sprawy tej historii. ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY o tym, co przydarzyło się Don Kichotowi z Dońią Rodriguez, ochmistrzynią księżnej, oraz o innych wypadkach godnych zapisania i wiecznej pamięci

Ni,

Niezmiernie zgnębiony i pogranżony w smutku leżała ciężko ranny Don Kichote z twarzą obłożoną plastrami i naznaczoną nie ręką Bożą, ale pazurami kota. Niepowodzenia takie związane są z błędnym rycerstwem. Przez sześć dni nie pokazywał się nikomu, aż pewnej nocy, kiedy nie spał i czuwał, rozmyślając o swych niepowodzeniach i o natarczywościach Altisidory, usłyszał, że klucz jakiś otwiera drzwi jego komnaty i od razu wyobraził sobie, że to zakochana panna nadchodzi, by przewyciążyć obyczajność jego i zmusić do złamania wiary, jaką zachować powinien swej pani, Dulcynei z Toboso. 592

- Nie - rzekł, wierząc w rzeczywistość swego urojenia, i tak głośno, aby go słyszano - największa piękność ziemi nie zdoła mię zmusić, abym przestał wielbić tę, której obraz mam wyryty i odbity we wnętrzu serca mego i w najskrytszej głębi moich trzewi. Czyli jesteś, o pani moja, przeobrażona w chłopkę cuchnącą cebulą, czyli w nimfę złocistego Tagu, tkającą złotogłówie i wzorzyste jedwabie, czyli trzymać cię Merlin, czy Montesinos, gdzie zechcą, gdziekolwiek byś była, jesteś moja, a gdziekolwiek bym ja był, będę twoim.

Ledwie słowa te wypowiedział, kiedy drzwi się otwarły. Stanął na łóżu, spowiniety od stóp do głowy w kołdrę z żółtej satyny, ze śpioszką na głowie, z obandażowanym obliczem i wąsami: obliczem z powodu zadrapań, wąsami - aby nie rozburzyły się i nie opadały; w tym przebraniu wydawał się najdziwaczniejszym straszydłem, jakie wyobrazić sobie można; wbił oczy we drzwi, ale kiedy spodziewał się ujrzeć wchodzącą zakochaną i płaczliwą Altisidorę, zobaczył najczcigodniejszą ochmistrzynię, którą od stóp do głowy okrywały jakby płaszczem

Don Kichote - Miguel Cervantez

długie plisowane skrzydła białego czepca. W palcach lewej ręki trzymała ułomek zapalonej świeczki, a prawą osłaniała oczy zakryte wielkimi okularami, aby je nie raziło światło. Szła, drobno stąpając, cichutkimi krokami.

Don Kichote spoglądał na nią ze swej czatowni i kiedy zauważał jej strój i jej milczenie, pomyślał, że to jakaś czarownica lub wróżka zbliża się, aby mu niegodziwość spłatać, i jał się pośpiesznie żegnać. Zjawa zbliżała się i kiedy doszła do połowy izby, podniosła oczy i ujrzała, z jaką skwapliwością żegnała się Don Kichote; a jeśli on był zaniepokojony, widząc taką postać, ona przeraziła się, ujrzawszy jego; bo kiedy widziała go tak wysokiego i tak żółtego, w kołdrze i z plastrami, które go szpeciły, zawała wielkim głosem:

- Jezu! A cóż ja widzę?

A przy tym wstrząsie wypadła jej świeczka z rąk; widząc się w ciemności, zawróciła, chcąc wyjść, w strachu zaplątała się w fałdach swej sukni i padła jak długa na ziemię. Don Kichote przelęknięty zaczął mówić:

- Zaklinam cię, zjavo lub czymkolwiek bądź jesteś, powiedz, czego żądaszode mnie? Jeśli dusza pokutująca, powiedz mi; uczynię dla cię wszystko, na co sił zdobędę, jestem bowiem katolikiem i chrześcijaninem i gotów dobrze czynić wszystkim na świecie; dlatego też podjąłem zakon błędnego rycerstwa, jaki sprawuję, bowiem jego powołanie rozciąga się także na ratowanie dusz czyściowych. Zgnębiona ochmistrzyni, usłyszawszy te zaklęcia, jakie w swej trwodze gromadził Don Kichote, głosem żałosnym i niskim odpowiedziała:

- Panie Don Kichocie (o ile wasza miłość jesteś Don Kichotem), nie jestem zjawą, widziałbym ani duszą czyściową, jak wasza miłość musiałeś sądzić, ale Doną Rodriguez, honorową ochmistrzynią mej pani księżnej, i przychodzę do waszej miłości w takiej potrzebie, jakiej jedynie wasza miłość pomagać zwykłeś. - Powiedziecie mi, pani Donio Rodriguez - rzekł Don Kichote - czy aby nie przychodzicie tu, wasza miłość, w jakimś pośrednictwie? Bo muszę was uprzedzić, że nikt ze mnie pożytku mieć nie będzie dzięki nieporównanej gładkości pani mej, Dulcynei z Toboso. Powiadam to, bo jeśli wasza miłość zaniecha wszelkiego posel-

593

stwa miłosnego, możecie zapalić świecę i powrócić tu, a rozważymy wszystko, co byście chcieli, z wyjątkiem, jak rzekł, wszelkich uwodnych umizgów. - Ja pośredniczką? Panie mój! - zawała ochmistrzyni. - Jak źle mię zna wasza miłość! Nie jestem jeszcze w tak podeszłym wieku, abym się takimi dzieciństwami zajmować

Don Kichote - Miguel Cervantez

miała, bowiem, dzięki Bogu, mam jeszcze duszę w ciele i wszystkie zęby przednie i trzonowe, z wyjątkiem kilku, które straciłam z powodu fluksji tak częstych w tej aragońskiej ziemi. Ale poczekajcie, wasza miłość, wyjdę zapalić świecę i natychmiast powróczę opowiedzieć me troski, jako temu, który leczy wszystkie, jakie są na świecie.

I nie czekając odpowiedzi, wyszła z komnaty, w której pozostał Don Kichote uspokojony i zamyślony, czekając na nią; niebawem atoli napadło go tysiąc wątpliwości co do tej nowej przygody i zdawało mu się, że źle postąpił i jeszcze gorzej wymyślił, wystawiając się na niebezpieczeństwo złamania ślubowanej wiary swej pani, więc mówił sam do siebie:

- Kto wie, czy diabeł, który jest zmyślny i zręczny, nie chce mię do grzechuprzywieść z tą ochmistrzynią, czego nie dokazał przez cesarzowe, królowe, księżne, markizy i hrabiny. Słyszałem nieraz od wielu mędrców, że raczej skusi was przez

perkatą niż orlonosą. Kto wie, czy ta samotność, ta sposobność i ta cisza nie obudzą moich śpiących żądz i sprawią, że u kresu mych lat upadnę, gdzie się dotąd nawet nigdy nie potknąłem? W takich wypadkach raczej uciekać, niż czekać starcia. Ale chyba nie, w głowie mi się pomieszało, jeśli o takich głupstwach myślę i mówię; niepodobna, aby ochmistrzyni w białym czepcu, okazała, w okularach, mogła poruszyć i obudzić lubieżne uczucia w najbardziej bezwstydnym sercu na świecie; czyż

bowiem zdarzają się ochmistrzynie z pięknym ciałem? Czy przypadkiem na całej ziemi zdarzy się ochmistrzyni, która by nie była natrętna, pomarszczona i nieugodna? Precz więc, zgrajo ochmistrzynska, niezdatna do żadnej ludzkiej rozkoszy! O, jak słusznie postąpiła owa dama, która po obu krańcach swego podium miała dwie sztuczne postacie ochmistrzyni w okularach i z poduszczkami, jakby robiły robótki, i równie dobrze te figury zdobiły salę, jak i prawdziwe ochmistrzynie. To rzekłszy, wyskoczył z łóżka, chcąc zamknąć drzwi i nie wpuścić Doni Rodriguez; ale kiedy już miał to uczynić, pani Rodriguez wróciła, z zapaloną świecą z białego wosku, i gdy spostrzegła Don Kichota tak blisko, zawiniętego w kołdrę, z plastrami, śpioszką czy mycką na głowie, przeraziła się znowu i cofnęła coś o dwa kroki, mówiąc:

- Czy nic mnie nieagraża, panie rycerzu? Uważam za zły znak, że waszamiłość pan powstaliście z łożą.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- O to samo i ja pytam, pani - odpowiedział Don Kichote - i teraz pytam, czymogę być pewny, iż nie zostanę napadnięty i zgwałcony? - Od kogo i dla kogo żądacie, panie rycerzu, tego upewnienia? - zapytała ochmistrzyni.
- Od was i dla was - odpowiedział Don Kichote - bowiem ani ja nie jestem z marmuru, ani wy z brązu, ani teraz nie jest dziesiąta rano, ale północ, i nawet nie-

co później, jak mi się wydaje, otośmy w komnacie zamkniętej i sekretnej bardziej niż owa jaskinia, gdzie zdrajca zuchwały, Eneasza, posiadł piękną i pobożną Dydo-

594

nę. Ale dajcie mi, pani, rękę; nie chcę lepszej rękojmi niżli moja wstrzemięźliwość i obyczajność oraz ta, jaką przedstawiają te czcigodne czepce.

To powiedziawszy, ucałował swą prawą rękę' i wyciągnął ją do ochmistrzyni, która mu swoją z podobnymi ceregielami podała.

Tu Sidi Hamet otwiera nawias i mówi:

Na Mahometa! Aby widzieć tych dwoje kroczących tak ręka w rękę od drzwi do łóżka, dałbym najlepszy z dwóch burnusów, jakie posiadam.

Położył się w końcu Don Kichote do łóżka, a Doña Rodriguez zasiadła na krześle, nieco odsuniętym od łóżka, nie odkładając ani okularów, ani świecy.

Don Kichote owinął się i zakrył cały z wyjątkiem oblicza i kiedy oboje się uspokoili, pierwszy przełamał milczenie Don Kichote, mówiąc: - Możecie teraz, pani moja, Doña Rodriguez, rozpruć się i wylać wszystko, co zawiada wasze stroskane serce i żałosliwe wnętrznosci; wysłucham was cnotliwymi uszysma i wspomogę pobożnymi czynami.

- Liczę na to - odpowiedziała ochmistrzyni - po wdzięcznym i miłym wyglądzie waszej miłości można się jedynie tak chrześcijańskiej odpowiedzi spodziewać.

Powiem dalej, panie Don Kichocie, że choć waszmość widzi mię siedzącą na tym krześle w samym środku królestwa Aragonii i w szatach ochmistrzyni pogardzanej i służebnej, pochodzę z Asturii, z Oviedo, z rodziny spokrewnionej z licznymi najlepszymi rodami tej prowincji; ale nieszczęsny mój los i niedbalstwo rodziców moich, którzy wcześniej zubożeli, nie wiedząc jak ani dlaczego, zawiódły mię do stolicy, do Madrytu, gdzie dla swego spokoju i aby uniknąć innych większych niepowodzeń, rodzice moi umieścili mię jako hafciarkę u pewnej znakomitej damy; chcę, abyście, wasza miłość, wiedzieli, że jako obrębiarkę i bieliźniarkę nikt mię w ca-

Don Kichote - Miguel Cervantez

łym mym życiu nie prześcignął. Rodzice moi pozostawili mię na służbie i powrócili do swej posiadłości, a stamtąd w lat niewiele poszli do nieba jako dobrzy i katoliccy chrześciijanie. Zostałam sierotą, ograniczona do nędznej płacy i do skąpych świadczeń, jakie takim służebnym zwykle przyznają w pałacu. W tym czasie, bez żadnej zachęty z mej strony, zakochał się we mnie pewien giermek tego dworu, człek w latach dostały, brodaty i poważnej postaci, a przede wszystkim szlachcic jak sam

król, bo z góra pochodził. Nie zdołaliśmy tak kryć naszej miłości, aby księżna się o niej nie dowiedziała; ta, aby zapobiec plotkom, pożeniła nas prawnie i wobec świętej matki Kościoła rzymkokatolickiego, a z małżeństwa tego zrodziła się córka, aby

memu szczęściu kres położyć, o ile się jakimś cieszyłam, nie dlatego, bym zmarła przy połogu, który był łatwy i w czas, ale niebawem umarł mój mąż z powodu przestrachu, jakiego doznał, o czym, gdy będę miała czas, opowiem ku zdziwieniu waszmość pana. I zaczęła rzewnie płakać, a potem rzekła:

- Przebaczcie mi, waszmość panie Don Kichocie; ale nie w mojej mocy się powstrzymać, ilekroć przypomnę sobie mego nieszczęsnika, łzy mi to z oczu wyrywa. Na miły Bóg! Z jaką godnością woził on panią moją na łuku potężnej mulicy, czarnej jak onyks! Wówczas bowiem nie używano karoc ni lektyk, jakie teraz, jak Na znak, że dotrzyna danego słowa.

595

mówią, są w użyciu, i damy jeździły, siedząc na łękach z tyłu za giermkami. Tego przynajmniej nie mogę pominąć w opowiadaniu, bo okazuje to całą służbistość i dokładność mego zacnego męża. Pewnego dnia u wjazdu w bardzo ciasną uliczkę św. Jakuba w Madrycie spotkał wyjeżdżającego z niej alkada stołecznego z dwoma strażnikami na przedzie, skoro go dobry giermek spostrzegł, ściągnął wodze mulicy, jakby chciał zatrzymać, aby mu towarzyszyć. Moja pani, jadąca na łuku, rzekła doń po cichu: "Co czynisz, niebaczny? Zali nie widzisz, że ja tutaj jadę?". Alkad z grzeczności ściągnął wodze konia, mówiąc: "Jedźcie, panie, waszą drogą, to ja winienem towarzyszyć pani Doni Kasyldzie" (bo takie było imię mojej pani). Atoli mąż mój z czapką w ręku upierał się towarzyszyć alkadowi, co widząc moja pani pełna złości i gniewu wyciągnęła z futerału wielką grubą szpilę, a raczej kolec, i wbiła mu w krzyże, mąż mój krzyknął głośno i zwinął się na siodle, tak że spadł na

Don Kichote - Miguel Cervantez

ziemię on i moja pani. Pośpieszyli jej dwaj hajdacy, aby ją podnieść, a także alkad i jego strażnicy; powstało zbiegowisko przy bramie Guadalajara, bo zbiegli się wszyscy włóczędy tam wystający; pani moja wróciła pieszo, a mąż mój dowlókł się do kramu cyrulika, mówiąc, że ma wnętrzności na wskroś przebite. Wieść o dwor-

ności mego męża tak się rozniosła, że ulicznicy biegali za nim po mieście, i z tej przyczyny oraz dlatego, że miał nieco krótki wzrok, pani moja odprawiła go, czym tak się zmartwił, że bez ochyby było to powodem jego śmiertelnej choroby. Zostałam wdową, bez środków do życia i z córką, która rosła w gładkości jako piana morska.

W końcu, ponieważ słynęłam jako doskonała pracownica, księżna pani, która właśnie była poślubiła księcia pana, raczyła mię zabrać z sobą tutaj, do królestwa Aragonii, a także i moją córkę pospołu; tu dni szły i mijały, a córka moja rosła, a wraz z nią wszystkie wdzięki świata: śpiewa jak skowronek, tańczy jak myśl, hasa jak szalonka, czyta i pisze jak bakałarz, a rachuje jak skapiec. O jej schludności nic nie

powiem, jest bowiem czystsza niżli woda w strumieniu, a powinna mieć teraz, o ile dobrze pamiętam, szesnaście lat pięć miesięcy i trzy dni mniej więcej. Otóż w córce mojej zakochał się syn pewnego bardzo bogatego rolnika z jednej wsi należącej do księcia pana, niedaleko stąd. Zaiste, nie umiem rzec, jak i kiedy zaszli z sobą w zażyłość; on, przyrzekając, że się z nią ożeni, uwiódł mą córkę, a teraz nie chce

słowa dotrzymać, i chociaż książę pan wie o tym, bowiem nie raz i nie dwa żaliłam się przed nim i prosiłam, aby nakazał temu rolnikowi ożenić się z moją córką, on udaje, że nie słyszy, i ledwie godzi się mnie wysłuchać. Przyczyna w tym leży, że ojciec uwodziciela jest bardzo bogaty i nieraz pożyczca mu pieniądze i poręcza za jego długi, więc w żaden sposób nie chce go sobie narazić ani mu iść na przekór. Pragnęłabym przeto, panie mój, abyś, wasza miłość, zechciał wziąć na siebie naprawienie tej krzywdy, czy to prośbą, czy mieczem, bo cały świat mówi, że wasza miłość narodziłeś się, aby dochodzić krzywd, naprawiać błędy i pomagać nieszczęśliwym. Stawcie sobie przed oczy, waszmość, sierocie mojej córki, jej wdzięk, jej

młodość z wszystkimi zaletami, jakie wymieniłam, bo na Boga i na me sumienie klnę się, że wśród licznych miodek na dworze księżnej nie ma żadnej, która by po-

deszwę jej trzewiczka sięgała, a ta jedna, którą zwą Altisidora i uważają za najzgrabniejszą i

Don Kichote - Miguel Cervantez

najurodziwszą, jeśli ją z moją córką porównać, i na dwie mile pozostaje w tyle. Chciałabym bowiem, abyś wasza miłość wiedział, że nie wszystko złoto, co

596 się świeci; ta Altisidora ma więcej próżności

niż, urody i więcej lekkości niż skrom-

ności, a do tego nie jest zdrowa, ma bowiem tak cuchnący oddech, że i chwilę nie można wytrzymać w pobliżu; a nawet i księżna pani... ale wolę zamilczeć, bo jak zwykło się mówić, ściany mają uszy.

- A cóż ma księżna pani, na mą duszę, powiedziecie, pani Dono Rodriguez? zapytał Don Kichote.
- Na takie zaklęcie - odpowiedziała ochmistrzyni - nie mogę odmówić rzetelnej odpowiedzi na to pytanie. Widzieliście, panie Don Kichocie, piękność mojej pani

księżnej, tę płeć jej twarzy, która błyszczy jak szpada dobrze naostrzona i wypolerowana, te jej dwa policzki jak mleko z karminem; jakby na jednym nosiła słońce, a na drugim miesiąc, jej wyniosłą postawę, kiedy ziemię pogardliwie depce, zdawałoby się, że gdziekolwiek stąpi, zdrowie rozsiewa? Tedy dowiedziecie się, wasza miłość, że zawdzięcza to przede wszystkim Bogu, a następnie ciekącym otworom, jakie ma na obu nogach, przez które wylewają się skażone humory, jakich wedle zdania medyków jest pełna. - Święta Panno! - zwołał Don Kichote. - Zali to możliwe, aby księżna panimiała takie wycieki? Nie uwierzyłbym w to, choćby mi wmaiali braciszki bosi; ale jeśli Dona Rodriguez powiada, musi tak być. Jeno otwory w takich miejscach muszą wydzielać raczej ambrę płynną niż złe humory. Zaiste, uwierzyć jestem gotów, że takie wycieki muszą być bardzo pozyteczne dla zdrowia.

Zaledwie Don Kichote wypowiedział te słowa, gdy nagły rzutem otwarły się drzwi komnaty i na ten łoskot Doni Rodriguez wypadła świeca z ręki, a komnata pograżyła się w ciemności, jakby w wilczej paszczy, jak się to mówi. Równocześnie nieszczęsna ochmistrzyni odczuła, że ktoś ją chwyta za gardło dwoma rękoma tak silnie, że odetchnąć nie mogła, zaś druga osoba z niezwykłą szybkością i bez słowa zadziera jej fałdy sukni i pantoflem, jak się zdało, zaczyna ją tak smagać, że aż litość brała; ale choć Don Kichote współczuł, nie ruszał się z łóża, nie wiedząc, co to takiego, i leżał cicho i bez ruchu z obawy, aby i na niego

Don Kichote - Miguel Cervantez

nie zwaliła się taka burza razów. I strach ten nie był próżny: bowiem milczący kaci (porzuciwszy zmłó-

coną ochmistrzynię, która i skarzyć się nie odważyła) zaatakowali Don Kichota i odrzuciwszy zeń prześcieradło i kołdę, wyszczypali go tak gęsto i tak mocno, że

musiał się bronić kułakami, a to wszystko w przedziwnej ciszy. To zmaganie trwało niemal pół godziny; po czym widziadła znikły, Dona Rodriguez pozbierała fałdy sukni i jęcząc nad swym nieszczęściem odeszła precz, nie wypowiedziawszy słowa do Don Kichota, który obolały i wyszczypyany, zmieszany i zamyslony pozostał sam. I tam go zostawimy, ciekawi, kim był ów przewrotny czarnoksiążnik, co go tak oporządził, ale o tym powiemy w swoim czasie, woła nas bowiem Sanczo Pansa i żąda od nas tego dobry porządek opowiadania. 597

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

co przytrafiło się Sanczo Pansie w czasie rontuł dookoła wyspy Zostawiliśmy wielkiego gubernatora w gniewie i złości przeciw rolnikowi koloryście i oszustowi, który pouczony przez marszałka, zaś marszałek przez księcia, prześmiewali się z Sancza; aliści ten potrafił im stawić czoło, choć głupi, nie- okrzesany i prostak, i odezwał się do obecnych i do doktora Piotra Recio, który powrócił do sali po przeczytaniu tajnego listu księcia:

- Teraz zaiste rozumiem, że sędziowie i wielkorządcy muszą być albo powinni być z brązu, aby nie przejmować się głupstwami natrętów, którzy o każdej godzinie i o każdej porze chcą, by ich wysłuchać i załatwić, całkowicie pograżeni w swej sprawie, cokolwiek by stać się miało; a jeżeli nieszczęsny sędzia ich nie wysłucha i nie załatwia, czy to nie będąc w możliwości, czy że

pora nie jest do przesłuchań od-

powiednia, zaraz go przeklinają, szemrają, dogryzają mu do kości i rodzinę mu poniewierają. Natrętniku głupi, natrętniku półgłówku, nie śpiesz się tak, czekaj pory stosownej i sposobności, aby przedłożyć sprawę, nie nachodź w godzinach obiadu ani w godzinach snu; wszak sędziowie też są z krwi i kości i muszą oddawać naturze, czego ona od nich z przyrodzenia wymaga, krom mnie, który swojemu ciału dowolnie pożywić się nie daję dzięki panu doktorowi Piotrowi Recio Tirteafuera tu przytomnemu, który chciałby mię zamorzyć głodem i twierdzi, że taka śmierć to życie. Oby Bóg taką zdarzył jemu i wszystkim z jego plemienia - to znaczy złym medykom, bowiem dobrzy zasługują na palmy i wawrzyny.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Wszyscy, którzy znali Sanczo Pansę, dziwowali się, słysząc, jak wytwornie się wyróżał, i nie wiedzieli, czemu innemu by to przypisać, jak tylko, że urzędy i godności poważne bądź doskonalą, bądź przytępiają umysły. W końcu doktor Piotr Recio Aguero de Tirteafuera obiecał, że mu tego wieczoru wieczerzać pozwoli, choćby wbrew wszystkim aforyzmom Hipokratesa. Ta obietnica uradowała wielkorządczę i jał z wielką niecierpliwością oczekując wieczoru i godziny posiłku; zdawało mu się, jakoby czas stał w miejscu, nie ruszając się z goła, a wreszcie nadeszła tak dlań upragniona chwila i podano mu sałatkę z siekanej wołowiny z cebulą i kilka smażonych nóżek cielęcych z nieco starszego bydlęcia. Rzucił się na to z większą ochotą,

niż gdyby mu podali jarząbki mediolańskie, bażanty rzymskie, cielęta sorenckie, przepiórki morońskie czy gęsi z Lavajos; wieczerzając zaś, zwrócił się do doktora ze słowami:

- Patrzcie, panie doktorze, odtąd nie troszczycie się o podawanie mi potraw wyszukanych ani dań wytwornych, wyważyłyby one z zawiasów mój żołądek przyzwyczajony do koziny, wołowiny, do słoniny, wędzonki, rzepy i cebuli, a gdyby mu dano inne jedzenie pałacowe, przyjąłby je z grymasami, a niekiedy ze wstrętem. Jeśli mistrz ceremonii chce mi zrobić przyjemność, to niech mi przyniesie to, co nazywamy "gniluchami", im bardziej są przygnile, tym lepiej mi pachną, a może r o n t - patrol wojskowy, obchód terenu.

598

tam wrzucić i wepchnąć, cokolwiek by chciał, byleby to było jadalne, będę mu wdzięczny i odpłacię mu kiedyś za to; ale niech nikt ze mnie nie drwi, bo albo jeste-

śmy, albo nas nie ma; żyjmy wszyscy, jedzmy w pokoju i zgodzie. Bo kiedy Bóg dzień daje, dla wszystkich on wstaje. Władać będę tą wyspą sprawiedliwie i bez niczyjej krzywdy, a każdy niech ma czujne oko i swego pilnuje, bo powiadam wam, że tu diabeł wszedł w taniec i jeśli sposobność się nadarzy, obaczcie cuda. A nie, to stańcie się miodem, a zjadą was muchy.

- Zaiste, panie wielkorządco - rzekł mistrz ceremonii - wasza miłość ma racjewe wszystkim, co mówi, a ja w imieniu wszystkich mieszkańców wyspy oświadczam, że będziemy służyć waszej miłości z całą dokładnością, miłością i dobrą wolą, bowiem łagodny sposób rządzenia podjęty przez was od początku jest rękojmią, że nie uczynią oni ani nie pomyślą niczego, co by się na szkodę waszej miłości obrócić mogło.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Chętnie w to wierzę - odpowiedział Sanczo - i byliby głupcami, gdyby inaczej postępowali lub myśleli. Jeszcze raz powtarzam, niech dbają o mnie i o mego siwka, to jest sprawa najważniejsza i bardzo mi na tym zależy, a kiedy sposobna pora nadejdzie, udamy się na obchód wyspy; mam zamiar oczyścić tę wyspę z wszelkiego rodzaju plugastwa: z włóczęgów, nierobów i sowizdrzałów; chcę bowiem, abyście wiedzieli, przyjaciele, że obieżyświaty i bezrobotni są w państwie jako trutnie w ulach, zjadają miód, jaki pracowite pszczoły wyrabiają. Myślę popierać rolników, szlachcie jej przywileje zachować, nagradzać cnotliwych, a ponad wszystko szanować religię i godność duchownych. Cóż o tym myślicie, przyjaciele? Czy mówię do rzeczy, czy darmo sobie głowę łamię?

Wasza miłość, panie wielkorządco, mówi tak - rzekł marszałek - iż zdumiewamy się, jak człowiek bez wykształcenia jak wasza miłość, który jak sądzę, nie posiadasz żadnego, może wypowiadać takie i tyle rzeczy pełnych sentencji i mądrych myśli, dalekich od tego, czego się po jego umyśle spodziewali ci, którzy nas tu przysłali, oraz my wszyscy, którzyśmy tu przybyli. Codziennie coś nowego oglądamy na świecie: krotochwile zamieniają się w prawdę, a kpiarze zostają wykpieni.

Zapadła noc, wielkorządca powieczerała za pozwoleniem doktora Recio. Przygotowano się do rontu; Sanczo wyszedł z marszałkiem, sekretarzem, mistrzem ceremonii i kronikarzem, który obowiązany był zapisywać dla pamięci jego czyny, ze strażnikami i pisarzami sądowymi, a było ich tylu, że mogli tworzyć niezły hufiec. Sanczo kroczył pośrodku ze swą laską, warto go było widzieć. Zaledwie przeszli kilka ulic miasta, kiedy dobiegł do nich szczęk oręża; pośpieszyli na miejsce i zastali dwóch ludzi walczących, ci, ujrzawszy zbliżającą się zwierzchność, zaprzestali walki i jeden z nich rzekł:

- W imię Boga i króla! Jak to możliwe i jak ścierpieć można, aby w samym środku miasta rabowano i napadano na ulicy?
- Uspokójcie się, zacny człowiek - rzekł Sanczo - i opowiedzcie przyczynę tej zwady; jestem bowiem wielkorządca.

Drugi przeciwnik się odezwał:

- Panie wielkorządco, powiem wam wszystko pokrótkę. Wasza miłość dowiesię, że ten gagatek wygrał właśnie w tym domu gry tu naprzeciw ponad tysiąc realów, a Bóg wie jakim sposobem; byłem tam obecny i rozsądziłem na jego korzyść

Don Kichote - Miguel Cervantez

niejeden rzut wątpliwy, choć przeciw temu, co mi dyktowało sumienie; wyszedł z wygraną i kiedy spodziewałem się, że da mi przynajmniej talara napiwku, jak to jest w zwyczaju wobec ludzi tak ważnych jak ja, którzy grze towarzyszą, aby rozez-

nać dobre czy złe rzuty, aby przeszkodzić nierozwadze i łagodzić spory, on pieniadze schował do mieszka i dom opuścił. Żywo pobiegłem za nim, grzecznymi, dwornymi słowy poprosiłem, aby mi dał choć osiem realów, jako wie, że jestem człowiekiem honoru, że nie posiadam urzędu ni dochodu, bowiem rodzice moi ani mi go nie zostawili, ani mię do tego nie przyuczyli; ten oszust, któremu ani łyk Kakus, ani

szelma Andradilla nie dorówna, nie chce mi dać więcej niż cztery reale. Zważcie, panie wielkorządco, jak mało ma wstydu i sumienia! Ale klnę się na mą wiare, że gdybyście, wasza miłość, nie nadeszli, zmusiłbym go do wyplucia tej wygranej i nauczył dawać dobrą miarę. – I cóż wy na to? - zapytał Sanczo.

Tamten odpowiedział, że prawdą było, co jego przeciwnik mówił, a nie chciał mu dać więcej niż cztery reale, bowiem nieraz mu już dawał pieniadze; ci zaś, którzy wyglądają napiwku, powinni być układni i z wesołą miną brać, co im się daje, nie targując się z wygrywającymi, o ile nie są pewni, że są to szachraje i że ich

wygrana jest nieprawnie zdobyta; a na dowód, że jest człowiekiem uczciwym, a nie oszustom, jak tamten twierdził, nie chciał mu nic dać, bo tylko szachraje muszą się odpłacać podglądacjom, którzy ich znają.

- Iście prawda - rzekł marszałek.
- Rozważcie teraz, panie wielkorządco, co waszej miłości z owymi ludźmiuczynić wypada.
- Co z nimi uczynić? - odpowiedział Sanczo. - Wy, którzyście wygrali uczciwie czy nieuczciwie, to obojętne, dajcie natychmiast swemu przeciwnikowi sto realów i prócz tego musicie wypłacić trzydzięści na ubogich więźniów; a wy, którzy nie macie urzędu ni prebendy i bezczynnie włóczęcie się po tej wyspie, zabierajcie zaraz tych sto realów i w ciągu jutrzyszego dnia opuśćcie tę wyspę jako banita na lat dziesięć, a gdybyście zakaz ten przestąpili, kary dopełnicie w przyszłym życiu, bo powieszę was, a raczej kat za moim rozkazem, na szubienicy, i niech żaden się nie sprzeciwia, bo poczuje moją rękę.

Jeden wypłacił pieniadze, drugi je wziął, ten opuścił wyspę, ów wrócił do domu, a wielkorządca pozostał, mówiąc: - A teraz albo nie mam

Don Kichote - Miguel Cervantez

dostatecznej władzy, albo zamknę owe domy gry, botak mi się wydaje, są one nader szkodliwe.

- Tego przynajmniej - rzekł jeden z pisarzy - nie będziesz mógł, wasza miłości, zamknąć, należy bowiem do osobistości, która bez porównania więcej traci rocznie, aniżeli z owych kart ma zysku. Wasza miłość będziesz mógł okazać swoją władzę wobec innych spelunek niższego rzędu, które najwięcej szkody wyrządzają i najwięcej nieprawości kryją, bo w domach znakomitych dostojeników i panów nie ośmielają się słynni szulerzy używać swoich sztuczek, a jako nałóg gry stał się nie-stety powszechnym, lepiej niech gra się odbywa w domach wielkich panów aniżeli w domu jakiegoś człeka podłej kondycji, gdzie zwabią nieszczęśnika i od północy do rana żywcem go ze skóry obłupią. 600

- Wiem, pisarzu, że o tym można by wiele powiedzieć - rzekł Sanczo.

Wtem zbliżył się strażnik, ciągnąc za sobą młodego chłopaka, i rzekł: - Panie wielkorządco, ten młodzieniec szedł nam naprzeciw, ale skoro spostrzegł straż, zawrócił i zaczął uciekać jak daniel, znak, że musi to być jakowyś złoczyńca; jałem go ścigać i gdyby nie był się potknął i upadł, nigdy bym go nie dosięgnął.

- Dlaczego uciekałeś, człowieku? - zapytał go Sanczo.
- Panie, aby uniknąć niezliczonych pytań, jakie strażnicy stawiają.
- Czym się zajmujesz? - Jestem tkaczem.
- A co tkasz?
- Ostrza dzid, za pozwoleniem waszej miłości.
- Żartowniś z ciebie! Błaznajesz mi w oczy? To dobrze! A gdzież to szedłeś teraz?
- Panie, świeżego powietrza zażyć.
- A gdzież to zażywa się tego powietrza na tej wyspie? - Tam, gdzie wieje.
- Dobrze. Odpowiadacie wcale trafnie! Mądrala z was, chłopcze; tedy wystawcie sobie, że jestem powietrzem, że wam wieję w zadek i pędzę was wprost do więzienia. Pojmać go i odprowadzić! Już to sprawię, że tej nocy spać będzie bez powietrza!
- Na Boga! - zawała chłopak. - Tak dokaże tego wasza miłość, abym spał w więzieniu, jak uczyni mię królem.
- No, a czemuż to nie zmuszę cię do spania w więzieniu - zapytał Sanczo - zalinie mam władzy, aby cię pojmać i wypuszczać tylekroć, ile by mi się podobało? -

Don Kichote - Miguel Cervantez

Gdybyście, wasza miłość, mieli największą władzę - rzekł chłopak - nie wystarczy ona, aby mię w więzieniu spać przymusić.

- Jak to nie? - odparł Sanczo. - Zabierzcie go natychmiast, aby na własne oczybłąd swój poznał, chociażby strażnik chciał nie wiem jak okazać względem niego swą przekupną wspaniałomyślność. Nałożę nań karę dwóch tysięcy dukatów, jeśli ci na krok z więzienia ruszyć się pozwoli.
- To wszystko śmiechu warte - odpowiedział chłopak - prawdę jest, że pókiżyję, nie zmusi mię nikt, abym spał w więzieniu.
- Powiedz mi, diable jakiś - rzekł Sanczo - masz-li jakiegoś anioła, który cięwyrwie i wyswobodzi z kajdan, jakie ci nałożyć każe?
- Teraz, panie wielkorządco - odrzekł chłopak bardzo wdzięcznie - mówmyrozsądnie i przejdźmy do rzeczy. Przyjmijmy, że wasza miłość wtraci mię do więzienia i wsadzi mię w kajdany i dyby, że mię wrzuci do lochu i nałoży srogie kary na strażnika, o ile by mi wyjść pozwolił, i że on rozkaz wypełni; z tym wszystkim, jeżeli nie zechcę zasnąć, to i przez całą noc czuwać będę, nie zmrużając powiek, czyż całej władzy waszej miłości starczy, aby mię do spania przymusić, jeśli ja nie zechcę?
- Nie, zaiste - rzekł sekretarz - ten człowiek postawił na swoim.⁶⁰¹
- Przeto - rzekł Sanczo - nie pozwolicie sobie zasnąć jedynie dlatego, aby wedlesowej woli postąpić, a nie, ażeby mojej się sprzeciwić?
- Nie, panie - rzekł chłopak - ani mi to przez myśl nie przeszło.- Tedy idźcie z Bogiem - rzekł Sanczo -- wyspać się. w domu i niechaj Bóg wam dobry sen zdarzy, ja go was pozbawiać nie myślę; ale radzę wam, byście odtąd nie stroili żartów ze sprawiedliwości, bo zdarzyć się może, że spotkacie taką, która wam żartami łem rozbije.

Chłopak oddalił się, a wielkorządca dalej ront odbywał i niebawem ujrzał dwóch strażników prowadzących pojmanego człowieka; ci rzekli:

- Panie wielkorządco, ten, choć wydaje się mężczyzną, nie jest nim, jeno białogłową, i to nieszpetną, przebraną w męskie suknie. Przybliżyli mu do oczu dwie czy trzy latarnie, w świetle których ujrzano oblicze kobiety lat około szesnastu albo mało co więcej, włosy miała w pętliku ze złotych nici i zielonego jedwabiu, a piękna była jakby tysiąc perel. Oglądały ją od stóp do głowy; miała pończochy z czerwonego jedwabiu, z podwiązkami z białej tafty, z frędzlą ze złota i drobniutkich perelków; pluderki były zielone, przetykane złotem,

Don Kichote - Miguel Cervantez

a pod kubrakiem, czyli kontusikiem, z tej samej materii, wolno puszczyonym, miała żupanik z najcieńszej białożłotej tkaniny, trzewiki były białe, męskie; nie miała szpady, jeno bardzo bogaty sztylet, a na palcach liczne i bardzo zacne pierścienie. Jednym słowem, dziewczynka podobała się wszystkim, ale nikt z obecnych jej nie znał, a mieszkańcy miasta mówili, że nie zgadują, kto by to mógł być, zaś najbardziej zdziwieni byli współuczestnicy krotochwili, jaką Sanczowi urządzono, zdarzenie to i traf nie były bowiem przez nich obmyślone i trwali w niepewności, co z tego wyniknie. Sanczo, odurzony pięknością dziewczynki, zapytał, kim była, dokąd szła i jaka konieczność skłoniła ją do przywdziania tych szat. Ona, spuściwszy oczy w przystojnym zawstydzieniu, odpowiedziała:

- Nie mogę, panie, tak wobec wszystkich mówić o tym, co rada bym najbardziej w tajemnicy zachować; jeno chcę, abyście wiedzieli: nie jestem złoczyńcą ani osobą bez czci, jeno panienką nieszczęśliwą, którą moc zazdrości przywiodła do przełamania wstydliwości, jakiej uczciwość wymaga.

Usłyszawszy to, marszałek rzekł do Sancza:

- Każcie, panie wielkorządco, oddalić się ludziom, aby ta pani najswobodniej mogła mówić, co zechce.

Na rozkaz wielkorządcy usunęli się wszyscy z wyjątkiem marszałka, mistrza ceremonii i sekretarza. Kiedy sami pozostali, panienka tak mówić zaczęła: - Ja, panowie, jestem córką Piotra Pereza Mazorca, dzierżawcy wełny w tym mieście, który często odwiedza dom mojego rodzica.

- Pani, to nie trzyma się razem - rzekł marszałek - znam bowiem dobrze Piotra Pereza i wiem, że nie ma on żadnego dziecka, ani syna, ani córki; a tym bardziej kiedy mówicie, że to wasz ojciec, i dodajecie zaraz, iż zwykły odwiedzać dom waszego rodzica.

- Już i ja na to wpadłem - rzekł Sanczo.

- Jestem, panowie, teraz tak zmieszana, że sama nie wiem, co mówię - odpowiedziała panienka-prawdę bowiem jest, że jestem córką Diega de la Liana, którego waszmościowie znać musicie. 602

- To już zbliża się do prawdy - odpowiedział marszałek - znam bowiem Diega de la Liana, wiem, że jest to szlachcic znakomity i bogaty, że ma syna i córkę i że od czasu gdy dowdowiął, nikt z tego miasta nie może rzec, że oglądał oblicze jego córki; trzyma ją w takim zamknięciu, że nawet i słońce tam sienie wstępnie, a mimo to słuchy chodzą, że jest przedziwnie urodziwa.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- To prawda - odpowiedziała panienka - a tą córką jestem ja. Czy sława mejurody kłamie, czy nie, samiście się waszmościowie z rozczarowaniem przekonać mogli, kiedy mię oglądacie.

To rzeklszy, rzewnie płakać zaczęła, co widząc, sekretarz pochylił się do ucha mistrza ceremonii i szepnął:

- Bez ochyby musiało się coś poważnego przytrafić tej biednej panience, jeśli takim stroju i o takiej godzinie osoba tak znamienita dom opuściła. - Nie można wątpić o tym - odpowiedział mistrz ceremonii - tym bardziej że jej łzy potwierdzają to przypuszczenie. Sanczo pocieszał ją najlepszymi słowy, jak umiał, i prosił, aby bez obawy żadnej powiedziała, co jej się przydarzyło; a wszyscy starać się będą zaradzić temu jak

najżywiej i wszelkimi możliwymi sposobami.

- Oto moja sprawa, panowie - odpowiedziała - odkąd matkę moją pochowano, ubiegło dziesięć lat i ojciec mój przez cały ten czas trzymał mię w zamknięciu.

W domu odprawia się mszę świętą w bogatym oratorium, ja przez cały ten czas w dzień oglądałam tylko słońce na niebie, a w nocy księżyc i gwiazdy. Nie wiem, co to ulice, place ni świątynie, nie znam żadnego człowieka poza mym ojcem i bra- tem oraz Piotrem Perezem, dzierżawcą, który często nasz dom odwiedza, i dlatego nazwałam go mym ojcem, nie chcąc nazwiska mojego wyjawiać. To zamknięcie i zakaz wychodzenia z domu, choćby do kościoła, ciążyły mi niepomiernie od wielu dni i miesięcy; pragnęłam zobaczyć świat, a przynajmniej miasto, gdzie się urodziłam, i zdawało mi się, że pragnienie to nie idzie na wspan przystojności, jaką dziewczyny znakomitych rodów sobie samym są powinne. Kiedy usłyszałam, że odbywają się walki byków i karuzele, że odgrywane są komedie,

wypytywałam mego brata, który jest o rok młodszy ode mnie, o te wszystkie rzeczy oraz o inne, których

nigdy nie widziałam; objaśnił mnie najlepiej, jak umiał; ale to wszystko zaogniło jeszcze pragnienie ujrzenia tego. W końcu, aby opowiadanie o mej zgubie skrócić, rzeknę, że prosiłam i błagałam mego brata - o bodaj bym go nigdy nie była prosiła i błagała o to!...

I znów zaczęła płakać. A marszałek odezwał się:

- Mówcie dalej, mościa panno, i skończcie opowiadać, co się wam przydarzyło; wszystkich nas trzymają w zawieszeniu wasze słowa i łzy wasze. - Niewiele mi już do powiedzenia zostało - odrzekła panienka - choć wiele łez do wypłakania, bo źle skierowane chęci nie mogą za sobą pociągnąć innych zmartwień niż obecne.

Don Kichote - Miguel Cervantez

W duszę mistrza ceremonii wraziła się głęboko piękność panienki, a kiedy znowu podniósł latarnię, aby ją oglądać, zdawało mu się, że płakała nie łzami, ale perłami albo rosą łak, a nawet poszedł dalej i przyrównał je do pereł uriańskich, i zapragnął, aby nieszczęście jej nie było tak wielkie, jak wskazywał jej płacz i westchnienia.

603

Wielkorządce do rozpaczny doprowadzała przerwa w opowiadaniu dziewczynki i rzekł, aby nie trzymała ich dłużej w zawieszeniu, jest bowiem późno i jeszcze kawał miasta obejść trzeba. Ona głosem przerywanym szlochami i powstrzymywanyimi westchnieniami tak mówiła:

- Moje nieszczęście i niepowodzenie jedynie z tego poszło, że uprosiłam mego brata, aby mię przebrał w swoje męskie suknie i aby wyprowadził mię raz na miasto w nocy, kiedy nasz ojciec spać będzie; on, znudzony mym błaganiem, zgodził się na moje życzenie, włożył mi te szatki, sam przyodział się w moje, w których jakby się urodził, tak mu było do twarzy, nie ma bowiem włosów na brodzie i wygląda jak najurodzawsza panienka. I tej nocy - musiało to być około pierwszej godziny mniej

więcej - wyszliśmy z domu i wiedzieliśmy naszym młodzieńczym i niedojrzałym zamysłem obiegliśmy całe miasto, a kiedy mieliśmy zamiar wrócić do domu, ujrzaliśmy wielką gromadę ludzi i brat mój rzekł: "Siostrzyczko, musi to być ront nocny, przypraw skrzydła do nóg i goń za mną, aby nas nie poznali, bo źle to się skończy".

To rzekłszy, zwrócił i począł, nie powiem, uciekać, ale lecieć. Ja w pomieszaniu ledwie ubiegłam sześć kroków, upadłam, a wówczas nadszedł strażnik, który mię przed ichmość panów przywiódł, gdzie wobec tylu osób stoję zawstydzona, jako niegodna i nieobyczajna.

- Zali zaprawdę - zapytał Sanczo - nie przydarzyła się wam żadna inna przykrość ani to zazdrość, jak na początku opowiadania wyraziliście się, wyprowadziła was z domu?

- Nic innego mi się nie zdarzyło ani mię zazdrość wywiodła, a jedynie pragnienie zobaczenia świata, pragnienie, które nie przekraczało nawet ulic tego miasta. I na potwierdzenie prawdy słów panienki strażnicy przywiedli jej brata pochwyconego przez jednego z nich, kiedy od siostry w ucieczce się oddalił. Miał na sobie bogatą

Don Kichote - Miguel Cervantez

spódnicę i mantylę z błękitnego adamaszku złotą taśmą obszytą; na głowie nie miał ani kołpaczka, ani innego stroiku, jeno własne włosy, które były jak złote pierścienie tak jasne i kędzierzawe. Wielkorządca, marszałek i mistrz ceremonii wzięli go na stronę i aby siostra nie usłyszała, zapytali go o przyczynę tego stroju, ten z nie mniejszym zawstydzaniem i zmieszaniem powtórzył to samo, co opowiedziała siostra, co ogromnie uradowała zakochanego mistrza ceremonii.

Ale wielkorządca rzekł do nich:

- Zaiste, moi państwo, to jedno wielkie dzieciństwo i nie trzeba było aż tyluwestchnień i łeż, aby o takim głupstewku i lekkomyślności opowiedzieć; wystarczyło rzec: "Jesteśmy ten i ta, wyszliśmy z ojcowskiego domu na przechadzkę z ciekawości i bez żadnej innej myśli", i sprawą skończona bez tych jęczeń i szlochów. Ot co!
- To prawda - odpowiedziała panienka - wiedziecie atoli, ichmość panowie, żewzburzenie moje było tak wielkie, iż nie zdołałam się utrzymać w granicach przystojności.
- Nie ma nic straconego - odpowiedział Sanczo. - Pójdziemy i odstawimy wasze miłości do domu ojcowskiego; może niczego nie zauważysz. Ale odtąd nie bądźcie takimi dziećmi ani tak spragnionymi oglądania świata; panna uczciwa i złamana nogą w domu przebywa; kura i białogłówka, kiedy biegać lubi, wnet się zagubi; a ta, która świat widzieć żąda, chce, aby i ją oglądać. Nic więcej nie rzekę.

604

Młodzieniec podziękował wielkorządcy za łaskę, jaką im świadczył, odprowadzając ich do domu, i zaraz tam się udano, a było to niedaleko. Kiedy przyszli na miejsce, brat rzucił kamyczkiem w okno i natychmiast zeszła służebna, która na nich czekała, otworzyła im bramę, oni weszli, zostawiając wszystkich w podziwie dla gładkości ich i wdzięku oraz z powodu pragnienia, jakie żywili, oglądania świata nocą i nie opuszczając miasta. Ale to wszystko przypisywano ich wielkiej młodości.

Mistrz ceremonii został z sercem przebitym i od razu następnego dnia postanowił prosić o jej rękę ojca, będąc niemal pewnym, że mu jej nie odmówi jako dworzaninowi księcia; a zgoła nawet Sanczowi przyszła chęć i zamiar ożenić młodzieniaka z Pansową, swą córką, i postanowił w swoim czasie doprowadzić to do skutku, wmawiąc w siebie, że nikt nie może uchylić się od żeniaczki z córką wielkorządcy. Na tym zakończył się ront owej nocy, a za dwa dni i rządy, z czym rozwiały się i rozbili wszystkie jego plany, jak niebawem zobaczymy. ROZDZIAŁ
PIĘĆDZIESIĄTY

Don Kichote - Miguel Cervantez

wyjaśnia, kim byli czarnoksiężnicy i kaci, którzy wychłostali ochmistrzynię oraz wyszczypali i podrapali Don Kichota, a także o tym, jak paź oddał list Teresie Sanczynie

Mówi Sidi Hamet, najsumienniejszy badacz częsteczek tej prawdziwej historii, że kiedy Dona Rodriguez opuściła swą izdebkę, aby udać się do komnaty Don Kichota, druga ochmistrzyni, która razem z nią spała, posłyszała to, a jako wszystkie ochmistrzynie żądne są wszystko wiedzieć, podsłuchać i wywieszyć, wyszła w ślad za nią tak cichcem, że poczciwa Rodriguez ani się nie spostrzegła; kiedy zaś tamta zobaczyła ją wchodzącą do komnaty Don Kichota, aby nie sprzeniewierzyć się obyczajowi wszystkich ochmistrzyn, które są donosicielkami, natychmiast pobiegła z językiem do księżnej pani, że Dona Rodriguez zamknęła się w komnacie z Don Kichotem. Księżna powiedziała o tym księciu i prosiła o pozwolenie, aby ona z Altisidorą mogły przekonać się, czego może chcieć ochmistrzyni od Don Kichota; księże zezwolił i obie po omacku, cichuteńko, krok za krokiem, podeszły pod same drzwi komnaty tak blisko, że słyszały wszystko, o czym wewnątrz mówiono; i kiedy księżna usłyszała, jak Rodriguez na plac wyjeżdża z Aranjuezem jej wycieków', nie mogła tego ścierpieć, a tym mniej Altisidorą, przeto zapalone gniewem i pragnieniem zemsty wpadły nagle do komnaty i podrapały Don Kichota oraz 1 Wycieki takie w hiszpańskim zwą siéfuentes (źródła, fontanny), stąd Cervantes stosuje tu grę słów, co nasuwa mu porównanie z fontannami ogrodów królewskich w Aranjuezie nad górnym Tagiem.

605 wychłostały ochmistrzynię, tak jak opowiedziano. Nic bowiem nie budzi w białogłówach równie wielkiego gniewu i nie rozpala takiej żądzy odwetu, jak zniewagi prosto w ich gładkość godzące. Księżna opowiedziała księciu o tym, co zaszło, ku wielkiej jego ucieșze, ona zaś, trwając w zamarze ubawienia się i wesołego spędzenia czasu na koszt Don Kichota, wysłała pazia, co to przedstawiał Dulcyneę w wielkiej scenie odczarowania (o którym zapomniał Sanczo Pansa pośród zajęć wielkorządztwa), do Teresy Pansy, jego żony, z listem od jej męża; do tego dodała list od siebie i wielki naszyjnik koralowy w bogatej oprawie.

Opowiada historia, że paź, nader sprytny i bystry, chcąc usłużyć swym państwu, chętnie bardzo pojechał do wioski Sancza; u wjazdu do niej ujrzał przy strumieniu liczną gromadę praczek; zapytał je, czy potrafią mu rzec, zali w tej wiosce mieszka białogłowa zwana Teresa Pansa, żona niejakiego Sanczo Pansy, giermka pewnego rycerza zwanego Don Kichote z Manczy; na to pytanie podniosła się spośród praczek jedna dziewczynka, mówiąc:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Owa Teresa Pansa to moja matka, a ten Sanczo to mój pan ojciec; zaś rycerzten to nasz pan.
- Pójdziecie tedy, panienko - rzekł paź - i prowadźcie mię do waszej matki; przywożę bowiem list i podarki od tego waszego ojca.
- Z wielką ochotą, mój panie - odpowiedziała młódka, która z wyglądu mogłalicyć mnie więcej lat czternaście.

I pozostawiwszy chusty, które prała, towarzyszce, nie ogarniając się ani nie wkładając trzewików, boso, rozczochniona, wyskoczyła przed wierzchowca pazia i rzekła:

- Pójdziecie, wasza miłość, nasz dom jest u wejścia do wioski, a moja matka jestw domu, bardzo zmartwiona, bo od dawna nie ma wiadomości o moim panu ojcu. - No to przywożę jej tak dobre - rzekł paź - że za nie musi podziękować Bogu. Wreszcie, w podskokach, biegąc i skacząc, dziewczynka dotarła do wsi, lecz zanim weszła do domu, od drzwi zawała:
- Wyjdziecie, matko Tereso! Wyjdziecie, oto przybył tu jeden pan, przywozi listy i inne rzeczy od mego dobrego ojczulka.

Na te krzyki wyszła Teresa Pansa, jej matka, z kądzielą konopną w ręce, w siwej spódnicy tak krótkiej z przodu, jakby ją haniebnie przycięto; w kaftaniku równie szarym oraz w koszuli głęboko wyciętej. Nie była jeszcze stara, choć widać było, że przeszła czterdziestkę; była krzepka, silna, muskularna i zasuszona; ujrzałszy swą córkę i pazia na koniu, zapytała: - Co się dzieje, mała? Kto jest ten pan? - Sługa łaskawej pani, Doni Teresy Pansa - odpowiedział paź.

Ledwie rzekł, już zeskoczył z konia i z wielkim szacunkiem przyklęknął przed panią Teresą, mówiąc:

- Dajcie mi, wasza miłość, ucałować ręce pani, Doño Tereso, jako prawowitej jedynej małżonce pana Don Sanczo Pansy, istnego wielkorządcy wyspy Barataria. Kobiety lekkich obyczajów karano przez przycięcie z przodu spódnicy. 606
- Hej, mój panie, dajcie temu spokój, nie czyńcie tego - odpowiedziała Teresa- nie jestem żadna dama pałacowa, jeno prosta chłopka, córka wyrobnika i żona błądzącego giermka, a żadnego wielkorządcy.
- Wasza miłość - odpowiedział paź - jest najgodniejszą małżonką arcygodnego wielkorządcy; a na dowód przyjmijcie, wasza miłość, ten list i te podarki. Wyciągnął tedy z kieszeni naszyjnik koralowy ze złotymi końcami i zawiesił jej na szyi, mówiąc:
- Oto list od pana wielkorządcy, zaś przywożę i drugi oraz te korale od mojejpani księżnej, która je waszej miłości przesyła.

Oniemiała Teresa, a jej córka podobnie, zaś dziewczyna rzekła:

- Niech mnie zabiją, jeśli to nie jest sprawka naszego pana Don Kichota, którymusiał dać ojcu wielkorządztwo czy też hrabstwo tylekroć mu obiecywane. - Istotnie - odpowiedział paź - przez wzgląd na pana Don Kichota jest teraz pan Sanczo wielkorządcą wyspy Barataria, jak to ten list potwierdzi.
- Przeczytajcie mi go, panie szlachcicu - rzekła Teresa - bo choć umiem prząść, czytać nijak nie wydolę.
- Ani ja również - dodała Sanczyka - ale poczekajcie tu na mnie, pobiegnę zawałać kogoś, kto go przeczyta, czy to samego proboszcza, czy bakałarza Samsona Carrasco, przyjdą oni bardzo chętnie, aby dowiedzieć się nowin o moim ojcu. - Nie potrzeba nikogo wołać; bo choć ja nie umiem prząść, alisci czytać umiem i wam to przeczytam.

I oto przeczytała cały list, którego nie przytaczamy tutaj, gdyż był umieszczony gdzie indziej, a potem wyciągnął inny od księżnej, który brzmiał w ten sposób: Droga Tereso! Wysokie przymioty waszego męża Sancza, jego dobroć i rozum skłoniły mię, a nawet zobowiązaly, abym u księcia pana, mojego męża, uprosiła powierzenie mu rządów jednej z wielu wysp, jakie posiada. Mamy wiadomości, że rządzi on jak raróg, z czego bardzo jestem zadowolona, a książę, mój pan, również;

liczne dzięki składam niebu, że nie pomyliłam się w wyborze wielkorządcy, bowiem chcę, aby pani Teresa wiedziała, że nie jest łatwo znaleźć dobrego wielkorządcę na świecie, a niech Bóg mi tyle dobra wyśniadczy, jak dobrze Sanczo rządzi. Tu posyłam Jej, droga moja, naszyjnik koralowy ze złotymi końcami; byłabym rada, gdyby to mogły być uriańskieperły; ale kto ci kość daje, śmierci ci nie życzy.

Przyjdzie czas, a poznamy się i porozumiemy, a wówczas Bóg wie, co będzie. Pozdrawiam Sanczykę, Jej córkę, proszę jej powiedzieć ode mnie, aby była gotowa, bo chcę ją wydać za mąż znakomicie, kiedy najmniej się spodziewać będzie. Powiedziano mi, że w owej wiosce znajdują się bardzo piękne żołędzie, proszę mi przysłać około dwóch tuzinów; bardzo sobie cenić będę ten dar Jej ręki i proszę mi napisać szeroko, donosząc o waszym zdrowiu i powodzeniu. A jeśliby czego potrzeba było, wystarczy otworzyć usta, a będą napełnione. Niech Bóg mi Ją zachowa. Z tego zamku Jej przyjaciółka

Księżna

607

- Ach! - rzekła Teresa, wysłuchawszy listu. - Jak dobra, łaskawa i przystępna pani! Z takimi paniami niech mię pochowają, a nie z tymi szlachciurkami tutejszy-

Don Kichote - Miguel Cervantez

mi, które myślą, że kiedy są szlachcianki, to i wiatr nawet tknąć ich nie może, a do kościoła chodzą z taką nadętością, jakby królowymi były, zdawałoby się, że wstydzą się spojrzeć na wieśniaczkę, a tu patrzcie! Jaka dobra pani, choć księżna, przyjaciółką

mię nazywa i traktuje mnie jak równą sobie. Życzę, niech równa będzie najwyższej dzwonnicy w Manczy! A co się tyczy żołędzi, panie mój, poślę jej wielmożności gar-

niec, a tak wielkich, że można schodzić się, oglądać je i podziwiać. Teraz, Sanczyka, zajmij się ugoszczeniem tego pana: uporządź konia, a ze stajni przynieś jajka i utnij dobry połec słoniny; nakarm go jak księcia, bo i dobre nowiny, jakie nam przywiózł, i jego zacna mina warte są tego. Ja tymczasem wyjdę moim sąsiadkom o naszej radości opowiedzieć, księdzu plebanowi i mistrzowi Mikołajowi, balwierzowi, którzy zawsze byli i są takimi przyjaciółmi twego ojca.

- Dobrze, matko - odpowiedziała Sanczyka - ale może byćście mnie dali połowę tego naszyjnika; nie myślę, aby księżna pani była tak głupia i cały tylko dla was przysłała.
- To wszystko dla ciebie, córuchno - odpowiedziała Teresa - ale pozwól migo nosić przez kilka dni na szyi, bo zaprawdę zdaje mi się, że mi serce rozwesela.
- Takoż się uradujecie - rzekł paź - kiedy zobaczycie zawiniątko, jakie wiozęw tym tłumoku, a jest to strój z najprzedniejszego sukna, który wielkorządca tylko przez jeden dzień na polowaniu nosił, a teraz cały przesyła dla imościanki Sanczyki.
- Niech mi żyje tysiąc lat! - zawała Sanczyka. - A ten, który mi go przywiózł, tak samo, a nawet i dwa tysiące, jeśli będzie potrzeba. Tymczasem Teresa wyszła z domu z listami i z naszyjnikiem na szyi i szła, uderzając palcami w listy jakby w bęben; spotkała przypadkiem plebana i

Samsona

Carrasco, więc zaczęła podrygiwać, mówiąc:

- Na mą duszę, nie ma już ubogich krewnych! Mamy rządzik! Niech mi tylkowejjdzie w drogę najbardziej wystrychnięta szlachciurka, już ja jej pokażę!
- Co się stało, Tereso Pansa! Cóż to za banialuki i cóż to za listy?- Te banialuki to nic innego, jeno oto te listy od księźnych i wielkorządów, a to, co mam na szyi, te drobne, te Zdrowański, Ojczenaszki są z wytłaczanego złota, a ja jestem gubernatorowa.

- Bóg was chyba zrozumie, bo my nie rozumiemy, Tereso, i nie wiemy, comówicie.

- Tu zaraz zobaczycie - odpowiedziała Teresa.

I podała im listy. Przeczytał je pleban tak, aby i Samson Carrasco słyszał, i obaj patrzyli, jeden na drugiego, jakby zdumieni tym, co przeczytali, wreszcie bakałarz zapytał, kto przywiózł listy. Odpowiedziała Teresa, aby wraz z nią udali się do jej

domu, a zobaczą posłańca, młodzieniakę jak złota szyszka, który przywiózł też inne podarki, jeszcze więcej warte. Zdjął jej proboszcz korale z szyi, patrzył, oglądał, a przekonawszy się, że były prawdziwe, ponownie się zdumiał i rzekł: - Na sutannę, jaką noszę, nie wiem, co rzec ni co myśleć o owych listach i owych podarkach: z jednej strony widzę i dotykam piękności tych korali, z drugiej strony czytam, że owa księżna przesyła po dwa tuziny żołędzi. 608

- Dojdźmy z tym do ładu! - rzekł na to Carrasco. - A teraz chodźmy zobaczyć owego posłańca, może od niego dowiemy się czegoś pewniejszego w tych zawiłych sprawach.

Poszli z Teresą z powrotem do jej domu. Zastali pazia przesiewającego trochę obroku dla swego wierzchowca, a Sanczykę krającą płaty wędzonki, aby je usmażyć z jajami i nakarmić pazia, którego postawa i piękny przyodziewek bardzo ich zadowoliły; a po grzecznym przywitaniu obustronnym Samson zapytał o nowiny o Don Kichocie i o Sanczu, bo chociaż czytali listy Sancza i księżnej pani, jednak trwali w niepewności, nie mogąc dojść prawdy o wielkorządztwie Sancza, tym bardziej zaś o wyspie, kiedy przecie wszystkie, a przynajmniej ich większość, na Morzu Śródziemnym należą do Jego Królewskiej Mości. Na to paź odpowiedział: - Nie lza wątpić, że pan Sanczo Pansa jest wielkorządcą; nie wchodzę w to, czy jest to wyspa, czy nie, którą rządzi; dość, że jest to miejscowością liczącą ponad

tysiąc mieszkańców; co zaś do żołędzi, to powiem, że moja pani księżna jest tak prosta i dumy wyzbyta, że nie tylko może posłać do wieśniaczki z prośbą o żołędzie, ale zdarza się jej pożyczać grzebienia od jakieś sasiadki - chcę bowiem, abyście ichmość panowie wiedzieli, że panie aragońskie, choć równie znakomite, nie są tak urażliwe i pyszne jak panie kastylskie i ludzi traktują z wielką prostotą. Kiedy tak rozmawiali, wyszła Sanczyka, niosąc w podołku jaja i zapytała pazia: - Powiedzcie mi, panie, czy mój ojciec, od czasu jak jest wielkorządcą, nosi drugie spodnie sznurowane?

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Nie przypatrzyłem się - odpowiedział paź - ale musi je nosić.- Ach, Boże mój - odrzekła Sanczyka -jak chciałabym widzieć mego ojca w spodniach z banią! Od urodzenia prawie marzyłam o tym, aby zobaczyć mego ojca w spodniach sznurowanych1.

- Tedy go zobaczycie tak, wasza miłość, jeśli żyć będącie - odpowiedział paź. - Dalibóg, jeśli dwa miesiące tylko potrwają jego rządy, ujrzycie go podróżującego z zasłoną od słońca na twarzy.

Proboszcz i bakałarz połapali się, że paź drwinki stroi; alisci piękność korali i strój myśliwski przysłany przez Sancza (który Teresa nie omieszkała im pokazać) trzymały ich w niepewności, nie powstrzymali się od śmiechu, usłyszawszy życzenie Sanczyki, a jeszcze bardziej, kiedy Teresa odezwała się: - Księże proboszczu, rozejrzyjcie się tutaj, czy kto nie jedzie do Madrytu albodo Toledo, aby mi kupił robron okolisty2 dobrze watowany, jaki jest modny, i to najlepszy, jaki będzie; bo, co prawda to prawda, postaram się, ile mam sił, uczcić godnie wielkorządztwo mojego męża, a nawet - choć to mię mierzi, gotowam udać się do stolicy i zakupić karocę, jak wszystkie damy; bo ta, która ma męża wielkorządcą, może sobie na to pozwolić i zapłacić.

- I jeszcze jak, matko! - zawałała Sanczyka. - Daj Boże, aby to było raczejdziś niż jutro, choćby mieli gadać ci, którzy by mię widzieli siedzącą z panią matką w takiej karocy: "Patrzcie na tę jakąś córkę zjadacza czosnku, jak to jedzie rozwałona i rozparta w karocy niby papieżycą!". Niech się chlapią i błąca, ja będę jeździ-

1 Są one dlatego marzeniem Sanczyki, że nie wolno było ich nosić pospółstwu. 2 robron okolisty- sztywna, bardzo szeroka u dołu suknia.

609 la karocą, z nogami wysoko. Zły rok i zły miesiąc na wszystkich zgryźliwców, ilu ich tam jest na świecie! Niechaj mnie się dobrze dzieje, a kto zechce, niech się śmieje!

Czy dobrze mówię, matko?

- A jużci że dobrze, córko! - odpowiedziała Teresa - a wszystkie te powodzenia i jeszcze większe przepowiedziane mi były przez mego męża Sancza i zobaczysz, córko, nie spocznie on, póki mię hrabiną nie zrobi; najważniejsze, by dobrze wieść się zaczęło, i jak to tylekroć słyszałam od twoego dobrego ojca, a jest on tak twoim, jak i przysłów ojcem: kiedy ci dają jałówkę, leć po powróz i skuwkę; kiedy ci dają urzędy, bierz je

w te pędy; kiedy ci dają hrabstwa, chwytaj je w
łapska; kiedy

ci rzeką "pójdź, pójdź" i dobrze obdarzą, bierz i się nie uskarżaj! A nie, to zaśnijcie i nie odpowiadajcie szczęściu i powodzeniu, które puka do drzwi waszego domu! - A cóż mi na tym zależy - dodała Sanczyka - że ktoś, widząc mnie wyniosłą i podufałą, rzecze: "Ujrzał się pies w portkach zgrzebnych, już mu pies druh niepotrzebny", i tak dalej. Co słysząc, proboszcz rzekł:

- Muszę wierzyć, że chyba ci wszyscy Pansowie rodzą się z workiem przysłów w ciele; jeszcze nie widział żadnego, który by nie sypał nimi o każdej porze i w każdej rozmowie.
- To prawda - rzekł paź - pan wielkorządca Sanczo cytuje je na każdym kroku; a chociaż często na wspanak, jednak podobają się i moja księżna pani i książę bardzo je chwalą.
- Tedy, wasza miłość, panie mój, powiadasz - rzekł bakałarz - że prawdą jest to wielkorządztwo Sancza i że istnieją księżne na świecie, które przesyłają prezenty i listy? My bowiem, choć dotykamy podarków i czytaliśmy listy, nie wierzymy w to i mniemamy, że jest to jedna z historii Don Kichota, naszego ziomka, który wierzy, że wszystko zdarzyć się może mocą czarów; mógłbym rzec, że rad bym dotknąć i pomacać waszą miłość, aby się przekonać, czy jesteś posłem urojonym, czy też człowiekiem z krwi i kości.
- Panowie, nic o sobie więcej powiedzieć nie mogę - odpowiedział paź - jenoże jestem prawdziwym posłem i że mości pan Sanczo Pansa jest rzeczywistym wielkorządca, a że mogli mu dać i dali mu to wielkorządztwo moi państwo, książę i księżna, i że, jak słyszałem, ów Sanczo Pansa doskonale się sprawia. A czy są w tym jakieś czary, czy nie, niech to waszmościowie rozsądzą między sobą; ja nic więcej nie wiem, przysięgam na życie moich rodziców, których jeszcze posiadam, a których miuję i kocham bardzo.
- Wszystko to jest możliwe - odrzekł bakałarz - ale... dubitat Augustinus¹. - Niech wątpi, kto nie wierzy - odpowiedział paź - prawda jest taka, jak rzekłem, a zawsze ona ponad kłamstwo wyjdzie jak oliwa na wodę; a jeśli nie, operibus credite, non verbis²: niechże który z waszmościów jedzie ze mną na łuku mego konia, a sam na własne oczy się przekona o tym, czemu uszy uwierzyć nie chciały. 1 "Augustyn powątpiewa" - powiedzonko używane w dysputach uniwersyteckich. Św. Augustyn, najsłynniejszy łaciński ojciec kościoła (354-430). 2 Czynom zawierzaj, nie słowom (łac). 610

Don Kichote - Miguel Cervantez

- To ja jechać powinnam - rzekła Sanczyka - zabierzcie mnie, panie miłościwy, na łuku waszego podjezdka; z wielką ochotą pojadę zobaczyć mojego pana ojca.
- Córki gubernatorskie nie mogą same podróżować, tylko w otoczeniu karoc i lektyk oraz licznej służby. – Dalibóg - odpowiedziała Sanczyka - równie dobrze pojadę na klaczy, jakw karocy, ot, znaleźliście delikatkę!
- Cicho, smarkata! - rzekła Teresa - sama nie wiesz, co gadasz. Ten pan masłuszność: jaka pogoda, taka moda, kiedy był Sanczo - to Sanczyka, a kiedy wielkorządca - to dama; nie wiem, czy trafnie mówię.
- Pani Teresa lepiej mówi, niż przypuszcza - rzekł paź - dajcie mi jeść i wyprawcie mię co rychlej, chcę bowiem jeszcze w przedwieczorze powrócić.

Na to odezwał się proboszcz:

- Proszę waszmości do mnie "na pokutę", pani Teresa ma bowiem więcej dobrej chęci niż zasobów, aby usłużyć tak zacnemu gościowi.

Paź wymawiał się, ale w końcu trzeba mu było przystać na to, co było dlań korzystne, i proboszcz zabrał go z sobą, zachwycony, że będzie miał sposobność dokładnego wypytyania się o Don Kichota i o jego czyny. Bakałarz zaofiarował się napisać listy z odpowiedzią od Teresy; wszelako ona nie miała ochoty mieszać bakałarza do swych spraw, uważając go za kpiarza; dała więc podpłomyk i dwa jaja braciszkiowi klasztornemu, który pisać umiał, i ten napisał dwa listy, jeden do jej męża, a drugi do księżnej, które mu z własnej głowy podyktowała; nie są one gorsze od innych, jakie się w tej drugiej historii znajdują, jak to później zobaczymy.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

o dalszych rządach Sanczo Pansy oraz o innych takich pomyślnych zdarzeniach Zaświtał dzień, który nadszedł po nocy rontu gubernatorskiego; noc tę spędził bezsennie mistrz ceremonii, pograżony w rozmyślaniu nad liczkiem, wdziękiem i urodą przebranej panny; marszałek resztę nocy spędził na opisywaniu swoim państwu, co Sanczo Pansa czynił i mówił, zdumiewając się zarówno jego czynami, jak powiedzeniami, pomiesiane bowiem były jego słowa i czyny głupie z mądrymi. Wstał wreszcie pan wielkorządca i wedle polecenia doktora Piotra Recio podano mu na śniadanie odrobinę konfitur i cztery łyki świeżej wody, co byłby Sanczo chętnie zamienił na kromkę chleba i gałązkę winogron; ale widząc, że więcej było przyimusu niż swobody, pogodził się z tym z wielką bolescią duszy i niedyspozycją żołądka, bo Piotr Recio wmawiał weń, że pożywienie skąpe i delikatne ożywia umysł, co przydatne jest zwłaszcza osobom na poważnych stanowiskach i urzędach, gdzie

Don Kichote - Miguel Cervantez

pozyteczniejsze są raczej siły umysłu niż ciała. 611 Dzięki tym sofizmatom Sanczo cierpiał głód, tak że w swej tajni przeklinał urząd, a nawet tego, który go na nim posadził; wszelako mimo głodu i konfitur roz-

począł sądy tegoż dnia, a pierwszy stanął przed nim ze swoją sprawą pewien obcokrajowiec w obecności marszałka i reszty świty. Postawił on takie pytanie: - Panie, wielka rzeka przedziela na dwie części posiadłość pewnego właściciela. Niech wasza miłość słucha uważnie, sprawa bowiem jest ważna i nieco trudna. Mówię tedy, iż na rzece tej znajduje się most, a na jego końcu stoi szubienica i jakby sala przesłuchań, w której zasiada zazwyczaj czterech sędziów, rozsądzających wedle prawa, jakie ustanowił właściciel rzeki, mostu i posiadłości, a które brzmi:

"Jeśli ktoś przechodzi przez ten most z jednego brzegu na drugi, musi wpierw pod przysięgą zeznać, skąd i dokąd idzie, jeśli przysięgne prawdziwie, pozwolę mu przejść; jeśli skłamie, umrze powieszony na szubienicy tam widocznej, bez żadnego odwołania". Od czasu ogłoszenia tego prawa i surowych warunków jego wielu przechodziło most i skoro tylko okazało się, że przysięgali prawdziwie, sędziowie puszczaли ich wolno. Zdarzyło się jednak, że pewien człowiek mówił i przysiągł, że idzie tylko w tym celu, aby umrzeć na owej szubienicy tam stojącej. Sędziowie rozpatrzyli przysięgę i orzekli: "Jeżeli pozwolimy wolno odejść temu człowiekowi, sprzeniewierzy się swej przysiędze i zgodnie z prawem powinien umrzeć; jeśli go powiesimy, on przysiągł, że idzie, aby umrzeć na tej szubienicy, przeto przysiągła prawdziwie i powinien wedle tegoż prawa przejść wolno". Pytam się waszej miłości, panie wielkorządco, co z tym człowiekiem mają zrobić sędziowie, którzy dotąd są pograżeni w niepewności. Doszedł do nich słuch o bystrości i wysokości umysłu waszej miłości, wysłali mię tedy, abym błagał waszą miłość o wypowiedzenie się w tej tak zawikłanej i wątpliwej sprawie.

Na to odpowiedział Sanczo:

- Na pewne owi panowie sędziowie, którzy was do mnie przysłali, mogli byli się bez tego obejść, jako że raczej jestem człek tępy niż bystry, ale mimo to powtórzcie mi, proszę, jeszcze raz tę sprawę, abym ją zrozumiał; być może utrafię w sedno.

Potent jeszcze dwukrotnie powtórzył, co przódzi przedstawił, a Sanczo rzekł: - Wedle mego zdania, ta sprawa da się rozwiązać w dwu słowach, a to: ten człowiek przysiągł umrzeć na szubienicy, jeśli się to stanie, przysięgał prawdziwie i wedle prawa winien być wolny i przejść przez most, jeżeli go atoli nie powieszą, przysięga będzie kłamliwa i za to samo powinni go

powiesić.

- Tak jest, jak pan wielkorządca mówi - rzekł wysłaniec - w zupełności i w jasnym ujęciu sprawy nie ma nic do dodania ani też żadnej wątpliwości.
- Powiem dalej - odparł Sanczo - że ta część tego człowieka, która przysięgła prawdziwie, powinna przejść, a tę, która przysięgła kłamliwie, niech powieszą, w ten sposób dosłownie spełniony będzie warunek przekroczenia mostu. - Wszelakoż, panie wielkorządco - odpowiedział petent - trzeba tego człowieka podzielić na pół, na część kłamliwą i prawdziwą; a jeśli go podzielim, oczywiście-

cie umrze i przepis nie zostanie w żadnym wypadku zachowany, a bezwarunkowo dopełniony być musi.

- Tu was czekam, panie zacny - odpowiedział Sanczo - albo ja jestem głupcem, albo ten człowiek, o którym mówicie, ma tyle przyczyn, aby umrzyć, ile ma,

612

aby żyć i przejść przez most; jeśli bowiem prawda go wybawia, kłamstwo go równocześnie potępią; a jeśli tak jest, jak jest, to moim zdaniem, powiedziecie owym panom, którzy was do mnie przysłali, że jeśli równoważą się przyczyny, aby go skazać czy wypuścić, niechaj puszczą go wolno, jako że zawsze chwalebniejszą rzeczą jest świadczyć dobro niż зло. Dałbym to na piśmie i własnym imieniem podpisał, gdybym pisać umiał, a w tym wypadku nie mówiłem od siebie, ale na pamięć mi przyszło przykazanie, jakie wśród tylu innych dał mi pan mój, Don Kichote, w noc poprzedzającą objęcie przeze mnie rządów tej wyspy; a było to, że kiedy sprawiedliwość ma wątpliwości, abym zawsze, odchylając się od niej, skłonił się raczej ku miłosierdziu. Trza podziękować Bogu, żem sobie o tym przypomniał, bo do tej sprawy nadało się w sam raz.

- Zaiste - odpowiedział marszałek - i wedle mnie sam Likurg, który Lacedemończykom nadał prawa, nie mógłby wydać lepszego wyroku niż wielki Sanczo Pansa. Na tym zamknijmy posłuchania dzisiejszego ranka i wydam rozkaz, aby panu wielkorządcy podano obiad wedle jego gustu.
- Tego mi trzeba, po prostu - rzekł Sanczo - dajcie mi jeść, a potem mogą się sypać sprawy i wątpliwości, jednym tchem je rozwikłam. Marszałek dotrzymał słowa, nie chcąc obciążać sumienia i głodem zamorzyć tak mądrego wielkorządce; tym

Don Kichote - Miguel Cervantez

bardziej że zamyślał tej samej jeszcze nocy skończyć z nim, gotując ostatnią krotochwilę, którą go obarczono. Zdarzyło się, że kiedy

Sanczo podjął sobie wbrew regułom i aforyzmom doktora Tirteafuera, po zdaniu obrusów wszedł goniec z listem od Don Kichota do wielkorządcy. Sanczo rozkazał sekretarzowi pismo na osobno przeglądać i o ile by nie znalazł w nim nic, co by wymagało tajemnicy, odczytać je głośno. Sekretarz, spełniwszy rozkaz i przebiegły naprzód list, odezwał się:

- Można przeczytać list głośno, to bowiem, o czym pan Don Kichote pisze dowaszej miłości, zasługuje na wyrycie i wypisanie złotymi literami, brzmi to tak: List Don Kichota z Manczy do Sanczo Pansy,

wielkorządcy wyspy Barataria

Kiedy spodziewałem się usłyszeć wiadomości o twych zaniedbaniach i niewłaściwościach, drogi Sanczo, słyszę wieści o twej roztropności, za co dzięki osobliwe

składam niebu, które z gnoju potrafi wywyższać maluchów, a głupich mądrymi uczynić. Opowiadają mi, że rządzisz, jakbyś był człowiekiem, a będąc nim, wydajesz się bydlęciem, z tak wielką pokorą wobec siebie postępujesz. Pragnę, abyś roz-

wały, Sanczo, że nieraz wypada i konieczne jest dla powagi i urzędu pójść na przekór pokorze serca; bowiem przystojna zewnętrzność osoby wyniesionej na wysokie stanowisko musi odpowiadać temu, czego się od niej wymaga, a nie zaś być na miarę

tego, ku czemu ją pokorna natura skłania. Odziewaj się przystojnie, słup przyodziany nie robi już wrażenia słupa. Nie mówię, abyś się błyskotkami obwieszał ani wspaniałymi strojami, ani byś, będąc sędzią, przyodziewał się jak żołnierz, ale abyś wkładał suknie, jakich twój urząd wymaga, i abyś zawsze był czysty i schludny. 613

Aby zaś pozyskać przywiązanie ludu, którym rządzisz, masz przede wszystkim starać się o dwie rzeczy: być grzecznym dla wszystkich, choć o tym już ci innym razem mówiłem, a po drugie - starać się o obfitość środków żywności; nic bowiem tak nie dręczy serc ludzi ubogich jak głód i drożyna.

Nie wydawaj wielu rozporządzeń, a jeśli je wydasz, niech będą słuszne, a nad wszystko przestrzegane i wypełniane; rozporządzenia, których nikt nie dotrzymuje, są jakby niebyłe, przeciwnie, raczej świadczą o tym, że władca, który znalazł rozum i powagę, aby je wydać, nie ma dość moc, by zmusić do zachowania ich; prawa zaś surowe, a niewypełnione, są jak owa belka, którą królem żab uczyniono; z początku napełniała je lękiem, a z czasem za nic ją sobie miały i skakały po niej. Bądź ojcem

Don Kichote - Miguel Cervantez

dla cnoty, a ojczymem dla występu. Nie bądź ani zbyt surowy, ani zbyt łagodny, umiej wybierać środek między dwiema ostatecznościami; w tym leży właśnie mądrość. Odwiedzaj więzienia, jatki i targi; obecność wielkorządcy w tych miejscach jest bardzo ważna; pocieszaj więźniów nadzieję rychłego rozpatrzenia sprawy, bądź postrachem dla rzeźników, którzy wówczas dopilnują sprawiedliwej wagi, i dla przekupek, z tej samej przyczyny. Nie okazuj się nigdy, choćbyś nim przy-

padkiem był (a wierzę, że nie jesteś), chciwcem, kobieciarzem i żarłokiem: bo kiedy by się lud i twoje otoczenie dowiedziało o jednej z tych skłonności, tam skierują swą baterię, aż cię wtrącą w otchłań zguby. Patrz i przepatruj, myśl i przemyślaj rady i nauki, jakie ci dałem na piśmie, zanim stąd odjechałeś na swoje wielkorządztwo, a zobaczysz, że znajdziesz w nich, jeśli się ich trzymać będziesz, cenną pomoc, który ra ci ułatwi znoszenie znojów i trudności, jakie na każdym kroku na wielkorządów

czyhają. Pisuj do tych zwierzchników i okazuj im swą wdzięczność; niewdzięczność bowiem jest córką pusty i jednym z najgorszych znanych mi grzechów; osoba zaś, która chowa wdzięczność za doznane dobrodziejstwa, dowodzi, że będzie taką i wobec Boga, który ją dobrodziejstwy obsypał i ciągle obsypuje. Księżna pani wysłała umyślnego z twoim przyodziewkiem i innymi podarkami dla twej żony, Teresy Pansy; co chwila spodziewa się odpowiedzi. Ja byłem nieco niezdrów z powodu pewnej kociej historii, która mię spotkała, a której ofiarą padły

moje nozdrza. Nic to nie znaczy, bo jeśli są czarnoksiężnicy, którzy mię prześladują, są również inni, którzy mię bronią. Donieś mi, czy marszałek, który z tobą przebywa, ma coś wspólnego ze sprawą Trifaldi, jak podejrzałeś, a także o wszystkim, co ci się przydarzy, daj mi wia-

domość, jako że to tak blisko; tym bardziej że zamyślam porzucić najrychlej owe bezczynne życie, dla którego nie jestem zrodzony.

Przedstawiono mi sprawę, która, jak sądzę, może mię o utratę łaski księstwa przyprawić, ale choć mi to daje wiele, nic mi na tym nie zależy, bo koniec końców, raczej mi postąpić wypada zgodnie z mym powołaniem niż z ich przyjemnością, wedle

Don Kichote - Miguel Cervantez

tego, co zwykło się powiadać: "Amicus Plato, sed magis amica veritas ". Cytuję to po łacinie, bo rozumiem, że odkąd jesteś wielkorządcą, musiałeś się jej nauczyć. Bogu cię polecam, niech ciebie strzeże, aby cię nikt nie musiał żałować. Twój przyjaciel Don Kichote z Manczy

Przyjacielem Platon, ale większą przyjaciółką prawda (łac, Arystoteles, Etyka nikomachejska). 614

Wysłuchał Sanczo listu z wielką uwagą, a wszyscy słuchacze wychwalali mądrość listu. Po czym zaraz Sanczo wstał od stołu i przywołał szef sekretarza, zamknął się z nim w swej komnacie, bo nie zwlekając, chciał odpowiedzieć panu swemu Don Kichotowi; polecił sekretarzowi, by nic nie dodając ani odejmując, spisywał, co on mu będzie dyktował, co ten uczynił; i list z odpowiedzią zawierał, co następuje: List Sanczo Pansy do Don Kichota z Manczy

Sprawy moje tak mię zajmują, że dotąd nie znalazłem czasu, aby się podrapać w głowę ani nawet przyciąć sobie paznokci, tak mi przeto wyrosły, że sam Bóg chyba na to poradzi. Wspominam o tym, panie mojej duszy, aby się jegomość nie niepokoił, że dotąd nie dałem wiadomości o tym, czy mi się dobrze, czy źle na tym wielkorządz- twie wiedzie, gdzie jednak większy głód cierpię aniżeli wtedy, kiedyśmy obydwaj błądzili po lasach i bezludziach.

Pisał do mnie książę, mój pan, kilka dni temu, ostrzegając mnie, że na wyspę przedostali się jacyś szpiedzy, aby mię zamordować, ale dotąd nie odkryłem żadnego krom pewnego doktora, który na tej wyspie jest opłacany, aby zabijać wielkorządców tu przebywających; nazywa się doktor Piotr Redo i pochodzi z Tirteafuery; zważcie, jegomość, zali nie jest to nazwisko, które może napełnić mię lękiem

przed śmiercią z jego ręki! Ów doktor mówi sam o sobie, że nie leczy chorób, które już istnieją, ale że je uprzedza, aby ich nie dopuścić; a lekarstwami dla niego jest dieta i jeszcze raz dieta, póki człowiek się w czysty szkielet nie zamieni, tak jakby chu-

dość nie była większym ziem niż gorączka. Jednym słowem, zabija mię głodem, a ja umieram z wściekłości, bo kiedy myślałem, że pojadę na to

wielkorządztwo, aby jeść

na gorąco, a pić na zimno i aby ciało odpoczywało między płótnami holenderskimi na piernatach, przybyłem tu na pokutę, jakbym był pustelnikiem; a że tego z własnej woli nie czynię, myślę, że koniec końców diabeł mię porwie.

Dotychczas nie pobrałem żadnej należności ani nie otrzymałem żadnego porękawicznego i nie wiem, co o tym myśleć, tu bowiem powiedziano mi, że wielkorządcom przybywającym na tę wyspę, nawet zanim na niej staną, mieszkańców ofiarowują lub pożyczają dużo pieniędzy i że jest to powszechny zwyczaj wszystkich wstępujących na urząd, nie tylko tutaj.

Tej nocy, kiedy obchodziłem miasto, spotkałem cudną panienkę w przebraniu męskim i jej brata w sukniach kobieczych; mój mistrz ceremonii rozmiłował się w dziewczynie i w wyobraźni swojej wybrał ją sobie -jak mówił - na małżonkę, ja zaś wybrałem sobie młodzieniąszka na zięcia; dzisiaj mamy nasz zamysł w czyn wprowadzić i mówić z ojcem obojga, którym jest niejaki Diego de la Liana, szlachcic i stary chrześcijanin, jak życzyć sobie należy.

Odwiedzam targi, jak mi wasza miłość radzi, i wczoraj zdybałem przekupkę, która sprzedawała świeże orzeszki; przekonałem się, że do każdego półkorca orzeszków świeżych domieszała starych pustych i spróchniałych; zabrałem jej wszystkie dla dzieci szkolnych, które już je dobrze odróżnić potrafią, i zabroniłem jej pokazy-

wać się na targu przez dwa tygodnie. Powiedziano mi, że bardzo się dzielnie spisałem; trzeba jegomości wiedzieć, że jak głos w tej miejscowości niesie, nie masz gorsze615 go nasienia od tych przekupek, wszystkie bowiem są bezwstydne, bez sumienia i zuchwałe, i ja również tak myślę, wedle tych, które w innych miastach widziałem.

Jestem okrutnie zadowolony, że księżna pani pisała do mej żony Teresy Pansy i jak jegomość pisze, posłała jej podarki; postaram się jej odwdzięczyć w swoim czasie; ucałujcie jej, jegomość, ręce ode mnie i powiedzcie, że nie włożyła dobrodziejstw swoich w worek dziurawy, czego dowiodę czynem.

Nie chciałbym, aby jegomość miał jakieś przykro nieporozumienia z tym państwem, bo jeśli się jegomość z nimi pogniewa, jasne jest, że musi się to na mnie skupić, i nie byłoby zacnie, gdybyście, wasza miłość, którzy mi wdzięczność doradzacie, okazali się sami niewdzięcznym wobec tych, którzy wyświadczyci wam tyle dobrodziejstw i tak świetnie podejmowali w swoim zamku. Tych

Don Kichote - Miguel Cervantez

kocich spraw nie rozumiem; ale wyobrażam sobie, że musiała to być jedna ze złośliwości, jaką zwykle żli czarnoksiężnicy wam płatają; dowiem się bliżej, kiedy się zobaczymy.

Chciałbym waszej miłości posłać coś, ale nie wiem co, chyba kilka rurek do lewatywy, jakie tu wraz z pęcherzami na tej wyspie bardzo zręcznie wyrabiają; jeżeli jednak to wielkorządztwo potrwa, poszukam, co by posłać wam z tego, co dostanę prawem czy lewem. Gdyby Teresa Pansa, moja żona, do mnie napisała, opłaćcie, jegomość, posłańca i list mi przyślijcie; bardzo chciałbym wiedzieć, co się dzieje w moim domu, z moją żoną i dziećmi. Na tym kończę, niech Bóg uwolni waszą miłość od niechętnych czarnoksiążników, a mnie w pokoju i szczerliwie wydobędzie

z tego wielkorządztwa, w co jednak wątpię, bo jestem pewny, że życie tu postradam dzięki kuracji doktora Piotra Recio. Sługa waszej miłości

Sanczo Pansa, wielkorządca

Sekretarz zalepił list i zaraz wysłał go posłańcem; po czym naigrawacze zebrały się i uradzili między sobą, w jaki sposób Sancza z wielkorządztwa złożyć. Popołudnie to spędził Sanczo na układaniu rozmaitych rozporządzeń, dotyczących godnych rządów na tej, wedle jego mniemania, wyspie. Zarządził, aby nie było pośredników handlu żywnością, pozwolił sprowadzać wino, skąd by kto chciał, byle tylko zgłosić miejsce pochodzenia, aby można było ustalić ceny wedle jego wartości, zacności i sławy, zaś na tych wszystkich, którzy by je wodą rozpuszczali albo

pod fałszywą marką sprzedawali, nałożył karę śmierci; obniżył cenę wszelkiego obuwia, a zwłaszcza trzewików, która zdawała mu się zbyt wygórowana; ustalił wysokość wynagrodzenia dla służby, która puściła wodze chciwości bez ograniczenia; nałożył najsrozsze kary na tych, którzy by śpiewali rozwiązłe i lubieżne pieśni, czy to w dzień, czy w nocy; zabronił wszystkim ślepcom wyśpiewywać strofy o cudach, o ile by nie dowiedli wiarygodnie, że były one prawdziwe,

bo zdawało mu się, że ślepcy opiewają cuda zmyślone, ze szkodą dla prawdziwych; ustanowił i naznaczył strażnika dla ubogich, nie aby ich prześladował, ale aby badał, czy są

nimi naprawdę; bo pozór zmyślonego kalectwa lub fałszywej rany kryje często rękę złodzieja i zdrowie pijaka. Jednym słowem, tyle słusznych rozporządzeń wydał,

że do dziś są w owym mieście dochowywane i nazywają się "Dekretami

znamienitego wielkorządcy Sanczo Pansy". ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI gdzie opowiedziana jest przygoda drugiej ochmistrzyni Doloridy, czyli bolesciwej, inaczej zwanej Dońią Rodriguez

Don Kichote - Miguel Cervantez

Opowiada Sidi Hamet, że Don Kichotowi, ledwie ozdrowiał ze swych podrapań, wydało się, iż życie, jakie pędzi w tym zamku, jest przeciwnie wszelkim przepisom zakonu rycerskiego, do jakiego należał, i postanowił prosić księstwo o pozwolenie udania się do Saragossy, gdzie niebawem miały się odbyć uroczystości i gdzie spodziewał się zdobyć zbroję, jaką zwykle się na takich turniejach zyskuje. I pewnego dnia, siedząc przy stole z księstwem, chciał już zamiar swój w czyn wpro- wadzić i prosić o pozwolenie, kiedy nagle, o tak niezwykłej porze, ujrzano dwie kobiety (jak się potem okazało) wchodzące w drzwi wielkiej sali,

okryte żałobą od

stóp do głowy; jedna z nich, zbliżywszy się do Don Kichota, rzuciła mu się do nóg jak długa i przycisnęła wargi do stóp jego, wydawała jęki tak smutne, tak głębo- kie i tak bolesne, że poruszyła wszystkich, którzy ją słyszeli i widzieli. I lubo księ- stwo sądzili, że będzie to jakiś nowy żart wymyślony przez służbę dla Don Kichota,

to widząc, z jakim szlochem kobieta wzduchała, jęczała i łkała, trwali niepewni i zdumieni, aż Don Kichote, zdjęty litością, podniósł nieszczęsną, prosząc, aby od-

kryła oblicze i zdjęła zaslonę z zaplakanej twarzy. Kiedy to spełniła, okazało się, że jest to ta, której bynajmniej się nie spodziewano: ukazało się bowiem oblicze Doni Rodriguez, ochmistrzyni tego dworu, zaś drugą żałobnicą była jej córka, uwiedzio- na przez syna bogatego rolnika. Wszyscy, którzy ją znali, zdumieli się, a księstwo

najbardziej; znali ją bowiem jako niemądrą i poczciwą, ale niezdolną do takich szaleństw. W końcu Dona Rodriguez, zwracając się do swych państwa, rzekła: - Racicie, wasza dostojość, udzielić mi pozwolenia na rozmowę z tym rycerzem, jest to bowiem konieczne, abym szczęśliwie wyszła z ciężkiego położenia, w jakie wrąciła mię zuchwałość niegodziwego wieśniaka. Książę udzielił jej pozwolenia, aby rozmówią się do woli z Don Kichotem.

Ona zaś, podniósłszy głos i oblicze ku Don Kichotowi, rzekła:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Przed niedawnym czasem, dzielny rycerzu, powiadomiłam cię o krzywdzie i o zdradzie, jakiej pewien niecny rolnik dopuścił się wobec mej umiłowanej i uko-chanej córki, która nieszczęsna tu przed wami stoi; wyście przyrzekli mi stanać w jej obronie i naprawić krzywdę jej wyrządzoną, a teraz dowiaduję się, że chcecie

odjeźdżać z tego zamku w poszukiwaniu pięknych przygód, które oby Bóg wam

617

zdarzył; błagam przeto, abyście, zanim wyruszycie w drogę, wyzwali owego nieokiełznanego gbura i zmusili go, by ożenił się z moją córką, dotrzymując słowa, które jej dał, zanim ją zniewolił, że będzie jej mężem. Sądzić, aby książę, pan mój,

sprawiedliwość mi wymierzył, to żądać gruszek od wierzby z przyczyny, którą waszej miłości na osobności wyjawiłam. Niechaj Pan Bóg użyczy waszej miłości wiele zdrowia, a nas niech nie opuszcza.

Na te słowa Don Kichote odpowiedział z wielką powagą i namaszczeniem: - Zacna ochmistrzyni, powstrzymajcie łzy wasze, a raczej powiem osuszczie je i oszczędzajcie westchnień waszych; biorę na siebie uzyskanie zadośćuczynienia dla waszej córki, która byłaby lepiej zrobiła, nie dając tak skoro ucha obietnicom miłośnym jednego z tych, którzy najczęściej lekko obiecują, a bardzo ciężko obietnic dotrzymują; przeto z pozwoleniem księcia, mego pana, udam się natychmiast na poszukiwanie bezwstydnego młodzieńca, odnайдę go, wyzwę i zabiję zawsze i wszędzie, jeśli odmówi dotrzymania danego słowa; najważniejszym bowiem zadaniem mego powołania jest wybaczać pokornym, a karać pysznych; chcę rzec: wspomagać nieszczęśliwych, a niszczyć krzywdzicieli.

- Nie potrzebuje się wasza miłość - odpowiedział książę - trudzić poszukiwaniem owego prostaka, na którego skarzy się zacna ochmistrzyni, ani też nie potrzeba waszej miłości prosić mię o pozwolenie wyzwania go; uważam go za wyzwianego i na siebie biorę zawiadomienie go o wyzwaniu, niech je przyjmuje i stawi się tutaj

sam za siebie odpowiedzieć na tym moim zamku, gdzie ja obu zgotuję zamknięte szranki z zachowaniem wszelkich warunków, jakie w takich okazjach mają i powinny być zachowane, i traktując każdego z jednakową sprawiedliwością, jak powinni czynić władcy dający wolne pole tym, którzy chcą się potykać w granicach ich włości.

- Z takim zapewnieniem i z łaskawym pozwoleniem waszej wielmożności odparł Don Kichote - oświadczam, że na ten raz wyrzekam się przywileju szlachectwa,

Don Kichote - Miguel Cervantez

poniżam się i dostosowuję się do niskiego stanu krzywdziciela, z którym się równam, aby był godny potykania się ze mną i choć jest nieobecny, wyzywam go i wywołuję, bowiem źle postąpił, oszukując tę nieszczęsną, która była dziewczą, a teraz z jego winy nią być przestała. Musi dotrzymać słowa, że będzie jej prawowitym mężem, albo zginie w tym spotkaniu.

I zaraz, zdjawszy rękawicę, rzucił ją na środek sali, a książę ją podjął, oświadczając, że -jak rzekł - przyjmuje wyzwanie w imieniu swego wasala, że wyznacza dzień spotkania na dzień szósty od dziś i na dziedzińcu zamkowym wyznacza pole spotkania ze zwykłą bronią rycerzy: kopią, tarczą, kolczugą i innymi częściami rynsz-

tunku, bez żadnego podstępu, oszustwa i talizmanu, a wszystko ma być zbadane i przejrzane przez sędziów polowych. Ale przede wszystkim trzeba, aby ta zacna matrona i ta niecna panna złożyły prawnie sprawę swoją w ręce pana Don Kichota, inaczej nic nie będzie można zrobić i to wyzwanie nie dojdzie do należnej rozprawy.

- Poruczam mu sprawę - odpowiedziała ochmistrzyni.
- I ja również - dodała córka, tonąc we łzach, wstydzie i przygnębieniu. Kiedy to wszystko dopełnione zostało, książę od razu wyobraził sobie, co należało czynić w tym wypadku, żałobnice odeszły, a księżna wydała rozkaz, aby odtąd 618

nie traktowano ich jako jej dworek, ale jako damy z przygód, które przybyły do jej domu błagać o sprawiedliwość. Dano im mieszkanie osobne i usługiwano jakby gościom, ku zdumieniu reszty służby niewiedzącej, dokąd sięgnie głupota i panoszenie się Dońi Rodriguez i jej zbłąkanej córki. Tymczasem, jakby dla dopełnienia

wesołości i dobrego zakończenia obiadu, wkroczył do sali paź, niosąc listy i dary od Teresy Pansy, żony wielkorządcy Sanczo Pansy, a przybycie jego bardzo ucieszyło księstwo, którzy radzi byli dowiedzieć się, jak się podróż odbyła. Na ich zapytanie odpowiedział paź, że nie może zdać sprawy o wszystkim tak publicznie, i w krótkich słowach rzekł: niechaj księstwo pozwolą mu pozostać z nimi na osobności, a tymczasem niech zabawią się tymi listami. I wyciągnąwszy dwa listy, wręczył je księżnej. Najednym widniał napis: "List do mej księżnej pani, nie wiem jakiej i nie wiem gdzie" - a na drugim: "Do mojego męża, Sanczo Pansy, wielkorządcy wyspy Barataria, któremu niechaj Bóg zdarzy więcej lat szczęśliwych niż mnie". Księżna paliła się z ciekawości, aby list co rychiej przeczytać, otworzyła go, przeczytała wpierw sama, a widząc, że może przeczytać go głośno, aby książę i wszyscy obecni słyszeli, zaczęła czytać: List Teresy Pansy do księżnej

Don Kichote - Miguel Cervantez

Pani moja, wielką radość sprawił mi list, jaki wasza wielmożność do mnie napisała, bowiem zaiste bardzo mi był pożądany. Naszyjnik z koralijest bardzo zacny, a strój myśliwski mego męża nie ustępuje mu wcale. Cała wieś ogromnie się raduje, że wasza wielmożność zrobiła wielkorządcą Sancza, mego małżonka, choć nie wszyscy temu wierzą, a osobliwie proboszcz, mistrz Mikołaj, balwierz, i Samson Carra-

sco, bakałarz, ale mnie to nic nie szkodzi, jeśli tak jest, niech sobie każdy gada, co chce; chociaż prawdę rzeklszy, jeślibym nie widziała korali i stroju, również bym

nie uwierzyła, bo tu we wsi wszyscy uważają mego męża za durnia, zdolnego chyba rządzić trzodą kóz, i nie mogą sobie wystawić, aby jego rządy były coś warte.

Niech

Bóg to sprawi i niech go prowadzi jak najkorzystniej dla dobra dzieci. Co do mnie, pani mojej duszy, postanowiłam, z pozwoleniem waszej miłości, szczęście w dom mój wprowadzić i udać się do stolicy, rozsiadlszy się w karocy, aby oczy tysiąca zazdrośników, jakich mam tutaj, na wierzch wylazły, i dlatego upraszam waszą dostońność rozkazać memu mężowi, aby przysłał trochę grosiwa, co go tam miał, w stolicy bowiem wydatki są wielkie: chleb kosztuje reala, a funt mięsa do

trzydziestu marawedi. To straszne! A gdyby nie chciał, abym jechała, niech mię na czas uwiadomi, bo już mi nogi skaczą do drogi. Powiadają moje przyjaciółki i sąsiadki, że jeżeli ja i moja córka wybierzemy się tak okazale i z przepychem do stoli-

cy, mój mąż większą sławę zyska przeze mnie aniżeli sam przez się, bo oczywiście wielu pytać będzie: "Co to za damy w tej karocy? " - a służący mój odpowie: " To żona i córka Sanczo Pansy, wielkorządcy wyspy Barataria " - i w ten sposób Sanczo będzie znany, a ja będę poważana jakby w Rzymie. Bardzo mię to gryzie, jak tylko może, że w tym roku żołędzie nie obrodziły we wsi: niemniej posyłam waszej wysokości ich około garnca, wszystkie, orzeszek do orzeszka, zbierałam i wybierałam sama w lesie, ale nie znalazłam większych, a chciałabym, aby były tak duże jak strusie jaja.

619

zdarzył; błagam przeto, abyście, zanim wyruszycie w drogę, wyzwali owego nieokiełznanego gbura i zmusili go, by ożenił się z moją córką,

Don Kichote - Miguel Cervantez

dotrzymując słowa, które jej dał, zanim ją zniewolił, że będzie jej mężem. Sądzić, aby książę, pan mój,

sprawiedliwość mi wymierzył, to żądać gruszek od wierzby z przyczyny, którą waszej miłości na osobności wyjawiłam. Niechaj Pan Bóg użyczy waszej miłości wiele zdrowia, a nas niech nie opuszcza.

Na te słowa Don Kichote odpowiedział z wielką powagą i namaszczeniem: - Zacna ochmistrzyni, powstrzymajcie łzy wasze, a raczej powiem osuszczie je i oszczędzajcie westchnień waszych; biorę na siebie uzyskanie zadośćuczynienia dla waszej córki, która byłaby lepiej zrobiła, nie dając tak skoro ucha obietnicom

miłosnym jednego z tych, którzy najczęściej lekko obiecują, a bardzo ciężko obietnic dotrzymują; przeto z pozwoleniem księcia, mego pana, udam się natychmiast na poszukiwanie bezwstydnego młodzieńca, odnайдę go, wyzwę i zabiję zawsze i wszędzie, jeśli odmówi dotrzymania danego słowa; najważniejszym bowiem zadaniem mego powołania jest wybaczać pokornym, a karać pysznych; chcę rzec: wspomagać nieszczęśliwych, a niszczyć krzywdzicieli.

- Nie potrzebuje się wasza miłość - odpowiedział książę - trudzić poszukiwaniem owego prostaka, na którego skarży się zacna ochmistrzyni, ani też nie potrzeba waszej miłości prosić mię o pozwolenie wyzwania go; uważam go za wyzwaneego i na siebie biorę zawiadomienie go o wyzwaniu, niech je przyjmuje i stawi się tutaj

sam za siebie odpowiedzieć na tym moim zamku, gdzie ja obu zgotuję zamknięte szranki z zachowaniem wszelkich warunków, jakie w takich okazjach mają i powinny być zachowane, i traktując każdego z jednakową sprawiedliwością, jak powinni czynić władcy dający wolne pole tym, którzy chcą się potykać w granicach ich włości.

- Z takim zapewnieniem i z łaskawym pozwoleniem waszej wielmożności odparł Don Kichote - oświadczam, że na ten raz wyrzekam się przywileju szlachectwa, poniżam się i dostosowuję się do niskiego stanu krzywdziciela, z którym się równam, aby był godny potykania się ze mną; i choć jest nieobecny, wyzywam go i wywołuję, bowiem źle postąpił, oszukując tę nieszczęsną, która była dziewczą, a teraz z jego winy nią być przestała. Musi dotrzymać słowa, że będzie jej prawowitym mężem, albo zginie w tym spotkaniu.

I zaraz, zdjawszy rękawicę, rzucił ją na środek sali, a książę ją podjął, oświadczając, że -jak rzekł - przyjmuje wyzwanie w imieniu swego wasala, że wyznacza dzień spotkania na dzień szósty od dziś i na dziedzińcu zamkowym

Don Kichote - Miguel Cervantez

wyznacza pole spotkania ze zwykłą bronią rycerzy: kopią, tarczą, kolczugą i innymi częściami rynsz-

tunku, bez żadnego podstępu, oszustwa i talizmanu, a wszystko ma być zbadane i przejrzane przez sędziów polowych. Ale przede wszystkim trzeba, aby ta zacna matrona i ta niecna panna złożyły prawnie sprawę swoją w ręce pana Don Kichota, inaczej nic nie będzie można zrobić i to wyzwanie nie dojdzie do należnej rozprawy.

- Poruczam mu sprawę - odpowiedziała ochmistrzyni.
- I ja również - dodała córka, tonąc we łzach, wstydzie i przygnębieniu. Kiedy to wszystko dopełnione zostało, książę od razu wyobraził sobie, co należało czynić w tym wypadku, żałobnice odeszły, a księżna wydała rozkaz, aby odtąd 618

nie traktowano ich jako jej dworek, ale jako damy z przygód, które przybyły do jej domu błagać o sprawiedliwość. Dano im mieszkanie osobne i usługiwano jakby gościom, ku zdumieniu reszty służby niewiedzącej, dokąd sięgnie głupota i panoszenie się Dofii Rodriguez i jej zbłąkanej córki. Tymczasem, jakby dla dopełnienia

wesołości i dobrego zakończenia obiadu, wkroczył do sali paź, niosąc listy i dary od Teresy Pansy, żony wielkorządcy Sanczo Pansy, a przybycie jego bardzo ucieszyło księstwo, którzy radzi byli dowiedzieć się, jak się podróż odbyła. Na ich zapytanie odpowiedział paź, że nie może zdać sprawy o wszystkim tak publicznie, i w krótkich słowach rzekł: niechaj księstwo pozwolą mu pozostać z nimi na osobności, a tymczasem niech zabawią się tymi listami. I wyciągnąwszy dwa listy, wręczył je księżnej. Na jednym widniał napis: "List do mej księżnej pani, nie wiem jakiej i nie wiem gdzie" - a na drugim: "Do mojego męża, Sanczo Pansy, wielkorządcy wyspy Barataria, któremu niechaj Bóg zdarzy więcej lat szczęśliwych niż mnie". Księżna paliła się z ciekawości, aby list co rychlej przeczytać, otworzyła go, przeczytała wpierw sama, a widząc, że może przeczytać go głośno, aby książę i wszyscy obecni słyszeli, zaczęła czytać: List Teresy Pansy do księżnej Pani moja, wielką radość sprawił mi list, jaki wasza wielmożność do mnie napisała, bowiem zaiste bardzo mi był pożądany. Naszyjnik z korali jest bardzo zacny, a strój myśliwski mego męża nie ustępuje mu wcale. Cała wieś ogromnie się raduje, że wasza wielmożność zrobiła wielkorządcą Sancza, mego małżonka, choć nie wszyscy temu wierzą, a osobliwie proboszcz, mistrz Mikołaj, balwierz, i Samson Carrasco, bakałarz, ale mnie to nic nie szkodzi, jeśli tak jest, niech sobie każdy gada, co chce; chociaż prawdę rzeklszy, jeśli my nie widziały korali i stroju, również bym

Don Kichote - Miguel Cervantez

nie uwierzyła, bo tu we wsi wszyscy uważają mego męża za durnia, zdolnego chyba rządzić trzodą kóz, i nie mogą sobie wystawić, aby jego rządy były coś warte.

Niech

Bóg to sprawi i niech go prowadzi jak najkorzystniej dla dobra dzieci. Co do mnie, pani mojej duszy, postanowiłem, z pozwoleniem waszej miłości, szczęście w dom mój wprowadzić i udać się do stolicy, rozsiadłszy się w karocy, aby oczy tysiąca zazdrośników, jakich mam tutaj, na wierzch wylazły, i dlatego upraszam waszą dostońność rozkazać memu mężowi, aby przysłał trochę grosiwa, co go tam miał, w stolicy bowiem wydatki są wielkie: chleb kosztuje reala, a funt mięsa do

trzydziestu marawedi. To straszne! A gdyby nie chciał, abym jechała, niech mię na czas uwiadomi, bo już mi nogi skaczą do drogi. Powiadają moje przyjaciółki i sąsiadki, że jeżeli i moja córka wybierzemy się tak okazale i z przepychem do stolicy, mój mąż większą sławę zyska przeze mnie aniżeli sam przez sie, bo oczywiście wielu pytać będzie: "Co to za damy w tej karocy?" - a służący mój powie: "To

żona i córka Sanczo Pansy, wielkorządcy wyspy Barataria"-i w ten sposób Sanczo będzie znany, a ja będę poważana jakby w Rzymie.

Bardzo mię to gryzie, jak tylko może, że w tym roku żołędzie nie obrodziły we wsi: niemniej posyłam waszej wysokości ich około garnca, wszystkie, orzeszek do orzeszka, zbierałam i wybierałam sama w lesie, ale nie znalazłam większych, a chciałabym, aby były tak duże jak strusie jaja. 619 Proszę, aby wasza okazałość nie zapomniała do mnie napisać; odpowiedzieć nie zaniedbam, donosząc o mym zdrowiu i o wszystkim we wsi, o czym trzeba powiadomić, i pozostaję, prosząc Pana Boga, aby osłaniał waszą wielmożność i nie zapomniał o mnie. Sancza, moja córka, i mój syn całują ręce waszej miłości.

Ta, która ma większą chęć oglądać waszą dostońność niż pisać do niej,

Wasza służka

Teresa Pansa

Ogromnie spodobał się wszystkim list Teresy Pansy, którego słuchali, a osobliwie zaś księciu. Księżna spytała Don Kichota, czy byłoby przystojną rzeczą otworzyć list przysłany dla wielkorządcy, bo wyobraża sobie, jak musi być świetny.

Don

Kichote odparł, że aby im sprawić przyjemność, sam go otworzy, co uczyniwszy, przeczytał, co zawierał: List Teresy Pansy do Sanczo Pansy, jej męża

Otrzymałem twój list, Sanczo mój umiłowany z duszy, zapewniam cię i przysięgam jako chrześcijanka katolicka, że dwóch palców nie dostawało, abym z uciechy nie oszalała. Widzisz, bracie, kiedy usłyszała, że jesteś wielkorządcą, myślałam, że martwa padnę z radości; wiesz bowiem, jak mówią, nagła radość zabija tak jak wielka boleść. Sanczyka, twoja córka, posusiała się z czystej radości i nawet tego

nie czuła. Miałam przed oczyma strój, któryś mi przysłał, i korale, przesłane przez moją księżną panią, na szyi, listy w ręku i posłaniec stał przede mną, a mimo to mniemałam i myślałam, że to wszystko, co widzę i czego się dotykam, jest snem; bo

któż mógłby pomyśleć, że koziarz może stać się wielkorządcą wyspy? Wiesz, przyjacielu, jak mówiła moja matka, że trzeba żyć długo, aby wiele zobaczyć; mówię to, bo mam nadzieję więcej ujrzeć, jeśli dłużej pożyję; nie myślę spocząć, póki nie oba-

czę cię dzierżawcą czy poborcą. To są urzędy - niech diabeł porywa, kto źle używa - na których, koniec końców, zyskuje się, obracając pieniędzmi. Moja pani księżna powie ci, jak bardzo pragnę udać się do stolicy, rozważ to i napisz, co o tym myślisz; postaram się przynieść ci zaszczyt, jadąc tam w karocy. Proboszcz, cyrulik i bakałarz, a nawet zakrystian, nie mogą uwierzyć, abyś był wielkorządcą, i mówią, że to wszystko "na niby" albo czary, jak owe wszystkie twe-

go pana Don Kichota. Samson powiada, że należy pojechać do ciebie i wybić ci to wielkorządztwo z głowy, a Don Kichotowi szaleństwo z mózgownicy. Ja nic, tylko się śmieję i oglądam mój naszyjnik, i wymyśliłam suknię, jaką z twoego stroju chcę zrobić dla naszej córki.

Posyłam mej księżnej pani nieco żołędzi; chciałabym, aby były ze złota. Przyslij mi kilka sznurów perel, jeśli je na tej wyspie noszą.

Oto wiadomości wioskowe: Berrueca wydała swą córkę za malarza bazgracza, który przybył do wioski malować, co się nadarzy. Rada gminna poleciła mu namalować herb Jego Królewskiej Mości nad bramą ratusza; zażądał dwóch dukatów, zapłacono mu z góry, pracował osiem dni, a w końcu nic nie namalował, mówiąc, że rady dać nie może z malowaniem tylu głupstewek, i pieniądze oddał. Nie

Don Kichote - Miguel Cervantez

620 przeszkodziło mu to ożenić się, korzystając ze sławy dobrego pracownika; co

prawda, zostawił pędzle i wziął się do motyki, w pole z nią chadza

jak szlachcic.

Syn Piotra

Lobo otrzymał święcenia i tonsurę, ma zamiar księdzem zostać. Dowiedziała się o tym Minguilla, wnuczka Minga Silbato, i wytoczyła mu sprawę, twierdząc, że jej obiecał małżeństwo. Złe języki głoszą, że jest z jego przyczyny brzemienna, on jednak temu przeczy, co ma sił.

W tym roku nie ma oliwek, a w całej wsi nie znaleźć ani kropli octu. Przeciągała tedy kompania żołnierzy; uprowadzili z sobą trzy wiejskie dziewczęta:

nie chcę ci

mówić które, bo mogą powrócić i znaleźć kogoś, kto je w stadło pojmie z plamą czy bez plamy. Sanczyka robi koronki i zarabia dziennie osiem marawedi na czysto, zbiera je do skarbonki, aby dodać do wyprawy; teraz jednak, kiedy jest córką wielkorząd- cy, ty jej dasz posag i nie potrzebuje nań pracować. Studnia na placu wyschła; piorun uderzył w pregierz, niechby tak we wszystkie!

Czekam na odpowiedź i na postanowienie, czy mam jechać do stolicy; a tymczasem niechaj cię Bóg strzeże przez więcej lat aniżeli mnie albo równie długo; nie chciałabym bowiem ciebie samego na świecie zostawić.

Twoja żona

Teresa Pansa

Listy wysławiano, uśmiano się z nich, szacowano je i podziwiano, a jakby dla przypieczętowania przybyły posłaniec, którego był Sanczo wyprawił do Don Kichota z listem, ten również odczytano publicznie i podał on w wątpliwość głupotę wielkorządcy. Księżna oddaliła się, chcąc dowiedzieć się od pazia, co zaszło w wiosce Sancza, a ten jej szczegółowo opowiedział, nie opuszczając żadnej okoliczności; oddał jej żołędzie, a w dodatku ser, jaki mu Teresa wręczyła, jako wyśmienity i prze- wyższający sery z Tronchon. Księżna przyjęła to z wielkim zadowoleniem i pozostawimy ją w nim, aby opowiedzieć, na jaki koniec przyszło rządom wielkiego

Sanczo Pansy, kwiatu i zwierciadła wszystkich wyspiarskich wielkorządów. ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI o przykrym końcu i kresie rządów Sanczo Pansy

Don Kichote - Miguel Cervantez

Myśleć, że w tym życiu rzeczy doczesne zawsze trwać będą niezmiennie, to wierzyć w niemożliwość; przeciwnie, wydaje się, że wszystko w koło krąży, to znaczy, kołem się toczy; po przedwiośniu przychodzi wiosna, po wiośnie lato, po lecie jesień, po jesieni zima, a po zimie przedwiośnie, i tak toczy się czas ustawniczny kołem; jedynie życie ludzkie ku swemu końcowi bieży szybciej niż wiatr, a bez nadziei odrodzenia się, chyba w drugim życiu, które już kresu nie

ma. 621

Tak mówił Sidi Hamet, filozof mahometański; bo ową ruchliwość i niestałość życia doczesnego, a trwanie wiecznego, którego oczekujemy, dobrze zrozumieli liczni ludzie pozbawieni światła prawdziwej wiary, a jedynie przyrodzoną światłością; tu jednakowoż autor stosuje to do nagłości, z jaką skończyło się, minęło i rozwiało jak cień i dym wielkorządztwo Sanczo Pansy.

Ten siódmej nocy czasu swoich rządów leżał na łożu syt nie tyle chleba i wina, co sądów, rozstrzygania spraw, wydawania statutów i edyktów; kiedy sen pomimo głodu już zaczynał kleić mu powieki, usłyszał tak wielki zgiełk dzwonów i głosów, jakby się cała wyspa miała zapaść. Usiadł na łożu i zaczął słuchać z naprężoną uwagą, aby zdać sobie sprawę, co mogło być przyczyną tak wielkiego rwetestu. Nie tylko nic nie pojął, ale kiedy do wrzawy głosów i dźwięku dzwonów dołączyły się jeszcze niezliczone trąby i bębny, zmieszał się ogromnie i zdjął go strach i przerażenie,

wyskoczył z łoża, włożył pantofle dla wilgotności posadzki i nie wdzewając szaty porannej ani nic w tym rodzaju, wyszedł na próg swej komnaty. Wówczas ujrzał biegących przez korytarze około dwadzieścia osób z płonącymi pochodniami w ręku i dobytymi szpadami, krzyczących wniebogłosy:

- Do broni! Do broni! Panie wielkorządco, do broni! Mrowie nieprzyjaciół wdarło się na wyspę, zgubieniśmy, jeśli nas nie utratuje wasza przemyślność i męstwo.
- Z tym wrzaskiem, gwałtownością i w tłumnym nieładzie dotarli do Sancza, który stał zdziwiony i oglupiały tym, co widział i słyszał, a kiedy się zbliżyli, jeden z nich rzekł:
 - Uzbrójcie się, wasza wielmożność, jeśli nie chcecie waszej zguby i zatrzycałej wyspy.
 - Ja mam się zbroić? - odrzekł Sanczo. - Ani ja wiem, jak się zbroić, ani jak pomagać! Lepiej byłoby te sprawy zostawić mojemu panu Don Kichotowi, który w mgnieniu oka z tym skończy i temu da radę; ale ja, biedny grzesznik przed Bogiem, nic się na tych kotłowaniach nie rozumiem.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Ach, panie wielkorządco! - rzekł ów. - Cóż to za gnuśność? Zbrójcie się, wasza miłość; oto przynosimy broń zaczepną i odporną. Wyjdźcie tam na plac i bądźcie naszym przewodnikiem i wodzem, bo wedle prawa nim być macie, będąc naszym wielkorządcą. - No, to dobrze, niechże mię już uzbroją! - odpowiedział Sanczo.

Podali wówczas dwie pawęże, które ze sobą mieli, i nie dając mu włożyć żadnej innej odzieży, wprost na koszulę przyłożyli mu jedną z przodu, drugą z tyłu; przez boczne otwory wyciągnęli mu ramiona i mocno go obwiązały sznurami, tak że uwięziony i zamurowany, wyprostowany jak wrzeciono, nie mógł ani kolan zgiąć, ani postąpić krokiem. Do ręki podali mu dzidę, którą się podparł, nie mogąc się na nogach utrzymać. Kiedy go tak oporządzili, kazali mu iść na ich czele i do walki wszystkich zagrzewać; on bowiem jest ich gwiazdą polarną, latarnią i jutrzenką i potrafi dobrze sprawy poprowadzić.

- Jakże ja mam iść, nieszczęsny - odpowiedział Sanczo - kiedy rzepką kolanową poruszyć nie mogę, bo przeszkaďają mi te deski, tak do ciała mego przytwierdzone? Jedno, co zrobić możecie, to wziąć mię na ramiona i położyć mię

622 w poprzek albo też postawić w jakiejś farcie, a ja jej

będę bronił albo dzidą, albo własnym ciałem.

- Naprzód, panie wielkorządco - odpowiedział tamten - raczej to strach niż deski nie pozwalają się wam ruszyć krokiem; kończcie i pozbierajcie się, jest bowiem późno, nieprzyjaciel rośnie, wrzawa się wzmagając, niebezpieczeństwo zwiększa. Na te argumenty i wyrzuty wielkorządca usiłował się poruszyć, lecz padł na ziemię całym ciężarem tak silnie, że zdawało się, iż rozleci się w kawałki. I tak pozostał jak żółw zamknięty i zakryty w swych skorupach, jak szynka przygnieciona w dzieży albo jak lódź osiadła na piasku; ten jego upadek nie wzbudził litości u tej zgrai prześmiewców, przeciwnie, pogasiwszy pochodnie, wzmagli krzyki, nawołując: "Do broni, do broni!", tłumnie przebiegali po nieboraku Sanczu, nieskończone razy uderzając w pawęże, tak że gdyby się nie skulił i nie skurczył, chowając głowę pod puklerze, byłoby z nim źle. On zaś skulony w tej ciasnoci, pociągnął się aż do ostatnich potów i z całego serca polecał się Bogu, aby go z

niebezpieczeństwa wytargnął. Jedni

deptali po nim, inni padali nań, a taki się też znalazł, który dobrą chwilę stał na nim i stamtąd jakby ze stołu wojskami kierował i wielkim głosem nawoływał: - Tutaj nasi! Bo z tej strony nacierają silniej wrogowie! Brońcie tej furty, zamykajcie bramę! Zatarasować te schody! Przynieście tu żar, smołę, żywicę i kotły wrzącej oliwy! Zabarykadować ulice materacami! - I tak wymieniał w zapamiętaniu wszystkie rupiecie, instrumenty i pociski wojenne, służące zwykle do obrony miasta przed atakiem, a Sanczo, potłuczony, który wszystkiego słuchał i wszystko cierpiał, mówił do siebie: "Och, niechby Bóg łaskawie zdarzył, aby się już ta zatrata wyspy dopełniła i abym umarły czy żyw wydostał się z tego wielkiego ucisku". Wysuchało niebo jego błagania i kiedy najmniej się spodziewał, usłyszał głosy wołające:

- Zwycięstwo! Zwycięstwo! Wróg pokonany! Hejże, panie wielkorządco, podnieście się, pójdziecie radować się zwycięstwem i rozdzielić łupy wzięte na nieprzyjaciołach dzięki dzielności waszego niezwyciężonego ramienia.

- Podnieście mię - rzekł zboalałym głosem obolały Sanczo.

Pomogli mu się podnieść, a kiedy stanął, rzekł:

- Niechaj mi wroga, którego zwyciężyć miałem, przybiją do czoła. Nie chcę dzielić łupów nieprzyjacielskich, jeno proszę i błagam kogoś przyjaznego, o ile mam takiego, aby mi podał łyk wina, aby mię osuszył i otarł z tego potu, bo cały płynię w wodzie.

Otarli go, przynieśli wina, odwiązali pawęże, usiadł na łóżu i omdlał ze strachu, wzruszenia i zmęczenia. Już owe żarty zaczynały ciążyć prześmiewcom; ale kiedy Sanczo do przytomności wrócił, przygasła przykrość, jaką omdlenie jego w nich zbudziło. Zapytał, która godzina; odpowiedziano, że już świta. Zamilkł, nie mówiąc i słowa, zaczął się odziewać pogrążony w milczeniu, a wszyscy patrzyli nań i czekali, dokąd zmierza ten pośpiech, z jakim wkładał ubranie. Przyodziął się wreszcie i powolutku, bowiem był zmłócony i nie mógł iść spieszniej, udał się do stajni, a wszyscy przytomni szli za nim. Podszedł do siwka, objął go, pocałowanie pokoju dał mu w czoło i głosem leż pełnym przemówił: s t o ł p - wieża obronna w zamkach średniowiecznych, wzroszona w obrębie murów.

|

623

- Pójdziecie, towarzyszu mój i przyjacielu, i współcierpietniku moich trudów niedoli; szczęśliwe były me godziny, me dni i me lata, kiedy żyłem z wami i o niczym nie myślałem, jeno o trosce, jak naprawić waszą uprząż i nakarmić wasze cia-

Don Kichote - Miguel Cervantez

łeczko; ale odkąd porzuciłem was i wstąpiłem na wieżyce ambicji i pychy, w duszę mi wkroczyły tysiączne niedole, tysiączne trudy i cztery tysiące niepokojów. I mówiąc tak, okulbaczył osła własnoręcznie, a nikt słowa nie pisnął. Potem, kiedy okulbaczył siwka, z wielkim trudem dosiadł go i zwracając swe słowa do marszałka, sekretarza, mistrza ceremonii i do Piotra Recio, doktora, oraz do innych wielu tam obecnych, rzekł:

- Dajcie mi przejazd wolny, panowie moi, i pozwölcie mi wrócić do dawnej swobody, pozwölcie, abym dawnego życia poszukał, abym zmartwychwstał z tej obecnej śmierci. Nie urodziłem się, aby być wielkorządcą ani aby bronić wysp czy miast przed wrogami, którzy je napastują. Lepiej rozumiem się na orce i kopaniu, na przycinaniu i prowadzeniu winnych latorośli niż na wydawaniu praw i obronie prowincji czy królestw.

Świętemu Piotrowi dobrze w Rzymie; chcę rzec, niech każdy zajmuje się tym, do czego się urodził. Lepiej przystoi mi sierp w ręku niżli berło wielkorządcy, wolę napchać się zupy wiejskiej niż być zdanym na łaskę bezczelnego medyka, który mię chce głodem zamorzyć; i wolę spoczywać latem w cieniu dębu i otulać się kożuchem w zimie na swobodzie niż w niewoli rządzenia leżeć na holenderskich płotnach i przyodziewać się w cebole. Ostańcie z Bogiem, ichmość panowie, i powiedzcie księciu, memu panu, że nagi na świat przyszedłem i nago odchodzę, ani nie straciłem, ani nie zyskałem; chcę rzec, że bez srebrnika na to wielkorządzstwo wstąpiłem i bez niego odchodzę, przeciwnie zaiste niż zwykli odchodzić wielkorządcy innych wysp. Rozstąpcie się, pozwölcie mi odejść, jadę się plastrami obłożyć, bo zdaje mi się, jakbym miał wszystkie żebra połamane dzięki nieprzyjaciołom, którzy tej nocy po mnie deptali.

- Tak nie może być, panie wielkorządczo - rzekł doktor Recio - dam ja wam driakiew na upadki i obrażenia, która was rychło do pierwotnej krzepy i zdrowia powróci; co się jedzenia tyczy, to obiecuję waszej miłości poprawić się i pozwolić mu jeść w obfitości wszystko, na co będącie mieli ochotę.

- Za późno piejesz! - odpowiedział Sanczo. - Tak odejścia zaniecham, jak zostanę Turkiem. Tych żartów dwa razy powtarzać nie można. Na Boga! Tak tu zostanę albowi przyjmę inne wielkorządzstwo - choćby mi je ofiarowano z wielką parą-jak ulecę do nieba bez skrzydeł. Jestem z rodu Pansów, którzy wszyscy są uparci, i kiedy raz powiedzą "nie do pary", "nie do pary" zostanie tak wbrew całemu światu, choćby było "do pary". Niech w tej stajni pozostaną skrzydła mrówcze², które mnie w powietrzu uniosły, aby mię podziobały jerzyki i inne ptaki. Za-

Don Kichote - Miguel Cervantez

wróćmy, aby chodzić po ziemi własnymi nogami; a jeśli ich nie przystroją trzewiczki 1 To przysłowiowe powiedzonko objaśnia opowiadka o biednym studencie: łykając jajko, w którym już uformowane pisklę zapiało mu w przełyku, nic sobie z tego nie robił przełknął je, mówiąc: "Za późno piejesz!".

2 Aluzja do hiszpańskiego przysłownia: "Dał Bóg skrzydła mrówce, aby rychlej zginęła". 624 z wyciskanego kordobanu, nie zabraknie postołów z łyka. Każda owca ze swoją równą... i niech nikt nie wyciąga nóg poza prześcieradło2; puśćcie mnie, bo już robi się późno.

Na to odezwał się marszałek:

- Panie wielkorządco, chętnie damy waszej miłości odjechać, ale ciężko nam bardzo, że go tracimy; dla waszego umysłu, waszego chrześcijańskiego sposobu postępowania radzi byśmy was zatrzymać; jeno wiedzieć, że każdy wielkorządca, zanim opuści ziemię, którą rządził, jest obowiązany wpierw udać się na rezydencję; zdajcie, wasza miłość, sprawę z tych dziesięciu dni waszych rządów i jedźcie w pokoju z Bogiem.

- Nikt tego ode mnie żądać nie może - odpowiedział Sanczo - chyba ten, którego upoważnił książę, mój pan. Jadę stanąć przed księciem i jemu zdam sprawę dokładnie; tym bardziej że odjeżdżając goły, jak odjeżdżam, nie potrzebuję innego dowodu, że rządziłem jak anioł.

- Na Boga, słusznie prawi wielki Sanczo - rzekł doktor Recio - mniemam, że należy mu pozwolić jechać, książę rad go bardzo zobaczy. Wszyscy zgodzili się na to i puścili go wolno, ofiarując mu swe towarzystwo i wszystko, czego by sobie życzył dla siebie i dla wygody w podróży. Sanczo odrzekł, że nic mu nie trzeba, tylko trochę obroku dla siwka oraz pół gomółki sera i pół chleba dla niego; podróż bowiem jest tak krótka, że nie potrzeba lepszych ani większych zapasów. Uścisali go wszyscy, on zaś, płacząc, oddał im uścisk i pozostawił ich zdumionych zarówno jego słowami, jak jego postanowieniem tak stanowczym i mądrym.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY
opowiada o sprawach dotyczących tej, a nie innej historii

Don Kichote - Miguel Cervantez

Książę i księżna postanowili, że wyzwanie, jakie Don Kichote rzucił ich poddanemu, będzie szło swoim trybem; a ponieważ młodzian przebywał we Flandrii, gdzie uciekł, nie chcąc mieć Doni Rodriguez za teściową, polecili, aby jego miejsce zajął pokojowiec Gaskończyk, Tosilos, którego wpierw dobrze pouczyli, jak ma postępować. Po upływie dwóch dni książę zawiadomił Don Kichota, że za cztery dni przybędzie jego przeciwnik i stawi się w szrankach, w uzbrojeniu rycerskim, utrzymując, że panna kłamie na pół brody albo nawet na całą, twierdząc, jakoby dał jej słowo, że się z nią ożeni. Don Kichote bardzo był rad z tych nowin i obiecywał sobie cudów dokazać w tym wypadku, poczytując za wielkie szczęście tę sposob-

1 postoły- chłopskie obuwie z łyka lub skóry, przywiązywane do nogi sznurkiem. 2 Tzn. nie wywyższa się ponad swój stan.

625

ność, z której owi księstwo poznać będą mogli, dokąd sięga męstwo jego potężnego ramienia; tak przeto uradowany i zadowolony oczekiwał końca owych dni czterech, które obliczane jego niecierpliwością wlokły się jakby czterysta wieków. Pozwólmy im płynąć (jak innym rzeczom pozwoliliśmy przemijać) i wracajmy towarzyszyć Sanczowi; ten na poły smutny, a na poły wesoły, jechał na swoim siwku w poszukiwaniu pana, którego towarzystwo było mu milsze niż wielkorządztwa wszystkich wysp na świecie. Zdarzyło się, że nie ujechał daleko od swej wyspy (bo nigdy nie zatroszczył się, aby się dowiedzieć, zali wyspą, miastem, miasteczkiem czy też wsią była jego dziedzina), kiedy spostrzegł idących tą samą drogą naprzeciw sześciu pielgrzymów z kosturami, z tych cudzoziemskich, co to o jałmużnę proszą, śpiewając; ci, kiedy już byli blisko, ustawiли się w dwa rzędy i podniósłszy głosy, wszyscy wraz zaczęli śpiewać w swoim języku coś, z czego Sanczo zrozumiał tylko jedno słowo wyraźnie wypowiedziane: „jałmużna”, i stąd wywnioskował, że śpiewem tym o jałmużnę proszą, a będąc -jak powiada Sidi Hamet ogromnie litościwy, wyciągnął ze swych biesagów pół chleba i pół sera, w które się zaopatrzył na drogę, i oddał im, dając na migi do poznania, że nic innego nie posiada, aby im ofiarować. Oni przyjęli to bardzo ochotnie, ale jeli wołać: -Gelt\gelt!

- Nie rozumiem - odparł Sanczo - czego chcecie ode mnie, zaci ludzie? Na to jeden z nich wyciągnął z zanadrza sakiewkę i pokazał Sanczowi, dając do poznaki, że pieniądze żądają; on zaś przytknął kciuk do grdyki, rozstawiając inne

Don Kichote - Miguel Cervantez

palce szeroko od góry do dołu, na znak, że nie ma ani grosza, i spiąwszy siwka, chciał ich wyminąć; ale kiedy przejeżdżał mimo, jeden z nich, przyjrzał się mu

z wielką uwagą, zatrzymał go i objąwszy go ramionami, głosem donośnym, najczystszyim kastylskim językiem zawałał:

- Na Boga! Cóż ja widzę? Czyż to możliwe, abym w ramionach trzymał drogiego drucha i sąsiada, dobrego Sanczo Pansę? Zaiste, trzymam go ani chybi, ani bowiem śnię, ani nie jestem w tej chwili pijany.

Sanczo zdumiał się, usłyszawszy, że go ktoś własnym imieniem nazywa i że go obejmuje cudzoziemski pielgrzym, bo chociaż wpatrywał się weń bez słowa z wielką uwagą, nie mógł go ani rusz poznać; tedy pielgrzym, widząc jego niepewność, rzekł:

- Jak to możliwe, bracie Sanczo Pansa, abyś nie poznał twego sąsiada, Ricotamoryska, przekupnia z twojej wsi?

Wówczas Sanczo przypatrzył mu się z jeszcze większą uwagą, zaczął go sobie przypominać, a w końcu całkiem go rozpoznał i nie zsiadając z siodła, zarzucił mu ramiona na szyję, mówiąc:

- Jakiż diabeł mógłby cię poznać, Ricote, w tym przebraniu z maskarady?

Powiedz mi, kto z ciebie zrobił Francuzika i jak odważasz się wracać do Hiszpanii, gdzie jeśli cię złapią i poznają, będziesz się miał z pyszna?

- Jeżeli ty mię nie wydasz, Sanczo - odpowiedział pielgrzym - jestem pewny, że w tym przebraniu nikt mię nie pozna; zejdźmy z drogi do tego

topolowego gaju, który tam widać, gdzie moi towarzysze chcą odpocząć i posilić się; i ty zjesz z nami, Zamiast Geld (niem.) - pieniądze.

626 są to bardzo spokojni ludzie, a ja będę miał sposobność opowiedzieć ci, co mię spo- tkało od czasu, jak opuściłem naszą wioskę posłuszny edyktowi Jego Królewskiej

Mości, tak groźnemu i surowemu dla mego nieszczęsnego narodu, jak słyszałeś. Sanczo przystał na to, Ricote pogadał z innymi pielgrzymami i usunęli się do gaju topolowego, który widać było w znacznym oddaleniu od gościa. Odłożyli kostury, zdjęli kaputy i pozostały w spodniach, a wszyscy byli młodzi i urodziwi, z wyjątkiem Ricota, ten był w latach dostały. Wszyscy wyciągnęli sakwy, które wydawały się dobrze zaopatrzone, przynajmniej w rzeczy podniecające, co to na dwie mile o trunek wołają. Rozłożyli się na ziemi i na murawie, która im za obrus służy-

Don Kichote - Miguel Cervantez

ła, postawili chleb, sól, noże, orzechy, gomółki serów i dobrze oskrobane kości z szynki, tych wprawdzie żuć nie można było, ale można je było wysysać. Podali również czarną potrawę, mówiąc, że zowie się kawior, sporządzoną z ikry rybiej i bardzo pobudzającą pragnienie. Nie brakło oliwek, choć suchych i bez żadnej przyprawy, jednak smakowitych i ożywcznych. Ale największymi triumfatorami na polu tego bankietu było sześć bukłaków wina; każdy bowiem ze swej sakwy jeden wyciągnął, nawet zacny Ricote, który z moryska przedziergnął się w Niemca, czyli Szwaba, swój wydobył, który wielkością innym pięciu dorównywał.

Zaczeli pojadać z wielkim smakiem i bardzo powoli, rozkoszując się każdym kęsem, który brali końcem noża po odrobinie z każdej rzeczy, a potem wszyscy równocześnie podnosili ramiona z bukłakami w górę, włożywszy ich ustniki w wargi, i z oczyma w niebo utkwionymi, jakby mierzyli do celu; w ten sposób przechylając głowy to na jedną, to na drugą stronę - co świadczyło o doznawanej rozkoszy - trwali dobrą chwilę, przelewając w swoje żołądki zawartość mieszka. Sanczo przypatrywał się temu i bynajmniej nie użalał się, przeciwnie, aby zadośćuczynić przysłowiu, które znał dobrze: Kiedy będziesz w Rzymie, tańcuj razem z nimi - poprosił Ricota o bukłak i celował w niebo z nie mniejszą od nich przyjemnością. Czterykroć podnoszono w górę bukłaki, ale za piątym razem nie było to możliwe, były już bowiem bardziej wyczerpane i wyschnięte niż janowiec, co ogromnie przygasło wesołość, jaką dotychczas okazywali. Od czasu do czasu któryś ściskał prawicę Sancza, mówiąc: "Szpaniery i Niemcy, wsitko jetno, topry kamrat", a Sanczo odpowiadał: "Dobry kamrat, przysięgam Bogu!", i wybuchał śmiechem, który rozlegał się przez godzinę, nie pamiętając już nic z tego, co mu się na wielkorządz-
twie przytrafiło, bowiem nad czasem i wywczasem, kiedy sieje i pije, frasunki nie mają władzy. W końcu, kiedy skończyło się wino, zaczął się sen, który wszystkich zmorzył; zasnęli na tych samych stołach i obrusach, na których siedzieli; jedynie

Ricote i Sanczo czuwali, bo jedli więcej, a mniej pili;
odeszli obaj nieco na stronę, usiedli u stóp buka,
zostawiając pielgrzymów w słodkim śnie
pogrążonych, i Ricote, nie wpadając ani razu w swój język morysków, tak przemówił czystym kastylskim
językiem:

- Dobrze wiecie, o Sanczo Pansa, sąsiedzie i druhi mój, jaką trwogę i przerażenie pośród naszych wzbuďo wywołanie i edykt wydany przez Jego Królewską Mość przeciwko naszemu narodowi; a przynajmniej na mnie takie wrażenie zrobiły, że

Don Kichote - Miguel Cervantez

zdawało mi się, iż jeszcze przed czasem wyznaczonym nam na opuszczenie Hiszpanii już spadnie na mnie i na moje dzieci cała srogość kary. Postanowiłem

627

przeto, zdaje mi się, roztropnie (jak ten, który wie, że musi w określonym czasie opuścić dom, w którym żyje, i postarać się o inny, gdzie by się przesiedlić), posta-

nowałem, mówię, wyjechać sam bez rodziny z mej wioski i udać się na poszukiwanie, gdzie bym mógł przewieźć rodzinę wygodnie i bez pośpiechu, z jakim inni wyjeżdżali; zdawałem sobie dobrze sprawę - podobnie jak starsi naszego narodu że owo wywołanie nie było próżnymi groźbami, jak niektórzy prawili, ale prawdziwymi ustawami, które miały być w oznaczonym czasie w życiu wprowadzone; a umocniła mię w tym przekonaniu wiadomość o zgubnych i szaleńczych zamiarach, jakie nasi żywili, a które były takie, iż chyba natchnienie Boże skłoniło Jego

Królewską Mość do powzięcia tak śmiałego postanowienia; nie, abyśmy wszyscy winni byli, nie brakło bowiem pośród nas szczerych i prawdziwych chrześcijan, ale byli oni tak nieliczni, że nie w ich mocy było przeciwstawić się innym, którzy nimi nie byli, i nie należało karmić węża na łonie, trzymając w swym domu wrogów. Słusznie tedy zostaliśmy ukarani wygnaniem, karą, która niejednym wydała się łagodna i lekka, ale która dla nas była najsroższą, jaką sobie wyobrazić można. Gdziekol-

wiek byliśmy, opłakiwaliśmy Hiszpanię; tuśmy się przecie rodzili i ona jest naszą prawdziwą ojczyzną; w żadnym kraju nie doznajemy przyjęcia, jakiego nasza niedola żąda; właśnie w Berberii i we wszystkich częściach Afryki, gdzie spodziewaliśmy się przyjęcia, wsparcia i gościny, prześladując nas i znęcają się nad nami naj-

bardziej. Nie znaliśmy naszego szczęścia, pókiśmy go nie stracili; a tak wielka jest w nas tęsknota, że prawie wszyscy pragnelibyśmy powrócić do Hiszpanii, a znaczna większość tych, którzy język znają tak jak ja (a są oni liczni), powraca, pozosta-

wiąjąc swoje żony i dzieci bez oparcia: taka jest w nich miłość do kraju; teraz wiem z doświadczenia, co znaczy powiedzenie: "Słodka jest miłość ojczyszny". Kiedy opuściłem, jak rzekłem, naszą wieś, udałem się do Francji i chociaż tam doznałem dobrego przyjęcia, chciałem zwiedzić wszystko. Przejechałem Włochy i dostałem się do Niemiec, i zdawało mi się, że tam będzie można żyć najswobodniej, bowiem mieszkańcy nie zważają na drobiazgi: każdy żyje, jak chce, bo przeważnie panuje tam

Don Kichote - Miguel Cervantez

wolność sumienia. Wynająłem w pewnej wiosce pod Augsburgiem dom, przyłączyłem się do tych pielgrzymów, którzy mają zwyczaj co roku udawać się do Hiszpanii, aby odwiedzać jej miejsca święte, które są dla nich jakby drugimi Indiami, krają pewnego zysku i dobrego zarobku. Przebiegają oni cały kraj i nie masz wioski, z której by nie wyszli nakarmieni i napijeni, jak to się mówi, a przynajmniej z jednym realiem w kieszeni; przy końcu swej podróży mają ponad sto talarów zysku, wymieniają to na złoto i chowają czy to we wnętrzu swych kosturów, czy to pod łatami swych kapot, czy to innym możliwym przemyśle - wynoszą je z królestwa do swoich krajów, na przekór strażom granicznym i portowym, u których zgłaszać się mają. Teraz moim zamiarem jest odkopanie ukrytego skarbu, jaki zostawiłem, mogę to uczynić bezpiecznie, jest to bowiem daleko od miejsc zamieszkałych, a potem napisać z Walencji albo dostać się samemu do mej córki i żony, które, jak wiem, przebywając w Algierze, aby jakimś sposobem przewieźć je do jednego z portów francuskich, a stamtąd zabrać je do Niemiec, gdzie oczekiwane będą dalszych planów Bożych wobec nas. Jestem bowiem pewny, że Ricota, moja córka, i Franciszka Ricota, moja żona, są dobrymi katolickimi, a choć ja im nie

628

dorównam, jednak więcej mam z chrześcijanina niż Maura i zawsze modlę się do Boga, aby otworzył oczy mego umysłu i natchnął mię, jak mam mu służyć. Dziwię się tylko temu, dlaczego moja żona i córka udało się raczej do Berberii niż do Francji, gdzie mogłyby żyć jako chrześcijanki.

Na to odpowiedział Sanczo:

- Zważ, Ricote: to nie od nich zależało, zabrał je bowiem Juan Tiopieyo, brattwej żony, a musi on być prawym Maurem, postąpił, jak mu się najlepiej wydawało; i wiesz, co ci jeszcze powiem? Ja myślę, iż na próżno udajesz się na poszukiwanie tego coś zakopał; bo doszły nas słuchy, że twemu szwagrowi i twej żonie zabrano mnóstwo złotych monet i perel, które do zapisu nosili.
- Bardzo to być może - odparł Ricote - ale wiem, Sanczo, że nie dostali się domego schowka, bo nie wyjawiłem im, gdzie był, lękając się jakiegoś nieszczęścia; przeto, Sanczo, gdybyś ty chciał pójść ze mną i pomóc mi wykopać i ukryć skarb, dałbym ci dwieście talarów, które na swoje potrzeby obrócisz, a wiem dobrze, że masz ich wiele.
.....
- Zrobiłbym to może - odpowiedział Sanczo - aleja nijak chciwy nie jestem; gdybym nim był, nie wypuściłbym dziś rano z rąk urzędu, dzięki któremu byłbym mógł

Don Kichote - Miguel Cervantez

ściany mego domu mieć ze złota, a do sześciu miesięcy jadać na srebrnych półmiskach; i dlatego, a także dla przekonania, że zdradzałbym mego króla, popierając jego wrogów, nie pójdę z tobą, choćbyś mi miasto dwustu talarów dodał i czterysta bitych.

- A cóż to za urząd porzuciłeś, Sanczo? - zapytał Ricote.
- Urząd wielkorządcy pewnej wyspy - odpowiedział Sanczo - i to takiej, żerównej jej nie znaleźć na trzy strzelenia. - A gdzież jest owa wyspa? - zapytał Ricote.
- Gdzie? - odparł Sanczo. - O dwie mile stąd i nazywa się wyspa Barataria.
- Nie gadaj, Sanczo - rzekł Ricote - wyspy są na morzu, a nie masz ich na- Jak to nie? - oburzył się Sanczo. - Mówię ci, Ricote przyjacielu, że tego ranka ją opuściłem, a wczoraj rządziłem nią wedle mej woli, jakby raróg; ale mimo wszystko porzuciłem ją, bo wielkorządztwo wydało mi się urządem niebezpiecznym.
- A cóż zyskałeś na tych rządach? - zapytał Ricote.
- Zyskałem - odpowiedział Sanczo - przekonanie, że nie jestem zdany dorządzenia, chyba trzodą owiec, a że bogactwa, jakie się na takich wielkorządztwach zyskuje, zyskuje się kosztem spokoju, snu, a nawet pożywienia; bowiem na tych wyspach wielkorządcy zmuszeni są jadać mało, szczególnie jeśli mają medyków, którzy baczą na ich zdrowie.
- Nie rozumiem cię, Sanczo - rzekł Ricote - ale zdaje mi się, że gadasz samebrednie. Któź by ci bowiem dał wyspy do rządzenia? Czyż nie było na świecie zdolniejszych od ciebie wielkorządów? Zamilcz, Sanczo, i wróć do rozumu, i rozważ, czy chcesz pójść ze mną, jak ci mówiłem, aby mi pomóc wydobyć skarb, jaki ukryłem (Jest bowiem tego dość, zaiste skarbem może to być nazwane), a dam ci tyle, że ci na życie starczy, jak powiedziałem.
- Już ci rzekłem, Ricote - odparł Sanczo - że nie chcę; musisz się zadowolić tym, że na ciebie donosu nie zrobię, i dalej wędruj szczęśliwie, a mnie pozwól iść 629 moją drogą; wiem bowiem, że słusznie zdobyte dobro się zatraca, ale źle nabycie zatraca się razem ze swym właścicielem.
- Nie mogę nalegać, Sanczo - rzekł Ricote. - Ale powiedz mi: czy byłeś naszej wsi, kiedy odjeżdżali mój szwagier, moja żona i moja córka? - Owszem, byłem - odpowiedział Sanczo - i moge ci rzec, że córka twoja odjeżdżała tak cudna, że kto żył we wsi, wyszedł ją oglądać, i mówili powszechnie, iż jest to najurodzisze stworzenie na świecie. Szła, płacząc i ściskając wszystkie swe przyjaciółki i znajome oraz wszystkich, którzy ją oglądać przyszli, i prosiła

Don Kichote - Miguel Cervantez

wszystkich, aby ją polecali Bogu i Matce Najświętszej, a to z takim wzruszeniem, że i mnie do płaczu przywiodła, a nie jestem zbyt płaksiwy. Zaprawdę, wielu chciało ją ukryć albo porwać w drodze, ale powstrzymywał ich strach, aby się edyktowi królewskiemu nie sprzeciwić. Osobliwie przejęty był Don Piotr Gregorio, ten młody bogaty dziedzic majoratu, którego znasz; mówią o nim, że ogromnie ją miłuje, i odkąd wyjechała, nigdy go w naszej wiosce nie widziano, wszyscy myślimy, że pojechał w jej ślady, aby ją porwać, ale dotychczas żadna wieś nie doszła. - Zawsze podejrzewałem - rzekł Ricote - że ten kawaler kocha się w mej córce; ale ufałem cnocie mej Ricoty, nie martwiłem się tą wielką miłością; musiałeś bowiem nieraz słyszeć, Sanczo, że moryski rzadko, a raczej nigdy nie wdają się w miłość ze starymi chrześcijanami. Moja córka zaś -jak sądzę - więcej troszczyła się o to, aby być dobrą chrześcijanką niż o miłość, i nie dbała o zabiegi owego dzie- dzica.

- Dałby to Bóg - odparł Sanczo - bo obojgu na dobre by to nie wyszło, lecz pozwól mi stąd odjechać, Ricote druhu, chciałbym dziś wieczór dotrzeć tam, gdzie się znajduje mój pan Don Kichote.
- Bóg z tobą, bracie Sanczo; już oto budzą się moi towarzysze, i na nas czasw dalszą udać się drogę. Więc uścisnęli się obaj, Sanczo dosiadł siwka, a Ricote podparł się kosturem i rozstali się.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

o tym, co przydarzyło się Sanczowi w drodze, oraz o innych sprawach, które poznać należy Sanczo, zatrzymawszy się z Ricotem, nie zdołał już dnia tego dojechać do księążęcego zamku; zaledwie na pół mili od niego zaskoczyła go noc, a była bardzo ciemna i nieprzenikliwa; ale że było to wczesne lato, nie martwił się tym zbytnio i zjechał z drogi, chcąc doczekać się ranka; zły i nieszczęsny los jego zdarzył, że szukając miejsca, gdzie by wygodnie mógł się ułożyć, wpadł razem z siwkiem do głębokiej i ciemniusienkiej rozpadliny pomiędzy jakimiś starodawnymi ruinami; spa-

dając, polecał się Bogu z całego serca, przekonany, że nie zatrzyma się aż na sa

630
mym dniu otchłani. Nie stało się tak jednakże, bo w głębokości około trzech sążni

siwek dotknął ziemi, a Sanczo na nim nie doznał żadnego

obrażenia ni szkody. Obmacał całe ciało, powstrzymując oddech, aby przekonać się, zali jest cały, zali

Don Kichote - Miguel Cervantez

gdzieś niezraniony; a widząc się w dobrym stanie, całym i w najlepszym zdrowiu, nie przestawał dziękować Bogu za łaskę mu zdarzoną, bowiem spodziewał się raczej, że zostanie na tysiąc kawałków rozbity. Obmacywać jał też podobnie rękoma ściany jamy, aby sprawdzić, czy nie uda mu się wydostać stamtąd bez niczyjej pomocy; ale były gładkie bez żadnego chwytu, czym zmartwił się ogromnie, zwłaszcza kiedy usłyszał, że siwek skarży się słabiutko i boleśnie; i nie dziwota! Nie skarżył się tak bez przyczyny, bo co prawda w smutnym był stanie.

- Aj! - rzekł wtedy Sanczo Pansa. - Jakież nieprzewidziane upadki czynią na każdym kroku na żyjących na tym marnym świecie! Któż by powiedział, że ten, który wczoraj zasiadał na tronie wielkorządcy wyspy, rozkazując służbie i wasalom swoim, dziś pogrzebany zostanie w jamie, nie znaczając nikogo, kto by go poratował, ani wasala, ani służącego, który by pośpieszył mu z pomocą? Tutaj nam zginąć z głodu przyjdzie, mnie i memu osłu, o ile nie pomrzemy wcześniej, on z potłuczenia i połamania, a ja ze zmartwienia. Gdybym przynajmniej miał takie szczęście jak mój pan, Don Kichote z Manczy, kiedy spuścił się i zagłębił w jaski-

nię owego zaklętego Montesinosa, gdzie go przyjęto lepiej niż we własnym domu, można by rzec, że zastał tam stół zastawiony i przygotowane łoże. Tam oglądał zjawy piękne i zachwycające, a ja, jak myślę, nie ujrzę tu nic krom ropuch i węży. Biada mi! Dokąd zawiodły mię moje szaleństwa i urojenia! Wyciągną stąd moje kości 0 ile niebo pozwoli, aby mię tu odkryto - wyschłe, zbielałe i obgryzione, a wraz z nimi i kosteczki mego siwka, i po tym może poznają, kto jesteśmy, a przynajmniej ci, którzy słyszeli, że nigdy Sanczo Pansa nie rozstawał się ze swym osłem ani osioł z Sanczo Pansą. Jeszcze raz powtarzam: nieszczęśni my, nie chciał bowiem nasz zły los, abyśmy pomarli w ojczyźnie naszej, pośród swoich, gdzie - jeśliby nie zna-

lazł się ratunek dla nas - nie zbrakłoby, kto by się nad nami użalił i zamknął nam oczy w ostatniej godzinie życia. O towarzyszu mój i druhi! Jakże źle ci zapłaciłem za twoją wierną służbę! Przebacz mi i błagaj los, jak najgoręcej potrafisz, aby nas

wytargnął z tego nieszczęsnego utrapienia, w jakie popadliśmy obydwaj; przyrzekam, że ci wieńcem wawrzynu głowę otoczę, abyś wyglądał jak nagrodzony poeta, i dam ci porcje podwójne.

Tak lamentował Sanczo Pansa, a osioł słuchał, nie odpowiadając ni słowem, wielkie bowiem było jego utrapienie i bolesć. W końcu, kiedy cała noc przeszła na

Don Kichote - Miguel Cervantez

żałosnych wyrzekaniach i lamentach, zaświtał dzień, a w jego świetle i jasności ujrzał Sanczo, że nie istniała żadna możliwa możliwość wydobycia się z tej studni bez czyjejś pomocy; przeto jał znów zawodzić i wołać, chcąc, aby go ktoś usłyszał; ale wszystkie jego nawoływanie były głosem na puszczy, bowiem w całej okolicy nie było nikogo, kto by go mógł słyszeć; miał się przeto już za umarłego. Siwek leżała z pyskiem zadartym, Sanczo Pansa zdolał go podnieść na nogi, na których ten jednak ledwie mógł się utrzymać. i dobywszy z biesagów, które los ich

w upadku podzieliły, kawałek chleba, podał go osłu, który nim nie pogardził, zaś Sanczo przemówił doń, jakby on mógł go zrozumieć:

- Wszystkie bolesci można znieść, jeśli ma się chleb. 631

Wtem odkrył w jednej ścianie jamy otwór tak wielki, że mógłby się tam zmieścić człowiek, schyliwszy się i skurczywszy. Podszedł bliżej Sanczo Pansa, włazł tam na czworakach i przekonał się, że dalej jama się rozszerza i powiększa; zauważa też zdołał, że przez to, co nazwać można było dachem, przenikał promień słońca i oświetlał wnętrze. Ujrzał też, że otwór przedłużał się i rozszerzał w obszerną pieczarę; ujrzałszy to, powrócił tam, gdzie zostawił osła, i kamieniem jał ryć ziemie dookoła otworu; niebawem powiększył go tak, iż osioł mógł tam wejść z łatwością, wciągnął go więc i prowadząc za użdzienicę jał posuwać się naprzód wzdłuż groty, szukając, czy nie znajdzie drugiego wyjścia na świat. Kroczył tak raz w ciemności, raz w półmroku, ale zawsze ze strachem.

"Boże Wszechmogący, bądź mi ku pomocy! - mówił do siebie. - To, co dla mnie jest nieszczęściem, byłoby szczęściem dla mego pana Don Kichota. Jemu by te jaskinie i jamy były ogrodami kwietnymi i pałacami Galiany¹ i byłby przekonany, że z tej ciemni i ciasnoty wyjdzie na kwietną ląkę, ale ja, chudzinka bez rozumu i bez odwagi, na każdym kroku myślę, że pod stopami myimi otworzy się nagle inna czelność, jeszcze głębsza niż tamta i pochłoniemię w końcu. Błogosławione nieszczęście, które samo jedno przychodziś".

W ten sposób i wśród takich myśli zdawało mu się, że uszedł nieco więcej niż pół mili, kiedy wreszcie dostrzegł niepewną jasność, jakoby dnia, która przenikała przez jakąś szparę i zapowiadała wyjście z tej drogi, która dlań była drogą z innego życia.

Tu pozostawia go Sidi Hamet Ben Engeli i powraca, aby opowiadać o Don Kichocie, który, pełen niecierpliwości i zadowolenia, czekał dnia wyznaczonego na

Don Kichote - Miguel Cervantez

spotkanie z rabuśnikiem czci córki pani Rodriguez; zamysłał naprawić jej krzywdę i pomścić zniewagę tak niepoczciwie jej wyrządzoną. Otóż zdarzyło się, że kiedy pewnego ranka wyjechał konno, aby wprawić się i wypróbować w grze rycerskiej, do jakiej stanąć miał nazajutrz w pojedynku, i kiedy spiął Rosynanta do ataku, ten

nogami dotknął głębokiej rozpadliny i gdyby Don Kichote nie ściągnął z całej siły wodzów, byłby niezawodnie w nią wpadł. Udało się rycerzowi zatrzymać go i nie wpaść, a zbliżywszy się nieco, nie zsiadając z konia,tał oglądąć tę zapadłość; kiedy tak stał i patrzył, usłyszał wołanie z głębi; a słuchając uważniej, zdołał rozróżnić i zrozumieć w krzykach tych słowa:

- Hej! Tam na górze! Czy jest tam jakaś chrześcijańska dusza, która mię słyszy, albowi jakiś litościwy rycerz, który zmieluje się nad pogrzebanym za życia grzesznikiem, nad nieszczęsnym odstawionym wielkorządcą?

Don Kichotowi zdało się, że słyszy głos Sanczo Pansy, co zdumiało go i przeraziło; więc podniósłszy głos, jak tylko zdołał, krzyknął:

- Kto tam jest na dole? Kto się tak uskarża?

- A który by mógł być tutaj i komu się skarżyć przystoi - odpowiedziano - jak nie zabłąkanemu Sanczo Pansie, który za swe grzechy i na swój zły trafunek został. Według podania Galiana była księżniczką arabską, córką Gadafifa, który wzniósł jej w Toledo nad Tagiem wspaniały pałac. Nazwę pałaców Galiany noszą dziś ruiny rzymskie w parku przy moście Alcantara w Toledo.

632 wielkorządcą wyspy Barataria, a był giermkiem

słynnego rycerza Don Kichota z Manczy.

Usłyszawszy to, Don Kichote zdumiał się jeszcze bardziej i przeraził, przyszło mu bowiem na myśl, że Sanczo Pansa musiał umrzeć, a jego dusza tu pokutuje, i w tej myśli zawałał:

- Zaklinam cię na wszystko, na co jako katolik i chrześcijanin zakląć cię mogę, odpowiedz, kim jesteś? Jeśli duszą pokutującą, powiedz, co chcesz, abym dla cię uczynił, bo jako moim powołaniem jest opiekować się i nieść pomoc potrzebującym tego świata, również będę wspomagać i dźwigać udręczonych na tamtym świecie, którzy sami sobie pomóc nie mogą.

- W takim razie - odpowiedziano - wasza miłość, którzy do mnie mówicie, musicie być moim panem, Don Kichotem z Manczy, a nawet po głosie poznaję, że ani chybi to nikt inny być nie może.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Jestem Don Kichote - odpowiedział Don Kichote - ten, który za powinnościbie ma wspomagać i pomocy udzielać żywym i umarłym w ich niedoli. Powiedz mi zatem ty, który mię w zawieszeniu trzymasz, kim jesteś; jeśli jest gierkiem moim Sanczo Pansą umarłym - o ile cię nie porwali diabli - a przez miłosierdzie Boskie teraz jesteś w czyścu, to nasza matka, Kościół rzymskokatolicki, posiada dość sposobów, aby cię wyrwać z mąk, w jakich się znajdujesz; a ja z mej strony starać się będę o to, na ile tylko starczy mój majątek; przeto objaśnij mię wreszcie i powiedz, kim jesteś.
 - Przysięgam na Boga - odpowiedziano - i na życie czyjekolwiek jegomośćby zechciał, panie Don Kichocie z Manczy, że jestem wasz giermek Sanczo Pansa i że póki żyję, nigdy nie umarłem; ale porzuciłem wielkorządztwo z przyczyn i powodów, których tak na poczekaniu wyjaśnić nie sposób; tej nocy wpadłem do tej jamy, gdzie leżę ja i mój siwek ze mną, on mi nie pozwoli skłamać, bo dla lepszego świadectwa znajduje się tuż przy mnie.
- Co więcej, można by rzec, że osioł zrozumiał, co mówił Sanczo, bowiem w tej samej chwili jał ryczeć tak gwałtownie, iż cała grota zadudniała. - Wspaniałe świadectwo! - rzekł Don Kichote. - Znam ten ryk, jakbym go sam wydał, i twój głos słyszę, Sanczo drogi. Poczekaj, jadę do zamku książęcego, który jest stąd blisko, przywiodę ludzi, wyciągnę cię z tej jamy, w którą cię musiały twoje grzechy wrącić.
- Jedźcie, wasza miłość - rzekł Sanczo - i wracajcie co rychlej, na Boga jedynego! Nie mogę już wytrzymać dłużej tutaj, pogrzebany za życia i umierając ze strachu.
- Zostawił go Don Kichote i udał się do zamku opowiedzieć księstwu o wypadkach Sanczo Pansy, czemu się nadziwić nie mogli, chociaż pojeli, że musiał wpaść do odnogi podziemia, które tam od niepamiętnych czasów istniało; nie mogli jeno zrozumieć, dlaczego porzucił wielkorządztwo, nie uwiadomiwszy ich o swym przybyciu. W końcu przyniesiono sznury i liny i przy udziale wielu ludzi z wielkim tru-
- dem wyciągnięto siwka i Sancza z owych ciemnic na światło dzienne. Widząc to, pewien student rzekł:
- W ten sposób powinni wychodzić ze swych rządów żli wielkorządcy, jak tengrzesznik z owej głębokiej czeluści: umarły z głodu, wybladły i bez grosza, jak mi się zdaje. 633
- Sanczo posłyszał to i rzekł:
- Przed ośmiu czy dziesięciu dniami, bracie szemraczu, objałem rządy wyspy, jaką mi dano: w tym czasie zaledwie przez godzinę miałem chleba pod

Don Kichote - Miguel Cervantez

dostatkiem; poza tym prześladowali mię medycy i wrogowie kości mi gnieli; nie miałem czasu ani pobierać datków, ani należności; ajako tak jest, jakjest, nie zasługiwałem, zda-

je mi się, abym w ten sposób wychodził; ale chłop strzela, a Bóg kule nosi, zaś Bóg najlepiej wie, co każdemu na dobre wyjdzie; jaki czas, taki kwas; niech nikt nie mówi:

"Nie będę pić tej wody", gdyż tam, gdzie się spodziewamy znaleźć słoninę, często i haków nie ma; Bóg mię rozumie, to mi wystarcza, nie powiem więcej, chociażbym i mógł.

- Nie gniewaj się, Sanczo, ani nie troszcz się o to, co usłyszysz, gdyż nigdybyś nie skończył; bylebyś ty miał sumienie spokojne, niech gadają, co chcą; starać się zawiązać złe języki to tyle, co chcieć w otwartym polu stawiać bramy. Jeśli wiel- korządca wychodzi z urzędu z bogactwem, mówią o nim, że musiał być złodziejem, jeśli wyjdzie ubogi, że musiał być głupim i półgłówkiem. - Zaiste - odrzekł Sanczo - tym razem raczej będą mię uważać za durnia niżza złodzieja.

Tak rozprawiając, zbliżyli się do zamku w otoczeniu licznych urwiów oraz innych gapiów, tam w jednym z krużganków książę i księżna czekali na Don Kichota i na Sancza; ten jednak nie chciał stanąć przed księciem, zanim wprzód nie oporządził siwka w stajni; twierdził bowiem, że ten zbyt złą noc przebył w schronie; potem zaraz wstąpił na zamek przed oblicze księstwa i ukląkł, mówiąc: - Ja, moi państwo, z woli waszych wysokości, bez nijakiej z mej strony zasługi, udało się na wielkorządztwo waszej wyspy Baratarii; na urząd ten wstąpiłem goły i goły odchodzę: nie straciłem ani nie zyskałem. Czy dobrze, czy źle rządzi-

łem, są świadkowie, którzy powiedzą, co im się będzie podobało. Rozwiązywałem sprawy zawiłe, rozpatrywałem skargi, a wiecznie przymierałem głodem, tak bowiem chciał doktor Piotr Recio, rodem z Tirteafuera, medyk wyspiarski i gubernatorski.

Napadli nas nieprzyjaciele nocą i groziło nam wielkie niebezpieczeństwo, ale mieszkańcy wyspy gadają, że wyszliśmy cało i zwycięsko dzięki mestwu mego ramienia. Niechby tak im Bóg dał zdrowie, jak prawdę gadają. Koniec końców, przez ten cały czas zważyłem ciężary i obowiązki, jakie za sobą rządzenie pociąga, i doszedłem do tego, że co do mnie, nie udźwigną ich moje ramiona, nie są to brzemiona dla moich pleców ani strzały dla mojego kołczana; przeto zanimby mię rządy owe na ziemi zrzucić miały, zapragnąłem prasnąć wielkorządztwem i wzorajszego ranka

Don Kichote - Miguel Cervantez

opuszcilem wyspę tak, jak ją zastałem, z tymi samymi ulicami, domami i dachami, jakie miała, kiedy na nią przybyłem. Nic nie pożyczylem od nikogo ani nic nie zebrałem; a chociaż myślałem o wydaniu pewnych pożytecznych rozporządzeń, nie wydałem żadnego z obawy, że i tak dotrzymane nie będą; najedno przeto wyjdzie, czy wydać je, czy nie wydać. Wyszedłem z wielkorządztwa - jak powiedziałem bez innego orszaku krom mego siwka; wpadłem w jakąś czeluść, szedłem przed siebie, aż tego ranka w świetle słonecznym dostrzegłem wyjście, ale bynajmniej niełatwwe; i gdyby mi niebo nie zesłało mego pana Don Kichota, pozostałbym tak aż do końca świata. Otóż, miłośiwy książę i miłościwa księżno, stoi przed wami wasz 634

wielkorządca Sanczo Pansa, który podczas owych dziesięciu dni sprawowania rządów zyskał przekonanie, że nie zależy mu na tym, aby być wielkorządcą niejednej tylko wyspy, ale i całego świata. I rozważywszy to, cahując waszym miłościom stopy i naśladowując zabawę dzieciaków, które mówią: "Skacz, a ja na twoje miejsce", zeskakuję z urzędu i przechodzę na służbę mego pana Don Kichota, bo w końcu lubo chleb jem w trwodze, najem się przynajmniej do syta; a co do mnie, bylebym się tylko najadł, wszystko mi jedno, czy to będzie marchew, czy przepiórki. Na tym zakończył Sanczo swe długie przemówienie, podczas którego Don Kichote drżała ustawicznie, aby nie nagadał tysiąca bredni; i kiedy ujrzał, że skończył, wypowiedziawszy ich tak niewiele, w sercu swym złożył dzięki niebu. Książę uściiskał Sancza, mówiąc, że bardzo mu jest przykro, iż tak rychło porzucił rządy;

ale że postara się w swej dziedzinie znaleźć mu inny urząd mniej uciążliwy, a przy- noszący więcej korzyści. Podobnie uściiskała go księżna i rozkazała, aby go ugosczone i miano o niego staranie, widać bowiem było, jak bardzo był utrudzon i w opłakanym stanie.

' ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY o niezwykłym i nigdy niewidzianym pojedynku między Don Kichotem z Manczy i pokojowcem Tosilosem w obronie córki ochmistrzyni Dońi Rodriguez sięstwo nie żałowali, iż zakpili sobie z Sanczo Pansy, dając mu wielkorządztwo, zwłaszcza że tego samego dnia przybył marszałek i opowiedział punkt po punkcie prawie wszystkie słowa i czyny wypowiedziane lub dokonane przez Sancza w tych dniach, a na koniec opisał im napad na wyspę, strach Sancza i jego wyjazd, co niepomiernie im uciechy przysporzyło. Niedługo potem, opowiada historia, zbliżył się dzień wyznaczony na pojedynek.

Książę nie raz, ale wielekróć pouczał swego pokojowca Tosilosa, jak ma się zachować z Don Kichotem, aby zwyciężyć go, nie raniąc ani nie zabijając.

Polecił zdjąć ostrza z kopii, mówiąc Don

Kichotowi, że chrześcijaństwo, którym się chlubi, nie pozwala, aby spotkanie takie odbywało się z narażeniem i niebezpieczeństwem życia, i niech zadowoli się tym, że wyznacza mu wolne pole na swej ziemi, idąc przeciw dekretowi św. soboru, który takich pojedynków zabrania, nie należy przeto tego starcia doprowadzać do ostateczności. Don Kichote odpowiedział, żeby jego dostojość wedle swej woli rozporządził, on zaś mu we wszystkim posłuszny będzie. Nadszedł wreszcie straszliwy dzień i książę rozkazał, aby na dziedzińcu zamkowym ustawiono wielkie rusztowanie, gdzie by zajęli miejsce sędziowie polowi oraz damy, matka i córka wnoszące skargę. Ze wszystkich miasteczek i wiosek okolicznych zebrało się nieskończone

635

mnóstwo ludzi, by oglądać tak niezwykłą walkę, gdyż nigdy takiej nie widzieli i o takiej nie słyszeli w owej ziemi ani żyjący, ani ci, którzy już pomarli. Pierwszy wszedł na pole i w szranki mistrz ceremonii, który przemierzywszy cały plac, zbadał, czy nie krył się gdzieś jakiś podstęp albo jakaś przeszkoda, na której można by się potknąć i upaść; zaraz potem weszły matrony i zasiadły na swych miejscach osłonięte kwefami, które spadały aż na oczy, a nawet na piersi; okazywa-

ły one głębokie przejęcie na widok Don Kichota obecnego w szrankach. Niebawem przy dźwięku licznych trąb z drugiego boku placu wyjechał na potężnym rumaku, pod którym dudniła ziemia, olbrzymi pokojowiec Tosilos ze spuszczoną przyłbicą i całym zakutym w mocną i błyszczącą zbroję. Rumak był fryzyjski, szerokopierśny i jabłkowitej maści; z każdej jego nogi zwisał suty pęk włosów. Zbliżył się dzielny zapaśnik, dobrze pouczony przez księcia, jak ma się zachować wobec walecznego Don Kichota z Manczy, aby go, broń Boże, nie zabić; miał on starać się uchylić od pierwszego ataku, aby uniknąć niebezpieczeństwa śmierci, która byłaby pewna, gdyby wprost na siebie natarli. Objechał pole i zbliżywszy się do miejsca, gdzie siedziały damy, wpatrywał się przez czas jakiś w tę, która go za męża żądała. Mistrz ceremonii przywołał Don Kichota znajdującego się już w szrankach i w obecności Tosilosa zwrócił się do dam z zapytaniem, czy zgadzają się poruczyć sprawę swoją Don Kichotowi z Manczy. Odpowiedziały, że tak i że cokolwiek on w tym wypadku uczyni, uznają za dobre, trwałe i ważne. Podczas tego książę i księżna zajęli miejsca na galerii wychodzącej na szranki, które były całe uwieńczone mnóstwem ludzi pragnących oglądać tę straszliwą, nigdy niewidzianą rozprawę. Warunkiem spotkania

Don Kichote - Miguel Cervantez

było, że jeśli Don Kichote zwycięży, przeciwnik jego będzie musiał poślubić córkę Doni Rodriguez; a jeśli zwyciężony został, przeciwnik będzie wolny od danego słowa, bez żadnego innego zadośćuczynienia. Mistrz ceremonii równo między nich podzielił słońce i ustawił każdego na stanowisku. Zagrzmiały bębny, powietrze napełnił dźwięk trąb, zadrżała ziemia pod kopytami; zamarły w oczekiwaniu serca patrzącej ciżby, jedne z trwogi, inne z nadziei bądź dobrego, bądź złego wyniku walki. W końcu Don Kichote, poleciwszy się z całego serca Bogu, Panu naszemu, i pani Dulcynei z Toboso, zatrzymał się w oczekiwaniu ostatniego sygnału natarcia; tymczasem naszego pokojowca zgoła inne myśli zaprzątały: miał w głowie jedynie to, o czym zaraz powiemy.

Zdarzyło się, że kiedy stał, wpatrując się w swą nieprzyjaciółkę, ta wydała mu się najurodziwszą ze wszystkich kobiet, jakie oglądał w życiu; a ślepe pacholę, które zwykło się u nas nazywać Amorem, nie chciało stracić sposobności zwyciężenia duszy lokajskiej, aby ją w poczet swych zdobyczy zaliczyć, przeto zbliżywszy się doń ukradkiem, przez nikogo niewidziane, przebiło lewy bok nieszczęsnego pokojowca strzałą na dwa łokcie długą, która przeszyla mu serce na wylot. A mogło to uczynić całkiem bezpiecznie, bowiem Amor jest niewidzialny, wchodzi i wychodzi, gdzie chce, i przed nikim za czyny swe nie odpowiada. Mówię tedy, że kiedy dano znak natarcia, nasz pokojowiec trwał w uniesieniu, rozmyślając nad gładkością tej, którą już panią swej wolności uczynił, nie zważył na dźwięk trąby, przeciwnie niż Don Kichote, który zaledwie ją usłyszał, już wypuścił się całym pędem, na jaki stać było Rosynanta, i runął na przeciwnika; a widząc go w rozpoczęcie, zacny giermek Sanczo zwołał z całych sił:

636 – Bóg niechaj cię prowadzi, śmietanko i kwicie błędnego rycerstwa! Bóg niechaj da ci zwycięstwo, bowiem słuszność jest po twojej stronie! Tosilos, chociaż widział nacierającego Don Kichota, nie ruszył się na krok ze swego stanowiska, przeciwnie, wielkim głosem przywołał mistrza pola, a kiedy ten się zbliżył, aby dowiedzieć się, czego żąda, przemówił:

- Panie, wszak to spotkanie odbywa się dlatego, abym ja się ożenił czy też nieożenił z tą panią? - Tak się rzecz ma - odpowiedziano mu.
- Tedy ja - rzekł pokojowiec - lękam się własnego sumienia, które obciążylibym bardzo, gdybym do walki przystąpił; oświadczam przeto, że uważam się za zwycięzonego i że pragnę natychmiast poślubić ową panią.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Mistrz polowy zdumiał się, słysząc te słowa Tosilosa; a jako należał do tych, którzy o całej namotanej sprawie wiedzieli, nie znalazł słowa odpowiedzi. Don Kichote zatrzymał się w połowie rozpedu, widząc, że przeciwnik nie naciera. Książę nie rozumiał, dlaczego spotkanie się nie rozwija; ale kiedy mistrz polowy przekazał mu słowa Tosilosa, zdumiał się i zapłonął strasznym gniewem. Tymczasem Tosilos podjechał do miejsca, gdzie siedziała Dona Rodriguez, i głośno przemówił:

- Ja, pani miłościwa, pragnę poślubić waszą córkę i nie chcę osiągać przez skargi i zatargi tego, co osiągnąć mogę w pokoju i bez narażenia życia.

Usłyszał to Don Kichote i rzekł:

- Jeśli tak jest, jestem zwolniony i rozwiązany ze swego zobowiązania, niechaj pobierają się szczęśliwie, niech im Pan Bóg darzy, a św. Piotr błogosławi. Książę zeszedł na dziedziniec zamkowy i zbliżywszy się do Tosilosa, zapytał: - Zali to prawda, rycerzu, że uznajesz się za zwyciężonego i że lękając się wyrzutów sumienia, chcecie poślubić tę panienkę? - Tak, panie - odpowiedział Tosilos. - Dobrze postąpił - odezwał się w tej chwili Sanczo Pansa. - Masz dać szczurowi, daj lepiej kotu, a pozbędziesz kłopotu.

Tosilostał odwiązywać hełm i prosił, aby mu co rychlej pomogli, brak mu bowiem tchu i omdlewa, niezwyczajny tak długo być zamknięty w takiej ciasnoci. Co przedzej zdjęto zeń hełm i wszystkim ukazało się jawnie oblicze pokojowca, co ujrzawszy Dona Rodriguez i jej córka jęły krzyczeć:

- Oszustwo! To jest oszustwo! Na miejsce mego prawdziwego małżonka podstawiono Tosilosa, pokojowca księcia pana! Sprawiedliwości boskiej i królewskiej wzywamy na taką złośliwość, aby nie rzec, na taką niegodziwość!
- Nie oburzajcie się tak, moje panie - rzekł Don Kichote - nie ma w tym anizłośliwości, ani niegodziwości; a jeśli jest, to nie wina księcia, jeno złych czarno-księżników, którzy mię prześladują, a zawiści, abym nie zyskał chwały z tego zwycięstwa, zamienili oblicze waszego małżonka w to, które mienicie być obliczem pokojowca księżącego. Posłuchajcie mej rady i na przekór złośliwości moich wrogów wyjdźcie za niego; bez ochyby bowiem jest to ten sam, którego chcieliście zyskać na męża.

Książę, który to słyszał, niemal śmiechem całego gniewu nie wyzionął i rzekł: - Sprawy, które zdarzają się panu Don Kichotowi, są tak niezwyczajne, że jestem gotów uwierzyć, iż ten mój pokojowiec nie jest sobą, ale użyjmy podstępu

637 i chytrości; odwleczmy zaślubiny na dwa tygodnie, jeśli zechcecie, i trzymajmy w zamknięciu osobę, co do której mamy wątpliwości, a w tym czasie, być może, odzyska swą pierwotną postać; nie może bowiem tak długo trwać złość, jaką

Don Kichote - Miguel Cervantez

czarnoksiężnicy żywią do pana Don Kichota, tym bardziej, jeśli przez te oszustwa i przeobrażenia tak mało zyskują.

- O panie - rzekł Sanczo - już to weszło w obyczaj i zwyczaj owych draniów przeobrażać jedne w drugie wszystkie sprawy mego pana dotyczące. Jednego rycerza, zwanego Rycerzem Zwierciadeł, którego on zwyciężył w ubiegłych dniach, przemienili w postać bakałarza Samsona Carrasco, ziomka z naszej wioski i wielkiego naszego przyjaciela, a moją panią Dulcyneę z Toboso przeobrazili w prostą chłopkę; wyobrażam sobie przeto, że ten pokojowiec pozostanie pokojowcem po wszystkie dni swego żywota. Na to odezwała się córka pani Rodriguez:

- Niechaj będzie, kim chce, ten, który mię za żonę żąda (za co mu wdzięcznajestem); wolę być prawowitą żoną pokojowca niżli uwiedzioną kochanką rycerza, tym bardziej że ten, który mię uwiódł, nie jest nim wcale.

W końcu po tych wszystkich roztrząsaniach i wypadkach postanowiono, że Tosilos zostanie zamknięty, póki nie przekonają się, na czym się jego przemienie-
nie skończy; wszyscy okrzyknęli zwycięstwo Don Kichota, a wielu zostało zasmuconych i zawiedzionych, widząc, że nie posiekali się w kawałki tak wyczekiwani przeciwnicy, całkiem jak chłopcy, którzy smucą się, jeśli winowajca nie zawiśnie na szubienicy, bo albo przebaczy mu oskarżyciel, albo sprawiedliwość. Ludzie się rozeszli, książę i Don Kichote powrócili do zamku; Tosilosa zamknięto, Doña Rodriguez i jej córka były bardzo zadowolone, widząc, że tak czy owak ów wypadek skończy się małżeństwem, a Tosilos nie mniej tego oczekwał. ROZDZIAŁ
PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

opowiada, jak Don Kichote pożegnał się z księciem i co mu się przydarzyło ze sprytną i

niesromieżliwą1

Altisidorą, respektową2 księżnej

Zdawało się Don Kichotowi, że czas już skończyć z taką bezczynnością, w jakiej trwał w owym zamku; wyobrażał sobie, że popełnił wielki grzech, oddając siew zamknięciu wywczasom, pośród biesiad i przyjemności, jakich mu owi państwo, jako rycerzowi błędному, nie szczędzili; wydawało mu się, że będzie musiał zdać ścisły rachunek niebu z tego próżniactwa i zamknięcia, przeto pewnego dnia 1 niesromieżliwy-
nieskromny, nieobyczajny.

2 respektowa- panna przebywająca na stałe u kogoś mniejszego.

638 poprosił księstwo o pozwolenie odjazdu. Nie odmówili mu, okazując, jak bardzo przykro im, że ich opuszczają. Księżna dała Sanczowi listy jego żony, nad którymi on się popłakał i rzekł:

- Któż by pomyślał, że tak wielkie nadzieje, jakie w sercu Teresy Pansy, mojej żony, obudziły wieści o moim wielkorządztwie, skończą się na tym, że znów teraz powróczę do włóczęg mojego pana Don Kichota z Manczy, bogatych w przygody? Jednakże rad jestem, że Teresa postąpiła, jak przystało, posyłając żołędzie księżnej, gdyby tego nie uczyniła, byłbym zrozpaczony, że okazała się niewdzięczna. Pociesza mię to, że daru tego nie można nazwać porękawicznym, już bowiem sprawowałem rządy, kiedy je przysłała, a słuszna jest, że którzy doznają dobrodziejstw, okazują swą wdzięczność chociażby w drobnostkach. Zaprawdę bowiem, goły wstąpiłem na ten urząd i goły zeń wychodzę; przeto mogę z czystym sumieniem rzec, a nie jest to drobiazg: "Goły się urodziłem, goły jestem, nic nie tracę i nic nie zyskuję". Tak gadał do siebie Sanczo w dniu wyjazdu; Don Kichote, który poprzedniego wieczoru pożegnał się z księstwem, skoro świt wyszedł i pojawił się na dziedzińcu

zamkowym w pełnej zbroi. Oglądali go z galerii wszyscy mieszkańcy zamku, a nawet księstwo wyszli, aby go zobaczyć. Sanczo siedział na swym siwku z biesagami, tobołem i spyżą okrutnie zadowolony, bo marszałek księcia, ten sam, który udawał hrabinę Trifaldi, wręczył mu sakiewkę z dwustu złotymi talarami na opędzenie potrzeb w podróży, o czym Don Kichote nawet nie wiedział. Kiedy tak wszyscy jako powiedzieliśmy - przypatrywali się im, nagle spośród grupy ochmistrzyń i dworek księżnej tam obecnych podniosła głos niesromiężliwa, sprytna Altisidora i żałosliwie skarzyć się zaczęła:

Posłuchaj, niegodny rycerzu,
Powściagnijże wodze w rękach
I narowistej twej szkapie Nie wbijaj ostrogi w zebra.
Zważ, zdrajco, że nie uciekasz
Od jadu
srogiego węża,
Lecz od
jagniątki, co
jeszcze Od
wieku owcy
daleka.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Przez ciebie wzgardzona, potworze,
Najgładsza ze wszystkich
dziewa, Jaką
zna Diana w swych górach
Lub w lasach swoich Wenera.

Tyś Biren okrutny i zbiegły Eneasz, Niech cię porwie
Barabasz na samo dno piekła . : Porwałeś (łup to
bezbożny) I w szponach swoich
zabierasz 639

Pokornej, bo zakochanej, Słodkiej dziewczyny treść serca.

Porwałeś jej trzy namitki1,

Podwiązki, które zawiesza

Na łydkach jak marmur gładkich, Te w
biało-czarnych odcieniach.

I dwa tysiące jej westchnień

Płomiennych, że mogłyby niemal

Aż dwa tysiące Trój spalić, Gdyby liczyła je ziemia.

Tyś Biren okrutny i zbiegły Eneasz, Niech cię porwie Barabasz na samo dno piekła!

Niech będzie kamienne serce

Sancza, twojego giermka,

Tak twarde, żeby nie wyszła Z
zaklęcia twa Dulcynea.

Przez twoją winę spadł na nią

Tej kary przesmutnej ciężar,

Bo sprawiedliwi za grzesznych W
mej ziemi zapłacą nieraz.

Niech twe wspaniałe przygody

Zamienią się zawsze w nieszczęścia,

Zabawy twe niech w sen przejdą, Stałości twe w zapomnienia.

Tyś Biren okrutny i zbiegły Eneasz, Niech cię porwie Barabasz na samo dno piekła!

Niech cię uważa za zdrajcę

Sewilla oraz Marchena,

Grenada aż hen po Łoję,

Londyn po Anglii wybrzeża.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Gdy będziesz grał w faraona,
W tryszaka albo w pikietę,
Niech unikają cię króle, Asy i zacna siódemka.
1 namitka - rodzaj chusty z cienkiego płótna. 640

Gdy będziesz wycinał nagniotki,
- Niech krew ci z rany wycieka,
I niech zostają korzenie
Po wyrywanych ci zębach.

Tyś Biren okrutny i zbiegły Eneasz, Niech cię porwie Barabasz na samo dno piekła!
Kiedy tak, jak przytoczono, skarzyła się strapiona Altisidora, Don Kichote wpatrywał się w nią bez słowa, po czym zwrócił się do Sanczo i zapytał: - Na zbawienie twych przodków, Sanczo drogi, zaklinam cię - powiedz mi prawdę. Przyznaj się, czyś nie zabrał owych trzech namitek oraz podwiązek, o których ta zakochana prawi? Na to odpowiedział Sanczo:

- Trzy namitki zabrałem, ale podwiązki tak wziąłem jak Ubedzkie pagórki Księżnę zadziwiła zbytnia śmiałość Altisidory; bo choć ją miała za zuchwałą, dowcipną i bezczelną, ale nie do tego stopnia, aby odważyła się na podobną niesromieżliwość, a zdziwiła się tym bardziej, że o tym żarcie nie była uprzedzona. Książę, chcąc dalej igraszkę posunąć, odezwał się:

- Mości rycerzu, nie zdaje mi się przystojną rzeczą, że po uprzejmym przyjęciu, jakiego doznaliście w mym domu, ośmieliлиście się zabrać nie tylko trzy namitki, ale ponadto i podwiązki mojej dworki; są to oznaki złego serca i z waszą sławą niezgodne. Oddajcie podwiązki, a jeśli nie, wyzywam was na śmiertelny bój, nie lękając się, aby niecni czarnoksiężnicy odmienili oblicze moje, jak to uczynili z Tosilosem, mym pokojowcem, który z wami się potykał.

- Nie daj Bóg - odpowiedział Don Kichote - abym dobywał miecza przeciwwaszej najświętniejszej osobie, od której tylu łask doznałem; namitki zwrócię, bo wiem Sanczo mówi, że je ma; podwiązek zwrócić mi nie lza, bowiem ich nie otrzymałem ani ja, ani on! A gdyby tak wasza panna zechciała swe schowki przeszukać, na pewno by je znalazła. Ja, mości książę, nigdy nie byłem złodziejem ani nie myślę

nim być kiedykolwiek w życiu, chybaby mię Bóg opuścił. Ta panna mówi, wedle jej własnych słów, jako zakochana, czemu ja winien nie jestem. Przeto nie mam za co o przebaczenie błagać ani jej, ani waszej dostojości, którą proszę, aby mię w lepszym mniemaniu trzymała i aby mi raz jeszcze udzieliła pozwolenia na wyruszenie w drogę.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Oby wam Bóg zdarzył tak szczęśliwą, panie Don Kichocie - rzekła księżna- by do nas zawsze dochodziły jeno dobre wieści o waszych dokonaniach. Ruszajcie z Bogiem, im dłużej bowiem zwlekacie, tym bardziej podsycacie ogień w sercu panien, które na was patrzą; mają ukarzę tak, aby odtąd nie folgowała spojrzeniom i słowom w ten sposób.
- Jednego tylko słowa, nie więcej, chcę, abyś posłuchał, o dzielny Don Kichocie - rzekła wówczas Altisidora - proszę o przebaczenie, iż oskarżyłam cię o kradzież podwiązek, bowiem, na Boga i na mą duszę, włożyłam je i popełniłam ten sam błąd jak ten, który jadąc na osłe, szuka go. 641
- Ot, nie mówiłem? - rzekł Sanczo. - Nadaję ja się do ukrywania kradzionychrzeczy! Gdybym tak chciał postępować, byłbym miał w sam raz sposobność na mym wielkorządztwie.

Don Kichote pochylił głowę i poklonił się księstwu oraz wszystkim obecnym, zwrócił Rosynanta, ściągnął wodze i wyjechał z zamku w kierunku Saragossy, a za nim Sanczo na siwku. ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

opowiada, jak na Don Kichota zwaliły się przygody takie, że między jedną a drugą i odetchnąć nie mógł

Kiedy Don Kichote ujrzał się w czystym polu, uwolniony od nagabywań Altisidory, uczuł się we własnym wnętrzu jakby odrodzony, jakby siły żywotne odnowiły się w nim, dodając mu bodźca, by swe rycerskie sprawy na nowo podjął, obróciwszy się przeto do Sancza, rzekł:

- Wolność, Sanczo, jest najcenniejszym darem użyczonym ludziom przez niebo; nie mogą się z nią równać skarby, jakie ziemia zamyka ani jakie morze kryje; dla wolności, jak dla czci, można i należy narażać życie; przeciwnie zaś, niewola jest największym złem, jakie może spotkać człowieka. Mówię to, Sanczo, bowiem widziałeś, w jakiej obfitości i pieczętowaniu żyliśmy w tym zamku, który opuścili-

śmy; jednak pośród tych uczt smakowitych i owych napojów mrożonych zdawało mi się, jakobym cierpiał niedostatek i głód, nie rozkoszowałem się przecie tak swo-

bodnie, jak gdyby to wszystko moim było. Obowiązki wdzięczności za doznane dobrodziejstwa są więzami, które nie dozwalają swobodnie radować się wolnej duszy. Szczęśliwy, komu niebo użyczy kawałka chleba, za który nikomu innemu prócz Boga dziękować nie jest obowiązany.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Z tym wszystkim - rzekł Sanczo - co mi jegomość mówi, nie godziłoby się okazać wdzięczności za dwieście talarów, które mi dał marszałek księcia w sakiwce, jakby kataplazm wzmacniający na sercu ją noszę na wszelki wypadek, bo nie zawsze będziemy znachodzili zamki, gdzie nas ugoszczą: nierzaz wpadniemy do zajazdu, gdzie nas omłocą.

Takie i inne rozmowy wiedli błędny rycerz i giermek, kiedy ujechawszy ponad milę drogi, ujrzelii na murawie zielonej łąki około dwunastu ludzi w wieśniaczym odzieniu, którzy siedząc na swych płaszczach, zajadali. Obok nich widniały jakby płotna białe okrywające jakieś przedmioty; tu i ówdzie leżały na ziemi lub były na czymś upięte. Don Kichote podjechał do posilających się i pozdrowiwszy ich najpierw grzecznie, zapytał, co by te płotna okrywały. Jeden z nich odpowiedział: kataplazm- ciepły i wilgotny okład rozgrzewający.

642

- Panie, pod tymi płotnami znajdują się płaskorzeźby, które mają być umieszczone na ołtarzu w naszej wsi; przenosimy je zakryte i na ramionach, aby się nie zbrukały i nie połamały.

- Czy bylibyście łaskawi - odpowiedział Don Kichote - pokazać mi je? Radbyłbym bardzo. Obrazy, które się ostrożnie niesie, muszą być ani chybi piękne. - O, i jak jeszcze! - odrzekł tamten. - Dość wiedzieć, wiele kosztują; zaprawdę, nie masz żadnego, który by co najmniej pięćdziesiąt dukatów nie był wart; abyście się, wasza miłość, o tej prawdzie przekonali, poczekajcie nieco, a na własne oczy obaczycie.

I powstawszy, przestał jeść i poszedł zdjąć zaslonę z pierwszej płaskorzeźby; był to św. Jerzy na koniu, pełen rozmachu, jak go zwykle malują, przebijający dzidą paszczę węża zwiniętego u jego stóp. Cały obraz wydawał się być jarzącym złotem, jak to się mówi. Don Kichote, ujrzałszy to, rzekł:

- Był to jeden z najdoskonalszych błędnych rycerzy milicji Bożej, zwał się Don św. Jerzy i był ponadto obrońcą dziewczic. Zobaczmy drugi obraz!

Wieśniak zdjął zaslonę i ukazał się św. Marcin na koniu, dzielący płaszcz swój z ubogim; zaledwie go Don Kichote zobaczył, zawałał:

- Ten rycerz również należał do chrześcijańskich bohaterów, lecz myślę, żebył bardziej wspaniałomyślny niż waleczny, jak to łącznie, Sanczo, poznać możesz z tego, iż dzieli płaszcz swój z ubogim, dając mu połowę, snadź nie była wówczas zima; inaczej byłby mu dał cały, będąc miłośnikiem.
- Nie musiało to być tak - rzekł Sanczo - pewnikiem przypomniał sobie przysłowie, które mówi: Aby dać, aby mieć, trzeba dobrze rozumieć. Roześmiał się Don Kichote

Don Kichote - Miguel Cervantez

i poprosił o zdjęcie następnego płotna, pod którym odkryto obraz patrona wszystkich Hiszpanii¹, na koniu, z zakrwawionym mieczem w ręku, tratującego Maurów i rozgniatającego im łby; co ujrzawszy, rzekł Don Kichote:

- On to zwie się Don św. Diego Zabójca Maurów; jeden z najdzielniejszych świętych i rycerzy, jakich nosił świat i jakich dziś ma niebo.

Zdjęto zaraz potem inne płotno i okazało się, że zakrywało upadek św. Pawła z konia oraz wszystkie okoliczności jego nawrócenia, jakie zwykło się na ołtarzach malować. Kiedy go tak widziano jakby żywego, zdawało się, że Chrystus doń przemawia, a św. Paweł odpowiada.

- Ten - rzekł Don Kichote - był największym wrogiem, jakiego w swoim czasie miał Kościół Boży, a potem najżarliwszym jego obrońcą po wszystkie czasy; rycerz błędny za życia, święty beztroski po śmierci, niezmordowany pracownik w winnicy Państkiej, apostoł narodów, któremu szkoła było niebo, a nauczycielem i mistrzem sam Jezus Chrystus.

Nie stało więcej obrazów, przeto Don Kichote polecił je na powrót zakryć i rzekł do ludzi, którzy je nieśli:

- Za dobrą wróżbę, bracia, poczytuję, że widziałem to wszystko, bowiem owi święci i rycerze temu samemu co ja powołaniu posłuszni byli, a mianowicie rze- Św. Jakub z Composteli.

643

miosłu zbrojnemu; jeno różnica ta jest między nami, że oni byli świętymi i walczyli wedle praw Bożych, ja zaś jestem grzesznikiem i walczę wedle praw ludzkich. Oni zdobyli niebo siłą ramion swoich, bowiem niebo gwałt cierpi, ja zaś nie wiem dotąd, co za cenę trudów mych zdobędę; jednak jeśli moja Dulcynea z Toboso wyzwoliła się od prześladowań, może los mój byłby szczęśliwszy, rozum uzdrawiony i być może, skierowałbym moje kroki na lepszą drogę. - Oby Bóg was wysłuchał, a grzech był głuchy - rzekł Sanczo na to. Ludziska dziwowały się zarówno wygląowi, jak słowom Don Kichota, nie rozumiejąc ani połowy z tego, co chciał wyrazić. Skończyli jeść, wzięli obrazy na ramiona i pożegnawszy się, poszli dalej w drogę.

Sanczo, jakby nigdy nie znał swego pana, trwał w podziwie dla jego wiedzy; zdawało mu się, że chyba na świecie nie ma historii ani wydarzenia, które by nie było wyryte na jego paznokciu i wbite w pamięć, rzekł więc:

- Zaprawdę, panie mój, dobrodzieju, jeśli to, co nas spotkało, można nazwać przygodą, była toajsłodsza i najmilsza ze wszystkich w ciągu naszej włóczęgi: wyszliśmy z niej bez kijów i bez żadnego strachu, nie chwytaliśmy za broń ani zie- mi naszymi ciałami

nie gnieliśmy, nie zostaliśmy głodni. Błogosławię Bogu, że mi pozwolił to własnymi oczami oglądać.

- Dobrze mówisz, Sanczo - rzekł Don Kichote - ale musisz zważyć, że niezawsze czasy są jednakie ani też jednakim torem bieżą; to, co pospółstwo zwykło nazywać wróżbą (nieoparte jest bowiem na przyczynach naturalnych), rozsądnie byłoby uważać i trzymać za szczęśliwy przypadek. Niech no jeden z tych przesądnych wstanie rano, wyjdzie z domu, spotka braciszka z zakonu św. Franciszka, to jakby spotkał inogę1, tył podaje i wraca do domu. Rozsypie drugi Mendoza2 sól na stół, zaraz mu melancholia serce zaleje; jakby natura była obowiązana uprzedzać nas o rzeczach przyszłych przez takie małe znaczenia szczególnego, jak przytoczone.

Człek mądry i chrześcijanin nie powinien wedle takich głupstw dochodzić zamiarów nieba. Przybija Scypio do Afryki, wyskakując na ląd, potyka się, co żołnierze jego poczytują za złą wróżbę, on wszelako, obejmując ziemię, mówi: "Nie ujdziesz mi już, Afryko, bowiem trzymam cię mocno w ramionach moich". Tak też, Sanczo, i ja spotkanie z tymi płaskorzeźbami uważam za szczęśliwy traf.

- I ja w to wierzę - odparł Sanczo - ale chciałbym, aby mi jegomość wyjaśnił, dla jakiej przyczyny Hiszpanie, przystępując do bitwy, wołają, wzywając świętego Diego Zabójcę Maurów: "Święty Jakubie! Zapieraj, Hiszpanio!"³. Zali Hiszpania jest otwarta, i to tak, żeby ją zapierać trzeba; cóż to są za ceremonie? - Głuputki jesteś, Sanczo - odpowiedział Don Kichote. - Zważ, że ten wielki Rycerz Czerwonego Krzyża został przez Boga dany Hiszpanii i za patrona, i za opiekuna, zaś osobliwie w czasie okrutnych walk, jakie Hiszpanie z Maurami wie- Inaczej: gryf- legendarny potwór o głowie i skrzydłach orła, a tułowiu lwa.

W XVI w. tak nazywano człowieka zabobonnego.

Okrzyk bojowy Hiszpanów w walkach z Maurami. Tu dwuznaczny nieprzetłumaczalny, bowiem słowo cerrar miało ongiś znaczenie "atakować, napierać", ale za czasów Cervantesa zatraciło je i znaczyło -jak dziś - "zapierać, chować".

644

miosłu zbrojnemu; jeno różnica ta jest między nami, że oni byli świętymi i walczyli wedle praw Bożych, ja zaś jestem grzesznikiem i walczę wedle praw ludzkich. Oni zdobyli niebo siłą ramion swoich, bowiem niebo gwałt cierpi, ja zaś nie wiem dotąd, co za cenę trudów mych zdobędę; jednak jeśli moja Dulcynea z Toboso wyzwoliła się od prześladowań, może los mój byłby szczęśliwszy, rozum uzdrawiony i być może, skierowałbym moje kroki na lepszą drogę. - Oby Bóg was wysłuchał, a grzech był głuchy - rzekł Sanczo na to. Ludziska dziwowały się zarówno wyglądowi, jak słowom

Don Kichote - Miguel Cervantez

Don Kichota, nie rozumiejąc ani połowy z tego, co chciał wyrazić. Skończyli jeść, wzięli obrazy na ramiona i pożegnawszy się, poszli dalej w drogę.

Sanczo, jakby nigdy nie znał swego pana, trwał w podziwie dla jego wiedzy; zdawało mu się, że chyba na świecie nie ma historii ani wydarzenia, które by nie było wyryte na jego paznokciu i wbite w pamięć, rzekł więc:

- Zaprawdę, panie mój, dobrodzieju, jeśli to, co nas spotkało, można nazwać przygodą, była to najsłodsza i najmilsza ze wszystkich w ciągu naszej włóczęgi: wyszliśmy z niej bez kijów i bez żadnego strachu, nie chwytaliśmy za broń ani ziem naszymi ciałami nie gnieliśmy, nie zostaliśmy głodni. Błogosławie Bogu, że mi pozwolił to własnymi oczami oglądać.

- Dobrze mówisz, Sanczo - rzekł Don Kichote - ale musisz zważyć, że niezawsze czasy są jednakie ani też jednakim torem bieżą; to, co pospółstwo zwykło nazywać wróżbą (nieoparte jest bowiem na przyczynach naturalnych), rozsądnie byłoby uważać i trzymać za szczęśliwy przypadek. Niech no jeden z tych przesądnych wstanie rano, wyjdzie z domu, spotka braciszka z zakonu św. Franciszka, to jakby spotkał inogę², tył podaje i wraca do domu. Rozsypie drugi Mendoza² sól na stół, zaraz mu melancholia serce zaleje; jakby natura była obowiązana uprzedzać nas o rzeczach przyszłych przez takie małego znaczenia szczegóły, jak przytoczone.

Człek mądry i chrześcijanin nie powinien wedle takich głupstw dochodzić zamiarów nieba. Przybija Scypio do Afryki, wyskakując na ląd, potyka się, co żołnierze jego poczytują za złą wróżbę, on wszelako, obejmując ziemię, mówi: "Nie ujdźiesz mi już, Afryko, bowiem trzymam cię mocno w ramionach moich". Tak też, Sanczo, i ja spotkanie z tymi płaskorzeźbami uważam za szczęśliwy traf.

- I ja w to wierzę - odparł Sanczo - ale chciałbym, aby mi jegomość wyjaśnił, dla jakiej przyczyny Hiszpanie, przystępując do bitwy, wołają, wzywając świętego Diego Zabójcę Maurów: "Święty Jakubie! Zapieraj, Hiszpanio!"³. Zali Hiszpania jest otwarta, i to tak, żeby ją zapierać trzeba; cóż to są za ceremonie? - Ghupiutki jesteś, Sanczo - odpowiedział Don Kichote. - Zważ, że ten wielki Rycerz Czerwonego Krzyża został przez Boga dany Hiszpanii i za patrona, i za opiekuna, zaś osobliwie w czasie okrutnych walk, jakie Hiszpanie z Maurami wie- 1 Inaczej: gryf - legendarny potwór o głowie i skrzydłach orła, a tułowiu lwa.

2 W XVI w. tak nazywano człowieka zabobonnego.

3 Okrzyk bojowy Hiszpanów w walkach z Maurami. Tu dwuznaczny nieprzethumaczalny, bowiem słowo cerrar miało ongiś znaczenie "atakować, napierać", ale za czasów Cervantesa zatraciło je i znaczyło -jak dziś - "zapierać, chować".

644 dli. Dlatego przyzywają go i uciekają się doń jako do obrońcy swego we wszystkich bitwach, jakie toczą. A wielekoć widziano go istotnie wśród walki atakujące-

go, tratującego, niszczącego i znoszącego hufce agariańskie!; mógłbym ci na to przytoczyć liczne przykłady, o jakich prawdziwe opowieści historyczne hiszpańskie opowiadają.

Sanczo zmienił rozmowę i rzekł do swego pana:

- Nie mogę się nadziwić, panie, natarczywości Altisidory, dworki księżnej; musiał ją okrutnie zranić i przebić tak zwany Amor, którego ślepym urwisem zowią; ten choć jest kaprawy albo raczej niewidomy, jeśli za cel sobie jakieś serce, choćby nie wiem jak maluśkie, upatrzy, trafia je i na wylot przebija swymi strzała- mi. Słyszałem takoż, że te miłosne strzały tępią się i łamią na obyczajności i wsty- dliwości panieńskiej, ale u tej Altisidory zdawały się raczej zaostrzać niż przytępiać.

- Zważ, Sanczo - rzekł Don Kichote - że miłość na nic nie zważa ani nie trzyma się w szrankach rozumu w swoich poczynaniach, podobna z natury jest śmierci: tak samo godzi w wysokie pałace królów, jak w nędzne strzechy pasterzy, a kiedy jaką duszą całkowicie owładnie, to najpierw odejmuje jej lęk i wstyd; dlatego tak niesromieżliwie Altisidora objawiła mi namiętność swoją, która w moim sercu obudziła raczej pomieszanie niżli litość.

- O jawne okrucieństwo! - zawała Sanczo. - O niesłychana niewdzięczności! Co do mnie, powiem, że jedno najmniejsze miłosne jej słóweczko zwyciężyłobymię i zniewoliło. O taki synu, jakież to serce z marmuru, jakie wątpię z brązu i jaka dusza wapienna! Nie mogę jednak pojąć, co owa panna w jegomości widziała, co ją tak podbiło i zwyciężyło; jakaż to błyskotliwość, jaka postawność, jaki

wdzięk, jakie lico, jaki to szczegół po szczególe alboli wszystkie pospołu mogły ją tak rozkochać? Co prawda, to prawda, wielekoć bowiem przypatruję się jegomości od końca palców aż do czubka głowy, widzę więcej rzeczy do odstraszenia niżli

Don Kichote - Miguel Cervantez

do rozmiłowania; a jako również słyszałem, że gładkość jest pierwszym i głównym warunkiem miłości, jegomość nijakiej nie ma; nie wiem doprawdy, w czym się ta biedaczka tak zamiłowała.

- Wiedz, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - że istnieją dwa rodzaje piękności; jedna - uroda duszy, druga - ciała; uroda duszy zasadza się i objawia w rozumie, prawości, w zacnym życiu, wspaniałomyślności i dobrym wychowaniu, a wszystkie te zalety znajdują się i mogą się mieścić w człowieku brzydkim; kiedy wzrok utkwi w tej urodzie, a nie w urodzie ciała, zwykle rodzi się gwałtowna i wyższa miłość. Ja, Sanczo, wiem, że nie jestem urodziwy, ale wiem również, że nie jestem

odrażający, zaś wystarczy, aby człowiek godny nie był potworem, a może być bardzo kochanym, jeśli posiada owe zalety duszy, o jakich ci mówiłem. Wśród takich rozmów i rozważań wjechali w las oddalony od drogi i nagle, nie zdając sobie sprawy, Don Kichote zaplątał się w sieć zielonych sznurów przeciagniętych od drzewa do drzewa; nie mogąc zrozumieć, co by to być mogło, rzekł do Sancza:

1 Agarianami nazywano ludy afrykańskie pochodzące - wedle Biblii - od Izmaela, syna Hagary.

645 - Wydaje mi się, Sanczo, że owe sieci pewnie zapowiadają najbardziej niezwykłą przygodę, jaką wyobrazić sobie można. Niech mnie zabiją, jeśli czarnoksiężnicy, prześladowcy moi, nie chcą uwikłać mię w nich i zatrzymać w drodze, mszcząc się za mą surowość wobec Altisidory, ale ja im oświadczam, że gdyby te sieci były nie z zielonych sznurów, ale z najtwardszych diamentów i mocniejsze od tych, jakimi zazdrośnie bóg kowali oplatał Wenerę i Marsa, rozerwę je, jakby były trzciną morską albo przedzą bawełnianą.

Lecz kiedy chciał przejechać mimo i wszystko rozerwać, nagle spomiędzy drzew wyszły i stanęły przed nimi dwie najpiękniejsze pasterki; przynajmniej odziane jako pasterki, jeno że serdaczki ich i suknie były z drogiego brokatu, a sute spódni- ce ze złotem przetykanej tafty. Włosy ich na ramiona spływające mogły iść o lepsze z promieniami samego słońca; wieńczyły je girlandy z zielonego wawrzynu i czerwonego amarantu splecione. Wiek ich na oko wahał się między piętnastu a osiemnastu laty.

Widok ten zachwycił Sancza, a zdumiał Don Kichota, nawet słońce zatrzymało się w biegu, aby je oglądać; wszyscy czworo trwali w przedziwnym milczeniu.

Don Kichote - Miguel Cervantez

W końcu przemówiła jedna z dwu juhasek do Don Kichota:

- Wstrzymajcie krok, panie rycerzu, nie rwijcie tych sieci rozciągniętych nie na waszą szkodę, ale dla zabawy naszej, a jako wiem, że radzi byście pytać, na co są tu rozpięte i kim jesteśmy, chcę wam w kilku słowach objaśnić. W pewnej wsi, oddalonej stąd o dwie mile prawie, gdzie żyje wiele osób znakomitych i wiele szlachty, i bogaczy, umówiono się między przyjaciółmi i krewnymi, że z żonami, synami, córkami, sąsiadami, przyjaciółmi i krewnymi udamy się na zabawę w to miejsce, które jest jednym z najmilszych w całej okolicy, i stworzymy wszyscy razem jakby nową pasterską Arkadię, dziewczęta przebiorą się za pasterki, a młodzieńcy za pasterzy. Nauczyliśmy się dwóch sielanek", jednej słynnego poety Garcilasa, a drugiej najznakomitszego Camoensa, w jego własnym portugalskim języku; ale dotąd jeszcześmy ich nie odegrali. Wczoraj był pierwszy dzień naszego tu pobytu; na brzegu wielkiego strumienia, który te łąki używa, pod drzewami mamy tu ustawione namioty, które -jak mówią- zowią się sielskimi. Ubiegłego wieczora zaciagnęliśmy te sieci na drzewach, aby zwabić ufne ptaszyny, które naszym zgiełkiem spłoszone w nie wpadną. Jeśli zechcecie, panie, być naszym gościem, zostaniecie gościnnie i dwornie przyjęci; bowiem dziś do tego miejsca troski i smutek wstępu mieć nie będą.

Zamilkła i nie rzekła nic więcej; a Don Kichote na to odpowiedział: - Zaiste, najurodzisza pani, Akteon nie musiał być tak zdumiony i zachwycony, ujrzałszy niespodziewanie kąpiącą się Dianę, jak ja jestem zdziwiony, widząc waszą piękność. Pochwalam pomysł waszej zabawy i dziękuję za wasze zaproszenie; a jeśli mógłbym się wam przysłużyć, możecie być pewne, że każdego z waszego rozkazu posłucham; bowiem moje powołanie przykazuje mi właśnie okazywać wdzięczność i życzliwość wszystkim ludziom, osobliwie zaś tak znakomitym, jakich wasze osoby przedstawiają; i gdyby te sieci, które obejmować muszą jakąś niewielką przestrzeń, obejmowały całą kulę ziemską, raczej poszukałbym innych nowych światów, aby móc przejechać aniżeli je potargać; abyście tej mojej przesa646 dzie zaufać mogły, wiedziecie przynajmniej, że przyczeka wam to Don Kichote z Manczy, o ile to imię doszło do uszu waszych.

- Ach, druhno mojej duszy - rzekła na to druga juhaska - jakież to wielkie szczęście nas spotkało! Widzisz oto tego rycerza przed sobą? Dowiedz się, że jest to najdzielniejszy i najbardziej zakochany, i najdworniejszy z rycerzy świata, jeśli nie kłamie i nie oszukuje historia jego czynów, która drukiem obiega, a którą czytałam. Założyłabym się, że ten poczciwiec, który za nim jedzie, to ów Sanczo Pansa, jego giermek, któremu w ucieczności nikt nie dorówna. - To prawda - odezwał się Sanczo - ja jestem owym dowcipnisem, owym gierkiem, o którym wasza miłość

Don Kichote - Miguel Cervantez

mówi, zaś ów pan jest moim chlebodawcą, tym samym Don Kichotem z Manczy, o którym opowiada historia.

- Ach! - rzekła druga. - Błagajmy go, droga, aby tu pozostał ku nieskończonej ucieșsze naszych ojców i braci, ja bowiem również nasłuchałam się wszystkiego, coś mówiła o jego męstwie i jego zaletach; a ponadto opowiadają o nim, że jest najwierniejszym i najstalszym kochankiem, jakiego znamy, zaś damą jego jest pewna Dulcynea z Toboso, której w całej Hiszpanii palmę piękności przyznano. - I słusznie - rzekł Don Kichote. - O ile w wątpliwość tego nie podaje wasza nieporównana uroda. Jednakże nie usiłujcie mnie, panie, zatrzymywać, bowiem twarde obowiązki mego powołania nie pozwalają mi nigdzie odpoczywać. Na to do miejsca, gdzie się nasza czwórka znajdowała, zbliżył się brat jednej z dwu pasterek, również za pasterza przebrany, podobnie jak one bogato i wytwornie; powiedziały mu, że ten, który z nimi rozmawia, jest dzielnym Don Kichotem z Manczy, zaś ów drugi to jego giermek Sanczo; wiedział już o nich, czytał bowiem ich historię. Udały pasterz ofiarował swe usługi i prosił, aby mu towarzyszyli do namiotów; nie mógł Don Kichote odmówić i zgodził się na to. Nagle rozległ się krzyk i sieci napełniły się rozmaitym ptactwem; zwiedzione ich barwą samo wpadło w niebezpieczeństwo, którego starało się uniknąć. Zbiegło się w to miejsce ponad trzydzięci osób, wszyscy bogato przebrani za pasterzy i pasterki, i od razu powiały domiono ich, kim był Don Kichote i jego giermek, z czego niemałą radość odnieśli, znana im była bowiem jego historia. Udali się do namiotów, zastali tam stoły zastawione bogato, obficie i czyściutko; uczcili Don Kichota, dając mu pierwsze miejsce za stołem; oczu zeń nie spuszczali, dziwując się jego wyglądu. Wreszcie zdjęto obrusy, a Don Kichote z wielką godnością zabrał głos, mówiąc:

- Spośród największych grzechów, jakie ludzie popełniają, jedni prym dają pysze, ja zaś twierdzę, że jest nim niewdzięczność, zgodnie z tym, co zwykło się mówić, że "piekło pełne jest niewdzięcznych". Tego to grzechu starałem się unikać, o ile mi się dało, od czasu kiedy do używania rozumu przyszedłem; a jeśli nie w mojej mocy za doznane dobrodziejstwa dobrodziejstwami płacić, odpłacam się dobrymi chęciami, a jeśli to nie wystarcza, ogłaszam je publicznie;

Don Kichote - Miguel Cervantez

kto bowiem o dobrodziejstwach doznanych mówi i opowiada, ten i odpłaci za nie innymi dobrodziejstwami, jeśli będzie w możliwości; najczęściej jednak ci, którzy dobrodziejstw

doznają, są niższymi od tych, którzy je świadczą, tak jak Bóg jest nad wszystkimi, jest bowiem najwyższym doboczyńcą i nie mogą dary ludzkie z Bożymi się równać, jako nieskończenie od nich dalekie; ten niedostatek i tę
nędzę w pewnej mierze 647

wynagradza wdzięczność. Ja będąc wdzięczny za łaskę, jaką mi tu wyrządzono, nie mogę równą odpowiedzieć, stosując się do ciasnych granic mej możliwości, ofiaruję, co mogę i co jest moim prawem; oświadczam oto, że przez dwa dni na tym królewskim gościńcu, idącym do Saragossy, utrzymywać będę, że te panie za juhaski przebrane, tu obecne, są najpiękniejszymi dziewczynami i najdworniejszymi ze wszystkich, jakie istnieją na świecie krom nieporównanej Dulcynei z Toboso, jedynej pani mej myśli, i to bez urazy dla wszystkich mężów i niewiast, którzy mię słuchają. Sanczo, który przez cały czas z wielką uwagą się przysłuchiwał, usłyszawszy to, podniósł głos, mówiąc:

- Czy możliwe, aby byli na świecie ludzie, którzy ośmielają się twierdzić i przysięgać, że ten mój pan jest szalony? Powiedzcie, ichmość panowie pasterze: zali istnieje proboszcz wiejski, choćby nie wiem jak mądry i uczony, który by po-
trafił powiedzieć to, co mój pan tu wyrzekł, alboli
błędny rycerz, choćby nie wiem jaką sławą
dzielności okryty, który by był zdolny ofiarować to,
co mój pan tutaj ofiarował?

Don Kichote obrócił do Sancza oblicze zapalone gniewem i wściekły rzekł: - Zali jest możliwe, o Sanczo, aby na całym świecie znalazła się jedna osoba, która by rzekła, że nie jesteś głupcem durniem podszytym, a obrębionym złośliwcem i draniem? Kto ci się każe do moich spraw mieszać i rozstrzygać, zanim jest mądry czy tuman? Milcz i nie odpowiadaj mi, jeno osiodłaj Rosynanta, jeśli mu siodło
zdąłeś; udajmy się uiścić moje zobowiązanie, a jako słuszność jest po mojej stronie, możesz uważać za pokonanych wszystkich, którzy by mi
zaprzeczyć chcieli. I z wielką furią i oznakami gniewu porwał się od stołu, pograżając obecnych w zadziwieniu i w wątpliwości, czy mają do czynienia z szaleńcem, czy ze zdrowym na umyśle. Wreszcie prosili go, aby nie zadawał sobie tyle trudu, bowiem dobrze

Don Kichote - Miguel Cervantez

im znana jego wdzięczna wola i nie potrzeba im nowych dowodów jego męźnego ducha, wystarczą te, o których opowiada historia jego czynów, mimo to jednak Don Kichote pozostał przy swoim i wskoczywszy na Rosynanta, porwał tarczę, ujął kopię i stanął na środku gościńca, który biegł opodal zielonej łąki. Sanczo za nim

na siwku podreptał, a za nimi cała pasterska gromada w chęci ujrzenia, do czego doprowadzi jego zuchwałe i niewidziane wyzwanie.

Don Kichote, stanąwszy na środku gościńca (jak się rzekło), rzucił w powietrze następujące słowa:

- O wy! Przechodnie i wędrowcy, rycerze, włodzicy, piesi i konni, którzy tą drogą dążycie czy też w ciągu następnych dwu dni przejeżdżać macie! Wiedziecie, że Don Kichote z Manczy, błędny rycerz, stanął tu, aby mieczem dowieść, że ponad wszystkie piękności i dworności świata wyższe są wdzięki zamknięte w nimfach, mieszkankach tych łąk i gajów, krom pani mojej duszy, Dulcynei z Toboso. Kto by temu zaprzeczył, niech mi stanie, tu go czekam.

Po dwakroć te same słowa powtórzył i po dwakroć nie usłyszał ich żaden rycerz błędny; ale los, który coraz dalej jego sprawy posuwał, zrządził, że niebawem ukazała się na drodze liczna grupa jeźdźców, wielu z nich miało dzidy w ręku, je- chali kupą, bardzo spiesznie. Ledwie ich dostrzegli ci, którzy byli z Don Kichotem, zawrócili i usunęli się daleko od gościńca, domyślali się, że pozostając, mogli się 648

narazić na jakieś niebezpieczeństwo; jeden Don Kichote nieustraszony nie ruszył się z miejsca, zaś Sanczo Pansa skrył się za łączem Rosynanta. Gromada kopijników zbliżyła się, a jeden z jadących na przedzie zaczął wołać na Don Kichota: - Usuńcie się, do diabła, człowiek, z drogi, bo te byki rozerwą was w kawałki! - Hej, hołoto! - odpowiedział Don Kichote. - Nie przestraszą mnie żadne byki, choćby i najgroźniejsze z tych, jakie Jarama na swych brzegach żywi! Przyznajcie, zbóje, bez zwłoki, że prawdę jest, co tutaj ogłosilem, a jeśli nie, wydam wam bitwę.

Ani wolarz nie miał czasu odpowiedzieć, ani Don Kichote usunąć się z drogi, choćby i chciał; bowiem stado dzikich byków i spokojnych wołów przodowników wraz z mnóstwem wolarzy oraz innych poganiaczy, którzy otaczając stado, pędzili je, aby zamknąć w pewnej miejscowości, gdzie następnego dnia miały się odbyć walki byków, przegnało przez Don Kichota i Sancza, Rosynanta i siwka, obalając ich wszystkich na ziemię i tratując w kurzu. Sanczo został poturbowany, Don Kichote

Don Kichote - Miguel Cervantez

przerażony, siwek stratowany, a Rosynant w nie lepszym stanie. Ale w końcu wszyscy się podnieśli, a Don Kichote pośpiesznie, potykając się tu, a padając ówdzie, zaczął biec za stadem, wołając co sił:

- Zatrzymajcie się, zaczekajcie, hołoto zbójecka, skoro jeden tylko rycerz was czeka; ten ani z charakteru, ani z wyglądu nie należy do tych, co to zwykli mawiać: wrogowi, który zmyka, słać srebrny most należy.

Ale nie zatrzymali się wolarze, którym było spieszno, a tyle dbali o jego groźby, co o zeszłoroczne chmury. Don Kichota powstrzymał zmęczenie; bardziej gniewny niż pomszczony usiadł przy drodze, czekając na Sancza, Rosynanta i siwka. Kiedy zbliżyli się, pan i pachołek wleźli na siodła i nie zawracając, aby się pożegnać z Arkadią, zmyśloną i naśladowaną, pojechali dalej z większym wstydem niż zadowoleniem.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

gdzie opowiada się o nadzwyczajnym zdarzeniu, jakie spotkało Don Kichota, a które można uważać za przygodę

Na kurz i zmęczenie, jakie Don Kichote i Sanczo wynieśli ze spotkania z brutalnością byków, znaleźli lek w zdroju jasnym i czystym, który w cienistym gaju odkryli; puściwszy wolno, bez kantara i wędzidła, siwka i Rosynanta, obaj potłuczeni, pan i pachołek, usiedli nad wodą. Uciekł się Sanczo do zawartości swoich biesagów i wyciągnął z nich to, co nazywał swoją spyżą, opłukał sobie usta, Don Kichote obmył twarz i po tym orzeźwieniu znękane ich umysły odzyskały nieco odetchnienia. Don Kichote nie jadł nic, będąc zbyt zgnębiony, ani Sanczo nie śmiał tykać jedzenia, jakie miał przed sobą, przez czystą grzeczność, bo czekał, aż jego

pan da początek; widząc go wszelakoż tak zagłębionym w urojeniach, że ani nie 649 pamiętał o tym, by podnieść chleb do ust - nie mówiąc ni słowa i depcząc wszelkie grzeczności, zaczął napychać żołądek chlebem i serem, które przed nim leżały. - Jedz, Sanczo, druhu - rzekł Don Kichote. - Podtrzymuj życie, na którym tobie bardziej zależy niżli mnie, a mnie pozwól umrzeć pod ciosami mych myśli i przemocą moich nieszczęścia. Ja, Sanczo, urodziłem się, aby żyć, umierając, a ty, aby umierać, jedząc; abyś zaś przekonał się, że prawdę powiadam, patrz, jakim jest: wydrukowany w powieściach, słynny przez czyny zbrojne, dworny w postępkach, szanowany przez książąt, rozrywany przez dziewczęta, a koniec końców, kiedy spodziewałem się palm, triumfów i wieńców zyskanych i zasłużonych przez moje waleczne przewagi, ujrzałem

Don Kichote - Miguel Cervantez

się stratowanym, podeptanym i zgniecionym kopytami bydląt nieczystych i wstrętnych. Ta myśl każe mi zaciskać zęby, paraliżuje szczęki, ubezwładnia ręce i odejmuje całkowicie ochotę do jadła do tego stopnia, że gotów jestem umrzeć z głodu, śmiercią najokrutniejszą ze śmierci. - W ten sposób - rzekł Sanczo, nie przestając żuć pośpiesznie - nie zgadza się jegomość z przysłowiem, które powiada: Niech umiera Marta, byleby nażarta. Ja przynajmniej nie myślę się sam zabijać; raczej zamyślamsz zrobić jak ów szewc, który skórę zębami naciąga, aż naciągnie ją, jak zechce; ja ciągnąć będę życie, jedząc aż po ostatni jego kres przez niebo mi wyznaczony. Wiedziecie, panie, nie ma większego szaleństwa niż tak się rozpaczy poddawać jak jegomość, i wierzcie mi, pojedziecie i położcie się spać na chwilę na zielonych poduszkach tej murawy, a zobaczycie, że po obudzeniu poczujecie pewną ulgę.

Posłuchał go Don Kichote, uważając, że słowa Sancza pochodząły raczej od filozofa niż półgłówka, i rzekł doń:

- Gdybyś ty, Sanczo, zechciał dla mnie uczynić to, co ci teraz powiem, ulgabyłaby pewniejsza, a troski me umniejszone; oto, podczas kiedy spać będę, idąc za twoją radą, chciałbym, abyś oddalił się nieco i wodzami Rosynanta, obnażywszy swoje ciało, wymierzył sobie trzysta albo czterysta cięgów na rachunek owych trzech tysięcy i coś tam, które masz sobie dać w celu odczarowania Dulcynei; hańba to bowiem niemała, że owa nieszczęsna pani zostaje pod zaklęciem przez twoje zapomnienie i niedbalstwo.

- Można by o tym wiele gadać - rzekł Sanczo. - Tymczasem wyślijmy się obydwaj, a potem będzie, co Bóg da. Trza jegomości wiedzieć, że tak smagać się z zimną krwią jest rzeczą okrutną dla człowieka, a tym bardziej jeśli razy padają na ciało wyczerpane i źle odżywione; niechże moja pani Dulcynea ma cierpliwość, kiedy najmniej się spodzieje, zobaczy mię zamienionego w przetak przez baty; wszystko żyje do śmierci, chcę rzec, że jeszcze żyję, a żyję pragnieniem dotrzymania tego, co obiecałem.

Don Kichote podziękował mu, podjadł nieco. Sanczo zaś wiele, i położyli się obaj spać, pozwoliwszy dwom nierożącym towarzyszom i druhom, Rosynantowi i siwkowi, paść się swobodnie i bez żadnego przymusu na obfitej trawie, jaką pokryta była łąka. Obudzili się dość późno, dosiedli wierzchowców i pojechali dalej, pośpieszając, by dotrzeć do zajazdu, który jak się zdawało, widać było o milę stamtąd. Mówiąc, iż był to zajazd, tak bowiem nazwał go Don Kichote wbrew zwyczajowi dawnemu, kiedy to wszystkie zajazdy nazywały zamkami.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Dotarli wreszcie do niego i zapytali gospodarza o nocleg. Odpowiedziano im, że owszem, jest ze wszystkimi wygodami i zbytkiem, jaki można znaleźć w Saragossie. Zsiadłszy z osła, Sanczo zaniósł swój dobytek do izdebki, od której klucz dał mu gospodarz, zwierzęta odprowadził do stajni, podsypał im obroku i wyszedł zobaczyć, co mu rozkaże Don Kichote, który siedział na kamiennej ławie. Sanczo dziękował niebu za szczególną łaskę, że pan jego nie wziął owego zajazdu za zamek. Nadeszła pora wieczerzy, udali się do swej izby; Sanczo zapytał gospodarza, co może im podać do jedzenia. Na to gospodarz odpowiedział, że będzie czym gębę napchać, niech żąda, czego chce; od ptactwa niebieskiego do drobiu ziemskiego i ryb morskich, we wszystko zajazd jest zaopatrzony.

- Nie potrzeba aż tyle - odrzekł Sanczo - parka pieczonych kogutków zupełnie wystarczy, mój pan jest bowiem delikatek i je mało, a ja nie jestem zbytnim obżartuchem.

Gospodarz odpowiedział, że kogutków nie ma, bo je kanie wydusiły.

- Każcie tedy, panie gospodarzu, upiec kurę, byleby była miękka.- Kurę? Ojcze mój! - wykrzyknął na to gospodarz. - Świętą prawdę mówię, wczoraj wysłałem do miasta na sprzedaż kur ponad pięćdziesiąt, ale prócz kur żądajcie, panie, czego chcecie.
- Jeśli tak - rzekł Sanczo - nie brak pewnie cielęciny lub koziny?- Dziś właśnie - odpowiedział gospodarz - zabrakło jej w domu, bo wszystko zjedzone; ale w następnym tygodniu będzie jej do zbytku.
- Tośmy z tego bogaci! - odpowiedział Sanczo - założyłbym się, że zebrawszy te wszystkie braki i resztki, znajdę się może słonina i jaja. - Na Boga! - odparł gospodarz. - Ładną to pamięć ma mój gość. Przecie powiedziałem, że nie mam kurcząt ani kur, a on chce, aby jajka były! Pomyślcie lepiej o innych przysmakach i przestańcie żądać wymyślnych smakołyków!
- Skończmy z tym, na mą duszę - rzekł Sanczo - przestańcie bałamucić, paniegospodarzu, i powiedzcie mi w końcu, co macie?

Karczmarz rzekł na to:

- Prawdziwie i rzetельnie mówiąc, mam dwie nogi wołowe, które raczej zdają się być nóżkami cielęcia, czyli dwie nóżki cielęce, które wydają się być wołowymi; są już ugotowane z grochem, cebulą i słoniną i w tej chwili wołają: "Jedzcie nas! Jedzcie nas!".
- Dla siebie od razu je zamawiam - rzekł Sanczo - i niech nikt ich nie tyka; lepiej wam za nie zapłacę niż kto inny, nic mi bardziej do smaku nie przypada i nie szkodzi mi, czy będą to nóżki, czy nogi, byleby były.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Nikt ich nie tknie - rzekł karczmarz - bowiem inni goście, jakich mam, są tak znakomici, że wożą ze sobą kucharza, szafarza i spiżarnię.
- Jeśli o znakomitość chodzi - rzekł Sanczo - nikt memu panu nie dorówna; ale powołanie, jakie pełni, nie pozwala na spiżarnię ani na piwnicę; rozkładamy się na łacie i zajadamy się żołędziami i owocami niespliku1.

1 niesplik - krzew z rodziny różowatych o żółtobrunatnych jadalnych owocach.

651

Taka była rozmowa Sancza z karczmarzem, nie chciał jej Sanczo przeciągać i nie odpowiedział na pytanie, jaki to zawód i powołanie pan jego pełni. Nadeszła godzina posiłku; Don Kichote usunął się do swej izby, gospodarz przyniósł garniec cały wprost z kuchni i zasiedli wieczerzać z wielkim apetytem. Zdarzyło się, że w drugiej izbie, oddzielonej od izby Don Kichota jedynie cienką ścianką, Don Kichote usłyszał wypowiedziane słowa:

-Na wasze życie, proszę, panie Hieronimie, zanim przyniosą wieczerzę, przeczytajmy następny rozdział z Części drugiej Don Kichota z Manczy.

Zaledwie Don Kichote usłyszał swoje nazwisko, zerwał się na nogi i nastawiwszy ucha, słuchał, o czym była mowa; doszła doń odpowiedź zagadniętego Don Hieronima:

- Po cóż chcecie, wielmożny panie Don Juanie, abyśmy czytali owe głupstwa? Kto przeczytał Część pierwszą historii Don Kichota z Manczy, nie może znaleźć upodobania w czytaniu tej drugiej.
- Mimo to - rzekł Don Juan - dobrze będzie ją przeczytać, nie masz bowiem książek tak złej, która by nie zawierała czegoś dobrego. Najbardziej w tej nie podoba mi się, że przedstawia Don Kichota już uleczonego z miłości do Dulcynei z Toboso. Usłyszawszy to, Don Kichote, pełen gniewu i oburzenia, podniósł głos i zawałał:
- Ktokolwiek by rzekł, że Don Kichote z Manczy zapomniał czy mógł zapomnieć o Dulcynei z Toboso, temu w równej walce dowiodę, jak daleki jest od prawdy: nieporównanej Dulcynei z Toboso nie można zapomnieć ani Don Kichote nie może w grzech zapomnienia popaść: jego godłem jest stałość, jego powołaniem dotrzymać jej wiary swobodnie i bez wysiłku. - Kim jest ten, co nam odpowiada? - zapytano z drugiej izby.
- A który by mógł być? - odpowiedział Sanczo. - Jeśli nie sam Don Kichote z Manczy, który podrzyma orężem wszystko, co powiedział, a nawet, co jeszcze powie, bowiem dobry płatnik nie żałuje zadatku.

Zaledwie Sanczo to wyrzekł, kiedy przez drzwi komnaty wpadło dwóch szlachciców, na takich bowiem wyglądały, i jeden z nich, zarzuciwszy ramiona na szyję

Don Kichota, rzekł doń:

- Ani postać wasza nie może zaprzeczyć imienia, ani wasze imię postaci. Bezochyby to wy, panie, jesteście prawdziwym Don Kichotem z Manczy, gwiazdą przewodnią i jutrzenką błędnego rycerstwa, na przekór i na wspanak temu, który chciał usurpować nazwisko wasze i unicestwić wasze przewagi, jak to czynił autor książki, którą wam oddaję.

I wręczył mu książkę, którą przyniósł jego towarzysz. Don Kichote przyjął ją bez słowa i zaczął kartkować, a po chwili zwrócił się do nich, mówiąc: - Na tych kilku kartkach, jakie przeglądałem, znalazłem trzy rzeczy, za które autor na naganę zasłużył. Pierwsza to kilka słów, jakie przeczytałem w Przedmowie, druga to, że posługuje się językiem aragońskim, bowiem opuszcza rodzajniki; trzecia, która najsilniej jego nieuctwo podkreśla, jest, że myli się i odchyla od prawdy

652

w tym, co w tej historii najważniejsze, bowiem mówi tu, że żona Sanczo Pansy, mego giermka, nazywa się Maria Gutierrez, a nazywa się przecie Teresa Pansa; a kto się myli w tak zasadniczej rzeczy, należy się obawiać, że pobłędzi i we wszystkich innych tej historii dotyczących.

Na to odezwał się Sanczo:

- Zaiste, zabawny to historyk! Musi być dobrze o naszych sprawach powiadomiony, jeśli nazywa Teresę Pansę, moją żonę, Marią Gutierrez! Proszę was, panie, weźcie tę książkę i obaczcie, czy tam i o mnie stoi, czy i mnie nie zmienił nazwiska.
- Z tego, co słyszałem, przyjacielu - rzekł Don Hieronim - wnioszę, że bezwątpienia musicie być Sanczo Pansą, gierkiem pana Don Kichota. - Jestem nim - odpowiedział Sanczo - i jestem dumny z tego.
- Zaiste - rzekł kawaler - ten nowoczesny autor nie traktuje was z taką przyzwoitością, na jaką wasza osoba zasługuje; przedstawia was jako obżartucha i prostaka, całkiem nieuchesznego i zupełnie innego, niżli Sanczo w pierwszej części dziejów waszego pana jest opisany.
- Niech mu Bóg wybaczy - rzekł Sanczo - lepiej byłby mię zostawił w moimkałku i nie przypominał sobie o mnie, niech ten na strunach gra, kto się na tym zna, i - dobrze świętemu Piotrowi w Rzymie!

Dwaj szlachcice zaprosili Don Kichota, aby przeszedł do ich izby i wieczerzał z nimi; wiedzą bowiem dobrze, że w tym zajeździe nie masz jadła przystojnego dla jego

Don Kichote - Miguel Cervantez

osoby. Don Kichote, grzeczny jak zawsze, przystał na ich prośbę i udał się z nimi na wieczerzę. Sanczo, pozostawszy sam, objął niepodzielną władzę nad garnkiem; zasiadł na pierwszym miejscu, a wraz z nim karczmarz, nie mniejszy od Sancza miłośnik owych nóg i nóżek.

W czasie wieczerzy zapytał Don Juan Don Kichota, czy ma jakieś wieści o pani Dulcynei z Toboso: zali wyszła za mąż, zali rodziła albo była brzemienną, albo też, o ile jeszcze panną pozostała, zali pamięta (z zachowaniem swej cnoty i przystojności) o miłosnych uczuciach Don Kichota? Na co

tamten odpowiedział:

- Dulcynea jest dziewczynką, moje uczucia są silniejsze niż kiedykolwiek; odpłaca mi po dawnemu obojętnością, a gładkość jej zmieniona jest w szkaradę prostej chłopki.

I od razu, szczególnie po szczególe, jał opowiadać im o zaczarowaniu pani Dulcynei, o tym, co mu się przydarzyło w Jaskini Montesinosa, jakie zlecenie dał wia-
duch Merlin, każąc się Sanczowi biczwować, aby zdjąć z niej czary. Obaj szlachcice ogromnie smakowali, słuchając opowieści Don Kichota o niezwykłych zdarzeniach, jakie go spotkały, i zdumiewali się zarówno nad jego szaleństwem, jak nad wytwornym sposobem opowiadania. To mieli go za rozsądnego, to znów raczej za półgłówka, nie umiejąc określić, jakie mu miejsce między rozsądkiem a szaleństwem wyznaczyć.

Sanczo skończył wieczerzać i pozostawiwszy zataczającego się karczmarza, skierował się do izby, gdzie się pan jego znajdował, i wchodząc, odezwał się: - Niech mię zabiją panowie, jeśli autor tej książki, którą ichmość panowie posiadacie, nie chce ze mną dobrych kęsków pojeść; chciałbym wiedzieć, czy nazwawszy mię żarłokiem, nie nazywa mię takąż pijakiem? 653

- Jużci, nazywa - rzekł Don Hieronim - ale nie przypominam sobie, w jakichwyrazach, chociaż pamiętam, że w obelżywych słowach, i w dodatku kłamiwych, jak łatwo poznać można z poczciwej twarzy Sancza, tu obecnego.

- Wiercie mi, ichmość panowie - rzekł Sanczo - że ów Sanczo oraz ów Don Kichote z tamtej historii muszą być zupełnie różni od tych, jakich w swojej przedstawił Sidi Hamet Ben Engeli, a którymi my jesteśmy: mój pan mężny, mądry i zakochany, a ja prostak ucieszny, ale ani żarłok, ani pijak. - I ja tak myślę - rzekł Don Juan - i gdyby to było możliwe, należałoby zakazać, aby ktokolwiek imał się spraw wielkiego Don Kichota krom Sidi Hameta, jego pierwszego autora, tak jak Aleksander zakazał, aby go malował ktokolwiek inny niż Apelles.

- Niech mię maluje, kto chce - rzekł Don Kichote - ale niech mnie nie zniekształca; nierzaz cierpliwości zabraknie, kiedy ją obelgi przygniotą. - Żadna nie

Don Kichote - Miguel Cervantez

może obrazić pana Don Kichota - odparł Don Juan - której by pomścić nie zdołał, o ile nie odeprze jej tarczą swej cierpliwości, która, jak mnie się zdaje, jest mocna i wielka.

Na tych i innych rozmowach przeszła znaczna część nocy; i chociaż Don Juan pragnął, aby Don Kichote więcej z tej książki przeczytał i przekonał się, w czym się od prawdy odchyla, nie mogli go do tego nakłonić, odpowiadał, że uważa ją za przeczytaną i stwierdza, że jest całkiem głupia, i nie chciałby, aby jej autor, dowiedziawszy się, iż ją czytał, miał z tego ucieczę. Powinno się bowiem myśli odwracać od rzeczy

sprośnych i brudnych, a jeszcze bardziej oczy. Zapytali go, dokąd postanowił się udać. Odpowiedział, że do Saragossy, aby wziąć udział w turniejach o zbroję, jakie

się w tym mieście zwykły corocznie odbywały. Powiadomił go Don Juan, że owa nowa historia opowiada, jak Don Kichote czy też ktoś podający się zań miał tam brać udział w gończy do pierścienia, opis ten pozbawiony pomysłów, ubogi w zwołania, jeszczeuboższy w opis strojów, ale za to bogatszy w głupstwa. - W takim razie - odpowiedział Don Kichote - nogą moją w Saragossie nie postanie i w ten sposób na jaw przed światem wyjdzie kłamstwo tej nowej historii, a ludzie przekonają się, że nie jestem tym Don Kichotem, jakiego ona opisuje. - Przednio uczynicie - rzekł Don Hieronim - odbywają się inne turnieje w Barcelonie, na których pan Don Kichote będzie mógł okazać swą dzielność. - Tak też zamýślam uczynić - rzekł Don Kichote - i poproszę waszmościów o pozwolenie, jako że pora jest późna, udania się na spoczynek, i proszę, abyście raczyli uważać mię i zaliczyć pomiędzy swoich największych przyjaciół i slug.

- I mnie także - rzekł Sanczo - może się na coś przydam.

Na tym pożegnali się i Don Kichote oraz Sanczo usunęli się do swej izby, pozostawiając Don Juana i Don Hieronima zdumionych tą mieszaniną mądrości i szaleństwa; zaiste uwierzyli, że to byli prawdziwi Don Kichote i Sanczo, a nie tamci, jakich przedstawia autor aragoński.

Don Kichote wstał wcześnie i zapukawszy do ścianki sąsiedniej izby, pożegnał swoich gospodarzy. Sanczo zapłacił karczmarzowi sowicie i poradził mu, aby mniej zachwalał zapasy swojej gospody albo też zaopatrywał ją lepiej. 654

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

co zdarzyło się Don Kichotowi w drodze do Barcelony

Don Kichote - Miguel Cervantez

Ranek był chłodny i dzień zapowiadał się taki, kiedy Don Kichote wyjechał z zajazdu, wypytawszy wprzód o najprostszą drogę do Barcelony z ominięciem Saragossy: tak bardzo mu zależało na tym, aby zadać kłam owemu nowemu historykowi, który -jak słyszał- tak go sponiewierał. W przeciągu sześciu dni nie zdarzyło

mu się nic godnego zapisania; siódmego dnia zjechali z drogi i zaskoczyła ich noc w gęstej dębinie czy też korkowinie; bo w tej sprawie Sidi Hamet nie jest tak dokładny, jak zazwyczaj w innych bywa.

Zsiedli z wierzchowców pan i pachołek i rozłożyli się pod drzewami; Sanczo, który dobrze podjadł dnia tego, od razu przekroczył bramy snu; ale Don Kichote, któremu raczej urojenia spać nie dawały niż głód, nie mógł zamknąć oczu; przeciwnie, myśl jego błąkała się po tysięcznych miejscach. To zdawało mu się, że znajduje się w Jaskini Montesinosa, to widział, jak jednym skokiem dosiadała owej oślicy przemieniona w wieśniaczkę Dulcynea; to dzwoniły mu w uszach słowa wiaducha Merlinia podającego warunki i starania, jakie przedsięwziąć należy celem odczarowania Dulcynei. Rozpaczał, myśląc o opieszałości i braku miłosierdzia Sancza, swego giermka, który -jak mniemał - dopiero pięć plag sobie wymierzył; a była to liczba śmiesznie mała wobec nieskończoności tych, których jeszcze nie dostawało; i to go tak trapiło i gniewało, że do siebie mówił: "Jeśli Aleksander Wielki rozciął

węzeł gordyjski ze słowami: "Wszystko jedno, czy rozciąć, czy rozplatać", i nie prze- szkodziło mu to zostać panem całej Azji, to samo i mnie zdarzyć się może z odcza-

rowaniem Dulcynei, jeśli my wysmagał Sancza wbrew jego woli; bo jeśli warunkiem owego leku jest, aby Sanczo otrzymał trzy tysiące i coś tam batów, to co mnie

to szkodzi, czy on je sobie sam wymierzy, czy też ktoś inny go wysmaga, bo istotne jest, aby on je otrzymał, a wszystko jedno, skąd nań spadną." W tej myśli podszedł do Sancza, zdając wprzód wodze Rosynanta, które złożył tak, aby można nimi było biczować i smagać, i zaczął mu odwiązywać tasiemki, które portki trzymały, a mniemać należało, że były tylko z przodu; ledwie jednak ich dotknął, Sanczo obudził się, oprzytomniał od razu i zapytał: - Cóż to znowu? Kto mię tyka i rozwiązuje?

Don Kichote - Miguel Cervantez

- To ja - odpowiedział Don Kichote - chcę wynagrodzić twoje braki i moimstrapieniom zaradzić; przychodzę cię, Sanczo, wysmagać i zwolnić cię przynajmniej

w części od długu, jaki zaciągnąłeś. Dulcynea ginie, ty żyjesz beztrosko, ja umie- ram z pragnienia; spuść przeto dobrowolnie spodnie, bo moją wolą jest wymierzyć ci w tej samotni przynajmniej dwa tysiące plag.

- Co to, to nie! - rzekł Sanczo - dajcie, jegomość, spokój, bo jeśli nie, to naBoga prawdziwego klnę się, usłyszą mnie głusi! Plagi, jakie mam sobie

wymierzyć, muszą być dobrowolne, a nie wymuszone siłą, a teraz nie mam ochoty się smagać;

655 dosyć na tym, że daję waszej miłości słowo, iż

wybaczysz się i wypackam, kiedy mi przyjdzie chęć. -

Nie można się spuszczać, Sanczo, na twoją uprzejmość -

rzekł Don Kichote

-jesteś bowiem twardego serca i choć prostak, zbyt miękkiego ciała. To mówiąc, usiłował gwałtem rozwiązać mu portki; co widząc, Sanczo Pansa porwał się na nogi, rzucił się na swego pana, pochwycił go w kleszcze ramion i podstawiwszy mu nogę, zwalił go na wznak na ziemię; kolaniem przycisnął mu piersi i w obu rękach uwięził jego ręce, tak że ani obrócić się, ani odetchnąć nie mógł.

Don Kichote rzekł:

- Jakże to, zdrajco? Przeciw własnemu chlebodawcy i przyrodzonemu panusię porywasz? Rzucasz się na karmiciela twoego?
- Ani króla nie zrzucam, ani go nie wprowadzam na tron - odpowiedział Sanczo - siebie tylko bronię, będąc sobie panem. Niech mi jegomość przyczeknie, że uspokoi się i nie będzie usiłował teraz mię biczować, a puszczyć go wolno i swobodnie; inaczej nie: Umrzesz tu, zdrajco niegodny, Coś wrogiem był Doni Sanczy.

Don Kichote przyczeknął i zaklął się na życie swego umiłowania nie dotknąć ani jednej nitki jego odzienia i całkowicie zostawić jego dobrej woli i osądowi, kiedy się smagać zechce. Podniósł się Sanczo i oddalił dość daleko od tego miejsca, ale kiedy układał się pod drugim drzewem, uczuł, że mu ktoś głowy dotyka, wzniósł ręce i namacał czyjeś nogi w pończochach i butach. Zadrżała ze strachu; podbiegły pod inne drzewo i spotkało go to samo. Zaczął krzyczeć, przywołując Don Kichota na pomoc. Don Kichote nadbiegły, pytając, co mu się stało i dlaczego drży ze strachu. Sanczo

Don Kichote - Miguel Cervantez

odpowiedział, że oto wszystkie drzewa pełne są stóp i nóg ludzkich. Don Kichote dotknął ich i od razu zdał sobie sprawę, co by to być mogło; rzekł tedy do Sancza:

- Nie masz się czego obawiać, te stopy i nogi, jakich dotykasz, nie widząc ich, należą bez wątpienia do jakichś złoczyńców i zbójów, których tutaj powieszono; sprawiedliwość tutejsza zwyczajnie, kiedy ich pochwyci, wiesza tak po dwudziestu lub trzydziestu; stąd wnioszę, że musimy być blisko Barcelony.

I istotnie tak było, jak przypuszczał. Kiedy

zaświtało, podnieśli oczy i ujrzelii, że gałęziami owych drzew były ciała zbójów. Tymczasem nastął dzień i jeżeli prze- razili ich trupy, niemniej przestraszyło ich ponad czterdziestu żywych zbójów, któ- rzy nagle ich otoczyli, rozkazując im w języku katalońskim stać spokojnie i zacze- kać na przybycie ich herszta. Don Kichote był pieszo, koń jego bez wędzidła, kopia

stała oparta o drzewo, jednym słowem, obrony żadnej; pozostawało mu jedynie skrzyżować ręce na piersi, pochylić głowę i zachować się na lepszą porę i sposobność.

Zbójcy jeśli przeszukiwały siwka i nie zostawili żadnej rzeczy, jakie zawierały biesagi i sepet; na dobre wyszło Sanczowi, że na brzuchu w pasie miał schowanych 656

owych dwieście talarów od księcia oraz pieniądze wywiezione z domu; z tym wszyst- kim owi zaci ludzie byliby go przeszukali, przetrząsnęli i wydarli mu, choćby je był schował między mięsem a skórą, gdyby nie nadjechał na to ich herszt, wygląda- jący na lat około trzydziestu czterech, silny, rosły ponad zwykłą miarę, o spojrzeniu

poważnym i śniadej cerze. Dosiadał potężnego konia, na sobie miał kolczugę stalową, a u boku cztery pistolety (które w tym kraju nazywają skałkowkami). Spostrzegł,

że jego hajducy (tak bowiem zwą się ludzie tego rzemiosła) zabierali się do obdzie- rania Sanczo

Don Kichote - Miguel Cervantez

Pansy, zabronił im tego i natychmiast go posłuchali, w ten sposób ocalał

pas. Zadziwiła go kopia oparta o drzewo, tarcza na ziemi i Don Kichote w pełnej zbroi, zamyślony, z twarzą niezmiernie smutną i żałoską, która wydawała się samym smutkiem. Zbliżył się doń i rzekł:

- Nie bądźcie tak smutni, zacny człowiek; nie wpadliście bowiem w ręce żadnego okrutnego Ozyrysa¹, jeno w ręce Rocha Guinarta² bardziej litościwe niż surowe.

- Smutek mój nie pochodzi z tego - odpowiedział Don Kichote - że popadłem w twoją moc, o dzielny Rochu, którego sława nie ma granic na tej ziemi, jeno że z powodu niedbalstwa mojego żołnierze twoi zaskoczyli mnie przy nieokiełzanym koniu, podczas kiedy moim obowiązkiem, wedle reguł błędnego rycerstwa, jakich dochowuję, jest żyć stale w czujności, będąc każdej godziny sam sobie czujką; bowiem wiedzieć musisz, o wielki Rochu, że gdyby mię byli zastali na koniu z kopią i tarczą, nie byłoby im łatwo mię pochwycić, jestem bowiem Don Kichote z Manczy, który przewagami swoimi napełnił cały świat.

Roch pojął, że chorobą Don Kichota było raczej szaleństwo niż waleczność, i lubo niekiedy zasłyszał o nim, nigdy czynów jego nie miał za prawdę ani nie mógł uwierzyć, by serce ludzkie mogło takie dziwactwa zawierać; uradował się niezmier- nie z tego spotkania, chcąc naocznie przekonać się o tym, o czym niejasno słyszał, rzekł przeto:

- Waleczny rycerzu, nie trapcie się ani nie uważajcie tego za nieszczęście, co was spotkało; być może, że przy tym potknięciu naprosto się wasz skrzywiony los; niebo bowiem przez dziwaczne i nigdy niewidziane zwroty (jakie na myśl ludziom nie przyjdą) zwykło podnosić upadłych i wzbogacać ubogich. Już Don Kichote zaczynał mu dziękować, kiedy usłyszano za plecyma tętent jakby stada koni, był to wszelako jeden tylko w szalonym pędzie niosący młodzieńca

około dwudziestoletniego, odzianego w zielony adamaszek ze złotym oszyciem, w bufiastych spodniach, w kubraku, w kapeluszu odwiniętym walońskim, w butach obcisłych i lśniących, z ostrogami, szpadą i puginałem złoconym, z krócią w ręce i dwoma pistoletami u boku. Na ten tętent odwrócił głowę Roch i ujrzał piękną postać młodzieńca, który odezwał się doń w ten sposób:

1 Roch mieszka tu Ozyrysa, boga egipskiego, z Buzyrysem, królem egipskim, który kazał zabijać każdego cudzoziemca przekraczającego granicę

Don Kichote - Miguel Cervantez

Egiptu. 2 Perot Roca G u i narda-postać historyczna, wódznajwiększej bandy katalońskiej, uważany za orędownika biedaków. 657

- Poszukiwałem cię, o dzielny Rochu, aby u ciebie znaleźć jeśli nie ratunek, to przynajmniej odległą w moich nieszczęściach; i aby cię dłużej w niewiedzy nie trzymać, wiedząc, że mię nie znasz, chcę ci rzec, kim jestem. Jestem Klaudia Hieronima, córka Szymona Silnego, twego szczególnego przyjaciela, a zawziętego wroga Klokela Torrellasa, który jest również i twoim, należąc do wrogiej ci bandy. Wiesz, że

ów Torrellas ma syna, który zwie się Wincenty Torrellas, a przynajmniej tak się dwie godziny temu nazywał. To rzekłszy, aby skrócić opowieść o mym nieszczęściu, powiem ci w kilku słowach, co było jego przyczyną. Ujrzał on mnie, zalecał się do mnie, słuchałam go i zakochałam się w skrytości przed ojcem, bowiem nie masz białogłówki, choćby nie wiem jak strzeżonej i ukrytej, która by nie znalazła sposobności, aby zadośćuczynić chęciom swoim i do celu je przywieść. W końcu przypomniałem, że będzie moim mężem, a ja dałam mu słowo, że będę jego, ale sprawy dalej nie zaszły. Wczoraj dowiedziałam się, że niepomny na to, co mi winien, żeni

się z inną i że dziś rano mają się odbyć zaślubiny;
ta wiadomość wzburzyła mię tak, że straciłam
cierpliwość, a że ojciec mój był nieobecny,
przyodziąłam się, jak wi-

dzicie, i popędzając konia, dopadłam Don Wincentego o milę stąd; nie wytaczając mu skargi ani nie chcąc słuchać usprawiedliwień, wypaliłam z tej króćicy i w dodatku z owych dwóch pistoletów, i jak mniemam, wsadziłam mu przynajmniej dwie kule w ciało, otworzywszy furtę, przez którą w krwi jego spłukana moja cześć się uratowała. Zostawiłam go tam pośród slug, którzy nie śmieli ani nie zdołali stanąć

w jego obronie. Przychodzę cię prosić, abyś mnie przeprowadził do Francji, gdzie mam krewnych, z którymi bym żyć mogła, a również, abyś bronił mojego ojca, jeśliby liczni stronicy Don Wincentego ośmielili się mścić na nim niesłusznie. Roch, zdumiony śmialością i odwagą, piękną postawą i losem nadobnej Klaudii, tak do niej rzekł:

- Pójdziecie, pani, przekonajmy się wprzód, czy wasz wróg zabity; a potem rozważymy, co nam czynić wypada.

Don Kichote, który uważnie słuchał słów Klaudii i odpowiedzi Rocha, odezwał się:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Nie potrzeba nikogo, kto by podejmował się trudu obrony tej pani; ja to bioręna siebie; oddajcie mi konia, broń i czekajcie tu mnie; udam się na poszukiwanie owego kawalera i żywego czy umarłego przywiodę, aby dotrzymał słowa danego takiej piękności.
- Niech nikt o tym nie wątpi - rzekł Sanczo - bowiem mój pan ma bardzosczęśliwą rękę do kojarzenia małżeństw, zaledwie kilka dni temu zmusił do ożenku jednego, który również nie chciał dotrzymać słowa danego pewnej pannie; i gdyby

czarnoksiężnicy, którzy go prześladują, nie byli zamienili jego prawdziwego oblicza w oblicze pewnego pokojowca, o tej godzinie nie byłaby już owa panna dziewczyną.

Roch pogrążony w myślach o przygodzie pięknej Klaudii nie słuchał nawet słów pana ani pachołka; rozkazał swoim hajdukam zwrócić Sanczowi wszystko, co zabrali z siwka, oraz udać się na miejsce, gdzie ubiegłą noc spędzili, sam zaś z Klaudią pełnym galopem udał się na poszukiwanie rannego czy zabitego Don Wincentego. 658 Przyjechali na miejsce jego spotkania z Klaudią i nic nie znaleźli prócz śladów świeżo rozlanej krwi; wytężając wzrok na wszystkie strony, dostrzegli na wzgórzu kilka postaci i domyślili się, co było i prawdą, że musi to być Don Wincenty, którego służdy niosą umarłym czy żywym, albo aby go opatrzyć, albo aby go pochować. Popędzili konie, a że tamci posuwali się powoli, z łatwością ich dogonili.

Zastali

Don Wincentego na rękach jego służby, którą głosem złamanym i słabutkim błagał, aby mu tu umrzeć dali, bowiem ból z ran nie pozwala mu dalej się posuwać.

Klaudia i Roch zeskoczyli z koni i podeszli doń, służbę przeraziła obecność Rocha, zaś Klaudię zmieszał widok Don Wincentego; walcząc ze wzruszeniem i surowością, zbliżyła się doń i ujęwszy go za ręce, rzekła:

- Gdybyś mi był oddał je zgodnie z naszym układem, nigdy byś się w takim stanie nie oglądał.

Ranny kawaler otworzył oczy już prawie zamknięte i poznawszy Klaudię, przemówił:

- Zdaję sobie sprawę, że to ty, nadobna a zwiedziona pani, zabiłaś mię, kara toniezasłużona ani sprawiedliwa dla moich zamiarów, bo ani w uczuciu, ani w czynach nigdy niczym nie chciałem ani nie mogłem ci uchybić. - Jak to! Zali

nieprawdą jest - zapytała Klaudia - że miałeś dziś rano poślubić Leonorę, córkę bogatego Balvastra?

- Zaiste nie - odpowiedział Don Wincenty. - Mój zły los musiał ci te wieści przynieść, abyś z zazdrości odebrała mi życie; ale tracąc je z twojej ręki i w tych ramionach, uważam się za szczęśliwego. I aby cię o tej prawdzie przekonać, ścisnij mi rękę i przyjmij mię za męża, jeśli chcesz; nie mogę ci dać większego zadośćuczynienia za krzywdę, jaką wedle twego mniemania ci wyrządziłem. Ścisnęła mu rękę Klaudia, a w niej ścisnęło się serce, tak że na skrwawioną piers Don Wincentego padła zemdlona, tymczasem jego już chwyciły śmiertelne drgawki. Roch stał w pomieszaniu, nie wiedząc, co począć. Rozbiegli się służdy szukać wody, aby nią twarz mu skropić; przynieśli ją i wylali na leżących. Ocknęła się z omdlenia Klaudia, ale nie ocknął się z agonii Don Wincenty, bo już życie zeń uszło. Co widząc, Klaudia, przekonawszy się, że jej słodki małżonek nie żyje, prze-

szyła powietrze westchnieniami swymi, a w niebo uderzyła skargami, rwała włosy, na wiatr je rozrzucając, własnymi rękoma twarz rozdzierała, dając wszelkie, jakie wyobrazić sobie można, oznaki bolesci i żalu zrozpaczonego serca.

- Ach, okrutna i niebaczna niewiasto - mówiła - jak łatwo ci przyszło tak zbrodniczy zamiar wykonać. O wściekła siło zazdrości, jaki rozpaczliwy los gotujesz tym, którzy cię do serca dopuszczają. O małżonku mój, którego nieszczęsne przeznaczenie zawiodło od łóżnicy małżeńskiej w grób, byś stał się moją ofiarą. Tak żałosne były skargi Klaudii, że wydarły łzy oczom Rocha, niezwyczajnym je kiedykolwiek wylewać. Płakali służdy, co chwila mdlała Klaudia i cała okolica zdawała się być nią smutku i dziedziną nieszczęścia. W końcu Roch Guinart rozkazał slugom Don Wincentego zanieść ciało jego do wioski ojca, znajdującej się w pobliżu, aby mu pochów sprawiono. Klaudia oświadczyła Rochowi, że chce zamknąć się w klasztorze, gdzie ksienią jest jedna z jej ciotek, i tam chce zakończyć życie w towarzystwie godniejszego a wieczystego małżonka. Pochwalił Roch ten

659

zacny zamiar i ofiarował się jej towarzyszyć, dokąd by chciała, i bronić jej ojca przed krewniakami Don Wincentego, choćby i cały świat chciał go napastować. Klaudia żadną miarą na odprowadzenie przystać nie chciała i podziękowawszy mu za dobre chęci w najgorętszych słowach, jak zdołała, pożegnała go ze łzami. Służdy Don Wincentego ponieśli ciało jego, a Roch zawrócił do swoich. Na taki koniec przyszło

Don Kichote - Miguel Cervantez

miłowaniu Klaudii Hieronimy. Cóż się dziwić, jeżeli niezwyciężone i srogie siły zazdrości utkały osnowę jej żałosnej historii.

Roch Guinart zastał swych hajduków tam, gdzie im przykazał, a pośród nich Don Kichota na Rosynancie, przemawiającego do nich i naklaniającego ich do poniechania tego sposobu życia, tak niebezpiecznego dla duszy i ciała; ale jako większość ich była Gaskończykami, gburami nieokiełznanymi, na nic się nie zdała przemowa Don Kichota. Roch, przybywszy na miejsce, zapytał Sancza, czy mu zwrócono i oddano kosztowności i klejnoty, które z siwka jego zabrano. Sanczo odparł, że owszem; brak mu jeno trzech chust wartości trzech miast.

- Cóż gadacie, człowiek? - odezwał się jeden z obecnych - oto je mam, alenie warte i trzech reali. - Jużci - rzekł Don Kichote - atoli mój giermek bardzo je ceni, jak mówi, zewzględu na osobę, która mi je dała. Roch Guinart kazał je natychmiast zwrócić i ustawiwszy swoich ludzi w szereg, rozkazał przynieść przed siebie wszystkie szaty, klejnoty i pieniądze oraz wszyst-

ko, co od ostatniego podziału zostało zrabowane; oszacowawszy pobieżnie to, co podzielone być nie mogło, wartość w pieniądzach rozdzielił między całe swoje towarzystwo tak sprawiedliwie i rozwążnie, że ani na włos od sprawiedliwości rozdzielczej się nie odchylił.

Kiedy już wszyscy byli zadowoleni, obdzieleni i zapłaceni, odezwał się Roch do Don Kichota: - Gdyby nie zachowało się takiej sprawiedliwości, nie byłoby można z nimiżyć.

Na co Sanczo rzekł:

- Wedle tego, co tu widziałem, sprawiedliwość jest tak konieczną rzeczą, że nawet między zbójami jest w zachowaniu.

Posłyszał to jeden z hajduków, wymierzył nań arkebusę i bez ochyby byłby mu leb roztrzaskał, gdyby nań Roch nie krzyknął, aby dał spokój, Sanczo przeraził się i postanowił nie otwierać ust, póki się wśród tych ludzi znajdować będzie. Nadbiegły wówczas jeden czy kilku z hajduków rozstawionych na czatach przy drodze, aby wypatrywać ludzi nią idących i dawać znać wodzowi o wszystkim, co się dzieje. Ten rzekł:

- Panie, niedaleko stąd, drogą wiodącą do Barcelony, jedzie znaczna gromada ludzi.

Na co Roch odpowiedział:

- Zali udało ci się dostrzec, czy są to tacy, którzy nas szukają, czyli też tacy, jakich my szukamy? - Tacy, jakich my szukamy - odpowiedział hajduk.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Zatem wyjdźcie wszyscy - odparł Roch - i przywieźcie mi ich zaraz tutaj, a niech wam się żaden nie wymknie. „, „, 660 Uczynili, jak rozkazały, i Don Kichote, Sanczo i Roch pozostali sami w oczekiwaniu, kogo hajducy przyprowadzą.

Podczas tego Roch tak mówił do Don Kichota:

- Nasz sposób życia wydawać się musi panu Don Kichotowi niezwykłym, niezwykłymi przygody nasze i przypadki, a wszystkie niebezpieczne; nie dziw, że się takimi wydają, bowiem prawdziwie wyznam, że nie masz sposobu życia bardziej niespokojnego i burzliwego jak nasz. Mnie ku niemu popchnęła nie wiem jaka żądza zemsty, która zdolna najspokojniejsze serce zamącić; ja z natury jestem lito-

ściwym i najlepszych chęci człowiekiem; ale jak już rzekłem, poszukiwanie zemsty za krzywdę mi wyrządzoną wszystkie me zacne skłonności wniwece obróciło i czyni, że trwam w tym stanie na przekór i wbrew memu rozumieniu; i jak jedno piekło drugie przywołuje, a jeden grzech - drugi, tak się sprzegły ognia zemsty, że już nie tylko własne, ale i obce na sobie dźwigam; ale Bogu niech będą dzięki, że choć ciaż widzę się pośród labiryntu moich błędów, nie tracę nadziei, że wyjdę z nich kiedyś i do bezpiecznego portu przybiję.

Don Kichote trwał w podziwie, słysząc, że Roch tak zacne i rozumne zdania wypowiada, był bowiem przekonany, że pośród tych, którzy oddają się zawodowi rabunku, zabijania i rozboju, nie może się znaleźć nikt prawej myśli, więc odpowiedział:

- Mości Rochu, poczatkiem zdrowia jest rozpoznanie choroby oraz chęć przyjęcia leków zapisanych przez medyków. Wasza miłość jesteś chory i znasz swoje schorzenie, a niebo, czyli Bóg, lepiej powiedziawszy, który jest lekarzem naszym, znajdzie dla was lekarstwa, które uzdrawią, jednakowoż zwykły one leczyć pomału, a nie nagle i cudem, tym bardziej że grzesznicy rozumni są bliżsi poprawy niż prostacy. A jako waszmość ukazałeś w wywodach swoich rozum, nie należy tracić ducha i oczekwać poprawy w chorobie waszego sumienia, a jeśli waszmość zechcesz drogę skrócić i z łatwością wejść na ścieżkę zbawienia, pójdzcie ze mną, przyuczę was rzemiosła błędnego rycerstwa, które pełne jest trudów i przygód, a jeśli sieje za pokutę przyjmie, prosto do nieba was zawiodą.

Roześmiał się Roch na tę radę Don Kichota i zmieniając rozmowę, opowiedział mu tragiczną przygodę Klaudii Hieronimy, czym ogromnie zmartwił się Sanczo, któremu bardzo do serca przypadła gładkość, swoboda i dzielność owej młodej. Na to zbliżyli się hajducy z zasadzki, wiodąc dwóch jeźdźców i dwóch pielgrzymów pieszych,

Don Kichote - Miguel Cervantez

karocę z białogłówami, której towarzyszyło około sześciu służących bądź pieszo, bądź konno oraz dwóch mulników towarzyszących jeźdźcom. Wzięli ich hajducy w środek i zarówno zwyciężeni, jak zwycięzcy stali w wielkim milczeniu, czekając, co powie wielki Roch Guinart. Ten zapytał szlachciców, kim są i dokąd jadą, i ile mają pieniędzy przy sobie; jeden z nich odpowiedział: - Panie, obaj jesteśmy oficerami piechoty hiszpańskiej; chorągwie nasze stoją w Neapolu i jedziemy, aby wsiąść na jedną z czterech galer, które - jak mówią stoją w Barcelonie, a mają rozkaz płynąć do Sycylii; wieziemy około dwieście czy trzysta talarów, i dzięki nim czujemy się bogaci i zadowoleni, bowiem zwykła miernota żołnierzy nie pozwala na większe skarby.

O to samo co oficerów zapytał Roch pielgrzymów; odpowiedzieli, że mają zamiar wsiąść na okręt, by udać się do Rzymu, i że obaj razem mogą mieć około 661 sześćdziesięciu reali. Chciał również dowiedzieć się, kto podróżuje w karocy, dokąd i wiele mają pieniędzy, wówczas jeden z jezdnych rzekł: - Moja pani, Dona Guiomar de Quiflones, żona wicekróla Neapolu, z córką nieletnią, panną dworską i ochmistrzynią, oto osoby jadące w tej karocy, towarzyszymy jej w sześciu służby, a wieziemy sześćset talarów.

- Tedy - rzekł Roch Guinart - mamy tu dziewięćset talarów i sześćdziesiąt reali, moich żołnierzy powinno być około sześćdziesięciu; porachujcie, ile na każdą głowę przypada, jestem bowiem złym rachmistrzem. Usłyszawszy te słowa, hajducy podnieśli głos, wołając: - Niech żyje Roch Guinart wiele lat, na złość łotrom, którzy by go zgubić chcieli!

Oficerowie stropili się, pani regentka zasmuciła, a bynajmniej nie uradowali się pielgrzymi, widząc konfiskatę swego mienia. Trzymał ich tak w niepewności Roch przez dobrą chwilę, ale nie chcąc przedłużać tego zmartwienia, które na strzał z arkebuzy widoczne było, zwrócił się do oficerów i rzekł:

- Ichmość panowie oficerowie będą tak grzeczni i przez dworność pożyczą misześćdziesiąt talarów, pani regentka osiemdziesiąt, aby zadowolić tę drużynę, która mi towarzyszy, bowiem opat spożywa, co sobie wyśpiewa, i zaraz możecie dalej w drogę jechać swobodnie i bez przeszkode, dam wam list przejezdny, aby wam moje inne oddziały, które w tej okolicy spotkać możecie, nie czyniły przykrości, nie leży w moich myślach krzywdzić żołnierzy ani też żadnej białogłów, osobliwie ze znacznego rodu.

Nieskończone i wymowne były dzięki, jakie składali oficerowie Rochowi za jego dworność i wspaniałomyślność, bowiem za taką poczytywali pozostawienie im pieniędzy. Pani Dona Guiomar de Quinones chciała wsiąść z karocy, aby ucałować stopy i ręce wielkiemu Rochowi, na co on w żaden sposób nie przystał; przeciwnie,

Don Kichote - Miguel Cervantez

prosił ją o przebaczenie za krzywdę jej uczynioną, do której go surowe obowiązki smutnego zawodu zmusiły. Pani regentka rozkazała jednemu ze służby wyliczyć osiemdziesiąt talarów, które na nich przypadły, a oficerowie już wypłacili sześćdziesiąt; i pielgrzymi już się gotowali swój nędzny grosz oddać, ale Roch rzekł, aby dali spokój, a zwróciwszy się do swoich, powiedział:

- Z tych talarów każdemu przypadnie po dwa, a zostanie jeszcze dwadzieścia; dziesięć oddamy owym pielgrzymom; a drugich dziesięć temu zacnemu giermkowi, aby mógł tę przygodę wysławiać.

Przyniesiono mu przybory do pisania, w które zawsze był zaopatrzony, i Roch na piśmie dał podróżnym przepustkę do hersztów band, po czym pożegnawszy ich, puścił wolno, zdumionych jego szlachetnością, jego dzielnym wyglądem i dziwnym postępowaniem; zdał im się raczej podobny Aleksandrowi Wielkiemu niż słynnemu zbójnikowi. Jeden z hajduków odezwał się w swym narzeczu gaskońsko-katalońskim:

- Ten nasz dowódca raczej nadaje się na klasztornego fratra niż na zbójnika. Jeśli na przyszłość chciał się okazywać tak szczodrym, niech to czyni z własnego majątku, a nie z naszego.

Nie wyrzekł tego nieszczęśniak tak cicho, aby go Roch nie dosłyszał, ten

pochwycił szpadę i rozlupał mu głowę na dwoje, mówiąc: 662 !. - W ten sposób

karzę bezczelnych szczekaczy.

Zdrętwiali wszyscy i nikt nie odważył się słowa pisnąć, trzymał ich bowiem w tak wielkim posłuchu.

Roch oddalił się nieco, aby napisać list do swego przyjaciela w Barcelonie, uwiadamiając go, że bawi przy nim słynny Don Kichote z Manczy, ów błędny rycerz, o którym tyle się opowiada, i zapewniał go, że jest to najzabawniejszy, ale zarazem najrozumiejszy człowiek na świecie i że za cztery dni, to znaczy w dzień św. Jana Chrzciciela, odstawi go na pobrzeże miasta Barcelony, w pełnym uzbrojeniu, na Rosynancie, jego koniu, wraz z jego gierkiem Sanczem na ośle. Niechże tę wiadomość poda swoim przyjaciołom Niarrosom, aby ubawili się nim; chciałby, aby tej przyjemności pozbawieni byli Cadellowie¹, jego przeciwnicy; nie będzie to jednak możliwe, bowiem szaleństwa i rozumne słowa Don Kichota oraz dowcipy jego giermka, Sanczo Pansy, każdego ubawić muszą. Wysłał ten list przez jednego ze

Don Kichote - Miguel Cervantez

swych hajduków, który zmieniwszy strój zbójnika na wieśniaczy, udał się do Barcelony i oddał pismo, komu należało.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

o tym, co przydarzyło się Don Kichotowi przy wjeździe do Barcelony, oraz o innych rzeczach, w których więcej prawdy niż rozsądku

T,

. rzy dni i trzy noce spędził Don Kichote z Rochem, a gdyby i trzysta lat z nim pozostawał, nie brakłoby mu na co patrzeć i podziwiać w jego sposobie życia: tutaj witali ranek, ówdzie posilali się, czasem uciekali, nie wiedząc przed kim, kiedy indziej oczekiwali nie wiadomo kogo. Spali stojąco, to przerywali sen, aby z miejsca na miejsce się przenieść. Życie schodziło na rozstawianiu szpiegów, prze-

słuchiwaniu czat, na dmuchaniu w zapały arkebuz2, chociaż mieli ich mało, bo prawie wszyscy posługiwali się skałkówkami. Roch spędzał noce w pewnym oddaleniu od swoich, w miejscowościach i kryjówkach, które im znane nie były; bowiem liczne wyroki wicekróla Barcelony, które nałożyły cenę na jego głowę, kazały mu się tułać w niepewności i obawie, nie śmiał nikomu zaufać, lękając się nawet, aby go właśni ludzie nie zabili albo nie wydali sprawiedliwości: życie to zaiste nędzne i ciężkie.

W końcu przez szlaki nieużywane, przez skróty i ścieżki zarosłe dojechali Roch, Don Kichote i Sanczo oraz innych sześciu hajduków do Barcelony.

Przybyli na wybrzeże w wigilię św. Jana nocą; Roch, uścisawszy Don Kichota i Sanczo, wręczył temu dziesięć przyczepionych talarów, których mu dotąd nie wypłacił, i zostawił 1 Niarrosowie, Cadellowie- możliwe rodziny z Barcelony, wokół których skupiały się dwa wrogie obozy zwalczające się w katalońskiej wojnie domowej. 2 zapał arkebuzy-kanał w lufie dawnej broni palnej.

663 ich po wymianie tysięcznych grzeczności i zapewnień wzajemnych. Roch zawrócił, Don Kichote pozostał na koniu, jak był, oczekując dnia, i niebawem na balko-

nach wschodu zaczęło ukazywać się oblicze białej jutrzenki, rozweselając trawy i kwiaty, a nie dotykając uszu, ale w tej samej niemal chwili uderzył słuch dźwięk rozlicznych piszczałek, bębnów i brzęk dzwoneczków oraz okrzyki gońców, których ujrzano wyjeżdżających z miasta: "Miejsca! Miejsca! Chyżo!

Chyżo!". Ustąpiła jutrzenka słońcu, które z obliczem szerszym niż tarcza powoli powstawać zaczęło w najniższym punkcie widnokręgu.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Don Kichote i Sanczo, obracając wzrok na wszystkie strony, ujrzały morze, którego dotąd nigdy nie widzieli; wydało im się niezmiernie rozległe, szerokie i znacznie większe od Stawów Ruidery, jakie w Manczy oglądali; ujrzały galery stojące przy brzegu, które przy opuszczonych żaglach ukazały się pełne proporczyków i chorągiewek igrających z wiatrem i muskających dotykiem wodę; na galerach dzwoniły trąby, trąbki i piszczałki, jedne blisko, drugie daleko, i napełniały powietrze zgiełkiem bądź miłym, bądź wojennym. Statki zaczęły się poruszać i jakby gotowały do utarczki na tych spokojnych wodach, a niby w odpowiedzi wyjechała z miasta na pięknych rumakach i w przepysznych strojach niezliczona gromada jeźdźców. Żołnierze z galer strzelali nieustannie z armat, a odpowidały im działa ustalone na murach i fortach miasta. Ciężka artyleria rozdzierała powietrze straszliwym hukiem, któremu odpowiadały armatki ze strzelnic galer. Morze radosne, ziemia wesoła, powietrze przejrzyste, a tylko niekiedy przyćmione dymami artylerii, zdawały się przelewać w ciała i rodzić nagłe rozradowanie we wszystkich ludziach. Sanczo nie pojmował, jak mogły tyle nóg mieć owe gmachy, które poruszały się na morzu.

Tymczasem w pełnym galopie z alłakowaniem i wiwatami zbliżyli się do miejsca, gdzie stał Don Kichote zdumiony i osłupiały, strojni jeźdźcy i jeden z nich, a był to ów człek uprzedzony przez Rocha, zwołał do Don Kichota: - Zawitaj w naszym mieście! Wzorze i pochodnio, gwiazdo przewodnia i poranna całego błędnego rycerstwa, które je w sobie najwspanialej zamykasz. Zawitaj, mówię, waleczny Don Kichocie z Manczy, nie ów fałszywy, nie ów zmyślony, nie ów podrobiony, jakiego nam w kłamliwych opowieściach pokazano niedawno, ale prawdziwy, prawowity i wierny, jakiego nam opisał Sidi Hamet Ben Engeli, kwiat historyków.

Don Kichote nie odpowiedział ni słowa aniowi jeźdźcy nie czekali odpowiedzi, jeno wraz z innymi, którzy ciągle liczniej napływali, okrążyli go, tocząc wdzięcznie końmi dookoła, co widząc, ten rzekł, zwróciwszy się do Sancza:

- Ci nas na pewno poznali; założyłbym się, że czytali naszą historię, a nawet tę, którą ostatnio wydrukował Aragończyk.

Jeździec, który pierwszy przemówił do Don Kichota, jeszcze raz podjechał i rzekł:

- Wasza miłość, panie Don Kichocie, jedźcie z nami; wszyscy jesteśmy waszymi służkami i wielkimi przyjaciółmi Rocha Guinarta. – Jeśli dworności rodzą dworności, wasza, mości szlachcicu, jest córką albolikrewniaczką bliską dworności wielkiego Rocha. Wiedźcie mnie, gdzie chcecie, nie mam innej woli prócz waszej, zwłaszcza jeśli zechcecie jąna wasze usługi przyjąć. 664

Don Kichote - Miguel Cervantez

Jeździec odpowidał w słowach nie mniej grzecznych i oto, wziąwszy go w środek koła, przy dźwiękach piszczałek i biciu bębnów skierowali się ku miastu.

Przy wjeździe w bramy Zły, który wszystko złe sprowadza, i wyrostki bardziej zło- śliwe niż sam Zły sprawili, że dwaj z nich swawolni i zuchwali przecisnęli się przez ciżbę, podnieśli ogony siwkowi i Rosynantowi i podłożyli im pęki klujących ostów.

Biedne bydlęta uczuły tę niezwykłą ostrogę, zacisnęły ogony, co jeszcze bardziej im dopiekło, tak że wierzgając tysiąckrotnie, panów swoich na ziemię zrzuciły.

Don Kichote wściekły i urażony pośpieszył zdjąć piropusz z ogona swej szkapy, zaś

Sanczo z ogona swego siwka. Jeźdźcy wiodący Don Kichota chcieli ukarać zuchwałość uliczników, ale nie było to możliwe, skryli się bowiem pomiędzy tysiącami innych, którzy im towarzyszyli. Don Kichote i Sanczo wskoczyli znów na siodła i z tymi samymi wiwatami i muzyką dojechali do domu swego przewodnika. Był on okazały i pański, godny bogatego rycerza. Tam ich pozostawmy tymczasem, tak bowiem chce Sidi Hamet. ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

opowiada o przygodzie z zaczarowaną głową oraz o innych żarcikach, których pominąć nie można

Don Antonio Moreno zwał się gospodarz Don Kichota; był to pan bogaty i mądry, lubiący się w przyzwoitych rozrywkach towarzyskich; ten, widząc Don Kichota w swoim domu,tał przemyśliwać, w jaki sposób, nie przynosząc mu szkody, na jaw wywieść jego szaleństwo; nie można bowiem nazwać żartami tego, co boli, i nic nie są warte rozrywki, które przynoszą uszczerbek trzeciemu. Pierwszą jego rzeczą było rozbroić Don Kichota i okazać oczom postać jego w ciasnym łożiwym kaftanie (który tylekroć opisywaliśmy i malowali) na balkonie wychodzącym na jedną z głównych ulic miasta, wystawiając go na widok wszystkich ludzi i uliczników, którzy go jak małpę oglądali. I znowu kawalerowie w barwach gonitwy przed nim odbywali, jakby to ku jego czci było, a nie ku uczczeniu uroczystego dnia. Sanczo był w radosnym uniesieniu, zdawało mu się bowiem, że nie wiedząc jak ani kiedy, znalazł się oto na drugich godach Camacha, w drugim domu Don Diego de Miranda i na drugim zamku księcia.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Tego dnia na obiedzie u Don Antonia było kilku jego przyjaciół, a wszyscy oddawali honory Don Kichotowi i traktowali go jak błędnego rycerza, on zaś, dumny i nadęty, nie posiadał się z radości. Błazeństwa Sancza były takie, że na ustach jego wisielili zarówno wszyscy domownicy, jak i wszyscy, którzy go słuchali. Przy stole rzekł Don Antonio do Sancza:

- Dowiedzieliśmy się, zacny Sanczo, że ogromnie przepadacie za zrazikamii galaretkami, a kiedy jest tego zbyt wiele, przechowujecie je w zanadrzu na dzień następny.

665

- Och, panie - odparł Sanczo - nic podobnego; bardziej jestem ochędożny niżłakomy, a mój pan Don Kichote, tu obecny, wie dobrze, że garść żołędzi albo orze-

chów starczy nam obu na tydzień. Co prawda, jeśli przypadkiem da mi kto jałówkę, chwycę dobrze za powróz i skuwkę; to znaczy zjadam, co mi podadzą, a czasu używam, jak się nadarzy; a ktokolwiek by rzekł, że jestem nienasyconym żarłokiem i pluchą, powiem mu, że nie wie, co gada; inaczej bym się wyraził, gdyby nie wzgląd na czcigodne brody przy tym stole.

- Zaiste - rzekł Don Kichote - wstrzemięźliwość i schludność Sancza w jedzeniu zasługuje na wyrycie i wypisanie na tablicach z brązu, aby przetrwała w wiecznej pamięci przyszłych stuleci. Prawdę jest, że kiedy jest głodny, wygląda na łakomego, bowiem połyka zbyt chciwie i żuje obiema szczękami; ale schludności nigdy nie uchybi, a w czasie kiedy był wielkorządcą, nauczył się jeść jak delikatek; tak że nawet jedząc winne grono i granaty, ziarnka wybierał sztućcem. - Jak to - zawała Don Antonio - to Sanczo był wielkorządcą?

- A jakże - odpowiedział Sanczo - i to wyspy zwanej Barataria. Przez dziesięć dni nią rządziłem, jak mi się podobało; tam utraciłem spokój i nauczyłem się gardzić wszelkimi rządami na świecie; uciekłem stamtąd, wpadłem w loch, myślałem, że już tam skonam, ale cudem wyszedłem żywy.

Don Kichote opowiedział dokładnie całą historię wielkorządztwa Sancza, czym się słuchający ogromnie ubawili.

Zdjęto obrusy, a Don Antonio, wziawszy Don Kichota za rękę, wszedł z nim do osobnej komnaty, gdzie nie było nic krom jednego stołu, jak zdawało się, z jaspisu, a był on oparty na takiejże nodze. Na stole tym stała głowa, na modłę popiersi cesarzy rzymskich, która zdawała się z brązu. Don Antonio z Don Kichotem obszedł komnatę, okrążając stół wielokrotnie, wreszcie odezwał się: - A teraz, panie Don

Don Kichote - Miguel Cervantez

Kichocie, kiedy jestem pewien, że nikt nas nie podsłuchuje ani nie usłyszy, a drzwi są zamknięte, chcę opowiedzieć waszej miłości jedną z najdziwniejszych przygód, a raczej osobliwości, jaką wyobrazić sobie można, pod warunkiem, że to, co waszmości powiem, pozostanie w najgłębszej, sekretnej tajni.

- Przysięgam - odpowiedział Don Kichote - a nawet dla większej pewności położę na to jakby płytę kamienną; chcę bowiem, abyście, wasza miłość, panie Don Antonio, wiedzieli (już był dowiedział się jego imienia), że mówicie z kimś, kto choć ma uszy ku słuchaniu, pozbawion jest języka do mówienia; przeto z całą pewnością może wasza miłość w moje serce przelać, co nosicie w swoim, i uważać, że wrzuciliście to w otchłań milczenia.

- Na wiarę tej obietnicy - odpowiedział Don Antonio - chcę waszą miłość zadziwić tym, co ujrzycie i usłyszycie, a sobie przynieść ulgę w trosce, iż nie mam nikogo, z kim mógłbym tajemnicę moją podzielić, której wszystkim powierzyć nie można.

Don Kichote w zdumieniu oczekiwał, do czego tyle przygotowań zmierza.

Wówczas Don Antonio wziął go za rękę, przesunął nią po głowie z brązu, po całym stole i po nodze z jaspisu, na której stół był oparty, i rzekł: - Ta głowa, panie Don Kichocie, została zrobiona i wytworzona przez jednego z najuczeńszych czarnoksiężników i zaklinaczy, jacy są na świecie. O ile wiem, 666 był to Polak z pochodzenia, uczeń słynnego Escotilla, o którym takie cuda opowiadają; tego gościłem w swoim domu i za cenę tysiąca talarów zrobił mi tę głowę, która ma właściwość i moc odpowiadania na każde zadane jej pytanie. Póty obserwował kierunki wiatrów, kreślił kabalistyczne znaki, badał gwiazdy, obliczał biegi niebieskie, aż w końcu wykonał ją taką doskonałością, o jakiej się jutro przekonamy, w piątki bowiem ta głowa jest niema, a że dziś mamy piątek, musimy do jutra poczekać. Przez ten czas pomyślcie, wasza miłość, o co zapytać chcecie; bowiem z doświadczenia wiem, że w odpowiedziach zawsze prawdę mówi.

Don Kichote tak był zaskoczony mocą i właściwością głowy, że nie bardzo wierzył Don Antoniowi; ale że tak niedługo miało doświadczenie mieć miejsce, nie chciał nic mówić, jeno podziękował za odkrycie mu tak ważnej tajemnicy. Opuścili komnatę, Don Antonio zamknął drzwi na klucz i przeszli do sali, gdzie znajdo-

Don Kichote - Miguel Cervantez

wała się reszta towarzystwa. Przez ten czas Sanczo opowiadał liczne przygody i zdarzenia, jakie Don Kichota spotkały.

Po południu wyprowadzono Don Kichota na przechadzkę, bez zbroi, jeno w stroju miejskim, w szubie z płowego sukna, pod którą pod ten czas i sam lód mu-siały się spocić. Rozkazano służbie zabawić Sancza w domu, by mu wyjść nie pozwolić. Jechał tedy Don Kichote nie na Rosynancie, jeno na wielkim mule okrytym bogatym czaprakiem i wolno kroczącym. Na szubie przyszyto niepostrzeżenie na plecach pergamin, na którym wielkimi literami było napisane: "Oto jest Don Kichote z Manczy". Od pierwszego kroku karta ta przyciągała oczy wszystkich napotkanych, którzy głośno odczytywali:

"Oto jest Don Kichote z Manczy", a Don Kichote zdumiewał się, iż wszyscy, którzy nań patrzyli, nazywają go i znają; a zwróciwszy się do Don Antonia, jadącego obok niego, rzekł:

- Wielkim przywilejem cieszy się błędne rycerstwo, bowiem czyni tego, który powołanie to pełni, znanym i sławnym po wszystkie krańce ziemi. Zali nie? Baczcie, waszmość panie Don Antonio, że nawet ulicznicy tego miasta znają mnie, choć mnie nigdy nie oglądali.

- Zaiste, panie Don Kichocie - odpowiedział Don Antonio. - Tak bowiem jakogiekolwiek nie może pozostać w zakryciu i zamknięciu, tak i cnota musi być znana; zaś ta, którą się zyskuje orężem, rozbłyska i staje ponad wszystkie inne.

Zdarzyło się tedy, że kiedy Don Kichote tak jechał triumfalnie, jak się rzekło, pewien Kastylczyk, przeczytawszy napis na plecach, zawałał: - Do diabła z Don Kichotem! Jakżeś zdołał dotrzeć aż tutaj, nie skonawszypod niezliczonymi razami kijów, jakie na cię spadły? Szaleńcem jesteś, a gdybyś jeno sam nim był, zamknięty za bramami twoego obłędu, nie byłoby tak źle; ale masz

zdolność wszystkich, którzy cię spotykają i przestają z tobą, zamieniać w szaleńców i głupców. Czyż nie? Spójrzmy na tych panów, którzy ci towarzyszą. Zawracaj, półgłówku, do swego domu, pilnij swego majątku, swej żony i dzieci i porzuć te głupstwa, które ci zjadają mózg i wysuszają rozum.

- Bracie - rzekł Don Antonio - idźcie waszą drogą i nie dawajcie rad, gdy was to nie proszą. Pan Don Kichote z Manczy jest zupełnie zdrów na umyśle i my, którzy mu towarzyszamy, nie jesteśmy głupcami; cnocie należy się cześć, gdziekolwiek się znajdzie; idźcie do diaska i nie mieszajcie się, gdzie was nie wzywają.

667 - Dalibóg, ma rację wasza miłość - odpowiedział Kastylczyk - bo dawać radytemu poczciwcowi to tyle, co walić w oścień, ale mimo wszystko bardzo mi przykro, że ów zacny rozum, który jak mówicie, ten półgłówek we wszystkim

Don Kichote - Miguel Cervantez

okazuje, wycieka przez kanał jego błędного rycerstwa; i na pohybel -jak wasza miłość mówicie - mnie i moim wszystkim potomkom, jeśli odtąd, nawet gdybym żył dłużej niż Matuzalem, udzielię komuś jakiejś rady, choćby mię i proszono. Doradca odszedł; pojechali dalej, ale ciżba wyrostków oraz innych ludzi, którzy chcieli przeczytać napis, tak bardzo wzrastała, że Don Antonio zdjął kartkę nieznacznie, jakby coś innego zdejmował. Nadszedł wieczór; zatrzymali do domu; wielkie tam było dam zebranie, bowiem żona Don Antonia, pani znakomita i wesoła, piękna i roztropna, zaprosiła rozmaite swe przyjaciółki, aby przyszły uczcić jej gościa i ubawić się jego niespotykanymi szaleństwami. Przyszło ich kilka, podano wspaniałą wieczerzę i około godziny dziesiątej zaczął się bal. Pośród dam znajdowały się dwie swawolnice i żartownisie, które aczkolwiek cnotliwe, były nieco płoche i gotowe do żartów zabawnych, acz niebolesnych. Te tak natrętnie wyciągały Don Kichota w taniec, że wymęczyły go zarówno cielesnie, jak duchowo. Warto było widzieć postać Don Kichota, wyciągniętą, długą, chudą, wyżółką, wciśniętą w suknie zbyt wąskie, niezgrabną, a ponad wszystko bynajmniej nie lekką. Niby ukradkiem zalecały się doń panienki, on zaś niby nieznacznie wzgardą odpowiadał; ale widząc się tak nagabywanym, podniósł głos i zawała:

- Fugite, partes adversae! Zostawcie mnie w spokoju, myśli niepożądane. Wybrałyście się, panie, z waszymi zapałami! Ta, która jest panią moich, nieporów-

nana Dulcynea z Toboso, nie pozwala, aby mię inne niżli jej własne zwyciężyły i podbiły.

To mówiąc, usiadł na środku sali na ziemi, znękany i połamany po tym tanecznym ćwiczeniu. Don Antonio rozkazał, aby go odprowadzono do łóżka, a pierwszy rzucił się go podnosić Sanczo, który przemówił:

- Tam do licha! Mój drogi panie, nahasaliście się! Zali sądzicie, że wszyscy mążni są pląsaczami, a wszyscy rycerze błędni skoczkami? Mówię tak, bo jeśli tak mniemacie, w błędzie jesteście: są ludzie, którzy raczej wolą olbrzyma zabić niżli na podskoki się ważyć. Jeśliby chodziło o klaskanego, mógłbym was zastąpić, bo klaskam się w pięty jak raróg, ale na tych tańcach nic się nie rozumiem. To i inne powiedzonka Sancza rozśmieszyły uczestników balu. Zaprowadził swego pana do łoża, nakrył go dobrze, aby wypocił uczciwie zziębnięcie po tańcu. Na drugi dzień spodobało się Don Antoniowi przeprowadzić doświadczenie z zaczarowaną głową, przeto wraz z Don Kichotem, Sanczem oraz dwoma innymi przyjaciółmi i dwiema damami, które tak umęczyły Don Kichota w tańcu, a noc ową przepędziły u żony Don Antonia, zamknął się w komnacie, gdzie znajdowała się głowa. Powiadomił ich o

Don Kichote - Miguel Cervantez

właściwościach jej, zobowiązał do tajemnicy i dodał, że po raz pierwszy tego dnia chce wypróbować moc owej zaczarowanej głowy; a z wyjątkiem dwóch przyjaciół Don Antonia nikt inny nie znał tajników owych czarów; gdyby jednakowi przyjaciele nie byli wtajemniczeni przez Don Antonia, byliby

Precz, siły nieczyste! (łac).

668 również popadli w zdumienie jak inni; nie dziwota,

tak sprytnie i z taką sztuką było to urządzone.

Pierwszy przybliżył się do głowy sam Don Antonio i zapytał głosem przytumionym, ale tak, że go inni słyszeli:

- Powiedz mi, głowo, na moc, jaka w tobie jest zamknięta, o czym w tej chwili myślę? A głowa, nie poruszając wargami, odpowiedziała głosem czystym i wyraźnym, tak że wszyscy ją słyszeli, w te słowa: - Nie odgaduję myśli.

Co słysząc, zdumieli się wszyscy, zwłaszcza kiedy widzieli, że w komnacie i dookoła stołu nie było żadnej istoty ludzkiej, która by mogła odpowiedzieć.

- Ilu nas tu jest? - zapytał znowu Don Antonio. Odpowiedziano powoli w ten sam sposób:

- Jesteś obecny ty, twoja żona, dwóch twoich przyjaciół i dwie jej przyjaciółki, a także słynny rycerz, zwany Don Kichotem z Manczy, i jego giermek, któremu Sanczo Pansa na imię.

I znowu zdziwienie wzrosło, włosy stawały na głowie wszystkim z samego przestrachu. Don Antonio odstąpił od głowy i rzekł:

- Dość mi na tym, aby się przekonać, że nie oszukał mnie twój sprzedawca, głowo mądra, głowo gadająca, głowo odpowiadająca, podziwiana głowo! Niech kto inny podejdzie i zapyta, o co chce.

A jako białogłowy są z natury ciekawe i niecierpliwe, pierwsza podeszła jedna z dwu przyjaciólek żony Don Antonia i zapytała:

- Powiedz mi głowo, co należy czynić, aby być piękniejszą?

Odpowiedziano jej:

i - Bądź cnotliwsza.

- Nie pytam więcej - rzekła.

Przystąpiła zaraz jej towarzyszka i zapytała:

- Chciałabym wiedzieć, głowo, czy mój mąż mi luje mię bardzo, czy nie. Odpowiedziano jej:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Zważaj, jak się z tobą obchodzi, a zobaczysz.

Odeszła owa małżonka, mówiąc:

- Po tej odpowiedzi nie trzeba więcej pytać; bowiem w istocie czyny najlepiej świadczą o uczuciach danego człowieka. Przystąpił wówczas jeden z dwóch przyjaciół Don Antonia, pytając: -Kto ja jestem?

Odpowiedziano mu:

- Ty wiesz najlepiej.
- Nie o to pytam - odpowiedziały szlachcice - ale chcę, abyś rzekła, czy mięznasz?
- Pewnie, że znam - odpowiedziała głowa. - Jesteś Don Pedro Noriz.
- Nic więcej wiedzieć nie żądam; dość tego, o głowę, aby zrozumieć, że wiesz wszystko. Kiedy odstąpił, zbliżył się drugi przyjaciel i zapytał: 669
- Powiedz mi, głowę, czego najbardziej pragnie mój syn, dziedzic majoratu?- Już powiedziałam - odparła głowa - że nie wyjawiam niczych pragnień; ale mimo wszystko mogę ci rzec, że pragnieniem twego syna jest najrychlej cię pogrzebać.
- To samo - rzekły szlachcice - widzę oczyma i palcem dotykam.

I nie pytał więcej. Podeszła żona Don Antonia i rzekła:

- Nie wiem, głowę, o co ciebie pytać; chciałabym tylko wiedzieć, czy długojeszcze cieszyć się będę moim drogim małżonkiem? Odpowiedziano jej:
- Zaiste, radować się będziesz długo, bowiem jego zdrowie i umiarkowanie zapowiadają długie lata życia, które inni skracają sobie przez nadużycia.

Podszedł tedy Don Kichote i zapytał:

- Powiedz mi ty, która odpowiadasz, zali prawdą czy snem było to, co mówiłem o Jaskini Montesinosa? Czy biczowanie Sancza zostanie dopełnione i czy Dulcynea zostanie odczarowana?
- Co się tyczy jaskini - odpowiedziano - można by wiele o tym mówić! Wszystkiego tam po trosze; biczowanie Sancza powoli dojdzie do kresu, zaś odczarowanie

Dulcynei dokona się, jak przystoi.

- Nie chcę nic wiedzieć więcej - rzekły Don Kichote - bylebym tylko ujrzał Dulcyneę wolną od zaklęcia, uważać będę, że zaraz spadły na mnie wszelkie możliwe szczęśliwości.

Ostatnim pytającym był Sanczo, a pytanie jego brzmiało:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Powiedz mi, głowo, czy przypadkiem dostapię jeszcze innego wielkorządztwa?
Czy wydostanę się z tego niedostatku giermka? Czy zobaczę
znów moją żonę
i dzieci? Na to
odpowiedziano:
 - Rządzić będziesz we własnym domu; a kiedy wrócisz doń, zobaczysz lważonę
i dzieci; zaprzestając zaś służby, przestaniesz być giermkiem.
 - Dalibóg - rzekł Sanczo Pansa - to samo móglbym sam sobie powiedzieć, lepiej
by i prorok Perogrullo1 nie powiedział.
 - Głupcze - rzekł Don Kichote. - Cóż chcesz, aby ci odpowiedziano? Czy
niewystarcza, że odpowiedzi owej głowy stosują się do pytań? -
Wystarcza - odpowiedział Sanczo - ale wolałbym, aby się jaśniejszej
tłumaczyła i więcej mi powiedziała.

Na tym skończyły się pytania i odpowiedzi; ale nie skończyło zdziwienie, które wszystkich ogarnęło prócz dwóch przyjaciół Don Antonia, którzy byli wtajemniczeni w sprawę. Tę chce Sidi Hamet Ben Engeli natychmiast wyjaśnić, aby ludzi nie pozostawiać w niepewności i przypuszczeniu, że jakieś czary i niezwykła tajemnica zamyskały się w tej głowie. Opowiada tedy, że Don Antonio Moreno kazał sporządzić dla swego domu tę głowę na wzór innej, jaką widział w Madrycie u handlarza figurek, aby zabawić się i zdumiewać naiwnych; było to zrobione w ten sposób: blat stołu był z drzewa malowanego i pokostowanego na wzór jaspisu, Prorok, który mówi rzeczy znane.

670 a podobnie i nogi, na której stał, oraz

cztery orle szpony, które z niej wychodziły,

aby lepiej podtrzymywać ciężar. Głowa, która zdawała się odlanym rzeźbionym popiersiem cesarza rzymskiego, koloru brązu, była cała wydrążona, a podobnie i blat

stołu, do którego była tak dopasowana, że nie znać było śladu złączenia. Noga sto- łowa była również wydrążona, góra łączyła się z szyją i piersią głowy, dołem z inną

izbą, znajdująca się pod tą komnatą. Przez całe to wydrążenie nogi, stołu, szyi i popiersia rzeźby i figury opisanej przeprowadzona była rura blaszana, tak przy-

Don Kichote - Miguel Cervantez

stosowana, że zupełnie niewidoczna. W dolnej izbie, wprost pod górną położonej, zasiadał ten, który miał odpowiadać, przykładając do rury usta, tak że jakby przez tubę głos szedł z dołu do góry i z góry na dół, przenosząc każde słowo wyraźnie i jasno, iż niemożliwe było odkryć podstęp. Siostrzeniec Don Antonia, student bstry i rozumny, odpowiadał, a ponieważ pan wuj jego uprzedził go, kto dnia tego ma wejść do komnaty z głową, łatwo mu przyszło odpowiedzieć rychliwie i akuratnie na pierwsze pytanie; na inne odpowiadał przez przypuszczenie i ostrożnie, jako człek roztropny. Sidi Hamet dodaje, że owa cudowna machina trwała jeszcze dziesięć czy dwanaście dni; ale kiedy w mieście rozeszła się pogłoska, że Don Antonio ma w swoim domu zaczarowaną głowę, która na wszelkie pytania odpowiada, on lękając się, aby słuch o niej nie doszedł do czujnych strażników naszej wiary, sam wyjawił tajemnicę panom inkwizytorom, którzy rozkazali mu ją zniszczyć i nie używać jej więcej, aby nie gorszyć ciemnego pospółstwa; jednakże w przekonaniu Don Kichota i Sancza głowa pozostała czarodziejską i odpowiadającą, bardziej ku zadowoleniu Don Kichota niż Sancza.

Szlachta miejska, aby przypodobać się Don Antoniowi i uczcić Don Kichota, a zarazem dać sposobność na jaw wywieść jego szaleństwa, postanowiła urządzić za sześć dni gończe do pierścienia¹; nie doszła ona jednak do skutku dla przyczyn, o jakich powiemy poniżej. Don Kichotowi przyszła chęć przejść się po mieście powoli i pieszo, lękał się bowiem, że jeśli wyjedzie konno, prześladować go będą wrostki, za czym on i Sanczo oraz dwóch ze służby, których przydał im Don Antonio, wyszli na przechadzkę. Zdarzyło się, że w przejściu przez jedną z ulic Don Kichote podniósł oczy i spostrzegł nad pewnymi drzwiami napis wielkimi literami: "Tutaj drukują się książki"; bardzo się tym ucieszył, bowiem dotąd nigdy nie widział żadnej drukarni, i zapragnął zobaczyć, jak to wygląda. Wszedł wraz z całą świętą i ujrzał, jak składano tutaj, poprawiano ówdzie, odbijano tam, a sprawdzano gdzie indziej, słowem, całą tę maszynę, jaką wielkie drukarnie przedstawiają. Don Kichote podszedł do jednej kaszty i zapytał, co się tutaj robi; pracownicy objasnili mu; po-dziwił i przeszedł dalej. Zbliżył się do drugiej i znów zapytał, co się w niej drukuje. Pracownik odpowiedział:

- Panie, ten kawaler - i wskazał mu człowieka okazałej postawy, wyglądającego bardzo poważnie - przetłumaczył pewną książkę włoską na nasz język kastylski i właśnie ją składam, aby oddać pod prasę. - A jaki tytuł ma ta książka? - zapytał Don Kichote.

¹ Rodzaj zawodów rycerskich, które polegały na tym, że w pełnym biegu konia należało na kopię nanizać największą liczbę pierścieni zawieszonych na słupach. 671

Na to autor odpowiedział:

- Panie, ta książka po włosku nosi tytuł Bagatelle.
- A co znaczy słowo bagatelle w naszym języku kastylskim?
- Bagatelle - rzekł autor - to jakbyśmy po kastylsku powiedzieli "drobnostki". Lecz chociaż ma tak skromny tytuł, zawiera i zamyka w sobie rzeczy doskonałe i pełne treści.
- Umiem nieco po włosku - rzekł Don Kichote - i chlubię się, że potrafię zaśpiewać kilka strof Ariosta. Ale powiedziecie mi, wasza miłość, panie mój (nie mówię tego dla wybadania talentu waszmości, jeno przez ciekawość jedynie) - czy natrafiliście w tekście waszym niekiedy na słowo pignattal - O tak, często - odpowiedział autor.
- A jak wasza miłość tłumaczy to na kastylski? - zapytał Don Kichote.
- A jakże mam przetłumaczyć jak nie przez słowo "garnek" - odparł autor.
- Do diaska - rzekł Don Kichote - przednio znacie waszmość język włoski! Stawię dobry zakład, że tam, gdzie po włosku jest piace, waszmość w kastylskim piszecie "podoba się", gdzie jest piu, mówicie "więcej", su tłumaczycie przez "wyżej", zaś giu przez "niżej".
- W samej rzeczy - rzekł autor - to są bowiem właściwe odpowiedniki. - Gotów jestem przysiąc - rzekł Don Kichote - że wasza miłość nie jesteście znani w świecie, który zawsze niechętnie nagradza świetne talenty i chwalebne prace. Ileż zdolności straconych! Ileż talentów zagrzebanych! Ileż cnót wzgardzonych! Ale z tym wszystkim wydaje mi się, że tłumaczenie z jednego języka na drugi (o ile nie chodzi o królowe wszelkich języków: grekę i łacinę) jest, jakby kto kobierce flan-dryjskie z lewej strony oglądał; nawet kiedy można rozróżnić figury, są one pełne nici popiątanych i nie wychodzą tak wyraźnie i czysto jak z prawej strony; tłumaczenie zaś z języków łatwych nie dowodzi wielkiego talentu ani stylu, niewiele się różni tłumacz od kopisty, który z jednego papieru na drugi słowa przenosi. Nie chcę przez to rzec, że owo rzemiosło tłumacza nie jest godziwe; gdyż człowiek może zajmować się jeszcze podlejszymi rzeczami, które jeszcze mniejszą korzyść przynoszą. Wyjątek w tej mierze czynię dla dwóch słynnych tłumaczy: jednym jest doktor Cristóbal de Figueroa ze swoim Pastorfido, a drugim Don Juan de Jauregui ze swoją Amintą, tak iż zaiste wahać się można, które jest tłumaczeniem, a które oryginałem. Ale powiedziecie mi, wasza miłość, czy książkę tę drukujecie własnym nakładem, czyli sprzedaliście przywilej druku jakiemuś księgarzowi?
- Drukuję na własny koszt - odpowiedział autor - i myślę zarobić na tym tysiąc dukatów przynajmniej w tym pierwszym wydaniu, które ma liczyć dwa tysiące

Don Kichote - Miguel Cervantez

egzemplarzy i ma być wypuszczone po sześć realów. Rozejdzie się to w mig! - Dobrze wyjdziecie na tym rachunku! - odpowiedział Don Kichote. - Snadź nie znacie rubryk wpływów i rozchodów księgarzy i przedziwnych machinacji między nimi. Zapewniam was, że kiedy ujrzyście się obarczeni owymi dwoma tysiącami tomów, to strach, jak zostaniecie zmiażdżeni, tym bardziej jeśli książka nie będzie doskonała ani pikantna.

- Jakże to? - rzekł autor. - Chciałbyś, waszmość, abym ofiarował ją księgarzowi, który za mój przywilej da mi trzy marawedi, a jeszcze będzie przekonany, że 672 mi łaskę przez to czyni? Nie drukuję mych książek, aby sławę zyskać na świecie; jestem już dość znany przez moje dzieła; chodzi mi o zysk, bez którego sława i ćwierciaka niewarta.

- Oby Bóg poszczęścił waszej miłości! - odpowiedział Don Kichote.

I przeszedł do innej kaszty, gdzie zobaczył, że poprawiano arkusz książki zatytułowanej Światło duszy. Co ujrzał, rzekł:

- Otóż takie książki, choć wiele ich jest tego rodzaju, powinno się drukować, liczni bowiem są grzesznicy, którym się to przyda, i wiele światła potrzeba dla tylu ślepców. Poszedł dalej i zobaczył, jak poprawiano inną książkę; kiedy zapytał o jej tytuł, odpowiedziano mu, że jest to Druga część przemyślnego szlachcica Don Kichota z Manczy, napisana przez takiego a takiego obywatela z Tordesillas. - Słyszałem już o niej - rzekł Don Kichote - i po prawdzie wedle mego sumienia myślę, że powinna by zostać spalona i w popiół obrócona za swą bezczelność; ale przyjdzie na niąśw. Marcin', jak dla każdej świń. Rzeczy zmyślone są tym lepsze i przyjemniejsze, im bardziej zbliżają się do prawdy albo do prawdopodobieństwa, a prawdziwe są tym lepsze, im prawdziwsze.

To rzekłszy, wyszedł z drukarni z oznakami wzburzenia. Tego samego dnia Don Antonio postanowił pokazać mu galerę stojącą u wybrzeży, czym bardzo uradował się Sanczo, nie widział bowiem ich nigdy w życiu. Don Antonio kazał uprzedzić komendanta czterech galer, że tegoż popołudnia chce przyprowadzić swego gościa, słynnego Don Kichota z Manczy, aby je oglądał; zarówno komendant, jak i wszyscy obywatele miasta już o nim wiedzieli, a to, co się na galerach zdarzyło, opowie następny rozdział.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

o tym, jak przykro skończyło się dla Sancza zwiedzanie galer, oraz o nowej przygodzie pięknej moryski

Don Kichote - Miguel Cervantez

Długie były rozważania Don Kichota nad odpowiedzią zaczarowanej głowy, ale żadne nie kazało mu podejrzewać podstępu, wszystkie zaś dotyczyły obietnicy odczarowania Dulcynei, którą za pewność poczytywał. Chodził tam i sam, radował się w duszy, wierząc, że wkrótce doczeka się jej spełnienia; Sanczo zaś, choć zohydził sobie wielkorządztwo, jak się rzekło, jednakże pragnął znów wrócić do rozkazywania i do tego, aby go słuchano; taką to niedogodność pociąga za sobą władza, chociażby była tylko żartem. Znany w całej Europie zwyczaj bicia nierogacizny w tym dniu. 673

Wreszcie po południu Don Antonio Moreno, ich gospodarz, dwaj tegoż przyjaciele wraz z Don Kichotem i Sanczem udali się na galery. Komendant, uprzedzony o ich przybyciu, oczekiwając dwóch słynnych gości, Don Kichota i Sancza; zaledwie zbliżyli się do brzegu, wszystkie galery opuściły żagle i zewsząd zabrzmiały trąbki; spuszczono na wodę łódź pokrytą bogatymi kobiercami oraz poduszkami ze szkarłatnego aksamitu, a kiedy Don Kichote na nią wstąpił, z głównej galery dano strzał armatni, wszystkie inne galery jej odpowiedziały; gdy Don Kichote wyszedł po drabinę na prawą burzę, cała załoga powitała go, jako jest w zwyczaju witać osobę znakomitą wstępującą na galerię, trzykrotnym okrzykiem: "Hu! hu! hu!" Generał (którego tak odtąd zwać będziemy) podał mu rękę, a był to wybitny szlachcic z Walencji, uścisnął Don Kichota i rzekł:

- Oznaczę ten dzień białym kamykiem, jako jeden z najlepszych w moim życiu, widzę bowiem Don Kichota z Manczy; zaznaczę tę chwilę na pamiątkę, że w nim zamiera się i streszcza cała wartość błędnego rycerstwa.

W podobnych, nie mniej dwornych słowach odpowiedział Don Kichote, uradowany niezmiernie, że go tak po pańsku przyjmują. Przeszli wszyscy na rufę bardzo strojnie przybraną i zasiedli na ławach tylnego pomostu; dozorca galerników zszedł na międzimośćcie i zagwizdał, a na ten znak w okamgnieniu wszyscy zrzucili odzież. Sanczo, ujrzałszy tylu ludzi nagich, stał w podziwie, a jeszcze bardziej zdumiał się, spostrzegłszy, z jaką szybkością podnoszą żagle, jakby wszyscy diabli przy tym się trudzili, ale wszystko to były ciastka i kołacze w porównaniu z tym, co

teraz powiem: Sanczo usiadł na słupku na rufie, obok pierwszego wioślarza z prawej ławy; ten pouczony, co ma czynić, pochwycił Sancza i podniósł go w górę; cała załoga zerwała się na nogi w oczekiwaniu i począwszy od prawej strony ławy, Sanczo podawany z rąk do rąk zaczął latać ponad głowami galerników z ławy na ławę z taką szybkością, że nieszczęsnik całkiem wzrok stracił i bez ochyby sądził, iż go

diabli porwali. Nie zaprzestali, aż przeleciał nad lewą burtą i znalazł się znowu na rufie. Nieborak był srodze poturbowany, zdyszany i spocony, nie mogąc pojąć, co się z nim stało. Don Kichote, który patrzył na lot Sancza bez skrzydeł, zapytał ge-

nerała, czyli to był zwyczaj stosowany wobec tych, którzy po raz pierwszy na gale-
rę wstępują: jeśli tak przypadkiem było, on, który temu zawodowi nie myśli się poświęcać, nie chce podobnym ćwiczeniom być poddany i klinie się na Boga, że gdyby go ktoś chciał w lot podobny porwać, wyszarpie mu duszę kopniakami; to rzekłszy, skoczył na nogi i dłoń na rękę do miecza położył.

W tym momencie zwinięto żagle i z wielkim hukiem spuszczono wielką reję na dół. Sanczo był pewien, że niebo wyrwało się z zawiasów i na głowę mu spada; pełen przerażenia schylił łeb i ukrył go między nogami. Don Kichote również nie zdołał zimnej krwi zachować, zadrżały, ramiona stuliły i zbladły. Galernicza załoga podniosła reję z równym pośpiechem i hukiem, jak ją opuściła, a to wszystko w takim milczeniu, jakby byli pozbawieni głosu oraz tchu. Dozorca galerników dał znak, aby podnieść kotwicę i skoczywszy na pomost, zaczął rzemiennym biczem, czyli korbaczem, smagać plecy galerników, a galera zaczęła powoli wypływać na pełne morze. Kiedy Sanczo ujrzał tyle czerwonych nóg poruszających się naraz - bo takimi zdawały mu się wiosła - rzekł do siebie: "Oto są prawdziwe czary, a nie te, 674

0 których mój pan opowiada. Cóż winni owi nieszczęśliwi, że ich tak biczują, i jak taki jeden człowiek, który tu chodzi, gwiźdząc, odważa się smagać tylu ludzi? Teraz ja powiem, że to jest piekło, a co najmniej czyściec".

Don Kichote, który widział, z jakim napięciem Sanczo przypatrywał się temu, co się działo, rzekł doń:

- Ach, przyjacielu Sanczo, jakże rychło i jak tanim kosztem moglibyście, jeżelibyście chcieli, obnażyć się do pasa, wmieszać się między tych ichmościów i skończyć z odczarowaniem Dulcyne! W takiej niedoli i cierpieniu tylu ludziom wspólnym nie odczuwalibyście tak bardzo waszych; tym bardziej że, być może, wiaduch Merlin policzyłby każde uderzenie, jako silną ręką zadane, za dziesięć tych, jakie macie sobie wymierzyć. Generał chciał zapytać, co by to miały być za plagi oraz owo odczarowanie Dulcyne, kiedy jeden z marynarzy krzyknął:

- Montjuich sygnalizuje statek wioślarski przy wybrzeżu za zachodnią burtą. Usłyszałszy to, generał skoczył na kapitański mostek, wołając:
- Chyżo, dzieci, aby nam nie uszedł! Statek wskazany przez fort musi być brygantyną korsarską z Algieru.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Podpływneły zaraz trzy inne galery do kapitańskiej, czekając na rozkazy. Generał zarządził, aby dwie wypłynęły na pełne morze, on zaś z trzecią posuwać się będzie wzdłuż brzegów, i w ten sposób statek im nie umknie. Załoga galernicza pochwyciła wiosła, pędząc galery z taką furią, że zdawały się lecieć. Te, które wypłynęły na

pełne morze, po upływie dwóch mil dostrzegły statek, który jak na oko osądzić było można, liczył około czternaście do piętnastu ław wioślarskich, co było prawdą; sta-

tek, dojrzały galery, wysforował się szybko naprzód w nadzieję, że uda mu się umknąć dzięki swej lekkości; na złe mu to wyszło, bowiem galera kapitańska była jednym z najlepszych statków całego morza; tak go wyprzedziła, że załoga brygantyny jasno zdała sobie sprawę, iż nie zdoła się wymknąć, przeto arraez² zamyślał już porzucić wiosła i poddać się, aby dowódcy galer zbytnio nie drażnić. Aliści

los, który inaczej zrządził, sprawił, że ledwie kapitańska galera tak blisko podpły- nęła, iż załoga statku mogła dokładnie słyszeć słowa wzywające ich do poddania, dwaj Torakowie, czyli Turcy, pijani, którzy znajdowali się na brygantynie z dwuna-

stu innymi pospołu, wypalili ze sztućców i zabili dwóch żołnierzy naszych na przed- niej burcie. Co widząc, generał zaprzysiągł, że nie zostawi przy życiu nikogo z owego statku, i natarł z całą gwałtownością, statek jednak wymknął się, przepłynąwszy pod

wiosłami. Galera wyprzedziła go o dobry kawał; załoga statku, widząc przegrana, rozwinięła żagle podczas zwrotu galery i z całych sił robiąc wiosłami i żaglami, sta-

rała się ujść pogoni, ale te usiłowania nie przyniosły im tyle korzyści, co szkody zdziałało ich zuchwałstwo; bowiem galera kapitańska dogoniła ich w odległości nieco więcej niż pół mili, zahaczyła statek wiosłami i wszystkich wzięła żywcem. Nadpływneły na to dwie inne galery i wszystkie cztery pośpiesznie zatrzymały ku wybrzeżu, gdzie niezliczona ciżba ludzi oczekiwana była ich, pragnąc ujrzeć, co zdoby-

1 Fort strzegący portu Barcelony. 2 arraez-kapitan brygantyny korsarskiej.

675 to. Zarzucił kotwicę generał w pobliżu lądu

i zwiedziawszy się, że w porcie znajdu-

je się wicekról miasta, rozkazał spuścić na wodę lódź, aby go wprowadzić, oraz polecił opuścić reję, aby bez zwłoki powiesić arraeza i resztę Turków, a było ich około trzydziestu sześciu, samych chłopów na schwał i doskonałych strzelców tureckich. Zapytał generał, kto jest arraezem statku korsarskiego, na co odpowiedział jeden z niewolników po kastylsku, jak się okazało później poturmak hiszpański:

- Ten młodzieniec, którego tam widzicie, panie, jest naszym arraezem. I wskazał na jednego z najurodziwszych i udałych młodzieńców, jakiego wymalować sobie mogła wyobraźnia ludzka. Nie wyglądał nawet na lat dwadzieścia. Generał zapytał go:
- Powiedz mi, nikczemny psie, co cię przywiódło do zabicia mych żołnierzy, choć widziałeś, że nie możesz się wymknąć? Tak to uważa się galery kapitańskie? Zali nie wiesz, że zuchwałość nie jest mestwem? Ułudne nadzieje mogą czynić ludzi śmiałyimi, ale nie zuchwałyimi.

Arraez chciał odpowiedzieć, ale na razie generał nie miał czasu wysuchać odpowiedzi, musiał bowiem śpieszyć na powitanie wicekróla, który wraz z kilkoma dworakami i kilkoma osobistościami z miasta wstąpił na galerę.

- Łowy były dobre, panie generale! - rzekł wicekról.
- Tak dobre - odpowiedział generał - że niebawem wasza dostojość ujrzyzwierzynę zawieszoną na tej rei. - Jak to? - zapytał wicekról.
- Zabili mi bowiem - odpowiedział generał - wbrew wszelkiemu prawu słuszności i zwyczajowi wojennemu dwóch żołnierzy spomiędzy najlepszych, jacy na tej galerze żeglowali, i przysiąłem powywieszać wszystkich, jakich wziąłem w łyka, a osobliwie tego młodzieńca, który jest arraezem brygantyny.

I wskazał na tego, który ze związanymi rękoma i ze sznurem na szyi oczekiwali śmierci. Spojrzał na niego wicekról i widząc go tak urodziwym i udałym, a tak pokornym, jakby ta piękność najlepszą mu rekomendacją była, zapragnął ocalić go od śmierci i zapytał:

- Powiedz mi, arraezie, jesteś ty Turkiem z urodzenia, Maurem czyli poturczeńcem? Na to młodzian odpowiedział również po kastylsku: - Anim ja Turek, ani Maur, ani poturczeniec. - Kim jesteś przeto? - odparł wicekról.
- Białogłową chrześcijańską - odpowiedział młodzian.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Białogłową, i to chrześcijańską! I w takim stroju, i w takiej przygodzie? Torzecz raczej dziwna, ale niewiarygodna.
- Zawieście, o panowie - rzekł młodzian - wykonanie mego wyroku śmierci! Wasza zemsta nic na tym nie straci, jeśli się odwlecze, póki wam życia mego nie opowiem. Jakieś serce byłoby tak twarde, aby pod słowami tymi nie zmięękło, a przynajmniej póki nie wysłucha, co chce opowiedzieć smutny i nieszczęśliwy młodzieniec? Generał zezwolił, aby mówił, co chce; ale aby nie spodziewał się przebaczenia za

676

swą oczywistą winę. Otrzymawszy to pozwolenie, młodzian zaczął mówić w ten sposób:

- Urodziłam się, spłodzona przez rodziców morysków, z narodu, w którymwięcej niedoli niż rozsądku i nad którym w ostatnich czasach rozpętało się morze nieszczęść. Wśród tych klęsk wywieźli mnie moi wujowie do Berberii; na nic mi się zdało wyznawać, że jestem chrześcijanką, jaką w istocie jestem, i to nie z tych pozornych i fałszywych, ale z prawdziwych i katolickich. Nic by mi nie pomogła owa prawda wobec ludzi, którzy mieli obowiązek wygnać nas z kraju, aniby temu wujowie moi uwierzyć chcieli i raczej uważały to byli za kłamstwo i wymysł, który miał mi umożliwić pozostanie na ziemi, gdzieś się urodziła, przeto raczej wbrew mojej woli zabrali mię z sobą. Miałam matkę chrześcijankę i ojca mądrego i nie mniej chrześcijanina; wiarę katolicką wyssałam z mlekiem; wychowano mnie w dobrych zasadach i nic we mnie, ani obyczaje, ani język, nie wskazywało, jak mi się zdaje, na moryską. Na równi i równocześnie z mymi cnotami (które za takie uważam) wzrastała moja uroda, o ile jakąś posiadam, i choć życie pędziłam na ustroniu i w zamknięciu, nie było ono aż takim, aby mnie nie miał sposobności spotkać pewien szlachetny młodzieniec, zwany Kasper Gregorio, najstarszy syn szlachcica, właści- ciela sąsiedniej wioski. Zbyt wiele byłoby powiadać, jak on mię ujrzał, jak rozma-wialiśmy z sobą, jak on głowę dla mnie stracił, a ja przez niego nie mniej podbita zostałam, a tym mniej w chwili, kiedy srogi sznur na gardle grozi mi śmiercią; dla-tego też powiem jeno, że Don Gregorio chciał mi w naszym wygnaniu towarzyszyć. Wmieszał się pomiędzy morysków wysiedlonych z innych miejscowości, znał bowiem

Don Kichote - Miguel Cervantez

nasz język znamienicie, i w podróży związał się przyjaźnią z wujami, z którymi jechałam; bowiem ojciec mój, roztropny i przewidujący, zaledwie usłyszał ogłoszenie pierwszego ukazu naszego wygnania, wyjechał ze wsi, udając się na poszukiwanie jakiegoś schronienia w obcych państwach. Zostawił ukryte i zakopane w pewnym miejscu, o którym ja jedna wiedziałam, liczne perły i drogie kamienie wielkiej wartości oraz nieco pieniędzy w złotych portugałach oraz złotych dublonach. Przykazał mi, abym pod żadnym warunkiem nie tykała tego, jeżeliby nas przypadkiem wygnano, zanim on powróci. Tak też postąpiłam, i z wujostwem moim, jak już rzekłam, oraz z innymi krewnymi i powinowatymi przeprawiliśmy się do Berberii i osiedliliśmy się w Algierze, a było to dla nas, jakbyśmy się do pieküla dostali. Król dowiedział się o mej gładkości i doszły go słuchy o mych bogactwach i to było dla mnie szczęściem. Przywołał mnie przed swe oblicze, zapytał, z której części Hiszpanii pochodzę, wiele pieniędzy i klejnotów posiadam. Podałam nazwę miejscowości i powiedziałam, że klejnoty i pieniądze zostały tam zakopane, ale że mogłabym je z łatwością odzyskać, gdybym sama po nie pojechała. To wszystko mówiłam, lękając się, aby nie znęciła go moja uroda, ale aby raczej pobudzić jego chciwość. Podczas tej mojej z nim rozmowy przystąpiono doń, mówiąc, że ze mną przybył najzgrabniejszy i najurodziwszy młodzieniec, jakiego wyobrazić sobie można; od razu zrozumiałam, iż mówiono o Don Kasprze Gregorio, którego gładkość wszystkie, choćby najbardziej sławione, w cieniu pozostawia. Zadrżałam na myśl o bezpieczeństwie, jakie Don Gregoriowi zagrażało, bowiem u tych barbarzyńskich Turków w większej cenie jest chłopak albo młodzian piękny niż 677 białogłowa, choćby najurodziwsza. Król rozkazał natychmiast go przyprowadzić, aby go oglądał, i zapytał mnie, zali prawdę jest, co o tym młodzieńcu

prawią. Wów-

czas ja, jakby przez niebo natchniona, odrzekłam, iż prawda to jest, ale musi wie- dzieć, że nie jest to chłopiec, jeno dziewczyna jak ja; błagałam go, aby mi pozwolił odejść i przebrać ją w suknie jej przystojne, aby tym łacniej piękność jej na jaw

wyszła, i mogła z mniejszym wstydem stanąć przed nim. Przystał na to i powiedział, że rozmówimy się następnego dnia, w jaki sposób mam się dostać do Hiszpanii, aby wydobyć ukryty skarb. Rozmówiliłam się z Don Kasprem, powiadomiłam go, na jakie niebezpieczeństwa się naraża jako dziewczyna, przebrałam go za Mauretankę i tego

Don Kichote - Miguel Cervantez

samego popołudnia przyprowadził go przed króla, który wpadł w zachwyt i polecił zatrzymać tę pannę, aby ofiarować ją sułtanowi; chcąc jednak uniknąć niebezpieczeństwa, na jakie w haremie jego niewiast mogła być narażona, oraz lękając się samego siebie, polecił umieścić ją w domu pewnej znakomitej Mauretanki, gdzie by jej strzeżono i usługiwano. Zaraz go tam odprowadzono. Cośmy oboje czuli (nie mogę bowiem zaprzeczyć, że go miuję), zostawiam osądowi tych, którzy wiedzą, co znaczy rozłączyć się z osobą ukochaną. Król rozporządził,
abym powróciła do Hiszpanii na tej brygantynie z dwoma rodowitymi Turkami, a byli to właśnie ci, którzy zabili waszych żołnierzy. Pojechał ze mną również ten

poturczeniec hiszpański - tu wskazała na tego, który pierwszy przemówił - o którym dobrze wiem, iż jest utajonym chrześcijaninem i że pojechał,

pragnąc raczej w Hiszpanii pozostawać niż wracać do Berberii; reszta wioślarzy brygantyny to Mau-

rowie i Turcy, którzy jedynie przy wiosłach służą. Owi dwaj Turcy, chciwi i bezczel- ni, nie zważając na rozkazy, jakie mieli, aby mnie i owego poturczenca na najbliższ- szy brzeg hiszpański wysadzić w sukniach chrześcijańskich (w jakie zaopatryliśmy się), chcieli naprzód płynąć wzduż brzegów w nadziei, że uda im się może schwytać jakąś zdobycz; lękali się zaś, że jeśli nas wprzód na ląd wysadzą, może się nam coś

zdarzyć i gotowiśmy zdradzić obecność brygantyny na morzu, a wówczas galery mogą ich pochwycić, o ile by wzduż wybrzeża krążyły. Tej nocy dostrzegliśmy to wybrzeże, a nie przewidując obecności tych czterech galer, zostaliśmy odkryci i przytrafiło się nam, co widzieliście. Tak więc Don Gregorio pozostał w sukniach niewieścich pomiędzy kobietami w oczywistym nie bezpieczeństwie zguby, ja zaś, ze spętanymi rękoma, oczekuję, a raczej lękam się utraty życia, które już mi cięży.

Oto, panowie, koniec mej żałosnej historii, zarówno prawdziwej, jak nieszczesnej, błagam was tylko, pozwólcie mi umrzeć jako chrześcijance, bowiem już powiedziałam, nie miałam żadnego udziału w przewinie, w jaką mój naród popadł. Zamilkła z oczyma łez pełnymi, w czym wtórowali jej liczni tam obecni. Wicekról,

Don Kichote - Miguel Cervantez

wzruszony i zdjęty litością, podszedł do niej bez słowa i własnoręcznie zerwał więzy, którymi piękne ręce Mauretanki były spętane.

Podczas gdy moryska chrześcijanka opowiadała swą tułacza historię, nie spuszczał z niej oczu pewien leciwy pielgrzym, który równocześnie z wicekrólem wstąpił na galerę; ledwie moryska skończyła swe opowiadanie, kiedy rzucił się jej do nóg i całując je, słowami przerywanymi łkaniem i westchnieniami rzekł: - Och, Anno Szczęsna, biedno córko moja! jestem twym ojcem Ricotem, który wrócił, aby cię odszukać, nie może bowiem żyć bez ciebie, duszo moja!

678

Na te słowa otworzył oczy Sanczo i podniósł głowę (trzymał ją bowiem dotąd schyloną, rozmyślając o swym nieszczęśliwym losie) i spojrzał na pielgrzyma, poznał, że jest to ten sam Ricote, którego spotkał w ów dzień, kiedy rzucił wielkorządztwo, upewnił się też, że była to jego córka. Ta, już od pęt wolna, ściskała swego ojca, mieszając swe łzy z jego łzami; Ricote zaś zwrócił się do generała i wicekróla:

- Oto, panowie, moja córka, bardziej nieszczęsna w doli swej niż z imienia, zwiększył bowiem Anna Szczęsna, nazwiskiem Ricote, słynie zarówno pięknością swoją, jak mym majątkiem. Opuściłem ojczystą, aby w państwach obcych szukać, kto by nas przyjął i przytulił, a znalazły schron w Niemczech, powróciłem w tym przebraniu pielgrzyma w towarzystwie innych Niemców, aby odszukać córkę i odkopać mnogie kosztowności, które ukryłem. Córki nie znalazłem, znalazłem skarb, który z sobą noszę, a teraz oto przez dziwne zrządzenia, których byliście świadkami, odnalazłem skarb ponad wszystkie inne bogatszy, a jest nim moja umiłowana córka. Jeśli błahość naszej winy oraz jej łzy i moje mogą w nieugiętej sprawiedli-

wości waszej otworzyć furtę miłosierdzia, wyświadaczcie je nam, którzy nigdy w życiu urazić was nie chcieliśmy ani nie mieliśmy żadnego związku z zamysłami tych naszych współziomków, którzy słusznie wygnani zostali. Wówczas odezwał się Sanczo:

- Ricota znam dobrze i wiem, że prawdę rzecze, iż Anna Szczęsna jest jegocórką; nie wdaję się natomiast w te wszystkie głupstwa jego włóczę tam i z powrotem oraz w jego dobre czy złe zamysły.

Wszystkich przytomnych zadziwił ten splot wypadków, a generał rzekł:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Kropla po kropli łzy wasze nie pozwalają mi spełnić mej przysięgi: życie, Anno Szczęsna, tyle lat, ile wam niebo przeznaczy, i niechaj karę poniosą ci zuchwalczy i bezczelni, którzy winę popełnili.

I rozkazał zaraz powiesić na rei obu Turków, którzy zastrzelili żołnierzy; ale wicekról usilnie prosił, aby ich nie wieszano, w ich winie bowiem więcej było nie-przytomności niż zuchwałstwa. Przystał generał na prośbę wicekróla, nie należy się bowiem mścić z zimną krwią; poczęli się zastanawiać nad sposobem wydobycia Don Kaspra Gregorio z niebezpieczeństwa, w jakim pozostawał; Ricote ofiarował na ten cel ponad dwa tysiące dukatów w perłach i klejnotach. Rozważono wiele pomysłów, ale najlepszy przedstawił poturczeniec hiszpański, już wspomniany, który ofiarował się powrócić do Algieru na jakieś małej łodzi o sześciu chrześcijańskich wioślarzach, wiedział bowiem, gdzie, jak i kiedy można i należy przybić do brzegu, i również znał dom, gdzie przebywał Don Kasper. Generał i wicekról lękali się nie-

co zaufać poturmakowi i powierzyć mu chrześcijan do wioseł, ale ręczyła za niego Anna Szczęsna, zaś ojciec jej oświadczył, że gotów zapłacić okup za tych chrześcijan, jeśli przypadkiem dostali się do niewoli.

Kiedy to zostało postanowione, wicekról odjechał na ląd, a Don Antonio Moreno zabrał ze sobą moryską i jej ojca z poleceniem od wicekróla, aby ich ugościł i dogadzał im we wszystkim, co tylko możliwe; zaś on ze swej strony ofiaruje im wszelkie zasoby swego domu. Tak wielką życzliwością i litościąypełniła jego serce uroda Anny Szczęsnej. 679

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

opowiada o przygodzie, która Don Kichotowi przysporzyła więcej przykrości niż wszystkie inne, jakie go dotąd spotkały

Doña Antonia Moreno, jak opowiada historia, niezmiernie była szczęśliwa widząc Annę Szczęsną w swoim domu. Przyjęła ją bardzo wdzięcznie, podbita zarówno jej urodą, jak jej mądrością; bowiem i w jednym, i w drugim celowała moryska, zaś wszyscy mieszkańcy miasta, jakby głosem dzwonu wezwani, zbiegły się ją oglądać. Don Kichote przekonywał Don Antonia, że sposób obrany celem oswobodzenia Don Gregoria nie był trafny, zawierał bowiem więcej niebezpieczeństwa niż korzyści, byłoby lepiej, gdyby to jego wyprawiono do Berberii w pełnej zbroi i konno; wydostałby młodzieńca na przekór całej mauretańskiej zgrai, podobnie jak to Don Gaiferos ze swoją małżonką, Melisendrą, uczynił.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Zważcie, jegomość - rzekł Sanczo, słysząc to - że pan Don Gaiferos wydarłswą małżonkę na stałym lądzie i uwiozły ją do Francji; ale w tym wypadku, gdybyśmy nawet wydobyli Don Gregoria, nie mielibyśmy ktorędy przewieźć go do Hiszpanii, bo w pośrodku leży morze.
- Na wszystko jest sposób krom śmierci - odparł Don Kichote - byleby tylko lódź do brzegu przybiła, moglibyśmy wsiąść na nią, choćby nam cały świat stanął przeciw.
- Znamienicie to odmalowuje i ułatwia sobie jegomość - rzekł Sanczo - ale od słowa do czynu droga daleka, ja zaś spuszczam się na poturczeńca, który mnie się widzi człowiekiem uczciwym i zacnego serca.

Don Antonio odpowiedział, że o ile poturczeńcowi sprawa się nie uda, wówczas uciekną się do sposobu, aby wielkiego Don Kichota przeprawić do Berberii. W dwa dni później poturczeniec odpłynął na lekkiej łodzi o sześciu wiosłach na ławę, obsadzonych przez znakomitych wioślarzy, a w dwa dni za nim odpłynęły galery na wschód; generał prosił wicekróla, aby był łaskaw powiadomić go, jaki obrót weźmie sprawa uwolnienia Don Gregoria oraz o losach Anny Szczęsnej, wicekról obiecał spełnić prośbę.

Pewnego ranka, kiedy Don Kichote wyjechał na przechadzkę po wybrzeżu w pełnej zbroi (bowiem - jak wielekoć powiadaliśmy - zbroja była mu ozdobą, zaś bitwa odpoczynkiem, i dlatego nigdy się z nią nie rozstawał), ujrzał zbliżającego się doń rycerza również od stóp do głowy zakutego w zbroję, który na tarczy nosił wyobrażony jaśniejący księżyca; ten zbliżywszy się na odległość, z której mógł być słyszany, zwrócił się do Don Kichota i donośnym głosem rzekł: - Znakomity rycerzu i nigdy dość nie wysławiony Don Kichocie z Manczy, jam jest Rycerz Bladego Miesiąca, którego niesłychane przewagi doszły może do twych uszu; przybywam zmierzyć się z tobą i wypróbować siłę twoego ramienia, aby cię przekonać i zmusić do wyznania, że moja dama, kimkolwiek by była, jest bez

680 porównania piękniejsza od twej Dulcynei z Toboso; jeśli tę prawdę bez zastrzeżeń wyznasz, unikniesz śmierci, a mnie odejmiesz przykrość zadania jej tobie; jeżeli zaś chcesz walczyć, a ja cię zwyciężę, nie żądam niczego więcej, jeno abyś, broń porzuciwszy i zaprzestawszy poszukiwać przygód, usunął się do twej wioski na rok, gdzie musisz żyć, nie biorąc miecza do ręki, w cichym spokoju i korzystnym wczasie, jak tego dobro twej majątkości oraz zbawienie twej duszy wymaga; a jeżeli ty mię zwyciężysz, głowę ci do twej woli oddaję, twoją zdobyczą będą moja zbroja i rumak i na ciebie przyjdzie sława moich przewag. Zważ, co lepiej, i odpowiedz mi co rychlej, bowiem tylko ten jeden dzień mi pozostaje, aby tę sprawę załatwić. Don

Don Kichote - Miguel Cervantez

Kichote osłupiał i zdumiał się tak bezczelnością Rycerza Bladego Miesiąca, jak treścią wyzwania, i odpowiedział ze spokojem na pozór, ale surowym głosem:

- Rycerzu Bladego Miesiąca, którego przewagi dotąd moich uszu nie doszły, mógłbym wam kazać przysiąc, że nigdy nie widzieliście słynnej Dulcynei; bo gdybyście ją oglądali, wiem, że nigdy nie odważylibyście się na takie wyzwanie; jej widok przekonałby was, że nie ma i nie może być równej jej piękności; przeto nie powiem wam, że kłamiecie, jeno że się mylicie. Wszelako przyjmuję wasze wyzwanie pod warunkami, jakie podaliście, i to zaraz, ażeby nie minał dzień przez was wyznaczony; jedynie z warunków waszych odrzucam ten, aby na mnie przeszła sława waszych przewag, albowiem nie wiem, czy i jakie one są; wystarczą mi moje, takie, jakie są. Zabierzcie przeto tyle pola, ile chcecie, ja podobnie postąpię, a komu Bóg zdarzy, temu św. Piotr pobłogosławi.

Z miasta dostrzeżono Rycerza Bladego Miesiąca i doniesiono wicekrólowi, że rozmawia z Don Kichotem; wicekról, mniemając, że to jakaś nowa sztuczka wymyślona przez Don Antonia Moreno albo innego szlachcica z miasta, zaraz udał się na wybrzeże z Don Antoniem i innymi licznymi szlachcicami i przybył na miejsce w chwili, kiedy Don Kichote zawracał Rosynanta, aby objechać pole. Wicekról widząc, że gotują się obaj do natarcia, stanął w pośrodku, pytając, jaka była przyczyna tak niespodziewanego spotkania. Rycerz Bladego Miesiąca odpowiedział, że chodzi o pierwszeństwo piękności, i w krótkich słowach powtórzył, co rzekł przedtem Don Kichotowi, oraz podał warunki spotkania, jakie ustalone zostały przez obydwie strony. Wicekról podszedł do Don Antonia i zapytał, zali wiadomo mu, kim jest ów Rycerz Bladego Miesiąca, i zali ten żart ułożono, aby zakpić z Don Kichota. Don Antonio odpowiedział, że nie zna tego rycerza i że nie wie, zali to wyzwanie jest rzeczywiste czy też żartem.

Odpowiedź ta wtrąciła wicekróla w niepewność, czy ma pozwolić, czy nie na rozpoczęcie walki, ale nie mogąc wmówić w siebie, jakoby to było coś innego niż żart, odsunął się na bok, mówiąc:

- Mości rycerze, jeśli tu innego wyjścia nie masz, jeno wyznać lub zginąć, zaś pan Don Kichote upiera się przy swoim na trzynaście, a wasza miłość, Rycerzu Bladego Miesiąca, przy swoim na czternaście, w imię Boże - ruszajcie! Rycerz Bladego Miesiąca podziękował w dwornych i mądrych słowach wicekrólowi za dane im pozwolenie, i Don Kichote podobnie, po czym poleciwszy się 681 z całego serca niebu i swej Dulcynei, co miał

zwyczaj czynić, rozpoczynając każdą walkę,

Don Kichote - Miguel Cervantez

jaka się nadarzyła, zatoczył nieco szerzej

koniem, widząc, że i jego przeciwi-

nik więcej pola zajmuje, i nie czekając trąby ani innego instrumentu wojennego, który by im dał znak do natarcia, obaj w tej samej chwili obrócili końmi, a jako koń

Rycerza Bladego Miesiąca był znacznie lżejszy, dwie trzecie pola przebiegły, i Rycerz z takim impetem na Don Kichota wpadł, że go wraz z Rosynantem na ziemię powalił, bardzo niebezpiecznie, nie czyniąc użytku z kopii, którą był wzniósł w tym celu. Natychmiast przyskoczył doń i przyłożywszy mu kopię do przyłbicy, rzekł: - Zwyciężonyś, rycerzu, a nawet i nieżywy, jeśli nie wyznasz, coś winien zgodnie z warunkami naszego spotkania.

Don Kichote poturbowany, złamany, nie podnosząc przyłbicy, głosem mdlejącym i słabym, jakby z grobu wychodził, przemówił:

- Dulcynea z Toboso jest najpiękniejszą ze wszystkich kobiet na świecie, a ja najnieszczęśliwszym rycerzem na ziemi, moja słabość nie może tej prawdzie zaprzeczyć. Pchnij twą kopią, rycerzu, i zabierz życie, skoro zabrałeś mi cześć. - Nie uczynię tego, zaiste - rzekł Rycerz Bladego Miesiąca - niechaj żyje i trwa w swej pełni sława piękności pani Dulcynei z Toboso; zadowolę się jedynie tym, że wielki Don Kichote usunie się do swej wioski na rok albo na przekąt czasu, jaki mu wyznaczę, jak to ustanowiliśmy przed rozpoczęciem tego spotkania. Słyszeli to wszystko wicekról, Don Antonio oraz innych wielu tam obecnych i słyszeli również, jak Don Kichote odpowiedział, że o ile nie żąda odeń rzeczy, która by z ujmą Dulcynei była, wszystko inne spełni, jako rycerz sumienny i szczery. Po

tym oświadczeniu Rycerz Bladego Miesiąca zawrócił konia i skloniwszy głowę przed wicekrólem, kłusem do miasta odjechał. Wicekról polecił Don Antoniowi, aby za nim ruszył i za wszelką cenę dowiedział się, kim by on był. Podniesiono Don Kichota, odsłonięto oblicze: było ono wybladłe i potem pokryte. Rosynant tak był poturbowany, że ruszył się nie mógł na razie. Sanczo strasznie smutny i zmartwiony nie wiedział, co rzec i co począć; zdawało mu się, że całe to zdarzenie snem było

i że wszystko było dziełem czarów. Spoglądał na swego pana zwycięzonego, którego zmuszono, aby przez rok cały bronii się nie miał; widział już światło sławy jego

przewag zaciemnione, nadzieję nowych obietnic wniwecz obrócone, jak dym, co się na wietrze rozwiewa. Obawiał się, czy Rosynant nie zostanie

kaleką, a pan jego

kulawcem; to ostatnie nie byłoby najgorsze, byle rozum nie kulał. Wreszcie wicekról kazał sprowadzić lektykę i zaniesiono Don Kichota do miasta, gdzie i wicekról powrócił gnany chęcią dowiedzenia się, kim był ów Rycerz Bladego Miesiąca, który tak nieszczęśliwie Don Kichota pognębił.

682

ROZDZIAŁ SZEŚCDZIESIĄTY PIĄTY

w którym dowiadujemy się, kim był Rycerz Bladego Miesiąca, o uwolnieniu Don Gregoria oraz o innych wypadkach

Don Antonio pojechał w ślad za Rycerzem Bladego Miesiąca, za którym biegła zgraja uliczników, póki nie zamknął się w pewnej gospodzie w mieście. Don Antonio wszedł tam, pragnąc się z nim zapoznać; widział, jak giermek wyszedł powitać i rozbroić rycerza, a ten usunął się do dolnej izby, gdzie za nim wkroczył Don Antonio, gdyż piekła go chęć dowiedzenia się, kto by to mógł być. Rycerz Bladego Miesiąca, widząc, że szlachcic nie myśli go zostawić w spokoju, rzekł: - Dobrze wiem, panie, że przychodzicie, aby dowiedzieć się, kim jestem, a jako nie mam powodu się z tym talić, przeto w czasie, kiedy mój giermek będzie mnie rozbijał, powiem wam wszystko, na włos nie oddalając się od prawdy. Wiedziecie tedy, panie, że nazywam się bakałarz Samson Carrasco; pochodzę z tej samej miejscowości co Don Kichote z Manczy, którego szaleństwo i niedorzeczność przyprawia o ciężkie zmartwienia wszystkich, którzy go znamy, wśród nich najbardziej ja jestem tym przejęty; i mniemając, że uzdrowienie jego zależy od spokoju oraz od przebywania we własnej ziemi i domu, użyłem podstępu, aby go do tego zmusić, i trzy miesiące temu wyruszyłem w drogę pod postacią błędnego rycerza, przezwawszy się Rycerzem Zwierciadeł, z zamiarem wyzwania go i zwyciężenia, nie czyniąc mu żadnej szkody, a podając za warunek naszego spotkania, aby - o ile zostanie pokonany - oddał się na łaskę zwycięzcy; moim zamiarem było żądać (bowiem z góry uważałem go za zwycięzonego), by powrócił do swej wioski i nie opuszczał jej przez rok cały, mając nadzieję, że przez ten czas się wyleczy. Los jednakże zrządził inaczej, albowiem on mię pokonał i z konia mię wysadził, tak że mój zamysł spełzł na niczym; on pojechał dalej w drogę, a ja wróciłem pokonany, wściekły i poturbowany z upadku, który był dość niebezpieczny; ale nie poniechałem chęci odszukania go znów i zwyciężenia, jak to dziś oglądalście. A jako on jest tak skrupulatny w zachowaniu reguł błędnego rycerstwa, nie ma wątpliwości żadnej, że dopełni mego warunku i słowa dotrzyma. Oto jest, panie, cała sprawa i nic więcej nie

Don Kichote - Miguel Cervantez

zostaje mi do powiedzenia; błagam, nie zdradźcie przed Don Kichotem, kim jestem, aby dobre me zamysły skutek odniosły i mógł odzyskać rozum człek, który by miał najznakomitszy, gdyby porzucił owe niedorzeczności błędnego rycerstwa. - Ach, panie! - rzekł Don Antonio. - Niechaj Bóg wam odpuści tę krzywdę, jaką wyrządzacie całemu światu, chcąc przywrócić rozum najzabawniejszemu szaleńcowi, jaki istnieje! Zali nie widzicie, panie, że nigdy korzyćć z uzdrowienia Don

Kichota nie będzie tak wielka, jak uciecha z jego dziwactw? Ale wyobrażam sobie, że wszystkie zabiegi pana bakałarza nie będą miały mocy, by przywrócić do zdrowego rozumu człowieka tak nieuleczalnie szalonego; i gdyby nie było to przeciwnie miłości bliźniego, życzyłbym sobie, aby nigdy nie wyzdrowiał Don Kichote, bo-

683

wiem wraz z jego zdrowiem stracilibyśmy śmieszności nie tylko jego, ale i Sanczo Pansy, jego giermką, z których każda zdolna rozweselić wcieloną melancholię. Pomimo to będę milczał i nic nie powiem, aby się przekonać, czy jestem w prawdzie, mniemając, iż usiłowania pana Carrasco nie odniosą skutku. Ten odpowiedział, że pierwszy dobry krok już został uczyniony w tej sprawie, którą spodziewa się do szczęśliwego końca doprowadzić. I ofiarowawszy Don Antoniowi swe usługi, pożegnał go, kazał załadować swoją zbroję na muła, wyjechał tego samego dnia z miasta na tym samym koniu, na którym odbył walkę, i powrócił do swej rodzinnej wsi bez żadnego wypadku, który opowiedzieć by warto w tej prawdziwej historii. Don Antonio zdał sprawę wicekrólowi ze wszystkiego, co mu Carrasco opowiedział, z czego wicekról nie bardzo był zadowolony, bowiem wraz z wycofaniem się Don Kichota tracili nadzieję ubawienia się wszyscy, którym jego szaleństwo było znane. Przez sześć dni Don Kichote nie opuszczał łoża zgnębiony, smutny, zamyślony i źle usposobiony, obracając w wyobraźni swojej nieszczęsnego przebieg swej klęski. Sanczo pocieszał go, mówiąc między innymi słowy:

- Panie mój, podnieście, jegomość, głowę i dziękujcie niebu, że przy tym zwaleniu się na ziemię nie połamaliście kości; a wiecie: kto daje, ten dostaje, i nie zawsze, gdzie są haki, tam jest i słonina; figę pokażcie medykowi (niepotrzebny jest wam bowiem, aby was z tej chorości uleczyć) i wracajmy do domu; zaprzestańmy się włóczyć przez ziemie i osiedla nieznane, szukając przygód; jeśli się dobrze rozważy, to ja jestem najbardziej poszkodowany, aczkolwiek jegomość bardziej poturbowany. Bo lubo wraz z wielkorządztwem pozbyłem chęci zostania wielkorządcą, nie pozbyłem ochoty, aby zostać hrabią, co nigdy nie dojdzie do skutku, jeżeli jego-

Don Kichote - Miguel Cervantez

mość porzuci zamiar zostania królem, niechając rzemiosło błędnego rycerstwa, tak przeto rozwiewają się w dym moje nadzieje.

- Milcz, Sanczo, wiesz przecież, że moje zamknięcie i odosobnienie ma trwać rok jeno; a zaraz potem powróczę do mego zaszczytnego powołania i nie zbraknie mi królestw do zdobycia ani hrabstwa dla ciebie.

- Oby Bóg was usłyszał - rzekł Sanczo - a grzech niech będzie głuchy; bozawsze słyszałem, iż więcej warta dobra nadzieja niż złe posiadanie. Na tym stanęło, kiedy wszedł Don Antonio, głosząc z oznakami największej radości:

- Doskonałe wieści, panie Don Kichocie, bowiem Don Gregorio wraz z poturmakiem, który po niego pojechał, przybili do portu! Co mówię, do portu! Są już w pałacu wicekróla i będą tu za chwilę.

Don Kichote poweselał nieco i rzekł:

- Prawdę powiedziawszy, byłbym wolał, gdyby wszystko na wspan było poszło, bowiem zmuszałoby mnie to udać się do Berberii, gdzie mocą mego ramienia zdobyłbym wolność nie tylko dla Don Gregoria, ale dla wszystkich chrześcijan nie-wolnych, jacy tam się znajdują. Ale cóż mówię, nieszczęsny? Zali nie zostałem zwyciężony? Zali nie zrzucono mnie z konia? Zali nie jestem tym, któremu przez rok nie wolno się imać broni? Cóż przeto mogę obiecywać? Czymże się chwalić, kiedy raczej przystałoby mi bawić się kądzielą niż mieczem?

684

- Zostawcie to, panie - rzekł Sanczo - niechaj żyje kura, choćby z pyciem; dziś tobie, jutro mnie; w tych wszystkich spotkaniach i starciach nie można mieć żadnej pewności, ten, który dziś upada, może jutro powstać, byleby tylko nie wolał wylegiwać się w łóżu. Chcę rzec, by nie tracił ducha, nie mając już zapału do nowych zmagań. Wstańcie dziś, jegomość, aby przyjąć Don Gregoria, bo widzę, zbliża się zgiełk wielu ludzi i musieli już wejść do domu.

Była to prawda, bowiem kiedy Don Gregorio i poturmak zdali sprawę wicekrólowi ze swej podróży tam i z powrotem, Don Gregorio, pragnąc zobaczyć Annę Szczęsną, udał się z poturczeńcem do domu Don Antonia; chociaż Don Gregorio, kiedy go wykradziono z Algieru, był w szatach kobieczych, na statku zamienił się z jednym z brańców, którego ze sobą uwiozł, ale w jakichkolwiek by był, wyglądał na osobę godną miłości, usług i szacunku, był bowiem nad miarę urodziwy i zdawał się mieć zaledwie siedemnaście lub osiemnaście lat. Ricote i jego córka wyszli

go powitać, ojciec ze łzami, a córka z przystojną skromnością. Nie ucałowali się, bowiem wielka miłość unika zbytnich uzewnętrznień. Obie te piękności razem, Don Gregorio i Anny Szczęsnej, budziły zachwyt wszystkich tam obecnych. Kochankowie

Don Kichote - Miguel Cervantez

porozumieli się milczeniem, ich oczy tylko mówiły o radosnych i przystojnych uczuciach. Poturczeniec opowiedział podstęp i sposób, jakiego użył, aby uwolnić Don Gregoria; Don Gregorio, nie rozwodząc się, lecz w krótkich słowach opowiedział o niebezpieczeństwach i trudnościach, na jakie był narażony pośród kobiet, z którymi pozostawał, dając dowód, że roztropność jego nad wiek wielka była. W końcu Ricote zapłacił i wynagrodził hojnie wioślarzy i poturczeńca, który pogodził się z Kościółem i powrócił na jego łono i z członka zgniłego stał się czystym i zdrowym przez pokutę i skruchę.

W dwa dni potem wicekról porozumiał się z Don Antoniem, co należy czynić, aby Anna Szczęsna i jej ojciec mogli pozostać w Hiszpanii, gdyż zdawało im się, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby została panna, tak gorliwa chrześcijanka, i ojciec, jak zdawało się, tak zacny. Don Antonio zaofiarował się jechać do stolicy, aby się o to wystarać, i tak miał się tam udać w innych sprawach, dając do poznania, że dzięki protekcji i podarkom

wiele zawiłych spraw szczerliwie zakończyć można.

- Nie - rzekł Ricote obecny przy tej rozmowie - nie należy oczekiwac niczego po protekcji i darach; bowiem wielki Don Bernardino de Velasco, hrabia de Salazar, na którego Jego Królewska Mość włożył obowiązek wygnania nas, jest nieczuły na wszelkie obietnice, podarunki i skargi; chociaż bowiem prawda jest, że łączy on miłosierdzie ze sprawiedliwością, to widząc, że całe ciało naszego narodu jest zarażone i zgniłe, używa on raczej rozpalonego żelaza, które wypala, aniżeli maści, która goi; przeto z roztropnością, przenikliwością i pilnością, budząc lęk dokoła, wziął na swe silne ramiona brzemię tej wielkiej sprawy, przeprowadza ją i żadne nasze podstępy, oszustwa, starania i wybiegi nie są zdolne przyćmić jego argusowych oczu, które wiecznie trzyma otwarte i czujne, czy gdzie nie pozostaje i nie kryje się ktoś z naszych, jakby pęd utajony, który z czasem zakiełkuje i wyda zatru-

te owoce w Hiszpanii, dziś oczyszczonej i wolnej od obaw, o jakie ją nasza mnogość przyprawiała. Bohaterskie to było postanowienie wielkiego Filipa Trzeciego 685

i niezwykła roztropność, że obarczył wykonaniem wyroku takiego Don Bernardina de Velasco!

- Jakkolwiek bądź ma się sprawa, będąc na miejscu, dołożę wszelkich możliwych starań, a niebo uczyni, co mu się będzie podobało - rzekł Don Antonio. - Don Gregorio pojedzie ze mną, aby w zmartwieniu, wywołanym jego zniknięciem, pocieszyć rodziców; Anna Szczęsna pozostanie przy mojej żonie w tym domu albo

Don Kichote - Miguel Cervantez

w jakimś klasztorze, a wiem, że wicekról chętnie widzieć będzie w swoim domu zacnego Ricota, aby wiedzieć, do czego doprowadzą moje starania.

Wicekról zgodził się na ten plan, ale Don Gregorio, dowiedziawszy się, co zostało postanowione, oświadczył, że żadną miarą Dońi Anny Szczęsnej nie opuści; wszelako pragnął odwiedzić swoich rodziców i kiedy przekonano go, że do niej będzie mógł powrócić, dał się w końcu namówić i przystał na ułożony plan. Anna

Szczęsna pozostała z żoną Don Antonia, a Ricote w domu wicekróla. Nadszedł dzień wyjazdu Don Antonia oraz Don Kichota i Sancza w dwa dni później, bo jemu nieszczęsny upadek nie pozwolił wyruszyć wcześniej. Wiele było łącz, wiele westchnień, omdleń i szlochania przy pożegnaniu Don Gregoria z Anną Szczęsną. Ricote ofiarował Don Gregoriowi tysiąc talarów, o ile by ich potrzebował, ten jednak odmówił, poprzestając na pięciu talarami, jakie mu pożyczyl Don Antonio, obiecując mu je oddać w stolicy. Po czym obaj wyruszyli w drogę, a następnie, jak się rzekło, Don Kichote z Sanczem. Don Kichote bez zbroi, w szatach podróżnych, Sanczo zaś pieszo, bo na siwka załadowano zbroję. ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY opowiada o tym, o czym dowie się, kto go przeczyta albo czytania posłucha yjeżdżając z Barcelony, Don Kichote odwiedził miejsce swej porażki i wyrzekł:

- Tutaj była moja Troja! Tutaj moje nieszczęście, a nie moje tchórzostwo odjęło mi pozyskaną sławę; tu Fortuna wobec mnie okazała swą zwykłą niestałość; tutaj zaćmione moje przewagi, tu wreszcie szczęście moje legło, aby się nigdy nie podnieść. Co słysząc, Sanczo rzekł:
- Mężnym sercom przystoi, panie mój, znosić zarówno bolesć w niedoli, jakwesele w powodzeniu, sądzę po sobie samym, bo kiedy byłem wielkorządcą, weseliłem się, ale teraz, kiedy jestem spieszonym giermkiem, nie smucę się; słyszałem

bowiem, że ta, którą tu nazywają Fortuną, jest wiecznie pijaną babą, postrzeloną, a nade wszystko ślepą, nie widzi przeto, co czyni, ani też wie, kogo obala, a kogo wynosi. 686

- Niezgorszym jesteś filozofem, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - mówisz bardzo rozsądnie; nie wiem, kto cię tego nauczył. Mogę ci rzec jeno, że nie masz Fortuny na świecie ani zdarzeń dobrych czy złych, które byłyby dziełem przy-

Don Kichote - Miguel Cervantez

padku, wszystko jest dziełem szczególnej opatrznosci niebios i stąd zwykło się mówić, iż każdy jest sprawcą swej doli. Ja byłem sprawcą mojej, nie dostawało mi należytej rozwagi, przeto moje obliczenia na złe mi wyszły; powinienem był pomyśleć, że słabość Rosynanta nie zdoła stawić czoła potężnemu ogromowi rumaka Rycerza Bladego Miesiąca; porwałem się, czyniłem, co w mej mocy; wysadzono mnie z siodła, ale choć straciłem cześć, nie straciłem ani też stracić nie mogę cnoty dotrzymania słowa. Kiedy byłem błędny rycerzem, śmiały i mężnym, dziełami myimi i własnymi rękoma utwierdzałem swoje przewagi; teraz, kiedy idę pieszo jak giermek, utwierdzę słowa moje, dotrzymując mej obietnicy. Idźmy tedy, przyjacielu Sanczo, aby spędzić w naszej ziemi ów rok nowicjatu, a przez to odosobnienie zyskamy nową moc, by powrócić do nigdy niezapomnianego przeze mnie zbrojnego rzemiosła.

- Panie - odpowiedział Sanczo - nie jest to tak przyjemnie wędrować pieszo, abym miał ochotę wielkimi marszami dążyć. Zostawmy tę zbroję, zawieśmy ją na jakimś drzewie miast wisielca, a ja wsiadę na grzbiet mego siwka, nogi oderwę od ziemi i będziemy wędrowali tak spiesznie, jak tylko jegomość zechce i wymierzy; ale myśleć, że idąc piechotą, ganiać będę, to myśleć po próżnicy. - Dobrześ rzekł, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - zawieśmy ową zbroję na drzewie jako trofeum, a pod nią albo dokoła niej wyróżniemy w drzewie to, co stało pod trofeum ze zbroi Rolanda:

...Niech jej nikt nie ruszy,

Komu do starć z Rolandem może zbraknąć duszy!

- Sypiecie samymi perłami - odpowiedział Sanczo - i gdyby nam w drodze Rosynant nie był potrzebny, również byłoby dobrze i jego powiesić.
- Otóż ani jego, ani zbroi - odpowiedział Don Kichote - wieszać nie chcę, abynie mówiono: za dobrą służbę zła zapłata!
- Bardzo dobrze to jegomość powiedział - odparł Sanczo - bowiem, zdaniem ludzi roztrąpnych, winy osła nie zrzucaj na terlicę; a jako to wy jesteście winni w tej sprawie, sami się ukarzcie, a nie wywierajcie złości na połamanej i krwawej zbroicy ani na łagodności Rosynanta, ani na delikatności moich stóp, chcąc, aby ponad siły maszerowały. Na takich słowach i rozmowach przeszedł im ten cały dzień, a nawet cztery inne, a nie zaszło nic, co by podróż zakłóciło; piątego dnia u wjazdu do pewnej wioski

zastali pod Bramą jednego z domów wielki tłum ludzi, którzy się tam zabawiali, jako że było to

święto. Kiedy Don Kichote zbliżył się do nich,
jeden wieśniak zawałał:

- Niech jeden z tych dwóch panów, którzy nadjeżdżają i są bezstronni, powienam, jak rozstrzygnąć nasz spór.
- Na pewno powiem - odpowiedział Don Kichote - z całą sumiennością, bylebym wiedział, o co idzie. 687
- Oto nasza rzecz - rzekł wieśniak - zacny panie: pewien mieszkaniec tej wsi, tak gruby, że waży aż jedenaście arrobów, wyzwał na wyścigi drugiego, który nie waży i pięciu; warunkiem było, że mają przebiegnąć przestrzeń stu kroków z jednakim ciężarem; kiedy zapytano wyzwanego, jak należy zrównać ciężary, on rzekł,

że wyzwany, który waży pięć arrobów, ma wziąć na plecy sześć arrobów żelaza, a w ten sposób wyrówna się owych jedenaście arrobów chudzielca
z jedenastoma arrobami grubasa.

- O, co to, to nie! - zawałał Sanczo, zanim Don Kichote coś odpowiedzieczdoał
- do mnie, który kilka dni temu zaledwie przestałem być wielkorządcą i sę-
dzią, jak wszyscy wiedzą, należy rozstrzyganie takich wątpliwości i wydawanie wyroków.
- Odpowiadaj szczęśliwie, Sanczo przyjacielu - rzekł Don Kichote - mamumysł tak zmącony i wzburzony, że nie jestem zdolny nawet dać miękiszku kotu. Otrzymawszy to zezwolenie, Sanczo odezwał się do wieśniaków, którzy otoczyli go z "otwartymi gębami, oczekując jego wyroku: - Bracia, to, czego żąda grubas, nie ma ani sensu, ani cienia słuszności, bo jeśli prawdą jest to, co mówią, że wyzwany ma prawo wyboru broni, nie może on wybierać takiej, która by mu przeszkadzała i nie pozwalała wyjść zwycięsko; wedle mego zdania to grubas wyzwanający powinien się obciosać, ściąć, wyrżnąć, wyskrobać, ścisnąć i wyrwać sobie sześć arrobów ciała tu czy tam, jak mu najdogodniej i najlepiej będzie - i w ten sposób ważyć będzie pięć arrobów i dostosuje się do ciężaru swego przeciwnika, a wówczas będą mogli ścigać się sprawiedliwie. - Dalipan - zawałał jeden z wieśniaków, wysłuchawszy wyroku Sancza - ten pan gada jak święty, a wyrokuje jak kanonik! Ale zapewne grubas nie zechce wyciąć sobie ani jednej uncji ciała, a tym mniej sześć arrobów.
- Najlepiej, żeby wcale nie biegali - powiedział inny - aby ani chudy nie został przygnieciony pod ciężarem, ani grubas nie pozbywał się ciała; utopmy ten zakład w winie i zabierajmy tych ichmościów do szynkowni na dobre winko, biore to na siebie, i po kłopocie!

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Ja, panowie - odpowiedział Don Kichote - dziękuję wam, ale nie mogę zatrzymywać się ani na chwilę, złe myśli, smutne wypadki każą mi być niegrzecznym i opuścić was spieszniej, niż przystoi.

I spiąwszy ostrogami Rosynanta, przejechał mimo, pozostawiając ich zdziwionych widokiem jego dziwacznej postaci oraz mądrością jego sługi, bo za takiego mieli Sancza. Inny wieśniak odezwał się:

- Jeśli sługa jest tak mądry, jakim musi być pan! Założyłbym się, że jadą na studia do Salamanki, i ledwie powiesz "uf", już zostaną alkadami w stolicy; wszystko jest głupstwem, tylko uczyć się, uczyć i mieć szczęście i protekcję; a kiedy człowiek się najmniej spodzieje, ujrzy się z laską sprawiedliwości w ręce i z mitrą na głowie.

Noc tą spędzili pan i pachołek w szczerym polu, pod otwartym, pogodnym niebem, a na drugi dzień, jadąc dalej, spostrzegli idącego im naprzeciw pieszo człowieka z biesagami na karku i z oszczepem, a raczej kijem okutym w ręce. jak zwykle się widzieć pieszych posłańców. Ten, zbliżywszy się do Don Kichota, przyśpieszył kroku, przypadł doń i ściskając go za prawe udo, bo wyżej nie dosiągnął, z oznakami wielkiej radości zawała: 688

- Och! Panie mój, Don Kichocie z Manczy, jakże uraduje się serce pana mego, księcia, kiedy dowie się, że wasza miłość wraca do jego zamku, gdzie jeszcze przebywa z księżną panią.
- Nie znam was, przyjacielu - odpowiedział Don Kichote - ani wiem, kim jesteście, chyba że mi powiecie.
- Ja, panie Don Kichocie - odpowiedział posłaniec - jestem Tosilos, pokojowiec księcia, mego pana, to ja nie chciałem potykać się z waszą miłością z przyczyny małżeństwa córki Dońi Rodriguez.
- Na Boga! - rzekł Don Kichote. - Zali możliwe, abyście byli tym, których czarnoksiężnicy mnie przeciwni przeobrażili w pokojowca, jak mówicie, aby mi zrabować sławę owego spotkania!
- Zamilczcie, zacny panie - odparł goniec - nie było żadnego zaczarowania ani żadnej odmiany oblicza: tak Tosilos pokojowiec wszedł w szranki, jak Tosilos pokojowiec z nich wyszedł. Myślałem ożenić się bez walki, bo podobała mi się młoda; ale wszystko poszło na opak, bo zaledwie wasza miłość opuściliście nasz zamek, księżę, mój pan, kazał mi dać sto kijów za to, że postąpiłem wbrew rozkazom, jakie przed rozpoczęciem pojedynku otrzymałem, i wszystko skończyło się na tym, że owa

Don Kichote - Miguel Cervantez

dzieńeczka została zakonnicą, a Dona Rodriguez wróciła do Kastylii, ja zaś idę do Barcelony, niosąc listy dla wicekróla od mojego pana. Jeśli wasza miłość miałyby ochotę łyknąć nieco przedniego wina, jest wprawdzie ciepłe, ale czyste, mam w tej pełnej tykwi najprzedniejsze oraz kilka skrawków sera z Tronchon, który przywołuje i budzi pragnienie, gdyby było uśpione.

- Przyjmuję chętnie zaproszenie - rzekł Sanczo - odrzucam precz wszelkie ceremonie, lej nam, zacny Tosilosie, na przekór i na złość wszystkim czarnoksiążnikom Indii.
- Ależ, Sanczo - rzekł Don Kichote - byłeś i zostaniesz największym żarłokiem świata i największym głupcem na ziemi, kiedy nie uznajesz, że ów goniec jest zaczarowany i ów Tosilos fałszywy. Zostań tu z nim i napchaj się; ja pojadę naprzód powoli, czekając, aż mię dogoniš.

Pokojowiec roześmiał się, odkorkował tykwę, wyciągnął z torby serki i bułkę, zasiedli z Sanczem na zielonej murawie i w miłym pokoju i zgodzie wypróżnili do cna sakwy z takim apetytem, że nawet oblizali pakiet z listami, tylko dlatego, iż pachniał serem. Rzekł Tosilos do Sancza:

- Sanczo przyjacielu, bez ochyby ten twój pan winien być pomylony.
- Jak to winien - odpowiedział Sanczo - nic nie jest nikomu winien, za wszystkopłaci, a najbardziej wtedy, kiedy monetą jest szaleństwo. Dobrze to widzę i nawet mu to mówię; ale na co to się zda? A szczególnie dzisiaj, kiedy został zwyciężony przez Rycerza Bladego Miesiąca.

Tosilos prosił, aby mu opowiedział o tym, co się zdarzyło, ale Sanczo odparł, że niegrzecznie byłoby kazać tak długo czekać panu; kiedy indziej, gdy się spotkają, będzie na to sposobność, i podniósłszy się, obciągnął kaftan, otrzepał okruszki z brody, wziął siwka za użdzienicę, a powiedział, "z Bogiem!", zostawił Tosilosa i dogonił pana, który oczekiwał go w cieniu drzewa.

689

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

o postanowieniu, jakie powziął Don Kichote, by zostać pasterzem i pędzić sielski żywot na przestrzeni roku swego

zobowiązania, oraz o innych zdarzeniach, naprawdę przyjemnych i pomyślnych. Jeżeli przed wysadzeniem z siodła Don Kichota dręczyło mnóstwo myśli, tym więcej ich gnębiło go po upadku. Siedział w cieniu drzewa, jak się rzekło, i tak, jakby muchy do miodu przyleciały, opadły go i kasały myśli; jedne dotyczyły odczarowania Dulcynei, inne życia, jakie pędzić ma w swym przymusowym

Don Kichote - Miguel Cervantez

odosobnieniu. Nadszedł Sanczo itał zachwalać wobec niego szczodre usposobienie pokojowca Tosilosa.

- Zali możliwe - rzekł Don Kichote - abyś ty jeszcze myślał, że jest to prawdziwy pokojowiec? Zdawałoby się, że ci z pamięci uszło, jakoś widział Dulcyneę przemienioną w chłopkę, a Rycerza Zwierciadeł w bakałarza Carrasco, wszystko za sprawą czarnoksiężników, którzy mię prześladowają. Ale powiedz mi ino, pytałeś ty się owego Tosilosa -jak twierdzisz - co Bóg zdarzył z Altisidorą? Czy opłakiwała mą nieobecność, czyli też w zapomnieniu podała namiętne uczucia, które ją w mej przymiotności dręczyły?
- Nie takie to sprawy mieliśmy na myśli - odpowiedział Sanczo - i nie pozwoliły mi one o takie drobiazgi pytać. Do kaduka, panie; zali teraz jegomość jest w stanie zajmować się obcymi uczuciami, a w dodatku miłosnymi.
- Zważ, Sanczo - rzekł Don Kichote - iż wielka jest różnica między tym, co się czyni z miłości, a tym, co wdzięczność dyktuje. Zdarzyć się może, że jakiś rycerz jest nieczuły, ale być to nie może, ściśle biorąc, aby był niewdzięczny. Altisidora, jak się zdawało, bardzo mnie miłowała; dała mi trzy namitki, o których wiesz; płakała, gdym wyjeżdżałem; przeklinała mię, złorzeczyła mi, skarżyła się, wstydu poniechawszy publicznie; wszystko to oznaki, że mię uwielbiała; bowiem gniew kochanków zwykły się w przekleństwach przejawiać. Nie mogłem dać jej żadnej nadziei ani ofiarować jej skarbów, moje bowiem nadzieję Dulcynei oddane, zaś skarby błędnych rycerzy są, podobnie jak skarby chochlików, pozorne i złudne, mogę jej tylko ofiarować wspomnienie, jakie o niej chowam, wszelako nie z ujmą dla pamięci Dulcynei, którąty krzywdzisz przez odwlekanie biczowania i wysmagania tego cielska, które obym ujrzał przez wilki pożarte, a które woli się zachować robakom niżli stać się lekiem dla tej nieszczęsnej pani.
- Panie - odpowiedział Sanczo - jeśli mam prawdę rzec, nie mogę w siebie powieść, aby biczowanie mych pośladków miało coś do czynienia z odczarowaniem zaklętych, to jak byśmy rzekli: "Boli cię głowa? Nasmaruj sobie kolano". A przynajmniej ośmielię się przysiąć, że we wszystkich historiach, jakie jegomość czytał o błędny rycerstwie, nie było mowy o żadnym odczarowaniu przez biczowanie; ale jakkolwiek jest, wymierzę sobie plagi, kiedy będę chciał i kiedy nadarzy się sposobność, aby się wysmagać. 690
- Dałby to Bóg - odpowiedział Don Kichote - i oby niebo łaską swą cię oświeciło, byś zdał sobie sprawę, że masz obowiązek pomóc mej pani, która jest i twoją, bowiem jesteś moim.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Tak rozprawiając, posuwali się naprzód, dotarli wreszcie do okolicy i miejsca, gdzie zostali stratowani przez byki. Poznał je Don Kichote i rzekł do Sancza: - Oto łąka, gdzie spotkaliśmy strojne pasterki i uprzejmych pasterzy, którzy tu chcieli wznowić i naśladować sielską Arkadię; pomysł to zarówno nowy, jak mądry, i na wzór ich, jeśli to się tobie spodoba, chciałbym, o Sanczo, abyśmy przeistoczyli się w pasterzy na czas mego zamknięcia. Ja zakupię kilka owieczek i wszystkie inne rzeczy, jakich rzemiosło pasterskie wymaga, i przewzę się pasterz Kichotis, a ty pasterz Pansino, wędrować będziemy przez góry i lasy, i łąki, śpiewając tu, wzdy-

chając ówdzie, pijąc wodę z płynnych kryształów źródeł albo z czystych strumieni, albo z rzek rozlewanych. Udzielać nam będą najhojnieszą dłonią swoich słodkich owoców - dęby, oparcia nam użyczą pnie najtwardszych korkowców, cienia wierzby, woni róże, kobierców o tysiącznych barwach łąki rozległe, powiewów jasne i czyste powietrze, światła miesiąc i gwiazdy na przekór ciemności nocnej, radości

śpiew, wesołości płacz, Apollo wierszy, a miłość pomysłów, abyśmy mogli stać się wiecznymi i sławnymi nie tylko teraz, ale i w wiekach, które przyjdą. - Dalibóg - rzekł Sanczo - odpowiada mi, a nawet okrutnie, taki sposób życia; tym bardziej, że skoro to zobaczą bakałarz Samson Carrasco oraz mistrz Mikołaj, balwierz, na pewne zechcą nas naśladować i zostać pasterzami, jak i my; a nawet, jeśli Bóg zechce, to i plebanowi przyjdzie ochota również wejść do tej owczarni, jest bowiem wesół i lubi się pośmiać.

- Przednio rzekłeś - odparł Don Kichote - przeto bakałarz Samson Carrasco, o ile wejdzie do tej pasterskiej gromady, a ani chybi wejdzie, będzie się mógł przezwąć pasterz Samsonino, alboli pasterz Carrascon, a balwierz Mikołaj - Niculoso, tak jak Boscan niegdyś przezwalał się Nemoroso; nie wiem, jak moglibyśmy przezwąć plebana, chyba jakimś mianem pochodnym od jego tytułu, jak pasterz Plebanio. Co zaś do imion pasterek, których kochankami być mamy, będziemy mieli w czym wybierać, jakby pośród gruszek; a jako imię mojej pani stosowne jest zarówno dla pasterki, jak i dla księżniczki, nie będę się trudził wybieraniem innego lepszego; ty, Sanczo, dasz swojej imię, jakie zechcesz.

- Nie zamyślam - odpowiedział Sanczo - nazwać jej inaczej jak Teresona, odpowiednie to zarówno jej tuszy, jak i jej własnemu imieniu, bo zowie się Teresa;

a tym bardziej że wysławiając ją w moich wierszach, dam dowód czystości moich pragnień i nie będę w obcym domu kołacza szukał. Pleban nie powinien mieć żadnej pasterki, aby dobry przykład dawać; a jeśli bakałarz chciał jaką, wolna wola.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Pomagaj Bóg - rzekł Don Kichote. - Jakież to życie pędzić będziemy, Sanczo przyjacielu! Jakie brzmieć nam będą fujarki, jakie kobzy zamorańskie, jakie bębenki, jakie dzwoneczki i jakie gęśliki! A do tego niech pośród tych najrozmaitych dźwięków zabrzmią jeszcze albogi! Będziemy mieli prawie wszystkie instrumenty pasterskie.
- Co to są albogi? - zapytał Sanczo. - Nigdy nie słyszałem tej nazwy ani niewidziałem ich nigdy w życiu.

691

- Dałby to Bóg - odpowiedział Don Kichote - i oby niebo łaską swą cię oświeciło, byś zdał sobie sprawę, że masz obowiązek pomóc mej pani, która jest i twoją, bowiem jesteś moim.

Tak rozprawiając, posuwali się naprzód, dotarli wreszcie do okolicy i miejsca, gdzie zostali stratowani przez byki. Poznał je Don Kichote i rzekł do Sancza: - Oto łąka, gdzie spotkaliśmy strojne pasterki i uprzejmych pasterzy, którzy tu chcieli wznowić i naśladować sielską Arkadię; pomysł to zarówno nowy, jak mądry, i na wzór ich, jeśli to się tobie spodoba, chciałbym, o Sanczo, abyśmy przeistoczyliśmy się w pasterzy na czas mego zamknięcia. Ja zakupię kilka owieczek i wszystkie inne rzeczy, jakich rzemiosło pasterskie wymaga, i przewzę się pasterz Kichotis, a ty pasterz Pansino, wędrować będziemy przez góry i lasy, i łąki, śpiewając tu, wzdy-

chając ówdzie, pijąc wodę z płynnych kryształów źródeł albo z czystych strumieni, albo z rzek rozlewowych. Udzielać nam będą najhojnieszą dłonią swoich słodkich owoców - dęby, oparcia nam użyczą pnie najtwardszych korkowców, cienia wierzby, woni róże, kobierców o tysiącznych barwach łąki rozległe, powiewów jasne i czyste powietrze, światła miesiąc i gwiazdy na przekór ciemności nocnej, radości

śpiew, wesołości płacz, Apollo wierszy, a miłość pomysłów, abyśmy mogli stać się wiecznymi i sławnymi nie tylko teraz, ale i w wiekach, które przyjdą. - Dalibóg - rzekł Sanczo - odpowiada mi, a nawet okrutnie, taki sposób życia; tym bardziej, że skoro to zobaczą bakałarz Samson Carrasco oraz mistrz Mikołaj, balwierz, na pewne zechcą nas naśladować i zostać pasterzami, jak i my; a nawet, jeśli Bóg zechce, to i plebanowi przyjdzie ochota również wejść do tej owczarni, jest bowiem wesoły i lubi się pośmiać.

- Przednio rzekłeś - odparł Don Kichote - przeto bakałarz Samson Carrasco, o ile wejdzie do tej pasterskiej gromady, a ani chybi wejdzie, będzie się mógł prze-

Don Kichote - Miguel Cervantez

zwać pasterz Samsonino, alboli pasterz Carrascon, a balwierz Mikołaj - Niculoso, tak jak Boscan niegdyś przezwalał się Nemoroso; nie wiem, jak moglibyśmy przezwąć plebana, chyba jakimś mianem pochodnym od jego tytułu, jak pasterz Plebanio. Co zaś do imion pasterek, których kochankami być mamy, będziemy mieli w czym wybierać, jakby pośród gruszek; a jako imię mojej pani stosowne jest zarówno dla pasterki, jak i dla księżniczki, nie będę się trudził wybieraniem innego lepszego; ty, Sanczo, dasz swojej imię, jakie zechcesz.

- Nie zamyślam - odpowiedział Sanczo - nazwać jej inaczej jak Teresona, odpowiednie to zarówno jej tuszy, jak i jej własnemu imieniu, bo zowie się Teresa;

a tym bardziej, że wysławiając ją w moich wierszach, dam dowód czystości moich pragnień i nie będę w obcym domu kołacza szukał. Pleban nie powinien mieć żadnej pasterki, aby dobry przykład dawać; a jeśli bakałarz chciał jaką, wolna wola.

- Pomagaj Bóg - rzekł Don Kichote. - Jakież to życie pędzić będziemy, Sanczo przyjacielu! Jakie brzmieć nam będą fujarki, jakie kobzy zamorańskie, jakie bębenki, jakie dzwoneczki i jakie gęsliki! A do tego niech pośród tych najrozmaity-

szych dźwięków zabrzmią jeszcze albogi! Będziemy mieli prawie wszystkie instrumenty pasterskie.

- Co to są albogi? - zapytał Sanczo. - Nigdy nie słyszałem tej nazwy ani niewidziałem ich nigdy w życiu. 691

- Albogi - odpowiedział Don Kichote - to są dwa miedziane talerze na kształtpodstaw lichtarzy, które jeden o drugi uderzane, dzięki wkleśności i pustce, wydają

dźwięk, który choć nie jest ani zbyt miły, ani harmonijny, jest wszelako przyjemny i dobrze się zgadza z sielskością kobzy i bębenka; ta nazwa albogi jest arabska jak wszystkie, które w naszym kastylskim języku zaczynają się na al, takie jak: almo-haza, almorzar, alhambra, alguacil, alhucema, almacen, alcancia i inne podobne, których musi być znacznie więcej; tylko trzy słowa arabskie posiada nasz język zakończone na I, są to borcegui, zaguzami i maravedi. Alheli i alfaqui zarówno dla al początkowego, jak końcowego i są znane jako arabskie. To ci mówię mimochodem, bo przywiódła mi to na myśl nazwa albogi; aby nasze przedsięwzięcie do doskonałego pozoru doprowadzić, pomoże nam ogromnie to, że jestem nieco poetą, jak wiesz, a doskonałym zgoła jest i bakałarz Samson Carrasco. O plebanie nic nie mówię, ale mógłbym się założyć, że musi w nim tkwić ziarnko poezji i godzien łańcuch nosić; podobnie jak mistrz Mikołaj niezawodnie, bo

wszyscy balwierze albo

ich większość są gitarzystami i piosenkarzami. Ja skarzyć się będę na rozłąkę, ty sławić będziesz swoją stałość w miłości, pasterz Carrasco opiewać będzie wzgardę, proboszcz Plebanio, co tam będzie chciał, i tak się sprawa potoczy, że i nie można lepiej.

Na to odpowiedział Sanczo:

- Ja, panie, mam takiego pecha, że lękam się, iż nie zobaczę dnia, kiedy bym mógł się takiemu zawodowi oddać. Och, jakie śliczne robiłbym łyżki, gdybym był pasterzem! Jakie zupki, jaką śmietanę, jakie girlandy i cacka pasterskie; choćby mi nie zyskały sławy mądrego, to nie omieszkałyby mnie wsławić jako pomysłowego. Sanczyka, moja córka, przynosiłaby nam jedzenie na pastwisko. Ale hola! Jest zbyt urodziwa, a pasterze raczej niecnoty niż prostoduszni, a nierad bym, aby przyszła po wełnę, a wróciła postrzyżona; a miłostki i złe żądze włóczą się zarówno po połach, jak przez miasta i przez pasterskie szalasy, jak przez królewskie pałace; odej- mij przyczynę i grzech zniknie; oczy nie zobaczą, to i serce nie pęknie; lepiej dać drapaka niż zaufać prośbom poczciwców.

- Dość przysłów, Sanczo - rzekł Don Kichote. - Pierwsze, któreś wypowiedział, starczyło, aby myśl twą wyrazić; wiele krocę ci radziłem, abyś tak przysłowiami nie szafował i nieco się powstrzymał; ale wierzę; tyle to, co na pustyni kazać; matka dziecię wali, ono bąka puszcza dalej.

- Zdaje mi się - odrzekł Sanczo - że jegomość jest - jak to prawią: Mówiłgarnek do kociołka, precz stąd czarny matołku. Nakazujecie mi, abym nie używał przysłów, a sami nizacie po dwa, jedno na drugie.

- Zważ, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - przytaczam przysłowia stosownie i wchodzą w sam raz jak pierścień na palec, ale ty ciągniesz je tak za włosy, że aż wleczesz je, a nie wprowadzasz; i o ile dobrze pamiętam, już raz ci powiedziałem, że przysłowia są to jakby krótkie sentencje wywiedzione z doświadczenia i rozmyślań naszych starodawnych mędrców, zaś przysowie przytoczone na wspanak jest raczej głupstwem niż sentencją. Ale zostawmy to, a ponieważ noc się zbliża, usuńmy się nieco od gościnca i poszukajmy sobie miejsca na nocleg, a Bóg wie, co ranek przyniesie. 692 Zjechali z gościnca, wieczernieli późno i źle, ku wielkiemu zmartwieniu Sancza, któremu stanęły w pamięci niedostatki błędnego rycerstwa, jakie czekają ich w lasach i w górach, oraz obfitość, jaką widać

było w zamkach i domostwach zarówno Don Diega de Miranda, jak w czasie godów bogatego Camacha lub w domu Don Antonia Moreno, ale zważywszy, że nie zawsze może trwać dzień ani nie zawsze noc, tę spędził na spaniu, a pan jego na czuwaniu.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

o świńskiej przygodzie, jaka spotkała Don Kichota

Noc była nieco ciemna, chociaż księżyc świecił na niebie; w tej części wszelako widać go nie było, bowiem pani Diana zwykła niekiedy odwiedzać antypody, zostawiając góry w ciemności i doliny w mrokach. Don Kichote spłacił dań naturze, przesypiając pierwospy, ale w drugi sen już nie zapadł; Sanczo, przeciwnie, drugiego wcale nie miał, bowiem spał cięgiem od wieczora do rana, czym dał dowód zdrowej natury i braku frasunków. Troski Don Kichotowi spać nie dawały, aż obudził Sancza, mówiąc:

- Podziwiam, Sanczo, twój spokój; wyobrażam sobie, żeś chyba z marmurualbo z trwałego brązu, który ani poruszenia, ani czucia żadnego nie zna. Czuwam, kiedy ty śpisz; płaczę, kiedy ty śpiewasz; omdlewam z czerwieni, kiedy ty wylegajesz się i tchu złapać nie możesz z obżarstwa.

Dobrzy słudzy powinni dzielić zmar- twienia panów, wzruszać się ich uczuciami, choćby dla przyzwoitości. Patrz, jaka noc pogodna, jaka samotność nas otacza, która zachęca nas do czuwania między jednym snem a drugim. Powstań - na życie twe zaklinam - oddal się o kilka kroków i z dobrego serca, z chętną odwagą wymierz sobie trzysta albo czterysta batów

na rachunek tych, które mają odczarować Dulcyneę; proszę cię i błagam o to, nie chcę się z tobą mocować jak poprzednio, wiem bowiem, że masz ciężkie ramię. Kiedy je sobie wymierzysz, resztę nocy spędzimy na śpiewaniu, ja o mej rozłące, a ty o twej wierności, dając tym początek życiu pasterskiemu, jakie mamy w naszej wsi pędzić.

- Panie - odpowiedział Sanczo - nie jestem zakonnikiem, abym w środku nocy ze snu się zrywał i bicował, a tym mniej wyobrażam sobie, aby z niezmiernej bolesci plag przejść można do muzyki. Dajcie mi, jegomość, spać i nie przynaglajcie

mię do bicowania; bo gotów jestem przysiąc, iż nigdy nie dotknę nawet jednej nitki mej sukni, a nie dopiero włoska na mym ciele.

- O duszo zakamieniała! O giermku bezlitosny! O chlebie źle użyty! O dobrodziejstwa nieuznane, jakich ode mnie zaznałeś i jakie miałem zamiar ci wyświadczyć! Dzięki mnie zostałeś wielkorządcą, dzięki mnie żywiłeś nadzieję zostania

Don Kichote - Miguel Cervantez

niebawem hrabią albo zdobyć jakiś inny tytuł równorzędny, a odwlecze się to zaledwie o rok najwyżej, bo post tenebras spero lucern1.

- Nie rozumiem tego - odparł Sanczo - wiem tylko, że kiedy śpię, nie odczuwam lęku ani nadziei, ani mozołów, ani sławy; błogosławiony, który sen wynalazł, ten płaszcz, który okrywa wszystkie myśli ludzkie, pożywienie, które głód uśmierza, wodę, która pragnienie gasi, ogień, który w zimie zagrzewa, chłód, który upał

łagodzi, i na ostatek pieniądz obiegowy, za który wszystko kupić można, wagę i ciężarki, które równoważą pasterza i króla, prostaka i mędrcę. Jedna tylko rzecz w snie jest zła, iż -jak słyszałem - podobny jest śmierci, bowiem niewielka jest różnica między człowiekiem śpiącym a umarłym.

- Nigdy nie słyszałem, Sanczo - rzekł Don Kichote - abyś tak wytwornie się wyrażałeś jak obecnie; daje mi to do poznania, jak prawdziwe jest przysłowie, nierzaz przez ciebie powtarzane: Nie z kim się rodzisz, ale z kim się wodzisz. - Ach! Bodaj was! - odparł Sanczo. - Miły dobrodzieju nasz! To nie ja teraz nizam przysłowia; również i jegomości spadają z ust jedno za drugim łacniej niżli mnie, tylko między moimi a waszymi musi być ta różnica, że waszej miłości są na miejscu, a moje nie w czas; ale mimo wszystko są to zawsze przysłowia. Do tego doszli, kiedy usłyszeli głuchy rumor i przeraźliwy chrobot rozlegający się w całej dolinie. Zerwał się Don Kichote i rękę na mieczu położył. Sanczo zaś przykucnął przy siwku, zastawiając się z obu stron stosem broni i terlicą swego osła, tak drżący z trwogi jak Don Kichote z niepokoju. Od chwili do chwili wzrastał chrobot, zbliżając się do dwóch przerażonych, a raczej do jednego, bo drugiego dzielność była znana. A przyczyna w tym leżała, że kupcy pędzili na jarmark ponad sześć- set wieprzy, gnając je nocą, i tak wielki niósł się rumor, chrobot i kwik, iż ogłuszały

Don Kichota i Sancza, którzy pojąć nie mogli, co się dzieje. Nadbiegła tłumnie olbrzymia trzoda, nie mając żadnego poszanowania dla powagi Don Kichota ani Sancza, i tłocząc się, stratowała ich obu, rozwalając zasieki Sancza i przewracając nie tylko Don Kichota, ale porywając w dodatku i Rosynanta. Trzoda, kwik, szybkość, z jaką wpadły te nieczyste zwierzęta, w zamieszaniu przewaliły na ziemię terlicę, zbroję, siwka, Rosynanta, Sancza i Don Kichota. Podniósł się Sanczo, jak

Don Kichote - Miguel Cervantez

zdołał, i poprosił swego pana o miecz, mówiąc, że chce pozabijać przynajmniej z pół tuzina tych bezczelnych ichmościów wieprzy, bo już zrozumiał, co to było.

Don Kichote odpowiedział:

- Zostaw to, przyjacielu; ta zniewaga to kara za mój grzech: niebo sprawiedliwie karze zwycięzonego błędnego rycerza, pozwalając, aby go szakale pożarły, osy pokłuły i wieprze podeptały.

- Musi to być również kara niebios - odpowiedział Sanczo - aby giermkowie błędnych rycerzy byli kluci przez komary, żarci przez wszy i gnębieni głodem. Gdybyśmy my, giermkowie, byli synami rycerzy, którym służymy, albo ich najbliższymi krewniakami, nie dziwiłbym się, gdyby kara za ich winy prześladowała nas aż do czwartego pokolenia; ale co mają wspólnego Pansowie z Kichotami? A teraz dość tego, i położmy się znowu i prześpijmy tę trochę, co z nocy zostało, a kiedy Bóg da dzień, to coś poradzimy.

Po ciemnościach spodziewam się światła (łac, Stary

Testament, Księga Hioba, XVH, 12V

694

- Śpij, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - który urodziłeś się, by spać; jazaś, który urodziłem się, aby czuwać, w tym czasie aż do świtu popuszczę cugle myślom moim i przeleję je w madrygalik, który gdy się ani spodziewałś, tej nocy w pamięci ułożyłem.

- Mnie się wydaje - odpowiedział Sanczo - że rozmyślania, które pozwalają wiersze układać, nie muszą być ciężkie. Niech jegomość rymuje, ile chce, ja zaś będę spał, ile zdołam.

I od razu, ułożywszy się na ziemi, wedle woli,
skulił się i zasnął jak zabity, nie troszcząc się o
wierzytelności ani o długi, ani o żadne przykrości.

Don Kichote, oparty

0 pień buka alboli korkowca (bo Sidi Hamet Ben Engeli nie określa, jakie to było drzewo), przy akompaniamencie westchnień tak zaśpiewał: Miłości, kiedy wspomnę,
Jaką mękę zadajesz ciężką i straszliwą,

Biegnę ku śmierci żywo,

Pewien, że tam zakończę udręki ogromne.

Lecz gdy zbliżę się w drodze

Do przejścia, co jest portem na morzu cierpienia,

Radość tak mię przemienia,

Don Kichote - Miguel Cervantez

Że życie we mnie wzrasta, progu nie przechodzę,
Tak życie mię uśmierca,
A śmierć na nowo życiem mię obdarza,
Nieszczęsna walka wraża,
Jaką śmierć z życiem toczą koło mego serca.

Każdy wiersz podkreślał licznymi westchnieniami i niemniej licznymi łączami jako człek, którego serce jeczy przeszyte boleścią klęski i rozłąki z Dulcyneą. Tymczasem nastął dzień, słońce promieniami uderzyło w oczy Sancza; obudził się, przeciągnął, otrząsnął i wyprostował zdrętwiałe członki; popatrzył na spustoszenie, jakie uczyniły wieprze w jego zapasach, jał przeklinać trzodę i wszystko inne. W końcu obaj ruszyli dalej w zaczętą drogę i w przedwieczterz ujrzel, że im naprzeciw posuwa się około dziesięciu konnych oraz czterech czy pięciu pieszych. Drgnęło serce Don Kichota, wzdrygnęło się serce Sancza, bowiem ludzie zbliżający się mieli włócznie 1 tarcze, jadąc w pełnym uzbrojeniu. Zwrócił się Don Kichote do Sancza, mówiąc: - Gdybym tak mógł, Sanczo, bronią się posłużyć i gdyby mi zobowiązanie moje nie wiążało ramion, już by ta hałastra, przeciw nam jadąca, była dla mnie jak tort i kołacz; ale może to być zgoła coś innego, niż myślimy.

Naoncas podjechało dwóch konnych i bez słowa otoczyli Don Kichota, podniósłszy włócznie przytknęli mu je do pleców i do piersi, grożąc mu śmiercią; jeden

z pieszych, położywszy palec na ustach na znak, aby milczeli, pochwycił za uzdę Rosynanta i wyprowadził go na bok od gościa; inni piesi pochwycili Sancza i siwka, a wszyscy, zachowując przedziwne milczenie, udali się w ślad za tym, ktor695

ry uprowadził Don Kichota; ten dwa i trzy razy chciał pytać, gdzie go wiodą i czego chcą; ale zaledwie otwierał wargi, kiedy mu je zamykano ostrzem włóczni; i Sancza spotykało to samo, bowiem ledwie okazywał chęć odezwania się, jeden z owych pieszych kłuł go ościeniem, a przy tej sposobności i siwka, jakby ten chciał przemówić. Noc zapadła, przyśpieszyły kroku, w dwóch pojmanych rósł lęk tym większy, kiedy słyszeli od czasu do czasu słowa:

- Naprzód, troglodyci! - Milczcie, barbarzyńcy! - Płaćcie, ludożercy!
- Nie skarżcie się, Scytowie, nie otwierajcie oczu, Polifemowie! Mordercy! Lwy mięsożerne! - oraz inne tym podobne epitety, którymi drażnili uszy nieszczęsnego pana i parobka.

Sanczo szedł, mówiąc do siebie:

Don Kichote - Miguel Cervantez

"My torlotyńcy? My barbakańcy? My wyżercy? My cucynki? My golichętni?

My lwy mizerne? Nie wróżą mi te nazwy nic dobrego, zły wiatr je miecie; wszystkie nieszczęścia się na nas walą razem, jak kije na psy, i aby się na tym skończyło to, czym ta nieszczęsna przygoda pachnie".

Don Kichote jechał osłupiały, nie mogąc żadnymi sposobami dociec, kim mogli być owi, którzy obsypywali ich takimi przewiskami obelżywymi, z których jedno było jasne, że nie należało się niczego dobrego spodziewać, a raczej wszystkiego złego. Przybyli wreszcie około pierwszej w nocy do zamku, który Don Kichote rozpoznał jako zamek księcia, gdzie niedawno przebywał.

- Zawaruj Bóg - rzekł, kiedy poznał domostwo - cóż to być może? Wszakże w tym domu wszystko jest ino dwornością i miłym przyjęciem; lecz dla pokonanych wszystko obraca się na złe i na coraz gorsze.

Wkroczyli na główny dziedziniec zamkowy i ujrzaeli go ozdobionym i urządżonym w sposób, który ich zdumienie jeszcze bardziej powiększył i podwoił strach, jak to zobaczymy w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

o najosobliwszej i najdziwniejszej przygodzie, jaka w ciągu całej

tej długiej historii zdarzyła się Don Kichotowi

Jeźdzy zszedli z koni i wraz z pieszymi porwali nagle, jak thumoki, Sancza i Don Kichota i wnieśli ich na dziedziniec, dokoła którego płonęło około stu pochodni zatkniętych w lichtarze, a na galeriach dziedzińca ponad pięćset świeczników; przez to, mimo że noc była raczej ciemna, jasno było jak w dzień. Na środku dziedzińca wznosił się katafalk na dwa łokcie wysoki, pokryty cały olbrzymim bal-

dachimem z czarnego pluszu, dokoła niego na stopniach jarzyły się świece z białego wosku

go wosku w ponad stu srebrnych kandelabracach; na katafalku widać było zwłoki tak pięknej panny, że jej uroda samą śmierć piękną czyniła. Głowa jej spoczywała na brokatowej poduszce, uwieńczona girlandą splecioną z różnych woniejących kwiatów, ręce miały skrzyżowane na piersi, a w nich gałązkę złocistej palmy zwycięstwa. W jednej stronie dziedzińca ustalone było podium, na nim dwa krzesła, na których siedziały dwie postacie; po koronach na głowie i berłach w ręce poznać można było w nich królów prawdziwych czy też przebranych. Obok tego podium, do którego kilka stopni dostęp dawało, stały również krzesła, na których niosący pojmanych posadzili Don Kichota i Sancza, wszystko w milczeniu, dając na migi obydwom znaki, aby również milczeli; ale nawet i bez tego byliby milczeli, bowiem

Don Kichote - Miguel Cervantez

zdumienie, jakim ich to wszystko napełniało, wiązało im języki. Wówczas weszły na podium w otoczeniu licznej świty dwie znakomite osobistości, w których Don Kichote i Sanczo zaraz poznali księcia i księżnę, swoich gospodarzy; ci zasiedli na dwóch wspaniałych krzesłach obok tych, którzy zdawali się być królami. Kogoż nie zdumiałoby to wszystko? Zdumienie to wzrosło zaś jeszcze bardziej, kiedy Don Kichote poznał w zwłokach leżących na katafalku ciało pięknej Altisidory. Gdy książę i księżna weszły na podium, Don Kichote i Sanczo powstali i skłonili się w kornym ukłonie. Księstwo zaś odpowiedzieli im lekkim pochyleniem głowy. Wówczas wystąpił z boku służebny i zbliżywszy się do Sancza, zarzucił nań tunikę z czarnego barchanu, malowaną w czerwone płomienie, i zdjawszy mu kaptur, włożył mu na głowę mitrę, na wzór tych, jakie noszą skazani przez Świętą Inkwizycję, szepcąc mu do ucha, aby nie ważył się otwierać ust, bo albo mu je zakneblując albo życia go pozbawią. Sanczo oglądał się od stóp do głowy; widział się cały w płomieniach, lecz jako nie parzyły, miał je sobie za nic. Zdjął mitrę, oglądał diabły na niej wymalowane, znów ją wsadził na głowę, mówiąc do siebie: "Dobrze choć, że jedne nie parzą, a drudzy nie porywają mnie".

Don Kichote przypatrywał mu się również i chociaż strach paraliżował mu zmysły, nie mógł powstrzymać się od śmiechu, widząc postać Sancza. Wtedy zaczął wychodzić, jakby spod katafalku, słaby i miły głos fletów, a jako mu żaden ludzki głos nie stawał na przeszkodzie, bowiem w tym miejscu nawet cisza milczała, brzmiał on słodko i czarująco. Nagle i niespodzianie ukazał się u wezgłowia tej, która zdała się trupem, urodziwy młodzieniec w rzymskim stroju, i przy dźwięku harfy, na której przygrywała, zaśpiewał przesłodkim i czystym głosem te dwie strofy:

Nim wróci w życie cna Altisidora,
Którą zabiła srogość Don Kichota,
I zanim damy zaklętego dworu
Okryje płytka zgrzebnego sromota,
Nim ochmistrzynie będzie księżna skora
Przebrać w wełn miękkość żałobną bez złota,
Śpiewam twą piękność i ból desperacji Na
lepszej lutni niżli śpiewak z Tracji.
A nawet myślą, że boskie wyroki
Chcą, bym nie tylkosławił cię, gdy skonam, 697

Językiem martwym, kiedy wyschną soki, Jeszcze w
miej pieśni będziesz wysławiona.

Dusza ma wolna z swej
ciasnej powłoki I nad
wodami jezior
prowadzona

Iść będzie, sławiąc cię, a dźwięki owe Zapomnień wody wstrzymają Styksowe.

- Dosyć - odezwał się na to jeden z rzekomych królów - nie śpiewaj dalej, boski śpiewaku; nie skończyłeś nigdy, opiewając teraz śmierć i wdzięki nieporównanej Altisidory, nie umarłej, jak nieświadomy tłum mniema, ale żyjącej w językach sławy i którą do światła utraconego przywróci Sanczo Pansa, tu obecny, przez pokutę, jaką musi odbyć; przeto o ty! Radamantesie, który wraz ze mną sądzisz w ciemnych czeluściach Plutona! Ty, który wiesz wszystko, co w nieprzeniknionych wyrokach zostało postanowione, aby przywrócić do życia tę dziewczę, przemów i wyjaśnij nam co rychlej, aby nie odwlekać szczęścia, jakiego po jej powrocie się spodziewamy.

Zaledwie skończył te słowa Minos, sędzia i towarzysz Radamantesa, powstał Radamantes i rzekł:

- Nuże! Służebnicy tego dworu, wysocy i nисcy, wielcy i mizerni, śpieszcie corychlej jedni i drudzy i przypięczętujcie oblicze Sancza dwudziestu czterema szczutkami, dajcie mu dwadzieścia uszczypnięć i sześć ukłuć szpilkami w ramiona i lędźwie; od tej bowiem ceremonii zależy wybawienie Altisidory.

Co posłyszał Sanczo przerwał milczenie i zawałał:

- A wciurności! Tak dam sobie pieczętować twarz i ciało obmacywać, jak zostanę Maurem! Do diaska! Cóż mają szczutki w moje oblicze do zmartwychwstania tej panny? Zasmakowała stara w ulęgałkach!... zaczarowuję Dulcyneę i każę mi się smagać, by zdjąć z niej zaklęcie. Umiera

Altisidora z choroby, którą Bóg na nią dopuścił, ja mam ją wskrzeszać przez dwadzieścia cztery szczutki i ciało sobie dać podziurawić szpilkami, i ramiona z mięsa obedrzyć szczypyaniem. Dobre żarty dla teścia! Za stary ze mnie pies, abym dał się złapać na cuś, cuś! - Umrzesz! - wyrzekł Radamantes donośnym głosem. - Zlagodniej, tygrysie!

Ukorz się, dumny Nemrodzie! Cierp i milcz, nie żądaj niemożliwości od ciebie. I nie zaczynaj dowodzić trudności tej sprawy, musisz znosić szczutki; musisz być podziurawiony, musisz jęczeć pod szczypyaniem. Nuże, mówię, służebnicy, spełnijcie mój rozkaz; a jeśli nie, to klnę się na wiarę uczciwego człowieka, żeowiecie się, po coście się urodzili!

Don Kichote - Miguel Cervantez

Na to ukazała się krocząca przez dziedziniec procesja sześciu ochmistrzyń, szły jedna za drugą, cztery w okularach, a wszystkie miały prawą rękę podniesioną w górę, na niej mankiet na cztery palce odwinięty, aby ręce wydawały się dłuższe, jak to teraz jest w modzie. Zaledwie Sanczo je ujrzał, kiedy zaryczał jak bawół, wołając:

- Już bym raczej pozwolił całemu światu pastwić się nad mną, ale zgodzić się na to, aby mię ochmistrzynie tykały? Nigdy! Niech mi koty twarz podrapią jak memu panu w tym zamku; niech mi ciało przebiją wyostrzonymi sztyletami; niech mi ostrymi obcęgami ramiona szarpią, wszystko zniosę cierpliwie, byle tym państwu

698

usłużyć; ale nie zgodzę się, aby mię ochmistrzynie tykały, choćby mię diabeł miał porwać.

Przerwał również milczenie Don Kichote, mówiąc do Sancza:

- Miej cierpliwość, synu, i przypodobaj się tym państwu, a niebu złoż stokrotne dzięki, że taką moc w twej osobie zawarło, iż przez twoje męczeństwo spadają zaklęcia z zaczarowanych i zmartwychwstają umarli.

Już ochmistrzynie otoczyły ciasno Sancza, kiedy on już spokojniejszy i bardziej przekonany poprawił się na stołku i poddał twarz i brodę pierwszej, która mu wymierzyła potężnego szczutka i zaraz potem złożyła niski ukłon. - Mniej grzeczności i mniej bielidła, pani ochmistrzyni - rzekł Sanczo - bo na Boga, wasze ręce czuć octem toaletowym!

Wreszcie wszystkie ochmistrzynie obdarzyły go prztyczkami, zaś inni liczni domownicy wyszczypali go, ale nie mógł ścierpieć kłucia szpilkami; zerwał się z krzesła, rozsierdzony, jak się zdało, i porwawszy zapaloną pochodnię, która blisko niego stała, rzucił się na ochmistrzynie i wszystkich swych katów, mówiąc: - Precz, oprawcy piekielni, nie jestem z brązu, aby mnie takim mękom poddawać.

Na to Altisidora, która musiała się już zmęczyć, leżąc tak długo na wznak, obróciła się na bok; co widząc, prawie całe otoczenie zawałało: - Żyje Altisidora!

Altisidora żyje!

Radamantes kazał Sanczowi powściągnąć gniew, bowiem już zamierzony cel został osiągnięty. Zaledwie Don Kichote ujrzał poruszenia Altisidory, padł na kolana przed Sanczem, mówiąc:

- Oto chwila, synu mych wnętrzności raczej niżli giermku mój, abyś wymierzył sobie kilka batów z tych, do których zobowiązaleś się, aby odczarować Dulcy-

Don Kichote - Miguel Cervantez

neę. Oto jest, mówię, chwila, kiedy moc twoja jest w całej pełni i może skutecznie zyskać, czego po niej oczekujemy. Na to odpowiedział Sanczo:

- To byłaby już niegodziwość nad niegodziwością, a nie miód na naleśnikach. Dobrze by to było, aby po szczypaniach, szczutkach i nakłuciach przyszły teraz plagi!

Nic by więcej nie zostało, jeno wziąć wielki kamień, przywiązać mi go do szyi i wrzucić mnie do studni; nic by mi to nie było, jeśli dla uleczenia obcych bólów mam zawsze być ofiarniczą krową... Zostawcie mię... a jeśli nie, wszystko rozmiotę w trzynaścioro!

Tymczasem Altisidora usiadła na katafalku i w tej samej chwili zabrzmiały piszczałki, którym zawtórowały flety i okrzyki wszystkich obecnych: - Żyje Altisidora, Altisidora żyje!

Powstali księstwo i królowie Minos i Radamantes, i wszyscy pospołu wraz z Don Kichotem i Sanczem podeszli naprzeciw Altisidory, aby jej pomóc zejść z katafalku; ta, udając na pół omdlewającą, skloniła się przed księstwem i królami, a z ukosa popatrzyła na Don Kichota i rzekła:

- Niechaj Bóg ci przebaczy, nieczuły rycerzu, że przez twe okrucieństwo byłam już na drugim świecie, jak mnie się zdaje, przez tysiąc lat przynajmniej; tobie 699

zaś, o giermku najbardziej litościwy na kuli ziemskiej, składam dzięki za odzyska- ne życie. Od tej chwili do ciebie należy, o przyjacielu Sanczo, moich sześć koszul, które ci oddaję, abyś z nich sześć zrobił dla siebie; choć nie są całe, ale przynajmniej czyste.

Sanczo ucałował jej ręce, padłszy na kolana z mitrą w pięści. Książę rozkazał, aby mu ją odjęto i zwrócono kaptur, oraz aby zwleczono zeń tunikę i odziano go w kaftan. Sanczo prosił księcia, aby mu pozostawiono tunikę i mitrę, chciałby bowiem zawieźć je do siebie na znak i pamiątkę tego niebywałego zdarzenia. Księżna odpowiedziała, że się zgadza, aby wiedział, jak bardzo jest mu przyjylna. Książę

polecił uprzątnąć dziedziniec i wszystkim udać się do komnat oraz odprowadzić Don Kichota i Sancza do dawnych ich pomieszczeń. ROZDZIAŁ
SIEDEMdziesiąty

Don Kichote - Miguel Cervantez

który następuje po sześćdziesiątym dziewiątym i opowiada o rzeczach koniecznych do zrozumienia tej historii Sanczo spał tej nocy na polowym łóżu w tej samej komnacie co Don Kichote; byłby wolał tego uniknąć, gdyby to było możliwe, bowiem dobrze wiedział, że pan jego nie da mu spać swymi pytaniami i odpowiedziami, a nie był wcale usposobiony do gadania, bo ból ciągle mu przypominał doznane katusze i nie zostawał swobody języka; byłoby mu bardziej dogadzało spać w samotnej lepiance niż w tej bogatej komnacie w towarzystwie pana. Obawa jego była tak słuszna i podejrzenia tak pewne, że ledwie pan wyciągnął się na łóżu, zaraz odezwał się:

- Co myślisz, Sanczo, o zdarzeniach tej nocy? Wielka i potężna jest moc wzgardzonej miłości; na własne oczy widziałeś Altisidorę umarłą nie od strzał żadnych ani od miecza, ani żadnego narzędzia wojennego, ani od śmiercionośnych trucizn, a jedynie przez wzgardę i oziebłość, jaką jej zawsze okazywałem.
- Niechby tam umierała, kiedy chce i jak chce - odpowiedział Sanczo - i niechby mię spokojnie w domu zostawiła, bo anim się w niej nie kochał, anim nią nie gardził nigdy w życiu. Nie wiem ani wyrozumieć nie mogę, jak to jest, aby wskrzeszenie Altisidory, dziewczki raczej postrzelonej niż rozsądnej, miało coś do czynienia, jak już raz powiedziałem, z męczeństwem Sanczo Pansy? Teraz kiedy przekonałem się jasno i niezbicie, że istnieją czarnoksiężnicy i czary na świecie, niechaj mnie Bóg od nich uwolni, boja sam się wybawić nie zdołam; z tym wszystkim błagam waszą miłość, dajcie mi spać i nie pytajcie więcej, jeśli nie chcecie, abym się z okna na dół rzucił.
- Śpij, Sanczo przyjacielu - odpowiedział Don Kichote - jeśli ci na to pozwolą ukłucia i wyszczypania otrzymane oraz szczutki, jakie cię spotkały. 700
- Żadna boleść nie dorówna zniewadze szczutków, nie dlaczego jenożem ich doznał od ochmistrzyń, aby przepadły! I jeszcze raz błagam waszą miłość, dajcie mi spać, bowiem sen jest ulgą w cierpieniach, które nam spać nie dają. - Niech ci będzie - rzekł Don Kichote - i Bóg z tobą.

Zasnęli obaj i przez ten czas Sidi Hamet, autor tej długiej historii, chce napisać i zdać sprawę z tego, co skłoniło księcia i księżnę do urządzenia całego gmachu tej opisanej maszyny; mówi, iż bakałarz Samson Carrasco nie zapomniał, że jako Rycerz Zwierciadeł został zwyciężony i zwalony przez Don Kichota, upadek ten i klęska obaliły i pomieszały wszystkie jego plany; postanowił przeto drugi raz spróbować

Don Kichote - Miguel Cervantez

wać, spodziewając się lepszego wyniku niż poprzedni. Dowiedziawszy się od pazia, który przywiózł list i podarek Teresie Pansie, żonie Sancza, gdzie przebywa Don Kichote, postarał się o nową zbroję i konia, na tarczy zawiesił Blady Księżyca, załatwiał wszystko na muła, którego prowadził pewien wieśniak, ale już nie Tomek Cecial, jego dawny giermek, aby go Sanczo ani Don Kichote nie poznali. Dotarł do zamku księcia, który powiadomił go o drodze i kierunku, jaki obrał Don Kichote, mając zamiar wziąć udział w turniejach w

Saragossie. Opowiedział mu również o psocie, jaką wyrządzono mu sceną odczarowania Dulcynei, które miało być osiągnięte na koszt pośladków Sancza. Wreszcie opowiedział też o żarcie, jaki ten panu swemu wyrządził, wmawiając weń, że Dulcynea została zaklęta i przeobrażona w wieśniaczkę, i jak księżna, małżonka jego, dała do poznania Sanczowi, iż się po-mylił, bowiem Dulcynea istotnie zaczarowana została, z czego niemało uśmiał się bakałarz i nadziwował się zarówno zmyślności i prostoduszności Sancza, jak i szaleństwu Don Kichota. Księżę prosił, żeby o ile znajdzie Don Kichota, czy go zwycięży, czy nie, powracał tamtedy i zdał mu sprawę z wyniku. Postąpił

tak bakałarz,

pojechał na poszukiwanie, nie zastał go w Saragossie; pojechał dalej i zaszło to, co z opowiadania znamy. Wrócił do zamku, opowiedział księciu wszystko, wraz z warunkami spotkania; mówił, że Don Kichote, jako prawy

rycerz błędny, już wraca dotrzymać słowa, iż na rok usunie się do swej wioski, a może przez ten czas - mówił bakałarz - wyleczy się z obłędu, w tej bowiem intencji powziął on wszystkie owe przebierania, gdyż rzecz to była niezwykle przykra, aby człowiek tak rozumny jak Don Kichote był szalonym. Na tym pożegnał się z księciem i powrócił do wsi w oczekiwaniu Don Kichota, który w jego ślady dążył. To dało księciu chęć do przygotowania tej nowej komedii; bawiły go bowiem sprawy Don Kichota i Sancza; obsadził wszystkie drogi bliskie i dalsze od zamku, wszędzie, których wyobrażały sobie, że Don Kichote może powracać, przez swoich licznych ludzi pieszych i konnych, rozkazując im, aby go dobrowolnie czy siłą przy-

Don Kichote - Miguel Cervantez

wiedli do zamku, jeżeli go spotkają. Pochwycili go, powiadomili księcia, który ułożywszy wszystko, co miał czynić, zaledwie otrzymał tę wiadomość, kazał zapalić pochodnie i świeczniki na dziedzińcu i położył Altisidorę na katafalku z całą okazałością, jak opowiedzieliśmy, a wszystko było tak żywo i świetnie urządzone, że niemal się prawdą wydawało. Sidi Hamet mówi poza tym, że uważa prześmiewców za równie szalonych jak wyśmiani i że księstwo sami byli bliscy niedorzeczności, wkładając tyle starań w okpiwanie dwóch prostaczków. Tych zastał dzień, jednego pogrążonego w głębokim śnie, drugiego czuwającego w niedorzecznych 701 rojeniach; mieli właśnie ochotę wstać,

bowiem gnuśne puchy nigdy nie były miłe Don
Kichotowi, czy to zwycięskiemu, czy
zwycięzonemu.

Altisidora (w mniemaniu Don Kichota ze śmierci do życia przywrócona), dalej snując pomysły swoich państwa, mając we włosach tę samą girlandę co na katafalku, odziana w tunikę z białej tafty usianej złotymi kwiatami, z włosami rozpuszczonymi na ramiona, opierając się na lasce z czarnego najprzedniejszego hebanu, weszła do komnaty Don Kichota; jej obecnością zmieszany i wzburzony, wtulił się i ukrył prawie cały pośród prześcieradeł i kołder łożą, milcząc i nie zdobywając się na żadną grzeczność. Altisidora usiadła na krześle obok wezgłowia i westchnawszy głęboko, głosem pieszczonym i słabym tak zaczęła mówić:

- Kiedy białogłów znakomite i wstydliwe dziewczę depią cześć i pozwalają językowi wbrew przystojności wyjawiać tajemnice, jakie serce zamyka, znak to, że są do ostateczności przywiedzione. Ja, panie Don Kichocie, jestem jedną z nich, przynaglona, zwycięzona, zakochana; ale mimo to cierpliwa i uczciwa; a że zbytnio nią byłam, dusza mi przez tę wstrzemięźliwość rozdarła się i życia pozbyłam. Dwa dni temu z powodu twoego okrucieństwa w postępowaniu ze mną, Gdyś ty był bardziej niż marmur na skargi nieczuły, zakamieniały rycerzu! umarłam, a przynajmniej za taką mnie wzięli ci, którzy mię widzieli; i gdyby nie to, że Amor, współczując mi, lekarstwo moje położył w męczeństwie tego poczciwego giermka, zostałabym już była na tamtym świecie. - Równie dobrze - rzekł Sanczo - Amor mógłby to położyć w męczeństwie mego osła; byłbym mu za to wdzięczny. Ale powiedziecie mi, pani, aby was niebo dało czulszego kochanka niż mój pan! Coście widzieli na tamtym świecie, jak wygląda piekło? Wszakże ci, którzy w rozpacz umierają, są zmuszeni w tym miejscu przebywać.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Powiem wam prawdę - odpowiedziała Altisidora - nie musiałam tak całkowicie umrzeć, bo nie dostałam się do piekła; jeśli tam weszła, to w żaden sposób, choćbym chciała, wyjść bym nie mogła. Prawda jest, że zbliżyłam się do bramy, przed którą około tuzina diabłów grało w pelotę, wszyscy w pluderkach i kaftanach, z pelerynkami przybranymi koronkami flamandzkimi i z podobnymi obłożeniami, które służyły im za manszety, odsłaniając na cztery palce ciało, aby się ręce wydawały dłuższe; w rękach trzymali łopatki ogniste; najbardziej zdumiewało mię, że miasto piłek posługiwali się książkami, które wydawały się pełne wiatru i kłaków, co było przedziwne i niewidziane; ale i to mię nie tak zdziwiło, jak że wbrew zwyczajowi graczy, którzy cieszą się, wygrywając, a smucą, przegrywając, oni przy tej grze wszyscy złorzeczyli, warczeli i przeklinali się wzajemnie. - Nie cuduję się temu - powiedział Sanczo - bowiem diabli, czy to grają, czy nie grają, czy wygrywają, czy też przegrywają, nigdy nie mogą być zadowoleni. - Musi tak być - odpowiedziała Altisidora - ale jest inna rzecz, która mię również zdumiewa (chcę rzec, która mię wówczas zdumiewała), oto od pierwszego rzutu piłka była już na nic i nie można jej było drugi raz użyć; zużywali przeto tyle książek nowych i starych co dziw. Jedna z tych książek, choć nowusieńka i pięknie

702

oprawiona, tak została uderzona, że flaki z niej wyleciały i wszystkie karty się rozwiały. Jeden diabeł rzekł do drugiego: "Popatrzcie, co to za książka". A tamten odpowiedział: "To jest Druga część historii Don Kichota z Manczy, ale nie napisana przez Sidi Hameta, jej pierwszego autora, jeno przez jakiegoś Aragończyka, który podaje, że pochodzi z Tordesillas". "Zabierzcie mi ją precz! - odpowiedział pierwszy diabeł - i wyrzućcie w najgłębszą otchłań piekiel, aby jej oczy moje więcej nie oglądały!". "Jestli tak zła?" - zapytał drugi. "Tak zła - odparł pierwszy - że gdybym umyślnie chciał napisać gorszą, nie osiągnąłbym tego". Prowadzili dalej grę, podbijając inne książki, a ja usłyszawszy imię Don Kichota, którego tak bardzo miłuję i kocham, starałam się to widzenie w pamięci zachować.

- Musiało to być widzenie ani chybi - rzekł Don Kichote - bowiem innegomnie nie masz na tym świecie, a ta historia błądzi tu z rąk do rąk, ale się w nich nie zatrzymuje, bo każdy ją kopnie. Nie oburzyło mnie to, że w niej jak upiór błądzię przez ciemne otchłanie czy też przez jasność ziemską, niejestem bowiem tym, o któ-

Don Kichote - Miguel Cervantez

rym ta historia opowiada. Gdyby ona była dobra, wierna i prawdziwa, miałaby wieki życia przed sobą; ale że jest zła, niedługa będzie jej droga od urodzin do grobu.

Altisidora chciała dalej wywodzić swe żale przeciw Don Kichotowi, kiedy ten rzekł:

- Wielekroć mówiłem wam, pani, jak przykro mi, że swoje uczucia skierowałeś, pani, do mnie. Moje bowiem zapłacić mogą raczej wdzięcznością niż wzajemnością; urodziłem się, aby należeć do Dulcynei z Toboso, i

przeznaczenie (o ile

istnieje) mnie jej poświęciło; i nie lza myśleć, aby jakakolwiek inna piękność jej miejsce w mej duszy zajęła. Niechaj to roczarowanie wystarczy, abyś wańpanna cofnęła się w granice przystojności, nikogo bowiem do niemożliwości zmusić nie można.

Altisidora, kiedy to usłyszała, rzekła z oznakami wielkiego wzburzenia i gniewu: - Na Boga! Stary dorszu, duszo gliniana, pestko daktylowa, bardziej wysuszona i twarda niż pan z chłopów, kiedy go o coś proszą. Och, rzuciłabym się na ciebie i oczy ci wydarła! Zali myślisz może, ty mości zwyciężony i mości wymłócony kijami, że przez ciebie umarłam? Wszystko, coście tej nocy widzieli, było udane; niejestem kobietą, abym dla takiego dromadera miała tyle cierpieć co czerń za paznokciem, a tym mniej umierać.

- Chętnie w to wierzę - rzekł Sanczo - bo te wszystkie historie o umieraniu z miłości są do śmiechu; mogą zdrowo o tym gadać, ale tak zrobić? Niech im Judasz wierzy.

W czasie tej rozmowy wszedł muzyk, śpiewak i poeta, który odśpiewał dwie wyżej przytoczone stances, i nisko skłoniwszy się przed Don Kichotem, rzekł: - Niech mię wasza miłość, mości rycerzu, zaliczy w poczet i uważa za jednego ze swych najniższych sług, bowiem od dawna jestem pełen uwielbienia zarówno dla waszej sławy, jak dla czynów.

Don Kichote odpowiedział:

- Powiedzcie mi, wasza miłość, kim jesteście, abym moją dworność do jego zasług przystosował. Młodzieniec odpowiedział, że jest śpiewakiem i panegirystą z poprzedniej nocy.

703

- Zaiste - odparł Don Kichote - macie, wasza miłość, bardzo piękny głos, ale pieśń nie zdawała mi się stosownie dobrana. Co mają strofy Garcilasa do śmierci tej pani?

- Niech to waszej miłości nie dziwi - odpowiedział muzyk - bo pomiędzyudolnymi poetami współczesnymi jest w zwyczaju, że każdy pisze, jak

Don Kichote - Miguel Cervantez

chce, i kradnie, od kogo by chciał, czy to się zgadza, czy nie z jego pomysłem, i wszystkie głupstwa, jakie wyśpiewują, idą na karb poetyckiej swobody.

Don Kichote chciał odpowiedzieć, ale przeszkodzili mu książę i księżna, którzy przyszli go odwiedzić; dłuższy czas spędziły na miłej rozmowie, w czasie której Sanczo tyle rzeczy dowcipnych i złośliwych wypowiedział, że znów w zdumieniu wprawił księstwo zarówno prostodusznością swoją, jak bystrością. Don Kichote błagał ich, aby mu łaskawie pozwolili odjechać jeszcze tego dnia, bowiem rycerzom zwyciężonym -jakim i on jest - przystoi raczej mieszkać w chlewie niż w królewskich pałacach. Zgodzili się na to bardzo łaskawie, a księżna zapytała, czy nie ma urazy do Altisidory. Na co on odpowiedział:

- Pani moja, wasza wielmożność wie, że całe nieszczęście tej panny poszło z próżniactwa i lekiem na to jest uczciwe i stałe zajęcie. Rzekła mi tutaj, że w piekle noszą koronki; ajako ona musi umieć je robić, niech tego z rąk nie wypuszcza. Kiedy będzie zajęta obracaniem klocków, wyobraźni jej nie będą niepokoiły obrazy czy obraz tego, którego miłuje; taka jest prawda, takie jest moje zdanie i taka jest moja rada. - I moja - dodał Sanczo - nigdy w życiu bowiem nie spotkałem koronkarki, która by umarła z miłości; panienki zatrudnione koronkami troszczą się raczej o wykończenie swej pracy, miasto myśleć o miłościach. Mówię to z doświadczenia, bo kiedy ziemię kopię, nie pamiętam wcale o swej lubej, to znaczy o mej Teresie Pansie, którą wszak miuję bardziej od żrenicy oka.

- Dobrze mówicie, Sanczo - rzekła księżna - postaram się, aby moja Altisidora zajęła się odtąd szyciem bielizny, w czym celuje. - Nie będzie potrzeba, pani - odpowiedziała Altisidora - do takiego lekarstwasię uciekać, bowiem rozpamiętywanie okrucieństwa, jakiego doznałam od tego niegodnego zbrodniarza, wymazało mi go z pamięci bez innych środków. I z pozwoleniem waszej wysokości pragnę oddalić się stąd, aby przed oczyma nie mieć już nie tylko jego smętnej twarzy, ale i jego szkaradnej i wstrętnej postaci. - To mi przypomina - rzekł książę - znane powiedzenie:

. Ten, który
miota zniewagi, Już bliski
jest przebaczenia.

Altisidora udała, że ociera sobie łzy chusteczką, i złożywszy ukłon państwu, opuściła komnatę.

- Żal mi cię - rzekł Sanczo - biedna panienko, żal mi, mówię, że na swoje nieszczęście miałaś do czynienia z duszą parcianą i sercem jak z dębu. Dalibóg, gdyby to ze mną gra była, inaczej by ci kogut zapiał.

Po tej rozmowie Don Kichote odziałał się, zjadł obiad z księstwem i po południu odjechał. 704

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

o tym, co spotkało Don Kichota i jego giermka Sancza w drodze do ich wioski Don Kichote jechał zwyciężony i wyczerpany, nad miarę zatroskany, to znów niepomiernie wesół. Smutek jego pochodził z przegranej, wesołość z myśli o mocy Sancza, która okazała się przy wskrzeszeniu Altisidory, chociaż dręczyła go niejaka wątpliwość, czy owa panna naprawdę była umarła. Sanczo jechał markotny, zasmucała go myśl, że Altisidora nie dotrzynała słowa i nie dała mu koszul; przejuwając to ustawnicznie, rzekł do swego pana:

- Zaprawdę, panie, jestem najnieszczęśliwszym lekarzem na świecie, wszaksą felczerzy, którzy o śmierć przyprawiwszy chorego, jeszcze za swój trud żądają zapłaty, a trud ten ogranicza się jeno do podpisania recepty na jakieś lekarstwo, które nie oni robią, ino aptekarz. I to cała parada! A mnie, który za uzdrawienie innych płacię kroplami krwi, szczutkami, szczypaniem, kluciem i plagami, ani grosza nie dają. Klnę się na Boga, jeśli mi w rękę wpadnie jeszcze jakiś chory, zanim go le-

czyć zacznę, każę sobie łapy dobrze posmarować; opat spożywa, co sam wyśpiewa, a ani rusz nie uwierzę, aby mi niebo tej mocy, jaka we mnie jest, użyczyło tak vobilis, vobilis'.

- Masz słuszność, Sanczo przyjacielu - odpowiedział Don Kichote - i bardzo źle postąpiła Altisidora, nie dając ci tych obiecanych koszul; a chociaż ta moc jest ci gratis data i żadnych studiów nie wymagała, więcej niż studia znaczą męczeństwa, które wycierpiałeś. Z mej strony mogę ci rzec, że jeśli zechcesz plagami opłacić odczarowanie Dulcynei, dobrze za to zapłaciłbym; nie wiem wszelako, czy zapłata zgodzi się z tym leczeniem, i nie chciałbym, aby nagroda uniemożliwiła lekarstwo.

Ale mimo wszystko zdaje mi się, że nic nie stracimy, próbując tego; zastanów się, Sanczo, ile chcesz, i wybaczuj się co rychiej, a wypłacić sobie w dzwoniącej monetie i własną dłonią, wszak masz moje pieniądze.

Na takie zaofiarowanie Sanczo otworzył oczy i uszy na pięćdziesiąt szeroko i zgodził się już w sercu swoim chętnie się wybaczać, rzekł przeto panu: - Dobrze tedy, panie, jestem gotów zadowolić waszą miłość i spełnić wasze życzenie, które mi korzyćś przyniesie; miłość, jaką żywię dla żony mojej i dzieci,

Don Kichote - Miguel Cervantez

każe mi okazać się wyrachowanym. Powiedzcie, jegomość, ile mi dacie za każde uderzenie?

- Gdybym ci miał płacić, Sanczo - odpowiedział Don Kichote - stosownie do wielkości i wartości tego lekarstwa, nie starczyłoby skarbu weneckiego ani kopalń Potosi; policz, ile masz moich pieniędzy, i sam ustanów cenę każdego uderzenia. - Jest ich - odpowiedział Sanczo - trzy tysiące trzysta i coś tam; dałem sobie pięć, pozostała reszta; tych pięć niech będzie naddatku, ustalmy przeto trzy tysiące 1 Zniekszałcenie liturgicznego vobis (łac).

2 Za darmo dana (łac).

705 trzysta, każde po ćwierć reala (bo mniej za nic nie wezmę choćby mi cały świat nakazywał), to da trzy tysiące trzysta ćwierciaków, to znaczy trzy

tysiące da tysiąc

pięćset półrealów, co czyni siedemset pięćdziesiąt realów, zaś trzysta daje sto pięć- dziesiąt półrealów, co czyni siedemdziesiąt pięć realów, które jeśli dodamy do sied-

miuset pięćdziesięciu, otrzymamy osiemset dwadzieścia pięć realów. Odciągnę tę sumę od pieniędzy jegomości, które mam przy sobie, i wróć do domu bogaty i zadowolony, aczkolwiek dobrze wysmagany; bo pstrągów się nie łapie przy suchej łapie... nic więcej nie powiem.

- O Sanczo błogosławiony! O Sanczo miły! - odpowiedział Don Kichote. Jakże wiele zawdzięczać ci będziemy, Dulcynea i ja, przez wszystkie dni żywota, jakich nam niebo użyczy! Jeśli powróci do dawnej postaci (a wróci ani chybi), jej nieszczęście w szczęście się przemieni, a moja klęska w najszczęśliwszy triumf. Zastanów się, Sanczo, kiedy chcesz zacząć tę pokutę; jeśli ją przyśpieszysz, dodam ci sto realów.

- Kiedy? - odparł Sanczo. - Tej nocy, bez zawodu. Postarajcie się jegomość, abyśmy ją spędzili w polu, pod otwartym niebem, a skórę sobie wygarbuję! Nadeszła noc, oczekiwana przez Don Kichota z największym napięciem na świecie; zdawało mu się, że koła wozu Apolla połamały się i że dzień przedłuża się niezwyczajnie, tak jak to się wydaje zakochanym, którym zawsze spieszno do spełnienia pragnień. Wreszcie wjechali pomiędzy kilka przyjemnych drzew, nieco z dala

Don Kichote - Miguel Cervantez

od drogi, gdzie zdjawszy siodło z Rosynanta i terlicę z siwka, rozciagnęli się na zielonej trawie i powieczerali z zapasów Sanczowych; ten sporządził z użdzenicy

i kantara siwka potężny i giętki bicz i oddalił się o dwadzieścia kroków od swego pana pomiędzy buki. Don Kichote, patrząc jak idzie żwawo i odważnie, rzekł doń: - Bac, przyjacielu, abyś się w strzępy nie podarł; niech uderzenia twe nie będą zbyt gęste; nie rozpędzaj się nadto, aby ci tchu nie zabrakło; chcę rzec, nie smagaj się tak srogo, iżby ci życia nie stało, zanim dojdzieś do upragnionej liczby. Abyś zaś nie pokpił sprawy przez zbytek czy niedostatek razów, ja tu zostanę i na tym różańcu liczyć będę uderzenia, jakie sobie wymierzysz. Niech ci niebo będzie pomocne, tak jak twój zacny zamysł na to zasługuje.

- Dobremu płatnikowi nie żał zadatków - odpowiedział Sanczo - myślę się tak smagać, że choć się nie zabiję, boleć mnie będzie; bowiem na tym polegać ma skuteczność tego cudu.

Obnażył się zaraz do pasa i pochwyciwszy bicz, zaczął się nim biczować, zaś Don Kichote liczył uderzenia. Ledwie sobie sześć czy osiem Sanczo wymierzył, kiedy wydał mu się ów żart zbyt ciężki i zbyt mała zapłata; wstrzymawszy się tedy chwilę, rzekł do pana:

- Odwołuję umowę z powodu pomyłki, bowiem każde uderzenie takie powinno być płacone po pół reala, a nie po ćwierć.
- Nuże, dalej! Sanczo przyjacielu, nie zaprzestawaj - rzekł Don Kichote podwajam zapłatę. - Za czym - rzekł Sanczo - z Bożą pomocą niech się sypią razy!

Ale chytry frant przestał smagać swoje plecy, a walił w drzewa, wzduchając od czasu do czasu tak, jakby za każdym razem miał sobie duszę wydrzeć. Rozczulił 706 się Don Kichote i lękając się, aby nie pozbył życia i aby zapamiętałość Sancza nie przeszkodziła spełnieniu jego pragnień, rzekł:

- Na twe życie, przyjacielu, zostaw na teraz tę sprawę; to lekarstwo wydaje misię zbyt srogie i można je stosować tylko od czasu do czasu; Zamory w jednej godzinie nie zdobyto. Jeśli źle nie liczyłem, dałeś sobie ponad tysiąc batów; wystarczy na dziś; osioł bowiem (mówiąc po prostu) nosi ciężar, ale nie ponad siły. - Nie, nie, panie - odpowiedział Sanczo - nikt o mnie nie powie: Pieniądze wybrane, ramię złamane. Usuńcie się, jegomość, trochę i pozwólcie mi wymierzyć sobie jeszcze drugich tysiąc batów; za dwoma nawrotami skończymy tę sprawę, a nawet będzie nadwyżka.

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Ponieważ jesteś w tak dobrym usposobieniu - rzekł Don Kichote - niech ciniebo pomaga. i biczuj się, ja się usuwam.

Sanczo wrócił do swej młóckи z takim zapałem, że już pozbijał korę z wielu drzew, z tak wielką srogością się smagał; w pewnej chwili, uderzywszy co sił w buk, krzyknął:

- Samson tu umrze! I wszyscy z nim razem!

Na dźwięk tak żałosnego głosu i na tak ciężkie uderzenia bicza nadbiegł Don Kichote i pochwyciwszy skręconą udźdienicę, która za korbacz służyła Sanczowi, odezwał się:

- Los nie może chcieć, drogi Sanczo, abyś dla mej przyjemności żywota pozbył, który jest potrzebny, aby utrzymać twą żonę i dzieci. Niech Dulcynea czeka lepszej chwili, ja zamknę się w szrankach bliskiej nadziei, oczekując, aż znów odzyskasz siły, by zakończyć swe zadanie ku zadowoleniu wszystkich. - Tedy jeśli jegomość sobie tego życzy, panie mój - odpowiedział Sanczo niech i tak będzie, proszę zarzucić mi płaszczek na ramiona; jestem bowiem spoco-

ny i nie chciałbym się przeziobić; narażają się na to niedoświadczeni biczownicy. Spełnił to Don Kichote i rozdziawszy się całkowicie, okrył Sancza, który zasnął i spał, póki nie zbudziło go słońce. Wówczas dalej pojechali i zatrzymali się dnia tego w miejscowości o trzy mile oddalonej. Zsiedli przed gospodą, którą Don Kichote uznał za taką, a nie za zamek z fosami, wieżami, bramą i mostem zwodzonym; bo od czasu kiedy go pokonano, większy rozsadek we wszystkim objawiał, jak się to zaraz okaże. Dano im izbę dolną, gdzie za kołtryny służyły stare płotna

malowane, jakie zwykle się na wsi spotyka. Na jednym wymalowane było bardzo nieudolną ręką porwanie Heleny, którą uwozi od Menelausa zuchwały gość, a na drugiej historia Dydony i Eneasza; Dydona stoi na wysokiej wieży, wielką chustą powiewając ku zbiegłeemu gościowi, który uchodzi morzem na fregacie czy brygantynie. Na tych obrazach widoczne było, że Helena całkiem porwaniu nie była przeciwna, uśmiechała się bowiem pod płaszczem filuternie; za to piękna Dydona jawnie wylewała łzy duże jak orzechy. Co widząc, Don Kichote rzekł:

- Te dwieimoście zgoła nie miały szczęścia, iż nie urodziły się w naszym wieku, ja zaś ponad wszystkich jestem nieszczęśliwy, żem się w ich wieku nie rodził; gdybym się był bowiem spotkał z owymi ichmościami, ani Troja nie byłaby spalona, ani Kartagina zburzona, zabiłbym tylko Parysa i zapobiegł wszystkim klęskom.

Założyłbym się - rzekł Sanczo - że niedługo nie będzie szynkowni, gospody ani zajazdu alboli kramu balwierza, gdzie by nie było wymalowanej historii na-
szych przewag. Chciałbym jeno, aby wyobraziły to ręce lepszego malarza niż ten, które te obrazy malował.

- Masz słuszność, Sanczo - rzekł Don Kichote - ten malarz bowiem jest jak Orbaneja, ów malarz z Ubedy, który kiedy go pytano, co maluje, odpowiadał: "To, co z tego wyjdzie"; a jeśli przypadkiem wymalował koguta, podpisywał pod spodem: "To jest kogut", aby go nie wzięto za lisa. Tego samego pokroju, zdaje mi się, Sanczo, musiał być ów malarz czy pisarz (to jest wszystko jedno), który wydobył na światło historię owego nowego Don Kichota, teraz wydrukowaną, malował czy pisał, co się zdarzy; podobny był do poety, który bawił w ubiegłych latach w stolicy, a zwała się Mauleon, ten odpowiadał bez zastanowienia na wszystkie pytania; ktoś zapytał go, co znaczy Deum de deo\ odpowiedział: "Dam, dodam". Ale zostawmy to i powiedz mi, Sanczo, zali zamyślasz wymierzyć sobie tej nocy znowu tyle cięgów i czy chcesz, aby to było pod dachem czy pod gołym niebem?
- Na Boga, panie - odpowiedział Sanczo - jeśli chodzi o cięgi, jakie sobie zamyślam wymierzyć, może być to również dobrze w domu, jak i w polu; ale z tym wszystkim wolałbym, aby to było między drzewami, bo zdaje mi się, jakoby mi one towarzyszyły i przedziwnie pomagały odwalać tę robotę.
- Nie będzie z tego nic, drogi Sanczo - odpowiedział Don Kichote - trzeba, abyś odzyskał siły, tedy zachowamy to do naszej wioski, gdzie najpóźniej pojutrze staniemy.

Sanczo odpowiedział, że postąpi wedle jego woli; ale rad by najrychlej zakończyć tę sprawę, kiedy krew ma gorącą i kiedy młyn w ruchu, bowiem bezpieczeństwo nieraz kryje się w odwloce, a z Bożą pomocą kije dobrze grzmocą, i więcej warte jedno masz niż dwa otrzymasz, a lepszy wróbel w garści niż sęp w powietrzu.

- Dość przysłów, Sanczo, na miły Bóg - rzekł Don Kichote - zdawałoby się, że wracasz do sicut erat, mów po prostu, jasno i bez kluczeń, jak ci tylekroć mówiłem, zobaczysz, jak ci jeden chleb za sto stanie.
- Nie wiem, jakie przekleństwo na mnie ciąży - odpowiedział Sanczo - nieumiem powiedzieć żadnej rzeczy bez przysłowia, a każde przysłowie wydaje mi się do rzeczy; ale postaram się poprawić, jeśli zdołam.

I na tym przerwała się naonczas ich rozmowa. 1 Bóg z Boga (łac, cytat ze Składu Apostolskiego). 2 Jak było (łac).

708

ROZDZIAŁ SIEDEMdziesiąty DRUGI

jak Don Kichote i Sanczo powrócili do swej wioski

Cały ten dzień Don Kichote i Sanczo spędzili w tej miejscowości w oczekiwaniu nocy, jeden - aby dopełnić w szczerym polu swej pokuty, drugi - aby ujrzeć jej koniec, którego z upragnieniem wyglądał. W tym czasie przybył do gospody podróżny na koniu z trzema czy czterema pachołkami, jeden z nich odezwał się do jeźdza, który zdawał się być panem: - Tutaj może wasza miłość, Don Alvaro Tarfe, zatrzymać się na czas skwaru: gospoda zdaje się czysta i chłodna. Co słysząc, Don Kichote rzekł do Sancza:

- Słuchaj, Sanczo, kiedy przeglądałem ową książkę zawierającą Część drugą mojej historii, zdawało mi się, że mimochodem spotkałem tam nazwisko owego Don Alvara Tarfe. - Bardzo to być może - odpowiedział Sanczo - pozwólmy mu zleźć z konia, a potem zapytamy.

Szlachcic zsiadł, gospodyn wskazała mu dolną komnatę naprzeciw izby Don Kichota, ozdobioną malowanymi kołtrynami, podobnymi do tych, jakie wisiały w izbie rycerza. Szlachcic świeżo przybyły przebrał się w lekkie suknie i wyszedł do sieni zajazdu, obszernej i chłodnej, i zapytał Don Kichota, który się tam przechadzał: - Czy można dowiedzieć się, mości panie szlachcicu, dokąd wasza miłość się udaje?

Don Kichote zaś odpowiedział:

- Do pewnej wioski niedaleko stąd, skąd pochodzę. A wasza miłość dokąd jedzie?
- Ja, panie - odpowiedział szlachcic - udaję się do Grenady, mego rodzinnego miasta.
- Zacny to kraj - odparł Don Kichote. - Ale jeśli łaska, powiedzcie mi, proszę, wasze nazwisko, zależy mi na tym bardziej, niżli wypowiedzieć zdołam.
- Nazwisko moje jest Don Alvaro Tarfe - odpowiedział gość. Na co odezwał się Don Kichote:

- Przypuszczam, iż wasza miłość jest bez ochyby owym Don Tarfe, o którymowa w Drugiej części historii Don Kichota z Manczy, niedawno wydrukowanej i ogłoszonej przez pewnego współczesnego autora.
- Tym samym - odpowiedział szlachcic - zaś ów Don Kichote, główny bohater tej historii, był moim najbliższym przyjacielem, to ja właśnie wyciągnąłem go z jego zaścianka, a w każdym razie namówiłem do wzięcia udziału w gończy saragoskiej, dokąd sam jechałem. Co prawda, to prawda, oddałem mu wielkie usługi, dzięki mnie kat nie wygłaskał mu pleców za jego nadmierną zuchwałość. 709
- A powiedziecie mi, Don Alvaro Tarfe, czy jestem w czymkolwiek podobny doowego Don Kichota, o którym wasza miłość mówi? - Nie, zaiste - odpowiedział gość - w niczym.
- A czy ten Don Kichote - zapytał nasz - miał przy sobie giermka zwanego Sanczo Pansą?
- A jakże - odpowiedział Don Alvaro - ale chociaż ten miał sławę dowcipnisia, nigdy odeń nic pociesznego nie usłyszałem.
- Chętnie w to uwierzę - rzekł na to Sanczo - bo nie każdy potrafi być krotochwilny; a ów Sanczo, o którym wasza miłość mówi, musiał być najgorszym hultajem, gburem i draniem zarazem, bo prawdziwym Sanczo Pansą jestem ja, krotochwil mam więcej niż deszczu; może się wasza miłość o tym sam przekonać, idąc moim śladem przynajmniej przez rok, a zobaczy, że na każdym kroku sypię tyloma, i to ta-

kimi, że choć najczęściej sam nie wiem, co gadam, wszystkich słuchaczy do śmiechu pobudzam; zaś prawdziwym Don Kichotem z Manczy - owym słynnym, mężnym i mądrym, owym zakochanym, prostowaczem krzywd, opiekunem dzieci i sierot, obrońcą wdów, zabójcą dziewczic, owym, który za jedyną panią uznaje nieporównaną Dulcyneę z Toboso - jest oto ten mój pan i dobrodziej, co przed wami stoi; a każdy inny Don Kichote i każdy inny Sanczo Pansa są jeno wymysłem i urojeniem sennym.

Na Boga! Wierzę temu - odpowiedział Don Alvaro - bowiem w czterechsłowych więcej śmieszności powiedzieliście, przyjacielu, niż tamten Sanczo Pansa we wszystkich, jakie słyszałem, a było ich wiele. Raczej był żarłokiem niż mówcą i raczej głupcem niż dowcipnisem; i mam to za pewne, że czarnoksiężnicy, którzy prześladowają Don Kichota, tego prawdziwego, chcieli mnie prześladować fałszywym Don Kichotem. Ale nie wiem, co rzec; mógłbym przysiąc, że zostawiłem go w Szpitalu

Nuncjusza w Toledo, gdzie go umieściłem, a teraz pojawia się tu inny Don Kichote, choć całkowicie od mojego odmienny.

- Nie wiem - rzekł Don Kichote - czy ja jestem dobrym, ale wiem na pewno, że nie jestem owym złym; na dowód tego chcę, abyście wasza miłość, panie Don Alvaro Tarfe, wiedzieli, że nigdy w życiu nogą moją w Saragossie nie postała, przeciwnie, kiedy mi powiedziano, że tamten zmyślony Don Kichote brał udział w gończy w tym mieście, nie chciałem tam jechać, aby na jaw jego kłamstwo wywieść, i pojechałem do Barcelony, tego skarbca dworności, gościny dla obcych i przytułku dla ubogich, ojczynny walecznych, mścicielki znieważonych, milego schronu wiernych przyjaźni, jedynej tak dla swego położenia, jak piękności. I choć wypadki, jakie

tam zaszły, nie były mi po myśli, a przeciwnie, bardzo przykro, wyjechałem bez żalu, jedynie dlatego, że ją widziałem. Jednym słowem, panie Don Alvaro Tarfe, jam jest prawdziwy Don Kichote, ten sam, o którym sława mówi, a nie tamten obieżyświat, który przywłaszczył sobie moje imię i chlubi się moimi zamysłami. Błagam waszą miłość, byście -jak przystało szlachcicowi - byli łaskawi oświadczyć wobec wójta tej miejscowości, że wasza miłość mnie nie widzieliście nigdy w życiu dotychczas i że to nie ja jestem owym Don Kichotem wydrukowanym w Drugiej części ani ten Sanczo Pansa, mój giermek, tamtym, którego wasza miłość poznaliście. 710

- Uczynię to najchętniej - odpowiedział Don Alvaro - choć dziw to wielkioglądać dwóch Don Kichotów i dwóch Sanczów w tym samym czasie, tak podobnych nazwiskiem, a tak różnych czynami; powtarzam raz jeszcze i przekonany jestem, że chyba nie widziałem tego, co widziałem, ani nie spotkało mnie to, co spotkało.
- Ani chybi - rzekł Sanczo - wasza miłość musi być zaczarowany jak mojapani Dulcynea z Toboso; i niechby niebo zdarzyło, aby zdjęcie czarów waszej miłości mogło odbyć się za cenę drugich trzech tysięcy trzystu i coś tam batów, jakie sobie dla niej wymierzam; dałbym je sobie nawet bez procentu. - Nie rozumiem, co tu mają baty do czynienia - rzekł Don Alvaro.

Sanczo odparł, iż zbyt wiele byłoby do opowiadania; ale jeśli zdarzy się, iż pojadą tą samą drogą, opowie mu to. Tymczasem nadeszła pora posiłku; Don Kichote i Don Alvaro zasiedli razem do stołu. Przypadkiem wstąpił do gospody wójt tej wioski wraz z pisarzem, do którego Don Kichote zwrócił się, jako do osoby urzędowej, z prośbą, aby Don Alvaro Tarfe, tam obecny, mógł przed jego miłością złożyć oświadczenie, że nigdy nie znał Don Kichota z Manczy, również tam obecnego, i że nie był on tym, o którym obiega drukowana historia pod tytułem: Druga część Don

Kichota z Manczy, napisana przez niejakiego Avellanedę, rodem z Tordesillas. Wójt wszystko prawnie przeprowadził i zeznanie zostało sformułowane najbardziej prawomocnie, jak w takich wypadkach należy; uradowało to bardzo Don Kichota i Sancza, jakby wiele zależało od takiego oświadczenia i jakby nie dość było ich słów i ich czynów, aby wykazać całą różnicę między dwoma Don Kichotami i dwoma Sanczami.

Wiele grzeczności i uprzejmości wymienili Don Alvaro i Don Kichote, zaś wielki Mancejczyk dał w nich dowody takiego rozumu, że wyprowadził całkowicie Don Alvara Tarte z błędu, w jakim tkwił; ten zaś mniemał, że chyba go zaczarowano, jeżeli na własne oczy oglądał dwóch tak różnych Don Kichotów.

Po południu dnia tego odjechali z tej miejscowości, zaś o pół mili dalej rozdzielały się dwie drogi, jedna prowadziła do wioski Don Kichota, drugą miał jechać Don Alvaro. W tym krótkim czasie Don Kichote opowiedział mu swoją nieszczęsną porażkę oraz o zaklęciu Dulcynei i lekarstwie na nie, co znowu napełniło zdumieniem Don Alvara, który uścisnął Don Kichota i Sancza, pojechał swoją drogą, a Don Kichote swoją; ten noc następną spędził pośród drzew, aby dać Sanczowi sposobność zakończenia jego pokuty. Dopełnił jej w ten sam sposób, co ubiegłej nocy, znacznie bardziej kosztem kory buków aniżeli własnych pleców, które tak oszczędzał, że uderzenia nie byłyby spędziły nawet muchy, gdyby na nich siedziała. Don Kichote, oszukany, nie przeoczył ani jednego uderzenia i wyliczył, że razem z tymi, jakie poprzedniej nocy zostały wymierzone, było ich trzy tysiące dwa- dziesiąt dziewięć. Zdawało się, że słońce wstało wcześnie, aby oglądać tę ofiarę,

a z jego światłem ruszyli dalej w drogę, rozmawiając o omyłce Don Alvara i jak szczęśliwie udało im się wydostać jego zeznania wobec przedstawiciela sprawiedliwości i tak je potwierdzić. Przez cały ten dzień i noc jechali i nie zaszło nic god-

nego opowiedzenia, chyba to, że Sanczo dokonał swej pokuty, co niezmiernie uradowało Don Kichota, który oczekiwał dnia, wyglądając, czy nie spotka gdzie po

711

drodze już odczarowanej swej pani Dulcynei; wzduż całej drogi, ilekroć dostrzegł jakąś białogłówę, wyjeżdżał naprzód, aby się przekonać czy nie jest to Dulcynea z Toboso, wierząc niezbicie, że obietnice Merlinia nie mogły być kłamliwe. W takich

- myślach i uczuciach wjechali na wzgórze, skąd ukazała się oczom ich wioska, na której widok Sanczo padł na kolana, mówiąc:

- Otwórz oczy, upragniona ojczyzno, patrz, oto wraca do ciebie syn twój, Sanczo Pansa, jeśli nie bardzo bogaty, to bardzo obatożony.

Otwórz ramiona i przyjmij również swego syna, Don Kichota, który choć wraca zwyciężony obcym ramieniem, ale za to zwycięzcą samego siebie; a to - wedle słów jego - jest największym zwycięstwem, jakiego pragnąć można. Przywoź pieniądze, bo choć dobre cięgi odebrałem, jednak mocno na terlicy się trzymałem. - Zostaw te głupstwa - rzekł Don Kichote - i starajmy się wjechać prawą nogą do wioski, gdzie puścimy wodze naszej wyobraźni i zastanowimy się, jak do zamierzonego życia pasterskiego przystąpić.

Po czym zjechali ze wzgórza i skierowali się do wsi. ROZDZIAŁ SIEDEMdziesiąty TRZECI

o wróżbach, jakie Don Kichota u wjazdu do wioski spotkały, oraz o innych wypadkach, które czynią tę wielką historię bardziej ozdobną i wiarygodną

Podczas wjazdu do wioski, jak mówi Sidi Hamet, Don Kichote dostrzegł na klepisku dwóch sprzeczających się chłopców; i jeden z nich rzekł do drugiego:

- Nie wysilaj się, Periquillo, nie zobaczysz jej już nigdy w życiu. Posłyszał to Don Kichote i rzekł do Sanczo:

Czyś słyszał, przyjacielu, co ten chłopak powiedział? "Nie zobaczysz jej już nigdy w życiu".

- No i cóż to znaczy - odpowiedział Sanczo - że ów chłopak tak powiedział? - Co? - odparł Don Kichote. - Zali nie pojmujesz, że jeśli zastosujemy te słowa do moich zamysłów, znaczy to, że nigdy więcej nie zobaczę Dulcynei. Sanczo chciał odpowiedzieć, ale przeszkodził mu widok zajęca, który umykał polem, ścigany przez charty i myśliwych, aż wystraszony wpadł skryć się pomiędzy nogi siwka; Sanczo schwytał go bez trudu i pokazał Don Kichotowi, a ten jał powtarzać:

- Malum signum! Malum signum! Zając ucieka; charty go ścigają; Dulcyneasienie ukazuje! Zły znak (łac).

712

- Jegomość jest dziwny - rzekł Sanczo - przyjmijmy, że ten zajęc jest Dulcyneą z Toboso, a te charty ścigające go są nikczemnymi czarnoksiążnikami, którzy

- ją przemienili w wieśniaczkę; ona ucieka, ja ją chwytam i oddaję w moc jegomości,

wy ją w ramionach trzymacie i pieścicie; jakiż w tym zły znak i za jaką wróżbę można to poczytać?

Dwaj pokłóceni chłopcy zbliżyli się, aby zobaczyć zajęca, i Sanczo zapytał ich, o co się sprzeczali. Ten, który rzekł: "Nie zobaczysz jej więcej nigdy w życiu", odpowiedział, iż zabrał drugiemu klatkę na świerszcze i nie myślał mu jej do końca życia oddać. Sanczo wyjął cztery ćwierciaki z sakiewki i dał chłopcu za klatkę, którą włożył w ręce Don Kichota ze słowami:

- Oto, panie mój, przełamane i zniweczone wróżby, które tak dotyczą naszych spraw - wedle tego, co myślę, chociażem głupi - jak zeszłoroczne chmury. A jeśli sobie dobrze przypominam, słyszałem, jak proboszcz naszej wioski mówił, że nie przystoi chrześcijanom i ludziom rozsądny zważyć na podobne dzieciństwa; a nawet jegomość sam przed kilkoma dniami mówił mi o tym, dając mi do zrozumienia, że chrześcijanie, którzy we wróżby wierzą, są wszyscy głupi. Ale co się tam nad tym zastanawiać dłużej, jedźmy dalej i wracajmy do naszej wioski. Nadbiegli myśliwi i domagali się zwrotu zajęca, oddał im go Don Kichote i pojechali dalej. U wjazdu do wsi, na małej łączce spotkali proboszcza i bakałarza

odmawiających brewiarz. Trzeba wiedzieć, że Sanczo Pansa zarzucił na siwka i na ładunek zbroi jako oslonę ową tunikę barchanową, malowaną w ogniste płomienie, w którą go przyodziano owej nocy, kiedy Altisidora zmartwychwstała w zamku księcięcym. Na głowę włożył mu również mitrę; było to najdziwniejsze przebranie i strój, w jakim kiedykolwiek na świecie oglądano osła.

Proboszcz i bakałarz natychmiast poznali ich obu i podeszli ku nim z otwartymi ramionami. Zsiadł z konia Don Kichote i uściaskał ich serdecznie; ulicznicy, którzy mają oczy rysia, dostrzegli od razu mitrę osła, zbiegли sieją oglądać i między sobą mówili:

- Chodźcie, chłopcy, zobaczycie osła Sanczo Pansy strojnieszego niż Mingo', a szkapę Don Kichota jeszcze chudszą niż przódzi.

I tak, otoczeni dzieciskami, w towarzystwie proboszcza i bakałarza dotarli do domu Don Kichota i zastali u bram jego gospodynię i siostrzenicę, do których już doszła wieść o ich powrocie; nie omieszkano powiadomić również Teresy Pansy, żony Sancza, która przybiegła rozczochniona i na pół naga oglądać swego męża, ciągnąc za sobą Sanczykę, swoją córkę; a ujrzawszy, że nie jest tak świetnie przystrojony, jak w jej pojęciu wielkorządcy przystało, rzekła:

- Jakże to powracacie, mężu mój, czyli śnię? Pieszo i utykając? Raczej jakwłóczęga niż wielkorządca.
- Milcz, Tereso - odpowiedział Sanczo - często gdzie są haki, tam brak słoniny; pójdzmy do domu, a posłyszysz cudeńka. Przynoszę pieniądze, a to najważniejsze, zarobiłem je własnym sprytem bez niczyjej krzywdy. Strojniś z poezji ludowej.

713

– Przynosicie pieniądze, mój drogi mężu - rzekła Teresa. - Niech będą, choćby były zarobione tu czy tam, czy jakbyście chcieli, nie wprowadźcie w świecie nowych obyczajów zarabiania.

Sanchyka uściiskała ojca i zapytała, czy przywiózł jej coś; oczekiwała go bowiem jak majowego deszczu; jedną ręką ujęła ojca za pas, a drugą ciągnęła siwka, żona wzięła go za rękę z drugiej strony i poszli do swego domu, pozostawiając Don Kichota we własnym, pod władzą siostrzenicy i gospodyn oraz w towarzystwie proboszcza i bakałarza.

Don Kichote, nie zwłócząc ani nie zważając na porę, zamknął się na osobności z proboszczem i bakałarzem i w krótkich słowach opowiedział im o swej porażce i o powiętym zobowiązaniu nieopuszczania wioski przez rok cały, czego zamyślał co do jedy dotrzymać, nie przekraczając warunku ani o włos, jak przystało błędne- mu rycerzowi, którego obowiązuje dokładność i reguła błędnego rycerstwa. Dodał, że zamyśla na ten rok zostać pasterzem i zabawiać się wśród sielskiej samotności, gdzie będzie mógł puścić wodze swym miłosnym rozmyślaniom, oddając się pasterskiemu i cnotliwemu zawodowi. Błagał ich również, aby jeśli nie mają zbyt wiele

pracy i nie przeszkodzą im ważniejsze sprawy, zechcieli mu towarzyszyć; on zakupiłby trzodę owiec dość znaczną, aby mogli nazywać się pasterzami; uwiadomił ich,

że już najważniejszy punkt tego programu został wypełniony, bowiem wynalazł im bardzo odpowiednie imiona. Proboszcz prosił, aby je przedłożył. Don Kichote odpowiedział, że on ma się nazywać pasterz Kichotis, bakałarz pasterz Carrascon, proboszcz pasterz Plebanio, a Sanczo Pansa pasterz Pansino. Wszystkich zadziwiło to nowe szaleństwo Don Kichota; ale aby się nie wymknął znów ze wsi do swego błędного rycerstwa i tusząc, że przez ten rok będzie można go uleczyć, zgodzili się

Don Kichote - Miguel Cervantez

- na ten nowy pomysł, udali, że uznają to szaleństwo za rozsądne, i zaofiarowali mu swój współludział w tym przedsięwzięciu.

- Tym bardziej że jak wszystkim wiadomo - rzekł Samson Carrasco - jestem słynnym poetą, przeto na każdym kroku będę tworzył wiersze sielskie lub dworskie czy jakie tam będą na czasie, abyśmy czas przyjemnie spędzili w owych pustaciach, przez które błądzić będziemy; a najważniejsze jest, panowie moi, aby każdy z nas wybrał imię pasterki, którą sławić zamierza w swych wierszach, i abyśmy nie zaniedbali wyrzynać i ryć jej imienia na każdym drzewie, choćby najtwardszym, jak to jest w zwyczaju i obyczaju zakochanych pasterzy.

- Będzie to przednio - odpowiedziała Don Kichote - co do mnie, nie potrzebuję szukać imienia zmyślonej pasterki, mam bowiem imię nieporównanej Dulcynei z Toboso, sławy tych brzegów, ozdoby tych łąk, fundamentu piękności, śmietanki wdzięków i wreszcie przedmiotu tak doskonałego, w którym mieszkać mogą wszelkie pochwały, choćby najbardziej przesadne.

- To prawda - rzekł proboszcz - ale my tutaj poszukajmy jakichś pasterek milutkich, które choćby nie były dla nas stosowne, podobałyby się nam. A Samson Carrasco dodał:

- A jeśliby ich zabrakło, nadamy im imiona owych rysowanych i drukowanych, jakich świat jest pełen, jak: Filis, Amaryllis, Diana, Florida, Galatea czy Be714

Don Kichote - Miguel Cervantez

lisarda; ponieważ sprzedawane są na placach, możemy je sobie kupić i uważać za swoje. Gdyby moja dama, a raczej moja pasterka nazywała się przypadkiem Anna, opiewałbym ją pod imieniem Anardy, a jeśli Franciszka, nazywałbym ją Francenią, a jeśli Łucja - Lucyndą, i tak dalej; zaś Sanczo Pansa, jeśli zechce wejść do tego bractwa, mógłby sławić swą żonę Teresę Pansę pod imieniem Teresainy. Uśmiał się Don Kichote z tego nadawania imion, zaś proboszcz niezmiernie pochwalił jego zacny i chlubny zamiar i ponowił gotowość wzięcia w nim udziału we wszystkich wolnych chwilach, jakie mu pozostawią jego obowiązki zawodowe. Po czym pożegnali się, radząc i prosząc, aby uważało na swoje zdrowie i aby sobie dogadzało we wszystkim.

Los chciał, że siostrzenica i gospodynki podsłuchały rozmowy tych trzech; i kiedy tamci odeszli, obie wpadły do Don Kichota, a siostrzenica rzekła doń: – Cóż to znowu, panie wuju? Teraz kiedy sądziłyśmy, iż wasza miłość siedzieć będzie w domu i pędzić w nim życie spokojne i uczciwe, chcesz się w nowe błędniki uwiklać i zostać pasterzem? Mój pastuszku, skąd przychodzisz?

Pastuszczku, dokąd to?

Zaprawdę za twarda już słoma na fujarki.

A gospodynki dodała:

- Jakże to wasza miłość moglibyście w polu skwar znosić w lecie, a noce w zimie i słuchać wilków wycia? Zaiste nie! Jest to zajęcie i zawód dla ludzi silnych, wytrzymały i do takiej pracy nawykłych prawie od pieluch i powijaków. Z dwojga ziego nawet zgoła lepiej już być błędnym rycerzem niż pasterzem. Posłuchajcie, panie, mojej rady; daję ją nie po pijanemu i po przejedzeniu, ale na czczo i z doświadczenia moich lat pięćdziesięciu: siedźcie w domu, zajmijcie się waszą majątkością, spowiadajcie się często, wspomagajcie ubogich, a jeśli jakieś зло z tego wyniknie, niech spadnie na moją duszę.

- Cicho, córki - odpowiedział Don Kichote - dobrze wiem, co mam czynić, zaprowadźcie mię do łóża, bo jestem coś chory, jak mnie się zdaje, i bądźcie pewne, że czy będę błędny rycerzem, czy też błędny pasterzem, nie zaniedbam baczyć, aby niczego wam nie brakło, jak się o tym po czynach moich przekonacie. I obie poczciwe niewiasty (jakimi były, ani chybi, siostrzenica i gospodynki) zaprowadziły go do łóża, nakarmiły i dogadzały mu, jak mogły. 715

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

o tym, jak Don Kichote zachorował, sporządził testament i umarł

Jako sprawy ludzkie nie są wieczne, jeno stale od swego początku ku końcowi ostatecznemu zmierzają, osobliwie zaś życie ludzkie, a jako Don Kichotowi niebo nie udzieliło specjalnego przywileju, aby bieg swojego wstrzymał, przyszedł na

Don Kichote - Miguel Cervantez

niego kres i koniec, kiedy najmniej tego się spodziewał; bowiem czy to ze zmartwienia, iż ujrzał się zwyciężonym, czy to z dopustu niebios, które tak zrządzili, chwyciła go gorączka, która go przez sześć dni trzymała w łóżu, w czasie których często odwiedzali go proboszcz, bakałarz i balwierz, jego przyjaciele, a poczciwy giermek Sanczo Pansa nie opuszczał wezgłowia. Przekonani, iż to żałość z powodu porażki oraz z powodu nieziszczenia się jego pragnień, aby ujrzeć Dulcyneę wolną i odczarowaną, była przyczyną jego niemocy, starali się go rozweselić wszelkimi sposobami. Bakałarz zachęcał go, by nabral ducha, wstał i rozpoczął zawód paster-ski, ułożył już bowiem sielankę, wobec której bledną wszystkie sielanki Sannazara, i zakupił już ze swych funduszów dwa wspaniałe psy, aby strzegły trzody, jeden zowie się Rudek, a drugi Łapka; sprzedał mu je pewien baca z Quintanar. Ale mimo to Don Kichote trwał w swoim smutku.

Przyjaciele wezwali medyka, ten wziął za puls i niezbyt zadowolony poradził, aby na wszelki wypadek pomyślał o zbawieniu duszy, bowiem ciału grozi niebezpieczeństwo. Wysłuchał tego Don Kichote spokojnie; ale nie tak słuchały gospodyn, siostrzenica i jego giermek, którzy zaczęli tak rzewliwie płakać, jakby go już martwym widzieli. Zdaniem medyka, melancholia i zgryzota go dobiły. Don Kichote prosił, aby go zostawiono samego, chce bowiem przespać się nieco. Posłuchali go i spał jednym tchem, jak mówią, przeszło sześć godzin, tak że gospodyn i siostrzenica były przekonane, że skonał we śnie. Kiedy się wreszcie przebudził, wielkim głosem zawała:

- Niech będzie błogosławiony Bóg Wszechmocny, który tyle dobrego mi wyściadczył! Zaiste, miłosierdzie Jego nie ma granic i grzechy ludzkie niezdolne są umniejszyć je ani mu przeszkodzić.

Siostrzenica wysłuchała z uwagą słów wuja i zdawało jej się, że są rozsądniejsze od tych, jakie zwykły był wypowiadać, a przynajmniej w ciągu tej choroby, zapytała przeto:

- Co wasza miłość mówi, panie wuju? Czy zaszło coś nowego? O jakie tomiłosierdzie i o jakie grzechy chodzi?
- Siostrzenico moja - odpowiedział Don Kichote - mówię o miłosierdziu, jakie Bóg w tej chwili mi okazał, a któremu nie przeszkodziły moje grzechy. Mam już sąd swobodny i jasny, wolny od ciemnych oparów ignorancji, jakimi okryło go ustawniczne rozczytywanie się we wstępnych ksiągach rycerskich. Widzę teraz ich brednie i kłamstwa i ciężko mi jeno, że to rozczarowanie przyszło tak późno i nie

stanie mi czasu, aby zło odrobić, czytając inne książki, które są światłem duszy. Sio

716

Don Kichote - Miguel Cervantez

strzenico moja, czuję, że umieram; chciałbym umrzeć w ten sposób, aby dać dowód, że życie moje nie było tak złe, aby miano szaleńca miało przylgnąć do mnie; bo aczkolwiek nim byłem, nie chcę, aby śmierć moja była potwierdzeniem tej prawdy. Przywołaj, droga, moich przyjaciół: proboszcza, bakałarza Samsona Carrasco i mistrza Mikołaja, balwierza, chcę bowiem wyspowiadać się i sporządzić testament. Trudu tego oszczędziło siostrzenicy wejście owych trzech. Ledwie ich Don Kichote zoczył, przemówił:

- Powinsujcie mi, zacni panowie, żem oto już nie Don Kichote z Manczy, ale Alonzo Quijano, któremu postępowanie zyskało dawniej przydomek Dobrego. Nienawistny mi jest Amadis z Galii i cała niezliczona zgraja jego swojaciny; wstrętne mi już dziś są wszystkie bezbożne historie błędnego rycerstwa; pojmuję niedorzecz-

ność mają i niebezpieczeństwo, w jakie mię ich lektura wpędziła; a dzięki miłosierdziu Bożemu, odzegnawszy się od nich we własnym umyśle,
brzydzę się nimi. Kiedy to usłyszeli owi trzej, pomyśleli, że ani chybi chwyciło się go jakieś szaleństwo. I Samson rzekł:

- Jak to, panie Don Kichocie? Tak mówicie teraz, kiedy doszła nas wieśco odczarowaniu pani Dulcynei? Teraz, kiedy już mamy zostać pasterzami i życie pędzić wśród śpiewów jak księżeta, wasza miłość chcesz pustelnikiem zostać? Zamilczcie, na Boga! Oprzytomnijcie i zostawcie te bajki. - Te, które na mą zgubę dotąd były dla mnie rzeczywiste - odparł Don Kichote- śmierć moja z pomocą niebios na mą korzyść obróci. Czuję, panowie, że umrę już bardzo rychło, poniechajcie żartów i sprowadźcie spowiednika, abym się wyspowiadał, oraz notariusza, aby mi testament sporządził. W takim położeniu, jak jestem, nie lza człowiekowi żartować z duszą i błagam was przeto, abyście podczas kiedy proboszcz spowidać mnie będzie, poszli po notariusza.

Popatrzyli jedni po drugich zdumieni słowami Don Kichota i choć z wahaniem, uwierzyli im; a jedną z oznak bliskiej śmierci było, że takłacnie od szaleństwa do zdrowego rozumu powrócił; bowiem do słów już wypowiedzianych dodał inne liczne, tak roztropne, tak wymowne, tak chrześcijańskie i tak

rozsądne, że trzeba było wahania pozbyć i w uzdrawienie umysłu uwierzyć.

Proboszcz polecił wszystkim wyjść i pozostawszy z nim sam, wyspowiadał go. Bakałarz poszedł po notariusza i niebawem powrócił z nim i z Sanczo Pansą; Sanczo (który już od bakałarza wiedział, w jakim stanie znajduje się pan jego), zastawszy gospodynię i siostrzenicę w płaczu, zaczął pociągać nosem i wybuchnął łkaniem.

Proboszcz, ukończywszy spowiedź, wyszedł i powiedział:

Don Kichote - Miguel Cervantez

- Naprawdę umiera i naprawdę jest zdrów na umyśle Alonzo Quijano Dobry, możemy tam wejść, aby sporządzić testament.

Wiadomości te były strasznym uderzeniem w zapłakane oczy gospodyni, siostrzenicy i Sanczo Pansy, poczciwego giermka, tak iż nowe łzy lać poczęły, a tysiączne głębokie westchnienia rozdarły im piersi; bowiem zaiste, jak nieraz się mówiło, czy to jako Alonzo Quijano Dobry po prostu, czy jako Don Kichote z Manczy, Don Kichote był zawsze łagodnego usposobienia i miły w pozycji, i dlatego miłowali go nie tylko domownicy, ale i wszyscy, którzy go znali. Wszedł notariusz wraz z innymi i wypisał nagłówek testamentu, zaś Don Kichote, poleciwszy swą duszę 717

Bogu ze wszystkimi chrześcijańskimi ceremoniami, jakie są w zwyczaju, przechodząc do zapisów, rzekł:

Zatem, moją wolą jest, aby z owych pieniędzy, które są w posiadaniu Sanczo Pansy, który w czasie mego szaleństwa służył mi za giermka -jako istnieją między nami pewne porachunki w dochodach i rozchodach - nie żądano od niego żadnych rozliczeń ani wyliczeń, przeciwnie, jeśli po zapłaceniu tego, co mu jestem winien, zostało coś, a będzie to bardzo niewiele, niech mu to służy; bo jeżeli jako szaleniec przyczyniłem się do oddania mu wielkorządztwa wyspy, rad bym teraz, kiedy jestem przy zdrowych zmysłach, dać mu rządy królestwa, gdybym mógł, bo zasługuje na to szczerość jego charakteru i wierność jego postępowania". I zwróciwszy się do Sancza, rzekł:

- Przebacz mi, przyjacielu, że z mej przyczyny uchodziłeś za szaleńca jak i ja; wciążałem cię w błąd, w jaki sam popadłem, wierząc, iż byli i istnieją błędni rycerze na świecie.

- Ach! - odpowiedział Sanczo płacząc. - Panie mój! Niech jegomość nie umiera, ale posłucha mej rady i żyje długie lata, bo największym szaleństwem, na jakie człowiek w tym życiu zdobyć się może, jest pozwolić sobie umrzeć tak ni stąd, ni zowąd, nie z czyjejś ręki, ale ze zmartwienia.

Nie leńcie się; wstańcie z łóżka i idźmy w pole
przebrani za pasterzy, jak to ułożyliśmy; może w
jakimś zaroślu znaj-

dziemy panią Dulcyneę odczarowaną (tylko to widzieć!). A jeżeli jegomość umiera ze zmartwienia, że został zwyciężony, niech na mnie zrzuci winę, mówiąc, że źle ściągnąłem popręgi Rosynanta i dlatego wysadzono was z siodła; tym bardziej że w

Don Kichote - Miguel Cervantez

waszych księgach rycerskich czytaliście, jako rzecz to rycerzom zwyczajna być z siodła przez drugiego wysadzonym i że zwyciężony dziś, może być jutro zwycięzcą.

- Tak jest - rzekł Samson - i zacny Sanczo Pansa mówi szczerą prawdę. - Panowie - rzekł Don Kichote - powoli, powoli, bowiem w gniazdach zesłorocznych nie ma w tym roku ptaków. Byłem szaleńcem, teraz jestem zdrów na umyśle; byłem Don Kichotem z Manczy, dziś jestem, jak powiedziałem, Alonzo Quijano Dobry. Oby mój żal i prawda przywróciły mi szacunek, jaki ichmościowie żywiliście dla mnie, a pan notariusz niech pisze dalej: ,Item, przekazuję całą mą majątkość ruchomą i nieruchomością Antonii Quijana, mej siostrzenicy tu przytomnej, nakazując jej, aby z pierwszych wpływów odciągnęła, ile będzie trzeba, na wypłacenie legatów; na pierwszym miejscu chcę, aby wypłacono zasługi mojej gospodyni za cały czas jej służby u mnie, a prócz tego dwadzieścia dukatów na suknie. Wykonawcami mej woli ustanawiam mości proboszcza i mości bakałarza Samsona Carrasco, tu przytomnych.

Item, moją wolą jest, aby w razie gdyby siostrzenica moja Antonia Quijana chciała wyjść za mąż, wyszła za człowieka, o którym dowiedziano by się wprzód, że nie wie, co to księgi rycerskie; a w razie gdyby się przekonano, że je zna, a mimo to siostrzenica moja chciałaby go poślubić i poślubiła, straci cały mój zapis, zaś wykonawcy testamentu mogą wedle swej woli przeznaczyć go na cele pobożne. Item, błagam owych ichmościów, moich wykonawców, aby jeśli dobry traf dał im poznać autora, o którym mówią, że napisał historię pod tytułem Druga część 718

przewag Don Kichota z Manczy, poprosili go ode mnie jak najgoręcej o przebaczenie, iż nie myśląc o tym, dałem mu sposobność do napisania tylu i tak wielkich głupstw, jak to uczynił, odchodzę bowiem z tego życia z wyrzutem, że dałem mu do tego powód".

Na tym zamknął testament; przyszło nań omdlenie i wyciągnął się jak długi na łóżu. Zaniepokoili się wszyscy i podbiegli na ratunek. W ciągu owych trzech dni, które przeżył po sporządzeniu testamentu, mdlał często. Cały dom był w poruszeniu, ale mimo wszystko siostrzenica jadła, gospodynai przypijała, a Sanczo Pansa był w dobrym humorze; tak myśl o schedzie zaciera i łagodzi w spadkobiercy pamięć o żalu, jaki powinien pozostawiać zmarły. Wreszcie nadeszła ostatnia godzina

Don Kichota, kiedy przyjął sakramenty i odżegnał się w mnogich i słusznych słowach od ksiąg rycerskich; był przy tym obecny notariusz i mówił, że nigdy nie czytał w żadnej książce rycerskiej, aby jakiś błędny rycerz tak spokojnie i po chrześciuaniu umarł w swoim łóżu jak Don Kichote, który wśród żalu i płaczu wszystkich obecnych ducha oddał, chcę rzec, umarł.

Don Kichote - Miguel Cervantez

Co widząc, proboszcz poprosił notariusza, aby poświadczyl, że Alonzo Quijano Dobry, zwany powszechnie Don Kichote z Manczy, rozstał się z życiem doczesnym i zmarł naturalną śmiercią; prosił o to zaświadczenie, chcąc zapobiec, aby jakiś inny autor, prócz Sidi Hameta Ben Engelego, nie wskrzesił go oszukańczo i nie pisał niemożliwych historii jego przewag. Taki był koniec przemyślnego szlachcica z Manczy, którego miejsca urodzenia nie chciał dokładnie oznaczyć Sidi Hamet Ben Engeli, aby wszystkie miasta i miejscowości Manczy spierały się, chcąc go usynowić i uznać za swego, tak jak siedem miast Grecji walczyło o Homera. Pomijamy tutaj skargi Sancza, siostrzenicy i gospodyn Don Kichota oraz nowe epitafia na jego grobie. Cytujemy tylko to, jakie Samson Carrasco tam umieścił:

Tutaj leży szlachcic śmiały,

Tak wysoko wzniósł swe męstwo,

Że śmierć nawet nie ma chwały,

By jej moce przez zwycięstwo

Ponad życiem władzę miały. Za nic

był mu świata wieniec,

Żył jak postrach i odmieniec

Na tej ziemi, lecz los jego Szczęściem

wyrwał go od złego. Zmarł zdrów, choć żył

jak szaleniec.

A najostrożniejszy Sidi Hamet zwraca się do swego pióra:

Pozostaniesz tu zawieszone na tej półce, na miedzianym drucie, pióreczko moje, nie wiem, zali dobrze czy źle zastrzone, i przetrwasz długie wieki, jeżeli pyszałkowaci i złośliwi historycy nie zdejmą cię, aby cię sponiewierać; ale zanim cię dotkną, możesz ich ostrzec i powiedzieć, jak zdołasz najlepiej: Hola! nikczemnicy, hola!

Niechmię nie tknie

dłoń człowieka, 719

Bo tę sprawę Boża wola Przeznaczyła mi od wieku.

Dla mnie jedynie urodził się Don Kichote i ja dla niego; on umiał działać, a ja pisać; i tylko my dwaj stanowimy jedno na złość i na przekór pisarzowi kłamliwemu z Tordesillas, który ośmielił albo ośmieliłby się opisywać piórem strusia, grubym, źle zaciętym, przewagi mego walecznego rycerza; brzemię to zbyt ciężkie dla jego barków i nie jest to przedmiot dla jego wyziębłego umysłu. Przestrzeżesz go, jeśli przypadkiem go poznasz, aby spokojnie pozwolił w grobie spoczywać zmęczonym i już spopielałym kościom Don Kichota i nie usiłował przenosić go, wbrew wszelkim prawom śmierci, do Starej Kastylii, dobijając go z grobu, gdzie rzeczywiście i

Don Kichote - Miguel Cervantez

naprawdę spoczywa, wyciągnięty jak długi i niezdarny już do wyruszenia na trzecią i nową wyprawę, bowiem aby w śmiech obrócić wszystkie przygody błędnych rycerzy, starczą owe dwie, jakie podjął, a te tak przypadły do smaku i upodoby ludzi, do wiadomości których doszły tak w naszym kraju, jak i w państwach obcych. W ten sposób wypełnisz chrześcijańską powinność, dobrze radząc temu, który ci źle życzy, a ja będę zadowolony i dumny, że byłem pierwszym, który w pełni radował się owocem swoich pism, tak jak pragnąłem; bowiem jedynym moim pragnieniem było w ohydę u ludzi podać zmyślone i dziwaczne opowieści ksiąg rycerskich, które dzięki memu prawdziwemu Don Kichotowi już utykają i niebawem bez wątpienia całkowicie upadną. Vale!

KONIEC

POSŁOWIE

W niewiele lat po śmierci Cervantesa o zaszczyt pretendowania do roli miejsca urodzenia pisarza walczyło -jak niegdyś o prochy Dantego - kilka miast. Skrupulatni badacze obliczyli, że do roku 1939 Don Kichote doczekał się 1370 wydań we wszystkich językach świata. W tej sytuacji aż ciężko uwierzyć, że ów twórca nowożytnej powieści europejskiej przez całe swe życie cierpiał biedę, doznawał lekceważenia, a ponad pięć lat przyszło mu spędzić w niewoli.

Miguel de Cervantes Saavedra urodził się w 1547 r. w położonej nad rzeką Hevares kastylijskiej miejscowości Alcala. Miał sześcioro braci i sióstr, pochodził ze zubożałej, drobnoszlacheckiej rodziny. Ojciec pisarza, lekceważony w domu przez żonę, niezaradny życiowo cyrulik nie umiał zapewnić swoim bliskim bytu, dlatego Cervantesowie zmuszeni byli do nieustannej zmiany miejsca zamieszkania, co nie służyło regularnym

studiom młodego Miguela. Na podstawie zachowanych zapisów z całą pewnością możemy jedynie stwierdzić, iż przez jakiś czas pobierał nauki w Studium Madryckim pod kierunkiem słynnego humanisty Juana Lopeza Hoyosa. To właśnie ów entuzjasta myśli Erazma z Rotterdamu zaszczepił przyszłemu pisarzowi kult dla idei Odrodzenia. On też opublikował pierwsze utwory poetyckie Cervantesa. W 1569 r. Miguel został pokojowcem wysłanego na dwór Filipa II legata papieskiego, kardynała Acquavivy. Wobec fiaska misji Cervantes wraz ze swym chlebodawcą odbył podróż morską do Włoch, gdzie w trzy lata później zaciągnął się do wojska. Niespokojne, żołnierskie życie dało mu możliwość poznania Italii, którą - a zwłaszcza Rzym - na zawsze pokochał. Tymcza-

Don Kichote - Miguel Cervantez

sem w październiku 1571 r. doszło do jednej z najsłynniejszych bitew morskich pomiędzy światem chrześcijańskim a niewiernymi - zjednoczone wojska włosko-hiszpańskie pokonały pod Lepanto armię turecką. Cervantes wykazał się w walce dużą odwagą. Otrzymał trzy postrzały, w wyniku których stracił władzę w lewej ręce. Kolejne bitwy

i kampanie miały odmierzać los autora Don Kichota aż do roku 1575 - wówczas to stały się wiozący do Hiszpanii urlopowanych żołnierzy (wśród nich Cervantesa) wpadły w ręce

barbaresków. Byli to algierscy Maurowie, pozostający pod zwierzchnictwem Turcji, a żyjący z korsarstwa i porwał chrześcijańskich kobiet, sprzedawanych następnie doaremów. Ponad pięć lat okrutnej niewoli stało się prawdziwą szkołą życia. Cervantes po

raz kolejny wykazał się wielkim bohaterstwem - w atmosferze nieustannych gwałtów i okrucieństw (nabijanie na pal, obłupianie ze skóry, obcinanie języka czy kastracja były

w obozie jenieckim na porządku dziennym) zorganizował pięć, niestety nieudanych i okupionych torturami, prób ucieczki. Maurowie traktowali go nieco lepiej niż pozostały

stałych więźniów, gdyż znaleźli przy nim listy

polecające i na tej podstawie sądzili, że 723 będą mogli

wymusić za jego osobę duży okup. Wykupiony w

ostatniej chwili przez za-

konników z zakonu trynitarzy (został już zaokrętowany na statku płynącym do Konstantynopola) powrócił do Hiszpanii, gdzie starał się początkowo żyć z pióra. Opublikował

wówczas swoje pierwsze większe dzieło literackie - konwencjonalny romans pasterski Galatea (1585).

Napisana wierszem i prozą opowieść o rajskim okresie „złotego wieku” powszechniej dobroci i sprawiedliwości wpisywała się w podobne marzenia innych

Don Kichote - Miguel Cervantez

wielkich twórców epoki Odrodzenia, np. Rabelais'go. W tym samym czasie powstało także około dwudziestu utworów dramatycznych, z których do naszych czasów zachowała się jedynie tragedia patriotyczna *Numancja*, opowiadająca o bohaterskiej obronie

miasta przed rzymskim najeźdźcą, oraz *Życie w Algerze*, inspirowane bolesnymi wspomnieniami z okresu niewoli. Zaszły także zmiany w życiu prywatnym pisarza - w

1584

r. poślubił Catalinę Salazar de Palacios y Vozmediano. Małżeństwo to nie było udane, dlatego nasz autor wielokrotnie i na długi czas opuszczał później dom rodzinny. Nieustanne kłopoty finansowe skłoniły Cervantesa, by wyruszyć do Sewilli — ówcześnie najbogatszego miasta Hiszpanii, ruchliwego portu, do którego przybijały wypełnione kosztownościami galeony z Ameryki, oraz siedziby Zarządu Kolonii Zamor-

skich. Pisarzowi po wielu staraniach udało się jedynie uzyskać złe płatną i niebezpieczną

posadę komisarza żywnościowego. W tych latach nasiliły się hiszpańsko-angielskie konflikty interesów - galeony niejednokrotnie stawały się łupem angielskich korsarzy,

dla tego „Niezwyciężona Armada” otrzymała rozkaz zniszczenia „korsarskiego i here-tyckiego gniazda”.

Do obowiązków Cervantesa należało rekwirowanie zboża i oliwy na

potrzeby wyekwipowania armii. Swe powinności wypełniał nadzwyczaj gorliwie, co nawet spowodowało rzucenie nań klątwy za bezprawne ściąganie daniny z chłopów. Jednak klątwa szybko została zdjęta, zaś Cervantes nadal przemierzał andaluzyjskie wioski i osady w poszukiwaniu żywności. To właśnie wówczas narodziła się figura wędrowania, stanowiąca oś konstrukcyjną Don Kichota. Wówczas też poznał pisarz realia

życia hiszpańskiej prowincji i jej mieszkańców: rolników, pasterzy, cyganów, mulników, rybaków, oberzystów. Tymczasem w 1588 r. „Niezwyciężona Armada” została rozgromiona. Mimo to Cervantes nadal pełnił obowiązki komisarza, a w dwa lata później wy-

Don Kichote - Miguel Cervantez

stał do Zarządu Kolonii o przyznanie mu posady w Ameryce. Przy braku protekcji jego

zamorskie plany spaliły na panewce - dopiero w 1594 r. został skromnie opłacanym poborcą podatkowym w Grenadzie. W tym czasie często przebywał w Sewilli, gdzie nawiązał liczne kontakty literackie. Był to dla niego okres wzmożonej aktywności artystycznej.

Powstała wydana w wiele lat później Podróż na Parnas - napisana według włoskiego wzoru burleska, opowiadająca o odsieczy poetów, przybyłych bronić Apollina -

na przed zgrają grafomanów. Wtedy też stworzył liczne nowele, będące do dziś jednym z najwartościowszych przykładów nowelistyki hiszpańskiej, a nawet światowej. Sewilla stała się - obok wcześniejszych wędrówek andaluzyjskich - kolejnym źródłem, które zainspirowało powstanie Don Kichota. To tam Cervantes poznał życie mieszkańców wraz z jego marginesem, wszelkiego rodzaju mętami i złodziejami, tam doskonalił swój język, rozszerzył horyzonty artystyczne, a przede wszystkim dojrzał wewnętrznie. Jednak okres sewilski to także kolejne bolesne doświadczenia życiowe. Zwabiony możliwością zarobku pisarz zawarł w 1592 r. umowę z dyrektorem teatru, Rodrigiem Osorio, w myśl której deklarował się napisać sześć komedii, każdą za pięćdziesiąt dukatów. Był tylko jeden warunek, z góry skazujący całe przedsięwzięcie na niepowodzenie

724

każdy z utworów miał być najlepszą sztuką graną danego roku w Hiszpanii. W efekcie Ossorio otrzymał gotowe komedie, Cervantes nie otrzymał pieniędzy, zaś sztuki wyszły drukiem wiele lat później. W tym czasie ujawniono nieścisłości związane z komisarską działalnością pisarza. Prewencyjnie wtrącono go wówczas na krótko do więzienia, mimo że cała sprawa została niebawem wyjaśniona. O wiele groźniejsze wypadki wydarzyły się w 1597 r., kiedy sewilski bankier Simon Freire uciekł wraz z 7400 realami, pochodzący z zebranych przez Cervantesa na rzecz skarbu podatków. Ta sprawa również skończyła się pobytom w więzieniu. Po raz kolejny pisarz trafił

Don Kichote - Miguel Cervantez

tam w 1602 r. Po zwolnieniu, wydalony ze służby i pozbawiony środków do życia, popadł w nędzę. W 1601 r. Filip III przeniósł dwór i stolicę do Valladolid. Tym śladem podążyła również rodzina pisarza, niestety wraz z towarzyszącym jej fatum - nieopodal domu

Cervantesów ciężko poraniony został młody szlachcic, który zmarł mimo opieki ze strony gospodarzy. W efekcie znowu, tym razem już wszyscy, trafili do więzienia. W styczniu 1605 r. wyszedł u Cuesty w Madrycie Przemyślny szlachcic Don Kichote z Manczy, oddany do druku w grudniu

1604 r. Pomimo entuzjastycznego przyjęcia książki już po pięciu miesiącach od jej ukazania się Cervantes znowu popadł w biedę. Jego losy tracimy z oczu aż do roku 1608, kiedy to dwór królewski przeniósł się do

Madrytu. Podążył tam również nasz pisarz, jednak zamiast oczekiwanych zarobków spotkały go kolejne upokorzenia, głównie ze strony wierzycieli. W trzy lata później Cervantes został członkiem literackiej Akademii Selvaje. Przypuszczalnie w tym czasie pogodził się z Lope de Vega, z którym wiódł spór od blisko dwudziestu lat. W 1609 r.

Cervantes wstąpił do Bractwa Przenajświętszego Sakramentu, zaś w 1613 r. przywdział habit tercjarski. Ta ostatnia decyzja wiązała się z osobą ks. Lemos. Został on mianowany wicekrólem Neapolu, a ponieważ kreował się na mecenasę literatury, więc pisarz miał

- po raz kolejny płonną - nadzieję ustabilizowania przy jego pomocy swej mizernej sytuacji finansowej.

Ostatnie lata życia Cervantesa okazały się nader płodne - w 1613 r. ukazał się zbiór nowel zatytułowanych Pouczające opowieści, w rok później pochodząca jeszcze z okresu sewilskiego Podróż na Parnas. Kolejny rok przynosi Osiem komedii i nowych interme- diów jeszcze niewystawionych, stanowiących najwartościowszą część spuścizny dramatyczno-topisarskiej pisarza. Tymczasem w 1614 r. w Tarragonie u Filipa Roberto wyszła druga część Don Kichota, „przez licencjata Alonza Fernandeza Avellanedę, rodem z Tordesillas". Do dziś nie ustalono, kto krył się pod tym pseudonimem, wiadomo jednak, że mamy do czynienia z plagiatem, mającym na celu ośmieszenie oryginału i zawartych w nim idei. Perfidia intragi zdopingowała

Don Kichote - Miguel Cervantez

Cervantesa do wydajniejszej pracy i już w październiku 1615 r. spod pras tłoczni Juana Cuesty wyszła autentyczna, druga część przygód błędnego rycerza. Pisarz coraz mocniej podupadał na zdrowiu. Wczesną wiosną 1616 r., mimo poważnie już zaawansowanej puchliny wodnej, odbył konną podróż z Esquivias do Madrytu i z powrotem. Od kwietnia przestał podnosić się z łóżka - z tego okresu zachował się wzruszający list do ks. Lemos. Cervantes przekonany, że nie zdąży już doręczyć osobiście dedykowanego mu Persylesa i Zygmunty, pisał: „Tak, jak to z małą zmianą podaje stara piosenka/1 mając już stopę w strzemieniu/ Piszę, śmiertelnym zdjęty lękiem.../ Czasu zostaje mi niewiele, śmiertelna udręka się wzmagą, nadzieja maleje i opuszczam życie...”. 725

Zmarł 23 kwietnia 1616 r. Pochowany najpierw w madryckim klasztorze Humilladero, został następnie przeniesiony do klasztoru ss. Trynitarek na Calle de Cantarranas i złożony w bezimiennym grobie w intencji zatarcia pamięci o jego istnieniu.

Niedole Persylesa i Zygmunty ukazały się pośmiertnie w 1617 r.

Wśród badaczy dominuje teza, iż pierwotny pomysł Don Kichota narodził się w okresie sewilskim. Pierwsza część dzieła powstała w okresie, kiedy na pisarza spadły kłopoty związane z domniemanymi malwersacjami finansowymi - istnieją wskazówki pozwalające twierdzić, że szósty rozdział nie mógł zostać napisany przed rokiem 1591.

Jednak sama książka musiała krażyć wśród czytelników, zanim jeszcze została wydana drukiem, o czym świadczy zachowany list Lope de Vegi, datowany 14 sierpnia 1604 r., w którym autor Dziewczyny z dzbanem w niewybredny i krzywdzący Cervantesa sposób wykpiwa jego dzieło.

W pierwszej części Don Kichota autor w czterech księgach zawierających 52 rozdziały opisał dwie wyprawy błędnego rycerza: dwudniową i osiemnastodniową. W zakończeniu zasugerował kolejną eskapadę, tym razem do Saragossy. Z konceptu tego skorzystał „licencjat Avellaneda” - w jego plagiacie Don Kichote po szeregu awanturniczych przygód dotarł do stolicy Aragonii, gdzie po udziale w licznych turniejach zaczął wyprawiać rozmaite burdy, skutkiem których zamknięto go w toledańskim domu wariatów. Istotą działania Avellanedy była chęć ośmieszenia zarówno Cervantesa, jak

Don Kichote - Miguel Cervantez

i jego odrodzeniowych idei, lecz intryga nie powiodła się ze względu na niski poziom literacki autora, który nie wzbudził zainteresowania czytelników. Nauczony przykrym

doświadczeniem Cervantes postanowił uchronić swe dzieło od ingerencji rozmaitych oszczerców i plagiatorów - w tym celu kończąc drugą część książki, uśmiercił Don Kichota i wystawił mu nagrobek opatrzony epitafium autorstwa bakałarza Carrasco. Owa

część w całości poświęcona została jednej, opisanej w 74 rozdziałach wyprawie i paradoksalnie zawiera pewne pomysły wyglądające na... zapożyczenia z Avellanedy! Jeśli porównamy obie części, bez trudu dostrzeżemy dzielące je różnice: pierwsza wydaje się bardziej spontaniczna, bardziej dynamiczna i urozmaicona.Więcej w niej humoru i ironii, więcej naturalistycznej obserwacji, ale zarazem, z literackiego punktu widzenia, jest ona bardziej nierówna. Część druga to dzieło artysty o wiele dojrzałsze- go, biegłejszego w sztuce pióra, lepiej operującego posiadanym materiałem, umiejące- go narzucić sobie dystans od opisywanych postaci, co powoduje, że dialogi zyskują na

ważkości i głębi. Dotychczasowa satyra na rycerskie romanse zaczyna zmieniać się w wyrastający z odrodzeniowych ideałów krytyczny obraz społeczeństwa hiszpańskiego przełomu XVI i XVII w. Pogłębiają się obserwacje psychologiczne, dzięki czemu zmianie ulega koncepcja obydwu bohaterów - Don Kichote nabiera tragicznego, zaś Sanczo szlachetności. Dominujący w pierwszej części dowcip i komizm gorzknieją, przechodząc w groteskę i sarkazm. Powieść Cervantesa odbiega od klasycznego schematu akcji, zakładającego istnienie czterech członów przygotowujących i poprzedzających zaistnienie konfliktu. W Don Kichocie mamy do czynienia z konstrukcją bliższą idei kolażu bądź mozaiki, spojonej postaciami dwóch głównych bohaterów. Wspomniane czlonki tworzą samodzielne epizody (np. walka z wiatrakami), których ilość, uporządkowanie i rozległość może być

w zasadzie dowolna - na takim tle nie powinny dziwić liczne niekonsekwencje pojawiające się na kartach powieści (np. imię żony Sanczo Pansy).

Don Kichote - Miguel Cervantez

Epizody z kolei charak726 teryzują się bardzo regularną konstrukcją wewnętrzną, precyzyjnie prowadzącą do kul- minacji. Wrażenie nieregularności potęgują przerywające fabułę, niezwiązane z nią a dotyczące różnych tematów, opowiadania - w części pierwszej znajdziemy ich siedem, w części drugiej - sześć. Towarzyszą im liczne, nierzadko szeroko rozbudowane dygresje.

Całe dzieło zachwyca bogactwem wyobraźni, przejawiającym się w wielości wątków i różnorodności postaci, opisanych z niezrównanym mistrzostwem - wszystkie one przemawiają właściwym sobie językiem, wszystkie (nawet Rosynant) posiadają indywidualne, charakterystyczne dla siebie cechy. Zygmunt Czerny, tłumacz Don Kichota

obliczył, że przez karty powieści przewija się około sześciuset osób! Niektóre z nich pojawiają się niejako drugoplanowo, ubocznie, ale i tak pozostawiają niezatarte wraże- nie (np. Biskajczyk, uwolnieni galernicy). Inne występują tylko raz, ale potraktowane zostały szczegółowo (magnat Fernando, pasterka Marcela). Jeszcze inne należą wpraw- zie do drugiego planu, ale ich rysunek jest nadzwyczaj dokładny i staranny

(żona San- cza, bakałarz Carrasco). Na czele tego zastępu stoi dwóch niezrównanych bohaterów powieści, Don Kichote i Sanczo. Wizerunki obu pulsują życiem, w którym kłębi się od różnorakich pytań, wątpliwości i sprzeczności, dzięki czemu nabierają walorów ogólnoludzkiego symbolu, stanowiąc nieśmiertelną figurę człowieczego losu.

Idealista Don

Kichote, błędny rycerz wędrujący w świecie marzeń, i praktyczny, tchórziły, ale przecież szlachetny

Don Kichote - Miguel Cervantez

choćby poprzez swą wierność i uwrażliwienie na зло
Sanczo Pansa

- pan i sługa, to dwie strony ludzkiej natury, rozdartej pomiędzy fantazję i twardy realizm, poezję i prozę życia.

Bardzo istotną rolę w konstrukcji powieści pełni wspomniany już komizm - to między innymi dzięki niemu książka zyskuje głęboki, przesycony humanizmem wymiar.

Cervantes należy niewątpliwie, obok Arystofanesa, Rabelais'go i Ariosta, do klasyków i mistrzów europejskiego humoru, który w opowieści o przygodach błędnego rycerza reprezentowany jest w wyjątkowo szerokim wachlarzu: od zwykłego żartu i dowcipu poczynając, poprzez kpinę, humor i ironię, na sarkazmie kończąc. Niezrównana świeżość wszystkich wymienionych zabiegów realizowana jest na wielu płaszczyznach, m.in. gry słownej, kalamburu, powiedzeń opartych na dowcipie dźwiękowym, pseudopomyłek. Pisarz sięga po komizm sytuacyjny, karykaturę, a nawet ten rodzaj humoru, który

M. Bachtin określa mianem „karnawałowego” (np. obżarstwo, pijaństwo).

Osobne zagadnienie stanowi język DOM Kichota, będący szczytowym osiągnięciem w dorobku literatury hiszpańskiej. Imponująca rozmaitość słownictwa i stylistyki Cervantesa oscyluje pomiędzy stylem „uczonym”, artystycznym, pełnym barokowego wyrafinowania a mową potoczną, soczystą, jasną i prostą. Stąd obok wyszukanego słowa-

nictwa i skomplikowanej składni na kartach powieści pojawiają się przysłowia i wyrażenia charakterystyczne dla gminu. Zwraca uwagę obfitość słownictwa fachowego, związanego m.in. z rzemiosłem, rolnictwem, wojskowością czy medycyną, z którym pisarz zapoznał się w trakcie komisarskich wędrówek po kraju, a które zapewniły po-

wieści konkretność. Kunszt pisarski autora pozwala mu na daleko posuniętą indywidualizację języka - styl charakteryzuje nie tylko samą postać, lecz także nastroje i stany psychiczne przeżywane przez bohaterów.

Na pierwszy rzut oka powieść Cervantesa jest kpiną z romansu rycerskiego, a co za tym idzie - ze średniowiecznej ideologii widzianej w perspektywie Odrodzenia. Można jednak spojrzeć na to zagadnienie z innej strony - postać Don Kichota jest wprawdzie śmieszna, ale przecież z czasem staje się prawdziwie tragiczna, a nawet - w chwili od727

Don Kichote - Miguel Cervantez

zyskania rozumu - wzniósła. Rozumiana w ten sposób książka zdaje się mówić czytelnikowi: pamiętaj, każda epoka ma własne wartości i ideały, nie można na siłę wskrzesić tego, co już minęło.

A najbliższą Cervantesowi wartością, o którą walczy na kartach powieści, jest głęboko humanistycznie pojęta wolność jednostki, afirmacja uczciwości, prostoty, szlachetności i sprawiedliwości, a także pochwała krytycznego rozumu, pojednanego jako jedna z zasadniczych cech człowieczeństwa. Ponad wszystkim unosi się renesansowa wiara autora w słuszność i dobroć sił natury. Don Kichote stanowi apogeum twórczości Cervantesa - w porównaniu z nim pozostałe dzieła brzmią słabo, są drugorzędne. Opowieść o błędny rycerzu jest pierwszym prawdziwie nowoczesnym utworem europejskim, obejmującym sprawy i losy całego narodu. Ta uniwersalność dzieła sprawia, że możemy o nim mówić jako o narodowej epopei Hiszpanii Złotego Wieku. Podobnie jak w Panu Tadeuszu Adama Mickiewicza, także i w Don Kichocie poznajemy społeczeństwo stojące w obliczu rewolucyjnych prze-

mian - tym razem stanowi je rozpad dotychczasowych struktur społecznych. Co więcej, fakt docenienia w osobie Sanczo Pansy wagi chłopskiego rozumu powoduje, iż Don

Kichote jest także pierwszą w literaturze światowej epopeją „chłopską”. Powieść Cervantesa, dzieło do dziś pulsujące życiem i skrzące się humorem, wywarła olbrzymi wpływ na rozwój całej literatury europejskiej. Wystarczy wspomnieć, że Don Kichote doczekał się 287 przekładów na język francuski, 246 na angielski, 119 na niemiecki i 87 na włoski. Jakżeż ubogo wygląda na tym tle Polska posiadająca jedynie cztery pełne przekłady dzieła! Wśród nich niewątpliwie najlepszy jest przekład autorstwa Anny Ludwiki i Zygmunta Czernych. I właśnie w tym tłumaczeniu udostępniamy Czytelnikom rzeczone arcydzieło literatury światowej. Dzieje szalonego (?) błędnego rycerza i jego giermka na dobre zdomowiły się w zbiorowej wyobraźni europejskiej. Postać Don Kichota i Sanczo Pansy nieustannie inspirują artystów, filozofów, pisarzy, psychologów, wszystkich, którzy starają się zgłębić istotę człowieczeństwa. Wiele scen z powieści weszło do zasobu „skrzydlatych słów”

potocznego języka, jak choćby „donkiszoteria” czy „walka z wiatrakami”. A dewizę błędnego rycerza - „Obowiązkiem moim jest rozgromić siłę i wspomagać nieszczęśliwych” - z pewnością chciałoby ponieść na swych sztandarach wielu naszych współ-

Don Kichote - Miguel Cervantez

czesnych, wśród których nie zabrakłoby przeróżnych, awangardowych i skrajnych ugrupowań młodzieżowych. Andrzej Knapik